

JAMES JONES

STĄD DO WIECZNOŚCI

(Przełożył z angielskiego BRONISŁAW ZIELIŃSKI)

OD AUTORA

Książka niniejsza jest dziełem powieściowym. Postacie są zmyślane, a wszelkie podobieństwo do osób istniejących naprawdę jest przypadkowe. Jednakże pewne sceny w Obozie Karnym zdarzyły się rzeczywiście. Nie rozgrywały się w obozie bazy Schofield, ale w jednym z garnizonów w Stanach Zjednoczonych, gdzie autor służył, i są scenami prawdziwymi, z którymi autor zapoznał się bezpośrednio i z własnego doświadczenia.

Robinson, Illinois

27 lutego 1950

*Armii Stanów Zjednoczonych
poświęcam*

Jak wy, chleb suchy jadłem z solą.
Wodę i wino piłem z wami.
Śmierć, gdy was brała, przy mnie stała,
Dni wasze były mymi dniami.

(Rudyard Kipling)

Panowie wojacy, hulamy.
Przekłęci stąd do wieczności,
Zlituj się, Boże, nad nami!
Hej, ho, hej!

(Rudyard Kipling)

KSIĘGA PIERWSZA
PRZENIESIENIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy skończył się pakować, wyszedł na galeryjkę trzeciego piętra koszar otrzepując dłonie z kurzu; był bardzo schludnym i zwodniczo szczupłym młodym człowiekiem ubranym w letni mundur koloru khaki, jeszcze świeży o tej wczesnej porannej godzinie.

Oparł się łokciami o poręcz galeryjki i stał patrząc w dół poprzez zasłoną siatkową na dobrze znany dziedziniec koszar z kondygnacjami galeryjek ciemniejącymi na fasadach trzypiętrowych betonowych budynków. Odczuwał jakiś na wpół naiwny sentyment do tego miejsca, które właśnie opuszczał.

W dole czworokąt dziedzińca dyszał bezbronny pod ciosami lutowego hawajskiego słońca jak wyczerpany zapaśnik. Poprzez opar gorąca i rzadką poranną mgiełkę rozprażonego czerwonego pyłu dolatywała przytłumiona orkiestra dźwięków: terkot stalowych kół wózków podskakujących na klinkierze, trzaskanie nasmarowanych skórzanych rzemieni, rytmiczne szuranie spieczonych podeszew, chrapliwe wykrzykniki zirytowanych podoficerów.

„Gdzieś w jakimś momencie – myślał – te rzeczy stały się twoim dziedzictwem. Jesteś pomnożony przez każdy odgłos, który tu słyszysz. i nie możesz się ich wyprzeć nie wypierając się wraz z nimi celu twojego własnego istnienia. A jednak w tej chwili – powiedział sobie – wypierasz się ich rezygnując z tego miejsca, które ci dały.”

Na ziemnym kwadracie pośrodku dziedzińca kompania karabinów maszynowych apatycznie ćwiczyła ładowanie.

Za nim, w wysoko sklepionej sali sypialnej, wisiała stłumiona zasłona odgłosów wydawanych przez mężczyzn, którzy się budzą i zaczynają poruszać wypróbowując ostrożnie grunt tego świata, który porzucili zeszłego wieczora. Wsłuchiwał się w to, jednocześnie słysząc za sobą zbliżające się kroki, i myślał, jak dobrze było wysypiać się co rano do późna będąc członkiem tego oddziału trębaczy i budzić się przy odgłosach już ćwiczących kompanii liniowych.

– Nie zapakowałeś moich butów wyjściowych? – zapytał zbliżających się kroków. – Miałem ci o tym powiedzieć. Haratają się tak łatwo.

– Leżą na łóżku, obie pary – odpowiedział głos za nim. – Z tymi czystymi mundurami z twojej szafki, których nie chciałeś wymiętosić. Zapakowałem też do dodatkowego worka twoje przybory, zapasowe wieszaki i buty polowe.

– No, to chyba już wszystko – powiedział młody człowiek. Potem wyprostował się z westchnieniem, nie wzruszenia, ale takim, które jest odprężeniem po napięciu. – Chodźmy coś zjeść – powiedział. – Mam jeszcze godzinę czasu do zameldowania się w kompanii G.

– Dalej uważam, że robisz straszne głupstwo – powiedział stojący za nim człowiek.

– Aha, wiem; już mi mówiłeś. Co dzień od dwóch tygodni. Ty tego po prostu nie rozumiesz, Red.

– Może nie – odparł tamten. – Nie jestem geniusz z natury. Ale rozumiem co innego: że jestem dobrym trębaczem, i wiem o tym. Chociaż nie umyłam się do ciebie. Ty jesteś najlepszy trębacz w naszym pułku, nie masz sobie równego. Pewnie najlepszy w Schofield.

Młody człowiek przytaknął w zamyśleniu:

– To prawda.

– No więc. To dlaczego chcesz się stąd urwać i przenieść?

– Ja tego nie chcę, Red.

– Ale się przenosisz.

– Wcale nie. Już zapomniałeś. To mnie przenoszą. A to jest różnica.

– Słuchaj no – zaczął Red zajadle.

– To ty słuchaj, Red. Chodźmy do Choya i zjedźmy śniadanie. Zanim ta banda się tam zwali i połknie wszystko, co jest na składzie – skinął głową w stronę budzącej się sali.

– Postępujesz jak dzieciak – powiedział Red. – Nie przenoszą cię bardziej niż mnie. Gdybyś nie był polazł i rozwarł pyska na Houstona, nie byłoby tego wszystkiego.

– Słusznie.

– To prawda, że Houston zrobił tego swojego dziubasa pierwszym trębaczem nad tobą. No to co? Zwykła formalność. Ty dalej masz swój stopień. Ten mały pedryl tyle ma z tego, że może trąbić na pogrzebach albo grać capstrzyk na zbiórce krótkoterminowych.

– Tylko tyle.

– Wcale nie jest tak, żeby Houston cię wylał i dał temu pętałowi twój stopień. Wtedy bym ci się nie dziwił. Ale dalej masz swój stopień.

– Nie, nie mam. Odkąd Houston poprosił starego, żeby mnie przenieśli.

– Gdybyś był poszedł do starego, tak jak ci mówiłem, i powiedział słówko, dostałbyś go z powrotem. Czy pan szef trębaczy Houston by chciał, czy nie.

– Owszem. A dziubas Houstona dalej byłby pierwszym trębaczem. Poza tym papiery już poszły. Podpisali, pieczęć przystawili i doręczyli.

– A, cholera – powiedział z niesmakiem Red. – Podpisane papiery możesz sobie wsadzić, wiesz gdzie; tyle one znaczą. Ty masz przewagę, Prewitt, a przynajmniej mógłbyś mieć.

– Chcesz coś zjeść ze mną czy nie? – zapytał młody człowiek.

– Jestem spłukany – odrzekł Red.

– A czy cię prosiłem, żebyś płacił? Ja stawiam. To mnie przenoszą.

– Lepiej oszczędzaj forszę. Mogą nam dać jeść z kuchni.

– Dziś nie mam ochoty zreć tego świństwa.

– Mieli dzisiaj jajecznicę – sprostował Red. – Jeszcze możemy dostać ciepłą. Forsa będzie ci potrzebna na nowym miejscu.

– W porządku, rany boskie – powiedział ze znużeniem młody człowiek. – Więc dlatego, że mi się tak podoba. Że chcę tę forszę wydać. Bo odchodzę i mam ochotę ją wydać. A teraz pójdziesz czy nie?

– Pójdę – powiedział Red z niesmakiem.

Zeszli po schodach na chodnik przed kompanią A, gdzie kwaterował oddział trębaczy, potem przez uliczkę i wzdłuż budynku dowództwa do bramy wypadowej. Kiedy zeszli z galeryjki, uderzył ich i przygniótł żar słońca, a potem ustąpił równie nagle, gdy weszli w tunel wiodący przez budynek dowództwa, zwany teraz bramą wypadową ku czci dawnych fortów. Był okazale pomalowany w barwy pułkowe i znajdowały się w nim największe trofea sportowe pułku w politurowanej gablocie.

– Źle się stało – powiedział Red nieśmiało. – Robisz sobie opinię bolszewika. Narażasz się na rozmaite przykrości, Prew.

Prew nie odpowiedział.

Restauracja była pusta. Obaj Chińczycy, Młody Choy i jego ojciec, Stary Choy, trajkotali za kontuarem. Siwa broda i czarna mycka zniknęły od razu w kuchni i Młody Choy, młody Sam Choy, podbiegł przyjąć zamówienie.

– Dzień dobli – powiedział. – Ja słyszał, że pan się psenosi napseciwko, pewnie niedługo, tak sobie myślę, hę?

– Owszem – odrzekł Prew. – Dzisiaj.

– Dzisiaj! – wyszczerzył zęby Chińczyk. – Pan nie zakuje? Dzisiaj psenosi?

– Właśnie – powiedział Prew niechętnie. – Dzisiaj.

Młody Choy, szczerząc zęby, potrząsnął smutnie głową. Spojrzał na Reda.

– Zwaliowany żołnierz. Będzie plostym selegowcem zamiast tłębacem.

– Słuchaj – powiedział Prew. – Może byś nam przyniósł coś zjeść, do cholery.

– Dobrze – wyszczerzył zęby Młody Choy. – Zalaz psyniose. Pobiegł za kontuar do wahadłowych drzwi kuchni, a Prew popatrzył za nim.

– Cholerny żółtek – powiedział.

– Młody Choy jest fajny chłop – odrzekł Red.

– Aha. Stary też.

– Chce tylko okazać życzliwość.

– Właśnie. Tak jak każdy.

Red wzruszył bezradnie ramionami; siedzieli milcząco w półmrocznym względnie chłodzie wsłuchując się w leniwe brzęczenie elektrycznego wentylatora umieszczonego wysoko na ścianie, dopóki Młody Choy nie podał jajek na szynce i kawy. Poprzez siatkowe drzwi nikły powiew przynosił zza bramy koszar senne, regularne szczęknięcie monotonicznie odciąganych zamków karabinowych. Kompania piechoty ćwiczyła ładowanie; było to ponurym proroctwem macającym radość Prewa z leniuchowania, kiedy dookoła wrzała poranna praca.

– Pan jest chłopiec numel jeden – powiedział Młody Choy wróciwszy i wyszczerzył zęby potrząsając ze smutkiem głową. – Pan jest matelial na służbę nadtelminową.

Prew roześmiał się.

– Masz rację, Sam. Zaciągnąłem się na trzydzieści lat. Red krajał jajko.

– A co powie twoja wahine*, kiedy się dowie, że ci obniżyli stopień przy przeniesieniu?

Prew pokiwał głową i zaczął jeść.

– Wszystko ci się źle układa – powiedział Red rozsądnie. – Nawet twoja wahine.

– Chciałbym, żeby mi się ułożyła tu, przy mnie, w tej chwili – wyszczerzył zęby Prew.

Red nie miał ochoty do śmiechu.

– Kociaki szeregowców nie rodzą się na kamieniu – powiedział. – Kurwy, to dobre na pierwszy rok i dla smarkaczy. Ale dobrą metę trudno sobie znaleźć. Za trudno, żeby ryzykować jej stratę. Nie dasz rady jeździć co wieczór do Haleiwy, kiedy będziesz odbębniał zwykłą służbę w kompanii strzelców.

Prew popatrzył na krągłą kość szynki, po czym wziął ją do ręki i wyssał szpik.

– Chyba będzie musiała sama zdecydować, Red. Tak jak każdy musi w końcu. Wiesz, że się na to zbierało od bardzo dawna. To nie tylko dlatego, że Houston zrobił swojego dziubdziusia pierwszym trębaczem nade mną.

Red przyjrzał mu się uważnie; upodobanie szefa trębaczy, Houstona, do młodych chłopców było powszechnie znane i Red zastanowił się, czy Houston aby nie dobierał się do Prewa. Ale to nie mogło być to; Prew chyba by go zabił, nie patrząc, czy Houston jest najstarszym podoficerem, czy nie.

– To dobre – powiedział gorzko. – Sama zadecyduje. A gdzie ona ma rozum? W głowie czy między nogami?

– Zamknij się. Odkąd to masz prawo wtrącać się do mojego prywatnego życia? A dla twojej informacji rozum ma między nogami i to mi odpowiada, kapujesz? – „Ty łgarzu” –

* *Wahine* – po hawajsku kobieta, kochanka.

pomyślał.

– Okej – powiedział Red. – Nie wściekaj się. Co mnie obchodzi, że się przenosisz? To nie ma żadnego znaczenia w moim młodym życiu.

Wziął kawałek chleba i umywając ręce od tego wszystkiego wytarł nim żółtko z talerza i popił kawą.

Prew zapalił papierosa i obrócił się, by popatrzeć na grupkę kompanijnych kancelistów, którzy właśnie przyszli i siedzieli przy kawie w przeciwległym kącie zamiast być na górze przy pracy w personalnym. Wszyscy wyglądali podobnie – wysocy, szczupli chłopcy o wątych twarzach, grawitujący w sposób naturalny ku umysłowej wyższości papierkowej roboty. Dosłyszał słowa „van Gogh” i „Gauguin”. Jeden wysoki chłopak mówił coś przez chwilę, podczas gdy inni czekali, by wtrącić swoje, następnie zrobił pauzę dla nabrania tchu i wtedy drugi wysoki chłopak zabrał głos, pierwszy zaś zmarszczył się, a pozostali znowu czekali niecierpliwie. Prew uśmiechnął się.

Red popróbowował na nim swojej logiki.

– Masz starszego szeregowca i specjalistę czwartej klasy. Ćwiczysz dwie godziny dziennie, a resztę czasu masz dla siebie. Dobrze ci się żyje. Każdy pułk ma oddział trębaczy i doboszów. Taki jest regulamin. To tak jak wykwalifikowani robotnicy w cywilu. Dostajemy omastę, bo mamy specjalne umiejętności.

– Wykwalifikowani robotnicy nie dostają omasty. Mają szczęście, jeżeli w ogóle dostaną jakieś zajęcia.

– Nie o to idzie – powiedział Red z niesmakiem. – To przez ten kryzys. Jak myślisz, dlaczego ja jestem w tym cholernym wojsku?

– Nie wiem. Dlaczego?

– A dlatego. – Red zrobił tryumfalną pauzę. – Z tego samego powodu co ty: bo mogłem lepiej żyć w wojsku niż w cywilu. Nie miałem ochoty zdychać z głodu.

– To logiczne – uśmiechnął się Prew.

– Jak cholera. Ja jestem logiczny gość. Prosty, zdrowy rozsądek. A myślisz, że dlaczego jestem w oddziale trębaczy?

– Bo to logiczne – odrzekł Prew. – Tylko ja nie dlatego poszedłem do wojska. I nie dlatego jestem, to znaczy byłem, w oddziale trębaczy.

– Wiem – powiedział Red z niechęcią. – Znowu zasuniesz tę bujdę o ludziach, co się zaciągnęli na trzydzieści lat.

– No dobrze – odparł Prew. – A czymże innym mogłem być? Gdzie miałem iść? Ja! Człowiek musi mieć jakieś miejsce.

– W porządku – rzekł Red. – Ale jeżeli podpisałeś na trzydziestaka i tak strasznie nie

lubisz trąbić, to czego się stąd wynosisz? Trzydziestoroczny tak nie robi.

– Dobrze – powiedział Prew. – A weźmy ciebie; odkąd zaczęli wyrabiać różne rzeczy dla Anglii na tę wojnę, odkąd zaczęli ten pokojowy pobór, siedzisz tu ze swoim rozsądkiem jak człowiek za kratkami. Twoja dawna posada czeka na ciebie, a ty nawet nie możesz się wykupić teraz, kiedy już jest ten pokojowy pobór.

– Ja gram na zwłokę – wyjaśnił mu Red. – Nie zdechłem z głodu, kiedy dobrobyt czekał za tą kupą haubic, a zanim przystąpimy do tej cholernej wojny, moja służba się skończy i będę siedział w domu i miał dobrą bezpieczną posadkę przy wyrabianiu peryskopów dla czołgów, podczas gdy wam, trzydziestorocznym, będą strzelali w dupę.

Kiedy Prew słuchał, ta ruchliwa twarz, którą miał przed sobą, przemieniła się w szerniałą w boju czaszkę, jak gdyby zamiótł po niej miotacz płomieni, musnął ją lekko i przesunął się dalej. Czaszka mówiła coś o swoim zdrowiu, a on przypomniał sobie teraz, dlaczego prawidłowa decyzja jest taka pilna. To tak jak z dziewicą: jedna błędna decyzja wystarcza, by to zrobić, a potem już nigdy nie jest się tą samą. Człowiek za dużo je, obrasta tłuszczem, i jedynym sposobem, żeby nie utyć, jest nie jeść za wiele. Nie zaradzi się na to pasami elastycznymi dla eks-sportowców ani patentowanymi maszynami do wiosłowania, ani syntetycznym pokarmem, jeżeli się je za dużo.

Przyczyną było to, że chciał być trębaczem. Red umiał dobrze grać na trąbce, bo Red nie był trębaczem. W gruncie rzeczy to bardzo proste, tak proste, iż zdziwił się, że tego przedtem nie dostrzegł. Musiał wystąpić z oddziału trębaczy, ponieważ był trębaczem. Red nie musiał. Ale on tak, bo najbardziej ze wszystkiego pragnął pozostać.

Prew wstał patrząc na zegarek.

– Piętnaście po dziewiątej – powiedział. – Muszę być o wpół do dziesiątej w kompanii G na rozmowie. – Uśmiechnął się przepuszczając przez zęby to ostatnie słowo, rozciągając je tak, jak źle podlane lustro przedziwnie wykręca twarz.

– Siądź jeszcze na minutę – rzekł Red. – Nie chciałem o tym wspominać, dopóki nie musiałem.

Prew spojrzał na niego, a potem usiadł wiedząc, co tamten powie.

– Tylko prędko – rzekł. – Muszę już iść.

– Wiesz, kto jest dowódcą kompanii G, prawda, Prew?

– Uhm – odparł Prew. – Wiem. Redowi to nie wystarczyło.

– Kapitan Dana E. Holmes – powiedział. – Tak zwany „Dynamit”. Instruktor pułkowej reprezentacji bokserskiej.

– No, dobra – rzekł Prew.

– Ja dobrze wiem, dlaczego przeniosłeś się zeszłego roku do tej jednostki – powiedział

Red. – Wiem, co ci się zdarzyło z Dixie Wellsem. Nigdy mi nie mówiłeś, Prew, ale wiem. Wszyscy wiedzą.

– W porządku – odparł Prew. – Mnie obojętne, kto o tym wie. Nie spodziewałem się, że to można ukryć.

– Musiałeś wystąpić z dwudziestki siódemki – powiedział Red. – Kiedy wyszedłeś z drużyny bokserkiej i nie chciałeś dalej walczyć, musiałeś się przenieść. Bo nie dawali ci spokoju, nie pozwalali po prostu się wycofać. Łazili za tobą i naciskali. Aż w końcu musiałeś się przenieść.

– Zrobiłem to, co chciałem – powiedział Prew.

– Na pewno? – zapytał Red. – Czy ty nie rozumiesz? Zawsze będą ci deptali po piętach. Nie można iść w spokoju własną drogą, przynajmniej w dzisiejszych czasach. Chyba że ktoś się ugnie. Może kiedyś, dawno temu, w okresie pionierów, człowiek mógł robić w spokoju to, co chciał. Ale wtedy miał lasy, mógł iść do lasu i żyć sam jeden. W lasach mógł wyżyć całkiem dobrze. A jeżeli szukali go tam za to czy owo, po prostu przenosił się dalej.

Zawsze miał przed sobą dalsze lasy. Ale dziś nie można tego robić. Trzeba się ugiąć. Trzeba to wszystko podzielić przez dwa.

Nigdy ci o tym nie mówiłem – ciągnął Red – ale widziałem cię, jakieś walczył na stadionie zeszłego roku. Ja i kilka tysięcy innych facetów. Holmes także cię widział. Cały czas tylko czekałem, kiedy wyrze na ciebie nacisk.

– Ja też – odrzekł Prew. – Myślę, że po prostu nigdy się nie dowiedział, że tutaj jestem.

– Nie przeoczy tego w twoich aktach personalnych, kiedy będziesz w jego kompanii. Będzie chciał cię wziąć do swojej drużyny bokserkiej.

– W regulaminie wojskowym nie ma nic o tym, żeby człowiek musiał uprawiać sporty, kiedy nie chce.

– Daj spokój – zgromił go Red. – Myślisz, że on będzie się oglądał na regulamin? Kiedy nasz Wielki Biały Ojciec* chce utrzymywać to mistrzostwo? Myślisz, że pozwoli bokserowi z taką opinią jak ty spać snem zimowym? I to w swojej własnej kompanii? Żeby nie walczył dla pułku? Tylko dlatego, że kiedyś postanowiłeś więcej nie walczyć? Nawet taki mędrzec jak ty nie może być taki ciapek.

– Czy ja wiem – odrzekł Prew. – W jego kompanii jest „Wódz” Choate. A Choate był kiedyś mistrzem Panamy w wadze ciężkiej.

– Owszem – powiedział Red. – Ale „Wódz” Choate jest oczkiem w głowie Wielkiego

* Indiańska nazwa prezydenta Stanów Zjednoczonych; w tym wypadku żartobliwie' dowódca pułku.

Białego Ojca, bo to pierwszy baseballista na całych Hawajach. Holmes nie może go zmusić. Ale mimo to „Wódz” Choate jest w kompanii G już od czterech lat i ciągle jeszcze ma kaprała.

– Ano – odrzekł Prew – gdyby „Wódz” się przeniósł, mógłby w każdej innej kompanii zostać sierżantem. Zresztą jeżeli Holmes zacznie za ostro, mogę się zawsze przenieść gdzie indziej.

– Tak? – spytał Red. – Tak myślisz? A wiesz kto jest sierżantem-szefem kompanii G?

– Jasne – odrzekł Prew. – Wiem. Warden.

– Właśnie człowieku – powiedział Red. – Milton Anthony Warden. Który był naszym młodszym sierżantem w kompanii A. Najgorszy drań w Schofield. I który nienawidzi cię gorzej od trucizny.

– To zabawne – powiedział z wolna Prew. – Nigdy nie wyczuwałem, że Warden mnie nienawidzi. Ja go nie nienawidzę.

Red uśmiechnął się gorzko.

– Po tych wszystkich drakach, które z nim miałeś? Chyba nawet ty nie możesz być taki frajer.

– To nie jego wina – odparł Prew. – Po prostu tak wypadło z jego funkcji.

– Funkcją jest sam człowiek – powiedział Red. – A on teraz już nie jest młodszym sierżantem. Ma dwa szewrony i knopek. Słuchaj, Prew. Wszystko jest przeciwko tobie. Bierzesz się do gry, w której każda karta jest w ręku przeciwnika.

Prew kiwnął głową.

– Wiem o tym – powiedział.

– Idźże do starego – powiedział błagalnie Red. – Jeszcze masz czas. Nie napuszczalbym cię głupio. Całe życie musiałem politykować, żeby dostać, co chciałem. Umiem wyczuć jak i co. Wystarczy, żebyś zobaczył się ze starym, a on podrze te papiery.

Wtedy Prew wstał i patrząc w niespokojną twarz tego, który był mu przyjacielem, wyczuł energię szczerości tryskającą z oczu Reda, tryskającą nań z koncentracją strumienia wody, który nazywa się szczerość. I jakoś go zaskoczyło, że ona jest, że ją widzi w tym błaganu.

– Nie mogę, Red – powiedział.

Red, jak gdyby po raz pierwszy naprawdę dał za wygraną i rzeczywiście w to uwierzył, przygarbił się w krześle, a ów skoncentrowany strumień rozproszył się i rozprysnął o ten mur, którego Red nie rozumiał.

– Okropnie mi przykro, że odchodzisz – powiedział.

– Naprawdę nie mam innej rady – odrzekł Prew.

– Okej – powiedział Red. – Niech będzie, jak chcesz, chłopie. Twoje zmartwienie.

– O to właśnie idzie – odparł Prewitt..

Red z wolna, badawczo, przesunął językiem po zębach.

– A co chcesz zrobić z gitarą, Prew?

– Zatrzymaj ją sobie. Zresztą i tak jest w połowie twoja. Nie będzie mi potrzebna – odpowiedział Prewitt. Tamten kaszlnął.

– Przynajmniej powinienem spłacić ci twoją połowę. Tylko że teraz jestem bez forsy – dodał pospiesznie.

Prewitt uśmiechnął się; to znowu był ten Red, którego znał.

– Daruję ci moją połowę, Red. Bez żadnych warunków. A bo co? Nie chcesz?

– Jasne, że chcę. Ale...

– To ją bierz. Jeżeli cię gryzie sumienie, możesz sobie powiedzieć, że to zapłata za pomoc przy pakowaniu.

– Nieprzyjemnie mi to robić – rzekł Red.

– No to zróbmy w ten sposób – odparł Prew. – Od czasu do czasu będę tu zachodził. Nie wyjeżdżam do Stanów. Będę przychodził i grywał sobie czasem na niej.

– Nie, nie będziesz – rzekł Red. – Obaj wiemy, że nie będziesz. Jak gość się wynosi, to ze wszystkim. Odległość jest obojętna.

Wobec tej nagłej uczciwości Prew musiał odwrócić wzrok. Red miał rację i Prew o tym wiedział, a Red z kolei wiedział, że on wie. Przeniesienie w wojsku można porównać do przeprowadzki cywila z miasta do miasta. Przyjaciele albo przenoszą się z nim, albo go tracą. Nawet jeżeli przeprowadza się, powiedzmy, z miasta, które lubił, do innego, gdzie jest obcym. Szansę przygody przy takich przeprowadzkach są bardzo wyolbrzymiane przez filmy, i obaj o tym wiedzieli. Prewitt nie szukał przygody; Red czuł, że nie ma już złudzeń co do tego.

– Najlepszy trębacz w pułku – rzekł Red bezradnie. – Taki przecież nie rzuca tego i nie wraca do zwykłej służby. Tak się nie robi.

– Gitara jest twoja – powiedział Prew. – Czasem tu zajdę i pogram na niej – skłamał. Odwrócił się szybko, żeby nie spojrzeć Redowi w oczy.

– Muszę już iść.

Red patrzył za nim, kiedy odchodził do drzwi, i przez delikatność nie zaprzeczył; Prewitt nigdy nie umiał kłamać przekonywająco.

– Wszystkiego dobrego! – zawołał za nim Red. Patrzył, dopóki nie trzasnęły drzwi siatkowe. Potem przeniósł się z filiżanką kawy tam, gdzie Młody Choy pocił się pracowicie nad parującą niklowaną urną z dziobkami i szklanymi rurkami, marząc, żeby już była piąta i

żeby zamiast tego mógł napić się piwa.

Na zewnątrz, w bramie koszar, Prew włożył kapelusz polowy, nasadził go starannie, nisko na czoło, a wyżej z tyłu i nieco na bakier. Wokoło opaski biegł błękitny sznureczek z żółdziejami, odznaką piechoty. Kapelusz usztywniony jak deska cukrem i żelazkiem czapnika, ze świeżo ufasonowanym denkiem, siedział mu na głowie niby dumna oznaka jego zawodu.

Przez chwilę stał patrząc na wypolituowaną gablotę z trofeami, czując na sobie skąpy powiew wciągany przez cienisty tunel bramy, tak jak rynna zbiera deszcz. W gablocie, wśród innych pucharów i statuetek, widniała na honorowym miejscu nagroda przechodnia Dywizji Hawajskiej, którą chłopcy Holmesa zdobyli zeszłego roku: dwaj złoci bokserzy na obwiedzionym sznurem ringu ze złota.

Wzruszył ramionami, odwrócił się i zatrzymał widząc scenę, która zawsze wywieriała na nim wrażenie – obraz malowany mocnymi, czystymi barwami, których tonacja bladła w dalszej perspektywie, a oprawiony w wylot bramy. Jasna, przysypana czerwonym pyłem zieleni zimnego czworoboku, a na niej niebieskie drelichy kompanii piechoty i oliwkowy odblask. W głębi oszalała białość koszar drugiego batalionu, a za koszarami wznoszące się łagodnie czerwono-zielone pasy, które były matematycznie precyzyjnymi poletkami ananasów, tak nieskazitelne jak dobrze utrzymane grzędy pomidorów, na nich zaś kilka przygiętych, pracujących postaci, niewyraźnie widocznych w oddaleniu. Następnie stoki wzgórz wznoszące się coraz wyżej, pokryte ową soczystą zielenią, co nigdy nie była spragniona wody. I wreszcie, niby najwyższe uwieńczenie tych obietnic – czarne szczyty łańcucha gór Waianae, które wystrzelały w niebo odbijając echem odgłosy musztry, a były rozcięte jedynie głęboką zakłęśnością przełęczy Kolekole, która przypominała wieczorową suknię ladacznicy, gdyż obiecywała różne rzeczy po drugiej stronie. Tym bardziej ją przypominała, że Prew był na Waianae i z rozczarowaniem oglądał tę drugą stronę.

Na zboczach wzgórz jego oczy wyłuskały cienki zarys linii, która zanikała w kierunku południowym. To była droga do Honouliuli, jeździli tam konno oficerowie ze swymi kobietami. Zawsze można było znaleźć wzdłuż tej drogi niezliczone kondomy i drzewa, których korę obgryzały uwiązane konie. Wędrując tamtędy na piechotę zawsze szukało się ich wzrokiem z zazdrosną emocją, która byłaby zawstydzająca, gdyby nie malowała się na twarzach wszystkich.

Czy ananas cieszy się swoim życiem? Czy może przykrzy mu się, że przycinają go tak samo jak siedem tysięcy innych ananasów, że użyźniają go tym samym nawozem co siedem tysięcy innych ananasów, że musi stać do śmierci w takim samym szeregu jak siedem tysięcy innych ananasów? Nie wiadomo. Ale też nigdy nie widziano, żeby ananas przemienił się w grejpfrut, prawda?

Ruszył chodnikiem stąpając jak kot na poduszczkach stóp, tak jak stąpa bokser, z kapeluszem na bakier, czysty, niepokalany, energiczny, wzór żołnierza.

ROZDZIAŁ DRUGI

Robert E. Lee Prewitt nauczył się grać na gitarze na długo przed tym, nim nauczył się trąbić czy boksować. Nauczył się jako mały chłopiec, a jednocześnie poznał masę bluesów i smętnych ludowych pieśni. Życie w górach Kentucky wzdłuż granicy Zachodniej Wirginii wprędce przywiodło go do tego rodzaju muzyki. A było to na długo przed tym, nim zaczął poważnie się zastanawiać nad obraniem Zawodu Żołnierskiego.

W górach Kentucky, wzdłuż granicy Zachodniej Wirginii, nie uważa się grania na gitarze za takie osiągnięcie jak w innych stronach. Każdy dobrze wychowany chłopak uczy się brzdąkać na gitarze już wtedy, gdy jest jeszcze taki mały, że trzyma ją niczym basetkę. Mały Prewitt uwielbiał te piosenki, bo coś mu dawały, jakieś zrozumienie, pierwsze przecucie, że ból może nie być jałowy, jeżeli tylko uda się go w coś przemienić. Piosenki mu zostały, lecz granie na gitarze nic mu nie dało. Nie wzruszyło go. Nie miał do tego powołania. Nie miał też powołania do boksu. Ale był bardzo szybki i miał niewiarygodne uderzenie, które z konieczności rozwinął podczas włóczęgi, nim wstąpił do Zawodu. Ludzie zawsze wykrywają te rzeczy. Mają one tendencję do objawiania się. Szczególnie w Zawodzie Żołnierskim, gdzie sporty są pokarmem życia, a boks jest z nich najbardziej męskim. Piwo w Zawodzie jest winem życia.

Prawdę mówiąc, nie miał powołania do Zawodu. Przynajmniej wówczas. Jako niezadowolony syn górnika z okręgu Harlan, grawitował w sposób naturalny ku temu rzemiosłu, jedynemu, jakie stało dla niego otworem.

Właściwie nie miał powołania do niczego, dopóki po raz pierwszy nie wziął trąbki do ręki.

Zaczęło się to jako żart podczas bibki batalionowej; wziął wtedy trąbkę i zadął w nią parę razy, ale natychmiast wiedział, że to jest coś innego. Coś uświęconego, tak jak wtedy, gdy siedzisz gdzieś nocą i wpatrujesz się w gwiazdy, a twoje oczy świadomie odmierzają odległość, i zastanawiasz się, czy nie siedzisz na elektronie, który krąży wokół protonu wśród nieskończonych wszechświatów, i nagle rozumiesz, jak dziwne wydawałoby się drzewo komuś, kto nigdy nie mieszkał na Ziemi.

Przez chwilę zwidziało mu się szaleńczo, że niegdyś był heroldem i trąbił na koronacjach, że wzywał na spoczynek legiony wokół dymiących ognisk obozowych w długie, błękitne wieczory starożytnej Palestyny. Wtedy przypomniał sobie to poczucie beznadziejności, które zrodziły w nim bluesy i pieśni ludowe, i pojął, że gdyby mógł grać na trąbce, tak jak to sobie wyobrażał, znalazłby dla siebie jakąś rację bytu. Trzymając trąbkę

uświadomił sobie nagle, dlaczego w ogóle wstąpił do Zawodu, który to problem dotąd go zastanawiał. Było to bardzo ważne. Zrozumiał, że ma powołanie.

Jako mały chłopiec nasłuchiwał się dużo o Zawodzie. Siadywał z mężczyznami na ganku bez poręczy, kiedy długi, znojny, brudnolicy wieczór przetaczał się wąską doliną, łaskawie przesłaniając nędzne domostwa ulic – i słuchał, jak gwarzyli. Jego wuj, John Turner, wysoki, kościsty i szczupły, uciekł z domu jako mały chłopak i wstąpił do Zawodu w poszukiwaniu przygody. Był kapralem podczas powstania filipińskiego.

Ojciec małego Prewitta i inni mężczyźni nigdy nie byli za górami i w umyśle chłopca – który już wtedy buntował się instynktownie przeciwko ciasnocie hałd żużlu, podobnie jak płód wierzga rozpaczliwie, buntując się przeciwko ciasnocie łona – ten element Zawodu nadawał wujowi Johnowi Turnerowi wyjątkową pozycję, której nikt nie mógł dorównać.

Ów wysoki mężczyzna przykuczał w małym ogródku – węglowy pył leżał zbyt gęsto na ziemi, by można było usiąść – i w daremnym usiłowaniu zagłuszenia posmaku tego, co encyklopedie nazywają „czarnym złotem”, opowiadał im historie dowodzące niezbicie, że za hałdami żużlu i za tymi liśćmi, które były stale pokryte czarną warstewką, istnieje inny świat.

Kiedy mały Prewitt był w siódmym oddziale, jego matka umarła na suchoty. Tej zimy był wielki strajk i matka umarła właśnie wtedy. Gdyby miała wybór, mogłaby znaleźć sobie lepszy moment. Jej mąż, który uczestniczył w strajku, siedział w okręgowym areszcie z dwiema kłutymi ranami piersi i pękniętą czaszką. A brat jej, wuj John, już nie żył, gdyż zastrzeliło go kilku strażników. W wiele lat później skomponowano i śpiewano żałobną pieśń o tym dniu. Mówiono, że tego dnia krew płynęła rynsztokami Harlanu jak woda deszczowa. Wuj Johna Turnera wynoszono pod niebiosa, czemu niezawodnie byłby się energicznie sprzeciwił.

Mały Prewitt widział tę walkę przynajmniej o tyle, o ile ktokolwiek może zobaczyć walkę z bliska. Jediną rzeczą, którą ujrzał i zapamiętał, był wuj. John Prewitt stał z dwoma innymi chłopcami w ogródku i patrzył, dopóki jednego z tych chłopców nie trafiła zabłąkana kula, a wtedy uciekli do domu i już nie widzieli reszty.

Wuj John miał swoją czterdziestkę piątkę i zastrzelił z niej trzech strażników, z tego dwóch, kiedy już upadał. Zdążył oddać tylko trzy strzały. Chłopca ciekawiła skuteczność tej czterdziestki piątki, ale ponieważ wszyscy trzej strażnicy zostali trafieni w głowę, musieli się tak czy owak przewrócić.

Kiedy zatem umarła jego matka, nie było nikogo, kto by go powstrzymał, prócz ojca, który siedział w więzieniu, a ponieważ ojciec znowu go zbił ledwie na dwa dni przed rozruchami, Prewitt uważał, że i on się nie liczy. Powziąwszy decyzję zabrał dwa dolary, które były w słoiku do korzeni, mówiąc sobie, że matce są niepotrzebne, a ojciec zasłużył na

takie wyrównanie ich rachunków, i poszedł. Sąsiedzi zrobili składkę na pogrzeb matki, ale nie chciał go oglądać.

Matka umierając kazała mu przyrzec jedno.

– Obiecuj mi jedną rzecz, Robercie – wyrzeźbiła. – Po ojcu masz dumę i wytrwałość i zawsze wiedziałam, że to ci się przyda. Ale gdyby nie ja, któryś z was pewnie zabiłby drugiego. A teraz mnie już nie będzie, żeby was hamować.

– Obiecuję wszystko, co chcesz, mam, wszyściutko, co tylko każesz mi obiecać, co tylko powiesz – odrzekł drętwo chłopak, który widział, jak matka kona w jego oczach, i patrzył na nią szukając poprzez mgłę swego niedowiarstwa jakichś oznak nieśmiertelności.

– Obietnica u łoża śmierci to najświętsza rzecz, jaka jest – wykrztusiła płucami, które były już prawie, choć niecałkowicie, w rozpadzie – i chcę, żebyś mi to przyrzekł u mojego łoża śmierci. Obiecuj, że nigdy nikogo nie skrzywdzisz, chyba że będzie konieczne trzeba, chyba że nie będziesz mógł inaczej.

– Obiecuję ci – przysiągł, wciąż czekając na ukazanie się aniołów. – Boisz się? – zapytał.

– Daj mi na to rękę, synku. To jest obietnica u łoża śmierci i nigdy jej nie złamiesz.

– Tak, proszę mamy – powiedział dając jej rękę, a potem szybko ją cofnął lękając się dotknięcia śmierci, którą widział w matce, nie mogąc się dopatrzeć niczego pięknego ani budującego, ani podnoszącego na duchu w tym powrocie do Boga. Jeszcze chwilę wypatrywał oznak nieśmiertelności. Jednakże nie zjawili się żadni aniołowie, nie było trzęsienia ziemi ani innego kataklizmu i dopiero kiedy później przemyślał wielokrotnie ową pierwszą śmierć, w której wziął jakiś udział, odkrył jedyny podniosły jej moment: że w tej ostatecznej, wielkiej chwili lęku myśl matki biegła ku jego przyszłości, a nie własnej. Później często rozmyślał o swojej śmierci, o tym, jak ona przyjdzie, co wtedy poczuje, jak to będzie mieć świadomość, że ten oddech w tej chwili jest już ostatni. Trudno było pogodzić się z faktem, że on, ośrodek całego znanego mu świata, przestanie istnieć, ale to było nieuchronne i nie zamykał na to oczu. Miał tylko nadzieję, że przyjmie śmierć z taką wspaniałą obojętnością, z jaką przyjęła ją ta, co była jego matką. Czuł bowiem, że właśnie w tym kryje się owa nieśmiertelność, której nie dojrzał.

Matka była kobietą starej daty przeniesioną w późniejszy świat i odgradzoną przez góry od znajomości tego świata. Gdyby wiedziała, jakie skutki w życiu syna będzie miała ta obietnica, którą na nim wymogła, nie poprosiłaby o nią. Takie obietnice należą do dawniejszych, prostszych, mniej skomplikowanych, a bardziej naiwnych, zapomnianych czasów.

W trzy dni po ukończeniu siedemnastu lat został przyjęty do wojska. Przywykł do

pewnych podstawowych wygód w Harlan i potem odrzucano go szereg razy w całym kraju, ponieważ był za młody. Wtedy powracał na pewien czas do włóczęgi i znów próbował w jakimś innym mieście. Kiedy go przyjęto, był akurat na wschodnim wybrzeżu i posłali go do Fort Myer. To było w roku 1936. Bardzo wielu zaciągało się wówczas.

W Myer nauczył się boksować, w odróżnieniu od zwykłej bijatyki. Był rzeczywiście ogromnie szybki, nawet jak na wagę kogucią, i ponieważ miał uderzenie zupełnie nieproporcjonalne do swego wzrostu, uznał, że może go czekać przyszłość w Zawodzie. Dało mu to stopień starszego szeregowca już w pierwszym roku służby, co w roku 1936 – kiedy otrzymanie od razu jakiegokolwiek stopnia było uważane przez każdego żołnierza, rozpoczynającego swój drugi trzyletni okres, za grzech dowodzący słabości charakteru – świadczyło o jego talencie.

Również w Myer wziął po raz pierwszy trąbkę do ręki. Od razu coś w nim się odmieniło i porzucił drużynę bokserską, by iść na naukę do oddziału trębaczy. Jeżeli naprawdę coś sobie znalazł, nigdy nie tracił czasu, a ponieważ było mu jeszcze daleko do tego, by zostać bokserem pierwszej klasy, trener nie uważał, żeby warto go było zatrzymywać. Cała drużyna przyjęła jego odejście bez żalu, uważając, że brak mu wytrwałości, że to dla niego za twarda szkoła, że nigdy nie będzie mistrzem tak jak Lew Jenkins z Fort Bliss i tak jak oni wszyscy kiedyś będą – i skreślono go z listy.

Był naówczas zanadto zajęty, aby się zbytnio przejmować tym, co myślą. Wiedziony swym powołaniem pracował ostro przez półtora roku i zdobył sobie inną, zupełnie odmienną reputację. Pod koniec tego półtorarocznego okresu uzyskał stopień starszego szeregowca trzeciej klasy i taką biegłość, że w rocznicę zawieszenia broni odegrał capstrzyk na Arlingtonie, w Mekce wszystkich wojskowych trębaczy. Miał naprawdę powołanie.

Arlington był punktem szczytowym i wielkim przeżyciem. Prewitt nareszcie znalazł właściwe miejsce dla siebie i z zadowoleniem je zajął. Jego służba miała się wtedy ku końcowi i zamierzał zaciągnąć się na nowo w Myer. Chciał pozostać w oddziale trębaczy przez całe te trzydzieści lat. Widział już wyraźnie i całkiem jasno swoją przyszłość i to, jak wszystko pójdzie gładko i jaką mu da pełnię życia. To było jeszcze, zanim weszły w jego życie inne osoby.

Do tej pory był tylko on sam. Do tej pory były to prywatne zmagania z samym sobą. Właściwie nikt nie był w to wmieszany. Kiedy pojawiły się te osoby, Prewitt oczywiście stał się innym człowiekiem. Wszystko się zmieniło; nie był już dziewicą mającą dziewicze prawo do żądania miłości platonicznej. Życie odbiera z czasem każde dziewictwo, nawet choćby je miało zmarnować; jest obojętne, jak bardzo właściciel pragnie je zachować. Do tej pory był młodym idealistą. Nie mógł jednakże zatrzymać się w tym punkcie. Zwłaszcza gdy pojawiły

się inne osoby.

Wszyscy chłopcy z Myer jeździli na przepustki do Waszyngtonu i on jeździł także. Tam właśnie poznał pannę z towarzystwa. Zawarł z nią znajomość w barze czy może ona zawarła znajomość z nim. Było to pierwszym poza filmami wprowadzeniem w wielki świat, a dziewczyna była przystojna, zdecydowanie z dobrego towarzystwa, chodziła do college'u i zamierzała zostać dziennikarką. Nie była to żadna wielka miłość ani nic w tym rodzaju; dla Prewitta, dla nich obojga, połowę przyjemności stanowiło to, że on, syn górnika, chodzi na kolację do „Ritza”, zupełnie tak jak w kinie. Ona była miłą dziewczyną, ale bardzo zapalczywa, i mieli ze sobą przyjemny romans. Nie było tam problemu biednej bogatej dziewczyny, bo on nie miał zastrzeżeń przeciwko wydawaniu jej pieniędzy, a nie zawracali sobie głowy zmartwieniami na temat małżeństwa nieodpowiedniego dla panny z dobrego domu. Bawili się razem doskonale przez sześć miesięcy, dopóki nie obdarzyła go tryprem.

Kiedy wyszedł z kliniki chorób moczopłciowych, okazało się, że nie ma już dla niego funkcji, a wraz z nią i stopnia. Armia nie posiadała naówczas sulfamidów i aż do wojny nie mogła się zdecydować na używanie tego wątpliwego artykułu, więc wyleczenie było długim i bolesnym procesem, z całą masą długotrzonkowych kolców i skalpeli. Jeden chłopak, którego tam poznał, był już po raz czwarty w klinice.

Nieoficjalnie nikt w gruncie rzeczy nie przejmował się tryprem. Był on fraszką dla tych, co go nigdy nie mieli, i dla tych, co go przeszli już jakiś czas temu. Nie gorsze od silnego kataru, mówili. Najwidoczniej nie był fraszką jedynie wtedy, kiedy go się miało. A zamiast szkodzić czyjejs nieoficjalnej opinii podnosił ją o oczko wyżej, był jak otrzymanie baretki za ranę. Mówiono, że w Nikaragui dają za to odznaczenia.

Jednakże oficjalnie szkodziło to opinii służbowej i automatycznie pozbawiało stopnia. W papierach pozostawiało stygmat. Kiedy zgłosił się z powrotem do oddziału trębaczy, dowiedział się, że podczas jego nieobecności stan liczebny został raptem przekroczony. Poszedł do zwykłej służby na resztę swojego okresu zaciągu.

Kiedy ten okres się skończył, próbowano zwerbować go na nowo do tej samej formacji tam, w Myer. Miał chęć na te sto pięćdziesiąt dolarów premii, ale chciał uciec stamtąd jak najdalej. Dlatego wybrał Hawaje.

Przed wyjazdem poszedł odwiedzić swoją pannę z towarzystwa. Słyszał, jak różni goście mówili, że zabiliby babę, która zaraziłaby ich tryprem, albo poszliby i obdarowali nim każdą kobietę, jakiej zdołaliby dopaść, albo że zlaliby ją tak, że nie mogłaby się ruszać. Jednakże to, że miał trypra, wcale go nie napawało goryczą wobec wszystkich kobiet ani niczym w tym rodzaju. Było to ryzykiem, które podejmowało się z każdą – białą, czarną czy żółtą. Co go rozczarowało, czego nie rozumiał, to że ten tryper kosztował go funkcję trębacza,

kiedy potrafił grać tak jak nigdy, i że go dostał od panny z towarzystwa. A wściekało go też, że mu nic przedtem nie powiedziała i nie zostawiła mu decyzji, bo wtedy to nie byłaby jej wina. Kiedy poszedł zobaczyć się z nią po raz ostatni i przekonał ją, że nie będzie jej bił, odkrył, iż nie wiedziała, że go ma. Gdy zobaczyła, że nie chce jej bić, rozplakała się i bardzo go przeproszała. Zaraziła się od jednego chłopca z towarzystwa, którego znała od dziecka. Ona też była rozczarowana. I miała piekielne trudności z wyleczeniem, i to po cichu, żeby rodzice się nie dowiedzieli. I było jej naprawdę bardzo przykro.

Kiedy przyjechał do bazy Schofield, był wciąż ogromnie rozgoryczony utratą trąbki. To go skłoniło do powrotu do boksu tam, w „Ananasowej Armii”, gdzie boks kwitł jeszcze bardziej niż w Myer. W ten sposób popełnił błąd, ale naówczas na to nie wyglądało. Rozgoryczenie sprawą trąbki, dodane do wszystkich innych rozgoryczeń, odegrało swoją rolę. Poza tym przybrał na wadze i wypełnił się, tak że przeszedł do wagi półśredniej. Zdobył mistrzostwo kompanijne dwudziestego siódmego pułku i za to dostał kaprała. Potem, kiedy zaczął się sezon zawodów dywizyjnych, uzyskał klasę pierwszą w Schofield i został wicemistrzem w wadze półśredniej. Za to i dlatego, że spodziewano się, iż zdobędzie mistrzostwo w roku następnym, dostał stopień sierżanta. Poza tym jego gorycz w jakiś niepojęty sposób sprawiała, że wszyscy go bardziej lubili, aczkolwiek nigdy nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

Wszystko zapewne trwałoby tak w nieskończoność, jako że przekonał sam siebie, iż trąbienie nie ma sensu, gdyby nie owa obietnica dana matce u łoża śmierci i gdyby nie Dixie Wells. A stało się to właśnie po zakończeniu sezonu. Może taki był jego temperament, ale zdawał się mieć jakieś bliskie praktyczne związki z ironią.

Dixie Wells był zawodnikiem wagi średniej, który kochał boks i żył dla boksu. Zaciągnął się do wojska, ponieważ bokserom nie wiodło się najlepiej podczas kryzysu, a także dlatego, że chciał, aby jego styl dojrzał z biegiem czasu. Dixie lubił trenować z Prewittem ze względu na jego szybkość, a Prewitt dużo się od niego nauczył. Często trenowali ze sobą: i tym razem Dixie prosił go o to, bo mu się szykowało walka w mieście. Poza tym sam Dixie chciał użyć rękawic sześciuncjowych, a ochraniaczy na głowę nie nakładali nigdy.

Takie rzeczy zdarzają się częściej, niż można przypuszczać. Prew o tym wiedział i nie miał powodu poczuwać się do winy. Stał mocno na nogach, kiedy uderzył Dixie'ego nie silniejszym niż zwykle ciosem. Dixie też akurat stał twardo. Prew zorientował się od razu po sposobie, w jaki Dixie padał, bezładnie, niczym przewracająca się sztaba albo zrzucony z sąsiedku wór mąki, który wstrząsa spichrzem i pęka na szwach. Dixie runął prosto na twarz i nie przetoczył się na wznak. Bokserzy nie lądują na twarzach tak samo jak zapaśnicy dżudo.

Prew cofnął gwałtownie rękę i popatrzył na nią jak dziecko, które dotknęło pieca. Potem zbiegł na dół po doktora.

Dixie Wells był nieprzytomny przez tydzień, ale w końcu przyszedł do siebie. Tylko tyle, że oślepl. Doktor w szpitalu wojskowym mówił coś o wstrząsie mózgu i pęknięciu, o ucisku czy uszkodzeniu nerwu. Prew odwiedził Dixie'ego dwa razy, ale po drugim razie nie miał już siły przychodzić. Za drugim razem rozmowa zeszała na boks i Dixie się rozplakał. Właśnie widok tych łez wyciekających z oczu, które nie widziały, sprawił, że Prewitt więcej nie przyszedł.

Dixie nie miał do niego nienawiści ani żalu, po prostu był nieszczęśliwy. Gdy tylko zdołał przemówić za ostatnim razem, powiedział Prewowi, że mają go odwiedzić do Stanów i umieścić w domu dla starych żołnierzy albo w którymś ze szpitali dla weteranów, co było jeszcze gorsze.

Prew widział sporo takich wypadków. Jeżeli jest się dość długo w jakimś zawodzie, można dowiedzieć się rzeczy, o których wtajemniczeni nigdy nie mówią publicznie. Ale z samym ich zobaczeniem jest tak jak z odniesieniem rany; ten człowiek bez rąk nie ma żadnego związku z nami samymi, to *zdarza* się innym, nigdy nam.

W jakiś sposób – myślał – cała ta walka na ringu krzywdzi świadomie kogoś innego, i zwłaszcza wtedy, gdy to nie jest konieczne. Dwaj ludzie nie mający nic przeciwko sobie stają na ringu i usiłują się skrzywdzić, aby dostarczyć zastępczego uczucia strachu innym, którzy mają mniej od nich odwagi. Żeby zaś to pokryć, nazwali całą rzecz sportem i spekulują na tym. Nigdy dotychczas nie patrzył na to z tej strony, a jednej *rzeczy* nie mógł znieść: być oszukiwanym.

Ponieważ sezon bokserski już się zakończył, mógł być zaczekać do następnego grudnia z oznajmieniem swojej decyzji. Mógł nabrać wody w usta i spoczywać na swoich ciężko zdobytych laurach, dopóki by nie przyszedł czas udowodnienia własnej racji. Ale nie był dosyć uczciwy, żeby zrobić coś podobnego. Nie był dosyć uczciwy, żeby kogoś oszukiwać, kiedy sam nie chciał być oszukiwany. Nie miał cech takiego uczciwego człowieka, któremu powodzenie przychodzi w sposób naturalny.

Kiedy powiedział, dlaczego rzuca boks, z początku nie chcieli mu wierzyć. Później, gdy przekonali się, że to prawda, uznali, iż zajmował się tym sportem tylko dlatego, żeby coś z niego mieć, i że go nie kochał tak jak oni, toteż rozstali się z nim ze słusznym oburzeniem. Jeszcze później, kiedy nie próbował wrócić, przestali to w ogóle rozumieć. Wówczas zaczęli go podkręcać, wzywać na rozmowy w cztery oczy, mówić, jaki jest zdolny, wyjaśniać, ile w nim pokładają nadziei, i pytać, czy im robi taki zawód, wyliczać, co jest winien pułkowi, tłumaczyć, że powinien się wstydić. Wtedy to właśnie zaczęli naprawdę nie dawać mu

spokoju. I wtedy właśnie się przeniósł.

Przeniósł się do innego pułku, bo ten pułk miał najlepszy oddział trębaczy. Nie było z tym żadnych trudności. Gdy tylko usłyszeli, jak gra, od razu załatwili mu przeniesienie. Naprawdę potrzebowali tam dobrego trębacza.

ROZDZIAŁ TRZECI

O ósmej godzinie tego rana kiedy Plewitt jeszcze się pakował sierżant szef Milton Anthony Warden wyszedł z kancelarii kompanii G. Kancelaria znajdowała się przy wypastowanym korytarzu, który biegł od galeryjki po stonie dziedzińca do świetlicy wychodzącej na ulicę. Warden przystanął w drzwiach kancelarii i oparł się o framugę paląc papierosa i patrzył na kompanię ustawiającą się do musztry w bezpylnym porannym powietrzu z karabinami i parcianymi pasami. Stał tak przez chwilę w promieniach słońca padających na niego skośnie od wschodu czując jak chłód wycieka z tego nowego upalnego dnia.

Wiosenna pora deszczowa już się zbliżała, ale do tego czasu miała trwać spiekota i gorąco w lutym, tak samo jak spiekota i gorąco w grudniu, a później kiedy pora deszczowa nadejdzie będzie bardzo wilgotno w nocy zaś chłodno i płyn do konserwowania skór będzie znów walczył rozpaczliwie z pleśnią na wszystkim co skórzane. Warden właśnie skończył wypisywać listę chorych oraz poranny raport, wysłał je i teraz przed udaniem się do magazynu i powrotem do ciężkiej pracy, tym razem pracy nie swojej palił leniwie papierosa patrząc jak kompania wychodzi, bo rad był, że sam wyjść nie musi. Wrzucił papierosa do płaskiego, żelaznego kubeczka pomalowanego na czerwono i czarno w barwy pułkowe i patrzył na koniec kompanii wysuwającej się przez bramę wjazdową po czym zeszedł na gładki beton galeryjki i ruszył ku otwartym drzwiom magazynu.

Milton Anthony Warden miał 34 lata. Prze osiem miesięcy odkąd był sierżantem szefem kompanii G, obwinął sobie ten oddział dookoła palca i schował do kieszeni, chwilami lubił przypominać sobie o tym dumnym fakcie, był prawdziwym demonem pracy i o tym także lubił sobie przypominać. Prócz tego wyciągnął tę niechlujną organizację z bagna rozprzężenia, właściwie gdy o tym myślał, a myślał często dochodził do wniosku, że nie spotkał człowieka który byłby tak zdumiewająco zdolny do wszystkiego czego się tknął jak Milton Anthony Warden.

– Mnich w swojej celi – zadrwił sobie, wchodząc w otwartą połowę drzwi.

Po jaskrawym świetle słonecznym musiał przystanąć by oczy przywykły mu do bezokiennego magazynu gdzie dwie żarówki jak gorejącą łyżę zawieszono na łańcuszkach zwiększały jeszcze półmrok.

Wysokie po suficie szafy, półki i stosy skrzyń ciężko osaczały zewsząd biurko przy którym starszy szeregowiec czwartej klasy Leva, skwaszony i bezkrwisty, tak jakby wieczny mrok jego siedziby przelał mu się w żyły siedział z błyszczącym tłustonosem w kręgu błyszczącej lampy, mozolnie wystukując coś na maszynie dwoma palcami

– Dać ci worek pokutny i garść popiołu? – powiedział Warden, któremu kochająca matka nadała imię świętego Antoniego. – A mógłbyś się jutro kanonizować Nikolo.

– Idź do cholery – powiedział Leva – niepotnosząc oczu, ani nieprzerywając pisania – Czy Ten nowo przeniesiony już się pokazał?

– Święty Nikolo z Wachrawy – zadrwił z niego Warden – nigdy ci się nieprzykrzy to życie? Chyba już jaja całkiem ci zapleśniały

– Pokazał się czy nie? – zapytał Leva – mam gotowe jego papiery.

– Jeszcze nie – Warden oparł się łokciami kontuar – i jeśli o mnie idzie woląbym żeby wcale się nie pokazywał.

– Czemu nie? – zapytał niewinnie Leva – słyszałem, że to pierwszorzędny żołnierz.

– Zakuty łeb – odrzekł uprzejmie Wardem – ja go znam cholernie zakuty łeb. Byłeś ostatnio Acherabie w „Dużej Sue”? Jej dziewczynki załatwią ci tę pleśń mają na to dobre domowe sposoby.

– A bo ja mogę? – odparł Leva – z tego co mi płacicie? Słyszałem że ten Plewitt jest niezły bokser – dodał przekornie – że będzie fajnym nabytkiem dla menażerii dynamita.

– Że będę miał jeszcze jednego darmozjada do wyrzywienia – dodał Warden – to też słyszałeś?

– Czemu nie przyzwyczaiałem się do tych rzeczy.

– Szkoda, że musiał czekać do lutego do końca bokerskiego sezonu teraz będzie czekał do grudnia na stopień sierżanta.

– Ty biedny, biedny, nieszczęśliwy człowieku którego wszyscy wykorzystują – powiedział Leva. Odchylił się w tył i ręką wskazał na spiętszone stosy oporządzenia nad którym pracował już od trzech dni. – Cieszę się, że mam taką łatwą i dobrze płatną posadkę.

– Cholernie zakuty łeb – poskarżył się Warden szczerząc zęby – nicpoń z Kentucky który za sześć tygodni zostanie kapralem, a mimo to będzie dalej bezwartościowym, cholernym tępakiem.

– Ale to dobry trębacz – rzekł Leva. – Słyszałem go, pierwszorzędny trębacz najlepszy w tej bazie – dodał z uśmiechem.

Warden grzmotnął pięścią w kontuar.

– To powiniem być zostać w trębaczach zamiast zapaskudzać mój oddział – krzyknął – odrzucił klapę kontuaru otworzył kopniakiem dźwiczki i wszedł do środka przeciskając się między stertami koszul, kalesonów i getrów leżących na podłodze.

Leva pochylił się znowu nad maszyną do pisania i zaczął stukać, oddychając cicho przez długi, cienki nos.

– Skończyłeś już z tym cholernym przydziałem umundurowania? – wściekł się na

niego Warden.

– Za co mnie bierzesz, psiakrew? – spytał Leva wciąż podśmiewając się z cicha.

– Za kopanego magazyniera, którego rzeczą jest to załatwić, zamiast w kółko pieprzyć o przeniesionych. Powinieneś być mieć to gotowe już dwa dni temu.

– Powiedz to szefowi magazynu, sierżantowi O'Hayerowi – odparł Leva. – Ja tutaj jestem tylko podwładny.

Wściekłość Wardena ustąpiła równie nagle, jak przysłała: spojrzął na Levę z chytrym zastanowieniem, podrapał się po brodzie i wyszczerzył zęby.

– Czy twój znakomity mentor, pan O'Hayer, zaglądał tu dziś rano?

– Jak myślisz? – spytał Leva. Wydobył swą zasuszoną postać zza biurka i zapalił papierosa.

– Ano – odrzekł Warden – byłbym skłonny powiedzieć, że nie. Tak na oko.

– I miałbyś zupełną rację – powiedział Leva. Warden uśmiechnął się do niego.

– No, ostatecznie jest dopiero ósma. Nie można żądać, żeby człowiek na jego stanowisku i z jego troskami wstawał o ósmej, razem z takimi pisarczykami jak ty.

– Dla ciebie to żart – rzekł Leva z rozdrażnieniem. – Możesz się z tego śmiać. A dla mnie to nie żarty.

– Może obliczał kasę ze swojej wczorajszej gry w szopie. Założę się, że chciałbyś mieć takie przyjemne, łatwe życie.

– Chciałbym mieć dziesięć procent tej forsy, którą on zgarnia w tej szopie każdego dnia wypłaty – powiedział Leva mając na myśli szopy zaopatrzeniowe stojące naprzeciwko koszar, po drugiej stronie ulicy, gdzie co miesiąc, odkąd zabrano stamtąd trzydziestosiędmio-milimetrówki, taczanki do cekaemów i całą resztę, trafiała w końcu większość pieniędzy z Dolnej Bazy i gdzie O'Hayer miał zawsze największą kasę ze wszystkich czterech szop.

– Miałem wrażenie – powiedział Warden – że ci prawie tyle samo odpala za to, że tutaj za niego harujesz.

Leva rzucił mu zabójcze spojrzenie, a Warden zachichotał.

– Wierzę ci – rzekł Leva. – Niedługo zażądasz ode mnie swojej doli za to, co on mi daje, bo inaczej mnie wylejesz.

– To jest myśl – wyszczerzył zęby Warden. – Dziękuję ci. Nie przyszło mi to do głowy.

– Kiedyś to nie będzie takie piekielnie zabawne – powiedział ponuro Leva. – Kiedyś, jak się stąd wyniosę do diabła i zostawię cię z tym magazynem na głowie, bez nikogo, kto by odbębnił robotę, prócz O'Hayera, który nie odróżnia formularza numer trzydzieści dwa od trzydzieści trzy.

– Nigdy się nie przeniesiesz z tej kompanii – zadrwił Warden. – Jakbyś wylazł na dwór przed zachodem słońca, byłbyś ślepy jak nietoperz. Masz ten magazyn we krwi. Nie rzuciłbyś go, choćbyś musiał.

– Nie może być – odrzekł Leva. – A właśnie że już mam dosyć tyrania za szefa magazynu, podczas gdy Jim O'Hayer zbiera pochwały i forszę, bo jest u „Dynamita” najlepszy w wadze lekkiej i płaci pułkowi za to, że prowadzi tę szopę. I nawet nie jest z niego dobry bokser.

– Ale szuler dobry – powiedział obojętnie Warden. – A to się liczy.

– Owszem, szuler dobry. W dziąsło szarpany. Ciekawe, ile też odpala co miesiąc „Dynamitowi” oprócz pułku.

– No, no, Niccolo! – zachichotał Warden. – Wiesz, że taka rzecz jest nielegalna. Tak stoi w regulaminie.

– Ja pieprzę regulamin – powiedział Leva, a twarz nabiegła mu krwią. – Mówię ci, że któregoś dnia się wścieknę. Mógłbym przenieść się jutro i dostać własny magazyn. Ostatnio dowiadywałem się o to. Kompania M szuka magazyniera.

Urwał nagle, uprzytomniwszy sobie, że wyjawiał tajemnicę, której nie chciał zdradzać, i że Warden go popchnął do tego. Z wyrazem zaskoczenia zmieszanego z posępnością wrócił milcząco do biurka.

Warden dostrzegł ten przelotny wyraz na jego twarzy i zanotowawszy sobie starannie w pamięci tę nowość, którą wykrył i którą musiał zwalczyć jakimś sposobem, jeżeli chciał, żeby jego magazyn dobrze pracował, podszedł do biurka i rzekł:

– Nie martw się, Niccolo. Nie będzie tak zawsze. Ja także mam tu coś do powiedzenia – napomknął ogólnikowo. – Powinieneś dostać awans i dostaniesz. Załatwiasz całą robotę. Ja dopilnuję, żebyś go dostał – powiedział uspokajająco.

– Nic z tego nie będzie – odparł niechętnie Leva. – Przynajmniej póki „Dynamit” jest dowódcą kompanii. I dopóki O'Hayer jest w jego drużynie bokserskiej i płaci czynsz pułkowi. Masz związane ręce i nic nie poradzisz.

– To znaczy, że mi nie ufasz? – zapytał z oburzeniem Warden. – Nie mówiłem ci, że mam swoje chody?

– Nie jestem rekrut – odrzekł Leva. – Nie ufam nikomu. Siedzę w tym wojsku już trzynaście lat.

– A jak ci to idzie? – zapytał Warden wskazując jeden z kilku stosów formularzy. – Chcesz, żeby ci pomóc?

– Nie, psiakrew – odparł Leva. – Nie potrzebuję pomocy.

– Odwalimy to – powiedział Warden – i będziesz miał spokój na miesiąc albo dwa. Z

tobą jest to samo co z obsadą kuchni, Niccolo. Wciąż grożą, że sobie pójdą, bo Preem jest podoficerem kasynowym. Ale jakoś nie idą. Boją się karabinu jak ognia.

Położył na kontuarze plik formularzy dzieląc je na równe stosiki, ażeby je opracować. Z kąta wyciągnął wysoki zydeł, zasiadł przy kontuarze i wyjął swoje stare pióro.

„Ach, Milionie – myślał. – Ależ z ciebie drań, wspaniały, załgany drań. Sprzedałbyś własną matkę, byleby utrzymać w kupie ten oddział. Będziesz kłamał i przymilał się do biednego Niccola, żeby został, żeby magazyn dobrze pracował. Tyłeś już nałgał – mówił do siebie – że nie wiesz, gdzie prawda, a gdzie kłamstwo. A wszystko dlatego, że chcesz zrobić z twojej kompanii coś najlepszego. To znaczy z kompanii Holmesa – pomyślał.

– Dynamita Holmesa, instruktora bokserskiego, jeźdźca i wazeliniarza numer jeden w stosunku do naszego Wielkiego Białego Ojca, pułkownika Delberta. To jego. kompania, nie twoja. Czemu nie dasz mu tego robić? Dlaczego nie dasz mu poświęcić duszy na ołtarzu sprawiedliwości?”

W godzinę później jeszcze pracowali, gdy wszedł O'Hayer. Przystanął na chwilę w jasnym otworze drzwi barczystą, ciemną sylwetką, przyzwyczajając oczy do półmroku, i od razu powiało od niego chłodem, który zdławił gorący strumień energii do pracy krążący w nich obu. Spojrzał z niesmakiem na porozkładane wszędzie papiery i oporządzenie.

– Co tu za bałagan – powiedział. – Musimy to uprzątnąć, Leva. Zbliżył się do kontuaru, ażeby wejść do środka, i Warden musiał zebrać wszystkie papiery i wstać, by go przepuścić. Patrzył, jak wysoki, zgrabny Irlandczyk stąpa z delikatną giętkością zapaśnika przez stosy oporządzenia i pochyła się, by zerknąć przez ramię Levy. O'Hayer miał na sobie jeden ze swoich szytych na miarę mundurów, skrojonych dla niego w Honolulu, a na nim ręcznie wyhaftowane trzy paski sierżanta. Warden położył z powrotem papiery na kontuarze i znowu wziął się do pracy.

– Jak wam idzie, Leva? – spytał O'Hayer. Leva spojrzał na niego krzywo.

– Jako tako, panie sierżancie. Jako tako.

– Tu dobrze. Bo, wiecie, już jesteśmy opóźnieni.

Uśmiech O'Hayera był swobodny, jego ciemne oczy nie zmieniły się przed tym ironicznym powiedzeniem. Leva popatrzał na niego przez chwilę i wrócił do pracy.

O'Hayer obszedł szczupłą wolną przestrzeń patrząc na sterty oporządzenia, tu coś położył, tam wyrównał jeden czy drugi stos.

– Te rzeczy trzeba podzielić według rozmiarów – powiedział.

– Już są podzielone – odezwał się Warden nie podnosząc oczu.

– Gdzieście byli, jak gówno trafiło w wentylator?

– Już podzielone? – zapytał O'Hayer ze swobodą. – Ano, trzeba będzie znaleźć na nie

miejsce. Bo tutaj wszystkim zawadzają.

– Może wam – powiedział uprzejmie Warden. – Bo mnie nie. Sytuacja była delikatna i czuł, że musi się hamować. Pomyślał sobie, że ilekroć rozmawia z O'Hayerem, sytuacja zawsze jest delikatna. Delikatne sytuacje irytowały go. Jeżeli się uparli, żeby tamten był szefem magazynu, to dlaczego, u diabła, nie posłali go do jakiejś szkoły?

– Macie zebrać te rzeczy z podłogi – powiedział O'Hayer do Levy.

– Staremu nie spodoba się taki burdel. Straszny tu nieporządek. Leva odchylił się znad biurka i westchnął.

– W porządku, panie sierżancie – powiedział. – Chce pan, żebym to zrobił teraz?

– Gdzieś w ciągu dnia – odrzekł O'Hayer. Obrócił się plecami do pokoju i począł zaglądać za wszystkie duże, czworokątne przegródki.

Warden z trudnością skupił znów myśli na pracy, czując, że powinien był teraz coś powiedzieć, i zły, że tego nie zrobił. W chwilę później wstał raptownie, aby sprawdzić numer jakiegoś rozmiaru, i zderzył się z O'Hayerem. Ręce mu opadły; przechylił na bok głowę.

– Rany boskie! – ryknął. – Idźże gdzieś, do cholery! Gdziekolwiek! Przejedź się tym swoim dusenbergiem. Idź do szopy i przelicz wczorajszą kasę. My tu robimy za ciebie. Idźże sobie i nie martw się o to.

Było to nazbyt długie do wykrzyczenia i pod koniec zabrakło mu tchu.

O'Hayer z wolna uśmiechnął się do niego, trzymając w gotowości ręce zwieszono luźno wzdłuż boków, i popatrzał na Wardena swymi chłodnymi oczami szulera, do których uśmiech nigdy nie docierał.

– Okej, szefie – powiedział. – Wiadomo, że nigdy się nie kłócę z sierżantem-szefem.

– Cholera tam z szefem – odparł Warden. Popatrzał na te oczy bez wyrazu, ciekawy, jak daleko trzeba popchnąć tego uśmiechniętego szulera, żeby pokazał po sobie jakąś emocję. Gdzieś przecież musiało być uczucie między sworzniami tej maszyny do liczenia. Zastanowił się beznamiętnie, czy nie dać mu w szczękę, żeby zobaczyć, co robi. Leva obserwował ich od biurka. – Nie mówiłem jako żaden cholerny szef. Mówiłem jako Milt Warden. I dalej powiadam: zabierajcie się stąd do diabła.

O'Hayer uśmiechnął się znowu.

– Dobra, szefie. Obojętne, jako kto pan mówi, zawsze pan jest szefem. Niedługo się zobaczymy – powiedział niedbale do Levy, wyminął Wardena, umyślnie odwróciwszy się do niego plecami, i wyszedł bez słowa.

– Któregoś dnia doprowadzi mnie do szau – powiedział Warden patrząc na drzwi. – A chciałbym kiedyś sam doprowadzić go do szau. Ciekawe, czy on potrafi się wściec.

– Widziałeś go kiedy na ringu? – zapytał mimochodem Leva.

Tak – widziałem – go – na – ringu. Widziałem, jak wygrał z Taylorem. Myślę, że powinienem coś mieć z tej całej roboty, którą odwałam za niego.

– Sfaulował Taylora sześć razy – powiedział Leva. – Liczyłem. Za każdym razem inny faul, tak że sędzia mógł tylko ostrzegać. To rozwścieczyło Taylora. Ale jak Taylor też go sfaulował, O'Hayer się nie wściekł. To cwaniak.

– Ciekawy jestem, czy taki wielki cwaniak – powiedział Warden w zamyśleniu.

– Zgarnia kupę forsy – rzekł Leva. – Chciałbym być na tyle cwany, żeby robić taką forszę. Ze swojej szopy wyciągnął dość pieniędzy, żeby sprowadzić ze Stanów całą rodzinę, kupić tatuńcowi knajpę na Wahiawa Midway, siostruni sklep modniarski w centrum, gdzie chodzą wszystkie elegantki, i zbudować im dziesięciopokojowy dom w Wahiawie. To chyba dostateczne cwaniactwo... I słyszałem, że teraz bywa w lepszych sferach. Ma babkę z towarzystwa.

– Na te dni, kiedy jego chiński kociak ma miesięczkę, co? – odparł Warden. – O rany – powiedział z nadzieją. – Może się z nią ożeni i wyjdzie z wojska.

– Takiego szczęścia to nie mamy – rzekł Leva.

– Więcej mam z nim kłopotu niż z Preemem. Preem to tylko pijaczyna.

– Może byśmy teraz popracowali – powiedział Leva. Pracowali niezbyt długo, kiedy przed koszary zajechał samochód.

– Co za cholera? – odezwał się Warden. – Odkąd tu jest hotel „Royal Hawaiian”?

– Któż tam znowu? – powiedział z niesmakiem Leva.

Warden patrzył na wysoką, szczupłą blondynkę wysiadającą z auta. Za nią wygramolił się dziewięcioletni chłopiec i zaczął się czepiać wysokiej do kolan bariery biegnącej wzdłuż chodnika. Kobieta szła chodnikiem, jej piersi kołysały się lekko pod fioletowym swetrem. Warden przyjrzał im się uważnie i doszedł do wniosku, że ta kobieta nie nosi stanika; jej piersi zanadto się poruszały i były zbyt spiczaste.

– Kto to przyjechał? – zapytał Leva.

– Żona Holmesa – odparł Warden pogardliwie.

Leva rozprostował grzbiet i zapalił następnego papierosa.

– Szlag by ją trafił – powiedział. – Ją i te jej swetry. Przyłazi tu, jak nie ma nikogo w kancelarii. A ile razy przyjdzie, to mnie kosztuje trzy dolary u „cioci” Kipfer w „New Congress” i dolara za taksówkę tam i z powrotem do miasta. Dziewczynki Dużej Sue nie są dość dobre, żeby mi zdjąć z myśli ten obrazek.

– Przystojna kobieta – przyznał niechętnie Warden. Patrzył za znikającą mu z oczu obcisłą spódnicą, pod którą zaznaczała się na biodrach cienka linia będąca brzeżkiem majtek. „Obramienie źródła jej mocy życiowej, czego żadna kobieta nigdy nie chce przyznać” –

pomyślał.

Warden miał swoją teorię na temat kobiet; przez całe lata prosił te, które go interesowały, żeby się z nim przespały. „Pójdiesz ze mną do łóżka?” – a one były zawsze zgorszone, nawet te podpite bywalczyne barów. Ma się rozumieć zawsze to robiły, ale dopiero później, kiedy dopełnił już należytych wymogów zbliżenia. Żadna kobieta nie powiedziała nigdy: „Ależ tak, chętnie pójdę z tobą do łóżka.” Nie mogły tego powiedzieć. Nie miały w sobie tyle uczciwości.

– Jasne, przystojna – powiedział Leva. – I wie, na co to jest.

– Niemożliwe! – rzekł Warden. – A ja myślałem, żeś ty jej to wyjaśnił.

– Nie, psiakrew, nie ja. Nie mam na to dość pasków na rękawie. Ale widziałem ją tutaj, jak gadała z O'Hayerem. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zawiózł ją tym chryslerem do Wahrawy, na zakupy – wykrzywił twarz przedrzeźniające.

– Z tego widać, że i ja będę musiał kupić sobie wóz – powiedział Warden. Ale w duchu nie wierzył w to. Kobiety zawsze określały tamto jakoś inaczej. Nigdy nie nazywały tego właściwym, jedynie odpowiednim słowem, chyba że były zawodowymi kurwami.

– Tylko mi nie mów, że nigdy nie przywalała się do ciebie – rzekł Leva.

– Nie, psiakrew – odparł Warden. – Dałbym jej to, co trzeba.

– Ano, toś chyba jedyny – powiedział Leva. – Gdybym miał ten stopień, który mi obiecujesz, sam bym się do niej dobrał. Cóż, kiedy trzeba być przynajmniej kapralem, żeby coś z nią zdziałać, na nas, szeregowców, nawet nie spojrzysz – dodał z goryczą. Podniósł pięć palców i zaczął odliczać na nich nazwiska. – O'Hayer, sierżant. Henderson, sierżant z dawnej jednostki „Dynamita” w Bliss, teraz opiekuje się końmi Holmesa i jeździ z nią trzy razy na tydzień. Kapral Kling, który jest ordynansem Holmesa. Spała z nimi wszystkimi. Każdy w kompanii to wie. Musi mieć jakąś perwersyjną chrapkę na podoficerów swojego męża, dlatego że on nie potrafi je wygodzić.

– Coś ty robił? Psychologię studiowałeś?

Przez chwilę słuchali jej pukania do drzwi kancelarii, a kiedy nie było odpowiedzi, rozległo się skrzypnięcie drzwi.

– Nie muszę znać psychologii, żeby to wiedzieć – rzekł Leva.

– Pewnieś nie widział, jak pocałowała Wilsona, kiedy zeszłego roku zdobył mistrzostwo w wadze lekkiej?

– Jasne, że widziałem. No to co? Wilson jest ulubionym bokserem „Dynamita” i zdobył nagrodę. Całkiem naturalne.

– O to idzie; wiedziała, że będziesz tak uważał, ty i wszyscy inni – rzekł Leva. – Ale tam było coś więcej. Pocałowała go w same usta, razem z tą całą krwią, kollodium i w ogóle,

i zarzuciła mu gołe ręce na plecy, i tarła je o pot. Jak go puściła, suknię miała ciemną od jego potu, a na całej twarzy krew. Już ty mi nie gadaj.

– Ja ci nie gadam – odparł Warden. – To ty gadasz.

– Jedyne powód, że jeszcze cię nie poderwała, to że jesteś tu nowy.

– Jestem tu już osiem miesięcy. To powinno wystarczyć. Leva potrząsnął głową.

– Ona nie może ryzykować. Tamci wszyscy, poza O'Hayerem, byli z Holmesem w Bliss. Wilson, Henderson i Kling. Chyba jedyny z Bliss, którego sobie nie przygruchała, to Ike Galowicz, ale ten jest za stary...

– Urwał słysząc trzaśnięcie drzwi kancelarii. – Zaraz tu będzie, cholera – powiedział.

– To mnie kosztuje cztery dolary. Ile razy tu przyjdzie. Jeżeli mi nie załatwisz tego awansu, żebym mógł coś zdziałać, to się zadłużę u lichwiarzy.

– Niech ją diabli wezmą – powiedział Warden. – Mamy robotę do załatwienia – dodał słuchając jej kroków na korytarzu, potem na galeryjce, a potem tuż pod drzwiami.

– Gdzie jest sierżant-szef? – zapytała wchodząc pani Holmes.

– Ja jestem sierżantem-szefem, proszę pani! – wywrzeszczał Warden wkładając w swój głos tę nagłą gwałtowność, która zawsze była zaskakująca jak grom z jasnego nieba i którą sobie rozmyślnie wyrobił, odkąd został podoficerem.

– O – powiedziała kobieta. – No tak, oczywiście. Dzień dobry, panie sierżancie.

– Czym mogę służyć pani kapitanowej? – zapytał Warden nie wstając ze stołka.

– A, to pan wie, kto ja jestem?

– Dlaczego miałbym nie wiedzieć? Widuję panią dość często.

Powiódł z wolna spojrzeniem po niej całej, umyślnie otwierając szeroko jasnoniebieskie oczy pod krzaczastymi brwiami i czarną czupryną, wkładając w swój wzrok tajemne, nieokreślone wyzwanie.

– Szukam mojego męża – powiedziała pani Holmes z lekkim naciskiem. Uśmiechnęła się do niego blado i czekała.

Warden patrzył na nią bez uśmiechu i także czekał.

– Czy pan nie wie, gdzie on może być? – spytała wreszcie.

– Nie, proszę pani. Nie wiem – odrzekł Warden i dalej czekał.

– A czy był tu dziś rano? – Pani Holmes wpatrzyła się teraz w niego najzimniejszymi oczami, jakie widział u kobiety.

– O tej porze, pani kapitanowo? – Warden uniósł swe gęste brwi. – Przed ósmą trzydzieści?

Leva pracując przy biurku wyszczerzył zęby.

Kiedy Warden wypowiadał owe surowo przestrzegane w wojsku tytuły

grzecznościowe, miały one zupełnie inne zabarwienie niż te, które chciał nadać im regulamin.

– Mówił, że tutaj przyjdzie – powiedziała pani Holmes.

– Pani kapitanowo – Warden zmienił teraz taktykę i wstał z wylewną grzecznością. – Pan kapitan zwykle tu rzeczywiście przychodzi, wcześniej czy później. Od czasu do czasu czeka go tutaj jakaś robota. Prawdopodobnie zjawi się niedługo. Jeżeli go znajdę, powiem, że pani go szukała. Albo mogę przekazać jakieś polecenie, jeżeli pani sobie *życzy*.

Z uśmiechem podniósł klapę kontuaru i nagle znalazł się przy pani Holmes w ciasnej przestrzeni poza nim. Mimowolnie cofnęła się na galeryjkę. Warden podążył za nią, nie zwracając uwagi na szczerzącego zęby Lewę.

– Miał mi załatwić różne sprawunki – powiedziała pani Holmes. Po raz pierwszy sierżant-szef stał się dla niej czymś więcej niż martwym rekwizytem w melodramacie życia jej męża. To ją zbiło z tropu.

Mały chłopczyk nadal próbował podciągnąć się na poręczy sięgającej mu ledwie do pasa.

– Synku! – krzyknęła pani Holmes. – Przestań w tej chwili! Wracaj do samochodu! Myślałam – zwróciła się do Wardena normalnym tonem – że może coś zakupił i zostawił tu dla mnie.

Warden uśmiechnął się szeroko. Nigdy by nie użyła słowa „zakupił”, gdyby jej nie był spieszył. Widział, jak jej oczy z lekka zmętniały, kiedy zrozumiała sens tego uśmiechu. Jednakże zaraz skupiły się znowu; próbowała zmusić go spojrzeniem do opuszczenia wzroku. Doszedł do wniosku, że ta kobieta ma nerw.

Karen Holmes spostrzegła nagle przekorne ściągnięcie brwi na jego szerokiej twarzy, jak u chłopaka, który komuś spletał figła. Zauważyła podwinięte rękawy, odsłaniające czarne, jedwabiste włosy na mocnych przegubach i muskularnych przedramionach. Pod obcisłą koszulą sploty mięśni wydymały mu się na ramionach i grały pod skórą, gdy się poruszał. Tych rzeczy też nigdy dotąd w nim nie zauważyła.

– Pani kapitanowo – powiedział uprzejmie, jednocześnie pojmując, że ona to sobie uświadomiła, z coraz szerszym uśmiechem, od którego oczy przymrużały mu się nadając twarzy wyraz chytryści. – Możemy zajrzeć do kancelarii, czy nie ma tam czegoś dla pani. Możliwe, że pan kapitan tam był i wyszedł, kiedy pracowałem w magazynie. Weszła za nim do kancelarii, choć dopiero co tam była.

– Ano – powiedział ze zdziwieniem. – Nic nie ma.

– Ciekawa jestem, gdzie on może być – rzekła z irytacją, na wpół do siebie. Na wzmiankę o mężu ostra, nieprzyjemna zmarszczka przecięła jej czoło dwiema bliźniaczymi kreskami ponad nosem.

Warden rozmyślnie czekał, wyliczywszy sobie dokładnie czas. Potem jej to podsunął:

– Proszę pani, o ile znam pana kapitana, to pewnie jest już z pułkownikiem Delbertem w Klubie, żeby sobie łyknąć coś mocniejszego i podyskutować o problemie służących.

Pani Holmes z wolna obróciła na niego swe zimne oczy, jakby był preparatem pod mikroskopem. To jej badawcze spojrzenie nie chciało nic wiedzieć o mężowskich bibkach urządzanych w Klubie przez pułkownika Delberta ani o jego zamiłowaniu do tubylczych dziewczyn. Jednakże obserwującemu ją Wardenowi wydało się, że dostrzega nikły błysk nieledwie rozbawienia w jej oczach.

– Bardzo panu dziękuję za fatygę, sierżancie – powiedziała chłodno, z wielkiego dystansu. Odwróciła się i wyszła.

– Proszę bardzo, pani kapitanowo – zawołał za nią wesoło. – Każdej chwili do usług. Każdej chwili.

Wyszedł na galeryjkę, żeby popatrzeć, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Pomimo jej wysiłków mignął mu długi, gładki błysk uda; uśmiechnął się.

Leva wciąż siedział przy biurku, kiedy Warden wrócił do magazynu.

– Byłeś ostatnio u „cioci” Kipfer, Milt? – wyszczerzył zęby.

– Nie – odparł Warden. – Nie byłem. Co słyhać u tej kochanej paniusi?

– Ma dwie nowe dziewczynki prościutko ze Stanów. Jedną rudą, a drugą brunetkę. To cię interesuje?

– Nie – odrzekł Warden. – Wcale.

– Wcale? – uśmiechnął się Leva. – Myślałem, że może będziesz chciał wybrać się ze mną dziś wieczorem. Że będziesz w nastroju.

– Idź do cholery, Niccolo. Jak będę musiał za to płacić, to w ogóle dam spokój.

Leva roześmiał się przez nos, wydając odgłos podobny do bulgotu rury wydechowej diesla.

– Ano, tak sobie tylko myślałem – powiedział. – Człowieku, ale ta Holmesowa to niezła.

– Co niezła?

– Niezła babka.

– Widziałem lepsze – powiedział Warden obojętnie.

– Ciekawe, dlaczego ktoś chce latać za tymi dziewczynkami Kanaka, kiedy ma w domu coś takiego, i to z łóżkiem.

– Bo ona zimna – odparł Warden. – Zimna jak lód.

– Tak? – powiedział drwiąco Leva. – Pewnie masz rację. Widać dlatego przykrzy się tym wszystkim facetom. W każdym razie jeszcze nie widziałem takiej dupki, która byłaby

warta dwudziestu lat kryminału.

– Ja też nie – powiedział Warden.

– Gość, który się z taką podbawia, jest frajer, że ryzykuje poparzenie palców; to oficerska żona.

– Słusznie – rzekł Warden. – Jakby ją z tobą przyłapali, wystarczyłoby jej krzyknąć, że ją gwałcisz, i już byś był zrobiony na szaro.

Patrzył przez drzwi na dziedziniec, gdzie kompania mozoliła się nad musztrą. Przez bramę wjazdową w południowo-wschodnim rogu widać było frontową połowę domu Holmesa z dwoma oknami w ścianie bocznej. Te boczne okna były od sypialni. Warden był tam raz, kiedy Holmes zmieniał mundur, a on musiał mu przynieść papiery do podpisania. Patrząc tak zobaczył zatrzymujący się przed domem samochód i Karen Holmes, która wysiadłszy wchodziła na ganek, smukłonoga, gładka i czysta pod spódnicą, i przypomniał sobie, jak tam wyglądało jedno z bliźniaczych łóżek, ze stojącymi pod nim kobiecymi pantoflami.

– Zabierajmy się do tej roboty – napomniał Levę. – Ten przeniesiony ma przyjść o wpół do dziesiątej. Poza tym o wpół do dziewiątej miałem mieć z Holmesem i jednym z tych przeklętych narzekających kucharzy konferencję, która, ponieważ Holmes jeszcze się nie pokazał, zacznie się pewnie o wpół do dziesiątej i potrwa do jedenastej. Nie zdążę załatwić tego przeniesionego do południa. Więc jeżeli chcesz, żeby ci pomóc, to lepiej zasuważmy.

– Okej, szefie – wyszczerzył do niego zęby Leva. – Co szef rozkaże.

– I pamiętaj, co powiedział *monsje* O'Hayer: że masz w ciągu dnia uporządkować ten bałagan.

– Całuj psa w nos – rzekł Leva.

– Pies cię trącał – odpowiedział Milt. – Bierzmy się do roboty.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Milt Warden, siedząc w kancelarii kompanii, usłyszał kroki Prewitta zbliżające się po betonie galeryjki parterowej. Konferencja z narzekającym kucharzem, która zaczęła się z opóźnieniem, wciąż jeszcze trwała, ale ponad nią dosłyszał odgłos kroków nowo przeniesionego i rozpoznał je owym odbiornikiem bocznego zasięgu swojego mózgu, nigdy nie biorącym udziału w tym, co robił w danej chwili.

Monotonny szmer głosów dobiegł do Prewitta na galeryjce, usiadł więc na jednym ze stołków i oparł się plecami o ścianę, gotów czekać, dotykając palcami spoczywającego w kieszeni ustnika od trąbki, który był jego własny i który zawsze nosił ze sobą. Kupił go jeszcze w Myer za wygraną w kości i był to ten sam ustnik, którym grał capstrzyk na Arlingtonie. Kiedy go teraz wyjął i zajrzał w jego rubinowy kielich, stanął mu przed oczami tamten dzień, tak jakby ustnik był kryształową kulą. Sam prezydent tam był, z całym swym otoczeniem i przybocznymi strażnikami, wsparty na ramieniu jednego z nich. Jakiś trębacz-Murzyn trąbił echo capstrzyku, który Prew grał na trybunie. Murzyn był lepszym trębaczem, ale ponieważ nie był biały, więc go postawiono na wzgórzu, ażeby grał echo. A powinien był to robić on, Prewitt. Myśląc o tym schował na powrót do kieszeni swoje чудо, skrzyżował ręce na piersiach i czekał.

Z magazynu kompanii G dochodziło spazmatyczne stukotanie maszyny do pisania, a przed siatkowymi drzwiami kuchni siedział w słońcu żołnierz z obsługi kuchennej obierając ziemniaki i przerywając raz po raz robotę, ażeby oganiać się od much, które brzęczały mu nad głową. Prew przyjrzał mu się czując wokoło siebie tę słoneczną, brzęczącą drętwotę, która jest godziną wpół do dziesiątej rano w dzień służby.

– Cudowny dzień, co? – odezwał się do niego żołnierz z obsługi kuchennej, drobny, kędzierzawy Włoch o wąskich, kościstych ramionach sterczących z podkoszulka. Łypnąwszy spoje łba nadział zaciekle na nóż następny ziemniak i wy dobył go tryumfalnie, niczym złowioną rybę, z brudnej wody kotła.

– Aha – odrzekł Prew.

– Świetny sposób spędzania czasu – powiedział tamten pokazując nadziany ziemniak, zanim się wziął do obierania. – Dobry na umysł. Wy jesteście ten nowo przeniesiony?

– Jakbyś zgadł – odrzekł Prew, który nigdy nie lubił Włochów.

– Ha – powiedział tamten. – Toś sobie wybrał cholerny oddział na przeniesienie, przyjacielu, szkoda gadać.

Obierając automatycznie ziemniak poskrobał się bezwłosą brodą po nagim ramieniu.

– Ja go sobie nie wybierałem.

– Chyba żeście przypadkiem sportowiec – rzekł tamten nie zwracając uwagi na odpowiedź. – Wszystko jedno jaki sportowiec, byle sportowiec, chociaż najlepiej bokser. Jeżeli jesteście bokserem, toście wybrali sobie właściwe miejsce i za sześć dni będę wam salutował jako kapralowi.

– Nie jestem sportowcem – powiedział Prew.

– To wam współczuję, przyjacielu – odrzekł z zapalem tamten. – Krótka mowa: współczuję. Nazywam się Maggio i, jak widzicie, też nie jestem sportowiec. Ale za to obieracz kartofli. Cholernie błyskawiczny obieracz. Najlepszy w całych koszarach Schofield. Na medal.

– Z której części Brooklynu pochodzicie? – uśmiechnął się Prew. Ciemne, bystre oczy pod gęstymi brwiami rozbłysły, jak gdyby Prew zapalił świece w mrocznej katedrze.

– Atlantic Avenue. Wy znacie Brooklyn?

– Nie. Nigdy tam nie byłem. Ale w Myer miałem kumpla z Brooklynu. Świece zgasły.

– A – powiedział Maggio. A potem z miną człowieka, który nie ma już nic do stracenia, zapytał ostrożnie: – Jak się nazywał?

– Smith – odrzekł Prew. – Jimmy Smith.

– Jezus, Maria! – zawołał Maggio i przeżegnał się patentowanym nożem do obierania kartofli. – Smith, ni mniej, ni więcej. Pocałuję was w dupę w oknie wystawowym u Macy'ego w samo sobotnie południe, jeżeli kiedy słyshałem o jakimś Smithie w Brooklynie.

Prew roześmiał się.

– Tak się nazywał.

– Taaa? – rzekł Maggio łypiąc za nowym ziemniakiem. – To fajnie. A ja znałem raz *Żyda*, co się nazywał Hozenduft. Myślałem, że znacie Brooklyn. – Pogrążył się w milczeniu, mruczając: – Jimmy Smith. Z Brooklynu. Niech mnie krew zaleje.

Prew z uśmiechem zapalił papierosa słuchając szmeru głosów w kancelarii kompanii, który podniósł się nagle o oktawę.

– Słyszycie? – spytał Maggio wskazując nożem okno. – Na to się narażacie przyjacielu. Jeżeli macie olej w głowie, zróbcie w tył zwrot i chodu.

– Nie mogę – odrzekł Prew. – Zostałem przeniesiony na własną prośbę.

– Aha – powiedział roztropnie Maggio. – Jeszcze jeden frajer. Jak ja. Ano, przyjacielu, współczuję wam – dodał gorzko – ale cóż mogę dla was zrobić.

– Co tam się dzieje?

– A, normalnie. Jak zwykle. Warden i „Dynamit” dają w dupę Willardowi. Nic

niezwykłego. Willard akurat ma dzisiaj zmianę. Jak z nim skończą, odegra się na mnie. Willard to ostatni bałwan, w żadnym innym oddziale nie nadawałby się nawet do służby kuchennej. A u nas jest pierwszym kucharzem, bo nie mogą nigdzie znaleźć kucharzy, którzy by się tu przenieśli. To dlatego, że Preem przez cały czas tylko wyleguje się na swoim pierdziworze z brzuchem pełnym ekstraktu waniliowego.

– Z tego wynika, że to wspaniały oddział na przeniesienie – powiedział Prew.

– No pewnie – łypnął na niego Maggio. – Pokochasz go, kochany, po prostu pokochasz. Szczególnie jeżeli jesteś sportowiec. Mnie sześć tygodni temu skończył się okres rekrucki, a już bym dał nie wiem co, żeby być z powrotem ekspedytorem w domu towarowym Gimbela. – Potrzęsnał żałośnie głową. – Gdyby mi ktoś to powiedział pół roku temu, kazałbym mu wsadzić to sobie wiadomo gdzie.

Wetknął rękę do kotła i wyłowił ostatni kartofel.

– Nie zwracaj na mnie uwagi, kochany. Jestem rozgoryczony. Czego mi trzeba, to małej wycieczki do pani Kipfer. Wtedy się uspokoję na następny tydzień. – Westchnął. – Może gracie w karty? – zapytał nagle. – Lubicie potrząsnąć sobie kośćmi? Pokerek? „Oko”? Dwadzieścia jeden? Może kości? Co wam się spodoba.

– Mówicie jak naganiacz do szopy O'Hayera – uśmiechnął się Prew. – Jasne, lubię to wszystko.

– Aha, byłem nim przez jakiś czas, ale tam są za długie godziny urzędowania – powiedział Maggio. – Macie forszę?

– Trochę – odrzekł Prew.

– To się spotkamy dziś wieczorem – powiedział Maggio, a ciemne oczy mu zabłyśły. – Urządzimy sobie małą prywatną partyjkę. To znaczy, jeżeli znajdę tego typka z kompanii F, który mi jest winien trzy dolary.

– We dwóch nie można tyle wygrać, ile trzeba – rzekł Prew.

– I owszem, można – odpowiedział Maggio. – Jeżeli człowiek jest bez forsy, a potrzebuje kawałka dupy. – Przyjrzał się świeżym, ciemniejszym miejscom na rękawach Prewitta, gdzie przedtem były naszywki. – Zaczekaj, aż będziesz pobierał swoje dwadzieścia jeden miesięcznie, bracie.

Wstał, przeciągnął się i poskrobał w skołtunioną czuprynę.

– Pozwólcie, że wam coś powiem, przyjacielu. Tutaj jest wojna. I mogę wam z góry powiedzieć, kto wygra to draństwo. Jeżeli macie łeb na karku, wyuczcie się, i to szybko, jakiegoś sportu, i będzie wam się fajnie żyło, o ile chcecie być dobrym żołnierzem. Gdybym nie był frajer, wstąpiłbym za młodu do katolickiej organizacji młodzieżowej i też się wyuczył jakiegoś sportu. Wtedy byłbym na dobrej liście u „Dynamita”, a nie na gówiennej. Gdybym

był tylko posłuchał mojej drogiej świętej matki. Cholera z tymi kartoflami! – powiedział i mrucząc coś na temat nowej porcji ziemniaków zniknął w kuchni, pokręcony, zawiedziony karzeł, którego podstępnie pozbawiono Walhalli.

Prew rzucił papierosa do pomalowanego na czerwono i czarno kubelka i poszedł korytarzem, mijając kancelarię, do świetlicy. Sprzątający, który wymigał się od ćwiczeń, siedział na jednym z nadzartych przez mole wyściełanych foteli i przeglądał ze znużeniem zeszyt komiksów, trzymając między kolanami wiecheć do odkurzania. Nie zadał sobie nawet trudu, by podnieść głowę.

Prew wycofał się ze świetlicy, czując się tu bardzo obco, i przystanął patrząc na stół do bilardu ustawiony w mrocznej niszy. Czuł namacalnie te nowe siły, które już tu zaczęły na niego oddziaływać. Myśląc o małym Maggiu i domu towarowym Gimbela, uśmiechnął się, zapali! światło, wybrał kij, natarł go kredą i wyrzucił bile na stół.

Jędry stukot kuł bilardowych w ciężkiej ciszy przedpołudnia, kiedy kompania wyszła na ćwiczenia, zwabił do drzwi korytarza człowieka, który wetknął głowę do środka. Poznał Prewitta i dotknął palcami cienkiego, nastroszonego wąsika, a jego wygięte mefistofelicznie brwi zadrgały jak nos psa, który zwiertzył nowy trop. Podszedł lekko i cicho na palcach, stanął za łokciem Prewitta i raptem ryknął w tej ciszy przerywanej jedynie stukotem kuł bilardowych.

– Co wy tu robicie, psiakrew? – wrzasnął z oburzeniem. – Dlaczego nie jesteście z kompanią? Wasze nazwisko?

Prew nie drgnął na ten ryk. Z wolna obrócił głowę pochyloną nad kijem bilardowym.

– Prewitt. Przeniesiony z kompanii A – powiedział. – Wy mnie znacie, Warden.

Wysoki mężczyzna umilkł, a jego nagłe, zaskakujące oburzenie zniknęło tak samo nagle i zaskakująco, jak przyszło; przesunął palcami po zmierzwionych włosach.

– Aha – powiedział szczerząc chytrze zęby, po czym równie raptownie przestał się uśmiechać. – Do starego?

– O to idzie – powiedział Prew strzelając następne bile.

– Pamiętam – rzekł posepnie Warden. – Mały trębaczek... Zawołam was.

Zniknął, zanim Prew zdążył odpowiedzieć.

Prew dalej zabawiał się bilardem myśląc, jakie to było typowe dla Wardena, że mu nie kazał przerwać; każdy inny sierżant-szef tak by zrobił, ale to nie było w stylu Wardena. Strzelał metodycznie jedną bilę po drugiej chybiając tylko raz. Gdy już nie było żadnej na stole, zebrał bile i odstawił kij myśląc, jakie to stało się nudne. Przez chwilę patrzył na stół, potem zgasił światło i wyszedł na galerijkę.

W kancelarii nadal padały ostre słowa. Maggio ciągle obierał w skupieniu ziemniaki.

Z kuchni dolatywały wilgotne odgłosy przestawiania garnków i patelni. W magazynie ustał nierówny stukot maszyny do pisania. Prewittowi wydało się, że jest zawieszony w próżni wśród jakiejś bezcielesnej aktywności, w której nie bierze udziału, podczas gdy wokół niego toczy się nieubłagane i ociążałe dzieło kompanii G, obojętny na to przeniesienie tak niezmiernie ważne w jego życiu. Doznał wrażenia, że znalazł się na jakiejś wyniosłości, gdzie spotykają się wszystkie szosy i stoją drogowskazy we wszystkich kierunkach i gdzie migają różnobarwne tabliczki z numerami aut, a nikt go nie zauważa i nie chce się zatrzymać, aby go zabrać.

Ukazał się kucharz w bieli, z zaczerwienioną jeszcze twarzą. Wszedł do kuchni i trzasnął drzwiami, uprzednio powiedziawszy Maggiowi, żeby zabiera! się do cholery z drogi ze swoim cholernym kotłem kartofli – i dla Prewa znowu zaczęło się coś dziać.

– A nie mówiłem? – mrugnął do niego Maggio.

Prew uśmiechnął się, pstryknięciem odrzucił papierosa i wydmuchnął dym patrząc, jak unosi się w słońcu, w którym nagle stawał się namacalny, widoczny we wszystkich swych nieskończonych spiralach. „Taka właśnie jest kompania G” – pomyślał; zwodniczo prosta, a jednak w świetle pełna utajonych zawiłych skrętów, niezbadanych treści, w które się teraz zaplątał.

Zanim papieros doleciał do ziemi, Warden wrzasnął przez okno:

– Wejść, Prewitt!

Prew z niechętnym uznaniem pomyślał, że go doskonale wyczuto. Skądże Warden mógł wiedzieć, że wyszedł ze świetlicy? Warden miał niesamowitą, sardoniczną intuicję, która graniczyła z czymś nadprzyrodzonym.

Prew zawiesił kapelusz na ramieniu, przesunąwszy rękę przez pasek, żeby mu go ktoś nie ukradł, kiedy będzie tam, w środku, i wszedł.

– Szeregowiec Prewitt melduje się według rozkazu u dowódcy kompanii – wypowiedział formułę, a wszystko, co w nim było ludzkiego, odpadło pozostawiając jedynie łupinę bez miąższu i soku.

Kapitan „Dynamit” Holmes, ulubieniec hawajskich miłośników sportu, surowo obrócił ku stojącemu przed nim człowiekowi podłużną twarz o wysokim czole, wystających kościach policzkowych i włosach zaczesanych na zaczynającą się łysinę, i wziął rozkaz specjalny zapowiadający przeniesienie nie patrząc nawet na papier.

– Spocznij – powiedział.

Jego biurko stało naprzeciwko drzwi, a pod prostym kątem do niego znajdowało się biurko sierżanta-szefa, przy którym siedział Milt Warden, oparty o blat łokciami. Prew wysuwając naprzód lewą stopę i zakładając ręce za plecy rzucił mu szybkie spojrzenie.

Warden odwzajemnił mu je, na wpeł z uciechą, na wpeł z obawą, wydawał się być gotów i tylko czekać na sposobność.

Kapitan Holmes przekręcił w prawo swój obrotowy fotel i chwilę patrzył srogo przez okno, prezentując Prewittowi profilowy widok sterczącej szczęki, zaciętych ust i ostrego władczego nosa. Potem nagle okręcił się ze skrzypieniem fotela na powrót i zaczął mówić.

– Zawsze mam zasadę rozmawiać z moimi nowymi ludźmi, Prewitt – powiedział surowo. – Nie wiem, do czego przywykliście w oddziale trębaczy, ale moja kompania pracuje regulaminowo. Każdego opornego się łamie – szybko i twardo. Dla opornych jest Obóz Karny, dopóki nie nauczą się być żołnierzami.

Przerwał, popatrzył ostro na Prewitta i skrzyżował nogi w wysokich butach, których ostrogi zabrzęczały, jakby na podkreślenie tego ostrzeżenia.

Kapitan Holmes rozgrzewał się do dalszej przemowy. „Oto – mówiła do Prewa ta długokoścista, orla twarz – jest żołnierz, który nie boi się przemawiać do swoich ludzi ich własnym językiem, który nie cacka się ze słowami i który rozumie swych podkomendnych.”

– Mam cholernie fajną, gładko pracującą kompanię. Nie pozwalam, żeby ją cokolwiek spieprzyło. Ale jeżeli ktoś wykonuje swoją robotę, zachowując się bez zarzutu i robi to, co mu każę, da sobie radę. Tutaj jest masa okazji do awansu, bo w tej jednostce nie ma faworytyzmu. Uważam za swój obowiązek dopilnować, żeby każdy żołnierz dostał to, na co zasługuje. Ani mniej, ani więcej. Zaczynacie z czystą tabliczką, Prewitt. Co na niej wypiszecie, to już wasza *rzecz*. Zrozumiano?

– Tak jest, panie kapitanie – powiedział Prew.

– Dobra – odrzekł kapitan Holmes i surowo kiwnął głową.

Milt Warden bacznie śledził znad swego biurka przebieg tej rozmowy, która nie była dla niego nowością. „Srajcie, zawołał król – pomyślał – a dwadzieścia tysięcy królewskich poddanych przykucnęło i zaczęło się nadymać, bo w owych czasach słowo królewskie było prawem!” Z niewzruszoną twarzą uśmiechnął się do Prewa samymi oczami, z których wyjrzał szatańsko uradowany chochlik.

– Na to, żeby dostać stopień w mojej kompanii – mówił srogo kapitan Holmes – każdy musi znać się na swojej robocie. Musi być żołnierzem. Musi mi pokazać, że jest chłop z pieprzem. – Ostro podniósł wzrok.

– Zrozumiano?

– Tak jest, panie kapitanie – powiedział Prew.

– Dobra – rzekł kapitan Holmes. – Zrozumiano. Dla oficera i jego ludzi zawsze jest ważne rozumieć się nawzajem. – Potem odsunął fotel i uśmiechnął się miło do Prewa. – Cieszę się, że mam was na pokładzie, Prewitt, jak mówią nasi koledzy z marynarki –

powiedział z uśmiechem.

– W mojej kompanii zawsze przyda się dobry żołnierz i cieszę się, że mam was u siebie.

– Dziękuję, panie kapitanie – rzekł Prew.

– Chcielibyście zostać chwilowo moim kompanijnym trębaczem? – Holmes przerwał, żeby zapalić papierosa. – Zeszłego roku widziałem na stadionie waszą walkę z tym Connorem z ósemki. Pierwszorzędna robota. Pierwszorzędna. Przy odrobinie szczęścia bylibyście wygrali. Podczas drugiej rundy przez chwilę już myślałem, że go znokautujecie.

– Dziękuję panie kapitanie – powiedział Prew.

Kapitan Holmes mówił teraz prawie wesoło. „Zaraz się zacnie – myślał Prew. – Ano, bracie, sam tego chciałeś, teraz kombinuj. Kombinuj sam – pomyślał. – A jeszcze lepiej pozwól kombinować jemu.”

– Gdybym wiedział, że byliście w pułku w grudniu zeszłego roku, kiedy zaczął się sezon, byłbym was odszukał – uśmiechnął się Holmes.

Prew milczał. Po swojej lewej ręce wyczuwał, choć nie słyszał, Wardena, który prychnął cicho z niesmakiem i zabrał się do przeglądania stosu papierów z wystudiowaną miną trzeźwego człowieka, który nie chce mieć nic wspólnego z poczynaniami pijanego przyjaciela.

– Przyda mi się dobry trębacz, Prewitt – uśmiechnął się Holmes. – Mój obecny trębacz kompanijny nie ma doświadczenia. A jego uczeń dostał swoją funkcję tylko dlatego, że jest taką ofertą, że bałem się, by kogoś nie postrzelił. – Roześmiał się i popatrzał na Prewa zachęcając go, by się doń przyłączył.

Milt Warden, który właśnie był tym, kto zaproponował Salvatora Clarka na ucznia trębacza, kiedy Clark o mało nie zastrzelił się na warcie, dalej przeglądał papiery, ale brwi mu zadrgały.

– Do tej funkcji jest przywiązany stopień starszego szeregowca – powiedział Holmes Prewittowi. – Sierżant Warden jutro z samego rana ogłosi to w rozkazie.

Odczekał chwilę, ale Prew nic nie mówił, tylko przypatrywał się suchemu, ironicznemu blaskowi słońca wpadającego przez otwarte okno; zastanawiał się, ile czasu będzie mu trzeba, żeby się pozbierać, i czuł, jak jego mundur, tak świeży o ósmej rano, staje się wilgotny i lepki od przesycającego go potu.

– Zdaję sobie sprawę, że starszy szeregowiec to niewiele – uśmiechnął się pobłaźliwie Holmes – ale wszystkie nasze etaty podoficerskie są już obsadzone. Jednakże mamy dwóch podoficerów krótkoterminowych – powiedział. – Odplywają do kraju w przyszłym miesiącu. Szkoda, że jest już prawie po sezonie, bo moglibyście zacząć trenować choćby dziś po

południu, cóż, kiedy program kończy się ostatniego dnia lutego. No, ale – uśmiechnął się – jeżeli nawet nie będziecie walczyć tego roku w mistrzostwach pułkowych, to na jesieni możecie stanąć do kompanijnych. Widzieliście w tym roku któregoś z naszych chłopców na stadionie? – zapytał. – Mamy paru dobrych, jestem pewien, że zachowamy nagrodę. Chciałbym usłyszeć wasze zdanie o paru z nich.

– W tym roku nie byłem na żadnym meczu bokserskim, panie kapitanie – powiedział Prew.

– Co takiego? – zapytał Holmes nie mogąc w to uwierzyć. – Nie byliście? – Przez chwilę przypatrywał się ciekawie Prewowi, a potem spojrzał porozumiewawczo na Wardena. Wziął z biurka świeżo zaostrzony ołówek i przyjrzał mu się z uwagą. – Jak to się stało – zapytał łagodnie – że byliście w pułku przez cały rok, a nikt nic o tym nie wiedział? Spodziewałbym się, że zajrzycie do mnie, skoro jestem instruktorem bokserskim, a nasza kompania ma mistrzostwo dywizji.

Prew przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą i nabrał głębokiego tchu.

– Obawiam się, że pan kapitan zechce wziąć mnie do reprezentacji – powiedział. „No, już – pomyślał. – Powiedziałaś mu, już się stało. Teraz niech on łapie piłkę.” Poczul ulgę.

– Jasne – powiedział Holmes. – Bo i dlaczego nie? Potrzebny nam jest taki fajny chłop jak wy. Zwłaszcza że macie wagę półśrednią, a u nas to kuleje. Jeżeli w tym roku stracimy mistrzostwo, to dlatego że przegraliśmy w wadze półśredniej.

– A ja wyszedłem z dwudziestki siódemki dlatego, że rzuciłem boks, panie kapitanie – powiedział Prew.

Holmes znów spojrzał porozumiewawczo na Wardena, tym razem z przeproszającą miną, jak gdyby mówił, że teraz może uwierzyć, bo usłyszał to z ust samego zainteresowanego. Potem rzekł:

– Rzuciliście boks? Dlaczego?

– Może pan kapitan słyszał, co się stało z Dixie Wellesem – odparł Prew słysząc, jak Warden składa papiery, i czując, że się uśmiecha.

Holmes popatrzał na niego niewinnie, szeroko otwartymi oczami.

– Nie, skąd – odpowiedział. – A co takiego?

Prew opowiedział całą historię Holmesowi, im obydwóm, stojąc w rozkroku, jedna stopa o stopę od drugiej, z rękami założonymi w tył, przez cały czas czując, że wszystko, co mówi, jest zbędne, że tamci dwaj wiedzą, co się stało, a jednak zmuszony odgrywać rolę, którą Holmes mu narzucił.

– To bardzo przykre – powiedział Holmes, kiedy skończył. – Rozumiem, że możecie mieć takie nastawienie. Ale te rzeczy *zdarzają* się w tym sporcie. Człowiek musi liczyć się z

taką możliwością, kiedy walczy.

– To jeden z powodów, dla których postanowiłem rzucić boks, panie kapitanie – rzekł Prewitt.

– Ale z drugiej strony – powiedział Holmes już o wiele mniej ciepło – spojrzycie na to z innego punktu widzenia. Co by było, gdyby wszyscy bokserzy tak myśleli?

– Nie myślą, panie kapitanie – odparł Prew.

– Ja wiem – powiedział Holmes jeszcze chłodniej. – Ale co mamy zrobić, waszym zdaniem? Wyrzec się naszego programu bokserkiego, bo jednemu coś się stało?

– Nie, panie kapitanie – odrzekł Prew. – Ja wcale nie mówiłem...

– Można równie dobrze powiedzieć – ciągnął Holmes – że trzeba przerwać wojnę, bo jednego człowieka zabito. Nasze zawody bokserkie są najlepszą podbudową morale wojska, jaką tu mamy z daleka od kraju.

– Nie mówię, żeby się tego wyrzekać, panie kapitanie – powiedział Prew i poczuł całą absurdalność tego, do czego został zmuszony. – Ale nie widzę powodu – ciągnął z uporem – żeby ktoś musiał walczyć, jeżeli nie ma ochoty.

Holmes przypatrywał mu się oczami, które stały się dziwnie bez wyrazu i były coraz zimniejsze.

– I dlatego wystąpiliście z dwudziestki siódemki?

– Tak jest. Bo chcieli mnie tam zmusić do walczenia.

– Rozumiem. – Kapitan Holmes jakby raptem stracił zainteresowanie tą rozmową. Spojrzał na zegarek i nagle przypomniał sobie, że o wpół do pierwszej umówił się na przejażdżkę konną z żoną majora Thompsona. Wstał i wziął kapelusz ze stosu papierów leżących na biurku.

Był to piękny kapelusz, miękki, kosztowny, nie usztywniony stetson z rondem opuszczonym z przodu i z tyłu, z czterema wgnieceniami na denku zbiegającymi się w ostry czubek, z szerokim kawaleryjskim paskiem do zakładania pod brodę zamiast przepisowego dla piechoty wąskiego paska, który zakładało się z tyłu głowy. Obok kapelusza leżała szpicruta, z którą Holmes nigdy się nie rozstawał. Wziął ją także. Nie zawsze był piechociarzem.

– Ano – rzekł prawie bez zainteresowania – w regulaminie nie jest nic powiedziane o tym, że ktoś musi być bokserem, kiedy nie chce. Przekonacie się, że tu nie będziemy na was wywierali żadnego nacisku tak jak w dwudziestce siódemce. Nie jestem zwolennikiem takich rzeczy. Jeżeli nie chcecie walczyć, to was nie potrzebujemy w naszej drużynie.

Ruszył do drzwi, po czym obrócił się raptownie.

– A dlaczego wyście wystąpili z oddziału trębaczy?

– To była sprawa osobista, panie kapitanie – odrzekł Prew szukając ochrony w tabu, które powiada, że osobiste sprawy każdego, nawet szeregowca, obchodzą tylko jego samego.

– Ale przecież zostaliście przeniesieni na wniosek szefa trębaczy – powiedział Holmes. – Coście tam mieli za przykrości?

– Żadnych przykrości, panie kapitanie – odrzekł Prew. – To była sprawa osobista – powtórzył.

– Aha – powiedział Holmes. – Rozumiem.

Nie wziął pod uwagę ewentualności, że może to być sprawa osobista, teraz popatrzył niepewnie na Wardena, nie bardzo wiedząc, jak z tego wybrnąć, ale Warden, który śledził wszystko z zaciekawieniem, nagle jął obojętnie wpatrywać się w ścianę. Holmes chrząknął, lecz Warden jakby nie słyszał.

– Może pan chce coś dodać, sierżancie? – musiał go w końcu zapytać Holmes.

– Kto, ja? A tak, panie kapitanie – wybuchnął Warden z tą swoją nagłą gwałtownością. Całkiem niespodziewanie popadł w stan ogromnego wzburzenia. Jego brwi wygięły się łukiem jak dwa ogary gotowe skoczyć na królika.

– Jaki stopień mieliście w oddziale trębaczy, Prewitt?

– Starszego szeregowca czwartej klasy – odpowiedział Prew patrząc na niego spokojnie.

Warden spojrział na Holmesa i wymownie podniósł brwi.

– To znaczy – powiedział zdumiony – daliście sobie odebrać stopień po to, żeby się przenieść do kompanii strzelców jako prosty szeregowiec, ponieważ lubicie łązić na piechotę?

– Nie miałem żadnych przykrości – odparł z uporem Prew – jeżeli pan to ma na myśli.

– A może – wyszczerzył zęby Warden – dlatego, że nie mogliście wytrzymać trąbienia?

To była sprawa osobista – powiedział Prew.

– To już musi rozstrzygnąć dowódca kompanii wedle własnego uznania – poprawił się natychmiast Warden. Holmes kiwnął głową, a Warden uśmiechnął się aksamitnie do Prewa. – Więc przenieśliście się nie dlatego, że pan Houston zrobił młodego MacIntosha pierwszym trębaczem? Nad wami?

– Zostałem przeniesiony – odrzekł Prew wpatrując się w niego. – To była sprawa osobista.

Warden odchylił się w krześle i parsknął z cicha:

– Też wielka rzecz, żeby się zaraz przenosić! Dzieciaków mamy teraz w wojsku. Kiedyś nauczycie się, smarkacze, że dobrych funkcji nie znajduje się na ulicy.

W tym elektrycznym antagonizmie, który zapłonął między nimi dwoma i wisiał w

powietrzu ciężko jak ozon, zapomnieli zupełnie o kapitanie Holmesie. Wtrącił się teraz, tak jak miał prawo zrobić.

– Coś mi się zdaje – powiedział obojętnie – że wy dość szybko zyskujecie sobie opinię bolszewika, Prewitt. Bolszewicy do niczego nie dochodzą w wojsku. Przekonacie się, że w tej jednostce zwykła służba jest znacznie cięższa niż w oddziale trębaczy.

– Pełniłem już zwykłą służbę, panie kapitanie – odrzekł Prew. – W piechocie. Nie mam nic przeciwko pełnieniu jej znowu.

„Ty łgarzu – powiedział do siebie. – Cholera tam, nie masz! Jak to się dzieje, że ludzie uczą się kłamać tak gładko?”

– Ano – rzekł Holmes i zrobił pauzę dla większego efektu – wygląda na to, że będziecie mieli po temu okazję. – Nie mówił już jednak żartobliwie. – Nie jesteście rekrutem i powinniście wiedzieć, że w wojsku jednostka się nie liczy. Każdy ma pewne obowiązki do wypełnienia. Obowiązki moralne, które wychodzą poza przepisy regulaminu. Może się zdawać, że ja jestem panem siebie, ale tak nie jest. Choćby się zaszło nie wiem jak wysoko, zawsze jest ktoś nad nami, kto więcej wie od nas. Sierżant Warden zajmie się wami i przydzielili was do drużyny. – Nie było więcej mowy o funkcji trębacza kompanijnego. Holmes obrócił się do Wardena:

– Czy jest dla mnie jeszcze coś do załatwienia, sierżancie?

– Tak jest, panie kapitanie – powiedział energicznie Warden, który przysłuchiwał się tej abstrakcyjnej rozmowie. – Trzeba sprawdzić i przygotować raport finansowy kompanii. Musimy go oddać jutro rano.

– Niech pan to zrobi – odrzekł Holmes nie przejmując się przepisami, które mówiły, że nikt oprócz oficera nie może tykać funduszu kompanijnego. – Proszę to załatwić, a ja wpadnę jutro z samego rana, żeby podpisać. Nie mam czasu grzebać się w szczegółach. To wszystko?

– Nie, panie kapitanie – powiedział Warden gwałtownie.

– Ano, cokolwiek tam jest, niech pan to załatwi. Jeżeli jest coś, co musi wyjść dziś po południu, proszę podpisać moje nazwisko. Dzisiaj już nie wrócę.

Popatrzył gniewnie na Wardena i ruszył do drzwi nie zwracając uwagi na Prewitta.

– Tak jest, panie kapitanie! – huknął Warden. – BaaaCZNOŚĆ! – wrzasnął co sił w płucach w ciasnocie pokoju.

– Spocznij – powiedział Holmes. Dotknął szpicrutą runda kapelusza i zniknął za drzwiami. W chwilę potem jego głos doleciał przez otwarte okno:

– Sierżancie!

– Na rozkaz, panie kapitanie! – ryknął Warden przyskakując do okna.

– Co się dzieje w tej kompanii? Trzeba to uprzątnąć. Proszę popatrzeć tutaj. I tam. I na to miejsce przy śmietniku. Czy to koszary, czy chlew? Ma być zrobiony porządek! Natychmiast!

– Tak jest, panie kapitanie! – wrzasnął Warden. – Maggio! Karla postać Maggio wyskoczyła w podkoszulku przed okno.

– Na rozkaz.

– Maggio – powiedział kapitan Holmes. – Gdzie jest wasza bluza robocza? Lećcie i włożcie ją. Tu nie plaża, cholera jasna!

– Rozkaz, panie kapitanie! Zaraz włożę, panie kapitanie.

– Maggio! – zagrział Warden. – Zebrać resztę obsługi i uprzątnąć teren. Nie słyszeliście, co powiedział dowódca kompanii?

– Okej, szefie – odrzekł z rezygnacją Maggio.

Warden oparł się łokciami o parapet okna i patrzył na szerokie plecy Holmesa sunące między kompanią poderwaną na baczność przez ćwiczącego sierżanta.

– Spocznij! – zagrział Holmes.

Gdy przeszedł, niebiesko ubrane postacie odprężyły się i powróciły do musztry.

– Nieustraszony kawalerzysta – mruknął Warden. – Errol Flynn z pięćdziesięcioma funtami nadwagi. – Podeszedł powoli do biurka i grzmotnął pięścią w swój twardo usztywniony, płaskodenny przydziałowy kapelusz, który wisiał na ścianie. – Skurwysyn, dałby mi szkołę, gdybym powyginał mój kapelusz tak jak on – powiedział i zawrócił do okna.

Holmes wchodził po zewnętrznych schodach do budynku dowództwa, zmierzając do gabinetu pułkownika Delberta. Warden miał swoją teorię oficerów: stopień oficerski zrobiłby drania z samego Chrystusa. A poza tym oni mają człowieka w garści. Palcem nie można ruszyć. Dlatego właśnie są tacy.

Jednakże za schodami dowództwa zerknęło na niego nieśmiało przez bramę wjazdową okno sypialni domu Holmesów. Może właśnie w tej chwili, za tym nieprzeniknionym oknem, ona obnaża leniwie długą, potoczystą mleczość swego ciała, zdejmując z siebie wszystko po kolei, jak na strip-teasie w kabarecie, żeby wziąć kąpiel albo co. A może jest z nią w tej chwili mężczyzna.

Warden poczuł, że pierś wzbiera mu potężnie męskością, jakby rozdał się w nim wielki balon. Zawrócił od okna i usiadł.

Prew czekał stojąc spokojnie przed biurkiem; był wypompowany i bardzo zmęczony, a spod pach ściekał mu jeszcze z wolna pot od wysiłku, jakiego wymagało pokonanie własnego lęku i sprzeciwienie się władzy. Kołnierzyk, świeży o ósmej rano, był teraz wymięty, a koszula przesiąknięta potem na plecach. „Jeszcze tylko trochę tego i będzie po

wszystkim – pomyślał. – Wtedy będziesz mógł się odprężyć.”

Warden wziął z biurka jakiś papier i zaczął go czytać, jak gdyby był sam. Kiedy wreszcie podniósł wzrok, na jego twarzy odmalowało się przykre zaskoczenie, a nawet oburzenie, tak jakby się zastanawiał, jakim sposobem ten człowiek dostał się do kancelarii nie proszony i bez jego wiedzy.

– No? – powiedział Milt Warden. – Czego chcecie, u licha?

Prew patrzył na niego spokojnie bez odpowiedzi, wcale nie zbity z tropu. Przez chwilę obaj milczeli badając się nawzajem, jak dwaj gracze w warcaby taksujący jeden drugiego przed rozpoczęciem gry. Nie było w ich twarzach jawnej niechęci, tylko jakiś zimny, utajony antagonizm. Byli jak dwaj filozofowie zaczynający od tej samej życiowej przesłanki i dochodzący drogą nieodpartych argumentów do diametralnie przeciwnych wniosków. A jednak owe dwa wnioski przypominały bliźniaczych braci z tej samej krwi i ciała i o tym samym dziedzictwie. Warden przerwał milczenie.

– Nic się nie zmieniliście, co, Prewitt? – powiedział sarkastycznie.

– I nie nauczyliście się niczego. Głupcy pchają się tam, gdzie aniołowie boją się zaciągnąć, jak powiedział kiedyś jeden mędrzec. Człowiekowi wystarczy pozostawić wam wolną rękę, a sami założycie sobie stryczek na szyję.

– To znaczy takiemu człowiekowi jak wy – rzekł Prew.

– Nie, nie ja. Ja was lubię.

– Ja też was kocham – odparł Prew, – I wy też nie zmieniliście się wcale.

– Sami zakładacie sobie stryczek na szyję – potrząsną! smutnie słowa Warden. – Właśnie to zrobiliście przed chwilą; chyba o tym wiecie, nie? Kiedyście odrzucili propozycję wstąpienia do drużyny bokserskiej „Dynamita”.

– Myślałem, że nie lubicie zawodników i funkcyjnych – powiedział Prew.

– Nie lubię – odparł Warden. – Ale czy nigdy nie przyszło wam do głowy, że w pewnym sensie ja sam jestem funkcyjnym? Nie pełnię zwykłej służby

– Aha – rzekł Prew. – Myślałem o tym. Dlatego nie mogłem zrozumieć, czemu tak nienawidziliście nas z oddziału trębaczy.

– A bo – wyszczerzył zęby Warden – funkcyjni i zawodnicy robią to samo: uciekają od zwykłej służby. Nie mają w sobie tego, co trzeba, więc urządzają się wygodnie.

– I robią z życia piekło każdemu, komu mogą, tak jak wy.

– Nie – odparł Warden. – Mylicie się. Ja nikomu piekła nie robię. Jestem tylko narzędziem uśmiechniętej Opatrzności. Czasami mnie samemu to nie w smak, ale nie mam rady, choćbym był nie wiem jak cwany

– Wszyscy nie możemy być cwani – powiedział Prew.

– Słusznie – przytaknął Warden. – Nie możemy. A szkoda. Wy jesteście w wojsku jak długo? Pięć lat? Pięć i pół? Już chyba pora, żebyście przestali być niewypierzonym rekrutem i zaczęli się wycwaniać, nie? To znaczy jeśli w ogóle do tego dojdziecie.

– Może wolę nie być cwany.

Warden rozłożył ręce i zaczął zapalać papierosa leniwie, bez pośpiechu.

– Mieliście złote życie jako trębacz – powiedział. – Aleście to rzucili, bo ten pedryl Houston zranił wasze uczucia. A teraz odmawiacie Holmesowi, kiedy chce was wziąć do swojej drużyny boksinerskiej – wycedził

– Trzeba to było przyjąć, Prewitt. Nie spodoba wam się zwykła służba w mojej kompanii.

– Mogę służyć tak samo jak każdy – powiedział Prew. – Zaryzykuję.

– Dobra – rzekł Warden. – I co z tego? Odkąd to, że się jest dobrym żołnierzem, ma coś wspólnego z wojskiem? Myślicie, że będąc dobrym żołnierzem dostaniecie stopień sierżanta w tej jednostce? Po tym, coście przed chwilą narobili? Nie dochrapiecie się nawet starszego szeregowca. Żołnierz waszego typu powinien być zawodnikiem, Prewitt. Wtedy wasze nazwisko byłoby we wszystkich gazetach w Honolulu, a wy bylibyście bohaterem. Bo nigdy nie będziecie prawdziwym żołnierzem. Nigdy a nigdy! Jeżeli zmienicie zdanie i dojdziecie do wniosku, że jednak lepiej boksować się dla „Dynamita”, pamiętajcie o jednym: sportowcy nie rządzą tą kompanią – pomimo Holmesa. To nie jest kompania A, Prewitt. To jest kompania G, w której ja jestem sierżantem-szefem. Ja kieruję tą kompanią, Holmes jest wprowadzić dowódcą, ale jest taki sam jak cała klasa oficerska: głupi dureń, który podpisuje papierki, jeździ konno, nosi ostrogi i chleje jak świnia w świńskim Klubie Oficerskim. Ja jestem tym, który kieruje tą kompanią.

– Taaak? – uśmiechnął się ironicznie Prew. – No, to nie bardzo wam to wychodzi, kolego. Jeżeli wy kierujecie tym oddziałem, to jakim cudem Preem jest szefem kuchni? I jakim cudem O'Hayer jest szefem magazynu, kiedy Leva robi całą robotę? I jak to się dzieje, że prawie każdy podoficer w tej „waszej kompanii” jest bokserem Holmesa? Nie gadajcie mi takich bzdur.

Białka oczu Wardena z wolna poczerwieniały.

– Nie wiesz nawet połowy, chłopcze – wyszczerzył zęby. – Zaczekaj, aż tu trochę pobędziesz. Jest jeszcze dużo rzeczy. Nie znasz Galowicza ani Hendersona, ani sierżanta Dhoma.

Wyjął papierosa z kącika ust i strząsnął go z rozmyślną powolnością nad popielniczką.

– Ale rzecz w tym, że Holmes udławiłby się własną śliną, gdyby mnie tu nie było, żeby mu pędzlować gardło. – Zaciekle rozgniół żarzący się niedopałek i wstał leniwie jak

kot, który się przeciąga. – No, to przynajmniej wiemy, czego się trzymać – powiedział. – Prawda, chłopcze?

– Ja wiem, czego się trzymać – odparł Prew. – Co do was, to nigdy nie mogłem tego wymiarkować. Myślę, że...

Przerwał słysząc czyjeś kroki na korytarzu, bo była to prywatna dyskusja między nim a Wardenem, która żadnej szarży, wysokiej czy niskiej, nie przypadłaby do gustu. Warden uśmiechnął się do niego.

– Siedźcie, siedźcie – powiedział jakiś głos przez drzwi. – Nie wstawajcie dla mnie – dodał, chociaż obaj stali. Po głosie ukazał się mały człowieczek, jeszcze niższy od Prewitta; wszedł drobnymi kroczkami, sztywny jakby kij połączony, ubrany w zgrabny, elegancki, szyty na miarę mundur khaki z odznakami podporucznika. Przystanął ujrawszy Prewitta.

– Ja was nie znam, prawda? – powiedział. – Jak wasze nazwisko?

– Prewitt, panie poruczniku – odrzekł Prew i obejrzał się na Wardena, który uśmiechał się krzywo.

– Prewitt, Prewitt, Prewitt – powtórzył mały człowieczek. – Musicie być nowy, przeniesiony. Bo nie znam tego nazwiska.

– Przeniesiony dziś rano z kompanii A, panie poruczniku – odrzekł Prew.

– Aha – powiedział tamten. – Od razu wiedziałem. Jeżeli nie znam tego nazwiska, to znaczy, że go nie było w kompanii. Strawiłem trzy cholerne tygodnie pocąc się nad listą tej kompanii, żeby móc zwracać się do każdego żołnierza po nazwisku. Mój ojciec zawsze mi mówił, że dobry oficer zna każdego człowieka ze swego oddziału po nazwisku, a jeszcze lepiej po przezwisku. Jakie macie przezwisko?

– Nazywają mnie Prew, panie poruczniku – odpowiedział Prewitt, jeszcze nie mogąc się połapać, oswoić ani przywyknąć do tego szybko paplającego ładunku energii.

– Oczywiście – powiedział mały człowieczek. – Powinienem był się domyślić. Jestem porucznik Culpepper, świeżo z West Point nad Hudsonem, obecnie przydzielony do tej kompanii. Wy jesteście ten nowy bokser, prawda, ten wagi półśredniej? Szkoda, żeście nie przyszli do nas przed zamknięciem sezonu. Cieszę się, że mamy was na pokładzie, Prewitt, cieszę się, że mamy was na pokładzie, jak by powiedział nasz stary i jego koledzy z marynarki.

Porucznik Culpepper zaczął uwijać się po pokoju, rozkładając papiery tu i tam w ich poszczególnych przegródkach.

– Pewnie coś o mnie wiecie – rzekł – jeżeli czytaliście historię pułku. Mój ojciec, a przedtem dziadek, zaczęli karierę w tej kompanii jako podporucznicy i obaj doszli do funkcji dowódców kompanii, a potem i pułku, zanim zostali generałami. Ja krocę ich chlubnym

śladem. Proszę, proszę. Ale, ale – powiedział. – A gdzie moje kije do golfa, sierżancie Warden? Za piętnaście minut mam zagrać partyjkę z córką pułkownika Prescottta, potem obiad, potem znów golf.

– Worek z kijami jest tam, w szafce – odrzekł obojętnie Warden. – Za półką z aktami.

– Aha, tak – powiedział porucznik Culpepper, syn brygadiera Culpeppera, wnuk generała-porucznika Culpeppera, prawnuk podpułkownika Culpeppera, oficera Konfederacji. – Sam wyjmę, sierżancie, niech pan się nie trudzi – rzekł do Wardena, który wcale nie ruszył się z miejsca. – Muszę dziś zrobić swoje osiemnaście dołków. Wieczorem wielkie przyjęcie w Klubie, więc powinienem być w formie.

Wyciągnął worek z kijami do golfa zza zielonej metalowej szafki na akta, zrzucając z rogu stołu stos papierów, których bynajmniej nie podniósł, i pomknął z pokoju równie szybko, jak wszedł, nie mówiąc nic więcej do Prewitta.

Warden z niesmakiem pozbierał papiery i położył je z powrotem na miejsce.

– Chodźcie – powiedział do Prewitta. – Ulokuję was. Mam jeszcze robotę.

Wszedł za biurko Holmesa i stanął przed tablicą składu osobowego kompanii, która wisiała tam z kartonikami zaopatrzonymi w nazwiska wszystkich żołnierzy, podzielonymi na plutony i drużyny i zawieszonymi na wkręcanych haczykach.

– Gdzie wasze rzeczy? – zapytał.

– Jeszcze w kompanii A. Nie chciałem pakować czystych mundurów. Warden uśmiechnął się swym chytrym, swawolnym uśmieszkiem.

– Zawsze ten sam elegancik, co? Nic się nie zmieniliście. Trzeba czegoś więcej niż ubrania, żeby być żołnierzem, Prewitt. Grubo, grubo więcej.

Wyjął z szuflady Holmesa pusty kartonik i wypisał na nim drukowanymi literami nazwisko Prewitta.

– Przed magazynem stoi oparta o ścianę taczanka od cekaemu. Weźcie ją na swoje rzeczy. Zaoszczędzicie sobie czterech czy pięciu nawrotów.

– Okej – powiedział zaskoczony tą uczynnością Prewitt, nie mogąc ukryć zdziwienia.

Warden uśmiechnął się do niego, radując się tym zaskoczeniem.

– Za nic bym nie chciał, żebyś sobie pogniótł te mundury, chłopcze. Nie mogę patrzeć na marnowanie żadnej energii, nawet jeżeli została już raz zmarnowana. Chyba uda się nam przydzielić was do jakiejś dobrej drużyny – uśmiechnął się. – Co byście powiedzieli, gdybym was dał do drużyny „Wodza” Choate'a?

– Co wy chcecie robić? – zapytał Prew. – Bujać mnie? Nie wierzę, żebyście mnie przydzielili do drużyny „Wodza”. Już prędzej do takiej, którą dowodzi któryś z bokserów Holmesa.

– Naprawdę? – Brwi Wardena wygięły się i zadrgały leciutko. Zawiesił kartonik na tablicy pod nazwiskiem kaprała Choate'a.

– O! Widzicie? Jestem prawdopodobnie najlepszym przyjacielem, jakiego w życiu mieliście, a nawet o tym nie wiecie. Chodźmy do magazynu, to pobierzecie rzeczy.

W magazynie kościsty, łysy, wykrzywiony Leva przerwał swą pisaninę, ażeby wydać pościel, prześcieradła, połówkę namiotu, koce, plecak i całą resztę i wziąć od Prewitta podpis na formularzu.

– Jak się masz, Prew – wyszczerzył zęby.

– Jak się masz, Niccolo – odpowiedział Prew. – Wciąż w tym oddziale?

– Przychodzisz do nas na dłużej? – zapytał Leva. – Czy tylko czasowo?

– Pewnie zostanie kawałek czasu – powiedział Warden. Zaprowadził go na górę do sali sypialnej, którą zajmowała drużyna Choate'a, i wskazał mu jedną z prycz.

– Macie czas do pierwszej, żeby się rozłokować – powiedział. – O pierwszej stajecie do służby porządkowej. Tak jak my, zwykli ludzie.

Prew zabrał się do rozkładania rzeczy. Duża sala była pusta i cicha. Jego obcasy stukały donośnie. Sala była za duża na jednego samotnego człowieka, a trzaskanie drzwi jego szafki ściennej wydawało się zbyt głośne i odbijało się głębokim echem po całym pomieszczeniu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kapitan Holmes był zadowolony z siebie wychodząc z kancelarii kompanii. Czuł, że dobrze się spisał z kucharzem Willardem, a zwłaszcza z tym nowym, Prewittem, tym wagi półśredniej z dwudziestki siódemki. Słyszał już przedtem, że Prewitt rzucił boks, ale teraz, po tej rozmowie, był przeświadczony, że się zreflektuje i zmieni decyzję przed latem i sezonem zawodów o mistrzostwo kompanii.

Kapitan Holmes lubił wchodzić na schody budynku dowództwa. Nie wyglądały na betonowe; przypominały stary, szaro i czarno prążkowany marmur. Czas wyszlifował porowaty niegdyś beton, deszcze i ludzkie stopy zaokrągliły ostre kandy, a schody nabrały gładkiego, śliskiego połysku. Kiedy były mokre, odbijała się w nich i utrwałała tęcza, jak obietnica. „Wojsko będzie zawsze” – mówiły do niego te schody.

Ciężki beton i spojone zaprawą cegły ujmowały w pewien kształt pojęcia, w które kapitan Holmes wierzył, i przydawały im realności. Jego ordynans wiernie mu czyścił i glansował raz na dzień buty do konnej jazdy, i to było to samo. Kiedy Holmes podnosił kolejno stopy wchodząc na górę, miękka, elastyczna skóra butów fałdowała się długimi, gładkimi bruzdami, bez żadnych pomarszczeń, które wskazują na kiepską pielęgnację. Raz na dzień – regularnie jak comiesięczny kwit na wypłatę żołdu.

Poczucie spełnienia mąciła mu jednak lekka trema przed spotkaniem z pułkownikiem Delbertem. Nie żeby nie lubił Starego. Ale kiedy ktoś jest od nas wyższy stopniem i trzyma w ręku nasze majorostwo, trzeba naturalnie liczyć się z każdym słowem.

Na środku górnej galeryjki przysadzisty szeregowiec w roboczych drelichach sprawnie wodził po wyblyszczonej podłodze szczotką, nie odrywając jej wcale, za każdym zamachem sięgając od ściany do ściany. Kapitan Holmes automatycznie przystanął czekając, by go przepuścił, ale żołnierz był tak zajęty swoją robotą, że go w ogóle nie zauważył. Ponieważ nie przerywał pracy, więc Holmes, wciąż myśląc o pułkowniku, przeszedł z suchej części podłogi na moką między jednym zamachem a drugim. Szczotka plasnęła go po obcasie, a zaskoczony żołnierz podniósł wzrok i poderwał się na baczność z szeroko rozwartymi, wystraszonymi oczami i szczotką dyndającą w ręce. Popatrzy! na nią przez chwilę niezdecydowanie, podniósł drążek, przystawił go sobie pionowo do prawego boku niczym proporzec i zerknął na Holmesa. Kapitan Holmes rzucił mu pogardliwe spojrzenie, pełne niesmaku wobec takiego panicznego i nierozsądnego strachu przed oficerami, który go zawsze irytował, i milcząc poszedł dalej.

Pułkownik Delbert był w swoim gabinecie. Za wielkim biurkiem i długą połacią

lśniące podłogi, między dwoma wysokimi sztandarami, państwowym i pułkowym, wydawał się zwindniczo drobny. Ale był masywnym mężczyzną, tak masywnym, że jego mały, stalowoszary wąsik zawsze peszył kapitana Holmesa, choćby ten nie wiedzieć jak próbował się opanować. Poza czarnym spanielem, który spał na podłodze, i dwoma krzesłami gabinet był należycie i po żołniersku pusty.

Wszystko zamarło, kiedy Holmes zasalutował zimno i bezosobowo. Zdawało się, że nawet spaniel przestał oddychać. Stary odsalutował z tą samą precyzją i wtedy wszystko się znów ożywiło, a pułkownik się uśmiechnął. Kiedy się uśmiechał, wyglądał naprawdę niemal po ojcowsku.

– No co tam? – powiedział odsuwając się z fotelem i klepnął się oburącz po kolanach.
– Co nowego, he, „Dynamicie”?

Kapitan Holmes odpowiedział mu uśmiechem i wziął sobie spod ściany jedno z krzesel myśląc, jak bardzo by chciał pozbyć się tego śmiesznego skrępowania.

– Panie pułkowniku, jeden z moich dawnych ludzi...

– Nie ma co; marnie wypadliśmy w baseballu zeszłej niedzieli – powiedział pułkownik akcentując każde słowo. – Widział pan ten mecz? Klęska. Kompletna klęska. Dwudziesty pierwszy przejechał po nas, jak chciał. Byłoby jeszcze znacznie gorzej, gdyby nie ten „Wódz” Choate. Najlepszy gracz, jakiego w życiu widziałem. Naprawdę powinno go się przenieść do kompanii obsługi dowództwa i dać mu młodszego sierżanta. – Pułkownik Delbert rozpromienił się, a krótki wąsik wygiął mu się łukiem pośrodku twarzy jak daleki ptak w locie. – Naprawdę zrobiłbym to, gdybyśmy w ogóle mieli jakąś drużynę baseballową, ale nie mamy nikogo poza nim.

Podczas pauzy, która nastąpiła, kapitan Holmes zastanowił się, czy pułkownik zamierza mówić dalej, czy też on sam może teraz powiedzieć to, co chciał. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie poczekać niż przerwać mu, gdyby zaczął mówić znowu.

– W tym roku nic nie zdołaliśmy z baseballlem – ciągnął pułkownik. Holmes uznał, że dobrze zrobił milcząc. – Pańska drużyna bokserska zdobyła jedyne mistrzostwo, jakie mieliśmy przez cały ubiegły rok. Wygląda na to, że i w tym roku zdobędziemy tylko to jedno. Ostanio nieźle się ze mnie nabijano z powodu naszej sportowej sprawności.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Holmes podczas następnej pauzy. – Dziękuję panu pułkownikowi.

– Każdemu żołnierzowi wiadomo – ciągnął pułkownik – że dobre wysportowanie prowadzi do dobrej żołnierki. W tym roku opinia sportowa naszego pułku paskudnie ucierpiała. Nawet miejskie gazety nas obsmarowały. Taka rzecz nigdy nie wychodzi na dobre. Pan, mój chłopcze, jest jedynym jasnym punktem na naszym horyzoncie.

– Dziękuję panu pułkownikowi – powiedział kapitan Holmes starając się odgadnąć, do czego to prowadzi.

Pułkownik przerwał, mądrze przymrużając oczy.

– Myśli pan, że w tym roku znów zdobędziemy to mistrzostwo, kapitanie?

– Cóż, panie pułkowniku – odrzekł Holmes. – Jak dotąd mamy pięćdziesiąt procent szans. Prowadzimy na punkty z dwudziestym siódmym, ale nie na tyle, żeby mieć pewność – dorzucił.

– Więc pan nie myśli, że je zdobędziemy? – zapytał pułkownik Delbert.

– Tego nie powiedziałem, panie pułkowniku.

– Ano – odparł pułkownik – albo pan uważa, że zdobędziemy, albo pan nie uważa, że zdobędziemy. Tak czy nie?

– Tak jest, panie pułkowniku – odrzekł Holmes.

– Więc jak?

– Co? – spytał Holmes. – Aha. Że zdobędziemy, panie pułkowniku.

– To dobrze. Dobrze – powiedział pułkownik. – W ciągu ostatnich dwóch lat poświęcano u nas za mało pracy sportowi.

Kapitan Holmes zastanowił się poważnie.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział. – Ale uważam, że wszyscy my, instruktorzy, robiliśmy, cośmy mogli.

Pułkownik skwapliwie przytaknął.

– Ja też tak uważam. Ale musimy mieć rezultaty. Wyszkolenie bojowe to piękna rzecz, żołnierze potrzebują ćwiczeń, żeby mieć jakieś zajęcie. Ale wiemy, że podczas pokoju właśnie nasz program sportowy zwraca na nas uwagę publiczności. Szczególnie tu, na Wyspach, gdzie nie uprawia się sportów na wielką skalę. Rozmawiałem już z resztą naszych sportowych wodzów z wyjątkiem pana; pański sezon jeszcze się nie skończył. A majora Simmonsa zdejmuję z futbolu.

Pułkownik uśmiechnął się znacząco, a wąsik przemienił się w małego jastrzębia.

– Wyniki. Tylko wyniki się liczą. Oczywiście major poprosił o przeniesienie do kraju – dorzucił.

Kapitan Holmes kiwnął głową myśląc pośpiesznie. To było coś najświeższego. Dzisiejszego. Inaczej słyszałyby o tym. To otwierało wakans na stopniu majora – chyba że kogoś sprowadzili. Oczywiście samo majorostwo nie wakowało, ale funkcja tak, a gdyby ktoś został wyznaczony na funkcję, prawdopodobnie przedstawiono by go i do awansu.

Pułkownik złożył płasko wielkie dłonie na pustkowie biurka.

– No – powiedział. – Więc co pan chciał, „Dynamicie”? Holmes nieomal zapomniał,

po co przyszedł.

– Aha – powiedział. – Chodzi o jednego z moich dawnych ludzi, panie pułkowniku. Przyszedł porozmawiać ze mną tydzień temu. Chciałby przenieść się tutaj, do mnie. Jest w Forcie Kamehameha, w artylerii nadbrzeżnej. Służył ze mną w Bliss. Chciałem zobaczyć się z panem w jego sprawie, żeby mieć pewność, że wszystko pójdzie jak należy. Mały wąsik przebiegłe zatrzepotał skrzydełkami.

– Jeszcze jeden bokser, co? Mamy ich trochę za wielu, ale da się zrobić. Nawet napiszę w tej sprawie do departamentu.

Kapitan Holmes pochylił się, żeby poklepać psa pułkownika.

– Nie, panie pułkowniku. To nie bokser. Kucharz. Ale świetny chłop. Najlepszy kucharz, jakiego miałem.

– A – powiedział pułkownik.

– Służył ze mną w Bliss, panie pułkowniku. Ręczę za niego osobiście.

– Każę to załatwić – powiedział pułkownik Delbert. – Niech pan mi powie, jak tam pański oddział? Zawsze ma tyle pieprzu? Pańska kompania mnie interesuje. Udowadnia moją teorię, że z dobrych sportowców są dobrzy podoficerowie i dowódcy, a dobrzy dowódcy stanowią o dobrej organizacji. Prosta logika. Na tym świecie jest masa bydła, które trzeba poganiać. A bez dobrych przywódców nie *zdziała* się nigdy niczego.

Kapitanowi zamglily się i zaszklily oczy ze skromności.

– Pochlebiam sobie, panie pułkowniku – uśmiechnął się – że mam najsprawniejszy oddział w pułku.

– Tak. A taki sierżant-szef Warden jest przykładem mojego rozumowania. Był stuprocentowym sportowcem, zanim przejął kielich, jak ja to nazywam.

Kapitan Holmes roześmiał się.

– Przypuszczam, że często psioczy – powiedział pułkownik – ale dobry żołnierz zawsze psioczy. To mu doskonale robi. Dobrzy żołnierze rodzą się... rodzą się dzicy i kosmaci, jak sierżant Warden. Martwić się o dobrego żołnierza należy tylko wtedy, kiedy przestaje psioczyć. Tak mnie uczył mój dziadek.

Kapitan Holmes energicznie pokiwał głową.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział, aczkolwiek ta filozofia nie była wynalazkiem dziadka pułkownika. Znano ją powszechnie i słyszał to już przedtem. Ale to było dobre. A szczególnie tamto o Wardenie było takie trafne. Poczul się różniej.

Pułkownik Delbert nagle naprostował z powrotem swój odchylony fotel obrotowy i podjechał z nim do biurka. Rzekł ostro:

– A teraz niech pan mi powie, kapitanie, jakie są pana widoki na przyszły rok? Mówił

pan, że w tym roku wygramy, więc nie wracajmy do tego. Dla mnie pańskie słowo jest święte. Ale jeżeli mamy wygrać, musimy zacząć wcześniej planować. To była maksyma mojego dziadka. Wygranie w tym roku nie wystarczy. Musimy zaplanować sobie wygraną w roku przyszłym. Na tym świecie tylko zwycięzca zdobywa łupy. Nie wiem, jak jest na tamym świecie, ale wyobrażam sobie, że tak samo mimo wszystkiego, co nam gadają nasi duchowi pasterze. Czy pan uważa, że mamy rzeczywiście szansę wygrania?

Kapitan Holmes poczuł się nagle przyparty do muru. Z majorostwem wiązał się pewien warunek, założywszy rzecz jasną, że tego roku osiągnąby zwycięstwo – i w tej chwili naciskano go o to.

– Ano, tak, panie pułkowniku – powiedział.

– Taką samą szansę jak mamy w tej chwili? Wygrania w tym roku?

– No cóż, panie pułkowniku. Chyba nie. Tego bym nie powiedział. – Kapitan Holmes łamał sobie głowę. – Mamy utracić trzech chłopców pierwszej klasy, wie pan pułkowniku, tych krótkoterminowych.

– Aha – odrzekł pułkownik. – Wiem. Ale przecież ma pan w dalszym ciągu sierżanta Wilsona i sierżanta O'Hayera. Nie znajdzie się nikt inny na miejsce tamtych?

– Mam jednego nowego, który w tym roku nieźle sobie poczynił na stadionie. Szeregowiec Blum. Myślę o przygotowaniu go do próby w wadze średniej w roku przyszłym.

Pułkownik Wpatrywał się w niego, a oczy Holmesa wciąż uciekały z twarzy pułkownika, choć starał się jak mógł utrzymać je na niej. Swędziało go lewy policzek; pożałował, że nie ma gumy do żucia. Tylko że i tak nie mógłby jej żuć. I w ogóle pożałował, że tu przyszedł.

– Blum? – powtórzył pułkownik. – Blum. Ten duży żydowski chłopak z płaską głową i kudłatymi włosami? I to jest wszystko?

– No nie, panie pułkowniku, nie wszystko. Właśnie chciałem pana zapytać. Nie mam boksera wagi ciężkiej, który byłby coś wart. Kapral Choate nie tak dawno temu zdobył mistrzostwo Panamy w wadze ciężkiej. Odkąd tu przyszedłem, staram się go namówić do walczenia.

– Aha – rzekł pułkownik. – A on nie chce?

– Nie, panie pułkowniku.

– Kapral Choate jest bodaj najlepszym baseballistą na Wyspach. A my przecież nie chcemy tracić takiego *gracza*, prawda?

– Nie, panie pułkowniku.

– Obawiam się, że pan nie może liczyć na Choate'a.

Kapitan Holmes kiwnął głową. Drużyna baseballowa przegra i tak, a tutaj chcą

wygranej. Zawsze chcą, żeby wygrywać. Wygrywający zbierają śmietankę. Ten cholerny pies pułkownika dalej spał znudzony, z wyciągniętymi płasko tylnymi łapami, brzuchem na podłodze, skrzyżowawszy przednie łapy nonszalancko jak amant filmowy w sportowych spodniach. Każdy oficer z pułku musiał się pieścić z tym ścierwem.

„Dlaczego nie ciśniesz tego wszystkiego, Holmes? – pomyślał. – Tak, i co będę robił? Gdzie pójdę?”

– Mam jednego nowego, panie pułkowniku – powiedział, chociaż nie zamierzał o nim wspominać. – Nazywa się Prewitt. Walczył w barwach dwudziestki siódemki. Wicemistrz w wadze półśredniej. Został przeniesiony do mojej kompanii z oddziału trębaczy.

Ojcowski uśmiech pojawił się znowu.

– No to świetnie. To świetnie. I pan mówi, że on był w pułku? W oddziale trębaczy?

Holmes był już zmęczony.

– Tak jest, panie pułkowniku. – („Ten cholerny, zadowolony z siebie pies.”) – Jest tu od roku. – („Nic, tylko żre i śpi, i pozwala się pieścić.”)

– Od ostatniego sezonu boksterskiego. – („To sukinsyn, tłuścioch, i takie ma diabelnie łatwe życie!”)

– Niesłychane! – powiedział pułkownik. – W oddziale trębaczy! Szkoda, żeśmy tego nie wiedzieli w tym fokku. Mógł się przydać. Tylko że nikt nigdy nie wie, kto jest w oddziale trębaczy. Rozmawiał pan z nim?

– Tak, panie pułkowniku – powiedział Holmes. („Właściwie mogę mu to wywalić od razu.”) – Odmawia walczenia. – („Gdybyś miał odrobinę odwagi, Holmes, dodałbyś słowo: także.”)

Pułkownik obrócił głowę na sztywnych ramionach. – Nie może tego odmówić.

– Odmówił, panie pułkowniku. – Kapitan Holmes uświadomił sobie, że popełnił błąd. Guzik go to obchodziło, cholera z tym. Tylko że dokąd pójdzie? Powstrzymał się od wzmianki o funkcji kompanijnego trębacza.

– Nie, on nie odmówił – powiedział dobitnie pułkownik. Jego oczy były dziwnie bez wyrazu. – Panu się tylko zdawało. Pana rzeczą jest dopilnować, żeby walczył. Gdyby wiedział, że to dla dobra pułku, na pewno chciałby walczyć. Musi pan go tylko przekonać. Wyjaśnić mu, jak bardzo pułk go potrzebuje.

„Pułk – myślał Holmes. – To jest wszystko. Honor i reputacja pułku pułkownika Delberta. I nawet nie chce wiedzieć, dlaczego tamten nie ma ochoty walczyć. Ja go przynajmniej spytałem – powiedział do siebie. – Wiedziałeś już przedtem” – odpowiedział sobie.

Ojcowski uśmiech naoliwił oczy bez wyrazu, stwarzając osobiwie niedoskonały

obraz.

– Jeżeli pan będzie potrzebował tego człowieka, to musi pan go przekonać. A z tego, co pan mi mówił, wnioskuję, że będzie panu potrzebny.

– Z pewnością przydałby się, panie pułkowniku.

– To niech go pan przekona. Będę z panem szczerzy. M u s i m y wygrać w przyszłym roku. Bo możemy wygrać tylko to. Niech pan pamięta. Chcę, żeby pan się do tego przyłożył. Trochę zaprawy od czasu do czasu. I od czasu do czasu popołudniowe ćwiczenia gimnastyczne. Niech pan zaczyna zaraz. To ważne: planować od razu.

– Rozkaz, panie pułkowniku – powiedział kapitan Holmes. – Zaczę niedługo.

Jednakże słowa jego zagłuszyło skrzywienie otwieranej szuflady, tradycyjna wskazówka, że rozmowa jest zakończona. Pułkownik Delbert podniósł oczy znad szuflady i spojrzał pytająco na Holmesa, ale kapitan już się zerwał i odstawił krzesło pod ścianę. W każdym razie uzyskał zgodę na przeniesienie Starka, a po to właśnie przyszedł.

Owe drewniane odgłosy zbudziły spaniela, który wstał i przeciągnął się jedną łapą po drugiej, wywieszając różowy język w beczelnym ziewnięciu.

Polizał się po boku i spojrzał oskarżycielsko na Holmesa. Ten także popatrzał na niego, nagle się zamyśliwszy, z ręką jeszcze na oparciu krzesła, i obserwował z zazdrością tę lśniąca, czarna, spasioną arogancję wyciągającą się znowu na wyfroterowanej podłodze i wracającą do przerwanej medytacji. Wreszcie przypomniał sobie, że trzyma dłoń na oparciu, cofnął ją i odwrócił się, aby dokonać bezosobowego rytuału salutowania.

– Aha – odezwał się pułkownik, kiedy Holmes doszedł do drzwi. – A jak tam pani Karen? Lepiej się czuje?

– Ostatnio trochę lepiej – odpowiedział kapitan Holmes obracając się. Oczy pułkownika z powrotem nabrały wyrazu i stały się głębokie, bardzo głębokie, z lekkim czerwonym błyskiem na dnie.

– To przemiła pani – powiedział pułkownik Delbert. – Ostatnio widziałem ją w Klubie na przyjęciu wydanym przez generała Hendricka. Moja żona urzęduje w tym tygodniu brydża. Bardzo by chciała, żeby pani Karen przyszła.

Kapitan Holmes zmusił się do potrząśnięcia głową.

– Z pewnością bardzo się ucieszy – powiedział – ale niestety wątpię, czy będzie się czuła na tyle dobrze, panie pułkowniku. Bo wie pan, ona nie jest za silna. A takie rzeczy ogromnie ją podniecają.

– A, to szkoda – rzekł pułkownik. – Mówiłem żonie, że tego się właśnie boję. A czy będzie się już dość dobrze czuła, kiedy brygadier wyda to przyjęcie?

– Mam nadzieję, panie pułkowniku – odparł Holmes. – Byłaby niepokieszona, gdyby

ją to ominęło.

– Aha – rzekł pułkownik. – Ja też mam nadzieję, że będzie mogła przyjść. Wszyscy przepadamy za jej towarzystwem. Urocza pani, naprawdę, kapitanie.

– Dziękuję panu pułkownikowi – powiedział Holmes nie patrząc na ten czerwony błysk na dnie głębi.

– A propos, kapitanie, w przyszłym tygodniu znowu urządzam męską bibkę. Zamówiłem ten sam gabinet na piętrze w Klubie. Jest pan oczywiście zaproszony.

Oczy Holmesa znowu zmatowiały; uśmiechnął się – z zażenowaniem.

– Przyjdę na pewno, panie pułkowniku.

– Aha – rzekł pułkownik. Otworzył usta, odchylił głowę w tył i popatrzał na niego wzduż nosa.

– To świetnie. Dobrze. Doskonale. – Otworzył następną szufladę biurka.

Kapitan Holmes wyszedł.

To zaproszenie poprawiło mu trochę samopoczucie mimo owego przypierania do muru. Jakże można powiedzieć na pewno, kto wygra? Ale przynajmniej nie jest jeszcze na czarnej liście; te męskie bibki są ekskluzywne, bywają na nich same szarże.

Ale gdzieś w głębi nie zmieniało to niczego, a kiedy schodził, by udać się na obiad, galeryjka i schodki utraciły swój posmak stałości. Przyjdzie dzień, kiedy go przydzielą gdzieś indziej – miał nadzieję, że w Stanach, w każdym razie gdzieś, gdzie znowu będzie kawaleria. Cóż to był za dziki pomysł wstępować do piechoty dlatego, żeby zwiedzić Wyspy, ten cholerny Raj Pacyfiku!

„Przecież – mówił sobie – nie będziesz siedział do końca życia w Schofield. Cóż można zrobić?”

Będzie musiał jednak porozmawiać z Karen. Pułkownik zechce, żeby przyszła na to przyjęcie brygadiera. Trzeba będzie namówić ją w jakiś sposób. Gdyby tylko zgodziła się być miłą dla tego starego dumnia, mogłoby to dać w rezultacie stopień majora, choćby nawet drużyna przegrała – w tym roku albo w przyszłym. Wcale nie chciał, żeby z nim spała ani nic takiego. Tylko żeby była dla niego miła.

Wychodząc przez bramę wjazdową odsalutował kilku opuszczającym kantinę szeregowcom nie widząc ich i przeszedł na drugą stronę ulicy, do domu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Karen Holmes była pochłonięta czesaniem swych długich blond włosów, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi i ciężkie kroki Holmesa przechodzącego przez kuchnię.

Czesła tak włosy już prawie od godziny, rozkoszując się tą czysto zmysłową przyjemnością nie wymagającą myślenia, nareszcie swobodna w tym, co nie zmuszało jej do rozmyślenia o swobodzie, i cieszyła się swymi długimi, złotymi włosami, które owijały się pojedynczo i całymi pasmami wokół sztywnej, długiej szczeciny szczotki, aż wreszcie, tak jak pragnęła, upoiło ją to do tego stopnia, że oderwała się od wszystkiego i nie było już nic prócz tego lustra, w którym widziała rytmiczny ruch ręki będącej nią samą.

Dlatego właśnie tak lubiła czesać swoje włosy. Lubiała też gotować z tej samej przyczyny. Była doskonałą kucharką, kiedy jej przyszła ochota. A także czytała zachłannie. Potrafiła cieszyć się nawet kiepskimi książkami, jeżeli musiała. W ogóle nie była z tej samej gliny co żony wojskowych.

Trzaśnięcie drzwi przerwało to upojenie i nagle stwierdziła, że patrzy w oczy własnej maski pośmiertnej, bladej i wycieńczonej, z której całą krew wyssał nowoczesny wampir, przedsiębiorca pogrzebowy, pozostawiając tylko ziejącą, krwawą ranę – jej umalowane usta. Ta maska przynagliła ją, by się śpieszyła i odnalazła to, o co jej idzie.

– „Zostaw mnie, Masko” – powiedziała do niej Karen.

– „Jeżeli cofasz się przed złem, kiedy już zarzuciło ci swój płaszcz na ramiona – odparła Masko – to tym ciasniej owiną cię jego dławiące fałdy.”

Słyszając w jadalni szybko zbliżające się kroki Wojskowego Fatum, odłożyła szczotkę i zakryła dłońmi tę twarz, która nękała ją najbardziej jałowością swej pustki.

Holmes wkroczył do pokoju w kapeluszu na głowie.

– O! – powiedział zaskoczony. – Hello. Nie wiedziałem, że jesteś w domu. Wpadłem tylko zmienić mundur.

Karen wzięła szczotkę i powróciła do czesania.

– Wóz stoi zaparkowany przed domem – powiedziała.

– Tak? – spytał Holmes. – Nie widziałem go.

– Byłam dziś rano w Kompanii – rzekła Karen. – Szukałam cię.

– Po co? – zapytał Holmes. – Przecież wiesz, że nie lubię, jak tam jesteś między żołnierzami.

– Chciałam, żebyś mi przywiózł różne rzeczy – skłamała. – Myślałam, że cię zastanę.

– Musiałem coś przedtem załatwić – skłamał Holmes. Rozwiązał krawat, rzucił go na

łóżko i siadł przed kozłem do ściągania butów. Karen nic nie odpowiedziała. – Chyba nie masz nic przeciwko temu? – obruszył się.

– Ależ oczywiście – powiedziała. – Nie mam żadnego prawa wtrącać się w to, co robisz. Taka przecież była umowa.

– Więc po co o tym mówić?

– Bo chciałam, żebyś wiedział, że nie jestem taka głupia, jak, twoim zdaniem, są wszystkie kobiety.

Holmes postawił buty przy łóżku i ściągnął mokrą od potu koszulę i bryczesy.

– Cóż to ma znaczyć? O co mnie znowu oskarżasz?

– O nic – uśmiechnęła się Karen. – Teraz to już nie moja rzecz, z iloma kobietami chodzisz. Ale chciałabym, żebyś na miłość boską, chociaż raz postawił sprawę uczciwie.

– Też dopiero! – zawołał z niesmakiem, czując, jak całe podniecenie perspektywą konnej randki szybko z niego wyparowuje. – Po prostu przyszedłem do domu, żeby się przebrać i coś zjeść. Nic więcej.

– Zdawało mi się – odrzekła – żeś nie wiedział, że tu jestem.

– Nie wiedziałem, psiakrew. Ale po prostu myślałem, że może cię zastanę – dokończył nieporadnie, zły, że go przyłapano na kłamstwie.

– Psiakrew! – wybuchnął. – Inne kobiety! Skąd się to znowu wzięło? Ile razy muszę ci powtarzać, że nie mam żadnych innych kobiet, żebyś mi wreszcie uwierzyła?

– Dana – powiedziała Karen. – Uznaj, że mam odrobinę rozumu. Roześmiała się i spojrzawszy w lustro zamilkła nagle, przerażona wyrazem nienawiści na swojej twarzy.

– Gdybym miał jakieś kobiety – powiedział tonem współczucia dla samego siebie, jednocześnie naciągając świeże skarpetki – myślisz, że bym ci się nie przyznał? Przecież nie mam powodu ukrywać tego przed tobą, jeżeli sprawy tak ułożyły się między nami? – zapytał gorzko. – Jakim prawem wciąż mnie o to oskarżasz?

– Jakim prawem? – powtórzyła Karen patrząc na niego w lustrze. Holmes skulił się pod jej oskarżycielskim spojrzeniem.

– W porządku – powiedział posepnie. – Znowu tamto. Ciekaw jestem, ile czasu minie, zanim mi będzie wolno zmasać tamto. Ileż razy mam ci powtarzać, że to był przypadek?

– I pewnie to już wszystko załatwia – powiedziała. – To usuwa już wszystkie blizny i możemy udawać, że po prostu nic się nie stało.

– Tego nie powiedziałem! – zawołał Holmes. – Wiem, jak to przeżyłaś. Ale czy mogłem przewidzieć? Sam zorientowałem się dopiero, kiedy już było za późno. Cóż więcej mogę powiedzieć poza tym, że żałuję?

Spojrzał na nią w lustrze usiłując przybrać oburzoną minę, ale musiał spuścić oczy.

Mundur leżący na podłodze zawstydział go mokrymi plamami potu na materiale.

– Proszę cię, Dana – powiedziała Karen przenikliwym, rozhisteryzowanym głosem. – Wiesz, jak nie cierpię mówić na ten temat. Staram się o tym zapomnieć.

– W porządku – odrzekł Holmes. – Tyś to poruszyła. Ja też nie lubię o tym myśleć, ale żadne z nas nigdy nie będzie mogło zapomnieć. Ja żyję z tym już od ośmiu lat.

Podniósł się ciężko i chwilowo pokonany poszedł do garderoby po inny mundur. Pierzchło całe wyczekiwanie na popołudniową przygodę; wydawało się teraz, że nie była warta zachodu.

– Ja też z tym żyję – zawołała za nim Karen. – Tyś się łatwo otrząsnął. Przynajmniej nie zostawiło to na tobie żadnej blizny.

Ukradkiem z tej strony, której nie widział, opuściła nieznacznie dłoń do brzucha i dotknęła palcami zgrubiałej krawędzi blizny. „Tu leży zło – pomyślała histerycznie. – Owoc rozerwany, a nasienie wyłuskane i usychające na pnączu.”

Cała ohyda dusznej, tajemnej wilgoci, oślizłego, mokrego, parnego mroku powróciła teraz i przytłoczyła ją, gdy ulotna banieczka pękła w jej umyśle przesycając go wspomnieniem obrzydliwości, od której trzeba było uciec.

W garderobie Holmes postanowił mimo wszystko przejechać się konno, czy ma ochotę, czy nie, bo przecież niech to wszystko cholera, a zresztą zabierze ze sobą butelkę. Mimo przykrości, której się obawiał, uśmiecha! się do siebie.

Kiedy stamtąd wyszedł w świeżym podkoszulku, zmiana w nim była już widoczna. Przygnębienie i poczucie winy zniknęły, a ich miejsce zajęła pewność siebie. Przybrał tę pokorną minę syntetycznego rozżalenia, która była jego ostateczną obroną i zawsze odnosiła zwycięstwo nad pogodzeniem się z porażką.

Karen poznała tę jego postawę. W lustrze widziała go w podkoszulku, jego mocne, owłosione nogi, groteskowo wykrzywione po tyłu godzinach spędzonych na koniu – w Bliss był kapitanem drużyny polo – i gęste, czarne włosy na piersi wypychające podkoszulek jak wełna drzewna poduszkę. Mocny, granatowy cień zarostu nadawał jego twarzy pozór prostackiej zmysłowości obleśnego księdza i taki sam wyraz dumnego cierpienia. Ogolił się tylko do linii kołnierzyka i czarne kręte włosy na piersiach sięgały do wygolonej szyi jak żywe płomienie wessane w komin. Na widok tego człowieka, który był jej mężem, coś targnęło jej się mdląco we wnętrzościach niby wielka oślizła ryba na haczyku. Przesunęła się na taborecie przed toaletą, ażeby nie widzieć jego odbicia w lustrze.

– Widziałem się rano z pułkownikiem Delbertem – powiedział Holmes. – Pytał mnie, czy będziemy na przyjęciu u generała Hendricka.

Z wysuniętą masywną szczęką, wpatrując się bacznie w żonę, stanął tak, że znowu

zobaczyła go w lustrze, kiedy wkładał bryczesy.

Karen przypatrywała mu się, rozumiejąc, co Holmes teraz robi, a jednak nie mogąc opanować nerwów rozedrganych jak trącona struna gitary.

– Będziemy musieli pójść – powiedział. – Nie można się wykręcić. Poza tym jego żona znowu urządza herbatkę; od tego już cię wybronilem.

– Możesz mnie wybronić i od tego przyjęcia – rzekła Karen, ale jej głos utracił już ton rozkazujący i powiedziała to bez przekonania. – Jeżeli masz chęć iść, pójdź sam.

– Nie mogę wiecznie chodzić sam – poskarżył się Holmes.

– Możesz, jeżeli im powiesz, że jestem chora, co będzie prawdą. Niech myślą, że jestem kaleką; tak mało mi do tego brakuje, że to będzie zupełnie etyczne.

– Simmonsa odstawili od futbolu – powiedział. – W ten sposób otworzył się wakans na majora. Stary powiedział mi o tym, a później spytał, czy przyjdiesz na przyjęcie.

– Pamiętasz, że kiedy ostatni raz poszłam na przyjęcie, gdzie on był, wróciłam z suknią prawie w strzępach.

– Był trochę zalany – odrzekł Holmes. – W gruncie rzeczy nie chciał zrobić nic strasznego.

– Mam nadzieję – powiedziała Karen sucho. – Gdybym miała ochotę przespać się z kimś, wybrałabym sobie mężczyznę, a nie ten zapijaczony wór flaków.

– Mówię poważnie – rzekł Holmes przenosząc odznaki swego stopnia z brudnej koszuli na czystą. – To czy będziesz dla niego miła, może teraz wiele zaważyć, odkąd zwolniło się miejsce po Simmonsie.

– Pomagałam ci w twojej pracy, jak mogłam – powiedziała. – Wiesz, że tak. Chodziłam na przyjęcia, których nie mogłam ścierpieć. To był mój udział w umowie, odgrywać kochającą żonę. Ale jednej rzeczy nie zrobię: nie prześpię się dla ciebie z pułkownikiem Delbertem.

– Nikt tego od ciebie nie żąda. Proszę cię tylko, żebyś była dla niego uprzejma.

– Nie można być uprzejmą dla lubieżnego starego satyra. Dostaję od tego mdłości.

Nieświadomie wzięła szczotkę i zaczęła znowu w roztargnieniu czesać włosy.

– Majorostwo jest warte mdłości – powiedział Holmes tonem prośby. – Ktoś, kto ma teraz majora, a ukończył West Point, będzie generałem, kiedy zakończy się ta wojna, która nadchodzi. Wystarczy, żebyś się do niego uśmiechała i słuchała, jak gada o swoim dziadku.

– Dla niego uśmiech jest tylko zachętą do wkładania komuś rąk między nogi. Przecież ma żonę. Dlaczego się na niej nie wyładuje?

– Właśnie – powiedział Holmes sztywno. – Dlaczego?

Karen drgnęła pod tym zarzutem, chociaż wiedziała, że jest czysto teoretyczny. Na

widok tego odgrywania roli melancholijnego, cierpiącego kochanka zatrząsy się w niej wszystkie koniuszki nerwów.

– To było przewidziane w naszej umowie – powiedział smutnie Holmes.

– Dobrze – odparła. – Dobrze. Pójdę. A teraz, kiedy już to powiedziałam, pomówmy o czymś innym.

– Co mamy na obiad? – zapytał Holmes. – Jestem głodny, głodny jak wszyscy diabli. Miałem dziś cholerny dzień, bo musiałem wysłuchiwać, co mówił Delbert. Może człowieka zagadać na śmierć. A poza tym musiałem przez pół rana użerać się z obsługą kuchni i z tym nowo przeniesionym, Prewittem. – Popatrzał na nią bacznie. – To mnie kompletnie wyczerpuje nerwowo.

Zaczekała, aż skończył.

– Przecież wiesz, że służąca ma dzisiaj wychodne. Holmes zmrużył boleśnie oczy.

– Tak? Psiakrew! Co to jest dzisiaj? Czwartek? Myślałem, że środa.

– Spojrzał z nadzieją na zegarek, po czym wzruszył ramionami. – Ano, już za późno iść do Klubu. A może spróbuję?

Karen czując, że przypatruje się jej bacznie, popróbowwała znów czesać sobie włosy, ażeby uciec od poczucia winy, że nie proponuje mu przygotowania obiadu. Nigdy nie jadał obiadu w domu i to nie należało do jej obowiązków przewidzianych w umowie, a jednak przez niego czuła się teraz jak zbrodniarka bez serca.

– Chyba będę musiał wziąć sobie jakiś paskudny sandwich z kantyny – powiedział Holmes z rezygnacją. Pokręcił się chwilę i usiadł na łóżku.

– A ty co masz na obiad? – zapytał z miną człowieka, który wstydliwie próbuje się narzucić.

– Zwykle robię sobie tylko zupę – odparła Karen oddychając głęboko.

– Aha – rzekł. – Wiesz, że nie jadam zupy.

– Przecież mnie pytałeś, nie? – odpowiedziała starając się nie podnosić głosu. – Robię sobie zupę. Dlaczego miałabym kłamać?

Holmes wstał pośpiesznie.

– Słuchaj, kochanie – rzekł. – Nie złość się. Wskoczę do kantyny. Mnie to nie robi różnicy. Wiesz, jak ci szkodzi zdenerwowanie. Fatalnie to znosisz. Jeszcze się położysz do łóżka.

– Nic mi nie jest – zaprotestowała. – Nie jestem obłożnie chora – dodała myśląc, że przecież on nie ma prawa używać do niej tego słowa, nazywać ją „kochanie”. Zawsze to robił w takich momentach i to słowo było jak kolec przyszpilający ją do deski między innymi motylami z jego kolekcji. W wyobraźni ujrzała siebie, jak wstaje, mówi mu, co o nim myśli,

pakuje rzeczy i odchodzi, aby żyć własnym życiem i sama dawać sobie radę. Dostałaby gdzieś posadę i mieszkanie. „Jaką posadę? – zapytała siebie.

– Co mogłabyś robić przy takim stanie zdrowia? Jakie masz kwalifikacje? Poza kwalifikacjami na żonę?”

– Wiesz, że nie masz mocnych nerwów, kochanie – mówił Holmes.

– Więc uspokój się i nie podniecaj. Musisz się odprężyć.

Podszedł i położył kojąco dłonie na jej ramionach ściskając je czule i lekko i patrząc jej troskliwie w oczy w lustrze.

Poczuła na sobie jego ręce przytrzymujące ją, pętające, tak jak spętane było jej życie, i doznała tego samego uczucia, które zapamiętała z dzieciństwa, kiedy raz w lesie sukienka zaczepiła jej się o drut kolczasty, a ona szarpała się, miotła i ciągnęła, dopóki nie uwolniła się zostawiając połowę sukienki na płocie, chociaż matka nadbiegła, aby jej pomóc.

– O, tak, odpręż się – rzekł Holmes z uśmiechem. – A potem przygotuj taki obiad, jaki byś zrobiła, gdyby mnie nie było, a ja zjem to, co będziesz miała dla siebie. No dobrze?

– Mogę ci zrobić grzanekę z serem – powiedziała niechętnie Karen.

– Okej – uśmiechnął się. – Ser będzie świetny.

Poszedł za nią do kuchni, a kiedy przygotowywała jedzenie, usiadł przy stole kuchennym wodząc za nią oczami. Gdy odmierzała kawę, jego oczy śledziły ją troskliwie. Kiedy smarowała tłuszczem patelnię i stawiała ją na gazie, jego oczy obserwowały ją opiekuńczo. Karen chlubiła się swoim gotowaniem, była to jej jedyna sztuka i nauczyła się robić to dobrze, kosztem minimum czasu i wysiłku. Jednakże teraz z jakiejś przyczyny zapomniała o kawie, która wykpiiała. Gdy Karen chwyciła garnek, sparzyła się w rękę.

Holmes zerwał się ze wspaniałą szybkością i złapał ścierkę, żeby wytrzeć piecyk.

– Nic, nic – powiedział. – Nie przejmuj się. Zaraz to wytrę. Ty usiądź, jesteś wyczerpana.

Karen przyłożyła dłonie do twarzy.

– Nie, wcale nie – powiedziała. – Pozwól mi to zrobić. Przykro mi, że wykpiiała. Mogę to zrobić doskonale. Proszę cię, pozwól.

W tej chwili poczuła swąd. Poderwała grzanekę z serem w samą porę, by nie dać jej się przypalić. Grzanka była czarna z jednej strony.

– Nic nie szkodzi – uśmiechnął się dzielnie Holmes. – Nie myśl o tym, kochanie. Nie chcę, żebyś się denerwowała. Wszystko jest w zupełnym porządku.

– Oskrobie ci ją – powiedziała Karen.

– Nie, nie. Jest zupełnie dobra. Smaczna. Naprawdę.

Gryzł grzanekę, żeby pokazać, jaka jest pyszna. Jadł ją ze smakiem. Nie napił się kawy.

– Wypiję sobie filiżankę w kantynie – uśmiechnął się. – I tak muszę pójść do Kompanii, żeby podpisać jakieś papiery. A ty się połóż i odpocznij trochę. Lunch był doskonały, naprawdę.

Karen stała za drzwiami siatkowymi patrząc, jak odchodzi alejką. Kiedy zniknął, zawróciła do sypialni. Opuściła ręce wzdłuż boków i zmusiła się do ich rozluźnienia. Zakaszła sucho parę razy, ale nie rozplakała się. Odetchnęła głęboko. Rozluźniła mięśnie, lecz nerwy nadal w nich trzepotały się jak oszalałe.

Ukradkiem, jak gdyby wiedziona własnym rozumem, jej ręka przesunęła się po brzuchu i dotknęła zgrubiałych tkanek blizny i wtedy w Karen zaczął wzbierać mdlący wstręt do własnego ciała, do jego zropiałości, przemacerowanego zwyrodnienia. Grono rozerwane, nasienie wyłuskane i uwiędłe, zanim zdołało wydać owoc.

„Nie jest tak – powiedziała do siebie. – Wiesz, że tak nie jest. Wydałaś na świat jego dziedzica, któż może powiedzieć, że twoje życie jest jałowe? Jakże możesz być jałowa? Przecież byłaś matką, nie?”

„Musi być coś więcej, musi – mówił w niej jakiś głos. – Gdzieś, w jakimś miejscu, musi być inne uzasadnienie gdzieś wyżej i dalej, jakieś inne równanie poza tym: dziewica + małżeństwo + macierzyństwo + wnuki = cześć, racja bytu, śmierć. Musi być inny język, zapomniany, nie słyszany, nie mówiony – coś innego, poza posiadaniem Amerykańskiej Kuchni Domowej, wyposażonej w niszę-jadalnię, kącik śniadaniowy i jarzeniowe oświetlenie.”

Wśród potłuczonych przyborów toaletowych i lepkich jaskrawo kolorowanych, splukanych przez deszcze nalepek próżnych puszek Karen Holmes przetrząsała śmietniko cywilizacji szukając rozpaczliwie własnego życia, a brud, który przywierał do jej palców, nie był ważny.

Czuła, że ma go na sobie już tyle...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Prewitt siedział na pryczy czekając na jedzenie i stawiał pasjansa, żeby zapomnieć o uczuciu obcości, kiedy do dużej, nieprzyjemnej sali koszarowej weszli Anderson i Clark, trębacze z kompanii G. Prewitt przewiózł z kompanii A swoje rzeczy, rozładował się, zasiał goły materac w precyzyjną, prostokątną kostkę, powiesił mundury w szafce ściiennej, spakował zgrabnie tornister, zrolował koc, postawił buty i kuferek na stojaku i już był w domu. Włożył czyste niebieskie fasowane drelichy robocze i zasiadł do pasjansa. W przeciągu niespełna pół godziny dokonał tego, co takiemu rekrutowi jak Maggio zabrałoby nie wiedzieć ile godzin, ale nie było to przyjemne i nie czuł się zadowolony. Taka przeprowadzka była zawsze nieprzyjemna i zawsze uprzytomniała człowiekowi zasadniczą bezdomność jego samego i jemu podobnych; dziś tu, jutro tam, nigdzie nie mogłeś naprawdę się zatrzymać, nigdzie nie byłeś naprawdę u siebie. Ale mogłeś zapomnieć o wszystkim dzięki pasjansowi, przynajmniej na chwilę; pasjans to była gra wygnańców.

Prewitt znał z widzenia trębaczy z kompanii G. Odłożył karty i patrzył, jak szli przez salę. Widywał ich i słyszał grających wieczorami na gitarach gdzieś na dziedzińcu; do gitary byli o wiele lepsi niż do trąbki.

Anderson przystanął, kiedy zobaczył Prewitta. Zdawał się zastanawiać, czy iść dalej, czy zawrócić i wyjść. Zdecydował się i przeszedł bez słowa, ze swymi głęboko osadzonymi oczami utkwionymi ponuro w podłogę. Clark zatrzymał się też, kiedy Anderson przystanął, i spojrzał na swego mentora, żeby zobaczyć, co ten robi. Kiedy Anderson ruszył dalej, poszedł za nim, ale nie zdołał uniknąć wzroku Prewitta. Kiwnął mu głową z zakłopotaniem, a jego długi włoski nos zdawał się nieomal przesłaniać nieśmiały uśmiech.

Wydobyli gitary i zaczęli grać zaciekle, tak jakby wkładając w to całą duszę mogli zażegnać obecność tego obcego. Po jakimś czasie ich granie przycichło i wreszcie ustało, a wtedy spojrzeli w stronę Prewitta. Zaczęli się cicho naradzać.

Słuchając ich gry Prewitt uświadomił sobie po raz pierwszy, jak dobrze to robią. Przedtem nigdy nie zwracał na nich większej uwagi, ale znalazłszy się w tej kompanii dostrzegł obydwóch nagle jako jednostki. Nawet ich twarze jakby się zmieniły, stały się twarzami innych ludzi, nie były już niewyraźne.

Zauważył to przedtem: że można żyć przez całe lata obok jakiegoś człowieka i nie mieć jego określonego obrazu, dopóki nagle nie znajdziemy się w jego oddziale i nie dostrzeżemy, że nie jest tylko jakąś mglistą postacią, ale jednostką mającą swoje własne życie.

Anderson i Clark przestali się naradzać i schowali gitary. Znowu minęli bez słowa Prewitta i weszli do latryny na końcu galeryjki. Rozmyślnie go unikali. Prewitt zapalił papierosa i wpatrzył się w niego apatycznie, dojmująco świadom swojej obcości.

Żałował, że przestali grać. Grali takie melodie, jakie lubił – bluesy i wiejskie śpiewki z Południa – ten rodzaj piosenek, który rozumieli i zawsze grywali byli włóczędzy, rolnicy i robotnicy z fabryk, usiłujący uciec od swego jałowego życia przez wstąpienie do wojska. Prewitt zebrał karty i zaczął stawiać nowego pasjansa, gdy wtem usłyszał obu gitarzystów wracających galeryjką ku schodom.

– A co ty myślisz, cholera? – doleciał przez otwarte drzwi fragment oburzonego protestu Andersena. – Najlepszy trębacz w pułku, na miłość Boga!

– No taak, ale przecież nie będzie... – mówił Clark z wahaniem; reszta przeszła w pomruk, kiedy minęli drzwi.

Prewitt rzucił karty i cisnął papierosa na podłogę. Podbieg! szybko i dogonił ich na schodach.

– Wróćcie się tu – powiedział.

Głowa Andersena, zamputowana na schodach przez poziom podłogi, obróciła się ku niemu z konsternacją jak zawieszony w powietrzu balonik. Złowróżbny nacisk w głosie Prewitta sprawił, że nogi Andersena poniosły go z powrotem na górę, jeszcze zanim mózg zdecydował, co zrobić. Clark polazł niechętnie za swoim duchowym przewodnikiem, nie mając wyboru.

Prewitt nie tracił czasu na wstępy.

– Wcale nie chcę twojej cholernej funkcji – powiedział zniżonym, płaskim głosem. – Gdybym miał ochotę trąbić, zostałbym tam, gdzie byłem. Na pewno nie przyszedłbym tutaj i nie wysadzał cię z twojej parszywej posadki.

Anderson z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę.

– Ano – powiedział niepewnie, nie patrząc Prewittowi w oczy – jesteś taki fajny, że mógłbyś zająć moje miejsce, jakbyś tylko chciał.

– Wiem o tym – odparł Prewitt. Biała ściana gniewu przesłoniła mu oczy, niczym polarna pokrywa lodowa zstępująca na kulę ziemską. – Ale ja nigdy z nikim nie idę przebojem, chyba w zawodach. To nie jest moje zagranie, rozumiesz? Gdybym chciał tej cholernej funkcji, tobym się tu nie wkradał i nie próbował cię wygryźć.

– Dobra – powiedział uspokajająco Anderson. – Dobra, Prew. Nie denerwuj się.

– Nie nazywaj mnie Prew.

Clark przypatrywał się temu w milczeniu, uśmiechając się z zakłopotaniem, a jego miękkie, szeroko otwarte oczy spoglądały to na jednego, to na drugiego, niby oczy

obserwującego katastrofę widza, który patrzy, jak ofiara wykrwawia się na śmierć, ponieważ nie wie, jak ma jej pomóc, i boi się zrobić z siebie durnia.

Prewitt miał zamiar powiedzieć, że Holmes zaproponował mu tę funkcję, a on odmówił, ale coś w wyrazie oczu Andersena tknęło go i kazało to przemilczeć.

– Nikt nie przepada za zwykłą służbą – powiedział niemrawo Anderson; z taką gorącą głową jak Prewitt nigdy nie było wiadomo.

– Wiem, że nie jestem taki dobry do tego jak ty, jeżeli grałeś capstrzyk na Arlingtonie. Mógłbyś łatwo dostać moją funkcję, a to nie byłoby na poziomie – ostatnie słowa zawisły w powietrzu, jak gdyby nie dokończone.

– Nie chcę, żebyś się tym truł – rzekł Prewitt. – Możesz przestać się o to martwić.

– No, to dziękuję, Prew – powiedział z wysiłkiem Anderson. – Tylko nie myśl, że ja... to znaczy, ja wcale nie...

– Idź do cholery – rzekł Prewitt. – I nie nazywaj mnie Prew. Dla ciebie jestem Prewitt.

Okręcił się na pięcie i zawrócił! do środka. Podniósł swojego papierosa, który jeszcze się palił na cementowej podłodze, i zaciągnął się głęboko, słuchając ich powolnych kroków na schodach. W nagłym odruchu rozgoryczenia zebrał kilka rozrzuconych kart i przedarł je na pół. Potem cisnął je na łóżko. Jeszcze niezadowolony pozbierał resztę talii i metodycznie przedarł każdą kartę na dwoje. Mógł zresztą to zrobić; i tak była już do niczego. A to fajny początek; zupełnie jakby chciał ich ograbić z tej parszywej marnej funkcji.

Wyjął z kieszeni ustnik od trąbki i usiadł podrzucając go na dłoni i przesuwając dużym palcem po otworze. Był to świetny ustnik, niewątpliwie najlepsza inwestycja, jaką kiedykolwiek zrobił, za trzydzieści dolarów wygranych w kości.

Zaprzagnął, żeby weekend już przyszedł prędzej i żeby mógł wyrwać się z tej parszywej klatki, pojechać do Haleiwy i zobaczyć się z Violet. Masa gości przechwalała się, że ma jedną metę tu, inną metę tam. A bardzo niewielu miało ją naprawdę. Wszyscy o tym gadali usiłując przekonać innych i siebie samych, że mają wspaniałe kobiety – a potem szli do wojskowego burdelu albo do „New Congress” i folgowali sobie za trzy dolary od numeru. Prewitt wiedział, iż miał szczęście, że znalazł sobie taką metę jak Violet.

Siedział na pryczy, zły i zniechęcony, czekając na jedzenie, czekając na weekend.

Po drodze do kantyny Clark zerkał z ukosa na Andersena. Parę razy próbował się odezwać.

– Nie powinieneś być tak myśleć, Andy – wyrzucił wreszcie z siebie.

– To równy gość. Od razu widać.

– Wiem, cholera jasna! – wybuchnął Anderson. – Zamknij się, na rany boskie. Wiem, że to równy gość.

– Dobra – odrzekł Clark. – Dobra. Spóźnimy się na żarcie.

– Niech je cholera – powiedział Andy.

Kiedy rozległ się gwizdek na jedzenie, Prew zeszedł na dół w zbitym tłumie, który walił do jadalni. Cisnęli się po schodach, a potem stłoczyli na galeryjce, przed drzwiami, które nie mogły ich przepuścić dość szybko. Wyglądali jak doskonały materiał do zaciągowego plakatu, z tymi swoimi lśniącymi, roześmianymi twarzami, czystymi rękoma i bluzami roboczymi pochłapanymi wodą, bo jeżeli ich się nie znało albo nie przyjrzało im się dokładniej, nie dostrzegało się czarnej linii wokół napiętków ani smug kurzu biegnących od skroni, za uszami na szyję. Sporo tam było potrącania się, szczypania w pośladki i gromkiego śmiechu, ale Prew był z dala od tego wszystkiego.

Paru żołnierzy, których znał po nazwisku, zagadało do niego ostrożnie i z wielką rezerwą, po czym odwróciło się, ażeby przyłączyć się do wesołości innych. Kompania G była jedną osobowością utworzoną z wielu ludzi, ale on nie stanowił jej części. Wśród brzęku i zgrzytania łyżek o talerze i szumu rozmów jadł w milczeniu, czując na sobie od czasu do czasu liczne zaciekawione spojrzenia.

Po jedzeniu powędrowali z powrotem na górę po dwóch, po trzech, teraz już ociążali, z pełnymi żołądkami; hałaśliwą wesołość wywołaną perspektywą godzinnej przerwy zastąpiła z kolei niemila perspektywa zbiórki na zajęcia porządkowe i pracy z pełnym brzuchem. Sporadyczne odruchy rozbawienia zamierały w dzieciństwie, zadżgane cynicznymi spojrzeniami innych.

Prew zabrał swój talerz, ustawił się w ogonku do kuchni, zrzucił resztki jedzenia do kibla, wpuścił talerz i kubek do gorącej wody w zlewie kuchennym, przy którym Maggio przystanął na chwilę, aby doń mrugnąć – po czym wrócił na prycę. Zapalił papierosa, wrzucił zapalną do puszki od kawy, którą sobie znalazł zamiast popielniczki, i wyciągnął się na prycy pośród rozmaitych odgłosów sali. Leżąc z rękami pod głową i paląc papierosa spostrzegł zbliżającego się ku niemu „Wodza” Choate.

Olbrzymi Indianin, czystej krwi Czoktaw, powolny w mowie i w ruchach, o spokojnym spojrzeniu i drewnianej twarzy – poza chwilami, kiedy brał udział w jakichś sportowych zmaganiach, bo wtedy stawał się szybki jak pantera – usiadł obok niego na prycy i uśmiechnął się krótko, nieśmiało. W tych nowych okolicznościach uścisnęliby sobie dłonie, gdyby to nie było konwencjonalnością, która ich obu wprowadziłaby w zakłopotanie.

Widok masywnej, powolnej postaci „Wodza”, z której emanowały w promieniu dwudziestu metrów ufność i spokój, gdziekolwiek się znalazł, przypomniał Prewittowi wszystkie te ranki, kiedy wraz z Redem siadywali u Choya i dyskutowali przy śniadaniu. Spojrzał na „Wodza” szukając w myśli jakiegoś sposobu przekazania mu tamtych

wspomnień, powiedzenia, jak bardzo się cieszy, że jest w jego drużynie, ale tak, aby to nie było kłopotliwe dla nich obu.

Przez całą ubiegłą jesień, podczas sezonu futbolowego, kiedy to „Wódz” Choate był prawie co dzień zwalniany od służby, jadali we trzech z Redem śniadania w restauracji Choya – dwaj trębacze na specjalnej funkcji i olbrzymi Indianin, który miał zwolnienie od zajęć, bo właśnie był sezon futbolowy. Kiedy Prew poznał tego masywnego Czoktawę o twarzy jak księżyc w pełni, zaczął pilnie uczęszczać na każdy mecz i każde zawody, w których Indianin brał udział – to *znaczy* właściwie na wszystkie, ponieważ Wayne Choate występował jak rok długi.

Przez cztery lata służby w kompanii nie odrobił ani jednego dnia służby porządkowej, a gdyby się zgodził walczyć dla Holmesa, zostałby w ciągu dwóch tygodni młodszym sierżantem. Nikt nie wiedział, dlaczego nie przeniósł się do jakiejś innej kompanii, gdzie byłoby mu lepiej, ani dlaczego nie walczył dla Holmesa, bo nigdy nie wspominał, jakie miał po temu powody. Zamiast poprawić swój los, pozostał w kompanii G jako wieczny kapral i co wieczora upijał się do nieprzytomności piwem u Choya, tak że przeciętnie trzy razy w tygodniu musiał po niego jeździć pięcioosobowy patrol i odwozić do koszar na jednej z taczanek cekaemowych o stalowych kołach.

Miał kuferek pełen złotych medali z Filipin, Panamy i Portoryko, które dostarczały mu pieniędzy na piwo, bo kiedy był splukany, sprzedawał je albo dawał w zastaw różnym przyszłym sportowcom z bazy, a ilekroć przenosił się na nową, zostawiał po sobie cały koszyk do śmieci sportowych wyróżnień. Jego wielbicielę i zwolennicy w Honolulu byliby zgorszeni, widząc go co wieczora u Choya z mętными oczami i ogromnym bambochem napiętym jak bęben od niewiarygodnej ilości piwa.

Prew przypatrzył mu się teraz, rozmyślając o tym wszystkim, a ponieważ nie mógł powiedzieć tego, co by chciał, więc czekał, aż tamten się odezwie.

– Szef mówi, że jesteś przydzielony do mojej drużyny – powiedział „Wódz” swym uroczystym, niedźwiedziowatym głosem. – Więc pomyślałem sobie, że przyjdę i powiem ci coś niecoś o oddziale.

– Okej – odrzekł Prew. – Wal.

– Ike Galowicz jest zastępcą dowódcy plutonu.

– Już coś niecoś o nim słyszałem – powiedział Prew.

– Usłyszysz o nim więcej – ciągnął „Wódz” z uroczystą powolnością. – To jest typ. Teraz jest p. o. sierżanta-szefa plutonu. Naprawdę szefem jest Wilson, ale ma zwolnienie od służby na sezon bokserki. Mało go będziesz widywał aż do marca.

– Co to za gość ten Wilson? – spytał Prew.

– Porządny – odrzekł z wolna „Wódz”. – Jeżeli z nim dojdiesz do ładu. Nie gada za wiele ani nikogo nie pędzi. Widziałeś kiedy, jak walczy?

– Aha – odparł Prew. – Ostry jest.

– Jeżeliś go widział na ringu, to już wiesz o nim wszystko. Trzyma się blisko z sierżantem Hendersonem, który obrządza konie Holmesa. Służyli razem w kompanii Holmesa w Bliss.

– Z tego, jak walczy – rzekł Prew – wygląda na to, że z niego jest kawał drania.

„Wódz” popatrzał na Prewa spokojnie.

– Może i tak – powiedział. – Ale jak go zostawić w spokoju, to nieszkodliwy. Niewiele go ktoś obchodzi, póki się z nim nie pokłóci, bo wtedy może wykorzystać swój stopień i zamknąć człowieka. Już widziałem, jak wsadził paru gości do Obozu.

– Dobra – rzekł Prew. – Dziękuję.

– Mnie też nie będziesz tu często widywał – mówił „Wódz”. – Galowicz jest za wszystko odpowiedzialny w tym plutonie. Nawet jak jest Wilson, „Stary Ike” odwała całą robotę. Mnie będziesz podlegał tylko pod jednym względem, muszę cię sprawdzać przed sobotnią inspekcją poranną, ale Ike i tak każdego sprawdza po złożeniu raportów przez kaprali, więc to na jedno wychodzi.

– No to co ty tu robisz właściwie? – uśmiechnął się Prew.

– Niewiele. Wszystko załatwia „Stary Ike”. W tej kompanii w ogóle nie potrzeba kaprali, bo w gruncie rzeczy nie ma drużyn. Wszystko jest podzielone na plutony. Stajemy na zbiórce plutonami, nie drużynami.

– No dobra – powiedział Prew. – Ale o co idzie? Co ciebie gryzie?

– Kogo? Mnie? – odparł „Wódz”. – A nic. Tylko zastanawiałem się, czy chcesz zacząć trenować teraz, tak późno w sezonie, czy poczekać do lata i dostać się do reprezentacji kompanii.

– Ani jedno, ani drugie – odparł Prew. – Nie mam zamiaru walczyć.

– Aha – powiedział „Wódz” z wahaniem. – Rozumiem.

– Myślisz, że zwariowałem, co? – zapytał Prew.

– Nie – odrzekł tamten. – Chyba nie. Tylko się trochę zdziwiłem, jakem usłyszał, żeś wyszedł z oddziału trębaczy; gość, który gra na trąbce tak jak ty.

– Ano, wyszedłem – powiedział Prew ze złością. – I nie żałuję. A walczyć nie będę. Tego też nie żałuję.

– No to chyba nie masz żadnych zmartwień? – spytał „Wódz”.

– Ni cholery.

„Wódz” wstał i przeniósł się na sąsiednią pryczę.

– Zdaje mi się, że idzie Galowicz. Spodziewałem się go. Prew podniósł głowę, aby popatrzeć.

– Słuchaj, „Wódz”. W czyjej drużynie jest ten Maggio? Ten mały makaroniarz.

– W mojej – odrzekł „Wódz”. – A bo co?

– Jakoś mi się spodobał. Poznałem go dziś rano. Cieszę się, że jest w twojej drużynie.

– Dobry chłopak. Dopiero miesiąc temu skończył okres rekrucki i wciąż podpada, obrywa każdą dodatkową służbę, ale to dobry chłopak. Ma do cholery humoru jak na takiego kurdupla, stale wszystkich rozśmiesza.

Przejęciem szedł ku nim Galowicz. Prew popatrział na niego i zdumiał się. Nadchodził między pryczami, stąpając na przygiętych kolanach i wielkich stopach, podrywając tułów i głowę za każdym krokiem, jakby dźwigał na plecach kufer. Długie ręce zwisały mu niezgrabnie prawie do kolan, tak że idąc przypominał kołyszącą się małpę, a jego mała głowa, porośnięta przystrzyżoną szczecinią z kosmykiem opadającym na brwi, oraz drobne, przystające uszy i długa, mięsista szczeka dopełniały tego podobieństwa. „Naprawdę byłby zupełnie małpi – pomyślał Prew – gdyby nie to, że brak wyrazu w głęboko osadzonych oczach oraz chuda szyja dyskwalifikują go jako małpę.”

– Więc to jest Galowicz! – powiedział.

– We własnej osobie – odparł „Wódz” z nikłym przeblyskiem wesołości dobywającym się z głębi jego uroczystej powagi. – Zaczekaj, aż usłyszysz, jak gada.

Zjawisko zatrzymało się przed nimi, w nogach pryczy Prewitta. „Stary Ike” stanął patrząc na nich zaczerwienionymi oczami obwiedzionymi siatką zmarszczek, na przemian wydymając i zaciskając obwisłe wargi jak człowiek bezzębny, który coś żuje.

– Prewitt? – zapytał Galowicz.

– To ja.

– Sierżant Galowicz zastępca dowódcy tego plutonu ja jestem – powiedział dumnie. – Kiedy wy do tego plutonu przydzieleni, wy pode mnie podchodzicie. Znaczy się, wy jeden z moich ludzi. Ja wam szczegóły organizacyjne podam.

Przerwał i oparł sękaty szynki swych dłoni na krawędzi łóżka, przygiął brodę, zamamlał niezrozumiale wargami i wpatrzył się w Prewa.

Prew obrócił się i spojrział na „Wodza”, aby okazać swoje zdumienie, ale Indianin wyciągnął się tymczasem na pryczy, z długimi nogami zwisającymi przez krawędź, a głowę na oliwkowym kocu złożonym w kostkę na poduszce. Nagle wyłączył się z tego wszystkiego, nie chcąc brać w niczym udziału.

– Wy do niego nie patrzcie – rozkazał Galowicz. – Do was mówi ja, nie on. On tylko kapral. Sierżant Wilson jest dowódcą plutonu i on wam powie, czego ja nie powiem, co macie

robić. Kiedy wy rano wstajecie, pierwsza rzecz wy pryczę zaścielacie. Bez żadnych zmarszczek, a dodatkowy koc w kostkę na poduszce. Ja w porządku, ja rozwalam i żołnierz na nowo układa. U mnie żadnego markieractwa, wy rozumiecie? Każda drużyna codziennie sprząta świetlicę i galeryjkę zewnętrzną. Jak wy spod własnej pryczy wymietli, wy miotłę bierzecie i na ganku pomagacie. Każdy człowiek w tym plutonie jak wymiguje od roboty albo ćwiczeń, a ja go nakryję, on dostaje służbę karną.

Małe czerwone oczki łypały na Prewitta wyzywająco, niemal w nadziei jakiegoś sprzeciwu, który zmusiłby „Starego Ike'a” do udowodnienia swojej lojalności wobec Holmesa, Wilsona, Kompanii czy Sprawy, która mogłaby być Podciągnięciem Wojskowym, Pokojową Gotowością czy Utrwaleniem Arystokracji. Nikt nie potrafiłby nazwać Sprawy, ale też nazwa jej była nieważna, póki istniała sama Sprawa wymagająca lojalności.

– I wy nie myślicie – ciągnął „Stary Ike” – że tu może jakiś bokser przyjść i rzucać się tylko dlatego, że on chojrak. Chojracy prostą drogą do Obozu idą. A teraz za pięć minut jest zbiórka na służbę porządkową i wy na nią wychodzicie – dokończył Ike zerknąwszy krótko na Choate'a wypoczywającego na pryczy. Następnie polazł ciężko na własną pryczę, gdzie na nowo podjął przerwana litanie do swego nieznanego boga wyjmując buty, które przedtem pucował.

Kiedy odszedł, „Wódz” Choate dźwignął się na pryczy, aż jej łańcuszkowe sprężyny zabrzękły protestujące.

– Już masz pojęcie, co to u niego jest musztra – powiedział.

– Tak – odrzekł Prew. – Mam. Czy reszta kadry też jest taka zła?

– Ano – odpowiedział „Wódz” z namaszczeniem – nie w ten sam sposób. – Powoli i bardzo starannie skręcił sobie papierosa. – Zdaje się, wyniuchał, że nie będziesz walczył dla Holmesa – rzekł powoli i uroczyście.

– Skąd mógł się dowiedzieć? Tak prędko? „Wódz” Choate wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć – odparł, nieskłonny do przesady. – Ale myślę, że się dowiedział. Gdyby nie, to wiedząc, że przychodzisz do oddziału jako bokser, podałby ci całą kompanię na srebrnej tacy i lizał ci dupę od rana do wieczora.

Prew roześmiał się, ale okrągła, uroczyta twarz „Wodza” nie przejawiała żadnego śladu rozbawienia ani innego uczucia. Zdawał się co najwyżej trochę zdziwiony, że jest w tym powód do śmiechu, co sprawiło, że Prew roześmiał się tym serdeczniej.

– Ano – powiedział do ogromnego Indianina – teraz, kiedyśmy już to sobie wyjaśnili, może masz dla mnie jeszcze jakieś pouczenia, zanim złożę śluby i zacznę moje uświęcone życie?

– Niewiele więcej – powiedział „Wódz” z namaszczeniem. – Żadnych butelek na dnie

kufereków. Stary nie lubi, jak jego ludzie piją, i co sobota robi przegląd, i jeżeli ja czegoś nie znajdę, to znajdzie on.

Prew wyszczerzył zęby.

– Może lepiej wezmę notes i zapiszę to sobie.

– A także – ciągnął powoli „Wódz” – żadnych kobiet w koszarach po dziesiątej godzinie. Chyba że białe. Wszystkie inne, żółte, czarne czy brązowe, muszą odstawić do kancelarii kompanii, gdzie Holmes daje mi pokwitowanie i przekazuje je Wielkiemu Białemu Ojcu.

Spojrzał z powagą na Prewa, który udawał, że notuje to sobie na mankiecie.

– Co jeszcze? – zapytał Prewitt.

– To wszystko – odpowiedział „Wódz”.

Prew uśmiechnął się do niego i na ową wzmiankę o ciemnoskórych kobietach pomyślał o swojej dziewczynie w Haleiowie; już po raz trzeci od rana myślał o niej, ale – rzecz dziwna – tym razem ta myśl nie była przykra i mógł rozmyślać o tym swobodnie, nieomal wierząc przez chwilę – choć wiedział, że tak nie jest – iż na każdym rogu stoją tu piękne kobiety, które tylko czekają, żeby je wybrał i został ich kochankiem, i dał im, czego chcą. Ciepło powolnej, maskowanej obojętnością przyjaźni „Wodza” wypełniło w nim jakieś puste miejsce.

Na dole rozległ się gwizdek i jednocześnie trębacz służbowy zaczął trąbić na dziedzińcu sygnał na zbiórkę do pracy porządkowej, a Prew zdobył się na to, że wysłuchał go obiektywnie. Doszedł do wniosku, że sygnał odegrano bardzo źle, nawet w przybliżeniu nie tak dobrze, jak on by to mógł zrobić.

– Czas, żebyś wychodził na zbiórkę – powiedział z powagą „Wódz” dźwigając swoje masywne ciało z pryczy. – Ja chyba utnę sobie drzemkę i trochę poleżę.

– Ty draniu! – powiedział Prew biorąc kapelusz.

– A potem, o czwartej – ciągnął Choate – machnę się do Choya zobaczyć, jak tam piwo. Teraz jest okres mojego treningu.

Prew ze śmiechem ruszył przejściem, potem obrócił się do Indianina.

– Coś mi się zdaje, że tamte śniadaniowe rozmowy już nie wrócą – powiedział i nagle spieszył się tym, czego nie powinien był powiedzieć.

– Co? – spytał „Wódz” bez wyrazu. – A, to. Uhm, myślę, że chyba nie.

Odwrócił się prędko i poszedł ku swojej pryczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Istnieje w wojsku mało znana, ale bardzo doniosła czynność, nazywająca się służbą porządkową. Służba porządkowa w wojsku to nader konieczne usuwanie i naprawianie skutków codziennego życia. Każdy, kto kiedyś miał strzelbę, zapoznał się z tym, gdy po piętnastu minutach w lesie i może trzech strzałach do jakiejś nieuchwytnej wiewiórki wracał do domu i spędzał trzy kwadransy na czyszczeniu broni, ażeby ją mieć gotową, kiedy następnym razem pójdzie do lasu. Każda kobieta, która kiedykolwiek ugotowała smaczną potrawę i nałożyła ją na talerze przy stole, poznaje „służbę porządkową”, gdy po zjedzeniu wybornego posiłku udaje się do kuchni, ażeby zmywać zakrzepły sos z naczyń i ośliżyć tłuszcz z garnków po to, by były gotowe do użytku na wieczór, znów zabrudzone i znowu zmywane. Właśnie świadomość, że to nie ma końca i że powtarza się wciąż bezpłodnie, że robi się coś dlatego, żeby móc to robić od nowa, czyni służbę porządkową tak męczącą.

Natomiast każdy, kto wystrzeliwszy ze strzelby do wiewiórek, oddaje ją swemu młodszemu synowi do wyczyszczenia, każda kobieta, która ugotowała smaczną potrawę daje naczynia do zmywania swojej nie gotującej córce – wszyscy tacy dorośli rozumieją stosunek oficera do służby porządkowej. Syn zaś i córka mogą zrozumieć, jak odnoszą się do niej szeregowcy.

Służba porządkowa w wojsku zajmuje pięćdziesiąt procent czasu przeznaczanego na zajęcia; rano są ćwiczenia, a po południu służba porządkowa, ale te pięćdziesiąt procent przemilcza się w kompanii werbunkowej i na ślicznych plakatach wywieszonych przed każdym urzędem pocztowym w kraju, a ustawicznie sławiących romantyzm życia żołnierskiego, możliwość pełnych przygód zamorskich podróży (można zabrać żonę), niezwykle wysokiej płacy dla nieżonatych (jeżeli uzyska się stopień), szansę dowodzenia innymi (jeżeli otrzyma się rangę oficerską) oraz bezcenne zalety, jakie ma wyuczenie się rzemiosła, które zapewni utrzymanie na całe życie. Rekrut dowiaduje się o służbie porządkowej dopiero w jakiś czas po tym, gdy podniósł prawą rękę do przysięgi – a wtedy jest już za późno.

Większość tych zajęć nie jest zbyt straszna: są tylko męczące. Istnieje bowiem to uzasadnienie, że są konieczne. Jeżeli ma być baseball, ktoś musi rozrzucić nawóz na boisku, ażeby porosło trawą, a nie można wymagać, by to robili sami gracze, ponieważ oni są od tego, żeby grać.

Jednakże w dodatku do niezbędnych zajęć, które są tylko męczące, istnieją w pułku piechoty inne zajęcia, nie tylko męczące, ale i poniżające. Trudno mieć romantyczny stosunek do kawalerii, kiedy trzeba obrządzać własnego konia, i trudno zachwycać się urokami

munduru, gdy trzeba czyścić własne buty. I właśnie tym tłumaczy się fakt, że oficerowie, którzy są wyżsi ponad tę czarną robotę, potrafią pisać tak emocjonujące wspomnienia wojenne. Żołnierza może nudzić pucowanie własnego pasa z ładownicami po każdych ćwiczeniach polowych, ale to go nie rozczarowuje; natomiast jeśli każdego popołudnia musi iść na osiedle żonatych oficerów, aby tam manicurować trawniki, myć okna, zamiatać podwórka i graczyć alejki, czuje się nie tylko rozczarowany, ale i poniżony, i wtedy dopiero naprawdę poznaje służbę porządkową.

Po każdym przyjęciu w Klubie Oficerskim musi się znaleźć jakaś lojalna i patriotyczna dusza, która opróżni popielniczki i pościere rozlane trunki. Jednakże na tym nie koniec. Istnieje jeszcze większa próba patriotyzmu. Istnieje wybieranie śmieci.

Raz na dwanaście dni, w kolejności batalionów, ta okazja do heroizmu przypadła w udziale każdej kompanii; i wybrana trzysobowa drużyna wyruszała ciężarówką, ażeby wywieźć śmieci – w odróżnieniu od odpadków, które wywoził z osiedla żonatych oficerów miejscowy przedsiębiorca specjalnym wozem.

Samo w sobie mogłoby to nie wydawać się zbyt patriotyczne, ale żony oficerów, nie mając w domu urządzeń do spalania śmieci, a obawiając się zatkania rur klozetowych, oraz nie chcąc używać po temu wozu zabierającego odpadki, którego właścicielem był osobnik cywilny mogący odmówić swych usług, wrzucały zużyte podpaski menstruacyjne do pojemników na śmieci.

Opróżnienie jednego pojemnika, wykorzystanego w ten sposób, mogło być bardzo patriotyczne, ale pod koniec popołudnia, gdy ciężarówka była pełna, suma patriotyzmu wymaganego od drużyny stawała się olbrzymia. Warci byli co najmniej Krzyża Zasługi, kiedy idąc piechotą dwie mile od wysypiska, zamiast jechać na tyle wozu, wiedząc to, czego nie powie człowiekowi najbliższy przyjaciel, maszerowali wytrwale w zaduchu zepsutych ryb, który do nich przywierał.

Nawet niewrażliwe żołądki najpatriotyczniejszych i najprostszych żołnierzy były skłonne do buntu. A najbardziej buntowniczym z owych żołądków, jako że Warden kierował drużynami z kompanii G, był niezmiennie żołądek Prewitta.

Z każdym dniem stawało się coraz bardziej jasne, że ilekroć Prew znajdzie się u czoła dwuszeregu na zbiórce do służby porządkowej, Warden wybierze któreś z bardziej patriotycznych zajęć.

Jednym z nich było przywożenie mięsa. Rzeźnicy pułkowi, poza zaopatrywaniem żon oficerskich, dostarczali mięsa dla wszystkich poszczególnych kompanii. Rzeźnicy, żołnierze na funkcji specjalnej, nie mieli nic przeciwko delikatniejszej pracy, polegającej na krajaniu steków i kotletów, ale prosili o drużyny porządkowe do cięższej i brudniejszej roboty,

polegającej na rozładowywaniu i przenoszeniu polci mięsa. Schludne, fasowane niebieskie drelichy Prewitta były po takim popołudniu sztywne od krwi i brudu. Miał ją na twarzy, w uszach, we włosach, a zjełczały odór jatki rzeźniczej snuł się za nim wszędzie. Kiedy Prew wracał, w progu korytarza stał Warden, z dwukrotnie podwiniętymi rękawami koszuli, schludny, wyświeżony i czysty po orzeźwiający prysznicu, i uśmiechał się czule.

– Lepiej pospieszcie się i umyćcie – mówił. – Już prawie po kolacji. Kompania siedzi przy stole od piętnastu minut. Albo może – uśmiechał się ironicznie – wolicie iść tak, jak jesteście, a umyć się później?

– Nie – odpowiadał mu poważnie Prew. – Chyba najpierw się umyję.

– Zawsze elegancik, co? – szczyrzył do niego zęby Warden. – Jak wolicie.

Któregoś dnia Warden zapytał go, czy nie wziąłby się jednak do boksu albo do baseballu.

– Wyglądasz na strasznie zmordowanego, chłopaku – uśmiechnął się.

– Gdybyś był za sportowca, nie musiałbyś odwalać służby porządkowej.

– Dlaczego przypuszczacie, że to mi robi różnicę?

– Nie powiedziałem, że tego nie lubisz, chłopaku – odrzekł z satysfakcją Warden. – Mówiłem tylko, że wyglądasz na zmordowanego. Całkiem wycieńczonego.

– Jeżeli wam się zdaje, że potraficie zmusić mnie do boksu – powiedział mu ponuro Prew – to się mylicie. Dam sobie radę ze wszystkim, co wymyślicie. Wy i „Dynamit” razem wzięci. Dałbym radę dwóm takim jak wy. Gdybyście nie mieli tych naszywek, wyciągnąłbym wasze cielsko na trawkę i zlałbym je na marmoladę. A jakbym nie dał rady pięściami, znalazłbym sobie nóż i spotkał się z wami któregoś wieczora na River Street.

– Nie przejmuj się moimi naszywkami, chłopcze – wyszczerzył zęby Warden. – Każdej chwili mogę zdjąć koszulę. Choćby zaraz.

– Chciałbyś, co? – odpowiedział mu z uśmiechem Prew. – Mógłbyś mi za taki numer wrzepić roczek w Obozie, prawda? – Odwrócił się, by wejść na górę.

– Skąd ci przyszło do głowy, że Holmes ma z tym coś wspólnego? – zawołał za nim Warden.

Były też i inne, pomniejszych niedogodności. Prew chciał wykorzystać swój pierwszy weekend w kompanii G, żeby pojechać do Haleiwy na rozmowę ze swoją dziewczyną, ale przez cały pierwszy tydzień był jako nowo przydzielony ofiarą rozkładu służby Wardena, a jego nazwisko znajdowało się na czele każdej listy ludzi przeznaczonych na dodatkowe zajęcia. Warden nieubłaganie wykorzystywał swoją przewagę.

W miarę jak tydzień upływał, a Prew nie widział swego nazwiska na żadnej liście roboczej, jego żołnierska intuicja zaczęła mu podszeptywać ostrzeżenia. W piątek, kiedy

wywieszono na tablicy nazwiska służbowych na sobotę i niedzielę, podejrzenie to stało się faktem. Warden zachował dla niego służbę kuchenną na weekend. Ale Warden był jeszcze chytrzejszy, niż Prew myślał. Prew dostał na niedzielę służbę kuchenną, a na sobotę służbę sprzątającego. Nie miał mieć nawet jednego wolnego dnia, żeby pojechać do Haleiwy.

W niedzielę około jedenastej Warden przyszedł do kuchni na śniadanie. Był sierżantem-szefem i nie musiał jadać o oznaczonej porze tak jak reszta. Zjadł na śniadanie naleśniki, jajka i kiełbaski; kompania dostała naleśniki i bekon – to, co przygotował Preem wysypiający się smacznie na pryczy. Warden oparł się o aluminiowy stół do pieczywa pod dużym wieszadłem na naczynia i jadł ze smakiem, na oczach spoconej obsługi kuchni. Potem przeszedł niespiesznie do izby służbowych mijając ogromną, wbudowaną w ścianę lodówkę.

– Kogo ja widzę – powiedział z obojętną miną, opierając się swobodnie o framugę drzwi. – Mój młody przyjaciel Prewitt! Jak wam się podoba służba, Prewitt? Życie w kompanii strzelców?

Kucharze i reszta obsługi kuchennej patrzyli ciekawie, bo Warden prawie nigdy nie spędzał weekendu w koszarach. Spodziewali się czegoś dużego.

– Podoba mi się, szefie – wyszczerzył zęby Prew starając się, żeby ten uśmiech wypadł przekonująco. Podniósł wzrok znad parującego zlewu, nad którym stał pochylony, nagi do pasa, w spodniach roboczych i butach wilgotnych od potu i mydlin. – Dlatego się tu przeniosłem – dodał z powagą. – To fajne życie. Jak znajdę perłę, dopuszczę was do udziału. Po połowie. Gdyby nie wy, nie miałbym szansy jej *znaleźć*.

– No, no – powiedział Warden śmiejąc się miło. – Ma się przyjaciela. Porządnego gościa. „Dynamit” miał w Bliss swojego Preema i Galowicza, a ja miałem w kompanii A mojego Prewitta. Jak ludzie służyli razem, to nie ma rzeczy, której by dla siebie nie zrobili. Ponieważ tak wam się spodobało, postaram się, żebyście mieli tego dużo więcej, Prewitt.

Uśmiechnął się do niego podnosząc brwi wysokim łukiem na czoło. Później Prew zawsze pamiętał tę minę jako znak tajemnego porozumienia, spojrzenie, które niejako odsuwało na bok kucharzy, obsługę, kuchnię i wszystko inne, pozostawiając tylko te dwie pary oczu, które rozpoznawały się wzajemnie.

Ujął spokojnie ciężki dzban bez ucha, stojący na dnie zlewu, i czekał, co Warden dalej powie. Ale Warden jakby dostrzegł jego dłoń na tym dzbanie pod wodą, bo znowu uśmiechnął się czule i odszedł pozostawiając Prewa stojącego tam nedorzecznie, z zuchwale romantycznym wyobrażeniem siebie samego podrywającego się w morderczym tryumfie z owym dzbanem w garści.

Jednakże pomimo groźby Wardena nazwisko Prewa nie znalazło się więcej na liście służb porządkowych. Na następny weekend mógł pojechać do Haleiwy. Był to ten sam

ciekawy fakt, który już przedtem zaobserwował w kompanii A: Warden na swój dziwaczny sposób był skrupulatnie uczciwy; nigdy nie przekraczał swej osobistej, wyznaczonej sobie samemu linii przyzwoitości.

Prew uświadomił sobie, że powinien był napisać list do Violet; raz nawet, w połowie drugiego tygodnia, pomyślał o tym przez chwilę. Ale nie napisał. Listy, podobnie jak telefony międzymiastowe, nigdy nie mogły go przekonać o istnieniu drugiej istoty ludzkiej, żyjącej gdzieś daleko w tej samej terażniejszości, w której żył on. Violet w gruncie rzeczy nie istniała, dopóki jej nie zobaczył, a wtedy zaczynała się znowu w tym samym punkcie, w którym ją przedtem zostawił. Podczas tej przerwy żyła tylko w jego myślach, a jakże można pisać list do własnego wyobrażenia?

Pamiętał, że jako mały chłopiec widywał często matkę pisującą długie listy do różnych krewnych i przyjaciół, z których niejednego nigdy nie oglądał na oczy. Było to „konikiem” jego matki, ale jemu już wtedy wydawało się dziwne pisanie listów z Harlan w Kentucky do innych miast, do ludzi, których matka nie widziała od lat i zapewne nie miała więcej zobaczyć. I to wtedy, gdy jego ojciec mógł każdej chwili zostać zaskoczony zawałem w kopalni i zginąć, zanim nadeszłaby odpowiedź. Kiedy matka umarła tamtej zimy strajkowej, przyszło sześć listów adresowanych do niej. Popatrzał wówczas na jej nazwisko na wszystkich kopertach – nazwisko tej, co już nie żyła, wciąż istniejące na papierze, a potem otworzył listy i przeczytał je z zaciekawieniem: ani jeden nie wspominał o fakcie, że umarła. Wsadził je do pieca i spalił. Było tu jakieś opóźnienie istniejące niejako w przestrzeni, nie w czasie, i potem nigdy nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

A zatem nie napisał do Violet, bo pisanie listów nie miało prawdziwego związku z rzeczywistością śmierci, poruszania się, jedzenia. Czekał na wolną chwilę, by móc pojechać i zobaczyć się ze swoją dziewczyną.

Czekała na niego w drzwiach, oparta o framugę, wyglądając przez zasłonę siatkową, z ręką na drugiej framudze, jakby zagradzała wejście komiwojażerowi. Wydało mu się, że gdyby o którejkolwiek porze dnia czy nocy przyszedł tą szutrową drogą od skrzyżowania szos, zawsze czekałaby na niego w tej samej pozycji, tak jakby dopiero co zatelefonował, a ona go wyglądała. To było niesamowite, zupełnie jak gdyby zawsze wiedziała, kiedy przyjedzie. Ale nie było dziwniejsze od innych związanych z nią rzeczy.

Nigdy nie pretendował do rozumienia Violet, odkąd ją poznał w Kahuku, zabrał na zabawę i znając owe zabawy, które są takie same we wszystkich zakątkach ziemi, przekonał się, że Violet była jeszcze dziewczicą. To samo w sobie zdumiało go i od tej pory nie mógł się z tego otrząsnąć.

Violet Ogure. O-gu-rdi. To „r” wymawiało się jak pijackie „d”. Nawet nazwisko było

dziwne i nieobliczalne. Dziwność obcego kraju jest zrozumiała, bo jadąc między cudzoziemców spodziewamy się jej, a nawet szukamy. Ale połączenie zwykłego imienia i z cudzoziemska wymawianego nazwiska było niepojęte. Z Violet było to samo, co ze wszystkimi dziewczynami pochodzącymi w drugim czy trzecim pokoleniu z krwi japońskiej, chińskiej, hawajskiej, portugalskiej czy filipińskiej i mającymi imiona nadawane według kwiatów angielskich, a nazwiska idące poprzez obce stulecia – dziewczynami, których rodziców przywieziono jak bydło, ażeby uprawiali trzcinę cukrową i ananasy dla Wielkiej Piątki, dziewczynami, których synowie znajdowali się często wśród niezliczonych zastępów małych chłopców czyszczących ludziom buty na trotuarze przed barem i powtarzających odwieczne wyjaśnienie: „Ja pół-Japoniec, pół-Schofield”, albo, uśmiechając się krzywo: „Ja pół-Chiniec, pół-Schofield”. Plemię spłodzone przez żołnierzy, co odsłużyli swą służbę i tajemniczo zniknęli wracając do tego mitycznego „Kraju”, którym były Stany Zjednoczone. Violet stanowiła sprzeczną w swojej istocie mieszaninę czegoś ogromnie swojskiego i niepojęcie obcego; była jak miasto Honolulu z jego potężnymi, należącymi do misjonarzy gmachami banków i ruderami kin wyświetlających filmy w japońskim języku zaraz za parkiem Aala – wielorodnym stopem, którego nikt, a już zwłaszcza sama Violet, nie mógł pojąć. Prew nauczył się wymawiać poprawnie jej nazwisko, i to było wszystko, czego się o niej dowiedział.

Wszedł do zaniedbanego, zapaskudzonego przez kury frontowego ogródka, a ona wyszła na ganek prymitywnej przybudówki. Wziął Violet za rękę i pomógł jej zejść z trzech spróchniałych schodków, po czym przeszli na tyły domu, który to rytuał powtarzali za każdym razem, ponieważ odkąd tu przychodził, nigdy nie zapraszano go ani nie wpuszczano do frontowego pokoju.

Ganek od podwórka był trzy razy większy niż przed frontową przybudówką, bez zasłon siatkowych, tylko z plecionką pnączy rosnących od ziemi do dachu, co czyniło z niego rodzaj odosobnionej pieczary, nieledwie jeszcze jeden pokój, będący salonem rodziny Ogure.

W sypialni Violet obok kuchni panował wieczny bałagan. Kapa na obłożonym z pozłoty, żelaznym łóżku była zawsze wymięta, a sukienki zawsze rozwieszane na poręczu łóżka i jednym jedynym krześle. Na prostej toaletce widniał rozsypany puder, ale w rogu był schowek na ubrania, zrobiony z listew i zasłonięty soczyście zielonym i bujnie ukwieconym materiałem, produkowanym specjalnie dla Hawajów. Violet sporządziła sama ten schowek, mający uzmysłwić całą brzemienne nadzieję, że kiedyś będzie coś lepszego.

Prew ściągnął hawajską koszulę i spodnie i nagi zaczął szperać wśród tego bałaganu szukając swoich spodenek kąpielowych, poruszając się ze swobodą kogoś od dawna zdomowionego. Nieporządek mu nie przeszkadzał: kiedy odtrącał kopniakiem pantofle i

przerzucał suknie z krzesła na łóżko, czuł się w tej ruderze bardziej u siebie niż Violet.

Grupa nędznych domostw wyrastających na wzgórzach po obu stronach drogi mogłaby być jego rodzinnym Harlan, gdyby nie brak sadzy i pyłu węglowego. Ten tylny ganek, zardzewiała pompa, poszczerbiony zlew z cynkowanym wiadrem i emaliowaną chochlą – wszystko to stanowiło tworzywo jego życia i w zagęszczonym powietrzu tej biedy poruszał się ze swobodą, którą może mieć tylko ten, kto poznał te rzeczy z bliska.

Szukając spodenek opowiedział jej o swoim przeniesieniu i o tym, dlaczego nie przychodził tak długo.

– Ale czemu ty się przeniosłeś, Bobby? – spytała Violet tym urywanym, świergotliwym głosem, który zawsze pobudzał go do śmiechu. Siedziała na łóżku i patrzyła, jak zmieniał buty i skarpetki na stare płócienne pantofle rybackie.

Czyste powietrze przenikało z zewnątrz przez jedyne okno, o którym jak gdyby przypomniano sobie w ostatniej chwili, i obmywało półmrok i zatęchły odór nieświeżej pościeli. Muskało chłodno jego ciało i kiedy popatrzał na Violet siedzącą w majteczkach i staniku, poczuł, jak dawny, dziki przypływ pożądania napina mu brzuch i wyciska pot na dłonie.

– Co? – spytał z roztargnieniem. – Aha. Ja się nie przeniosłem. To mnie przenieśli. Zrobił to Houston, bo mu wygarnąłem, co myślę.

– Słuchaj – powiedział. – W domu nie ma nikogo. Może byśmy poszli do łóżka?

Trzy tygodnie, z krwią napływającą do oczu, prawie miesiąc, to było za dużo czekania.

– Poczekaj – odparła. – Nie mogłeś pójść do oficera i poprosić, żeby cię zostawili?

– Owszem – Prew kiwnął nerwowo głową, myśląc, że w wojsku jeszcze bardziej się tego chce, że człowiek jest bardziej wygłodzony. – Mogłem. Ale nie potrafiłem. Nie umiem być wazelinierzem.

– Ano, tak – powiedziała. – Ale chyba można było wymyślić jakiś argument. Jeżeli miałeś dobrą funkcję, którą chciałeś zatrzymać.

– Można było – odparł. – Ale nie ma funkcji, na której tak by mi zależało, rozumiesz? Nie było innego wyjścia. Słuchaj – powiedział.

– Chodź tutaj. Chodź do mnie.

– Nie teraz – odpowiedziała. Obserwowała go niemal ciekawie, patrząc mu w twarz. – To chyba szkoda tracić taką dobrą funkcję i stopień.

– Ano szkoda – odparł. – „Cholera z tym” – pomyślał. – Nie zostało tu nic do picia?

– Jest jeszcze trochę w tej butelce, coś ją przyniósł zeszłym razem

– powiedziała. – Ja tego nie tknęłam, bo to było twoje – wstała dumnie.

– Jest w kuchni. I, zdaje się, jest też druga, nie napoczęta, którą przyniosłeś już dawno temu. Chcesz się napić?

– Tak – odpowiedział i poszedł za nią do kuchni. – Widzisz – zaczął wyjaśniać ostrożnie – nie będę mógł teraz przychodzić do ciebie tak często jak dawniej. Poza tym będę dostawał tylko dwadzieścia jeden miesięcznie, więc nie będę mógł także dawać ci tyle forsy co przedtem.

Violet kiwnęła głową. Nie sposób było odgadnąć, czy to zrobiło na niej takie czy inne wrażenie. Postanowił zostawić na razie ten temat; nie było sensu psuć sobie tego w tej chwili.

– Chodźmy w tamto miejsce na wzgórzu – powiedział. – W nasze miejsce – dodał poufnie i zawstydził się, bo poczuł, że teraz ją prosi. Tyle czasu bez tego dawało się we znaki i krew pulsowała w nim bujniejsza i bardziej stężona.

– Dobrze – odrzekła. Drzwiczki kredensu nie miały szybek, ale otworzyła je mimo to, by wyjąć butelkę; brak szybek wyraźnie ją peszył.

Kiedy podniosła ręce, Prew od tyłu położył jej obie dłonie na piersiach. Violet z irytacją szarpnęła ramionami do dołu, a wtedy okręcił ją i przytrzymał jej ręce wzdłuż boków, pocałował Violet, która trzymała butelkę w dłoni. Boso była dużo niższa od niego.

Poszli pod górę przez gęstą, suchą trawę. Prew niósł butelkę, a słońce grzało ich przyjemnie w plecy. Na wzgórzu położyli się w małej kępcie drzew, w gęstej, zielonej i rudej, żywej i zwiędłej trawie. Widać stąd było dom nieomal prosto pod nimi w dole.

– Ładnie tu, nie? – spytał Prew.

– Nie – zaprzeczyła Violet. – Brzydko. Okropnie brzydko.

W dole rozpościerała się grupa mizernych domków, bezimienna miejscowość nie figurująca na mapach turystycznych, a wyglądająca tak, jak gdyby pierwszy silniejszy wiatr mógł ją roznieść. Byli na szczycie wzgórza, na wierzchołku dużego zakola, i mogli stąd widzieć rozrzucone w dole domki albo pole zielonej trzciny cukrowej po drugiej stronie.

– Jak byłem mały, mieszkałem w bardzo podobnej miejscowości – powiedział Prew. – Tylko że była dużo większa. Ale taka sama.

– Myślał o wszystkich zagubionych wspomnieniach, które wracały teraz, niosąc w sobie tyle życia i wzruszenia, i cisnąc się na pamięć, i których nie można było nigdy nikomu wyrazić, bo nie miały ze sobą żadnego związku. Przyszedł na niego smutek z powodu ich utraty i braku wszelkiego znaczenia.

– I podobało ci się tam? – spytała Violet.

– Nie – odparł. – Nie podobało mi się. Ale od tamtych czasów mieszkałem w diabli wiedzą ilu gorszych miejscach.

Przekręcił się na wznak i popatrzał na słońce migoczące między liśćmi drzew. Poczuł,

jak spływa na niego ten nastrój „soboty na przepustce”, jak go owiewa niczym liście jesienią w kraju. Szeptał mu on: „Życie zaczyna się znowu dopiero w poniedziałek.” „Gdyby tylko całe życie mogło być takie – odszepnął. – Gdyby całe życie mogło być trzydniową przepustką.”

„To są mrzonki, Prewitt.” Napił się trochę z butelki i podał ją Violet. Wypiła, wsparta na łokciu, spoglądając na domki. Piła czystą whisky tak samo jak on, jak gdyby to była woda.

– To straszne – powiedziała, wciąż patrząc w dół. – Nikt nigdy nie powinien mieszkać w takim miejscu. Tata i mama przyjechali tu z Hokkaido. Nawet ten dom nie jest ich.

Oddała mu butelkę, a on chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Pocałował Violet, ona zaś po raz pierwszy odwzajemniła pocałunek przykładając mu dłoń do policzka.

– Bobby – powiedziała. – Bobby.

– Chodź – szepnął obracając się. – No, chodź.

Ale Violet cofnęła się spoglądając na swój tani zegarek.

– Mama i tata wrócą lada chwila. Prew usiadł na trawie.

– No to co? – powiedział ze złością. – Przecież tutaj nie przyjdą.

– Nie o to chodzi, Bobby. Zaczekaj do nocy. W nocy jest na to pora.

– Nie – odparł. – Każda pora jest dobra. Jeżeli się ma ochotę.

– Właśnie – powiedziała. – Ja nie mam ochoty. A oni zaraz przyjdą.

– Ale przecież wiedzą, że w nocy śpiamy w jednym łóżku.

– Wiesz, jaki mam stosunek do rodziców – rzekła Violet.

– Owszem, ale oni wiedzą – odparł. A potem nagle zastanowił się, czy tak jest. – Przecież muszą wiedzieć?

– Po południu jest inaczej. Jeszcze nie wracają do domu po pracy. A ty jesteś żołnierz.

– Przerwała i sięgnęła po stojącą w trawie butelkę. – Przecież ukończyłam gimnazjum Leilehua – oświadczyła.

„Nie skończyłaś nawet siedmiu klas” – pomyślał. Widział to gimnazjum w Wahiawie. Było takie jak każde inne.

– No to co z tego, że jestem żołnierzem? – zapytał. – Co w tym złego, że ktoś jest żołnierzem, psiakrew? Żołnierz nie jest wcale gorszy od innych.

– Wiem – odrzekła Violet.

– Żołnierze to też ludzie, tak jak wszyscy – nalegał.

– Wiem o tym – powiedziała Violet – ale ty nie rozumiesz. Tyle dziewczyn Nisei chodzi z żołnierzami.

– To co? – zapytał i przypomniał sobie piosenkę: „Mój Manelo, chłopcze drogi, nie będzie więcej hila-hila; siostrzyczka twoja poszła z żołnierzem, więc wracaj zaraz do domu.”

– Wszyscy żołnierze chcą się z nimi położyć – powiedziała Violet.

– No, ale one chodzą i z cywilami. A ci też tego chcą. Więc co w tym złego?

– Nic złego – odparła. – Ale dziewczyna *wahine* musi się szanować. Przyzwoita dziewczyna Nisei nie chodzi z żołnierzami.

– Tak samo żadna przyzwoita biała – powiedział Prew. – Ani żadna inna dziewczyna. Ale żołnierze niczym się nie różnią od tych cholernych podoficerów. Wszyscy chcą tego samego.

– Wiem – odrzekła Violet. – Nie złość się. Chodzi o to, co ludzie myślą o żołnierzach.

– No to dlaczego twoi rodzice mnie nie wygonią albo co? Dlaczego nic nie mówią, jeżeli im się to nie podoba?

Violet była zaskoczona.

– Tego by nigdy nie zrobili.

– Ale, psiakrew, wszyscy sąsiedzi wiedzą, że tu wciąż przychodzę.

– Tak, ale też nigdy by o tym nie wspomnieli.

Prewitt popatrzał na nią, leżącą na wznak w cętkowanym świetle słońca, i na krótkie, obcisłe nogawki jej szortów.

– Miałabyś chęć wynieść się stąd? – zapytał ostrożnie.

– Marzyłabym o tym.

– Ano – powiedział badając grunt. – Możesz niedługo mieć okazję. Tylko – odparła Violet – że nie będą z tobą żyła. Wiesz, że nie mogę tego robić.

– Teraz żyjemy ze sobą – powiedział. – Różnisz się od innych dziewczyn tylko tym, że mieszkasz przy rodzicach.

– A to jest zasadnicza różnica – odrzekła Violet. – Nie ma co o tym mówić. Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

– Racja – powiedział Prew. Życie zaczynało się dopiero w poniedziałek rano. Można było z tym poczekać do jutra. Przekreślił się na wznak i leżał wpatrując się w niewiarygodny błękit hawajskiego nieba. – Popatrz na zachód – powiedział. – Tam, na zachodzie, dmie sztorm. Spójrz na ten wał chmur.

– Chmury są piękne – powiedziała Violet. – Takie czarne. I piętrzą się coraz wyżej i wyżej jedna na drugiej, jak górskie ściany.

– To linia burz – rzekł Prewitt. – Sam początek pory deszczowej. – Nasz dach przecieka – powiedziała Violet. Sięgnęła po butelkę.

Prew obserwował nadciągającą masę chmur.

– Ale dlaczego twoi starzy cię nie wyrzuca? Jeżeli tak jest. Żeś mnie tu sprowadziła – zapytał.

Violet zdziwiła się.

– Przecież jestem ich córką – odpowiedziała mu.

– No – rzekł. – Chodźmy. Możemy już wracać. Niedługo będzie padało.

Nawałnica przyszła wprędce po przewaleniu się przez góry. Podczas kolacji padał już rzęsy deszcz. Prew siedział sam na tylnym ganku, a Violet pomagała matce przygotować posiłek. Jej ojciec siedział samotnie we frontowym pokoju.

Starzy – tak zawsze nazywał ich w myśli – wrócili do domu przed deszczem, paplając coś po japońsku w stronę zatłoczonego starego forda, który ich przywiózł, po czym poturkotał drogą do następnego domu. Ten ford był wspólną własnością pięciu rodzin; podobnie cała miejscowa społeczność wybudowała i posiadała wspólnie wielomilowe śluzy ze starego drewna, które sterczały na całej długości małej doliny niczym rusztowanie użyte do wzniesienia gór przed zaraniem dziejów.

Oboje podreptali przez dom na tylny ganek, gdzie Prew siedział z Violet, i pospieszyli dalej, ażeby przed burzą okopać swój schludny ogródek warzywny, do którego spływała woda ze śluz. Prew obserwował ich, schylonych, przygarbionych, z twarzami, które wyglądały jak wyrzeżane w starym, zeschniętym jabłku, i czuł święte oburzenie na cały rodzaj ludzki za sposób ich życia – tych dwojga, którzy wyglądali na dziadków albo pradziadków Violet, chociaż nie mieli jeszcze czterdziestu lat.

Ich ogródek podzielony na nieskazitelne małe kwadraty i trójkąty z wykorzystaniem każdego cala ziemi, składający się z grządek rzodkiewek, kapusty, sałaty i taro oraz z małego, pokrytego wodą splachetka ryżu plus pół tuzina zamorskich jarzyn, był ich życiem i świadectwem ich pracowitości. Okopywali go, dopóki nie zaczął padać deszcz, i dopiero wtedy przestali i odłożyli motyki. Kiedy weszli na ganek, nie odezwali się do Prewa ani nie zdawali się dostrzegać, że tam jest.

Siedząc samotnie na ganku i słuchając odgłosów gotowania kolacji, doświadczył znów tego oburzenia, które czuł przedtem, poczucia utraty i osamotnienia, całkowitej bezbronności będącej losem każdego człowieka, zamkniętego jak pszczoła w swojej komórce plastra i odgradzonego od wszystkich innych na świecie. Ale zapach gotowanych jarzyn i wieprzowiny doleciał do niego z wnętrza domu i samotność na chwilę go opuściła. Ciepły, wilgotny zapach świadczył, że inni ludzie żyją i przygotowują kolację.

Violet zawołała go, więc wszedł do środka, czując, że wojsko i dziwne, dzikie oczy Wardena są gdzieś bardzo daleko, że poniedziałkowe rano to zły sen, dawne wspomnienie, zimne jak księżyc i równie dalekie. Zasiadł przed dymiącym półmiskiem mdłych egzotycznych jarzyn i kawałków wieprzowiny i począł jeść ze smakiem.

Kiedy skończyli, ojciec i matka Violet złożyli swoje talerze w zlewie i podreptali

cicho, bez słowa, do frontowego pokoju, gdzie były barwne ołtarzyki i gdzie Prewa nigdy nie zaproszono. Przez całą kolację nie odezwali się ani słowem, ale Prew już dawno nauczył się nie próbować nawiązywania z nimi rozmowy. On i Violet pozostali w kuchni, popijając w milczeniu aromatyczną herbatę, słuchając, jak wiatr wstrząsa domkiem, a deszcz bębni ogłuszająco po dachu z blachy falistej. Potem, podobnie jak Violet, złożył talerze w starym, wyszczerbionym zlewie, czując się tutaj dobrze i całkowicie u siebie. Jediną rzeczą, jakiej mu brakowało, była filiżanka kawy.

Kiedy znaleźli się w jej sypialni, Violet beztrąsko pozostawiła drzwi szeroko otwarte, choć wychodziły prosto na oświetlony pokój frontowy. Prew widział refleks migotliwego światła na jej złocistym ciele, kiedy obracała się jakoś rzeczowo do niego. Ta rzeczowość sprawiła mu przyjemność, dała poczucie trwałości i ciągłości, które żołnierz ma rzadko; ale utrapienie tych obojętnie otwartych drzwi napawało go obawą, że jest widoczny, zawstydzono własnym jego pożądaniem.

Obudził się raz w środku nocy. Burza przeszła i księżyc świecił jasno przez otwarte okno. Violet leżała tyłem do niego, z głową opartą na przygiętym łokciu. Po sztywności jej ciała poznał, że nie śpi, położywszy dłoń na jej nagim biodrze obrócił ją do siebie. W głębokim zaokrągleniu jej biodra, w podciętych złączeniach kuli i podstawy poniżej była nieskończona doskonałość jubilerskiej precyzji, która budziła w nim podziw i jakieś oczyszczające zrozumienie i zapalała mu płynne, złote plamki pod powiekami.

Violet przekreśliła się chętnie, wcale nie sennie, a on zastanowił się, o czym też myślała leżąc tak i czuwając. Kiedy nasuwał się na nią, uświadomił sobie znowu, że nie zna jej twarzy ani imienia, że w tym akcie, który zbliża dwie ludzkie wyobraźnie tak bardzo, jak to jest w ogóle możliwe, tak blisko, że jedna wnika w drugą, on nadal jej nie zna ani ona jego i nie mogą dotrzeć nawzajem do siebie. Dla mężczyzny, który spędza życie pośród płaskich, owłosionych kanciastości innych mężczyzn, wszystkie kobiety są krągłe i miękkie i wszystkie niezgłębione i dziwne. Ta myśl minęła szybko.

Rano obudził się leżąc na wznak, odkryty. Drzwi były wciąż otwarte, a Violet z matką krzątały się w kuchni. Pochamował chęć naciągnięcia kołdry na swoją nagość, wstał i włożył kalessony, głęboko zawstydzony i skępowany swoją obwisłą męskością, której nienawidzą wszystkie kobiety. Stara nie zwróciła na niego uwagi, kiedy wszedł do kuchni.

Po rannym sprzątaniu, gdy starzy podreptali w milczeniu z domu, ażeby odwiedzić sąsiadów, Prew przemyślał sobie całą sprawę i w końcu, rzecz charakterystyczna, postawił ją jasno.

– Chcę, żebyś przeniosła się do Wahaiwy i żyła ze mną – powiedział prosto z mostu.

Violet siedziała w fotelu na ganku, na wpół obrócona do niego, z łokciem na poręczu

fotela, a policzkiem opartym o na wpół zaciśniętą pięść.

– Czemu, Bobby? – Dalej wpatrywała się w niego ciekawie z tą samą ciekawością, z którą go zawsze obserwowała, jak gdyby widząc po raz pierwszy ów złożony mechanizm, z którego czerpała przyjemność i który zawsze uważała za prosty. – Przecież wiesz, że nie mogę. Po co doprowadzać do awantury?

– Bo nie będę mógł tu więcej przyjeżdżać tak jak przedtem – powiedział. – Zanim mnie przenieśli. Gdybyśmy mieszkali w Wahawie, przychodziłbym do domu każdego wieczora.

– A co jest złego w takim sposobie życia? – spytała tym samym dziwnym tonem. – Mnie to nie szkodzi, że przyjeżdżasz tylko na weekend. Nie musisz przychodzić co wieczór tak jak dawniej, zanim cię przenieśli.

– Weekendy nie wystarczają – odparł. – Przynajmniej mnie.

– Jeżeli ze mną zerwiesz – powiedziała Violet – nie będziesz tego miał nawet tak często, prawda? Nie znajdziesz kobiety, która by chciała żyć z szeregowcem zarabiającym dwadzieścia jeden dolarów.

– Nie lubię być z twoimi rodzicami – rzekł Prew. – Peszą mnie; nie lubią mnie. Jeżeli mamy ze sobą żyć, to możemy ze sobą żyć. Zamiast tej całej połowiczności. Tak to wygląda.

Powiedział to po prostu, jak człowiek wyliczający wady i zalety nowego płaszcza wiosennego.

– Musiałabym rzucić pracę. Musiałabym *znaleźć* sobie zajęcie w Wahawie. To może być trudne, chyba że bym wzięła posadę kelnerki w barze, a tego nie mogę zrobić. Rzuciłam już pracę w Kahuku – ciągnęła obojętnie – i opuściłam przyjemny dom, gdzie należałam do rodziny, żeby wrócić tu, do tego parszywego miejsca, wbrew życzeniu rodziców, którzy nie chcieli, żebym się pozbywała lepszej pozycji. Zrobiłam to dlatego, żeby być tak blisko ciebie, abyś mógł przychodzić do mnie co noc. Zrobiłam to dlatego, że mnie prosiłeś.

– Wiem o tym – powiedział. – Wiem o tym. Ale nie wiedziałem, że to będzie tak.

– A czegoś się spodziewał? – spytała. – Nie zarabiasz dość, żeby płacić dziewczynie, Bobby.

– Zarabiałem. Mam jeszcze dostać prawie pełny miesięczny żołd jako starszy szeregowiec czwartej klasy – powiedział skwapliwie. – To nam wystarczy na miesiąc, dopóki nie znajdziesz posady, a ja trochę więcej forsy. Z twoją posadą i moimi dwudziestu jeden dolarami możemy żyć lepiej niż ty tutaj. A tobie się tu nie podoba. Nie ma powodu, żebyś nie wyjechała.

Przerwał na chwilę, żeby złapać dech, zdziwiony, że mówił tak szybko.

– Nie wierzyłeś mi, prawda, kiedy ci tłumaczyłam, że nie mogę wyjechać i że po co

doprowadzać do awantury? – powiedziała Violet. – Nie możesz mnie zmusić, Bobby. Mama i tata nie byliby za tym, nie puściliby mnie.

– Dlaczego nie byliby za tym? – zapytał usiłując powstrzymać się od podnoszenia głosu. – Bo jestem żołnierzem? A ciebie obchodzi, czy jestem żołnierzem, czy nie? Jeżeli tak, to dlaczego w ogóle spiknęłaś się ze mną, psiakrew? Dlaczegoś pozwoliła mi tu przychodzić? Oni nie mogą cię powstrzymać tym, że nie chcą, żebyś wyjechała. Więc czym?

– Byliby zhańbieni – powiedziała Violet.

– Ech, bzdury! – rzekł Prew popuszczając sobie wodzy. – Gdybym był jakimś tutejszym łąęgą, a nie żołnierzem, wszystko byłoby w porządku.

Wiedział, że do tego się to sprowadzi. Mogą żyć jak bydło, gorzej niż górnicy z Harlan, ale byliby zhańbieni, gdyby ich córka żyła z żołnierzem. Pozwolili, żeby Wielka Piątka wsadziła im trzcinę w tyłek, ale to nie było hańbiące. Oni nie byli żołnierzami. „Ubodzy – pomyślał – są zawsze najgorszymi wrogami samych siebie.”

– To nie jest tak, jak gdybyśmy byli małżeństwem – powiedziała łagodnie.

– Małżeństwem? – Prew oniemiał. Przemknął mu przed oczami obraz Dhoma, sierżanta z kompanii G, łysego, tęgiego i znękanego, za którym wlokła się jego tłusta, niechlujna filipińska żona i siedmioro bachorów-mieszkańców; nic dziwnego, że Dhom był brutalem, skoro był skazany na spędzanie całego życia w służbie na obczyźnie, niczym wygnaniec, dlatego że miał filipińską żonę.

Violet uśmiechnęła się widząc jego konsternację.

– A widzisz? Nie chcesz się ze mną ożenić. Spójrz na to od mojej strony. Kiedyś wrócisz do Kraju. Zabierzesz mnie ze sobą? Chcesz, żebym rzuciła rodziców, a potem została i bez nich, i bez ciebie! I może jeszcze z dzieckiem?

– A twoi starzy byliby zadowoleni, gdybyś za mnie wyszła?

– Nie, ale woleliby to niż tamto. Albo niż to, co teraz.

– Znaczący, że też byliby zhańbieni – powiedział Prew kwaśno. – Pojechałabyś, gdybym się z tobą ożenił?

– Oczywiście. Wtedy byłoby co innego. Jakbyś wracał do Kraju, pojechałabym z tobą. Byłabym twoją żoną.

„Moją żoną – pomyślał. – Ano, dlaczego nie?” Wzbierała w nim chęć, żeby tak zrobić. „Chwileczkę, kochany. Tak właśnie myślą wszyscy ci, co się w końcu żenią. Tak myślał Dhom. Z jednej strony widzą swoją swobodę, a z drugiej kawał ciała, tam gdzie je mogą zawsze dostać bez całego zawracania głowy, gdzie zawsze jest pod ręką, bez tych wielomiesięcznych zabiegów albo dziwek jako alternatywy. Więc czego chcesz?”

– Gdybym się z tobą ożenił i zabrał cię stąd – powiedział ostrożnie – nie byłoby

żadnej różnicy. Oboje bylibyśmy wyrzutkami. Nikt w Stanach nie zadawałby się z nami. A zresztą to, że bym się z tobą ożenił, nie znaczyłoby wcale, że muszę cię zabrać. Małżeństwo nic nie znaczy, dla większości ludzi znaczy mniej niż nic. Ja to wiem.

„Jak Dhom – pomyślał – który ożenił się dla tego kawałka ciała, a kiedy już został przyhaczony, jej raptem odechciało się mu go dawać.”

– A jednak nie chcesz się ze mną ożenić – powiedziała Violet.

– Masz rację, psiakrew, że nie chcę – odparł głosem, który podnosił się pod wpływem pięknego poczucia winy wywołanego świadomością, że powiedziała prawdę. – Gdybym miał siedzieć całe życie w Wahoo, byłoby co innego. Ale ja będę jeździł z miejsca na miejsce, ruszał się przez cały czas. Zaciągnąłem się na trzydzieści lat. I nie jestem oficerem, któremu rząd by płacił za wożenie ukochanej małżonki po całym cholernym świecie. Jako szeregowiec nie dostawałbym nawet dodatku na ciebie. Taki gość jak ja nie ma się co żenić. Ja jestem żołnierzem.

– A widzisz? – powiedziała. – Dlaczego nie zostawić wszystkiego tak, jak jest?

– Dlaczego – odparł. – Bo raz na tydzień to za mało. Bo ten kraj czeka wojna. Ja chcę na nią pójść. Nie chcę, żeby mnie pętało coś, co by mnie z niej wyłączyło. Bo jestem żołnierzem.

Violet odchyliła się w fotelu i złożyła głowę na oparciu, a ręce jej zwisały przez poręcz fotela. Wpatrywała się dalej ciekawie w Prewa ponad oparciem.

– A widzisz? – powiedziała. Prew wstał i postąpił ku niej.

– Dlaczego, psiakrew, miałbym się z tobą żenić? – warknął. – Żeby mieć bandę zasmarkanych czarnuchowatych bachorów? Żeby być cholernym mężem dzikuski i tyrać przez resztę życia na cholernych poletkach ananasów? Albo prowadzić taksówkę w Schofield? Jak myślisz, po co, u diabła, poszedłem do wojska? Bo nie chciałem przez całe życie wypacać z siebie serca i dumy w jakiejś przeklętej kopalni i mieć czeredy zasmarkanych bachorów, które w pyłe węglowym wyglądają jak Murzyny, tak jak je miał mój ojciec i jego ojciec, i wszyscy inni. Czego wy, baby, chcecie, do cholery? Wyjąć człowiekowi serce i obwiązać je drutem kolczastym, i podarować mamuńci na Dzień Matki? Czego wy, psiakrew...

Nie miał teraz na oczach pokrywy lodowej tak jak wtedy, gdy stał naprzeciw Wardena, tak jak wtedy, gdy starał się ją namówić; oczy gorzały mu płomieniem odkrywkowej kopalni, który tli się i tli, aż wreszcie bucha przez chwilę na powierzchnię. Wzdrygnął się, nabrał głęboko tchu i wziął się w garść.

Dziewczyna nieledwie widziała biały lodowy wał gniewu przetaczający mu się przez oczy, podobnie jak przedwieczne lodowce toczyły się poprzez ziemię. Siedziała odchyłona w

fotelu i pozwalala, by ten gniew ją omiatał, bezradna niby więźniowie polewani sikawką, poddająca się sile tego uderzenia, ulegająca mu zamiast je zwalczać, z cierpliwością zrodzoną z całych stuleci przygiętych grzbietów i twarzy podobnych do zasuszonych jabłek.

– Przepraszam cię, Violet – powiedział Prew zza swojej pokrywy lodowej .

– Nie szkodzi – odrzekła dziewczyna.

– Nie chciałem cię dotknąć.

– Nie szkodzi – powtórzyła.

– Sama musisz zdecydować – powiedział. – To przeniesienie zmienia cały mój tryb życia. Będzie ono teraz miało inny rytm, tak jak nowa piosenka. Stare i nowe piosenki nie są wcale do siebie podobne. Przyszedłem tu ostatni raz. Możesz się przeprowadzić albo nie. Kiedy człowiek zmienia swoje życie, musi je zmienić w całości. Nie może zachować niczego, co by mu przypominało dawne życie, bo wtedy to nie wyjdzie. Gdybym tu dalej przychodził, nabrałbym niechęci do tego przeniesienia i próbowałbym to zmienić. A nie mam zamiaru tak zrobić ani pozwolić, żeby ktoś wiedział, że tego bym chciał. Więc musisz zdecydować – powiedział.

– Nie mogę wyjechać, Bobby – odpowiedziała dziewczyna nie poruszając się, bez żadnej zmiany w głosie, siedząc w fotelu tak jak przedtem.

– Okej – rzekł. – To ja sobie pójdę. Widziałem masę gości mających mety w Wahaiwie. Dobrze im się tam dzieje. Oni i ich *wahine* urządzają razem przyjęcia i razem chodzą do kina, do baru. Wszyscy to robią. Dziewczyny nie są same. Nie bardziej same – powiedział – niż każda ludzka istota.

– A co się z nimi dzieje, kiedy żołnierze wyjeżdżają? – spytała. Jej oczy patrzyły daleko, ku drzewom na szczycie wzgórza.

– Nie wiem. I guzik mnie to obchodzi. Pewnie biorą sobie innych żołnierzy. No, to już pójdę.

Kiedy wychodził tylnymi drzwiami, niósł swoje tenisówki i butelkę whisky, tę prawie pełną i tę prawie pustą, zawinięte starannie w spodenki – wszystko, co tutaj miał, wszystko, co z sobą zabierał. Choć było tego tak niewiele, przecież zostało tu zdeponowane jako zabezpieczenie przepustki na wejście, jako zastaw uboczny na życie istniejące poza koszarami; zabierając to, wycofywał swoje roszczenie.

Violet dalej siedziała w tej samej, nie zmienionej pozycji, i Prew z przymusem uśmiechnął się do niej rozciągając z wysiłkiem wargi i odsłaniając zęby. Ale dziewczyna tego nie widziała ani nie zwróciła na niego uwagi. Zeszedł ze schodów i skręcił za róg domu.

Jej głos pobiegł za nim, za węgieł.

– Do widzenia, Bobby. Prew znów wyszczerzył zęby.

– *Aloha nui oe!* – odkrzyknął grając swoją rolę do końca, z silnym poczuciem dramatyczności.

Kiedy dotarł na szczyt pagórka, nie obejrzał się, ale czuł poprzez kark, że ona stoi w drzwiach, oparta o framugę, z ręką na drugiej framudze, tak jakby zagradzała wejście komiwojażerowi. Poszedł ku skrzyżowaniu nie oglądając się ani razu, widząc w myśli wspaniały, tragiczny obraz, jaki musiała tworzyć jego postać znikająca za wzgórzem – widząc go tak, jak gdyby to on sam stał tam w tyle, na progu. A najdziwniejsze było to, że nigdy nie kochał jej bardziej niż w tej chwili, bo w tej chwili stała się nim samym.

„Ale to nie jest miłość – myślał. – Ona tego nie chce ani żadna z nich; nie chcą, żeby ktoś odnajdywał w nich siebie, przeciwnie, chcą, żeby się w nich zagubił. A jednak – myślał – zawsze starają się znaleźć siebie w nas. Jaki by z ciebie był wspaniały aktor, Prewitt” – pomyślał.

Dopiero kiedy znalazł się za wzgórzem, mógł przestać grać swoją rolę, zatrzymać się, obrócić i obejrzeć pozwalając sobie na odczucie utraty.

I wydało mu się wtedy, że każdy człowiek zawsze szuka samego siebie – w barach, w pociągach, w biurach, w lustrach, w miłości, zwłaszcza w miłości – szuka w każdym innym człowieku własnego „ja”, które gdzieś jest. Miłość nie polega na tym, by siebie dawać, ale by siebie odnaleźć, by siebie opisać. Cała koncepcja została błędnie pomyślana. Bo jedyną częścią człowieka, którą on sam może namacać czy zrozumieć, jest ta, którą w sobie poznaje. I zawsze poszukuje sposobu wyrwania się ze swej zamkniętej, pszczelej komórki i przedostania się do innych hermetycznych komórek, z którymi jest połączony w tym plastrze miodu.

KSIĘGA DRUGA
KOMPANIA

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pora deszczowa była na Hawajach czymś najbardziej zbliżonym do zimy. Niebo w miesiącach zimowych bywało może trochę bardziej matowe, przymglone i mniej niebieskie, a słońce nie tak oślepiające. Ale zima na Hawajach nie bardziej różniła się od lata niż u nas koniec września. Temperatura pozostawała nie zmieniona, a na ogromnym, rudym płaskowyzu porośniętym ananasami, gdzie znajdowały się koszary Schofield, w zimie tak samo brakowało wody jak w lecie.

Na Hawajach nigdy nie cierpiało się chłodu podczas zimy. Ale nie było też pachnącego persymonem, jesienno-październikowego powietrza ani nagłego przebudzenia ciepła i płodności w młodym wiosennym kwietniu. Jedyna kosmiczna przemiana na Hawajach zachodziła podczas pory deszczowej, toteż tę zmianę zawsze chętnie witali ci, co pamiętali zimę. To znaczy wszyscy z wyjątkiem turystów.

Pora deszczowa nie przychodziła ni stąd, ni zowąd. Zawsze było pod koniec lutego parę słabych burz przypominających człowieka, który wierzga i miota się bezsilnie przed skonaniem, ale też niosących obietnicę i tchnienie chłodu, zapowiadających, że woda jest blisko, że trzeba jeszcze tylko trochę poczekać. A potem te wczesne burze ustępowały, kiedy ziemia wchłonęła już całą ich wilgoć, i uciekały przed najazdem słońca, które znów wysuszało błoto na pył pozostawiając jedynie ciastowate, spękane jego wspomnienie, kruszące się pod ciężarem tęponosych butów żołnierskich.

Jednakże z początkiem marca przerwy między deszczami stawały się coraz krótsze, a same deszcze dłuższe, aż w końcu nie było już żadnych przerw, tylko deszcz, i ziemia opijała się nim chciwie, do syta, jak człowiek odwodniony na pustyni, który nie może się pohamować i pije zbyt dużo – a cały nadmiar, nie mogąc go już wchłonąć, wyrzygiwała na ulice i stoki wzgórz, w kanały i rowy irygacyjne, których sieć pokrywała karminową ziemię płaskowyzu i które teraz przemieniały się w rwące rzeki. Aż w końcu cała ziemia i wszyscy na niej błagali znów o pragnienie, niczym oblubienica w miodowym miesiącu.

Wtedy to Schofield przenosiło się pod dach. Ćwiczenia polowe ustępowały miejsca wygłaszanym w świetlicach wykładom o rozmaitej terminologii uzbrojenia, musztrę w szyku zwartym i rozwiniętym zastępowała nauka celowania na galeryjkach i odwieczna praktyka w naciskaniu spustu. A monotonia tych wszystkich zajęć musiała współzawodniczyć z podniecającą świadomością luksusu, jakim było przebywanie pod dachem, kiedy na dworze lał deszcz.

Płaszczki dwóch rodzajów – te gumowane, które chłoneły wodę jak bibuła, i te

nieprzemakalne, co nie przepuszczały ani wody, ani powietrza, tak iż noszący je by! do tego stopnia skąpany w pocie, że równie dobrze mógłby nosić tamten pierwszy rodzaj – wynurzały się ze swego ukrycia w workach polowych, wiszących w nogach każdego łożka. A w te wieczory, kiedy deszcz ustawał na tyle, że ludzie mogli powrócić do swoich niespokojnych nocnych spacerów, na ulicach i drogach pojawiały się świeżo wyfasowane tak zwane „kurty polowe”.

Gdy teraz, w porze deszczowej, ludzie schodzili się na kryty stadion bokserski za starą kaplicą, napływając zewsząd niby szprychy zbiegające się ku piąście koła, nieśli koce do rozpostarcia na zimnym betonie ław i do owinięcia się w chłodzie. I może jeszcze ukrytą butelkę dla dodatkowej rozgrzewki, jeżeli udało im się przemycić ją przed okiem żandarmów.

Ponieważ zostawały jeszcze tylko trzy spotkania na stadionie w drugim tygodniu marca, mistrzostwo Dywizji Hawajskiej było już przesądzone. Drużyna „Dynamita” Holmesa przegrała z dwudziestym siódmym pułkiem piechoty o trzydzieści punktów, czyli dwa razy więcej, niż mogła mieć nadzieję uzyskać w ostatnich trzech spotkaniach, i wielki złoty ring ze złotymi bokserami został wyjęty z honorowej gabloty w bramie i przygotowany do przekazania zwycięzcom po zakończeniu sezonu.

„Dynamita” widywano chodzącego po placówce z obwisłymi ramionami i nachmurzonym czołem; krążyły pogłoski, że będzie odwołany, zwolniony z instruktorstwa bokserskiego, a w kompanii G po raz pierwszy od paru lat odbyły się dwa sądy wojskowe w jednym miesiącu i dwóch ludzi osadzono w Karnym Obozie.

O ile jednak honor pułku nie miał innego obrońcy poza Holmesem, to ten był nie lada jaki. Po rozmowie z pułkownikiem Delbertem i zapewnieniu sobie ocalenia w ostatniej chwili, zebrał swoje tablice i wykresy i zaczął planować przyszłoroczną kampanię, która miała być zakrojona na największą jak dotąd skalę i przywrócić trofeum na dawne miejsce. „Ono tu wróci” – powiedział i jeszcze zanim rozegrano ostatnie spotkanie, zaczął nakreślać plany i zbierać siły.

Milt Warden stał w drzwiach korytarza, kiedy Holmes rzucił jak grom z jasnego nieba wiadomość o przeniesieniu kucharza Starka z Fortu Kamehameha. Tego dnia lało jak z cebra i Warden patrzył, jak jego dowódca nadchodzi poprzez srebrną ścianę deszczu, nie bacząc na błoto dziedzińca, z postawionym po uszy kołnierzem eleganckiego płaszcza ściągniętego pasem i trzepoczącego się mokro, ale wytwornie wokoło nóg w wysokich butach – i wstyd powiedzieć, nie czuł w sercu ani śladu tradycyjnego, radosnego uwielbienia. Coś w tej kroczącej postaci mówiło mu, że nie są to zwykłe odwiedziny w celu sprawdzenia, czy wszystko idzie jak należy, i doznał przykrego przecucia, że szykuje się coś niedobrego.

– Pan kawalerzysta – zadrwił zuchwale na głos, lecz nie tak głośno, by Holmes

usłyszał; obrócił się plecami do nadchodzącego kapitana i wszedł do środka, żeby samemu sobie udowodnić swą niezależność.

– Proszę to zaraz załatwić – powiedział Holmes, który wszedł do kancelarii ociekając wodą i wyjął z zanzadza jakieś papiery. – Gdzie Mazzioli?

– W personalnym – odrzekł Warden bez entuzjazmu. – Starszy sierżant O'Bannon wezwał dziś rano do siebie wszystkich kancelistów.

– W takim razie pan będzie musiał to załatwić – powiedział Holmes podając mu papiery. – Chcę mieć na to poparcie, wie pan, i dobry list polecający. Ten Stark służył ze mną w Bliss i już mówiłem o nim z pułkownikiem Delbertem. Pułkownik napisał do departamentu, żeby popchnąć jego podanie drogą służbową.

Holmes zdjął kawaleryjski kapelusz i strzepnął go energicznie, rozpryskując wodę na podłogę.

– Boże, ale mokry! – powiedział. – To świetny facet. Zawsze chętnie robię, co tylko mogę dla moich dawnych ludzi.

– Tak jest, panie kapitanie – odrzekł Warden przeglądając papiery.

– To musi być wysłane jeszcze dziś – powiedział Holmes z zadowoleniem. – Poczekamy i sam to nadam. Zresztą jest kilka innych rzeczy, o których chciałbym z panem pomówić. Mamy wolny stopień starszego szeregowca, prawda?

– Tak jest – odparł Warden i dalej studiował papiery.

– Czy pan mnie słucha? – zapytał Holmes.

– Tak jest – odrzekł Warden. Podniósł papiery, jak gdyby je pokazując. – Mamy pełny stan kucharzy, panie kapitanie – powiedział jakby mimochodem. – Trzeba by wylać kogoś, żeby zrobić miejsce dla tego gościa. Czy pan rozmawiał już o tym z sierżantem Preemem? O ile mi wiadomo, nie narzeka na swoich obecnych kucharzy. – Nie powiedział tego jednak dostatecznie niedbałym tonem.

Twarz Holmesa utraciła ową krągłość zadowolenia i stała się surowa, cała z płaszczyzn i kantów.

– Nie sądzę, żeby sierżant Preem kwestionował moją decyzję, sierżancie.

– Nie będzie – odrzekł Warden – jeżeli pan mu da butelkę ekstraktu cytrynowego.

– Co takiego? – zapytał Holmes.

– Powiedziałem – odparł Warden – że nie, jeżeli chce się utrzymać na właściwej linii.

Holmes wytrzeszczył na niego oczy niedowierzająco.

– Preem i Stark kucharzewali razem w Bliss. A poza tym jeszcze nigdy dotąd nie widziałem konieczności podpierania mojego osądu radami podkomendnych.

– Tak jest – powiedział Warden, również wpatrując się w niego.

– Ja wiem, co robię, sierzancie. Niech pan zostawi to mnie. Jeżeli będę potrzebował rady, to o nią poproszę.

– Tak jest, panie kapitanie – rzekł Warden, ciągle wpatrując się w niego. Holmes nie dostałby nigdy lepszego sierżanta-szefa i wiedział o tym, a Warden z kolei wiedział, że ujdzie mu to bezkarnie.

Holmes patrzył na niego jeszcze dość długo, by nabrać pewności, że nie dał się onieśmielić, po czym opuścił wzrok na swój spiczasty kapelusz i znowu strzepnął z niego wodę nie mogąc się oswoić z tym czymś w Wardenie, co najwyraźniej miało wszystko gdzieś.

– Mój Boże – mruknął. – Ale mokry.

– Tak jest – powiedział Warden. Obserwując Holmesa, który usiadł przy biurku i zaczął coś gryzmolić, poczuł, że chwilowo zatryumfował, i postanowił raz jeszcze rzucić wyzwanie losowi, dopóki miał przewagę.

– Czy nie można by z tym poczekać parę dni, panie kapitanie? Leva jest zapóźniony z raportem magazynowym i ja mu pomagam. Mam bardzo pilną robotę, a to można załatwić każdej chwili.

(„Może za kilka dni ochłonie i zapomni o swoim altruizmie. Już się tak przedtem zdarzało.”)

Holmes odłożył z rozmachem ołówki.

– A co z sierżantem O'Hayerem? – zapytał. – Przecież jest podoficerem magazynowym, nie?

– Tak jest, panie kapitanie.

– No więc. Niech on to załatwi. To jego zadanie.

– O'Hayer n i e m o ż e tego zrobić, panie kapitanie. Jest zanadto zajęty prowadzeniem swojej szulerni w tej szopie.

– Jak to „nie może”? Jest szefem magazynu. M u s i to zrobić. Czy pan kwestionuje mój osąd, sierzancie?

– Nie, panie kapitanie!

– No to w porządku. Niech O'Hayer zrobi, co do niego należy. Za to mu płacą. Dopóki jestem dowódcą tej kompanii, każdy będzie załatwiał własną robotę i wszystko będzie szło tak, jak każę. A te papiery mają być zaraz przygotowane.

– Rozkaz! – powiedział gwałtownie Warden. – Zaraz przygotuję, panie kapitanie.

„A magazyn i całą resztę niech cholera weźmie – pomyślał. – Teraz będzie pięciu chłopczyków z Bliss, ażeby podcinać nogi tej kompanii.” Zasiadł przy biurku i wziął się do roboty ignorując Holmesa i pomniejszając jego wartość swoją pracą.

– Aha, sierżancie – przerwał mu chłodno Holmes. – Co do tego wakansu na stopniu starszego szeregowca. Proszę kazać Mazziolemu, żeby wypisał rozkaz nadający ten stopień Blumowi.

Warden spojrział znad maszyny do pisania, a brwi mu zadrgały.

– Blumowi?!

– Tak – odpowiedział spokojnie Holmes. – Blumowi. To dobry żołnierz, ma zadatki na dobrego podoficera. Sierżant Galowicz mówił mi, że Blum pracuje pilniej i ma więcej inicjatywy niż którykolwiek szeregowiec w kompanii.

– Chyba nie B l u m – powiedział Warden.

– Ależ tak – odrzekł Holmes z satysfakcją w głosie. – Obserwuję go już od dłuższego czasu. Trzymam rękę na pulsie w tej kompanii o wiele bardziej, niż pan przypuszcza. Przekonałem się, że z dobrych zawodników zawsze są dobrzy żołnierze – powiedział złośliwie. – Blum wygrał cztery ze swoich walk na stadionie w tym roku. Niewykluczone, że w roku przyszłym zrobimy z niego mistrza dywizji. Sierżant Wilson będzie nad nim pracował.

Holmes przerwał i czekał domagając się wzrokiem odpowiedzi.

– Dopilnuje pan, żeby Mazzioli załatwił to jutro, prawda? – zapytał z łagodnym, ale stanowczym naciskiem.

– Tak jest, panie kapitanie – rzekł Warden nie podnosząc Oczu. – Tak jest. Dopilnuję.

– Dziękuję – powiedział Holmes. Z tryumfującą miną wziął z biurka ołówki.

Warden dokończył pisanie zastanawiając się, czy Holmes naprawdę wierzy w to, co powiedział, czy też mówił jedynie dla efektu; podając papiery Holmesowi uświadomił sobie, że był przed chwilą świadkiem początku skomplikowanego procesu myślowego, który wyniósł z górą połowę podoficerów kompanii do ich obecnej rangi.

Holmes przejrzał papiery z miną głębokiego zadowolenia.

– Spodziewam się, że tu wszystko jest w porządku?

– Panie kapitanie! – wybuchnął Warden. – Jak ja coś robię, to zawsze jest w porządku.

– No, no, sierżancie – powiedział Holmes podnosząc rękę jak biskup. – Wiem, że pan jest dobrym szefem kompanii. Chcę tylko mieć pewność, że nie będzie żadnego potknięcia przy tym przeniesieniu.

– Ja to przygotowałem – odparł Warden.

– Tak – uśmiechnął się Holmes. – Ale myślami był pan zanadto przy Levie i magazynie. Gdyby pan przestał martwić się o kantinę i magazyn i wykonywać za tamtych robotę prócz swojej własnej, mielibyśmy o wiele więcej sprawności i znacznie lepszą kompanię.

– Ktoś musi się o to martwić, panie kapitanie – odparł Warden.

– No, no – roześmiał się Holmes. – Chyba nie jest źle, sierzancie. Pan tylko szuka, czym by się martwić. Ale, ale: jak tam daje sobie radę ze służbą ten nowy, Prewitt?

– Doskonale. Ten chłopak to dobry żołnierz.

– Wiem o tym – powiedział Holmes. – Na to właśnie liczę. Jeszcze nie widziałem dobrego żołnierza, który by lubił pełnić zwykłą służbę jako prosty szeregowiec. Spodziewam się zobaczyć go w lecie między kandydatami do mistrzostwa kompanii. Jest takie stare powiedzenie, że w wojsku poskramia się lwy.

– Myślę, że pan kapitan się myli – odparł prosto z mostu Warden. – Nie sądzę, żeby pan go kiedyś zobaczył na ringu.

– Niech pan zaczeka, sierzancie, aż skończy się pora deszczowa, zanim pan będzie taki pewny. Tego lata czeka nas masa ćwiczeń polowych.

Mrugnął porozumiewawczo do Wardena i wziął swój pociemniały od deszczu kapelusz; w tym momencie miał pewność, że tak będzie, ponieważ Prewitt został włączony do planów jego kampanii, a jakże mógłby nie być w drużynie, jeżeli go uwzględnił w swoich planach?

Warden patrzył, jak Holmes brnie z powrotem przez zamiatany deszczem, opustoszały dziedziniec, i nagle uświadomił sobie, czemu go nienawidzi. Dlatego, że zawsze się go bał – nie jego osobiście, fizycznie czy umysłowo, ale tego, co reprezentował. Z „Dynamita” mógł kiedyś być dobry generał, gdyby mu się poszczęściło. Dobrzy generałowie stanowili pewien typ ludzki, a „Dynamit” był właśnie taki. Dobrzy generałowie musieli mieć ten rodzaj umysłowości, który widzi wszystkich ludzi jako masę, jako liczebne grupy piechoty, artylerii, które można dodawać, odejmować i zrozumieć na papierze. Musieli umieć patrzeć na ludzi jako na abstrakcje, którymi manipulowali na papierze. Musieli być tacy jak „Maczuga” Pershing, który potrafi! tak bardzo przejmować się moralnością swoich żołnierzy we Francji, że próbował zakazać burdeli, żeby nie ranić serca matkom, ale za to był dumny z tych żołnierzy, kiedy umierali na polu bitwy.

Poprzez gęstniejący opar gniewu patrzył na surową nagość przesiąkniętej deszczem ziemi i zabłoconej trawy, na samotną postać Holmesa skulonego w swym płaszczu – i to wytworzyło w jego umyśle obraz ulicy jakiegoś upiornego miasta, po której ostry wiatr, zawodząc smutnie, miecie rynsztokiem podarty strzęp papieru ku niewiadomemu i nieważnemu przeznaczeniu. Na górze słyszał okrzyki i pluskanie kompanii myjącej się przed jedzeniem; chłód, który wpadał przez otwarte okno, sprawiał, że Warden wzdrygnął się i nałożył kurtkę polową, która wisiała na krześle.

Patrzył przez okno, a jego wściekłość rozkruszyła się i ustąpiła miejsca niewymownej

melancholii, której przyczyny nie mógł odnaleźć.

Sposobność nadarzyła się Wardenowi prędzej, niż przypuszczał. Następnego popołudnia przejaśniło się nieco, w południe deszcz ustał na chwilę i cofnął się, aby przegrupować swe szyki przed następnym natarciem. Chmury wisiały nisko, brzuchate i złowróżbne, kiedy zjawił się Holmes, tym razem idąc chodnikiem dookoła dziedzińca, ubrany po cywilnemu w garnitur z miękkiego brązowego tweedu, z płaszczem na rękę, aby powiedzieć Wardenowi, że jedzie do miasta z pułkownikiem Delbertem i że dziś nie będzie w koszarach.

I nagle Warden pojął, że będzie musiał to zrobić. Nie wiedział właściwie dlaczego, bo przecież tu szło o coś więcej niż tylko o kobietę, w mieście znalazłoby się dość kobiet, które mógł mieć. Ale to sięgało znacznie głębiej.

Do tej pory, jeśli nawet chodziło mu to po głowie, jedynie bawił się taką myślą. Zawsze dotychczas miał za zasadę trzymać się z daleka od wojskowych pań; były zimne, miały w sobie nie więcej ciepła niż błyszczący diament i nie dawały przyjemności. Swoje spółkowanie uprawiały raczej z nudów niż z pożądania. A z tego, co mówił mu Leva i co sam zaobserwował, podejrzewał, że Karen Holmes nie jest wyjątkiem.

Jednakże mimo to wszystko wiedział, że tak robi, nie przez zemstę, ani nawet jako odpłatę, ale jako afirmację samego siebie, żeby odzyskać tę indywidualność, której nieświadomie pozbawił go Holmes i cała reszta. I nagle zrozumiał, dlaczego człowiek, który przez całe życie pracował dla jakiegoś stowarzyszenia, może popełnić samobójstwo, po prostu, żeby się w ten sposób wypowiedzieć – i zniszczyć głupio sam siebie, bo jest to jedyna droga udowodnienia własnego istnienia.

– Czy pan wróci na apel wieczorny? – zapytał mimochodem Holmesa nie podnosząc wzroku znad trzymanyh w rękę papierów, które czytał.

– Nie, skąd – odparł Holmes z zadowoleniem. – Pewnie na poranny też nie. Powiedziałem Culpepperowi, żeby to za mnie załatwił, jeżeli się nie zjawię. A gdyby i on się nie zjawił, niech pan odbierze oba apele.

– Rozkaz – powiedział Warden.

Holmes kroczył tam i z powrotem po kancelarii zdradzając niepohamowaną radość i ożywienie, które Warden rzadko u niego widywał. W świetle płonących lamp, które padało oleiście przez okno na posępny, deszczowy dzień, zazwyczaj i tak ogorzała twarz Holmesa kraśniała jeszcze intensywniejszym rumieńcem zadowolenia.

– Nic, tylko praca, a żadnej zabawy – powiedział Holmes i mrugnął do niego. Było to męskie mrugnięcie, dające do zrozumienia, że trzeba czasem ulżyć nabrzmiałemu ciału, i natychmiast przerzuciło most nad przepaścią kast, która ich zawsze dzieliła. – Pan też

powinien wziąć sobie wolny dzień. Ciągłe pan siedzi tu, w tej ciemnicy, i poci się nad takim czy innym papierkiem. Na tym świecie są jeszcze inne, przyjemniejsze rzeczy od administracji.

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział bezbarwnie Warden odkładając trzymane w ręku papiery i w zamian biorąc z biurka inne oraz ołówki. Jest czwartek, ich służąca ma dzisiaj wychodne, moment jest na to w sam raz. Obserwował bacznie tępe rozradowanie na twarzy Holmesa, zaskoczony, że właśnie w tej chwili lubi go bardziej niż kiedykolwiek.

– No to idę – powiedział Holmes. – Zostawiam wszystko panu, sierżancie.

W jego głosie było wielkie zaufanie i serdeczność; w przystępie nagłego wzruszenia klepnął Wardena po ramieniu.

– Będę tu, kiedy pan kapitan wróci – powiedział Warden. Jednakże grał tylko swą rolę i jego głos był martwy.

„Możesz kierować się wyłącznie swoją kobiecą intuicją, Miltonie – powiedział do siebie. – Lepiej graj na pewniaka, lepiej naprawdę to sobie przemyśl.” Popatrzał za odchodzącym Holmesem i usiadł przy biurku, aby poczekać na powrót Mazziolo, bo nawet teraz, w tej wielkiej chwili, nie chciał opuścić kancelarii, kiedy nie miał kto nią pokierować.

Zaczął padać znowu, nim kancelista wrócił, i Warden zajął się uporządkowaniem paru nagromadzonych spraw. Było kilka listów, które musiał napisać, aby je dać Mazziolemu do przepisania na maszynie i Holmesowi do podpisu, potem zaś naszkicował z grubsza plan zajęć na następny tydzień zaglądając do regulaminu polowego w poszukiwaniu odpowiednich podstaw.

Samotny w tym wilgotnym powietrzu, pracował zaciekle, wyładowując swoją nienawiść na papier, niepomyślnie niczego prócz tego, co miał przed sobą, rzucając się w to na łeb, na szyję, niczym odurzony opium Japończyk atakujący karabin maszynowy. Potęgą jego energii wprost rozsadzała pokój.

Mazzioli, kancelista kompanijny, ociekał wodą, kiedy wszedł usiłując osłonić od deszczu pół tuzina brunatnych kopert.

– Jezu Chryste – powiedział widząc Wardena z zakasnymi rękawami. – Chyba jest dosyć zimno na dworze. Trzeba zamknąć to okno, bo obydwaj zamarzniemy na śmierć.

Warden popatrzał na niego przekornie, przymrużając oczy.

– Zimno biednemu, delikatnemu dzieciątku? – zapytał. – Marznie maleństwo?

– E, niech pan da spokój – odparł kancelista. Położył koperty i ruszył do okna, aby je zamknąć samemu.

– Zostawcie otwarte! – ryknął Warden.

– Kiedy zimno – zaprotestował kancelista.

– To marznijcie – wyszczerzył zęby Warden. – Ja lubię, jak jest otwarte. – Nagle twarz mu stwardniała. – Gdzie wyście byli przez cały boży dzień?

– Przecież pan wie, gdzie byłem – odrzekł Mazzioli potulnie. – W wydziale personalnym pułku.

Ponieważ chodził do szkoły handlowej, miał pretensje do pewnej intelektualnej wyższości; jakoż szczylił się dobrą znajomością gramatyki i zawsze brał udział w dyskusjach urządzanych przez kancelistów u Choya. Od czasu do czasu dyskutował nawet z „Papą” Karelsem, sierżantem z plutonu broni ciężkiej, który, jak powiadano, był synem bogatych rodziców.

– Pracowałem z sierżantem O'Bannonem – dodał kwaśno, z pruderyjnym grymasem. – W życiu nie widziałem takiej starej panny...

– Niech was cholera – powiedział gwałtownie Warden. – Lepiej uważajcie, bo jak nie, to dostaniecie kopa w dupę i wróćcie do prostego szeregowca i zwykłej służby. Co pewnie by zabiło takiego szkolnego lalusia jak wy. Klasyczny przykład amerykańskiego systemu wychowawczego, psiakrew!

Mazzioli nie wierzył w tę groźbę, ale na wszelki wypadek przybrał smutną minę. Warden doskonale wiedział, co się pod nią kryje.

– Myślicie, że żartuję, co? – powiedział z tą swoją miażdżącą gwałtownością. – Róbcie tak dalej, to zobaczycie. Ani się obejrzycie, jak będziecie wylawiać kartofle w kuchni. Ja tu jestem sierżantem-szefem, nie wy, i jeżeli jest wolny czas, to sam go sobie biorę, rozumiecie? A jak nie ma go dosyć na dwóch, to wy musicie pracować. I jeżeli nie przestaniecie sterczeć w dowództwie z tymi filozofami dla ubogich, będziecie mi tu niedługo szorować podłogę w kancelarii. No i o czymże była dzisiaj dyskusja? – dodał.

– O van Goghu – odrzekł Mazzioli. – To taki malarz.

– No, no – powiedział Warden. – Nie może być. Malarz. A *Pasję życia* czytaliście?

– Tak – odrzekł zdumiony Mazzioli. – Pan to zna?

– Nie – odparł Warden. – Nigdy nic nie czytam.

– Powinien pan to przeczytać, szefie. To doskonała książka.

– A czytaliście *Księżyc i miedziak*? – zapytał Warden.

– Oczywiście – odpowiedział Mazzioli, znowu zdziwiony. – Pan to zna? „

– Nie – rzekł Warden. – Nigdy nie czytam. Mazzioli popatrzał na niego.

– E, pan ze mnie żartuje – powiedział.

– Kto, ja? – rzekł Warden. – Nie pochlebiaj sobie, chłopcze.

– Założę się, że pan czytał te książki – powiedział Mazzioli. Odłożył akta, usiadł i zapalił papierosa. – Wie pan, mam swoją teorię co do Gauguina.

– Do diabła z waszymi teoriami – powiedział Warden. – Uporządkujcie te akta. Ja mam coś innego do roboty.

– Okej – rzekł Mazzioli. Wstał ze złością i wrócił do pracy.

– Słuchajcie – ciągnął Warden. – Muszę teraz załatwić bardzo, bardzo ważną sprawę, rozumiecie? I nie wrócę do jakiegś czwartej. Wy macie siedzieć tu, w kancelarii, aż do mojego powrotu. A jeżeli się dowiem, żeście wyszli chociażby do ustępu, to jutro wyleję was z funkcji, zrozumiano?

– Oj, na miłość boską, panie szefie – zaprotestował Mazzioli. – Muszę dziś po południu załatwić różne rzeczy.

– Ta sprawa, o której mówię – ciągnął Warden uśmiechając się do siebie – jest ściśle urzędowa. Mieliście całe rano na dyskutowanie o sztuce. Macie lekką funkcję; jak wam się nie podoba, możecie sobie iść każdej chwili. Ile filiżanek kawy wydudliliście dzisiaj u Choya, co?

– Poszedłem na kawę tylko raz – zaprotestował Mazzioli.

– Więc o czwartej. Radzę wam być tutaj, jak wrócę. Trzeba wystukać na maszynie ze sześć listów i przepisać rozkład zajęć na przyszły tydzień. Nie licząc wszystkich akt, któreście zostawili.

– Okej, szefie – powiedział strapiony Mazzioli, gdy Warden naciągał na ramiona płaszcz deszczowy. Wziął stos papierów widząc, że jego popołudniowa drzemka ulatuje na czarnych skrzydłach tyranii. Ten Warden, zupełny dozorca więzienny. Byleby tylko nie dać komuś robić tego, na co ma ochotę. „Musi być maniakiem depresyjnym – nagle doszedł z radością do wniosku. – Albo paranoikiem.”

Podsunał się do okna, aby poprzez półmrok deszczowego popołudnia dojrzeć, gdzie też Warden idzie. „Sprawa urzędowa a ucho.”

Jednakże Warden przewidział to i poszedł chodnikiem dookoła dziedzińca, nie bacząc na deszcz, który bębnił głośno po jego usztywnionym Kapeluszu i szeleścił po nieprzemakalnym płaszczu, pod którym już zaczynały przemakać mu plecy. Wszedł po schodach do dowództwa pułku mieszczącego się nad bramą.

Obejrzał się z ganku przez dziedziniec i zobaczył głowę i ramiona Mazziolego ciemniejące w oświetlonym oknie kancelarii, zupełnie jakby przytykał nos do szyby. „Co za dzieciak – pomyślał. – Tyle ma pojęcia o żołnierce co królik i nadrabia to sobie gadaniem o sztuce.”

Roześmiał się głośno, ciskając zuchwale swój śmiech o tłumiącą dźwięki kurtynę deszczu; czuł w sobie dymiącą, roziskrzoną racę bliskiego już zbezczeszczenia świętego znaku kasty. „A może nie będzie jej w domu? – pomyślał. – Owszem, będzie, będzie na

pewno.”

Wyjął papiery z wewnętrznej kieszeni płaszcza, żeby sprawdzić, czy nie zamokły. Były to prawdziwe listy, takie, które Holmes rzeczywiście powinien był podpisać przed wyjściem. „Zawsze bądź w gotowości, skaucie” – uśmiechnął się do siebie.

Przeszedł przez hali i zaczął wchodzić na następne schody, i w tej chwili zobaczył dwóch pułkowników z dowództwa brygady, stojących i rozmawiających w mrocznym korytarzu, gdzie były politurowane, oszklone gablotki na trofea; teraz, o drugiej, reszta hallu była opustoszała, a drzwi pokojów biurowych zamknięte z wyjątkiem pokoju sierżanta O'Bannona, który bez mała w nim mieszkał. Warden spodziewał się, że nie będzie tutaj nikogo, więc przypatrzył się bacznie pułkownikom, by się upewnić, że go nie znają. Patrzył odrobinę za długo.

– A, sierzancie! – zawołał jeden z nich. – Pan pozwoli tutaj, sierzancie. Zawrócił z kilku schodów, podszedł do nich i zsalutował, powściągając gwałtowną chęć spojrzenia na zegarek.

– Gdzie jest pułkownik Delbert, sierzancie? – zapytał drugi, wysoki.

– Nie wiem, panie pułkowniku. Nie widziałem go.

– A czy był dzisiaj? – zapytał tłusty nieco zasapanym głosem. Otarł chusteczką czoło i rozpiął mokrą od deszczu, lśniącą gabardynę płaszcza, który był identyczny jak płaszcz tamtego wysokiego, z wyjątkiem odcienia koloru.

– Nie umiem powiedzieć, panie pułkowniku – odrzekł Warden.

– To pan tu nie pracuje, sierzancie? – zapytał wysoki badawczo.

– Nie, panie pułkowniku – odparł Warden myśląc pośpiesznie. – Nie pracuję w dowództwie. Mam kompanię.

– Którą kompanię? – wy sapnął niski.

– Kompanię A, panie pułkowniku – skłamał. – Jestem sierżant Dedrick z kompanii A.

– A, tak, oczywiście – sapnął niski. – Właśnie mi się zdawało, że pana znam. Mam za zasadę znać wszystkich naszych podoficerów w brygadzie. Nazwisko mi się wymknęło.

– Czy pan nie umie się zameldować, kiedy pan podchodzi do oficera, sierzancie? – zachrypiął wysoki.

– Tak jest, panie pułkowniku. Ale mam do załatwienia pewną sprawę i widocznie byłem nią zaprzątnięty.

– To nie jest usprawiedliwienie – zachrypiął wojskowo wysoki. – Jak dawno pan jest podoficerem, sierzancie?

– Dziewięć lat, panie pułkowniku – odrzekł Warden.

– No więc – powiedział wysoki. A potem dodał: – Powinien pan wiedzieć, że trzeba

zwracać uwagę na takie rzeczy. Cieszę się, że nie było tu nikogo z pańskich ludzi i że nie widzieli przykładowo, jaki pan dał przed chwilą.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Warden, pragnąc spojrzeć na zegarek. „Może mnie jeszcze postawi na baczność – pomyślał. – Tylko tego by brakowało. Moglibyśmy zabawić się jak za dawnych czasów w West Point, kiedy starszy rocznik »cuka« rekrutów.”

– Może pan odmaszerować, sierżancie – powiedział wysoki. – A na przyszłość niech pan bardziej uważa.

– Rozkaz, panie pułkowniku. Będę uważał.

Zasalutował prędko i ruszył ku schodom w obawie, by tamten się nie rozmyślił. Możliwe, że żona Holmesa wychodzi dziś po południu; jeżeli tak i jeżeli przez nich się z nią rozminie... Zaśmiał się wewnętrznie na myśl o tym, co pomyśleliby ci dwaj, gdyby wiedzieli, co myśli.

– Ale się śpieszył! – dosłyszał sapanie tłustego.

– Boże kochany – powiedział wysoki. – Dzisiaj nikt nie dba o to, komu się daje naszywki. Dawniej tak nie bywało.

– Ten Dedrick zawsze był tępy dureń – odrzekł niski. – Tak go zapamiętałem: tę jego tępotę.

– Coś straszego, do czego dochodzi wojsko – rzekł wysoki. – Za dawnych czasów podoficer wyleciałby z punktu za coś podobnego. Teraz już nie tak jak dawniej.

– Ciekawe, gdzie, u diabła, jest Delbert – wysapał niski.

Warden śmiejąc się bezgłośnie zeszedł z wewnętrznych schodów i mijając żelazną kratę, która miała być otwarta aż do apelu wieczornego, dotarł do bramy wypadowej w zbyt wielkim pośpiechu, aby się wściekać.

Ktoś na niego zawołał z lokalu Choya, ale on tylko pomachał ręką i wydostawszy się z bramy przeszedł na drugą stronę Waianae Avenue, krocząc prosto przez deszcz ku domkom oficerskim, póki nie dotarł do uliczki za narożnym domem Holmesa. Stanął pod wielkim starym wiązem uśmiechając się do siebie, bo oddychał tak ciężko; czuł jesienny chłód wpełzający mu pod płaszcz, gdy się zatrzymał, i pomyślał, że dzień jest w sam raz na to i że jeżeli ona brała sobie wszystkich tamtych, nie ma powodu, żeby nie wzięła i jego. Wreszcie podszedł do drzwi i zapukał.

Wewnątrz domu długonogi, czarny cień przesunął się w półmroku przed drzwiami salonu i Warden dostrzegł mignięcie nożyc nagich nóg przecinających światło i znowu rozwierających się w następnym kroku i wydało mu się, że oddech wnika bardzo głęboko w jego piers.

– Pani kapitanowo – zawołał pukając, z głową wtuloną w ramiona na deszczu.

Cień zawrócił bezgłośnie do środka i wszedł przez drzwi do kuchni, aby przemienić się w Karen Holmes w szortach i staniku.

– Kto tam? – zapytała. – A, to sierżant Warden. Hello, sierżancie. Proszę wejść, bo pan zmoknie. Jeżeli pan szuka mojego męża, to go nie ma.

– Aha – powiedział Warden otwierając drzwi siatkowe i przeskakując przez wodę, która ściekała z okapu dachu. – A jeżeli go nie szukam? – zapytał.

– To w dalszym ciągu go nie ma – odrzekła Karen Holmes. – Jeżeli to panu coś daje.

– No więc tak, szukam go. Nie wie pani, gdzie jest?

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Może poszedł do Klubu na drinka

– uśmiechnęła się blado. – Czy też na „coś mocniejszego”; zdaje się, że tak pan to określił, prawda?

– Ach, do Klubu – rzekł Warden. – Że też o tym nie pomyślałem! Mam ważne papiery, które musi dzisiaj podpisać.

Przypatrywał jej się jawnie, wodząc wzrokiem wzdłuż nóg w króciutkich spodenkach, które wyglądały, jakby je sama uszyła, ku zagłębieniu ukrytego pępka, ku piersiom wypychającym stanik, ku kobiecym oczom, które obserwowały obojętnie, bez zainteresowania przesuwanie się jego spojrzenia i jego jawny podziw.

– Trochę za chłodno na szorty, nie? – zapytał.

– Owszem. – Karen Holmes spojrzała na niego bez uśmiechu.

– Chłodno dziś. Czasem jest bardzo trudno się rozgrzać, nieprawda? Więc czego pan chce, sierżancie?

Warden poczuł, że oddech przenika w niego bardzo powoli, a potem bardzo głęboko, aż do jąder.

– Chcę z panią pójść do łóżka – odpowiedział tonem towarzyskiej rozmowy. Tak to sobie uplanował, tak chciał to powiedzieć, ale teraz, kiedy usłyszał te słowa, wydały mu się idiotyczne. Obserwował jej oczy, które w nie zmienionej twarzy rozszerzyły się tylko odrobinę, tak niewiele, że ledwie to dostrzegł. „A to chłodna, chłodna sztuka, Miltonie” – powiedział do siebie.

– Dobrze – odparła Karen Holmes obojętnie.

Wardenowi, który ociekając wodą stał na ganku, wydało się, że jakby jej słuchał, ale nie słyszy.

– Co to za papiery? – spytała następnie, wyciągając po nie rękę.

– Niech pan pokaże. Może potrafię coś pomóc.

Warden cofnął dłoń trzymającą papiery, szczerząc zęby, czując ten grymas sztywny na twarzy jak maska.

– Nic pani z tego nie zrozumie. To sprawy urzędowe.
– Zawsze interesuję się sprawami mojego męża – odrzekła Karen Holmes.
– Aha – uśmiechnął się Warden. – Tak, nie wątpię ani na chwilę. A czy on też tak się interesuje pani sprawami?

– Chce pan, żebym panu coś w tym pomogła?
– Potrafi pani podpisać jego nazwisko?
– Tak.
– Żeby wyglądało jak jego własny podpis?
– Tego nie wiem – odparła, wciąż bez uśmiechu. – Nigdy nie próbowałam.
– A ja to potrafię – rzekł Warden. – Potrafię robić za niego wszystko poza noszeniem jego cholernych naszywek. Tutaj się zatrzymuję. Ale te papiery idą do dywizji i on musi je sam podpisać.

– To może zadzwonię do Klubu, co? – zapytała. – Bo on jest właśnie tam.
– Na drinku – rzekł Warden.
– Ale chętnie to zrobię dla pana.
– Do diabła z tym. Nie lubię przeszkadzać człowiekowi, kiedy pije. Mnie samemu też by się teraz przydało coś do picia. I to bardzo.

– Ale jeżeli to jest sprawa urzędowa? – powiedziała Karen Holmes.
– Tak czy owak, nie sądzę, żeby pani znalazła go w Klubie. Mam niejasne podejrzenie, że pojechał do miasta z pułkownikiem Delbertem – uśmiechnął się do niej Warden.

Karen Holmes nie odpowiedziała. Patrzyła na niego bez uśmiechu, twarz miała zimną, zamyśloną, jak gdyby nie zdawała sobie sprawy, że on jeszcze tu jest.

– No – powiedział. – Nie poprosi mnie pani do środka?
– A, tak, sierżancie – odrzekła Karen Holmes. – Niech pan wejdzie. Następnie poruszyła się z wolna, jak gdyby stawy jej zardzewiały od tak długiego stania, i cofnęła się na pojedynczy stopień do kuchni, aby go wpuścić.

– Czego pan chciałby się napić, sierżancie?
– Wszystko jedno – odpowiedział. – Każdy trunek się nada.
– Pan wcale nie chce pić – rzekła Karen Holmes. – W gruncie *rzeczy* pan nie chce pić. Naprawdę to pan chce tego – spojrzała na swoje ciało i rozłożyła ramiona niczym grzesznica przed ołtarzem. – Tego pan chce naprawdę, nie? Tego chcecie wy wszyscy. Zawsze tylko tego.

Warden poczuł dreszcz lęku przebiegający mu po krzyżu. A to co znowu, psiakrew? Powiedział:

– Tak. Tego chcę w gruncie rzeczy. Ale napiję się też.

– Dobrze. Ale nie będę dla pana mieszała koktajlu. Może pan zrobić to sam albo napić się czystej whisky.

Usiadła na krześle obok pomalowanego emaliową farbą stołu kuchennego i popatrzyła na Wardena.

– Może być czysta – powiedział.

– Butelka jest tam – wskazała kredens. – Niech pan sobie weźmie. Nie będę panu podawała. – Położyła płasko dłoń na chłodnej gładkości blatu. – Może pan się napić, ale będzie pan musiał sam wszystko zrobić.

Warden położył papiery na stole i wyjął butelkę z kredensu myśląc: „Dam sobie radę, dziecinko.”

– Pani też się napije? – zapytał. – Niech pani poczeka. Jeszcze mi pani pomoże.

– Chyba nie mam ochoty pić. – odrzekła Karen Holmes. A po chwili: – Chociaż tak, może lepiej się napiję. Pewnie mi się to przyda, nie?

– Tak – odparł. – Pewnie tak.

Nad zlewem stały szklanki; wziął dwie i napełnił je do połowy, zastanawiając się, co to, u licha, za kobieta.

– Proszę – powiedział. – Za koniec dziewictwa.

– Wypiję za to – podniosła szklankę. Skrzywiła się po wypiciu odstawiając ją. – Wie pan, że pan strasznie ryzykuje – powiedziała.

– Myśli pan, że naprawdę warto? A jakby Dana wrócił do domu? Ja jestem bezpieczna; moje słowo jest zawsze więcej warte od podoficerskiego. Niech zacznę krzyczeć, że mnie gwałcą, to pan dostanie dwadzieścia lat w Leavenworth.

– Nie wróci – uśmiechnął się Warden dolewając jej znowu. – Ja wiem, gdzie jest. Pewnie nie wróci do domu przez całą noc. Poza tym – przerwał napełnianie własnej szklanki – mam w Leavenworth dwóch kumpli, będę wśród przyjaciół.

– A co im się przytrafiło? – spytała wychylając szklankę i krzywiąc się znowu.

– Jeden z tych żółtków MacArthura przyłapał ich w powozie z żoną jakiegoś pułkownika.

– Obydwóch? Kiwnął głową.

– I z tą samą babką. Mówili, że poderwała ich sobie, ale mimo to dostali po dwadzieścia lat. Ten żółtek był ordynansem pułkownika. Ale słyszałem, że zrobił to z zazdrości.

Karen Holmes uśmiechnęła się wyrozumiale, ale się nie roześmiała.

– Mam wrażenie, że pan jest rozgoryczony. – Odstawiła pustą szklankę i rozparła się

w krześle. – Wie pan, moja służąca może wrócić lada chwila.

Warden potrząsnął głową; teraz, kiedy pozbył się pierwszej niepewności, widział ją w myśli leżącą na łóżku i wzywającą, go do siebie.

– Nie, nie wróci – powiedział. – We czwartki ma wychodne. A dziś jest czwartek.

– Pan myśli o wszystkim, prawda sierzancie?

– Próbuję. W mojej sytuacji muszę. Karen Holmes wzięła papiery ze stołu.

– Chyba teraz możemy dać sobie z tym spokój, nie? W tych papierach nic nie ma, prawda?

– I owszem – odparł. – To są listy. Nie przypuszcza pani, że przyniosłbym coś dętego? Żeby Holmes to zobaczył? Żeby pani mogła tego użyć jako dowodu przeciwko mnie, kiedy pani każe mnie zamknąć? A poza tym proszę do mnie mówić „Milt”, teraz, kiedy już się zaprzyjaźniliśmy.

– To mi się właśnie w panu podoba: ta pewność siebie. I to mi się też nie podoba. – Z wolna podarła papiery na strzępki i wrzuciła je do stojącego za nią kosza. – Ach, mężczyźni i ta ich pewność siebie. Może pan to uważać za zapłatę, którą pan musiałby dać. Bo pan zawsze płaci, prawda?

– Chyba że nie mam innej rady – odrzekł Warden, znowu zastanawiając się, co to wszystko ma znaczyć, gdyż nie spodziewał się niczego podobnego. – Mam w biurze kopie tych listów – uśmiechnął się – więc nie będzie potrzeba wiele zachodu, żeby je odtworzyć.

– Przynajmniej pana pewność siebie jest prawdziwa – powiedziała. – Nie jakieś fałszywe zadufanie ani brawura; wielu mężczyzn to ma. Niech pan mi jeszcze należy. Proszę mi powiedzieć, jak pan tego nabrał?

– Mój brat jest księdzem – odrzekł sięgając po butelkę.

– No to co?

– Koniec, kropka.

– Co to ma z tym wspólnego?

– Wszystko, dziecinko. Po pierwsze, to nie jest pewność siebie, tylko uczciwość. Mój brat będąc księdzem wierzy w celibat. Ma bardzo gęsty zarost, bardzo gładko ogolony, wierzy w grzech śmiertelny i jest uwielbiany przez wszystkie swoje owieczki. I doskonale sobie z tego żyje.

– No i? – zapytała.

– Jak to „no i”? Obserwowałem go jakiś czas i postanowiłem wierzyć w uczciwość, która jest przeciwieństwem celibatu. Bo nie chciałem nienawidzić siebie i wszystkich, tak jak on. To był mój pierwszy błąd, potem już poszło łatwo. Postanowiłem nie wierzyć w grzech śmiertelny, ponieważ jest oczywiste, że żaden sprawiedliwy Stwórca nie mógłby skazywać

swych tworców na wieczny ogień i siarkę piekielną za posiadanie apetytów, w które ich sam wyposażył. Mógłby im dać karnego za faulowanie, ale nie przerwałby meczu. No nie?

– Nie przypuszczam – odrzekła Karen. – Ale co z tego dla pana wynika? Jeżeli nie ma czegoś takiego jak kara za grzechy?

– A – wyszczerzył zęby Warden. – Trafiła pani w sedno. Nie lubię tego słowa „grzech”. Ponieważ jednak niewątpliwie istnieje kara, byłem zmuszony przez nieodpartą logikę do przyjęcia dziwacznej, niesamowitej koncepcji reinkarnacji. W tym punkcie rozdzieliliśmy się z bratem. Musiałem go pobić, żeby udowodnić moją teorię; to był jedyny sposób. I jak dotąd, moja filozofia zatrzymała się na reinkarnacji. A może byśmy się jeszcze napili?

– To znaczy, że pan w ogóle nie wierzy w grzech? – spytała Karen Holmes, a w jej oczach pojawił się po raz pierwszy przebłysk jakiegoś zainteresowania.

Warden westchnął.

– Uważam, że jedynym grzechem jest świadome trwonienie energii. Uważam, że wszelka świadoma nieuczciwość, taka jak religia, polityka czy handel nieruchomościami, jest świadomym marnowaniem energii. Uważam, że kosztem ogromnego nakładu energii ludzie zgadzają się udawać, że wierzą nawzajem w swoje kłamstwa, aby tak jak mój brat móc udowodnić samym sobie, że ich własne kłamstwa są prawdą. Ponieważ nie mogę zapomnieć, co jest prawdą, więc naturalnie razem z innymi uczciwymi ludźmi nie mogącymi znaleźć sobie miejsca w społeczeństwie wyłądownałem w wojsku. No, może teraz się napijemy? Skoro załatwiliśmy już zagadnienie Boga, Społeczeństwa i Jednostki, uważam, że naprawdę zasłużyliśmy na następną kolejkę.

– No – uśmiechnęła się kobieta, a chwilowy błysk zainteresowania zniknął ustępując miejsca dawnej arogancji i chłodowi. – Jest pan zarówno mądry, jak i męski. Szczęśliwe kobieciątko, któremu dane będzie wchłonąć sprężoną dumę takiej męskości. Ale jeżeli pan uważa, że świadoma utrata energii jest grzechem, to czy nie sądzi pan, że utrata nasienia jest także grzechem? Jeżeli nie towarzyszy jej zapłodnienie?

Warden uśmiechnął się i pochylił butelkę w salucie, skłaniając się nad nią.

– Pani kapitanowo, trafiła pani w słaby punkt mojej filozofii. Jestem najdalszy od chęci bujania pani. Mogę tylko powiedzieć, że nie jest grzechem, jeżeli nie miota go się na ziemię albo nie płaci za to, a czasem nawet i wtedy. („Czyś ty kiedy służyła w polu?”) Mogę tylko powiedzieć, że nie, jeżeli to jest pożyteczne.

Karen Holmes wychyliła szklanekę i postawiła ją na stole stanowczym gestem.

– Pożyteczne. Teraz wkraczamy w dziedzinę dialektyki.

– Czy tego rodzaju rozmowy nie kończą się tak zawsze?

– A ja w dialektykę nie wierzę. Nie chcę słuchać pańskiej definicji znaczenia pożyteczności.

Sięgnęła ręką za plecy i jednym ruchem odpięła stanik i opuściła go na podłogę. Wpatrując się w Wardena oczami, które były jak płynny dym, pełne przedziwnej, ogromnej obojętności, pociągnęła za zamek błyskawiczny swych szortów, ściągnęła je nie ruszając się z krzesła i rzuciła obok stanika. – Proszę – powiedziała. – Tego pan chce. O tym jest cała gadanina. Tego chcecie zawsze wy wszyscy, mężczyźni samczy, mężczyźni intelektualiści. Prawda? Wy, wielcy, silni, męscy mężczyźni, którzy jesteście samczy i inteligentni, ale bezradni jak niemowlęta bez kruchego ciała kobiecego, wokół którego moglibyście się opleść.

Warden wpatrywał się w jej zwinięty pępek i w kreskę blizny, która biegła od niego w dół znikając w gęstwinie włosów, a była już tak dawna, że ledwie dostrzegalna.

– Ładne, co? – zapytała. – A to także symbol. Symbol zmarnowania energii.

Warden ostrożnie odstawił szklanekę. Pochylił się ku Karen w krześle, widząc drobne zmarszczki sutek podobnych do kwiatów zamykających się na noc, widząc kobiece wyuzdanie, które uwielbiał, które, jak o tym dobrze wiedział, istnieje zawsze, choć może ukryte pod perfumami, przemilczane, nie uznawane, nawet zaprzeczane, ale zawsze obecne, istniejące – to piękne, cudowne wyuzdanie lwicy czy uczciwej suki, które, chociażby nie wiedzieć jak zamykano na nie oczy usiłując twierdzić, że go nie ma, w końcu musi się zawsze uznać.

– Czekaj – powiedziała. – Nie tu, ty mały, łapczywy chłopaku. Chodź do sypialni.

Poszedł za nią, zły za tego „małego, łapczywego chłopaka”, ale świadom, że to prawda, ze zdumieniem zastanawiając się, co to właściwie za istota razem z tymi wszystkimi swoimi utajonymi powikłaniami.

Nie miał nic pod mundurem, a ona zamknęła drzwi i obróciła się ku niemu w zapamiętaniu, z wyciągniętymi rękami, które unosiły półkule jej piersi i tworzyły zagłębienia przy pachach.

– Teraz – powiedziała. – Tutaj. Teraz. Tutaj i zaraz. Zaraz.

– Które łóżko jest twojego męża?

– Tamto.

– To musisz się tam posunąć.

– Dobrze – powiedziała. Roześmiała się po raz pierwszy, soczyście. – Widzę, że bierzesz cudzołóstwo poważnie, prawda Milt?

– Tam gdzie idzie o Holmesa, biorę wszystko poważnie.

– Ja też.

Kiedy zbliżał się coraz bardziej i bardziej do tego ośrodka czerwieni, w którym sam

był zawarty i którego nie osiągnął, kiedy czuł, że oślepia go on tym światłem, którego był zgłodniały, i wywołuje rżenie głęboko w krtani – trzasnęły głośno kuchenne drzwi siatkowe.

– Słuchaj – szepnęła Karen. – Ktoś tam jest. Słuchaj. – Usłyszeli zbliżające się flegmatyczne kroki, które nie zwalniały, nie skręcały, rozlegały się ciężko za ścianą. – Prędko. Bierz ubranie, schowaj się do szafy i zamknij drzwi. Prędko. Spiesz się. Spiesz się, na miłość boską.

Warden przesadził drugie łóżko zgarniając swój mundur, wskoczył do ściennej szafy na ubrania i zatrzasnął drzwi. Karen już owijała się jedwabnym chińskim kimonem i siadała przy toalecie obok okna wychodzącego na bramę wyjazdową do koszar. Kiedy zapukano do drzwi sypialni, czesała spokojnie włosy, ale twarz miała białą jak kreda.

– Kto tam? – zawołała Karen zastanawiając się, czy drżenie jej głosu jest wyczuwalne.

– To ja, mamó – odpowiedział chłopięcy głos. Rozległo się znowu natarczywe pukanie. – Wpuść mnie.

– Proszę – odrzekła. – Wejdz. Drzwi nie są zamknięte.

Jej syn, dziewięcioletnia miniatura Dany Holmesa, w długich spodniach i hawajskiej koszuli, wszedł przynosząc ze sobą tę bezcenną posepność, która widnieje na twarzach tylu cnych latorośli należycie usankcjonowanych, a niedobrych stadł.

– Puścili nas wcześniej ze szkoły – powiedział ponuro. – Strasznie mama błada. Co się stało, znowu mama choruje? – zapytał przypatrując się twarzy matki z tą nieświadomą odrazą, jaką zdrowe dzieci mają do osób chronicznie niedomagających, oraz z pewną dozą pogardliwej męskiej wyższości, którą w ostatnim roku przejął od ojca.

– Od paru dni niedobrze się czuję – odpowiedziała mu Karen zgodnie z prawdą, usiłując nie mówić tonem obrony i patrząc na tego chłopca, który w ciągu jednego krótkiego roku przemienił się we własnego ojca, i myśląc z pewną niechęcią, że ta długoszczęka, mięsista twarz, niegdyś okrągła i wesoła, wyrosła w jej ciele, i czując znowu dawną odrazę. Gdy tak patrzyła na syna, rozwiało się w niej nagle poczucie winy z racji obecności tamtego mężczyzny ukrytego w szafie; została tylko głucha złość, że trzeba to robić ukradkiem, niczym wymykający się chyłkiem zza węgła uczniacy, idący po raz pierwszy do burdelu.

– Idę dziś po południu do Kompanii – powiedział chłopiec patrząc na nią zza blanków obłożonego miasta, którym jest dzieciństwo. – Chcę mój mundur.

– A pytałeś ojca, czy można? – spytała Karen czując łzy napływające do oczu na myśl, co go czeka, pragnąc nagle wziąć go w ramiona i wytłumaczyć mu tyle rzeczy. – Wiesz, dzisiaj go tam nie ma.

– A kto mówi, że jest? – odparł chłopiec. – Nigdy go nie ma po południu. Nic mu nie

szkodzi, że chodzę do Kompanii. Bylebym się nie spoufalał z żołnierzami, tak powiedział. Mama nie ma prawa trzymać-mnie w domu dlatego, że mama nie cierpi Kompanii.

– Boże kochany, synku – odrzekła Karen. – Ja wcale nie chcę trzymać cię w domu. I to nieprawda, że nie cierpię Kompanii. Chciałam tylko...

– Mnie i tak wszystko jedno, co mama powie – odparł chłopiec wpychając pięści w kieszenie. – Ja i tak pójdę. Tata mówił, że mogę, to idę.

– Chciałam się tylko upewnić, czy tatuś ci pozwolił. Zawsze go najpierw pytasz.

– Dzisiaj pojechał do miasta – rzekł chłopiec. – Jakbym go chciał pytać, to chyba bym musiał czekać do jutra. A mama tak mówi, jakby tu był ktoś obcy.

– No dobrze – powiedziała Karen zastanawiając się, czy nie jest złośliwa; tyle kobiet wyładowuje swoją złośliwość i żal do mężów na bezbronnych dzieciach. Była to jedyna rzecz, jakiej obiecała sobie nigdy nie robić. – Jeżeli idziesz i tak, to po co w ogóle przyszedłeś do domu powiedzieć mi o tym?

– Nie przyszedłem do domu, żeby mamie powiedzieć – odrzekł chłopiec. – Przyszedłem, bo chcę włożyć mój mundur i mama musi mi pomóc.

– To idź po niego – odparła.

Była przynajmniej jedna rzecz, którą mogła robić, w każdym razie wtedy, kiedy Dany nie było w domu. W ciągu ubiegłych dwóch lat wychowanie chłopca zarówno w szkole, jak i w życiu zostało odebrane z jej rąk razem ze wszystkim innym. Czowała, że znowu popada w dawny nawyk obojętności i z satysfakcją pomyślała o zamkniętym w szafie Miltonie. „Kobiecie zostaje chociaż ten sposób wypowiedzenia się – myślała z niesmakiem – teraz, kiedy pasy cnoty są zakazane przez prawo, kiedy nie ma już dybów ani pławienia, jakkolwiek potępienie jest nadal równie surowe.”

– No, to niech mama idzie – powiedział niecierpliwie chłopiec. – Mnie się śpieszy. Będę dzisiaj pomagał sierżantowi Preemowi gotować kolację i zjem razem z nimi.

– A sierżant Preem się zgodził? – spytała wstając, aby pójść za nim.

– Musiał, nie? Jak jest podoficerem kasynowym mojego taty. Chodźmy, mnie się śpieszy.

W małym pokoiku, przeznaczonym dla chłopca, Karen pomogła mu zrzucić ubranie przypatrując się w zamyśleniu tej drobnej nagiej zwinności, znowu zdziwiona, że ten obcy, nieznamy chłopak jest jej dzieckiem, które-winna kochać i hołubić, tak jak nakazują wszystkie książki o opiece nad dziećmi. Oto kości, nerwy i ścięgna z jej ciała, fotograficzna replika, którą jego ojciec uczynił z samego siebie, używając po temu wysoko czułej kliszy, będącej niegdyś Karen Jennings z Baltimore, tak jak człowiek, który byle mieć zdjęcia posługuje się starą skrzynkową kamerą nie dbając o technikę fotografowania.

„Teraz urodziłam następcę – myślała. – Rolka została wyjęta, negatyw jest gotowy, odbitka w trakcie wywoływania. A zdezelowaną, rozlatującą się, zniszczoną skrzynkę odstawiono na półkę. Jest już bezużyteczna. Mechanizm jej mrocznego wnętrza został przypadkiem zepsuty przez niewłaściwe eksponowanie. To wcale niezłe, moja kochana. Powinnaś pisać. Masz sporo dobrego materiału. I nie przypuszczam, żebyś tak bardzo uromantyczała miłość.” Niewypowiedziane osamotnienie samowspółczucia, które jest ślepe i bezmowne, wezbrało w niej usiłując wycisnąć łzy.

Pomogła chłopcu naciągnąć mundurek, bo nie mógł dosięgnąć niektórych jego guzików, nasadziła mu czapkę na bakier i zawiązała za duży na niego wojskowy krawat. Uczyniła z niego nagle to, czym miał się nieuchronnie stać: świeżego, młodego podporucznika ze wszystkim, co trzeba, ze złotymi naszywkami i insygniami pułku na ramionach, z literami US i skrzyżowanymi karabinami na patkach kołnierza, i ze wszystkimi bolesnymi złudzeniami, które były od tego nieodłączne. „Niech cię Bóg ma w swojej opiece – myślała. – Ciebie i kobietę, z którą się ożenisz, ażeby wyprodukować replikę samego siebie. Drugie pokolenie wojskowego rodu, zaczynające się od chłopca z farmy w Nebrasce, który chciał czegoś więcej niż gospodarowania i którego ojciec znał senatora.”

Karen objęła syna ramionami.

– Mój chłopiec – powiedziała.

– E, mama da spokój – odparł z niesmakiem. – Mama mnie zostawi. – Otrząsnął z siebie jej ramiona i popatrzał na nią z wyrzutem.

– Pogniotłeś sobie czapkę – powiedziała Karen i rozprostowała ją. Chłopak popatrzał na nią znowu, przejrzał się w lustrze i wreszcie kiwnął głową. Wziął z komody przeznaczone dla niego pieniądze i wpuścił je do kieszeni.

– Może pójde do kina – poinformował ją. – Tata mówił, że dobre. Z Andym Hardy. Tata powiedział, że dobre i że mi się spodoba. I na miłość Boga – dodał – niech mama na mnie nie czeka, tak jakbym był dzieciak.

Zerknął na nią raz jeszcze, by się upewnić, że zrozumiała, po czym wyszedł z wielkim poczuciem odpowiedzialności.

– Uważaj na samochody! – zawołała Karen i zaraz przygryzła wargi, zła, że to powiedziała.

Kiedy drzwi kuchenne trzasnęły, wróciła do sypialni, szybko usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach czekając, aż minie uczucie mdłości, i bojąc się, że się rozpłacze. Płacz był zawsze ostatnią jej ostoją. Spojrzała na ręce i zauważyła, że drżą. Po chwili zmusiła się do wstania i poszła otworzyć drzwi szafy ściennej, upokorzona tym niesprawiedliwym poniżeniem siebie samej i Wardeny, któremu nie śmiała spojrzeć w oczy.

– Chyba lepiej idź – powiedziała otwierając drzwi. – To był mój mały. Już sobie poszedł i... – przerwała zdumiona, zapominając, co chciała powiedzieć.

Warden siedział ze skrzyżowanymi nogami w ciasnocie, na swoim zwiniętym mundurze, a na głowie miał udrapowane jak cudaczny turban brzegi paru sukien. Szerokie, barczyste ramiona trzęsły mu się bezwolnie od śmiechu.

– Co się stało? – spytała. – Czemu się śmiejesz? Czemu się śmiejesz, wariacie?

Warden targnął głową i na twarz opadła mu jedna z sukien. Zdmuchnął ją lekko na bok i spojrzał na Karen, ciągle się trzęsąc ze śmiechu, z podniesionymi wysoko brwiami.

– Przestań – powiedziała Karen. – Przestańże, przestań! – mówiła coraz głośniej. – W tym nie ma nic śmiesznego. Nic śmiesznego. Mogłeś za to dostać dwadzieścia lat, wariacie. Z czego się śmiejesz?

– Bo kiedyś byłem komiwojażerem – wykrztusił Warden.

Patrząc z niedowierzaniem na ten najwyraźniej szczerzy śmiech, usiadła na łóżku.

– Czym? – zapytała.

– Komiwojażerem – śmiał się, wciąż, siedząc w szafie. – Przez dwa lata jeździłem jako komiwojażer i dopiero teraz pierwszy raz muszę się chować w czyjejś szafie.

Karen patrzyła na jego roześmianą twarz, na wygięte, drgające brwi i na spiczaste uszy, które przypominały uszy satyra. Komiwojażer i córka farmera. Klasyczna historia miłosna, Romeo i Julia kontynentu amerykańskiego. Symbol Wielkiego Amerykańskiego Gatunku Humoru i wszystkich wstydliwych uśmiezków i tęsknych mrugnięć eunuchów z pokoju bilardowego. I nagle sama zaczęła się śmiać. Gdyby temu wariatowi przyszła taka chętka, mógłby był z łatwością wymaszerować nago z szafy za chłopcem i krzyknąć „buu”! Ujrzała w myśli ten obrazek i zaniosła się śmiechem.

Siedziała na łóżku, zniknęło już poczucie wstydu, za o mało nie została przyłapana na akcie spółkowania, śmiejąc się próbowała złapać oddech, starała się usilnie powstrzymać ten śmiech, który przechodził w płacz.

Teraz z kolei Warden popatrzał na nią zaskoczony. Dźwignął się, odsunął suknie z głowy, wstał i podszedł do niej myśląc, że gdzieś pobłądził w oceanie tej całej sprawy, że Leva się mylił, że to jest coś, co nigdy nie wchodziło w zakres jego wiedzy.

– No – powiedział bezradnie. – No, no... – Czuł całą absurdalność i dręczącą niemożliwość wszelkich prób nawiązania łączności i zrozumienia drugiej istoty ludzkiej w tym życiu, gdzie nic nigdy nie jest takie, jak się wydaje. – Proszę cię, nie płacz – powiedział, daremnie szukając słów. – Nie mogę patrzeć, jak ktoś płacze.

– Ty nie wiesz, jak to jest – odezwała się Karen drżąc i łkając jak szczenię na deszczu. – Ci dwaj. Tego nikt nie potrafi wytrzymać.

– Och – rzekł Warden zastanawiając się, po co, u licha, w ogóle wplątał się w tę historię. Objął ramieniem Karen – No, już dobrze. Poszedł sobie. No – dodał. – No.

Jej pierś w jego dłoni była ciepła i miękka jak młody drżący ptak pełen lękliwej ufności.

– Nie rób tego – powiedziała odsuwając się z irytacją od niego. – Ty nie wiesz. Tobie wszystko jedno. Dla ciebie to nic. Kawałek ciała. Co cię to obchodzi? Zostaw mnie.

– Dobrze – odparł. Wstał i poszedł po koszulę czując nieomal ulgę.

– Co ty robisz? – krzyknęła na niego jak oszalała.

– Idę sobie – odrzekł Warden. – Przecież tego chciałaś, nie?

– Więc i ty mnie nie chcesz? „Co, do cholery?” – pomyślał.

– Owszem – odpowiedział. – Jasne, psiakrew. Myślałem, że chciałaś, żebym poszedł.

– Tak – powiedziała – jeżeli ty tego chcesz. Idź. Nie będę cię zmuszać do niczego. Nie mam do ciebie żalu, ani trochę. Dlaczego miałbyś zostać? Skoro już nawet nie jestem kobietą.

– Jesteś kobietą – powiedział Warden patrząc na nią w tym cienkim kimonie. – Cała jesteś kobietą. Możesz mi wierzyć.

– Dla nikogo poza tobą – odrzekła. – Jestem niczym. Nawet nie mogę pracować. Nigdzie na świecie nie jestem potrzebna.

– Jesteś potrzebna – powiedział Warden zawracając i siadając obok niej. – Na tym świecie piękne kobiety są potrzebne bardziej niż wszystko inne.

– Tak zawsze mówią mężczyźni. Potrzebne, żeby być piękną kurwą jakiegoś mężczyzny. Ale ja nie jestem nawet tym.

– Ładnie się opaliłaś – powiedział przesuwając rękę po jej plecach i słysząc deszcz za oknem. – Dzisiejszy dzień jest w sam raz na to, żeby leżeć na plaży w Kaneohe. Tam na pewno nie pada.

– Nie lubię Kaneohe – odrzekła Karen. – Tam jest prawie tak samo tłoczno i nieprzytulnie jak na tym przeklętym Waikiki.

– Ach, ale ja znam niedaleko Blowhole jedną małą plażę, która jest zaciszna. Nikt o niej nie wie. Nikt tam nigdy nie jeździ. Schodzi się ze stromej skarpy i raptem jest mała zatoczka z piaszczystą plażą, twardą i gładką, a ściana skalna wznosi się wysoko w górę, tak że auta na szosie przejeżdżają wprost nad głową i ludzie nawet nie wiedzą, że ta plaża istnieje. Człowiek czuje się tam tak jak wtedy, kiedy był mały i chował się w pieczarze z krzaków, i patrzył, jak inni go szukają. Nie trzeba nawet kłaść kostiumu kąpielowego i można się opalić od stóp do głów.

– Zabierzesz mnie na tę plażę? – spytała.

– Co? A pewnie. Jasne. Zabiorę cię.

– Nie moglibyśmy pojechać w nocy? I pływać przy księżycu, a potem leżeć na tej samej plaży? I kochałbyś mnie i nikt nie mógłby nas zobaczyć ani wiedzieć, że tam jesteśmy?

– Jasne. Jasne – powiedział. – Zrobimy to wszystko.

– Ach, tak bym strasznie chciała! – rzekła Karen patrząc na niego z uwielbieniem. – Nikt jeszcze nie robił ze mną czegoś takiego. Naprawdę chcesz mnie tam zabrać?

– Pewnie – odparł Warden. – Kiedy chciałabyś pojechać?

– W przyszłym tygodniu. Jedźmy na przyszły weekend. Wezmę wóz Dany i spotkam się z tobą gdzieś w mieście. Zabierzemy trochę sandwichów i piwa.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, zarzuciła mu rękę na szyję i pocałowała.

– Dobrze – powiedział Warden. Odwzajemnił jej pocałunek czując pod zgłodniałymi dłońmi bliźniacze mięśnie biegnące wzdłuż jej kręgosłupa od cienkiej talii aż po szerokość ramion, czując chciwą miękkość jej warg na swoich i bliźniaczy ucisk jej piersi na sobie, i myśląc o tym dzieciennym rozpromienieniu jej twarzy, tak odmiennej od zblazowanej twardości, którą na niej obnosiła w kuchni, i zastanawiając się, co to wszystko znaczy, w co ty się wdałeś, u licha, Miltonie, razem z tą twoją kobiecą intuicją?

– Chodź tu – powiedział chrapliwie, łagodnie. – Chodź tu, maleńka. Chodź do mnie.

Wielka łagodność, którą miał w sobie, którą zawsze pragnął wyzwolić, a nigdy nie potrafił, wezbrała w nim teraz jak rzeka, oślepiająco.

– Och – szepnęła Karen. – Nie wiedziałam, że to może być tak. Na dworze deszcz bębni! beustannie i bezustannie spływał strumieniami z dachu, a na ulicy szuranie twardych mioteł popołudniowej służby porządkowej rozlegało się kojąco poprzez deszcz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mianowanie szeregowca Bluma starszym szeregowcem nie było niespodzianką dla kompanii G. Od końca grudnia liczono się z tym, że pierwszy wolny stopień dostanie Blum, który – dopóki nagle nie stanął w ubiegłym roku do rozgrywek o mistrzostwo kompanii, a potem pułku, i nie wygrał czterech walk na stadionie – był tylko jedną z wielu bezbarwnych twarzy spoglądających z niemrawymi uśmieszkami z dorocznej grupowej fotografii kompanii. Z mniej niż przeciętnego żołnierza Blum – posługując się tęgą tyczką programu bokserskiego – wyskoczył na pozycję jedyne go szeregowca, ze starszymi szeregowcami włącznie, którego Ike Galowicz wywoływał z szeregu, żeby prowadził musztrę, i którego przygotowywano na kaprała. Wiodąca wieczną walkę frakcja niesportowców bardzo ostro napiętnowała ten oczywisty faworytyzm. Kapitan Holmes byłby zgorszony, potem dotknięty, a wreszcie oburzony, gdyby mógł znać reakcję większości żołnierzy swojej kompanii na awans Bluma, ale dotarła do niego jedynie cząstka szeptanych komentarzy, i to dopiero po takim ich rozwodnieniu przez tych, co mu je powtórzyli, ażeby były odpowiednie dla jego uszu.

Zawodnicy – choć żaden z nich nie należał specjalnie do przyjaciół Bluma – przyjęli go na swoje łono po bratersku i bronili gwałtownie. Musieli tak postąpić, aby utwierdzić swoją doktrynę, że sportowcy są lepszymi dowódcami, co było zawsze ich usprawiedliwieniem wobec szemrania pełniących zwykłą służbę szeregowców, którzy nie mogli dobić się stopnia.

Mały Maggio, szuler i były ekspedytor od Gimbela, był szczególnie rozgoryczony i wściekły.

– Gdybym wiedział – mówił do Prewitta, który sypiał o dwie prycze od niego w sali drużyny „Wodza” Choate'a – gdybym wiedział, jak to jest w tym wojsku! Ze wszystkich ludzi w naszym oddziale dają ten wolny stopień akurat Blumowi. Bo jest pięściarz.

– A czegoś się spodziewał, Angelo? – uśmiechnął się Prew.

– I pomyśl, że on nawet nie jest dobrym żołnierzem – rzekł gorzko który posepnie zatopił się w kartach, i znowu na Sala, przez którego w końcu zaprzyjaźnił się z nimi.

Sal Clark, ze swymi nieśmiałymi, ufnymi oczami i z lekka zakłopotanym uśmiechem, przypominał wiejskiego półgłupka, który jest całkowicie pozbawiony złośliwości, zawiści, nieufności czy chęci wywyższenia się, który nie potrafi utrzymać się w naszym społeczeństwie i którego zamożni biznesmeni radośnie wrywają sobie z rąk przy każdej sposobności, żywiąc go, ubierając i pielęgnując czule, jak gdyby w jakiś metafizyczny sposób

mógł swoim ciasnym umysłem wstawić się za nich do Boga lub ochronić ich od wyrzutów sumienia. Podobnie Sal Clark cieszył się opieką i względami jako maskotka kompanii.

Anderson parę razy robił Prewowi przyjazne awanse, a w dzień wypłaty, kiedy Prew przepuścił swój żołądek, zaproponował mu nawet pożyczkę, ale ilekroć zwracał się do niego, Prew odprawiał go z kwitkiem, bo oczy Andy'ego nigdy nie skupiały się na jego twarzy, tylko zawsze patrzyły gdzieś w bok, a Prew nie chciał mieć za przyjaciół tych, co się go obawiają. I dopiero kiedy Sal Clark ze swoimi dużymi, głębokimi, nie rozumiejącymi, sarnimi oczami poprosił go ufnie, żeby się zaprzyjaźnili, zrozumiał nagle, że nie może odmówić.

...Zdarzyło się to jednego z tych ciepłych lutowych wieczorów przed początkiem pory deszczowej, kiedy gwiazdy zdawały się tak bliskie, że można by ich dotknąć. Wyszedł z oparów dymu i alkoholu u Choya, czując, jak piwo krąży w nim lekko, i przystanął w oświetlonym tunelu bramy wypadowej, który skupiał rozległe odgłosy nocy. Po drugiej stronie dziedzińca paliły się jeszcze światła w drugim batalionie, a na ich tle, na galerijkach, poruszały się ciemne sylwetki. Mroczny czworobok był nakrapiany robaczkami świętojańskimi tłących się papierosów, zgromadzonych wokoło dzbanów piwa, i rozżarzających się, kiedy ktoś się zaciągał, a potem przygasających znowu.

Z przeciwległego kąta w pobliżu megafonu trębacza dolatywały dźwięki gitary i pieśń śpiewana na cztery głosy. Ktoś brzękał jednym palcem, ale melodia była jędrna iniosła się czysto i wyraźnie przez dziedzińiec, brzmiąc dobrze. A w tej powolnej pieśni Prew rozeznał nosowy głos Sala wybijający się spośród innych, bardziej wiejski niż głos najprawdziwszego górala, choć Sal był długonosym makaroniarzem ze Scrantonu. Śpiewali *Bluesa kierowców ciężarówek*.

Wciąż przy kierownicy,

Choć padam na nos,

Tabor jechać musi

– Parszywy los!

Co jest do stracenia,

Nie mam nic prócz trosk,

Chandra jak cholera

– Parszywy los!

Szczera prostota żalosej skargi w głosie Sala Clarka dotarła do Prewa i wzruszyła go. Czuł, jak gniew i oburzenie na Wardena i cały porządek rzeczy roztapiają się w jakąś głęboką, przenikliwą melancholię, dla której nie ma słów. Wszystko było zawarte w słowach tej pieśni, ale te słowa właściwie nic nie mówiły; tyle że kierowca jest zmęczony i że mu źle.

Urzednicy, królowie, myśliciele – ci gadają i swoją gadaniną rządzą tym światem.

Kierowcy ciężarówek, budowniczywie piramid, prości ludzie – ci, co nie umieją mówić, budują świat samą swą bezmownością, ażeby gadacze mogli gadać o tym, jak *rządzić* nim i tymi, którzy go zbudowali. A kiedy zniszczą świat swoim gadaniem, kierowca ciężarówki i prosty człowiek odbudują go znowu, po prostu dlatego, że szukają jakiegoś sposobu, aby przemówić. Czuł to wszystko w tej pieśni i w zawodzącym, bolesnym nosowym głosie Sala Clarka.

Przeszedł zygzakiem między grupkami popijających piwo i w rogu przystanął na skraju małego tłumu, który zawsze zbiera się dokoła grającego na gitarze. Ósrodek stanowiła grupka pięciu głównych aktorów. Reszta, skupiona z szacunkiem w charakterze widzów, stała wokoło i śpiewała albo słuchała, świadoma wyższości twórczego kręgu. Andy i Clark przeszli teraz na *Różę z San Antonio*, a Prew krążył po zewnętrznym skraju tłumu nie próbując się przepchać do środka. Andy go spostrzegł.

– Hej, Prew! – zawołał przymilnie. – Potrzeba nam gitarzysty. Chodź tu i siadaj z nami.

– Nie, dziękuję – odparł krótko, zawstydzony tą przypochlebnością Andy'ego, tak jakby sam był jej winien; po czym zawrócił, by odejść.

– E, chodźże – nalegał Andy patrząc na niego przez lukę, którą utworzył rozstępujący się tłumek, a jego oczy wędrowały po twarzy Prewa nie zatrzymując się jednak ani na chwilę.

– Pewnie, Prew, chodź do nas – poparł go skwapliwie Sal, którego wielkie oczy zapłonęły czarno entuzjazmem. – Chłopie, świetnie się tutaj bawimy. Nawet piwo dziś mamy. Słuchaj – dorzucił tknięty nową myślą.

– Ja już się zmachałem. Może byś pograł trochę?

Była to największa ofiara, jaką mógł zrobić, ale Prewa uderzyła jej manifestacyjność.

– Okej – powiedział krótko. Podszedł, wziął wyciągniętą do niego gitarę i zasiadł pośrodku grupki – Co zagramy?

– Może *Dolinę Czerwonej Rzeki*? – zaproponował prostodusznie Sal, wiedząc że jest to ulubiona piosenka Prewa.

Prew kiwnął głową, brząknął w struny na próbę i zaczął grać. Podczas gry Clark podsunął mu dzbanek z piwem.

– Nie jest taka dobra jak ta nowa Andy'ego – rzekł wskazując swoją gitarę ruchem głowy. – Opchnął mi ją tanio, kiedy sobie kupił nową. Już zgrana, ale mnie wystarczy, żeby się uczyć.

– Pewnie – odparł Prew.

Sal przykucnął przed nimi trzymając dzbanek z piwem. Szczyrzył zęby z wielkiej radości i śpiewał piosenkę tym swoim zawodzącym, nosowym głosem, z na wpół

przymkniętymi oczami, głową odchyloną w bok i do tyłu, nieomal zagłuszając pozostałych. Kiedy skończyli, wziął opróżnioną przez Prewa puszkę od piwa, która miała obcięty wierzch, by służyć jako szklanka, i napełnił ją na nowo.

– Masz, Prew – powiedział niepewnie. – Jak będziesz grał, to musisz zwilżyć sobie dmuchawę. Od śpiewania suszy człowieka.

– Dziękuję – odrzekł Prew. Wychylił puszkę, otarł usta wierzchem dłoni i spojrzał na Andy'ego.

– Może teraz mój *Gadany blues?* – zaproponował Andy. Była to jego specjalność; nie lubił tego grać w obecności tłumu, ale teraz ofiarował to Prewowi.

– Dobra – powiedział Prew i brząknął na początek.

– Szukałem ciebie, żeby cię ściągnąć – rzekł Sal Clark poprzez dźwięki melodii. – Miałem nadzieję, że przyjdiesz, stary.

– Byłem zajęty – odparł Prew nie podnosząc wzroku. Sal szybko kiwnął głową.

– Aha – powiedział z komicznym współczuciem. – Wiem. Słuchaj, jak tylko byś miał ochotę pobrząkać na tym starym pudle, to zawsze wyjmij je sobie z mojej szafki. Nie musisz mnie pytać, ja szafki nigdy nie zamykam.

Prew podniósł wtedy wzrok i zobaczył na jego pociągłej, chudej oliwkowej twarzy naiwną radość, że stracił wroga, a zyskał przyjaciela.

– Dobra – rzekł. – I dziękuję ci, Sal, dziękuję bardzo. – Pochylił twarz nad strunami, też czując w sobie ciepło, bo i on tamtego dnia zyskał dwóch przyjaciół.

– Dwie kurwy – powiedział Maggio rzucając królową, którą miał zakrytą, obok jej towarzyszek.

– Dwa asy – uśmiechnął się Prew odkrywając swoje karty. Wyciągnął rękę i zgarnął z koca niewielką garść monet. Rozległy się chóralne stękania i przekleństwa, kiedy dołączył ją do czterech dolarów, które wygrał w ciągu ubiegłych dwóch godzin. – Jeszcze trochę tego – powiedział – a będę miał dosyć, żeby się machnąć do szopy O'Hayera na wielki skok.

Kiedy siedzieli przy kartach, trębacz odegrał mdławo capstrzyk z rogu zalanego deszczem, błotnistego dziedzińca, po czym nastąpił raptowny napływ tych, co oddawali mocz w ostatniej chwili przed położeniem się do łóżka, a podoficer służbowy pogasił światła w salach sypialnych, i teraz, w tych ciemnych salach za wahadłowymi drzwiami latryny, była już tylko ciężka cisza i delikatne poruszenia ogromnej masy śpiących. Jednakże skupiona gra w karty trwała przez cały czas, z ową niezwykłą pasją, którą powszechnie przypisuje się miłości, lecz którą tylko nieliczni mężczyźni odczuwają dla kobiet.

Andy rozdawał karty, kiedy otworzyły się drzwi i starszy szeregowiec Blum wszedł odepchnąwszy je tak mocno, że trzasnęły o ścianę, a potem chwiały się jeszcze chwilę,

skrzypiąc głośno. Starszy szeregowiec Blum zbliżył się do siedzących wokół koca stąpając z ciężką, krępką pewnością siebie i z uśmiechem potrząsając swą płaską, kudłatą głową, taki ogromny, że jego potężne bary zdawały się wypełniać całe drzwi.

– Ciszej, frajerze – odezwał się Maggio. – Chcesz, żeby służbowy tu przylazł i przerwał nam grę?

– Cholera z nim – odparł Blum właściwym sobie, donośnym głosem. – I z tobą, ty mały makaroniarzu.

W Maggio nastąpiła nagła przemiana. Wstał, obszedł koc dokoła i zbliżył się do ogromnego Bluma, który piętrzył się nad nim.

– Uważaj – powiedział zdławionym głosem. – Nie każdemu pozwalam nazywać mnie makaroniarzem. Nie jestem taki dryblas i chojrak, nie jestem żadnym trzeciorzędnym mordobijem „Dynamita”, ale dla ciebie jestem Maggio. Nie będę się z tobą patyczkował. Jak cię obrobie, to krzesłem albo nożem.

Patrzył na Bluma, chudą twarz miał wykrzywioną, oczy gorejące.

– Taaak? – rzekł Blum

– Taaak, taaak – odparł sarkastycznie Maggio.

Blum postąpił ku niemu i zadzierzyście pochylił głowę nad jego chudymi, kościstymi ramionami. Zaległa nagła, baczna cisza, która zawsze poprzedza bójkę.

– Odczep się, Blum – powiedział Prew zdziwiony czystą donośnością swojego głosu w tej ciszy. – Chodź tu i siadaj, Angelo. Pięć zero dla ciebie.

– Teraz moje wyjście – rzekł Maggio nie oglądając się. – Odpietrz się, łobuzie – rzucił przez ramię odchodząc od Bluma. Blum roześmiał się za nim dufnie, złośliwie.

– Weźcie i mnie – powiedział Blum wpychając się między szeregowca Juliusa Sussmana a Sala Clarka.

– Już mamy pięciu graczy – odrzekł Maggio.

Taaak – powiedział Blum. – No to co? W pokera może grać siedmiu.

– To jest poker z zakrytą kartą – odparł Maggio.

– No, to może grać dziesięciu – rzekł Blum nie rozumiejąc sytuacji.

– A może nie chcemy więcej graczy – powiedział Prew zerkając przez dym papierosa na swoją zakrytą kartę.

– Tak? – spytał Blum. – A bo co? Moje pieniądze są niedobre?

– Owszem, jeżeli są w twojej kieszeni – odparł Maggio. – Pewnie podrobione.

Blum roześmiał się głośno.

– Ty to jesteś typ, Angelo.

Dla ciebie jestem Maggio. Szeregowiec Maggio.

– Pociesz się – roześmiał się Blum. – Kiedyś i ty będziesz starszym szeregowcem, chłopie.

– Mam nadzieję, że nie – odparł Maggio. – Mam szczerą nadzieję, że nie. Bo może i ja też okazałbym się skurwysynem.

– Ty! – powiedział Blum. – Do mnie pijesz? Mnie nazywasz skurwysynem?

– Jak ci ten but pasuje, to go noś, przyjacielu – rzekł Maggio. Blum patrzył na niego przez chwilę, zaskoczony, niepewny, czy go nieważono, czy nie, nie mogąc pojąć, skąd ten antagonizm; wreszcie postanowił się roześmiać.

– Ty jesteś typ, Angelo. Przez chwilę myślałem, że mówisz serio. Kto ma papierosa? – zapytał. Nikt mu nie odpowiedział, Blum rozejrzył się i dostrzegł wyrzucenie w kieszeni koszuli Prewitta. – Daj zakurzyć, Prew.

– Nie mam – rzekł Prew.

– Tak? A to w tej kieszeni? No, dajże mi fajkę. Prew podniósł niewzruszoną twarz.

– To pusta paczka – skłamał patrząc Blumowi w oczy bez zakłopotania. – Właśnie ją skończyłem.

– Taaak? – Blum zaśmiał się sarkastycznie. – Niech wierzy, kto głupi. No to daj ogarek tego, co palisz.

– Dobrze, przyjacielu. – Prew pogardliwie pstryknął niedopałkiem papierosa, który upadł na podłogę obok Bluma, pod sedesem.

– Hej! – zaprotestował Blum. – Myślisz, że będę to palił? Unurzane w szczynach? Ładnie postępujesz, rany boskie!

– Paliłem takiego przed chwilą – rzekł Maggio. – Mnie smakował.

– Ano, może ja jeszcze tak nisko nie upadłem. A jak upadnę, nazbieram końskich bobków i sam sobie zrobię skręta.

– Jak wolisz – powiedział Maggio. Podczołgał się, podniósł ogarek i sam go dokończył. – Ale uważaj – dodał wracając – bo jeszcze weźmiesz nie to gównno, co trzeba, i sam siebie wypalisz.

Sal Clark zbierał karty do następnej partii, odwracając z zakłopotaniem twarz, jak gdyby nie chciał widzieć całego tego antagonizmu, który pojawił się razem z Blumem.

– Mam mu dać karty? – zapytał nieśmiało Prewa.

– Chyba tak – odrzekł Prew.

– Co ty jesteś? – zadrwił z Clarka Blum. – Jego piętaszek? Też go pytasz, jak przychodzi pora, żeby się wyśrać?

Sal zwiesił głowę, zarumieniony, i nie odpowiedział.

– Pewnie, że jest moim piętaszkiem – odciął się Prew widząc twarz Sala. – A co, nie

podoba ci się?

Blum obojętnie wzruszył ramionami.

– Nisko mi to wisi.

Sal spojrział z wdzięcznością na Prewa, kiedy zaczął rozdawać karty. Ale Blum nawet tego nie zauważył.

Wraz z przyjściem Bluma jednolitość gry rozpadła się, a bliskie koleżeństwo zniknęło. Wszyscy grali w milczeniu. Nie było już dowcipów. Mógłby to być wielki hazard w szopie O'Hayera. Maggio wygrał kilka lew, a za każdym razem Blum klął głośno.

– Zamknijże się, na rany boskie! – powiedział w końcu Julius Sussman. – Przez ciebie zaczynam żałować, że jestem Żydem.

– Taaak? – warknął Blum. – Coś ty? Wstydzisz się, że jesteś Żydem? A może ty i nie Żyd, tylko jakiś śmierdzący Meksykanin?

– Możliwe.

– Pewnie, może i jest – dodał Maggio. – W każdym razie nie taki pieprzony gudłaj. Ja nie gram – dodał. – Mam tego dosyć. Idę do szopy O'Hayera przerobić tę garść groszaków na prawdziwą forszę.

– Te, czekaj no! – zawołał Blum zrywając się na równe nogi. – Chyba nie będziesz odchodził na wygranej?

– A pewnie, że tak – odparł Maggio. – Myślisz, że będę odchodził na przegranej? Gdzie żeś się uczył grać? U swojej cioci?

– Nie możesz tego zrobić – powiedział Blum – i zabierać pieniędzy z tej gry do O'Hayera.

– Nie? To się przyjrzyj – odrzekł Maggio. Blum obrócił się do siedzących graczy.

– Pozwolicie mu na to, chłopaki? Przecież on ma i waszą forszę.

– A ty myślisz, że po co zaczęliśmy tę grę? – zapytał Prew. – Dla zabawy? Myślisz, że będziemy zwracać wszystkim pieniądze, jak tylko skończymy? Po co komu ta drobnica, jeżeli nie na to, żeby wygrać trochę prawdziwej forsy w szopie? Nie bądźże dzieckiem, na rany boskie!

– Taaak? – odparł Blum z wyrzutem. – Coś ty? Wspólnik tego makaroniarza? Przegrałem dwa dolary w tej cholernej grze. Przyzwoity gość nie odchodzi od kolegów, jak jest wygrany. Myślałem, żeś równy chłop, nawet jak wszyscy gadali, żeś nie chciał walczyć. Mówiłem im, że wcale nie, że jesteś równy, kiedy wszyscy powiadali, żeś się spietrał. I coś mi wygląda, że się pomyliłem.

Prew schował do kieszeni nie liczone pięć- i dziesięciocentówki, jakie mu pozostały, i wstał z rękami zwieszonymi luźno, w gotowości, wzdłuż boków, z wargami

zaciśniętymi tak, że odpłynęła z nich krew, a oczami płaskimi jak oczy wymalowane na desce.

– Słuchaj, ty sukinsynu – powiedział z lodowatym spokojem, który był płomiennym uniesieniem. – Zamknij tę swoją mordę, bo ci ją zamuruję. I nie będę po to wychodził na żaden ring. Ani potrzebował krzesła.

– Tak? – odparł Blum odstępując o krok. – Proszę: jestem. Kiedy tylko chcesz.

Zaczął rozpinąć koszulę i wyciągać ją ze spodni.

– Jak do tego dojdzie – Prew skrzywił się urągliwie – nie zdążysz zdjąć koszuli.

– Duża mowa – powiedział Blum, nadal wyciągając koszulę.

Prew ruszył ku niemu i byłby go uderzył, kiedy Blum miał ręce jeszcze zaplątane w rękawy koszuli, ale Maggio zagroził mu drogę.

– Chwileczkę. Tylko narobisz sobie biedy. – Rozkrzyżował przed Prewem ręce. – Tu poszło o mnie, nie o ciebie. Spokojnie.

Mówił uspokajająco, robił teraz dla Prewa to, co przed chwilą Prew zrobił dla niego, ramiona miał wciąż rozkrzyżowane. Prew stał biernie, odprężył się, ręce zwisały mu prosto wzdłuż boków.

– Dobrze – powiedział, zawstydzony tą zimną żądzą mordy, którą czuł w sobie przed chwilą, tą jakąś dziką ekstazą, i zastanawiał się, co takiego jest w Blumie, że ludzie mają ochotę go trzasnąć. – Opuść te ręce, na miłość Boga – powiedział do Maggio. – Nic się tutaj nie stanie.

– Tak i myślałem – rzekł Blum wtykając na powrót koszulę w spodnie i zapinając ją; uśmiechał się tryumfalnie, tak jakby niedopuszczenie do bójki było jego osobistym zwycięstwem.

– Zjeżdżaj – powiedział Maggio z obrzydzeniem.

– Dobra – uśmiechnął się Blum. – Chyba nie myślicie, że będę was dalej obdarowywał forszą, co? Nie wiedziałem, że jesteście bandą kanciarzy – powiedział odchodząc i mając ostatnie słowo. Trzasnął rozgłośnie drzwiami, żeby okazać swoją pogardę dla oszustów.

– Uczciwi zawsze wygrywają – odparł Maggio. – Nikt cię nie prosił, żebyś grał – zawołał za nim. – Kiedyś wypruję bebechy temu facetowi. Któregoś dnia doprowadzi mnie do szafu.

– Ja nic do niego nie mam – rzekł Prew – ale z jakiegoś powodu zawsze mi działa na nerwy.

– Już ja mu podziałam – odparł Maggio. – To paskudny drań. Nie znoszę go.

– Zdaje się, że nie potraktowaliśmy go zbyt przyjaźnie – powiedział Prew.

– Takiego faceta nie traktuje się przyjaźnie. Tylko poczekaj, aż dostanie kaprała, to

wtedy potraktuje przyjaźnie nas obu. Siódme poty z nas wycisnie, bracie.

– Pewnie tak – powiedział Prew w zamyśleniu, zastanawiając się, co takiego, jaki rys, jaka cecha, jaka różnica charakteru sprawia, że jednego człowieka się lubi, a drugiego nie znosi. Od Maggia przyjąłby rzeczy, których nigdy nie przełknąłby od Bluma, nawet gdyby wiedział, że są mówione żartobliwie. Z Blumem nie można było rozmawiać bez tego, żeby każdej rzeczy nie wykręcił tak, jak gdyby go znieważono; zdawało się, że zawsze musi obciążyć winą kogoś drugiego. Myśląc o tym Prew nagle rozzłościł się znowu. Pożałował, że się powstrzymał i nie uderzył Bluma, przynajmniej przerwałoby to monotonię. Żałował, że nie wygrał więcej. Żałował całej masy rzeczy. Nie miał kobiety od ostatniej wypłaty, od ostatniego razu, kiedy był u Violet. Zapragnął teraz kobiety.

– No – powiedział Maggio patrząc mu w twarz. – Idę do szopy i wygram majątek tymi drobnymi.

– Lepiej weź to, co masz, i jedź do miasta – odrzekł Prew. – Póki jeszcze masz. – Odwrócił się i odszedł na bok.

Julius Sussman -wstał przeliczając garstkę pieniędzy, która mu została.

– Ano, dobre było, póki trwało. Urządziliśmy sobie ładną koleżeńską partyjkę, szkoda gadać. Nie zostało mi nawet na benzynę. Ty pewnie już nie chcesz więcej grać, co? – zwrócił się do Maggia.

– O, nie – odrzekł Maggio. – Ja idę do szopy.

– Takem i myślał – powiedział Sussman. Podeszedł do okna i wyjrzał na dwór z rękami wciśniętymi w kieszenie. – Cholera jasna – powiedział.

– Ten bajzel mnie wykańcza. Żeby deszcz trochę przestał, tobym się gdzieś przejechał i może znalazł sobie jakąś dupę, gdybym tylko miał benzynę.

– Cofnął się od okna i westchnął. – Chyba muszę zobaczyć, czy nie wydrapię skądś forsy na benzynę.

– Chcesz, żebym się wypuścił z tobą, Angelo? – zapytał Sal Clark wstając od pasjansa, który układał na ławce. – Pokombinuję dla ciebie – zaproponował.

– E – odparł Maggio niechętnie. – Sam sobie pokombinuję. Za własne pieniądze.

– Ja ci tak skombinuję, że wygrasz – proponował Sal. – Sam nigdy nie mogę wygrać, ale umiem skombinować wygraną dla wszystkich innych.

Maggio obrócił się, spojrzął na niego i wyszczerzył zęby.

– Zostań tu i kombinuj, „Piętaszku”. Jak wygram, to wam wszystkim dam po pięć dolarów pożyczki. – Prew – zawołał – powiedz swojemu „Piętaszkowi”, żeby tu został i kombinował za mnie. Nie chce mnie słuchać.

Prew podniósł głowę, ale się nie uśmiechnął ani nie odezwał.

– Jeżeli mnie weźmiesz ze sobą i pozwolisz pokombinować – ciągnął Sal – to pójdę za darmo. Zaoszczędzisz sobie forsy.

– Na rany Chrystusa, zamknijże się – powiedział ponuro Andy. – Nie widzisz, że on nie chce cię zabrać? Nie masz za cholerę ambicji.

– Tam pewnie nikogo nie będzie – powiedział Maggio. – To dlatego. Teraz, pod koniec miesiąca, może iść jeszcze tylko stół pokerowy tych z dużymi wygranymi i z jedna partyjka dwadzieścia jeden dla małych płotek.

– My w każdym razie idziemy do kina na drugi seans – powiedział Andy. Zawrócił do Prewitta. – Prew, pożycz mi dwadzieścia centów, dobrze? Żebyśmy mogli pójść na film. Mnie jeszcze zostało dwadzieścia, ale Sal potrzebuje dwudziestaka.

– Masz – powiedział szorstko Prew dając sześćdziesiąt centów, które mu pozostały. – Bierzcie wszystko. Mnie się to na nic nie przyda.

– E, strasznie mi nieprzyjemnie – rzekł Andy, ale nie cofnął ręki.

– Tak, nieprzyjemnie ci – powiedział Prew. – Wiem, że ci nieprzyjemnie.

– Naprawdę – odparł Andy. – Ja cię prosiłem tylko o dwadzieścia centów. – Spojrzał na Prewa i oczy mu uciekły w bok, bo wiedział, że kłamie, a nie chciał kłamać, natomiast chciał pieniędzy.

– No, wziąłeś wszystko, więc się zamknij – rzekł Prew. – I na miłość boską, jak rozmawiasz z człowiekiem, to patrz mu w oczy, psiakrew, dobrze? Szlag mnie na to trafia.

– Okej, Prew – powiedział Andy. – Chcesz, żebym wziął to wszystko?

Przecież już wziąłeś, nie? Idź, wydaj i zamknij się.

– Dobra – rzekł Andy. – Chodź, Sal – dodał podchodząc do ławki. – Zagrajmy parę kolejek w casino, dopóki nie będzie czas iść do kina.

Prew spojrzał na niego z obrzydzeniem i podszedł do zlewu czując, jak wnętrzności skręcają mu się od głodu kobiety.

– Słuchaj, Prew – powiedział Maggio ostrożnie, wskazując głową w stronę drzwi. – Wyjdź ze mną na galeryjkę.

– Po co? – zapytał Prew wiedząc, że zachowuje się paskudnie, ale nie mogąc się pohamować. – Masz forszę, to ją wydaj.

– Chodź na minutę, psiakrew – powiedział Maggio.

– Dobra – rzekł Prew i odszedł od zlewu. Andy nie podniósł wzroku, kiedy przechodził, ale Sal Clark spojrzał i uśmiechnął się do niego swoimi nieśmiałymi oczami jelonka.

– Nie przejmuj się, „Piętaszku” – powiedział Prew łagodnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Maggio stał na galerijce czekając na niego, kościste ramiona w podkoszulku miał przygarbione z zimna i wpatrywał się w strumienie wody lejącej się tuż za zasłoną siatkową. Plusk deszczu na chodniku w dole rozbrzmiewał na całym ganku zagłuszając chrapanie śpiących w sali.

– Pojechałbyś ze mną do miasta, gdybym coś wygrał? – zapytał obracając się, kiedy Prew wyszedł na galerijkę.

Prew parsknął ze złością.

– Co ty robisz? Zapraszasz mnie, bo mi współczujesz?

– Ha – odparł Maggio. – Nie pochlebiaj sobie. Po prostu nie lubię sam jeździć do miasta. Nikogo tam nie znam.

– Ja też nie – powiedział Prew.

– W mieście człowiek czuje się bardziej samotny niż tutaj – rzekł Magio.

– Wcale nie, jeżeli ma pieniądze. Lepiej zabierz, co masz, i jedź, póki jeszcze masz – powiedział Prew. – Pójdiesz do O'Hayera, to nie będziesz tego miał długo – dodał szorstko.

– Słuchaj – powiedział Angelo. – Nie daj temu całemu Blumowi nadeptywać sobie na odciski. Każdy wie, że to okazowy kutas.

– Posłuchaj ty sam. On mnie ani ziębi, ani grzeje; jak się będzie do mnie przypieprzał, to mu rozwalę ten tępy łeb. A to dotyczy i wszystkich innych, kapujesz?

Nic ci z tego nie przyjdzie – powiedział rozsądnie Angelo.

– Może i nie, ale będę miał lepsze samopoczucie.

– On ci tylko tak dogryzał tymi bzdetami, że niby masz pietra – rzekł Maggio. – Nikt w to nie wierzy.

Prew już zawrócił do latryny, ale teraz się zatrzymał.

– Słuchaj, Angelo – powiedział obracając się. – Zostawmy to. Guzik mnie obchodzi, czy oni albo jacyś inni w to wierzą – dodał poważnie. – Mogą się wszyscy razem zapieprzyć, a ja będę pierwszym, który przyleci popatrzeć.

– Dobra – powiedział krótko Maggio. – Żałuję, że o tym wspomniałem. Poczekaj, wezmę koszulę. Zamarznę tu na śmierć. Zdawało mi się, że na tych plakatach turystycznych stało, że na Hawajach nie ma zimy.

Zniknął w oddychającej wolno, rytmicznie sali sypialnej stąpając groteskowo na palcach. Prew mimo woli musiał się uśmiechnąć. Angelo wrócił zapinając koszulę, z płaszczem deszczowym na rękę, w sztywno ufasonowanym kapeluszu, z którego był taki

dumny i który z całym nabożeństwem fasonowa! sobie raz na tydzień, odkąd zakończył okres rekrucki.

– Gdzie będziesz? – zapytał i rozpiąwszy spodnie zaczął w nie wtykać koszulę, kiedy szli ku schodom, a potem na dół, na parterową galeryjkę, gdzie deszcz padający bez końca wydawał nie kończący się odgłos, którego już się nie słyszało, ponieważ trwał tak długo.

– W świetlicy – odrzekł Prew. – Albo w latrynie.

Maggio naciągnął nieprzemakalny płaszcz, tak jakby był zbroją, a on miał wstąpić w szranki.

– Okej – powiedział. – Lepiej naszykuj kuferek, żeby mi pomóc przytaszczyć forszę.

– Lepiej coś wygraj, szlag by cię trafił – odparł Prew. – Nie widziałem kawałka dupy prawie od miesiąca.

– Nic dziwnego, że chodzisz taki wściekły – wyszczerzył zęby Angelo.

– Ja tego nie miałem od ostatniej wypłaty. – Nacisnął kapelusz na czoło i zerknął na Prewa spod ostrej jak brzytwa krawędzi ronda. – Daj mi zakurzyć, nim pójdę.

– Jezus kochany! – powiedział Prew z żalem, ale sięgnął do kieszeni i z niewidocznej paczki wyciągnął jednego papierosa. – Odkąd to wziąłem cię na utrzymanie?

– Co jest? Boisz się, że ci ukradnę te twoje parszywe fajki? Jak wygram, kupię ci cały karton. A teraz dawaj ognia i już mnie nie ma.

– Może ci śliny brak? – zapytał Prew. – Może jeszcze mam splunąć za ciebie?

– Byle nie na podłogę – odparł Angelo podnosząc brwi z udaną zgrozą.

– Byle nie na podłogę. Gdzie twoje maniery?

– Co jeszcze mogę zrobić dla ciebie? Nadstawić ci usta zamiast popielniczki? Obciąć sobie jaja i pograć z tobą w piłkę? Na pewno potrafisz coś wymyślić.

– Nie – odrzekł Maggio. – Ale dziękuję. Poczciwy z ciebie chłopak. Jak kiedyś będziesz w Brooklynie, to zajrzyj do mnie. Ugoszczę cię jak się patrzy. – Wziął zapalki, które Prew mu podał, zapalił i zwrócił pudełko; rdzawy odbłask żaru oświetlił jego chudą, dziecinną twarz. – No, to tymczasem, kochany – powiedział zaciągając się z lubością, jak bogacz pięćdziesięciocentowym cygarem.

Wymaszerował na deszcz, przeskoczył skulony przez spadające strumienie wody i ruszył dalej, z kościstymi ramionami podniesionymi wojowniczo, machając chudymi rękami, kołysząc torsem z boku na bok, zamiatając bezkształtnym płaszczem deszczowym, którym był owinięty.

Prew patrzył za nim ze smętnym półuśmiechem; nie był już zły, miał nadzieję, że Maggio wygra trochę pieniędzy. Przez chwilę stał spoglądając ku oświetlonej bramie wypadowej ponad dziedzińcem, po którym niósł się deszcz; słuchał urywków pieśni,

okrzyków dolatujących od Choya, kiedy otwarto bramę, oraz szurania pustych skrzynek. Znów wracał do dawnego, dobrze znanego trybu życia, kiedy to poluje się, czyha i dybie na pięciocentówki, które wydają się wielkie jak dolary, próbuje zgarnąć ich tyle, by wystarczyło na kilka whisky i na obłapkę.

„Nawet jeżeli on wygra – myślał – nie znajdziesz tego, czego chcesz, w żadnym burdelu, ty, który gadasz tak wymownie o obłapce, jak gdyby mogła rozwiązać wszystko. Byłeś skończonym durniem, że pozwoliłeś Violet odejść – pomyślał z goryczą, żałując teraz, że to przeforsował, że nie miał odrobiny rozsądku; zastanowił się, co ona robi tego wieczoru, w tej chwili. – Może i nie miałeś tego, czego wciąż szukasz, ale przynajmniej mógłbyś tam zachodzić raz na tydzień czy bodaj raz na miesiąc. A teraz nie masz nawet tyle. Teraz masz dawny system: burdele, w których nigdy tego nie znajdziesz, plus brak pieniędzy, których potrzeba, żeby tam pójść, i które musisz gdzieś wytrzasnąć, a znikąd nie możesz ich dostać, poza dniem wypłaty, kiedy tam jest taki tłok, że jeżeli sobie nie strzelisz w trzy minuty, musisz odłożyć to do następnego razu. Póki byłeś z Violet, miałeś przynajmniej kobietę. Może by pójść, zobaczyć się z nią, wytłumaczyć?” Jednakże myśląc tak wiedział jednocześnie, że nic z tego, że już się skończyło, że już znalazła sobie innego żołnierza albo może nawet kogoś ze swojej rasy. Tego przecież chciała w gruncie rzeczy. „Może trzeba było ożenić się z nią? A jakże; pewnie trzeba też było zostać w oddziale trębaczy, co? Może nigdy nie znajdziesz tego, czego szukasz” – myślał zawracając na schody.

Andy i Sal Clark byli jeszcze w latrynie i grali w casino na podniszczonej drewnianej ławie, której słoje wypłukała i wyżłobiła rozpryskiwana wciąż na nią woda.

– Blum tu wrócił, kiedy ciebie nie było – powiedział Andy podnosząc oczy znad kart.

– Tak? – rzekł Prew czując, że wszystko jest mu obojętne. – A czego znowu chciał?

– Szukał kogoś, kto by mu pożyczył pięćdziesiąt centów na taksówkę do miasta – odparł ponuro Andy spuszczać wzrok.

– No i co? Pożyczyłeś mu?

– Dlaczego miałbym mu pożyczyć? – odparł Andy z oburzeniem. – Myślisz, że bym ci skrewił? – Potem spojrzął na niego, zrozumiał, że

Prew żartuje, i głos mu przycichł. – Razem mamy do kupy ledwie osiemdziesiąt centów – mruknął. – Jakbym mu pożyczył pięćdziesiątka, nie mielibyśmy za co iść do kina.

– A ja myślałem, że może mu pożyczyłeś – przekomarzał się Prew. – Teraz jesteś tu największy bogacz poza Angelem.

No więc nie pożyczyłem, jeżeli tak myślisz – odparł Andy. – A jakbyś chciał zwrotu swojej forsy, to tylko powiedz, a ja ci oddam.

– Nie, psiakrew – rzeki wesoło Prew. – Na nic by mi się nie zdała.

– Pewnie wybierasz się z Angelem do miasta? – zapytał markotnie Andy.

Prew obrócił się dosłyszawszy urazę w jego głosie.

– Jeżeli wygra – odpowiedział. Andy spojrzał znacząco na Sala.

– Tak też myśleliśmy.

– Coście myśleli? – spytał Prew, podszedł do nich i stanął przed Andym. – Jeżeli ktoś tu zajmował się myśleniem, to założę się, że ty, nie Sal. Nie odpowiada ci, że chcę się wybrać z Angelem?

– Dlaczego? – Andy ostentacyjnie wzruszył ramionami. – Tylko że na ogół nie zostawia się kumpli, którzy są sflukani.

– To znaczy, uważasz, że powinienem tu zostać i iść z wami do kina? Bo nie możecie pojechać do miasta?

– Tego nie powiedziałem – bronił się Andy. – Blum chciał mnie dziś zabrać do miasta.

– No to wal – odrzekł pogodnie Prew – jeżeli to cię gryzie. Ja wcale się nie obrażę, obojętne mi, z kim jeździsz do miasta. A co będzie robił „Piętaszek”?

– Może iść sam do kina – odparł Andy. – Ja biorę tylko pięćdziesiątka na taksówkę.

– Ale ci się pali, człowieku! – rzekł Prew.

– Nie pójdę do kina – powiedział z zadowoleniem „Piętaszek”. – Zaoszczędzę sobie trzydzieści centów, zostanę tu i nauczę się rozdawać te karty, psiakrew.

– Jak chcesz – rzekł Andy. – Forsę masz. Możesz iść, jeżeli ci się spodoba.

– Co wy będziecie robili w mieście, jeżeli można wiedzieć? – zapytał Prew.

– A, tak się poszwendamy.

– Nie poszwendacie się daleko mając tylko pięćdziesiątka na taksówkę. Co będziecie robić, kiedy tam dojedziecie? I jak potem wróćcie?

– Ano – odpowiedział Andy – Blum ma w Waikiki jednego napiętego pedryla, gościa z grubszą forszą, i mówi, że możemy go wyrolować.

– Na twoim miejscu bym nie jechał – rzekł Prew. Andy spojrzał na niego z oburzeniem.

– Czemu nie? Dobrze ci mówić. Ty się wybierasz z Angelem.

– Dlatego, że Blum łże, nic więcej. Jak dawno jesteś w Wahoo? Powinieneś już wiedzieć, że pedały z Honolulu nie dają się wyrolować. Nigdy nie noszą przy sobie pieniędzy. To za mała miejscowość, a za dużo żołnierzy. Byliby wyrolowani każdego wieczora.

Andy unikał jego wzroku.

– Blum mówił, że jakby nie dało się go wykiwać, to w każdym razie postawi nam kielicha i zapłaci za powrót taksówką. Co za różnica?

– Nałgał ci. Taka różnica. A po co? Przecież wie, że nikomu się nie uda wykiwać

pedryla z Honolulu. Dlaczego nie powiedział ci prawdy? Ja nie miałbym zaufania do gościa, który kłamie. Może on rajfurzy dla tego pederasty? Bardzo łatwo może cię zrobić. W tym Blumie jest coś, co mi się nie podoba.

– To pewnie powinienem dać spokój, co? – zapytał gniewnie Andy nie patrząc mu w oczy. – Nie, żaden pedzio mnie nie dopadnie. Coś ty za jeden, do cholery, żeby mnie pouczać, jak mam żyć? Ty jedziesz z Maggiem do miasta, nie?

– W porządku – odrzekł Prew. – Rób, jak chcesz, bracie.

– To on mi zaproponował – powiedział Andy. – Ja go nie prosiłem. I pojedę. Człowiek może zgnić w tych cholernych koszarach. Nawet nie można pograć na gitarze przez ten deszcz. Wściekaj się na mnie, jeżeli chcesz, a ja i tak pojedę.

– Psiakrew, ja się na ciebie nie wściekam, tylko uważam, że jesteś tuman, nic więcej. Jeżeli chcesz poderwać pedała, wybierz się sam.

– Ty lepiej go posłuchaj – wtrącił Sal Clark. – Lepiej nie jedź z Blumem.

– Na rany boskie, odczepcie się ode mnie – rzekł Andy. – Człowiek nie może siedzieć na dupie w tych koszarach przez całe życie. Idziesz do kina czy nie?

– Chyba pójdę – powiedział Sal Clark. – To rozdawanie kart mogę poćwiczyć jutro. Pożycz mi dziesiątą, Prew, i chodź ze mną. Potrzeba tylko dziesięć centów. Ja mam trzydzieści.

– Nie, dziękuję, „Piętaszku” – odrzekł Prew patrząc na jego poważną, podłużną, chudą oliwkową twarz i znowu doznając uczucia ciepła. – Obiecałem Angelowi, że na niego poczekam.

– Jak wolisz – powiedział Sal Clark. – Baw się dobrze w mieście.

– Dziękuję – odrzekł Prew. – Słuchaj, tylko aby ty nie daj się namówić Blumowi na wspólne polowanie na pederastów, dobrze?

– Co to, to nie – odparł uroczyście Sal Clark. – Ja nie lubię pederastów. Dziwnie się przy nich czuję, mam przed nimi stracha.

– Jeżeli chcesz na nich zapolować, wybierz się sam – powiedział Prew. Popatrzał, jak wychodzili, następnie postawił sobie pasjansa i czekał. Nie musiał czekać długo. Minęło ledwie dziesięć minut od ich wyjścia, gdy do latryny wpadł mały Angelo trzaskając z całej siły drzwiami.

No – powiedział Prew podnosząc głowę. – Ileś wygrał?

– Wygrał? – powtórzył gwałtownie Maggio. – Wygrał! Wygrałem około czterdziestu dolarów w jednej partii. Myślisz, że to dość na wycieczkę do tego cholernego miasta?

Nieźle – powiedział Prew sucho. – A ile przegrałeś?

Ile przegrałem? – odparł gwałtownie Maggio. – O, przegrałem. Czterdzieści siedem

dolarów. Też za jednym zamachem, w drugiej grze. 3 rany – powiedział i rozejrzał się za czymś, co by mógł cisnąć, a nie znalazłszy niczego złapał swój świeżo ufasonowany kapelusz i rąbnął nim o podłogę. Kopnął go z wściekłością, pozostawiając ubłocone wgniecenie w usztywnionym jak *papier mache* denku, a kapelusz poleciał po zapaskudzonej podłodze.

– Popatrz, co ja zrobiłem – powiedział zmartwiony i podszedł do ściany, aby go podnieść. – No, czemu mnie nie pytasz, dlaczego się nie wycofałem, kiedy wygrałem te czterdzieści? Jazda. Pytaj.

– Nie potrzebuję się pytać, bo wiem – odrzekł Prew.

– Myślałem, że wygram jeszcze więcej – powiedział Angelo upierając się przy samopotępieniu, ponieważ Prew nie chciał tego zrobić. – Myślałem, że wygram dość na prawdziwą wyprawę do miasta. Może na d w i e prawdziwe wyprawy do miasta. I gównno – dodał. – Eks-kre-ment.

– Nasadził gwałtownie na bakier ubłocony, brudny, wygnieciony kapelusz, podparł się pod boki i popatrzał na Prewa. – Ach, gównno, gównno, gównno! – powiedział.

– Ano – rzekł Prew – to załatwia sprawę.

Spojrzał na talię kart, którą trzymał w ręce, i nagle ją przedarł, najpierw po kilka kart z wierzchu i ze spodu, potem zgiął i naderwał resztę, wreszcie wyrzucił szczątki w powietrze i patrzył, jak spadały poślizgiem na podłogę niczym jesienne liście.

– Nie będzie obłapki. Nich sobie ci cholerni porządkowi zmiotą te karty jutro rano. Szlag by je trafił.

– Andy i ten „Piętaszek” poszli do kina? – zapytał Angelo z nadzieją w głosie.

– Aha.

– Nie zwrócili ci forsy?

– Nie.

– Psiakrew – powiedział Angelo. – Zostało mi pięćdziesiąt centów. Gdybym miał dolara, to znam takich w kompanii C, którzy grają tylko po dolarze.

– Nie mam ani centa – odrzekł Prew. – Ani złamanego centa. Cholera z tym. Musiałbyś grać całą noc, żeby wygrać dość, aby z tym iść do szopy.

– Słusznie – powiedział Angelo. – Masz rację. – Ściągnął płaszcz i zaczął zdejmować koszulę. – Cholera z tym. Wezmę swojego pięćdziesiątaka, pojedę do miasta i poderwę sobie jakiegoś pedała. Jeszcze nigdy tego nie robiłem, ale jeżeli inni mogą, to mogę i ja. Chyba to nie takie diabelnie trudne. Mam już dosyć – dodał. – Dosyć wszystkiego. Czasem mam już tak dosyć, że chętnie wyrzygałbym własne bebechy na podłogę, położył się w nich i zdechł.

Prew patrzył na swoje dłonie zwieszane między kolanami.

– Nie mogę uczciwie powiedzieć, żebym i to miał tak bardzo za złe – rzekł.

– Chodź ze mną – zaproponował Maggio. – Pożyczysz gdzieś pięćdziesiątka. Jak się nam nic nie trafi, wrócimy na piechotę.

– Nie, dziękuję – powiedział Prew. – Nie mam zdrowia. Nie jestem w nastroju na jazdę do miasta i zepsułbym całą zabawę. A zresztą nie lubię pederastów.

– Muszę się przebrać – rzekł Angelo. – No, to tymczasem. Zobaczymy się jutro rano, jeżeli wrócę. A jeżeli nie, przyjedź mnie odwiedzić w Obozie Karnym.

Prew roześmiał się, ale nie był to śmiech szczery i naturalny.

– Dobra – powiedział. – Przywiozę ci karton fajek.

– Mogę teraz wziąć jedną a conto? – zapytał Maggio. Popatrzał na Prewa pokornie. – Całkiem zapomniałem kupić papierosów, kiedy miałem tę forszę, Prew.

– Jasne – powiedział Prew. – Jasne. Masz.

Wydobył zgniecioną paczkę papierosów, dał mu jednego, sam wziął ostatniego, zmiął paczkę i rzucił ją do klozetu.

– Ale jeżeli to są twoje ostatnie... – zaczął Maggio.

– Cholera z nimi – odparł Prew. – Mam do licha tytoniu na skręty. Maggio kiwnął głową i odszedł, a Prew popatrzał za nim. Karli, wąski w ramionach, krzywokościsty potomek rasy mieszkańców miasta, których przeznaczeniem było nigdy nie dotknąć stopy własnej ziemi z wyjątkiem butelkowanej, konserwowej trawy w Central Parku, samo zaś ich życie było jak z puszki, włącznie z filmami, na których usiłowali je wzorować, i piwem, które pili po to, by o nim zapomnieć – szedł do sali sypialnej, aby w jej sapiącym mroku odszukać swój nieoficjalny uniform do wychodzenia na miasto: hawajską koszulę, tanie spodnie flanelowe i trzewiki za dwa dolary.

Prew odepchnął stopą podarte karty, chwilę posłuchał nieustannego deszczu na dworze i zdecydował, że pójdzie na chwilę do świetlicy, ponieważ nie chciało mu się spać.

Świetlica była prawie pusta. Kilku ludzi siedziało niedbale w fotelach krytych splekaną i powypalaną papierosami imitacją skóry, stojących wzdłuż obu ścian wąskiej salki zbudowanej pod zewnętrznymi galerijkami. Świetlica miała z jednej strony zasłonę siatkową od wysokości mniej więcej połowy wzrostu człowieka aż po sufit; sprzątający przesuwał fotele z tej strony na środek izby, ażeby nie zmokły od deszczu, w ten sposób zwążając i tak już wąską wolną przestrzeń. Siedzący nie spojrzeli na Prewa. Nadal przerzucali kartki wyświechtanych zeszytów komiksów, którymi byli zajęci.

Prew przejrzał od pierwszej do ostatniej strony kilka magazynów, nie zwracając sobie głowy idiotycznymi nowelkami, szukając tylko reklam. Na większości z nich były kobiety, i tego właśnie poszukiwał. Kolorowe fotografie były najlepsze, jeżeli idzie o realistyczne przedstawienie kobiet, ale z drugiej strony kobiety na nich miały zazwyczaj na

sobie więcej ubrania niż te na rysunkach. Naprawdę najlepsze były te małe rysunkowe reklamy na ostatnich kartkach, u dołu strony – te z nieco za dużymi biustami, z kolekcją fałdek rozchodzących się promieniście od krocza i z miękką, pulchną, cielistą fakturą.

Była tam reklama mydła do twarzy firmy Treeburn: leżąca na płaszczu Kąpielowym smukła, długonoga blondynka, którą całował mężczyzna o pięknej głowie i barkach – obraz mający jakieś nierealne, miękkie kontury, na którym ona była wyciągnięta na całą długość, leżąc na boku, z rękami pod głową, w kostiumie kąpielowym wyglądającym jak skóra lamparta. Jej twarz o ciężkich powiekach i obrzmiałych rozchylonych wargach miała ów wyraz, który się widzi u kobiet, kiedy tego chcą naprawdę strasznie. Ta była wspaniała, lepsza od innych, chyba jak dotąd najlepsza.

Na koniec wśród trzech najlepszych był mały, cieniowany rysunek dziewczyny w czymś w rodzaju sportowej koszulki i w miękkich majteczkach. „Duchessa Corporation” Wytwórnia Bielizny. Koszulka opadała lekko, wzdęta na idealnych piersiach. Wycieniowane półkola i jaśniejsze punkty pozwalały odgadnąć pod spodem prężne, różowe sutki. Strój nie miał właściwie znaczenia; gdyby artysta opuścił ze dwa tuziny kresek, byłby to akt. A jednak Prew przyłapał się na tym, że się wpatruje i wpatruje w rysunek, daremnie usiłując przeniknąć przez materiał do ukrytego pod nim ciała, tak jakby było trójwymiarowe. Zabawna rzecz, jak kilka zręcznie rozmieszczonych kresek ołówkowych potrafi stworzyć sugestię wezbranego, krwistego, pulsującego życia ładnej kobiety.

Poczuł, że pot występuje mu na dłonie, a mięśnie na wewnętrznej stronie ud zaczynają drgać.

„Lepiej daj spokój – powiedział do siebie. – Nie pora oglądać podniecające obrazki w połowie miesiąca, kiedy jesteś bez forsy. Kiedy już nawet za późno pożyczyć od lichwiarzy trzy dolary na szybki skok do Dużej Sue w Wahaiwie. Lepiej wróć do przeglądania »Saturday Evening Post«, bracie.”

Ale pierwszą rzeczą, jaką zobaczył w tym piśmie, było inne ogłoszenie, całostronicowa reklama linii autobusowych „Greyhound”, sławiąca Przepych Południowego Słońca; pośrodku kobieta, której krągłe, smukłe linie bioder wyzierały spod wąskich, luźnych majteczek dwuczęściowego kostiumu kąpielowego.

„Dobra – pomyślał. – W porządku, jeżeli to tak” – i poczuł dziką wściekłość na te obrazki. Nazywają je „*pin-up-girls*”, uważają, że to takie milutkie, że „nasi chłopcy” zwerbowani do wojska uwielbiają zawieszać je sobie w swoich szafkach ściennych. A potem zamykają, gdzie mogą, wszystkie burdele, żeby nasi chłopcy się nie pozarazali.

Wyrwał tę stronicę, zgniótł ją, zmiął w rękach na papierową miazgę i cisnął do jednej z kałuż stojących na podłodze. Zerwał się i rozdeptał z całej siły papier, roztarł go butem na

mokrą papkę, po czym się cofnął i spojrzał na niego zawstydzony, że zniszczył piękno, że żywą krągłość kobiecych ud przemienił w rozmokły strzęp.

Wchodząc na ciemne schody, czując w sobie męskość, tę męskość, którą pętano, tłumiono, piętnowano, ograniczano, chłostano, wyklinano, potępiano i prześladowano, czując ów nadmiar, który przelewał się paląco, piekąco w jego krwi i na koniec osiadał w gardle gęstą, gorzkawą flegmą – czując to wszystko nie dziwił się, iż tylu mężczyzn, ocknąwszy się nagle, stwierdza, że są żonaci. Ale jeżeli nie miało się żony, pozostawało tylko jedno wyjście.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Była zaledwie połowa marca, minęło niespełna dziesięć dni, odkąd Holmes przyniósł do kancelarii papiery, a już Warden otrzymał z powrotem zatwierdzone przeniesienie kucharza z Fortu Kamehameha. Jak na takie przeniesienie z jednego rodzaju służby do innego załatwiono to niewiarygodnie prędko.

Owego popołudnia, kiedy Mazzioli przyniósł z dowództwa to pismo, Milt Warden siedział przy biurku rozmyślając nad fotografią Karen Holmes, którą od niej dostał, a teraz miał przed sobą na papierach, nad którymi pracował. Siedział z policzkiem opartym na knykciu masywnej pięści, jak mały chłopiec oglądający film dla dorosłych, którego nie można zrozumieć.

Fotografię tę dała mu owej nocy pływania przy księżycu, jak lubił to z uśmiechem nazywać. Podarowała mu ją, choć o nią nie prosił, gdy tylko wsiadł do samochodu. Zrobiła to tak – myślał – jak gdyby uważała, że jest to jej obowiązkiem.

Wybrała dla niego dobre zdjęcie, bo widać ją tam było w białym kostiumie kąpielowym kontrastującym z opalonym na czarno ciałem, leżącą w słońcu na kocu wojskowym pod jedną z tych ananasowatych palm rosnących przed jej domem (poznał to drzewo), w ciemnych okularach, czytającą, z nieco zgiętą w kolanie jedną nogą, która znakomicie uwidaczniała długie, pełne linie uda i łydki, zbiegające się delikatnie w zwężeniu kolana. Cała jej kobiecość ukazana na tym zdjęciu domagała się męskiej uwagi, podobnie jak lica zatłoczona długonogimi, opalonymi kobietami o pełnych piersiach przyciąga oko i każe kręcić głową na wszystkie strony, zanim się o tym pomyśli. Gdyby to było wszystko – myślał znowu, po raz piętnasty tego dnia – tylko owa kobiecość z fotografii istniejąca w żywym ciele, byłoby całkiem w porządku. Ale zdjęcie nie pokazywało wszystkiego. A uświadamiał sobie, że on sam nie jest chłopcem, którego ogarnia takie uniesienie religijnej, solennej radości z pierwszego kobiecego ciała, że jest głuchy ślepy na istnienie kobiety będącej tego ciała właścicielką i nawet nie wie, i nie potrzebuje wiedzieć, że ona istnieje. „Dobrze by było, gdybyś nim był – myślał – ale nie jesteś, i to już od jakiegoś czasu, i nigdy nie będziesz. Nie możesz zapomnieć o samej kobiecie, a zachować sobie reszty nawet przez pierwsze dwa tygodnie, chociaż może właśnie byłoby najlepiej, gdybyś to potrafił.”

Odtwarzając sobie raz jeszcze to, co się zdarzyło, wspomniał, że spotkała się z nim w Honolulu, w *drive-in** na Kau Kau Korner, gdzie turyści zajeżdżali swymi wynajętymi

* *D r i v e-i n* – bar (lub kino itp.), w którym klienci-automobiliści są obsługiwani bez wysiadania z samochodu.

wozami i gdzie – jak oboje uznali – była najmniejsza możliwość, żeby ich zobaczył ktoś ze znajomych. Warden, znając drogę, chciał sam prowadzić wóz do utajonej małej plaży nieopodal Blowhole, którą często widywał przejeżdżając ciężarówkami, i uważał za tak wymarzone miejsce na wycieczkę mężczyzny z kobietą, że w końcu kiedyś zeszedł tam z szosy. Ale Karen bała się pozwolić mu prowadzić samochód należący do męża. Dał jej więc wskazówki, a ona poprowadziła sama, dwukrotnie skręcając w niewłaściwą drogę i denerwując się bardzo, zanim się wydostała z Kau Kau Korner przez Kaimuki na Waialae Avenue, która łączyła się z szosą do Kalaniana'ole, przechodzącą przez Blowhole. Może właśnie od tego się zaczęło, może właśnie to zabiło wszystko, jego wyobrażenie, jak to będzie. Owego dnia w swoim domu Karen była dwiema całkowicie różnymi kobietami, a tym razem zdawała się być trzecią, nie mającą z tamtymi dwiema nic pokrewnego. Zostawili auto w pobliżu Blowhole, na małym parkingu, gdzie był betonowy słupek z napisem, że z tego miejsca widać w pogodny dzień wyspę Molokai, i zeszli na dół. Mówiła z jakimś szaleńczym wysiłkiem, że jest „bardzo zadowolona i szczęśliwa”. Było wszystko, co trzeba: pełnia księżycy, łagodna, mała, bielejąca fala, błyśnięcie piasek małej plaży obwiedzionej skałami, polśniewający niesamowicie w świetle księżycy, lekki powiew, który przenikał między drzewami *kiawe* po drugiej stronie szosy; Milt przywiózł butelkę, ona termos kawy i sandwicze, a nawet koce. Naprawdę było wszystko doskonale, akurat tak, jak to sobie wyobrażał. Pośliznęła się schodząc po skałach i starła sobie skórę na rękę, a kiedy już zeszli na dół, rozerwała o jakieś korzenie sukienkę – jak twierdziła, jedną z jej najlepszych. Pobrodzili nago w wodę, trzymając się za ręce, tworząc – jak pamiętał – wspaniały obraz w świetle księżycy, na tle wody, która zdawała się podpływać z plaży pod górę i szumiała im wokoło kolan. Karen zziębła, musiała zawrócić i owinąć się kocem. Wtedy właśnie dał całkowicie za wygraną doszedłszy do wniosku, że zrobił straszne głupstwo, że to przede wszystkim j e g o pomyłka. Zawrócił więc razem z nią; mimo bolesnej świadomości, że jest mu diabelnie głupio, był nadal podniecony, rozpalony, nie czuł wcale zimna i pragnął tego strasznie, ale jakże można to mieć tak, jak się powinno, kiedy trzeba pilnować, by otulać się kocem, żeby ona znowu nie zmarzła? Wtedy zaproponował, żeby się napiła, do tej pory nie robił z tego kwestii, choć było to dla niego niepojęte. Ale Karen w ogóle nie chciała pić. Uśmiechnęła się smutnie, z tym wielkim smutkiem chrześcijańskiego męczennika, który wybacza Rzymianom, i zaczęła oskarżać sama siebie, że zawsze wszystko psuje, niweczy każdą rzecz, której się tknie, że widocznie po prostu nie jest typem sportowym, chociaż ta wycieczka wydawała się taka wspaniała, kiedy ją omawiali w sypialni w Schofield, i że

naprawdę szczerze uważa, że byłoby lepiej, gdyby sobie znalazł jakąś inną kobietę, ona wcale nie miałaby mu tego za złe. Kiedy wracali autem do miasta, powiedziała, że chce być lojalna, i zapytała, czy nie wolałby teraz zwrócić tej fotografii, że nie obraziłaby się wcale, naprawdę. Wówczas poczuł się winny, bo nie prosił jej o to zdjęcie, i dlatego, iż widział teraz, że cały ten pomysł był głupi w samym założeniu, więc powiedział, że bardzo chce zachować zdjęcie – co, jak sobie nagle uświadomił, było prawdą. Wtedy właśnie, nie wiedząc czemu, nie mając wcale takiego zamiaru, umówił się z nią ponownie na spotkanie po dniu wypłaty żołdu, bo powiedziała, że od Holmesa może wydostać tylko bardzo niewiele pieniędzy, i to dopiero po małostkowych targach. Wówczas popróbował bez przekonania namówić ją bodaj na jeden mały łyk, w tajemnej nadziei, że jeżeli zdoła ją upić, będzie jakoś lepiej, że może gdzieś pojedą i wezmą sobie pokój albo co, i coś da się uratować. Ale Karen nie chciała pić, a nie przygotowała sobie alibi, nie wiedząc, że mogłaby być poza domem całą noc, a znowu nie chciała za nic robić tego w samochodzie, ponieważ uważała, że to jest poniżające.

Kiedy go wypuściła z samochodu, nieśmiało przypominając o przyszłej randce, poszedł do Wu Fat na Hotel Street, w samym sercu dzielnicy burdeli, i spił się ciężko, po czym, jak rozhukany byk rozplodowy, dokonał wysoce zadowolającego najazdu na hotel „New Congress” pani Kipfer, postanowił, że jeśli o niego idzie, nie będzie więcej żadnych spotkań bez względu na to, co mówiła Karen – i teraz głowił się nad tym wszystkim, kiedy Mazzioli nadchodził korytarzem, próbował dociec, co się właściwie stało i w ogóle dlaczego tak się stało, a nade wszystko czemu nie może dotrzeć do sedna tej sprawy, i wciąż zupełnie nie mógł się w tym połapać, gdy chował fotografię z powrotem do portfela, gdzie nosił ją ukrytą pod swoją służbową przepustką doznając przyjemnego uczucia konspiracyjności, ilekroć migał nią przed oczyma żandarmów stojących na warcie przy bramie albo wyjmował portfel w kancelarii pod nosem „Dynamita”. Tyle przynajmniej potrafił z tego zrozumieć.

Mazzioli miał zadowoloną minę i najwyraźniej podśmiewał się w duchu, gdy wręczał mu plik papierów, w którego środku ukrył pismo o przeniesieniu. Stał uśmiechając się i czekał na wybuch, podczas gdy Warden przerzucał niecierpliwie gruby na cztery palce stos przyniesionych przez niego memorandów, rozkazów ogólnych i specjalnych oraz okólników Ministerstwa Wojny, szukając czegoś, co mogłoby przypadkiem okazać się ważne.

Było to nie lada pismo. Wyszło drogą służbową i wróciło drogą służbową zbierając coraz to nowe parafy w każdym miejscu, gdzie się zatrzymało. Warden, który żarliwie się modlił, by taki czy inny urząd stwierdził kiedyś, że taka czy inna jednostka ma za duży albo za mały stan ludzi, popatrzał bacznie na Mazziolego, kiedy je znalazł.

– No? – warknął. – Po cholere tu stoicie? Nie macie nic do roboty?

– Przecież ja nic nie robię – zaprotestował kancelista. – Człowiek nie może chwilę

postać, żeby pan sierżant zaraz na niego nie naskoczył, rany boskie?

– Jaki człowiek? – zapytał Warden. – Nie. Nie może. Nie znoszę, jak ktoś stoi w miejscu. Taki ze mnie dziwak. Jeżeli nie macie roboty – zagroził – to mogę dla was coś znaleźć.

– Kiedy muszę wrócić do personalnego – zaproponował Mazzioli.

– W tej chwili. O'Bannon mnie potrzebuje.

– To jazda. Nie sterczcie tu z palcem w dupie – powiedział Warden złowróbnym tonem, choć mimo tego katastrofального przeniesienia był rad, że może na chwilę oderwać się od niemal przerażających powikłań z Karen Holmes i od tej nieudanej wycieczki na plażę i wrócić na twardy grunt, który znał dobrze, choćby tylko w jego jałowości. – No, czemu się nie ruszycie, Mazzioli?

– Chciałbym, psiakrew – powiedział kwaśno kancelista, ogromnie zawiedziony, że spodziewany wybuch nie nastąpił. – Jeszcze jak. A co pan myśli o tym przeniesieniu, szefie? – zagadnął ze złośliwą nadzieją. Warden nie odpowiedział. – To ci historia, co? – dodał ze współczuciem, zmieniając taktykę, wciąż jeszcze nie tracąc nadziei. – Szkoda gadać, szybko załatwili ten list pułkownika, prawda?

Jednakże Warden tylko wpatrywał się w niego milcząco i patrzył tak poty, póki kompletnie pokonany Mazzioli nie wyszedł zmieszany i wciąż zawiedziony. Wtedy Milt Warden wrócił zajadle do pracy przeżuując nieliczne wyjąłowione ziarenka pociechy wynikającej z faktu, że przejrzał intrygę Mazziolego. „Chciałbym z taką łatwością przejrzeć na wskroś Karen Holmes – pomyślał. – Chciałbym nawet przewidzieć tak łatwo, co wyniknie z tego przeniesienia?”

Potem poszedł na górę, żeby wyładować się na Karelsenie, który z nim dzielił mały pokoik na pierwszym piętrze i był jego workiem do boksowania. „Papa” Karelsen, jeden z intelektualnych kompanów Mazziolego, tylko od niego sprytniejszy, stanowił najlepszy ciężki worek, jaki można było znaleźć. Mazzioli mógł służyć jako worek lekki, do obrobienia na chybca, ale nie miał dość ciężaru gatunkowego, żeby na nim wyładować całą siłę.

– Pete! – ryknął Warden wpadając do pokoiku i rozbijając spokojną zaciszę deszczowego dnia, która tam panowała. – Mam tego dosyć. Zwracam moje naszywki. To jest najcholerniejszy zapieprzony oddział, w jakim byłem. Taki człowiek jak „Dynamit” jest cholerną hańbą dla munduru, który nosi. On i ten pętał Culpepper.

„Papa” Karelsen właśnie się rozbierał siedząc na pryczy, by ulżyć stawom rozbolałym od artretyzmu, który już stał się dla niego czymś tak swojskim, że niemal przyjacielem; zdjął kapelusz, drelichową bluzę i wyjmował obie sztuczne szczęki. Podniósł nieufnie wzrok, zły, że pogwałcono jego samotność; obawiał się, iż ten wariat Warden znowu zacznie rozrabiać,

choć jeszcze miał nadzieję, że może nie, a nie chciał się w nic uwikłać, dopóki nie wiedział, o co idzie.

– W dawnej armii – oświadczył głęboko, choć dyskretnie – oficer był oficerem, a nie wieszakiem na ubranie.

Wpuścił sztuczne zęby do szklanki z wodą nie tracąc jeszcze nadziei.

– Gównno tam, dawna armia! – szalał radośnie Warden uchwyciwszy się tego banału. – Rzygać mi się chce na was, łachudry, i waszą „dawną armię”. Nigdy nie było żadnej „dawnej armii”. To samo gadali ci z wojny domowej rekrutom idącym na wojnę z Indianami, tak jak stare wygi z czasów rewolucji gadali to chłopakom z roku osiemset dwunastego. A wszyscy tylko szukali usprawiedliwienia, że są łachudrami i że zawsze robią ze wszystkiego gównno.

– Ty to widocznie wiesz – powiedział sztywno Karelsen na przekór sobie samemu, bo miał już pewność, że Milt znów się rozszalał, a wiedział, że jedynym sposobem okiełznania go, kiedy dostawał takiego szału, jest zachować równowagę ducha. – Służyłeś pod Braddockiem, prawda?

– Jedynym felerem było to, że nigdy nie potrafił go okiełznać.

– Służyłem dość długo, by nie dać się zbujać tymi bredniami o dawnej armii! – ryknął na niego Warden. – Sam się już raz zaciągnąłem nadterminowo.

Karelsen tylko chrząknął i pochylił się, żeby rozwiązać zabłocone buty polowe, usiłując zachować spokój umysłu, ale Warden zwalił się na swoją pryczę i rąbnął pięścią w żeliwną poręcz.

– Pete! – wrzasnął z wyrzutem na tamtego. – Nie potrzebuję ci nic mówić o tej kompanii. Nie jesteś pęta. Mnie szkoda na to, żebym marnował swoje zdolności w tej jednostce. Zabijają mnie tu, powoli, ale pewnie. Sportowcy, psiakrew! Chłopcy z Bliss! A teraz jeszcze jeden nowy.

Twarz Starego Pete'a na próżno usiłowała rozjaśnić się uśmiechem, jak zawsze, kiedy przychodził mu do głowy jakiś koncept.

– Nasza armia – powiedział wyraźnie, odzyskawszy już równowagę ducha – zawsze była armią sportowców, odkąd Tunney zaczął boksować się we Francji jako reprezentant piechoty morskiej. I pewnie już taką zostanie. – „Ten mały Mazzioli naprawdę by to docenił” – pomyślał.

– A kto to, ten nowy? – dodał stawiając to pytanie na końcu, niczym senator dorzucający klauzulę do murowanej ustawy. – Czyżby już przyszło przeniesienie tego kucharza z Fortu Kamehameha?

– A czyje? – wykrzyknął niecierpliwie Warden. – Kucharz! Mam tu już tylu niedoszłych kucharzy, że nie wiem, co z nimi robić. A on mi jeszcze sprowadza tego Starka.

– Taaak? Słuchaj, to niedobrze – pocieszył go spokojnie Pete. – Ale co to za historia z tym gościem? – zapytał z chytryścią plotkarza. – Czy Stary chce go zrobić podoficerem kasynowym? A co będzie z Preemem?

Mógłbym się przenieść stąd choćby jutro – wściekał się z satysfakcją Warden. – Z tym samym stopniem, rozumiesz? Z tym samym stopniem do którejkolwiek z dziesięciu kompanii tego pułku. Po co mam sobie wycierać tutaj tyłek bez żadnej współpracy ani uznania?

– No pewnie – zdołał wtrącić Pete czując, że go opuszcza spokój ducha.

– Pewnie, że byś mógł. A ja mógłbym być szefem sztabu, tylko że nie chcę opuszczać wszystkich starych kumpli. Ale powiedz, o co ci idzie.

– Nie muszę się godzić na wszystko! – wrzasnął Warden. – Jestem najlepszy w ich całym cholernym pułku i, co więcej, doskonale o tym wiedzą. Zwracam moje naszywki, Pete, jak Boga kocham. Wolę być prostym szeregowcem, który robi tylko to, co mu każą. Gdybym miał rozum, byłbym został w kompanii A jako młodszy sierżant.

– Wszyscy wiemy, że jesteś niezbędny – powiedział kwaśno Pete.

– Za dobry jestem, żeby się marnować w takim oddziale, to pewne! – huknął na niego Warden, bynajmniej nie stropiony, podbechtując się do oczyszczającej tyrady, uderzając słowami w Pete'a jak strumieniem wody z sikawki. Dlaczego, mówił, ta mała Galowicz rządzi pierwszym plutonem? Dlaczego każdy podoficer musi być zawodnikiem? Dlaczego jaśnie pan Jim O'Hayer jest szefem magazynu w tej kompanii? I skąd „Dynamit” bierze te pieniądze, które przepuszcza jak wodę w pokera w Klubie?

– Panowie oficerowie! – parsknął. – Panicze z West Point! Uczą się grać w polo, w pokera i w brydża i używać odpowiedniego widelca po to, żeby mogli bywać w towarzystwie i ożenić się z jakąś forsiastą babą, która potrafi przyjmować gości i uczyć tutejsze pokojówki, jak podawać kolację w angielskim stylu. Naśladują brytyjskich koloniałów i są z nich cholerni zawodowi żołnierze z prywatnymi dochodami, jak sam lord Całujmniewdupę. Jak myślisz, gdzie Holmes wytrzasnął swoją żonę? Na targowisku w Waszyngtonie, gdzie się specjalizują w sprzedaży młodych panien prosto z Baltimore. Z rodziny polityków z prywatnym majątkiem. Tylko że „Dynamit” się przeliczył, bo ta rodzina zbańczyła. Zanim Holmes zdążył złapać cokolwiek poza swoimi czterema kucami do polo i tą cholerną parą srebrnych ostróg.

Wpółśród tej perory, niby człowiek stojący w spokojnym ośrodku huraganu, spostrzegł błysk zaciekawienia w oczach Pete'a, więc pohamował się i porzucił temat żony Holmesa kierując rozmowę tam, gdzie chciał, ku rzeczom znanym Pete'owi, i zabrał się do sierżanta Hendersona, który już prawie od dwóch lat nie odrobił ani jednego dnia służby, ponieważ był niańką koni Holmesa.

– Jezu Chryste! – ryknął w końcu Pete zatykając sobie uszy; równowaga ducha

prysnęła teraz, rozbita przez ten słowny strumień energii, który go oszałamiał. – Zamknij się. Daj mi święty spokój. Przestań gadać. Jeżeli ci tu tak źle, a możesz się przenieść bez utraty stopnia, to dlaczego tego nie zrobisz? I nie zostawisz mnie w spokoju?

– Dlaczego! – krzyknął z oburzeniem Warden. – I ty mnie pytasz? Bo mam za miękkie serce, psiakrew, żeby myśleć o własnej korzyści. Gdybym stąd poszedł, ten cały oddział rozleciałby się jak bambusowy szałas w tajfunie.

– Jeżeli jesteś taki ważniak – zawołał Pete – to dlaczego nie przydzieliłeś Prewitta do mojego plutonu, tak jak cię prosiłem parę dni temu? Dlaczego nie zrobisz tego teraz?

– Chcę, żeby był tam, gdzie jest, w plutonie Galowicza. Dlatego!

– Byłby cennym nabytkiem dla mojego plutonu broni ciężkiej.

– Jest cennym nabytkiem tam, gdzie jest.

– Chyba nabytkiem dla Obozu Karnego. Z taką znajomością cekaemów ten chłopak powinien z punktu zostać dowódcą drużyny, a jakbym miał tylko wolne miejsce, zrobiłbym go dowódcą półplutonu.

– Może jeszcze nie chcę, żeby dostał stopień? Może wolę go najpierw wychować?

– A może nie udałoby ci się uprosić „Dynamita”, żeby podpisał mu awans? – podsunął Pete. – Może nie potrafiłbyś nawet uzyskać jego zgody na przydzielenie chłopaka do mojego plutonu?

– Może zaprawiam go do większych rzeczy.

– Na przykład jakich?

– Takich jak przejście kursu korespondencyjnego i przedstawienie go do stopnia oficera rezerwy – zadrwił Warden.

– Może go wyślesz do Akademii Wojskowej, jeżeli już się do tego zabrałeś?

– Dobra myśl. Może tak zrobię. Co to znaczy tęga głowa!

– Wielkoduszny typek. Chcesz wiedzieć, jakie jest moje zdanie? Że jesteś stuknięty. Czysty wariat. Brak ci piątej klepki. Tak uważam. Nie sądzę, żebyś sam wiedział, co chcesz zrobić z czymkolwiek, a już tym bardziej z Prewitem czy z tym świeżo przeniesionym.

„Może on ma rację – myślał Warden. – Ma? Ma na pewno. Bo któż wie, co chce zrobić z czymkolwiek na takim świecie, jakim staje się ten, gdzie nikt nie może tknąć czegokolwiek nie wywołując jakichś dziwnych skutków, których wcale nie przewidywał – tak jak choćby ja teraz?”

– Takie jest moje zdanie – powiedział Pete.

Warden tylko spojrział na niego serdecznie i uśmiechnął się chytrze, a Pete poszedł do swego kuferka, by wyjąć mydło i maszynkę do golenia, usiłując zachować tę godność, którą miał przed chwilą, ale która szybko topniała pod milczącym uśmiechem Wardena.

Jego ciało wydzielalo ten stęchły, cikliwy zapach starszego człowieka, co pije za dużo i nie może przyswoić sobie alkoholu, który za młodu łykał z taką łatwością.

W kompanii krążyła na temat Pete'a legenda, którą on sam walnie podsycał swoim intelektualizmem – że mianowicie pochodzi z bogatej rodziny z Minnesoty i zaciągnął się podczas poprzedniej wojny, ażeby zbawić świat, zaraził się we Francji tryprem od wojskowej pielęgniarki i został tam, by poddać się darmowemu leczeniu, tak rzadkiemu i kosztownemu w owych czasach, a także dlatego, że rodzina go się wyrzekła. Pete uwielbiał tę historię, więc zapewne nie była prawdziwa. Gdyby była prawdziwa, nie byłaby romantyczna ani dla Pete'a ani dla nikogo innego. Ale część jej w każdym razie odpowiadała prawdzie – to o tym tryprze, czy dostał go od pielęgniarki we Francji, czy od paryskiej kurwy, czy od przygodnej znajomej w Chicago. Tyle przynajmniej można było udowodnić artretyzmem; niektórym włąziło to w kości i już tam tkwiło na dobre.

A jednak kiedy sztuczne zęby wypełniły wodnistą rozlazłość zapadniętej twarzy, pozostawała mocna, inteligentna linia wzdłuż szczęki, echo zapomnianej obietnicy; a kiedy bezzębny grymas nie przesłaniał oczu, można było w nich dostrzec bystrość człowieka, który zna się na karabinach maszynowych i wie, że się na nich zna – jedyna satysfakcja, jaka została staremu człowiekowi mającemu obecnie hobby polegające na kolekcjonowaniu pornografii w obrazkach.

– Dokądże to? – spytał go Milt, kiedy dreptał za drzwiami w drewnianych japońskich chodakach.

– Wziąć prysznic, psiakrew, jeżeli pan sierżant nie ma zastrzeżeń. A gdzieś ty myślał? Do kina, w tym ręczniku?

Warden siadł i potarł twarz, jak gdyby chciał zetrzeć z niej wszystko – Karen, nowo przeniesionego, Prewitta, Pete'a, samego siebie.

– To szkoda – powiedział. – Myślałem, żeby skoczyć do Choya i chlapanąć sobie trochę piwka. I chciałem cię zabrać ze sobą.

– Jestem splukany – odrzekł Pete. – Nie mam forsy.

– Ja stawiam. To moje przyjęcie.

– Nie, dziękuję. Myślisz, że uda ci się przekupić mnie piwem? Przychodzi, morduje mnie całe popołudnie, a potem chce postawić parę piw, żeby to wszystko zaklepać. Nie, dziękuję. Nie piłbym twojego piwa, choćby było ostatnie na świecie.

– Chodźmy razem do Choya; spijemy się jak świnię i połamiemy tam wszystkie graty. Pete musiał się uśmiechnąć, ale nie chciał ustąpić na całej linii.

– Będziesz musiał postawić – powiedział.

– Stawiam – odparł Warden. – Płacę za wszystko. Za cały pieprzony świat. Idź wziąć

ten prysznic. Ja poczekam. Za parę dni zobaczymy, jaki jest ten nowy, ten Stark.

Nie musieli czekać tak długo; bo nowo przeniesiony, Stark, zjawił się nazajutrz, z workiem ubraniowym i bagażami.

Było to jednego z pierwszych pogodnych dni zapowiadających koniec pory deszczowej. Przez całe rano padało, a potem przejaśniło się nagle około południa, a powietrze, świeżo obmyte, stało się miękkie i wolne od pyłu, podobne do ciemnego kryształu swą ostrą wyrazistością i mocnymi konturami, które nadawało wszystkim przedmiotom. Wszystko było czyste, pachniało czysto i czuło się ten odświeżony nastrój, który zawsze towarzyszy nadciągającej zmianie pogody. Pracować w taki dzień było wręcz świętokradztwem, ale Warden musiał być na miejscu, by oczekiwać nowo przeniesionego i móc go obejrzeć.

Wzdychał w duchu nad bezradnością człowieka w rękach losu, kiedy ujrzał taksówkę pełną dookoła dziedzińca na kształt obcego człowieka, który szuka podanego mu adresu; zaczekał, aż zatrzymała się przed budynkiem, a wówczas w tym ciemnoprzeczystym powietrzu, tak dotykającym jak woda, wyładował się z niej na mokrą jeszcze trawę mężczyzna ze swoim ekwipunkiem, Warden zaś wyszedł na spotkanie przeciwnika. „Przynajmniej mogę na tyle pogrozić pięścią losowi, że odmawiam staczania walki obronnej w kancelarii” – pomyślał, przygotowany na wszystko.

– Nieważne, że jest byłym piechociarzem – powiedział mężczyzna patrząc za odjeżdżającą taksówką. – Wziął ode mnie trochę za dużo.

– Pewnie ma tubylczą żonę i pół tuzina bachorów-mieszkańców do wykarmienia – rzekł Warden.

– Nie moja wina – odparł Stark. – Rząd powinien opłacać przeniesionym koszty przejazdu.

– I tak robi. Z wyjątkiem tych, co się przenoszą na własną prośbę.

– Powinien płacić za wszystkich – powiedział z uporem Stark nie przeoczywszy tego drobnego przytyku Wardena.

– Będzie. Jak rozbuduje swoją armię obywatelską i jak przystąpimy do tej wojny.

– Kiedy to przyjdzie, nie będzie już przeniesień na własną prośbę – odrzekł Stark i nagle obaj wymienili spojrzenia pełne zrozumienia, którego Pete Karelsen nie mógłby podzielić i które zaskoczyło Wardena mimo całej jego gotowości. Ta częśćka jego umysłu, która nigdy nie angażowała się w nic i zawsze obserwowała wszystko z boku, zanotowała to sobie.

– A oficerom płacą – powiedział Stark tym samym powolnym, upartym, przeciągłym tonem. – Żołnierza zawsze wykiwają. Nawet byłego żołnierza. – Z kieszeni koszuli wyciągnął

za sznurek woreczek tytoniu i wyjął bibułkę. – Gdzie zanieść moje rzeczy?

– Do pokoju kucharzy – odpowiedział Warden.

– Ze Starym zobaczę się teraz czy później?

– „Dynamita” nie ma w tej chwili – uśmiechnął się Warden. – Może wróci gdzieś w ciągu dnia, a może nie przyjdzie w ogóle. Ale chce się z wami zobaczyć.

Skrecając papierosa, z woreczkiem tytoniu dyndającym na sznurku, który trzymał w zębach, Stark spojrzął bacznie na Wardena.

– To on nie wiedział, że przyjeżdżam?

– Jasne, że wiedział – wyszczerzył zęby Warden, podnosząc największą torbę i mały brezentowy worek urlopowy. – Ale miał ważne sprawy. W Klubie.

– Nic się nie zmienił – rzekł Stark. Dźwignął oba pozostałe granatowe worki i ruszył za nim, przygięty pod podwójnym ciężarem zbalansowanym delikatnie na grzbiecie. Przeszli przez galeryjkę i opustoszały korytarz kuchenny, teraz mroczny i niesamowity przy pogaszonych światłach. Warden poprowadził Starka do pokoju kucharzy, który znajdował się na tyłach, za węglem dzielącym go od wejścia do świetlicy.

– Możecie się rozlokować. Wezwę was, jeżeli Stary się zjawi.

Stark zrzucił ciężko worki na podłogę, wyprostował się i rozejrzał po małym pokoiku, który miał być jego domem dzielonym z innymi kucharzami.

– Ano – powiedział – to już jestem na miejscu. Musiałem pożyczyć forsy od lichwiarzy, żeby się tutaj przeprowadzić. – Podciągnął spodnie dużym palcem, obojętnym gestem. – Lało jak wół do karety, kiedym stamtąd wyjeżdżał.

– Tu także będzie jutro deszcz – powiedział Warden odchodząc do drzwi.

– Powinniście tu dać dwupiętrowe prycze, szefie – rzekł Stark.

– Byłoby więcej miejsca.

– To jest królestwo Preema – odparł Warden od drzwi. – Ja się do tego nie mieszam.

– Stary Preem – powiedział Stark. – Nie widziałem go od czasów Bliss. Jak on się ma?

– Doskonale – odrzekł Warden. – Świetnie. Właśnie dlatego nigdy nie tykam jego terytorium.

– Też się niewiele zmienił – powiedział Stark rozwiązując ściągane sznury worka i sięgając do środka. – Tu są moje papiery, szefie.

Wróciwszy do kancelarii Warden przejrzał je uważnie. Wynikało z nich, że Maylon Stark ma dwadzieścia cztery lata, odsłużył już dwa okresy i zaczął trzeci i nie siedział ani razu w Obozie Karnym. To było wszystko, za mało, żeby coś z tego wywnioskować.

„Dziwna rzecz – myślał Warden odchylając się w krześle i kładąc nogi na biurku, rozluźniając z zadowoleniem masywne ramiona i potężne bicepsy – dziwna rzecz, jak w

wojsku nie ma wieku.” W swoim ojczystym mieście dwudziestoczteroletni Stark należałby do innego, młodszego pokolenia niż on, który miał lat trzydzieści cztery: natomiast tu obaj byli rówieśnikami Nicola Levy, który sobie liczył czterdzieści lat, i Prewitta, który miał tylko dwadzieścia jeden. Tu wszyscy byli zrównani, łączyło ich pewne podobieństwo, pewna wspólna wiedza, coś głębokiego, niewzruszonego a elastycznego w budowie kostnej ich twarzy i w stłumionych półtonach ich głosów. Nie uważali się natomiast za rówieśników Maggia czy Mazziolo, czy Sala Clarka, którzy byli jeszcze smarkaczami. I nie byli też rówieśnikami takich gości, jak Wilson, Henderson czy Turp Thornhill albo O'Hayer. „Ale nie bądźmy romantyczni” – pomyślał. Jednakże, odsunąwszy na bok wszelkie romantyzowanie, naprawdę istniało to podobieństwo, ta równość, ta rówieśność, których brakowało innym. To się czuło. „Wódz” Choate także to miał. Czasem nawet Pete Karelsen, chociaż nieczęsto. Zazwyczaj wtedy, gdy naprawdę wpadał we wściekłość. Albo kiedy się upił. Tak, Pete miał to po pijanemu. Była to rzecz, którą się wyczuwało, chociaż nie umiałeś jej nazwać i choć nie było na nią określenia. Jeszcze dumał nad ową rewelacją starając się daremnie znaleźć dla tego jakąś nazwę, kiedy do kancelarii wszedł kapitan Holmes.

Zanim skończyła się zwyczajowa rozmowa wstępna ze Starkiem, ta podciągająca pogadanka dla nowych podkomendnych, owa osobna cząstka umysłu Wardena wiedziała już dokładnie, co trzeba zrobić z sytuacją kuchenną.

Maylon Stark stał w kancelarii *przez* cały czas przemówienia kapitana Holmesa, po tym, gdy obaj uścisnęli sobie dłonie, a Holmes rozpromienił się z radości na jego widok; stał z rękami założonymi swobodnie do tyłu, z zawieszonym na nich kapeluszem polowym, i wpatrywał się zamyślony w Holmesa. Wyraził pobieżnie swoją wdzięczność i nie powiedział nic więcej. Po owej pogadance, wciąż patrząc w zamyśleniu na swego nowego dowódcę, zasałutował precyzyjnie i natychmiast wyszedł.

– To świetny chłop, sierżancie – powiedział Holmes, kiedy Stark zniknął. Na twarzy miał zakłopotany, nie całkiem zadowolony wyraz. – Zawsze umiem się poznać na dobrym żołnierzu. Będę miał w Starku doskonałego kucharza.

– Tak jest, panie kapitanie – rzekł Warden. – Tak mi się zdaje.

– Naprawdę? – zapytał Holmes zaskoczony. – No właśnie. Jest tak, jak mówię: prawdziwych żołnierzy nie znajduje się na ulicy i trzeba dobrze szukać, żeby na nich trafić.

Warden nie zadał sobie trudu, by na to odpowiedzieć. „Dynamit” mówił to samo o Ike'u Galowiczu, kiedy go zrobił sierżantem, tylko że wówczas nie miał zakłopotanej miny.

Kapitan Holmes odchrząknął, przybrał na powrót twardy wyraz twarzy i zaczął dyktować rozkład zajęć na następny tydzień Mazziolemu, który przyszedł, gdy jeszcze trwała pogadanka. Mazzioli przerwał rozkładanie akt, aby napisać na maszynie to, co dyktował

Holmes. Holmes przechadzał się tam i z powrotem, z rękami założonymi do tyłu, z głową odrzuconą w skupieniu, dyktując powoli, tak, żeby Mazzioli zdążył to wystukać.

Mazzioli pisał z niesmakiem, wiedząc, że później Warden wyciągnie swój regulamin polowy i pozmienia cały rozkład zajęć, a wtedy trzeba będzie przepisać go na nowo. „Dynamit” zaś to podpisze, nawet nie zauważwszy różnicy.

Gdy tylko kapitan wyszedł, Warden drapnął do pokoju kucharzy, wytrącony z równowagi tym wiecznym drobiazgowym przeżuwanym przez Holmesa rozkładu zajęć, czując się tak, jakby nagle wyskoczył ze szczelnej butelki, oddychając radośnie i zastanawiając się, co by Holmes zrobił, gdyby kiedykolwiek uświadomił sobie własną bezużyteczność, którą pokrywał ową pedanterią. „Bądź spokojny; nigdy sobie nie uświadomi – myślał. – To by go zabiło.” Miał nade wszystko nadzieję, że gadanina Holmesa nie trwała dość długo, by któryś z kucharzy wrócił, zanim on zdąży zobaczyć się sam na sam ze Starkiem.

– Chodźcie na górę – powiedział zastawszy Starka jeszcze samego, oglądającego z powątpiewaniem stare, niemodne beżowe bryczesy, których nie miał serca wyrzucić, a które już na nic by mu się nie zdały. – Do mojego pokoju. Chciałem pogadać z wami prywatnie. A nie chcę, żeby któryś z kucharzy zobaczył mnie z wami.

– Okej, szefie – odrzekł Stark, który wyczuł naleganie w jego głosie. Wstał, wciąż trzymając bryczesy: – Mam te spodnie od tego roku, kiedy moja siostra wyszła za mąż.

– Wyrzucicie je – zdecydował za niego Warden. – Kiedy przyjdzie ta wojna, a my się stąd ruszymy, nie będziecie mieli gdzie wsadzić połowy potrzebnych rzeczy.

– Słusznie – powiedział Stark. Cisnął je nieubłaganie na rosnący przy drzwiach stos rupieci i rozejrzał się po malutkim pokoju, popatrzał na trzy worki zawierające wszystko, co uzbierał przez siedem lat życia.

– Niewiele tego, co? – rzekł Warden.

– Wystarczy.

– W skrzynkach polowych nie ma miejsca na pamiątki – powiedział Warden. – A w workach jeszcze mniej. Psiakrew, kiedyś prowadziłem dziennik. Nawet nie wiem, co się z nim stało.

Stark wyjął z torby oprawną w skórzaną ramkę fotografię młodej kobiety i trzech chłopców i ustawił ją na półce swojej szafki ściiennej.

– No – powiedział. – Jestem w domu.

– To ważne – rzekł Warden. – Chodźmy.

– Już idę, szefie – powiedział Stark zbierając stos odrzuconych rzeczy i spodnie. – Udaje mi się coś odsiać, tylko jak się przenoszę – powiedział tonem usprawiedliwienia.

Znalazłszy się na galeryjce wrzucił to wszystko do kubła na śmieci, nie zwalniając kroku, i ruszył za Wardenem po schodach, ale na piętrze obejrzał się raz jeszcze na zwisającą przez krawędź kubła nogawkę bryczesów z cienkimi, krągłymi sznurowadłami wojskowymi, których metalowe szpice odpadły już dawno temu.

– Siadajcie – powiedział Warden wskazując mu pryczę Pete'a. Stark usiadł bez słowa. Warden siadł naprzeciwko niego na swojej pryczy i zapalił papierosa. Stark wyjął bibułki i tytoń.

– Nie chcecie gotowego?

– Wolę takie. Zawsze palę „Golden Grain” – odrzekł Stark przyglądając mu się bacznie, ale czekając spokojnie. – Jeżeli mogę go dostać. Jak nie, wolę palić „Country Gentleman” niż gotowe papierosy.

Warden postawił obtłuczoną popielniczkę na podłodze między nimi.

– Ja zawsze gram w otwarte karty, Stark.

– To lubię.

– Dlaczego rzuciliście Fort Kamehameha?

– Bo mi się tam nie podobało.

– Nie podobało wam się – powiedział Warden niemal pieszczotliwie. Podeszedł do swojej szafki ściennej i zaczął szperać za pudełkiem z przyborami toaletowymi, aż wyłowił napełnioną do jednej piątej butelkę whisky „Lord Calvert”. – Nigdy nie sprawdzają mojego pokoju w soboty – wyjaśnił. – Napijcie się?

– Chętnie – odrzekł Stark. – Kropelkę.

Wziął butelkę, popatrzył na etykietę, przyjrzał się wyobrażonemu na niej długowłosemu wykwintnisiowi jak człowiek odkrywający kartę w ostrej grze, po czym przechylił butelkę i zaczął pić.

– Czy wyście kiedy prowadzili kasyno, Stark? Grdyka Starka znieruchomiała.

– Jasne – powiedział znad butelki, po czym zaczął pić dalej. – W Kamehameha.

– Ale prowadziliście naprawdę?

– Pewnie. Przecież mówię. Byłem zastępcą podoficera kasynowego, z jedną naszywką. Tylko że faktycznie byłem samodzielny.

– Dobra – powiedział z zadowoleniem Warden i sam się napił z kolei. – Potrzeba mi w kasynie fajnego gościa, takiego, na którym mogę polegać i który będzie miał stopień. Co byście powiedzieli na starszego szeregowca czwartej klasy na początek?

Stark przyjrzał mu się uważnie.

– Brzmi rozsądnie – powiedział. – Jeżeli to dostanę. A potem?

– No, stopień – rzekł Warden. – Stopień Preema.

– Ano, można spróbować, szefie – powiedział Stark z papierosem w zębach.

– Sytuacja wygląda tak: mamy w kompanii czterech ludzi z waszej dawnej jednostki z Bliss. Wszyscy czterej są sierżantami. Nie będzie żadnej kwestii.

Stark kiwnął głową.

– Kapuję.

– Reszta jest prosta. Musicie tylko sprawować się nienagannie i pokazać, żeście lepsi od Preema. Od dzisiaj jesteście pierwszym kucharzem ze stopniem starszego szeregowca czwartej klasy. Trzeba, żebyście brali się za robotę, kiedy Preem się nie pokazuje, to znaczy właściwie codziennie.

– Jednego nie rozumiem – powiedział Stark tonem towarzyskiej rozmowy. – Co wy w tym macie za interes?

– Żadnego – wyszczerzył zęby Warden. – Słyszeliście kiedy o człowieku z biczem? No więc to właśnie ja. Holmesowi tylko się zdaje, że to jest jego kompania.

– Dajcie mi łyk – powiedział Stark. – Czy ta jego blondynka, żona, jeszcze tu jest?

– Czyja żona?

– Holmesa – odrzekł Stark. – Jak jej tam, Karen. Dalej jest jego żoną?

– A, ona – powiedział Warden.

„Może i lepiej dla ciebie, że nie możesz dowolnie wyłączyć tamtej drugiej części swojego umysłu – pomyślał. – Pewnie, że to bolesne. Ale może i lepsze na długą metę. Założywszy, rzecz jasna, że potrafisz to wytrzymać. Bo jest odwaga i odwaga” – myślał.

– A jakże – powiedział. – Dalej jest jego żoną. Zachodzi tu od czasu do czasu. A bo co?

– Tak się zastanawiałem – odrzekł Stark pogodnie i filozoficznie. – Nie wiem, ale zawsze mi się zdawało, że Holmes musiał ją rzucić do tej pory. W Bliss, kiedy ją znałem, grzała się całkiem jak suka, ale tak jakoś paskudnie, jak gdyby naprawdę nienawidziła i samej roboty, i tych, co to z nią robili. Mówią, że Bliss przespała się z połową garnizonu.

– Tak? – powiedział Warden.

– A jakże, psiakrew. Słyszałem nawet, że złapała tam trynia. Tylko dlatego, że była zamężna, nie została kurwą na całego.

– Chcecie powiedzieć, że zachowała status amatorski – rzekł Warden.

Stark odrzucił w tył głowę i roześmiał się.

– Właśnie.

– Ja nie przywiązuję wielkiej wagi do takich pogaduszek – rzekł Warden siląc się na obojętny ton. – Te rzeczy słyszy się o każdej prawie kobiecie, która mieszka w wojskowym garnizonie. Moim zdaniem, to są na ogół pobożne życzenia.

– Taaak? – obruszył się Stark. – No więc to nie jest żadna pogaduszka. Sam ją rznąłem w Bliss, więc chyba wiem.

– Skoro o tym mowa – powiedział Warden – to i tutaj słyszałem o niej różne mocne rzeczy.

„Co to ona powiedziała tamtego popołudnia u siebie w domu, kiedy deszcz pluskał cicho za otwartym oknem? Jak to było?” Przypomniał sobie. Powiedziała wtedy: „Więc i ty mnie nie chcesz?”

– Chyba możecie wierzyć w nie wszystkie – odparł Stark alkoholowe niewinnym tonem. – Bo to paskudna baba. Rozumiem, że jakaś kobieta trochę się puszcza – ciągnął. – Rozumiem nawet, że mężatka może kiwnąć swojego starego. Ale nie lubię, jak kobieta, szczególnie zamężna, daje każdemu, kto jej podleci. Kurwa to kurwa, w ten sposób zarabia na życie. Ale coś nie klapuje z taką, co robi to dla zabawy i jeszcze tego nie lubi.

– I myślicie, że z nią jest właśnie tak? – zapytał Warden. – Z żoną Holmesa?

– Jasne, psiakrew. A dlaczego ze mną spała w Bliss? Z prostym szeregowcem, który nawet nie miał forsę, żeby na nią wydać?

Warden wzruszył ramionami.

– Cholera z tym – rzekł. – Co mnie to obchodzi? Może sam kiedyś skorzystam.

– Jeżeli macie rozum – powiedział Stark – nie będziecie jej ruszać. To zwykła dziwka, nic więcej. Zimniejsza i twardsza niż wszystkie kurwy, jakie widziałem.

Mówił to ze zdecydowaną, przekonywającą miną.

– Macie, napijcie się jeszcze – rzekł Warden. – Nie ma się czym przejmować, na miłość boską.

Stark wziął butelkę nie patrząc na nią.

– Za dużo widziałem tych bogatych bab. Gorsze są niż pedryle. Nie podobają mi się.

– Mnie też nie – odrzekł Warden. – Jeżeli miała aż tylu... – „Leva powiedział, że ona jest jak jeżozwierz – myślał słuchając głosu Starka przechodzącego na inny temat i własnego głosu, który mu odpowiadał. – A oni dwaj są sprytni, wiedzą, czego się trzymać, to nie szczeniaki.”

„Ale znów Leva powtarza ci tylko plotki, sam nie miał z nią osobistego doświadczenia. A Stark był wtedy o pięć lat młodszy, miał zaledwie dziewiętnaście lat, był jeszcze dzieciakiem, kiedy miał z nią tę przygodę. To musiała być przygoda – myślał – naprawdę nie lada przygoda, jeżeli w pięć lat później mówi o tym w taki sposób. Pamiętaj, że wtedy był jeszcze żółtodziobem odslugującym swój pierwszy okres.”

„Czy jest możliwe, ażeby kobieta, która wybrała się na tamto pływanie przy księżycu, robiła coś podobnego? Żeby spała z połową garnizonu w Bliss? Jak uważasz? Nie wiem. Tak,

nie wiesz; ale masz dwóch takich, co wiedzą. Tylko czy można zaufać ich zdaniu? Nie, nie można. Możesz przyjąć to, co wiedzą, ale sam nie wiesz. I cóż stąd wynika?”

Miał ochotę złapać butelkę, wstać i trzasnąć nią w ten gadający, poruszający szczękami łeb, rozpląszczyć go na podłodze, dopóki by szczęka nie wylazła z rozwalonej miazgi i nie przestała się ruszać. Nie z powodu tego, co Stark mu powiedział, ani nie z tej racji, że spał z tą kobietą, z którą spał on sam (wzdragasz się przed właściwym słowem, co?) – nie, nie z tej przyczyny; przez to czuł dla niego nieomal jakąś dziwną przyjaźń, jakieś koleżeństwo, niczym wobec człowieka używającego tej samej szczoteczki do zębów. Ale czy dwaj ludzie używają kiedykolwiek tej samej szczoteczki do zębów? Nie, chciał rozwalić butelką ten gadający łeb po prostu dlatego, że akurat miał go pod ręką, a nie wiadomo czemu czuł jakąś niedorzeczną potrzebę rozwalenia czegoś. Bo jakim prawem miałby się wściekać na Starka za to, że ona z nim spała? Z nim czy chociażby z całym garnizonem w Bliss?

– ...myślę, że jakoś nam to pójdzie – mówił Stark. – Mamy w ręku wszystkie karty.

– Słusznie – Warden przechwycił piłkę. – Teraz już mnie nie będziesz widywał, Maylon. („Właściwie możesz mówić do niego po imieniu, to przecież prawie twój brat, wygląda na to, że masz całą masę braci.”) Jak będziesz miał kłopoty, przychodź z nimi do kancelarii – mówił słuchając uważnie tonu własnego głosu. – A będziesz miał ich sporo. Ale po apelu nie znasz mnie bliżej niż każdego innego podoficera w tej kompanii.

Stark kiwnął głową na tę mądrość.

– Okej, szefie – powiedział.

– A teraz lepiej zejź na dół i uporządkuj swoje rzeczy – powiedział Warden zdziwiony, może nawet dumny, że potrafił nadać swemu głosowi taki spokojny ton.

– O rany – rzekł Stark wstając. – Całkiem mi to wyleciało z głowy. Warden uśmiechnął się mając wrażenie, że twarz mu od tego popęka, i zaczekał, dopóki tamten nie wyszedł. Wtedy rzucił się na prycę i założył sobie ręce pod głowę. A ta druga część jego umysłu, która wysunęła się teraz na pierwszy plan, tak jak zawsze, kiedy był sam, rozważała to świadomie, niby człowiek, który nie może powstrzymać się od przygryzania bolącego zęba, a nie chce iść do dentysty.

Ujrzał to w wyobraźni, tak jak musiało się odbywać: Starka ściskającego Karen i ją leżącą na łóżku, tak jak on sam ją widział, i każdą tajemnicę ujawnioną i odsłoniętą, ciężkie oddechy jak u szybkobiegaczy, drgające powieki przymknięte w owej chwili, kiedy wychodzisz z własnego ciała i nie wiesz nic, i wiesz wszystko, i jesteś daleko, daleko, i tylko cienka srebrna nić wiąże cię z tamtym tobą. „Może Stark dał jej więcej rozkoszy niż ty – myślał przygryzając ten nieznośnie bolesny ząb – może oni wszyscy dali jej więcej rozkoszy niż ty, może nawet Holmes dał jej więcej rozkoszy, niż ty jej dałeś.” Nigdy dotąd nie myślał o

Holmesie śpiącym z Karen. Ale teraz pomyślał. Teraz zastanawiał się, czy ona nie sypia z Holmesem przez cały czas, nawet w tej chwili.

„Co się z tobą dzieje? – myślał. – Co ciebie to obchodzi? Nie jesteś w niej zakochany. Ani cię ziębi, ani grzeje, z kim ona sypia. Zresztą i tak więcej się z nią nie zobaczysz. Tak sobie przecież postanowiłeś tamtej nocy pływania przy księżycu, prawda?”

Po chwili jednak zdecydował, że pójdzie jeszcze na to jedno spotkanie. Nie ma sensu odrzucać darmowego towaru, kiedy to kosztuje trzy dolary u pani Kipfer. Poza tym chętnie by znalazł prawdziwe rozwiązanie tej zagadki, po prostu żeby zaspokoić swoją ciekawość, swoją intelektualną ciekawość.

„A ja myślę – szepnęła mu nagle ta druga część jego umysłu – że przez cały czas miałeś chęć iść na to spotkanie, przez cały czas byłeś zdecydowany na nie pójść.”

„Możliwe – przyznał. – Ale w każdym razie nie rozbiłem układu z tym nowo przeniesionym, prawda? Mogłem, ale nie rozbiłem. Ten układ powinien teraz grać, jeżeli będziemy mieli odrobinę szczęścia, nie uważasz?”

„Nie zmieniaj tematu – zaproponowała druga część jego umysłu. – Ja uważam, że miałeś zamiar iść na to spotkanie jeszcze wtedy, tamtej nocy, kiedy poszedłeś do Wu Fat i spiłeś się szukając współczucia.”

„Niech będzie – odpowiedział – ale już odejdz. Czy zawsze musisz kontrolować i mnie, tak jak każdego innego? Nie możesz zaufać nawet temu, kto jest krwią z twojej krwi?”

„A bo to nie wiesz, jak jest między krewnymi? – odparła mu z niesmakiem. – I ty mnie o to pytasz? Właśnie tobie muszę ufać najmniej.”

„Słuchaj – powiedział. – Czeka mnie teraz roboty. Sytuacja w kuchni będzie przez jakiś czas bardzo delikatna i musimy mieć wiele szczęścia, ale myślę, że nam się uda, jeżeli będziemy je mieli. Więc nie zwracaj mi głowy teorią. To jest sprawa praktyczna.”

Wstał szybko z łóżka i zeszedł na dół, żeby wypisać awans dla Starka, zanim usłyszy odpowiedź.

Szczęście ich nie zawiodło. Kiedy tego wieczoru kapitan Holmes wstąpił na minutę po drodze do Klubu na kolację, znalazł na biurku rozkaz i podpisał go. Rozkaz ten czynił Starka pierwszym kucharzem w stopniu starszego szeregowca czwartej klasy, obniżał Willarda do funkcji drugiego kucharza ze stopniem starszego szeregowca klasy szóstej i odsyłał starszego szeregowca Simsa z powrotem do zwykłej służby odbierając mu jego szóstą klasę. Było to dokładnie tak, jak sobie planował Holmes, tyle że nie zamierzał zostawić Simsowi starszego szeregowca i zdziwił się znalazłszy to w rozkazie, bo spodziewa! się w związku z tym trudności ze strony Wardena – niczego poważnego, po prostu właściwego Wardenowi dziecinnego uporu – toteż ucieszył się podpisując rozkaz, że nie będzie dyskusji, bo nie znosił

wyjeżdżać ze swoją szarżą, nawet jeżeli tego wymagało dobro kompanii.

Reszta też poszła gładko. Było to tak śmiesznie łatwe, że wręcz niewiarygodne. Stark miał przewidywany zatarg z kucharzami. Zbuntowali się przeciwko uzurpatorskiej władzy nowo przybyłego. Gruby Willard, który czuł, że powiał inny wiatr i że jego gwiazda zachodzi, był prowodyrem. Podburzał wszystkich zuchwale i narzekał zajadle, aż wreszcie Stark wyciągnął go na dwór i sprął tak, że potem Willard bał się pisnąć. Kiedy reszta kucharzy nadal stawała mu w poprzek drogi, Stark poszedł z tym do kancelarii. Warden podał mu swoją decyzję i Stark wyszedł. Po tygodniu kapitan Holmes był już tak pewny, iż odkrył kuchennego geniusza, że w rozmowie z Wardenem podkreślał ogromną doniosłość należytego szkolenia rekrutów od samego początku.

Stark kochał swoją kuchnię – bo była to już „jego” kuchnia – z tym oddaniem, o którym nauczono marzyć kobiety, którego oczekują, żądają i które potępiają, jeżeli odnosi się do czegokolwiek poza miłością. Stark pędzał sam siebie równie bezwzględnie albo jeszcze bezwzględniej niż kucharzy i obsługę kuchni. Uśpiony fundusz kompanijny wyciągnięto na światło dzienne i Stark nabył nowe sztucce, a zalecił zakupienie nowego, lepszego wyposażenia. Na stołach pojawiały się nawet od czasu do czasu świeże kwiaty, rzecz bezprzykładna w kompanii G. Nie pozwalano teraz na niechlujne jedzenie, a Stark narzucał swe nowe rządy jak tyran. Żołnierz, który rozlał sos pomidorowy z talerza na ceratę, znajdował się nagle za drzwiami w środku posiłku. Obsługa kuchni miała piekło na ziemi, jednakże zamyślane oczy w smutnie, drwiąco roześmianej twarzy Starka były zawsze łagodne i nikt z obsługi nie mógł wzbudzić w sobie nienawiści do niego. Wiedzieli, że pracuje równie ciężko jak oni sami, i chichotali słysząc, jak objeżdża kucharzy. Nawet tłusty Willard został zmuszony do pracy.

W niespełna dwa tygodnie, jeszcze przed końcem marca, wysoki, truposzowaty sierżant Preem zjechał do stopnia szeregowca. Kapitan Holmes potrafił być twardy jak mało kto, kiedy było potrzeba. Zawezwał Preema i powiedział mu to prosto z mostu, po wojskowemu. Bo ostatecznie była to własna wina Preema; nikt nie mógłby dać mu większej szansy niż kapitan Holmes. Jeżeli ktoś inny był lepszy, musiał z natury rzeczy przejąć jego funkcję. Holmes dał Preemowi do wyboru przeniesienie się do innej kompanii pułku albo przeniesienie się do innego pułku, nie można bowiem zostawiać w tej samej jednostce byłego wyższego podoficera jako szeregowca, odbija się to ujemnie na dyscyplinie.

Preem, który co dzień wstawał w południe, wydzielał zatechły, cikliwy odór podstarzałego pijaka i snuł się jak otumaniony po lśniącej teraz i ożywionej kuchni, w której nie było dla niego miejsca, wybrał inny pułk, ponieważ się wstydził. Nie powiedział nic. Nie mógł nic powiedzieć. Był skończony i zdawał sobie z tego sprawę. Jego złote czasy minęły.

Wysłuchał wyroku z miną równie oszołomioną jak obojętną. Był człowiekiem złamanym.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Cała historia zaczęła się – rozmyślał Prew – od wyjścia z oddziału trębaczy. Wszystko inne wynikało z tego w sposób naturalny. Było to niby schody, gdzie każdy stopień znajduje się logicznie nad poprzednim, a kiedy raz wstąpi się na najniższy, trzeba, rzecz jasna, iść dalej, stawiać kolejno stopy coraz wyżej, by dotrzeć na miejsce, do którego się zmierza. Bo to jest najwyraźniej jedyny sposób wejścia na górę – w tym wypadku zejścia w dół. Te schody – myślał – szły w dół, każdy stopień był p o n i ż e j poprzedniego, cała ich równoległa kolumna opadała coraz dalej i dalej od punktu, gdzie zbiegały się równoległe linie poręczy, przez które nie można przeskoczyć bez szwanku – do punktu spowitego oparem niewidoczności, tak że nie można go zobaczyć, punktu, który matematycznie wcale nie był punktem, tylko nigdy nie osiągalnym złudzeniem. Na te właśnie schody wkroczył, gdy stanął na pierwszym stopniu porzucając oddział trębaczy, toteż mógł zapomnieć o wszystkich następnych (o stopniu utraty swojej rangi, o stopniu Violet, o tym, że nie jest bokserem, i o wszystkich podobnych), prowadzących do tego, na którym się znalazł obecnie – do stopnia braku pieniędzy, niskiej rangi, niemożliwości znalezienia sobie kobiety choćby na chwilę (teraz potrzebowałby najwyżej chwili), kiedy na samą myśl o kobiecie skręcały się w nim ośliźle trzewia, wreszcie rzecz najgorsza, do terażniejszego stopnia pogardy, którą musiał znosić.

Podobnie jak reszta kompanii, obserwował bitwę o kasyno bez zainteresowania, nie bardzo dbając o to, kto zwycięży, ale wiedząc z góry, jak ona się skończy. Było to niby śledzenie w podręczniku zawiłych, odczłowieczonych posunięć i kontrposunięć figur w szachach, kiedy się zna każdy ruch, zanim zostanie wykonany, a mimo to człowieka aż zatyka z zachwyty nad pięknem tej logiki, choć ona w niczym nie wpływa na nasze własne życie. Nie dba! o to w momencie, gdy Stark zwyciężył.

Jednak później ucieszył się, że Stark wygrał. Czuł, że coś go do niego przyciąga i że znajdzie u Starka zrozumienie. A Prewitt potrzebował zrozumienia, męskiego zrozumienia. Prawie tak bardzo lub jeszcze bardziej, niż potrzebował kobiety. Widział w Starku wspaniałego człowieka, a tego też potrzebował. Toteż nieledwie wyczekiwał na swoją kolejkę w służbie kuchennej, choć tak nie lubił tej służby. A nie lubił jej szczerze; było zdumiewające, jak nieprzyjemne mogło się stać dobre jedzenie, kiedy zakończono posiłek, a jakiś tajemniczy proces przemienia! je w odpadki. Miał nadzieję, że służba w kuchni pójdzie mu dobrze.

Jednakże wszystko zaczęło się źle od początku. Po pierwsze dostał służbę razem z Blumem i Reedym Treadwellem. Co oznaczało, że albo będzie musiał zmywać talerze z

Blumem, albo wziąć na siebie paskudną, brudną funkcję czyszczenia garnków i patelni, Reedy'emu zaś pozwolić pracować z Blumem. Nie było bowiem żadnej nadziei, żeby Reedy Treadwell, który nigdy z nikim nie wygrał, zdołał osiągnąć to z Blumem i uzyskać prawo wyboru, tak żeby Prew mógł zmywać z nim naczynia pozostawiając Blumowi patelnie i garnki. Blumowi, który był starszym szeregowcem i bokserem, który najwyraźniej miał zostać niedługo kapralem, który dzielnie stanął po stronie Prewitta, kiedy chłopcy zarzucili mu, że stchórzył, i z którym ten za nic nie chciał pracować.

Angelo Maggio był tego dnia sprzątającym w jadalni, a Prew wielokrotnie myślał sobie, jak bardzo by chciał, żeby to Blum miał sprzątającego, a Angelo pracę w kuchni, chociaż to byłoby przykre dla Maggia.

Tłusty kucharz, Willard, który otrzymał z powrotem swoją funkcję pierwszego kucharza, kiedy Stark został podoficerem kasynowym, i który miał kierować zmianą pełniącą służbę, stawiał się pierwszy i wtedy zaczęło dziać się źle. Prew usłyszał w pokoju kucharzy jego budzik, szybko uciszony; następnie ukazał się Willard, pulchny i tłusty, zapinając spodnie, jeszcze wściekły po przebudzeniu, ażeby pozapalać piecyki i nastawić kawę, co było jego obowiązkiem jako pierwszego kucharza.

– No, patrzcie, kto tu jest – zadrwił obleśnie, z oczami zmrużonymi senną złośliwością. – Musi wam strasznie zależeć na tej lekkiej pracy, że się dla niej wyrzekacie dwóch godzin snu.

– Wcale nie – odrzekł Prew. – Wy tak myślicie, bo lubicie się cholernie długo wysypiać.

Nie lubił tłustego kucharza tak samo jak wszyscy, ale nie liczył się z nim.

– Aleście na pewno nie chcieli stracić tej lekkiej roboty, prawda? – wyszczerzył obleśnie zęby Willard. – Co, może i bez tego wstalibyście tak wcześniej?

– A jakże, Opasie – odparł Prew wymawiając szyderczo to znenawidzone przezwisko, nagle rozeźlony na tego złośliwego kucharza, który nie cierpiał wstawać i teraz próbował odegrać się na nim. – A co wy chcecie? Żebym powiedział, że zawsze wybieram sobie ciężką robotę tak jak wy?

– Pewnie, zadowolony jestem, że nie muszę już pracować w obsłudze kuchni – odciął się Willard; zamieszał jeszcze raz już prawie gotującą się kawę i odstawił ją, żeby się usiała.

– Wy co dzień pracujecie w obsłudze kuchni, Opasie. Tylko jesteście tacy tępi, że o tym nie wiecie.

– Przynajmniej płacą mi za to dodatkowo.

– To już nie wasza zasługa. Gdybyście musieli jeść to, co gotujecie, bylibyście chudzi, a nie spasieni jak świnia.

– Ty się nie mądrz, bo możesz jutro znowu się *znaleźć* w obsłudze kuchennej.

– Nie pieprz – rzekł Prew i nalał sobie kawy, umyślnie bez pytania, dodając cienką strużkę mleka z puszki.

– To kawa dla kucharzy – powiedział Willard. – Czekaście, aż was ktoś poczęstuje.

– Jakbym miał czekać, aż wy mnie poczęstujecie, tobym wykitował. Co to jest, że tłuści ludzie są tacy skąpi i chciwcy, Opasie? Bo się boją, że będą mieli za mało do jedzenia. Musi być ciężko być tusciochem – wyszczerzył zęby i podszedł do ciepłego pieca czując, jak gorący, ciemny płyn rozgrzewa go słodko, wypalając senność i poranny chłód.

– Szlag by was trafił – mruknął Willard. – Mądrala, psiakrew. Mówię wam, że jak się zaczniecie ze mną mądrzyć, traficie do obsługi kuchennej w sam dzień wypłaty. Jeszcze mam dosyć naszywek, żeby nie musieć znosić pyskowania od kogoś z obsługi.

– Z szarżą wyjeżdżacie, co? – wyszczerzył zęby Prew i znowu napełnił sobie kubek. – Sam to się mądrzy, ale jak tylko ktoś coś powie, zaraz wyjeżdża ze swoim stopniem. Zawsze wiedziałem, że jesteś tchórz, Opasie.

– Możesz sobie myśleć, żem tchórz – odparł Willard. – Jeszcze nie wiesz, co to jest tchórz, mądralo. Mam tylko nadzieję, że dzisiaj ci przydzielą patelnię i garnki.

Prew roześmiał się, ale już bez zadowolenia; wiedział, iż tusty kucharz boi się go jako boksera, ale wiedział też, że przez resztę dnia będzie musiał płacić za to Willardowi, jeżeli tylko będzie miał okazję, ponieważ nie trzymał języka za zębami i natrząsał się z niego.

Reszta obsługi zaczęła napływać nagłą falą i Willard dał spokój. Kuchnia wypełniła się przyjemnym ciepłem i krzątaniem, które wprędce zmieniły się w nieprzyjemne gorąco i opętany pośpiech, by zdążyć na czas ze śniadaniem. Stark był od początku na posterunku z papierami w ręku, już załatwiająca jutrzejszą papierkową robotę, lecz jednocześnie dozorując wszystkiego.

Prew smażył dla siebie jajka z boczkiem na rogu blachy, którego to przywileju Willard zazdrośnie strzegł przed obsługą kuchni, zanim Stark nastał, ale którego Stark jej udzielił. Właśnie w tej chwili Stark wezwał do siebie Willarda w sprawie jajecznicy przygotowanej na śniadanie.

– Ile razy mam wam mówić, żebyście odmierzali ilość mleka, które dodajecie do jajecznicy? – zapytał. – Wyrzucicie to paskudztwo.

– Przecież to marnotrawstwo. Będę musiał robić drugi raz jajecznicę.

– Byłoby gorszym marnotrawstwem, gdybyśmy ją podali i potem musieli wyrzucić, bo ludzie nie wzięliby jej do ust – odparł Stark. – No, wyrzucicie.

– Kiedy już nie mam czasu zrobić drugiej porcji, Maylon – powiedział Willard usiłując się z tego wykręcić i używając imienia Starka jako ochrony.

– Powiedziałem: wyrzucicie. Jeżeli trzeba będzie opóźnić śniadanie, to opóźnimy. Ale nie będziemy karmili ludzi takim świństwem.

– Moja jajecznica nie jest świństwem, Maylon.

– Wyrzuć to, Opasie – rzekł Stark niczym sędzia sportowy ogłaszający wynik na przekór publiczności. – A jak wrócicie, przykręćcie ten wasz cholerny piec, chyba że chcecie podać jajecznicę z gumy. Spieście się, bo się spóźnicie.

– O Boże – westchnął Willard wznosząc oczy na sufit. – Dlaczego to zawsze spada na mnie? Wy! – wrzasnął na Prewa. – Tak, wy, jak wam tam... Wyrzucicie to.

– Znacie moje nazwisko, Opasie – powiedział Prew.

– No, proszę! – zwrócił się Willard do Starka mrużąc oczy. – Słyszycie? To niesubordynacja. Od rana mi się tak zachowuje.

– Wyrzucicie to sami – uśmiechnął się Stark. – On sobie robi śniadanie. Wy jesteście tym, który to spaskudził.

– Dobrze – odparł Willard. – Jak Boga kocham, dobrze, wyrzucę. Podoficer kasynowy, który nawet nie broni własnych kucharzy!

– Co takiego? – zapytał Stark.

– Nic – odpowiedział Willard, który nie mógł zapomnieć owego dnia, gdy dostał lanie od Starka.

Kiedy wyszedł, Prew powiedział:

– Teraz naprawdę będzie miał na mnie zęba. – Przysunął sobie zydzel do aluminiowego stołu od ciasta i zasiadł, by zjeść śniadanie.

– A ma już na was zęba?

– Bo go nie spytałem, czy mogę wziąć kawy, tylko sobie nalałem. Stark wyszczerzył zęby w swym jednostronnym, dziwnym uśmiechu.

– Zawsze broni swojej szarży. Na pigularza mógłby być niezły. Jest na to dość tłusty. Ale jako kucharz jest do kitu. Mam wrażenie, że poci się w każdą potrawę. Tacy goście tylko gadają, ale w gruncie rzeczy nikomu nie dają się we znaki.

Prew kiwnął głową. Wierzył, kiedy Stark to mówił, bo tak jest istotnie ze wszystkimi strachliwymi cudakami, jednakże sprawa przyjęła inny obrót, niż Stark przewidywał, choć Prew tego nie zauważył. Przyjęła obrót wręcz przeciwny. Willard nie dał za wygraną. Więcej nie mówił na ten temat, ale nie dał za wygraną. A ponieważ starszy szeregowiec Blum przybiegł niedługo potem, żeby się zameldować, Prew trafił tam, gdzie Willard mógł naprawdę dać mu się we znaki: do kuchni, do zmywania garnków i patelni.

– No, jaką robotę bierzecie? – zapytał Blum energicznie, stawiając swoją kawę obok Prewa. – Trzeba się jakoś podzielić. Najłżejsze jest płukanie. Ja osobiście mogę zmywać. Co

wolicie?

– Jeszcze nie wiem – odrzekł Prew przeklinając w duchu lenistwo Reedy'ego Treadwella.

– Jeszcze nie wiecie! – wykrzyknął Blum.

– Właśnie. Myślałem, że może będziecie woleli garnki i patelnie.

– Co wy, kpicie? – zapytał starszy szeregowiec Blum. – To nie dla mnie.

– Niektórzy lubią zmywać garnki – powiedział Prew z nadzieją.

– Mówią, że zmywanie garnków i patelni idzie szybciej i potem ma się rano więcej wolnego czasu.

– To świetnie – odrzekł starszy szeregowiec Blum. – Reedy powinien być bardzo zadowolony. Mówiąc między nami – dodał poufnie – nie miałem ochoty z nim pracować. Jest za powolny. A my możemy to odwalić raz-dwa i mieć czas na porządną przerwę i rano, i po południu.

– Ale mamy kartofle na obiad – powiedział mu Prew.

– O rany – rzekł starszy szeregowiec Blum.

– To nie chcecie garnków i patelni?

– Nie, psiakrew. Macie mnie za wariata?

– W takim razie chyba ja je wezmę. Wy z Reedym możecie zmywać talerze.

– To znaczy, że chcecie garnki?

– Jasne – odrzekł Prew. – Ja to lubię.

– Tak? To dlaczegoście ich od razu nie wzięli? Bez wypytywania mnie, co wolę?

– A bo myślałem – powiedział Prew – że może też to lubicie. Nie chciałem wam tego zabierać.

– Taaak? – spytał Blum podejrzliwie. – Ano, nie mam nic przeciwko temu. Też nie chciałbym wam tego zabierać. Wezmę opłukiwanie. Reedy może sobie zmywać, bo jest ostatni.

To mówiąc wtargnął do pokoju obsługi jak szarżujący byk, nie dając Prewowi czasu na zmianę decyzji, i powiesił furażerkę na kranie swojej zdobyczy, która była prawdziwą gratką. Był bardzo uradowany, że przechytrył Prewitta.

Prew zmywał patelnie po jajkach w dużym, podwójnym zlewie w kuchni, kiedy ukazał się wreszcie Reedy Treadwell. Prew zauważył, że Reedy zerknął na niego wyraźnie zaskoczony, po czym powędrował z zadowoleniem do pokoju obsługi, taki kontent, że o mało nie zderzył się z pełniącym funkcję sprzątającego Maggiem, który właśnie wychodził.

– Idzie się! – wrzasnął Maggio wysuwając przed siebie dwa niesione pusty półmiski. – Droga wolna! Gorące! Idzie się! Ja i moi kelnerzy – ryknął rozkazująco, opiekuńczym tonem

oficera, który dba o swoich ludzi. – Harujemy, aż nam się tyłki pocą. Zagonią nas na śmierć. Gorące idzie!

Przepchał się do kuchni, aby napełnić półmiski na nowo, radośnie strzelając z bicia swojej nowej władzy, na którą nikt nie zwracał uwagi, a już najmniej jego ośmiu podających do stołu.

– Jak mi to idzie? – zapytał szeptem Prewa. – Człowieku, ale zasuwam! Od jutra kandyduję na kaprala.

Prew przerwał zmywanie, aby uśmiechnąć się do niego melancholijnie, po czym wrócił do pracy i skrobał, zmywał i opłukiwał pokryte zakrzepłym jedzeniem patelnie i oślizłe miski do mieszania potraw, które nagle zaczęły mu się piętzyć, których nigdy dotąd nie widział naraz w takiej liczbie i z których zmywaniem nie mógł nadążyć, chociaż pracował co sił.

A pracował szybko, słysząc, jak w pokoju obsługi po drugiej stronie korytarza Reedy Treadwell zapytuje Bluma, co się stało, zawieszając wiaderko z mydłem na kranie do gorącej wody i odkręcając go na cały regulator.

– Nie wiem – powiedział tonem dezaprobaty przyszły kapral Blum. – Prewitt miał pierwszeństwo wyboru i wybrał to. Teraz już wszystko jedno, ważne jest, że wyście się spóźnili, Treadwell. Wszystkim utrudniacie pracę, kiedy się spóźniacie. Wasz zlew jest już do połowy zapełniony talerzami.

– Uważacie, że się spóźniłem? – zapytał przyszły i wieczny szeregowiec Reedy Treadwell. – To wam się tylko zdaje. Zwykle zjawiam się tu dopiero, jak zlew jest pełny po wręby. Po prostu macie szczęście.

– Osobiście – powiedział przyszły kapral Blum postępując w myśl psychologii moralnej regulaminu wojskowego – wolę pracować z wami niż z Prewitem. My dwaj możemy to pięknie opędzlować, Treadwell. Tylko bierzcie się do roboty. Musicie się pospieszyć i wykazać trochę ambicji.

– Mnie z tym dobrze – mruknął wieczny szeregowiec Treadwell. – Wy się martwicie. Ale mnie jest dobrze.

Garnki i patelnie nadal piętzyły się przed Prewitem w sposób zdumiewający. Nigdy w życiu nie widział, żeby kucharze zużywali tyle garnków i patelni tak prędko i tak często. Potrzeba mu było sporo czasu, aby nadążyć za tym, czym zasypywał go Willard. Było to tak niesamowite, iż przez chwilę myślał, że tylko jego wyobraźnia, rozgorączkowana i doprowadzona do rozpaczliwej zjełczałym paskudztwem pokrywającym mu wszystkie pory, wyolbrzymia to w szalonym wysiłku dopomożenia mu w zachowaniu godności. Ale w miarę jak stopy naczyń rosły coraz wyżej, stało się oczywiste, że żaden kucharz nie używa nigdy

tylu garnków, nawet do oficierskiego bankietu w Klubie z udziałem pań.

Dopiero około południa – kiedy Maggio odesłał już radośnie swych pomocników na musztrę i wyszorował wszystkie stoły, a Blum i Treadwell skończyli z talerzami i wszyscy trzej, bez przedpołudniowej przerwy, zasiedli z obrzydzeniem do obierania ziemniaków na obiad (Prew spostrzegł jednak z zazdrością znad swego parującego, zatłuszczonego zlewu, że pracowali trzymając w rękach jędrne i twarde ziemniaki w chłodnej czystej wodzie, która nie pokrywała dłoni błoną tłuszczu) – dopiero wtedy Stark zauważył, że coś jest nie w porządku. Willard był bowiem nazbyt przebiegły, aby się skarżyć, że Prew pracuje powoli.

– Coś wam dziś wolno idzie z tymi garnkami, Prew – rzekł Stark przystając koło zlewu i patrząc na wysokie po pas sterty naczyń rozstawione wszędzie dokoła. – Powinniście już byli skończyć do tej pory.

– Widocznie jestem powolny – odrzekł Prew.

– Kucharz będzie niedługo znów potrzebował tych garnków do gotowania.

– Prawdopodobnie potrzebuje ich już teraz, bo niektóre zmywałem już trzy razy.

– Kucharze muszą mieć naczynia do gotowania.

– Ale chyba nie do tego, żeby w nie pluć, prawda? *Zawsze* mnie uczyli, że dobry kucharz nie używa więcej naczyń, niż musi, że dobry kucharz stara się zaoszczędzić roboty obsłudze.

– Tak powinno być – powiedział Stark wyjmując woreczek tytoniu. Skręcił sobie papierosa nie odrywając od niego oczu, z tą skromną, nieledwie zawstydzoną miną, jaką zawsze mają dobrzy policjanci i podoficerowie, kiedy muszą wykorzystać swój stopień.

– To chyba postawicie mnie do raportu. Nie mogę pracować prędzej niż teraz.

– Nigdy nie lubię wrzepiać komuś karnej służby, jeżeli nie muszę – powiedział spokojnie Stark z powściągliwym, ale rzetelnym zrozumieniem, które napęliło Prewa takim ciepłem, iż zapomniał, że to właśnie Stark zapowiadał, że Willard nie będzie mu założył za skórę.

– A chcecie usłyszeć, jak to wygląda od mojej strony?

– Jasne – odparł Stark. – Zawsze lubię wysłuchać obydwóch stron. No więc jak to wygląda? – zapytał podnosząc głowę, a jego oczy przybrały wyraz władczy, ale najwyraźniej bezstronny.

– Mój pogląd jest taki, że Willard umyślnie używa tyle garnków, ile może, żeby mnie zrobić, bo mu się nie podlizywałem dziś rano. Taki jest mój pogląd.

– To znaczy, że was robi na szaro? – zapytał Stark.

– Jak cholera – odrzekł Prew. – Jeżeli mi nie wierzycie, to popatrzcie na niego. Tylko popatrzcie na tego opasłego, fałszywego drania.

Willard przyglądał im się z drugiego końca kuchni, chytrze pochylony, udając, że pracuje, z przekrzywioną głową, nastawiając uszu.

– Willard! – zawołał Stark. – Chodźcie no tu. Ale już! Ten człowiek się zgrzał jak ruda mysz – powiedział, gdy Willard podszedł. – Twierdzi, że umyślnie używacie więcej garnków, żeby mu dodać roboty i żeby go zrobić. Co wy na to?

– Jak mam porządnie gotować, to muszę używać garnków.

– Nie zalewajcie mi, Opasie – powiedział Stark.

– Psiakrew, mam liczyć, ile biorę garnków? – zapytał Willard. – Przez markieranta, który się boi roboty?

– A co wy byście chcieli? – odezwał się gwałtownie Prew. – Żebym sobie sprawił drugą parę rąk?

– Ja tylko żądam – odparł z godnością Willard obracając się do niego – żebyście mieli zmyte naczynia, bo muszą być czyste, kiedy będę ich potrzebował. Po to, żebym mógł gotować takie jedzenie, jak powinienem, takie, jakie muszą dostać ludzie, którzy ciężko pracują przez cały dzień i potrzebują dobrego, pożywnego pokarmu, żeby się najieść.

– Pieprzysz bąka, a on brzdąka – powiedział Stark.

– Dobra – rzekł Willard. – W porządku. Pytaliście mnie. Jeżeli chcecie odebrać mi moją funkcję, to każdej chwili... – nie dokończył zdania.

– Uważaj, Opasie – rzekł Stark. – Mogę cię złapać za słowo.

– Proszę bardzo – odparł Willard. – Jeżeli uważacie, że jestem drań...

– Uważam, że jesteście spasionym kucharzem, który nie umie gotować – powiedział Stark – ponieważ jest zanadto zajęty pilnowaniem, żeby obsługa szanowała jego szarżę. I żądam od was, żebyście wzięli dupę w troki i zabrali się do gotowania, i przestali używać tak cholernie dużo garnków, bo będę miał na was oko.

– Dobrze – odpowiedział Willard. – Jeżeli tak uważacie. – Odszedł wzgardliwie i z wielką godnością.

– Tak uważam! – zawołał za nim Stark. – Nie będzie wam więcej dokuczał – zwrócił się do Prewa – a jakby znów zaczął, przyjdźcie z tym do mnie. No, ale to nie załatwia sprawy tych garnków, co już są ubrudzone – powiedział patrząc na stosy naczyń. – Chodźcie. Pomogę wam. Będę zmywał, a wy będziecie płukać i wycierać.

Pstryknął niedopałek papierosa do kubła na odpadki, chwycił kopystkę i zaczął oskrobywać najgorsze, ze zręcznością i oszczędnością ruchów wielkiego kuchennego stylisty, którą Prew mógł tylko obserwować z podziwem, czując takie wewnętrzne ciepło, jakiego nie zaznał od dawna.

– To Willarda dobije – uśmiechnął się Stark krzywo. – Podoficer kasynowy

pomagający członkowi obsługi zmywać patelnie i garnki. Jakaśmy w kraju rozdzielali pracę w kuchni na robotę dla białych i dla czarnych, to zmywanie garnków dostawało się czarnym.

– W Harlan, moim rodzinnym mieście, nie było Murzynów – powiedział Prew, który musiał pracować bardzo ostro, żeby dotrzymać kroku Starkowi-styliście, ale czuł się wspaniale, przyjaźnie i dumnie, bo wiedział, że wszyscy kucharze, a nawet obsługa, obserwują to ukradkiem. Stark bowiem niekiedy pomagał obierać kartofle, ale garnki i patelnie to było zupełnie co innego. – Murzynów nie wpuszczali do miasta – wyjaśnił przypominając sobie nagle po raz pierwszy od lat, nieomal z gniewem teraz, po latach piętnastu, napis wymalowany jaskrawą czerwienią przez pijanych górników i wywieszony na dworcu, kiedy jakiś Murzyn zatrzymał się tam od pociągu do pociągu, napis, na który on sam, naówczas jeszcze wyrostek, tylko zerknął nie przejmując się nim wcale: „MURZYNIE! NIE MA DLA CIEBIE MIEJSCA POD SŁOŃCEM HAR-LANU!”

– Ano – powiedział Stark – rozumiem; w mieście, gdzie nigdy ich nie było. Trudno rozróżnić złego od dobrego, jeżeli jakaś rodzina nie mieszkała w mieście przez pewien czas. A te wszystkie wałęsające się Murzyny są złe, bo inaczej znaleźliby sobie jakiegoś białego, który by ich dobrze traktował i gdzie by się osiedlili. W moim mieście siedzieli od całych pokoleń i myśmy ich znali.

– Nie – odrzekł Prew. – Nie rozumiecie, o co mi idzie. Kiedyś w Richmondzie, w Indianie, jak byłem na włóczędze, ukradliśmy z jednym chłopakiem trochę warzyw i kawałek mięsa na duszenie. Zanieśliśmy to w dżunglę za miastem, a tam już była cała banda ludzi, jeden z nich Murzyn. No i ten gość chciał nam to odebrać, bo byliśmy szczeniaki, a kiedy nie chciałem mu oddać, wyciągnął na mnie nóż.

– Ten Murzyn? – zapytał Stark. – Zabiłbym drania.

– Nie – odparł Prew. – Nie on. Jeden biały. A Murzyn właśnie mu nie pozwolił. Skoczyłem za drzewo i uciekałem przed nim dookoła pnia nie puszczając jedzenia, ale byłem szczeniak i byłby mnie złapał, gdyby ten wielki Murzyn nie podleciał i nie podstawił mu nogi. Tamten się zerwał wściekły i rzucił się z nożem na Murzyna, ale Murzyn zasłonił się jedną ręką, spokojnie jak cholera, i trzasnął go prawą. Rozchłastał sobie paskudnie rękę o nóż, ale odebrał go temu białemu, a później zaczął go lać tak, że ten aż się poszczał, dosłownie. To nie był zły Murzyn.

– Nie – powiedział Stark. – Ten był dobry.

– Pewnie, że tak. Z tej całej bandy on jeden kiwnął palcem, żeby mnie obronić przed zadżganiem. Reszta tylko stała i patrzyła.

– Normalnie nie jestem po stronie Murzyna, który podnosi rękę na białego – powiedział Stark podając mu następną patelnię. – Nie lubię tego widzieć. Ale w tym wypadku

miał oczywiście rację.

– Pewnie, że miał, jak pragnę Boga! To przecież mnie gonił ten facet. Podobało mi się to wielkie czarne Murzynisko. Jakiśmy ugotowali duszeninę, zaprosiliśmy go, żeby zjadł z nami.

– A czekał, aż go zaprosicie?

– Pewnie – odparł Prew. – To był dżentelmen. Bez porównania większy dżentelmen niż cała reszta tych łobuzów. I jak Boga kocham, żaden z nich nawet nie spróbował dobrać się do naszej duszeniny, szkoda gadać. Wszyscy go się bali.

– Ja się nie boję żadnego Murzyna na świecie – rzekł Stark. – Złego ani dobrego. Ale ten był dobry. Tylko że większość tych, których się spotyka na włóczędzie, jest zła, same dranie. Ten akurat był dobry.

– Wy mnie nie rozumiecie – wyjaśnił Prew. – Ja uważam, że większość włóczędzów-Murzynów nie jest gorsza od włóczędzów-białych. Czy nawet nie-włóczędzów.

– I owszem, rozumiem was – odparł Stark. – Ale wy ich nie znacie tak jak ja. Większość tych Murzynów, co idą na włóczęgę, ucieka przed karą za zabicie jakiegoś białego albo zgwałcenie białej kobiety. Chociaż spotkałem na włóczędzie i dobrych, nawet sporo. To jest tak samo jak z tymi Murzynami, co mieszkają w miastach; niektórzy są dobrzy, a niektórzy źli, tylko że dobrzy na ogół siedzą w domu, a większość złych kończy na włóczędzie. Muszą, bo inaczej zostaną zlinczowani. Ja nie zniósłbym żadnego zuchwalstwa od Murzyna w moim mieście, choćbym go znał całe życie.

– Rozumiem was – powiedział Prew. – Ja nie zniósłbym żadnego zuchwalstwa od złego Murzyna, ale tak samo i od złego białego.

– No, z białymi rzecz wygląda trochę inaczej. Jak się temu bliżej przyjrzeć, to na ogół jest jakaś uzasadniona przyczyna, że są źli. Ale zły Murzyn po prostu rodzi się zły i jedyny sposób, żeby go wyleczyć, to dać mu nauczki, nic więcej. Zabić albo uleczyć. Mieliśmy jednego takiego w naszym mieście, zwykły łobuz, łajdak i leń. W końcu go przepędzili. Właściwie sam prysnął, żeby nie dostać nauczki. Rozumiecie? Ani odrobiny charakteru, po prostu drań. Był młody chłop, jego rodzina wymarła podczas epidemii grypy, a on zwyczajnie zwał. Poszedł na włóczęgę zamiast znaleźć sobie jakąś porządną jurną dziewczuchę i ustatkować się, tak jak był powinien.

– Ja poszedłem na włóczęgę z tej samej przyczyny – rzekł Prew.

– Tylko że moich nie zabiła grypa, ale te cholerne kopalnie.

– Tak? – powiedział Stark podając mu ostatni z garnków, które załatwili szybko, tak niewiarygodnie szybko, że Prew czując dla niego ciepłą, pełną wdzięczności *przyjaźń*, nie chciał wierzyć, że już skończyli, po prostu nie mógł się z tym pogodzić. – A ja poszedłem na

włóczęgę dlatego, że w domu było za dużo gąb do wyżywienia – wyszczerzył zęby Stark.

– No – dodał. – Już odwalone.

Wyprostował grzbiet przygięty od dłuższego czasu, wyciągnął zatyczkę ze zlewu i zawiesił ją na łańcuszku przerzuconym przez kurek, wyglądając ze swoim naturalnym sposobem bycia jak wzorowy obrazek z Podręcznika Dobrego Kucharza, gdyby coś takiego istniało.

– Jak wmyjecie ten zlew, idźcie pomóc im dokończyć obierania kartofli. A jakby Willard znów zaczął, dajcie mi znać.

– Dobrze – odrzekł Prew starając się włożyć w swój głos to, czego nie mógł powiedzieć nie psując wszystkiego. – Dam wam znać na pewno.

I myśląc z radością, że kiedyś, jak będzie mniej roboty i znajdzie się wolna chwila, musi dokładniej wyjaśnić swojemu przyjacielowi Starkowi, co chciał powiedzieć na temat Murzynów, ponieważ dotąd najwyraźniej nie udało mu się wytłumaczyć tego w pełni, wymył zlew i wyszedł na galeryjkę, gdzie Maggio, Blum i Reedy Treadwell obierali jeszcze ziemniaki przy dwóch dużych kotłach, serdecznie zniechęceni, ponieważ nie mieli przerwy przed południem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tego wieczora Stark przysiadł na stole obok zlewu, wyjął woreczek z tytoniem, wyciągnął bibułkę, otworzył woreczek zębami i ostrożnie, z wielkim skupieniem nasypał tytoniu w podwinięty papierek.

– Odpocznijcie sobie – powiedział swobodnie do Prewa. – Teraz nie ma gwałtu. Słuchajcie – dodał. – Nie chcielibyście pracować u mnie w kuchni?

– To znaczy gotować? – zapytał Prew odkładając kopystkę. – Gotować dla was?

– A co innego? – odparł Stark nie podnosząc oczu. Podał Prewowi woreczek.

– Dziękuję – rzekł Prew biorąc go. – Czy ja wiem. Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

– Ja was lubię – mówił Stark, ze skupieniem rozprowadzając tytoń od środka bibułki, żeby go było więcej na końcach i żeby w środku nie zrobiło się zgrubienie, kiedy będzie skręcał papierosa. – Chyba wiecie, że czekają was ciężkie chwile, kiedy kompania wróci do szkolenia polowego po zakończeniu pory deszczowej i kiedy będziecie mieli do czynienia z Ike'em Galowiczem, Wilsonem i jego kumplem Hendersonem, nie mówiąc o Dhomie, „DYNAMICIE” i całej reszcie sportowców, zwłaszcza że sezon zawodów jest coraz bliżej. Chyba, oczywiście, żeście zmienili zdanie i zdecydowali się stanąć do zawodów kompanijnych.

– Pewnie chcielibyście usłyszeć, dlaczego do nich nie staję?

– Wcale nie. Już słyszałem. Masę razy. „Stary Ike” o niczym innym nie mówił. A gdybyście byli w kuchni, Prewitt, żaden z nich nie mógłby się do was dobrać.

– Nie potrzebuję, żeby ktoś mnie osłaniał – rzekł Prew.

– Nie proszę was przez miłosierdzie, chłopie – powiedział Stark raptem dobitnie, wyraźnie, już bez wahania. – Kuchnia to nie zakład dobroczynny. Gdyby się okazało, że nie umiecie pracować, tobyście nie zostali. Gdybym nie uważał, że potraficie, wcale bym wam nie proponował.

– Nigdy specjalnie nie lubiłem pracować w czterech ścianach – rzekł Prew powoli, widząc, że tamten traktuje to serio i zastanawiając się, jak dobrze byłoby pracować pod takim człowiekiem jak Stark. „Wódz” Choate też był podobny, lecz w tej kompanii kaprale nie kierowali swoimi drużynami, robili to zastępcy dowódców plutonów, nie umiejący mówić po angielsku. Natomiast Stark naprawdę zarządzał kuchnią.

– Już od dłuższego czasu chcę się pozbyć Willarda – mówił Stark. – Mógłbym ubić dwa ptaki jednym strzałem. Sims zostałaby pierwszym kucharzem, wy zaczęlibyście od terminowania, żeby nikt się nie rzucał, a potem przesunąłbym was na drugiego kucharza ze

stopniem starszego szeregowca szóstej klasy, jak już byście tam posiedzieli dość długo, żeby mnie nikt nie oskarżył o faworytyzm.

– Myślicie, że dałbym radę?

– Wiem na pewno – odparł Stark. – Inaczej bym wam nie proponował.

– A „Dynamit” zgodziłby się na coś podobnego? Kiedy chodziłoby o mnie?

– Owszem, jeżeli to ja bym z tym wystąpił. Ja jestem teraz jego pieszczołek.

– Zawsze wolę być na powietrzu – powiedział Prew bardzo powoli.

– W kuchni jest parszywie. Jedzenie jest dobre na stole, ale w garnku za brejowate na mój gust. Tracę apetyt.

– Przestańcie zalewać – rzekł Stark. – Nie będę was błagał. Albo chcecie, albo nie chcecie.

– Pewnie, że bym chciał – powiedział z wolna Prew. – Ale nie mogę – dodał nareszcie wyrzucając to z siebie.

– Okej – rzekł Stark. – Wasza sprawa.

– Chwileczkę – odparł Prew. – Ja do tego podchodzę w ten sposób. Chcę, żebyście mnie zrozumieli.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiecie. Każdy człowiek powinien mieć pewne prawa.

– Pewne niezbywalne prawa – powiedział Stark – do wolności, równości i dążenia do szczęścia. Uczyłem się tego w szkole jako dzieciak.

– Nie to – odparł Prew. – To jest w konstytucji. Nikt już w to nie wierzy.

– Oczywiście, że wierzy – rzekł Stark. – Wszyscy w to wierzą. Tylko tego nie stosują. Ale wierzą.

– Właśnie – powiedział Prew. – O to mi idzie.

– Ale przynajmniej u nas w kraju w to wierzą – odparł Stark – nawet jeżeli tego nie stosują. Inne kraje nawet nie wierzą. Weźcie Hiszpanię. Albo Niemcy. Weźcie takie Niemcy.

– Pewnie – powiedział Prew. – Ja sam w to wierzę. To są i moje ideały. Ale teraz nie mówię o ideałach. Mówię o życiu.

Każdy człowiek ma pewne prawa – ciągnął – to znaczy w życiu, nie w ideałach. I jeżeli nie będzie bronił tych swoich praw, nikt tego za niego nie zrobi. Ani w ustawach, ani w regulaminie wojskowym nie ma nic o tym, że muszę brać udział w zawodach tej kompanii, rozumiecie? Więc mam prawo nie brać w nich udziału, jeżeli nie chcę. Nie robię tego na złość, mam ważne powody, a jeżeli czegoś chcę i tak postępuję, to póki nikogo nie krzywdzę, mogę sobie żyć w spokoju, bez tego, żeby mnie kopali. To jest moje prawo jako człowieka. Nie być kopanym.

– Prześladowanym – powiedział Stark.

– Właśnie. Otóż jeżeli pójdę do kuchni, zrezygnuję z jednego z moich praw, rozumiecie? W takim wypadku uznam, że byłem w błędzie i że tego prawa nie mam, a oni będą mogli myśleć, że słuszność jest po ich stronie i że mnie zmusili. Czy do boksu, czy czego innego, o to mniejsza. Ale mnie zmusili. Rozumiecie?

– Dobrze, rozumiem – odrzekł Stark. – Ale teraz pozwólcie mi coś powiedzieć. Przede wszystkim podchodzicie do tego na odwyrtekę, wyobrażacie sobie, że świat jest taki, jak powiadają, a nie taki, jaki jest naprawdę. Na tym świecie nikt nie ma w gruncie *rzeczy* żadnych praw. Z wyjątkiem tych, które sam potrafi załapać i utrzymać. A zwykle jedynym sposobem ich dostania jest odebrać je komuś innemu.

I nie pytajcie mnie dlaczego. Wiem tylko, że tak jest. Jeżeli człowiek chce coś mieć albo zdobyć, musi to wziąć pod uwagę. Musi się przyjrzeć, jak inni zdobywają i utrzymują to, co mają, i uczyć się postępować w taki sam sposób.

Najlepszym sposobem, stosowanym najczęściej przez większość ludzi, jest politykowanie. Trzeba się zaprzyjaźnić z kimś, kto ma odpowiednie wpływy, a potem te wpływy wykorzystać. Tak zrobiłem ja. W Forcie Kamehameha wiodło mi się równie źle jak wam tutaj. Ale nie wyniosłem się stamtąd, dopóki nie wiedziałem, gdzie iść. Było źle, bardzo źle. A jednak zostałem. Zostałem poty, póki nie miałem murowanej pewności, że sobie to zamienię na coś lepszego, kapujecie? Usłyszałem, że stary Holmes jest tutaj, i wtedy posłużyłem się nim, żeby się stamtąd wydostać.

– Nie dziwię się wam – powiedział Prew.

– Więc porównajcie to z waszą sytuacją, kiedy wyszliście z oddziału trębaczy – ciągnął Stark. – Gdybyście byli naprawdę sprytni, zostalibyście tam, dopóki byście nie znaleźli czegoś pewnego na zamianę. Zamiast uciekać w ciemno, wariować, przenosić się i wklejać w coś takiego.

– Nie miałem dobrego wyjścia – odrzekł Prew. – Nie miałem żadnego.

– Właśnie mówię; trzeba było zostać, dopóki by wam się nie nadarzyło. A teraz, kiedy wam proponuję dobre wyjście, takie, które przywróci wam grunt pod nogami, odmawiacie mi. To nie jest sprytne, to nawet nie jest rozsądne, bo tylko w ten sposób ktoś może dać sobie radę na tym świecie.

– Zdaje się, że w ogóle nie jestem rozsądny – rzekł Prew. – Ale za nic nie chcę uwierzyć, że tylko w ten sposób można dać sobie radę. Bo jeżeli tak, to to, czym człowiek jest, nie ma żadnego znaczenia. Sam człowiek jest niczym.

– Ano, do pewnego stopnia tak – odparł Stark. – Bo liczy się to, kogo się zna, a nie sam człowiek. Ale z drugiej strony to się wcale nie zgadza. Bo słuchajcie: to, czym jest

człowiek, jest zawsze obojętne. I nic na tym bożym świecie, żadna filozofia, żadna moralność chrześcijańska, nic z tych rzeczy nie może tego zmienić. To, czym człowiek jest, wypływa po prostu innym kanałem. Tak jak rzeka, której dawne łożysko zamknięto tamą, znajduje sobie nowe, gdzie prąd ma równą siłę, tylko płynie w innym kierunku.

– Ale ludzie kłamią na ten temat – powiedział Prew. – I to człowiekowi wszystko płacze. Opowiadają, że doszli do czegoś z trudem, uczciwą ciężką pracą, a naprawdę ożenili się z córką szefa i wzięli wszystko w spadku. A wy chcecie powiedzieć, że trzeba akurat tyle samo zachodu, żeby ożenić się z córką szefa i przez to się wybić, co żeby się wybić idąc po linii największego oporu. Co zresztą jest już niemożliwe.

– Zawsze było – sprostował Stark.

– W porządku, zawsze było. I uważacie, że ktoś taki jest naprawdę równie dobry?

Stark zmarszczył brwi.

– No, w pewnym sensie tak, ale wy to źle ujmujecie.

– Ale jeżeli tak jest – rzekł Prew – to w takim razie co z miłością? No bo zamiast żeby popracować dla osiągnięcia czegoś w życiu, trzeba równie się napracować, żeby ożenić się z córką szefa i przez to dojść do czegoś. A miłość w ogóle odpada. Co z miłością?

– A czy wy sami widzieliście kiedy tę miłość?

– Nie wiem. Czasami myślę, że tak, a znowu kiedy indziej, że tylko mi się przywidziało.

– A mnie się zdaje – odrzekł Stark – że ludzie kochają tylko takie *rzeczy*, z których mogą mieć to, czego chcą. I że nie kochają niczego, co im tego nie daje.

– Nie – zaprzeczył Prew przypomniawszy sobie Violet. – Mylicie się. Nie można mówić, że miłość istnieje tylko w romansach i w wyobraźni.

– Czy ja wiem, psiakrew – odparł Stark z irytacją. – Teraz już za głęboko sięgacie jak na mnie. Wiem tylko tyle, ile powiedziałem. Słuchajcie: żyjemy na świecie, który chce sam siebie rozwalić w diabły, tak szybko jak to zdoła załatwić pięćset milionów ludzi. Na takim świecie człowiek może zrobić tylko jedno: znaleźć sobie coś, co będzie jego własne, naprawdę jego własne i nigdy go nie zawiedzie, a potem ciężko pracować nad tym i dla tego, bo to mu samo zapłaci za jego trud. Dla mnie jest tym moja kuchnia...

– A dla mnie moja gra na trąbce.

– .. i tylko to mnie obchodzi. Dopóki będę robił swoje, tak jak trzeba, nie będę musiał się wstydzić. A reszta może się nawzajem tępić, mordować, wysadzić w powietrze cały cholerny świat, mnie nic do tego.

– Ale razem z nim wysadzą i was – powiedział Prew.

– Świetnie. To nie będę musiał się martwić.

– Ale nie będzie i waszej kuchni.

– Fajnie. Mnie też nie będzie, więc co za różnica. I wiem tylko tyle.

– Bardzo żałuję – rzekł Prew powoli, bo nie chciał tego powiedzieć, a szorstko, bo ciężko mu było to mówić i miał nadzieję, że może znajdzie się jakieś wyjście, jakiś argument Starka, który pozwoliłby mu nie wyrzec tych słów, i był prawie zły na Starka, że go nie przekonał, kiedy tak bardzo pragnął dać się przekonać. – Nie mogę. Po prostu nie mogę, i już. Ale nie myślcie, że tego nie doceniam.

– Nie myślę tak – odrzekł Stark.

– Gdybym tak postąpił, wszystko, co dotąd w życiu zrobiłem, byłoby na nic, wyrzucone na śmietnik.

– Czasem lepiej jest wyrzucić i zacząć od nowa, zamiast się tego trzymać.

– Nie wtedy, kiedy nie zostaje już nic innego i kiedy nie ma w perspektywie niczego na to miejsce. Wy macie swoją kuchnię.

– Dobra – powiedział Stark odrzucając niedopałek papierosa i wstając. – Nie wypominajcie mi tego. Wiem, że mam szczęście, ale wiem też, że wiele przełknąłem i musiałem się dobrze napracować, żeby to dostać.

– Ja wam nie wypominam. I chciałbym dla was pracować, chciałbym naprawdę.

– Zobaczymy się później – powiedział Stark. – Już niedługo zaczną się schodzić i muszę być na miejscu, i dopilnować, żeby wszystko poszło jak trzeba podczas kolacji.

Prew patrzył za nim, kiedy odchodził, wciąż z tą miną, jaką mają wszyscy dobrzy policjanci czy podoficerowie, niewzruszony, świadomie nosząc maskę żelaznego legalizmu, za którą u Starka nie było teraz żadnego wyzwania, wypraną całkowicie z ludzkiej ciekawości, poza odrobiną zainteresowania w oczach. „Tacy wiele tracą – myślał Prew – ale podobnie jak wszyscy inni, zapewne też zyskują wiele rzeczy, których reszta nie zna. Przynajmniej mogą zajmować się pracą, którą lubią.”

A potem machnął ręką na to wszystko i wrócił do roboty, przyspieszając tempa, żeby być gotowym do zmywania naczyń z kolacji, które niebawem zaczęły napływać.

Po kolacji w całej kompanii zrobił się ruch; nieliczni mający pieniądze wzywali taksówki, żeby pojechać do miasta, a liczni bez pieniędzy zmierzali do bramy wychodzącej na szosę, aby pomaszerować pieszo, albo wybierali się do kina czy do hali sportowej na mecz pokazowy, który tam mieli rozegrać mistrzowie koszykówki z drużyną z Fortu Shafter. Prew słyszał na ciemnej galerijce głosy dyskutujących grupkami o tym, co będą robili, i słuchając ich pracował tym zajadlej.

Kiedy mył zlewy, Stark zjawił się znowu.

– Jadę dzisiaj do miasta, Prew – powiedział. – Chcecie się wybrać ze mną?

– Jestem splukany – odrzekł Prew. – Na czysto.

– Nie pytałem was, czy macie pieniądze. Ja mam. Zawsze sobie odkładam tyle, żeby starczyło na coś większego w końcu miesiąca. I zawsze robię najlepszy skok wtedy, jak w mieście nie ma tłoku, zamiast się pchać w dzień wypłaty, kiedy nie można dostać się nawet do baru, nie mówiąc już o burdelu.

– Wasze pieniądze – rzekł Prew. – Mam się martwić, że chcecie je wydać na mnie? O której?

Ujrzał nagle obrazy białego, ocienionego włosami ciała, obciśniętego jaskrawymi, krzykliwymi sukniami w półmrocznych pokojach, oświetlonych blaskiem kolorowych lampek, grających szaf; zadawniony, trzymany tak długo na wodzy głód kobiety wezbrał w nim, nadał chrapliwe brzmienie jego głosowi.

– Najlepiej będzie po capstrzyku – odrzekł Stark. – Zabawniej jest, jak się ma kogoś do kompanii – wyjaśnił – a wy wyglądacie tak, jakbyście już od dłuższego czasu nie mogli się tego doczekać.

– Dobrze trafiłeś, bracie – odparł Prew i tylko tyle pozwolili sobie obaj powiedzieć na temat tego niespodziewanego zaproszenia.

– Dojedziemy tam około północy – rzekł Stark – i będziemy mieli czas wpaść na chwilę do baru i trochę się zaprawić. Potem, około pierwszej, wyjdziemy, połazimy do drugiej i weźmiemy sobie jakąś na całą noc, a w przerwie może wyskoczmy na jednego szybkiego. Tak to zwykle załatwiam.

– Na całą noc! – zawołał Prew myśląc chciwie o tych trzech godzinach między drugą a piątą, które stanowiły całą noc w hawajskim burdelu.

– Przecież to jest piętnaście dolarów!

– Jasne – odrzekł Stark – ale warto. Jak się robi tylko jeden duży skok na cały miesiąc i odkłada na niego pieniądze, to więcej niż warto.

– Kolego – powiedział Prew – licz na mnie. Planowaliśmy sobie, że pogramy na gitarach od apelu do capstrzyku, więc nawet i to da się załatwić.

– Pewnie – rzekł Stark. – Pojedziemy dopiero po capstrzyku. A może i ja przyjdę posiedzieć z wami – dodał raptem, na wpół pytająco.

– Przyjdźcie. A wy gracie?

– Tyle, że nie warto wspominać. Ale lubię słuchać. No, to tymczasem – mruknął szorstko, prawie nieprzyjemnie, najwyraźniej nie chcąc powiedzieć nic więcej na ten temat, gdyż bał się, że Prew *zacznie* mu dziękować.

Spotkali się wszyscy w mroku dziedzińca, a „Piętaszek” skwapliwie przytaszczył dwie gitary; gdy Andy skończył trąbić sygnał na gaszenie świateł, zasiedli na schodach kuchennych

i zaczęli grać bluesa cicho w ciemnościach, żeby nie zebrał się tłum, bo nie chcieli tłumu, tylko odosobnienia w łączącej ich wspólności. Wokoło czworoboku dziedzińca podoficerowie służbowi gasili kolejno światła w salach sypialnych. Stark wyszedł z kuchni, usiadł na krawężniku paląc papierosa i oparłszy się o mur słuchał pilnie, chociaż milcząco, bez słowa, spoglądając na przeciwległy budynek dowództwa, tak jakby chciał dojrzeć przed sobą Teksas. Maggio przycupnął zgarbiony na najniższym stopniu, niby bezwłosa małpka kataryniarza, i słuchał równie chciwie jak Stark owej muzyki obcej dla jego ojczystego Brooklynu.

– Wiecie co – odezwał się po chwili – te bluesy, tak jak je gracie, bardziej przypominają jazz niż pieśni ludowe. Wolny jazz, prawdziwy murzyński jazz, taki, jaki się słyszy w knajpach na Pięćdziesiątej Drugiej ulicy.

Prew przestał grać, a gitara „Piętaszka” także stopniowo zamilkła.

– W pewnym sensie tak jest – rzekł Prew. – Nikt nie potrafi powiedzieć, gdzie kończy się pieśń ludowa, a zaczyna jazz. Jedno wtapia się w drugie. Ja i Andy mamy pomysł, żeby ułożyć nasz własny blues, nasz prywatny, specjalny blues. Mówiliśmy już o tym i kiedyś to zrobimy.

– Pewnie, że tak – powiedział „Piętaszek”. – Nazwiemy go *Pieśń nadterminowych*. No bo jest przecież *Pieśń kierowców ciężarówek* i *Pieśń żniwiarzy*, a wojskowego bluesa nie ma.

Stark siedział nie mówiąc nic; słuchał wzbierającej i zacichającej rozmowy, gdy tamci grali, słuchał wszystkiego, lecz nie brał w niczym udziału i tylko palił bez słowa, pogrążony w jakimś swoim wewnętrznym gorzkim milczeniu.

– Nie zagrałeś tak jak trzeba sygnału na gaszenie – powiedział Prew do Andy'ego nie dopuszczającym sprzeciwu tonem znawcy. – Musi być grany *staccato*. Krótko i urywanie. Nie wolno tracić ani sekundy na długie nuty. Ten sygnał jest natarczywy. Każesz im gasić te cholerne światła i nie chcesz żadnej dyskusji. Więc musi być precyzyjny i szybki, bez żadnego zlewania się tonów. A mimo to gdzieś pod spodem trochę smutny, bo przykro ci jest to robić.

– Nie możemy wszyscy być dobrzy – odparł Andy. – Ja jestem gitarzystą. Ty jesteś od trąbki, a ja od gitary.

– Okej – rzekł Prew. – Masz.

Oddał mu nową gitarę, która nie była już bardzo nowa, ale była prywatną gitarą Andy'ego.

Andy wziął ją i przechwycił melodię od „Piętaszka”, wciąż obserwując twarz Prewa w ciemnościach.

– Chcesz zagrać za mnie capstrzyk? – zaproponował. – Możesz to zrobić dzisiaj, jeżeli

masz ochotę.

Prew zastanowił się nad tym.

– Na pewno nic by ci nie szkodziło?

– Nie. Nie jestem trębacz, tylko gitarzysta, tak jak powiedziałem. Proszę cię, graj. Ja i tak nigdy nie potrafiłem tego zagrać.

– Dobra. Daj trąbkę. Masz, to twój ustnik. Mam swój przy sobie. Przypadkiem miałem go w kieszeni.

Wziął zaśniedziałą trąbkę wartowniczą, przetarł ją z lekka, a potem przycisnął do siebie, podczas gdy reszta siedziała w chłodnym rogu grając cicho, trochę rozmawiając, lecz przede wszystkim słuchając. Stark nic nie mówił, tylko słuchał, zadowolony, ale posepny. Raz paru przechadzających się ludzi przystanęło, aby posłuchać chwilę, bo przywabiła ich owa urzekająca nadzieja bez nadziei, która pobrzmiwała w równym rytmie bluesa. Ale milczący Stark był czujny. Pstryknął złośliwie papierosa na chodnik, tak że spadający ogarek obryzgał im stopy iskrami. Zdawało się, że odepchnęła tamtych jakaś niewidzialna ręka; odeszli, ale byli dziwnie podniesieni na duchu.

Za pięć jedenasta przerwali granie, wstali i podeszli we czterech do megafonu w rogu dziedzińca, pozostawiając Starka, który, oparty o mur, wciąż palił posepnie, godząc się milcząco na swoje odosobnienie; skręcał sobie papierosy i palił wciąż, wchłaniając wszystko, co działo się dokoła niego, nie tracąc z tego nic.

Prew wyjął z kieszeni swój kwarcowy ustnik i założył go na trąbkę. Stanął przed wielkim blaszanym megafonem kręcąc się nerwowo, wypróbując swoje wargi. Wydobył z trąbki dwa ciche, próbne tony, po czym przetarł ze złością ustnik i energicznie rozmasował sobie wargi.

– Wargi mam do niczego – powiedział nerwowo. – Od miesięcy nie tykałem trąbki. Nie będę mógł nic zagrać. Wargi mam miękkie jak cholera.

Stał tam w świetle księżyca, przestępując niespokojnie z nogi na nogę, obracał trąbkę w palcach, potrząsał nią gniewnie, przytykał ją do ust na próbę.

– O Jezu – powiedział. – Nie mogę zagrać tego jak należy. Capstrzyk to coś specjalnego.

– E, wal, na miłość boską – rzekł Andy. – Przecież wiesz, że potrafisz.

– Dobrze – odparł gniewnie. – W porządku. Nie powiedziałem, że nie zagram. A ty się nigdy nie denerwujesz?

– Nigdy – odrzekł Andy.

– To nie masz za cholereę wrażliwości – powiedział ze złością Prew. – Ani współczucia, ani zrozumienia.

– Dla ciebie nie – odrzekł Andy.

– Więc zamknij się, na miłość boską – powiedział nerwowo, gniewnie Prew.

Spojrzał na zegarek i kiedy dłuższa wskazówka dotknęła najwyższego punktu, podszedł do megafonu, podniósł ku niemu trąbkę i zdenerwowanie opadło z niego jak odrzucona kurtka; nagle był sam jeden, daleko od wszystkich.

Pierwszy ton był czysty i absolutnie pewny. Nie było w nim żadnego wahania czy potknięcia. Poniósł się przez dziedziniec, wytrzymany o ułamek sekundy dłużej, niż to czynili inni trębacze. Trwał tak długo jak czas dzielący jeden znojny dzień od drugiego. Trwał tak długo jak trzydziestoletnia służba. Druga nuta była krótka, niemal za krótka, urwana. Zamilkła nagle, przeleciała za prędko, jak minuty spędzone z kurwą. Była krótka jak dziesięciminutowa przerwa w ćwiczeniach. I wreszcie ostatnia nuta pierwszej frazy wytrysnęła triumfalnie z nieco łamanego rytmu – triumfalnie, wysoko, na niedosiężny poziom dumy, ponad upokorzenia i poniżenie.

W taki sam sposób odegrał całość: w przerywanym, a potem przyspieszonym rytmie, którego nie mógłby wyznaczyć żaden metronom. Ten capstrzyk nie miał spokojnego, unormowanego tempa. Tony wzbijały się wysoko w powietrze i zawisały nad czworobokiem dziedzińca. Wibrowały tam pieśczośliwie, pełne nieskończonego smutku, bezmiernej cierpliwości, nieokreślonej dumy – requiem i epitafium prostego żołnierza, który pachnie prostym żołnierzem, jak kiedyś powiedziała mu pewna kobieta. Unosiły się niby aureole ponad głowami śpiących w wygaszonych koszarach, przemieniając wszelką trywialność w piękno, które jest pięknem współczucia i zrozumienia. Oto jesteśmy – mówiły. – Wy nas stworzyliście, więc przyjrzyjcie się nam teraz, nie zamykajcie oczu i nie wzdrygajcie się na widok piękna i smutku otaczających was *rzeczy*. To jest pieśń prawdziwa, pieśń szarej braci, a nie bitewnych bohaterów, pieśń więźniów Obozu Karnego, cuchnących, zżeranych potem pod warstwą popielistego pyłu skalnego – pieśń utyłanych ludzi z obsługi kuchennej, mężczyzn bez kobiet, którzy zbierają zakrwawione szmaty menstruacyjne żon oficerskich, którzy przychodzą, by sprzątnąć Klub Oficerski po zakończeniu przyjęcia. To jest pieśń motłochu, tych, co spijają aqua-velva, i tych bezwstydných, co chciwie wysuszają na wpół opróżnione, niekiedy umazane pomadką do ust szklanki zaproszonych gości, których stać na to, aby ich nie dokończyć.

To jest pieśń ludzi, którzy nie mają nigdzie miejsca, a gra ją człowiek, co także nigdy nie miał miejsca dla siebie, i przeto może ją grać. Słuchajcie jej. Znać tę pieśń; czy pamiętacie? To jest melodia, przed którą co wieczór zatykacie sobie uszy, żeby móc spać. To jest melodia, której nie chcecie słuchać, i żeby jej nie słyszeć, wypijacie co wieczór pięć martini. To jest pieśń Wielkiej Samotności, która przenika wszędzie jak wiatr pustynny i

odwadnia wam duszę. To jest pieśń, której będziecie słuchali w dzień waszej śmierci. Wtedy, gdy leżąc w łóżku, pokryci śmiertelnym potem, będziecie wiedzieć, że wszyscy doktorzy i pielęgniarki, i zapłakani przyjaciele nie znaczą nic i nic nie mogą wam pomóc, nie mogą wam zaoszczędzić ani jednej kropli goryczy, bo to wy umieracie, nie oni – kiedy będziecie czekali na nadejście tego, ze świadomością, że nie zdołacie wykręcić się snem, że nie odsuniecie tego pijąc martini, ani nie odwleczecie rozmową, że nie znajdziecie ucieczki w waszych zamięowaniach – wówczas usłyszycie tę pieśń i przypomniawszy ją sobie, poznacie. Ta pieśń jest Rzeczywistością. Czy pamiętacie? Pamiętacie na pewno?

Dzień się skończył,
Zgasł blask słońca,
I – na – niebie,
I – na – wodzie,
I – wśród – wzgórz
Śpij snem wiecznym,
Bo – ha – terze,
Bóg jest tuż!

I kiedy ostatnia nuta zadrgała i roztopiła się w dumną ciszę, a trębacz odwrócił megafon przed tradycyjnym powtórzeniem, w oświetlonej bramie wypadowej ukazały się postacie ludzi, którzy wychodzili od Choya. „Mówiłem wam, że to Prewitt” – doleciał nikło przez dziedziniec głos kogoś mówiącego tonem człowieka, co wygrał zakład. A potem zabrzmiało powtórzenie melodii, by się połączyć z jej drżącą jeszcze w powietrzu, łzawą siostrą. Czyste, dumne dźwięki odbijały się echem na milczącym dziedzińcu. Ludzie powychodzili ze świetlic na galeryjki, by słuchać w ciemnościach, czując nagle, dławiące braterstwo trwogi, która wypiera wszelkie indywidualne skłonności. Stali zasłuchani w mroku galeryjek i nagle każdy poczuł się bardzo bliski temu, który stał obok, który też był żołnierzem i także musiał umrzeć. A potem, równie milcząco jak przyszli, zaczęli wracać do wnętrza, ze spuszczonej oczyma, nagle zawstydzeni własnym wzruszeniem i tym, że ujrzeli obnażoną duszę człowieka.

Maylon Stark, oparty milcząco o mur swojej kuchni, spoglądał na trzymanego w ręce papierosa, z ustami wykrzywionymi tak, jak gdyby miał się rozpłakać albo roześmiać, albo zadrwić. Wstydział się. Wstydział się własnego powodzenia, które mu przywróciło cel i sens życia. Wstydział się, że tamten to właśnie utracił. Ścisnął palcami tłący się nieszkodliwie ogarek, rozkoszując się uczuciem parzenia, i cisnął go z całej siły o ziemię, odrzucając wraz z nim wszystką przemożną niesprawiedliwość świata, której nie mógł zrozumieć ani strawić, ani wyjaśnić, ani odmienić.

Prewitt z wolna odjął trąbkę od warg i puścił megafon umocowany w obrotowym pierścieniu. Niechętnie zdjął swój ustnik i oddał trąbkę Andy'emu. Wargi miał ściągnięte i zaczerwienione od grania.

– Boże – powiedział chrapliwie. – Boże kochany. Muszę się napić wody. Gdzie Stark? – i dotykając palcami ustnika ruszył niepewnie w ciemnościach ku koszarom, nie dumny, ale wciąż jeszcze naiwnie nieświadom tego, co przed chwilą wywołał.

– O rany – powiedział Maggio, kiedy patrzyli za odchodzącym. – Ten to naprawdę umie grać na trąbce. I dlaczego nigdy nie gra? Powinien być w oddziale trębaczy.

– Przecież był, frajerze – odparł wzgardliwie Andy. – Rzucił to. Nie chciał grać w tym oddziale. A grał capstrzyk na Arlingtonie.

– Taaak? – spytał Maggio. Zerknął za odchodzącą sylwetką. – No, no. Kto by pomyślał.

Wszyscy trzej stali w milczeniu, nie umiejąc wypowiedzieć tego, co czuli, i spoglądali za nim, dopóki nie podszedł Stark, który słyszał ich słowa.

– Gdzie on idzie?

– Szuka was – odrzekł Andy – żeby jechać do miasta. Poszedł w stronę ganku.

– A, dziękuję – zadrwił Stark. – Nigdy bym na to nie wpadł. – I ruszył po Prewitta.

– Chodź, chłopie – powiedział. – Jedziemy do miasta. Zabawimy się na całego.

KSIĘGA TRZECIA
KOBIETY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wchodzili na nie oświetlone schody hotelu „New Congress”, bardzo ciemne po rozjarzonej, niemal opustoszałej ulicy, stąpając po omacku, z ostrożnością ludzi podpitych. Przed chwilą wyszli z małego barku na parterze znajdującej się obok, jaskrawo, tropikalnie przyozdobionej restauracji Wu Fata, i teraz nagle uczyli to kłopotliwe, zawstydzające, niweczące godność drżenie serca, dławienie w gardle i brak tchu, których doznają mężczyźni mający za chwilę położyć się z kobietami; te same odruchy przejawiały bezwstydnie wszystkie psy z bazy uganiające się po uliczkach za opornymi sukami, a oni wówczas naśmiewali się z nieszczęsnych zwierzaków, ale teraz wcale nie było im do śmiechu, kiedy przelatywały im przez głowę wizje bezosobowych piersi, brzuchów i długich ud nieziemskiej piękności.

Przez cały wieczór (pobudzani do wesela świadomością, że czeka ich to, po co teraz szli) bawili się wyśmienicie, zaciekle, zawadiacko, dziko podochoceni trunkiem, dotychczas bez żadnych bójek, nawet właściwie bez sprzeczki, z wyjątkiem eks-wojskowych, żonatych z Hawajkami taksówkarzy, którzy zazdrościli im swobody i dlatego zawsze kłócili się i tak, co nie miało żadnego znaczenia. Wysiadłszy z taksówki przed wielkim, rozłożystym, przesłoniętym palmami gmachem wojskowej i marynarskiej YMCA (mając przed sobą tamtą perspektywę), od razu przeszli przez ulicę na pierwszą głębszą whisky, tę najlepszą ze wszystkich, do podłużnej, mającej cały front otwarty kawiarni „Pod Czarnym Kotem”. Kawiarnia ta cieszyła się wielkim powodzeniem, ponieważ była tak usytuowana, akurat naprzeciwko gmachu YMCA i postojowi wszystkich taksówek z Pearl Harbor i Schofield. Każdy, kto przejeżdżał, walił prosto pod „Czarnego Kota” na pierwszego najlepszego drinka, a przed powrotem zachodził tam na tego ostatniego, najgorszego, toteż kawiarnia była stale zatłoczona. A ponieważ „Czarny Kot” cieszył się takim powodzeniem i zawsze w nim było pełno, więc obydwaj go nie znosili i uważali, że tuczy się na ich żywej krwi i ich głodzie, i później, tuż przed pójściem do Wu Fata, wrócili tam i zamówili u głupawego Chińczyka dwa sandwicze z limburskim serem mówiąc, że po nie przyjdą niedługo, następnie zaś obeszli dokoła przecznicami, a kiedy wrócili, „Czarny Kot” nie był już zatłoczony i chwilowo nie cieszył się powodzeniem, ponieważ był pusty i zamknięty na noc, z żelazną kratą zapuszczoną na otwarty front, i nie było żywego ducha ani tam, ani na całej tej stronie ulicy, więc uścisnęli sobie radośnie dłonie (wciąż mając tę perspektywę przed sobą) i poszli coś wypić do najbliższego baru, ażeby oblać to zwycięstwo.

Po owym wspaniałym figlu ruszyli znowu ulicą, tym razem do Wu Fata, ażeby zjeść

na piętrze zupełną *won ton*, następnie zeszli do baru, gdzie chudy, wymuskany pederasta z angielskim akcentem zapytał ich z subtelnym pochlebstwem, czy są cywilnymi marynarzami szukającymi przygód, i zaproponował, że im postawi kolejkę, na co Stark powiedział mu, żeby zachował ją dla kogoś, kto nie ma pieniędzy na kurwy i bardziej to doceni, a wtedy pederasta przygadał mu coś chytrze, po kobiecemu, Stark zaś radośnie dał mu w zęby, barman odprowadził do drzwi ogłuszonego pedała, ponieważ Stark płacił wyższy rachunek, następnie zaś wrócił, uściskał Starkowi dłoń i powiedział, że też tamtych nie lubi, ale barmani muszą przecież żyć, i wreszcie Stark i Prew zabrali się serio do picia, żeby się zaprawić, Stark spił się naprawdę z jakimś dzikim, niecierpliwym pragnieniem, którego Prew nie podejrzewał w tym chłodnym, mówiącym powoli, zrównoważonym człowieku, i wtedy Stark zwierzył mu się z niepowściągliwą poufałością opilstwa, że jest do niczego w burdelu, jeżeli się przedtem porządnie nie naoliwi, że nie wie czemu, ale tylko tak może to robić, i że naprawdę szczerze to lubi właśnie w ten sposób (z tą perspektywą ubarwiającą wszystko nieporównanym blaskiem, podnoszącą każdą rzecz przez ów nieporównany zapach, który był w końcu jedną czystą miłością do wszystkiego, co żyje, ale nie dawał się osiągnąć inaczej), i że, psiakrew, obojętnie, co kto mówi, ale żadna rzecz, która każe kochać świat tak bardzo jak to, nie może być zła, niech sobie mówią co chcą, ani szkodliwa, szlag by ich trafił, ani wstydliva, niech ich cholera, i że nie uwierzy tym sukinsynom, żeby w tym mogło być coś złego.

I teraz, kiedy stali na schodach mając przed sobą ciężkie stalowe drzwi z kwadratowym judaszem, czyniące z klatki schodowej tunel bez wyjścia – ta wielka miłość życia, potrzebująca ujścia, ten wielki głód miłości, który musiało się zaspokoić, były tak potężne, że niemal się w nich przelewały.

Stark (bardzo pijany, ale mimo to zdolny zręcznie skręcić po ciemku papierosa) potarł zapalniczkę i zaciągnął się – przy czym płomyk zapalniczki oświetlił, niby echo ich myśli, wszystkie wyrysowane ołówkiem na ścianach nagie ciała (męskie i kobiece), osobne organy bez ciał (kobiece i męskie), realistycznie odtworzone sromy, wykonane za pomocą przytknięcia do ściany płonącej zapalniczki, a potem dorysowania nóg, oraz towarzyszące temu wierszyki kilku generacji artystycznie usposobionych żołnierzy, marynarzy i tubylczych czyścibutów – i uderzył pięścią w drzwi.

Judasz odchylił się natychmiast i ogromna, ciemna twarz hawajskiej kobiety zerknęła na nich podejrzliwie.

– Wpuść nas – powiedział Stark. – Marzniemy w tę zimną, zimną noc – i zakończył tragicznym, z serca płynącym czknięciem.

– Wy pijani – sapnęła pękata twarz. – Idźcie sobie. Nie chcemy mieć przeprawy z żandarmerią. To przyzwoity lokal. Zamknięte. Idźcie do domu.

– Tylko ze mną nie zaczynaj; Minerwo – wyszczerzył zęby Stark – bo cię zdegraduję do szeregowca. Idź powiedzieć pani Kipfer, że jest tutaj jej chłopczyk numer jeden i w ogóle dlaczego nie stoi przy drzwiach, gdzie jej miejsce.

– Aha – odparła kobieta, jeszcze podejrzliwie. – To zaczekajcie. – I z irytacją zatrzęsnęła judasza.

Prew poczuł, że owe nieziemsko piękne piersi, brzuchy i długie uda zaczynają się gdzieś rozpływać i niknąć. Spojrzał na Starka.

– No masz – powiedział Stark kwaśno. – Widzisz? Baba myśli, żeśmy pijani.

– Coś podobnego – rzekł Prew. – Podejrzliwa stara prukwa.

– Jak tylko kobieta widzi żołnierza, zaraz myśli, że jest pijany. Dlaczego? Ty wiesz dlaczego?

– Bo jest.

– Słusznie. Taka podejrzliwa. Dlatego nie lubię chodzić do tych lokali. Żadnej wiary w człowieka. Za dwa centy mogę iść do wojskowego burdelu. Co ona myśli, że to jedyny bajzel w mieście? O cztery domy stąd jest nawet ten japoński masaż elektryczny.

– To chodźmy. Jeszcze nigdy tam nie byłem. Stark zachichotał.

– Nie można. Zamknięte. Zamykają o jedenastej. – Potem doszło to do jego świadomości, więc obrócił się i wytrzeszczył oczy. – Jak to, nigdy nie byłeś na japońskim masażu elektrycznym? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nigdy.

– Tam, gdzie są te białe szyldziki z czerwonymi literkami i czerwoną błyskawicą pod spodem?

– Ani razu.

– No, no – powiedział Stark. – Gdzieś ty się chował?

– Jestem chłopak z prowincji – odrzekł Prew ze złością. – Całkiem zielony.

– Hm, hm. Wahoo to chyba jedyne miejsce na całym bożym świecie, gdzie człowiek może wziąć elektryczny masaż japoński. A ty nie chcesz skorzystać z takiej okazji. Ominęło cię wielkie przeżycie, Prew, zaniedbałeś swoje wykształcenie. No więc kładą cię tam na boku – ciągnął – a potem taka jurna Japonczka jeździ po tobie od stóp do głów elektrycznym wibratorem. Ale dotknąć ci jej nie wolno. A przychodzą gołe, żeby cię obrabiać. Tylko że nie pozwolą się tknąć, nawet palcem. Z góry cię uprzedzają. A na wypadek, gdyby ktoś nie zrozumiał pouczenia, mają tam wykidajkę, wielkie chłopisko, znające dżudo. Jak pierwszy raz przychodzisz, to ci go pokazują.

– Ja tam bym chciał takiej dotknąć – powiedział Prew. – Lubię je dotykać.

– Ja też. Właśnie o to idzie, kapujesz? Chcesz, ale nie możesz. Bardzo śmieszne

uczucie. Stoi przed tobą jak ją Pan Bóg stworzył, a dotknąć jej nie wolno. Całkiem jak z cywilem, który chce posunąć przyzwoitą kobitę. Ogromnie dziwne uczucie. Nie ma nic podobnego. Trzeba Japońca, żeby wymyślić takie cenne doświadczenie.

– I chyba trzeba Japońca, żeby mieć z tego przyjemność.

– O, nie – odparł Stark. – Dla mnie to jest przyjemne. Rozgrzewa człowieka, rozgrzewa tak, że miałyby ochotę zjeść tę cholere. Mnie to pobudza krew. Po takim japońskim masażu mógłbym roznieść cały burdel, nawet na trzeźwo. Uświadamia człowiekowi, co warta jest kobieta, choćby i kurwa. Daje ci wielkie zrozumienie całego rodzaju ludzkiego.

– Ale mnie by to się nie podobało – powiedział Prew z uporem.

– Uparty jesteś, nic więcej – odrzekł z równym uporem Stark. – Skąd wiesz, że by ci się nie podobało? Mnie się podoba. Dlaczego nie miałyby i tobie?

– Bo ja lubię je dotykać. Lubię coś więcej niż dotykać.

– Rany boskie – powiedział nagle Stark. – Ale tej baby długo nie ma!

– Odwrócił się i zaczął znów walić pięścią w drzwi. – Ile czasu trzeba czekać? Hej! Otwierać!

Judasz otworzył się natychmiast, tak jakby wysoka, mile uśmiechnięta biała kobieta o pociągłej twarzy, która na nich wyjrzała, stała tam przez cały czas i słuchała.

– A, jak się masz, Maylon – powitała go uśmiechając się radośnie.

– Minerwa nie powiedziała mi, że to ty. Jak się czujesz?

– Mało nie trzasnę – odrzekł Stark. – Wpuście nas.

– No, Maylon – napomniała go delikatnie, ale stanowczo. – To tak się do mnie mówi?

Prew widząc tę układność godną damy, nieledwie dziewczęcą, poczuł nagle, że wszystko z niego odpływa niczym śnieg, który w lutowym słońcu obsuwa się raptem z dachu odsłaniając porządnie ułożone dachówki handlowego przedsiębiorstwa. I podobnie jak zawsze gdzie indziej w takich razach, gotów był wracać do domu. „Co też w tej chwili robi Violet Ogure?” – pomyślał.

– Cholera jasna – zagrzmiał Stark. – Chyba się pani nie boi, że zdemolujemy lokal?

– Wcale nie – uśmiechnęła się kobieta. – Nie mam żadnych obaw pod tym względem. I proszę cię, nie klnij przy mnie, Maylon.

– Pani Kipfer – powiedział Stark z nagłą, uległą trzeźwością, widząc powagę sytuacji.

– Bardzo się pani dziwię. Czy pani kiedy widziała, żebym tu przyszedł, kiedy ostro popiłem? Pytam panią uczciwie: czy wyglądam na ten rodzaj człowieka?

– Ano, w każdym razie nigdy tak nie uważałam, Maylon – skłamała z zadowoleniem pani Kipfer. – U mnie zawsze zachowywałeś się jak stuprocentowy dżentelmen.

– Dziękuję pani – rzekł Stark. – A teraz, kiedy nie ma już żadnych nieporozumień,

może nas pani wpuścić?

– Ostre popijanie – sprzeciwiła się pani Kipfer – nie da się pogodzić z imprezą rozrywkową. Każdy szanujący się, przyzwoity zakład musi brać pod uwagę swoją przyszłość.

– Proszę pani – rzekł Stark. – Daję pani uroczyste słowo, że niczym nie zaszkodzimy pani przyszłości.

Pani Kipfer udobruchała się.

– Ano – powiedziała z uśmiechem – jeżeli dajesz mi słowo... Jestem pewna, że go dotrzymasz, Maylon.

Rozległ się zgrzyt stali o stal i drzwi otworzyły się do wewnątrz. Prew ujrzał elegancką kobietę o zaczesanych do góry włosach i ponętnej figurze, zgrabnie opiętej w ładną wieczorową suknię płowego koloru, z bukietem czerwono-fioletowych orchidei u ramienia, wyglądającą żywcem jak arystokratyczna dama, która zstąpiła z reklamy sreber stołowych, aby zaprosić swych gości do kolacji. Uśmiechnęła się do niego z wybaczącą, matczyną troskliwością i Prew zrozumiał teraz, czemu wszyscy bywalcy burdeli zawsze mówili o pani Kipfer i tak ją podziwiali. Właśnie dlatego, że pani Kipfer była taką damą i że zawsze była gotowa im wybaczyć.

Kiedy wszedł, Minerwa zamknęła za nim z wysiłkiem wielkie drzwi, po czym opuściła na powrót ciężką sztabę w jej uchwytach.

– Maylon – powiedziała pani Kipfer. – Zdaje się, że jeszcze nie znam twojego przyjaciela?

– Jeszcze nigdy mi pani nie robiła takich ceregieli przy wejściu – rzekł Stark z wyrzutem. – Można by pomyśleć, że to nielegalny lokal, a nie najlepszy burdel w Honolulu.

– Nie bądźmy ordynarni tylko dlatego, że wynikło nieporozumienie – odparła lodowato pani Kipfer. – Wiesz, jaki jest mój stosunek do tego słowa. Byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiała cię stąd wyprosić, ale zrobię to mimo wszystko, jeżeli będziesz dalej taki paskudny. Stark milczał uparcie.

– Uważam, że winienesz przeprosić mnie za tę ostatnią uwagę – rzekła pani Kipfer. – Nie sądzisz?

– Pewnie tak – mruknął ze złością Stark. – Przepraszam.

– Wciąż jeszcze nie znam twojego przyjaciela.

Stark grzecznie przedstawił ich sobie z niskim, kpiącym ukłonem, bardziej przypominając w tej chwili krnąbrnego chłopaka niż rozgniewanego mężczyznę.

– Szalenie mi miło – uśmiechnęła się pani Kipfer do Prewa ignorując ten ukłon jako niegodny komentarza. – Zawsze cię cieszę, kiedy poznaję nowego członka kompanii.

– Bardzo mi przyjemnie – bąknął niepewnie Prew zastanawiając się, gdzie, do cholery,

są dziewczęta. Czuł się nieporadny wobec tak wykwinnych manier i nagle przypomniał sobie z goryczą to, co niegdyś powiedział mu też gorzko wuj John Turner, który nigdy nie był żonaty: „Kobiety rządzą światem, chłopcze. Bóg dał im wszystkie karty między nogi. Nie muszą iść na hazard, jak my, mężczyźni, i trzeba się z tym pogodzić.” Powiedział to tak gorzko, że chłopiec, będąc tylko chłopcem, nie mógł naówczas tego zrozumieć.

– Myślę, że będę pana nazywała „Prew” – uśmiechnęła się pani Kipfer. – Czy wolno?
– dodała prowadząc ich z dużego szerokiego hallu w prawo, przez wąski korytarz do poczekalni.

– Proszę bardzo – odrzekł Prew widząc tu nareszcie kobiety, nie takie, o jakich marzył przed przyjściem, ale jednak kobiety. – Nikt do mnie nie mówi po imieniu.

Było ich siedem w poczekalni; jedna stała z jakimś żołnierzem obok grającej szafy, dwie rozmawiały z dwoma marynarzami. Pozostałe cztery siedziały same, a trzy z nich były to tłuste, bezmyślnie żujące gumę krowy w krótkich sukniach, wszystkie wyglądające identycznie; trzy takie, które zawsze będą siedziały same i obojętne na wszystko, z wyjątkiem momentu, kiedy – nadal z tą samą obojętnością – zostaną rzucone do akcji jako odwody podczas wielkiego ataku w dzień wypłaty żołdu. Natomiast czwarta nie była do nich podobna; drobna brunetka w długiej sukni przynależnej dziewczynom lepszej kategorii, siedziała bardzo godnie i spokojnie, z dłońmi splecionymi swobodnie na kolanach. Prew przyłapał się na tym, że obserwuje właśnie ją.

Zauważył już swym doświadczonego okiem, że tamte cztery smukłe, te lepszej kategorii, do której drobna, spokojna brunetka też należała, mają długie suknie z poręcznym zamkiem błyskawicznym od góry do dołu, i że świadomie separują się od owych trzech tłustych, żujących gumę. Wywnioskował z tego, że jest tu tak samo jak wszędzie, że nie ma żadnej różnicy, że płaci się swoje trzy dolary w okienku, zabiera towar i idzie – choć słyszał, iż ten lokal, uczęszczany przez kompanię, jest najlepszy. Zauważył to wszystko od razu, lecz nadal czuł, że przygląda się właśnie t e j, która różniła się tak wyraźnie nawet od pozostałych trzech z lepszej kategorii.

– To jest Maureen – powiedziała pani Kipfer, kiedy jedna z dwóch lepszych, siedzących z marynarzami, wstała i wyszła im na spotkanie. Była szczupłą blondynką o ostrym nosie, a poprzez cienki materiał jej długiej niebieskiej sukni prześwitywał trójzącik włosów.

– Prew jest tu pierwszy raz – wyjaśniła jej pani Kipfer. – Może go oprowadzisz, dobrze, kochanie?

– Jasne, kochanie – odrzekła blondynka szorstko i ironicznie, po czym objęła Prewa za szyję. – Chodź, dziubdziuś. Się masz, Stark, stary drabie! – zawołała i wyciągnęła rękę ku

niemu. – Masz dla mnie prezencik?

– Uważaj – wyszczerzył zęby Stark uchylając się. – Bo nie będę miał. Pani Kipfer uśmiechnęła się słodko.

– Maureen to nasza mała wiercipięta; prawda, że jesteś, złotko?

– W ten sposób zarabiam na życie, złotko – odrzekła ze słodyczą Maureen. – Wiercę się. To przyznaję.

Pani Kipfer, ciągle z tym słodkim uśmiechem, zwróciła się znowu do Prewa:

– Tylko aby nie myśl, że cię popędzamy, Prew. Bardzo prosimy, żebyś się tu rozejrzał, ile tylko chcesz. Naszym życzeniem jest, żebyś był zadowolony ze swojej towarzyszki. Dziś wcale nie ma u nas tłoku i czasu jest aż nadto, nieprawdaż, Maureen, moje kochanie?

– Jasne, kochanie – odrzekła Maureen. – Czasu jest, ile chcieć. Romantyczna to ja nie jestem – powiedziała wprost do Prewa – ale jeżeli chcesz sobie dobrze posunąć, to licz na mnie, dziubdziusiu. Zapytaj Starka, on mnie posuwał. Dobrze to robię, Stark? – zapytała. – Czy nie?

Pani Kipfer odwróciła się na pięcie i wyszła do korytarza.

– Dobrze – odpowiedział Stark. – Ale mechanicznie.

– Niech cię cholera – roześmiała się Maureen triumfalnie. Uradowana złapała Starka za ramię i pociągnęła do szafy grającej. – Za to musisz mi coś zagrać.

W tej chwili wróciła pani Kipfer i podeszła do stojącego w drzwiach Prewa.

– Mamy teraz takie kłopoty z dobrym personelem – powiedziała tonem usprawiedliwienia. – Ten pokojowy *zaciąg* w kraju okropnie nam pomieszał szyki. Nie masz pojęcia jak bardzo. Jestem zupełnie bezradna, na łasce tego, co agencja raczy mi przysłać.

– Jasne – powiedział Prew. – To widać.

– Czy ona cię nawet nikomu nie przedstawiła? – ciągnęła pani Kipfer szybko, bez tchu. – Nie zaznajomiła cię z nikim?

– Nie – odrzekł Prew. – Z nikim w ogóle.

– Ojej – westchnęła pani Kipfer. – Ojej, jej. No, ale mniejsza z tym. Zaraz dopilnuję, żeby się tobą zaopiekowano. Proszę cię, żebyś nie miał żalu.

– Dobrze – rzekł Prew. – Nie będę.

– Lorene – zawołała pani Kipfer. – Zajęta jesteś, kochanie? Mogłabyś przyjść tu na chwilę? Bo chciałam, żebyś poznał właśnie Lorene – powiedziała do niego. – To naprawdę bardzo miła dziewczyna, ogromnie miła. Tak to sobie uplanowałam – dodała wyjaśniająco.

– Aha – rzekł Prew. – Doskonale.

Nie słucha! tego, co mówiła dalej, wpatrywał się w drobną brunetkę, tę, która siedziała tak godnie i spokojnie na osobności, a teraz wstała i szła ku nim z pogodną miną. Dosłyszał

jeszcze coś, że „prawie jak córka” i że „nie ma w sobie ani odrobiny złości”, ale właściwie nie słuchał. Już przedtem złapał się na tym, że jej się przygląda, a teraz przyglądał się jeszcze bardziej, choć starał się nie wybałuszać na nią oczu. Kiedy szła, widział płaski trójkącik włosów pod cienkością sukni, ale z nią nie było tak jak z Maureen, która kompletnie nie zwracała uwagi na te rzeczy. Ta dziewczyna była tego świadoma, świadoma obecności Prewa, lecz całkowicie wyższa ponad to. Uprzytomniała to sobie i jednocześnie ignorowała zupełnie.

„Musi mieć dwadzieścia trzy albo cztery lata” – myślał zauważywszy jednocześnie, że idzie bardzo wyprostowana, że włosy ma ułożone w półokrągły wałek nisko na szyi, oczy bardzo duże i że patrzy na niego spokojnie i pogodnie. Zatrzymała się przy nich, uśmiechnęła do Prewa, a wtedy dostrzegł, że usta w tej szczupłej, dziecinnej twarzy są bardzo szerokie, wargi zaś bardzo pełne, zwłaszcza w kącikach. „Ma piękną twarz” – pomyślał.

Pani Kipfer dokonała oficjalnej prezentacji, po czym spytała dziewczynę, czy zajmie się Prewem, ponieważ jest tu po raz pierwszy, i czy go oprowadzi po lokalu.

– Oczywiście – odrzekła Lorene, a on zauważył, jaki ma przyjemny niski, zrównoważony głos. Ten głos pasował do niej całej. – Może usiądziemy na chwilę? – uśmiechnęła się.

„Naprawdę ma piękną twarz – pomyślał znowu, kiedy siadali – twarz tragiczną, twarz, która cierpiała i której nikt nie spodziewałby się znaleźć w tym miejscu. Kurwy nie pięknieją od cierpienia, tylko brzydną. Ale to dlatego, że nie rozumieją cierpienia. A ona rozumie. Taki zrównoważony spokój, ten zrównoważony spokój, którego zawsze szukałem dla siebie, a nie znalazłem nigdy, wynika tylko z wielkiej mądrości, z mądrości polegającej na zrozumieniu cierpienia, mądrości, której nigdy nie umiałem nabrać, której potrzebuję, której potrzebują bodajże wszyscy ludzie i której nikt nie spodziewałby się znaleźć w domu publicznym. Na tym to pewnie polega – myślał – że po prostu jestem zaskoczony, widząc tragicznie piękną twarz w burdelu. To chyba tłumaczy wszystko – powiedział do siebie. – To i fakt, że jestem pijany.”

– Pani Kipfer mówi, że jesteś nowy z kompanii Maylona – powiedziała tym niskim, równym głosem, głosem głębokiej mądrości. – Czy przyjechałeś niedawno na Wyspy? Czy też przeniosłeś się z innej jednostki?

– Z innej jednostki – odrzekł usiłując pozbyć się tego dławienia w gardle i bezskutecznie łamiąc sobie głowę nad znalezieniem bodaj jednej myśli, która nie byłaby za głupia dla tej mądrości.

Lorene czekała, spokojnie go obserwując szeroko otwartymi oczami.

– Jestem w Wahoo już prawie od dwóch lat – powiedział.

– A jednak jeszcze tu nigdy nie byłeś – odrzekła. – To dziwne. No nie?

– Aha – powiedział. Rzeczywiście to było dziwne, jak się nad tym zastanowić. – A bo człowiek jakoś się przyzwyczaja chodzić do tych samych lokali, gdzie już był – dodał usiłując jej wytłumaczyć i czując się przez to głupio. – Widziałem wasz szyld masę razy, ale nie znałem nikogo, kto by tu chodził. To znaczy dopóki się nie dostałem do kompanii G.

– Ja tu już jestem od roku – rzekła.

– Tak? Chyba ci się tu nie bardzo podoba?

– O – odparła. – Podobać to nie, ale mogę wytrzymać. Zresztą nie mam zamiaru tu zostać. Nie będę tu całe życie.

– Nie. Pewnie, że nie. No bo i po co? Nie ma powodu, żebyś tu była w ogóle.

– O, powód jest. Dobry powód. Ale czy ja cię nie nudzę? – spytała.

– Pewno każda dziewczynka opowiada ci tę samą historię.

– Chyba tak – odrzekł. – Jak o tym wspomniałaś, to widzę, że właściwie tak. Ale z innymi nie zwraca się na to uwagi. Zawsze wiadomo, że u nich to nie jest poważne.

– Ja sobie wszystko obmyślałam. Jestem tutaj już rok, a jak się skończą dwa lata, będę gotowa do wyjazdu. Uplanowałam to sobie, zanim tu przyjechałam.

– Co sobie uplanowałaś? – zapytał Prew widząc Starka i Maureen, którzy szli ku nim od szafy grającej.

– Ile czasu mam zamiar zostać – odpowiedziała Lorene i zamilkła.

– Aha – rzekł Prew. – Rozumiem. – Miał nadzieję, że Stark i Maureen przejdą dalej, ale się zatrzymali.

– No, niech mnie licho – rzekł Stark. – Patrz, kto tu siedzi. Się masz, Księżniczko. Myślałem, żeś już się wycofała z interesu.

– Hello, Maylon – powiedziała pogodnie Lorene, a Prewowi wydawało się, że patrząc na Starka swoimi dużymi oczami widzi go całego na wskroś.

– Zaczynasz od samej góry, chłopaku – rzekł do niego Stark. – Jakeś to zrobił, żeby poznać Księżniczkę? Tak z przyrzutu?

– Przez panią Kipfer – odrzekł Prew czując się niespodziewanie wojowniczo. – A bo co?

– Żartujesz – powiedział Stark. – Przez panią Kipfer? Ona cię przedstawiła? Już?

– Jasne – rzekł Prew. – Czemu nie?

– Psiakrew, chłopie, ale masz szczęście! Mnie trzeba było trzech wypraw tutaj, żeby w ogóle zostać jej przedstawionym. A potem jeszcze dwóch, żeby się ze mną położyła. I nawet wtedy jeszcze była oporna. No nie, Księżniczko? – uśmiechnął się.

– Kładę się z każdym, kto chce tego, co mam – odrzekła Lorene pogodnie.

Stark popatrzał na nią w zamyśleniu.

– Cholera – powiedział. – No czy ona nie księżniczka? W każdym calu księżniczka, co? W każdym calu.

Maureen zaśmiała się chrapliwie, a Stark wyszczerzył do niej zęby i mrugnął.

Prew spojrział na Lorene i nagle uświadomił sobie, że istotnie wygląda jak księżniczka, jak spokojna, godna księżniczka, której nic nie może wytrącić z równowagi, daleka od życia i mężczyzn. „Szczególnie od mężczyzn” – pomyślał, i poczuł, że znowu coś ścisną go w gardle.

– No bo tak, nie? – mówił Stark. – Pytam się ciebie. Prawda? Księżniczka Lorene, Dziewica z Waikiki. Chyba pójdę na tak zwaną stronę – powiedział raptem. – Czy ustęp jest tam gdzie dawniej?

– Nigdy tu nic nie zmieniamy – odrzekła chrapliwie Maureen. Złapała Prewa za rękę i pociągnęła go z krzesła. – Chodź, dziubdziuś. Przedstawię ci koleżanki.

Lorene, spokojna jak zawsze, nie sprzeciwiła się temu, a Maureen pociągnęła Prewa na drugi koniec pokoju, posadziła go na krześle i siadła mu ciężko na kolanach.

– Ta tutaj to jest Billy – powiedziała wskazując głową niską, smagłą dziewczynę o żydowskim nosie i rozgorączkowanych oczach, która stała z żołnierzem przy szafie grającej, kiedy Prew wchodził, a teraz siedziała mu na kolanach.

Maureen obróciła się znów do Prewa.

– Stark mówi, że wy, złociutcy, zostajecie dziś na całą noc. Masz flachę, dziubdziusiu?

– Nie – odrzekł Prew wciąż patrząc przez pokój na Lorene. – Nie mam. Zdawało mi się zresztą, że tu nie wolno.

– A nie wolno. Nigdzie. Ale na ogół pozwalają przeschmuglować szkło takiemu, co przychodzi na całą noc. Tutaj ta nasza stara wydra nawet takim zabrania. Ale można by przemycić z jedną butelczynę, póki ona jest na korytarzu. To znaczy, gdybyśmy ją mieli.

– Nie bardzo lubisz panią Kipfer, co?

– Lubić? – odparła Maureen. – Ja ją kocham. Boki z niej zrywam. Gdyby nie ona, nie miałabym z czego się śmiać. Ona i te jej zakichane wielkopańskie maniery; zgrywa się, jakby była samą panią Zasaraną Astor.

– Jakim sposobem dostała się do tej branży?

– Tak samo jak one wszystkie. Zaczęła od dołu i dopracowała się brygadzystki.

– Bardzo dobrze wygląda jak na to.

– I tyle z niej pożytku – roześmiała się Maureen. – Z równym powodzeniem mógłbyś próbować przyrznać królową angielską. Słuchaj, dziubdziuś – dodała. – Wyglądasz na artystę.

Stark mówi, że jesteś trębacz. Zrób coś dla mnie. Wyobraź sobie, że twoja rodzona matka prowadzi burdel, w którym pracujesz. Możesz to zrobić?

– Nie – odrzekł Prew. – Nie mogę.

– No, to rozumiesz, o co mi idzie – powiedziała Maureen. – Jak mówię, że się śmieję. – Ziewnęła mu prawie prosto w twarz i przeciągnęła chude ramiona. – No, zaraz; jak tam nasza prezentacja? To jest Sandra – rzekła wskazując drugą dziewczynę, która siedziała z dwoma marynarzami, gdy przyszedł, a teraz była z nimi nadal – wysoką brunetkę marszczącą zadarty nos, kiedy się śmiała wesoło, i potrząsającą kaskadą długich włosów za każdym wybuchem śmiechu, to znaczy bardzo często.

– Jest dumna z tych swoich długich włosów – zadrwiła Maureen już niemal obojętnie, siłą przyzwyczajenia. – Gada, że skończyła jakiś koedukacyjny college na Środkowym Zachodzie. Teraz pisze powieść o swoim życiu prostytutki.

– Tak? – uśmiechnął się Prew.

– A jakże – odparła Maureen. A tamte trzy – wskazała te tłuste, żujące gumę – to Moe, Larry i Curly.

Prew roześmiał się głośno.

– Ty to też jesteś typ – powiedział. Maureen przyjrzała mu się kąpiąco.

– Po dniu wypłaty kupię im warcaby, jeżeli obiecują, że przestaną żuć tę gumę. W drugiej poczekalni są jeszcze cztery albo pięć innych, jeżeli masz ochotę je poznać. Ale wcale bym się nie dziwiła, gdyby już wszystkie spały.

– Nie trzeba im przeszkadzać.

– Ach, bardzo ci dziękuję, kochanie – powiedziała Maureen. – To strasznie miło z twojej strony, kochanie.

– Nie ma za co.

– No – rzekła. – Widzisz coś dla siebie czy nie? Bo ja nie mam całej nocy wolnej.

– Wszystkie mi się podobają. Szczególnie Moe, Larry i Curly – powiedział znów patrząc na Lorene.

– Ładna ta nasza Księżniczka, co? – powiedziała Maureen.

– Owszem – odparł. – Niczego sobie.

– To znaczy, że ci się nada – rzekła Maureen. – Że odpowiadałaby ci w razie czego.

– Właśnie – powiedział Prew. Maureen nagle wstała i wygładziła suknię.

– Zdaje się, że będę musiała cię przeprosić, kochasiu – wycedziła.

– Widzę jasno, że nie na wiele ci się przydam. Widocznie brak mi tej dziewiczości, tak korzystnej u dobrej kurwy.

– Coś mi się zdaje, że nikt jej tutaj nie lubi – rzekł Prew. – Dlaczego tak jest?

– Możesz to nazwać zazdrością zawodową – odparła Maureen.

– Z braku lepszego słowa. No – dodała – chociaż bardzo mi przykro uciekać, ale niestety będę musiała cię opuścić. Wprawdzie cudownie się czuję w twoim towarzystwie, ale robota czeka. Minerwa otwiera komuś drzwi, a jak mówi mama Kipfer, praca musi mieć pierwszeństwo przed przyjemnością.

– Ano, nie będę cię odciągał od obowiązków – rzekł Prew. Uśmiechnął się blado, bo to wszystko razem przestało być zabawne, ale zarazem szeroko, bo ta dziewczyna wydała mu się miła i nie chciał jej urazić bardziej, niż to było konieczne, ażeby jej się pozbyć.

W odpowiedzi błysnęła mu uśmiechem, w którym było pełne zrozumienie, i odeszła kołysząc płaskimi biodrami, stąpając przez pokój na szpilkowych obcasach niczym mały chłopiec na szczydłach, przygarbiona, z podniesionymi szczupłymi ramionami rozhuśtanymi przesadnie – a Prew patrząc za nią czuł ogromny smutek zrodzony przez coś, co było tak nieuchronne jak capstryk grany na trąbce. Ale gdzieś głębiej doznał jeszcze bardziej natarczywego i zrozumiałego dławienia w gardle, kiedy spojrzał na Lorene, która nadal siedziała na osobności, czekając spokojnie. Krew zaczęła pulsować mu w oczach, bo teraz mógł już do niej wrócić.

Lecz kiedy wstawał z krzesła, usłyszał zza ramion i pleców stojącej w progu Maureen głuchy odgłos zamykanych wielkich drzwi wejściowych i sztaby opuszczanej w uchwyt, a potem nagle donośny brookliński akcent szeregowca Angela Maggia w całej swej tryumfalnej chwale.

– No, kto by powiedział! – rozbrzmiewał ów głos wysokim, cienkim dyszkantem, który był mu właściwy. – Patrzajcie, kto tu jest! Przecież to mój stary druż, rodak, towarzyszy broni i podoficer kasynowy pan sierżant Stark. Gdzie to się ludzie nie spotykają! Założę się, że pan sierżant nigdy nie myślał, że zobaczy tu dzisiaj starego Angela, jak Boga kocham – ciągnął głos tryumfalnie. – A gdzie ten mój chłopak, Prewitt?

– Skąd, psiakrew, wzięłeś pieniądze na przyjazd do miasta? – zapytał głos Starka.

– A! – zachichotał głos Maggia. – To frajer. Prosta rzecz. Wszystko dla przyjaciela, wszystko dla przyjaciela.

Obaj ukazali się w drzwiach, obejmując się po pijacku za szyję, i wyminęli Maureen. Maggio uszczypnął ją z zachwytem w pośladek i zawołał: „Jak się masz, moja ukochana!” a Maureen roześmiała się, uszczypnęła go w ucho i powiedziała: „Angelo, mój Romeo!” Maggio oswobodził swą rękę i zgiął się w ukłonie, a Prew spostrzegł panią Kipfer uśmiechającą się promiennie do Angela. Stark wyprostował go i ruszyli dalej; Angelo machał radośnie ręką do każdego, kogo zobaczył – zwycięski bohater powracający do domu.

Przyciągnął za szyję Starka i Prewa i szepnął:

– Jestem zalany, przyjaciele. Od wpół do jedenastej żłopię koktajle szampanowe i jestem zalany. I szczęśliwy. Tylko nie mówcie mamie Kipfer, bo mnie wyrzuci. I nie mówcie jej też o ćwiartce whisky, którą mam zatkniętą za pasek pod tą luźną hawajską koszuliną.

– Ale ja chciałbym wiedzieć – odezwał się Stark – skąd, do cholery, ta cała forsa?

– To proste – odrzekł Angelo. – Naprawdę głupstwo. Zupełne głupstwo. Tylko to długa historia. Mam opowiedzieć?

– No pewnie – odparł Prew. – Słuchamy.

– Naprawdę opowiedzieć? No, dobra, jeżeli się upieracie. Ale to długa historia. Na pewno chcecie posłuchać? Okej, jeżeli jesteście pewni. Opowiem. Ale najpierw chodźmy do ustępu.

– Dopiero co byłem – rzekł Stark. Maggio klepnął się po brzuchu.

– Tak, aleś nie znalazł tam tego, co ja znajdę.

– Sprawa jest jasna – rzekł Stark i wszyscy trzej ruszyli trzymając się pod rękę do ziejącego amoniakiem ustępu, smrodliwego od opróżniania pęcherzy tysiąca mężczyzn, a kiedy Stark odpieczętował butelkę i wszyscy się napili, Maggio opowiedział im swoją tryumfalną historię.

– Jakeście, chłopaki, wyjechali do miasta, zacząłem się zastanawiać, dlaczego, do cholery, mam siedzieć w domu. Więc zadzwoniłem do Hala, tego mojego pedryla (pamiętacie, tego, którego poznałem tamtej nocy, kiedy się sflukałem w pokera), i kazałem mu, draniowi, podjechać po mnie do Wahaiawy.

Opierał się, alem go zaszantażował o tym – powiedział podnosząc sztywno trzeci palec. – Tylko że zrobiłem to grzecznie. On jest intelektualista i bardzo wrażliwy. Powiedziałem mu, że jestem w opałach, a jeżeli nie umie dopomóc przyjaciołom w opałach, to nie jest wart, żeby mieć przyjaciół. Od razu się pokapował.

No i zawiózł mnie do miasta i postawił mi ogromny befsztyk z frytkami u Lau Yee Chaia, słyszycie dobrze? U Lau Yee Chaia. Żadnych spelunek. Dla Maggia musi być coś najlepszego. Po żarciu poszliśmy do pocziwej

„Tawerny Waikiki”, gdzie przesiadują wszystkie chłoptasie, i tam popiliśmy sobie koktajle szampanowe.

Opowiedziałem Halowi, że pożyczyłem dwadzieścia dolarów od jednego lichwiarza z naszej kompanii i że muszę to mieć zaraz, żeby mu oddać, bo grozi, że mnie wrobi, a wtedy pójdę do Obozu jak dwa a dwa cztery i Hal nie zobaczy swojego chłopaczka przez następne sześć miesięcy.

Wyjął z kieszeni zwitek banknotów jednodolarowych i potrząsnął nim radośnie.

– No i już, kochani. Hal w końcu pożyczył dwadzieścia. Chciał mi je d a ć, ale ja nie

frajer. Za nic nie chciałem wziąć, jeżeliby to miała nie być pożyczka. Wiem, jak z nim postępować. Gdyby kiedyś doszedł do wniosku, że chcę go wykiwać, nie wydusiłbym już z niego ani dziesiątaka. No i teraz jestem mu winien trzydzieści dolarów – wyszczerzył zęby tryumfalnie. – Ale wolę być mu winien do końca życia, niż go obłuskać z tej forsy.

Stark zachichotał i podał mu butelkę.

– I powiedziałaś mu, że pójdziesz do Obozu, jeżeli nie spłacisz tego lichwiarza? Co za heca, no, no! A ten Hal nie wie, że pożyczanie na procent jest zakazane przez regulamin wojskowy? I że ten, kto daje taką pożyczkę, nie może jej legalnie odebrać?

– Co on wie o wojsku! – wyszczerzył zęby Maggio. – Chce udawać, że wie, ale gdzie tam! Za to zna się na marynarce. Tylko go zapytajcie, skąd się tak zna na marynarce, nic więcej – roześmiał się.

Zakorkował butelkę i zatknął ją z powrotem za pasek pod luźno zwisającą koszulą.

– Ojej, już prawie druga – powiedział. – Chodźmy wybrać sobie towar, bo nas wyprzedzą ci marynarze.

– Ja już sobie wybrałem – powiedział nagle Stark osowiale, nie patrząc na nich.

– Tak? – rzekł Maggio. – Ano, ta wielka, tęga, wysoka, długa Sandra będzie dla mnie. Chyba żeś ty ją wybrał. Kogo wybrałeś? – zapytał niespokojnie Starka.

– Billy – odrzekł Stark ponuro, wciąż na nich nie patrząc. – Tę Żydóweczkę. Już jej pytałem i wszystko gra.

– Ho, ho – powiedział Maggio. – Tę małą z oczami jak węgle?

– No! – odparł Stark gniewnie. – Pewnie, że tę. A bo co? Nie podoba się?

– Wcale nie – uśmiechnął się Maggio. – Sam kiedyś chcę jej spróbować.

– To w porządku – odburknął Stark. – Ty bierzesz swoją, a ja swoją. Co ci do tego, którą wybieram?

– Nic a nic – odrzekł Maggio. – Jeżeli tylko dostanę tę dużą Sandrę. Mnie obojętne która, byleby była wysoka i tęga.

– Okej – powiedział Stark. – Twoja sprawa. A jak mnie się podoba Billy, to jest moja sprawa, nie? Tobie podoba się Sandra, a mnie akurat Billy. No to co?

– Nic – odparł Maggio. – Ja tylko pytałem...

– Więc przestań pytać – rzekł Stark. – Nie twoja rzecz, psiakrew. Mnie się podoba Billy, i koniec.

– Maureen jest wolna – powiedział Prew.

– Cholera z nią – odparł Stark. – Wiem, czego mi potrzeba. Mam chęć na Billy. Chcesz się kłócić?

– Dobra, dobra – rzekł Maggio. – Przestań się wściekać. Przecież ją masz, nie?

Człowieku, jak mnie się ta Sandra podoba! Taka duża i nabita w sobie! O rany, o rany, o rany! A ty już swoją wybrałeś? – zapytał Prewa.

– Aha – odrzekł Prew. – Już swoją wybrałem. Stark parsknął:

– Wybrał sobie tę cholerną Księżniczkę.

– Żartujesz – rzekł Maggio. – Poważnie?

– Nie żartuję – odparł kwaśno Stark. – Poważnie. Księżniczkę Lorene, Dziewicę z Waikiki – zadrwił.

– To snobka – zaprotestował Maggio.

– Dobrze, więc co z tego? – rzekł Prew. – Ja wam nie mówię, co macie wybrać. Wy mnie też nie ucicie.

– Wcale ci nie mówię, co wybrać – odparł Stark. – Możesz sobie wziąć nawet Minerwę, jeżeli masz ochotę, mnie to nisko wisi. Wszystko mi jedno, co wybierzesz.

– Teraz musimy się upewnić – rzekł Maggio – że dostaniemy trzy pokoje jeden obok drugiego, żebyśmy mogli wszyscy popijać tę whisky. Nie zapomnijcie o tym – dodał. – Pytałeś się już tej swojej? – zwrócił się do Prewa.

– Nie – odparł Prew niechętnie. – Jeszcze nie.

– To lepiej zamów ją prędko, człowieku – powiedział Angelo. – Jeżeli ją chcesz. Wygląda mi na to, że ci marynarze także zostają na całą noc.

– Tyś też jeszcze nie pytał Sandry, prawda? – odparł Prew.

– Cholera jasna! – zawołał Maggio. – Całkiem zapomniałem! Wracajmy tam. Ale już.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wrócili z ustępu długim korytarzem, mijając liczne drzwi małych pokoików sypialnych i kilka krótkich bocznych korytarzy, przy których były tylko drzwi do sypialni, skręcili pod prostym kątem w lewo, minęli dalsze drzwi sypialni i wreszcie dotarli do poczekalni.

– Duży lokal – powiedział Maggio.

– Bo musi obsłużyć duży interes – odparł Stark. Prew nic nie powiedział.

Odnalazł Lorene siedzącą wciąż w tym samym miejscu, nadal tak samo spokojną i opanowaną, i uczył pewną ulgę. Ale teraz siedział przy niej jakiś nowy żołnierz, którego przedtem nie widział, i rozmawiał z nią terkocząc bez przerwy, a ona słuchała spokojnie, ale uważnie. Prew zatrzymał się niezdecydowany w progu i przepuścił przed sobą obu swych towarzyszy, bo znowu doznał tego ścisnięcia gardła, które go prawie dławiło, a na dodatek nowego uczucia osłabienia i bezwładu w udach.

Wiedział, że powinien natychmiast ją zamówić, nim będzie za późno. Ale nagle zmartwił się bardzo, w obawie, że już za długo z tym czekał. I raptem wydało mu się rzeczą największej wagi, żeby dostać tę, a nie inną. Stało się to tak ważne, że bał się poprosić, stał nieporadnie i nie wiedział, od czego zacząć.

„Rany boskie – wściekał się na siebie. – Co ci się stało? Przecież to zwykła kurwa, w najlepszym razie niezwykła kurwa, więc czemu się peszysz? Czy to ważne, że tej się nie podobasz? Weź Maureen, jej się spodobałeś. Sęk w tym, że już tak dawno tego nie miałeś, że jesteś jak durne ciele w obliczu pierwszej lepszej małej cwaniaczki, jaka się nadarzy. Na tym to polega, więc na miłość boską, przestań się wygłupiać. Idź zamówić Maureen.”

– Zajęta jesteś, Lorene? – zapytał nieporadnie.

Jego głos sprawił, że gadatliwy żołnierz zamilkł, podniósł głowę i uśmiechnął się.

„Przynajmniej coś jednak może go uciszyć” – pomyślał Prew.

– Nie, Prew – uśmiechnęła się pogodnie Lorene. – My tylko rozmawiamy.

Wstała. Uśmiechnęła się do gadatliwego żołnierza i Prew pomyślał, że w życiu nie widział takiego zadowolonego z siebie pyskacza.

– Ale mnie idzie o całą noc – powiedział chrapliwie. – Czy jesteś wolna na całą noc?

– Chcesz zostać całą noc? – spytała Lorene. – Myślałam, że pytasz, czy nie jestem zajęta w tej chwili.

– Nie, na całą noc – powiedział krótko. – Zajęta jesteś?

– Jeszcze nie, Prew.

– No to już jesteście – powiedział patrząc na gadatliwego żołnierza.

– Załatwione – uśmiechnęła się Lorene. – Ale mamy jeszcze dwadzieścia minut. Nie musisz się spieszyć. Usiądź i odpocznij chwilę.

Klepnęła wolne krzesło stojące obok niej z drugiej strony i z miną pogodnej, uspokajającej mamusi uśmiechnęła się do niego swymi pełnymi wargami osadzonymi w chudej twarzy dziecka.

– Rozmawialiśmy o nartach wodnych – wyjaśniła, kiedy Prew opadł na krzesło. – Bili stacjonuje w De Russey i jest w tym bardzo biegły. Opisuje to szalenie emocjonująco.

Gadatliwy żołnierz przestał szczyrzyć zęby. Uśmiechnął się krótko.

– A wy się znacie na nartach wodnych? – zapytał Prewa nachylając się przez Lorene.

– Nie – odparł Prew, też nachylony. – Ni cholery.

– Ano – powiedział gadatliwy żołnierz uśmiechając się do Lorene. – Wy, z Schofield, stacjonujecie w głębi łądu, więc pewnie nie macie do tego wiele okazji.

– Nie – odrzekł Prew. – Ale za to mamy góry. A wy się znacie na wspinaczce?

– Troszeczkę – odpowiedział gadatliwy żołnierz, znów uśmiechając się do Lorene. – To wy jesteście amator górskiej wspinaczki?

– Nie – odparł Prew. – Nic się na tym nie znam. A potraficie pilotować samolot?

Gadatliwy żołnierz uśmiechnął się krótko.

– Wziąłem kilka lekcji – powiedział. – W John Rodgers.

– No, a ja nie umiem także i latać – rzekł Prew. – A macie jakieś pojęcie o nurkowaniu na pełnym morzu?

Lorene, która siedziała twarzą do gadatliwego żołnierza, obróciła się wprost do Prewa i spokojnie patrząc na niego zmarszczyła brwi. Gadatliwy żołnierz tym razem też spojrział nań ostro, a potem uśmiechnął się krótko.

– Nie – powiedział. – Nigdy tego nie robiłem. Czy to przyjemne? Odchylił się w krześle i powrócił do swej rozmowy z Lorene, która słuchała go z tą samą spokojną uwagą.

Prew oparł się wygodnie, oddając mu głos bez zastrzeżeń, i odgryzał małą zadrę z paznokcia na dużym palcu, czekając, by tamten się wyczerpał. Jednakże żołnierz nie wyczerpywał się bynajmniej i raz zabrawszy głos nie ustawał i gadał jak wodociąg nie zdradzając żadnych oznak wyczerpania.

– Hej – powiedział w końcu Prew nachylając się znowu przez Lorene.

– Dlaczego jej nie weźmiecie do łóżka? Nie po to tu przyszliście? A możecie przyszli, żeby jej wręczyć honorowe członkostwo jachtklubu?

Gadatliwy żołnierz przestał mówić i uśmiechnął się smutnie do Lorene.

– No, no – powiedział do niej. – Piechociarz, a mimo to dowcipniś.

– Przynajmniej nie jestem żadnym cholernym artylerzystą nadbrzeżnym, który *jeździ* na nartach wodnych – odparł Prew. – Będziecie ją różnieli czy nie?

Lorene obróciła się sztywno i wytrzeszczyła na niego oczy, tym razem już nie surowo, ale ze zgrozą, jak gdyby w tej chwili wylażł z jakiejś nory w błocie. Prew uśmiechnął się do niej.

– No? Będziecie? – zapytał żołnierza.

– Czy ty chciałeś iść ze mną do pokoju, Billu? – spytała Lorene.

– Jeżeli tak, to jest jeszcze masę czasu, kochanie.

– Ano tak – odrzekł Bill. – Chyba. Może tak będzie lepiej, nie? Tutaj coś mocno śmierdzi, prawda?

– Aha – powiedział Prew. – Też to zauważyłem. Ty sukinsynu.

– Słuchaj no, ty... – zaczął Bill.

– No, więc idziemy? – przerwała mu Lorene. – Nie widzę sensu w dalszym siedzeniu tutaj. Chodź, Billu – powiedziała ujmując go za rękę z dziewiczą skromnością. – Im prędzej pójdziemy, tym więcej będziemy mieli czasu dla siebie.

– Dobra – powiedział Bill. Dał jej się wyprowadzić z pokoju. W drzwiach przystanąła na chwilę, by rzucić Prewowi bardzo karcące spojrzenie i pozwolić mu dojrzeć swój drżąco nieśmiały uśmiech, przeznaczony dla Billa.

Prew uśmiechnął się do niej.

– A nie zapomnij pokazać jej zdjęcia swoich nowych nart wodnych, Billu! – zawołał za nimi.

Potem, kiedy już wyszli, uśmiech zgasł na jego twarzy. Oparł się w krzesło. Zesunął się na nim tak, że w końcu siedział na krzyżu, a brodę miał opartą na piersi. Prewitt, Wielki Spec od Zabawy. Który potępia wszystkich innych biednych, nieszczęsnych niedołęgów takich jak on, co są do tego stopnia spragnieni rozmowy z kobietą, że chętnie przychodzą do burdeli i płacą za to trzy dolary.

Na drugim końcu pokoju Maggio i wysoka, długonoga Sandra żegnali się czule z dwoma markotnymi marynarzami. Czy ci dwaj chcieli pozyskać sobie zainteresowanie kurwy? Na pewno nie – i dlatego są tacy markotni, razem z kupą innych w sąsiednim pokoju.

Mała Billy siedziała na kolanach Starka i mówiła mu coś gorączkowo do ucha. Czy Stark chciał zyskać sobie podziw małej, płomiennookiej kurewki? Jasne, że nie, i dlatego uśmiechał się z takim zadowoleniem. Można zdechnąć, doprawdy. Zabójczy Prewitt, cudowne dziecko.

Gdy tylko marynarze wyszli do drugiej poczekalni, Maggio usiadł z głębokim westchnieniem i przyciągnął sobie Sandrę na kolana, co sprawiło, że całkowicie zniknął z

oczu pozostałym.

– Halo – powiedział zduszonym głosem. – Zdaje się, że tak nie da rady. Może ja bym usiadł tobie na kolanach? Tak dla odmiany?

– Ano, to byłoby coś nowego – powiedziała Sandra.

Wstała śmiejąc się, marszcząc zadarty nos i potrząsając czarną kaskadą lśniących włosów, i zamienili się miejscami, przy czym Maggio wyglądał jak poganiacz siedzący na swej ulubionej słonicy albo jak małpa w cyrku usadowiona wysoko na szerokopierśnym kucu szetlandzkim.

Mała Billy wstała nagle z kolan Starka, jak gdyby zbudzona z hipnotycznego snu. Przeciągnęła gorączkowo swe drobne, lubieżne ciało, a małe sterczące piersi, których pozazdrościłaby jej niejedna cnotliwa kobieta uznając je za niedopuszczalne nadużycie zawodowe, uwypukliły się jeszcze bardziej, z ciemnymi sutkami, prześwitującymi przez cienki materiał nieomal tuż przy twarzy Starka.

– No i jak, Maylon? – szepnęła ochryple. – Teraz nie będzie już żadnych maruderów, a jakby nawet, to i tak jest już prawie druga, za późno, żeby ich wzięła taka całonocna jak ja. – Wygięła ku niemu plecy chciwie i dumnie. – Może się wybierzemy w podróż naokoło świata, koteczku? – spytała aksamitnie. – Na początek?

– To jest pięć dolarów, prawda?

– Tak. Pięć ekstra. Ale warto, Maylon, naprawdę warto. Stark westchnął głęboko.

– Okej – powiedział. – Transakcja załatwiona. – Oczy miał mocno nabiegłe krwią i głębokie.

– Idziecie? – zapytała Billy Maggie i Sandry. – Bo wy macie tę butelkę.

– Tsss! – szepnął Maggio.

– A, tam – splunęła Billy. – Cholera z tą starą wydrą.

– Idziemy – uśmiechnęła się do niej Sandra. – Idziemy, dziecinko. Billy zaśmiała się gorączkowo.

– Nie wiem, jak ona to robi – powiedziała Sandra do Maggie. – Mnie by to wykończyło, tak jak każdą normalną kobietę.

Kiedy przechodzili obok Prewa, Sandra pochyliła się i rzekła:

– Jak Lorene wróci, powiedz jej, że idziemy przez hali na tyły, do tych pokoi przy korytarzu nad zewnętrznymi schodami. Ona już będzie wiedziała.

– Okej – odrzekł Prew obojętnie i popatrzał za nimi, gdy przechodzili przez hali i śmiejąc się znikali za zakrętem korytarza. „Co, u diabła – powiedział do siebie. – Jeszcze nie ma drugiej, Stark musi zapłacić dodatkowo pięć dolarów za tę »podróż«, Angelo nie dostanie rabatu za swoją butelkę, którą wypiją głównie te dwie kurwy. Więc, u licha, ty nie masz na co

się skarżyć!”

Kiedy wreszcie usłyszał na korytarzu niski, zrównoważony głos Lorene, wstał szybko. „Za szybko – pomyślał z gniewem. – Lepiej siadaj z powrotem, chcesz, aby sobie pomyślała, że się nie możesz doczekać?”

Ale nie usiadł na powrót. Lorene zęgnęła się przyjaźnie w korytarzu z narciarzem wodnym z Fortu De Russey. Wydało mu się, że robi to bardzo długo, dłużej niż trzeba, i że jest bardzo miła, zanadto, żeby to mogło być naturalne, i zastanowił się, czy nie chce w ten sposób osadzić go na miejscu. Ale nawet i w tym wypadku było mu to obojętne i nadal stał obok krzesła szukając w kieszeni papierosa; zapalił go w chwili, gdy Lorene weszła z uśmiechem. Doświadczył wielkiej ulgi widząc, że się uśmiecha.

– Zachowałeś się okropnie – napomniała go z uśmiechem.

– Wiem o tym – odrzekł. – Nie chciałem.

– Powinieneś się wstydzić.

– Wstydzę się.

– Ty masz przynajmniej pieniądze. A biedny Bill chciał zostać całą noc, ale pieniędzy nie miał. Z tego, jak się zachowywał, domyślałem się nawet, że to były jego ostatnie trzy dolary i teraz będzie musiał iść na piechotę aż do Waikiki.

– Biedny lebiega – odpowiedział. – Współczuję mu i przykro mi, że postąpiłem po drańsku. – Pomyślał o sobie samym, bez grosza przy duszy i pracującym w kuchni jeszcze dziś po południu. To popołudnie wydało mu się teraz dalekie, co najmniej ze trzydzieści stronic wstecz – coś, co zdarzyło się komuś innemu. Może temu biednemu Billowi.

– Zanim przyszedłeś – uśmiechnęła się smutnie Lorene – biedny Bili był taki zdesperowany, że prosił mnie, abym mu pożyczyła te piętnaście dolarów do dnia wypłaty. A ty tu siedzisz i tak mu przygadujesz.

– Byłem zazdrosny – powiedział.

– Zazdrosny? – uśmiechnęła się pogodnie. – O mnie? O pospolitą kurwę? Nie próbuj mi pochlebić. Mimo to powinieneś się wstydzić...

– Wstydzę się – odrzekł. – Już powiedziałem. Ale jednak jestem zazdrosny.

– Nie masz żadnego prawa.

– Wiem. Ale jestem. Sandra kazała ci powiedzieć, że idą na tyły, nad zewnętrzne schody. Mówiła, że będziesz wiedziała gdzie. Angelo przemycił butelkę i wszyscy chcemy z niej skorzystać.

Lorene popatrzyła na niego uważnie, oczy miała chłodne i bardzo spokojne.

– A, dobrze – powiedziała. – Wiem gdzie. Chodź.

– Czekaaj – rzekł Prew. – Jeszcze jesteś na mnie zła za tamtego?

– Nie – odparła. – Nie jestem.

– A mnie się zdaje, że tak. Musiałem cię zapytać. Bo jeżeli jeszcze jesteś zła, może lepiej, żebyśmy w ogóle dali spokój.

Znowu spojrzała na niego uważnie, potem się uśmiechnęła.

– Zabawny z ciebie typ. Nie, nie jestem zła. Byłam, ale mi przeszło.

– Nie chciałem, żebyś się na mnie gniewała. Musiałem cię zapytać. Trudno było mówić te rzeczy i nie czuć się głupio, trudno było powiedzieć je tak, by brzmiały wiarygodnie. Tylu zapewne mówiło je bez przekonania.

– Pochlebca – powiedziała Lorene kokieteryjnie. Pierwszy raz spostrzegł u niej kokieterię i to go zaskoczyło.

Wzięła go za rękę i rozkołysała ją wesoło, zalotnie, kiedy szli przez hali i skręcali do wiodącego na schody korytarza, przy którym były drzwi innych małych pokojów sypialnych. Sprowadziła go wesoło, speszonego tą nagłą jej wesołością, po wydeptanym chodniku, mrocznym, wąskim zejściem oświetlonym w połowie drogi jedną gołą żarówką pod sufitem, na drugie piętro od strony ulicy.

– Tej części używamy tylko w dniu wypłaty – powiedziała wesoło – kiedy jest wielki natłok. Poza tym jest przeznaczona wyłącznie dla całonocnych klientów, i to dla bardzo specjalnych. W nocy nikt tędy nie przechodzi, jest cicho, a za oknem ulica, na której czasem słychać autobusy. Tamte pokoje tego nie mają – dodała – i tu nie ma obawy, żeby ktoś się do nas wpakował, jak to się zdarza w tamtych.

– Czy ja jestem taki twój specjalny? – zapytał chrapliwie. Zatrzymała się pod drzwiami i roześmiała się do niego przez ramię.

– Ano – powiedziała kokieteryjnie. – Przecież tu jesteś, nie?

– Pewnie, że jestem. Ale to może dzięki Maylonowi i Angelowi, i tej butelce, którą chcieli ze mną podzielić – rzekł i jednocześnie zauważył, jak bardzo jest kobieca, kiedy zaczyna kokietować. – Billy i Sandra przyprowadziły tu ich, nie mnie.

– Czy to takie ważne? – spytała żartobliwie Lorene.

– Owszem, ważne – odparł z naciskiem. – Ważne, bo nas jest tylu; dla ciebie to tylko twarze. I was jest tyle, was, które dla nas nie jesteście nawet twarzami, tylko ciałami. Czy ty chcesz być tylko ciałem, którego się nie pamięta? Kiedy tu przychodzimy, a potem odchodzimy, chcemy przynajmniej wiedzieć, za nas zapamiętano. Możliwe, że wszyscy wydajemy się podobni, ale żaden z nas nie jest taki sam jak inni. Człowieka to zabija, że ciągle jest podobny do innych i nigdy nie zapamiętany. Od tego się wewnętrznie umiera.

Kiedy zamilkł, Lorene zaśmiała się niepewnie.

– Jeżeli to dla ciebie aż takie ważne – powiedziała z uśmiechem – to jesteś jednym z

moich specjalnych.

Prew potrząsnął głową. – To nie jest odpowiedź – odrzekł z uporem.

– Więc jakiej ty chcesz?

– Nie wiem – odparł apatycznie. – Zostawmy to. Czy to nasz pokój?

– Tak. Ale muszę poprosić cię o pieniądze – powiedziała nieporadnie.

– A, jasne – odrzekł. – Zapomniałem.

Wyjął portfel i dał jej piętnaście dolarów Starka. „Tym razem to nawet nie twoje piętnaście dolarów” – pomyślał.

Próbowała ukryć swoje zakłopotanie, które ją samą dziwiło, wyjmując z wysokiej szafy dwie tanie kołdry i rzucając je na łóżko.

– Proszę. Minerwa zaściela łóżka tylko na krótkie seanse. Ale nam będzie potrzeba kołder – powiedziała wesoło, lecz była to wesołość sztuczna, której nie można było oddzielić od jej zakłopotania, a granitowa twarz Prewa nie potrafiła w tej chwili zdobyć się na uśmiech, ta Wielka Kamienna Twarz, ktoś kiedyś napisał opowieść o Wielkiej Kamiennej Twarzy.

– W porządku – powiedziała.

– Jasne – odrzekł. – W porządku.

– Ja cię wcale nie piliłam. Myślałam, że nie wiedziałeś – rzekła obserwując z zaciekawieniem, że Prew bez żadnego skrępowania zdejmuje z siebie ubranie, który to moment był zawsze krępujący nawet dla najtwardszych. Natomiast on nie był skrępowany. I nie był twardy. Po prostu zdawało się, że jest nieobecny, i nagle poczuła jakieś wewnętrzne drgnienie.

„A potem – myślał – było tak, jak z wodą, która, powstrzymywana tamą, wytwarza ciśnienie, ciśnienie mocy, aż się przeleje przez każde najmniejsze ujście, jakie *zdoła znaleźć*, przez każdą najmniejszą szczelinę, i wali rozhukana z tą długo tamowaną, od dawna wzbierającą energią ciśnienia, co zatapia światy, księżycy, gwiazdy i słońca, by w słońcu przemienić się w śmieszny, mały strumyczek, który nie ruszy z miejsca nawet kamyka – i wtedy głupio się dziwisz, że taki cienki strumyczek mógł kiedykolwiek wytworzyć moc, i myślisz, że może to wszystko tylko ci się zwidziało, i że pod twymi powiekami wcale nie runął firmament rozkruszając się w to jedno jedyne słońce, tę nieśmiertelną Zasadę. To było właśnie tak” – pomyślał.

Leżeli obok siebie na łóżku, nie dotykając się nawzajem, pod dwiema osobnymi kołdrami, okno było szeroko otwarte, a za nim noc, i słyszeli dalekie, ciężkie stąpanie, może policjanta, i pisk tramwaju ruszającego do walki z czasem, i gdzieś jakiś autobus zasyczał na nich groźnie swymi pneumatycznymi hamulcami. Nie mówili do siebie, bo wiedząc, że jej to obojętne, czy będą rozmawiać, czy nie, wolał się nie odzywać i nie chciał nawet myśleć o

niczym poza tym jednym, co właśnie minęło, i patrzył przez szczelinę między zapuszczonymi żaluzjami na dachy po drugiej stronie ulicy, i zastanawiał się mgliście, czy Angelo jest w środkowym pokoju, i czy to on ma butelkę, czy Stark, i czy nie warto by wstać, włożyć spodnie i pójść jej poszukać, bo teraz, w tej chwili, ogromnie pragnął się napić.

Nie wiedział dokładnie, ile czasu minęło – może to trwało bardzo krótko, a może bardzo długo – nim zapukano lekko do drzwi, które następnie uchyliły się bez czekania i ukazała się w nich uśmiechnięta twarz Angela Maggia (poprzedzona nagą, odcieleśnioną ręką trzymającą w śmiertelnym uścisku szyjkę podłużnej brązowej butelki), i Prew zauważył, że Lorene dość niedorzecznie szarpnęła kołdrę zakrywając sobie piersi i otuliła nią skromnie ramiona.

– Nie słyszałem odgłosów bitwy – uśmiechnęła się twarz Angela – więc pomyślałem sobie, że już po wszystkim.

– Odpoczywamy – rzekł Prew.

– Przyniosłem wam coś do picia. Bo inaczej moja długonoga Sandra sama wydudlił wszystko do dna. Dobra dziewczyna – powiedział. – Świetna dziewczyna. Ale pije jak smok. Można wejść?

– Jasne, chodź – odrzekł Prew. – Bardzo mi było potrzebna coś łyknąć.

– Jesteś pewien, że wyglądzie przyzwoicie? Że się nie zgorszę?

– Przestań błaznować i dawaj tę butelkę.

Angelo był boso, zapadniętą pierś i wąskie ramiona miał obnażone, a na sobie tylko cywilne spodnie, które odkupił od kogoś z kompanii i które były o tyle za duże, iż musiał je przytrzymywać w pasie drugą ręką, żeby nie opadły. Usiadł na łóżku obok Prewa i Lorene, uśmiechając się radośnie jak spiskowiec-amator, i wręczył Prewowi butelkę.

– Dziękuję – powiedział sucho Prew przyłapując się na tym, że się uśmiecha, tak jak zawsze, gdy mały Angelo gdzieś się pojawiał. – Chcesz trochę? – zapytał Lorene.

– Nie, dziękuję – odrzekła.

– Jak to? – spytał Angelo. – Nie pijesz?

– Bardzo mało. I nigdy czystej whisky.

– Nie pijesz? – zapytał Prew.

– Nie – odpowiedziała. – No, owszem, koktajl albo butelkę piwa. Ale nie whisky. A bo co? Czy jest jakieś prawo, które mówi, że każda kurwa musi być pijaczką?

– Nie – odparł Angelo. – Ale większość chyba jest.

– Ja nie. Uważam, że to słabość.

– Z tym się zgadzam – powiedział Angelo.

– A ja nie lubię słabości. Ty lubisz? – zwróciła się do Prewa.

– Nie – odrzekł. – Słabości nie lubię. Ale lubię pić.

– U ciebie to nie jest słabość – powiedziała Lorene. – U ciebie to jest raczej zaleta.

– Tego już nie rozumiem – rzekł Maggio. – W tym miejscu leżę jak ciapek.

– Ja tego też nie rozumiem – powiedziała Lorene. – Ale tak jakoś to czuję.

Wciąż przytrzymując kołdrę ciasno owiniętą wokoło ramion obróciła głowę i uśmiechnęła się do Prewa. Potem posunęła się, zasłonięta kołdrą, ku środkowi łóżka, do Prewa, żeby zrobić Angelowi więcej miejsca na brzegu, i znowu uśmiechnęła się przymilnie.

– Są ludzie – powiedziała uśmiechając się do Prewa – których słabości wydają się być siłą, a nie słabością.

– Bardzo głęboka uwaga – powiedział Angelo. – Może dlatego wciąż nie mogę tego skapować.

– Cóż, kiedy tak jest – uśmiechnęła się z zadowoleniem Lorene.

– Hej! – zaprotestował Angelo. – Co ty masz zamiar zrobić? Wyjść za tego faceta? Tak szczerzysz do niego zęby, że wyglądasz całkiem jak żona.

– Tak? – powiedziała Lorene. Uśmiechnęła się do Prewa i nagle, w jednej chwili, kiedy patrzyli na siebie, przyszło im obojgu na myśl, że jest właśnie tak, jak gdyby była jego żoną, jego prywatną własnością, to łóżko zaś było ich domem, do którego przyjaźnie wtargnął ktoś obcy, bardzo kochany przyjaciel, lecz jednak obcy, ta trzecia osoba, inny człowiek, który jej nie znał, nie znał jej całej tak, jak ją znał Prew; któremu nie pozwoliłaby poznać siebie tak, jak ją znał Prew, i który przez to uwydatniał jeszcze ich intymną bliskość.

Prew położył dłoń na bezkształtnym kopcu kołdry, pod którą była jędrna, twarda, drżąca krągłość jej biodra, i nagle wydało mu się przez chwilę, że to naprawdę należy do niego, a Lorene jakby przeciągnęła się z lubością pod jego palcami, i po raz pierwszy z uczuciem wstrząsu objawiła mu się możliwość, której przespanie się z Lorene nie nasunęło wcale – zaskakująca możliwość, że jest w niej zakochany.

„Cóż to za możliwość – pomyślał. – Człowieku, co za możliwość! Ale właściwie czemu nie? Tu, na tej skale, w kim może zakochać się żołnierz, jeżeli nie w kurwie? Na tej skale, gdzie białe dziewczyny, nawet ze średniej klasy, są wszystkie snobkami, a nie ma żadnych białych dziewcząt poniżej klasy średniej. Na tej skale, gdzie nawet dla dziewcząt tubylczych, które stanowią klasę najniższą, jest hańbą, jeżeli ktoś je zobaczy rozmawiające z żołnierzem. Więc dlaczego nie kurwa?” Było to nie tylko możliwe, ale zupełnie logiczne. Może nawet sensowne.

I była to możliwość, którą miał zapamiętać do końca życia, nad którą miał potem często się zastanawiać. Czy było to jedynie nagłym, przelotnym uczuciem satysfakcji, które przypadkiem spłynęło na nich oboje dlatego, że Angelo wszedł do pokoju właśnie w tej

chwili? Czy też zdarzyłoby się jakoś inaczej, gdyby Angelo nie przyszedł, albo może nie zdarzyłoby się wcale? Czy może po prostu dlatego, że od tak dawna nie miał kobiety, to chwilowe przeżycie uchwyciło go na hak trwałego złudzenia w chwili, gdy nie miał się na bacności, i usidliło go urojonym pobożnym życzeniem, stworzonym przez niego samego? Czy wreszcie – najdziwniejsza możliwość ze wszystkich – miłość między *mężczyzną a* kobietą przychodzi zawsze w ten sposób, rodzi się ze skrzyżowania przypadkowej sytuacji z nieważnym zbiegiem okoliczności? Wydawało się, że owa pierwotna możliwość otwiera masę innych, i czuł, że gdyby w ciągu reszty życia, nim przyjdzie umrzeć, zdołał odnaleźć wytłumaczenie tamtej pierwotnej możliwości, potrafiłby zrozumieć wiele rzeczy.

– Wyglądacie na bardzo szczęśliwych – rzekł Angelo, który to wyczuł. – Powiedzcie: jesteście szczęśliwi? Bo ja tak. Czy wyglądam na szczęśliwego?

– Tak jak się można spodziewać – odparła z uśmiechem Lorene odpowiadając im obu naraz, i Prew poczuł pod kołdrą jej rękę podpełzającą ku niemu, a potem delikatne, kobiece palce na wewnętrznej stronie swojego uda.

– Uważaj! – wyszczerzył zęby Angelo. – Widziałem! Rany boskie, patrz na nią, Prew. Rumieni się.

Lorene, zarumieniona, obróciła się do Prewa, a on potajemnie odnalazł dłoń jej palce i przycisnął je mocno do swego ciała.

– Jeżeli chcesz jeszcze tej whisky, bracie – powiedział Angelo – to lepiej pij od razu. Bo niedługo już jej nie będzie, jak Sandra się do niej przypnie.

– A Stark już wypił swoją porcję?

– Stark nie dostanie żadnej porcji – odparł Angelo. – Przed przyjściem tutaj poszedłem do niego. Słuchałem pod drzwiami, a tam jak makiem zasiał, pukałem, a żywa dusza się nie odezwała, zaglądałem przez dziurkę od klucza i nie widziałem nic. Zdaje się, że powiesił koszulę na kłamce, jak Boga kocham. Nawet wlażłem na kłamkę, żeby zajrzeć przez okienko nad drzwiami, czy aby nie umarł, ale ten drań zasłonił je ręcznikiem. Moim zdaniem, to jest zwykły brak wychowania.

– Innymi słowy – uśmiechnął się Prew – uważasz, że jest podejrzliwy łobuz.

– Aha – odrzekł Angelo. – Zupełnie jakby ktoś mógł mieć ochotę zaglądać przez to cholerne okienko.

Zmarszczył brwi z takim oburzeniem i tak przeciągle, że Lorene zaczęła chichotać i w końcu musiała roześmiać się głośno.

– No – powiedział wstając – ja jestem taki gość, co potrafi wyczuć, kiedy zasiedział się za długo. Wiem, kiedy jestem niepożądany. Zostawiam was waszej miłości.

– E, jeszcze nie chodź – uśmiechnął się Prew. – Nie spiesz się tak.

– Aha – odparł Angelo. – Ja też cię lubię, ty draniu. Zostawię ci trochę tej whisky, to nie będę miał takich wyrzutów sumienia. Naleję do szklanki i będziesz mógł sobie popijać bez pośpiechu.

Przeszedł się po pokoju, wreszcie znalazł szklankę na umywalni; była pełna wody, którą chlusnął strumieniem przez okienną zasłonę siatkową, o którą się rozprysnęła, mruknął: „Mam nadzieję, że pod tym oknem był jakiś glina”, i nalał do pełna whisky z butelki. Prew przypatrywał mu się z uśmiechem, czując jakieś śmieszne, nieledwie ojcowskie ciepło; zauważył, jak whisky przyhamowała normalnie ożywione ruchy Angela, tak że zdawał się teraz poruszać sennie, niby na zwolnionym filmie, i pomyślał, że pierwszy raz widzi tego małego, kędzierzawego makaroniarza w stanie odprężenia.

– Wystarczy? – zapytał Angelo.

– Jasne, psiakrew. Jakbym to wszystko wypił, to byłoby ze mnie mniej więcej tyle pożytku co ze stopionej świecy.

– Dobra. No, to tymczasem. Zobaczymy się rano. Pójdziemy gdzieś we trzech i przed powrotem wrąbiemy sobie porządne, kosztowne śniadanko. Może byśmy wpadli do hotelu „Alexander”? Tam wczesnie otwierają i dają dobre śniadania. A śniadanie jest ważne po fajnej nocy na mieście. No jak?

– Okej – rzekł Prew. – Zobaczymy się.

– Lubisz go, prawda? – zapytała Lorene, kiedy Angelo zamknął drzwi. – Chyba lubisz go bardzo?

– Tak – odparł. – Lubię go. To taki komiczny typek, a jednak zawsze chce mi się płakać, kiedy się z niego śmieję. I dlatego naprawdę go lubię. Nie wiem, może jestem stuknięty. Czyś ty kiedy czuła coś podobnego w stosunku do kogoś?

– Tak – powiedziała Lorence. – Często.

– No, to już coś – powiedział.

– Czuję to wobec Angela, ile razy go widzę. I myślę, że może czuję to do ciebie.

– Do mnie?

– Tak – powiedziała cicho. – Wiesz, ty jesteś zabawny, bardzo zabawny.

– Zabawny facet – rzekł Prew. – Naprawdę jestem?

– Tak.

– A inni nie są zabawni?

– Nie tak jak ty. Nie w ten sposób.

– To dobrze. Może w takim razie będziesz mnie pamiętała.

– Będę cię pamiętała.

– Będziesz? Będziesz mnie pamiętała jutro?

- Tak. I za tydzień też.
- A za miesiąc od dzisiaj?
- Także.
- Nie wierzę w to.
- Ale tak będzie. Naprawdę.
- Dobrze. Wierzę ci. Wiem, że ja będę pamiętał cię.
- Dlaczego?
- Dlatego.

Roześmiał się i nagle *zaczęli* do siebie mówić, tak jak rozmawiają w łóżku mężczyzna i kobieta, tak jak nie mówili dotychczas. I tym razem odbyło się to inaczej.

Później, pełen wdzięczności, pochylił się ku jej wargom.

- Nie – powiedziała Lorene. – Nie rób tego. Proszę cię.
- Ale czemu? Dlaczego nie?
- Bo wolałabym, żebyś tego nie robił. Bo to by wszystko zepsuło, a ja nie chcę tego psuć.
- Dobrze – powiedział. – Przepraszam.
- Nie przepraszaj. To nic nie szkodzi. Ale musisz pamiętać, gdzie jesteśmy. Musisz pamiętać, kim jestem.
- Do diabła z tym. Ja o to nie dbam.
- Ale ja dbam. To by upodobniło cię do wszystkich innych, tych wszystkich pijaków i brutalnych. Każdy z nich próbuje całować, jak gdyby w ten sposób mógł dostać coś, czego nie dostaje cała reszta.
- Tak – powiedział Prew. – Pewnie masz rację. Pewnie właśnie tego chcę. Przepraszam cię.
- Nie masz mnie za co przepraszać – odrzekła Lorene. – Po prostu nie chciałam, żeby coś to popsukało.
- Wstała i uśmiechnęła się do niego.
- Prew – powiedziała. – Mój mały Prew, który jest taki zabawny. Przykro mi z powodu tego pocałunku, mój mały Prew.
- Nie szkodzi.
- Owszem, szkodzi. Ale nie mam na to rady. Nie idzie o cię, ale o... to miejsce. I o tych innych. Ty tego nie rozumiesz.
- Rozumiem.
- Jakże możesz rozumieć? Jeżeli nigdy nie byłeś kobietą? Umyła ręce starannie i gruntownie, wróciła do łóżka, położyła się i zgasła światło.

– Pośpimy trochę? – spytała.

– Dobrze – odpowiedział w ciemnościach. – Często chodzisz na plażę?

– Na plażę? Na którą plażę?

– Waikiki. Tam gdzie się popisuje Bill, narciarz wodny.

– A, tam. Owszem, stale. Co dzień, jeżeli tylko mogę. Strasznie ją lubię. A bo co?

– Nigdy cię tam nie widziałem.

– Nie poznałbyś mnie, gdybyś mnie zobaczył.

– Może bym poznał.

– Nie.

– Myślę, że teraz tak.

– Nie, nie poznałabyś mnie. Muszę nosić kapelusz z liści banianowych i żakiecik plażowy i owijać sobie nogi ręcznikiem albo kłaść spodnie. Żeby się nie opalić. Gdybyś mnie zobaczył, wziąłbyś mnie za starą, starą turystkę.

– Zastanawiałem się, jak cię odnaleźć poza tym domem. Teraz już wiem, za czym mam się rozglądać, jak będę na przepustce.

– Nie, proszę cię, nie rób tego. Naprawdę.

– Dlaczego?

– A bo tak. Bo to zła polityka, nic więcej, bardzo zła. Dlatego.

– Nie rozumiem czemu.

– Bo ja tak mówię – powiedziała ostro Lorene siadając na łóżku. – Bo jeżeli to zrobisz, nigdy więcej nie będę miała z tobą nic wspólnego.

– Nie? – zapytał słysząc powagę w jej głosie, a nie mając ochoty na poważną rozmowę ani na spory i odsuwając to na bok przez obrócenie w żart tego, co mówił serio. – Naprawdę nie?

– Naprawdę.

– Ale dlaczego? – przekomarzał się z nią. – Po tym opisie mógłbym cię teraz odnaleźć z łatwością. Sterczałabyś z tłumu jak bolący palec.

– No, lepiej tego nie rób – odpowiedziała Lorene, która udobruchała się widząc, że tylko żartuje.

– Ale dlaczego nie chcesz się opalić? – zapytał. – Byłoby ci do twarzy z opalenizną. – W myśli widział ją na plaży. Zastanowił się, gdzie ona może mieszkać. Ulubionym miejscem Sandry była restauracja Lau Yee Chaia, nie plaża. Ciekawe, gdzie mieszka Sandra. – Świetnie by ci było z opalenizną – powiedział. – Strasznie byś mi się podobała.

– Chciałbyś, żebym straciła pracę? – Jej głos w ciemnościach był teraz uśmiechem. – Ile razy ty byłeś w domu publicznym w Honolulu, że nie wiesz, że dziewczyny nigdy nie są

opalone?

– Pewnie nie zwróciłem na to uwagi. – „Gdzie w tym mieście, gdzie na tej Wyspie, w jakich niewiadomych, bezimiennych domach mieszkają one, cała ich armia, te kobiety, które dla nas są jedynymi kobietami na Skale?”

– Gdyby któreś były opalone, musiałbyś to zauważyć – roześmiała się. – Kobiety z opalonymi rękami, nogami i brzuchami, a resztą białą, wysterczają z tłumu jeszcze bardziej niż bolące palce. We wszystkich domach istnieje zakaz opalania się, nawet twarzy. – Przerwała na chwilę. – Widocznie żołnierze i marynarze lubią, żeby ich kurwy były czyste i dziewiczo białe.

– Pięć zero! – powiedział. – Wygrywasz tę rundę. Ale mnie by się to jednak podobało. U ciebie.

„Jedynie kobiety, jakie w ogóle są dla nas – myślał. – A tu jest jedyne miejsce, gdzie można je znaleźć. Jeżeli je widzisz w barach, na plaży czy w sklepach, nie poznajesz ich nigdy, a jeśli one poznają ciebie, umieją to wspaniale ukryć. Może już ją przedtem spotkałem w Waikiki i nie wiedziałem o tym. Kiedy wyjdą z pracy – myślał – ze swego miejsca urzędowania i wtopią się w miasto, wówczas po prostu znikają. Wtopią się, to dobre słowo – myślał sennie. – Wtopią się. Wtopią. Chyba muszę się napić.”

Szklanka, jeszcze nie tknięta, była nadal tam, gdzie ją zostawił Angelo, więc zmusił się do wstania po ciemku i zaczął jej szukać, aż wreszcie znalazł. „Magiczny środek nasenny zacnego doktora Maggia” – pomyślał, wypił połowę, wrócił ze szklanką do łóżka i postawił ją na podłodze, tam gdzie mógł jej dosięgnąć. Nie wystarczyła mu na długo, ale go nie rozgrzała ani nie wypełniła pustki, w którą ją wlewał.

– Chciałbym popatrzeć na całkiem białe ciało przy ciemnobrązowej opaleniznie – powiedział do Lorene. – Wtedy pomyślałbym sobie o tym, że na plaży to, co białe jest zasłonięte i ukryte, żeby nikt nie mógł tego zobaczyć, i że ja patrzę na coś, czego nie widział nikt inny.

– Ty jesteś jednak zabawny, mój mały Prew.

– Już to mówiłaś.

– A teraz powtarzam. Jesteś zabawny, bardzo zabawny, i nie mogę cię zrozumieć.

– Myślę, że jestem łatwy do zrozumienia, jeżeli ma się klucz.

– Nie dla mnie. Widocznie nie mam klucza.

– Nie – odpowiedział sennie. – Nie masz. I to najwyraźniej robi na tobie wielkie wrażenie.

– Tak. Ciekawią mnie rzeczy, których nie mogę zrozumieć. Lubię mieć wszystko jasne. Raz, dwa, trzy. Tak samo jak wszystko sobie obmyśliłam, zanim tu przyjechałam.

– Aha – powiedział i zauważył, że jej głos zaczyna dochodzić raz donośniej, raz ciszej zza zasłony senności. „Może już śpię? – pomyślał.

– Może mi się śni?” – Już to dziś powiedziałaś – rzekł – i to mnie uderzyło. Ale jeszcze mi nie wytłumaczyła. Powiedz, jakim sposobem dostałaś się do tej branży?

– Jestem ochotniczką – odparła i zauważył, że w jej głosie nie ma ani śladu senności. – Może ty myślisz – ciągnęła – że wszystkie kurwy są dziewicami, które porwał i zgwałcił jakiś gangster, a potem je zaczął wynajmować. Może myślisz – mówił głos – że wszystkie kurwy są w to wciągnięte siłą. No więc nie. Cała masa zaciąga się dobrowolnie. Niektóre po prostu dlatego, że im się podoba takie życie i że im wcale nie przeszkadza to, co muszą robić, żeby coś z tego mieć. Inne dlatego, że są rozgoryczone na jakiegoś mężczyznę, który im odebrał wianuszek i może jeszcze zrobił dzieciaka, a potem rzucił, i teraz się odgrywają w jakiś zabawny sposób, albo po prostu jest im już wszystko jedno. O – mówił głos – wiele jest między nami takich, co zaciągnęły się dobrowolnie.

– I wiele takich, co zaciągają się nadterminowe – powiedział Prew. – Wiele takich, co kończą w trzydziestoletniej służbie.

– Niekoniecznie. Są takie, ale nie tyle, co myślisz. Cała masa, jak choćby ja, planuje to sobie z góry. Zaciąga się na jeden okres, obłowi się, a potem z tym kończy. Bardzo wiele tak robi.

– I ty właśnie masz taki zamiar?

– Chyba nie myślisz, że chcę to robić całe życie? Dla przyjemności? Za rok wrócę do domu z harmonią pieniędzy. I wtedy będę urządzona do końca życia.

– Ale co z rodziną? – zapytał sennie tego głosu, jeszcze niepewien, czy mu się nie śni i czy to naprawdę słyszał. – Co powiedzą twoi bliscy?

– Nic nie powiedzą. Bo nic nie będą wiedzieli. W moim rodzinnym miasteczku, tam gdzie mieszka moja matka (żyjąc z tego, co jej posyłam), myślą, że jestem sekretarką bardzo, bardzo grubej ryby w hawajskim handlu cukrem. Jestem małomiasteczkową kelnerką, która chodziła na kursy wieczorowe, kształciła się i została sekretarką osobistą, i odkłada pieniądze, żeby wrócić do domu i zaopiekować się biedną chorą matką.

– Ale co będzie, jak cię nakryją? – zapytał swojego przywidzenia.

– Jakże mnie mogą nakryć? W tym małym miasteczku w Oregonie, z którego pochodzę, nikt oprócz bardzo bogatych nie zapuszcza się dalej niż do Seattle. Kiedy wrócę do domu w tych wszystkich moich spokojnych, konserwatywnych sukienkach osobistej sekretarki i przestanę pracować żyjąc ze skromnego uciulanego kapitaliku, któż będzie wątpił, że jestem i byłam tym, za co się podawałam?

– Pewnie nikt. Ale dlaczego? Jak ty w ogóle wpadłaś na ten pomysł?

– Miałam chłopca – powiedziało przywidzenie. – Byłam kelnerką w miejscowym drugstorze. On pochodził z jednej z najbogatszych rodzin w mieście. Stara historia, bez żadnych nowych zwrotów. Nie zrobił mi dziecka, nic z tych rzeczy. Po prostu ożenił się z dziewczyną, którą jego rodzice uważali za odpowiednią dla jego pozycji. Po dwóch latach spania ze mną.

– To fatalne – mruknął. Czyżby ta whisky tak go rozbierała, wchodziła mu w ręce i nogi? – Fatalne. Paskudne.

– Ale ładna historyjka, prawda? – uśmiechnął się głośno. – Można by zrobić z tego film.

– Już zrobili – odrzekł. – Dziesięć tysięcy razy.

– Ale nie z takim zakończeniem. Ten film nie kończy się tym, że bohaterka dalej jest zakochana, że bohaterka idzie pracować jako pokojówka w ich nowym domu i opiekuje się ich dziećmi, byleby tylko być blisko ukochanego, tak jak to było w jednym ślicznym filmie.

– Nie – powiedział. – W życiu tak nie bywa albo bardzo rzadko. Nigdy na tych odcinkach życia, które poznałem.

– Ani na żadnych innych. Na pewno nie. Po jego ślubie wyjechałam do Seattle i zostałam kelnerką. Do tego lokalu przychodził jeden znany sutener, wszystkie kelnerki mi go pokazywały. Nie było trudno go sprowokować, żeby się zaczął do mnie przystawiać; najtrudniejsze było przespać się z nim tak, żeby myślał, że mi to sprawia przyjemność. I skłonić go wtedy, kiedy zdawało mu się, że go kocham, do zrobienia tego, co chciał zrobić od samego początku. Tyle że załatwiłam to tak, że mnie posłał tutaj, a nie do Panamy czy Meksyku; bo on mnie kochał, rozumiesz, a ja jego. Nie wiedział, że każdego wieczora, kiedy ode mnie wychodził, wstawałam i wyrzygiwałam z siebie bebechy z obrzydzenia.

– Lorene – szepnął – Lorene – i nie był pewny, czy mu się śni, czy też mówi to na głos. – Bardzo jesteś dzielna, Lorene, i jestem z ciebie dumny. Teraz ciebie rozumiem, Lorene, i jestem z ciebie dumny bez względu na to, co mówią jakieś dranie.

– Dzielna – powiedział głośno. – Dzielność jest niczym. Jest dobra tylko o tyle, o ile można coś z niej mieć.

– Twardo mówisz, Lorene.

– Jeżeli porządny człowiek chce mieć dzięki żonie autorytet, pozycję, pieniądze, to ja potrafię mu to dać. W jedyny możliwy sposób. Przez pieniądze. I kiedy wrócę z pończochą wypchaną banknotami, kiedy zbuduję nowy domek dla matki i dla siebie, kiedy zapiszę się do Country Clubu, zacznę grać w golfa, wstąpię do najelegantszego klubu brydżowego i będę wygłaszała pogadanki o filmach na wtorkowych zebraniach klubu literackiego, wtedy odpowiedni człowiek z odpowiednią pozycją znajdzie we mnie odpowiednią żonę, która potrafi odpowiednio prowadzić mu dom i odpowiednio wychowywać dzieci, i ja za niego

wyjdę. I będę szczęśliwa.

– Lorene – śnił na jawie. – Mam nadzieję, że to ci się uda. Mam nadzieję, jak Boga kocham.

– Nie ma co się udawać. To jest pewne. Raz, dwa, trzy. Czarno na białym. W moim mieście jest wiele takich, co to zrobiły, tylko że były kurwami-amatorkami, „kochankami”, a nie zawodowymi. A wtedy – mówił głos cicho – kiedy wszystko już będzie uporządkowane i będzie szło jak w zegarku, tamto drugie zniknie, umrze i stanie się tylko wspomnieniem jednego z tych snów, które czasem śnimy bojąc się zawsze, żeby coś podobnego nie zdarzyło nam się rzeczywiście, chociaż tak nigdy nie bywa. Bo jak ktoś znajdzie sobie odpowiednie miejsce, to jest bezpieczny.

– Lorene – śnił – Lorene, Lorene, zdaje się, że cię kocham. Jesteś dzielna i piękna i chyba dlatego cię kocham, Lorene.

– Upiłeś się – powiedział głos. – Jakże ktoś mógłby kochać kurwę? Poznań w burdelu? Upiłeś się i lepiej idź spać.

– Spodziewałem się, że to powiesz – uśmiechnął się chytrze do przywidzenia, do snu. – Wiedziałem, że to powiesz.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał głos.

– Ano, wiedziałem – odrzekł. – Ja ciebie znam, Lorene. Ale czy on będzie cię kochał, ten bogaty gość, Lorene? Czy będzie cię kochał, tak jak mnie się wydaje, że cię kocham?

– Ty mnie nie kochasz – odpowiedziała otaczająca go senność. – Jesteś pijany. A tamten nie będzie bogaty.

– Ale będzie miał autorytet, pozycję, pieniądze, to wszystko, o czym mówiłaś, to wszystko, czego tacy pieprzeni frajerzy jak my nigdy nie będą mieli. Tylko nie myślę, żeby on ciebie bardzo kochał, Lorene. Jakoś mi się nie zdaje.

– Nie dowie się nigdy, że byłam kurwą. Nie ma na bożym świecie żadnego sposobu, żeby się dowiedział.

– Mnie nie o to idzie, Lorene.

– A co do reszty... zmuszę go, żeby mnie kochał. Bo wtedy będę już chyba naprawdę wiedziała, jak to zrobić.

– Nie. Nikt nigdy nie ma wszystkiego. Niektórzy szczęśliwcy mają możliwość wyboru, ale nawet wtedy to nie jest wybór. A nikt nie ma nigdy wszystkiego. I nawet nie warto tego żądać ani o to się bić. Ty też się nie spodziewaj, Lorene. Nigdy nie będzie cię kochał, on, ten bogaty gość. Twój umysł, taki, jaki jest, nie pozwoli mu ciebie kochać. Tego nie będziesz miała nigdy, tym będziesz musiała zapłacić. Nikt nigdy nie ma wszystkiego, a za to, co dostaje od życia, musi drogo płacić wyrzekając się rzeczy, których naprawdę chciał nie

wiedząc o tym, nie uświadamiając sobie tego do chwili, kiedy wymuszono na nim zgodę.

– Czas, żebyś pospał – powiedział głos kojąco.

– Wiem, bo jestem pijany. Ale właśnie kiedy jestem pijany, widzę rzeczy, których nie mogę dojrzeć i zapamiętać na trzeźwo. Jestem pijany i coś mi się śni, ale och, Lorene, widzę prawdę tak jasno. Mogę prawie wyciągnąć rękę i dotknąć jej.

A potem wydało mu się, że ten smukły, blady sen, przybrany w cienką, powiewną tkaninę, co nie przesłania sutek ani wypukłego, czarnego trójkątka, na który uwielbiał patrzeć, podaje mu na jednej tacy złocistą trąbkę, a na drugiej dwie puszki konserw mięsnych z fasolą, i pochyła się nad nim, i całuje go w usta, ponieważ wybrał złą tacę – po czym chmurne niebo runęło w dół.

– Śpij teraz.

– Dlaczego mnie pocałowałaś? Myślisz, że jestem pijany i że nie będę pamiętał? Ale ja będę pamiętał. I wrócę.

– Tsss. Tsss. Oczywiście, że wrócisz.

– Myślisz, że nie. A ja wrócę. Przyjdę tu. Będę wracał zawsze.

– Oczywiście, że tak, ja wiem, że tak.

– Przyjdę tu w dzień wypłaty.

– A ja będę na ciebie czekała.

– I będę pamiętał wszystko, co dziś widziałem, i wtedy ci to wyjaśnię. Widziałem wszystko tak jasno, tak wyraźnie, wiem, że będę pamiętał. Myślisz, że nie?

– Oczywiście, że będziesz.

– Muszę pamiętać. To ważne. Nie chodź, Lorene. Zostań tu.

– Zostanę przy tobie. A teraz śpij.

– Dobrze – powiedział. – Dobrze, Lorene.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pamiętał. Był wtedy bardzo pijany i bardzo senny, ale pamiętał. Przez cały ten czas, kiedy oni trzej, ciężko skacowani żołnierze o twarzach umęczonych, ale oczyszczonych z napięcia, jedli potulnie śniadanie w luksusowej, wykładanej lustrami sali restauracyjnej hotelu „Alexander Young” w centrum Honolulu, a po zjedzeniu wafli, sadzonych jajek z szynką i boczkiem oraz wypiciu wielkiej ilości kawy – wszystko to wybornie pokrzepiające – szli wczesnym rankiem przez miasto opustoszałymi, odświeżonymi rosą ulicami do gmachu wojskowej i marynarskiej YMCA, aby tam złapać taksówkę i spóźnić się na poranny apel – przez cały czas pamiętał. I pamiętał podczas trzydziestopięciminutowej powrotnej jazdy taksówką.

Głowę miał wielką jak bania i bardzo wrażliwą na dotyk i trudno mu było oddzielić sen z ubiegłej nocy od rzeczywistości. Ale pamiętał wyraźnie, że go pocałowała w usta. Kurwy nie całują żołnierzy w usta ani nie opowiadają im historii swojego życia. On zaś pamiętał wszystkie szczegóły jej historii, a także to, jak w momencie, kiedy zaabsorbowało ją opowiadanie, staranny, kulturalny akcent i pedantyczny spokój – nabyte zapewne z wielkim trudem – nagle odpadły objawiając prawdziwą Lorene. Twardą Lorene, zimną i połyskliwą jak diament, ale rzeczywistą, bardzo rzeczywistą i żywą. To przesądziło dla niego sprawę. Przeniknął pod jej zewnętrzną skorupkę, tak jak mężczyznom rzadko się udaje to z kobietami, a żołnierzom z kurwami nigdy, i miał do niej zamiar wrócić w dzień wypłaty, choćby mu przyszło ukraść na to pieniądze, bo – myślał – na świecie takim jak teraz, najtrudniejszą z trudnych rzeczy jest odróżnić rzeczywistość od złudzenia, choć raz się spotkać z ludzką istotą tchnienie w tchnienie, bez przegrody prefabrykowanych, dźwiękoszczelnych ścianek nowoczesnej cywilizacji, i wiedzieć przy owym spotkaniu, że to jest właśnie ta ludzka istota, a nie odgrywana przez nią chwilowo rola; na tym świecie to jest najtrudniejsze – myślał – bo na nim każda pszczoła wysnuwa z siebie wosk na swoją własną komórkę, ażeby chronić swój własny, osobisty zapas miodu – a on się przez to przedarł choć raz, ten jeden raz. „Albo przynajmniej tak mi się zdaje” – myślał.

Zastanawiając się nad tym doszedł do wniosku, że jedyną rzeczą, której nie mógł sobie przypomnieć, było to stare, dobrze znane pijackie objawienie, chwila, kiedy wyciągnął ręce, pochwycił pełnię prawdy i zawarł ją w jednym zdaniu, które było jedną jedyną, wszystko leczącą pastylką, łatwą do przełknięcia i bezbolesną w użyciu. Zapamiętał tylko, że to uczynił. Samego zdania przypomnieć sobie nie mógł. „Ale znowu – pomyślał – chyba się nie spodziewasz tego zapamiętać; przez całe życie nie pamiętałeś tych rzeczy, powinieneś być do

tego przywyknąć.”

Dotarli do koszar (dla ostrożności przeszedłszy pieszo ostatnie dwie przecznice, na wypadek gdyby wypatrywał ich Holmes albo Warden) w momencie, kiedy kompania szła na górę na śniadanie, Prew był trochę niespokojny, a Angelo bardzo, kiedy znaleźli się w obrębie koszar, o których już niemal zdążyli zapomnieć, natomiast Stark, który nie musiał stawać na apel poranny, nie trapił się wcale, a nawet podkpiwał z nich trochę.

Jednakże trapił się niepotrzebnie; tym razem mieli szczęście. „Wódz” Choate, nadal ich kapral, oczekiwał ich na ganku. Powiedział, że ani Holmes, ani Warden, ani sierżant Dhom nie odbierali apelu dziś rano, że zrobił to podporucznik Culpepper, a „Wódz” zameldował, iż w jego drużynie wszyscy są obecni, co uszło mu na sucho, bo zastępca dowódcy plutonu, sierżant Galowicz, jest równie głupi jak gorliwy – no, ale szlag by ich trafił, gdzie się tak zawieruszyli?

Ogromnie uszczęśliwieni, pognali na górę jak szybkobiegacze i przebrali się z cywilnych ubrań w drelichy.

„Wódz” Choate, którego miedziana indiańska twarz objawiała wyraźnie swoją kamienną obojętnością, że nie powiedział wszystkiego, co było do powiedzenia, cierpliwie podążył za nimi na górę, flegmatyczny, ale z oczami przekrwionymi po zwykłej wyczerpującej nocy u Choya.

– Są zmiany w umundurowaniu – oznajmił im ociężale. – Broń boczna i getry.

– O Jezu, dlaczego nam nie powiedzieliście od razu? – zawołał gniewnie Maggio, który myślał, że już jest całkowicie gotowy.

– Nie miałem kiedy – odparł „Wódz”. – Do tej chwili.

– Trzeba się spieszyć – rzekł Maggio i pognął do swojej szafki. Prew patrzył na okrągłą jak księżyc twarz „Wodza”, która nie objawiała żadnych implikacji tego zaskakującego rozkazu. – To chyba znaczy, że ćwiczymy w polu.

– Zgadłeś. Dzisiaj z samego rana zmienili rozkład zajęć. Wygląda na to, że pora deszczowa już się skończyła. Leć włożyć getry.

Prew kiwnął głową i podszedł do swojej szafki, a „Wódz” Choate zapalił papierosa, wpatrzył się w pokrętnie pasmo wznoszącego się dymu i czekał na nich cierpliwie.

– „Stary Ike” – powiedział – myszkował wszędzie od pobudki, szukając ciebie. Powiedziałem mu, żeś wyskoczył do kantyny po paczkę fajek.

– Dziękuję, „Wodzu” – rzekł Prew.

– Nie masz co dziękować – powiedział Choate. – Do diabła z dziękowaniem.

Angelo gorączkowo kończył sznurować pierwszy getr dociągając sznurowadła.

– Zawsze wiedziałem, że ten gość to menda – uśmiechnął się. „Wódz” popatrzył na

niego flegmatycznie.

– To nie jest zwykłe dawanie w dupę, chłopcze. To coś poważnego. Czy może nie słyszałeś, jak mówiłem, że ćwiczenia przenoszą się w pole?

– Nie, nie słyszałem – odrzekł Angelo. „Wódz” zignorował go.

– Już dali sobie hasło – powiedział do Prewa. – Od tej chwili wszystkie chwytaki będą dozwolone. W polu będą właściwie mieli wolną rękę wobec ciebie.

Prew przesunął stopę przez rzemyk getra i naciągnął go nic nie mówiąc. Nie było nic do powiedzenia. Od dawna wiedział, że to nadchodzi, ale nie spodziewał się, że przyjdzie. Było to tak jak ze śmiercią.

– Jeszcze jeden taki numer jak niestawienie się na poranny apel, a leżysz – powiedział „Wódz”. – Dziś rano musiałem się wyklamywać przez ciebie. Więcej tego nie zrobię.

– Teraz już bym tego nie oczekiwał – rzekł Prew.

– Nie mogę sobie na to pozwolić – powiedział „Wódz” flegmatycznie, rzeczowo, bez zakłopotania w twarzy czy w głosie. – Może pomyślisz, że cię opuszczam w potrzebie, bo przecież byliśmy przyjaciółmi.

– Nie.

– Mówię ci teraz, jaka jest moja sytuacja, żebyś nie myślał, że cię wystawiłem do wiatru, jeżeli będę musiał cię zamknąć.

– Dobra. Zrozumiałem.

– Mam plecy u pułkownika – wyjaśnił „Wódz” rzeczowo – ale nie aż takie. Pomogę ci trochę, co będę mógł, ale więcej nie będę za ciebie świecił oczami. Zadowolony jestem z tego, co mam, i nie chcę się *narażać*. Lubię tę kompanię.

– Ja też – rzekł Prew. – Zabawne, nie?

– Tak – powiedział „Wódz”. – Ogromnie zabawne. Ha, ha. Ho, ho.

– Dobry dowcip – rzekł Prew. – Ze mnie.

– Zadarłeś z wielką organizacją, kiedy zadarłeś z bokserami w tej jednostce. Oni *rządzą* kompanią. Właściwie cholernie mało brakuje, żeby zarządzili pułkiem. A chcą cię zmusić do boksowania, choćby cię mieli po to sprasować do wagi muszej.

– To nie żadna nowina.

– Okej. Myślałem, że chcesz rady. Ale tyś chojrak. Twardy człowiek. Nie mogą ci nic zrobić, co? – Uczynił ruch, jakby chciał wstać.

– Czekaj – rzekł Prew. – Nie widzę sposobu, żeby mi coś zrobili, dopóki trzymam się regulaminu, dopóki przestrzegam prawa. Dopóki nie łamię żadnych przepisów.

– Może i nie. Ale okropnie im zależy na mistrzostwie dywizji tej zimy. „Dynamitowi” strasznie na nim zależy.

– Nie widzę, co mógłby mi zrobić, jeżeli nie złamię przepisów.

– Nie kpij ty ze mnie – rzekł „Wódz”. – Nie zalewaj. Nie jesteś rekrut. Siedzisz w wojsku już kawał czasu. Chybaś nigdy nie widział, jak zbiera się kilku do kupy i stosuje komuś Obróbkę.

– Słyszałem o tym.

– Co to „Obróbka”? – zapytał Maggio, ale „Wódz” nie zwrócił na niego uwagi.

– Może tu jeszcze nie opracowali jej tak naukowo jest w West Point, w Culver czy gdzie indziej – powiedział do Prewa – ale to jest skuteczne. Nie ma na świecie niczego, co mogłoby prędzej osadzić człowieka. Albo go zabić. Widziałem to tylko raz, na Filipinach. Tamten gość zdezerterował, uciekł w górę i ożenił się z Malajką. Kiedy go złapali, dostał dwanaście lat. Skończył jako dożywotni w federalnym więzieniu.

– Na to jestem za cwany – wyszczerzył zęby Prew. – I nie tak łatwo mnie zabić, „Wodzu”.

Odpowiedziała mu trąbka grająca na dziedzińcu sygnał na zbiórkę, a z dołu zagrział poprzez zasłony siatkowe potężny głos sierżanta Dhoma, brzmiący bardzo po żołniersku:

– No, chłopcy, zbiórka! Wszyscy na zbiórkę! Ruszajcie się. Wychodzić. Zbiórka na ćwiczenia!

– Drużyna za mną! – hukną! „Wódz” Choate. – Łapać wszystkie klamoty i jazda na wojnę.

Zszedł lekko i z wdziękiem po schodach podśpiewując: „Zbiórka na ćwiczenia” naturalnym basem, który rozlegał się daleko:

– „Na zbiórkę wraz, mam jeszcze czas, *żarcia* mi dotąd nie dali.” Chciałem powiedzieć: „Na zbiórkę czas, spieszmy się wraz, czeka dowódca kompanii.”

– Ale śpiewa! – powiedział niechętnie Angelo.

Po całej dużej sali biegali żołnierze chwytając karabiny i zmierzając ku schodom.

– No, wypijmy to piwo – rzekł Prew ujmując długą drewniano-stalową twardość swojego karabinu.

Z galeryjki drugiego piętra objął wzrokiem cały rytuał zbiórki, pierwszej zbiórki na ćwiczeniach po zakończeniu pory deszczowej. Przystanął, by na to popatrzeć. Angelo też się zatrzymał czekając na niego, obojętny na ów obraz.

A był to dobry obraz, żołnierski obraz, całkiem jak ta reklama papierosów Pali Mali (niektórzy to wymawiają „Pell Mell” jak jacyś cholerni brytyjscy lordowie, ale ja wolę „Poll Moll”, bo to po amerykańsku, chociaż nie tak wytwornie), którą miał jeszcze przyklepioną do wewnętrznej strony wieka swojej skrzynki – piękny obraz dla kogoś, kto był trzydziestorocznym. Czworobok mrowił się od ludzi w niebieskich drelichach, w niemal na

biało wypłowiakim khaki pasów i getrów, w burych kapeluszach polowych ze sztucznym rondem; wylewali się ze wszystkich wyjść i ustawiali kompaniami, bardzo żołnierscy, żołnierscy w taki sposób, jaki wygrywa wojnę, każdą wojnę – myślał z dumą; tylko że te inne kompanie były jakieś dalekie, nawet oddział trębaczy był daleki, same postacie bez twarzy, odległe, tło dla naszej kompanii, gdzie wszystkie twarze były mu tak dobrze znane, że jednolitość mundurów nie miała znaczenia, a nawet podkreślała indywidualność twarzy, z których każda miała osobną orbitę obracającą się wokoło centralnego słońca kapitana Holmesa (martwa gwiazda – pomyślał. – Może to Warden jest naszym słońcem), twarzy-asteroidów, nie dość dużych, aby mieć własną orbitę, a za małych, aby być zaliczone do planet (jak Dhom albo „Champ” Wilson, albo „Papa” Karelsen czy Turp Thornhill, Jim O'Hayer, Izaak Blum, Nicolo Leva – dobre nazwiska, myślał, dobre, stare, amerykańskie nazwiska – albo jak ten nowy, Mallaux, który zapowiada się dobrze w wadze piórkowej, albo Ike Galowicz – Czy Ike jest planetą? Chyba raczej trzeciorzędnym księżycem).

„Wszyscy oni są cząstkami całości – myślał spoglądając w dół; ważnymi cząstkami, tak jak drobne wspomnienia są ważnymi cząstkami życia człowieka, cząstkami naszego wybranego dziedzictwa, może nawet naszego losu – drobnymi aktywnymi cząstkami tego maleńkiego układu słonecznego, którym jest kompania, zagubionego wpośród galaktyk pułków składających się na ów wszechświat, którym jest armia – cząstkami, co nadają sens jedynemu wszechświatowi, jaki znasz, jedynemu, jakiego pragniesz, bo tylko w tym jednym znalazłeś dotąd miejsce dla siebie. A teraz je szybko tracisz” – pomyślał.

– Chodź, Angelo – powiedział spoglądając na grupkę podoficerów zgromadzonych wokoło łysogo, atletycznego Dhoma, który przewyższał wzrostem nawet „Wodza” Choate'a.
– Lepiej zbierajmy dupę w troki.

– Człowieku, wyglądasz na chorego – powiedział Angelo, kiedy dołączyli do pierwszego plutonu.

– Nie chorego, tylko skacowanego – odrzekł Prew zerkając na niego z ukosa spod opuszczonego na oczy ronda kapelusza.

„Ale to nie jest ból głowy – pomyślał. – Bądźże uczciwy, stawałeś już na zbiórkę z gorszym bólem głowy niż teraz i jeszcze się śmiałeś. Cztery godziny ćwiczeń pod gorącym słońcem z takim bólem głowy równie należą do żołnierki jak strzelanie z półkwatkiem whisky ukrytym pod paskiem, żeby mieć lepsze wyniki, albo forsowne marsze ćwiczebne z pełną *saki* butelką od eliksiru do płukania ust schowaną w tylnej kieszeni. Żołnierka i picie zawsze idą w parze. Tylko – pomyślał – co to jest żołnierka?”

Żołnierka to była ta kolumna maszerujących mężczyzn tworzących kompanię G, która wyruszała na ćwiczenia drogą do przełęczy Koleckie, pomiędzy dwoma rzędami wyniosłych

starych wiązów, co rosły po obu stronach szosy roztaczając wokoło siebie atmosferę trwałości, lecz szeregowiec Robert E. Lee Prewitt nie czuł żadnego wzruszenia, po krzyżach nie przebiegał mu dawny dreszcz, bo ta żołnierka, będąca niegdyś dla niego jedyną rzeczywistością, teraz stała się najwyraźniej złudzeniem, a rzeczywistość leżała gdzieś ukryta pod jej realistycznym kamuflażem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Żaden z oficerów nie zjawił się na ćwiczenia przez całe rano, nawet dla zwykłej kontroli. Przemieniło się to w coś w rodzaju nagonki na Prewitta, przy czym jeden podoficer podawał piłkę drugiemu. Dali mu niezłą szkołę. Dotychczas nie przypuszczał, że coś może tak zboleć człowieka nie zadając samego bólu fizycznego. Doszedł do wniosku, że ostatnio dowiaduje się sporo o tym, co to jest ból.

Na początku Dhom, spec od gimnastyki (jako że był trenerem drużyny bokserskiej), zaaplikował mu bez słowa trzydzieści sześć karnych skoków w przysiadzie, z rękami nad głową, i kazał mu to powtórzyć (jak to było we zwyczaju w stosunku do niedołęgów), podczas gdy reszta kompanii odpoczywała. Prew, który nie pomylił się ani razu przy tym ćwiczeniu od zakończenia okresu rekruckiego, wykonał je doskonale, po czym kazano mu to powtórzyć, ale tym razem jak się należy, i ostrzeżono go (jak to było we zwyczaju w stosunku do niedołęgów), żeby się dobrze ruszał, bo inaczej dostanie karną służbę.

Prew znał Dhoma i nigdy go specjalnie nie lubił. To właśnie Dhom kiedyś podczas apelu wieczornego przedarł się przez szeregi jak kula kręglowa i dał w szczękę młodemu rekrutowi za rozmawianie na zbiórce; niewiele brakowało, żeby go wtedy zdegradowano za ów wyczyn, choć brakowało dość, żeby się tym nie przejmował. Ale znów z drugiej strony tenże sam Dhom, podczas dorocznego trzydziestomilowego marszu ubiegłej jesieni, niósł przez ostatnie dziesięć mil cztery dodatkowe karabiny i pistolet automatyczny, żeby doprowadzić kompanię G na miejsce w pełnym składzie – jedyną kompanię w pułku, która zdołała to osiągnąć. I również ten sam Dhom był stale tak tyranizowany przez swoją niechlujną filipińską żonę, że jego pantoflarstwo stało się przysłowiowe w kompanii.

Kiedy Prew rozmawiał z „Wodzem” w koszarach, nie dopuszczał do siebie myśli, że coś go może zboleć. Ból nie wchodził wtedy w rachubę. Chłopcy z okręgu Harlan mają wrodzoną łatwość znoszenia fizycznego bólu, jeżeli w ogóle utrzymują się przy życiu, toteż był dumny z tej swojej wypróbowanej zdolności i przeświadczony, że mogą bez końca pędzić go biegiem i zamęczać, póki nie padnie, a nigdy nie zdołają złamać owej wytrzymałości, będącej jedyną rzeczą, jaką odziedziczył po ojcu. Widział w tym zwykłe zmaganie się woli na płaszczyźnie fizycznej – czym w pewnym sensie to było. Jednakże było też i czymś więcej – i tego nie dostrzegł, że ci ludzie coś dla niego *znaczą*. Dawno temu, w Myer, gdy pierwszy raz rzucił boks, ażeby wstąpić do oddziału trębaczy, i przekonał się, że wszyscy wytłumaczyli to brakiem odwagi, musiał chcąc nie chcąc wyrzec się wszelkiej nadziei, że kiedykolwiek będzie zrozumiany. To wytworzyło w nim uczucie pewnego osamotnienia, z czym jednak się

pogodził, bo mówił sobie, że zapewne głównie dlatego pragnął grać na trąbce. A później, kiedy usunęli go z oddziału trębaczy, ponieważ dostał trypra, a żaden z jego rozlicznych przyjaciół nie ujął się za nim i nie uczynił nic, żeby go przyjęto z powrotem, wzmogło to w nim uczucie osamotnienia, lecz jednocześnie zahartowało jego odporność.

I oto teraz, będąc odpornym, jako że nie zostało w nim nic, co by można zranić, miał całkowitą pewność, że wszyscy ci ludzie nic już dla niego nie znaczą. Oczywiście zapomniał o jednym: że są ludźmi, a będąc ludźmi muszą coś znaczyć dla niego, który też jest człowiekiem. Zapomniał na chwilę, że jest człowiekiem i że oni są przecież tymi samymi, którzy poprzedniego wieczora (nie dalej jak poprzedniego wieczora) wychodzili milcząco na galeryjki, aby posłuchać, jak grał capstrzyk. To oni przecież byli tym bezosobowym głosem, który doleciał poprzez dziedziniec od Choya, tym abstrakcyjnym rzecznikiem ich wszystkich, który powiedział z dumą: „Mówiłem wam, że to Prewitt.” Nie miał pojęcia, jak mogło do tego dojść. Czuł, że będzie mu to trudno zrozumieć. Zapomniał całkowicie, że chociaż przegrał uczyniwszy ich przedmiotem swej wiary w koleżeństwo i wzajemne zrozumienie, to jednak nadal miał wiarę w jakichś żywych ludzi, i że właśnie w ten punkt można go ugodzić. Nie trzeba było długo czekać, aby ból się odezwał.

Podczas następnej fazy ćwiczeń, którą była musztra zwarta prowadzona przez „Starego Ike'a”, został zwymyślany dwa razy, najpierw za błąd przy zwrotach kolumny (podczas których co najmniej dwóch ludzi przed nim także zmyliło krok), a potem za poplątanie potrójnego zwrotu skrzydłowego w prawo w tył (kiedy to cała kompania z wyjątkiem dwóch pierwszych czwórek przemieniła się w bezładne kłębowisko ludzi, którzy klnąc wdychali wzbijany przez siebie kurz). Obydwa razy Ike wywołał Prewa z oburzeniem z szeregu i sklął obryzgując mu koszulę cienko rozpyloną śliną starego Słowianina, a po drugim wymyślaniu posłał go z podoficerem na drugą stronę szosy, na ćwierćmilową bieżnię przed koszarami wojsk chemicznych, i kazał mu przebiec ją siedem razy z karabinem nad głową (jak to było we zwyczaju w stosunku do niedołęgów).

Kiedy wrócił zlany potem, ale milczący, wszyscy z frakcji sportowców łypnęli na niego z oburzeniem (jak to było we zwyczaju w stosunku do niedołęgów), podczas gdy niesportowcy usiłowali na niego nie patrzeć, natomiast intensywnie studiowali modernistyczną sylwetkę nowych koszar wojsk chemicznych. Jeden Maggio uśmiechnął się do niego. Było to naprawdę bardzo interesujące.

Na trzecią fazę ćwiczeń pomaszzerowali ku rozległemu, opadającemu w dół polu, gdzie zaczynała się dróżka do konnej jazdy, wprost nad terenami golfowymi, na których widać było kilka czwórek oficerów, którzy w nabożnym skupieniu (wraz z paroma bezbożnie rozchichotanymi trójkami, złożonymi z oficerskich żon) rozgrywali swoją rytualną poranną

rundkę.

Pole to było tradycyjnym terenem wygłaszanych przez sierżanta Thornhilla wykładów o kryciu się i maskowaniu, podczas których kompania leżąc na brzuchach w cieniu wielkich dębów rosnących na skrajach, oddawała się rozkoszom gry w szczyryki oraz studiowaniu pośladek żon i córek oficerskich, które podskakiwały na siodłach po polu. Tego rana Turp Thornhill, żylasty, bezszczęki dryblas o głowie łasicy, który pochodził z Missisipi, miał za sobą siedemnaście lat służby i nie był sportowcem ani nawet niesportowcem, obsztorcował Prewitta za nieuwagę. I posłał go z podoficerem na najbliższą bieżnię, żeby tam wykonał jeszcze siedem solidnych przebiegów z karabinem nad głową.

Wtedy to właśnie odruch współczucia Maggia kosztował również i jego siedem przebiegów; Ike Galowicz bowiem zauważył, że Maggio w chwili, gdy Prew odchodził, dał mu uświęcony tajemny znak (ten polegający na zaciśnięciu pięści z podniesionym trzecim palcem i dźganiu nim powietrza), wobec czego, oburzony takim uchybieniem dyscyplinie i sprawiedliwości, posłał tym razem i Maggia.

I tak to trwało dalej. I jeszcze. I jeszcze. Najpierw jeden podoficer, potem drugi wypróbował swą biegłość, jak gdyby wszyscy pragnęli zapracować sobie na stanowisko instruktorów tubylczych rekrutów, którzy zaczęli napływać z zaciągu pokojowego.

Nawet Champ Wilson, pogromca ringowy o wielkopańskich manierach, zimnooki, zawsze milczący, wiecznie obojętny, raczył mechanicznie obsztorcować Prewa podczas szkolenia strzeleckiego bez amunicji, ponieważ jak oświadczył, Prew nie rozkładał prawidłowo ognia.

Prew oparł się na karabinie i wysłuchał tego, tak jak wysłuchał poprzednich wymyślali, ponieważ jest to jedyna rzecz, jaką można zrobić z wymyślaniem – tylko że teraz słuchał słów Wilsona jednym uchem. Bo właściwie był tam nieobecny. Stał naprzeciw Wilsona, ale jego umysł roztrząsał ten problem. Widział go teraz jasno, odwijający się niczym film ze szpulki przepuszczony między palcami; każdy obrazek następował logicznie po poprzednim, raz, dwa, trzy kolejno, z początkiem na jednym końcu, a zakończeniem na drugim. Najgorsze było to, że nie mogłeś już dojrzeć początku, ponieważ zagubił się w splątanych zwojach celuloide leżących na podłodze, a nie widziałeś zakończenia, które znajdowało się jeszcze na wirującej szpulce.

Zapamiętał tylko, że jedynymi podoficerami, którzy nie chcieli brać udziału w kopaniu tej nowej piłki, byli „Wódz” Choate i „Papa” Karelsen, powszechnie znani jako jego przyjaciele. Ale nawet im dano po temu dostateczną okazję. Jednakże, podobnie jak szeregowi niesportowcy, woleli spoglądać z zażenowaniem gdzieś w przestrzeń. Albo też obserwować olśniewającą czystość z wolna sunących lodowców, którymi były wróżące

pogodę formacje cumulusów, białe góry, spiętrzone wysoko ponad górami ciemnymi.

„Ano, czego się po nich spodziewałeś? – myślał. – Żeby się zbuntowali i wyzwolili cię? Przecież musisz pamiętać, że nikt cię do niczego nie zmusza, prawda? Robisz to wszystko z własnej wolnej woli – powiedział do siebie. – Tak jest, tak właśnie to robisz.”

„Wolna wola – myślał. – Wolna wola istnieje. Poza tym jest wolna miłość, nie zapominaj o wolnej miłości. A oprócz tego jest wolna... zaraz, co jest wolnego? Aha, wolna polityka! Nie, nie polityka. Więc co? No, jasne: wolne od opłaty piwo. Oczywiście, piwo. Wolna wola, wolna miłość, wolne od opłaty piwo.”

„A to jest właśnie wolna wola. Twoja wolna wola każe ci to robić. Nie tamci. Oni jedynie dają twej wolnej woli wolny wybór. Łagodnie, ale logicznie, z powagą, ale bez złośliwości, wolny wybór dla twojej wolnej woli.”

„1) Możesz się zabrać do boksu. 2) Możesz nie brać się do boksu, tylko wybuchnąć i stawić opór; w takim razie pójdziesz do Obozu. 3) Możesz ani się nie boksować, ani nie wybuchnąć i nie stawić oporu; w takim wypadku będziesz dalej bez końca znosił te przykrości, które cię boją, bo jesteś wrażliwym artystą-trębaczem zamiast być artystą-bokserem, co uprościłoby całą sprawę. A jeżeli będziesz dalej znosił owe przykrości, które sam sobie wybierzesz i w których nie ma nic złośliwego, ale które nie objawiają żadnych perspektyw pofolgowania – logicznym ciągiem dalszym będą kary w kompanii za brak sprawności plus karna służba, plus ograniczenia, plus w końcu, nieuchronnie – Obóz”.

„A teraz jeżeli sprowadzimy te ułamki do wspólnego mianownika, po jednej stronie będziemy mieli boks, a po drugiej Obóz Karny. Ponieważ jesteś artystą-trębaczem (a nie artystą-bokserem jak tu obecny Champ Wilson), możemy skreślić to pierwsze. Mamy więc: 1) pójście do Obozu albo 2) pójście do Obozu. Wybór należy do ciebie, jest to wybór nieco ograniczony, ale zawsze wybór, przedłożony twej wolnej woli beznamiętnie, logicznie, bezstronnie, bez osobistej złośliwości ani duchowego szelmstwa.”

Rozmyślał, iż wolałyby o wiele, żeby go nienawidzili, żeby sprzysięgli się w świętym imieniu Kraju i Ojczyzny i miażdżyli go taranem Prawa i Porządku. Powiedzmy tak jak hitlerowcy Żydów na przykład. Albo jak Anglicy Hindusów. Albo Amerykanie Murzynów. Wtedy byłby nienawidzonym człowiekiem zamiast być nie nienawidzonym numerem (ASN 6915544 i nic więcej). Cóż, kiedy nie można mieć wszystkiego.

Nigdy w gruncie rzeczy nie myślałeś, że mogą ci to zrobić, prawda? Nie, nie myślałeś. Bo wiesz doskonale, że nie potrafiłbyś zrobić tego samego któremuś z nich, skoro przez całe życie cierpiełeś na przerost poczucia sprawiedliwości, nie mówiąc już o tym, że przez całe życie byłeś żarliwym szermierzem sprawy wszystkich uciśnionych (zapewne dlatego, że sam zawsze do nich należałeś).

Jednakże zawsze był zwolennikiem walki za uciśnionych przeciwko uciskającym. Nauczył się tego nie w domu, nie w szkole ani w kościele, ale od tego czwartego wielkiego kształciciela sumienia społecznego – Filmu. Z tych wszystkich filmów, które zaczęły się ukazywać, kiedy przyszedł Roosevelt.

Był wtedy młodziakiem, młodziakiem, który jeszcze nie poszedł na włóczęgę – ale wychował się na tych filmach, kręconych wówczas, między trzydziestym drugim a trzydziestym siódmym rokiem, które jeszcze nie wyrodziły się w komercyjne imitacje samych siebie, jakie mamy obecnie. Rósł razem z nimi, takimi filmami jak *Winterset*, jak *Grona gniewu* i tamtymi z Hohnem Garfieldem i obiema Lane, filmami o włóczędze i więzieniu, z Jamesem Cagneyem, George'em Raftem i Henrym Fondą.

Był wtedy jeszcze smarkaczem, ale nauczył się z nich wiary w walkę za uciśnionych przeciwko uciskającym. Uczynił sobie nawet z tego filozofię życiową. I posunął się dalej, nie mogąc powstrzymać się od przekonania, że jeśli komuniści gdzieś są uciśnieni, trzeba walczyć za komunistów, ale jeżeli komuniści są górą, to trzeba walczyć przeciwko komunistom. Był zwolennikiem walki za Żydów w Niemczech, a przeciw Żydom na Wall Street i w Hollywood. Jeżeli zaś w Ameryce kapitaliści są uciskającymi, a proletariats uciśnionym, to trzeba walczyć za proletariats przeciwko kapitalistom. Ta filozofia życiowa, nazbyt głęboko zakorzeniona, by można o niej zapomnieć, doprowadziła jego, południowca, do wiary w walkę o prawa Murzynów przeciwko białym wszędzie na świecie, ponieważ Murzyni nie byli nigdzie górą, przynajmniej na razie.

„To chyba jednak jest wielka pokusa, być uciskającym – myślał. – Oczywiście ty tego nie wiesz. Nigdy takim nie byłeś. Ale możesz sobie wyobrazić, jak to jest. Wystarczy ci wyobrazić sobie, że jesteś oficerem. To przecież potrafisz.”

Zdawał sobie sprawę, że jest to bardzo nie zrównoważona filozofia – filozofia kameleonowa, wciąż odmieniająca swą barwę. Jednego dnia jest się komunistą, a drugiego antykomunistą. Ale też nasza epoka jest bardzo nie zrównoważona, jest epoką kameleonową, w której kameleon żyje stałe na kolorowym szkockim pledzie.

Zaczął w nim wzbierać jakiś ponury upór głuchego buntu. Miał swoje plany na dzień wypłaty, a mogło się bardzo łatwo okazać, że te całkiem poważne głupstwa kryją w sobie dla niego karną służbę w kuchni akurat na ten dzień.

Dobrze. Jeżeli chcą tej gry, będziemy grali. Szukają nienawiści, dostaną nienawiść. Potrafimy nienawidzić nie gorzej od innych. Byliśmy w tym wcale niezli w młodości. Potrafimy siniaczyć, parzyć, kaleczyć, zabijać i torturować, i nazywać to dbałością i przemyślaną dyscypliną, akurat tak samo subtelnie i nieuchwytnie jak każdy inny. Potrafimy prowadzić grę nienawiści i nazywać to wolnym współzawodnictwem między indywidualnymi

inicjatywami.

To jest jedyne właściwe podejście. Będziemy nienawidzili i będziemy żołnierzem doskonałym. Będziemy nienawidzili i wykonywali każdy rozkaz doskonale i co do joty. Będziemy nienawidzili i nie odpowiadali ani słowem. Nie złamiemy ani jednego przepisu. Nie popełnimy ani jednego błędu.

Będziemy tylko nienawidzić. A wtedy niech tamci robią, co chcą. Będą musieli dobrze się nabiedzić, żeby znaleźć coś, co by można zarzucić komuś takiemu.

Przez resztę rana trwał ponuro i z nienawiścią w tej roli. I to podziałało. Tamci zdumieli się. Byli zaskoczeni. Czuli się najwyraźniej głęboko dotknięci, że ich nienawidzi i że jest tak doskonały jako żołnierz. Niektórzy nawet rozzłoszcili się na niego, nie miał prawa reagować w ten sposób. Był niby jakiś tępy buldog, który wpija się zębami w człowieka tylko dlatego, że ów człowiek go zbił, i którego nie można oderwać ani odrzucić kopniakiem, ani odciągnąć, ani odpędzić razami, i żeby się uwolnić, trzeba jedynie przeciąć mu mięśnie szczęk, co w tym przypadku było akurat sprzeczne z prawem.

Uśmiechnął się do siebie z wysiłkiem, ekstatycznie, bo wiedział, że ma ich w rękę, bo wiedział z całą pewnością, że nie mogą go zrobić na dzień wypłaty, i przez chwilę miał nawet szaloną nadzieję, że to ich może wyleczy na przyszłość, i dalej robił swoje, a jedyna mglista perspektywa jakiegokolwiek ulgi koncentrowała się wokół popołudnia i służby porządkowej. Okazało się jednak, że i wtedy ulgi nie zaznał. Okazało się, że podczas służby porządkowej nie tylko utracił prowadzenie zdobyte w czasie ćwiczeń, ale przegrał na całej linii.

Była to jego własna wina. Znalazł się w koszarowej drużynie roboczej Ike'a Galowicza.

Kiedy Warden odczytał skład drużyn roboczych, „Stary Ike” zebrał swoją i postawił ją na baczność, podczas gdy inne się rozchodziły odmaszerowując przez dziedziniec, powłócząc niechętnie nogami, z ramionami obwisłymi ze znużenia, dźwigając do pracy ociężałe, pełne jadła, spragnione drzemki żołądki.

– Dzisiaj – powiedział Ike swoim ludziom wysuwając władczo ku nim długą, małą, mięsistą szczękę – my w koszary idziemy, żeby posprzątać tam. Na górze i na dół wszystkie okna pomyte i powycierane mają być. A w świetlicy i pokoju bilardowym i korytarzu ściany wyszorowane. Dowódca kompanii jutro przegląd zrobi, więc ma być robota dobra, żadnego markieractwa ja widzieć nie chcę. Pytania są?

Każdy z obecnych robił to już przynajmniej z pięć razy. Pytań nie było.

– To odlicz! – ryknął Ike wydymając dumnie pierś jak miech, ażeby nabrać powietrza, by dobyć z siebie swój głos od musztry. – Nieparzyści, oni okna na górze i na dół biorą.

Parzyści, oni będą przy ścianach robili.

Odliczyli. Prewitt i Maggio, którzy rozmyślnie stanęli przedzieleni jednym żołnierzem, byli obydwaj parzyści. Nieparzyści ruszyli do magazynu po szmaty i kostki mydła piaskowego w żółtych opakowaniach z napisem „Bon Ami” pod wizerunkiem puchatego miluchnego kurczaka, który zawsze niewymownie wszystkich irytował, ponieważ w życiu żołnierskim mieli tak często do czynienia z chropawością tego mydła. Sierżant Lindsay, obiecujący bokser wagi koguciej, objął komendę nad nieparzystymi.

Parzyści ruszyli do kuchni po szare mydło i szczotki. Kapral Miller, gorzej niż przeciętny bokser wagi lekkiej i współzawodnik Champa Wilsona, miał ich pod swymi rozkazami.

– Wy, tam! – ryknął Ike. – Wy, Prewitt i Maggio! Do mnie wy, cwaniaki! Jakim sposobem wy obaj parzyści jesteście?

– Sami nas odliczyliście – rzekł Angelo.

– Myślicie, że cwaniak „Starego Ike'a” nabierze? – zapytał Ike łypiąc na nich podejrzliwie małymi slipkami spod krzaczastych brwi. – Wy mi oczu nie zamydlicie. Ja was dwóch rozdzielam. Wy, Maggio, na górę z nieparzystymi pójdziecie. Zameldujcie sierżantowi Lindsayowi, że ma Treadwella na dół do parzystych przysłać. To służba porządkowa jest, nie herbatka dla starszych pań ani wakacje. Ja tą drużyną dowodzę i pracy ja chcę, nie leniuchowania. Zrozumiano?

– Zobaczymy się później – powiedział Angelo z niesmakiem.

– Okej – odrzekł Prew z niezmaconym spokojem żołnierza doskonałego.

– Łokej! – powtórzył za nim Ike. – Jazda. Do końca dnia nie zobaczycie się. Wy, Prewitt, do parzystych wracajcie i niech się nie zdaje wam, że wy mi wymkniecie się, zrozumiano? Ja przez cały czas tu będę i na was oko będę ja miał. Nie taki z was wielki cwaniak, jak wam zdaje się.

Ike dotrzymał słowa. Założył sobie kwaterę główną na korytarzu, gdzie parzyści umieścili w charakterze rusztowania deskę na dwóch rozstawionych drabinach i gdzie pracował Prew, najpierw stojąc na desce, potem siedząc na niej, wreszcie klęcząc na podłodze i szorując pas za pasem piaszczystego tynku ściany, od sufitu do podłogi.

– To służba porządkowa jest, nie wakacje, Prewitt – poinformował go Ike, który uśmiechał się drapieźnie od czasu do czasu swą długą, chudą, małpią szczęką. – Na was oko ja mam.

I miał rzeczywiście. Kiedy Prew zląził z rusztowania, żeby popłukać szmaty, kiedy wychodził, by zmienić wodę w kuble, kiedy odwracał się, żeby namydlić na nowo szczotkę – „Stary Ike” już był przy nim obserwując go podejrzliwie, z nadzieją, małymi świdrującymi

oczki osadzone w krągłej, krwistej głowie niby czerwone guziczki kraciastej koszuli drwała, na których migocze światło ogniska.

– ...To służba porządkowa jest, nie wakacje, Prewitt.

Jednakże nadzieje Ike'a nie spełniły się. Prew znosił o wiele gorsze rzeczy przez całe rano, a przecież je stępał grając rolę żołnierza doskonałego. Wysiłki Ike'a były nieledwie wzruszające w porównaniu z wielostronną pomysłowością, jaką potrafił wykazać na przykład Dhom przy dawaniu komuś szkoły. To wszystko nie mogło naprawdę zależeć za skórę Prewowi – ten ostry odór brudnych mydlin ani zbielełe, pomarszczone od wody palce, ani zapach mokrego tynku ścian, przypominający spleśniałe suchary.

Rzecz dziwna: dopiero kiedy kapitan „Dynamit” Holmes przemaszerował dziarskim krokiem przez dziedziniec, świeżo wyprysznicowany, ogolony, wyszamponowany i wybluszczony, w lśniących wysokich butach – dopiero wtedy wszystko to zaczęło nagle Prewittowi dopiekać.

– Czołem, sierzancie Galowicz – uśmiechnął się Holmes stojący w progu.

– Ba-CZNOŚĆ! – huknął Ike, czyniąc z tego dwa osobne słowa i podrywając dumnie swe wielkostope, długorękie, rozlazłe ciało w wyprężoną karykaturę postawy zasadniczej. Ludzie nie przerwali pracy.

– Wszystko gra, sierzancie? – zapytał Holmes z lubością. – Pucujecie tu dla mnie na jutro?

– Tag jest! – warknął Ike z trudem, ponieważ wciąż sta! wyprężony, z kciukami na szwach spodni gdzieś w okolicy kolan. – Pracujemy. Wszystko ja robię wedle rozkazu dowódcy kompanii.

– Dobra – uśmiechnął się Holmes z zadowoleniem. – To świetnie. – Wciąż uśmiechając się z satysfakcją, podszedł do ściany, obejrzał ją i kiwnął głową. – Wygląda doskonale, sierzancie. Prima. Pracujcie tak dalej.

– Tag jest! – warknął Ike głosem pełnym czci, wciąż wyprężony. Wąska, baryłkowata, małpia pierś wydeła się tak, jak gdyby miała za chwilę pęknąć; Ike zasalutował sztywno, groteskowo, takim gestem, jak gdyby chciał sobie wybić dłonią oko.

– No, to róbcie swoje, sierzancie – uśmiechnął się z zadowoleniem Holmes. Wciąż z tym uśmiechem odszedł do kancelarii. „Stary Ike” ryknął „Ba-CZNOŚĆ!”, znowu dzieląc to na dwa słowa, a ludzie i teraz nie przerwali pracy.

Prew pocierał szmatą żwirowaty tynk, który przed chwilą obmył, i nagle mu to obrzydło, a szczęki zacisnęły mu się bez powodu. Czuł się tak, jak gdyby był świadkiem sodomickiego uwiedzenia dziewczęcego pederasty, któremu to przypadło do gustu.

– No dobra, chłopcy! – huknął dumnie Ike człapiąc tam i z powrotem za ich plecami. –

Macie wy mi się tu ruszać, rozumiano? Że tu gomedant gompanii przychodzi, to nie jest wymówka na roboty przerwanie. To służba porządkowa, nie wakacje.

Ludzie pracowali dalej, oswiale ignorując ten nowy wybuch, którego się spodziewali, tak jak oswiale ignorowali inne wybuchy, a Prew pracował wraz z nimi, dusząc się nagle od spowijającego go zapachu mokrego tynku. Zapraǳnął mieć parę pięknych, lśniących butów.

– Wy, Prewitt! – zawołał gniewnie Ike nie znajdując niczego innego do skrytykowania. – Ruszajcie no się. To służba porządkowa jest, nie wakacje w seminarium dla panien. Za często ja wam to powtarzać muszę. No, z życiem!

Gdyby Ike nie wymienił go po nazwisku teraz, kiedy Holmes siedział obok w kancelarii słysząc wszystko, Prew jakoś by to przełknął. Ale raptem te słowa zaczęły łomotać go w uszy, wciąż i wciąż, tak że miał instynktownie ochotę potrząsnąć głową, żeby się od nich uwolnić.

– Co, do cholery, mam sobie zapuścić drugą parę rąk, rany boskie? – powiedział nagle gwałtownie, słysząc ze zdumieniem własny głos przekrzykujący Ike'a, a jednocześnie widząc w duchu Wielkiego Boga Holmesa szczerzącego zęby przy biurku i słuchającego z rozkoszą swojego ulubionego sierżanta. Może raz dla odmiany zechce usłyszeć, co o tym ulubionym sierżancie myślą jego ludzie.

– Jak? – bąknął osłupiały Ike. – Że co?

– Właśnie, co – powtórzył szyderczo Prew. – Jeżeli chcecie, żeby wykonać tę robotę tak doskonale i tak prędko, to czemu sami się nie złapiecie za szczotkę, zamiast tu stać i wydawać rozkazy, których nikt nie słucha?

Ludzie automatycznie przestali pracować i równie automatycznie wpatrzyli się w niego, a on spojrział na nich czując, jak wypełnia go wściekłość, wiedząc teraz, czemu tak jest. Rozumiał, że to bezsensowne, absolutnie bezsensowne, nawet niebezpieczne, ale przez chwilę był dziko dumny.

– Słuchajcie no – rzekł Ike zachodząc w głowę, co powiedzieć. – Wy mi tu nie odszczekujcie. Do roboty i gębę wy na kłódkę trzymajcie.

– Wsadźcie to sobie w dupę – odparł wściekle Prew, wciąż mechanicznie pocierając szmatą ścianę. – Przecież pracuję. Co wam się zdaje, że ja tutaj bzdę w bambus?

– Co? – sapnął Ike. – Co?

– Co to, psiakrew, za awantury, Prewitt? Spocznij! – ryknął kapitan Holmes stając w drzwiach.

– Tag jest – warknął Ike podrywając się na baczność. – Ten bolszewik, on odpowiada podoficerowi.

– Co z wami jest, Prewitt? – zapytał nerwowo kapitan Holmes, na razie nie bacząc na

zniweczone złudzenia co do swego ulubionego sierżanta. – Wiecie, że nie wolno odpowiadać podoficerowi, i to takim tonem.

– Podoficerowi tak, panie kapitanie – wyszczerzył zaciekle zęby Prew, czując na sobie osiem par bacznych oczu. – Ale nigdy nie lubiłem, jak ktoś się do mnie przypieprzał. Nawet podoficer, panie kapitanie – doda! z naciskiem.

Warden ukazał się w drzwiach za Holmesem i stanął spoglądając na nich oczami przymrużonymi w zamyśleniu, daleki od tego wszystkiego.

Holmes miał taką minę, jak gdyby ktoś bez żadnego powodu chlusnął mu w twarz szklanką lodowatej wody. Brwi uniosły mu się z niedowierzaniem, oczy rozwarły szeroko, ze zgrozą, a usta rozchyliły ze zdumienia. Kiedy przemówił, głos drżał mu wyraźnie z wściekłości i zaskoczenia.

– Szeregowiec Prewitt, uważani, że winniście przeprosić zarówno sierżanta Galowicza, jak i mnie. – Przerwał i zaczekał.

Prew nic nie odpowiedział. Czuł skurcz w żołądku na myśl o tym, co ta głupia historia uczyni z jego szansami na dzień wypłaty, i zastanawiał się, co go, u licha, ugryzło, żeby urządzić podobną hecę.

– No? – odezwał się ostro Holmes. Był tym równie zdumiony jak wszyscy, równie zdumiony jak sam Prewitt i przed chwilą powiedział pierwszą lepszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy, ale tego nie mógł pokazać po sobie. Musiał brnąć dalej. – Przepróście, Prewitt.

– Nie uważam, żebym powinien kogoś przeproszać – odparł Prew z dzikim uporem. – Jeżeli może być mowa o przepraszaniu, to chyba należy się ono mnie – dokończył nie bacząc na nic, czując nagle ochotę do śmiechu z tej całej komedii przypominającej strofowanie dziecka przez matkę, która chce je przywołać do porządku. – Ale przecież tak zawsze nas traktują, no nie?

– Co takiego? – zawołał Holmes. Do głowy mu nie przyszło, że prosty żołnierz może odmówić. Nie wiedział teraz, co począć, podobnie jak Ike przed chwilą, a jego oczy, które już prawie wróciły do normalnych rozmiarów, rozszerzyły się bodaj bardziej niż przedtem. Spojrzał na Galowicza, jakby szukając pomocy, potem odwrócił się i zerknął na stojącego za nim Wardena, wreszcie popatrzył niezdecydowanie ku wyjściu z korytarza. Na galeryjce, na zydłu, siedział kapral Paluso, drugorzędny piłkarz pułkowy o dużej, płaskiej, zbójeckiej twarzy, której wyraz usiłował zatuszować wobec ludzi topornym, słoniowatym poczuciem humoru; przez całe rano nie pominął żadnej sposobności, żeby dokuczyć Prewowi podczas ćwiczeń, a teraz obrócił się i zajrzał do środka, jego zaś twarde oczy w zbójeckiej twarzy rozwarły się równie szeroko jak oczy wszystkich obecnych, jak oczy Holmesa.

– Kapral Paluso! – ryknął Holmes swoim głosem od musztry batalionu, głosem

najdonioślejszym w całym pułku.

– Na rozkaz, panie kapitanie! – odkrzyknął Paluso i zerwał się na równe nogi, jak dźgnięty nożem.

– Zaprowadzicie tego człowieka na górę, każecie mu spakować pełne oporządzenie polowe, ale pełne, z zapasową parą butów, hełmem i wszystkim, co należy, a potem weźmiecie rower i każecie mu maszerować przy sobie do przełęczy Kolekole i z powrotem. I dopilnujcie, żeby maszerował całą drogę. A jak wróci, przyprowadzicie go do mnie.

Była to dość długa przemowa jak na jego głos od musztry batalionu, przystosowany raczej do krótkich komend.

– Rozkaz, panie kapitanie – powiedział Paluso. – Idziemy, Prewitt. Prew zlął posłusznie z deski nie mówiąc ani słowa. Warden odwrócił się i z niesmakiem wycofał do kancelarii. Paluso poprowadził Prewa do schodów, a za nimi popłynęła z korytarza jak chmura pełna zgrozy cisza. Prew przygryzł wargi. Z szafki ściennej wyjął zrolowany koc, a spod łóżka tornister polowy. Ułożył to na podłodze i otworzył lekki tornister. Wszyscy obecni na sali podnieśli głowy i przypatrywali mu się w milczeniu, z uwagą, tak jak mogliby obserwować chorego konia poczyniwszy zakłady co do momentu jego śmierci.

– Nie zapomnijcie butów – powiedział Paluso przepraszającym tonem, takim głosem, jakiego używa się w obecności zwłok.

Prew zdjął buty ze stojaka pod skrzynką polową; musiał rozwinąć koc, żeby je włożyć do środka, a potem w śmiertelnej ciszy rolować całość na nowo.

– Nie zapomnijcie hełmu – powiedział z zakłopotaniem Paluso.

Prew przywiesił hełm na tornistrze pod menażką, dźwignął całą ciężką masę rzemieni i sprzączek, zarzucił ją sobie na plecy i poszedł wziąć karabin ze stojaka, pragnąc jedynie wydostać się z tej smutnej, przerażającej ciszy.

– Poczekaście, aż wezmę rower – rzekł Paluso tym samym tonem, kiedy schodzili po schodach.

Prew stanął na trawie i czekał. Sześćdziesiąt pięć czy siedemdziesiąt funtów oporządzenia obciążało mu plecy, już zaczynało tamować krążenie krwi w rękach. Do szczytu przełęczy było jakieś pięć mil. Na korytarzu wciąż panowała grobowa cisza.

– Okej – powiedział Paluso swym urywanym, służbowym głosem, ponieważ już byli na dole – Posuwamy.

Prew założył karabin na pas, po czym wyszli bramą dla ciężarówek, nadal ścigani przez ciszę. Na zewnątrz dziedzińca koszarowego reszta bazy krzątała się pilnie, jak gdyby nie zdarzył się żaden kataklizm. Minęli teatr garnizonowy, halę sportową, pułkowe pole ćwiczeń i ruszyli dalej drogą w słońcu; Paluso pedałowal zakłopotany obok Prewa, a przednie

koło roweru chybotąło się ustawicznie wskutek powolności jazdy.

– Chcecie papierosa? – zapytał Paluso niepewnie. Prew potrząsnął głową.

– No, weźcie. Psiakrew, nie macie powodu wściekać się na mnie. Dla mnie to wcale nie jest przyjemniejsze niż dla was.

– Ja się na was nie wściekam.

– To zapalcie.

– Dobra. – Prew wziął papierosa.

Paluso z wyraźną ulgą ruszył przodem na rowerze. Zaczął wyprawiać na nim różne sztuczki oglądając się i szczerząc zęby w swej wielkiej, zbójeckiej twarzy, usiłując go rozbawić. Prew uśmiechnął się blade. Paluso dał za wygraną i wrócił do monotonnego tempa, kołując się obok niego. Potem wpadł na inny pomysł. Wyprzedził Prewa o sto jardów, po czym zakręcił i wrócił szybko, odjechał sto jardów w tył machając ręką, kiedy go mijają, znowu zakręcił z powrotem pedałując co sił w nogach i wreszcie zahamował z poślizgiem obok Prewa. Kiedy mu się to znudziło, zsiadł i przeszedł kawałek pieszo.

Gdy na koniec dotarli do ostatniego stromego wzniesienia, które zachodziło kuliście w lewo do szczytu przełęczy, Paluso zatrzymał się i zsiadł z roweru.

– Możemy już stąd zawrócić. Nie ma sensu pruć aż na samą górę. On i tak się nie dowie.

– Cholera z nim – odparł ponuro Prew brnąc dalej. – Powiedział: przełęcz, będzie przełęcz.

Spojrzał na kamieniołom Obozu Karnego wrzynający się w zbocze wzgórze na prawo od zakrętu. „Tam będziesz jutro o tej porze. W porządku. Świetnie. Pieprzę ich wszystkich od góry do dołu.”

– Co wam się stało? – zapytał Paluso zły i osłupiały. – Zwariowaliście?

– Jasne – odkrzyknął.

– Ja tam nie będę popychał roweru pod górę – rzekł Paluso. – Zaczekam na was tutaj.

Więźniowie z Obozu, pracujący w gęstym pyłu, z wielkimi białymi literami P na plecach niebieskich bluz, odcinającymi się jak cel na tarczy, wykrzyknęli do nich coś kpiąco na temat służby karnej i ciężkiego życia w wojsku. Dopiero olbrzymi strażnicy z żandarmerii skłękali ich, uciszili i zapędzili z powrotem do roboty.

Paluso czekał u dołu wzniesienia paląc z niesmakiem papierosa, a Prew uparcie piął się sam jeden pod górę pocąc się teraz obficie na stromiźnie, aż wreszcie na szczycie uderzył w niego i ochłodził rzeźwy, nigdy nie słabnący powiew; stamtąd ujrzał raptownie opadający wężyk drogi, który zbiegał daleko w dół, co najmniej tysiąc stóp, między wielkimi, poszarpanymi złomami lawy aż do Waianae, gdzie byli we wrześniu, gdzie maszerowali co rok we

wrześniu na strzelanie ćwiczebne z cekaemów, które tak lubił; zakładał w komorę naboju ciężką, wyginającą się parcianą taśmę amunicyjną z identycznymi, brzęczącymi nabojami, z których co piąty pomalowany był na czerwono, lekko naciskał spust dużym i wskazującym palcem i czuł uchwyt targający się w dłoni, kiedy taśma sunęła w poprzek, strzelając ponad pustą wodą w holowane cele, a pociski smugowe kreśliły płaskie, meteorowe linie światła podczas nocnego strzelania. Odetchnął nieco rzeźwym powiewem, po czym zawrócił i czując, jak wiatr nagle ustał, zaczął schodzić ku miejscu, gdzie czekał Paluso.

Kiedy wrócili do koszar, kurtka Prewa i spodnie do kolan były przemoczone na wylot. Paluso powiedział: – Zaczekajcie tutaj – i poszedł się zameldować. Kapitan Holmes ukazał się wraz z nim, a Prew zdjął karabin z ramienia, stanął na baczność i dziarsko sprezentował broń.

– No – powiedział Holmes soczyście, z humorem. Ostre linie dobrotliwej wesołości tworzyły pobłażliwe kanty i zagłębienia w jego przystojnej, orlej twarzy. – Czy nadal uważacie, że powinniście udzielać podoficerom rad w sprawie kierowania ich drużynami, Prewitt?

Prew nie odpowiedział. Przede wszystkim nie spodziewał się humoru, nawet pobłażliwego humoru, a ludzie na korytarzu dalej szorowali ściany, tak samo jak przed dwiema godzinami, i wydawali się bardzo spokojni i bezpieczni w tej swojej nużącej, nudnej monotonii.

– Wobec tego przypuszczam – powiedział z humorem Holmes – że teraz jesteście gotowi przeprosić sierżanta Galowicza i mnie, prawda?

– Nie, panie kapitanie.

Dlaczego musiał to powiedzieć? Dlaczego nie mógł tego zostawić? Czy musiał żądać jeszcze więcej? Nie rozumiał, co robi, jakie to absurdalne?

Za jego plecami Paluso wydał zdumione chrząknięcie, po czym zaległa uciążliwa cisza. Oczy Holmesa rozszerzyły się ledwie dostrzegalnie; tym razem lepiej panował nad sobą, wiedział, czego się może spodziewać. Pobłażliwe kanty i zagłębienia w jego twarzy zmieniły się nagle i przestały być pobłażliwe czy wesołe.

Holmes skinął głową w stronę przełęczu.

– Zabierzcie go tam jeszcze raz, Paluso. Widocznie nie miał dosyć.

– Rozkaz, panie kapitanie – odrzekł Paluso puszczając jedną ręką kierownicę roweru, żeby zasalutować.

– Zobaczmy, jak będzie odpowiadał następnym razem – powiedział sucho Holmes. Czerwień znów napływała mu do twarzy. – Dzisiaj nie mam nic do roboty przez cały wieczór – dorzucił.

– Tak jest, panie kapitanie – rzekł Paluso. – Idziemy, Prewitt. Prew obrócił się i znowu ruszył za nim czując bezdenne obrzydzenie, czując się zmęczony, bardzo zmęczony.

– Cholera jasna – zaklął Paluso, gdy tylko się oddalili. – Wy jesteście stuknięci. Czysty wariat. Nie rozumiecie, że sami sobie podrzynacie gardło? Jeżeli was guzik obchodzi, co będzie z wami, to chociaż pomyślcie o mnie. Już nóg nie czuję – uśmiechnął się nieporadnie.

Tym razem Prew nie zdobył się nawet na błądny uśmiech. Rozumiał, że jeżeli istniała jakakolwiek szansa w ramach owego pobłażliwego humoru Holmesa, to teraz zniknęła ostatecznie, i że to jest właśnie to, że w taki sposób idzie się do Obozu. Przebrnął owe dziesięć mil dźwigając na plecach sześćdziesiąt pięć czy siedemdziesiąt funtów, a ta świadomość ciążyła mu dodatkowym brzemieniem.

Nie wiedział natomiast, co się zdarzyło w kancelarii, co wprowadziło Holmesa w ów pobłażliwy nastrój ani co się stało teraz, za drugim razem.

Twarz kapitana była nabiegła krwią do barwy czerwonej cegły, kiedy wkroczył z powrotem do kancelarii, a gniew, który zdołał ukryć przed Prewitem, spiętrzył się jak fala powodziowa pod mostem.

– Te wszystkie pańskie mądre pomysły, jak trzeba kierować ludźmi! – wrzasnął na Wardena. – Pańskie błyskotliwe pomysły co do sposobów obchodzenia się z bolszewikami!

Warden stał jeszcze przy oknie. Widział wszystko, co się stało. Teraz obrócił się pragnąc, aby ten Pysk czy może ten Miecz, ten Płomienisty Miecz poszedł precz pogadać z Ike'em, tak żeby on sam mógł otworzyć szafkę do akt i napić się whisky.

– Sierzancie – powiedział chrapliwie kapitan. – Proszę przygotować oskarżenie Prewitta do sądu wojkowego. Niesubordynacja i odmowa wykonania bezpośredniego rozkazu oficera. Chcę to mieć natychmiast.

– Tak jest, panie kapitanie – powiedział Warden.

– Papiery mają być przesłane do dowództwa pułku dziś po południu.

– Rozkaz, panie kapitanie – powiedział Warden. Podeszedł do szafki na akta, gdzie była bezużyteczna butelka. Wyjął cztery długie, podwójne arkusze formularzy, zamknął szufladę z butelką i zaniósł je do maszyny.

– Z takim człowiekiem nie można postępować przyzwoicie – mówił chrapliwie kapitan. – Bez przerwy rozrabia, odkąd trafił do tej kompanii. Pora dać mu nauczkę. W wojsku lwy się poskramia, a nie obłaskawia.

– Pan kapitan chce, żeby to skierować na sąd polowy czy specjalny? – zapytał obojętnie Warden.

– Specjalny – odparł Holmes. Twarz mu poczerwieniała jeszcze bardziej. – Chętnie

oddalbym tę sprawę do sądu najwyższego. Gdybym tylko mógł. Ach, te pańskie nadzwyczajne pomysły!

– Mnie to obojętne – wzruszył ramionami Warden zaczynając pisać na maszynie. – Mówiłem tylko, że w ciągu ostatnich sześciu tygodni mieliśmy już trzy sprawy sądowe i że to może nie za dobrze wyglądać w sprawozdaniach.

– Do cholery ze sprawozdaniem – nieomal krzyknął kapitan. Osiągnął już szczyt podniecenia. Teraz opadł wyczerpany na swój obrotowy fotel, odchylił się w tył i popatrzał w zamyśleniu na drzwi od korytarza, które przedtem starannie zamknął.

– Ja nie mam nic przeciwko temu – powiedział Warden wciąż pisząc. Tamten zdawał się nie słyszeć, ale Warden, stukając na maszynie, obserwował go uważnie, ażeby się przekonać, czy szczyt istotnie minął.

– Szkoda, że trzeba stracić takiego boksera wagi półśredniej – powiedział obojętnie, kiedy minęła już dłuższa chwila, podczas której kapitan wpatrywał się w drzwi w milczącym zamyśleniu. Wyjął arkusze z maszyny i zaczął układać kalkę przed rozpoczęciem drugiej strony.

– Co? – zapytał Holmes podnosząc głowę. – Jak to?

– Ano, bo przecież będzie jeszcze w mamrze, kiedy przyjdą zawody kompanijne, prawda? – rzekł obojętnie Warden.

– Szlag by trafił zawody kompanijne – powiedział kapitan. – No, dobrze – dodał. – W takim razie niech pan skieruje do polowego.

– Kiedy już napisałem – odparł Warden.

– To niech pan zmieni, sierżancie – rzekł Holmes. – Chyba pan nie chce, żeby przez pańskie lenistwo człowiek oberwał o pięć miesięcy więcej w Obozie?

– Rany boskie – powiedział Warden. Podarł papiery i poszedł po nowe. – Te zakute góralskie łby z Kentucky sprawiają człowiekowi więcej kłopotu niż cały pułk Murzynów. Można było równie dobrze zostawić specjalny, bo i tak pobłażliwość nie da z takim żadnych wyników.

– Musi dostać nauczkę – rzekł Holmes.

– Jasne jak słońce – powiedział Warden z zapalem. – Tylko z tymi gośćmi jest ta bieda, że nigdy się niczego nie nauczą. Za wielu ich widziałem idących za kratki, i nic, tylko robią swoje. Ledwie pochodzą na wolności ze dwa tygodnie, a już tam wracają. Prędzej się dadzą zabić, niż uznają, że nie mieli racji. Tyle w nich rozumu co w jakimś cholernym mule. Zanim pan go przygotuje do zawodów pułkowych w grudniu, znowu zrobi jakąś grandę i pójdzie pod klucz, żeby z panem wyrównać rachunek. Za wielu widywałem tych chłopaków z gór. Są zagrożeniem wolności całego tego kraju.

– Gównu mnie obchodzi, co on zrobi! – wrzasnął kapitan prostując się w fotelu. – Pieprzę zawody pułkowe, pieprzę całe pieprzone mistrzostwa. Nie będę znosił takiego zuchwalstwa. Nie muszę tego znosić. Jestem oficerem w tej armii, a nie jakimś ordynansem. – Czerwone znamię zniewagi znów wystąpiło mu na twarz. Patrzył zaciekle na Wardena.

Warden odczekał wyliczając dokładnie moment według koloru jego twarzy, a potem powiedział z naciskiem kapitanowi to, co ten myślał.

– Pan kapitan w to nie wierzy – rzekł cicho, ze zgrozą. – Pan jest po prostu rozżłoszczony. Nie powiedziałby pan czegoś podobnego, gdyby pan nie był wściekły. Przecież pan nie chce ryzykować utraty mistrzostwa następnej zimy tylko dlatego, że pan jest rozwścieczony.

– Rozwścieczony! – powtórzył tamten. – Rozwścieczony, powiada. Rany boskie, sierżancie! – Potarł rękami twarz, jak gdyby wymacując jej przekrwienie. – Niech będzie – rzekł. – Pewnie pan ma rację. Nie ma sensu tracić głowy, wybuchać za wcześnie i robić samemu sobie na złość. Może on w ogóle nie chciał nikogo obrazić. – Westchnął. – Zaczął pan już wypisywać te drugie formularze?

– Jeszcze nie, panie kapitanie – odrzekł Warden.

– To może niech pan je odłoży.

– Pan kapitan powinien mu przynajmniej dać jakąś surową karę wewnętrzną w kompanii – powiedział Warden.

– Ach – powiedział Holmes gwałtownie. – Gdybym nie był instruktorem bokserskim w tej kompanii, dopiero bym mu pokazał! A tak wykpi się z tego diablo tanim kosztem. No, dobra. Niech pan zapisze to do księgi kar kompanii. Trzy tygodnie zakazu opuszczania koszar. Ja teraz idę do domu. Do domu – powtórzył, jakby do siebie. – Proszę go jutro wezwać, to z nim pomówię i podcyfruję to w księdze.

– Dobrze, panie kapitanie – odparł Warden – jeżeli pan uważa, że tak to trzeba załatwić.

Wyjął z biurka księgę kar kompanii w twardej skórzanej oprawie, otworzył ją i wziął pióro. Kapitan uśmiechnął się do niego blado i wyszedł, a Warden zamknął księgę, schował ją do biurka i podszedł do okna, aby popatrzeć na Holmesa idącego dziedzińcem do domu poprzez wydłużające się przedwieczorne cienie. W pewnym sensie było mu go nieledwie żal. No, ale przecież sam tego chciał.

Kiedy nazajutrz Holmes zażądał księgi, Warden ją wyjął i otworzył. Wtedy odkrył, że stronica jest pusta. Z zawstydzoną miną wyjaśnił, że miał do załatwienia inne rzeczy i zapomniał o tym. Holmes wstąpił po drodze do Klubu i śpieszył się. Kazał Wardenowi przygotować to na jutro. „Tak jest – powiedział Warden. – Zaraz się do tego wezmę.” Wyjął

pióro. Kapitan wyszedł. Warden odłożył pióro.

Następnego dnia Holmes zupełnie o tym zapomniał w nawale świeższych spraw.

Warden zastanowiwszy się nad własnym postępowaniem doszedł do wniosku, że wcale go nie obchodziło, czy ten smarkacz dostanie trzy tygodnie zakazu, czy nie. W gruncie rzeczy trzytygodniowy zakaz opuszczania koszar najprawdopodobniej wyszedłby Prewittowi na dobre. Zwłaszcza że, jak mu powiedział Stark, chłopak zadurzył się w tej wypindrzonej kurwie od pani Kipfer. Trzy tygodnie siedzenia w koszarach wystarczyłoby, żeby mu to wywietrzało z głowy. Warden żałował teraz, iż postawił sobie za zadanie wyciągnąć Prewitta na czysto z tej historii. Wcale mu nie współczuł. Prewitt sam był sobie winien. Tracić głowę dla jakiejś cwanej kurwy od pani Kipfer! To było akurat podobne do tego cholernego szczeniaka. Prewitt nie tylko sam chciał tego, co go spotkało, ale wręcz dopraszał się o to na klęczkach. Warden prychnął ze złością.

Kiedy Prewitt wrócił po raz drugi z przełęczu, stwierdził z ulgą, że Holmesa już nie ma. Paluso także odetchnął. Szybko zwolnił Prewitta i pognął do kantyny, żeby nie być pod ręką. Ani jeden, ani drugi nie miał pojęcia, że już jest po wszystkim. Prew przykuśtykał na górę, rozpakował plecak, pochował wszystkie rzeczy, wziął prysznic, przebrał się w czysty mundur i wyciągnąwszy się na pryczy czekał na oficera służbowego albo na sierżanta z warty. Kiedy nie przyszli po niego do kolacji, pojął, że już nie przyjdą. Czekał półtorej godziny.

Gdy rozległ się gwizdek na kolację, zrozumiał, że coś stało pomiędzy nim a losem. Jedyną możliwą odpowiedzią było, że uczynił to Warden, który uznał za stosowne zainterweniować z jakichś tam swoich niejasnych, mętnych pobudek. „Nie mam pojęcia, dlaczego się wtrąca, psiakrew – myślał gniewnie Prew wlokąc się na dół na kolację. – Czemu nie pilnuje tego swojego wielkiego nosa?”

Po kolacji wyciągnął się znowu na pryczy, składając ciężko na kocu zmęczenie swoich nóg. Wtedy to przyszedł do niego Maggio i złożył mu gratulacje.

– Człowieku, ale jestem z ciebie dumny – powiedział Angelo. – Tylko żałuję, że sam tego nie widziałem, nic więcej. Gdyby nie ten sukinkot, morderca języka angielskiego, Galowicz, też bym tam był. Ale i tak jestem z ciebie dumny.

– Uhm – odrzekł Prew ze znużeniem. Wciąż jeszcze usiłował dociec, jakim cudem się wywinął. Nie tylko dał im sposobność do naznaczenia mu na dzień wypłaty karnej służby, którą mógłby jeszcze dostać, ale także i najlepszą podstawę, o jakiej mogli marzyć, do wysłania go ekspresowo do Obozu. Pomimo wszystkich wielkich postanowień, że będzie żołnierzem doskonałym, i górnych planów, że ich zmęczy: „I to, proszę zauważyć, nie po miesiącu, nie po tygodniu, nawet nie po dwóch Obróbki – mówił do siebie – ale od razu pierwszego popołudnia.” Uświadomił sobie, że to nie będzie takie łatwe, jak się zdawało.

Najwidoczniej Obróbka kryła w sobie różne subtelności. Najwidoczniej była tak obmyślona, żeby ją móc regulować według ludzkiej natury przebiegłej, niż podejrzewał. Poza tym w sposób żalosny nie docenił umiejętności jej stosowania albo, co jeszcze gorsze, grubo przecenił własną siłę woli w jej zwalczaniu. Obróbka najwidoczniej koncentrowała całą swą siłę na najmocniejszym punkcie człowieka – na jego ludzkiej dumie. Czyżby to właśnie było u niego także i punktem najsłabszym?

Gdy o tym myślał, ogarniało go jakieś przerażenie wobec własnej całkowitej nieudolności, zagłuszało nawet strach przed Obozem, kiedy przestawał napompowywać się poczuciem krzywdy.

Następnego dnia stanął na ćwiczenia smutniejszy, ale bogatszy o doświadczenie. Porzucił wszelką myśl o wyleczeniu tamtych czy daniu im nauzki. Nie miał już nadziei ani nie spodziewał się natychmiastowego zwycięstwa. Kiedy Obróbka zaczęła się na nowo od tego punktu, w którym przerwano ją wczoraj, on zaś powrócił do roli żołnierza doskonałego, toczył jedynie akcję opóźniającą, a pod tłącą się z wolna, bezmowną, samorodną nienawiścią, która była jego jedyną obroną, trwała tylko myśl o Lorene i dniu wypłaty, i to go rozgrzewało jak dobry, mocny trunek, było jak ogień, przy którym mógł się rozgrzać w obronie przed owym upałem nienawiści, co z wolna go zamrażało.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W dniu wypłaty kończy się zajęcia o dziesiątej rano. Bierze się prysznic, goli się, raz jeszcze myje zęby, wkłada starannie najlepszy mundur uważając, żeby prawidłowo zawiązać piaskowy krawat. Potem, już w mundurze, czyści się pracowicie paznokcie, by wreszcie wyjść i stanąć w słońcu na kompanijnym dziedzińcu i czekać, aż zaczną wypłacać żołd, przez cały czas bardzo uważając na węzeł krawata i na paznokcie, bo każdy wypłacający oficer z kompanii ma swoje małe idiosynkrazje przy osobistym przeglądzie, choć dzień wypłaty nie jest regularnym dniem inspekcji. Dla jednych są to buty, dla drugich kant na spodniach, dla innych ostrzyżenie włosów. Dla kapitana Holmesa był tym węzeł krawata i paznokcie, i chociaż nawet gdy był z nich niezadowolony, nie wstrzymywał wypłaty ani nie robił nic podobnego, jednakże winowajca dostawał surowe upomnienie i musiał zawrócić na koniec kolejki.

W dzień wypłaty ludzie rozmawiają z podnieceniem o tym półświęcie, zbierając się w małe grupki, które nie potrafią ustać spokojnie, rozłamują się i tworzą nowe łącząc się z częściami innych grup i wciąż się zmieniają nie mogąc wytrzymać w miejscu, z wyjątkiem tych, co pożyczyci innym pieniądze na wysoki procent i teraz oczekują jak sępy u kuchennego wyjścia, którym każdy musi przechodzić. Wreszcie trębacz służbowy zbliża się do megafonu na dziedzińcu w jaskrawym porannym słońcu (rzecz dziwna, bardziej rozjarzonym niż któregośkolwiek innego rana) i gra sygnał na wypłatę.

„Wy-pła-ta – mówi trąbka. – Wy-pła-ta. Co zro-bić z pi-ja-nym żoł-nie-rzem? Wy-pła-ta!”

„Wy-pła-ta – odpowiada trąbka. – Wy-pła-ta. Zamknąć go na war-tow-ni, aż wy-trzeź-wieje. W-yp... ł-a-t-a!”

Wtedy ruch i podniecenie wzrastają jeszcze bardziej (o, trębacz odgrywa tu wielką rolę, ważną, tradycyjną, doniosłą rolę, nabrzmiałą przeszłością, wszystkimi minionymi stuleciami żołnierki) i ukazuje się Warden niosący koc z kancelarii do kantyny, a za nim Mazzioli, który kroczy z listą żołdu niczym szambelan z wielką pieczęcią, wreszcie „Dynamit” w lśniących butach, z czarną torbą w ręku, uśmiechnięty dobrotliwie. Trzeba im dłuższej chwili, żeby się roztasować, poprzestawiać stoły, rozłożyć koc, odliczyć srebro i poukładać w pliki zielone banknoty, przygotować dla Wardena do zainkasowania listę kredytowych kwitów na przydziały z kasyna – ale ludzie już zaczynają stawać w kolejce według szarzy, najpierw podoficerowie, potem starsi szeregowcy i szeregowcy w jednej grupie, przy czym każda grupa ustawia się przynajmniej raz bez kłótni i przepychania, w

porządku alfabetycznym.

I w końcu zaczynają wypłacać, i kolejka posuwa się bardzo powoli, aż wreszcie stajecie na progu mrocznego kasyna, kiedy żołnierz przed wami otrzymuje żołd, i wreszcie wywołują wasze nazwisko, wy odpowiadacie pierwszym imieniem, inicjałem drugiego i numerem seryjnym, podchodzicie do „Dynamita” i salutujecie stojąc sztywno na baczność, podczas gdy on ogląda was od stóp do głów, pokazujecie mu paznokcie, a „Dynamit” zadowolony wypłaca żołd i rzuca jeden ze swoich ulubionych dowcipów w rodzaju: „Zaoszczędźcie tyle, żeby dojechać do miasta” albo: „Nie przepijcie tego wszystkiego w jednym lokalu. „ O, „Dynamit” to żołnierz, to żołnierz starej szkoły. A potem już mając w ręku te pieniądze (minus potrącenie za pranie, minus ubezpieczenie, minus dolar na fundusz kompanijny), na które trzeba było zapracować przez cały miesiąc i na których wydanie ma się resztę tego dnia, przechodzicie wzdłuż długiego, nakrytego kocem stołu do Wardena, który pobiera zapłatę za kwity przydziałowe wykorzystane w ciągu miesiąca, choć wcale nie chcieliście ich wykorzystać (a nawet w poprzedni dzień wypłaty przyrzekliście sobie nie wykorzystywać w tym miesiącu), ale które jednak wykorzystano się, kiedy je wydano dziesiątego i dwudziestego. Później przez kuchnię na galeryjkę, gdzie ciężki kapitał finansowych magików i lichwiarzy, takich jak Jim O'Hayer, Turp Thornhill, i w mniejszym stopniu, który właściwie stanowi tylko hobby – Champ Wilson, również ściąga swój haracz z topniejącego zasobu.

Dzień wypłaty. To prawdziwa okazja; nawet waśń ze sportowcami schodzi wtedy na dalszy plan. W podłużnej, nisko sklepionej cienistości koszarowej sali, za której oknami jaskrawo świeci słońce, ludzie gorączkowo zrzucają piaskowe mundury i naciągają cywilne ubrania, i już wiadomo, że w południe będzie tylko niewielu na posiłku, a wieczorem prawie nikogo poza tymi, którzy przegrają w karty.

Z otrzymanych trzydziestu dolarów zostało Prewowi po spłaceniu długów dokładnie dwanaście i dwadzieścia centów. Te pieniądze, które nie wystarczyłyby mu nawet na całonocny seans z Lorene, pobłogosławił niemal na klęczkach i zaniósł do O'Hayera.

W szopach, tandetnie zbudowanych po drugiej stronie uliczki, naprzeciwko świetlicy, na paśmie wyżsialej ziemi między uliczką a wąskotorową kolejką garnizonową, gra szła w całej pełni. Ćwierćtonowe ciężarówki zaopatrzeniowe już dawno przeniesiono do pułkowego parku samochodowego, wielkie szpule z kablem telefonicznym ustawiono porządnie na dworze, trzydziestosedmiomilimetrowe działka przeciwpancerne (częściowo te stare, dobrze znane, o krótkich lufach i stalowych kołach, a częściowo nowe, długolufowe, z ogumionymi kołami, wyglądające dziwnie i obco jak zdjęcia broni niemieckiej w „Life'ie”) wytoczono na zewnątrz i przykryto plandekami, a naganiacze wynajmowani za dolara od godziny

wykrzykiwali bez przerwy przed każdą szopą niczym przed budą cyrkową: „Prosimy do śródeczka! Poker, dwadzieścia jeden, domino, wszyscy do śródeczka! Popróbujcie szczęścia, chłopcy!”

U O'Hayera pięć stolików do gry w dwadzieścia jeden pracowało pełną parą. Pod lampami zaopatrzonymi w zielone klosze prowadzący grę, w zielonych daszkach na czołach, wywoływali karty monotonnym, cichym głosem, który rozlegał się na tle szumu rozmów. Obydwa stoliki do kości obsiedli trzema rzędami gracze, a stoliki do pokera musiały obsłużyć więcej chętnych, niż było wolnych miejsc.

Stojąc w progu Prew myślał o tym, że w połowie miesiąca wszystkie te pieniądze przejdą w ręce kilku grubo wygranych, którzy zasiądą do tego stolika, gdzie teraz grał O'Hayer, a jego najemny pomocnik rozdawał karty. Wygrywający zjeżdżali się zewsząd, nawet z miejsc tak odległych jak Hickam i Fort Kamehameha, Shafter i Fort Ruger. Uczynią z tego największą grę w całej bazie, jeżeli nie na całej Wyspie. Na myśl, że mógłby być jednym z nich, coś go ścisnęło w żołądku. Zdarzyło mu się to raz, ale tylko raz jeden, w Myer. Postanowienie, żeby wygrać tylko tyle, ile trzeba na wyjazd do miasta, i przestać, zachwiało się w nim i zwałtało, i gdyby nie twarda determinacja, wzmocniona obrazem Lorene, rozwiałyby się całkowicie.

Przez dwie godziny pracował metodycznie przy stoliku do dwadzieścia jeden (umyślnie monotennie, umyślnie bez rozmachu) stawiając drobne stawki, aby powiększyć swoje dwanaście dolarów do dwudziestu, które były niezbędne, aby zasiąść do pokera. Następnie przeniósł się do stolika, przy którym grał O'Hayer, aby tam czekać na wolne miejsce, co nigdy nie trwało długo w dzień wypłaty, kiedy większość graczy była takimi jak on sam drobnymi płótkami, ze stawką, którą chcieli się wgrzyźć w kapitał tego potentata. Jeden po drugim zgrywali się do nitki i odpadali. Prew czekał bez podniecenia, obiecując sobie twardo, że jeśli wygra dwie kolejki, odejdzie, bo dwukrotna wygrana w tej grze musiała mu dać tyle, że wystarczyłoby aż nadto na dzisiejszą noc i jeszcze zostałyby coś na dobry weekend (dzisiaj jest czwartek) albo sobotni wieczór i noc (i może niedzielę, gdyby się zgodziła, może na plażę razem z nią) z Lorene. Tylko dwie wygrane. Wszystko to sobie obmyślił.

Kuliste zielone sukno, z wycięciem na miejsce dla rozdającego karty, było usiane rulonami pięćdziesięciocentówek i srebrnych dolarów oraz czerwonych dwudziestopięciocentowych sztonów plastikowych, służących do wypłacania stawek. Migotały ironicznie odbitym w nich blaskiem lampy z zielonym szklanym kloszem, jaskrawoczerwone i srebrne na tle miękkiego, chłonnego światła sukna. Prew spostrzegł wśród graczy Wardena i Starka. Jim O'Hayer siedział swobodnie, z zawadiackim, kosztownym zielonym daszkiem,

nasadzonym na bakier nad zimnymi, ścisłymi, matematycznymi oczami, i ustawicznie przekładał jeden na drugi dwa srebrne dolary, z brzękiem, który wżerał się w nerwy.

Wreszcie Stark, w kapeluszu nasadzonym na oczy, odsunął swój cztero-nożny zydel kasynowy i zadał sobie cios ostateczny:

– Miejsce wolne.

– Chyba nie odchodzisz? – zapytał cicho O'Hayer.

– Nie na długo – odrzekł Stark patrząc na niego w skupieniu. – Tylko pożyczę trochę pieniędzy.

– No, to tymczasem – wyszczerzył zęby O'Hayer. – Powodzenia.

– Dziękuję ci, Jim – powiedział Stark.

Któryś z kibiców szepnął, że Stark przegrał w ciągu ostatniej godziny całe sześćset dolarów, które udało mu się zgromadzić od dziesiątej. Stark łypnął na niego, kibic zamilkł, a Stark z wolna przepchał się przez ścisk, wciąż z tą zamysloną miną.

Prew wsunął się na wolne sześciusetdolarowe miejsce rozmyślając mgliście, czy to nie omen, i jak mógł najskromniej popchnąć swoją mizerną dziesięciodolarówkę i dwie piątki ku rozdającym karty. W dzień wypłaty prowadzący grę ustalali niską sumę wejściową, żeby każdy mógł się do gry, ale wytrzeszczali wzgardliwie oczy na czyjeś dwadzieścia dolarów, kiedy się z tego skorzystało. Prew dostał z powrotem piętnaście srebrnych dolarów, sześć poówek i osiem plastikowych sztonów i kiedy ich dotykał palcami, nie miał już za złe tego upokorzenia, bo owa dawna, dobrze znana alchemia, najlepsze lekarstwo na życiowe zmartwienia, działała na niego, kiedy dorzucał jeden czerwony szton do innych. Serce biło mu szybciej głośniejszymi, silniejszymi uderzeniami, i odzywało się echem w uszach. Rumieniec hazardzisty wystąpił mu na twarz nadając jej gorączkowy wygląd. We wnętrzościach czuł pustkę, niejako stał na krawędzi, na której świat zatrzymywał się w bezruchu.

„Tutaj – myślał – właśnie tu, i tylko tu, zawarta w tych kartonikach rozrzuconych grzbietem do góry po stole, a rządzonych przez niewiadome prawa czy przez kapryśne boginie, leży nieskończoność, tajemnica życia i śmierci, to czego szukają uczeni – tutaj, pod twoją dłonią, jeżeli tylko potrafisz to wyczuć, przeniknąć coś, co jest nieprzeniknione. Za chwilę możesz wygrać tysiąc dolarów. Jeszcze prędzej możesz zostać bez centa. I każdy, kto by tylko potrafił zrozumieć przyczynę, ścisłałby rękę Bogu.”

Przed wygrywającymi leżały grube stosy banknotów przyciśniętych srebrem. Widok szeleszczących papierków, tak ważnych w życiu, napęlał go chciwym pragnieniem zabrania sobie tych przyjemnie pachnących zwitków, nie dla tego, co można za nie dostać, ale dla ich własnej śliczności. Wszystko to zawarte było w powolnym, odmierzonym, nieubłaganym

podaniu kart, podobnym do niespiesznego, ale nieuchronnego rytmu czasu tętniącego w uszach bardzo starego człowieka.

Wokoło stołu, dwa razy po dziesięć kart. Czyjś zegarek tykał głośno. A znane, swojskie twarze przybierały nowy wyraz, stawały się obce. Jaskrawe światło tworzyło dziwne cienie pod niewzruszonymi brwiami i nosami, czyniąc z każdego gracza bezokiego człowieka z zajęczą wargą. Nie zna! tych ludzi. To nie był Warden ani O'Hayer, tylko bezcielesne dłonie przesuwające wierzchnią kartę pod zakrytą, by zerknąć na nią sekretnie, tylko odłączona od ręki dłoń układająca z brzękiem rulon pięćdziesięciocentówek jedna na drugiej, a potem podnosząca je i brzękająca nimi znowu i znowu, bez końca, miarowo, w zamyśleniu. Niepojęty dreszcz przebiegł mu po krzyżu i nagle cała udręka, jaką stało się jego życie w ostatnich dwóch miesiącach, opadła zeń, martwa, zapomniana.

W jego puli było prawie sto pięćdziesiąt dolarów. O'Hayer wygrał drugą, mniejszą. Warden spojrział na O'Hayera, potem na niego i parsknął z niesmakiem. Prew wyszczerzył zęby zgarniając wygraną i powtórzył sobie w myśli, że jeśli wygra raz jeszcze, wstanie od stołu i wyjdzie, a wtedy Warden będzie mógł parskać sobie naprawdę.

Nie musiał wygrywać ponownie. To, co miał z pierwszej gry, wystarczało aż nadto. Ale obiecał sobie dwie kolejki, nie jedną, więc został. Jednakże drugiej nie wygrał; wygrał ją Warden, a Prew stracił czterdzieści dolarów, czyli zostało mu ledwie około stu, więc teraz druga wygrana była mu potrzebna, toteż został. Nie wygrał jednak i trzeciej kolejki ani czwartej, nie wygrał także i piątej. Spadł poniżej pięćdziesięciu dolarów, zanim nareszcie przyszła wygrana.

Zgarniając pieniądze wytchnął z siebie całe napięcie, które w nim narastało w miarę kurczenia się jego kapitału; zaczynał przypuszczać, że nigdy już nie wygra. Teraz jednakże miał porządną rezerwę, którą mógł coś zdziałać. Druga wygrana wywindowała go do dwustu dolarów z górą. Dwieście to był nie lada kapitał. Zaczął grać ostrożnie, ważąc każde wyjście. Rozkoszował się grą niezmiernie, zagubił się zupełnie w tym rozlubowaniu, walczył swym mózgiem z bezcielesnymi mózgami, które miał przeciw sobie.

Był to prawdziwy poker, twardy, monotony, nieemocjonujący, i rozkoszował się nim rzeczywiście, i grał uważnie, przegrywając trochę, odgrywając się nieznacznie od czasu do czasu, stawiając teraz na moment, kiedy wygra naprawdę dużo i wstanie od stolika.

Wiedział, rzecz jasna, przez cały czas, że to nie może trwać bez końca, dwieście dolarów nie było wystarczającą rezerwą wobec sumy zaangażowanej w tę grę, ale chciał tylko jeszcze jednej dużej wygranej, takiej jak dwie pierwsze, takiej, która byłaby większa, bo teraz miał więcej pieniędzy, takiej, po której mógłby wstać ostatecznie i wyjść. Gdyby był wygrał dwie pierwsze kolejki, tak jak sobie zakładał, byłby przerwał wtedy, ale wygra! tylko jedną i

teraz chciał jeszcze tej jednej, tej ostatniej, żeby odejść, zanim wpadnie.

Jednakże nim nadeszła ta wielka wygrana, na którą czekał, ażeby przerwać grę, Prew wpadł i to na dobre.

Ostatnia kolejka kosztowała go okrągło dwieście, zostało mu około czterdziestu dolarów. Odsunął zydela daleko, po czym wstał.

– Miejsce wolne.

Brwi Wardena drgnęły, po czym uniosły się chochlikowato.

– Przykro mi robić ci coś takiego, chłopaku, naprawdę. Gdybym tak cholernie nie potrzebował pieniędzy, zwróciłbym ci, jak Boga kocham.

Wszyscy roześmieli się dokoła stolika.

– Ech, zatrzymajcie to sobie, szefie – odrzekł Prew. – Wygraliście, to wasze. Skończyłem – powiedział do rozdającego karty, mówiąc sobie w duchu: „Dlaczegoś nie wstał, sukinsynu, po tej drugiej wygranej, tak jak sobie obiecywałeś?”, i myśląc, że nie jest to zbyt oryginalny wyrzut.

– Co ci jest, chłopie? – zapytał Warden. – Wyraźnie źle wyglądasz.

– Po prostu jestem głodny. Nie byłem na obiedzie. Warden mrugnął do Starka, który wrócił przed chwilą.

– Teraz już za późno na obiad. Może lepiej zostańcie? Odegrajcie się trochę. Czterdzieści, pięćdziesiąt dolarów to nie jest wielka zdobycz.

– Wystarczy na to, czego mi potrzeba – odrzekł Prew. Dlaczego nie przestał? Dlaczego musiał się uprzeć? Pieprzony, cholerny bałwan.

– No tak, ale na flachę też wam potrzeba, nie? Psiakrew, przecież jesteśmy tu sami przyjaciele, po prostu przyjacielska partyjka dla rozrywki. Prawda, Jim?

Prew widział oczy Wardena zmrużające się promienistymi zmarszczkami, kiedy patrzył na szulera.

– Jasne – odrzekł obojętnie O'Hayer. – Jeżeli ktoś ma pieniądze na przyjacielską grę. Rozdawaj karty.

Warden roześmiał się cicho, jakby do siebie.

– Widzicie? – powiedział do Prewa. – Żadnego podrzynania gardła. Żadnego szulerstwa. Wystarczy zaledwie dwudziestak.

– Nie da rady – odparł Prew. Już chciał mu powiedzieć: „Mam owdowiałą matkę”, ale i tak by go nie usłyszał. Karta zaczynała już bowiem wylatywać z talii.

Kiedy odchodził, Stark trącił go serdecznie pod żebro, mrugnął i wsunął się na jego miejsce.

– Stawiam pięćdziesiąt – powiedział Stark do rozdającego karty. Na dworze powietrze

wolne od dymu i pary oddechów oblało Prewa jak zimna woda. Nabrał głęboko tchu ocknąwszy się nagle, po czym wypuścił powietrze z płuc usiłując wyrzucić wraz z nim męczący, nieznośny niepokój, który go pchał z powrotem. Nie mógł się wyzbyć uczucia, że przed chwilą utracił dwieście ciężko zapracowanych dolarów na rzecz tego drania Wardena. „Daj spokój, przestań – powiedział do siebie. – Nie straciłeś ani centa, masz dwadzieścia dolarów na plusie, dosyć na dzisiejszy wieczór, więc chodźmy stąd.”

Powietrze orzeźwiło go i pojął teraz wyraźnie, że przecież to nie żaden osobisty konflikt, że to jest gra w pokera, a nie można obrobić wszystkich, w końcu cię zawsze obrobiją. Przeszedł dookoła szop na chodnik, a potem na drugą stronę ulicy. Już nawet doszedł do świetlicy, położył dłoń na klamce i uchylił drzwi, gdy wreszcie uznał, że nie ma co się zwodzić, i zatrzasnąwszy je gniewnie obrócił się na pięcie i ze złością ruszył z powrotem do O'Hayera.

– Patrzcie, kto tu przyszedł – wyszczerzył zęby Warden. – Spodziewałem się, że was zobaczymy. Jest tam gdzie wolne miejsce? Niech no któryś wstanie i odstąpi stołek temu staremu szulerowi.

– A, zamknijcie się – powiedział z wściekłością Prew i wsunął się na miejsce innego przegranego, który wycofał się i uśmiechał żałośnie do Wardena z miną człowieka, który pragnie postąpić jak należy i okazać się równym chłopcem, ale widzi, że to trudna sprawa.

– No, jazda, jazda – powiedział Prew. – Na co czekamy? Zaczynamy tę hecę.

– Człowieku! – zawołał Warden. – Mówisz tak, jakby cię świerbiło do wielkiego lania.

– Tak jest. A wy pilnujcie siebie. Jestem rozgrzany. Niech pierwszy stawia.

Ale nie był rozgrzany i dobrze to wiedział; był tylko wściekle rozdrażniony, a to jest różnica, i wystarczyło mu ledwie piętnaście minut i trzy kolejki, żeby przegrać całe czterdzieści dolarów, tak jak to przewidywał. Tam gdzie przedtem grał z zadowoleniem, zagubiony w doznawanej przyjemności, smakując każdy moment – teraz grał z upartą zaciekłością, o nic nie dbając, zły nawet na stratę czasu przy rozdawaniu kart. Grając w ten sposób nie wygrywa się w pokera, toteż wstał z upragnionym uczuciem ulgi, które przychodzi z pełnym splukaniem i możliwością odejścia.

– Teraz mogę iść do domu i położyć się do łóżka. I spać.

– Co? – zawołał Warden. – O trzeciej po południu?

– Jasne – odrzekł Prew. Więc to dopiero trzecia? A on myślał, że już po capstrzyku. – Czemu nie? – zapytał.

Warden prychnął wzgardliwie.

– Smarkacze nigdy nie chcą mnie słuchać. Mówiłem wam, żebyście dali spokój, kiedy

byliście wygrani. A bo to mnie posłuchacie?

Prew pchnął za sobą rozklekotane drzwi ucinając tę gadaninę, żałując, że nie może się zdobyć na nienawiść do tego drania Wardena; przypomniał sobie raptem, że w tej pasji zapomniał skorzystać z bezpłatnego sandwicza i kawy, które u O'Hayera wydawano grającym. Teraz jednakże nie chciał już tam wracać.

Przypomniał też sobie nagle szereg innych rzeczy, które chciał opłacić częścią tych pieniędzy, nim je zaryzykował. Potrzebował kremu do golenia, nowego pędzla, nowej ściereczki do butów i chciał zrobić sobie zapas papierosów. Szczęście, że miał jeszcze karton duke'ów odłożonych na czarną godzinę.

„Bo jesteś załatwiony, Prewitt – powiedział do siebie. – Forsa poszła, harmonii pieniędzy nie ma, jesteś wykończony aż do przyszłego miesiąca i teraz nie będzie dla ciebie Lorene. A ona następnego miesiąca może już się wycofać i wrócić do Stanów.”

Wepchnął wściekle ręce w kieszenie i namacał trochę drobnych, małą garść dziesiątaków i pięciocentówek, wydobył je i obejrzał zastanawiając się, na co mogą się przydać. Było tego dość na groszową grę w latrynie, ale pojął, jak bardzo jest beznadziejne przemienienie kiedykolwiek tej garstki w dwieście sześćdziesiąt dolarów, więc cisnął ją zaciekle na tor kolejowy, i z satysfakcją patrzył, jak monety rozsypały się niby śrut połyskujący srebrem, a potem z zadowoleniem usłyszał ich brzęk o szyny. Zawrócił do koszar. Lorene czy nie Lorene, poker czy nie poker, jedno jest pewne: nie będziesz pożyczał żadnych pieniędzy na dwadzieścia procent. Nie pożyczasz na dwadzieścia procent, odkąd znalazłeś się na tej Wyspie, i nie będziesz teraz zaczynał.

Odszukał Turpa Thornhilla w jego szopie sąsiadującej z szopą O'Hayera. Bo kiedy O'Hayer grał, nie dawał pożyczek nawet na dwadzieścia procent. Turp ani nie grał, ani nie prowadził gry. Chodził od stolika do gry w kości do stolika, gdzie grano w dwadzieścia jeden, potem do pokera i z powrotem, nerwowo, bez przerwy, sprawdzając jak zwykle swych pomocników, czy go nie oszukują.

Ten wysoki, bezbrody, orlonosy drab z Missisipi posiadał wszystkie odrażające cechy ludzi prymitywnych, z nielicznymi kompensującymi je zaletami. Jednakże pożyczał pieniądze, chociaż żył w ustawicznej, świdrującookiej podejrzliwości, pełen służalczej obłudnej dumy, że jest „tym, czym jest, jak Boga kocham, bez żadnego zadzierania nosa, czy wam się to podoba, czy nie”.

Naurągał Prewowi, wyśmiał go, odniósł się doń podejrzliwie, wreszcie nadreńczywszy go oświadczeniami, że nie ma pieniędzy na pożyczki, wspaniałomyślnie wręczył mu całe dwadzieścia dolarów, o które Prew prosił, na dwadzieścia procent, i przestrzegwał go twardo, żeby nie próbować żadnych mądrych sztuczek, kiedy przyjdzie pora je zwrócić.

Prew ubierając się do wyjścia na miasto, już z tymi dwudziestoma w kieszeni, czuł wciąż na sobie ponizający smród oddechu Turpa, którego nie mógł zmyć żaden prysznic, i zastanawiał się, czy lepiej wdychać cuchnące wyziewy Turpa, czy dać się opryskiwać śmierdzącą śliną Ike'a Galowicza. To dopiero nie było jakiś oddział! Fajny dom ma się w tej kompanii. Wkładając ubranie rozmyślał też, że takich upokorzeń, jakie mężczyzna potrafi znieść dla kobiety, nie ścieriałby dla niczego innego, nawet dla swoich poglądów politycznych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Milt Warden rozważając, czy także nie przerwać gry, miał dosyć podobne myśli i również się zastanawiał, jednakże w związku z inną kobietą.

Może tak było dlatego, że tego wieczora miał spotkać się w mieście, w hotelu „Moana”, z Karen Holmes, ale ilekroć podniósł wzrok znad kart, jego oczy patrzyły na suchą, krzepką twarz Maylona Starka z jakimś pełnym zgrozy niedowierzaniem, niby oczy człowieka spoglądającego na własną rękę urwaną i leżącą w okopie. Ta twarz była dla niego zniewagą, a co gorsza, psuła mu grę. Bo nie mógł przestać na nią patrzeć. Powinien był wygrać dwie z trzech ostatnich przegranych kolejek, gdyby nie to, że wciąż wpatrywał się w tę twarz, której oczy i wargi też kiedyś pieściły ową zahipnotyzowaną nagość, która była jak śmierć i która była Karen Holmes w chwili miłości, i którą on, Milt Warden, pamiętał dobrze. „Stark niezawodnie pamięta to równie dobrze” – myślał. Bo nie było wątpliwości, że to robił, psiakrew. Żadnej wątpliwości. Jak by do tego nie podejść. Fakt, że Stark więcej o tym nie wspomniał po owym pierwszym razie, nie był żadną pociechą; Stark nie należał niestety do ludzi typu artystycznego, którzy potrafią zmyślać różne nie istniejące rzeczy. I najwyraźniej nie napomknął o tym nikomu innemu, bo do tej pory już by się to rozeszło, rozeszło szeroko; ale Stark nie był też samochwałą potrzebującym afirmacji samego siebie. „Nie – myślał czując ucisk w jądrach – nie ma żadnej wątpliwości, nie można sobie tego wyperswadować, a co najgorsze, wskazuje to jasno na dotąd rzekomo absurdalne historie o niej i o Champie Wilsonie, i o tym cholernym zboczeńcu Hendersonie, a może nawet i O'Hayerze.” Spojrzał na O'Hayera. Ale przecież powiedziała: „Nie wiedziałam, że to może być tak.” Pamiętał wyraźnie, że powiedziała: „Nie wiedziałam, że to może być tak.”

– Wyłącz mnie – rzekł do prowadzącego grę – żebym mógł *zabrać* się do takiej gry, gdzie coś się dzieje. A tu jest dziewięćdziesiąt siedem dolarów srebrem. Już przeliczyłem.

Tamten uśmiechnął się.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym i ja przeliczył, Milt?

– Skąd, psiakrew. Chciałem tylko, żebyś wiedział, że przeliczyłem te pieniądze.

Prowadzący grę roześmiał się serdecznie.

– Moją forszę też weź – ziewnął Jim O'Hayer. – Wyskoczę sobie na chwilę, żeby zobaczyć, co się święci. Wsadź do szuflady razem z resztą, to sobie później wyjmę.

– Okej, szefie – odrzekł prowadzący grę, który był sierżantem. Przysunął do siebie banknoty Wardena, żeby rozdzielić oba pliki, po czym wsadził pieniądze O'Hayera do szuflady już zapełnionej czerwonymi sztonami i srebrem.

– Będą na ciebie czekały, Jim, kiedy wrócisz – obiecał wiernie a dumnie, Warden zaś spostrzegł, jak z niewinnym spojrzeniem ściągnął zręcznie ze stosu banknot dziesięciodolarowy, jednocześnie rozdając karty lewą ręką i wysuwając je kciukiem z talii, po czym jego prawa dłoń, wciąż trzymając zwiniętą dziesiątkę, przyłączyła się do lewej, a po rozdaniu kart sięgnęła do kieszeni koszuli po papierosa.

Warden spojrział na O'Hayera, który wstał i przeciągał się powiesiwszy na gwoździu za sobą swój kosztowny daszek celuloidowy; następnie sam zapalił papierosa i z uśmiechem podał ogień prowadzącemu grę sierżantowi, który nie odwzajemnił mu uśmiechu, ale przewiercił go zimnym wzrokiem nad płomykiem zapalniczki.

Warden roześmiał się i pstryknął precz zapalniczkę, po czym wyszedł za O'Hayerem i obaj przystanęli na dworze wdychając świeże powietrze i pałac. O'Hayer był milczący i jakoś matematycznie zamknięty w sobie; spoglądał obojętnie na śruby szyn powleczone cienką warstewką rdzy.

Warden ruszył wesoło do koszar, żeby wziąć prysznic, przebrać się, pojechać do miasta i gdzieś coś wypić albo może po wałęsać się trochę po ulicach, nie w Waikiki, ale w centrum, wśród barów, strzelnic i domów publicznych, w oczekiwaniu na godzinę, o której miał spotkać się z Karen Holmes w „Moanie” Waikiki. Jego podkoszulek i koszula były przepocone na wylot po grze; przystanął na schodach, podniósł rękę i z przyjemnością przytknął nos do pachy wdychając swój własny, mineralny, samczy zapach; czując, jak pierś rozpiera mu nieskończenie męskość, wewnątrz wyczuwając twarde, kolumnowe piękno swoich ud i smukłe, tego umięśnione piękno bioder i brzucha; był Miltem Wardenem i dziś wieczorem miał spotkać się w mieście z Karen Holmes. Ale nagle te wewnętrzne oczy jego umysłu, które nie były jego oczyma, zogniskowały się, tak jak przedtem jego oczy prawdziwe, na krzepkiej, pooranej bruzdami twarzy Maylona Starka; wyprostował się z rozdętymi nozdrzami i trzasnął pięścią w ścianę, zadając cios ręką sztywną w przegubie, całą siłą przedramienia, tak jak uderza bokser, w miejsce, gdzie zawisa krzepka, poorana bruzdami, bezcielesna twarz Maylona Starka, po czym opuścił wzgardliwie do boku zdrętwiałą rękę i poszedł do miasta na spotkanie z Karen Holmes w hotelu „Moana”.

W ich pokoju był Peter Karelsen, który siedział na pryczy i z zapadniętymi ustami oglądał trzymany na otwartej dłoni pełny garnitur wyszczerzonych sztucznych zębów. Położył je szybko na stole.

– Co ci się stało w rękę, do cholery? – spytał z zaciekawieniem. – Znowu się biłeś?

– A co, do cholery, stało się z twoimi zębami? – odparł wzgardliwie Warden. – Znowu byłeś w kantynie?

– Dobra – rzekł Pete urażonym tonem. – Możesz się mądrzyć. Ja się tylko

zainteresowałem twoją ręką.

– Dobra – odparł Warden. – Możesz być urażony. Ja się tylko zainteresowałem twoimi cholernymi zębami. – Popatrzał na swoją znenawidzoną twarz w lustrze, rozpinając grubą bawełnianą koszulę i wyciągając ją zaciekle ze spodni.

– Wciąż tylko dowcipkujesz – rzekł Pete. – Wciąż tylko komuś dogryzasz. Ja ci zwyczajnie zadałem przyjacielskie pytanie. Nie musisz tak odszczekiwać. Nie masz powodu się wściekać.

Warden dalej patrzył w lustro bez odpowiedzi; skończył rozpinąć koszulę, zdjął ją i rzucił na łóżko. W milczeniu rozpiął pas.

– Co robisz? – zapytał Pete uprzejmie. – Szykujesz się do miasta?

– Nie. Szykuję się, żeby pójść do Choya, i dlatego ubieram się w cywilne ubranie.

– Okej. Idź do diabła.

– Idę do Choya i spiję się jak wszyscy diabli.

– Sam myślałem, żeby to zrobić – rzekł Pete. – Jakoś nie bardzo mam dziś ochotę jechać do miasta. Bo wiesz – dodał zerkając ukradkiem na zęby leżące na stole – to jest właściwie w kółko to samo, jak się nad tym zastanowić. I co w końcu człowiekowi daje to jeżdżenie do miasta? Kaca i nic więcej. Już mi się znudziło. – Znowu zerknął ukradkiem na zęby. – Coraz bardziej mi obojętne, czy pojedę, czy nie. W ogóle. Właściwie nawet wolałbym pójść do Choya.

– W porządku – odparł Warden odwracając się od lustra. Wziął koszulę, włożył ją na powrót i zaczął zapinać. – To chodźmy. Na co czekasz, psiakrew?

– To znaczy, do Choya? Naprawdę?

– Jasne. Czemu nie? Jak słusznie mówisz, po co jeździć do miasta?

– Myślałem, że mnie bujasz – rzekł Pete. Wstał uśmiechając się bezzębnie, wziął ze stołu sztuczną szczękę i lypnął na nią. – Hm – mruknął i odłożył ją. – Niech cię cholera. Chodź, Milt.

Przeszli przez opustoszałą salę sypialną; po drodze Warden rozpiął spodnie, wetknął w nie koszulę, zapiął na powrót i zawiązał sobie krawat, a Pete gadał z nowym ożywieniem.

– Weźmiemy sobie skrzynkę piwa – mówił – i może tym razem posiedzimy w kuchni. Nie lubię siedzieć od frontu w dzień wypłaty, kiedy tam się drą naokoło te wszystkie pętaki. Albo może weźmy ze cztery, pięć dzbanków i zaniemiemy je sobie na trawkę. Może tak będzie lepiej?

Jak sobie podchromolimy – dodał, kiedy doszli do schodów – jak już dobrze podgazujemy, możemy pojechać do Dużej Sue, do Wahiawy, i wziąć sobie dziewczynkę, nie? I potem zaraz wrócić. Jak już, to już. Chwileczkę – dodał. – Muszę wrócić po zęby.

Warden przystanął w milczeniu. Zapalił papierosa, oparł się biodrami o poręcz galeryjki, założył stopę na stopę, skrzyżował ręce na piersiach i nagle przemienił się w posąg zastygły w wiecznym, granitowym bezruchu, z górną połową korpusu odcinającą się jak wykrajana z czarnego papieru sylwetka na tle zmierzchu gęstniejącego za siatkowymi zasłonami. Stał tak pełen wyłączonej na chwilę energii, jakiś daleki od życia.

Kiedy Pete wrócił, Warden przemówił nie poruszając się nadal, a podrygujący, czerwony ognek trzymanego w ustach papierosa był w nim jedyną ożywioną, oddychającą rzeczą.

– Z tobą jest ta bieda, Pete – powiedział zajadle głos, który zdawał się dobywać nie z niego, ale z papierosa – że nigdy nie widzisz dalej niż koniec tego swojego purchlowatego nosa. Zajmujesz się drobnymi szczegółami życiowymi, żeby nie myśleć, na przykład o tym, czy założyć, czy nie, te swoje cholerne zęby, kiedy uważasz, że może cię zobaczyć jakaś pinda; zupełnie jak gospodynie z parafii mojego brata malujące się przed pójściem do spowiedzi. Kiedy cały ten przeklęty świat rozwała się w diabły, ty musisz wrócić po swoje pieprzone zęby. Dlaczegoś, psiakrew, nie wstąpił do duchowieństwa, żebyś mógł iść rączka w rączkę z klechami i modlić się o pokój? Jesteś mniej więcej w odpowiednim wieku i cierpisz na tę samą dolegliwość co reszta ludzkości.

Pete zamarł bez ruchu w momencie zakładania sobie zębów, porażony tym nagłym krwiożerczym atakiem, z otwartymi ustami i z wetkniętymi w nie kciukami umocowującymi sztuczną szczękę; wpatrzył się w tę dwuwymiarową, wyciętą z blachy statwę.

– Przez takich jak ty są w Niemczech hitlerowcy – napominał go głos, który nie był głosem Wardena. – Przez takich jak ty będzie kiedyś faszyzm w naszym kraju. Kiedy już przystąpimy do tej hecy, kiedy znów wyciągniemy kasztany z ognia za resztę świata i wygramy tę wojnę dla Anglii. A ty sobie siadujesz z Mazziolim i całą resztą tych szacownych gryzipiórków i dyskutujesz. O byle czym, aby dyskutować. Dlaczego sobie nie założycie regularnego literackiego kółka wtorkowego jak te irlandzkie damulki w parafii mojego brata? Intelktualiści, psiakrew!

Posąg przeszedł z zastygłego bezruchu w gwałtowny bieg po schodach, a jego stopy śmigały w dół po stopniach jak stopy boksera ćwiczącego ze skakanką.

– No, chodźże, głupi tumanie! – wrzasnął Warden. – Na co czekasz, u licha?

Pete dokończył przerwane zakładanie zębów, ścisnął szczęki, żeby je dobrze obsadzić, i ruszył za nim potrząsając w zdumieniu głową.

– A ty niby co robisz innego, psiakrew? – zapytał na wpół biegnąc, żeby dotrzymać tempa długim, wyciągniętym krokom Wardena, kiedy przemierzali dziedziniec. Spodziewał się serdecznego, koleżeńskiego nastroju i teraz głos miał tak zdławiony z rozżalenia, iż

zdawało się niemal, że płacze. – Ty nie zajmujesz się drobnymi szczegółikami życiowymi, co?

– Jasne – odrzekł Warden. – Czemu nie? Nie wrzeszcz, na imię boskie.

– To czego mnie ochrzaniaasz? Ja nie wrzeszczę. I co to ma znaczyć, że musimy przystąpić do tej wojny i wygrać ją? Właściwie już przystąpiliśmy, tyle żeśmy nie posłali wojska.

– Pewnie – przyznał Warden. – O to idzie.

– A może ruski i szkopy wezmą się za łby, pozabijają wzajemnie i zaoszczędzą nam kłopotu? W każdym razie na to wygląda. Pomimo tego układu.

– Pięknie – odparł Warden. – Im więcej zabitych, tym mniej gąb do wyżywienia, tym więcej piwa dla mnie. O co się sprzeczasz?

– Gadajże do sensu. Ja wcale się nie sprzeczam. To ty się sprzeczasz. Ty zacząłeś tę dyskusję.

– Ja? No, to ją kończę. Z tym momentem.

Otworzył drzwi siatkowe między zbiornikami na śmieci i stosami pustych skrzynek na ganku i wszedł ze złością do kuchni restauracji Choya, a za nim Pete klnący pod nosem w bezsilnej wściekłości.

Należeli do nielicznych podoficerów pułku, którzy mieli przywilej przebywania i picia w kuchni Choya, zasiedli więc i przygotowali się rozpinając kołnierzyki koszul pod rozluźnionymi krawatami, dwukrotnie podwinęli rękawy, oparli stopy o świeżo wyszorowany pień do rąbania mięsa, po czym zawołali starego Choya, który siedział na wysokim zydlu w kącie, żeby im przyniósł piwa. Zamierzali urządzić sobie popijawę.

– Choy, ty stary pogański Chińcu! – ryknął Warden. – Psynieś piwa, no! Psynieś dwa sielzanty piwa, hoc, hoc!

Podniósł dziesięć palców, a siedzący w kącie osiemdziesięcioletni posąg ożył i podreptał niepewnie przez kuchnię do lodówki uśmiechając się szeroko pod rzadkimi kosmykami siwej brody. Stary Choy zawsze uśmiechał się do Wardena, bo odkąd Młody Choy, jego najstarszy syn, przejął prowadzenie interesu, starcowi nie wolno było wychodzić na front, gdzie przebywali klienci i gdzie Młody Choy tkwił teraz wśród wrzawy rozkrzyzanego tłumu po wypłacie. Stary co dzień przesiadywał w kuchni od rana do nocy w czarnej jedwabnej mycce i długim, haftowanym kaftanie, które Młody Choy, wyrzekłszy się wiary przodków na rzecz amerykańskiej moralności handlowej, uważał za niekorzystne dla „interesu”; starzec uwielbiał Wardena, ponieważ Warden chętnie zachodził do kuchni, pił piwo i przekomarzał się z nim, ilekroć go napadała chandra.

– Huba-huba! – huknął za nim Warden mrugając do Pete'a. – Wiki-wiki, hoc-hoc!

Stały kozioł wiecie nogami po podłoga. Musi pędko, bo mnie spiesy, stały, lusaj się żwawiej.

Stary Choy przydreptał do pnia z naręczem puszek piwa.

– Ty jesteś stały kozioł – wyszczerzył zęby Warden. – Stary cap, rozumiesz? Twoja mama koza; Mama-San koza. Rozumiesz? Ona ciebie, capa, ulodzyła. Capa, kapujesz? Beeee!

Przyłożył pod brodę rozcapierzone palce i zaczął nimi przebierać.

Stary Choy postawił piwo na pniu, jego migdałowe oczy zwęziły się w błyszczące szparki; zachichotał z wielką satysfakcją, że go nazwano starym capem.

– Nie cap – zachichotał. – Cap to pan, Walden.

Warden porwał z pnia pustą puszkę, wesołe oczy tańczyły mu w szerokiej twarzy, tryskała z niego oślepiająca energia, energia człowieka, który chce się dobrze zabawić.

– Słuchaj, stary capie – powiedział drapieźnie i jednym ruchem zgiął na pół puszkę wparłszy kciuki w jej złącze. – Potrafisz tak zrobić? Potlafisz zgiąć puska? Jak będziesz mnie nazywał capem, to cię tak zegnę. W ten sposób, rozumiesz?

Wziął drugą puszkę i zgiął ją. A potem, ogarnięty nagłym szałem, zaczął chwytać jedną po drugiej wszystkie puste, stojące na pniu, i zginać zaciekle, z łatwością, odrzucając je przez ramię do skrzyni na śmieci.

– Widzisz! O, tak. Widzisz? O, tak. Ty lepiej mnie nie zaczepiaj, ty stały cap.

Chińczyk stał przed nim z rozdziawioną w uśmiechu, pobrużdżoną gębą, ramiona drgały mu od chichotu, a głowa trzęsła się ze starości.

– Ja psyniesie piwa – powiedział. Wyciągnął rękę z zachwyconym uśmiechem. – Ja psyniesie piwa, a pan telaz zapłaci.

– Ha, ha! – ryknął Warden. – Ho, ho! Ja nie mogę zapłacić. Ja nie ma pieniędzy.

Podniósł dłoń starym, wojskowym gestem, z wyprostowanym trzecim palcem, a resztą zaciśniętą, przy czym palec środkowy postukał w powietrzu u kciuk.

– Ty daj tu kobieta, to ja zapłaci.

Znowu uczynił pod nosem Starego Choya ów stary wojskowy znak.

– Ty daj kobieta, stały capie, a ja ci pokaże, jak się płaci. Ja ci wtedy zapłaci.

– Pan zapłaci – odrzekł chichocząc stary Choy. – Pan Walden zapłaci. Warden wyjął portfel i wręczył mu banknot.

– Ach, ty chytry lisie, ty stary capie. Ty uzbieras duzo pieniądz, duzo gotówka. Twój syn zalobi milion dolarów.

Stary Chińczyk roześmiał się z zachwytem, poklepał Wardena po masywnym, krzepkim ramieniu chudą, drobnokościstą, nieomal przezroczystą dłonią, podreptał z banknotem do drzwi i zawołał cicho po chińsku do syna, żeby przyszedł odebrać pieniądze. Następnie, ciągle się uśmiechając, wrócił z resztą i wdrapał się na zydel, a błyszczące stare

oczy miał wciąż roztańczone.

– Ach – westchnął Pete. Otarł z ust pianę wierzchem dłoni. Potem dużym i wskazującym palcem zdjął kroplę piany, którą zostawił mu na czubku nosa mniejszy otwór wybity w puszcze, i strząsnął ją na cementową podłogę. – Ach – powtórzył. – Ach, człowieku.

– No, przejdźmy teraz na front – powiedział Warden. Wyszedł pierwszy z kuchni, po czym udali się naokoło do frontowych drzwi restauracji, ażeby nikt nie zobaczył ich wychodzących, to bowiem było sprzeczne z przepisami.

„Wódz” Choate siedział przy swoim stoliku w kącie, więc przysiedli się do niego i zamówili jeszcze piwa. Wkrótce przyłączył się do nich sierżant-szef kompanii K, który właśnie wygrał coś niecoś u O'Hayera, i wszyscy czterej razem utworzyli zwartą grupkę starych bywalców w tej zadymionej izbie, w której tłoczyli się rozwrzeszczani, rozśpiewani i baraszujący młodzieńcy; zasiedli wśród nich spokojnie, godnie i *zaczęli* gwarzyć o dawnej armii. „Wódz” opowiedział ponownie swoją historię o tym, jak miał służbę wartowniczą na Filipinach i przyłapał w powoziku stojącym przy drodze żonę pułkownika z krajowcem w więcej niż dwuznacznej pozycji.

– Czyś ty to w i d z i a ł? – zapytał Warden. – Czy sam widziałeś, czy tylko się domyślasz?

– Widziałem – odparł Choate ze swoim ociężałym spokojem. – Przypuszczasz, że mógłbym to zmyślić? Coś podobnego?

– A bo ja wiem, psiakrew – rzekł Warden wzruszając z rozdrażnieniem ramionami i rozglądając się po izbie. – Skąd mogę wiedzieć, u licha? Słuchajcie, a może byśmy wzięli parę dzbanków i przenieśli się na zieloną trawkę? Ten cholerny lokal przyprawia mnie o drgawki.

Wszyscy spojrzeli na „Wodza”, czy się zgodzi, ponieważ był to jego stolik, który rzadko opuszczał.

– Ja nie mam nic przeciwko temu – rzekł „Wódz”. – Sam nie bardzo lubię tu siedzieć w dzień wypłaty.

– Nie wierzę w tę historię – powiedział Warden, kiedy wchodzili do bramy. – Pewnie gdzieś ją słyszałeś, zmyślona przez jakiegoś perwersyjnego łobuza, i teraz ją powtarzasz, nic więcej.

– Guzik mnie obchodzi, czy wierzysz, czy nie – odparł Choate. – Wiem, bo widziałem na własne oczy. Co ciebie gryzie?

– Nic mnie nie gryzie. Dlaczego myślisz, że coś mnie gryzie? „Wódz” wzruszył ramionami.

– Lepiej tu jest – powiedział. – O wiele przyjemniej.

I było przyjemniej, kiedy zasiedli po turecku na rzadkiej trawie wokoło przyniesionych dzbanków. Powietrze było bardzo czyste i klarowne po ogłuszającym zgiełku i dymie tytoniowym u Choya. Dziedziniec był usiany grupkami pijących piwo, lecz ich rozmowy tworzyły przyjemny, owadzi poszum, który tu wcale nie ogłuszał. Od czasu do czasu rozbrzmiewał w nim ostro, dobitnie czyjś śmiech, a gwiazdy zdawały się mrugać do każdego nad ramionami innych. Kłótnie, które chwilami wybuchały tutaj, na trawie, były jakieś dalekie, oderwane, zamiast dziać się wpośród nich. Wielki, podzwrotnikowy księżyc właśnie wschodził przyćmiewając otaczające go gwiazdy, wyłaczając czyste powietrze namacalnym, pulsującym życiem, malując na ziemi nowe, twarde cienie bezperspektywicznymi płaszczyznami i kątami kubisty.

Pete i „Wódz” wdali się w spór na temat zalet Filipin i Panamy, wyliczając ich plusy i minusy i odważając je wzajemnie.

– Służyłem i tam, i tam – podsumował flegmatycznie „Wódz” – więc chyba wiem.

Pete miał zdecydowanie słabszą pozycję, ponieważ nie był na Filipinach.

– Chiny – odezwał się sierżant-szef kompanii K – Chiny biją wszystko inne na głowę. Nie, Milt? Nasze pieniądze są tam warte dziesięć, dwanaście razy tyle. Według ich kursu wymiany. W Chinach szeregowiec żyje sobie jak generał. Jak tylko skończy mi się służba w tej zakazanej „ananasowej armii”, zaraz się machnę do Chin. No nie, Milt? Tyś służył w Chinach, to im powiedz.

Warden leżał podparty na łokciu i patrzył na wschodzący księżyc i na oświetlone galeryjki wzdłuż fasad koszar; tego wieczora poruszały się tam tylko nieliczne sylwetki. Drgnął.

– E, co za różnica? Jedno gówno. Pięć centów tutaj, a piąтак tam. – Dźwignął się i oplótł kolana rękami. – Cholera mnie na was bierze.

Wciąż chcielibyście być gdzie indziej, niż jesteście. Wciąż zaciągacie się na nowe miejsce, w którym jeszczeście nie byli, ciągle zmieniacie i zawsze jesteście zniechęceni po pierwszym roku. Tak czy owak – dokończył – na przyszły rok, kiedy wam się skończy służba, Chin już nie będzie. Przyjdzie wam zaciągnąć się do Japonii.

Położył się na wznak i założył sobie ręce pod głowę.

– Znałem w Szanghaju jedną Białą Rosjankę. Jedyne plus Chin. Jest ich tam cała masa. Ona była jakąś tam księżną czy coś. Nie, zdaje się hrabiną. Miała blond włosy aż po pachwiny. O rany, ale była piękna. Najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. I najbardziej jurna także. Powinienem był ożenić się z tą babą.

– Oho – mrugnął Pete do pozostałych. – Znów się *zaczyna*. Warden podniósł się.

– Dobrze, szlag by was trafił. Guzik mnie obchodzi, czy wierzycie w to, czy nie. Jej

stary był ruski, zginął przy tym cholernym dwudziestym siódmym pułku na Syberii, bijąc się z Czerwonymi. Dwudziestym siódmym piechoty amerykańskiej, zwanym „Rosyjskie Ogary”. Słyszałeś kiedy o nich, stary draniu? Twój najbliższy sąsiedzi u starego sierżanta Fisela. On znał jej męża.

– Wiem, wiem – wyszczerzył zęby Pete. – Wypij sobie jeszcze i opowiedz nam o tym. Od nowa.

– Idź do diabła, łobuzie.

– Jest trębacz – powiedział „Wódz” Choate. Wszyscy zamilkli, obrócili się i popatrzyli w kąt dziedzińca, gdzie trębacz służbowy podnosił trąbkę do wielkiego megafonu, aby odegrać capstrzyk. Ostro, natarczywie zabrzmiały zawile tony sygnału na gaszenie świateł. Cztery mężczyźni leżeli na trawie milczący i zasluchani, dopóki nie skończył odegrawszy tradycyjne powtórzenie, raz w jedną stronę, a potem przestawiwszy megafon, ku północy, w stronę trzeciego batalionu. Wokoło dziedzińca zaczęły gasnąć światła w salach sypialnych.

– Ano, tak to jest – powiedział sierżant-szef kompanii K zupełnie bez sensu, nie potrafiąc ująć w słowa kamienia węgielnego swoich myśli. – Ten chłopak nawet się nie umywa do Prewitta. Byliście tu tamtego wieczora, kiedy grał capstrzyk? Jak Boga jedyne go kocham, myślałem, że się rozryczę. Straszna szkoda, że on nie może stale grać.

– Tak, słyszałem go – powiedział „Wódz”. – Ten chłopak dostał paskudną szkołę. Od góry do dołu.

– Teraz dostanie jeszcze gorszą – rzekł Pete. – Teraz to będą prawdziwe cięgi.

Patrzyli, jak trębacz odchodził, patrzyli bez wyrazu, bez słowa, widzieli w nim ową fatalność, o której im było wiadomo, ale na którą nie mieli wpływu – to coś, co jest silniejsze od ludzi, jakąś nieodpartą kosmiczną siłę, przed którą nie ma ucieczki.

– No – odezwał się wstając sierżant-szef kompanii K. – Chyba skoczę teraz do Sue i wrócę. Mam jutro robotę.

– Idę z tobą – powiedział Pete. – Pożycz mi pięć dolarów, Milt.

– Chętnie – odparł Warden. – Na dwadzieścia procent. Wszyscy się roześmieli. Warden wstał z pełnym dzbankiem piwa.

– Nabrałem cię – rzekł Pete. – Mam forszę. Może pójdziesz z nami?

– Nie, psiakrew – odrzekł pogardliwie Warden. – Jak będę musiał za to zapłacić, to w ogóle dam spokój.

– Ja w każdym razie idę – powiedział sierżant-szef kompanii K.

– A ty byś nie poszedł, „Wodzu”? – zapytał Pete.

– Aha, chyba tak – odparł Choate. Dźwignął swoje masywne ciało. – Chodź z nami, Milt.

– Nie. Już mówiłem, że jak będę musiał płacić, to dam spokój.

– E, chodź – rzekł Pete.

– Nie! – krzyknął Warden. – Nie, do cholery!

Wziął w obie ręce pełny dzbanek piwa i podniósł go wysoko ponad stalową pokrywę wjazdu kanalizacyjnego w trawie. Piwo prysnęło, kiedy dzbanek spadał, a pozostali trzej mężczyźni odskoczyli. Warden, stojąc bez ruchu, patrzył, jak dzbanek spadał pionowo, a piwo obryzgiwało mu drobnymi kropelkami mundur i podniesioną twarz.

– Łup! – ryknął, kiedy dzbanek rąbnął o pokrywę wjazdu spryskując go obficie.

– Ty głupi wariacie! – zawołał sierżant-szef kompanii K. – Mogliśmy to zabrać do taksówki.

Warden tarł mokrymi dłońmi wilgotną od piwa twarz.

– Zostawcie mnie w spokoju – powiedział stłumionym głosem spoza energicznie trących twarz dłoni. – Dlaczego mnie nie zostawicie? Idźcie, do jasnej cholery, i dajcie mi święty spokój.

Odwrócił się i odszedł do koszar, aby wziąć prysznic, przebrać się po ciemku i pojechać do miasta na spotkanie z Karen Holmes w hotelu „Moana”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Warden miał na sobie stosunkowo nowe piaskowe ubranie z kamgarnowego tropiku ze stębnowanymi klapami, które go kosztowało sto dwadzieścia dolarów po cenie turystycznej i które zachowywał na wielkie okazje. Ale przez całą drogę do miasta wściekał się na siebie, że jedzie. Ręka go bolała, napuchła pękato, i to także była j e j wina. Myślał z wściekłością, że trzeba było zostać z Pete'em i tamtymi, zapominając, jak źle się z nimi czuł. Myślał z wściekłością, że powinien zostawić Karen i całą resztę tych bab z lepszego towarzystwa żigolakom, którzy sami są dostatecznymi neurastenikami, ażeby móc je zrozumieć. Myślał z wściekłością o wielu rzeczach. Zapragnął nawet zajadle nie żyć w tej chwili i siedzieć w piekle. I wtedy pojął, że jest zakochany.

Kiedy taksówka stanęła, poszedł zaraz naprzeciwko, pod „Czarnego Kota”, ażeby kupić butelkę, i kiedy tam się znalazł, wypił ze złością kilka whisky w barze, po czym poszedł wściekły na King Street i wściekły wszedł do kursującego przez Kalakaua Avenue autobusu, który pognał jak wściekły do Waikiki. O, nie ma gadania, był zakochany. Był zakochany na pewno. I mógł się do tego przyznać.

Kiedy wysiadł z autobusu przed restauracją „Tawerna Waikiki”, whisky dodana do tego całego piwa, które uprzednio wypił w koszarach, uderzyła go jak młotem, i był już nie tylko zakochany, ale i pół-pijany i gotów do bójki. Jednakże bójka mu się nie nadarzyła. Wszyscy byli zanadto rozradowani. Waikiki było pełne żołnierzy po wypłacie i nawet twarze cywilów świadczyły, że ulegają nastrojowi owego rozpasanego świętowania.

Warden minął rozwścieczony zatłoczoną „Tawernę” i dotarł tam, gdzie plaża sięgała prawie ulicy tworząc niewielki trójkąt piasku, nazwany Parkiem Kuhio, w którym zielone ławki stały wśród palm i w którym miał się spotkać z Karen Holmes. Park był też zatłoczony, a żołnierze ubrani po cywilnemu i marynarze w mundurach przechadzali się tam i z powrotem i siadali na ławkach sami lub z kobietami, najczęściej bez kobiet. Nie spodziewał się, żeby Karen już tam była.

Była jednakże. Wśród tej całej rozhuwanej samczości siedziała speszona na jednej z najbardziej odosobnionych ławek, usiłując nic z tego nie widzieć. Siedziała skrzyżowawszy skromnie nogi w kostkach i skromnie złożywszy dłonie na kolanach, ze skromnie skulonymi ramionami oraz łokciami przywartymi do boków. Była tam naprawdę, naprawdę. I wpatrywała się bez przerwy w ciemniejącą wodę, przygryzając górną wargę, jak gdyby usiłując znaleźć się gdzie indziej. Wydało mu się, że dostrzegł, jak jej skromnie skulone ramiona podnoszą się kilkakrotnie, rzekłbyś, w ciężkim westchnieniu. Podszedł do niej.

– O, hello! – powiedziała wesoło. – Myślałam, że nie przyjdiesz.

– Dlaczego? Przecież się nie spóźniłem.

Czuł się nieporadny, skrępowany, ponury, odrobinę pijany i bardzo zły. To nie był ten swobodny sposób bycia, jaki powinien przybrać mężczyzna mający przygodę z mężatką. Przecież już miewał mężatki, no nie? Kiedy przyjechał na tę wyspę jako szeregowiec, pracował wieczorami na jednym ze statków, które wozily przy księżycu turystów na Molokai, i wówczas miał tyle mężatek, ile nadążył, tylko że oczywiście nie był w nich zakochany.

– Och – powiedziała swobodnie – po prostu nie widziałam żadnego powodu, żebyś przyszedł. Ostatecznie to ja cię właściwie zmusiłam do tej randki. No nie?

– Nie – skłamał.

– Owszem, przecież wiesz, że tak.

– Nie przyszedłbym, gdybym nie chciał, prawda?

– No, nie – przyznała. – Widzisz? – dodała wesoło. – Siedzę tutaj od pół godziny i zadaję sobie właśnie to samo pytanie. Tylko że ja przyszłam za wcześnie. Musiało mi na tym specjalnie zależeć. Tobie specjalnie nie zależało, prawda? Przyszedłeś co do minuty.

– Co cię ugryzło? – zapytał Warden widząc z niechęcią, że Karen ciągle jest pełna napięcia. – Uspokójże się. Tylko bez nerwów.

– O, jestem spokojna – odparła. – Zupełnie spokojna. Tyle że w ciągu tej pół godziny przed twoim przyjściem miałam pięć razy okazję być poderwana.

– I to tym się martwisz? Psiakrew, to nic, zwykła rzecz tutaj.

– Jedna z propozycji – odparła swobodnie Karen – pochodziła od kobiety.

– Takiej masywnej, szerokiej w ramionach, umalowanej blondynki?

– Tak – odrzekła Karen. – A ty ją znasz?

– Jeśli pytasz, czy jest moją bliską osobistą znajomą, odpowiedź brzmi: nie.

– Aha – rzekła Karen. – Po prostu się zastanawiałam.

– Więc się nie zastanawiaj. Znam ją. Każdy żołnierz ją zna. Stale się tutaj kręci i próbuje kogoś sobie przygadać. Nazywają ją Dziewicą z Waikiki. Czy to ci wystarczy?

– Nie ma co mówić, wybrałeś pikantne miejsce na naszą miłosną schadzkę, kochanie – powiedziała Karen.

– Wybrałem je dlatego, że tutaj było mniej szans, żeby nas zobaczył ktoś z twoich znajomych. Wolałabyś spotkać się ze mną w koktajlbarze hotelu „Royal”?

– Nie sądzę – uśmiechnęła się Karen. – Ale musisz pamiętać, że jestem trochę nowicjuską w tych rzeczach, kochanie. Cała ta ukradkowość, tajemniczość, zupełnie jak gdybyśmy robili coś grzesznego. Całe to ukrywanie się po kątach. Miłość w ciemnych zaułkach.

– Zaczynasz mówić jak przewodnicząca Związku Rodziców i Nauczycieli – rzekł Warden. – Może masz jakieś lepsze rozwiązanie?

– Nie – odparła Karen swobodnie. – Nie mam. – Obejrzała się na lekko falującą wodę i znowu przygryzła wargę. – Nie musisz bawić się ze mną w galanterię, Milt – rzekła. – Jeżeli już cię to znudziło albo zmęczyło, to zwyczajnie mi powiedz. Po prostu powiedz od razu, nie będę tym dotknięta, naprawdę, kochanie. Rozumiem, że mężczyźni szybko się nużą. – Uśmiechnęła się do niego z wymuszoną wesołością, najwyraźniej oczekując zaprzeczenia.

– Dlaczego, u diaska, przypuszczasz, że chcę się z czegoś wycofać?

– Bo prawdopodobnie uważasz mnie za kurwę – odpowiedziała zwięźle i spojrzała na niego wyczekująco.

Wiedział, że i teraz spodziewa się po nim protestu i zaprzeczenia, ale w tej chwili ujrzał krzepką, poorly bruźdami twarz Maylona Starka, która zawisa bezcieleśnie na jednej z palm. Stark był bardzo męski, zapewne ze Starkiem sprawiało jej to ogromną przyjemność, i Warden musiał powstrzymać się całą siłą woli od trzaśnięcia w drzewo drugą pięścią.

– Dlaczego myślisz, że mógłbym uważać cię za kurwę? – zapytał wiedząc, że jest to niewłaściwa odpowiedź.

Karen roześmiała się, a jej twarz – pomyślał – przybrała nagle słodki, pruderyjnie terroryzujący wyraz dobrze zakonserwowanej starej panny.

– Ależ, najmilszy – uśmiechnęła się. – Czyżbyś nie widział tego w mojej twarzy? Inni to widzą. Tych pięcioro, którzy mnie zaczepili, musiało to dojrzeć, a ta kobieta na pewno. Dziewica z Waikiki – dodała.

– Po twarzy zawsze widać, czym ktoś jest. „Człowiek jest taki jak jego myśli” – zacytowała. – Chyba nie wierzysz, żeby ktokolwiek mógł zaczepić przyzwoitą kobietę?

– Jak najbardziej. Ci zaczepiliby każdą kobietę i prawie każdego mężczyznę. Tutaj, w tym miejscu.

– Przecież widział to nawet portier w hotelu „Moana”, kiedy zameldowałam nas tam jako sierżanta H. L. Martina z małżonką. Zauważyłam wyraźnie po jego minie, że to widzi.

– Na miłość boską – rzekł Warden. – To jest dla niego chleb powszedni. Co go to obchodzi, byleby dostał pieniądze? Turystki, które mieszkają w „Halekulani” czy w „Royalu”, sprowadzają swoich lalusiów do „Moany” i na odwrót. Z tego właśnie hotele mają największe obroty.

– Ano – powiedziała Karen – przynajmniej teraz wiem, jak jestem zaklasyfikowana. Ciekawe, co robią ich mężowie dla zabicia czasu?

– Skąd mogę wiedzieć, psiakrew? – odrzekł Warden, stopniowo spychany do defensywy. – Pewnie się włóczą po mieście, palą cygara i dyskutują o perspektywach

interesów na przyszły rok. A ty jak myślisz?

Karen roześmiała się.

– Myślałam, że może urządzają sobie męskie bibki. W apartamentach na piętrze w Klubie Oficerskim. Mój mąż tam właśnie chodzi. – Wstała skromnie. – No, chyba już czas, żebym wracała do domu, prawda? – zapytała. – Prawda? – powtórzyła swobodnie. – Prawda, Milt? – spytała z przenikliwą słodyczą. – Już czas, nie?

Warden przełknął swój niesmak. Wiedział, że jeżeli ktoś musi go przełknąć, to właśnie on, więc tak uczynił.

– Słuchaj – powiedział pokornie. – Skąd się to wzięło, u diabła? Ja nie zacząłem, a jeżeli tak, to w każdym razie nie chciałem.

Karen spojrzała na niego, po czym usiadła z powrotem. Wzięła go za rękę, tę bliższą siebie, czyli lewą. Uśmiechnęła się do niego promiennie w półmroku.

– A ja o mało nie pozwoliłam, żeby to wszystko się zmarnowało, prawda? Przez moją głupią dumę. Nie jestem zbyt przyjemna jako towarzyszka, co? – dodała cicho. – Nie widzę powodu, żebyś miał mnie kochać. Nie jestem wcale wesoła. Nigdy nie widzisz mnie wesołej i szczęśliwej, prawda? A jednak czasem bywam wesoła, kiedy się dobrze czuję, naprawdę. Musisz uwierzyć, że czasem bywam wesoła. A wtedy postaram się być wesoła dla ciebie.

– Masz – powiedział z wysiłkiem Warden i podał jej butelkę. – Prezencik dla paniusi.

– Kochany – rzekła Karen. – Butelka! To świetnie. Daj mi ją. Sama wszystko wypiję.

– No, no – wyszczerzył zęby. – Chwileczkę. Ja też chcę trochę. – W jakiś głupi sposób czuł, że jest bliski płaczu, i to bez żadnej przyczyny.

– Daj mi ją – powtórzyła Karen. Wstała i tamto pruderyjne napięcie opuściło ją całkowicie; nagle stała się jakaś giętka, rozluźniona i odprężona. Wzięła butelkę i przycisnęła ją lewą ręką do opiętej cienkości letniej sukienki, tuląc ją miłośnie jak niemowlę i patrząc na niego.

– Dam ci, dziecinko – rzekł Warden, patrząc na nią. – Dam ci ją naprawdę, całą.

– Dasz? – zapytała i odchyliwszy głowę spojrzała na niego. – Naprawdę? Całą? Przyjemnie ci podarować mi ją, prawda? Dlatego, że to jestem ja?

– Tak – odparł. – Tak.

– To teraz chodźmy – powiedziała z przejęciem. – Chodźmy do domu, Milt. Mój mały Milt.

Ujęła go za lewą rękę prawą dłonią, nadal tuląc do siebie butelkę, i kiedy ruszyli kołysząc splecionymi rękami, odchyliła głowę w tył i spojrzała na niego.

Warden uśmiechnął się do niej. Jednakże teraz, kiedy już miał pewność, że Karen nie odejdzie, czuł w sobie nawrót silnego jątrzącego gniewu.

Był urażony i zły, bo o mało go nie doprowadziła do głupiego płaczu, i to bez powodu, po prostu, żeby zaspokoić swą dumę.

– Może lepiej chodźmy plażą – powiedział maskując to uśmiechem.

– Teraz, wieczorem, chyba nikogo tam nie ma.

– Dobrze – odrzekła jedwabiście Karen. – Niech będzie plaża. A innych niech diabli wezmą. Co oni nas obchodzą? Figę. Zaczekaj chwilę – dodała i przytrzymała się go tą ręką, w której miała butelkę, podniosła najpierw jedną długą, wysmukłą nogę, potem drugą, zrzuciła pantofle i *zaczęła* przebierać palcami stóp w piasku.

Warden uczył, że ów jętrzący gniew roztapia się pod przypływem znacznie silniejszego wzruszenia.

– No – zaśmiała się gardłowo i znowu odrzuciwszy w tył głowę spojrzała na niego tak jak przed chwilą. – Chodźmy.

Poszli plażą, tą wąską, rozreklamowaną, rozczarowującą, w dzień zaśmieconą skórkami grejpfrutów, lecz ładną teraz w nocy plażą Waikiki, krocząc skrajem wody, gdzie piasek był wilgotny i twardy. Karen szła boso, z odchyloną głową, ukazując długie, gładkie, śliczny zarys szyi i patrząc na niego, kołysząc dziecinnie ich splecionymi rękami i wciąż tuląc butelkę jak dziecko, a Warden ujrzawszy jej stopy o polakierowanych paznokciach w ciemniejszym niż półmrok cieniu za budynkami, poczuł, jak przelatuje po nim gorący blask – to musi być ta zmiana w życiu, pomyślał; że teraz to masz – i szli dalej poprzez wilgotne, słone powietrze, mijając tyły budynków sklepowych, z podcieniami, na których za dnia kąpiący się szukali ochłody, minęli otwarty taras „Tawerny”, już teraz nie tak zatłoczony, i drewnianą estradę dla orkiestry, gdzie w dzień zasiadali grajkowie brząkając na ukulele dla wytworzenia właściwego nastroju, minęli kilka prywatnych willi przepłatanych kioskami, w których sprzedawano soki owocowe, i wreszcie przeszedłszy jeszcze kawałek ciemną, opustoszałą plażą, dotarli do trójściennego patio hotelu „Moana” (właściwie to nie było patio, tylko lanai) otwartego od strony morza, z rosnącym pośrodku olbrzymim drzewem (chyba banian, prawda?) i tam Karen włożyła na powrót pantofle, a on poczuł to znowu.

– Jesteśmy na miejscu, sierżancie Martin – roześmiała się Karen.

– To świetnie, pani Martin.

– Zamówiłam i dostałam narożny pokój od strony oceanu. Droższy, ale warto, a zresztą możemy sobie na to pozwolić, prawda, sierżancie Martin?

– Możemy pozwolić sobie na wszystko, pani Martin.

– Zaczekaj, aż go zobaczysz; jest duży, przewiewny i śliczny, i jutro każemy sobie przynieść śniadanie do pokoju. Naprawdę wspaniałe miejsce, sierżancie Martin.

– Wspaniałe miejsce na miesiąc miodowy, pani Martin? – zapytał bezwstydnie.

– Tak – powiedziała odchylając po swojemu głowę i spoglądając na niego spod powiek. – Na miesiąc miodowy, sierzancie Martin.

W pobliżu patio nie było nikogo, więc pocałował ją stojąc jeszcze na plaży, i całe niedawne zło zniknęło, wszystko było tak, jak sobie od dawna wyobrażał, a potem poszli na górę do tego ładnego pokoju, pięknego pokoju, który znajdował się na piętrze i do którego szło się po schodach, a dalej długim korytarzem, podobnym do korytarzy we wszystkich hotelach, drogich czy tanich, prosto aż na sam koniec, do ostatnich drzwi po lewej.

Zapaliła światło, po czym obróciła się ku niemu z uśmiechem i powiedziała: „Widzisz? Nawet zapuścili żaluzje dla państwa Martin. Muszą nas znać” – i Warden ujrzał twarz żony kapitana Holmesa, którą tak często widywał z daleka w bazie, zanim ją poznał, i teraz dziwnie wzruszyła go dziwność tego wszystkiego, i spojrzał na prześliczne, duże kobiece piersi napinające letni drukowany materiał, na długie nogi o długich udach, na biodra, co wydawały się szczupłe pod suknią, ale bez sukni nie były wcale szczupłe ani nawet smukłe, tylko bardzo pełne, i przekręcił gałkę zamka, postąpił trzy kroki i pochwycił ją w chwili, gdy wyciągała rękę z wąskiego rękawa sukni, którą rozpięła na plecach odsłaniając ramiączko koszuli na ciemno opalonym ramieniu, i wszystko stało mu się obojętne, Stark czy Champ Wilson, czy O'Hayer, czy którykolwiek inny, a także to, co gadali, i nie wierzył w ani jedno słowo z tego wszystkiego, i wiedział, że to nieprawda, i nic go nie obchodziło czy to prawda teraz było inaczej teraz niech wszystko i wszystkich diabli porwą bo nie było tak nigdy i nigdy nie będzie i wiedział o tym i wiedział że musi być mądry głęboki dzielny i dość silny żeby to ocalić wygrzebać z bagna kłamstw półkłamstw i fałszywych prawd i trzymać się tego teraz kiedy to wreszcie miał i dlaczego to miał skoro wiedział że mają to tylko nieliczni: prawie się zawstydził że ma tak wiele gdy znów otworzył oczy i zobaczył że to jest że to jest naprawdę i spojrzał na błyszczące oczy które doprawdy zdawały się tworzyć dwie wielkie pionowe linie światła jak gdyby patrzył na pojedynczą gwiazdę przez nie nastawioną na ostrość lornetkę polową i były takie jakich nie widział jeszcze nigdy i czuł zarazem dumę i pokorę i roześmiał się spojrzawszy na łatwy-do-wytropienia-dla-każdego-skauta szlak części ubrania porzuconych od drzwi aż do łóżka.

– Pięknie się śmiejiesz, mój najmilszy – szepnęła sennie Karen – i pięknie kochasz. Kiedy mnie kochasz, czuję się jak wielbiona bogini, biała bogini dzikich, którymi jesteś ty, dzikich powściągliwych w swej czci, ale ze spiłowanymi zębami i wielkim złotym kolczykiem w uchu.

Leżał na wznak w zmietoszonym łóżku, słuchał jej i wpatrywał się z zadowoleniem w sufit, półsennie jak po dobrym, sytym, pożywnym posiłku, czując drobnokościstą dłoń, nieomal przezroczystą jak dłoń Starego Choya, ale gładką i zupełnie odmienną w gatunku i

dotyku, której palce delikatnie gładziły go po piersi – i wysoki dobrze oświetlony pokój dawał im obojgu tę tajemną anonimową samotność którą może dać tylko pokój hotelowy kiedy za zamkniętymi drzwiami słyszeli przytłumione przez dywan kroki na korytarzu i dolatujący nikło szept głosów i zgrzyt kluczy i drzwi zamykane z jakąś sekretną ostatecznością ostateczną ostatecznością ostateczności tako rzecze sierżant wszystko jest ostatecznością jaką korzyść ma człowiek ze wszystkich swych możliwości pod słońcem jedno prawdopodobieństwo przemija a inne prawdopodobieństwo nadchodzi wszystko jest pełne prawdopodobieństw i człowiek nie może tego wypowiedzieć ale ostateczność kończy się w pokoju hotelowym i nie ma wspomnień o możliwościach minionych ani nie będzie wypatrywania możliwości mających nadejść później jako rzekłem ja sierżant który byłem królem Izraela w Jeruzalem gdzie przebywałem w dolinie cieni pokoju hotelowego z mą ukochaną która jest różą Saronu i lilią tej doliny cieni pokoju hotelowego gdzie nic nie jest sprzeczne samo w sobie gdzie nie ma prawdopodobieństw bo jest ostateczność pozostań pozostań o Sulamitko pozostań pozostań ażebyś dała mi napić się wina wonnego z soku twojego jabłka granatu w pokoju hotelowym gdzie nic nie jest niestałe gdzie jest tylko ostateczność i wszystko się ostaje na wieki wieków amen na dni niepolicone zaś wszelkie prawdopodobieństwa zbiegają się w świat a jednak świat nie jest pełny.

A potem ocknął się wewnątrz siebie, tam gdzie znów były prawdopodobieństwa, gdzie zawsze miały zbiegać się w świat, nie mogąc jednak nigdy wypełnić go na tyle, aby osiągnąć ostateczność. Przez chwilę myślałeś, żeś znalazł system, który zapewni ci wygraną w tej grze, co, Warden? Tak, tak było. Tak było. Jednakże nie musiał podnosić głowy i patrzeć, by wyczuć, iż dawny świat przesącza się ustawicznie pod drzwiami, które zamknął, ale zapomniał uszczelnić. Ów świat sięgał teraz już prawie po materac. Ów świat niósł pod pachą pęk prawdopodobieństw, jak komiwojażer. Ów świat sprzedawał polisy towarzystwa ubezpieczeniowego, którym była nauka. Czyś wiedział, że system ubezpieczeń jest tym, co daje naszemu krajowi finansową stabilizację? Tak, to wiedziałeś. A czy wiedziałeś, że system ubezpieczeń, którym jest nauka, rozwija i propaguje prawo prawdopodobieństwa? Tak, wiedziałeś o tym. No, a czy wiedziałeś, że kodeksem justyniańskim prawa prawdopodobieństwa jest zasada, iż nie ma ostateczności, że istnieją tylko możliwości, że stałość jest jedynie złudzeniem utworzonym i utrwalonym przez nieskończoną liczbę niestałości? Tak, i o tym wiedziałeś, ale w to nie wierzyłeś. Ach, więc nie wierzyłeś? Po prostu. A dlaczego? Zapewne dlatego – myślał – według wszelkiego prawdopodobieństwa dlatego, że wychowałeś się jako katolik. E, dajże spokój, naprawdę? Ano, chciałeś odpowiedzi. Ale przecież nie jesteś już katolikiem, prawda? Nie, nie jesteś. Przestałeś być katolikiem w czternastym roku życia, kiedy pierwszy raz przespałeś się z kobietą i odkryłeś,

że nie ma się z czego spowiadać, Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że ta Pieśń o Sulamitce jest w gruncie rzeczy jedynie metaforą miłości Chrystusa do Kościoła? Wersja świętego Jakuba mówi o tym wyraźnie; to nie jest miłość mężczyzny do kobiety ani kobiety do mężczyzny; na pewno o tym wiesz, prawda? Tak, wiesz, ale czy nie rozumiesz, że przez to właśnie powstało prawo prawdopodobieństwa, które mówi, że nie ma stałości, a zatem i ostateczności? Protestuję! Protestuję! Uchylam sprzeciw! Proszę to skreślić! To oświadczenie jest nieistotne, wykrętne, nie posiada związku ze sprawą i ma na celu zasugerowanie świadka. Podtrzymuję sprzeciw. Koniec posiedzenia. Dzwonek. Ten człowiek może dostać sześćdziesiąt cztery dolary, a my mamy wspaniałe nowe polisy przeciwko utonięciu w słonej wodzie, pan oczywiście wie, że jest znacznie gorzej tonąć w wodzie słonej niż w słodkiej?

Tak, ale czy jest lepiej tonąć w słodkiej wodzie niż w prawdopodobieństwach? Tego nam nie wiadomo, natomiast wiemy, że to o wiele cięższe. No więc ubezpieczę się na dziesięć tysięcy od prawdopodobieństw. Bardzo nam przykro, ale nie możemy ubezpieczyć pana od takiej ewentualności bez dokładnego zbadania pańskiego umysłu; możliwość ta stanowi za duże ryzyko dla naszej firmy. No to dajcie mi może sześćdziesiąt cztery dolary i pójdę sobie. Bardzo nam przykro, czas upłynął, wygląda na to, że zamiast dostać te pieniądze, będziesz musiał je zostawić, bracie.

– Nikt mnie nigdy tak nie kochał jak ty – powiedziała Karen ciepło, z lubością.

– Nikt? – zapytał.

Roześmiała się i było to jak ściekający z łyżki do słoja miód, na który patrzymy pod słońce.

– Nie, nikt – odpowiedziała.

– Ani jeden? – zapytał żartobliwie. – Ze wszystkich rozlicznych mężczyzn, którzy cię kochali?

– Ano – odrzekła Karen ze śmiechem – trzeba by sobie obliczyć. Masz ołówek? Jak myślisz, ilu miałam kochanków, mój miły?

– Czy ja wiem – zażartował. – Nie możesz nawet podać mi jakiejś przybliżonej liczby?

– Nie dam rady bez maszyny do liczenia – odparła Karen nieco mniej roześmianym tonem. – Masz przy sobie swoją maszynę do liczenia?

– Nie – zażartował. – Zapomniałem przynieść.

– To chyba się nie dowiesz – powiedziała Karen już wcale się nie śmiejąc.

– Może już wiem.

Siadła na łóżku i popatrzała na niego bacznie; wydała mu się nagle wyraźniejszą osobowością niż kiedykolwiek dotąd, nawet tamtego pierwszego razu u niej w domu, zanim

się zjawił jej syn.

– Co się stało, Milt? – zapytała, wciąż patrząc na niego. Zabrzmiało to sucho, po żoninemu, jak gdyby nazwała go Miltonem.

– Nic – uśmiechnął się sztywno. – A bo co?

– Owszem, coś jest – powiedziała. – Do czego ty pijesz?

– Do czego piję? – uśmiechnął się. – Do niczego nie piję. Po prostu żartowałem z ciebie.

– Nie, ty nie żartowałeś – powiedziała. – Co ciebie-gryzie?

– Nic – odparł Warden. – A dlaczego? Czy jest coś, czym powinienem się gryźć? Coś, do czego można by pić?

– Nie wiem – odrzekła. – Może bardzo dużo. A może tylko ci się zdaje, że dużo.

– Powiedz mi – ciągnęła żona kapitana Holmesa. – Co ci się stało? Nie czujesz się dobrze? Może coś zjadłeś?

– Nie martw się o moje zdrowie, dziecinko.

– Więc powiedz mi, o co ci idzie. Dlaczego nic nie mówisz?

– No dobrze – odrzekł. – Słyszałeś kiedy o gościu nazwiskiem Maylon Stark?

– Ależ oczywiście – powiedziała wyraźnie Karen. – Znam Maylona Starka. To jest podoficer kasynowy kompanii.

– Zgadza się. Był także kucharzem w oddziale Holmesa w Bliss. Może i wtedy go znałaś?

– Tak – odrzekła Karen patrząc na niego. – Wtedy także go znałam.

– A może znałaś go wtedy bardzo dobrze?

– Dość dobrze – powiedziała Karen.

– Może teraz znasz go jeszcze lepiej?

– Nie – powiedziała Karen patrząc mu w oczy. – Teraz w ogóle go nie znam. Jeżeli o to idzie, nie rozmawiałam z nim od ośmiu lat. – Nadal patrzyła na niego, kiedy nie odpowiedział, a potem spostrzegła jego rękę. – Musiałeś go bardzo mocno uderzyć – powiedziała.

– Wcale go nie uderzyłem – odparł Warden. – Nie uromantyczniajmy niczego. Uderzyłem w ścianę. Dlaczego miałbym go bić?

– Ach, ty głuptasie – powiedziała z gniewem. – Ty głupi wariacie. – Dotknęła tkliwie jego ręki.

– Sss! – syknął. – Uważaj.

– Co on ci powiedział? – spytała, nadal trzymając go czule za rękę. Warden popatrzał na nią, potem na swoją dłoń. Wreszcie znów spojrzął na Karen.

– Powiedział, że cię rznął – rzekł.

Rozległo się to w pokoju jak wybuch granatu i Warden miał ochotę odgryźć sobie język, który to wypowiedział. W przeciągłym echu eksplozji widział, jak ją poraża szok tego wstrząsu. Jednakże szybko przysłała do siebie. „Bardzo szybko” – pomyślał z gorzkim podziwem. Widocznie spodziewała się tego.

„Dlaczego to zrobiłeś? Co ci kazało powiedzieć coś podobnego? Nie wszystko ci jedno, czy tak było, czy nie? Owszem, wszystko ci jedno. Więc po co?” Jednakże oczywiście wiedział, co robi. Wiedział, że raz wypowiedziane pierwsze słowo prowadziło nieuchronnie do tego. Wszystko to wydawało się dziwnie znajome, jak coś, co czynił już przedtem, i czuł się nieszczęśliwy, że to robi, a jednak nie mógł się powstrzymać. Musiał wiedzieć; kiedy ludzie mówią takie rzeczy, nie można tego puszczać mimo uszu, nie można po prostu zapomnieć, zwłaszcza jeżeli trzeba współżyć dzień w dzień z tymi ludźmi. Cholerni ludzie.

– Nie musiałeś tego powiedzieć – rzekła Karen. Położyła ostrożnie jego dłoń na kołdrze.

– Owszem, musiałem. Nigdy nie będziesz wiedziała, jak bardzo.

– Dobrze – odparła. – Może musiałeś. Ale nie w ten sposób. Nie powinieneś być tego tak mówić, Milt. Trzeba było najpierw dać mi szansę.

– Wspomniał też, że prawdopodobnie Champ Wilson także. Tak ludzie mówią. Że nie wspomnę o Jimie O'Hayerze. Że nie wspomnę o Liddellu Hendersonie.

– To znaczy, jestem teraz kompanijną kurwą? – zapytała. – Ano, dobrze mi tak. Sama się na to naraziłam, no nie? Sama sobie tego narobiłam, kiedy związałam się z tobą.

– Nikt nie wie, że związałaś się ze mną. Nikt – powiedział Warden.

– Ale ty uważasz, że powinnam wiedzieć, co robię, prawda? – odrzekła. – Otóż nie. O, nie, to nie ja. Musiałam samą siebie przekonać, że jesteś inny. Musiałam zapomnieć, że jesteś mężczyzną. I że będąc mężczyzną masz tę samą wstrętą, obrzydliwą mentalność co wy wszyscy. Tę samą pyszną, kogucią, zdobywczą męskość. O, założę się, żeście się dobrze ubawili ze Starkiem omawiając to, porównując swoje wrażenia. Powiedz mi, jakże wypadam w zestawieniu z zawodowymi? Bo wiesz, jestem jeszcze amatorką.

Wstała z łóżka i zaczęła gorączkowo zbierać części swej garderoby. Leżały porozrzucane po całym pokoju. Musiała je pooddzielać od jego ubrania. Nie mogła dać sobie z tym rady. Włosy wciąż jej opadały na oczy. Odgarniała je to jedną, to drugą ręką.

– Wychodzisz? – zapytał Warden.

– Właśnie się zastanawiam. Masz jakąś inną propozycję? Przecież i tak już skończone, nie? Chyba nie przypuszczasz, że teraz mogłoby znowu być tak jak przedtem, prawda? To była miła przejażdżka, dopóki trwała. Ale wydaje mi się, że w tym miejscu wysiadam.

– No to może się napijemy – powiedział Warden czując skurcz w dołku, czując się jak wykastrowany. „No, a czegoś ty się spodziewał? Dlaczego ludzie nigdy nie potrafią rozmawiać? Dlaczego nie potrafią nic powiedzieć? Jak to się dzieje, że zawsze mówią coś innego, niż chcą?” Wstał i wziął butelkę z komody. – Napijesz się? – zapytał.

– Nie, dziękuję. W tej chwili muszę się trzymać całą siłą, żeby nie zwymiotować.

– A – rzekł. – Więc to cię zemdliło. Ten wstrętny, mały Warden i jego paskudny, mały umysł. Obrzydliwi mężczyźni, których rozum wisi im między nogami. Słyszałaś kiedy takie stare powiedzonko, że nie ma dymu bez ognia? – zapytał złośliwie.

Kiedy to mówił złośliwie, patrzył na jej pełne piersi, które miały tę lekką obwisłość, tę szlachetną, nieodzowną, leciutką obwisłość dojrzałości, której nie mają nigdy dziewice i miodki, i przez to zawsze im czegoś brak.

Kiedy to mówił złośliwie, czuł, jak w nim narasta, jak go ogarnia niepokój, ten niepokój odbierający męskość.

– Tak – odrzekła Karen. – Słyszałam. A ty słyszałeś kiedy to drugie powiedzenie, że każda kobieta umiera trzy razy? Raz, kiedy jej odbierają dziewictwo, raz, kiedy jej odbierają wolność (zdaje się, że to się nazywa małżeństwo), i raz, kiedy jej odbierają męża. Słyszałeś to może?

– Nie – odrzekł. – Nigdy nie słyszałem.

– Ani ja – powiedziała Karen. – Wymyśliłam to w tej chwili. Można by dodać jeszcze czwarte: kiedy jej odbierają kochanka. Powinnam to posłać do „Reader's Digest”, nie uważasz? Może by mi zapłacili z pięć dolarów. Tylko że, oczywiście, tam mają mężczyznę jako redaktora.

– Ty nie bardziej lubisz mężczyzn niż ja kobiety, prawda? – zapytał Warden, który stał oparty o komodę i nie próbował jej pomóc.

– Dlaczego miałabym ich lubić? Jeżeli są tacy jak ty i twoi wstrętne przyjaciele? Wiesz, to było bardzo obrzydliwe, coś mi powiedział. Zwłaszcza że tamto o wszystkich innych mężczyznach jest kłamstwem i nieprawdą.

– Dobra – rzekł. – Ale o Starku to prawda, nie? Karen obróciła się ku niemu z gorejącymi oczyma.

– A ty przyszedłeś do mego łóżka dziewicy, co?

– Więc to jest prawda – powiedział. – No, jakże to było? – zapytał tonem towarzyskiej rozmowy. – Podobało ci się? Podobało naprawdę? Czy był równie dobry jak ja? Wygląda na dość męskiego.

– O, widzę, że staliśmy się strasznie zaborczy, i to strasznie nagle – odparła Karen wzgardliwie. – A co ci do tego?

– Ano, myślałem, że może mógłbym wykombinować jakieś nowe sposoby, może jakąś nową technikę, jeżeli nie jesteś zadowolona. Kompania G szczyli się tym, że zawsze zadowala swoich klientów.

– To też paskudne, co mówisz w tej chwili – odrzekła Karen z kurczowym grymasem.
– Ale jeżeli to może przynieść ci ulgę, dowiedz się, że tamto było dla mnie wstrętne. Obrzydliwe.

– Skąd mogę wiedzieć, czy nie kłamiesz?

– A coś ty za jeden, żeby się zastanawiać, czy kłamię?

– No to dlaczego to robiłaś?

– Chcesz wiedzieć dlaczego? Naprawdę chcesz wiedzieć? Może ci kiedyś powiem. Jasne. Zaczynasz mówić jak typowy mąż, więc czemu nie poczekaś cierpliwie, tak jak typowy mąż?

Roześmiała się złośliwie, a potem jej twarz skurczyła się nagle. Wokoło oczu i ust pojawiły się szpetne zmarszczki i wybuchnęła gniewnym płaczem.

– Jesteś podły, podły, podły! – zawołała. – Nie zostawiasz nikomu niczego.

– No dobrze – powiedział. – Już dobrze. Nie potępiam cię.

Stała wpatrując się w niego i płacząc, w oczach zaś miała największą nienawiść, jaką kiedykolwiek widział, a w swoim czasie widywał sporo niezgorszych nienawiści.

– Nie – rzekła. – Myślę, że powiem ci teraz. Myślę, że teraz jest odpowiedni moment. Możesz to zabrać ze sobą do koszar. Będzie świetnym tematem do rozmów w koszarach.

Upuściła części ubrania, które pozbierała z takim trudem i którymi się zasłaniała trzymając je przed sobą. Siadła na łóżku i pokazała mu długą bliznę na brzuchu, bliznę, która zwracała jego uwagę za każdym razem, ale o której jakoś wzdragał się napomknąć.

– Widzisz to? – zapytała. – A wiesz, co to jest? Nigdy dotąd tego nie zauważyłeś, prawda?

No więc to jest blizna po histerektomii – ciągnęła. – Histerektomia to jest uterektomia. Uterektomia to operacja wycięcia macicy. Ale nazywają to histerektomią. A oczywiście wiesz, od czego pochodzi słowo histerektomia? Od hysterii. Histeria, macica i kobieta to synonimy w zawodzie medycznym. Bo, widzisz, to jest dla nich największe źródło dochodów.

Rozumiesz: głupie kobiety, które płaczą, są bardzo nerwowe i rozklejają się, i może tracą zmysły, kiedy *zbliża* się wiek przejściowy, ale których mężowie zawsze obowiązkowo, troskliwie je ochraniają i opiekują się nimi miłośnie w domu, tak że biedaczki rzadko idą do jakiegoś zakładu. Zajrzyj kiedyś do medycznego słownika, to znaczy, jeżeli w ogóle taki dostaniesz, bo one są trzymane w wielkiej tajemnicy i jakoby nie udostępniane, więc pewnie

będziesz musiał gdzieś go kupić. Ja swój kupiłam. Ale odszukaj przedrostek „hister” i przejrzyj słowa, które się z niego wywodzą. Histeroskop to przyrząd do badania macicy; wiedziałeś o tym? Histerograf to aparat do mierzenia siły skurczów macicy podczas porodu; wiedziałeś o tym? Dwie, może trzy strony drobnego druku: histero-to, histero-tamto.

Przychodzisz do nich, a oni oglądają cię taksujące od stóp do głów, a potem pytają, ile masz lat. Mówisz, że trzydzieści pięć. Aha, powiadają. Kiwają głowami. Mają minę ludzi świadomych rzeczy. Trzydzieści pięć, powiadają. Przekwitanie już niedaleko, rozumiesz. Uspokajają cię. Nie trzeba się denerwować. Spokojnie. Każdy to przechodzi. Badają cię. Bo oni są ginekolodzy i to wszystko oczywiście należy do ich zawodu. Potem myją ręce i kiwają mądrze głowami. Właśnie tak myśleliśmy, mówią; trzeba pani zrobić histerektomię, nic więcej, po prostu małą histerektomię.

Bóg jeden wie, co by zrobili doktorzy, gdyby nie mieli tych swoich histerektomii i histeropochodnych. Pewnie wszyscy by zbankrutowali i opowiedzieli się mimo wszystko za uspołecznieniem medycyny. W tym szpitalu, gdzie byłam, dokonywali do dziewięciu histerektomii dziennie. Dziwisz się? A, bo ty nie zdajesz sobie sprawy. Nie wiesz, ile w tym kraju jest kobiet po trzydziestce. A to jest teraz naprawdę bardzo proste. Wciąż jeszcze poważna operacja, ale z dnia na dzień ulepsza się technikę. Niedługo to będzie taki drobiazg jak usunięcie ślepej kiszki, a wtedy każda kobieta, która skończy trzydzieści pięć lat, będzie mogła tanio to sobie załatwić.

Wycięcie macicy stało się dzisiaj naprawdę czymś osobnym, zawodem samym w sobie. Kiedy wycinają macicę, usuwają razem z nią całą resztę. Bo na co to komu, kiedy już nie ma macicy? Wycinają więc wszystko za jednym zamachem, przewody, jajniki, wszystko. Na wszelki wypadek, żeby nie zostały jakieś tkanki wytwarzające ropę. Wyjmują ci także ślepa kishkę. To już jest darmowy dodatek.

Ale kiedy cię wreszcie zaszyją, nagle odkrywasz, że już nie jesteś kobietą. O, strona zewnętrzna zostaje, ta, na której zależy mężczyznom, nie jest to wcale jak kastracja. Niektórzy lekarze dają nawet do zrozumienia, że teraz lepiej ci będzie smakowało, kiedy już nie ma obawy zajścia w ciążę. Nadal wyglądasz i ubierasz się jak kobieta, twoja skóra i włosy są nie zmienione, nic podobnego, nawet piersi ci nie przywiędną, bo dostajesz takie małe pigułki, po których zewnętrzna łupina zachowuje się tak, jak gdyby nic się nie zmieniło. Nazywają je hormonami.

Widzisz to? – ciągnęła wyjmując ze swojej wycieczkowej torby małą, zieloną kwadratową flaszeczkę. – Bierzesz je co dzień. Pigułki, bez których nigdzie się nie ruszasz. Ciekawe, co?

Schowała buteleczkę z powrotem.

– Ale – ciągnęła – nie jesteś już kobietą. Nadal chodzisz do łóżka, mężczyźni nadal dostają, czego chcą, ale cel tego wszystkiego zniknął. Zniknął także i sens. Nie jesteś kobietą, a z pewnością nie jesteś mężczyzną, nie jesteś nawet jakąś nieszczęsną, wynaturzoną hermafrodytą. Jesteś niczym. Wybebeszoną łupiną. Teraz z kolei powinni wyprodukować takie pigułki, które przywróciłyby temu sens albo przynajmniej złudzenie sensu, wtedy można by brać co dzień dwa rodzaje pigułek i życie byłoby cudowne. Ale w tej chwili jesteś nadal bujnym, dojrzałym owocem, tyle że wyrwano z niego miąższ i wyłuskano nasienie. Jesteś pustą skorupą, cały sens życia płciowego zniknął, nie możesz mieć dzieci.

Może – mówiła dalej – może właśnie dlatego goni się tak zachłannie za miłością, dlatego musi się jej szukać, chociaż wiadomo, że wszyscy śmieją się z nas po cichu, mrugają za naszymi idealistycznymi, romantycznymi plecami; jeszcze jedna neurasteniczka w okresie przejściowym, pragnąca odmienić świat i dać mu miłość, tak jakby świat kiedykolwiek potrzebował miłości! Co świat by zrobił z miłością?

– Ale miłość – powiedział – jeżeli potrafisz ją znaleźć, mogłaby nadać sens płci, sens tobie samej, może nawet życiu. Bo w takim razie miłość jest wszystkim, co masz – jeżeli zdołasz ją znaleźć.

– Nie, nie mów nic – odrzekła. – Zaczekaj. Jeszcze nie skończyłam. Daj mi najpierw powiedzieć wszystko.

Bo, wiesz, nigdy dotąd nikomu tego nie mówiłam. Nie rozmawiałam o tym z żywą duszą, z wyjątkiem mojego doktora, dopóki po moim wyzdrowieniu nie zapragnął przekonać się, jak to smakuje z kobietą, której wyjęto organy. Więc pozwól mi wszystko powiedzieć.

Wiesz, co było powodem, że mi wycięto macicę? Założę się, że nigdy byś nie zgadł. Rzeźączka. Rzeźączka jest przyczyną większości tych operacji. Nie wszystkich oczywiście, ale ogromnej większości.

A jak myślisz, od kogo dostałam tę swoją porcję trypra? Założę się, że i tego byś nie zgadł. Od mojego męża, czyli z tego samego źródła, co większość żon, które na to chorują. Od pana kapitana Dany E. Holmesa. Tylko że wtedy był jeszcze porucznikiem.

Nie miej takiej przerażonej miny. Ja nie jestem rozgoryczona. Słyszałam, że żony także przynoszą trypra swoim mężom. To nie jest nic niezwykłego, wcale nie takie niezwykłe, jak myślisz.

Byliśmy trzy lata po ślubie, kiedy to się zdarzyło. Wtedy miałam już dziecko. Dziedzica. Dumnego kontynuatora rodu. Spadkobiercę dobrodziejstw społeczeństwa. Wypełniłam swój obowiązek i urodziłam syna. Miałam szczęście, co?

Oczywiście już po dwóch miesiącach małżeństwa wiedziałam, że mąż mnie zdradza. Ale to nie różniło się niczym od losu innych kobiet. Należało do roli żony. Matka mówi nam,

że takie jest życie. Nawet teściowa nam współczuje. W końcu przyzwyczaiłam się do tego, właściwie bez trudu, chociaż to niezupełnie był ten obraz małżeństwa, którego mnie nauczono oczekiwać. Bo, widzisz, matka mówi nam wszystkie te rzeczy dopiero wtedy, jak już się staną.

A później, kiedy dziecko przyszło na świat, stopniowo przestał ze mną sypiać. Poza rzadkimi wypadkami. Do tego było trochę trudniej przywyknąć, bo nie wiedziałam, dlaczego tak jest. Ale i z tym się w końcu pogodziłam. Właściwie odczułam prawie ulgę, bo te rzadkie wypadki były tak oczywiste: przychodził do domu podпиты, cały rozpalony, bo najwyraźniej nie udało mu się z jakąś kobietą, z którą się umówił. Zawsze było tak samo; przypuszczam, że mężczyźni na to trzymają w domu żony, ale jakoś nie mogłam nigdy w tym znaleźć większej przyjemności.

A później na pewien czas przestał w ogóle. Wydawało mi się to dosyć naturalne; przypuszczałam, że dostaje gdzie indziej wszystko, czego mu potrzeba. Skąd mogłam wiedzieć, że leczył się na trypra? Przyzwoite kobiety nawet nie muszą wiedzieć, co to jest tryper, prawda? Więc nie bardzo się nad tym zastanawiałam, kiedy wrócił tamtej nocy, trochę bardziej pijany niż zwykle.

Oczywiście niedługo potem zdałam sobie sprawę, co się stało. Ano, może był zanadto pijany, żeby pamiętać. Albo po prostu tak podniecony, że zapomniał. Wiesz, jak to bywa.

– Jezu! – powiedział Warden. Już dawno odstawił butelkę. – Jezu Chryste! – powtórzył. – Jezu, Jezu Chryste!

Karen uśmiechnęła się do niego upiornie.

– Już prawie skończyłam – rzekła. – Jeszcze parę słów. Chcę ci powiedzieć o Starku. Widzisz, Dana zawiózł mnie do swojego doktora, tego, u którego się leczył. Na mieście, ma się rozumieć. Gdyby się udał do szpitala wojskowego, wylano by go z punktu. Nie sądzę, żeby doktor był tym zachwycony, ale to był bardzo uczony człowiek. Łysy, uczony i ogromnie obiektywny, jak wszyscy prawdziwi naukowcy, i od niedawna dosyć bogaty. Nie dowiedziałam się nigdy, skąd Dana dostał jego nazwisko, przypuszczani, że od jakiegoś towarzysza niedoli z garnizonu. W każdym razie ten doktor miał kwitnącą praktykę; Teksas był zawsze fatalnym miejscem, jeżeli idzie o rzeźączkę; rozumiesz, za blisko granicy.

– Słuchaj – przerwał Warden w napięciu. – Słuchaj... Proszę cię...

– Nie, nie, daj mi skończyć. Już zaraz. Stark był, kiedy wróciłam. Bo musiałam wyjechać w podróż, rozumiesz. Kobieta jest trudniej wyleczyć niż mężczyznę. Prawie zawsze pociąga to za sobą usunięcie macicy. Nie było mnie przez dłuższy czas. A kiedy mnie nie było, Stark zjawił się tam jako rekrut. Był wtedy jeszcze właściwie smarkaczem. Zwykłym chełpliwym smarkaczem, który zaczął się do mnie przystawiać przez ambicję. Myślę, że miał

śmiertelnego stracha, kiedy się zgodziłam, ja, żona porucznika. Ale musiałam coś zrobić. Musiałam się oczyścić. Byłam brudna, byłam brudna tak strasznie długo i tak usilnie próbowałam przekonać samą siebie, że nie jestem brudna i że to samo musi przejść każda kobieta. Ale nagle stało mi się zupełnie obojętne, co inne kobiety przechodzą czy nie przechodzą. W i e d z i a ł a m, że jestem brudna. Może tamte potrafią się okłamywać. Ja już nie mogłam. Wiedziałam. Rozumiesz mnie, prawda?

– Słuchaj... – powiedział Warden.

– Stark był narzędziem, którego użyłam, żeby się oczyścić, pierwszym, jakie trafiło mi się po powrocie. Każde inne nadałoby się równie dobrze. Zdarzyło się to tylko raz jeden, bolało mnie fizycznie i było mi wstrętne. Ale potem już byłam czysta. Chyba rozumiesz, prawda, że musiałam się oczyścić?

– Tak – odrzekł Warden. – Rozumiem. Ale słuchaj...

– To wszystko – uśmiechnęła się blado Karen. – Skończyłam. Teraz sobie pójdę.

Usiadła, spojrzała na niego i ten blady uśmiech stopniowo, bardzo powoli zgasł na jej twarzy, i wtedy popatrzała na Wardena, i była zupełną, absolutną nicością, nazbyt znużoną, żeby dbać, co wyraża jej twarz. Osunęła się wyczerpana na łóżko i legła tam bezwładnie, nie utraciwszy przytomności, nie zemdlna, nie płacząc ani nie wymiotując. Przypominała ciężarną kobietę, która od dłuższego czasu czuła, jak w niej to rośnie i rośnie – ten wytworzony przez mężczyznę guz, który trzeba wydobyć, ale którego wydobycia ona się lęka, aż w końcu wyrzuca go z siebie i wyczerpana opada z ulgą na chwilę w zupełną nicość.

Warden wziął butelkę i podszedł z nią do Karen.

– Słuchaj – powiedział natarczywie. – Posłuchaj mnie.

– Chcesz, żebym teraz poszła, prawda? – zapytała głucho. – Chcesz usunąć sobie sprzed oczu tę całą zgniliznę. – Dźwignęła się. – Więc zaraz pójdę. Chcę tylko chwilę odpocząć.

Warden pokiwał głową.

Spojrzała na niego i wzięła z jego ręki butelkę.

– Chyba się napiję przed wyjściem. Słuchaj, Milt – dodała. – Ty płaczesz.

– Nie, nie płaczę – zaprzeczył Warden.

– Może ty wypij – powiedziała Karen zwracając mu butelkę. Warden potrząsnął głową.

– Nie chcę, żebyś szła, rozumiesz? – powiedział. – Proszę cię, bardzo cię proszę, żebyś nie odchodziła.

– Ja nie chcę iść – odrzekła. – Chcę zostać. Och, Milt, tak chcę tu zostać!

– Tak – odparł. – Słuchaj... Ach, to łajdak. Nędzny, parszywy łajdak.

– Nie muszę wracać aż do jutrzejszego wieczora – powiedziała niepewnie. – On dzisiaj idzie na męskie przyjęcie urządzone przez pułkownika Delberta.

– Kocham cię – powiedział Warden. – Ach, to łajdak.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kapitan Holmes mógł być lub nie być łajdakiem – to zależało od punktu widzenia – ale kapitan Holmes nie był człowiekiem głupim. Wiedział, że jego żona ma romans. Kiedy przeżyje się z drugą istotą ludzką dwanaście lat, ma się wycucie tych rzeczy. Tego wieczora żona odmówiła ugotowania mu kolacji. Nie odmawiała tego nigdy. Śniadania, owszem, obiadu, tak – ale nie kolacji. Przygotowanie kolacji było przewidziane w ich umowie. Umowie? – myślał kapitan Holmes. Raczej traktacie. Albo może lepiej zbrojnej neutralności. Ich małżeństwo nie było typowe. Czy może było?

Nie mając ochoty na to, co by ugotowała ich tubylcza służąca, kapitan Holmes zjadł kolację, i to dobrą kolację, w kasynie dla nieżonatych oficerów wraz z innymi żonatymi oficerami, których żony nie gotowały im kolacji, i teraz z sytym, pełnym żołądkiem siedział melancholijnie w opustoszałym w dzień wypłaty barze klubowym, obserwując przecierającego pilnie szklanki barmana-żołnierza i czekając na przybycie pułkownika.

Ostatnio, od czasu utraty mistrzostwa, kapitan Holmes nie był w najlepszych stosunkach ze swoim pułkownikiem. Właściwie kiedy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że ostatnio nie był w najlepszych stosunkach z nikim w ogóle. Najpierw pułkownik, potem żona; no, z żoną była zawsze ta sama historia. Ani jego sierżant-szef, ani podoficer kasynowy nie lubili go zbyt. Połowa ludzi z kompanii wręcz go nienawidziła. Druga połowa, to jest ci, dla których – co dobrze wiedział – zrobił niejedno, zdawała się tego w ogóle nie dostrzegać. Chwilami podejrzewał, że nie lubią go jeszcze bardziej niż tamta pierwsza połowa. Nie pojmował, dlaczego tak jest. Widocznie jeszcze nie znalazł sobie odpowiedniego miejsca w życiu. Logicznie biorąc, powinien być mieć jak najlepsze stosunki ze wszystkimi, bo przecież obrał to miejsce w życiu jako jedyne, którego pragnął, i chciał być z każdym w jak najlepszych stosunkach.

Gdzie to się wszystko podziało? – myślał czując, jak pod stopami rozwiera mu się ziejąca pustka, która zawsze napełniała go lękiem. Gdzież są ideały przywódcy, które wyniósł z West Point? Co się stało z radosnym, szczęśliwym małżeństwem, przyjemnym życiem, sumiennym kierowaniem podwładnymi? Gdzie podział się zabójczy, junacki młody kawalerzysta? Nie przypominał sobie, żeby to wszystko zagubił gdzieś po drodze, a wiedział, że się tego dobrowolnie nie wyrzekł. Cóż więc się stało?

„To chyba musi być jakiś cywil – myślał. – Ona jest za ostrożna, żeby brać sobie oficera, a ma za wiele dobrego smaku i wychowania, żeby się zdecydować na prostego żołnierza. *Ergo*, jakiś cywil, w miarę możliwości bogaty.” Kapitan Holmes był zawsze

zwolennikiem sylogistycznej logiki.

Mówił sobie, że powinien być z tego zadowolony. Teraz nie musi w ogóle wracać do domu na noc, ani dziś, ani kiedy indziej. Jest uwolniony od konieczności zachowywania pozorów z tą, która była jego żoną jedynie z nazwiska. To dobre: „Żona jedynie z nazwiska.” Pamiętał książkę pod takim tytułem. „To była jedna z tych książek, które chowałem przed matką w stogu siana. Kto to napisał? Clay. Bertha M. Clay. Pocziwa Bertha.” Ano, dobrze było wiedzieć, że własna żona posiada instynkt seksualny jak każda ludzka istota. Teraz już miał coś na nią. To zdrowa podstawa dla owocnego związku. Biorąc logicznie, powinien naprawdę być w doskonałym nastroju. Przecież zawsze wierzył w logikę, nie? Rozumowanie dedukcyjne jest absolutnie niezbędne dla wojskowego. Właśnie to nam wpajają, nieprawdaż? Tak, ale spróbujcie je zastosować w praktyce. Ach, gdyby tylko można było je zastosować!

Chcąc pozbyć się owego przeraźliwego uczucia pustki, kapitan Holmes zamówił następną whisky z wodą sodową; podyskutował o dziwnych kolejach życia z usłużnym barmanem-żołnierzem, który chociaż znudzony, słuchał go pilnie. Pozwolił sobie zastanowić się cynicznie, gdzie też, do diaska, podziewa się ten stary Delbert.

Pułkownik Delbert zjawił się istotnie trochę spóźniony, przyprowadzając, jako swojego gościa, pewnego brygadiera. Ten brygadier był czymś w rodzaju oficera sztabowego, przydzielonego do brygady, którą dowodził generał-major. Ale tym razem kapitan Holmes nawet się nie zirytował, chociaż splątano mu paskudny kawał zważywszy, że nie został uprzedzony. Wąs pułkownika Delberta nastroszył swoje piórka z niejakim ukontentowaniem, kiedy pułkownik dokonywał nieoficjalnej prezentacji. Nawet to nie zdołało wytrącić z równowagi kapitana Holmesa, który nadal uważał, że jego żona powinna być wyższa ponad te rzeczy.

Wspomniawszy, że pozostali goście (dwaj majorowie z pułku) zjawią się później, pułkownik Delbert poprowadził ich na dwór i dalej chodnikiem z łupanych kamieni przez patio wychodzące na parów, który ich dzielił od jasno oświetlonego szpitala wojskowego. Przeprowadził ich przez opustoszały pawilon, w którym odbywały się mieszane przyjęcia, do schodów w pustym głównym holu, gdzie panie zazwyczaj grywały w brydża. Panie urządzały obiady klubowe przy tym przejściu. Panie pobierały lekcje tańca *hula-hula* w tym pawilonie. Panie, jeżeli były obecne, rzadko zachodziły na górę. To jednak był dzień wypłaty i panie nie były obecne.

– Pochlebiam sobie – mówił pułkownik Delbert do brygadiera – że tym razem zrobiłem prawdziwy *tour de force* wybierając dzień wypłaty żołdu.

– O, niewątpliwie, pułkowniku – odrzekł sucho brygadier, który był znacznie młodszy od pułkownika Delberta. Holmes od razu poczuł do niego sympatię.

Kapitan Holmes oczywiście poznał już przedtem brygadiera. Wiedział, kto to taki. Jednakże zetknął się z nim tylko na terenie oficjalnym. Takie prywatne przyjęcie, z udziałem oficera w stopniu generalskim, to zupełnie co innego. A ten brygadier był ważną figurą w bazie. Przyjechał świeżo ze Stanów i uważano go za znakomitego taktyka i za człowieka z przyszłością. Krążyły pogłoski, że jego obecne dosyć niezwykle stanowisko w brygadzie jest tylko przejściowym rozwiązaniem do czasu, kiedy będzie można wysadzić z siodła i posłać na grzybki zdziwaczałego starego generała-majora, ażeby zrobił miejsce dla tego młodszego wiekiem oficera. Kapitan Holmes cieszył się, iż jest dość młody, żeby przetrzymać pułkownika Delberta.

– Będzie nas pięciu – wysapał pułkownik, kiedy wchodzili na schody. – I sześć kobiet. Tak jest pikantniej, co? A te kobiety, generale, wszystkie kolorowe. Dwie Japonki, jedna Chinka, dwie Chino-Hawajki i jedna czarnulka czystej krwi – albo prawie czystej, bo powiadają, że nie ma już czystej krwi Hawajczyków.

– Pułkownik Delbert – powiedział Holmes – jest zwolennikiem wykorzystywania terenu, w którym stacjonuje.

Brygadier roześmiał się i zerknął na niego chytrze. Holmes odpowiedział mu zadowolonym, cynicznym uśmiechem.

– Jak mi Bóg miły, racja – sapnął pułkownik. – Przecież nie będę przez całe życie na Hawajach. Mam nadzieję. Ale ta Hawajka czystej krwi to rzadki ptaszek, którego trudno ułović.

Pułkownik Delbert wynajął, jak zwykle, wszystkie trzy apartamenty i kazał pootwierać łączące je drzwi, tak że mieli do dyspozycji sześć pokoiów w jednym rzędzie, jak strzelił. Pokoje te były pierwotnie przeznaczone na przejściowe kwatery dla nowych lub przejezdnych oficerów, ale już ich nie używano do tego celu, tak że Klub Oficerski wpadł na pomysł wynajmowania ich na prywatne przyjęcia, ażeby w miarę możliwości uczynić się samowystarczalnym. Kiedy ten pomysł chwycił, Klub stał się nie tylko samowystarczalny, ale zaczął przynosić dochody.

– No, panie generale? – zapytał chełpliwie pułkownik Delbert. – Jak panu się tu podoba?

Stało tam kilka butelek whisky Haig & Haig, kilka Old Forrester, wszystkie otwarte i artystycznie rozmieszczone. Były także trzy tace syfonów z wodą sodową i wysokimi szklankami o grubym dnie, z kolorowymi dzikimi ptakami na ściankach.

– A! – Brygadier, który był roslym mężczyzną, wyprostował się na całą wysokość i wciągnął nozdrzami zatęchłe powietrze, którego otwarte okna nie zdążyły jeszcze odświeżyć. – Przypominają mi się te nasze dawne tajemne konwentykle w West Point.

Pułkownik Delbert roześmiał się przymilnie.

– Befszyki już zamówione. Zajmuje się tym Jeff, mój ordynans.

Kazałem mu przynieść wszystko z domu. Zawsze dbam o należyte wyposażenie, czy to w polu, czy w łóżku. To najistotniejsze, co? Jeff poszedł do kuchni załatwić sprawę z kucharzem i przynieść lód.

Brygadier oglądał etykietę na jednej z butelek i nic nie odpowiedział.

Pułkownik Delbert rozwarł ramiona i rzekł żartobliwie:

– Panie generale Slater, my, przedstawiciele tego pułku, witamy pana w przystani uciśnionych mężczyzn.

Kapitan Holmes z radością obserwował zdenerwowanie swojego pułkownika.

Brygadier osunął się szczupłym ciałem w obficie wyściełany, obity kretonem fotel.

– Sam Slater – skorygował. – Sam Slater z Sheboyganu. Daj spokój z tymi idiotycznymi tytułami, Jake. Nikt bardziej ode mnie nie wierzy w celowość szarż i przywilejów, to dla mnie jest chleb z masłem. Ale we właściwym czasie i miejscu, rozumiesz? To znaczy nie teraz i nie tutaj.

– Okej, Sam – wyszczerzył niepewnie zęby Jake Delbert. – Poprawię się. Ja...

– A ty – rzucił Sam Slater Holmesowi – możesz też do mnie mówić „Sam”. Jednakże jeżeli zrobisz coś podobnego poza tym miejscem, w bazie, zdegraduję cię do podporucznika, rozumiesz?

– Okej – uśmiechnął się Holmes czując, że lubi go jeszcze bardziej. – Nigdy nie potrafiłem dać sobie rady z szantażem.

Sam Slater popatrzał na niego przez chwilę. Potem się roześmiał.

– Wiesz, Jake, podoba mi się ten twój protegowany – powiedział.

– Dobry chłopak – rzekł Jake niespokojnie. – Ale właściwie nie można go nazwać moim protegowanym – zaczął wyjaśniać.

Sam Slater przypatrywał się im obu z namysłem, jak wirtuoz badający klawisze, z których ma dobyć melodię.

– Szczerze mówiąc – uśmiechnął się do Holmesa – kiedy nasz stary Jake powiedział mi, że zaprosił na to przyjęcie jednego młodego kapitana, pomyślałem sobie: „O, jasna cholera!” – Spojrzał na Jake'a. – Ale powinienem był wiedzieć, że stary Jake wie, co robi, no nie? – skłamał jawnie. Nawet dla Jake'a było oczywiste, że to kłamstwo.

– Wiedziałem, że ci przypadnie do gustu – odwzajemnił się Jake jaskrawym kłamstwem. Jego wąsy podniosły odrobinę swoje skrzydełka, jak pisklak, który jeszcze nie nauczył się latać.

– Na pewno mnie nieźle zareklamował – powiedział Holmes.

– A jakże – odparł Sam Slater. – Nie, Jake? Opowiedział mi wszystko o tobie. I o tym, jak mu przykro, żeś utracił to mistrzostwo, które naprawdę słusznie ci się należało.

– Zawsze staram się jak mogę być uczciwy – rzekł Jake.

– Żadnemu młodszemu oficerowi nie zaproponowałbym tego, co wam przed chwilą – powiedział Sam Slater. – Żeby mówić do mnie „Sam”. Nawet tu, w tej sytuacji. Większość źle by to zrozumiała, prawda, Jake?

– Tak, Sam. Na pewno źle – odparł Jake z niejakim powątpiewaniem. Obserwował Holmesa. Jeszcze nigdy nie widział u niego takiego braku uszanowania.

Kapitan Holmes, który nigdy nie był w podobnym nastroju obcując z pułkownikiem Delbertem, wyczuł, że łączy go z brygadierem jakieś nieuchwytnie zrozumienie, które nie tylko pchało go dalej, ale obiecywało bezpieczeństwo. Miał chęć chichotać. Nieczęsto zdarzało mu się widzieć pułkownika wziętego na hak, przypartego do muru i wystraszonego.

Jake uczył wyraźną ulgę, kiedy młodszy sierżant Jefferson wszedł niosąc lód. Zasadził go do mieszania pierwszych koktajli i nadzorował nieubłaganie, po czym kazał mu podać lornetkę polową, która leżała na stole w zasięgu jego ręki, i nie podziękowawszy nawet, wyprawił go ze złością do Wahiawy po kobiety.

– Tylko uważaj, psiakrew, żeby jacyś cywile nie zobaczyli, że wiesz je moim wozem służbowym, bo mi za to głowę zapłacisz, Jeff. Zrozumiano?

– Tak jest, panie pułkowniku – odrzekł Jeff flegmatycznie. Czuło się, że powinien był się skłonić.

Jake nawet się nie obrócił. Stał ostrożnie w pewnej odległości od okna i nastawił lornetkę na oświetlone okna budynku po drugiej stronie parowu, gdzie mieściły się kwatery pielęgniarek.

– Nic a nic – powiedział zmartwiony i szurnął lornetkę na stół. – Nawet ani jednego golasa, psiakrew.

Żaden z pozostałych mu nie odpowiedział. Sam Slater nadal rozmawiał z Holmesem. Przeszedł od szczegółów do spraw ogólnych, dotyczących młodszych oficerów.

– Co mnie od razu w tobie uderzyło – mówił – to to, że się nie boisz. Dziś większość młodszych stopniem oficerów żywcem przypomina szeregowców: boją się nieprzytomnie swoich przełożonych. Każdą ich myślą i każdym postępkim rządzi ta wieczna obawa przed oficjalną dezaprobatą. Zresztą z większością wyższych oficerów jest to samo. Niezmiernie rzadko można znaleźć między nimi kogoś, z kim dałoby się pogadać rozsądnie, a to jest bardzo ciężkie dla takiego człowieka jak ja.

– Ale przecież zawsze tak było, nie? – powiedział Holmes.

– A, w tym się właśnie mylisz – uśmiechnął się Sam Slater. – Odrobina obiektywnego

zastanowienia udowodni ci, że nie masz racji. Wcale tak zawsze nie było. Mam co do tego swoją teorię.

– Chętnie jej posłucham – powiedział z entuzjazmem „Dynamit”. – Zamieniam się w słuch. Ja też nieczęsto miewam okazję porozmawiania z rozsądnym człowiekiem – dodał z satysfakcją, szczerząc zęby do Jake'a.

Jake nie odpowiedział mu uśmiechem. Słyszał już przedtem ową teorię i wcale mu się nie podobała. Przestraszyła go jakoś i nie mógł się zmusić do uwierzenia, że życie naprawdę tak wygląda. Poza tym uważał, że byłoby uchybieniem wobec godności generała Slatera i jego własnej, gdyby generał dyskutował o tym z kapitanem, który nie był nawet adiutantem, ale zaledwie dowódcą kompanii. Milcząco obracał w palcach swoją szklankę zastanawiając się, jak taki wybitny człowiek jak ten młody Slater, przed którym czuł zawsze obawę, może się do tego stopnia pospolitować.

– W przeszłości – mówił z namysłem Sam Slater – ten lęk przed władzą był tylko negatywną stroną pozytywnego kodeksu „Honoru, Patriotyzmu i Służby”. W przeszłości ludzie usiłowali raczej wypełniać pozytywne nakazy tego kodeksu niż po prostu unikać jego stron negatywnych.

Najwyraźniej starannie dobierał słowa, jakby w obawie, że nie zostaną zrozumiane. A mówiąc to stawał się jeszcze bardziej czarujący, w miarę jak wzrastał jego entuzjazm. Holmes zauważył, że entuzjazm dziwnie wpływa na Sama Slatera. Generał nie wpadał w podniecenie. Zamiast pochylać się w przód i mówić szybciej, odprężył się wyraźnie, mówił coraz to wolniej i wolniej, był spokojniejszy i chłodniejszy niż kiedykolwiek. A jednocześnie bardziej czarujący.

– Jednakże nadejście materializmu i epoki maszyn odmieniło to wszystko. Widzieliśmy, jak świat się zmieni! w naszych czasach. Maszyna zniweczyła sens dawnego pozytywnego kodeksu. Samo się przez się rozumie, że nie można sprawić, żeby człowiek przykuł się dobrowolnie do maszyny dlatego, że to jest „honorowe”. Człowiek jest na to za mądry.

Holmes przytaknął ruchem głowy. Była to oryginalna myśl.

– A zatem zostaje tylko – ciągnął Sam Slater – standaryzowana negatywna strona kodeksu, wyrażona przez prawo. Lęk przed władzą, który niegdyś był zagadnieniem ubocznym, ale dzisiaj jest głównym, bo jedynym, jakie zostało.

Nie można natchnąć człowieka wiarą, że coś jest „honorowe”, więc nie ma innego wyboru, jak tylko sprawić, żeby się bał nie być przykutym do swojej maszyny. Można to osiągnąć zaszczepiając mu lęk przed potępieniem przyjaciół. Można go zawstydzić, ponieważ jest społecznym trutniem. Można go natchnąć obawą, że czeka go głód, jeżeli nie będzie

pracował dla swojej maszyny. Można mu zagrozić uwięzieniem. Albo w najcięższym przypadku nastraszyć egzekucją. Natomiast nie można mu już wmawiać, że to jest „honorowe”. Trzeba sprawić, żeby się bał.

– Jak Boga kocham! – zawołał Holmes. Z podnieceniem trzasnął się pięścią w otwartą dłoń.

Sam Slater uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Dlatego też dzisiaj nasi niżsi oficerowie (a i wyżsi także) mają tylko ten strach i nic więcej. Żyją według jedynego kodeksu, jaki im daje ich epoka. Podczas wojny domowej mogli jeszcze wierzyć, że walczą za „Honor”. Teraz już nie. Podczas wojny domowej machina odniosła swoje pierwsze nieuchronne, walne zwycięstwo nad jednostką. „Honor” umarł.

Dlatego jest idiotyzmem próbować władać ludźmi za pomocą „Honoru”. Prowadzi to tylko do nieudolności i niedostatecznej kontroli. A w naszych czasach musimy mieć pełną kontrolę, bo większość ludzi musi być podporządkowana maszynie, którą jest społeczeństwo.

Ma się rozumieć, nadal w imię pozorów wynosimy pod niebiosa „Honor” na afiszach werbunkowych i w artykułach prasowych, a ludzie to łykają, bo się boją. Ale czy nasza siła liczebna jest uzależniona od werbunku? Przecież to byłby absurd, no nie? Mamy na to pobór, pobór pokojowy, pierwszy w naszej historii. Inaczej nie mielibyśmy ludzi. A musimy ich mieć, mieć ich gotowych na tę wojnę. Nie mamy innego wyboru; albo to, albo klęska. Nowoczesne armie, tak samo jak każda inna gałąź nowoczesnego społeczeństwa, muszą być rządzone i kontrolowane strachem. Losem współczesnego człowieka stało się coś, co nazywam „wiecznym lękiem”. I to jest jego przeznaczeniem jeszcze na kilka stuleci, dopóki władza nie osiągnie stabilizacji. Jeżeli mi nie wierzycie, przyjrzyjcie się naszym domom dla obłąkanych i wzrostowi liczby ich pacjentów. A potem przyjrzyjcie się im raz jeszcze po zakończeniu tej wojny.

– Wierzę ci – powiedział Holmes myśląc nagle o swojej żonie. – Ale chwileczkę. Przecież ty sam nie masz w sobie tego lęku.

Sam Slater uśmiechnął się blado. „Raczej smutnie” – pomyślał Holmes.

– Jasne, że nie. Bo ja to rozumiem. Ja rządę. Moim szczęściem (czy może przekleństwem) jest to, że mam logiczny umysł i potrafię wyczuć ducha czasu. Ja i ludzie mojego pokroju jesteśmy zmuszeni wziąć na siebie odpowiedzialność za sprawowanie władzy. Jeżeli zorganizowane społeczeństwo i cywilizacja, takie, jak je znamy, mają w ogóle się ostać, musi nastąpić nie tylko konsolidacja władzy, ale i całkowite, bezapelacyjne panowanie tych, co są na jej szczycie.

– Tak – powiedział Holmes z podnieceniem. – Rozumiem. Zrozumiałem to już od

dawna.

– W takim razie jesteś jednym z niewielu w naszym kraju – uśmiechnął się do niego smutnie Sam Slater. – Rosjanie oczywiście już to wiedzą. Niemcy uczą się tego, uczą niezwykle prędko. Japończycy zawsze to znali i wykorzystywali, ale nie umieją przystosować się do nowoczesnej techniki maszynowej i wątpię, czy kiedykolwiek to potrafią. Jeżeli idzie o nas, wszystko rozstrzygnie wojna. Albo się tego nauczymy i wojnę wygramy, albo będziemy skończeni. Tak jak skończona jest Anglia i Francja, i cała reszta tych dekadencjonalnych paternalizmów. I berło przejdzie w inne ręce. Ale jeżeli się tego nauczymy, to z naszą zdolnością produkcyjną i przemysłową techniką maszynową będziemy nie do pokonania, nawet dla Rosji, kiedy przyjdzie pora.

Kapitan Holmes poczuł lekki dreszcz przebiegający mu po krzyżu. Spojrzał na Sama Slatera i oto wielki osobisty urok generała oblał go znowu jak ciepłe światło obrotowej latarni morskiej, przynosząc świadomość tragedii tego człowieka, któremu życie narzuciło tak odpowiedzialną pozycję.

– Więc musimy się tego nauczyć! – zawołał kapitan Holmes. Czuł, że Jake Delbert spojrzał na niego z ukosa jakby przerażony. Ale Jake Delbert był teraz gdzieś bardzo daleko. To było niejako coś, co Holmes znalazł od dawna, co leżało porzucone, pokryte kurzem w jakimś zakamarku jego mózgu, a on teraz nagle otworzył drzwi. – Musimy się tego nauczyć, nie mamy wyboru!

– Osobiście uważam – powiedział żywo Sam Slater – że jest naszym przeznaczeniem nauczyć się tego. Ale kiedy ów dzień przyjdzie, będziemy musieli mieć zupełną, całkowitą władzę, tak jak ją już teraz mają tamci. Dotychczas sprawowały ją u nas wielkie korporacje, takie jak Ford, General Motors, US Steel czy Standard Oil. A proszę zważyć, że dawały sobie z tym radę wcale nieźle pod swoim sztandarem paternalizmu. Osiągnęły fenomenalną kontrolę, i to w dość krótkim czasie. Ale teraz hasłem jest konsolidacja, a korporacje nie są dość silne, ażeby do niej doprowadzić – nawet gdyby chciały się skonsolidować, czego wcale nie chcą. Tylko wojskowi mogą dokonać konsolidacji pod jednym centralnym kierownictwem.

Kapitan Holmes ujrzał nagle obraz kraju pokrytego siecią sześciopasmowych autostrad.

– Wojna to wszystko załatwi – powiedział.

– Tak sądzę – odrzekł Sam Slater. – Historycznie rzecz biorąc, korporacje są już skończone. Wypełniły swoje historyczne zadanie. Poza tym mają jedną poważną wadę, która jeżeli jej się nie usunie, może być zabójcza.

– Jaką? – zapytał Holmes.

– To, że same obawiają się władzy, chociaż nie ma żadnej władzy nad nimi – odrzekł Sam Slater. – Tak długo uprawiały swą paternalistyczną propagandę, że same w nią uwierzyły; wierząc we własną bajkę o Kopciuszku, w swój mit o ubogim chłopcu, co wznosi się do bogactwa. A to oczywiście podcina im nogi pewną dozą sentymentalnych zobowiązań moralnych; muszą odgrywać rolę ojca, którą same wymyśliły.

– Chwileczkę – przerwał Holmes. – Nie bardzo to rozumiem. Sam Slater odstawił pustą szklanę i uśmiechnął się do niego smutnie.

– To jest to samo, co wytykałem jako złe u bardzo wielu (za wielu) naszych wyższych oficerów. Oni wszyscy są anachronizmami należącymi do dawnego pokolenia, które wyrosło w epoce wiktoriańskiej.

Wiesz, ludzie kierujący korporacjami i nasi wyżsi oficerowie są bardzo do siebie podobni: jedni i drudzy posługują się tym nowym społecznym strachem, do którego rozwoju sami się przyczynili, i zarówno jedni, jak i drudzy mają moralne opory przeciwko wykorzystaniu go w całej pełni. Jest to coś w rodzaju pozostałości wiktoriańskich zasad moralnych i zamierającej brytyjskiej szkoły paternalistycznego imperializmu, szkoły, która nigdy nie zamęczała na śmierć pracą krajowców w koloniach, jeżeli nie było pod ręką misjonarza, który by im udzielił ostatniego namaszczenia.

Holmes roześmiał się konwulsyjnie.

– Przecież to głupie – powiedział.

Jake Delbert odchrząknął i postawił na stole swoją szklanę.

– Oczywiście, że głupie – uśmiechnął się blado Sam Slater. – Logicznie biorąc absurd. Ale wszyscy nasi wielcy przemysłowcy i większość naszych wyższych oficerów dalej odgrywa tę rolę. Tę samą rolę ojcowskich Brytyjczyków. Łatwo dostrzec, co to zrobiło ze sprawnością ich kierownictwa.

Spółeczny lęk jest najpotężniejszym źródłem siły, jakie istnieje. Właściwie jedynym teraz, kiedy maszyna zniszczyła wyraźny kodeks pozytywny. A jednak marnuje się tę siłę, kierując ją przeciwko takim kretyńskim bzdurom jak konieczność zachowania dziewictwa do momentu ślubu, w co i tak nikt nie wierzy i co przypomina wymierzanie sikawki strażackiej w płonącą kartkę papieru.

Holmes zaśmiał się znowu, tym razem tak hałaśliwie, że aż zaskakująco. Potem znów pomyślał o swojej żonie i śmiech wyciekł z niego, pozostawiając jedynie pełen zdumienia podziw dla absolutnej prawdziwości argumentów Sama Slatera.

– To wcale niezabawne – uśmiechnął się Sam Slater. – Ich absurdalna, fałszywa moralność powoduje bodaj jeszcze większą nieudolność i szkody gdzie indziej. Kiedy skierują całą swoją energię na zagadnienia naprawdę ważne, takie, które wymagają

natychmiastowego rozwiązania, jak to, czy przystąpić do wojny, czy nie, wówczas różne wzajemnie sprzeczne sentymentalizmy opinii publicznej (na przykład patriotyzm przeciwko miłości „pokoju”) tak tę energię rozwadniają, że nie osiąga absolutnie nic, sama siebie całkowicie neutralizuje i w końcu my razem z naszą potęgą przemysłową siedzimy i wahamy się (kiedy każdy wie, że wojna jest nieunikniona), dopóki ktoś nas nie zaatakuje i nie zmusi do walki – dając nam przy tym dobrze po głowie.

– To jest coś gorszego niż logiczny absurd – powiedział gniewnie Holmes. – To jest...
– nie potrafił znaleźć słowa.

Sam Slater wzruszył ramionami.

– Krew się we mnie od tego gotuje – rzekł Holmes. Jake Delbert znowu odchrząknął.

– Panowie – powiedział. – Napijcie się, panowie.

– Dzięki, Jake – odrzekł Sam Slater łagodząco. „Nie wiedzieć czemu – pomyślał Jake – jego uspokojenie brzmi zawsze złowroźnie.”

– Jasne, że to jest głupie – powiedział Sam Slater do Holmesa. – Nikt nie mówi, że nie jest. A jednak tak się dzieje.

– Aha – wtrącił głośno Jake Delbert (cholera z nimi, co oni sobie w ogóle myślą). – Powiedz mi, „Dynamicie”, jak sobie dajesz radę z tym nowym, jak mu tam, Prewittem? Przekonałeś go, że powinien zabrać się do treningu?

– Kogo? – zapytał Holmes. Wydawał się zaskoczony, wyrwany z jasności abstrakcji i przerzucony w mętny konkret, do którego trzeba zawsze się przystosowywać. – A, Prewitta. Nie, jeszcze nie. Ale moi chłopcy nad nim pracują.

– Dają mu Obróbkę? – wtrącił Sam Slater.

– Tak – odrzekł Holmes niechętnie.

– To dobry przykład mojej teorii. Jak myślisz: czy długo moglibyśmy kierować armią, gdyby nie było podoficerów, którzy tak się boją naszej klasy, że chętnie tyranizują własną?

– Chyba nie bardzo długo – odrzekł Holmes.

– Dowcip polega na tym – ciągnął Sam Slater – żeby każdej kaście zaszcześcić strach przed przełożonymi i pogardę dla podwładnych. Postępujesz mądrze zlecając taką rzecz swoim podoficerom, zamiast ją robić samemu. To nawet lepiej uprzytamnia im samym przepaść między szeregowcami a oficerami.

– Ale czy to już coś dało? – nalegał Jake nawracając znowu do konkretnego, byle jak najdalej od tej piekielnej teorii młodego Slatera. – Zawody kompanijne zaczynają się tego roku w czerwcu, nie w sierpniu. Nie masz tyle czasu co w zeszłym roku, żeby go podciągnąć, a przecież jeszcze się nie ugiął, prawda?

– Mówiłem już, że nie – odparł gwałtownie Holmes, czując się raptem znowu tylko

kapitanem. – Ale wziąłem tamto wszystko pod uwagę. Wiem, co robię. Doprawdy, pułkowniku.

– Na pewno, mój chłopcze – powiedział Jake ze zrozumieniem. Był znowu na swoim gruncie. Mógł zaryzykować przenikliwe spojrzenie na Slatera. – Ale nie zapominaj, synu, że ten człowiek jest wyraźnym buntownikiem, prawdziwą zarazą. Wiesz, oni się różnią od każdego innego. Osobiście jestem wielkim zwolennikiem kierowania ludźmi, ale buntowników trzeba pędzać. To na nich jedyny sposób. I nie wolno nigdy pozwolić, żeby wzięli nad tobą górę, bo wtedy stracisz prestiż u ludzi i wszyscy będą próbowali cię wykorzystać. Jeżeli on szybko nie ustąpi – powiedział zimno do Holmesa – będziesz musiał go złamać. Nie ma innego wyjścia. Dawaj mu najsurowsze kary, żeby przynajmniej przed zimą i zawodami o mistrzostwo był gotów śpiewać inaczej.

– Tak – powiedział Holmes z powątpiewaniem. Wyczuł przychyłność brygadiera, ale nie wiedział, czy ma dostateczne poparcie, aby śmiało dać nurka. – Tylko nie myślę, żeby to dało wyniki – powiedział decydując się na ryzyko. – Nie sądzę, żeby było można złamać tego człowieka.

– Ha! – zawołał Jake i spojrzał na generała. – Oczywiście, że można go złamać.

– Można złamać każdego człowieka – powiedział zimno Sam Slater. – Jesteś oficerem.

– Kapitanie – rzekł Jake zdławionym głosem. – Polecam panu stanowczo zastosowanie najostrzejszych kar wobec tego Prewitta, jeżeli nie oprzytomnieje, zanim będzie za późno na trenowanie do zawodów kompanijnych.

– Tak właśnie zamierzałem postąpić, panie pułkowniku – odparł Holmes. – Tylko myślałem, że może to nie będzie konieczne. Zrobiło mu się trochę żal tego biedaka.

– Będzie konieczne – rzekł Jake brutalnie. – Możesz mi wierzyć na słowo. I to jest bezpośredni rozkaz, kapitanie. – Usiadł z powrotem w fotelu.

Holmes jednakże nie był bynajmniej zaniepokojony. To majorostwo w pułku, które miał na widoku, było niczym w porównaniu do ewentualnej funkcji w sztabie brygady. A nawet jakby ta funkcja nie wypaliła, Delbert nie mógł mu nic zrobić, póki Sam Slater będzie miał na niego oko.

– Najważniejsze – rzekł Sam Slater niby fechtmistrz, który korzysta z pauzy w ataku swego ucznia, aby udzielić mu dalszego pouczenia – najważniejsze jest pamiętać o logice, która stoi za każdym zjawiskiem. Przecież nie pozwoliłbyś jednemu krnąbrnemu mułowi zatrzymać całej karawany dostarczającej zaopatrzenie na wzgórze Waianae, prawda? Gdybyś go nie mógł nakłonić do ruszenia z miejsca, zepchnąłbyś go z drogi, nie?

– Nie – odparł Holmes. – Tak.

– Do tego się to sprowadza.

– Do tego, tak? – zapytał Holmes nerwowo. – Trzeba myśleć o większości i ostatecznym celu. Trzeba być nawet okrutnym dla dobra całości. O to idzie?

– Właśnie o to – odrzekł Sam Slater z osobliwą kobiecą satysfakcją.

– Każdy, kto rządzi, musi być okrutny.

– Słusznie – powiedział Holmes, nagle czując się bez żadnej przyczyny tak, jak gdyby go uwiedzione, tak jak musi czuć się kobieta.

– Szybko się uczysz – rzekł mu Sam Slater.

Po tym Jake nie próbował więcej zmieniać tematu. Sam Slater powrócił do swej teorii i mówił teraz nieomal z pośpiechem. Wciąż jeszcze rozmawiali, kiedy weszli obaj majorowie z pułku, którzy zdumieli się wyraźnie na widok generała; podsunęli się, by nalać sobie coś na pokrzepienie, a widząc, że nikt nie zwraca na nich uwagi, cofnęli się, aby to wypić.

Slater i Holmes wciąż jeszcze rozmawiali, kiedy wrócił sierżant Jefferson z kobietami. A oni rozmawiali dalej; Holmes słuchał uważnie, bo widział teraz, iż Prewitt wpędził go w taką sytuację, że nie można się dłużej uchylać i trzeba albo iść naprzód, albo się cofnąć, a Sam Slater wyłuszczał pokrzepiające *credo*, które się wywodziło z faktu, że Sam był niegdyś w podobnym położeniu, a kiedy mówił, oczy zapalały mu się lekkim blaskiem.

Dwa jędrne okazy kobiece, które przysiadły się do nich, popijały i słuchały w zadziwieniu. Jake i obaj majorowie dali już za wygraną i wynieśli się do dalszych pokojów, żeby załatwić to, po co tu przyszli.

Natomiast Holmes nieomal o tym zapomniał. Ta rozmowa otwierała mu co chwila całe masy nowych perspektyw. Rzeczy, których istnienia nawet się dotąd nie domyślał. Skupiał z wysiłkiem umysł wychwytyjąc je ledwie na moment, nim je znów zakrył wał chmur, który jednakże ciągle odsłania! nowe, pozostawiając nadzieję, że dalej widok już będzie pełny.

– Rozum – mówił Sam Slater – jest największym odkryciem człowieka. A jednak jest także najbardziej lekceważony i najmniej używany. Nic dziwnego, że rozumni, sensowni ludzie bywają zawiedzeni i rozgoryczeni.

– Zawsze się z tym spotykałem – powiedział Holmes w podnieceniu. – Widywałem to przez całe życie. I zawsze z oddalenia.

– Wszystko to opiera się na lęku – uśmiechnął się Sam Slater. – Lęk jest kluczem do wszystkiego. Kiedy się nauczymy oceniać stopień lęku, który tkwi w każdym człowieku, potrafimy nieomylnie przewidzieć, jak dalece można mu ufać, jak daleko można go zaprowadzić. Następnym krokiem, rzecz jasna, jest sztuczne podsycenie lęku. Bo on już istnieje, trzeba go jedynie wywołać. Im większy lęk, tym większa władza.

– Co to lenk, dzidzius? – spytała Japonka siedząca na poręczy fotela Sama Slatera.

– Strach – uśmiechnął się Slater.

– Aha – powiedziała i zmarszczyła ze zdziwieniem brwi do swojej koleżanki.

– Słuchaj – odezwała się Chinka siedząca na kolanach Holmesa. – Co z wami jest, chłopcyki?

– Nic a nic – odrzekł Sam Slater.

– Może my wam się nie podobają? – spytała Japonka.

– Ależ jak najbardziej – odrzekł Sam Slater. – Jesteście śliczne panienki.

– Ty na mnie nie gniewas, plawda? – zapytała Holmesa Chinka.

– Dlaczego miałbym się na ciebie gniewać?

– Ja nie wie. Może ja coś źle żłobiła?

– Chodź, Iris – powiedziała Japonka. – Cholera z nimi. Pójdziemy do ten siwy grubasek. Ten, co jest z Beulah. Może się coś ożywi.

Iris wstała.

– Ja nic cię nie ulazila? – spytała Holmesa przymilnie.

– Ależ skąd – odparł Holmes.

– Widzisz? – uśmiechnął się Sam Slater, kiedy odeszły. – Rozumiesz, co mam na myśli mówiąc o lęku?

Holmes roześmiał się.

– Wiesz, próbowałem sto razy wyjaśnić to staremu Jake'owi – powiedział Slater. – Tłumaczyłem mu, odkąd wylądowałem na tej Wyspie. Jake ma wielkie zdolności; gdyby tylko nauczył się nimi posługiwać.

– Już jest dosyć stary – powiedział Holmes ostrożnie.

– Za stary – odrzekł Sam Slater. – Jeżeli kiedy widziałem kogoś, kto jest zagubiony i stąpa po omacku w ciemnościach, to właśnie Jake'a Delberta. A zdawałoby się, że kto jak kto, ale Jake Delbert powinien mieć odpowiednie przygotowanie i doświadczenie, ażeby wyczuć ducha naszych czasów. Ale nie, on wciąż się boi. Boi się i jest na tyle moralistą, że woli przez całe życie wierzyć w sentymentalne odezwy, które wypisuje do swoich żołnierzy, zamiast starać się dopomóc ludzkości. A folguje sobie (zupełnie jakby ruchem robaczkowym jelit, kiedy moralne wnętrzości ma już zbyt przepełnione) urządzając te męskie przyjęcia.

– Wcale nie mówię, że ich nie lubię. Uważam, że są świetne, i bawię się na nich doskonale. W odpowiednim momencie. Ale nie można robić sobie z tego treści życia, bo inaczej się zgnije. Człowiek musi mieć coś większego od siebie, w co może wierzyć.

– Właśnie – powiedział z podnieceniem Holmes. – Coś większego od siebie. Tylko gdzie to znaleźć na tym świecie?

– Nigdzie poza rozumem – odrzekł Sam Slater. – Wiesz, „Dynamicie”, jesteś już trochę stary jak na kapitana, ale byłbyś jeszcze zupełnie młody na majora. W twoim wieku byłem dopiero majorem. A wówczas nawet nie zacząłem się uczyć owej logiki. Gdyby pewien inteligentny człowiek nie wybrał mnie sobie jako protegowanego, byłbym dalej majorem, a dzisiaj takim Jakiem Delbertem.

– Ale u ciebie ważne jest to – podkreślił Holmes – że chciałeś słuchać głosu rozumu, kiedy ci go ukazano.

– Otóż właśnie – rzekł Sam Slater. – A dzisiaj ogromnie nam potrzeba takich protegowanych, którzy potrafią nauczyć się tego w naszym zawodzie. I już niedługo będziemy ich potrzebowali jeszcze znacznie bardziej. Możliwości, jakie się przed nimi otwierają, nie mają absolutnie żadnych granic.

– Ja nie dbam o rangę – rzekł Holmes. Wiedział, że mówił to już przedtem. Ale tym razem była to prawda, tym razem myślał tak rzeczywiście. – Mnie idzie tylko o jedno: żeby znaleźć jakiś prawdziwie stały grunt, jakąś podstawę, na której może się oprzeć człowiek myślący, jakąś zdrową logikę, która go nie zawiedzie. Niech to dostanę, a ranga może iść sobie do diabła.

– Właśnie dokładnie tak samo uważam – powiedział Sam Slater. Uśmiechnął się blado. – Wiesz, przydałby mi się taki człowiek jak ty. Bóg świadkiem, że mam u siebie w sztabie dość wielu głupich bałwanów. Potrzebuję przynajmniej jednego zdolnego człowieka. Nie chciałbyś przenieść się do brygady i popracować dla mnie?

– Jeżeli naprawdę uważasz, że bym się nadał – odrzekł skromnie Holmes. Myślał, co też powiedziała by na to Karen? Ha, gdyby postawiła na swoim, nigdy w ogóle nie znalazłby się na żadnym z tych męskich przyjęć. I co by wtedy z nim było? Już sobie wyobrażał minę Jake'a Delberta.

– Czybyś się nadał, psiakrew! – odrzekł Sam Slater. – Słuchaj, jeżeli tylko masz ochotę, to rzecz załatwiona. Jutro się tym zajmę.

– Wiesz – ciągnął – właściwie sprawa tego Prewitta jest ważna o tyle, o ile dotyczy ciebie osobiście. Nie ma znaczenia ani dla boksu, ani nawet dla twojego prestiżu. W gruncie rzeczy to tylko odskocznia dla wypróbowania i rozwoju twojego charakteru.

– Nigdy dotąd nie podchodziłem do tego od tej strony.

– Nie sądzę, żeby było dobrze dla ciebie przenosić się, dopóki nie załatwisz tej sprawy; dla twego własnego dobra, rozumiesz? A później, kiedy byś ją załatwił i przeniósł się, mógłbyś w ogóle rzucić do diabła cały ten boks. Mamy lepsze możliwości zużytkowania twojej energii.

– Tak, mógłbym to zrobić – powiedział Holmes zastanawiając się, czy miałby ochotę

rzucić instruktaż bokserski.

– Ano – uśmiechnął się Sam Slater wstając – teraz mam chęć coś wypić i myślę, żeśmy się już dosyć nagadali, prawda? Trwonimy cenny czas. Idę do tych cholernych babek.

Podszedł do syfonu i nagle nie był już filozofem, nagle wydało się, iż jakaś częśćka jego umysłu została zakręcona jak kurek.

– No, chodź – wyszczerzył zęby Sam Slater. – Oni są wszyscy tu obok.

– Tak. Doskonale – odrzekł kapitan Holmes i ruszył za nim. Zastanawiał się, czy Slater będzie jutro o tym pamiętał. I zastanawiał się, czy ta ich światoburcza rozmowa nie była w gruncie rzeczy jedynie rozmową Holmeso-i-Slateroburczą? I zastanawia! się, dlaczego ziemia nie może nigdy stanąć w miejscu, dać człowiekowi jakiegoś gruntu pod nogami.

Popatrzał na zebranych w pokoju, na pułkownika rozciągniętego i popijającego na łóżku, na pijącą z nim kobietę, na obu majorów, na sierżanta Jeffersona obnoszącego następną tacę z napitkami, na Sama Slatera, który z uśmiechem wybierał sobie kobietę, na kobietę, którą wybrał sobie on sam. Wszyscy oni wydali mu się obcy i poczuł się jak człowiek, który spogląda przez okno drapacza chmur, wzdłuż zbiegającej w dół ściany, na śliczne miniaturki aut, co bzykają i pełzną po ulicy jak chrząszcze – i który musi cofnąć głowę. Albo wyskoczyć.

„Nie, nie, Holmes. Byłeś już na tej drodze, ta droga nigdzie nie prowadzi, to ona cię tu przywiodła. Ważne jest wierzyć. Musisz wierzyć. Musisz mieć wiarę. Oto odpowiedź. Jedyna odpowiedź.”

Popatrzał więc na Sama Slatera i uwierzył. Popatrzał na baraszkującego Sama Slatera z Sheboyganu, tak jak kobieta patrzy z lękiem, ale i nadzieją na leżącego obok niej mężczyznę, któremu pozwoliła się uwieść, któremu się oddała i który obrócił się na drugi bok i zaczął chrapać. Wiedział, że gdzieś w tym wszystkim musi być jakaś logika. Nie mogło to być tak przypadkowe.

Jutro kupi w sklepie kantyny tę nową sokowirówkę i postawi ją w kuchni, zanim Karen wróci do domu. Kiedy wejdzie, będzie to pierwsza *rzecz*, jaką zobaczy. A wtedy zrozumie.

Wstał zataczając się lekko i poprowadził krzepką Chinę do dalszego pokoju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Człowiek, o którego zbawienie wszyscy tak się troszczyli, nie martwił się wcale i ani przez chwilę nie uświadamiał sobie, że jest grzesznikiem, kiedy wchodził na schody hotelu „New Congress”. Prew znowu był w „przepustkowym” nastroju, mówił sobie, że jego życie zostało zawieszane do jutra, że jutro może się znów zastanowić nad swymi grzechami, ale teraz nie powinien pozwolić, żeby cokolwiek popsulo mu to, co ma przed sobą. Może i nie jest mu dane być trębaczem. No dobrze, tego mieć nie może. Ale może mieć właśnie to, co go czeka, i w ten sposób zapełnić ową lukę; i trzeba bardzo uważać, żeby nie wypuścić tego z rąk, bo a nuż niedługo stanie mu się bardzo potrzebne. W tej chwili o wiele bardziej wołał rozmyślać o Lorene. To dopiero jest imię: Lorene. Nie imię kurwy, ale naprawdę imię kobiety: Lorene. Kiedy je sobie powtarzał, miało dla niego jakieś szczególne, osobiste, swoje własne brzmienie – tak jak gdyby żadna inna kobieta nigdy go dotąd nie nosiła. Psiakrew, przecież może się przenieść z tej kompanii sportowców, cóż mogłoby go powstrzymać? Znowu się dostać do jakiegoś prawdziwie żołnierskiego oddziału i ostro popracować. Odzyskać stopień sierżanta, bo teraz stopień znowu by coś znaczył.

A potem przypomniał sobie, że nie mógłby dostać przeniesienia z tej kompanii.

No dobrze; nie mógłby dostać przeniesienia. I co z tego? Co to ma za znaczenie? Żadne. Za rok to się skończy i tak. Ona zamierza pracować jeszcze przez rok, no nie? Za rok o tej porze, w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim, będziesz już wracał do kraju, do Stanów. Zapukał do stalowych drzwi głośno, radośnie, widząc nagle oczyma wyobraźni, jak wtedy będzie, widząc ten jakiś mały, porządny, stały garnizon, żyjący sennie z dnia na dzień, jak Jefferson Barracks czy Fort Riley, z solidnymi ceglanyimi koszarami, świeżo przystrzyżoną trawą i dobrze utrzymanymi ścieżkami, na które padają długie popołudniowe cienie wysokich starych dębów, co stały w tym samym miejscu, jeszcze zanim Siuksowie zdjęli skalp George'owi Armstrongowi Custerowi. Tam warto by zaciągnąć się na nowo, tam podoficerskie kwatery też są ceglane, nie takie jak tu, sklecone z desek, tam można by ją wprowadzić do tego kółka, tego małego, zamkniętego towarzystwa, które zawsze tworzą żonaci podoficerowie. Czyż wszyscy starzy wyjadacze, tacy jak Pete Karelsen, nie mówią zawsze, że kurwy są najlepszymi żonami? Że kurwy potrafią docenić drobiazgi, bo były na wozie i pod wozem? Wielu starych wygów żeni się z kurwami. Weźmy takiego Dhoma; jego żona była kurwą w Manili. Nie, nie Dhoma, bo on ma żonę tubylkę, taka się nie liczy, to byłby twój przypadek, gdybyś ożenił się z Violet. Ale ty nie chcesz żenić się z Violet, ty chcesz się żenić z Lorene. A jeśli ona pragnie spokoju i bezpieczeństwa, to gdzież je można

znaleźć, jeżeli nie w jakimś małym, położonym na uboczu garnizonie, który nie zmienił się od sześćdziesięciu dziewięciu lat i nie zmieni się przez następne sześćdziesiąt?

No, psiakrew, mogłaby nawet wyjść za niego teraz, dziś, i dalej pracować przez rok, przecież tak to sobie uplanowała, czy mu nie wszystko jedno? Dużo miał w swoim czasie z przyzwoitego życia, co? Za przyzwoitość plus piętnaście centów dostanie się jedno piwo. Ta przyzwoitość i jej szacowne głosicielki, co usiłują zataić własną młodość, kiedy same były żwawe, bo żwawość jest zawsze trochę nieskromna, ludzie zawsze czują się nieswojo z kimś, kto jest żywy. Ano całujcie się gdzieś, moje panie, i tyle.

– O, Prew!

Pani Kipfer z miłym uśmiechem wpuściła go do środka.

– Wcale się nie spodziewałam, że cię zobaczę tak prędko. To doprawdy niespodzianka.

– Jak interesy? – uśmiechnął się, kiedy owionęło go falami gęste, trocinowe, przywodzące na myśl cyrk powietrze. Pani Kipfer wyglądała na lekko zatroskaną. Nie żeby od owych wyziewów przywiądnął jej kwiat u sukni; po prostu to, że ta wytworna dama z żurnalu została niejako sfotografowana bez upozowania podczas witania gości albo przychwycona przy kierowaniu trudną kolacją dla jakiegoś pijanego osobnika, którego mąż sprowadził jej do domu.

– Czy to nie okropne? – powiedziała.

Obydwie poczekalnie były pełne, po korytarzu kręcili się tam i z powrotem roześmiani mężczyźni, dwie szafy grające staczały nieprzerwaną muzyczną batalię, spocone dziewczęta trzaskały drzwiami, wysokie obcasy stukwały po podłodze – wszystko to przypominało taśmę montażową fabryki zbrojeniowej pracującej pełną parą. Czuło się ostry zapach różnorakich perfum w chmurze dymu tytoniowego, w drugiej poczekalni jakiś podpity męski głos współzawodniczył z grającą szafą, a z głębi korytarza ozwało się udręczone wołanie:

– Ręczniki!

– Można by wziąć nas z łatwością – rzekła znużonym głosem pani Kipfer – za zjazd republikanów w Filadelfii, nie?

– Albo nawet za ogólnokrajowy wiec Legionu Amerykańskiego w Detroit – powiedział Prew.

– O, nie, tylko nie to!

– Ręczniki!

Pani Kipfer drgnęła.

– Petunio! Josette potrzebuje ręczników. Pod numerem siódmym.

– Łokej. – Wielka, czarna góra przelewającego się tłuszczu odeszła obojętnie.

Obojętna nawet na mały czepeczek i fartuszek, którymi ją uszczęśliwiono.

– I sprawdź, czy ktoś inny też ich nie potrzebuje. – Pani Kipfer w rozterce potarła sobie policzek. – I pośpiesz się, Petunio! Naprawdę ma na imię Petunia. Czy to nie potworne? Zupełnie jak w kinie. Ale nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Minerwa to taki wałkoń. A dzisiaj choruje. Zawsze jest chora w dzień wypłaty. Nie mogę sobie z nią poradzić. – Złapała oddech. – Ach, ta Minerwa! Bo wiesz, mam tylko je dwie. „Service” ma co najmniej cztery posługaczki. No ale to oczywiście największy zakład w mieście.

– Gdzie Lorene? – zapytał Prew.

Pani Kipfer położyła mu lekko dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się do niego, patrząc porozumiewawczo z ukosa,

– Ależ, Prew! I po to przyszedłeś akurat w dzień wypłaty? Co się stało? Pożyczyłeś gdzieś pieniądze? Żeby tu przyjść właśnie dziś do Lorene?

– Dlaczego miałbym pożyczać? – zapytał sztywno. Poczł, jak mu drętwieje jednocześnie górna warga i kark. – Jeżeli o to idzie, wygrałem dziś trochę pieniędzy i postanowiłem wyskoczyć do miasta, zanim je wszystkie z powrotem przegram, nic więcej.

– Ano, uważam, że to bardzo mądrze z twojej strony. – Pani Kipfer uśmiechnęła się do niego kącikiem warg, z głową przechyloną na bok. – Ale ile wygrałeś, złotko?

Prew poczuł głuchy strach rozcinający ostro jego irytację, rozszczepiający ją na dwie połowy, które odpadły pozostawiając w umyśle całkowitą próżnię; szybko sięgnął do portfela, jak człowiek przyzwyczajony liczyć się z pieniędzmi. Portfel był na swoim miejscu. Prew odetchnął.

– A – powiedział. – Ze sto.

– No, to wcale nieźle, prawda?

– Tak średnio – odrzekł. Przypomniał sobie, że ze swoich dwudziestu wydał już dolara na dwie whisky, ażeby móc zatrzaskać tę klapę w mózgu (są chwile, kiedy trzeba koniecznie zatrzaskać taką klapę, tylko że jej zawiasy mają skłonność do zacinania się tak często), wobec czego zostało mu dziewiętnaście. Odjąć dolara na taksówkę w obie strony (tym razem nie mógł ryzykować czekania, aż go podwiezie jakiś przygodny samochód), to zostanie osiemnaście. Piętnaście za całą noc i trzy na jednego szybkiego od razu, a na butelkę nic. Znadto to było rujnujące, żeby mógł mieć dobry humor.

Pani Kipfer nadal uśmiechała się do niego z ukosa.

– Wiesz, ja ogromnie podziwiam twój gust, kochaneczku. Tylko że w dzień wypłaty jest zawsze takie duże zapotrzebowanie na Lorene, a przecież w poczekalni jest jeszcze parę innych dziewcząt do dyspozycji.

– Proszę pani – powiedział mając w tej chwili ochotę uśmieć się z niej. – Mnie się nie

śpieszy. Niech pani tylko powie, gdzie jej szukać.

Pani Kipfer wzruszyła z uśmiechem ramionami.

– Jak chcesz. Jest pod dziewiątką. Prosto korytarzem. Najlepiej poczekać i *złapać* ją, kiedy będzie wychodziła. Przepraszam cię; ktoś puka.

Uśmiechnął się za nią, wciąż mając ochotę do śmiechu, bo przecież nawet się nie domyślała tego, co w swoim przekonaniu wiedziała doskonale. Zawrócił i poszedł korytarzem.

– Przykro mi, chłopcy – mówiła pani Kipfer przez judasza. – Mamy zupełny komplet... Ani kawałeczek miejsca... Strasznie mi przykro... Ano, jeżeli tak uważacie, to proszę bardzo. Ogromnie żałuję. O, Prew-ew! – zawołała.

– Słucham.

– Pijani jak bele – szepnęła wracając. – Chciałam cię spytać, jak tam sierżant Warden?

– Kto?

– Milt Warden. Jeszcze jest w waszej kompanii, prawda?

– Owszem – odparł. – Jest.

– Już tak dawno u nas nie był, że myślałam, że może go odesłali z powrotem do kraju. Możesz przypomnieć mnie sierżantowi?

– Dobrze – powiedział Prew. – Dobrze, zrobię to. – Chętnie tak zrobi, podejdzie do Wardena po rannym apelu i powtórzy mu to.

– Wiesz co – rzekła pani Kipfer. – Wy, chłopcy, macie szczęście, że taki człowiek jest u was starszym sierżantem.

– Tak pani sądzi? – rzekł Prew. – Ja też tak uważam. Właściwie wszyscy tak uważamy.

„No, no – myślał. – No, no. Ale żeby Warden? Czyż nie ma końca cudom?”

Drzwi pokoju numer dziewięć otworzyły się i jakiś sierżant techniczny piechoty morskiej z belką zamiast knopka pod szewronami wyszedł zawiązując krawat. Ciekawa rzecz, jak każdy szczegół jego wyglądu wydał się Prewowi wyraźny i osobisty. Popatrzał z uwagą za odchodzącym przez korytarz.

Za nim ukazała się Lorene idąc szybkim krokiem, od którego stukotały wysokie obcasy – i oto z drgnieniem serca ujrzał ją, jak gdyby została sfotografowana w ruchu, w naturalnej wielkości i zawieszona przed nim, a teraz wyszła z odbitki na korytarz; jedną ręką również ścisnęła biały szton pokerowy, przytrzymała suknię z rozpiętym zamkiem błyskawicznym, a w drugiej niosła butelkę pełną ciemnego płynu, kołysząc nią lekko, ażeby go nie rozlać, tak jak kelnerka kołysze filiżanką kawy. Szła szybko i obróciła bokiem ramiona, by go wyminąć w ciemności zatłoczonego korytarza.

– Lorene – powiedział.

– Hello, kochany – odrzekła.

– Chwileczkę! Zaczekaj, dobrze?

– Muszę się śpieszyć, kotku, mam jeszcze trzech czy czterech przed tobą. – A potem go zobaczyła. Przystanęła. – Ach, to ty. Dzień dobry. Jak się masz? – Zerknęła w głąb korytarza.

– Jak się mam? – Więc tylko tyle miała do powiedzenia? Przez całą wieczność szukał rozpaczliwie słów w umyśle, w którym nagle powstała zupełna próżnia. – Dobrze się mam – powiedział nieporadnie. – A ty?

– To świetnie – rzekła Lorene zerkając w głąb korytarza. – Słuchaj, kochanie, mogę się tobą zająć za... – spojrzała na zegarek – powiedzmy za pół godzinki. Więcej nic nie mogę zrobić.

– Tak? – powiedział Prew czując, że gardło mu się ściska, jak gdyby połknął ałun. – Słuchaj – rzekł. Musiał się zdobyć na wielki wysiłek, żeby to wypowiedzieć. – Słuchaj, czy ty mnie pamiętasz?

– Oczywiście, że cię pamiętam, głuptasie – odparła odchylając się w tył i spoglądając na korytarz. – Myślałeś, że mogłabym cię zapomnieć? Tylko teraz nie mogę rozmawiać, kochanie. Przecież możesz wrócić za pół godziny; spróbuj tak zrobić.

– A, mniejsza z tym. Niech to szlag trafi. – Cofnął się, wciąż oszołomiony.

– Zdaje się, że i tak nie dałabym rady – powiedziała Lorene. – Bo wtedy będzie pewnie czekało ich więcej niż czterech.

– Aha. Pani Kipfer mówiła mi, że jesteś popularna. Daj sobie z tym spokój, nie chcę ci robić kłopotu.

– Coś ci powiem – rzekła. Spojrzała w głąb korytarza. – Żadnego z nich w tej chwili nie widzę. Może mi się uda przemycić cię poza kolejką, co o tym myślisz?

– Nie potrzebuję żadnej łaski, psiakrew.

Lorene spojrzała na niego, oczy jej ożywiły się niepokojeni, ożywiły się po raz pierwszy, jak gdyby zobaczyła przed sobą coś innego, a nie swojego stałego klienta.

– No, nie bądźże taki. A czego się spodziewałeś?

– Nie wiem.

– Wybrałeś sobie nieodpowiedni moment, nic więcej. Zrozum, ja tu pracuję. Bądź co bądź.

– Tak? – rzekł. – Ja jestem ten gość, co tu był trzy dni temu i został z tobą całą noc i solennie obiecał, że wróci dzisiaj. Żeby być z tobą całą noc. Pamiętasz? Ja jestem ten, co leżał z tobą w łóżku i rozmawiał ze trzy godziny.

– Jasne, że pamiętam.

– Psiakrew, pewnie nawet nie przypominasz sobie mojego nazwiska.

– Oczywiście, że tak. Ty jesteś Prew. Rozmawialiśmy o tym, jak się dostałam do tego zawodu. No widzisz, że pamiętam?

– Aha – odrzekł.

– Słuchaj, idź pod numer dziewięty i zaczekaj, a ja przylecę za minutkę. Przez ten czas możesz się rozebrać.

– Nie, dziękuję. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolę poczekać, aż skończysz. Jakoś nigdy nie przepadałem za produkcją masową.

Już odchodziła, po raz trzeci, ale tym razem zawróciła i popatrzała wprost na niego. Jednakże jej oczy wciąż ześlizgiwały się z jego twarzy.

– Tak też nie da rady, Prew – powiedziała miękko. – Jestem już umówiona na całą noc.

– Co?! – Poczuli, że w ustach mu zasycha, i poruszył wargami, żeby je zwilżyć. – Tego mi nie mówiłaś tamtej nocy. Powiedziałaś, że... Co to za wykręty?

– Wtedy jeszcze nie wiedziałam – wyjaśniła Lorene z wielką cierpliwością. – Dzisiaj jest dzień wypłaty. Pamiętaj o tym. W ten jeden dzień mogę zarobić więcej – potrząsnęła mu przed oczami białym sztonem – niż przez całe trzy ostatnie tygodnie miesiąca razem wzięte. Z Shafter przyjeżdża na zabawę kupa grubych szyszek wojskowych i wynajęli prawie cały nasz zakład. Dziś rano dzwonili do pani Kipfer i prosili specjalnie o mnie.

– Ale ty już mi obiecałaś, do licha – zaprotestował. – Dlaczego nic nie powiedziałaś?

„Co ty robisz? Żebrzesz? – zapytał siebie w duchu. – Nie widzisz, że cię tu nie chcą? Straciłeś już prawie wszystko; czy musisz tracić i to?”

– Słuchaj – powiedziała Lorene z desperacją. – Czy ty nie możesz zrozumieć? Jak tu przychodzą te grube szyszki, pani Kipfer zamyka cały lokal dla innych. Co ty sobie myślisz, jakżeby to wyglądało, gdyby ich tutaj zobaczył prosty żołnierz?

„Tak – myślał. – Ta dziwka, ta parszywa dziwka wiedziała o tym od początku.”

– Guzik mnie obchodzi, jak by to „wyglądało”. Guzik! – Masywny żołnierz po cywilnemu, dość tłusty, aby być pierwszym kucharzem, przecisnął się między nimi rozpychając się łokciami i Prew spojrzał na niego z nadzieją. – Uważaj, co wyprawiasz, do cholery. Ty sukinsynu – powiedział, ale dryblas nawet się nie obejrzał. „Psiakrew, pomyślał Prew, nawet nie mogę nikogo obrazić. Och, psiakrew.”

– W ogóle byś się tutaj nie dostał – mówiła Lorene – choćbym odmówiła tej pracy. Najwyżej straciłabym zamówienie, i to za nic. Jak przyjeżdżają ci z Shafter, płacą grube pieniądze. Szastają nimi jak liśćmi sałaty. Co dla nich znaczy piętnaście dolarów? Takiej nocy

dziewczyna zarabia więcej niż normalnie przez cały tydzień. Żałuję, Prew, ale co mogłam zrobić?

– Ty żałujesz? A co dopiero ja? Ona żałuje. Okropnie żałuje. Liczyłem na to jak głupi dzieciak na Gwiazdkę. („Czemu się nie zamkniesz, Prewitt? Nie masz już ani odrobiny ambicji?”)

– Owszem, żałuję. Ale ty nie masz do mnie żadnych praw, mój drogi. Nie jesteś moim mężem, wiesz?

– Aha, wiem. Nie jestem, szkoda gadać. Jezus kochany, Lorene... – powiedział.

– Słuchaj, każda minuta rozmowy z tobą kosztuje mnie pół dolara...

– A to jest kupa pieniędzy, co?

– ...a nic nie mogę na to poradzić. Chcesz, żebym cię przemyciła poza kolejką czy nie? Staję na głowie, żeby coś zrobić w tej sytuacji.

„Słusznie – pomyślał. – Kobiety są takie praktyczne.”

– No więc jak? – zapytała.

Popatrzał na nią, na jej pełne usta w szczupłej, dziecinnej twarzy, która była teraz skurczona w wyraz udręczonej niecierpliwości; chciał jej powiedzieć, co może sobie z tym zrobić, powiedzieć, żeby sobie to wsadziła gdzieś, i wyjść z tego bałaganu. Zamiast tego usłyszał swój głos mówiący: „Dobrze” i uczył do siebie nienawiść, że to powiedział.

– No to w porządku – rzekła Lorene. – Idź pod dziewiątkę. I rozbierz się. Zaraz wrócę, jak tylko to załatwię.

I już odbiegła szybko, a on patrzył, jak oddala się korytarzem przemykając się i klucząc w tłumie niczym baseballista. Jakiś mężczyzna wyciągnął rękę i zatrzymał ją, a ona uśmiechnęła się, powiedziała kilka słów, potem się zirytowała i ruszyła dalej.

„Jakiś drugi Prewitt” – pomyślał Prewitt. Potem wszedł do pokoju numer dziewięć, czując, jak jego wewnętrzna pustka z wolna wypełnia się gniewem, ale ów gniew wyciekał dnem w to miejsce, gdzie już nie było żołądka. Usiadł na łóżku. Nie mógł się pozbyć tego wyimaginowanego obrazu, który ze sobą przyniósł, i czuł, że wszystko się w nim rozpada. Dosłyszał wracającą Lorene. Jednakże nim zdołał podnieść głowę, drzwi były już zamknięte, a rozpięta suknia leżała na krześle. Wtedy Lorene zatrzymała się patrząc na niego w osłupieniu.

– Jak to! Jeszcze się nawet nie rozebrałeś?

– Nie? A rzeczywiście, jak Boga kocham – powiedział wstając. Lorene była bliska płaczu.

– Przecież ci mówiłam, żebyś się rozebrał, zanim wrócę, psiakość. Wpuszczam cię przed innymi, żeby ci zrobić grzeczność, a ty nawet nie starasz się mi nic ułatwić.

Prew stał i patrzył na nią. Nie mógł wykrztusić ani słowa.

– No, mniejsza z tym – powiedziała. – Zobaczmy, co tam masz. W porządku – dodała.

Wręczył jej trzy dolary.

Odgarnęła z udręczonych oczu wilgotne włosy; pot pośniewał jej na płaskim miejscu między krągłymi piersiami.

– Ale wiesz, że w dzień wypłaty czas jest ograniczony. Petunia zapuka lada chwila.

Wyprostował się patrząc na nią; gdzieś w szczękach czuł skurcz bólu, który mu spływał po krzyżu w pośladki i gorzko ścisnął w żołądku. Lorene leżała naga na łóżku, czekając gorączkowo, głowę miała uniesioną z rozdrażnieniem i patrzyła na niego.

– A może byś przyszedł jutro wieczorem? – spytała. – I został na całą noc?

Słyszał to nikło poprzez obcisły strój astronautyczny z pleksiglasu, w którym był zamknięty, zaplombowany – wzór doskonały Człowieka Dwudziestego Wieku gimnastykującego się dla zachowania zdrowia i szczupłej figury w tym swoim nie przepuszczającym powietrza, dźwiękoszczelnym, miłościoszczelnym, nienawiscioszczelnym, życioszczelnym pleksiglasowym stroju astronautycznym, który jest cudem nowoczesnych osiągnięć przemysłowych, arcydziełem nowoczesnego projektowania przemysłowego – w każdym domu powinny być przynajmniej dwa takie i jeszcze po jednym dla wszystkich maluchów, bo Człowiek Dwudziestego Wieku wygląda tak niepoważnie, kiedy jest nagi, tylko w skarpetkach i butach, niczym umięśniona wiewiórka obdarta ze skóry, ale z nie odciętych jeszcze łapami. Ale prędzej go szlag trafi, prędzej go cholera weźmie, niż jej teraz powie, że jutro przyjść nie może, bo musiał pożyczyć tego dwudziestaka na dwadzieścia procent – to także jest cud nowoczesnych osiągnięć przemysłowych – żeby dziś przyjść w ogóle, i że nie będzie już miał forsy, żeby tu wrócić jutro. Poza tym musiałby zbyt głośno krzyknąć, a żeby go dosłyszano na zewnątrz pleksiglasowego stroju astronautycznego.

– Będziesz się musiał pośpieszyć, złotko – powiedziała Lorene – jeżeli nie chcesz, żebym to odłożyła na kiedy indziej.

Bardzo to było dziwne: Robert E. Lee Prewitt, CZŁOWIEK Dwudziestego Wieku, stąpający po matce-ziemi w najnowszym Dwudziestowiecznym ASTRONAUTYCZNYM STROJU PLEKSIGLASOWYM, który technika przemysłowa produkuje w tak szczodrej obfitości, że każdy mężczyzna, kobieta i dziecko mogą go sobie sprawić po cenie kosztu, niżej ceny kosztu, właściwie za darmo, ponieważ nasze najświeższe badania do tego stopnia udoskonaliły nowy proces produkcji, że obecnie możemy zaoferować coś tak rewelacyjnego jak niemal absolutna próżnia w naszych najnowszych modelach – otóż ten nowoczesny CZŁOWIEK, który miał tyle do zawdzięczenia, który dzierżył w swych rękach spuściznę

wieków i słyszał, jak jego buty chroboczą, chroboczą o obłazącą z pozłoty ramę łóżka niby jeden z tych kosztowniejszych, bardziej precyzyjnych metronomów, przypominający mu, żeby nie zabłocił czystego prześcieradła – ten stwór nie był nawet SZCZĘŚLIWY! Tylko dlatego, że nie mógł wydostać się ze swego pleksiglasowego stroju, swego higienicznego, odpowiedniego na wszelkie okazje i na każdą pogodę stroju astronautycznego – po prostu dlatego, że nic o nim nie w i e d z i a n o, a o n w i e d z i a ł, i że nie mógł dotrzeć do duszy drugiego człowieka.

A potem, jakby na dowód tego, rozległo się donośne pukanie do drzwi i Petunia huknęła:

– Halo, wy tam! Czas się skończył, panno Lorene.

– Dobrze! – wrzeszczała Lorene.

– No, próbuj – powiedziała bez tchu. – Bo będę musiała to odłożyć na kiedy indziej.

Próbować? Czego?

– Cholera z tym – powiedział. Wstał, wyjął chustkę ze spodni i otarł sobie pot z oczu.

– Co ci się dzisiaj stało?

– Chyba wypilem o dwie kolejki za dużo.

Naciągnął spodnie. Potem włożył koszulę. Potem znów otarł twarz. Nie musiał wkładać butów.

– Przykro mi, że to nie wyszło, Prew.

– Czego ci ma być przykro? Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy. Zawodowej mocy.

Gdy mu wręczyła drukowaną kartkę i zwracała część pieniędzy, Lorene wyglądała po trosze jak dziewczyna, która oblała się na egzaminie końcowym i została usunięta z uczelni. Chciała ratować swą reputację.

– Wrócisz jutro wieczorem?

– Chyba nie – odrzekł Prew patrząc na trzymane w ręku półtora dolara, które mogło opłacić mu jutro taksówkę. – W każdym razie nie czekaj bez tchu, aż mnie zobaczysz, kochana.

Przedarł kartkę na pół i położył kawałki starannie na łóżku.

– Daj to jakiemuś innemu trzyminutowcowi. Ja się nie martwię o moją męskość.

– W porządku, jeżeli tak uważasz.

– Właśnie tak uważam.

– Dobrze. No, muszę iść. Może się znowu zobaczymy.

Patrzył, jak wkładała suknię i wychodziła, miał nadzieję, że powie coś innego, coś więcej, pragnął, żeby uczyniła ten krok, którego on uczynić nie mógł. Nawet w gniewie nie chciał zniszczyć tego, co było między nimi. Przystanęła u drzwi, obejrzała się na sekundę i

pojął, że czeka, ażeby zrobił pierwszy krok. Ale nie mógł. Musiała to zrobić ona. Tylko że także nie mogła. I wyszła.

Skończył się ubierać sam jeden w pokoju. Było tu duszno, jak przed burzą, od oparów potu, ale kiedy wyszedł na korytarz, okazało się, że i tam nie jest lepiej, a oczy i skronie pulsowały mu od nie rozładowanej, nie odpuszczonej, zbyt bujnej krwi. Napływała mu wypiekami do twarzy, koszulę miał przepoconą na plecach, a spodnie na siedzeniu. „Ano – pomyślał – pierwszy raz zdarzyło ci się coś podobnego. Widać się zmieniasz. Tak czy inaczej.” Był bardzo zniechęcony i wściekły.

„Trzeba pamiętać o jednym: to niczyja wina, to system – powiedział do siebie. – Czego się spodziewałeś w dzień wypłaty? Powitania z dętą orkiestrą? Eskorty motocyklistów? Po prostu była zajęta, nic więcej. Czy poszedłbyś do domu towarowego i gwarzył ze znajomą ekspedientką za kontuarem, kiedy klienci biją się na pięści w momencie wielkiej wyprzedaży?”

„To tylko to, nic więcej – powiedział znalazłszy się na klatce schodowej. – Ona musi zarabiać na życie. W ramach tego systemu. No nie?”

„To tylko to” – powtórzył sobie.

Ale twardy, zbity, gorzki gruzeł nie dającego się strawić upokorzenia nie rozpuścił się w jego żołądku.

„Chyba miała rację. Trzeba to splukać gorzałą. Człowiek musi się schlać na sentymentalnie, żeby zmienić zdanie. Choćby nie wiem ile razy to sobie perswadował. Nic dziwnego, że jest tak cholernie dużo alkoholików w tym cholernym kraju. W tym cholernym dwudziestym wieku”.

„Co to za imię! Lorene. Idealne imię kurwy: romantyczne, bardzo górnolotne i bardzo kobiece. Nadobna Lorene, wspaniała Lorene, Lorene, lilia z Hotel Street. Jak mogłeś kiedykolwiek myśleć, że jest to ładne imię kobiety?” – pomyślał pełen żółci.

Ano, pójdzie za róg do Wu Fata, ot co. Zejdzie do tego baru w podziemiu, 'przepije swoje trzynaście piędziesiąt, a wtedy zobaczymy, jak będziemy się czuli. Cholernie, nie ma co. No dobra; a potem złapie ten autobus z Kalakauza do Waikiki, gdzie Maggio się wybierał ze swoim zboczonym kumplem, Halem, w ten wieczór dnia wypłaty, bo wszystkie jego pieniądze już poszły na zwrot długów. Spotka się z nim. Wypije jeszcze trochę na ich koszt. Psiakrew, jeżeli się dostatecznie spije, może sam sobie jakiegoś poderwie. Można przecież spróbować strzelić na ten azymut.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Nie musiał jechać do Waikiki, żeby odnaleźć Maggia. Maggio siedział przy bufecie w koktajlbarze restauracji Wu Fata, kiedy Prew tam wszedł i przystanął na progu owego pandemonium dnia wypłaty. Zapragnął nagle roześmiać się dziko jak ułaskawiony skazaniec, czując ciepło, którego nie mogła mu dać whisky, oblewające go na widok tego małego makaroniarza, który sterczał wysoko nad ciżbą na stołku barowym niby wygrywający dżokej na zatłoczonym padoku, uśmiechając się dobrotliwie ze swojej wyniosłej grzedy do rozwrzeszczanego tłumu, i dysputował po włosku z barmanem.

– Sie masz, rodaku! – wrzasnął do Prewa Angelo wymachując ręką.

– Tu jestem! Tutaj! To ja!

Prew przepchał się z wolna do jego stołka czując, że się zaczyna uśmiechać.

– Możesz odetchnąć? – spytał Angelo.

– Nie.

– To włącz mi na ramiona. Stąd możesz wszystko zobaczyć i nabrać tchu także. Czy to nie cudo?

– Myślałem, że się dzisiaj wybierasz do Waikiki.

– A jakże. To tylko przygotowanie. Chciałbyś się odrobinę przygotować, rodaku?

– Przydałoby mi się małe przygotowanie – wysapał Prew, wciąż przepychając się do baru.

– Ty, zarazo – zawołał Angelo do barmana. – Dawaj tej drugiej zarazie jakieś przygotowanko. To jest mój osobisty przyjaciel. Okropnie mu potrzeba przygotowania.

Spocony uśmiechnięty barman kiwnął radośnie głową i odszedł.

– Ta zaraza także się biła pod Garibaldim – ryknął za nim Angelo.

– Przyzwyczajony jest tylko do najlepszej obsługi. Podkszałcam go

– wyjaśnił Prewowi. – Obaj z nim walczyliśmy pod Garibaldim. Opowiadam mu o tym pięknym posągu Garibaldiego, który Amerykanie postawili na placu Waszyngtona.

– A skąd ty wziął taką kupę forsy? O ile pamiętam, byłeś jakoby splukany na glans, kiedy cię spotkałem dziś po południu.

– A jakże, byłem. Uczciwie. Alem się natknął na jednego faceta z kompanii E, który mi był winien piątała z jakiejś kredytowej partyjki w latrynie, więc ugodziłem się z nim na dwa i pół i powiedziałem, że jesteśmy kwita. Dlatego mogłem sobie pozwolić na małe przygotowanko, zanim pojedę do Waikiki i wezmę się do dzieła.

– Bardzo prawdopodobna historia.

– Nie wierzysz mi? Spójrz mi w oczy. Czy to są oczy kłamcy? Hej, zarazo!– wrzasnął przechylając się przez ladę. – Galopem tutaj! Zapytaj *go*, czy to są oczy kłamcy. My obaj walczyliśmy pod Garibaldim.

– On nie jest nawet na tyle stary, żeby mógł walczyć pod Mussolinim, a cóż dopiero pod Garibaldim. A ty jesteś zalany.

– To co? Co to ma do rzeczy? Zamknij się, już idzie. – Skinął głową do barmana. – Ta zaraza to jest zaraza – powiedział do Prewa, kiedy barman stawiał na ladzie szklanę.

– Cześć, zarazo – rzekł Prew. – Widziałeś tu ostatnio jakichś pedałów?

– O, nie. Nie, nie – odrzekł barman. Rozpostarł ramiona, jakby obejmując nimi tłum stojący przy barze. – Dziś nie ma pedałów. Wszystkie pedały diabelnie zajęte w dzień wypłaty. Wszystkie pedały tutaj żerują, rozumiecie?

– Ja nigdy nie lubiłem pederastów – rzekł Prew. – Ile razy takiego spotkam, mam ochotę dać mu po łbie.

– E, nie są tacy źli – odparł Maggio. – Tylko cudaki, nic więcej. Niedopasowani. Poza tym będą ci stawiać przygotowanko choćby przez całą noc.

– Myślisz, że mógłbyś mi znaleźć jakiegoś? – zapytał Prew wahając się, ale wiedząc przez cały czas, że pójdzie.

– Jasne. Mój stary Hal ci znajdzie. Może byś się wybrał? Prew rozglądał się po barze.

– Przecież już powiedziałem, że tak, nie? Nie gadaj o tym. Daj spokój, na rany boskie. Zresztą od początku chciałem się wybrać. Po wyjściu stąd miałem jechać do Waikiki poszukać ciebie. Co to za pomyje pijemy?

– Dżin z imbirową lemoniadą.

– Cholerny babski napój. Dlaczego nie whisky? Mamy forszę.

– Chcesz whisky, pij whisky. Ja piję to, bo muszę iść do pracy. Jak pojedę do Waikiki, będę golił koktajle szampanowe. Psiakrew, tam tylko to pijam. Szampanowe koktajle, bracie.

Wyszli od Wu Fata o wpół do jedenastej. Prewowi zostały jeszcze dwa dolary poza pieniędzmi na powrót do koszar. Postanowili wziąć taksówkę. Przeszli na ukos przez Hotel Street do postoju taksówek przed japońską fryzjernią z kobiecą obsługą i stanęli na końcu kolejki, która tłoczyła się do taksówek nieomal równie zwarcie jak i tamta przy barze. Wszędzie był tłok, nawet przed japońską fryzjernią czekał ogonek.

– To zwykła granda – rzekł podpity Angelo. – Płaci się pięćdziesiąt centów od łebka, żeby przejechać trzy mile do Waikiki, kiedy to samo trzeba dać za trzydzieści pięć mil do Schofield. Ale to lepsze niż te cholerne autobusy. Szczególnie w dzień wypłaty. Tylko że każdy pierdoła musi obłupić żołnierza.

W taksówce, którą nareszcie złapali, tylne siedzenie i obie straponteny były już zajęte

przez jadących do Waikiki pasażerów. Usiedli obok kierowcy i zatrzasnęli drzwi. Kierowca ruszył wytrawnie, szybko, by zrobić miejsce zajeżdżającej za nim taksówce. Wyśliznął się w falę pojazdów zmierzających ku ulicy Pauahi, jadąc powoli przez kolejne plamy cienia i światła, które były barami i domami publicznymi, potem dookoła przez przecznice i z powrotem na Hotel Street.

Angelo westchnął po pijacku.

– Mogę ci teraz dać instrukcję – rzekł. – Dobrze, że nie jesteś w mundurze – dorzucił.

– Tak? A to dlaczego? Cóż to brakuje mundurowi? Ja mundur lubię.

– Ale oni nie lubią – wyszczerzył zęby Angelo. – Ich wytworni przyjaciele mogliby powziąć o nich błędne mniemanie i pomyśleć, że są pederastami, którzy chodzą z mundurowymi.

– Psiakrew, w Waszyngtonie czy Baltimore nigdy nie mają tego za złe.

– Ale tam to są wielkie miasta. Honolulu jest małe. Tu wszyscy się znają. Nie wiedziałem, że ty już z nimi chodziłeś.

– Tylko parę razy. Ja i jeszcze jeden gość wyrolowaliśmy kilku bogatych w Waszyngtonie. Nie pójdą na skargę do władz. Mieliśmy ze sobą wojskowy kartofel w wojskowej skarpetce. Fajnie się spisał.

– To nie najgorsze – powiedział Angelo z niechętnym podziwem.

– U nas się używało pończochy pełnej piachu, ale to ma ten feler, że pończocha może trzasnąć za pierwszym razem, jak się takiego zaprawi.

Taksówka posuwała się powoli przez Hotel Street, oświetlona jak w karnawale. Minęli arkady o dwa domy od budynku wojskowej YMCA; tłum strzelał tam z karabinu maszynowego z okiem elektrycznym do oświetlonych samolocików; inni czekali, by ich sfotografowano na tle płachty z wymalowanym przyłądkiem i palmami, obejmujących po pijacku cyncastą Japonkę w stroju *hula-hula*. „Pamiątka dla waszych bliskich” – głosił szyld na budce fotografa.

– W tym mieście nie można ich wyrolować – powiedział Angelo.

– Nigdy nie noszą przy sobie pieniędzy. Za wielu tu żołnierzy.

– Ja ich nie lubię – odparł Prew w zamyśleniu. – Ale i nie nienawidzę. Po prostu niechętnie z nimi przebywam. – Przerwał. – Bo przy nich z jakiejś przyczyny czegoś mi wstyd. – Znów przerwał. – I nie mam pojęcia czego.

– Wiem – rzekł Angelo. – Ja to samo. Długo się nad tym głowiłem. Oni wszyscy mówią, że tacy się już urodzili. Że tak było zawsze, odkąd pamiętają.

– Czy ja wiem – powiedział Prew.

Kierowca taksówki obrócił z lekka głowę i odezwał się po raz pierwszy.

– To wszystko lipa – powiedział. – Słuchajcie, ja wam dam jedną radę. Sam jestem byłym żołnierzem. Trzymajcie się z daleka od tych pedryłów.

Zaczniecie z nimi chodzić, to po jakimś czasie sami zostaniecie pedryłami. Tego właśnie oni chcą. Lubią podłapać młodych gości, takich jak wy czy ja, i zrobić z nich pederastów. Mają z tego frajdę. Nie cierpię drani. Zatłukłbym każdego.

Wywinął wściekle samochód z tunelu w światła King Street, skręcił w lewo obok poczty i pozłacanego ciemnonicego posągu Kamehamehy w hełmie i płaszczu z piór. Ulica była tu bardzo szeroka, z dwiema wysepkami autobusowymi pośrodku, i ruch był rzadszy, toteż kierowca dodał nieco gazu.

– Aha, słyszałem o tym – powiedział do niego Angelo. – Ale ten gość nigdy nie próbował ze mną czegoś takiego.

– Nie cierpię ich – powiedział kierowca.

– Dobra – rzekł Prew. – Niech będzie. Możecie ich nie cierpieć, kolego. Ale nie mówcie nam, co mamy robić. My was nie pouczamy, co powinniście robić.

– Okej – odparł kierowca. – Okej. Nie ma co się obrażać.

– Ciekawe, czy oni rzeczywiście tacy się rodzą? – powiedział Angelo. Wyglądał spokojnie przez okno, ukołysany kojącym działaniem tej jazdy, podczas której, siedząc w środku i spoglądając na zewnątrz jak obserwatorzy, odrywali się chwilowo od dzikiego, pijackiego rytuału dnia wypłaty i zaczynali trzeźwieć.

Wysiedli przed „Moaną” i nagle znowu stali się częścią rozpalonego zamętu owego szczególnego dnia.

– Stąd podejźmy piechotą – rzekł Angelo. – Lepiej nie zajeżdżać przed wejście taksówką, bo wezmą nas za takich, co są wypchani forszą. – Przystanął na trotuarze i obejrzał się na wykręcającego od krawężnika kierowcę. – Zabawna rzecz – powiedział.

– Co jest zabawne, Angelo?

– Gdybym nie słyszał, co ten gość gadał, przysięgłbym, że to pedrył. Ja ich potrafię wyniuchać na milę.

Prew roześmiał się.

– Może właśnie dlatego ich nie cierpi. Może tego się boi.

– Czy ja wiem. Ale potrafię ich wyniuchać, szkoda gadać. „Tawerna Waikiki” była też zatłoczona. Może nieco mniej hałaśliwie, nieco wytworniej, ale zatłoczona.

– Ja tu zaczekam – rzekł Prew – aż sprawdzisz, czy tamci już są.

– Psiakrew, przecież już tutaj byłeś, nie? Chodźże do środka.

– Pewnie, że byłem. Ale nie chcę się pchać bez forsy.

– Masz forszę.

– Nie mam nawet tyle, żeby zapłacić za whisky. Po co mi wchodzić, pętać się po sali i z powrotem na dwór, jeżeli ich nie ma. To nie dla mnie. Zaczekam tutaj.

– Dobra. Jak chcesz. Wiesz co? Ta jazda taksówką prawie całkiem mnie wytrzeźwiła.

Angelo przepchał się przez zatłoczone drzwi. Prew przystanął na trotuarze, oparł się plecami o latarnię, wsadził ręce w kieszenie i patrzył na przechodzących ludzi. W salce sąsiadującej z właściwym barem, pod kolorowymi lampami, wśród szmeru rozmów i brzęku szklą, wstawiony pianista wygrywał coś klasycznego. Było to coś, co Prew już kiedyś słyszał. Nie znał tytułu. Kilka dobrze ubranych, wyświeżonych białych kobiet minęło go rozmawiając w podnieceniu z wyraźnie młodszymi od nich mężczyznami, którzy wyglądali na żigolaków.

„To jest coś dla ciebie, Prewitt – pomyślał. – Taka bogata turystka. To lepsze niż te sknery pederastów. Te baby mają forsy jak lodu. I chętnie ją wydają.” Na ową myśl poczuł lekki skurcz podniecenia w żołądku. A potem przypomniał sobie Lorene w „New Congress” i ów lekki skurcz podniecenia przemienił się w mały, gorzki gruzeł. „Widać, że i ciebie otrzeźwiła ta jazda, psiakrew” – pomyślał.

Właśnie się zastanawiał nad problemem, czy wolno zdradzić kochaną kobietę, jeżeli ta jest kurwą, pod warunkiem, że robi się to z turystkami tylko dla pieniędzy – jeżeli zaś nie, to czy pójście z pederastą należy uznać za to samo co z kobietą („Masz coś do rozważenia, Prewitt; musisz to kiedyś sprawdzić w jakiejś książce o zasadach dobrego wychowania”) – kiedy do drzwi podszedł Angelo i skinął na niego.

– Jest tutaj – powiedział. – I już ma dla ciebie faceta.

Prew wszedł za nim do środka, w dyskretną atmosferę bogactwa, gdzie piramidy szklanek dublowały się w lustrach, a gładkomówni barmani napawali człowieka uczuciem, że należy do niższej sfery – i przeszedł przez salę na taras.

Obydwaj mężczyźni siedzieli w czteroosobowej łoży, a za nimi, poza zasięgiem światła, piętrzyło się ciemne morze. Jeden z nich był wysoki i bardzo szczupły, z małym szpakowatym wąsem, krótko przystrzyżonymi włosami i bardzo błyszczącymi oczami. Drugi był tęgi, musiał ważyć z górą dwieście funtów, miał początki podbródka i bary niemal tak szerokie jak stół.

– To jest właśnie Prewitt, o którym wam mówiłem – powiedział Angelo. – Mój kumpel. A to jest Hal – wskazał chudego – o którym ci opowiadałem. A to jest Tommy.

– Hello – powiedział Hal suchym głosem, który miał cudzoziemskie brzmienie.

– Hello, Prew – odezwał się Tommy głębokim basem, który dobywał się z jego masywnej piersi. – Nie masz nic przeciwko temu, żebym cię nazywał Prew?

– Proszę bardzo – odrzekł Prew. Wsadził ręce w kieszenie, potem je wyjął. Oparł się o ścianę łoży. A potem wyprostował się na powrót.

– Chodźcie, milutcy – powiedział Hal z tym swoim akcentem. – Siadajcie.

„Zaczyna się” – pomyślał Prew. Usiadł obok tego tęgiego, Tommy'ego.

– Opowiadałem ci o Tommym – powiedział Angelo do Prewa. – To ten, co był przyjaciółką Bluma.

– No, no – uśmiechnął się pruderyjnie Tommy. – To dopiero! Zyskuję sobie reputację.

– Ale już ze sobą zerwali – rzekł Angelo.

– Tak – powiedział sztywno Tommy. – Każdy popełnia omyłki. To łądak. Nie tylko świntuch, ale i zupełny zboczeniec. Hal roześmiał się z satysfakcją.

– Czego się napijecie? – zapytał.

– Koktajl szampanowy – powiedział Maggio. Hal roześmiał się.

– Kochany ten Toni ze swoimi szampanowymi koktajlami! Musiałem kupić szampana i nauczyć się je przyrządzać dla niego. On ma żołądek artysty. Święty Antoni Maggio od szampanowych koktajlów.

– Bzdura – rzekł Tommy. – Brednie. Hal roześmiał się z zachwytem:

– Nasz przyjaciel nie lubi katolików. Sam kiedyś był jednym z nich. Ja osobiście nie mam nic przeciwko katolikom ani przeciwko nikomu innemu.

– Nie cierpię ich – powiedział Tommy.

– Ja nie cierpię Amerykanów – uśmiechnął się Hal. – Bo kiedyś byłem jednym z nich.

– To po co tu mieszkasz? – zapytał Prew.

– Bo, przykro mi to powiedzieć, mój drogi, muszę zarabiać na życie. Czy to nie potworne? Ale też z drugiej strony nie uważam właściwie Hawajów za Amerykę. Podobnie jak wiele innych miejsc są amerykańskie nie z wyboru, ale z konieczności. Z konieczności siły zbrojnej. Tak samo jak wszyscy poganie, tutejsi ludzie byli od początku skazani na nawrócenie na naszą szczególną chorobliwą odmianę chrześcijaństwa.

– Czego byś się napił, Prew? – wtrącił Tommy.

– Koktajlu szampanowego – powiedział Maggio.

Tommy rzucił Maggiowi piorunujące spojrzenie i znowu obrócił się do Prewa.

– Owszem – powiedział Prew. – Chyba tak będzie okej.

– Musicie mi wybaczyć – uśmiechnął się Hal. – Jak zaczynam dyskutować, zapominam o wszystkim. Czasem zapominam nawet o jedzeniu.

Skinął na kelnera, zamówił trunki i zwrócił się do Prewa.

– Ty masz ten typ mentalności, który jest dla mnie przyjemny w rozmowie. Bo to umacnia moją nieco zwątląłą wiarę w rodzaj ludzki. Masz umysł wnikliwy, któremu potrzeba jedynie właściwego kierunku.

– Nie potrzebuję żadnego kierunku – odparł Prew. – Sam podejmuję decyzję. Co do

wszystkiego. Z pedałami włącznie.

Zza stołu Maggio dał mu ostrzegawczy znak ruchem głowy i łypnął na niego gniewnie. Tommy akurat patrzył w inną stronę. Hal westchnął ciężko.

– To bardzo szorstkie słowo. No, ale jesteśmy do tego przyzwyczajeni. I oczywiście czujesz się w tej chwili z lekka skrępowany, bo widzisz nas dopiero pierwszy raz i w ogóle.

Prew poprawił się na krześle i spojrzał na kelnera, który z obojętną miną stawiał przed nim napitki.

– Tak – odrzekł. – To prawda. Jestem skrępowany. Ale chciałem postawić sprawę jasno. Nie lubię, jak ktoś mi mówi, co mam robić.

– A – powiedział Hal. – To jest człowiek w moim guście.

– Słuchaj no – odezwał się raptem Tommy. – Czyj on jest w końcu? Twój czy mój?

– Oczywiście, że twój, kochanie – uśmiechnął się Hal. – Po prostu lubię rozmawiać z nowymi ludźmi.

– No dobrze – powiedział Tommy. – Ale na miłość boską, przestań się przed nim zgrywać. On nie jest typem intelektualnym. Prawda, Prew, mój milutki?

– Chyba nie – odrzekł Prew. – Jako że nie skończyłem nawet siedmiu klas.

– Hal jest nauczycielem francuskiego – wtrącił Maggio. – Pracuje w takiej prywatnej szkole dla dzieciaków bogatych ludzi. A Tommy ma jakąś posiadłość w mieście. Nigdy o tym nie mówi. Gdzie ty w ogóle pracujesz, Tommy? – zapytał. Potrząsnął energicznie głową i mrugnął do Prewa.

– Jestem pisarzem – powiedział Tommy.

– No tak – odrzekł Maggio. – Ale pracujesz także, nie? Hal roześmiał się z zachwytem.

– Obecnie – powiedział sztywno Tommy – mam istotnie posiadłość. Ale tylko dopóki nie uzbieram dosyć pieniędzy, żeby cały mój czas poświęcić sztuce. A jeśli idzie o moją posiadłość, to wolałbym o niej nie mówić. Bo wcale mi się nie podoba.

– Patrzajcie – powiedział Maggio. – Jest Blum i Andy, Prew, mówiłem ci, że cała kompania tu się zwali.

– Dziś nie ma ich tylu co w połowie miesiąca – uśmiechnął się Hal. Prew spojrzał w kierunku, w którym wskazywał Angelo. Blum i Andy, we flanelowych spodniach i hawajskich koszulkach, weszli przed chwilą z pięcioma mężczyznami, których Prew nie znał. Zajęli duży stół w kącie tarasu, a Blum coś mówił głośno, wymachując przy tym ogromnymi rękami, pochylony nad stołem ku jednemu z owych mężczyzn.

– Kochany Blum – powiedział Hal. – Spada po drabinie coraz niżej, szczebel po szczeblu. Nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś dnia popełnił samobójstwo.

– Jest na to za wielkim świntuchem – odrzekł Tommy. – I nie ma dość wrażliwości. Ale podoba mi się ten miluchny mały gitarzysta, którego za sobą prowadzi. Naprawdę słodki, tylko Blum nikomu nie da do niego przystąpić.

– Blum podrywa sobie teraz Flore – powiedział Hal ze smutkiem. – Widzicie tego dużego, zniewieściałego blondyna po drugiej stronie stołu? To właśnie Flora. – Obrócił się do Prewa i uśmiechnął swymi błyszczącymi, podnieconymi oczyma. – Przypuszczam, że zanim się poznaliśmy, wyobrażałeś nas sobie właśnie jako takich niewieściuchów, prawda?

Prew obserwował blondyna, który przesunął ostrożnie palcami po zaondulowanych włosach, a potem wymyślnie poruszając dużymi, białymi, roztrzepotanymi dłońmi, wstał i rozlazłym krokiem, mocno kołysząc się w biodrach, ruszył do toalety dla mężczyzn.

– Tak – rzekł. – Tak było.

– Domyślałem się tego – powiedział Hal z uśmiechem. – No cóż, my nie jesteśmy aktorzy. Nie szukamy podniety w zachowywaniu się po kobiecemu. Prawdę mówiąc, im mniej widuję i słyszę kobiet, tym lepiej. Ze wszystkich rzeczy, których nie lubię, najbardziej nienawidzę kobiet.

– Ale dlaczego tak ich nienawidzisz? – zapytał Prew. Hal skrzywił się.

– Bo są złe. Takie despotyczne. – I tak obrzydliwie pewne siebie. Czy ty wiesz, że nasz kraj jest prawdziwym matriarchatem? Złe są – powtórzył. – Złe jak sam grzech. I paskudne. Takie wilgotne, oślizłe i obrzydliwe. O Boże – westchnął.

– Jeżeli nienawidzisz religii, to jak możesz wierzyć w grzech? – zapytał Prew. – Spodziewałbym się czegoś wręcz przeciwnego.

Hal spojrział na niego i uniósł brwi.

– Nie powiedziałem, że wierzę w grzech. Myślę, że mnie źle zrozumiałeś. Użyłem tego tylko jako wyrażenia. Porównania. Jeżeli o to idzie, nie wierzę w koncepcję grzechu. To jest idiotyzm i zaprzeczam temu całkowicie. Przypuszczasz, że mógłbym być tym, czym jestem, i wierzyć w grzech?

– Czy ja wiem? Może. Hal uśmiechnął się.

– Jak mi się zdawało, powiedziałeś, że nie jesteś intelektualistą?

– Nie jestem – odrzekł Prew. – Już mówiłem, że nie ukończyłem siedmiu klas. Ale uważam, że to z grzechem mogłoby być możliwe.

– Słuchaj – uśmiechnął się Hal. – Przypuszczam, że nigdy nie studiowałeś przebiegu rewolucji przemysłowej oraz jej wpływu na ludzkość, co?

– Nie – odrzekł Prew.

– Gdybyś to robił, zrozumiałbyś zwodniczość pojęcia grzechu. Jakże może istnieć grzech w mechanistycznym świecie? W tej epoce maszyn społeczność ludzka jest także

maszyną i jeżeli spojrzysz na to obiektywnie, przekonasz się, że grzech jako taki nie jest zjawiskiem oczywistym, samym w sobie, ale czymś świadomie skonstruowanym dla mechanicznej kontroli nad społeczeństwem. Poza tym jeżeli potrafisz być obiektywny, będziesz musiał uznać, że Grzech zmienia się w zależności od temperamentu i poglądów poszczególnych jednostek, tak że jest najwyraźniej czymś względnym, zależnie od człowieka, nie żadnym powszechnym atrybutem.

– Phi! – odezwał się Maggio i wychylił swój nowo napełniony kieliszek.

– Tak – ciągnął Hal. – Przypomnij mi, żebym ci kiedyś o tym opowiedział. No, teraz chodźmy do mnie. Kupiłem szampana specjalnie dla ciebie, Toni, a coraz trudniej go dostać z powodu wojny. Muszę go nareszcie ochrzcić. Poza tym u mnie w domu będzie nam wygodniej. Tutaj jest dzisiaj tak parno i gorąco. Chcę zrzucić z siebie ubranie.

– Dobra – powiedział Angelo. – Mnie wszystko jedno. A tobie, Prew?

Prew patrzył na masywną postać Bluma, dominującą nad stołem, przy którym siedziało pięciu chudych mężczyzn i Andy.

– Co? – zapytał. – Aha. Proszę bardzo.

– To świetnie – powiedział Hal. – Pewnie jakby on nie chciał iść, i ty byś też nie poszedł – zwrócił się do Angela.

Maggio mrugnął do Prewa. – Nie. Nie mogę zostawić kumpla.

– Takie przywiązanie jest bardzo wzruszające – pociągnął nosem Tommy.

Hal zawołał kelnera i uregulował czekiem rachunek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ruszyli we czterech z powrotem przez Kalakaua mijając „Moanę”. Przy Kaiulani przeszli na drugą stronę ulicy, a potem dalej, wzdłuż nieprzerwanego szeregu sklepów turystycznych, gdzie na wystawach leżały ochronne okulary pływackie, ubrania dla płetwonurków z oszczepem na ryby, wielkie gumowe płetwy do lepszego odpychania wody. Jeden sklep specjalizował się wyłącznie w płaszczach plażowych i kostiumach kąpielowych w bogate kwiatowe wzory hawajskie. Inny był sklepem damskim, z sukniami i płaszczami również w motywy hawajskie. Był także sklep jubilerski, gdzie stały małe, wyglądające bardzo kosztownie figurki, rzeźbione w chińskim nefrycie. Za owym jednolitym rzędem sklepów stał cieszący się światową sławą teatr Waikiki, w którego środku rosły palmy, ale który był teraz zamknięty. Zbliżała się północ, prawie wszystko było już pozamykane, a nawet ulice zaczynały przybierać swój późnonocny, opustoszały wygląd. Powietrze trochę się ochłodziło, zerwał się lekki powiew od morza, a nieliczne wysokie obłoki sunęły z wolna ku wschodowi, przesłaniając po drodze gwiazdy. Palmy pochylające się nad trotuarem szeleściły cicho na wietrze.

Za wielką białą bryłą zamkniętego teatru Waikiki Hal skręcił od plaży na północ, w jedną z bocznych uliczek pełnych szeleszczących roślin tropikalnych, teraz niewidocznych w ciemnościach.

– Czy to nie śliczne miejsce na mieszkanie? – zawołał. – Tak uroczo proste. I co za cudna noc!

– Prawda? – rzekł Tommy. – Po prostu bajkowa.

Hal i Maggio szli przodem; wysoki, szczupły Hal zginał się niemal we dwoje rozmawiając z małym Angelem.

– Cieszę się, że idziesz z nami – szepnął Tommy do Prewitta. – Przez chwilę śmiertelnie się bałem, że się nie zgodzisz.

– O, masę słyszałem od Angela o tym mieszkaniu Hala. Chciałem je zobaczyć.

– Ach, tak – powiedział cicho Tommy. – A ja miałem nadzieję, że to ze względu na mnie.

– Ano – odrzekł Prew – częściowo też. – Słuchał mówiącego również cicho Hala.

– Gdzież ty się podziewałeś tak długo, mój mały dzikusku? Nawet nie wiesz, jak strasznie tęskniłem do ciebie. Nigdy nie wiem, kiedy się ciebie spodziewać. Mogę mieć tylko nadzieję. Boję się do ciebie dzwonić, a zresztą nie znam nawet numeru twojego pułku. Chwilami zdaje mi się, że przychodzisz spotkać się ze mną tylko wtedy, kiedy ci potrzeba

pieniędzy.

– Miałem karną służbę przez cały miesiąc – skłamał Angelo. – Nie mogłem się wyrwać. Możesz zapytać Prewitta.

– Czy to prawda, Prew? – zawołał Hal.

– Prawda – odrzekł Prew. – On jest na czarnej liście.

– Ach, wy kłamczuchy – powiedział żartobliwie Hal. – Jeden kłamie, a drugi go popiera. Wy, żołnierze, wszyscy jesteście jednacy. Zmienni jak los.

– Kiedy to fakt – zaprotestował Maggio. – Popiję sobie, przyjadę do miasta, żeby się wybrać na dupę, i wtedy te cholerne żandarmy zaraz mnie łapią i dostaję karną służbę.

– Nie czujesz wstrętu idąc do domu publicznego? – zapytał Hal.

– No cóż – odrzekł Angelo. – Nie mogę powiedzieć, żeby mi to tak smakowało jak jakaś tutejsza dziewczyna, ale wstrętu nie czuję. Na tej wyspie żołnierz nie ma wielkiego wyboru.

Prew z rozbawieniem zastanawiał się, czy Maggio zawsze się tak wikła. Ale Hal tego nie zauważył.

– Boże kochany – odezwał się nagle Tommy. – Ja bym tego nie wytrzymał. Życia w wojsku. Zabiłbym się, przysięgam.

– Ja też – powiedział Hal. – No, ale my nie jesteśmy prymitywni. Mamy nienormalną wrażliwość.

– Chyba tak – rzekł Tommy. Hal roześmiał się.

– Widzisz, Toni, jak to moralne skrupuły miejscowych kobiet w stosunku do żołnierzy wychodzą na korzyść nam, Tommy'emu i mnie, i innym przedstawicielom Trzeciej Płci? Uważam, że jest w tym jakaś słodka ironia. Ogromnie mnie to bawi, bo jest wskaźnikiem ogólnego obrotu rzeczy, który nam kiedyś zapewni całkowitą przewagę.

– Pewnie tak jest – rzekł Maggio. – Że niby to wam wychodzi na korzyść.

– Słyszysz, Prew? – zawołał Hal.

– Aha – odparł Prew. – Słyszę.

– Bo wszystkie te osobki nie cierpią żołnierzy – ciągnął Hal rozwijając swoją myśl jak tkacz pracujący dla własnej rozrywki. – Bo uważają, że żołnierze to szumowiny. Właściwie nawet kobiety są zdania, że wszyscy mężczyźni to szumowiny. I właśnie dlatego ci moi wrogowie-kobiety powoli, lecz nieuchronnie gotują sobie zgubę.

– Jak to? – zapytał Prew.

– Czyż to nie oczywiste? – roześmiał się Hal. – Weźcie samych siebie. Dla was, żołnierzy, nie ma innych kobiet poza kurwami. Żołnierze muszą zwracać się do nas, bo my nie mamy poczucia grzechu, tak jak przyzwoite kobiety.

– E, czy ja wiem – powiedział Prew, ale dosłyszał niepewność w swoim głosie, ponieważ było to niemile bliskie prawdy.

Hal roześmiał się swym przyjemnym, chłopięcym śmiechem, ale nie wykorzystał uzyskanej przewagi.

– Widzisz – powiedział łagodnie – mam co do tego swoją teorię. Mianowicie że homoseksualizm jest bezpośrednim skutkiem cnotliwości kobiet.

– No to ja tłumaczysz lesbijki? – odparował Prew.

– *Touché* – roześmiał się Hal. – Uważam jednak naprawdę, że wszelki homoseksualizm jest skutkiem frustracji i rozczarowań w życiu. Im bardziej przeciążone i opacznie przyzwoite staje się społeczeństwo, tym więcej wytwarza homoseksualistów. Nazywają to dekadencją. Czy kiedy próbowałeś się zastanowić, dlaczego dane społeczeństwo zawsze tworzy swoją największą sztukę właśnie w okresie dekadencji? Rozumiesz? Homoseksualizm rodzi swobodę, a właśnie swoboda wytwarza sztukę. Ale, niestety, wraz z nadejściem swobody tak przeciążone społeczeństwo zawsze się rozpada. Rozpada się w pył. Ginie. Zostaje zniszczone. Doszczętnie.

– Roześmiał się wesoło.

– Jaką ze sztukę stworzyłeś? – zapytał Prew.

– Kto, ja? Nie było tego wiele. Raz napisałem powieść o życiu dwupłciowca. Nikt nie chciał jej wydać. Jednakże gdziekolwiek ją zaniósłem, wszyscy w redakcjach po prostu wyrwali ją sobie z rąk. Ale ja nie jestem ważny. Jeżeli mi nie wierzysz, weź choćby takich Greków. Albo Rzymian. Albo Kościół święty, Matkę naszą, w czasach renesansu.

– Bujda – powiedział Tommy.

– Czytałem coś niecoś o tych rzeczach – rzekł Prew. – Chciałbym kiedyś przejrzeć tę twoją powieść.

– Kiedyś ci ją pokażę – odparł Hal. – No, jesteśmy na miejscu. Poprowadził ich dookoła niezbyt starego drzewa banianowego; natykali się w ciemności na jego pokręcone, zwisające nad ziemią korzenie

– cienkie jak ołówek, odchodzące od korony korzenie, które jeszcze nie wrosły w ziemię i kołysały się swobodnie u gałęzi, smagając ich po twarzach.

– Prawda, że to rozkosz mieć coś takiego w ogrodzie? – rzekł Hal.

– Tylko uważajcie teraz.

Znaleźli się przed piętrowym domkiem pomalowanym na białą, u stóp zewnętrznych, odkrytych schodów wspartych na białych słupach i też pomalowanych na białą.

– Musimy jeszcze podyskutować, jak sobie coś wypijemy – szepnął Hal do Prewa, kiedy stali na małym podeście przytykającym do ciemnej bryły drzewa banianowego, a Hal

otwierał drzwi z klucza.

Wprowadził ich do niewielkiego holu.

– Rozgośćcie się, moi kochani. Ja idę się rozebrać. Wy też możecie zrzucić ubranie, jeżeli chcecie – roześmiał się znikając za drzwiami.

– Nieliche mieszkanko, co? – rzekł Maggio do Prewa. – Chciałbyś mieć coś takiego, he? No jak? Tylko sobie wyobraź: mieszkać w takim lokalu. O Jezu!

Obydwaj stali tuż za progiem podziwiając schludność, porządek i urok tego mieszkania.

– Nie mogę – powiedział Prew. – Nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Teraz kapujesz, dlaczego tu przychodzę – rzekł Maggio. – Przynajmniej częściowo. W tych cholernych betonowych koszarach człowiek zapomina, że są takie miejsca na świecie.

Tommy, który stał za nimi, zniecierpliwił się, przepchał naprzód i zasiadł w jednym z wielkich nowoczesnych foteli z chromoniklu i prawdziwej skóry. To przełamało czar.

– Muszę się odlać – powiedział Maggio. – I jak pragnę Boga, mam chęć czegoś się napić. Sracz jest tu obok. Za minutę wracam.

Prew popatrzał za Maggiem znikającym za drzwiami, którymi wyszedł Hal, a potem zajrzał do małego korytarza z łazienką po lewej i sypialnią na końcu. Obrócił się i rzucił okiem na salonik.

Po lewej ręce od drzwi wejściowych było jednostopniowe podwyższenie z poręczą z kutego żelaza, na nim stół obiadowy, a dalej drzwi prowadzące do kuchni. Po przeciwległej stronie pokoju znajdował się ogromny, półokrągły wykusz, cały oszklony małymi szybkami od podłogi do sufitu i na wpeł przesłonięty draperią, a w środku, pod ścianą, radio szafkowe z patefonem, po jego zaś obu stronach stojaki z grubymi albumami płyt. Pod prawą ścianą stała duża biblioteka pełna książek oraz biurko. Prew obszedł pokój dookoła oglądając wszystko i usiłując wymyślić, co by powiedzieć Tommy'emu.

– Czyś ty opublikował coś ze swoich rzeczy? – zapytał wreszcie.

– Oczywiście – odparł sztywno Tommy. – Kilka tygodni temu zamieścili mi jedno opowiadanie w „Collier's”.

– A co to było za opowiadanie? – Prew oglądał płyty, wszystkie klasyczne, same symfonie i koncerty.

– Miłosne – odparł Tommy.

Prew spojrział na niego, a Tommy zachichotał swoim głębokim basem.

– Historia ambitnej aktorki i bogatego młodego producenta z Broadwayu. Żeni się z nią i robi z niej gwiazdę.

– Co? – spytał Maggio wchodząc. – Co robi?

Podszedł do Prewa stojącego obok biurka. Za nim ukazał się Hal owinięty tahitańskim *pareu* w płomieniste kwiaty poincjany wśród gęstwy ciemnozielonych, pierzastych liści. Jego szczupła, śmigła postać wydawała się teraz jakaś kanciasta, płaska, pozbawiona umięśnienia, już nie tak dobroduszna. Ciemna opalenizna na grubej, suchej skórze zdawała się nienaturalna, złuszczone, jak gdyby pomalował się jodyną.

– Przepraszam, że nie mamy tacy – uśmiechnął się Hal. – Ale przynajmniej kieliszki są takie jak trzeba. Nie można pić koktajlu szampanowego szklankami do wody.

Maggio wziął kieliszek i mrugnął potajemnie do Prewa.

– Proponuję – powiedział Hal – żebyście wszyscy zrzucili te ubrania, to będzie wam wygodniej. Jako że przecież jesteśmy tu między przyjaciółmi. Prawda?

– Zgadza się – powiedział z zapalem Tommy. Podał Prewowi kieliszek, odstawił swój i zaczął się rozbierać. Zdjął wszystko prócz krótkich kalesonów, a potem usiadł i wziął swój kieliszek. W przeciwieństwie do ciemnej opalenizny Hala był biały jak mleko, poza opalonymi kręgami nad kołnierzykiem i na przedramionach. Nadawało mu to nieprzyjemny, na wpół przypieczony wygląd.

– Wiem, że wy, żołnierze, nigdy nie nosicie kalesonów – uśmiechnął się Hal. – Mam tu spodenki kąpielowe, które chowam dla Toniego, kiedy chce popływać, ale dla ciebie nie mam nic.

– Nie szkodzi – odparł Prew. – Wolę zostać w spodniach. Hal roześmiał się wesoło, znowu w doskonałym humorze.

Zasiedli więc tak – czterej mężczyźni obnażeni, aby ułować tę odrobinę chłodu, która wpadała przez zewnętrzne drzwi siatkowe. Ktoś, kto by zajrzał do środka przez oszklony wykusz, doznałby zapewne odświeżającego wrażenia ludzkiego ciepła widząc tych czterech nagich do pasa mężczyzn siedzących swobodnie z kieliszkami w rękach i rozmawiających przyjaźnie.

– Zawsze to noszę, jak jestem w domu – powiedział Hal strzepując niedbale faldę swojego *pareu*. – Jest to zgodne z hawajską tradycją, nie uważacie? Oczywiście tutejsi chłopcy noszą teraz majteczki kąpielowe, ale dawniej nosili *pareu*. To, ma się rozumieć, było jeszcze przed misjonarzami. Na Tahiti nadal je noszą, ale niestety tam nauczyciel francuskiego ma równie małe pole do popisu jak we Francji.

– Kiedy ty byłeś we Francji? – zapytał Prew.

– Przesiedziałem we Francji z przerwami piętnaście lat – uśmiechnął się Hal. – Kiedy byłem nauczycielem w Nowym Jorku, odkładałem wszystkie pieniądze, dopóki nie uzbierałem sobie dość na dłuższy pobyt, a wtedy jechałem do Francji i zostawałem tam, dopóki nie skończyły mi się pieniądze. To oczywiście było przed wojną. Kiedy wojna

wybuchła, zjechałem tutaj. Uznałem, że to miejsce ma najmniejszą szansę uwikłania się w wojnę. Nie uważasz?

– Chyba tak. Ale myślę, że jak przystąpimy do wojny, każde miejsce w Ameryce będzie mniej więcej takie samo.

– Ja już jestem za stary na pobór – uśmiechnął się Hal.

– Mam na myśli różne ograniczenia i tym podobne rzeczy. Hal wzruszył ramionami. Uczynił to bardzo francuskim ruchem.

– W pewnym momencie bardzo poważnie się zastanawiałem nad przyjęciem obywatelstwa francuskiego. To najcudowniejszy kraj na świecie. Jednakże – uśmiechnął się – w tej chwili jestem raczej zadowolony, że tego nie zrobiłem. Dziwna rzecz: te same elementy wolności, które czynią życie tam czymś tak wspaniałym, są właśnie tym, co w końcu zgubiło „*la belle France*”. – Hal uśmiechnął się, ale z takim wyrazem, jak gdyby miał się rozplakać. – Takie widocznie jest prawo tkwiące w samej istocie życia – powiedział.

– Ja jestem wolny! – ryknął Angelo. Odchylił się w fotelu i wierzgnął piętami w powietrzu. – Jestem wolny jak jakiś pieprzony ptaszek. Szkoda gadać. A ty nie jesteś! – wrzasnął do Prewa. – Ty cholerny trzydziesto-roczy. Jesteś cholernym niewolnikiem na całe trzydzieści lat. A ja nie. Ja jestem w o l n y. Do szóstej rano.

– Bądź ciszej – powiedział ostro Hal. – Obudzisz moją gospodynię na dole.

– Jestem pijany! – wrzasnął Angelo. – Hura! Gdybyś się nie zaciągnął na trzydzieści lat, Prewitt, naprawdę bym cię lubił.

Prew uśmiechnął się.

– Przecież sam mówiłeś, że to się niewiele różni od tego twojego domu towarowego.

– Racja – odparł Angelo. – Tak mówiłem, nie? Słuchaj – dodał.

– Zanim się skończy moja służba, będziemy już wciągnięci w tę zasraną wojnę. Wiesz co? Nienawidzę wojska. Nawet ty nienawidzisz wojska, Prewitt. Tylko nie chcesz się przyznać. A ja nienawidzę. O rany, jak ja nienawidzę tego pieprzonego wojska!

Odchylił się w tył, zwiesił ręce przez skórzaną poręczę fotela i poruszając głową z boku na bok powtarzał to do siebie z pasją.

Prew wstał czując, jak w nim pulsuje rozpetany alkohol; pragnął rozwalić coś, co zatrzymałoby obroty zębatych kółek przybliżających jutro i apel poranny o szóstej. Te samoczynnie nakręcające się sprężyny. Rozejrzał się mętnym wzrokiem. Nie było nic do rozwalenia.

– Słuchaj – powiedział wymierzając palec w masywne, białe ciało Tommy'ego. – Jesteś cholerny pedryl. Jakiś do tego doszedł? Co z ciebie zrobiło pedryla?

Ciemne oczy Tommy'ego, które za swymi fioletowymi kręgami zdawały się nie móc

nigdy skupić na niczym, wpatrzyły się teraz w niego nabierając coraz silniejszego blasku.

– Zawsze byłem taki – odparł Tommy. – Taki się urodziłem.

– Lubisz o tym gadać, co? – wyszczerzył zęby Prew. Czuł za plecami milczenie Hala i Maggia i wiedział, że go obserwują.

– Nie – odrzekł Tommy. – Nie cierpię o tym mówić. To tragedia urodzić się takim.

Uśmiechał się teraz oddychając szybko, uśmiechał się z przymusem, jak poskromiony pies, kiedy go głaszczą.

– Czy mnie za to nienawidzisz?

– Nie – odparł Prew pogardliwie. – Dlaczego miałbym cię nienawidzić?

– Kiedy tak jest. Gardzisz mną. No, prawda? Prawda? Uważasz, że jestem zły.

– Nie. To ty uważasz, że jesteś zły. Tak mi się wydaje. Ja tego nie myślę. Ja myślę, że lubisz robić wszystko, co, twoim zdaniem, jest złe, a im gorsze, tym lepiej, tym bardziej ci się to podoba. Jeżeli na tym polega odwaga – dokończył cicho stłumionym głosem – może ją i masz, bracie. Jeżeli to jest odwaga.

– Hej! – ryknął nagle Angelo. – Ja mam odwagę. Do cholery i trochę odwagi. Jestem wolny i mam odwagę. Ile chceć. Za półtora dolara w każdym sklepie z napojami alkoholowymi.

Wygramolił się z trudem z fotela i ruszył bezładnymi zygzakami do drzwi.

– Gdzie idziesz, Toni? – zapytał Hal. Zapomniał o wszystkim.

– Proszę cię, wróć się, Toni. Proszę cię, wróć tutaj, mówię. W takim stanie nie możesz się wałęsać po mieście.

– Idę na pieprzony spacer! – wrzasnął Angelo. – Potrzeba mi trochę pieprzonego powietrza.

Wyszedł i trzasnął drzwiami siatkowymi. Usłyszeli, jak kłapie bosymi stopami po zewnętrznych schodach. Potem rozległ się głośny łomot upadającego człowieka i serdeczne przekleństwa, którymi Angelo obrzucał drzewo banianowe. A później wszystko ucichło.

– O mój Boże – powiedział Hal. – Ktoś musi go zatrzymać. Trzeba coś zrobić. Przecież go capną, jak będzie wędrował w tym stanie.

– To rób coś – odparł Prew. – On jest twój chłopczyk, nie?

– Idź za nim, Prew – poprosił Hal. – Dobrze? Chyba nie chcesz, żeby go złapali? To twój przyjaciel, nie?

– Ale nie mój chłopczyk – odrzekł Prew. – Ty idź po niego. – Zaczął się lekko uśmiechać i siadł ciężko na kanapie, podskakując nieco z pijacką determinacją.

– Ale ja nie mogę! – zawołał Hal. – Naprawdę nie mogę. Poszedłbym za nim, gdybym mógł. Przecież jeżeli go złapią tak pijanego, może nam ściągnąć na kark policję.

– Niech ściąga – wyszczerzył zęby Prew. Czuł, że twarz ma drętwą od alkoholu, a gdzieś w głowie dźwięczał mu dzwon. Był bardzo pijany i nagle bardzo szczęśliwy.

– Och, to niemożliwe – mówił Hal załamując ręce. – Oni nas wszystkich znają z meldunków. I tylko czekają na coś takiego, żeby wytoczyć nam sprawę.

– To przykre – powiedział Prew z satysfakcją. – Ale nic się nie martw. Ty masz odwagę.

Obserwował Tommy'ego, który wstał z fotela i zaczął się ubierać.

– Gdzie idziesz? – zapytał Hal ostro.

– Do domu – odrzekł z godnością Tommy. – Natychmiast.

– Słuchaj, Prew – powiedział Hal. – Poszedłbym po niego. Naprawdę. Ty nie wiesz, czym dla mnie jest ten mały człowieczek. Ale gdybym się dostał w ich ręce, byłbym skończony. A jakby mnie bodaj zobaczyli z nim w takim stanie, od razu by mnie capnęli, bo tylko czyhają, żeby mnie dopaść. Zostałbym wyrzucony z posady nauczyciela, wyrzucony stąd w ogóle. – Gestem pokazał pokój. – Wyrzucony z mojego domu.

– A ja myślałem, że o tobie wiedzą – rzekł Prew.

– Wiedzą. Och, wierz mi, wiedzą. Ale być zatrzymanym przez policję i później mieć sprawę o zgorszenie publiczne, to całkiem co innego. Nikt by się za mną nie ujął, jakby policja wzięła to w swoje ręce.

– Ano, nie – odparł Prew. – Chyba nie. Ciężkie jest życie, co?

– Proszę cię, idź po niego – błagał Hal. – Patrz. Klękam przed tobą i proszę cię o to. Spójrz. Widzisz? No, proszę cię. Błagam. To przecież twój przyjaciel.

Prew zaczął wkładać skarpetki i buty. Nie mógł dać sobie rady ze sznurowadłem i Hal, na klęczkach, usiłował mu je zawiązać. Prew trzepnął go po ręce i zawiązał sam.

– Nie jesteś zanadto pijany, co? – spytał Hal.

– Nie, nie jestem – odpowiedział. – Nigdy nie jestem zanadto pijany.

– Dogonisz go, prawda, Prew? A jakby was złapali, nie ściągniesz ich tutaj?

– Tam, skąd pochodzę, samo takie pytanie świadczy o złym wychowaniu. Uznaje się to za pewnik. – Wstał i rozejrzał się, szukając swojej hawajskiej koszuli.

– Do widzenia, bardzo mi było miło – powiedział Tommy od drzwi. – Zobaczymy się niedługo, Hal. A mam nadzieję, że i my się kiedyś spotkamy, Prew – rzekł. Wyszedł i trzasnął drzwiami.

Prew siadł z powrotem na kanapie i zaczął się śmiać.

– Uprzejmy gość, co? – powiedział do Hala.

– Proszę cię, idź, Prew – rzekł Hal. – Błagam cię, nie trać czasu. Toni jest tak pijany, że nie wie, co robi. Odwieź go do koszar i połóż do łóżka.

– Ma tutaj swoje ubranie.

– To weź je z sobą. – Hal zaczął zbierać części ubrania Maggia. – Jeśli go tu sprowadzisz, może wyniknąć awantura, bo jest taki pijany.

– Dobra – rzekł Prew. – Tylko nie mam pieniędzy na taksówkę. Hal pobiegł do sypialni po portfel.

– Proszę – powiedział wracając. – Masz tu pięć dolarów. Chyba wystarczy na dojazd do miasta i taksówką do koszar?

– No, nie wiem – wyszczerzył zęby Prew. – Rozumiesz, już za późno na autobus. Będziemy musieli wziąć taksówkę do miasta.

– To masz dziesięć.

– Hm – odrzekł Prew i smętnie potrząsnął głową. – Widzisz, zdaje mi się, że taksówki ze Schofield przestają kursować o drugiej. A już jest prawie druga.

– W dzień wypłaty? – zapytał Hal.

– Jasne – uśmiechnął się Prew. – Każdego dnia.

– No dobrze – powiedział Hal. – Więc masz tu dwadzieścia. Proszę cię, spiesz się, Prew.

Prew z wolna, niechętnie potrząsnął głową.

– Z Angelem jest ten kłopot, że jak się tylko upije, zaraz chce iść na dziwki. Jeżeli tego nie dostanie, wścieka się i zaczyna awanturować się. Właśnie dlatego zwykle podpada.

– Dobrze – powiedział Hal. – Masz trzydzieści.

– Słuchaj – uśmiechnął się Prew. – Strasznie mi nieprzyjemnie brać od ciebie pieniądze. Może je schowaj. Jakoś go dostarczę do koszar.

– Cholera jasna – zawołał Hal. – Masz czterdzieści. Cztery dziesiątki. To cała gotówka, jaką mam. Ale musisz się pośpieszyć. Och, błagam cię, pospiesz się, Prew.

– Ano, myślę, że to nam wystarczy na powrót – rzekł Prew. Wziął pieniądze i wolno ruszył do drzwi.

– Nie jesteś zanadto pijany, co? – spytał Hal z niepokojem.

– Nigdy zanadto. Żeby zrobić to, co mam do zrobienia. Ja też nie chcę, żeby go capnęli, tak samo jak ty. Tylko z innych powodów.

Hal pomachał ręką w stronę drzwi.

– Przyjdź jeszcze do mnie – powiedział. – Wpadnij kiedyś, jak nie będzie Toniego. Nie musisz czekać, żeby cię przyprowadził. Masz stałe zaproszenie.

– O, dziękuję, Hal – rzekł Prew. – Możliwe, że to zrobię. Zawsze lubię obcować z ludźmi, którzy mają odwagę bronić swoich przekonań.

Na rogu obejrzał się. Drzwi domku już były zamknięte, a światła pogaszone.

Uśmiechnął się pijacko. W kieszeni wyczuwał pod dłonią szeleszczące, przyjemne w dotyku cztery dziesiątki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Ulica miała już teraz w całej pełni ów późnonocny, opustoszały wygląd. Przyczyniały się do tego wygaszone, milczące domy oraz uliczne latarnie.

Nigdzie nie było śladu Angela ani Tommy'ego. Do diabła z Tommym. Chodziło o Angela. Nie sposób było odgadnąć, gdzie polazł ten mały pijaczyna. Mógł zawrócić w stronę Kalakaua. Ale też równie dobrze mógł udać się w drugą stronę, żeby sobie popływać w kanale Ala Wai. Prew wetknął pod pachę papierową torbę z ubraniami i butami Angela – szelest papieru rozległ się głośno wśród cichej, pogodnej nocy – i sięgnął do kieszeni po monetę. Monety nie było, tylko cztery dziesiątki Hala. Prew uśmiechnął się, podszedł wesoło do rynsztoka i świecąc sobie zapalkami wyszukał płaski kamyk.

Teraz nie było już pośpiechu, wszystko zależało od losu. Nie wiadomo, gdzie Maggio mógł pójść. Prewa przepełniał spokojny, pijacki fatalizm. Gdzieś tutaj żandarmi polowali parami jak jastrzębie, a mogło upłynąć kilka godzin, zanimby go odnalazł.

Wytarł kamyk z pijacką starannością, niespiesznie, spokojnie, rozkoszując się ciszą, zwilżył go śliną z jednej strony i wyrzucił w powietrze jak monetę. „Tak samo, jak kiedy byłeś dzieciakiem” – pomyślał.

Psiakrew, ten mały drań mógł nawet wrócić do Hala. Hal wpuściłby go oczywiście. W takim razie Prewitt szukałby Angela, podczas gdy ten siedziałby bezpiecznie u Hala.

Zwilżona strona kamyka oznaczała Kalakaua. Sucha zaś kanał. Odnalazł z zapalką kamyk w ciemnościach. Leżał zwilżoną stroną do góry.

Dobra.

Skręcił w lewo na główną ulicę, z powrotem ku „Tawernie”, czując się jak myśliwy w lesie. Pod długimi blokami szerokiej, lekko skręcającej ulicy nie było żadnego ruchu. Szyny tramwajowe odbiegały w dal. Co druga latarnia była zgaszona. Ani samochodów, ani autobusów, ani ludzi – żadnego życia. Jego kroki rozlegały się bardzo donośnie. Zszedł z chodnika i ruszył dalej po trawie.

Raz przystanął, aby posłuchać, ale przypomniał sobie, że Angelo jest boso. I w kąpielowych spodenkach, ni mniej, ni więcej.

Tutejsi żandarmi byli to twardzi goście. Pochodzili z Shafter i z kwatery głównej. Wszystko wielkie draby, jak tamci z Schofield, zawsze po dwóch, stąpający ciężko w żołnierskich butach i obcisłych bielonych getrach. W Schofield kompania żandarmerii, która miała pod sobą bazę i Wahiawę, i tę drogę pod podwójną kolumnadą wysokich drzew obok zbiornika wody, składała się z równie wysokich i twardych chłopów, ale Prew znalazł kilku z

nich. Dlatego wydawali mu się jacyś bardziej ludzcy. Z paroma przyplłynął tutaj z kraju, wtedy byli to bardzo porządni goście, póki nie nałożyli tych swoich bielonych getrów. Gdyby mu się coś przydarzyło w Schofield, miałby ze sześćdziesiąt procent szans, że trafi na jakiegoś znajomego, któremu zdoła wyperswadować, żeby dał mu spokój. Tutaj nie znał nikogo. A Angelo lata pijany, boso i w spodenkach kąpielowych! Wybuchnął gromkim śmiechem. Hałaśliwość własnego głosu sprawiła, że zamilkł.

Przeszukał starannie ulicę Kalakaua zatrzymując się po drodze, by zajrzeć do ciemnych ogródków, popatrzeć na ławki i pod ławki stojące przy skrzyżowaniach. „Człowieku, masz szczęście, że nie jesteś wysoki. Mógłbyś sam teraz być takim cholernym żandarmem.” Szef żandarmerii wojskowej nie przyjmował do wiadomości odmownej odpowiedzi, gdy ich oglądał schodzących po trapie ze statku. Kiedy sobie wybrał najwyższych na własność, byli już jego, i kropka. Prew pamiętał jednego takiego dryblasza, sześć stóp cztery cale wzrostu, którego wywołano z szeregu tuż przed nim. Uratowało go tylko to, że był w korpusie wojsk lotniczych, a szef żandarmerii dostał za to porządnego naganiają.

Szukał, rzekłbyś, przez całą wieczność, spodziewając się każdej chwili, że pochwycą go od tyłu ręce w opaskach. A gdyby się tak stało, byłoby po krzyku, i już. Ci faceci wiedzieli, jak człowieka obrobić, a nie musieli ukrywać śladów tak jak cywilne gliny. Minął Lewers Street rozglądając się w obie strony. A potem, kiedy mijał Royal Hawaiian Street, zobaczy! – albo tak mu się tylko wydało – jakiś cień sunący cicho przed nim. Przeszedł przez Kalakaua i zaczął się podkradać skrajem parku hotelowego. Kiedy dotarł do Seaside Street, gdzie od Kalakaua odchodziła aleja podjazdowa wiodąca do hotelu „Royal Hawaiian”, ujrzał jakąś postać w spodenkach kąpielowych, siedzącą spokojnie na ławce przy trotuarze, naprzeciw parku hotelowego.

– Maggio! – zawołał.

Postać ani drgnęła.

Zbliżył się do krawężnika nie spuszczać oka z ławki, jak gdyby była widzianym poprzez liście jeleniem, którego podchodził; skradał się obok wysokich, gładkich białych palm królewskich i soczyście zielonej, teraz czarnej gęstwiny roślin i krzewów sięgających nieomal aż po sam trotuar.

O kilka stóp za ławką stała latarnia. Rozpoznał Angela. Odetchnął. – Szlag by cię trafił, Maggio – powiedział.

Własny głos wydał mu się niesamowity. Postać nie poruszyła rękami rozłożonymi wzdłuż wierzchu oparcia ławki ani kędzierzawą głową odrzuconą do tyłu.

– To ty, Angelo? Obudź się, do cholery. Odpowiedz, draniu jeden. Postać siedziała

bez ruchu. Prew zatrzymał się przed ławką i popatrzał na

Maggia uśmiechając się nagle, czując dokoła siebie tę cichą noc, wyczuwając raptem obecność bogactwa, dostatku i komfortu, które sączyły się poprzez zasłonę krzewów z hotelu „Royal Hawaiian”.

Tutaj mieszkają gwiazdy filmowe, gdy przyjeżdżają na Hawaje dla wypoczynku i rozrywki. Wszystkie gwiazdy. „To mogłoby być przyjemne” – pomyślał. Nie był nigdy w środku, ale przechodził plażą obok „Royalu” i widział je w *patio*. „Przyjemnie by było – myślał – gdyby w tej chwili wyszła jakaś gwiazda filmowa, zobaczyła mnie tutaj i zaprosiła do swego pokoju. Może akurat wracałaby z nocnej kąpielii w morzu, miałyby jeszcze na ciele kropelki wody i zdejmowałaby czepek kąpielowy z długich, rozsypujących się włosów, podnosząc wysoko ramiona.”

Nagle oderwał wzrok od Maggia i popatrzał w ciemną aleję podjazdu, gdzie majaczyło nikiłe światło; był pewien, że zobaczy tę wychodzącą kobietę, wiedział to z całą pewnością – że teraz wyjdzie szukając mężczyzny i znajdzie go tu pod ręką. Mówiono, że one stale to robią. Ni stąd, ni zowąd poczuł we wnętrzościach jakiś ogromny ból, nieomal skurcz, i pomyślał o Lorene w „New Congress”. Stał wpatrując się w pusty podjazd. Cóż to za sposób zarabiania na życie!

– No, jazda. Obudź się, ty cholerny makaroniarzu. Obudź się i chodźmy do miasta na dziwki.

– Bardzo przepraszam, panie poruczniku – powiedział Angelo nie otwierając oczu i nie ruszając się z miejsca. – Już więcej nie będę. Tylko niech pan porucznik mnie nie zamyka. I nie każe mi zaciągnąć się nadterminowe. Naprawdę już nie będę.

Prew pochylił się i potrząsnął go za nagie, kościste ramię.

– No, obudźże się.

– Ja nie śpię. Tylko nie chce mi się ruszać. I nie chce mi się wracać.

– Musimy wrócić.

– Wiem. Ale może jakbyśmy tu posiedzieli dość długo, wyjdzie stamtąd jakaś gwiazda filmowa, przygada nas sobie, zawiezie do Stanów własnym samolotem i posadzi przy swoim prywatnym basenie pływackim. Nie myślisz? Może gdybyśmy tu posiedzieli naprawdę spokojnie i nie ruszali się wcale, tylko tyle, żeby oddychać, i nie otwierali oczu, to jakbyśmy je otworzyli, nie byłoby tego wszystkiego. Ani ulicy, ani ławki, ani przepustki, ani rannego apelu.

– Jezus kochany! – parsknął Prew. – Gwiazdy filmowe ni mniej, ni więcej. Rany boskie, ale ty jesteś zalany! No, chodź. Obudź się. Mam twoje ubranie.

– Nie chcę ubrania – odparł Angelo.

– W każdym razie mam.

– To je oddaj Indianom. Indianie potrzebują ubrania. Noszą tylko przepaski. Czy ja dobrze słyszałem, że mówiłeś coś o dziwkach? – Angelo otworzył oczy i obrócił głowę patrząc pytająco.

– Jasne. Zrobiłem twojego chłopczyka na czterdzieści dolarów. Miał pietra, że cię capną i że mu ściągniesz władzę na kark. Wysłał mnie, żebym cię znalazł i odwiózł do domu.

– Cholera – powiedział Angelo. Dźwignął się i mocno potarł twarz dłońmi. – Nie jestem pijany, przyjacielu. – Przerwał. – Psiakrew, bracie, widzę, że nie potrzebujesz moich pouczeń. Nigdy mi się nie udało wycisnąć z niego więcej niż dwadzieścia dwa pięćdziesiąt. I to jeszcze miałem mu zwrócić. Ale ucho.

Prew roześmiał się.

– Nie dostałbym tej forsy, gdyby nie był taki spietrany, że aż fajdał w portki.

– Naprawdę się sfajdał?

– Nie.

– Widzisz, Prew? Nie jestem pijany. Zrobiłem z was balonów. – Wstał i natychmiast zatoczył się na latarnię. Uchwycił się jej oburącz, żeby nie upaść. – Widzisz?

– Nie. Nie jesteś pijany.

– Nie jestem. Tylko się potknąłem o tę szparę. – Podciągnął się w górę, wyprostował i ostrożnie puścił latarnię.

– Hooops! – ryknął z głębi płuc, odrzucając w tył głowę. – Ja to pierdołę! ZACIĄGNĘ SIĘ NADTERMINOWO!

– Zamknij się, do cholery – zawołał Prew. Przyskoczył szybko i złapał go za pasek spodenek, w chwili gdy Maggio zaczynał się przewracać na płask do tyłu, straciwszy równowagę na skutek odrzucenia w tył głowy. – Chcesz nam ściągnąć na łeb tych cholernych żandarmów?

– Żandarmy! Żandarmy! – wrzasnął Angelo. – CHODŹCIE PO NAS, CZEKAMY!

– Ty idioto! – Prew puścił nagle spodniki i Angelo runął jak długi na chodnik, nawet nie ruszywszy ręką, by się czegoś przytrzymać.

– Patrz, Prew. Jestem zastrzelony. Zabity. Biedny poległy żołnierz, ani jednego przyjaciela na całym pieprzonym świecie. Chłopcy, odeślijcie medal matce, może go gdzieś zastawi.

– Wstań – roześmiał się Prew. – Jazda! Wynośmy się stąd.

– Dobra. – Angelo pozbierał się z ziemi przytrzymując się ławki. – Jak myślisz, Prew, prędko przystąpimy do wojny?

– Może wcale.

– A właśnie że przystąpimy.

– Wiem.

– Nie musisz mnie protegować – powiedział Angelo małpując głęboki, basowo-kobięcy głos Tommy'ego. Roześmiał się. – Chciałbym wypić coś przyzwoitego, to są zupełnie pomyje – dodał naśladowując precyzyjną wymowę Hala. – Cholera z tym. Chodź – rzekł. – Jedziemy do miasta.

– Będziemy musieli zawołać taksówkę, ale najpierw trzeba cię wbić w to ubranie.

– Okej, Prew. Co rozkażesz, Prew.

Angelo chwycił spodenki, jednym szarpnięciem ściągnął je aż po kolana i zaczął się z nich wydobywać. Noga mu się zaplątała i znowu runął na ziemię.

– Kto mi przypalantował? – zawołał. – Kto mnie uderzył? Puśćcie mnie do tego drania.

– Cholera jasna – rzekł Prew. Złapał go pod pachy i odciągnął ze światła w krzaki.

– Uważaj, Prew, psiakrew – zaprotestował Angelo. – Obdrapujesz mi tyłek po tym żwirze.

– Będziesz miał obdrapane coś gorszego, jeżeli nie wskoczysz w to ubranie i nie przyśniesz stąd... Słuchaj... – powiedział.

Obaj powstrzymali oddech i nastawili uszu, a Angelo nagle zupełnie wytrzeźwiało. Gdzieś z głębi ulicy doleciało ciężkie stąpanie żołnierskich butów. Nie biegły, ale i nie szły powoli. Ich stukotowi towarzyszyły głosy, a potem rozległo się brzęknięcie pałki o latarnię.

– Psiakrew – powiedział jeden głos. – Uważaj, na rany boskie.

– Dobra, dobra – odrzekł drugi. – Ja też bym chciał kogoś zaaresztować. I także dostać stopień kaprała.

– No to się zamknij i chodź.

Nocą chodzili parami, stąpając ciężko, z cichym skrzypieniem getrów, z kołyszącymi się bezgłośnie pałkami – wszędzie tam, gdzie byli żołnierze. A atmosfera strachu, którą ze sobą nieśli, poprzedzała ich zawsze, kroczyli jak samo Prawo i byli wściekli widząc, że inni się od nich odwracają. Chodzili parami wszędzie tam, gdzie żołnierze pili, żeby zapomnieć, gdzie wrzeszczeli, żeby zapomnieć, bili się z sobą, żeby zapomnieć, albo wpychali ręce w kieszenie, żeby pamiętać. „Żołnierzom nie wolno zapominać – mówił. – Żołnierzom nie wolno pamiętać; wszystko to jest zdradą.”

– No, toś nas wrobił – powiedział Prew. – Chodź, tędy. Zjeżdżamy.

– Przepraszam, Prew.

Angelo ruszył za nim potulnie, już trzeźwy i zawstydzony, że narobił biedy; pognali skrajem szerokiego podjazdu, wiodącego do miejsca wypoczynku gwiazd filmowych, potem

na zachód przez park hotelowy i minąwszy restaurację „Willard Inn”, przeznaczoną dla oficerów, przebiegli bez tchu krzakami aż do Kalia Road w pobliżu plaży i do rozłożystego, sztywnego hotelu „Halekulani”, który był tak sztywny, że większość turystów nigdy o nim nie słyszała, i stał nad brzegiem, gdzie fale przyboju szumiały łagodnie na piasku.

– No – powiedział Prew. – Ściągaj te spodenki i wskakuj w ubranie.

– Dobra. Daj torbę. A co mam z nimi zrobić, staruszk?

– Nie wiem, psiarew. Dawaj je mnie. Słuchaj, Angelo, czyś ty już na pewno wytrzymał? Ci goście będą czekali na Kalakaua. Jeden może próbować obejść przez Lewers i wycisnąć nas na Kalia Road. Ale najlepiej nam dojść przez Kalia aż do Fortu Derussey i stamtąd walić dalej, omijając bazę. Słuchajże mnie, do cholery!

Maggio popatrzał na niego i wtedy Prew spostrzegł, że łzy ściekają mu po policzkach.

– Och, ja to pieprzę! – powiedział Angelo. – Żeby uciekać jak jakiś cholerny kryminalista! Mam tego dosyć. Człowiek boi się pierdnąć, żeby jakiś żandarm nie usłyszał. Mam tego wyżej nosa. Nie zgadzam się, słyszysz? Nie zgadzam się, mówię.

– Dobra, dobra – odrzekł Prew. – Spokojnie, Angelo. Chyba nie chcesz, żeby cię przyhaczyli. Jeszcze jesteś pijany.

– Pewnie, że jestem pijany. Jasne, że tak. A bo co? Nie wolno człowiekowi popić? Nic mu nie wolno? Nie wolno nawet wsadzić ręk w kieszenie na tej cholernej ulicy? Dlaczego nie mają mnie przyhaczyć? Już lepiej siedzieć w pierdłu, zamiast wciąż sterczeć na zewnątrz, zaglądać tylko do środka i nigdy nie móc wejść przez te szklane drzwi, jak dzieciak przed sklepem z cukierkami. Niech mnie łapią. Nie jestem tchórz, nie będę przed takimi uciekał. Nie mam pietra. Nie jestem tchórz. Ani włóczęga. Ani żadna szumowina.

– Dobra, dobra, dobra. Tylko spokojnie. Za chwilę wszystko będzie w porządku.

– W porządku? Już nigdy nie będę w porządku. Dla ciebie to jest w porządku, bo ty jesteś trzydziestoroczny. Ja nie. Ja mam ich w dupie, rozumiesz? Gówno mnie obchodzi. Mam-tego-wyżej-nosa.

– Odetchnij głęboko, bracie. Uspokój się i oddychaj naprawdę głęboko. Ja zaraz wrócę, tylko zadołuję te spodenki.

Zeszedł nad wodę, która pluskała cicho, przepływając, łamiąc się pianą i cofając na powrót. Cisnął spodenki w wodę i zawrócił ku miejscu, gdzie zostawił chłopaka z Brooklynu.

– Hej – zawołał cicho. – Angelo! Gdzie jesteś, bracie?

A kiedy nie było odpowiedzi, obrócił się i zaczął biec ulicą ku światłu, gnając ostro i lekko na palcach.

Kiedy dotarł do skraju kręgu światła latarni, zatrzymał się i odskoczył z trotuaru w cień.

U krawężnika na rogu, w tymże kręgu światła latarni, mały Maggio bił się z dwoma ogromnymi żandarmami z Shafter.

Jednego obalił na ziemię i przywarł jak krab do jego pleców, okładając go ile tchu w piersiach po głowie wciśniętej między ramiona. Kiedy Prew patrzył, drugi żandarm trzasnął Maggia pałką w łeb i ściągnął go z pleców kolegi. Zamachnął się powtórnie, a Maggio osłonił sobie głowę rękami, pałka grzmociła go po palcach i czaszce, i Maggio osunął się na ziemię. Podczołgał się na czworakach, już teraz powoli, chcąc złapać żandarma za nogi, ale ten uderzył go znowu.

– No, dalej – powiedział Maggio. – Uderz mnie jeszcze raz, ty skurwysynu.

Pierwszy żandarm pozbierał się z ziemi, podbiegł i także zaczął okładać go pałką.

– Jasne – odezwał się Maggio. – Chodźcie obaj. Takie wielkie draby i tylko tyle potraficie? Bijcie mnie. Dalej go. Chyba umiecie lepiej.

Próbował się dźwignąć, ale pałki zwały go z powrotem na ziemię. Wtedy Prew wysunął się na chodnik, w światło, i już biegł na nich, biegł lekko, wyliczając sobie dystans i kroki przed skokiem.

– Wróć się! – ryknął Maggio. – Ja to załatwię. Nie twoja rzecz. Nie potrzebuję pomocy.

Jeden z żandarmów obejrzał się i ruszył ku Prewowi. Maggio podpełznął po ziemi jak krab i złapał go za nogi. Żandarm upadł, Maggio wskoczył mu na plecy i zaczął grzmocić jego głową o chodnik, wyrzucając z siebie w takt uderzeń słowa, na które brakło mu tchu.

– Tak. Wy, zgrywusy. Z tymi waszymi pałkami. Co jest? Nie możesz wytrzymać? Ale napadać to umiesz, co?

– No już, zjeżdżaj! – wrzasnął do Prewa. – Słyszysz? Nie mieszaj się do tego.

Leżący żandarm dźwignął się powoli, z Maggiem siedzącym mu na grzbiecie i walącym go pięściami po głowie, wygiął plecy w łuk i zrzucił tego szatana niczym koń jeźdźca.

– Uciekaj! – ryknął Maggio. Wylądował na czworakach i zerwał się. – Spieprzaj! To nie twoja sprawa.

Drugi żandarm stojąc, złapał się za pistolet. Ruszył na Prewa wyszarpując broń z kabury. Prew zawrócił i prysnął ulicą ze światła w krzaki. Przez ramię dojrzał pistolet żandarma wymierzony w swoje plecy. Dobiegłszy do krzaków rzucił się na ziemię i zaczął się czołgać jak żołnierz pod ogniem.

– Schowaj tę spluwę! – krzyknął drugi żandarm. – Coś ty? Strzelisz w tę stronę, zabijesz jakąś gwiazdę filmową i obaj wpadniemy jak śliwka w gówno.

– Pewnie – zawołał Maggio wymierzając mu cios. – Ty byku. W samo gówno.

– Chodźże tu pomóc mi z tym wariatem – wysapał żandarm.

– Kiedy ten drugi ucieknie.

– Niech tam. Pomóż mi go przytrzymać, bo także zwieje.

– O, nie – wysapał Maggio. – Nie ten. Ten nie ucieknie. Na pewno. Chodź tu. A przy okazji zawołaj jeszcze drugi patrol. Myślicie, że we dwóch dacie radę?

Prewitt leżał w krzakach dysząc ciężko. Nie widział ich, ale słyszał wszystko.

– Pewnie – usłyszał. – Chodź tu. Uderz mnie jeszcze raz. Wal. Nawet nie potraficie mnie znokautować. No, nokautujcie. Albo dajcie mi wstać. Pieprzone dranie. Jazda. Tylko tyle umiecie? Próbujcie.

Prew leżał słysząc ciosy pałek, głuche, rozlegające się przenikliwym łomotem. Nie było już słychać uderzeń pięści.

– Wracaj do koszar! – wrzasnął Maggio. – Ja wiem, co robię. Wracaj! Słyszysz? – Głos miał zdławiony. – No, dalej. Dajcie mi wstać. Jazda. Pewnie żrecie płatki owsiane, co?

Po chwili głos zamilkł, ale łomot razów nie ucichał. Prewitt leżał i słuchał go, kiedy głos już się przestał odzywać. Zauważył, że bolą go dłonie, spojrzał na nie i rozwarł zaciśnięte pięści. Czekał, dopóki odgłos ciosów nie ustał.

– Chcesz, żebym poszedł po tamtego, Jack? – usłyszał sapanie.

– Nie, on już zwiął. Zabierzmy tego.

– Za ten numer powinienesz dostać sierżanta. Ciekawe, co się stało temu gościowi. Jakiś cholerny wariat.

– Bo ja wiem – odrzekł drugi. – No, chodźmy zadzwonić.

– To parszywa robota, wiesz?

– Ja jej nie chciałem. A tyś chciał? Chodź, idziemy zadzwonić po wóz. Prew ruszył z powrotem ku plaży i Kalia Road, która prowadziła do

Derussey; szedł pochylony, nie wysuwając się z zarośli. Kiedy dotarł do plaży, usiadł na chwilę na piasku słuchając szumu wody. I wtedy zauważył, że płacze.

A potem przypomniał sobie czterdzieści dolarów, które miał w kieszeni.

KSIĘGA CZWARTA
OBÓZ KARNY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Przetrzymano Angela Maggio trzy dni w koszarach żandarmerii wojskowej w Shafter. Następnie odesłano go pod strażą do Schofield. Z Shafter przewieziono go prosto do Obozu Karnego. Jadąc do Obozu minął po drodze koszary swojej kompanii. Osadzono go w Obozie jako podejrzanego i tam oczekiwał rozprawy. Pracował szesnastofuntowym młotem w kamieniołomach przy przełęczy Kolekole. Czekał w Obozie sześć tygodni na rozprawę.

Starszy sierżant Milton A. Warden przygotował akta Angela Maggio. Zamierzano zastosować surowy wymiar kary wobec Angela Maggio. Oskarżenie wnosił dowódca żandarmerii wojskowej. Zarzucano Maggiowi zakłócenie w stanie nietrzeźwym porządku publicznego, opór władzy, niesubordynację, niewykonanie rozkazu i pobicie podoficera w czasie pełnienia przezeń służby. Oskarżono go również o zachowanie niegodne żołnierza. Dowódca żandarmerii zalecał specjalny sąd wojskowy. Najwyższą karą wymierzaną przez specjalny sąd wojskowy było sześć miesięcy ciężkich robót oraz wstrzymanie żołdu i wszelkich poborów na taki sam okres.

W pułku krążyły pogłoski, jakoby sierżant-szef pułkowy Pheneas T. O'Bannon wspominał poufnie starszemu sierżantowi Wardenowi, iż gdyby dowódca żandarmerii mógł udowodnić, że Angelo Maggio ciężko kogoś poturbował albo samowolnie oddalił się z jednostki, dowódca żandarmerii zaleciłby najwyższy sąd wojskowy. Najwyższy sąd wojskowy jest jedynym sądem władnym rozpatrywać poważniejsze przestępstwa. Najwyższym wymiarem kary w tym sądzie jest dożywotnie więzienie lub kara śmierci. Takie wyroki zapadają nieczęsto. Najwyższym wymiarem kary w sądzie polowym jest miesiąc aresztu oraz wstrzymanie dwóch trzecich żołdu i wszelkich poborów. W sprawie wytoczonej przez Armię Stanów Zjednoczonych szeregowcowi Angelo Maggio nie brano w ogóle pod uwagę sądu polowego.

Odczekawszy owe sześć tygodni, których wymagało wykonanie różnorakiej roboty papierkowej, niezbędnej dla ochrony oskarżonego, Angelo Maggio został doprowadzony pod strażą do budynku dowództwa pułku na rozprawę. Sąd składał się z trzech oficerów, z których jeden studiował kiedyś prawo i reprezentował wiedzę prawniczą. Był także obecny obrońca, który przedstawił się Angelowi Maggio. Dowódca żandarmerii wojskowej, pełny pułkownik, nie zjawił się na rozprawie, ale jego przedstawiciel major, przybył, ażeby wnieść oskarżenie. Stawili się też trzej świadkowie: sierżant (przedtem kapral) John C. Archer i starszy szeregowiec Thomas D. James, członkowie patrolu kompanii żandarmerii z Fortu Shafter, oraz starszy szeregowiec George B. Stuart, kancelista kompanii żandarmerii z Fortu Shafter.

Przed rozprawą sąd wyjaśnił Angelowi Maggio, że oprócz praw, które miałyby zapewnione przed sądem cywilnym, korzysta również z następujących przywilejów:

a) Przed rozprawą ma prawo przedłożyć dowody, przeprowadzić konfrontację oraz zadawać krzyżowe pytania świadkom celem wykazania swojej niewinności bądź też zmniejszenia winy.

b) Wybrano taki tryb rozprawy, który zapewniłby mu najniższy, a nie najwyższy wymiar kary przewidziany przez dyscyplinarne przepisy wojskowe.

c) Został mu przydzielony obrońca, bez ponoszenia jakichkolwiek kosztów.

d) Podczas rozprawy ma prawo złożyć nie zaprzysiężone oświadczenie i nie poddawać się przesłuchaniu przez strony.

e) Poprzednie skazania nie będą brane pod uwagę przy ustalaniu jego winy.

f) Otrzyma maszynopis protokołu rozprawy.

g) Będzie miał automatycznie prawo odwołania się od orzeczenia sądu do instancji apelacyjnej przed uprawomocnieniem się wyroku.

h) W trzy miesiące po osadzeniu go w koszarach dyscyplinarnych bądź w obozie karnym sprawa jego zostanie ponownie rozpatrzona przez instancję apelacyjną celem zastosowania łaski.

i) W każdej chwili podczas odbywania kary może dzięki odpowiedniemu sprawowaniu, postawie i pilności zostać przywrócony do służby żołnierskiej oraz odzyskać wynikające z tego korzyści i przywileje.

Przewodniczący sądu wyjaśnił następnie Angelowi Maggio, że ma prawo zeznawać na własną korzyść, i oświadczył, że nieskorzystanie z tego prawa nie będzie użyte przeciwko niemu. Zawiadomił go również, że jeśli sobie życzy, może złożyć nie zaprzysiężone oświadczenie i nie podlegać przesłuchaniu przez sąd.

Angelo Maggio oświadczył, że zrozumiał swoje prawa i że odmawia zeznań.

Następnie oskarżenie wezwało świadków zeznających przeciwko Angelowi Maggio i rozpoczął się przewód sądowy. Trwał minut czternaście. Angelo Maggio został uznany winnym popełnienia wszystkich zarzucanych mu czynów i skazany na sześć miesięcy osadzenia w Obozie Karnym w Schofield Barracks, Terytorium Hawajów, oraz wstrzymanie żołdu i wszelkich poborów na taki sam okres.

Przed ogłoszeniem wyroku przewodniczący sądu pouczył Angela Maggio, iż zważywszy, że armia bez dyscypliny staje się bandą bezwartościową w bitwie, przepisy ustalające podstawy wymiaru sprawiedliwości w wojsku zawarte są w Artykułach Wojennych, uchwalonych przez Kongres i opartych na postanowieniach Konstytucji, które to Artykuły są zasadniczo starsze od samej Konstytucji, ponieważ pierwsze Artykuły Wojenne

zostały opracowane przez komisję pod przewodnictwem Jerzego Waszyngtona i przyjęte przez Kongres Kontynentalny w roku 1775, na trzy dni przed objęciem przez Waszyngtona dowództwa nad Armią Kontynentalną; że od czasu do czasu Kongres wprowadzał do nich poprawki, których wymagały zmieniające się warunki i potrzeby, oraz że stanowią one kodeks prawny wygotowany przez władzę cywilną dla zarządzania wojskiem. A także, iż same Artykuły Wojenne przewidują, że żołnierzom winny być zapewnione wszelkie możliwości zaznajomienia się z podstawowymi przepisami kierującymi ich postępowaniem i że każdemu żołnierzowi w ciągu dni sześciu po jego wstąpieniu do wojska należy odczytać i wyjaśnić Artykuły Wojenne oraz powtarzać to raz na sześć miesięcy. Wreszcie, że to regularne odczytywanie i wyjaśnianie jest nakazane przez Kongres, ale że armia czyni dodatkowe kroki w celu dopilnowania, ażeby żołnierze zrozumieli prawo wojskowe, oraz że na dowodzącym oficerze spoczywa obowiązek dopatrzenia, ażeby żołnierz był w pełni poinformowany, zaś prawem żołnierza jest uzyskać owe informacje.

Angelo Maggio oświadczył, że rozumie swoje uprawnienia i że został należycie poinformowany.

Z kolei przewodniczący ogłosił wyrok oświadczając, że nabierze on mocy prawnej dopiero po rewizji i zatwierdzeniu.

Angelo Maggio został odprowadzony pod strażą z powrotem do Obozu Karnego, ażeby tam oczekiwać na rewizję wyroku. Pracował szesnastofuntowym młotem w kamieniołomach przy przełęczy Kolekole. Na rewizję wyroku czekał w Obozie osiem dni.

Wyrok został rozpatrzony przez podpułkownika Rutherforda B. H. Delberta, dowódcę pułku Angela Maggio, i zatwierdzony w całej rozciągłości. Pełny protokół rozprawy, wraz z opinią prokuratora wojskowego ze sztabu pułkownika Delberta oraz orzeczeniem pułkownika Delberta, został następnie przesłany na ręce generał-majora Andrewa J. Smitha, dowódcy brygady Angela Maggio. Tam przeanalizowali go doświadczeni prawnicy z biura prokuratora generalnego brygady, którzy zameldowali generałowi Smithowi, że istnieją dostateczne podstawy prawne do zatwierdzenia orzeczenia pułkownika Delberta. Z kolei generał Smith wydał orzeczenie specjalne, uznające Angela Maggio winnym wszystkich zarzucanych mu czynów i skazującego na sześć miesięcy osadzenia w Obozie Karnym w Schofield Barracks, Terytorium Hawajów, oraz wstrzymanie żołdu i wszelkich poborów na taki sam okres. Orzeczenie to zostało ogłoszone w całej brygadzie, w której służył Angelo Maggio, i wywieszane na tablicach we wszystkich kancelariach brygady.

Angelo Maggio otrzymał w Obozie maszynopis protokołu rozprawy oraz odpis orzeczenia specjalnego i zaczął odbywać karę. Pracował szesnastofuntowym młotem w kamieniołomach przy przełęczy Kolekole. Nie zaliczono mu sześciu tygodni oczekiwania na

sprawę ani ośmiu dni oczekiwania na zatwierdzenie wyroku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Coś zmieniło się w Prewitcie po jednoosobowej rewolucji Angela. Było to coś, czego nie zdołała dokonać nawet Obróbka wraz ze wszystkimi swoimi wymyślnościami. Coś w nim wygasło. Obróbka nie mogłaby nigdy tego zdławić. Rzekłbyś, czuł gdzieś głęboko w sobie kość trącą złowieszczo o kość. Przypominało to stępiony pilnik pocierający o kamień.

Pierwszego kwietnia, nazajutrz po owym katastrofalnym dniu wypłaty, starszy szeregowiec Blum, potencjalny bokser wagi średniej, nowo przydzielony starszy szeregowiec Malleaux, potencjalny bokser wagi piórkowej, oraz kilku innych starszych szeregowców, którzy też byli potencjalnymi bokserami, zostali odkomenderowani na kurs do szkoły pułkowej dla podoficerów. Szkoła ta mieściła się w namiotach, na jednym z dawnych, stałych betonowanych placów obozowych w pobliżu strzelnicy, gdzie pułki przebywały podczas okresu strzelania. Był to kurs ośmiotygodniowy.

Prewitt, potencjalny bokser wagi półśredniej, patrzył, jak pakowali się do odjazdu, i ni stąd, ni zowąd przypomniło mu się, jak niegdyś wierzył w słynne ludowe powiedzonko amerykańskie, że wszyscy makaroniarze mają albo śmiertelnego pietra, albo są najemnymi mordercami pracującymi dla gangsterów. Przypomniał sobie także, jak wygląda życie tam, gdzie oni się udawali. Był tam w poprzednim roku, z dwudziestym siódmym pułkiem, podczas okresu strzelania. Pamiętał namioty rozbite na betonowym podłożu, wystawanie w błocie z menażkami w ogonku po jedzenie, pamiętał czekanie w szeregu, w pikowanych puchem wiatrówkach, przerobionych ze starych bluz koloru khaki, zapach spalonego kordytu, dzwonięcie w uszach, kalki do czernienia muszki karabinu, które wszystko mazały, dwie czy trzy prywatne lunety czołowych strzelców – pamiętał to wszystko, także ciężkie, brzęczące, połyskujące matowo, nie wystrzelone ładunki na dłoni, podłużną, morderczą opływowość znikającego w komorze naboju wpychanego dużym palcem podczas strzelania ogniem pojedynczym, rozkołysany biały punkt zaznaczający chybienia, wielką czerwoną flagę podnoszącą się z rowów w odległości trzystu jardów. Ubiegłego roku uzyskał świetne wyniki w strzelaniu i lubił życie w polu. Nawet teraz nadal lubił życie w polu.

Miał jeszcze tamte czterdzieści dolarów Hala. Postanowił, że posłuży się nimi, aby na zimno uwieść Lorene. Wszystko wskazywało, że był to jedyny sposób; nikt nie wiedział, że ma te pieniądze, nie musiał zwracać długu Turpowi Thornhillowi aż do następnego dnia wypłaty, a nie sądził, żeby Angelo Maggio mógł mieć coś przeciwko takiemu zużycowaniu tej sumy. Tym razem miała to być gospodarka planowa. Zaplanował sobie zdobycie sześćdziesięciu dolarów, które miały wystarczyć mu na okres pięciu tygodni. Spodziewał się,

że dzięki temu planowi postawi na swoim bez konieczności liczenia na następną wypłatę żołdu, którą i tak musiał oddać Turpowi.

Czekając, aż rozładuje się powypłatowy run na burdele, zainwestował ostrożnie dziesięć, i tylko dziesięć dolarów z owych czterdziestu w grę „w oko” u O'Hayera, co mu przyniosło nieco ponad dwadzieścia. „Oko” było o wiele mniej zabawne od pokera i właśnie dlatego stanowiło lepszą inwestycję. Czterdzieści pięć z sześćdziesięciu miało pójść na trzy całonocne seanse po piętnaście dolarów każdy. Z pozostałych piętnastu zamierzał kupić trzy butelki po trzy pięćdziesiąt sztuka. Reszta poszłaby na taksówki. A kiedy by już się dowiedział, gdzie Lorene mieszka, i skłonił ją, żeby z nim żyła, pieniądze przestałyby być ważne. Lorene miała pieniędzy w bród i chętnie by je wydawała na niego, jeżeliby to dobrze rozegrał. Taka impreza mogła być interesująca. Miałby jakieś zajęcie w okresie, gdy Angelo oczekiwał na rozprawę. Wszystko sobie uplanował. Było to pochłaniającym, urzekającym ćwiczeniem umysłowym. Zatopił się w nim całkowicie.

Z takim samym zaabsorbowaniem śledził przebieg wydarzeń przez całe siedem tygodni, które były potrzebne prawu do załatwienia sprawy Maggia. Z zaabsorbowaniem, które zepchnęło co najmniej na drugi plan trwającą nadal Obróbkę.

Raz w ciągu sześciu tygodni poprzedzających proces kupił dwa kartony papierosów i poszedł do Obozu odwiedzić Maggia. Musiał przejść pieszo blisko dwie mile mijając korty tenisowe, pole golfowe, potem drogę do konnej jazdy nakrapianą słońcem pod wysokimi drzewami, gdzie unosił się skórzany zapach taborów. Pocił się idąc w gorącym słońcu i widział wielu oficerów, oficerskie żony i dzieci. Wszyscy byli bardzo opaleni i wyglądali bardzo sportowo. Obóz był to drewniany budynek pomalowany na białą, z zielonym dachem, stojący w cienistym gaju dębowym pośrodku dużego, płaskiego pola na samym skraju rezerwatu. Z wyglądu przypominał wiejską szkołę. To podobieństwo zwiększał jeszcze wysoki płot siatkowy z trzema nachylnymi do wewnątrz pasami drutów kolczastych. Siatkowe „kosze” na oknach także przypominały wiejską szkołę. W tej wiejskiej szkole nie wpuszczono go do środka.

Nie była to wiejska szkoła. Była to instytucja wojskowa. I nie pozwolono mu zostawić papierosów dla Angela. Każdemu z internowanych wydawano jedną paczkę tytoniu „Duke” dziennie i nie zezwalano na żadne dodatkowe dary z zewnątrz. Każdy z internowanych był żołnierzem i otrzymywał to samo co wszyscy inni internowani żołnierze. Prew zabrał papierosy z powrotem. Nie zobaczył się z Angelem.

Jednakże był im wdzięczny. Z łatwością mogli się zgodzić, żeby zostawił te papierosy dla Angela, po czym mogli je wypalić strażnicy z żandarmerii. Później wypalił je on sam. Czuł się winny, że to zrobił. Mógł je wyrzucić, ale kosztowały dwa pięćdziesiąt, a zresztą cóż

by to dało, byłoby to czczym gestem. Więc je wypalił. Ale czuł się winny.

Czuł się też winny wobec Angela; była to jedna z przyczyn, dla których chciał go zobaczyć. Uważał, że to, co się zdarzyło w dzień wypłaty, było poniekąd jego winą. Angelo już od dość dawna prowadził tę grę z pederastami, często zachodził do Hala, a przecież nigdy nie stało się nic podobnego. Dopiero kiedy pojawił się na scenie mały Galahad*, Prewitt, niby katalizator wlany do spokojnego pucharu, mikstura zaczęła kipieć i wybuchła. Pederasci nie zbrukali Angela; dopiero kiedy mały Galahad, Prewitt, wkroczył poszukując świętego Graala ze swymi moralistycznymi obawami i wątpliwościami, Angelo nagle poczuł się dostatecznie winny czy dostatecznie zbrukany, aby uczynić coś drastycznego. Chwilami Prewitt wyczuwał w sobie jakąś szczególną właściwość, dziwną i nieprzyjemną właściwość, która niejako zmuszała każdego, z kim się zetknął, do podejmowania drastycznych życiowych decyzji; nic więc dziwnego, że ludzie nie lubili z nim obcować. Ta myśl przerażała go głęboko, bo nie mógł pojąć, na czym to polega, i nie chciał, żeby tak było. Uważał, że tamtej nocy powinien był umieć powstrzymać Angela od tych wariactw, choć czuł, że sam je spowodował. Powinien był to przewidzieć. Nie trzeba było zostawiać go samego i odchodzić nad wodę, aby wyrzucić spodenki kąpielowe. Należało wmieszać się do bójki, pomimo tego, co wykrzykiwał mały Maggio. We dwóch nalaliby tamtych żandarmów razem z ich pałkami i zwieliby bezpiecznie do koszar. Widział teraz tysiące rzeczy, które powinien był zrobić, a nie zrobił. Uważał, że jest odpowiedzialny za to, co przydarzyło się Angelowi. Dlatego tak bardzo pragnął z nim porozmawiać; może potrafiłby mu to wyjaśnić. Ale nie udało mu się zobaczyć z Angelem.

Ściśle mówiąc, możliwe, że nie zobaczyłby Angela już nigdy więcej, gdyby nie śledztwo w sprawie pederastów, które wszczęła policja miejska. Przyjechali ciężarówkami kompanii żandarmerii z Shafter: było ich dwie, te duże, dwuipółtonowe, a każdą prowadził uzbrojony żandarm, obok którego siedział drugi, też uzbrojony, na czele zaś jechał brzuchaty wóz rozpoznawczy, również kierowany przez uzbrojonego żandarma. Ekspedycją dowodził rosły oficer policji, pół biały, pół Hawajczyk, o budowie krajowca, w musztardowym popelinowym mundurze policji miejskiej. Jechał on w wozie rozpoznawczym z porucznikiem kompanii żandarmerii z Shafter, który wiózł nie wypełniony nakaz aresztowania, podpisany przez szefa żandarmerii. W tym samym wozie siedzieli dwaj młodzi funkcjonariusze FBI wyglądający na wypielęgowanych synów bogatych rodziców w swoich nader spokojnych,

* Sir Galahad – nieskazitelny rycerz Okrągłego Stołu ze średniowiecznych legend o królu Arturze.

ale kosztownych miejskich garniturach, a będący łącznikami między policją miejską a żandarmerią wojskową.

Cały konwój zajechał na dziedziniec koszar, zaparkował przed kompanią G i przypuścił atak na kancelarię kapitana Holmesa; na czele kroczyli owi dwaj wymuskani, domyści młodzi prawnicy z FBI, wyglądający schludnie, miło i tak niewinnie, że niemal młodocianie, mówiący przyciszonym głosem, pełni taktu i aż nadmiernej dyskrecji, jednakże pod tymi zwodniczymi pozorami bezwzględni z ową spokojną nieugiętością, jaką ma człowiek, który wie, że jego słowo jest święte jak samo prawo i musi budzić strach. Podoficer służbowy został natychmiast wysłany na plac ćwiczeń z całą listą nazwisk.

Wrócił na czele oddziału, który zdawał się obejmować co najmniej dwie trzecie kompanii G, wobec czego ćwiczenia kompanii stały się na resztę dnia jakimś szkieletowym sofizmatem. Oddział ten ustawił się szeregiem przed koszarami, odliczył i zaczął odpowiadać na wyczytywane nazwiska, ogłupiały, nieporadny i mocno zestrachany (podoficer służbowy nadmienił o obecności ludzi z FBI), a jednak pod warstwą lęku wyraźnie pełen tego odświętnego nastroju, jaki stwarza każde wytchnienie od ćwiczeń, nawet jeżeli to wytchnienie jest śledztwem prowadzonym przez FBI. Wszyscy znali FBI, wiedzieli, że do jego jurysdykcji należą przestępstwa cywilne popełnione przez wojskowych, i wszyscy czytali komiksy o poskramianiu gangsterów. Służbowy nie miał pojęcia, po co ich wezwano, ale istniało tylko jedno cywilne przestępstwo, które mogło spowodować ściągnięcie tyłu ludzi. Mogło to być jedynie śledztwo w sprawie pederastii.

Znalazła się tam prawie cała paczka uczęszczająca do „Tawerny Waikiki”. Był kapral Knapp, był sierżant Harris, był także i Martuscelli. Był „Polak” Dyżbiński, był „Byk” Nair, był „Uczony” Dusty Rhodes i tłusty Reedall Treadwell. Byli Champ Wilson i Liddell Henderson, kapral Miller, sierżant Lindsay, a także Anderson i „Piętaszek” Clark, i Prewitt. Pozwolono im pójść na górę, obmyć się i przebrać w mundury wyjściowe, ponieważ miano ich zawieźć do miasta. Nie posłano z nimi ani podoficera służbowego, ani uzbrojonych strażników z żandarmerii. Nikt się nie obawiał, żeby ktokolwiek próbował ucieczki. Nazwiska wszystkich znajdowały się na liście.

Zeszli na dół i w ostatniej chwili ujrzeli odjeżdżający wóz rozpoznawczy z musztardowym mundurem policji miejskiej, piaskową bluzą i czarną opaską żandarmerii z Shafter oraz ciemnymi, konserwatywnymi garniturami, które były jeszcze bardziej mundurem niż tamte. Stanęli na zbiórce, odliczyli i znowu sprawdzono obecność według listy, po czym załadowano ich na otwarte ciężarówki, gdzie już zastali starszego szeregowca Bluma oraz innego starszego szeregowca ze szkoły pułkowej, którzy siedzieli czekając na nich w przygnębieniu. Znudzeni strażnicy z żandarmerii zajęli miejsca w szoferkach obok

kierowców. Nie było obawy, żeby ktokolwiek próbował wyskoczyć i uciec, jeśli znajdował się na liście FBI. Ponieważ mieli dla siebie całe tyły ciężarówek, więc na obydwóch zwołano jednocześnie narady strategiczne, rzekłbyś, pod wpływem tego samego naturalnego instynktu, który każe lejącym na południe gęsiom czy też ławicom ryb spotykać się w pewnych określonych miejscach; przy czym obie konferencje przebiegały według identycznego schematu, a załoga jednej ciężarówki instynktownie wiedziała i ufała, iż załoga drugiej robi dokładnie to samo, tak że w efekcie była to właściwie jedna wielka narada strategiczna zamiast dwóch.

Posiłkując się pamięcią wszystkich jadących i za pomocą rekonstrukcji jedna ciężarówka zdołała ustalić, kto znajduje się w drugiej, oraz wydedukować z tego, kogo brak. Wówczas odkryto, że co najmniej sześciu łowców pederastów z kompanii G, równie wytrwałych i wytrawnych jak każdy z obecnych, nie zostało w ogóle wezwanych.

Nieomal równocześnie rozległy się na obu ciężarówkach oburzone okrzyki: „Co za cholera” i „Mają szczęście, dranie”, i „Jak im się to mogło tak upiec”, i „Nie są ni cholery lepsi od nas”.

I natychmiast, nieomal jednocześnie, na obu ciężarówkach rozległy się w odpowiedzi okrzyki tych samych ludzi, którzy wołali przed chwilą: „Zamknijcie się, rany boskie” albo: „Psiakrew, mamy dość własnych zmartwień, żeby się jeszcze martwić o tamtych”, albo: „Dajcie spokój. Trzeba pomyśleć, co robić”.

Kiedy przywrócono spokój, odkryli z kolei, że na ciężarówce, którą jechał Prew, znajdują się dwaj ludzie z kompanii F i jeden z kompanii E. Podobno na drugiej był jeden z F, natomiast nikogo z E. Sztab strategiczny doszedł do wniosku, że ten, kto ich sypnął, musiał niezgorzej znać kompanię G, jakkolwiek to nie zawężyło zbytnio wyboru. Najwyraźniej nie wezwano nikogo z pierwszego i trzeciego batalionu, choć każdy z obecnych widywał ludzi z obu tych batalionów, działających na terenie Waikiki. Uznano więc, że jest to tylko mała, lokalna akcja, a nie generalna obława. Najlepiej zatem trzymać gębę na kłódkę, nic nie wiedzieć i nie poznawać nikogo. Tamci nie mają żadnych dowodów, bo inaczej urządziłiby generalną obławę; po prostu próbują zastraszyć ludzi, żeby wyciągnąć z któregoś jakieś zeznania, nic więcej; zwyczajnie przykręcają śrubę, by im napędzić strachu.

Kiedy radzący doszli do tego wniosku, na obu ciężarówkach rozległy się niemal jednocześnie chóralne westchnienia ulgi. To jednak nie zmniejszyło ani nerwowości, ani pełnego strapienia niepokoju i lęku. Nie osłabiło też tego radosnego, odświeżonego nastroju, który przypomina dzień wypłaty, a towarzyszy każdemu zwolnieniu od zajęć. Nieomal równocześnie zamknięto obie narady, które rozpadły się na podniecone dyskusje o czekających ich perspektywach.

„Piętaszek” Clark, z poźółkłym jak wosk, długim, włoskim nosem, miał śmiertelnego stracha. Kiedy skończyła się narada, wstał, polazł przez rozchybotaną, podskakującą ciężarówkę, przytrzymując się żeber budy i wcisnął się obok Prewitta.

– O rany, Prew, ale mam pietra! Po co oni mnie wezwali? Nigdy z żadnym nie łąziłem. Jak długo żyję.

– Ani żaden z nas – wycedził „Byk” Nair. To wywołało powszechny śmiech.

– Jak długo żyjesz? – zapytał Reedy Treadwell.

– No – bąknął Nair. – Jak długo żyję. Znowu się roześmieli.

– Jak Boga kocham – powiedział Dusty Rhodes. – Gdyby mi pokazali pedała, nawet bym go nie odróżnił od baby.

– Teraz prawdę mówi – rzekł ktoś.

– Aha, nie zapomnij powiedzieć tego glinom, „Uczony”! – dodał ktoś inny.

– Nie o to mi idzie – zaprotestował „Uczony”. – Chciałem powiedzieć, że jakby mi ktoś pokazał pedała, pewnie gapiłbym się na niego, o tak – tu wybałuszył oczy i rozdziawił usta, tak że przypominały dziób zgłodniałego młodego ptaka.

– Ty, Nair – powiedział, bo spodobał mu się ten pomysł. – Gapię się na ciebie.

– A ja na ciebie – wycedził Nair i też rozdziawił usta. „Uczony” ryknął śmiechem, po czym obaj zaczęli wygapiać się wzajemnie na siebie.

– Patrzcie na Knappa – powiedział Nair pokazując długą, chudą, schludną postać kaprała, wyciągniętego na podskakującej ławce. – Ten ma zmartwioną minę, nie? Pogapmy się na starego Knappa.

– Fajnie – odparł Rhodes. – To mu dobrze robi. Zgodnie rozdziawili na niego usta:

– Gapimy się na was, Knapp.

Ryknęli śmiechem, zerkając chytrze na siebie z tajonym humorem ludzi ze wsi, jak gdyby odkryli najświetniejszy efekt komediowy, jaki kiedykolwiek istniał.

– Pogapcie mi się o, tutaj – wyszczerzył zęby Knapp dotykając się ręką w odpowiednie miejsce.

Nie przejęli się wcale. Zaczęli wypróbować swój pomysł kolejno na wszystkich w samochodzie. Nie wywarło to wielkiego wpływu na powszechne zaniepokojenie.

– Tamci to jeszcze rozumiem – mówił do Prewa „Piętaszek”, którego sarnie oczy były rozbiegane i oszalałe ze strachu. – Oni ganiłi za pedryłami. Ja nigdy. Co będzie, jak mnie wsadzą do pierdła? Za coś, czego nigdy nie robiłem?

– Ja się wybrałem tylko raz – uśmiechnął się Prew. – Nic ci nie grozi. Zresztą nikomu nic nie zrobią.

– Tylko popatrz, jak mi ręce latają – rzekł „Piętaszek”. – Nie chcę iść do kryminału.

– Psiakrew, jakby mieli wsadzać do kryminału wszystkich pedryłów i łowców pedryłów z Honolulu, miasto by zbankrutowało na ich żywieniu, trzeba by zamknąć połowę lokali z braku rąk do pracy, a wojsko musiałyby ogłosić wakacje.

– Tak – odparł „Piętaszek”. – Ale...

– A, zamknij się – powiedział Blum ze swego miejsca. – Co jest? Pietrasz się? Co ty masz do stracenia? Ja co innego: mnie mogą wylać ze szkoły podoficerskiej.

Blum siedział na rozchybotanej ławce obok drugiego kandydata nazwiskiem Moore, wsparty łokciami o kolana, wyłamując sobie palce.

– Myślisz, że nas za to wyleją? – zapytał go.

– Rany boskie, mam nadzieję, że nie – odparł Moore.

– Pewnie, że się spietrałem – wybuchnął na Bluma „Piętaszek”.

– Przynajmniej się przyznaję, że tak. A kto namówił Andy'ego, żeby rzucił gitarę i ganiał za pedałami po mieście? – zapytał z wyrzutem. – Nie ja.

Andy, który siedział z wyciągniętymi nogami na podłodze, oparty plecami o budkę kierowcy i uśmiechał się z przymusem, ażeby ukryć strach malujący mu się w oczach, zrobił taką minę, jak gdyby żałował, że rzucił gitarę, lecz nie powiedział nic.

– Chcesz ze mnie zrobić jakiegoś cholernego pedryła? – zapytał Blum wstając i przytrzymując się żeber budy dla zachowania równowagi.

– Uważaj, co gadasz, ty parszywy makaroniarzu.

– Całuj mnie w dupę – odrzekł ponuro „Piętaszek”, zaskoczony własną śmiałością.

– Ach, ty kopany! – Blum pochylił się nagle, uwieszony lewą ręką żebra budy, złapał go za koszulę na piersiach, poderwał do góry i potrząsnął tak, że głowa i ręce szczupłego „Piętaszka” zadyndały bezwładnie jak u szarpniętej lalki z gałganków.

– Zostaw mnie, Blum – wyjąkał „Piętaszek”. – Daj mi spokój. Co ci zrobiłem?

– Odwołaj to – powiedział Blum potrząsając nim. – Odwołaj.

– Dobra – wybełkotał bezwładny „Piętaszek”. – Odwołuję.

Prew wstał przytrzymując się drugiego żebra, chwycił Bluma za przegub ręki i wcisnął mu mocno w ścięgno paznokcie dużego palca.

– Puść go, sukinsynu. Niczego nie odwołuje. Prawda, „Piętaszku”?

– Tak – wymamlał „Piętaszek”. – Nie. Sam nie wiem.

Dłoń Bluma rozwarła się pod naciskiem paznokcia i „Piętaszek” z oczami rozszerzonymi ze strachu opadł wiotko na ławkę, a Blum i Prew nadal stali w rozkołysanym samochodzie, patrząc na siebie, przytrzymując się jedną ręką żebra budy dla zachowania równowagi.

– Taak, ty jesteś jeszcze jeden, na którego mam oko – powiedział szyderczo Blum. –

Jakeś taki chojrak do bitki, to czego nie weźmiesz się za boks? – Rozejrzył się po ciężarówce.

– Jeżeliś taki ostry drań, to dlaczego nie jesteś w drużynie boksinerskiej?

– Bo tam jest za wielu takich skurwysynów jak ty, rozumiesz?

Stali rozkołysani, wpatrując się w siebie, żaden nie mógł skupić wzroku jak należy, bo musiał wcięż uważać, żeby nie stracić równowagi.

– Ty mnie kiedyś doprowadzisz do szału – powiedział Blum.

– Żartujesz – odparł Prew.

– Teraz mam większe zmartwienie – rzekł Blum i usiadł na powrót.

– Kiedy tylko ci się spodoba – powiedział Prew. – I dam ci masę czasu na ściągnięcie koszuli. – Usiadł również.

– Dziękuję, Prew – rzekł „Piętaszek”.

Byli już prawie przy odgałęzieniu szosy do Pearl i Hickam Field. Obie ciężarówki przetoczyły się z wolna przez Honolulu jadąc w miarę możliwości bocznymi ulicami, kierując się dookoła północnych krańców miasta przez Middle Street, obok kościoła z wielkim elektrycznym napisem: JEZU, JUŻ RYCHŁO PRZYBĘDZIEMY!, potem na wschód przez School Street; jednakże musiały przejechać prosto przez Nuuanu, ażeby dotrzeć do komisariatu policji miejskiej, gdzie już zastali zaparkowany przy krawężniku wóz rozpoznawczy.

Na ulicach Nuuanu i Queen przechodnie idący i wracający z portu, do którego właśnie zawijał nowy liniowiec turystyczny w powodzi wieńców hawajskich i przy dźwiękach orkiestry grającej w jaskrawym porannym słońcu, zatrzymywali się, aby na nich popatrzeć, myśląc pewnie, że właśnie toczy się tego dnia jakaś nowa sprawa sabotażowa w ramach nowego programu bezpieczeństwa wojskowego, i przed powrotem do swoich zajęć zastanawiali się przez chwilę ze skupieniem nad powagą życia w tym roku Pańskim tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym; przyglądali się ciekawie ciężarówkom zjeżdżającym w boczną uliczkę i ludziom, którzy wysiadali i cisnęli się po schodkach do komisariatu.

Kiedy cały tłum żołnierzy wkroczył do środka, w poczekalni przed gabinetem oficera policji ujrzeli Angela Maggio siedzącego między dwoma żandarmami, uzbrojonymi w strzelby śrutowe używane do tłumienia rozruchów oraz broń boczną.

– Rany Boga! – zawołał radośnie Maggio. – To mi wygląda na regularny apel albo też zjazd kompanii G. Ma który piwo?

Jeden z masywnych żandarmów targnął głową.

– Cisza! – powiedział.

– Okej, Brownie – wyszczerzył wesoło zęby Maggio. – Co tylko rozkażesz. Nie mam ochoty, żebyś mnie kropnął z tej swojej fuzyjki.

Żandarm stropił się i przymrużył oczy patrząc na Maggia, a ten zmrzył się także ponad swoim uśmiechem.

„Sie masz, Angelo. Hello, Angelo. Cześć, Angelo. Patrzcie: Angelo. Jest Angelo. Co słyhać, Angelo?”. Ci z kompanii, którzy go lubili, i ci, co go nie lubili, ludzie, którzy bez mała nie wiedzieli, że Maggio był w kompanii, nawet Blum, który wolałby, żeby Maggia w kompanii nie było – stłoczyli się wokół niego, by mu powiedzieć dzień dobry.

– Nie wolno mi rozmawiać – uśmiechnęła się sława. – Jestem pod strażą. Jestem za więźnia, to znaczy za internowanego. A więźniom nie wolno rozmawiać. Ale oddychać im wolno, to jest, jeżeli są grzeczni.

Wydawał się tym samym dawnym Angelem. Zapytał, jak poszło drużynie „Dodgerów” w pierwszych rozgrywkach.

– Ostatnio nie miałem czasu śledzić kroniki sportowej – uśmiechnął się.

Na pierwszy rzut oka miesiąc uwięzienia nie zmienił go wcale. Jednakże po bliższych oględzinach widziało się, że stracił sporo na wadze, że pogłębiły mu się zakłębienia pod sterzącymi kośćmi policzkowymi, wąskie, kościste ramiona stały się bodaj jeszcze węższe i bardziej kościste, a pod oczami pojawiły się duże półkola ciemnego fioletu. Był jakby twardszy, zarówno fizycznie, jak i umysłowo, a gdy się śmiał, jego śmiech miał jakiś metaliczny pobłysk.

Kiedy przywiezionym ludziom kazano usiąść i czekać, Prew znalazł sobie miejsce obok niego. Zaczęli rozmawiać cicho i szybko. Obu żandarmom z Schofield było najwyraźniej nijako strofować publicznie podopiecznego.

– Tu nie mogą mi nic zrobić – uśmiechnął się Maggio z zadowoleniem.

– Dzisiaj są bardzo dobrze wychowani. Muszą zrobić dobre wrażenie na tym smoluchu-poruczniku. Rozkaz z dowództwa.

– Poczekaj, aż wrócimy do domu – powiedział z naciskiem żandarm nazwany Brownie. – Wtedy pożałujesz, że nie trzymałeś gęby na kłódkę.

– I wy mi to mówicie – wyszczerzył zęby Angelo. – On mi to mówi

– zwrócił się do Prewa. – Przez całe życie to było moim największym kłopotem, a on mi mówi takie rzeczy.

– Myślisz, że to kłopot? – powiedział żandarm nazwany Brownie.

– Tylko ci się zdaje, że kłopot, makaroniarzu. Angelo uśmiechnął się z lekka.

– Co wy możecie mi zrobić gorszego niż teraz? Wsadzić mnie do Dziury na kilka dni, nic więcej. Możesz mnie zabić, ale mnie nie zjesz, Brownie.

Gadał dalej, a żandarm siedział speszony tym nielojalnym wykorzystywaniem sytuacji.

– Chyba się trochę opanuj – zaproponował Prew.

– Psiakrew – uśmiechnął się Angelo. – Nieczęsto mi się to zdarza. I tak już leżę jak ciapak. Niech sobie trochę użyję.

– Jak tam jest? – zapytał Prew.

– Nie najgorzej. Patrz, jakich muskułów dostaję. I zaczynam bardziej lubić tytoń „Duke” niż gotowe papierosy. Jak wyjdę, zaoszczędzę przez to kupę pieniędzy.

– Więc znaczy się, że cię dobrze traktują – rzekł Prew. – Nie robią żadnych grand?

– Ano, nie jest to całkiem pensja dla młodych panienek. Ale przynajmniej wiesz, że leży im na sercu twój własny interes. Nie, Brownie?

Żandarm nazwany Brownie nie odpowiedział. Był nadal strapiony. Patrzył prosto przed siebie.

– Nie przywykł, żeby go tak traktować – wyjaśnił Angelo Prewowi.

– Właściwie mówiąc, i ja nie przywykłem traktować go w ten sposób.

– Byłem odwiedzić ciebie, z dwoma kartonami papierosów – powiedział Prew tonem usprawiedliwienia. – Ale nie chcieli mnie wpuścić.

– Aha, słyszałem o tym – odrzekł Angelo wylewnie. – Chcieli mnie wsadzić na czarną listę. Tylko że już na niej byłem. Uważali, że jestem lalusz, jeżeli palę gotowe. Musiałem się fest namordować, żeby ich przekonać, że nie jestem.

– No i co będzie? – zapytał Prew. – Dowiedziałeś się, co mają zamiar zrobić?

– Nie, psiakrew. Nic mi nie mówią. Ale moja rozprawa powinna się odbyć niedługo, a ja już miesiąc odsiedziałem. Więc nawet jakby mnie postawili przed specjalniaka i dali najwyższy wymiar, zostanie mi jeszcze tylko pięć miesięcy pokuty. Jak wyjdę, chyba też zostanę trzydziestorocznikiem.

Słuchaj – ciągnął Angelo. – Ty się tym nie martw. Wszystko będzie byczo. Już odbębniłem miesiąc, kapujesz? To mi zaliczą. Nie zostanie tak bardzo dużo. Masz jeszcze te czterdzieści dolarów? – Zmrużonymi oczami, nie poruszając głową, zerknął ku stojącemu obok żandarmowi i znowu spojrzął na Prewa.

– Częściowo – odrzekł Prew. – Trochę wydałem.

– Bo właśnie chciałem ci powiedzieć. Ten czterdziestak jest twój, rozumiesz? Zarobiłeś go. Więc go wydaj. Nie zwracaj sobie głowy tym, że mi jesteś coś winien. – Znowu zerknął ku żandarmowi i z powrotem na Prewa.

– Dobra – powiedział Prew.

– I tak zabierają całą forszę na wartowni – ciągnął Angelo. – Więc to wydaj.

– Używam tych pieniędzy, żeby obskoczyć Lorene – rzekł Prew.

– Źle ci z nią poszło w dzień wypłaty, co? – zapytał Angelo. Prew kiwnął głową.

– No to ich sobie używaj. I *życzę ci* powodzenia, bracie.

– W porządku – powiedział Prew.

– Zdaje się, że już zaczynają tę drakę – rzekł Angelo.

Z kancelarii wyszedł urzędnik policji z długą listą w ręce. Wywołał jakieś nazwisko. Jeden z obecnych wstał i poszedł z nim do środka. Drzwi były przez chwilę zamknięte, po czym otwarły się i urzędnik z listą wywołał nazwisko Maggia.

– To ja – powiedział Angelo i wstał. – Zdaje się, że tu jestem na wabia albo można powiedzieć za królika doświadczalnego.

Zniknął za drzwiami, przy czym jeden żandarm ze śrutówką szedł pierwszy, za nim Maggio, a na końcu drugi żandarm ze śrutówką. Drzwi się zamknęły. Po kilku minutach Maggio ukazał się znowu, przy czym jeden żandarm ze śrutówką szedł pierwszy, za nim Maggio, a na końcu drugi żandarm ze śrutówką.

– Całkiem jak Dillinger^{*}, co? – wyszczerzył zęby Angelo do zebranych. To wywołało ogólny śmiech pomimo zdenerwowania.

– Cicho bądź, Maggio – ostrzegł go żandarm nazwany Brownie. – Idziemy.

Wyprowadzili go do innego pokoju drugimi drzwiami w ścianie naprzeciw, nie tymi do korytarza, które były w ścianie po lewej. Czwarta ściana, naprzeciwko drzwi do korytarza, składała się z samych okien. Nie było na nich krat.

Niebawem człowiek wywołany na początku też wrócił i urzędnik wyprowadził go tymi samymi drzwiami, którymi wyszedł Maggio, po czym je zamknął. Jeden z żandarmów z Shafter, który przyjechał ciężarówką, poszedł i stanął przy nich, kiedy urzędnik nań skinął. Następnie wywołano inne nazwisko. Drugi żołnierz wszedł za urzędnikiem do gabinetu porucznika.

– Widać stosują stary zwyczaj strzelania po jednym – powiedział ktoś nerwowo.

Po kilku minutach urzędnik ukazał się znowu, przeszedł do drzwi naprzeciw i zawołał Maggia.

– A nie mówiłem, że jestem tu na wabia? – uśmiechnął się Angelo do tłumu. To znowu wywołało nerwowy śmiech i napięcie nieco zelżało, ponieważ każdy porównywał się instynktownie do małego, kościstego Włocha i dochodził do wniosku, że ten ostatecznie nie jest w takiej złej formie.

– Cicho tam, Maggio – powiedział żandarm nazwany Brownie. – Chodź.

Weszli do gabinetu. Po chwili wrócili i przeszli do drugiego pokoju. Następnie urzędnik wyprowadził przesłuchanego żołnierza i wywołał inne nazwisko. I tak to się

* John Dillinger – słynny gangster amerykański z lat trzydziestych.

powtarzało kolejno przy wszystkich wpisanych na listę.

Kiedy wywołano nazwisko Prewa, ten wstał i poszedł na miękkich kolanach za urzędnikiem. W gabinecie siedział za biurkiem ów półhawajski porucznik policji w swym musztardowym mundurze. W dużym, głębokim, drewnianym fotelu obok biurka siedział Tommy z wyrazem rozdrażnionej, ponurej rezygnacji na twarzy. Porucznik żandarmerii siedział pod ścianą. Dwaj młodocianie wyglądający funkcjonariusze FBI stali niepozornie w głębi pokoju, wydając się częścią umeblowania.

– Czy znacie tego człowieka? – zapytał Tommy'ego porucznik policji.

– Nie – odrzekł ze znużeniem Tommy. – Nigdy go nie widziałem. Porucznik policji zajrzał do listy.

– Prewitt – powiedział. – Prewitt, czy widzieliście kiedy tego człowieka?

– Nie, panie poruczniku – odrzekł Prew.

– A wyście nigdy nie byli w „Tawernie Waikiki”? – zapytał cierpliwie porucznik.

– Byłem, panie poruczniku.

– I twierdzicie, że nigdy nie widzieliście tam tego człowieka?

– Nie przypominam sobie.

– Podobno on tam stale przesiaduje.

– Możliwe, że widziałem, panie poruczniku. Ale jeżeli tak, to go nie pamiętam.

– A widywaliście tam jakichś pederastów?

– Widziałem takich, co na nich wyglądali. Tacy zniewieściali. Ale czy nimi byli, tego nie wiem.

– To nie umiecie rozpoznać pederasty? – zapytał cierpliwie porucznik.

– Czy ja wiem, panie poruczniku. Chyba jest tylko jeden sposób, żeby rozpoznać pederastę, prawda?

Porucznik nie uśmiechnął się. Miał zmęczoną minę.

– A wyście kiedyś byli z pederastą, Prewitt?

– Nie, panie poruczniku.

– Ani razu? Jak długo żyjecie?

Prew miał ochotę uśmiechnąć się, bo przypomniał sobie słowa Naira: „Jak długo żyję”, ale się nie uśmiechnął.

– Ani razu, panie poruczniku – powiedział.

– Nie musicie mi kłamać – powiedział cierpliwie porucznik. – Podręczniki psychologii mówią, że prawie każdy mężczyzna w jakimś momencie swojego życia jest z pederastą. To wszystko tutaj jest jak najściślej poufne. My nie próbujemy przygwoździć nikogo z was. Chcemy was ochronić przed tymi ludźmi.

Tommy siedział w fotelu, twarz miał napiętą i wyglądał przez okno. Stanowił dość żaloszny okaz potwora. Prewowi nagle zrobiło się go żal.

– W tym celu – mówił ze znużeniem porucznik – musimy zebrać dowody, a żeby umieścić tych ludzi tam, gdzie nakazuje prawo. Do was, chłopcy, nie mamy żadnej pretensji.

– O ile mi wiadomo, prawo mówi, że obie strony są jednakowo odpowiedzialne – rzekł Prew. – Przynajmniej tak zawsze słyszałem.

– To prawda – powiedział ze znużeniem porucznik. – Z prawnego punktu widzenia. Jednakże, jak mówię, nikt nie ma zamiaru wnosić oskarżenia przeciwko któremuś z was. My chcemy tylko, żebyście nam pomogli oczyścić to gniazdo rozpusty w Waikiki. „Tawerna Waikiki” to przyzwoity lokal. I nie chce być używana jako pokątne miejsce schadzek, a my też tego nie chcemy. Jednakże oni tam nie mogą dać sobie rady z czymś, co przybrało takie rozmiary. To już jest zadanie dla władz.

– Tak jest – powiedział Prew. Porucznik policji wyglądał na bardzo zmęczonego, a było jeszcze dziesięciu ludzi, których musiał przesłuchać. Prewowi nagle zrobiło się żal porucznika.

– No dobrze, Prewitt; zapytam was jeszcze raz: byliście kiedy z pederastą?

– Raz jednego wykiwałem – odrzekł Prewitt – jak byłem na włoczędze, jeszcze przed wstąpieniem do wojska.

Znużone usta porucznika zacisnęły się odrobinę.

– Dobrze – powiedział i dał znak stojącemu przy drzwiach urzędnikowi. – Wprowadzić go.

Urzędnik wyszedł i wrócił z Maggiem i dwoma roslymi żandarmami, przy czym jeden żandarm ze śrutówką wszedł pierwszy i obrócił się, potem wszedł Maggio, a za nim drugi żandarm ze śrutówką. Urzędnik chciał przejść na drugą stronę pokoju. Jego linia marszu wypadła między żandarmem nazwanym Brownie a Maggiem. Żandarm nazwany Brownie zastąpił drogę urzędnikowi i stanął z bronią w pogotowiu i z drewnianą twarzą.

– Nie wolno przechodzić między więźniem a jego strażnikiem – powiedział drewnianym głosem.

– O, przepraszam – powiedział urzędnik. Był okropnie zmieszany. – Zapomniałem – dodał nieporadnie i obszedł ich dookoła.

– Prewitt, czy znacie tego człowieka? – zapytał porucznik znużonym głosem.

Hal, nauczyciel francuskiego? Jeżeli naprawdę mieli dość materiału na Angela, żeby używać go jako przynęty, to Hal, nauczyciel francuskiego, powinien być także tu być. Wszystko zaczynało wskazywać na to, że ktokolwiek doniósł władzom, użył ostatniego dnia wypłaty jako podstawy swych informacji, ale w takim razie gdzie był Hal, nauczyciel

francuskiego?

Jeszcze paru innych wyciągnęło nieodstępne talie dużych kart pokerowych i teraz na podłodze rozgrywano kilka partii pokera na zapalki. Wszyscy grali ze skupieniem, bez rozmów, a napięcie zaczynało ustępować z ich twarzy.

Prew z niesmakiem dał spokój rozmyśleniom i także zasiadł do gry. Psiakrew, to pewnie wszystko tylko imaginacja. Robi się nerwowo. Zawsze miał skłonność do odgrywania głównej roli. „Ja jestem wielki italiański actore, ja główna rola gram, wszyscy padają plackiem”.

Gracze posunęli się w milczeniu, by zrobić mu miejsce. Nikt nie zakwestionował jego obecności. Wspólna niedola zepchnęła Obróbkę na drugi plan. Obróbka miała się zacząć na nowo, gdy tylko wrócą bezpiecznie do domu. Ale na razie była zawieszona w obliczu tego cudownego ocalenia od wymiaru sprawiedliwości.

Następnym po Prewicie człowiekiem przepuszczonym przez magiel był starszy szeregowiec Blum. Wszedł do pokoju, popatrzał tępo na grających w pokera, potem na Maggia, a następnie podszedł do ławy stojącej pod drugą ścianą i usiadł na osobności. Nie przyłączył się do żadnej z gier. Siedział sam jeden wyłamując sobie palce i klnąc cicho, monotonnie, z pełną zdumienia wściekłością i oburzeniem, bez przerwy i żadnej zmiany tonu, jak gdyby to był czysty odruch wynikający z wielkiego nieporozumienia. Kiedy Moore, drugi kandydat ze szkoły podoficerskiej, podszedł, by usiąść obok niego, Blum wstał i przeniósł się gdzie indziej, spojrzawszy na Moore'a z oburzeniem, że przerwał mu to monotonne przeklinanie.

Reszta grała w skupieniu na zapalki, dopóki nie przesłuchano ostatniego człowieka. Wówczas żandarmi z Shafter, uzbrojeni tylko w broń boczną, zapędzili ich z powrotem do ciężarówek. Prew obrócił się, aby ostatni raz spojrzeć na Angela, który nadal siedział w drugim końcu pokoju pomiędzy dwoma ogromnymi, zbrojnymi w strzelby żandarmami ze Schofield, i także miał oburzoną minę teraz, gdy skończyła się już tak prędko owa gratka, jaką było to wytchnienie, za które miał zapłacić po powrocie do Obozu.

Ciężarówki ruszyły, tak samo obserwowane przez przechodniów, zapewne innych przechodniów, ale dla żołnierzy na ciężarówkach identycznie tych samych, idących z tej samej przystani, gdzie ta sama orkiestra dęta grała tę samą melodię, dla takiego samego nowego stada turystów wysiadających ze statku. Jak gdyby na łączny rozkaz, ludzie z ciężarówek łypnęli na nich z taką zajadłością, że przechodnie zmieszali się i odwrócili wzrok udając, że są bardzo zajęci, i rozmyślając, że gdyby przyszło do wojny, moglibyśmy przynajmniej wystawić tak srogą i krwiożerczą armię jak mało kto. A potem ciężarówki wytoczyły się na szosę i ruszyły przez strome parowy kruszących się karminowych skał,

mijając pola trzciny cukrowej, niektóre płonące w rześkim letnim powietrzu wielkimi chmurami czarnego dymu, mijając matematycznie precyzyjne poletka ananasów, kierując się ku Schofield. Było już po trzeciej i pod ogromną czaszą modrego nieba wszystko wydawało się bardzo małe, dalekie i spokojne jak okiem sięgnąć, aż po błękitną mgiełkę gór po obydwóch stronach drogi.

W tydzień później, podczas pogadanki o higienie seksualnej oraz lekarskiej kontroli genitaliów, kapitan Holmes wygłosił krótkie, zakłopotane przemówienie o perwersji i degeneracji, po wyświetleniu filmu pokazującego, co może zrobić z człowiekiem syfilis i tryper. Kapelan w swym orędziu na temat wagi uczucia w akcie płciowym i konieczności zachowania przez mężczyznę wierności seksualnej oraz wstrzemięźliwości przed ślubem nie wspomniał ani o jednym, ani o drugim.

„Lorene” – myślał Prew słuchając ich obu. To było tak doskonałe imię kurwy: Lorene. Tak świetnie do niej pasowało. Miało właściwe brzmienie, właściwe skojarzenia. Było o wiele lepszym imieniem niż Billy czy Sandra, czy Maureen. Cieszył się, że ona ma na imię Lorene, a nie Agnes lub Gladys albo Thelma czy coś w tym rodzaju. „Lorene” to było lepsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie zdążył nawet odrobić swych trzech seansów po piętnaście dolarów każdy, kiedy dowiedział się, że jej prawdziwe imię bynajmniej nie brzmi Lorene, lecz Alma.

Najwidoczniej, wraz ze wszystkim innym, nawet ta skromna satysfakcja miała mu być odmówiona. To było zupełnie przygnębiające. Jediną rzeczą, która sprawiła, że nie odczuł tego jako ostatecznej klęski, była myśl, że to tak bardzo pasuje do wszystkiego, co działo się z nim od trzech miesięcy, odkąd wyszedł z oddziału trębaczy.

Okazało się, że „Lorene” jest po prostu domowym imieniem, które pani Kipfer wybrała dla niej z jakiejś reklamy perfum. Pani Kipfer uważała, że imię Alma nie jest ani dosyć francuskie, ani dość intelektualne dla gwiazdy jej zakładu. Natomiast jej prawdziwe nazwisko brzmiało Alma Schmidt, ni mniej, ni więcej. A mieszkała ni mniej, ni więcej, tylko na Maunalani Heights. Choćby chciał, nie mógłby znaleźć w książce telefonicznej bardziej niekurewskiego nazwiska. A choćby próbował zgadywać, nie mógłby trafić na bardziej niekurewską dzielnicę willową niż ta, w której ona mieszkała. Maunalani Heights była twierdzą i ostoją wyższych klas średnich Honolulu, w odróżnieniu od bogaczy. I właśnie tam, na Maunalani Heights, Alma Schmidt wynajmowała domek wraz ze swą koleżanką z „Service'u”. A Prew zdumiał się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył ten domek.

Miał on mały boczny odkryty tarasik tuż nad krawędzią skarpy, która opadała pionowo co najmniej na sto stóp; można tam było stanąć i zajrzeć w ulice Doliny Palolo daleko w dół, jak gdyby się było samym Bogiem, popatrzeć dalej na zachód, gdzie stały samotnie budynki college'u St. Louis, i jeszcze dalej na zachód, nad nieco zamgloną doliną, też w dół, gdzie było wzgórze St. Louis, wznoszące się na 483 stopy nad poziom morza. Piękny był ten tarasik, a za nim znajdowały się podwójne tafłowe szklane drzwi, przez które można było wyglądać z dużego, zaczynającego się o trzy schodki niżej salonu, jeżeli nie miało się ochoty wyjść na dwór. Na tym to tarasie, za pierwszą bytnością Prewa, późnym sobotnim popołudniem, gdy słońce poczynalo oświetlać wszystko szkarłatnym złotem przed pogrążeniem się w morzu, Alma Schmidt wyznała mu, że jest w nim zakochana. I natychmiast popełnił swój pierwszy błąd.

Wspomniawszy ów mały, stały garnizon pod prastarymi wiązami i klonami i w swojej naiwności próbując korzystnie porównywać ten sposób życia z jej obecnym, powiedział Almie, że też ją kocha, i poprosił, żeby została jego żoną.

Był to jego pierwszy błąd w ocenie od czasu zainaugurowania planowej gospodarki sześćdziesięciodolarowej. Gdyby przyniósł pełną torbę odbezpieczonych granatów, może by z

równym powodzeniem rozsądził swą własną inwestycję – ale wątpił, czy tak by się stało.

Może to sprawił zachód słońca; zachody zawsze go otumaniały. A może bliskość jej ciała, które sięgało mu głową do ramienia. W przeszłości zauważył, że bliskość ciała kobiecego miała tendencję do zakłócania jego procesów umysłowych, i nie mógł nad tym zapanować; czasem otumaniała go nawet bardziej niż zachody słońca, która to reakcja – jak się przekonał w ciągu szeregu lat – zazwyczaj nie była wzajemna, co początkowo dawało kobietom pewną przewagę nad nim. Albo też mogła to być po prostu oszałamiająca nowość tego wszystkiego, do której jeszcze nie zdążył przywyknąć. Jednakże nawet w tym wypadku, bez względu na przyczynę, nie było usprawiedliwienia dla tak niebezpiecznej głupoty.

Przez chwilę wszystko zawisło na włosku i widział przelatujące po jej twarzy refleksje decyzji, czy go wyrzucić od razu, czy wycofać się z tego interesu powoli, stopniowo. Uratowały go jedynie te wątpliwości co do sposobu zerwania z nim. Dały mu czas na ocalenie tego, co mógł ocalić, przez filuterne spojrzenie na nią, potem głośny śmiech, wreszcie zapalenie papierosa, by jej pokazać, że ręce mu nie drżą. Zapalenie papierosa wykonał wręcz po mistrzowsku. Ale mimo to wiedział, iż tylko szczęśliwy przypadek sprawił, że o tym pomyślał i że było to uchwyceniem się brzytwy przez tonącego, którego sparaliżowała własna głupota.

Przypatrzyła się jego rękom, które nie drżały, i w końcu na jej twarzy odmalowała się ulga. A potem nawet i ona sama zaczęła się śmiać. Poprowadziła go z powrotem do wnętrza domu i zmieszała dwa martini przed postawieniem na ogniu nowoangielskiej kolacji, którą naszykowała. A później, kiedy kolacja się gotowała wypełniając mieszkanie swojskim zapachem, zmieszała dla nich obojga następne martini. Były to dobre koktajle. Jedną z rzeczy, które wykrył, odkąd weszła w życie jego planowa gospodarka, było, że Alma jednak lubiła popić, tyle że podczas pracy piła niechętnie. Od czasu do czasu, przy odpowiedniej okazji, pijała nawet czystą whisky. Alkohol sprawiał, że Alma stawała się o wiele miłsza. Jakoś ją rozprężył. Albo może po prostu pod wpływem alkoholu Prew był bardziej skłonny widzieć jej miłe cechy. Tak czy owak, miał dość przytomności umysłu w swym porażeniu, aby to wykorzystać w tej chwili i zaproponować następne martini. Nowoangielska kolacja była nie gorsza od martini i kiedy ją zjedli, poszli bardzo po małżeńsku do łóżka, jak gdyby nic się nie stało.

Jednakże nie pozwolił sobie zapomnieć, że mimo wszystko bardzo niewiele brakowało. Nie mógł zrozumieć, co go, u licha, napadło, że powiedział rzecz tak głupią. Nie było go stać na częste popełnianie podobnych błędów. Sześćdziesięciodolarowa gospodarka planowa zaledwie wystarczyła, żeby się tu dostał. Gdyby było trzeba wydać pięć dolarów więcej, nie dałby rady, więc nie mógł dalej popełniać takich poważnych błędów w ocenie i

zdawać się na los szczęścia, że nie zostaną zauważone.

Potem był już bardzo ostrożny. Miał masę sposobności do popełniania błędów w ocenie. Raz pojechali otwartym chryslerem koleżanki Almy do doliny Kaneohe, aby popływać; Alma nie miała wozu, bo odkładała sobie pieniądze. Wtedy wszystko sprzyjało popełnieniu błędu w ocenie – przepaściste wschodnie zbocza łańcucha Koolau wznosiły się w kształcie podkowy, nad plażą, na pierwszym planie sterczał jak głowa cukru wierzchołek Pali, a czarne urwiska przylądka Makapuu, gdzie stała latarnia morska, piętrzyły się nad Wyspą Króliczą – ale Prew był teraz mądry i bardzo ostrożny. Ponieważ zachował się tak dobrze podczas owej wycieczki, odzyskał ufność w siebie, wszystko szło tak gładko jak ów importowany rum, który koleżanka Almy z „Service'u” kupowała skrzynkami i którego im nie szczędziła.

Ponieważ nie miał grosza przy duszy, Alma dawała mu stale pieniądze na taksówki ze Schofield. Dała mu także klucz od domku i potem zaczął przyjeżdżać regularnie na każdy weekend. Jeżeli nie miał służby, wyruszał w sobotę rano zaraz po przeglądzie, rezygnując z południowego posiłku, i walił tam prosto jak strzełił.

Droga mu się dłużyła. Nauczył się jej na pamięć. Zawsze było mu spieszno dojechać tam i zawsze docierał na miejsce zmachany. Otwierał drzwi swoim kluczem i nagle wszystko gdzieś odpadało, znikało i już nie było żadnego wojska. Do ogromnego salonu, którego podłoga wyłożona była kwadratowymi czerwonymi płytkami, schodziło się po trzech stopniach, obydwie sypialnie znajdowały się o trzy schodki wyżej na lewo od drzwi wejściowych, a szklane drzwi na taras o trzy schodki wyżej po prawej. W głębi, w rogu obok tych drzwi na taras, trzy schodki prowadziły do kuchni i małej, oszklonej niszy przeznaczonej na jadalnię. Obok trzy schodki do łazienki z prysznicem. Druga łazienka z prysznicem łączyła obydwie sypialnie. Całe mieszkanie wykładane było od podłogi do sufitu sklejką miodowego koloru, z wyjątkiem kuchni bardzo po amerykańsku praktycznej, z szafami zamiast ścian.

Jeżeli Alma musiała pracować i nie była obecna – a w sobotę było tak prawie zawsze – wyjmował kostki lodu z lodówki w kuchni i mieszał sobie mocny drink przy radiu-barku w salonie, czasem z rumu Georgetty, koleżanki Almy, czasem z dżinu i lemoniady imbirowej albo ze szkockiej whisky, albo bourbona z wodą sodową – na cokolwiek miał ochotę – potem wkładał w sypialni spodenki kąpielowe, wybierał sobie jakąś książkę z otwartej biblioteki, stojącej w salonie pomiędzy drzwiami do dwóch sypialni, i wychodził na taras. Lubił tam leżeć boso, w spodenkach, na leżance i popijać. Nie czytał dużo. Lubił wpatrywać się w widok z tarasu i powoli, z rozsmakowaniem, łagodnie się upijać. Wstawał boso, siedł po grubych matach japońskich przykrywających podłogę tarasu i przyjemnych pod stopą, podchodził do barku, mieszał sobie następny drink i wracał na taras. Wszystko, co musiał

przetrzymać przez cały tydzień w kompanii, na koniec gdzieś odpływało, tak że kiedy Alma wracała do domu po pracy około drugiej, był znowu w dobrej formie.

Czasem czekała już na niego, kiedy przyjeżdżał w sobotę. Jednakże wolał, gdy jej nie było, a on przychodził sam, otwierał drzwi własnym kluczem i poruszał się swobodnie wśród ciszy pustego domu. To czyniło ten dom jego własnym. Był jego. Nic nie mogło mu go odebrać, dopóki mógł to robić. Nigdy dotychczas nie miał swojego klucza. Posiadanie tego klucza w kieszeni przez cały tydzień było warte niewspominania o małżeństwie. Nawet połowa tego wszystkiego byłaby więcej niż warta niewspominania o małżeństwie.

W tej dzielnicy nigdy nie widywało się żołnierzy. To było coś prawie nadprzyrodzonego, że ledwie się dojechało autobusem powyżej Waiālae Avenue i na wzniesienie, nie widziało się już żołnierzy. W mieście, podczas weekendu, były ich zawsze całe hordy. Masa żołnierzy, w większości z Ruger, przebywała w Kaimuki, na Waiālae, w dzielnicy przemysłowej. Natomiast powyżej Waiālae zaczynał się jakby inny świat. Bogacze (nie mógł się odzwyczaić od nazywania bogaczami wyższej klasy średniej z Wilhelmina Rise i Maunalani Heights, choć Alma często usiłowała mu to wyperswadować), bogacze niechętnie widzieli tam żołnierzy. To była jedna z przyczyn, że tak mu się tam podobało.

Nigdy nie mógł się dość nadziwić, jakim sposobem Alma zdołała się tam dostać. Oczywiście nikt nie miał pojęcia, gdzie pracuje. Wszyscy troje, Alma, Georgette i on (Georgette, jeżeli nawet miała jakichś znajomych mężczyzn, nigdy nie sprowadzała ich do domu), często siadywali i zaśmiewali się z tego serdecznie – z tego, że są właśnie tutaj i w tym domu.

Czynsz musiał masę kosztować obie dziewczyny. Alma nigdy nie powiedziała ile, ale domyślał się, że jest wysoki. Alma przyznawała, że jest wysoki, lecz był to jedyny luksus, którego nie chciała sobie odmówić pomimo oszczędzania. Ano, mogła sobie na to pozwolić. Dostała ten domek przez panią Kipfer. Pani Kipfer miała stosunki, miała przyjaciół w Honolulu. Nikt nie wiedział, kim ani czym oni są, ale ich miała. A Alma, to znaczy Lorene, była jej ulubienicą. Alma zawsze mogła od niej uzyskać jeden czy drugi dzień zwolnienia na każde żądanie, bo pani Kipfer nie chciała, żeby jej primabalerina przychodziła do pracy zmęczona i wyczerpana. Ilekroć Alma dostała w ten sposób wolny wieczór, dzwoniła do Prewa, do koszar, a on łapał jakiś wóz jadący do miasta, a potem brał taksówkę i jechał prosto do domku. Jeżeli nie miał przy sobie pieniędzy, wchodził do środka jak pierwszy lepszy żonaty urzędnik wracający z pracy i przynosił je stamtąd kierowcy. Alma zawsze budziła go wcześniej, tak że miał aż nadto czasu, by zdążyć na apel poranny, i gotowała mu śniadanie. Lubiała tak wstawać i gotować mu śniadanie, zanim odjechał. Czasami nawet Georgette wstawała i jadła razem z nimi psiocząc z humorem, że obudzono ją tak wcześnie, ale to

wszystko miało rodzinny charakter. Opowiedział im o drużynie bokserskiej, o „DYNAMICIE” i o Obróbce. Alma z nieledwie religijną pieczołowitością nastawiała zawsze budzik, choćby byli nie wiedzieć jak pijani. Było coś żoninego w tym, jak pilnowała, żeby się nie zagadał przy śniadaniu i nie spóźnił na poranny autobus.

Jednakże najbardziej lubi! te soboty, kiedy przyjeżdżał sam, otwierał drzwi swoim kluczem i mógł się rozgościć w domu. Kiedy w sobotę wracała z pracy, zazwyczaj już spał w dużym podwójnym łóżku w jej pokoju. Tarmosiła go wtedy, dopóki się nie obudził, wyciągała go do salonu i mieszała dla nich obojga koktajle, zanim poszli do łóżka. Albo po prostu wślizgiwała mu się pod kołdrę i budziła go „na przyjęcie”, jak to zawsze nazywała. Wtedy mówiła mu, jak bardzo go kocha, jak bardzo go potrzebuje, jak strasznie go potrzebuje – nawet się nie domyśla. Ano, i ona jest mu potrzebna, i nawet nie wie jak bardzo. Tak, ale ta potrzeba nie jest w nim równie silna. Jemu właściwie jest obojętne, czy będzie tak, czy owak. W gruncie rzeczy wcale jej tak nie potrzebuje jak ona jego, byleby mógł tu być.

Ha, to jej się tylko wydaje. On potrzebuje jej bardziej, niż ona może kiedykolwiek potrzebować jego. Bez tego sanktuarium już dawno by go złamali Obróbką.

No, ale gdyby on wiedział. Ba, ale gdyby ona wiedziała.

Nieczęsto przeradzało się to w kłótnię, ale czasem tak. Okazywało się, że żadne z nich nie będzie nigdy wiedziało – a przez cały czas musiał ogromnie uważać, żeby nie popełnić błędu w ocenie. Miał na to pod dostatkiem również i inne sposobności. Prawie każdego dnia, który tam spędzał, nadarzały się co najmniej dwie okazje do popełnienia takiego błędu. Nic mu to jednak nie szkodziło i żadna z tych okazji nie była niebezpieczna aż do ich pierwszego wspólnego pokazania się publicznie.

Nie miał specjalnej ochoty, żeby się gdzieś wybrać. Stał się ogromnym domatorem. Był to jej pomysł, żeby gdzieś iść. Powiedziała, że chce się nim popisać. Przed wyjściem z domu wręczyła mu dwie dwudziestki i pojechali do Lau Yee Chaia. Nie był tam nigdy przedtem. Poszło na to całe czterdzieści dolarów. Ale było warto. Bawili się wyśmienicie. Alma była doskonałą danserką, za dobrą dla niego. Powiedziała, że go poduczy w domu.

Dopiero w drodze powrotnej, w taksówce, po wydaniu tych jej czterdziestu dolarów, uświadomił sobie z lekkim wstrząsem, że jest utrzymankiem, i to już od jakiegoś czasu. Można by go nawet nazwać alfonsiem przy pewnej elastyczności stosowania tego terminu, aczkolwiek nie zmuszał jej do pracy. Najpierw poczuł się poniżony, aż coś go ścisnęło w dołku, lecz kiedy to przeanalizował, uświadomił sobie, że wcale nie czuje się inaczej, że nadal jest tym samym człowiekiem. „A więc to jest tak – być utrzymankiem?” – zapytał siebie. Trochę się zląkł i zawstydził, że wcale nie czuje się inaczej. Uważał, że powinien czuć się zupełnie innym.

Dopiero kiedy wrócili do domu i wyszli na taras, w świeżość nocnego powietrza, jeszcze w swych wizytowych strojach (Alma wzięła jego miarę i wybrała mu, i kupiła ubranie), i stali spoglądając na pasma białych świateł w dolinie Palolo i na wzgórzach St. Louis Heights, na reflektory oświetlające po lewej „Royal” i na czerwone, niebieskie, zielone i żółte kwiaty neonów wśród białych pasów światła wyznaczających Waikiki, skąd właśnie przyjechali – dopiero wtedy poprosił znowu, żeby została jego żoną. Może uważał, że w ten sposób będzie mniej utrzymankiem.

Widocznie zawsze musiał prosić o jej rękę na tym tarasie. Taras i widok z niego najwyraźniej tak go usposabiała. Kiedy ją prosił, doznał wspaniałego rozkosznego uczucia, że posyła w diabły wszelkie konsekwencje, a jednocześnie jakiś cichy głos w głębi mózgu mówił mu, że ponieważ nie robił tego zbyt często, może mu to ujść bezkarnie i bez żadnego ryzyka, skoro bywa tu już od tak dawna.

Tym razem opowiedział jej dokładnie o owym małym garnizonie i o społeczności żonatych podoficerów i kiedy mówił, wydawało mu się to wspaniałej napomknął nawet o roku czekania przed jego odjazdem do Stanów i o tym, że to się zgadza z jej planami. Mogliby przeznaczyć trochę jej pieniędzy na to, żeby przyjemnie żyć, dopóki by się nie dochrapał wyższego zaszeregowania, co nie powinno trwać długo, jeżeli się naprawdę postara, a jemu nic nie przeszkadza, że ona go utrzymuje, ani że te pieniądze pochodzą z nierządu. Podkreślił bardzo wymownie, że przecież teraz już tak się dzieje. Mówiąc to był ogromnie dumny ze swojej wyrozumiałości.

Słuchała tego wszystkiego uważnie, nie spojrzawszy nań ani razu. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła.

– Powiadasz, że mnie kochasz – podsumował obronę swojej tezy – i że mnie tak potrzebujesz. Dobrze. Wierzę ci. Ja tak samo cię kocham i potrzebuję ciebie. Więc to jest jedyna sensowna rzecz, jaką powinniśmy zrobić, no nie? – zapytał logicznie.

– Po prostu czujesz się osamotniony, bo dostajesz takie ciągi w kompanii – odrzekła Alma. – Chodźmy napić się czegoś.

– Nie – rzekł. – Odpowiedz mi.

– Teraz ci jestem potrzebna – powiedziała Alma. – Ale czy będę ci potrzebna za rok? Kiedy się wykaraskasz z tej ciężkiej sytuacji i wrócisz do Stanów?

– Jasne, że tak. Ja cię kocham.

– Ale człowiek kocha kogoś tylko wtedy, jeżeli go bardzo potrzebuje. Gdybyś w tej chwili nie zaspokajał jakiejś określonej potrzeby w moim życiu, nie kochałabym ciebie.

– Ja będę cię kochał zawsze – odrzekł. Powiedział tak, nim zdążył się zastanowić, bo było to logiczną odpowiedzią dopełniającą jego tezę.

Alma spojrzała na niego w półmroku i uśmiechnęła się. Nie zdawał sobie sprawy, jak śmiesznie zabrzmiały te słowa, ani że kiedy je wypowie, będą jawnym i oczywistym kłamstwem. Powiedział to tylko z tej przyczyny, że ogólny kierunek rozmowy zdawał się tego wymagać.

– Przyłapałaś mnie – rzekł.

– Sam się przyłapałeś – odparła.

– Ale w tej chwili cię kocham – powiedział.

– Ano, i ja ciebie też – odrzekła. – A dlaczego? Bo w obecnym układzie mojego życia zaspokajasz pewną potrzebę. Miło mi jest móc wracać stamtąd do domu, do ciebie. Ale to nie znaczy, że będę cię jeszcze kochała za rok, kiedy układ mojego życia się zmieni. Jakżeby ktoś mógł obiecać i dotrzymać coś podobnego?

– Mogłabyś, gdybyś chciała.

– Oczywiście. Ale jeżeli po zniknięciu tej potrzeby żadne z nas nie będzie tego chciało?

Nic na to nie odpowiedział.

– A widzisz? Jasne, zawsze mogłabym się zwodzić. Tak samo jak ty mógłbyś się zwodzić mówiąc sobie, że w gruncie rzeczy jest ci obojętne, że twoja żona jest kurwą, albo mówiąc sobie, że w gruncie rzeczy nie podejrzewasz swej żony, albo że w gruncie rzeczy nie boisz się spuszczać jej z oka, albo że w gruncie rzeczy wcale byś się nie wstydził, gdyby inni wykryli, że twoja żona była kurwą, albo że...

– Dobrze – powiedział – Dobrze, dobrze.

Zdawało się, że będzie w nieskończoność mnożyła owe „albo że w gruncie rzeczy”, i poczuł, iż ma ochotę targnąć głową jak ryba, która tylko dlatego że chwyciła zwyczajną muszkę, taką samą jak każda inna muszka, ma wbity w szczękę hak i nie może tego zrozumieć.

Alma umilkła i nastąpiła długa cisza.

– Kiedy to nie jest prawdziwy powód – rzekł czując, że powinien coś powiedzieć. – Jaka jest prawdziwa przyczyna, że nie chcesz za mnie wyjść?

– Może po prostu nie mam ochoty być żoną podoficera armii Stanów Zjednoczonych.

– No, dobrze. Ale jeżeli będę chciał, mogę zostać oficerem w ramach nowego programu awansów, który wprowadzili razem z tym zaciągami. Jeżeli na to zapracuję.

– Może też nie mam ochoty być żoną oficera armii Stanów Zjednoczonych.

– W porządku – rzekł. – Więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

– Chcesz znać prawdziwą przyczynę? – spytała Alma. – Więc ci powiem, dlaczego nie mogę wyjść za ciebie. Zarobki nie mają tu nic do rzeczy. Nie mogę za ciebie wyjść po prostu

dlatego, że nie jesteś dostatecznie szacownym człowiekiem. A teraz chodźmy się napić – dodała.

– Okej – powiedział. – Dobra myśl.

Przekonała go. Nie miał zamiaru więcej do tego wracać. Urządzili coś w rodzaju oblewania faktu, że został przekonany. Upili się mocno i padłszy sobie w objęcia płakali, że nie mogą się pobrać. Kiedy Georgette wróciła z pracy, zastała ich w tym stanie, a gdy na jej pytania wyjaśnili, dlaczego tak jest, Georgette też się upiła i wszyscy spłakali się razem.

– Ona musi wyjść za kogoś, kto jest ponad wszelkie podejrzania i ma taką pozycję i autorytet, że byłoby niepodobieństwem, aby jego żona pracowała kiedyś jako kurwa – wyjaśniła Prewowi Georgette, która знаła plany Almy. – Strasznie smutne, co? Teraz rozumiem, dlaczego nie może wyjść za żołnierza, nawet za generała. Jakież to smutne! – Georgette znowu zaczęła płakać i mieszała sobie następny koktajl.

Była to wspaniała uroczystość i trwała prawie całą noc. Opowiedział im wszystko o mieście Harlan w Kentucky. Alma opowiedziała im z kolei o swoim miasteczku w Oregonie; Georgetta, która urodziła się i wychowała w Springfield, w stanie Illinois, opowiedziała im o gmachu parlamentu stanowego, o pałacu gubernatora i o mauzoleum Lincolna, co do którego pewni ludzie podejrzewali, że zostało tajemniczym sposobem ogołoczone ze swoich szacownych szczątków.

Była to także bardzo stosowna uroczystość, bo potem mieli się nie widzieć przez dłuższy czas, choć wówczas żadne z nich trojga nie domyślało się tego.

Gdy wrócił do koszar, mocno przepity, w sam czas na apel poranny, zastał na tablicy wywieszony rozkaz w sprawie zajęć. Wyruszyli w pole na dwa tygodnie w celu przeprowadzenia nowych ćwiczeń przeciwsabotażowych. Udawali się na Hickam Field, ażeby strzec obwałowanych tam samolotów. W pułku krążyły pogłoski, że zbliżają się ćwiczenia przeciwsabotażowe, ale nikt nie wiedział, kiedy właściwie nadejdą. Prew niezbyt się martwił tymi dwoma tygodniami. Wolał życie w polu od garnizonowego. Dwa tygodnie w polu byłyby bardzo przyjemne, gdyby nie to, że nie mógł się stamtąd wyrwać, aby pojechać na Maunalani Heights.

Udało mu się wymknąć w zamęcie pakowania, pobiec do Choya i stamtąd zadzwonić do Almy na jej rachunek.

Almy nie było w domu, ale Georgette odebrała telefon, obiecała, że wszystko jej powtórzy, i życzyła mu powodzenia na ćwiczeniach. Powiedział jej, że dwa tygodnie to nie tak długo. Wtedy nie miał oczywiście pojęcia, że będzie to trwało dłużej niż dwa tygodnie, o wiele dłużej niż dwa tygodnie, o trzy miesiące Obozu dłużej niż dwa tygodnie. Gdyby się był domyślał, zapewne przekazałby Almie inną wiadomość, ale sądził, że jakoś da sobie radę.

Myślał, że potrafi znieść Obróbkę właściwie bez końca, odkąd miał w mieście to swoje sanktuarium. I tak by może było. Jednakże okazało się, że Obróbka nie miała z tym nic wspólnego. To, co się stało, było typowe dla niego, jak by powiedział Warden. Prześladowała go ironia losu czy może on prześladował ją.

Długi wąż dużych, dwuipółtonowych ciężarówek z parku samochodowego wtoczył się ciężko, niezdarnie na dziedziniec i stanął przed budynkiem drugiego batalionu, po czym nastąpiła wielka ostateczna krzątanina i rozgardiasz, gdy wszyscy otwierali tornistry polowe, ażeby do nich wetknąć jakąś zapomnianą olejarkę czy szczoteczkę do czyszczenia lufy, a potem zapinali je na powrót. Drzwiczki szafek trzaskały metalicznie, gdy ludzie naciągali mundury polowe, składające się z burych wełnianych koszul otwartych pod szyją, spodni wetkniętych w getry i małych połówek z niebieską wypustką piechoty, które można było wsadzić do kieszeni, kiedy się nakładało talerzowaty hełm. Wyroili się ze schodów, ustawili w szyku, odliczyli, po czym przydzielono ich do ciężarówek i zaczęli wchodzić przez opuszczone tylne klapy, które następnie zamknięto i zaryglowano za nimi, a wielkie ciężarówki ruszyły kichając z rur wydechowych. To był ten rodzaj żołnierki, który Prewitt lubił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Właśnie wtedy, gdy obozowali na Hickam Field, ułożyli *Pieśń nadterminowych*.

Miała to być ta oryginalna, prawdziwa, jedna jedyna pieśń wojskowa i tak ją napisali. Omawiali to już od dawna, lecz nigdy dotąd tego nie zrobili. I pewno nie zrobiliby nigdy. Ale ponieważ Blum był w szkole podoficerskiej, Maggio w Obozie, a Prew nie miał żadnych szans wyjazdu do Maunalani Heights, więc on, Anderson i „Piętaszek” Clark znaleźli się nagle przez pewien czas bez żadnego innego zajęcia. Z tego zrodziła się *Pieśń nadterminowych*.

Roztasowali się biwakiem u stóp starego, opuszczonego nasypu kolejowego, który wysterczał goło z gąszczu lian i zarośli o kilkaset jardów za ogrodzeniem. Miejsce to znajdowało się po stronie pola ćwiczeń, niewidoczne z szosy Pearl Harbor – Hickam, wśród gąszczu w niskim gaju, gdzie grunt był otwarty, piaszczysty i gładki, jak gdyby niegdyś wypasiony przez bydło, pod sękatymi, gęstymi gałęziami, które nie pozwoliły odrosnąć podsyciu i dostarczały osłony. Następnie założyli trzysta jardów podwójnego płotu kolczastego, rozstawili łańcuch posterunków aż po bramę główną na północy i już byli w domu. Miejsce byłoby świetne, gdyby nie moskity. Rozpoczęli uregulowany tryb życia, mając na przemian dwie godziny służby i cztery godziny wolne przez całą dobę.

Były tam tylko dwie trzecie kompanii. Reszta rozlokowała się przy szosie do Kamehameha, o pięć mil na wschód, gdzie strzegła przed sabotażem podstacji elektrycznej, tak jak dwie trzecie strzegły przed sabotażem samolotów. Było to zadanie czysto przeciwsabotażowe. Używano tam nawet gotowego drutu spiralnego zamiast podwójnego płotu kolczastego. Drużyna bokserska została w Schofield, żeby trenować do zawodów kompanijnych.

Kapitan Holmes założył swoje stanowisko dowodzenia w miejscu, gdzie moskity nie były tak dokuczliwe. Stark ulokował kuchnię tam, gdzie była większość ludzi. Stark zgodził się, żeby kapitan Holmes zabrał sobie dwóch kucharzy i jeden z jego pieców polowych, jeżeli dostarczy własną obsługę, ale dalej nie ustąpił ani kroku. Okazało się to doskonale dla ludzi obozujących w Hickam. Im moskity nie przeszkadzały. Stark zawsze trzymał przez całą noc jednego kucharza albo kogoś z obsługi kuchennej z gorącą kawą i sandwiczami dla nich. Andy, który jako trębacz kompanijny był przydzielony do punktu dowodzenia, przyjeżdżał stamtąd co wieczór ze swoją gitarą w lekkiej ciężarówce przywożącej porucznika przeprowadzającego inspekcję posterunków. Porucznik ten zawsze walił prosto do kuchni. Wtedy Andy najbardziej się objadał. Kucharze zawsze go karmili, jeżeli był z porucznikiem.

Stark karmił każdego każdej chwili. A potem, kiedy porucznik Culpepper obchodził pieszo posterunki ze Starym Ikiem i kapralem służbowym, oni wdrapywali się z gitarami na wierzch nasypu, gdzie mogli pochwycić bryzę od kanału Pearl Channel, która odpędzała moskity, i zasiadali tam z gitarami tylko we trzech, a czasem we dwóch, jeżeli Prew albo „Piętaszek” akurat byli na służbie.

Prew miał swój posterunek na nasypie, o dwieście jardów w stronę bramy głównej. Wyrwał się z trzy- albo czterogodzinnego snu pod watowaną kołdrą, czując, jak czyjaś ręka tarmosi go za nogę przez siatkę przeciwmoskitową; jego świadomość wypływała powoli, sennie, jak piłka gumowa spod wody, po czym wyskakiwała na powierzchnię, w pełne, czujne przebudzenie, i wtedy widział Starego Ike'a lub „Wodza”, przeklinających go monotonnie w takt tarmoszenia za nogę.

– Obudź się. Obudź się, do cholery. Prewitt! No! Obudź się. Twoja zmiana już wstaje.

– Dobra, nie śpię – chrapliwym, sennym głosem. – Puśćcie tę nogę, psiakrew, już nie śpię.

– Na pewno się obudziłeś? – wciąż tarmosząc. – Jazda, wstawaj.

– Puszczajcie. Przecież mówię, że nie śpię – siadając, żeby to udowodnić, i łupiąc miękko głową jak w bęben w ukośne płótno namiotu, i usiłując zetrzeć z odrętwiałych mięśni twarzy nowokainę snu. A potem wygrzebywał się spod kołdry i siatki przeciwmoskitowej trzymając w ręku owinięte w spodnie buty, które służyły mu za zagłówek, wyczołgiwał się z gołym tyłkiem na dwór, aby tam stanąć i naciągnąć je, przeciskał się obok podtrzymującego namiot palika, ażeby nie obudzić „Piętaszka”, który miał trzecią zmianę, ale którego nigdy nie udawało mu się nie zbudzić, podobnie jak „Piętaszkowi” nigdy nie udawało się nie zbudzić jego przy wychodzeniu na służbę. Potem stawał boso w głębokim pyłe polanki, moskity brzęczały tryumfalnie na widok tej nowej gratki, jaką był goły zadek, a on czym prędzej naciągał spodnie, skarpetki i buty, ażeby oszczędzić sobie możliwie jak najwięcej ukłuć, sięgał w bezładną kupę rzeczy, aby wydobyć wełnianą koszulę khaki, kłując ciepłą wśród chłodu nocy, i nakładał ją radośnie na podkoszulek, którego miał nie zdjąć więcej niż jeden raz przez całe dwa tygodnie. Teraz, już zabezpieczony, mógł mniej pośpiesznie borykać się po ciemku z zawłościami sznurowania getrów. A potem parciany pas z nabojami owijał się wokoło ciała, obrzmiały jak pyton. Prew wyciągał spod kołdry i moskitiery chroniony tam przynajmniej choć trochę od kurzu i rosy karabin i potykając się ciężko pod pełnym rynsztunkiem, rozeźlony, półsenny, szedł pod zawsze lekko szumiącymi gałęziami przez pokrytą siecią korzeni, nakrapianą księżycem polankę, w stronę światełka latarni w namiocie kucharza, mającej buro poprzez brezent.

A w namiocie kucharza ludzie ze zmiany skupiali się milcząco, z zadowoleniem, wokoło benzynowego pieca polowego, który z rozkazu Starka zawsze się dla nich palił, i pili parzącą kawę o kokosowym zapachu puszkowanego mleka, tak jakby łykali duchowe natchnienie, między zaś jednym łykiem a drugim pogryzali specjalne sandwicze Starka z gorącym przypiekanym mięsem i serem, które rozeźlony kucharz (uważający, iż oni, nie Stark, są odpowiedzialni za fakt, że nie może się wyspać) przygotowywał dla nich niechętnie i które były równie odmienne w smaku od zimnego mięsa i sera na zwykłym chlebie, wydawanego normalnie przez podoficerów kasynowych, jak gorąca kawa była odmienna od zimnej.

Puszka mięsa o wierzchu przedziurawionym tasakiem. Gęsty biały płyn sączy się do manierki poprzez zakrzepłe, żółte zacieki z poprzednich nalewań, co prawie zakleiły otwór. Na to chochła tęczowo znaczona tłuszczem kawy z kotła, lejąca się czarną kaskadą. A potem ujęcie tego parującego ciepła w obie dłonie, na kształt własnej, osobistej grzałki, i radosne siorbanie kawy bez dotykania ustami parzącej krawędzi manierki, i smakowicie tłusty, gorący, przypiekany sandwicz z mięsem i serem, i nieme stanie w kupie wokoło pieca, niby barany czekające na rzeź, podczas gdy „Wódz” spogląda na nich z łagodnym współczuciem.

– No, teraz się pośpieszmy. Tamci na posterunkach czekają na zmianę. Za dwie godziny wy też, chłopaki, będziecie tak czekali i klęli jak wszyscy diabli, jeżeli następna zmiana spóźni się o minutę. Więc ruszcie się, żeby to już mieć za sobą.

A potem jeszcze raz napełnia się manierkę na drogę i bierze jeszcze jeden sandwicz, zawija się go w woskowany papier, który Stark nakazał kucharzom zostawiać dla nich (i którego normalnie podoficerowie kasynowi także nigdy nie wydają), zapina go się w kieszeni koszuli khaki, czując jego ciepło na piersi, i odchodzi pozostawiając rozeźlonego kucharza, który jest niezłomnie przekonany, że tutaj pieszczą się z nimi; „Wódz” roztropnie pozostaje w kuchni, gdzie jest kawa, a zmiana zaczyna się wspinać po stromej ścieżce wiodącej za namiotem kuchni na wierzch nasypu.

Możliwe, że jakaś cząstka *Pieśni nadterminowych* zrodziła się także i z tego.

Po rozprawieniu zmiany stawał na posterunku i z pełnym napięciem ożywieniem, które rodzi nocna służba wartownicza w polu, obserwował reflektory samochodów na szosie, sunące za ogrodzeniem i skręcające w kierunku północnym, ku jasno oświetlonej bramie głównej, zwalnające przy posterunku kontrolnym korpusu wojsk lotniczych, a potem jadące ku skupisku odbitych przez chmury światła, którym było Hickam Field, o milę dalej na zachód. I patrzył na nie czując, jak senność wycieka z niego niby woda, patrzył z pełną napięciem uwagą kangura czy jelenia, czy niedźwiedzia, który stoi nocą na zboczu góry i spogląda z podziwem na oświetlone pociągi wiozące myśliwych na otwarcie sezonu, i nie

uświadamia sobie ich znaczenia; patrzył na to nie jako człowiek, ale jako nieodłączna cząstka przyrody i samej nocy, tak jakby dwie samotne godziny spędzone w tej ciszy nareszcie wyparły go z ważnego jestestwa w tę wielką świadomość, o której wmówił sobie, że już w nią nie wierzy.

I wtedy potrafił na chwilę zrozumieć, że jeleni i inna zwierzyna może tak kochać myśliwych, którzy ją zabijają, tak samo jak rozumiał, że myśliwi znacznie bardziej kochają tę zwierzynę, którą tak usilnie starają się zabić, niż wszelkie humanitarne towarzystwa opieki nad zwierzętami. I gdyby to od niego zależało, nie chciałby wcale, żeby było inaczej. Dlatego że był żołnierzem i że w tej chwili widział to wszystko w kruchej, kryształowej jasności cienkiego szklanego kielicha ciszy, którym jest służba wartownicza w polu nocą, w ciągu ostatniej pół godziny przed zmianą.

Możliwe, że *Pieśń nadterminowych* zrodziła się także i z tego.

Usłyszał, jeszcze zanim go dojrzał, nadchodzącego po nasypie żołnierza, który miał go zmienić. A potem ów odgłos kroków przemienił się w Readalla Treadwella, który wynurzył się z ciemności wyglądając w pełnym oporządzeniu jak chodzący dom towarowy i opędzając się od moskitów.

– „Piętaszek” kazał ci powiedzieć, że będzie na południe stąd, przy drutach.

– A po kiego licha?

– Skąd mogę wiedzieć? Mówię ci to, co kazał.

– Okej – uśmiechnął się Prew. Odchrząknął. Zawsze odchrząkiwał. Po dwóch godzinach na posterunku zawsze mu się zdawało, że jego struny głosowe nie będą działały. – Musiałem go obudzić, kiedy wychodziłem – dodał.

– Tak? To szkoda, psiakrew. Czy ten cholerny porucznik już był?

– Nie, jeszcze nie.

Zabierze „Piętaszka”, a potem wezmą gitarę, przyjdą tu i poczekają na Andy'ego.

– To ja się z pewnością na niego napruję – rzekł z goryczą Readall Treadwell. – Ten drań nigdy nie przyjeżdża po jedenastej. Znów człowiek dziś oka nie zmruży.

– Tak? To szkoda – wyszczerzył zęby Prew. – Zawsze możesz podejść i pogadać z jakimś innym posterunkiem, i zakurzyć cichcem papierosa.

– Popieprz bąka – odparł Readall Treadwell. – Mnie potrzeba snu. A właśnie snu nigdy nie mam. Powiedz „Wodzowi”, żeby podesłał mi tu kogoś, jak zobaczy ciężarówkę! – zawołał za nim. – Jeżeli chce, żeby ten posterunek nie usnął.

„Wódz” Choate leżał spokojnie na wznak pośród skotłaszonych koców w swoim namiocie, który jego masywny korpus zdawał się rozsadzać. Czytał pod moskitierą komiksy przy świecy przyklepionej do hełmu. „Wódz” sypiał sam; w zwyczajnym, przepisowym

namiocie ledwie było dość miejsca dla niego, nie mówiąc już o towarzyszu noclegu, a kiedy wychodził w pole, co zdarzało się rzadko, zabierał dwie połówki namiotu zamiast jednej, odkąd magazynier Leva musiał z nim raz biwakować.

– Reedy prosił, żebyście kogoś przysłali, jak przyjedzie porucznik.

– To nie moja zmiana – odburknął „Wódz”. – Nie jestem na służbie.

– Ja tylko powtarzani to, co mi kazał powiedzieć.

– To wałkoń, psiakrew – odrzekł łagodnie „Wódz” wypuszczając z ręki otwartą broszurę, która opadła mu na piersi jak znaczek pocztowy. Przeciągnął się. – Jakby pod nim rozpałić ogień, jeszcze by wołał kogoś, żeby przyszedł go zgasić. No, dobra, załatwię to – dodał i zatopił się na powrót w przygodach Dicka Tracy.

„Piętaszek” był o całe sto pięćdziesiąt jardów potykania się w ciemnościach o korzenie, przy wielkim, luźnym półkolu podwójnego płotu kolczastego. Gadał przez druty z wartownikiem z korpusu wojsk lotniczych, pilnującym składnicy złomu po drugiej stronie drogi. Tutaj, gdzie druty skręcały raptownie od żwirowej drogi, biegnąc brzegiem jednej ze słona-wych sadzawek, przechodzących dalej w mokradła, na których żyły moskity, owady te były gorzej niż zajadłe. Zajadłe były w obozowisku.

– Co ty tu robisz, u diabła? – zapytał Prew, gdy podszedł opędzając się od huraganu wirujących, kłujących noży, które brzęczały mu zgłodniałe koło uszu.

– Gadamy z tym gościem o wojsku – uśmiechnął się „Piętaszek”.

– No, ale przecież nie musicie po to stać w tym cholernym bagnie. Niech szlag trafi te moskity!

Wisiały w powietrzu zmieniającymi się kalejdoskopowo, upiornymi chmurami, brzęcząc mu koło uszu jak oszalałe piły tarczowe; zawracały i rzucały się do ataku, niepochwytne niczym walczący konno Indianie.

– On nie może stąd odchodzić. Ma tam swój posterunek – „Piętaszek” skinął głową w stronę drogi. Uśmiechnął się. – Powiada, że najgorzej jest w korpusie lotniczym, a ja mówię, że w piechocie. Jak ty uważasz?

– Jedno i drugie cholere warte – powiedział Prew opędzając się od moskitów. – Takie jest moje zdanie.

– Chyba tak nie myślicie! – odezwał się wartownik lotniczy pełnym zgorszenia i zaskoczenia głosem.

– Nie? – odparł Prew, sam zaskoczony. – A niby dlaczego?

– Ja tylko żartowałem – wyjaśnił „Piętaszek”.

– No bo... – zaczął wartownik.

– To jest ten mój kumpel, Prewitt – uśmiechnął się do niego „Piętaszek” – o którym

wam mówiłem.

– A, to co innego – rzekł wartownik z korpusu lotniczego. – Nie wiedziałem.

– Nie trzeba zwracać uwagi na to, co mówi – uśmiechnął się „Piętaszek”. – On jest trzydziestoroczny w piechocie. Uwielbia ją. Powie wam o niej wszystko, co tylko chcielibyście wiedzieć.

– Fajnie – odrzekł tamten skwapliwie. Podszedł i wyciągnął oficjalnie rękę przez ogrodzenie. – Miło mi was poznać, Prewitt. Nazywam się Slade.

– Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o czym? – zapytał Prew ściskając mu dłoń.

– Ma zamiar przenieść się do piechoty – wyjaśnił „Piętaszek”.

– Do piechoty!

– Aha. Do kompanii. Naszej kompanii.

– Niemożliwe! Po kiego licha?

– Jak to po kiego licha! – odparł z podnieceniem wartownik Slade. – Bo wstąpiłem do wojska, żeby być żołnierzem, nie jakimś cholernym ogrodnikiem. Dlatego.

Prew przyjrzał mu się uważnie.

– Większość tych gości, których znam, próbuje się dostać do korpusu wojsk lotniczych.

– Ano, jeżeli im się uda, to pozałują – odparł Slade odganiając obojętnie hordy krążące wokoło jego głowy. – Chyba że mają ochotę być za ogrodników.

– Ogrodników? – zapytał Prew. – A ja myślałem, że każdy w waszym korpusie chodzi do jakiejś szkoły.

– Ha! – powiedział Slade. – Jasne. „Wstąp do korpusu wojsk lotniczych, a zdobędziesz fach”. Mój tata też tak myślał.

– Wasz tata? – spytał Prew.

– Tak, kiedy mnie namówił, żebym się zaciągnął.

– Aha – rzekł Prew.

– Gdybym miał odrobinę rozumu, byłbym wtedy poszedł do piechoty, tak jak chciałem od samego początku.

– Powiedziałem mu, że ty będziesz wiedział, jak to zrobić – rzekł „Piętaszek”.

– Co zrobić?

– Jak sobie załatwić przeniesienie do kompanii.

– A – powiedział Prew. – Jasne. Musicie po prostu pojechać do Schofield, jak wrócimy do garnizonu, zobaczyć się z dowódcą kompanii i...

– Do garnizonu – powtórzył Slade z entuzjazmem. – To piękne słowo, wiecie? Brzmi po żołniersku.

– Tak? – powiedział Prew. – Rzeczywiście? No więc musicie zobaczyć się z dowódcą, uzyskać jego zgodę na przeniesienie do jego kompanii, potem pójść do swojego sierżanta-szefa, doręczyć mu list od dowódcy kompanii i złożyć podanie. To wszystko.

– I więcej nic nie trzeba? – zapytał Slade. – A ja myślałem, że to będzie ciężkie. Rozumiecie, skomplikowane.

– Ja też – powiedział „Piętaszek”.

– Psiakrew – rzekł Slade. – Gdybym wiedział, że to takie proste, już bym to dawno załatwił.

– A co wam mogą zrobić? – zapytał Prew. – Wygryźć was z waszego stopnia?

– Ech – odparł Slade z obrzydzeniem. – To zwykła cywilna banda w mundurach. Cholera jasna, jak skończyłem okres rekrucki i przeprowadzili ze mną rozmowę klasyfikacyjną...

– Co przeprowadzili? – przerwał Prew.

– Rozmowę klasyfikacyjną – odrzekł Slade. – Bo złożyłem podanie o przyjęcie do szkoły uzbrojenia, żeby móc zostać kanonierem. A oni co zrobili? Posłali mnie do szkoły dla kancelistów na Wheeler Field i jak tylko ją

skończyłem, wpakowali mnie do zwyczajnego, cholernego biura. Szafki na akta, biurka i w ogóle. – Popatrzył na niego z oburzeniem.

– A, rozumiem – powiedział Prew. – I wykantowali was z tego stopnia, który wam się należał, tak?

– Cholera tam, stopień – odrzekł z oburzeniem Slade. – Nie siedziałem tam dość długo, żeby dochrapać się jakiegokolwiek stopnia. Cisnąłem to i poszedłem do służby wartowniczej. Psiakrew, mogłem siedzieć u siebie w Illinois i tyrać w jakimś zafajdanym biurze albo kosić trawę w ogrodzie. Nie musiałem po to zaciągać się do wojska i przyjeżdżać do Wahoo.

– Ale dlaczego wybraliście sobie piechotę? – zapytał Prew. – Z tego, co słyszę, większość gości z korpusu lotniczego nie ma wysokiego mniemania o nas, o piechocie.

– Zawsze lubiłem piechotę – odparł z zapałem Slade. – W piechocie są żołnierze, nie żadni cholerni cywile w mundurach. W piechocie trzeba naprawdę być żołnierzem.

– Piechota nie jest zła – odrzekł szybko Prew. – Jeżeli się ją lubi.

– Właśnie mówię – powiedział Slade z entuzjazmem. – Piechota to kręgosłup armii. Korpus wojsk lotniczych, artyleria, saperzy są tylko po to, żeby wspomagać piechotę. Bo w ostatecznym rachunku właśnie piechota musi zdobywać teren i trzymać go.

– Słusznie – rzekł Prew.

– W piechocie trzeba być żołnierzem – ciągnął Slade. – Piechota maszeruje i bije się

cały dzień, potem idzie popić i potaćzyć z babkami przez całą noc, a następnego dnia znów maszeruje i bije się od rana do wieczora.

– Jasne – powiedział z satysfakcją „Piętaszek”. – To dopiero jest męskie życie.

Prew obrócił głowę.

– A gdzie wyście się nauczyli tego wszystkiego? – zapytał. Do ucha dostał mu się moskit, więc go zgniół i wydłubał.

– Bo ja wiem – odrzekł Slade. – Pewnie gdzieś wyczytałem. Masę czytałem, jak byłem młodszy, w gimnazjum. Ale co człowiekowi daje czytanie, psiakrew? – zapytał gniewnie. – Ważne jest żyć, działać, coś robić. Czyta się przez całe życie i co się z tego ma?

– Nie wiem – powiedział Prew. – A co?

– Nic – odparł Slade. – Ot, co. Ni cholery. Ja wam, chłopaki, zazdroścę. Obserwowałem was, odkąd tu zjechaliście i zaczęliście stawiać te druty kolczaste. Pierwszorzędnie to robicie. – Chwycił jeden z długich kołków i potrząsnął nim energicznie. Kopnął jeden z krótkich. – Chciałbym umieć obchodzić się z drutem kolczastym tak doskonale jak wy.

– W tym jest coś ze sztuki – powiedział Prew.

– Pewnie, że tak. Patrzałem, jak je zakładaliście. Chciałbym to umieć robić.

– Trzeba mieć praktykę – powiedział Prew.

– Ma się rozumieć. Wiecie, odkąd się tu sprowadziliście, miałem ochotę przyjść pogadać z wami. Macie tu fajny obóz i tak wam się dobrze żyje razem. Nic, tylko się śmiejecie i śpiewacie. Fest pracujecie i fest się bawicie; to jest jednostka, w której człowiek powinien służyć. Nie wiedziałem, że to wy dwaj gracie na gitarach, póki on mi nie powiedział – wskazał głową „Piętaszka”. – Stąd, z drogi to naprawdę pięknie słychać po nocy. Wy zawsze bierzecie w pole te gitary?

– Jasne – odparł Prew. – Jak tylko można.

– W Hickam nigdy się nie słyszy czegoś takiego – powiedział Slade.

– Dziś też trochę pogramy, jeżeli się da – powiedział Prew. – Jak nasz kumpel przyjedzie tu z punktu dowodzenia. Chcielibyście przyjść posłuchać?

– Co, naprawdę? – odrzekł Slade skwapliwie. – Ja się wcale nie przymawiałem ani nic. Nawet się nie spodziewałem, że mógłbym przyjść.

– Będzie nam bardzo miło – rzekł Prew.

Z wierzchu nasypu widać było odbłask świateł Hickam Field na nocnym niebie. Co wieczór przeprowadzali tam ćwiczebne loty nocne i hangary były oświetlone jak puste teatry. Czerwone, niebieskie i zielone światełka mrugały z przelatujących wysoko w górze samolotów oraz wokoło ruchliwego ośrodka wieży. Od czasu do czasu jakiś reflektor

wymacywał brzuchy chmur.

O sto jardów za drogą samoloty B 18, ostateczny, niewdzięczny cel całego tego uregulowanego życia, rozstawione, by przydać realizmu ćwiczeniom, przycupnęły jak posępne ptaki w gnieździe swego obwałowania, wyglądając tak, jak gdyby miały za złe, że używa się ich jako atrap. Daleko po lewej można było zaledwie rozeznąć maszerującą drogą zmianę Slade'a.

– A może byśmy zagrali *Blues tysiąca mil*, póki czekamy na Andy'ego? – zapytał „Piętaszek” strojąc gitarę.

– Ja na to jak na lato – odrzekł Slade z zapałem i ulgą. – Kocham się w bluesach.

– To Andy ma coś dla was – powiedział „Piętaszek”. – Niedługo tu będzie.

Z drogi skręciła ciężarówka, natychmiast gasząc światła; potem usłyszeli, jak z warkotem wtacza się drugim brzegiem przez przerwę w ogrodzeniu. Wokoło ośrodka czerni utworzyła się grupka świateł, a następnie wszystkie ruszyły podrygując w stronę namiotu kuchni.

– Myślałem, że obowiązuje zaciemnienie – powiedział Slade.

– To porucznik przyjechał – odparł Prew.

– Aha – rzekł Slade.

Jedno ze świateł oderwało się od namiotu kuchennego, maleńkie i samotne z dala od innych, i ruszyło pod górę ścieżką. Przemieniło się w Andy'ego niosącego gitarę.

– Czy Stark był w kuchni? – zapytał Prew.

– Uhm – odrzekł Andy.

– Flachę miał?

– Nie, psiakrew. Przynajmniej nie było widać. Spał jak kamień. W każdym razie oczy miał zamknięte.

– Nie jest taki pijany – powiedział Prew.

– Ani ja – rzekł Andy. – Ale patrzcie, co mam. – Rozpiął koszulę i wyciągnął z zanadru butelkę.

– Ho, ho – powiedział „Piętaszek”. – Skądś ty to wytrzasnął?

– A, mam swoje sposoby – odrzekł Andy.

– No, gadaj – powiedział Prew. – Gdzie to dostałeś?

– Wcale nie dostałem – uśmiechnął się Andy. – Warden gdzieś to załapał. Odkupiłem od niego. Ten drań potrafiłby wynaleźć whisky na bezludnej wyspie. Przyjechał z nimi ciężarówką, pijany w cegłę.

– A porucznik nic na to nie powiedział?

– Cholera, przecież wiesz, że porucznik nigdy nic nie powie Wardenowi. Na żaden

temat.

– Kto to jest Warden? – zapytał Slade.

– Sierżant-szef – odpowiedział Prew. – Nazywa się Warden. – Przedstawił Slade'a Andy'emu i zaanektował butelkę dla Slade'a.

– Już idą – powiedział Andy wskazując światła, które wysunęły się z namiotu i ruszyły na obchód posterunków. – Jest tylko trzech. Pewnie Warden idzie z nimi.

– Ano, mamy jeszcze przynajmniej godzinę – rzekł Prew.

– Podaj mi ton – poprosił Andy „Piętaszka”.

– Daj butelkę – rzekł Prew do Andy'ego. – Macie, Slade. Chcecie jeszcze łyk?

– O rany – powiedział radośnie Slade. – O rany. Ale wy macie życie, chłopaki!

– Tak myślicie? – zapytał Prew. – Nie najgorsze, co? Ciekaw jestem, po co tu przyszedł Warden – powiedział.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Milt Warden sam nie bardzo wiedział, co tu właściwie robi. Wyjechał z punktu dowodzenia pierwszym odchodzącym pojazdem, pod wpływem pijackiego impulsu, dlatego że mu się tam nie podobało i że miał dość patrzenia na coraz mniej arystokratyczną, a coraz bardziej księżycową twarz kapitana Holmesa. I znalazł się w tej zakazanej, pełnej moskitów dziurze z młodym porucznikiem Culpepperem. Patrząc na porucznika Culpeppera nie mógł się zdecydować, co jest gorsze.

Na stanowisku dowodzenia miał chwilami wrażenie, że kapitan Holmes potajemnie wyśmiewa się z niego, tak jakby znał jakąś sekretną, strasznie zabawną historię na jego temat. Milt Warden nie miał zamiaru zakochać się w żonie kapitana Holmesa, chciał tylko odegrać się na nim za to, że jest cholernym oficerem. Tamto go zaskoczyło i ostatnio nabierał śmiesznej, ale coraz wyraźniejszej skłonności do obciążania za to osobistą odpowiedzialnością kapitana Holmesa. Gdyby ten drań dbał o własną żonę, tak jak powinien każdy porządny człowiek, nigdy by się to nie stało. A Milt Warden, zamiast być głęboko zakochany, mógłby zwyczajnie cieszyć się życiem.

Milt Warden spotkał się z Karen Holmes jeszcze dwa razy po dniu wypłaty. Za pierwszym razem znowu spędzili noc w „Moanie”. Za drugim poszli na noc do hotelu „Alexander Young” w centrum miasta, wychodząc z założenia, że lepiej jest zmieniać miejsce. Oba spotkania skończyły się wielką dysputą na temat tego, co powinni zdecydować. Oboje zgadzali się, że dalej tak trwać nie może. Oboje zgadzali się, że nie mogą przestać się kochać. W końcu Karen zaproponowała takie rozwiązanie, żeby Milt przeszedł jeden z kursów zaocznych, które nabrały dużego znaczenia wraz z pokojowym zacięciem, i został oficerem.

Mówiła, że gdyby był oficerem, odesłano by go automatycznie do Stanów, do nowej jednostki, gdzie nikt z żołnierzy by go nie znał, a wtedy ona mogłaby pojechać z nim. Gdyby został oficerem, mogłaby rozwieść się z Holmesem i wyjść za niego zostawiając Holmesowi następcę tronu. Natomiast jedno było pewne: że nie może tego zrobić, dopóki Milt

jest podoficerem, a zwłaszcza podoficerem w kompanii jej męża. Karen uważała, że z Milta byłby naprawdę świetny, pierwszorzędny oficer.

Milt Warden był tym nie tylko głęboko wstrząśnięty, ale i upokorzony. Nie dlatego, żeby nie chciał uczynić wszystkiego w ramach rozsądku, ale uważał, że to są za duże wymagania. I po raz siódmy postanowił nie widywać się z nią więcej. Była to jedna z przyczyn, że się upił.

– Chodźmy coś zjeść – rozkazał porucznik Culpepper, kiedy szeregowiec Russell wyłączył motor. Zapalił latarkę. Był to dla pozostałych sygnał do uczynienia tego samego. – Żeby robić inspekcję akurat w takim parszywym, zasranym miejscu! – powiedział porucznik Culpepper z goryczą. – Chyba już pora, żebyśmy przy tym rozroście armii dostali wreszcie jakichś młodszych oficerów.

Warden wygramolił się z ciężarówki szczerząc do niego dziko zęby. Porucznik Culpepper odwrócił wzrok i ruszył do namiotu kuchennego. Nie miał pojęcia, po jakiego diabła sierżant-szef chciał tu w ogóle przyjechać. Nie lubił przebywać z sierżantem Wardenem, czuł się przy nim nieswojo. Chwilami miewał niemiłe podejrzenia, że Milton Anthony Warden jest wariatem. Najwyraźniej miał wszystko gdzieś.

Warden zaczekał, aż porucznik Culpepper i Anderson odeszli, po czym chwycił za ramię szeregowca Russella i przyciągnął do siebie.

– Słuchaj, draniu – szepnął zaciekle. – Jeżeli się nie zjawię w porę, żeby wrócić ciężarówką z wami, łobuzy, masz tu po mnie przyjechać o drugiej, rozumiesz?

– Rany boskie, szefie! – zaprotestował Russell wyobrażając już sobie bezsenną noc w namiocie, z zegarkiem w ręku.

– Nie masz nic do gadania – odparł Warden. – Słyszałeś, com powiedział.

– A co szef będzie tu robił, do licha? – zapytał Russell. Warden uśmiechnął się chytrze do niego, unosząc brwi.

– Tu nie ma kobiet ani nic – dodał Russell. Warden tylko wyszczerzył do niego zęby.

– No to przynajmniej niech szef da mi coś łyknąć – ustąpił Russell. Warden wyciągnął butelkę spod siedzenia, gdzie była schowana.

– Możliwe, że już tu będę, żeby wrócić z wami – powiedział, gdy tamten pił. – To tylko na wypadek, gdyby mnie nie było, kapujesz? Ale jakbym się nie zjawił, a ty byś po mnie nie przyjechał, to ci bebechy wy-pruję. – Ścisnął potężną dłońią przedramię Russella dla podkreślenia swoich słów.

– Oj! Dobra – powiedział ze znużeniem Russell. – No przecież mówię, że dobra, nie? Niech szef weźmie tę butelkę.

– Okej – uśmiechnął się Warden. – Tylko nie zapomnij, słyszysz? A teraz zjeżdżaj – powiedział i trzepnął go mocno w pośladki na pożegnanie. Zaczekał, aż Russell zniknął, po czym ukrył butelkę między korzeniami drzewa keawe i ruszył za nim.

Stark siedział na krzeselku polowym, kiedy obaj z Russellem weszli unosząc skrzydło namiotu. Kucharz stał z porucznikiem przy piecu, przygotowując dla nich sandwicze. Stark nie wstał i nie ustąpił miejsca porucznikowi.

– Hello – wyszczerzył do niego drapieźnie zęby Warden.

– Hello – odparł Stark głucho. Więcej nie odezwał się do tamtych ani słowem. Nie spojrzął na nikogo i nie poruszył zwieszonymi przez drewniane poręcze krzeselka rękami.

Andy wyszedł pierwszy, niosąc w jednej ręce gitarę, a w drugiej sandwicza. Następnie wyszedł porucznik z Russellem i kapralem na obchód posterunków. Warden został w namiocie. Kucharz położył się na stole.

– Słuchaj, ty – odezwał się Stark.

– Kto, ja? – zapytał kucharz siadając.

– Tak, ty – odparł Stark. – A niby do kogo mówię, psiakrew?

– A bo co? – zapytał kucharz. – O co chodzi? Stark targnął głową.

– Wynoś się – powiedział. – Spływaj. Mdli mnie, jak się na ciebie patrzę.

– No, ale gdzie ja pójdę? – zapytał kucharz.

– Do łóżka i spać – odparł Stark. – Wyglądasz jak trzy ćwierci do śmierci. Nie mogę na ciebie patrzeć. Ja tu posiedzę przez resztę zmiany. Wolę to niż patrzeć na ciebie.

– Ale co będzie jutro z moim wolnym dniem? – zapytał kucharz.

– Dostaniesz swój wolny dzień – odrzekł Stark. – Ty parszywy wałkoniu. A teraz spierdalaj.

– Dobrze – powiedział kucharz udając zmartwionego. – Jeżeli tak chcesz, Maylon. – Zniknął i już go nie było, zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć słowo.

– Co ci się stało? – zapytał Warden.

– Nic – odparł Stark złowieszczo. – A tobie?

– Ty jesteś cholerny cierpiętnik – powiedział Warden. – Żeby tu siedzieć całą noc, kiedy nie musisz.

– Może tak mi się podoba – rzekł Stark. – Co ci do tego?

– Jesteś pijany – powiedział Warden.

– Ty też – odrzekł Stark.

– Jasne – roześmiał się dziko Warden. – I chcę się spać jeszcze bardziej. Gdzie ta twoja cholerna butelka?

– A może miałem powód, żeby się go pozbyć? – napomknął mgliście Stark. Odchylił się w krzesło i wyciągnął butelkę spomiędzy skrzynki na naczynia i ścianki namiotu i podrzucił ją Wardenowi. – A gdzie twoja butelka?

– Na punkcie dowodzenia – skłamał Warden. – Pusta.

– Taaak? – powiedział Stark z zainteresowaniem. – To pijmy z mojej.

– Dziękuję – rzekł Warden. – Chętnie.

– To ci się przyda – powiedział Stark. – Chcę z tobą pogadać.

– Daj sobie z tym spokój – odparł Warden znad butelki. – Mam teraz wolną chwilę. I

nie jestem w nastroju do słuchania pijackich narzekań.

Ty razem z twoją cholerną kuchnią jesteście jak para wyschniętych starych panien. Nie mam ochoty na oficjalne rozmowy. – Oddał mu butelkę.

– To nie będzie nic oficjalnego – powiedział złowieszczo Stark. – Sprawa prywatna. Słyszałem, że wzięłaś sobie nową przyjaciółkę.

Warden właśnie szedł, aby przysiąść na pniu do rąbania mięsa. Nie zatrzymał się. Nawet nie przystanął. Podeszedł do pnia i usiadł niedbale, myśląc, że to jest tak, jak gdyby ktoś nagle włączył radio. Czuł, jak w jego umyśle tamten aparat szerokiego zasięgu nastraja się, zaczyna nagrzewać i nadawać sygnały, walcząc ciężko z zakłóceniami czerwonej mgły wściekłości, która przez cały wieczór wisiała w jego mózgu. Zapalił papierosa zastanawiając się abstrakcyjnie, co zwycięży. Kiedy już usiadł, usadowił się wygodnie i założył nogę na nogę, spytał:

– Tak? A gdzieś to słyszał?

Stark ciągle patrzył na niego w zamyśleniu.

– O – powiedział łagodnie. – Mam swoje sposoby dowiadywania się o różnych rzeczach.

– Taaak? – powtórzył Warden. – A może byś użył tych samych sposobów, żeby dowiedzieć się, jak pilnować swojego zasmarkanego nosa?

– A jeżeli nie chcę? – odparł Stark. Nie wstając z miejsca zamachnął się prawą ręką i rzucił mu butelkę. Warden ją złapał.

– Może będziesz musiał – powiedział Warden. Spojrzał bez przekonania na długą brązową butelkę, potem otworzył ją i napił się. Następnie zakręcił kapsel i odrzucił ją z niesmakiem Starkowi. – Jak żeś się tego dowiedział? – zapytał.

Nie poruszywszy się na krześle, Stark podniósł niedbale prawą rękę i schwycił butelkę. Opuścił luźno ramię przez poręcz krzeselka i postawił butelkę na ziemi.

– Mniejsza o to, jak się dowiedziałem – odparł. – Mniejsza o to. Ważne, że wiem. Ważne, że o tym wie cały garnizon. Już ci kiedyś mówiłem, żebyś z tym uważał, bo się sparzysz. Powiedziałem ci wszystko na ten temat. Wiem o tym coś niecoś, bo sam to miałem w Bliss.

– Dobre było? – zapytał Warden w zamyśleniu.

– Nie – odrzekł Stark. – Tak. Czy ja wiem. Fakt, że wtedy jeszcze się na tym nie znałem i nie mogłem ocenić. Nieważne. Idzie o to...

– Przerwał i potrząsnął głową. – Myślałem, że jesteś mądry człowiek – powiedział.

Warden podniósł się z pnia, który stał obok krzesła, obszedł je naokoło i schylił się po butelkę. Był sposób, żeby to załatwić. Są sposoby, żeby załatwić każdą rzecz. Trzeba tylko

uważać. Ale człowieka tak męczy to ciągle uważanie.

– Chcę wiedzieć, jak to wyniuchałeś? – ryknął nagle, z niespodziewaną gwałtownością, nieomal prosto w ucho Starkowi.

– Widziałem was w hotelu „Alexander Young” – odrzekł spokojnie Stark. – Niecały tydzień temu. Pewnie z dziesięć tysięcy innych żołnierzy ze Schofield też was widziało. Tyś chyba zwariował.

– Możliwe – wyszczerzył zajadle zęby Warden. Cofnął się z butelką zwieszoną w rękę, w lewą rękę. – No i co masz zamiar z tym zrobić, do jasnej cholery? Czy może jeszcze się nie namyśliłeś?

– Ach, tak! – powiedział Stark. – Więc nie przecyzysz, co?

– Po diabła miałem przeczyć? Przecież mnie widziałeś, nie?

Stark wyprostował się po pijacku, oficjalnie, na krzesle polowym i popatrzył na niego drewnianym wzrokiem.

– Już się namyśliłem. Co z tym zrobić. I nic tego nie zmieni, żebyś nie wiem co gadał. Nawet nie warto próbować.

– Jeszcze nie próbuję – powiedział Warden.

– Na nic ci się nie przyda. Lepiej daj sobie spokój. Jak sam nie potrafisz dbać o siebie, sierzancie-szefie, to ktoś musi to zrobić za ciebie. I wygląda na to, że tym wybranym jestem ja.

Nie wyjdiesz dziś z tego namiotu, sierzancie-szefie – ciągnął uroczyście Stark krzyżując ramiona przed wygłoszeniem wyroku – dopóki nie dasz żołnierskiego słowa honoru, że więcej nie będziesz miał nic wspólnego z tą dziwką.

– Phi! – parsknął Warden. – Żołnierskiego słowa honoru, co? I nie wyjdę z tego namiotu, tak?

– Nie masz już żadnego szacunku? – odparł Stark. – Dla tego wojska, w którym służysz? Dla ojczywego munduru, który nosisz od tylu lat? Wstydz się. Hańbisz te naszywki, co masz na rękawie, sierzancie-szefie.

– Sram na to – warknął Warden. Stark potrząsnął głową.

– To moje ostatnie słowo. Jestem zdecydowany. Nie wyjdiesz z tego namiotu, póki nie obiecasz. Moje ostatnie słowo, sierzancie-szefie.

Warden prychnął:

– Ostatnie słowo, co? Grozisz mi?

– Ty nie wiesz, czym ona jest? – krzyknął gwałtownie Stark machając rękami. – Nie widzisz, co ona z tobą robi? To straszna baba! Okropna! Nie znasz jej tak jak ja, sierzancie-szefie. To parszywa cholerna kurwa, gorzej niż kurwa, ona jest... Córka jakiegoś cholernego

bogatego zwyrodnialca. Przecież ona by... – Zacisnął usta i skrzyżował ramiona. – Ale ja nie pozwolę. Obiecasz mi, sierżancie-szefie, albo...

– Albo co? – zapytał Warden,

– Uważaj – powiedział Stark. – Ty ze mną nie zaczynaj, sierżancie-szefie. Znam cię na wylot. Preem ostrzegł mnie przed tobą, jak odchodził, sierżancie-szefie. Ale ja wiem, jak cię załatwić. Jest tylko jeden sposób na takich jak ty, i ja go znam. – Zacisnął jeszcze ostateczniej ręce skrzyżowane na piersiach. – Czekam, żebyś obiecał – powiedział.

Warden wciąż patrzył na niego w zamyśleniu. Stark był pijany, jutro o tym zapomni. I jutro Milt Warden będzie znów widział tę samą tryumfującą twarz, którą zobaczył na ścianie klatki schodowej tamtego dnia, kiedy skaleczył sobie rękę.

– Obiecał! – ryknął nagle. – Ja ci dam obietnicę, ty sukinsynu. Nie wolno ci tak gadać o kobiecie, którą kocham!

Zamachnął się z satysfakcją, wzmacniając radośnie ten zamach całym swoim ciężarem, i ze wszystkich sił uderzył Starka, siedzącego z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Skrzyżowane ręce rozleciały się na boki, a krzesło runęło w tył, wyrzucając Starka karkiem na ziemię, między pień do rąbania mięsa a skrzynię do naczyń; nieomal zanim dotknął ziemi, już wierzgał nogami starając się podnieść. Poderwał się jak piłka gumowa, chwyciwszy się rękami pnia i skrzyni, i usiłował wyplątać stopy spod płóciennego siedzenia krzesła, a jego rozwarte usta ryczały bełkotliwie.

Wyrwał topór z pnia i ruszył na Wardena jak powolna burza gromowa, z ustami rozwartymi szeroko, rycząc. Wściekły, nieprzytomny, znieważony, wypełniał namiot swym wrzaskiem, tak jak gaz wypełnia szczelny balon.

Warden cofnął się radośnie i cisnął butelką, którą miał w zwieszanej lewej ręce. Stark uchylił się, nawet nie mrugnawszy wytrzeszczonymi oczyma ani nie zamknawszy ust, i szedł dalej. Butelka trzasnęła w pień do mięsa i rozprysła się na kawałki.

Warden wyśliznął się pod skrzydłem namiotu i zaczął biec słysząc, jak topór uderza w brezent ścianki i rozpruwa ją z odgłosem podobnym do szarpniętego zamka błyskawicznego. Pognał ścieżką na oślep w ciemnościach, aż trzasnął głową o gałąź znajdującą się na wysokości jego czoła i poczuł, jak biegnące nogi wymykają się spod niego, upadł na płask w tył usiłując pochwycić powietrze w puste, sparaliżowane płuca. Słyszał ryk i przekleństwa Starka macającego w ciemności po ziemi w poszukiwaniu topora.

Warden poczołgał się, jak żołnierz pod ogniem, w zarośla rosnące za nim obok ścieżki. „No, teraz to załatwiłeś – powiedział do siebie, gdy tylko zdołał odetchnąć znowu. – Teraz nawarzyłeś piwa. Jedyne człowiek w kompanii, który potrafił być kucharzem, nie

mówiąc już o dobrym podoficerze kasynowym”. Ale nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Stark miał tak durnie zaskoczoną minę, kiedy tam stał z toporem w garści, rycząc niczym wykastrowany byk.

Leżał w krzakach, usiłując stłumić śmiech, i słuchał, jak Stark krąży na chybił trafił po ścieżkach szukając go, wrzeszcząc i klnąc, i rąbiąc toporem w gałęzie drzew.

– Gówna warta! – ryczał Stark w ciemnościach. – Gorsza od zapieprzonej kurwy. Cholerę warta. Życie mi zmarnowała, zdzira. Ja mu pokażę. To zaraza. Gdzie on polazł? Ja go zabiję. Pokażę mu. Sukinsyn! Gdzie on jest?

Warden słuchał oddalającego się głosu trzęsąc się w milczeniu od zabutelkowanego w nim śmiechu. Co by ten spity drań zrobił, gdyby mu powiedział prawdę? Że Holmes najpierw zaraził ją tryniem? Pewnie by złapał ten topór i pognał na punkt dowodzenia szukając dowódcy kompanii. Warden leżał bez ruchu i czekał trzęsąc się w milczeniu od niepohamowanego śmiechu i usiłując odpędzić chmury moskitów, które próbowały dobrać mu się do gardła niczym sfora zajadłych posokowców. W armii rzymskiej wymagali od każdego żołnierza, żeby wykonywał ćwiczenia z dwukrotnie

większym obciążeniem niż podczas prawdziwej walki. I oni podbili świat. My powinniśmy zdobyć przynajmniej tyle samo.

Niedługo potem Stark wrócił do namiotu. Ale Warden tego się spodziewał. Słyszał brzęk kawałków szkła, kiedy Stark zbierał szczątki, a potem łoskot i grzechot, kiedy wciąż klnąc rzucał je skrupulatnie do kubła na śmieci; wreszcie Stark wyszedł i zaczął go szukać znowu, tym razem w przebiegłym milczeniu.

Z wierzchu nasypu dolatywało wciąż dźwięczne brząkanie gitar. Grali tam bluesy, stare bluesy jeden po drugim. *Blues Saint Louis* i *Birmingham*, i *Memphis*, i *Kierowców ciężarówek*, *Żniwiarzy*, *Murarzy*, *Tysiąc mil*. „Piętaszek” Clark poddawał rytm i śpiewał, a Anderson unosił się, opadał i krążył za nim jak uwiązany sokół.

„Cholerne wariaty – chichotał Warden zmagając się z moskitami. – Żeby tam siedzieć i dawać się zżerać moskitom, kiedy mogliby spać sobie w łózkach”. Zaczął się znowu śmiać. Stark wciąż buszował z trzaskiem po zaroślach.

Żaden zafajdany pichcik z Teksasu nie będzie mówił Miltonowi Anthony'emu Wardenowi, z którą kobietą może się spotykać, a z którą nie. Jeżeli ma ochotę spotykać się z Karen Holmes, to, na Boga, będzie się z nią spotykał.

Leżał uradowany, śmiejąc się i słuchając, jak Stark przedziera się przez krzaki i klnie; słyszał też dźwięki gitar.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

– Posłuchajcie tego – powiedział Andy.

– Zasuwasz – rzekł „Piętaszek” przygłuszając dłonią struny swojej gitary.

Wszyscy przestali rozmawiać, a Andy w tym uważnym milczeniu, którego miał prawo wymagać jako wytrawny wirtuoz, przebiegł przez progresję akordów w zmniejszonej tonacji minorowej, będących jego najświeższym dodatkiem do serii, którą układa! przez cały wieczór.

Dźwięki wybiegły z pudła gitary niby delikatny, zawity filigran, i na koniec opadły w zmniejszoną nonę, która, rzekłbyś, zawisała w przestrzeni nasycając wszystko niesamowitą melancholią, jak pojedynczy dźwięk, który zanikał w powietrzu niczym wznoszący się wodorowy balon.

Spod owych dźwięków patrzył na nich obojętnie Andy, z mocno znudzoną, drewnianą twarzą, siedząc na podwiniętych nogach, tak jak siedział zawsze, gdy grał. W ciszy znów uderzył te same akordy.

– Te, człowieku! – powiedział z uwielbieniem „Piętaszek”, jak początkujący menażer do kapitana piłkarskiej drużyny. – A skądże ty to wytrasnął?

– A tam – odparł leniwie Andy. Wydał usta. – Tak jakoś mi podleciało.

– To dopiero jest blues! – powiedział „Piętaszek”. – Nie ma jak bluesy.

– Słusznie – rzekł Prew. – Mamy pomysł własnego bluesa – wyjaśnił Slade'owi. – Wojskowego bluesa pod tytułem *Pieśń nadterminowych*. Jest *Pieśń kierowców ciężarówek*, *Pieśń żniwiarzy*, *Pieśń murarzy*. My sobie ułożymy pieśń żołnierzy.

– Ho, ho – powiedział Slade z podnieceniem. – To fajne. Byczy pomysł. Powinniście ją nazwać *Pieśń piechoty*. O Jezu, jak ja wam zazdroszczę, chłopaki!

– No, jeszcześmy tego nie zrobili – rzekł Prew.

– Ale zrobimy – powiedział „Piętaszek”.

– Słuchajcie – odezwał się z zapalem Slade. – Dlaczego nie użyjecie na swojego bluesa tej melodii, którą Andy grał przez chwilę? Powinniście tak zrobić. To byłby pierwszorzędny motyw na bluesa.

– Czy ja wiem – odparł Prew. – Jeszcześmy tego całkiem nie opracowali.

– Nie, ale słuchajcie – ciągnął Slade z entuzjazmem. – Moglibyście to zrobić? – zwrócił się skwapliwie do Andy'ego. – Przecież z tego wyszedłby blues, nie?

– Ano, chyba tak – odrzekł Andy. – Myślę, że bym mógł.

– Macie – powiedział Slade z podnieceniem. – Napijcie się. – Wręczył im butelkę. –

Zróbcie z tego bluesa. Wykończcie to. Powtórzcie pierwszą linijkę z małą wariacją, a potem poprowadźcie do trzeciej z majorowym zakończeniem. Wiecie, przepisowy blues dwunastotaktowy.

– Okej – ziewnął Andy. Otarł usta wierzchem dłoni, oddał butelkę, wziął gitarę i powrócił do swego odosobnionego, zamkniętego obcowania ze strunami.

Słuchali, kiedy przebierał po nich palcami. A potem im zagrał. Były to te same drwiąco-urzekające minorowe dźwięki, tylko tym razem ujęte w ramy dwunastotaktowego bluesa.

– Takeście chcieli? – zapytał Andy skromnie i znowu odłożył gitarę.

– O właśnie – odrzekł z podnieceniem Slade. – Fantastyczny blues. Założę się, że mam w domu z pięćset płyt, a przeszło połowa to bluesy. Ale żaden z tych, jakie słyszałem, nawet się nie umywa do tego. Z *Saint Louis* włącznie.

– E, tam – powiedział Andy skromnie. – Taki dobry to on nie jest.

– Nie, naprawdę – odparł Slade. – Psiakrew, człowieku, ja jestem zbieraczem bluesów. Słuchajcie – rzekł. – Zagrajcie go jeszcze raz, dobrze?

Andy otarł usta i zagrał.

– O Jezu – powiedział Slade. – Słuchajcie – dodał z zakłopotaniem. – Teraz, kiedy już macie melodię, może byście od razu ułożyli słowa.

– E, on będzie pamiętał tę melodię – rzekł Prew. – Zawsze możemy to zrobić kiedy indziej, jak wrócimy do garnizonu. Nie zapomnisz melodii, co, Andy?

– Bo ja wiem – wzruszył pośepnie ramionami Andy. – Przecież to nic nadzwyczajnego.

– Nigdy nie trzeba niczego odkładać – powiedział Slade bliski uniesienia. – Zanim się człowiek połapie, już tego nie ma.

– Nie mamy pióra ani ołówka – rzekł Prew.

– Mam notes i ołówek – odparł skwapliwie Slade wyciągając jedno i drugie. – Zawsze noszę przy sobie. Żeby sobie zapisywać różne myśli, wiecie. No, chodźcie, napiszmy to zaraz.

– Psiakrew – powiedział Prew z zakłopotaniem. – Kiedy nie wiem, jak zacząć.

– Namyślcie się – odparł z zapalem Slade. – Wszystko można wymyślić. Przecież to o wojsku, nie? O służbie nadterminowej. Słuchajcie – dodał. – Zaczynjcie od tego, jak facet zostaje zwolniony i zapłacony.

Andy wziął gitarę i zaczął grać powoli, w zamyśleniu melodię w minorowej tonacji. Nieomal szaleńczy entuzjazm Slade'a był zaraźliwy. Slade w podnieceniu wlewał w nich energię, podobnie jak Angelo Maggio, kiedy podkręcał się chcąc wygrać w pokera – pomyślał Prew.

– Dajcie no tu latarkę, żebyśmy coś widzieli – rzekł.

– Myślicie, że wolno zapalić światło? – zapytał Slade.

– Jasne – odparł Prew. – Cholera, przecież porucznik i tamci wszyscy mieli pozapalane latarki, nie? – Skierował światło na notes.

– Jak wam się to podoba na początek? – zapytał. – *W poniedziałek żołąd dostałem.* Zapiszcie. Możemy zacząć od poniedziałku, kiedy facetowi wypłacają, a potem jechać przez wszystkie dni tygodnia aż do następnego poniedziałku, kiedy zaciąga się nadterminowe.

– Fajnie! – zawołał Slade z podnieceniem. Zapisał to. – *W poniedziałek żołąd dostałem.* Co dalej.

– *Już nie żołnierz, tylko pan* – powiedział cicho Andy, wciąż grając.

– Byczo! – zawołał Slade. Zapisał te słowa. – Co dalej?

– *Kieszon pełna, że aż pęka* – wyszczerzył zęby „Piętaszek”. – *Świat przede mną, kiedy mam tyle tych forsiaków nowych.*

– *Żołąd nadterminowych* – dokończył Prew.

– Fajnie! – krzyknął Slade. – Byczo! Czekać, niech zapiszę. Za szybko leciecie, jak na mnie.

Andy ciągle grał cicho te same natrętne linijki, znowu i znowu, jak gdyby jego umysł całkiem się w nich pograżył.

– A może teraz: *Więc we wtorek hotel, pokój?* – zapytał Slade.

– Powiedzmy: *Zabrałem forszę do miasta* – zaproponował Prew. – To brzmi bardziej po wojskowemu – dodał myśląc o Angelu Maggio.

– Ale się nie rymuje – powiedział Slade. – To znaczy nie pasuje rytm. No, wiecie.

– Nie – rzekł cicho Andy. – Weźmy tylko pierwsze słowa.

– No dobra – powiedział Slade i zapisał.

– *Łoże wielkie, że tchu brak* – powiedział z podnieceniem „Piętaszek”, nagle rozochocony.

Wszyscy byli teraz rozochoceni, zapaleni entuzjazmem Slade'a. Przypominali cztery posągi stojące na rozkraczonych nogach wpośród elektrycznej burzy i wydzielające z rozcapierzonych spłaszczonych palców iskry, które przeskakują z jednego na drugi i z powrotem.

– *Pracę znajdę sobie jutro* – powiedział Prew.

– *Dziś mnie może trafić szlag* – dodał cicho Andy grając.

– *Czas wyzyskaj, pókiś zdrowy. Czas nadterminowych* – roześmiał się z zachwytem Slade, pisząc szybciej.

– *W środę idę pić do baru* – powiedział Prew. – *Wszystkich kumpli mam u stóp.*

– *Chińska dzidzia mi przysięga* – uśmiechnął się „Piętaszek”. – *Że mnie kocha aż po grób.*

– *Szał, innymi mówiąc słowy* – dorzucił Andy cicho, prawie smutnie.

– *Szał nadterminowych!*

– Czekaście, czekaście! – zawołał uradowany Slade. – Dajcie mi to zapisać. Cholera jasna, teraz to już idzie za prędko.

Zaczekali, on zaś gryzmolił jak szalony. A potem zaczęli znowu, podbijając sobie bębenka własną zdolnością twórczą, której u siebie nie podejrzewali, spoglądając po sobie z lekkim niedowierzaniem, że to może być takie łatwe.

Skończyli błyskawicznie jeszcze dwie strofki, zanim Slade zażądał następnej przerwy; jego okrągła twarz i ołówek migały ekstatycznie w świetle latarki.

– Dajcie mi to zapisać – poprosił. – Zaczekajcie, aż będę gotów. No... – dodał. – Już teraz wam to przeczytam, zanim pójdziemy dalej. Słuchajcie, co mamy.

– Dobra, czytajcie – powiedział Prew. Strzelał nerwowo palcami obu rąk. Andy wciąż cicho wygrywał melodię jakby dla siebie. „Piętaszek” wstał i chodził dookoła.

– Okej – rzekł Slade. – Słuchajcie. *Pieśń nadterminowych.*

– Zaraz, chwileczkę – powiedział Andy spoglądając w stronę biwaku.

– Czy stamtąd ktoś nie idzie?

Wszyscy obrócili się i popatrzyli w dół, niby widzowie oglądający dramat z miejsc balkonowych. Wokoło głębszej czerni ciężarówki pojawiła się znowu grupka świateł. Jedno z nich oderwało się od reszty i zbliżało ku nim, podskakując i kołysząc się na ścieżce.

– To chyba będzie Russell – powiedział Andy. – Idzie tu, żeby mnie zabrać z powrotem na to cholerne stanowisko dowodzenia.

– O, psiakrew – rzekł niespokojnie „Piętaszek”. – To znaczy, że nie skończymy?

– Możecie sami dokończyć, chłopaki, jak odjadę – powiedział z żalem Andy. – Jutro mi pokażecie.

– O nie – odparł Prew. – Razem zaczęliśmy, to razem dokończymy. Russell nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby chwilę poczekać.

Andy spojrział na niego kwaśno.

– On nie. Ale porucznik na pewno, jak cholera.

– Nie szkodzi – zmarszczył nerwowo brwi Prew. – Wiesz, jacy oni są. Zawsze marudzą przez pół godziny albo więcej, zanim odjadą. No, walcie – powiedział nerwowo do Slade'a. – Dalej, czytajcie.

– Dobra – odrzekł Slade. – Jedziemy. *Pieśń nadterminowych...*

– Podniósł latarkę i notes do twarzy. Potem opuścił notes i trzepnął się wściekle po

karku.

– Moskit – powiedział z zakłopotaniem. – Przepraszam.

– Dawajcie. Potrzynam wam latarkę – rzekł niecierpliwie Prew.

– A teraz czytajcie, psiakrew. Nie mamy dużo czasu na dokończenie.

– Okej – rzekł Slade. – Jedziemy. *Pieśń nadterminowych...* – Powiódł wzrokiem po ich twarzach. – *Pieśń nadterminowych.*

*W poniedziałek żółd dostałem,
Już nie żołnierz, tylko pan.
Kieszeń pełna, że aż pęka.
Świat przede mną, kiedy mam
Tyle tych forsiaków nowych. Żółd nadterminowych.
Więc we wtorek hotel, pokój,
Łoże wielkie, że tchu brak.
Pracę znajdę sobie jutro,
Dziś mnie może trafić szlag.
Czas wyzyskaj, pókiś zdrowy. Czas nadterminowych.
W środę idę pić do baru.
Wszystkich kumpli mam u stóp.
Chińska dzidzia mi przysięga,
Że mnie kocha aż po grób.
Szał, innymi mówiąc słowy. Szał nadterminowych.
W czwartek budzę się jak zbity,
Ledwie dźwigam ciężki łeb.
Nic w kieszeniach prócz podszewki.
Dał się dziwce okraść kiej.
Klops i szkoda dalej mowy. Klops nadterminowych.
W piątek znów do baru idę,
Proszę darmo piwko raz,
Moich kumpli ani śladu.
Barman rzekł: „Łachudro, zjazd!”
Robię gwałt, bom honorowy. Gwałt nadterminowych.*

– No! – powiedział Slade tryumfalnie. – Pieprzę tam i nazad, co ktoś powie – dodał dumnie. – Ja mówię, że to doskonałe. Co dalej?

Prew ciągle trząsał w palce.

– *Przez sobotę siedzę w mamrze* – powiedział – *i wyglądam spoza krat.* Zapiszcie to.

– Dobra – odrzekł Slade pisząc.

– Hej! – przerwał im „Piętaszek”. – To nie Russell. Zatrzymali się i spojrzeli na zbliżającą się ku nim ścieżką postać. Nie był to szeregowiec Russell. Andy zrzucił kopniakiem z nasypu prawie pustą butelkę. Slade skierował swoją latarkę na podchodzącą postać. Światło objawiło im błysk dwóch złotych naszywek na ramionach. Slade obrócił się pytająco do Prewa, nie wiedząc, co robić.

– Baaa-czność! – ryknął Prew. Był to automatyczny odruch.

– Co wy, u diabła, robicie tu o tej porze? – zapytał surowo głos porucznika Culpeppera, ostry jak jego culpepperowski nos czy culpepperowski sztywny grzbiet.

– Gramy na gitarach, panie poruczniku – odrzekł Prew.

– Tego się domyśliłem – powiedział porucznik Culpepper suchym, drwiącym tonem. Podszedł do nich. – Co wam strzeliło do głowy, żeby tu świecić latarką?

– Była nam potrzebna do robienia notatek, panie poruczniku – odrzekł Prew. Trzej pozostali uważali go za swojego rzecznika. Mówił dalej usiłując nie objawiać wściekłości i zawodu. Tej nocy nie miało już być układania bluesów. – Na całym terenie biwaku świecono latarkami, panie poruczniku – powiedział. – Nie przypuszczaliśmy, że zapalenie światła tutaj na kilka minut może czemuś zaszkodzić.

– Wy się chyba orientujecie, Prewitt – odparł porucznik Culpepper suchym drwiącym tonem. – Ma się tu przeprowadzać ćwiczenia polowe w warunkach zbliżonych do prawdziwych warunków bojowych. A to zakłada pełne zaciemnienie.

– Tak jest, panie poruczniku – rzekł Prew.

– Tamte światła na dole były potrzebne do inspekcji – ciągnął porucznik Culpepper. – Używa się ich tylko i wyłącznie do kontroli posterunków.

– Tak jest, panie poruczniku – rzekł Prew.

– A czy w prawdziwych warunkach bojowych używano by świateł do kontroli posterunków? – zapytał Slade. Głos mu drżał.

Porucznik Culpepper obrócił głowę nie poruszając wyprostowanymi culpepperowskimi ramionami ani sztywnym culpepperowskim grzbietami uczynił to w tradycyjnym culpepperowskim stylu wojskowym, który dojrzewał przez wiele pokoleń Culpepperów.

– Kiedy zwracacie się do oficera – powiedział oschle – jest w zwyczaju albo poprzedzać, albo kończyć pytanie tytułem wojskowym.

– Tak jest, panie poruczniku – rzekł Slade.

– Co to za człowiek? – zapytał porucznik Culpepper suchym, drwiącym tonem. – Myślałem, że znam każdego żołnierza z kompanii.

– Szeregowiec Slade z siedemnastej eskadry bazy lotniczej w Hickam Field, panie poruczniku – zameldował się Slade.

– Co tu robicie?

– Przyszedłem posłuchać muzyki, panie poruczniku. Porucznik Culpepper przeniósł światło latarki z Prewa na Slade'a.

– Czy nie powinniście w tej chwili być na posterunku? – Nie, panie poruczniku.

– Dlaczego nie zameldowaliście się na kwaterze?

– Kiedy nie jestem na służbie, mogę dysponować swoim czasem, panie poruczniku – odpowiedział Slade z czymś w rodzaju nikłej urazy.

– Nie złamałem żadnych przepisów przychodząc tu po zejściu z posterunku.

– Może i nie – powiedział porucznik Culpepper suchym, drwiącym tonem. – Ale u nas, w piechocie, nie pozwalamy żołnierzom z innych jednostek wałęsać się po terenie naszego biwaku. Zwłaszcza w środku nocy. Zrozumiano? – warknął.

Nikt się nie odezwał.

– Prewitt – warknął porucznik Culpepper.

– Na rozkaz, panie poruczniku.

– Jesteście tu najstarszy. Uważam was za odpowiedzialnego za to wszystko. W obozie ludzie chcą spać. Niektórzy muszą iść na posterunki za... – zerknął na zegarek – za trzydzieści siedem minut.

– Dlatego przyszedliśmy tutaj, panie poruczniku – powiedział Prew. – O ile mi wiadomo, nikt się na to nie skarżał.

– Może i nie – odparł porucznik Culpepper suchym, drwiącym tonem. – Ale to nie zmienia faktu, że taka rzecz jest sprzeczna z przepisami w ogóle, a z moimi rozkazami od tej chwili w szczególności. A także nie zmienia faktu, że znajdowaliście się tu wysoko, na tle nieba, z zapaloną latarką podczas całkowitego zaciemnienia ochronnego. – Porucznik Culpepper znowu przeniósł światło latarki ze Slade'a na Prewa.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy myśleli o nie dokończonym bluesie, który Slade wciąż trzymał w ręku i którego mogli nigdy nie dokończyć, którego nie sposób było odbębnić jak na powielaczu, do którego niezbędny był właściwy nastrój, taki zaś nastrój mógł nie powrócić zbyt prędko. Wszyscy uważali, że winien temu jest porucznik Culpepper. Jednakże nie mieli ochoty się odezwać.

– A teraz, jeżeli nie ma dalszych argumentów czy dyskusji – powiedział porucznik Culpepper suchym, drwiącym tonem – proponuję, abyśmy zakończyli tę rozmowę. Możecie posługiwać się waszą latarką przy schodzeniu po ścieżce, jeżeli chcecie – dodał.

– Rozkaz, panie poruczniku – powiedział Prew i zasalutował. Porucznik Culpepper

odsalutował mu oficjalnie. Andy, Slade i „Piętaszek” zasalutowali wtedy również, jak gdyby sobie nagle przypomnieli. Porucznik Culpepper odsalutował im oficjalnie i zbiorowo. Zaczekał, aż ruszyli przodem, po czym podążył za nimi ścieżką w pewnej odległości, z latarką w ręce. Oni nie zapalili swojej.

– Cholera – mruzczał chrapliwie Slade. – Cholera. Oni zawsze tak postępują z człowiekiem, że czuje się jak uczeń, który oberwał linijką po łapach.

– Nieważne – powiedział głośno Prew. – No i jak wam się teraz podoba piechota?

Powiedział to z goryczą. Jego mała farsa była skończona. Nikt inny się nie odezwał.

Szeregowiec Russell czekał na nich przy ciężarówce.

– Nie miałem sposobu – szepnął. – Poleciał tam na górę od razu, jak tylko zobaczył światło. Nawet nie mogłem do was krzyknąć. Nie mogłem nic zrobić.

– Tak? – odparł głucho Prew. – W porządku. Nie ma o czym gadać. I po jaką cholere mówicie szeptem? – zapytał gniewnie.

Porucznik Culpepper podszedł za nimi do ciężarówki.

– I słuchajcie, Prewitt – rzekł suchym, drwiącym tonem. – Chciałem wam powiedzieć, że nie macie co się szykować, żeby tam wrócić, jak odjadę. Już dałem podoficerowi służbowemu rozkaz, żeby miał oko na tamto miejsce.

– Tak jest, panie poruczniku – odrzekł Prew i zasalutował. – Zresztą i tak już chyba skończyliśmy, panie poruczniku. – Zabrzmiało to bardzo pompatycznie. Zaklął na siebie w duchu. Porucznik Culpepper uśmiechnął się i wdrapał na ciężarówkę.

– Gdzie sierżant-szef, Russell? – zapytał.

– Nie wiem, panie poruczniku – odparł Russell. – Pewnie ma zamiar tu jeszcze zostać.

– No to jakże wróci?

– Nie wiem, panie poruczniku – rzekł Russell.

– Ano – wyszczerzył z zadowoleniem zęby porucznik Culpepper.

– To już jego pech, nie? Musi być z powrotem na apel poranny. Pewnie będzie musiał wracać piechotą. No, Anderson, jedziemy. Zabierajmy się z tej śmierdzącej dziury – powiedział do Russella.

– Tak jest, panie poruczniku – odrzekł Russell.

Ciężarówka cofnęła się, zakręciła i odjechała pozostawiając po sobie wielką, głuchą próżnię. Stali przy przejeździe w drutach i patrzyli, jak toczy się z chrzęstem po nierównym gruncie. Na tle światła reflektorów widzieli Andy'ego, który siedział na tyle wozu trzymając gitarę.

„Piętaszek” roześmiał się usiłując wypełnić ową próżnię.

– Dobrze, co? Aleśmy się ubawili.

– Proszę – powiedział Slade. Podał Prewowi kartki z notesu. – To dla was. Będą wam potrzebne.

– A wy nie chcecie mieć odpisu? Slade zaprzeczył ruchem głowy.

– Wezmę sobie od was kiedy indziej. Trzeba już iść. Będę musiał dojść piechotą do Hickam.

– Dobra – rzekł Prew. – Bez nerwów.

– Lepiej uważajcie po tym wszystkim – powiedział „Piętaszek”.

– Żeby was tu więcej nie przyłapał.

– Wiem – odparł Slade. – Nie musicie mi mówić. Jeszcze się kiedyś wszyscy zobaczymy. – Ruszył po śladach ciężarówki do drogi.

– Myślisz, że się do nas przeniesie? – spytał „Piętaszek”.

– Nie, nie myślę – odrzekł Prew. – A ty jak uważasz? Sam byś się przeniósł? Masz – wyciągnął do niego kartki. – To jest Andy'ego. To jego piosenka.

– Skończymy ją kiedyś – powiedział „Piętaszek” biorąc kartki i starannie chowając je do kieszeni. – Skończymy to później. Jak wrócimy do garnizonu.

– Aha – rzekł Prew. – Jasne

– Moglibyśmy dokończyć teraz – powiedział z zapałem „Piętaszek”.

– My dwaj. W kuchennym namiocie. Teraz już nam nie będzie potrzeba muzyki.

– Zrób to sam – powiedział Prew. – Ja chyba trochę się przejdę. Wszedł przez lukę w drutach i podążył po śladach ciężarówki ku drodze.

– A nie chciałbyś zrobić tego od razu? – zawołał za nim natarczywie „Piętaszek”. – Dokończyć teraz?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Znalazłszy się na zwirowce Prew przystanął. Za sobą słyszał jeszcze „Piętaszka” gadającego z zapalem do siebie. Slade zniknął już z zasięgu wzroku i słuchu. Wkrótce zniknie także „Piętaszek”, jeżeli odejdzie dość daleko.

Skręcił po zwirowce na północ, ku głównej bramie. Druga droga, idąca na południe, przebiegała obok zbiornicy złomu, gdzie stał na posterunku wartownik, który zmienił Slade'a. Na pewno by go zatrzymał. Potem, przekonawszy się, że to prosty żołnierz, zechciałby pogadać z nim dla rozrywki. A Prew nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Nie chciał też zawierać dzisiaj żadnych nowych znajomości. Skręcił ku północy. Jedną nową znajomością na dzień to była granica wytrzymałości nawet najmocniejszego człowieka. Szedł bardzo powoli, nie chcąc dopędzić Slade'a.

Maszerował drogą w ciemnościach. Głęboki zwir chrząścił mu pod butami polowymi. Nie wyzwolona energia whisky kłębiła się w nim jak opary gazu rozweselającego. Żałował, że nie ma więcej whisky. Zalałby się w trupa, do nieprzytomności, jak bela. Okazało się, że nie tylko nie można grać na trąbce, ale nie wolno nawet ułożyć jakiegoś głupiego bluesa o wojsku.

Miał już w głowie całą następną zwrotkę, kiedy się zjawił Culpepper. Następną zwrotka mówiła o sobocie i miał ją gotową.

Przez sobotę siedzę w mamrze I wyglądam spoza krat

Przypomniał to sobie idąc drogą w ciemnościach.

Na sobotni ruch ulicy: Każdy wolny, każdy rad.

Tylko ja jestem pechowy. Pech nadterminowych.

...Stali na ławach w celi na pierwszym piętrze miejskiego więzienia w Richmond, w stanie Indiana, i patrzyli na tłumy owego sobotniego wieczora. Musieli wejść na ławy, bo okna były wysoko. Było ich czterech. Tamtym razem. Wszyscy zanotowani jako włóczędzy. Przetrzytywali ich tydzień i wypuścili. Nie mieli w więzieniu dość miejsca dla wszystkich włóczęgów. To było w trzydziestym piątym...

Zupełnie tak jak z trąbką, trzeba samemu przejść pewne rzeczy, żeby im potem nadać smak prawdy; miał to już w głowie, gotowe do zapisania przez Slade'a. Żaden z tamtych nie mógłby napisać tej zwrotki, bo nigdy nie był w więzieniu. A teraz może już nie zostanie zapisana. Nie miał ołówka ani papieru, żeby to zrobić, a gdyby nawet miał i tak by nie zapisał. Czuł się gorzko szczęśliwy, że czegoś odmówił światu.

Ale czym jest właściwie świat? Tylko tą zgrają culpepperowskich rodzin? Biorą

człowieka za jaja od samej chwili urodzenia. Szedł po ciemku opustoszałą zwirową drogą, pełen ogromnego, rozdzierającego współczucia dla wszystkich Prewittów tego świata, rozmyślając o bluesie, którego nie dokończyli i nawet nie byliby zaczęli, gdyby nie ośli entuzjazm Slade'a dla piechoty. To był dobry kawał. Śmiechu warte. Głos „Piętaszka” dysputującego z „Piętaszkim” także już zamilkł i Prew był teraz w swoim własnym świecie, którego promień wynosił dziesięć stóp żwiru. Tego właśnie chciał przedtem. Ale teraz już nie. Ten świat szedł za nim krok w krok nieubłaganie jak reflektor posuwający się za tancerzem. Podbiegł kawałek. Nie mógł się wymknąć. Nie mógł wymknąć się temu światu, tak samo jak nie mógł wymknąć się światu culpepperowskich rodzin.

Zwolnił i szedł dalej, zastanawiając się, czy teraz blues zostanie kiedykolwiek dokończony. Pewno nie, chyba żeby Slade przeniósł się do Schofield, aby im dodać natchnienia. Slade mógł docenić piechotę, ponieważ był w korpusie wojsk lotniczych. Roześmiał się głośno, z gorzką satysfakcją.

– Stój!

Prew zatrzymał się, stanął jak wryty. Tutaj nie powinno było być żadnego posterunku. Ale nie dyskutuje się z takim wezwaniem. Zwłaszcza jeżeli może się za nim kryć wartownik z naładowanym pistoletem.

– Kto idzie? – zapytał głośno.

Coś poruszyło się na zewnątrz dziesięciostopowego, zwirowego świata i Prew dojrzał błysk na czymś, co wyglądało jak pistolet.

– Przyjaciel – odpowiedział Prew przepisowo.

– Podejź do rozpoznania – huknął głośno. Prew zbliżył się powoli, zgodnie z przepisami.

– Stój! – huknął natychmiast bezcielesny głos. Prew stanął w miejscu. To już nie było przepisowe.

– Kto idzie? – zagrzmiął znowu głośno.

– Przyjaciel, cholera jasna.

– Podejź, przyjacielu, jasna cholero, do rozpoznania. Prew ruszył naprzód.

– Stój! – wrzasnął natychmiast głośno wymachując tym oleistym błyskiem.

Prew stanął.

– Słuchajcie no, co jest, do diabła?

– Spokój – ryknęła postać potrząsając – do niego owym błyskiem. – Spocznij! Wystąp! W tył zwrot! Równaj w prawo! Kto idzie?

– Szeregowiec Prewitt, kompania G, n-ty pułk piechoty – odparł Prew, któremu zaczynało świtać w głowie pewne podejrzenie.

– Podejdz, szeregowcu Prewitt, kompania G, n-ty pułk piechoty, do rozstrzelania! – zaryczała postać.

– Schowajcie to sobie gdzieś, Warden – powiedział Prew podchodząc.

– Bach! – wrzasnęła postać cofając się. Potrząsnęła błyszczącym przedmiotem. – Bach! Bach! Dostałeś! Jesteś zabity! Bach!

– Skończcie z tą komedią – powiedział Prew z niesmakiem. Teraz rozpoznał błyszczący przedmiot. Była to butelka.

– Cha, cha – zachichotał po pijacku Warden. Twarz rozjaśniła mu się złośliwym uśmiechem. – Naciąłem cię, co? Się masz, malutki. Co ty tu robisz sam jeden? Nie wiesz, że mogę cię kropnąć, jak będziesz tak się wałęsał po nocy?

– Wybrałem się na spacer – odparł Prew wojowniczo.

– No, no – powiedział chrapliwie Warden. – Na spacer. Porucznik popsuł wam zabawę, co?

– Drań jeden – rzekł Prew.

– Oho – powiedział Warden podnosząc palec. – To tak się mówi o kimś z rodu Culpepperów? Nie wiesz, że jakiś Culpepper zawsze służył ojczyźnie w każdej wojnie, odkąd Zachariasz Taylor odebrał Kalifornię Meksykowi? Co byś powiedział, gdyby nasz kraj nie miał Kalifornii? Co by się wtedy stało z filmami? Co by było ze światem? Bez Culpepperów?

– Niech cholera weźmie Culpepperów – powiedział Prew.

– Cc, cc – cmoknął Warden osowiale. – Żadnego wychowania. Żadnych względów dla dobra światowego. Nawet odrobiny subtelności. Lepiej cię rozstrzelać. Bach – krzyknął – Bach! Bach! Nie żyjesz. Dostałeś. Co myślisz o mojej nowej strzelbie, kochasiu? – Wyciągnął przed siebie butelkę. Prew sięgnął po nią. Warden ją cofnął. – O nie – powiedział.

– Uważaj. Naładowana.

– Wy też – odrzekł Prew.

– Napij się – powiedział Warden.

– Mogę sam dostać. Nie potrzebuję waszego – odparł Prew.

– Naładowana – powiedział. – Naładowana na niedźwiedzia. Bach! – krzyknął. – Chcesz niedźwiedzia? – Wyrzucił w górę butelkę i pochwycił ją. – Ja jestem strzelec, kochasiu. Chciałbyś kiedy postrzelać ze mną? – wyszczerzył zęby.

– Co wy, chwalicie się? – zapytał Prew. Warden wraz z Petem Karelsenem był najlepszym strzelcem w. pułku. Obydwaj mieli mikro-mierze do pomiarów kalibru lufy, które pieczołowicie przechowywali. Wraz z podoficerem personalnym pułku, sierżantem-szefem O'Bannonem i kapitanem Stevenssem z kompanii B tworzyli pułkową reprezentację strzelecką. Bez względu na to, co potrafił zdziałać którykolwiek nieszczęśnik, Warden zawsze był lepszy

we wszystkim. To było już wręcz niesprawiedliwe.

– Nieee – uśmiechnął się Warden. – Ja się nie chwale. Słyszałem, że jesteś cholerny strzelec. Że w zeszłym miesiącu pokazywałeś chłopakom na strzelnicy bojowej różne numery z karabinem. Więc pomyślałem sobie, że może miałbyś ochotę na małe zawody z prawdziwą konkurencją.

– Okej – powiedział Prew. – Kiedy tylko zechcecie, szefie.

– Z porządną konkurencją – ciągnął Warden. – Zróbmy sobie mały zakładzik na boczk. Powiedzmy o sto dolarów.

– Al pari? – zapytał Prew.

– Powiniennem ci dać małe fory.

– A ja myślałem, że może chcecie, żebym to ja dał wam fory.

– Nieee – uśmiechnął się chytrze Warden. – Nie oszukałbym ciebie.

– Gdzie będziemy strzelać? – zapytał Prew. – Może teraz?

– Na strzelnicy – wyszczerzył zęby Warden. – Prawdziwe zawody. Sezon strzelania zaczyna się za jakiś miesiąc.

– Psiakrew – powiedział Prew. – A ja myślałem, że chcecie dzisiaj.

– Nie mam broni. Oprócz tego mojego maleństwa. Trzeba to zrobić na strzelnicy.

– Więc zakład stoi? – odrzekł Prew. – I obaj będziemy strzelać przez tę waszą lunetę?

– Jasne.

– Mnie może tu już nie być, kiedy przyjdzie okres ćwiczeń na strzelnicy.

– Racja, jak Boga kocham. – Warden skrzywił się i strzepnął palcami.

– Całkiem zapomniałem. Wtedy już będziesz siedział w Obozie Karnym, prawda? O cholera – powiedział ze strapieniem.

– No to jak? – spytał Prew. – Wycofujecie się?

– Jasne – uśmiechnął się chytrze Warden. – Zawsze się cofam.

– Siadł po turecku na środku żwirowej drogi. – Masz, stary. Golnij sobie.

– Dobra. – Prew wziął butelkę. – Tak samo chętnie mogę się napić waszej whisky jak whisky Culpeppera.

– To fajnie – rzekł Warden. – A ja tak samo chętnie dam moją whisky tobie jak Culpepperowi.

Trunek zmieszał się paląco z alkoholem już krążącym w żyłach Prewitta. Prew usiadł obok Wardena, zwrócił mu butelkę i otarł usta.

– Pieprzone jest to życie, co?

– Paskudne – kiwnął ociężałe głową Warden. Napił się. – Całkiem paskudne.

– Człowiek nie może się nawet zabawić.

– Właśnie – przytakną! Warden. – Żadnej zabawy. A teraz jeszcze wleciałeś na czarną listę Culpeppera.

– Jestem na czarnej liście u każdego. Mogę być i u niego.

– W porządku – odparł Warden. – Niech ci będzie sekwens z pięciu. Niech ci będzie ful.

– Niech ci będzie pięć w kolorze – rzekł Prew. – Specjalisto od dzokerów.

– Ty jesteś dzoker – odpowiedział Warden. Podał mu butelkę. – Tak?

– Tak.

– A znowu ja się dostałem na czarną listę Starka. Pewnie będę musiał stołować się teraz na mieście. Po co ja ci to gadam?

– Jak to się stało? – zapytał Prew tonem towarzyskiej rozmowy. Napił się i zwrócił butelkę. Przed nimi i za nimi ciągnęło się jasnożółte pasmo drogi przechodząc w zamglenie, które stawało się niewidocznością biegnąc jak smuga księżyca po zaczerwienionym morzu.

– Mniejsza o to – odparł przebiegle Warden. – Mniejsza o to.

– O – powiedział Prew. – Nie ufasz mi. A ja ci ufam.

– Mówiliśmy o tobie – zaproponował Warden. – Nie o mnie. Dlaczego ty ciągle chcesz wszystko spaskudzić, Prewitt? Po co chcesz być takim bolszewikiem?

– Bo ja wiem – odparł Prewitt posępnie. – Od lat się nad tym zastanawiam. Chyba już się taki urodziłem.

– Gównno – powiedział Warden. Napił się jeszcze i zerknął na niego spode łba. – Gównno, powtarzam. Czyste, stuprocentowe, nieskażone gównno. Nie zgadzasz się ze mną? No, proszę, nie zgadzaj się ze mną.

– Czy ja wiem – powiedział ze zmartwieniem Prew.

– Mówię ci: gównno – oświadczył Warden retorycznie. – Nikt się taki nie rodzi. Weź mnie. Masz – dodał. – Napij się.

Popatrzył chytrze na Prewitta, kiedy ten pił.

– Zastrany świat, co? Ty jesteś na prostej drodze do Obozu Karnego, a ja na prostej drodze do tego, żeby mi odebrali stopień. I obaj siedzimy sobie pośrodku tej parszywej drogi. A co by było, jakby nas tutaj przejechała jakaś ciężarówka!

– To by było okropne – odrzekł Prew. – Już byśmy byli nieżywi, prawda? – Czuł, jak whisky miesza się w nim dymiąco, wybuchowo z tamtą Andy'ego, którą już miał w sobie. „Nieżywi – myślał. – Nieżywi, nieżywi, nieżywi.”

– I cholere by to innych obeszło – rzekł Warden. – Nikt by nawet nie nosił żałoby. Parszywa sprawa. Lepiej tu nie siedź. Lepiej wstań i przenieś się na bok tej drogi.

– A co z tobą? – odparł Prew zwracając mu butelkę i wypatrując ciężarówki na żółtej

smudze drogi. – Ty masz dla kogo żyć, nie tak jak ja. Musisz się opiekować swoją cholerną kompanią.

– Ja jestem stary – rzekł Warden popijając. – Nieważne, jeżeli umrę. Życie jest za mną. Całkiem za mną. Ale ty jesteś młody. Masz życie przed sobą.

– Kiedy nie ma w nim nic zachęcającego – odparł z uporem Prew. – A twoje życie jest ważne. Przecież Hitler powiedział, że gdyby nie nasi podoficerowie, nie mielibyśmy armii. A my musimy mieć armię, nie? Co by robiły wszystkie Culpeppery? Gdybyśmy nie mieli armii? O nie – dodał z uporem. – To ty powinieneś wstać.

– Nie, psiakrew! – huknął Warden. – Moje życie skończone. Jestem stary. Jeszcze pięć lat i będę całkiem jak nasz Pete. Nie wyperswadujesz mi tego. Ty wstawaj.

– Nie – upierał się Prew. – Ty wstawaj.

– Nie wstanę! – ryknął Warden.

– To ja też nie. Będę tu siedział, dopóki ty będziesz siedział, jak Boga kocham. Nie dam ci umrzeć.

Warden podał mu butelkę.

– Zwariowałeś, chłopaku – powiedział łagodnie. – Oszalałeś. Nie można ratować takiego starca jak ja. A taki młodziak jak ty ma po co żyć. Szkoda by była, ot co. Okropna szkoda. Proszę cię, wstań, chłopaku. Zróbże to dla mnie, jeżeli nie chcesz myśleć o sobie.

– Co to, to nie – odparł dzielnie Prew. – To nie Prewitt. Prewitt nigdy nie opuścił przyjaciela w potrzebie. Zostanę do samego końca.

– Och, co ja zrobiłem! – zawołał Warden. – Co ja zrobiłem!

– Kogo to obchodzi? – odrzekł Prew. – Nikt o to nie dba. Cholera z tym wszystkim. Lepiej mi będzie, jak zdechnę. – Do oczu napłynęły mu łzy, aż zamigotał przez nie potężny siedzący po turecku Budda, którym był Warden.

– Mnie też – powiedział Warden zdławionym głosem. Wyprostował się i wyprężył twardo ramiona. – W takim razie umierajmy obaj. Tak będzie lepiej, tak jest tragiczniej. Bardziej życiowo.

– Zresztą chyba i tak nie mógłbym wstać – oświadczył Prew sennie.

– Ja też nie – rzekł Warden. – Już za późno. Żegnaj, Prewitt.

– Żegnaj, Warden.

Uścisnęli sobie uroczyście ręce. Dzielnie przełknęli niemęskie łzy rozstania i siedli wyprostowani po żołniersku, wpatrując się dumnie w żółtą wstęgę drogi, którą miała nadciągnąć zguba.

– Chcę tylko, żebyś wiedział – rzekł Warden – że nigdy nie miałem lepszego przyjaciela.

– To samo ja – powiedział Prew.

– Żadnych przepasek na oczy – rzekł Warden wzgardliwie, odrzucając w tył głowę. – A cośmy to, pętaki? Można tym sobie dupę podetrzeć, stary draniu.

– Amen – dodał Prew.

Znów uścisnęli sobie uroczyście ręce, po raz ostatni, podzielili się ostatnim łykiem pozostałym w butelce Wardena, cisnęli ją między chwasty, wyprostowali się, po czym natychmiast stracili świadomość i spokojnie zasnęli.

Leżeli tam jeszcze o drugiej nad ranem, rozciągnięci pośrodku zwirowej drogi, kiedy szeregowiec Russell nadjechał z rozpędem ciężarówką, ażeby zabrać Wardena do domu.

Russell nacisnął z całej siły hamulec borykając się ze swoim małym, przeładowanym od góry wozem na sypkim, głębokim żwirze, i wpadł w boczny poślizg z jednej strony drogi na drugą, manipulując kierownicą z całą zręcznością, na jaką było go stać, aby nie wjechać do rowu. Zdołał zatrzymać ciężarówkę o trzy jardy od bezwładnych stóp Wardena. Wysiadł i popatrzał na nich obu.

– Rany boskie! – wyszeptał ze zgrozą. – Rany boskie.

Warden leżał nieprzytomny i spał spokojnie, szczęśliwie, lecz Russellowi udało się wtrząsnąć nieco życia w Prewitta.

– Chodźże, obudź się, psiakrew. Ty głupi wariacie. No, jazda, nie wykiwasz mnie, wiem, że nie jesteś trup. Musisz mi pomóc włądować go na tył, żebym go odwiózł na punkt dowodzenia. Jakby „Dynamit” dowiedział się o tym, wylałby go bez pudła.

– „Dynamit” nie może go wylać – powiedział mgliście Prew.

– Nie może, co?

– Nie, psiakrew – odparł drwiąco Prew. – Bo kto by był sierżantem-szefem?

– Nie wiem – powiedział Russell w zamyśleniu. – Może by mógł... A, cholera z tym – warknął. – Pomóż mi go podsadzić. Co wy byście zrobili, durne narwańce, gdyby nadjechał ktoś inny? Przecież mógłby was obu rozduścić na śmierć. Idziesz czy nie? – zapytał z odrazą. – Pomóż mi go załadować.

– Racja – rzekł twardo Prew. – Nie można pozwolić, żeby coś się stało mojemu przyjacielowi Wardenowi.

– Twojemu komu? – zapytał Russell z pełnym oburzenia zdumieniem.

– Że jakieś powiedział?

– Słyszałeś – oburzył się Prew. – Powiedziałem: mojemu kumplowi Wardenowi. A coś ty myślał? Mojemu serdecznemu przyjacielowi Wardenowi, któremu nie chcę, żeby coś się stało, tak powiedziałem. Słyszałeś dobrze.

Pozbierał się z ziemi, podtrzymywany przez Russella.

– Gdzie on jest? Aha, tu. Puść mnie. Sam ustoję. Człowieku, będziesz gada! później. Pomóż mi wsadzić mojego kumpla Wardena na tę pieprzoną ciężarówkę. Muszę się nim zająć. Muszę się opiekować Wardenem. Najlepszy pieprzony żołnierz w kompanii. – Przerwał i zamyślił się.

– J e d y n y pieprzony żołnierz w kompanii – poprawił się.

Russell puścił go i patrzył z niesmakiem, jak Prew zataczając się podszedł do śpiącego Wardena, pochylił się, żeby go dźwignąć i runął na niego.

– Oho – powiedział Prew. – Ale się zalałem.

– To nie robota – rzekł Russell z niesmakiem.

Pomógł mu wstać. Obaj razem zdołali na wpół zanieść, na wpół zawlec do ciężarówki bezwładne ciało masywnego Wardena, które wyslizgiwało im się z rąk jak węgorz. Dwa razy go upuścili i Warden grzmotnął jak kamień. Dźwigali, ciągnęli, popychali, aż wreszcie wtaszczyli go na ciężarówkę. Gdy tylko tam się znalazł, otworzył oczy i uśmiechnął się do nich chytrze.

– Czy to Russell? – wymamrotał niewyraźnie.

– Aha – odparł z niesmakiem Russell. – Russell-niańka, Russell-baran.

– To słuchaj, Russell – wybełkotał Warden. – Chcę, abyś zrobił coś. To znaczy, coś zrobił.

– Tak? – odparł podejrzliwie Russell. – A co?

Warden dźwignął się nieco i rozejrzał. Prewitt już siedział rozwalony na siedzeniu i spał.

– Powiem ci – szepnął Warden z dyskrecją gwizdzącej lokomotywy. – Żebyś zawiózł tego człowieka na biwak.

– Okej – powiedział ze znużeniem Russell. – Ale przestań tak mamiać i zgrywać pijanego. Już raz mnie nabrałeś, że jesteś nieprzytomny, po to, żebym władował cię na wóz. A ty nie jesteś pijany. Nie tak pijany jak on.

Warden roześmiał się.

– Rzeczywiście tak było, co? – zachichotał. – Ale to jeszcze nie wszystko; jak go dowiesz na miejsce, masz powiedzieć kapralowi z warty, że sierżant-szef kazał go zwolnić od służby na resztę nocy. Za to, że pomógł sierżantowi-szefowi podczas prywatnego zwiadu.

– Nie możesz tego robić, szefie – powiedział niepewnie Russell.

– Nie mogę? – odparł Warden. – Już to robiłem. Słyszałeś, com powiedział, nie?

– No, tak – rzekł Russell. – Ale...

– Żadnych „ale” – przerwał zaciekle Warden. – Rób tak, jak mówię. Jestem sierżant-szef czy nie jestem sierżant-szef?

– Okej, szefie. Ale szef strasznie dużo żąda dla takiego zafajdanego szeregowca.

– Chodź no – Warden złapał go za rękę. – Nie wiesz, że musimy dbać o tego gościa? – szepnął. – To jest najlepszy pieprzony żołnierz w kompanii. – Przerwał i zamyślił się. – Jedyne pieprzone żołnierze w kompanii – poprawił się.

– A to co znowu? – zapytał Russell. – Trafiłem na towarzystwo wzajemnej adoracji?

– Musimy z nim uważać, póki możemy, kapujesz? – powiedział mu z naciskiem Warden. – Ten człowiek może nie będzie z nami i trzeba na niego uważać.

– Dobra, dobra szefie – odparł Russell. – Idź szef spać.

– Ważna sprawa – powiedział Warden. – Ty nic nie wiesz. Bardzo ważna.

– Aha – odrzekł Russell. – Na miłość Boga, idź szef spać.

– Obiecujesz? – zapytał Warden.

– Aha – odpowiedział Russell ze znużeniem. – Obiecuję. Teraz niech szef już śpi.

– No to okej – rzekł z zadowoleniem Warden. – Tylko nie zapomnij. Bardzo ważne. – Ułożył się wygodnie, z satysfakcją na brudnych, poszczerbionych deskach podłogi ciężarówki. – Bo to się może stać lada dzień – dodał.

Russell popatrzył na niego, pokiwał głową i zatrzasnął tylną klapę ciężarówki. Ruszył po żwirze ku biwakowi wioząc dwóch pijanych, którzy niemądrze, po pijacku wyobrazili sobie, że raz we śnie, gdzieś, kiedyś, w jakimś miejscu udało im się na chwilę dotknąć duszy drugiego człowieka i zrozumieć ją.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Zdarzyło się to nazajutrz po ich powrocie z Hickam. Szykowało się już od dawna, tak że wszyscy oczekiwali i spodziewali się tego, ale okazało się bardzo zagmatwane, i kiedy w końcu przyszło, było czymś tak złożonym, że prawie nikt nie miał z tego satysfakcji, a już szczególnie Prew. Tego wieczora Prew zamierzał wybrać się na Maunalani Heights.

Przyjechali i rozładowali ciężarówki późnym popołudniem poprzedniego dnia i pracowali długo w noc czyszcząc osobiste oporządzenie, szorując parciane pasy, smarując części skórzane, przecierając szczoteczkami do zębów lepkie karabiny. Nikt nie lubił tej roboty, a cały dzień następny przeznaczono na wyczyszczenie sprzętu kompanijnego, pieców polowych, stożkowatych namiotów, sypialnego namiotu oficera – i na uporządkowanie wszystkiego przed generalnym przeglądem polowym.

Ku ogólnemu zdumieniu ujrzeli starszego szeregowca Bluma stojącego na galerijce wraz z resztą drużyny bokserkiej, która wyległa popatrzeć na ich wjazd. Okazało się, że Bluma zwolniono przed tygodniem ze szkoły podoficerskiej.

Blum opowiadał z uporem każdemu, kto chciał słuchać, że właściwą tego przyczyną było śledztwo w sprawie pederastów. Przez całe pierwsze popołudnie, kiedy się rozpakowywali, i nazajutrz rano podczas prac porządkowych chodził od jednej drużyny roboczej do drugiej, wyjaśniając wojowniczo swą sytuację. Blum nie był na ćwiczeniach, więc nie został przydzielony do żadnej z tych drużyn. Nie musiał też ćwiczyć tego dnia, bo wieczorem miało się odbyć pierwsze spotkanie bokserkie na otwarcie sezonu zawodów kompanijnych, a Blum był na liście zawodników i dlatego dostał wolny dzień na odpoczynek. Toteż miał pod dostatkiem czasu, żeby zająć się tamtą sprawą i dowodzić swojej niewinności.

Prew był przydzielony do drużyny roboczej, która szorowała przyczepę kuchenną. Kiedy Blum do nich przyszedł, Prew trzymał się od niego z daleka. Nie zmartwiłby się, gdyby Blum utracił swój stopień, ale było mu to właściwie obojętne, czy będzie tak, czy inaczej. Chciał tylko wyrwać się do Almy. Minęły już dwa tygodnie. Nie miał ochoty oglądać walk, a zresztą uważał, że będzie taktowniej, jeżeli się tam nie pokaże.

Pracowali jeszcze, kiedy Champ Wilson i Liddell Henderson wrócili z pułkowej sali gimnastycznej wraz z paczką innych bokserów, którzy tam trenowali. Sierżant Wilson i pozostali bokserzy także nie byli na ćwiczeniach i nie zostali przydzieleni do żadnej z drużyn porządkowych. Sierżant Henderson nie był wprawdzie bokserem, ale też nie przyjechał na ćwiczenia, gdyż został przy taborach, aby doglądać koni kapitana Holmesa. Poszedł z Wilsonem do sali gimnastycznej, żeby popatrzeć, jak jego kumpel trenuje. I właśnie sierżant

Henderson przyłapał suczkę Bluma, która biegała między pracującymi drużynami, i zaproponował, żeby dla zabawy pomóc dużemu psu policyjnemu z kompanii F wleźć na nią.

– To stare policyjne psisko niucha tu już od paru tygodni. Pora, żeby mu dać szansę – powiedział z uśmiechem sierżant Henderson swym cienkim głosem, leniwie cedząc słowa, tak jak to czynią mieszkańcy Teksasu. – Ten cholerny Blum dopiero się zdziwi, jak jego Lady wypnie mu całą sforę policyjnych szczeniąt na poduszkę.

Suka Bluma była małym, kundlowatym półterierem. W sąsiedztwie każdych koszar wojskowych zawsze włóczy się mnóstwo bezpańskich psów, bo każdy je podkarmia, żeby się z nimi pobawić, jednakże Blum chciał mieć psa na własność. Sukę tę znalazł koło garnizonowej piwiarni, przyprowadził ją do koszar, nazwał „Lady” i pilnie wyjednywał dla niej resztki jedzenia od kucharzy, którzy i tak by ją żywili, żeby ją sobie oswoić. Dzięki temu mógł karmić suczkę trzy razy dziennie oraz zaskarbić sobie całe jej przywiązanie. Równie pilnie, ale z jeszcze większą energią, graniczącą nieomal ze świętym oburzeniem, odpędzał od niej wszystkie psy, które zapuściły się na teren kompanii. Ów duży pies policyjny z sąsiedniej kompanii F był jego specjalnym wrogiem.

Stało się to ogromną zabawą dla całej kompanii. A sama Lady, która była potulnym, wystraszoną kłębką nerwów, niemało się do tego przyczyniła. Była kompletnie pozbawiona wszelkiego poczucia wojskowego, i kompania miała co rano nie lada uciechę patrząc, jak Blum wrzeszczy, klnie i wygraża Lady, kiedy ta, potulnie, z podwiniętym ogonem, usiłuje biec za nim na musztrę.

Lady nie była dziewicą, a jej moralność najwyraźniej nie stała wyżej od przeciętnej, toteż nie miała takich jak Blum zastrzeżeń wobec owego psa policyjnego, tylko że tym razem ją przestraszone. Pies policyjny miał dobre chęci, ale bez współdziałania ze strony Lady był dla niej za wysoki. A Lady wcale nie współdziałała. Mogłaby wyprostowana na całą wysokość stanąć mu pod brzuchem nawet go nie dotykając, lecz teraz skuliła się jeszcze bardziej, w miarę jak jej na to pozwalał sierżant Henderson. Sierżant Wilson trzymał ją za przednie łapy nieco mniej zajadle, podczas gdy Henderson próbował podnieść jej zadek. Pies policyjny skakał dokoła szczekając w podnieceniu i nadaremnie przebierając łapami w powietrzu. Krąg widzów bił brawo i dawał coraz to nowe rady. Wszyscy uważali, że robią Blumowi świetny kawał.

Lady zaczęła skomleć, skowytać i wrywać się, tak że w końcu obaj sierżanci ledwie ją mogli utrzymać. Zabawa traciła urok nowości. Nie było to już takie śmieszne. Tłum począł się rozchodzić, trochę speszony i zawstydzony, wracając do swoich zajęć. Jednakże sierżant Henderson nie chciał dać za wygraną. Ci nieliczni, którzy zostali, mieli na twarzach wyraz zawstydzienia zmieszanego z ciekawością. Sierżant Henderson wciąż nie chciał uznać się za

pokonanego.

Prew nie odzywał się przez dłuższy czas. Nie była to jego sprawa ani jego pies. Blum powinien pilnować swojej cholernej suki. Jednakże coś w Prewie wzbierało dochodząc do tego punktu nasycenia, kiedy szuka się tylko pretekstu, kiedy człowiek rozeźlony rozgląda się za jakąś wymówką; popatrzał na nich wszystkich, na tych, co z zawstydzoną miną odeszli, i na tych, co z zawstydzoną, zciekawioną miną zostali, na owych Champów Wilsonów i Hyclów Hendersonów tego świata, którzy nigdy nie wychodzą w pole – i poczuł, że nienawidzi ich wszystkich tak dziko i nieubłaganie, jak nienawidził Bluma i jego parszywego, zasmarkanego psiaka.

Odszedł od przyczepy, przepchał się łokciami przez tłum ludzi o na wpół rozciekawionych, na wpół niechętnych twarzach i pchnął mocno Hendersona w ramię otwartą dłonią. Henderson właśnie klęczał borykając się z zadkiem Lady, która wciąż mu się wrywała, i grzmotnął na wznak puszczając sukę, ażeby się podeprzeć.

Lady odzyskawszy tylny napęd, zaparła się nogami. Wilson nie mógł jej utrzymać. Pomknęła przez dziedziniec, a pies policyjny tuż za nią. Raz obróciła się, warknęła i kłapnęła go w bark, po czym już biegł w pewnej odległości.

– Po cholere to zrobił? – zapytał sierżant Henderson.

– Bo nie lubię patrzeć, jak człowiek robi z siebie jeszcze gorszego drania, niż jest z natury – odparł Prew. – Wracajcie do stajni, do waszych cholernych koni.

Sierżant Henderson uśmiechnął się, odchylił do tyłu, wsparty niedbale na łokciu, i wsunął prawą rękę do kieszeni.

– Co jest, Prewitt? Mięczak się z ciebie zrobił czy jak? Raptem delikatna panienska, co?

Prew patrzył na jego rękę namacującą z lubością coś w kieszeni.

– Nie wyciągaj na mnie tego noża, sukinsynu – powiedział – bo cię nim zabiję.

Uśmiech zniknął z twarzy sierżanta Hendersona, ale Champ Wilson, zawsze opanowany, już był przy boku swojego kumpla i pomagał mu wstać.

– Chodź, Liddell – powiedział uspokajająco. Przytrzymał Hendersona za prawe ramię i popchnął go w stronę koszar.

– Kiedyś przeciągniesz strunę, Prewitt! – wrzasnął nagle Henderson – i wyrznię ci twoje pieprzone serce!

– Nie może być – odparł Prew.

– Zamknij się, Liddell – nakazał surowo Wilson. – A wy lepiej nauczcie się myśleć, co robicie, Prewitt – dodał chłodno. – Któregoś dnia tak się wkleicie, że się nie pozbieracie. W tym oddziale niewielu jest takich jak wy.

– W tym oddziale niewielu jest takich, których chciałbym uważać za podobnych do mnie – odparł Prew.

Wilson nie odpowiedział. Poprowadził do świetlicy wściekłego, ale nie opierającego się Hendersona klepiąc go czule po ramieniu. Prew zawrócił do przyczepy. Tłum się rozproszył i także wrócił do pracy, nieco zawiedziony, że ominęła go bójka, która według wszelkiego prawdopodobieństwa mogła być wcale niezła.

Prew nie był pewien, czy jest zawiedziony, czy nie. Nikt przy przyczepie nie wspomniał o tej sprawie. „Najwidoczniej – myślał ponuro – już od jakiegoś czasu rozeszło się między ludźmi, że Prewitt jest u kresu wytrzymałości nerwowej”.

Także i nikt z pozostałych nie napomknął o tym przez resztę popołudnia. Już zapomniano o całej sprawie – jednym z tysiąca drobnych incydentów, które mało nie powodują bójkę. Nie powinien był mieć żadnego dalszego ciągu. Na tym by się skończyło. Ale oczywiście starszy szeregowiec Izaak Blum musiał poruszyć to na nowo wieczorem, przy kolacji.

Blum przeniósł swoje nakrycie do stołu, przy którym jadł Prew, i zasiadł naprzeciw niego. Rozmowy na sali przycichły, jakby w oczekiwaniu.

– Chcę wam podziękować, żeście się zaopiekowali moim psem, kiedy mnie nie było, żeby go dopilnować – powiedział głośno Blum.

– Proszę bardzo – odrzekł Prew. Sięgnął po dzbanek z kawą.

– Macie – zawołał Blum. Chwycił metalowy dzbanek i napełnił kawą kubek Prewa. – Człowiek zawsze potrafi poznać, kto jest jego przyjacielem. Zawsze powtarzam – huknął – że można poznać, jaki kto jest, po tym, jak się obchodzi ze zwierzętami. Bardzo dużo wam zawdzięczam.

Prew odczekał, aż kawa się ustała.

– Nic mi nie zawdzięczacie, Blum.

– A jakże, właśnie, że tak – huknął Blum.

– A właśnie, że nie.

– I jestem człowiekiem, który spłaca swoje długi.

– Zrobiłbym to samo dla każdego psa. Zwyczajnie nie lubię patrzeć, jak jakiś drań pastwi się nad psem. Którymkolwiek psem. Guzik mnie obchodzi, czyj jest – powiedział. – Właściwie nawet nie wiedziałem, że to wasz cholerny pies – skłamał i popatrzył na Bluma poprzez wydmuchany dym papierosa.

– No, przecież każdy wie, że mój – zaprotestował Blum.

– Nie każdy. Ja nie wiedziałem. Gdybym wiedział, nie przerwałbym tego – odparł. – Więc mi nic nie zawdzięczacie. Proszę was tylko, żebyście się trzymali z daleka ode mnie. –

Wstał i zebrał swoje naczynia. – No, to tymczasem, Blum – powiedział.

Rozmowy, które już wezbrały z rozczarowaniem nad kubkami kawy i papierosami, znowu bacznie zamilkły, jak wyłączone radio.

– Jezu kochany – powiedział Blum. – To tak się traktuje człowieka, kiedy chce komuś podziękować? – Wstał również i ostentacyjnie zebrał swoje nakrycie. – Przyszedłem do was tylko, żeby okazać moją wdzięczność, Prewitt. Na pewno nie dla przyjemności.

– No, a ja bimbam waszą zasraną wdzięczność, Blum – odparł Prew.

– Zadowoleni jesteście?

– Ha – rzekł Blum. – Można się uśmieć. Co wam się zdaje? Żeście król angielski? Zawsze takie marne śmiecie muszą prześladować Żydów.

– Co wy? Chcecie mnie obrazić? – zapytał Prew.

– A czy ja albo mój pies prosiliśmy cię o pomoc? – huknął Blum. – Nie. Nie prosiliśmy. No, to następnym razem zaczekaj, aż cię poproszą.

Mnie i mojemu psu niepotrzebna twoja cholerna pomoc, ty sukinsynu. Na przyszłość zostaw mnie i mojego psa w spokoju.

Prew już odstawił talerz, ale jeszcze trzymał kubek w ręku i teraz nim rzucił. Ciężki kubek bez ucha trafił Bluma w środek czoła. Blum zamrugnął oczami i zmarszczył brwi. Kubek odbił się od betonowej podłogi i potoczył się nie stłuczony, obojętny, nieczuły, nietknięty.

Stark stanął między nimi dwoma, zanim do siebie doskoczyli; papieros zwiślał mu z niewzruszonych ust, wykrzywionych jak do śmiechu czy drwiny, czy płaczu. Odtrącił Prewa biodrem, a Bluma pchnął ręką w piersi.

– Nie u mnie, w jadalni – mruknął. – Chcecie się łać, to idźcie na zieloną trawkę. Nikt nie będzie się bił w tej sali. Ta sala jest po to, żeby tu jeść i nic więcej – powiedział dumnie. – A ty, Prewitt, masz szczęście – dodał – żeś nie rozbił tego kubka, bo beknąłbyś za to dziesiątaka w następny dzień wypłaty.

Blum rozejrzał się po sali. Na czole miał małą czerwoną plamkę.

– Chcesz wyjść na dwór? – zapytał.

– Jasne – odrzekł Prew. – Czemu nie? Idziemy.

– No, to na co czekasz? – spytał Blum. – Spietrałeś się czy jak?

Ruszył do drzwi rozpinając po drodze koszulę, Prew zaś wyszedł za nim, a potem przez uliczkę na plac, gdzie jeszcze stały namioty z popołudnia. Pozostali wywalili się radośnie za nimi całą hurmą. Z innych jadalni i z galeryjek wokoło dziedzińca biegli już ludzie, jak gdyby z góry wiedzieli, co się stanie, i tylko wypełniali sobie czas do momentu, kiedy będą nareszcie mogli wybiec. Utworzyli wokół nich obu szeroki krąg, pośrodku którego

Blum ściągał koszulę obnażając olbrzymią, mlecznobiałą masywność swojego torsu. Prew także zdjął koszulę.

Walczyli ze sobą przez półtorej godziny. Kiedy zaczęli, było wpół do szóstej i jeszcze się nie ściemniło. Pierwsze spotkanie na liście zawodów było naznaczone na ósmą, ale Blum miał wziąć udział dopiero w najważniejszej walce, która nie mogła zacząć się wcześniej niż o dziesiątej albo wpół do jedenastej; toteż bili się jeszcze, kiedy drużyna robocza poczęła ustawiać narożniki ringu na podium dla orkiestry.

Jedynym sposobem walczenia z Blumem było boksowanie. Blum trenował mniej albo więcej od grudnia i brzuch miał twardy jak skała. Głowę miał zawsze twardą jak skała. Gdyby nie obawiał się tak uderzeń, mógłby zakończyć to prędko. Ale nawet mimo tej jego obawy Prew nie miałby cienia szansy, gdyby nie owa wrodzona szybkość, którą odznaczał się zawsze i którą sobie wyrobił jeszcze bardziej i przemienił w swój osobisty styl później, w Myer. Jednakże musiał dać z siebie wszystko, żeby po pierwszych dziesięciu minutach nie dostać się pod ciosy Bluma – tak bardzo był nie w formie.

Mógł trafiać Bluma prawie jak chciał, ale swoimi uderzeniami, zawsze niezwykle mocnymi u tak lekkiego mężczyzny, nie zdołał nawet wytrącić go z równowagi. Spróbował kilka razy trzasnąć go w brzuch lewym sierpowym, ale dał z tym spokój. Postanowił obrobić mu nos lewą ręką. Pierwszy naprawdę dobry cios lewej, jaki wylądował na nosie Bluma, od razu go złamał. Prew czuł, jak nos ustąpił mu pod pięścią, i wiedział, że jest złamany, ale Blum nie krwawił zbytnio, tylko cienkim strumyczkiem, który się wprędce zatrzymał, i na tym się skończyło. Oczy Bluma łzawiły mocno przez jakieś pięć sekund, przez chwilę wyglądał jak ogłuszony, ale górna warga nie spuchła mu wcale. Było to tak, jak gdyby ktoś usiłował pięścią zwalić z nóg łosia.

Prew miał już bardzo zmęczone nogi, a przedramiona, łokcie i barki bolały go od uderzeń. Prawa dłoń trochę mu napuchła i Blum to zauważył, stał się mniej strachliwy i przeszedł do ataku. Dotąd Prew nie miał sposobności uderzyć go prawą w grdykę. Zaczynał się zastanawiać, czy taka szansa w ogóle się nadarzy. Nie chciał tego próbować, póki nie miałby pewnego ciosu, bo jego ręka nie wytrzymałaby już wielu chybionych uderzeń lądujących na głowie Bluma.

Kiedy znów zaatakował, Blum trzymał prawą rękę odciągniętą do tyłu i gotową do ciosu, stojąc tak blisko, jak było można i Prew spuścił mu ciężko obcas swego buta polowego na podbicie stopy. Blum rozwarł szeroko usta do krzyku, z prawą ręką cofniętą do ciosu, ale zapomnianą, i wtedy Prew rąbnął go mocno lewą prosto w uszkodzony nos. Blum ryknął i poderwał ręce do twarzy, a Prew dał mu lewym sierpowym w żołądek, tak nisko, jak mógł bez trafienia w jądra, i Blum nawet nie stęknął, tylko opuścił obie ręce, zapewne dlatego, że

trzaśnięcie w nos i ból w podbiciu otumaniały go z lekka – i odsłonił się szeroko na cios w grdykę, i wtedy Prew go zadał. Ręka zaboląła go piekielnie, ale było warto. Blum zakrztusił się, złapał oburącz za szyję i upadł na ziemię po raz pierwszy. Potem zerwał się dławiąc i ze spuszczoną głową runął na Prewa jak taran.

Prew cofnął się, żeby dać mu miejsce, i miał szczęście, że to zrobił, bo gdyby był bliżej, nie miałby czasu nadstawić kolana pod nachyloną twarz Bluma. Natomiast w ten sposób jego kość kolanowa trafiła Bluma w piersi, a tylko twardy mięsień udowy uderzył go w twarz i nos. Blum runął na wznak, z nosem, który był złamany, ale nie krwawił ani nie napuchł, z okiem podbitym, lecz nie zamkniętym i nie obrzmiałym, z brzuchem, który dostał tyle ciosów, a nie był posiniaczony, z grdyką, która powinna była być zmiążdżona, a jednak mogła łykać – bez żadnych widocznych oznak większych uszkodzeń – i przypadł na łokciu dysząc rozpaczliwie i patrząc na Prewa. Potem wstał i znowu ruszył na niego, tym razem ostrożnie osłaniając rękami twarz, a Prew pomyślał: „Jezu Chryste, przecież go waliłem wszystkim, czym mogłem oprócz ringowego wiadra na wodę, więc co jeszcze można zrobić?” – i wtedy właśnie batalionowy kapelan, podporucznik Anjer C. Dick, wysunął się naprzód zza kręgu widzów.

Obaj bardzo ucieszyli się na jego widok.

– Chłopcy – powiedział porucznik Dick. – Nie uważacie, że już dość tego? Strasznie mi przykro patrzeć, jak się tak ze sobą bijecie. To tylko marnowanie energii, a w ten sposób niczego się nigdy nie rozstrzyga. Gdybyście, chłopcy – dodał swoim łagodnym, religijnym głosem – zużyli na pomaganie sobie wzajemnie bodaj połowę tej energii, którą trwonicie na zadawanie sobie razów, wszystkim nam byłoby o wiele lepiej, a ja prawdopodobnie straciłbym swoją posiadłość.

Tłum roześmiał się, a porucznik Dick popatrzył po obecnych i uśmiechnął się szeroko.

Ani Blum, ani Prew nie powiedzieli nic.

– Poza tym – ciągnął porucznik Dick – Blum ma przecież dziś walczyć, prawda? Jeżeli będziecie bili się dłużej, nie starczy mu czasu, żeby się przebrać przed wejściem na ring.

Tłum zaśmiał się, a porucznik Dick popatrzał wokoło i uśmiechnął się szeroko. Potem jedną ręką objął Prewa, a drugą Bluma i powiedział:

– Uściskajcie sobie dłonie, chłopcy. Taka mała, przyjacielska bitka jest zawsze dobra, oczyszcza chłopakom krew, ale nie trzeba posuwać się za daleko, prawda? Proszę, żebyście już przestali – dodał. – A teraz uściskajcie sobie dłonie.

Podali sobie niechętnie ręce, porucznik Dick puścił ich obu, i Prew ruszył chwiejnie do koszar, a Blum też chwiejnie do sali gimnastycznej, żeby się przygotować do walki.

Porucznik Dick został i począł rozmawiać z tłumem.

Prew długo siedział na swojej pryczy w sali sypialnej. Postanowił nie jechać do miasta. Poszedł do pustej latryny i zwymiotował kolację, ale nie poczuł się lepiej. Głowa go bolała i była silnie obtłuczona na skroni, gdzie trafił go cios Bluma, a ucho piekło jak ogień. Dłoń nadal puchła. Zdawało mu się, że nie zdoła podnieść rąk, na których zaczynały występować ciemne sińce po uderzeniach. Nogi drgały mu, ilekroć wstawał. Nie miał poczucia, że dokonał czegoś wielkiego. Myśl o pójściu do łóżka z Alną czy z kimkolwiek innym drażyła go wewnątrz. Po jakimś czasie, kiedy z dziedzińca doleciały brawa oklaskujących pierwsze spotkanie bokerskie, Prew wziął prysznic, włożył czysty mundur, zeszedł niepewnie na dół i przez opustoszałą świetlicę udał się do ogródka piwiarni.

„Wódz” Choate siedział przy jednym ze stolików na trawie pod drzewami. Przeniósł się tu do Choya z uwagi na tłum, który przybył na zawody, ale las pustych butelek i puszek na stoliku mógłby być lasem przeplancowanym z jego dawnego stolika w kącie u Choya, gdzie przesiadywał co wieczór. Zza tego lasu popatrzył na Prewa badawczo i z satysfakcją.

– Siadaj – powiedział. – Ładnie wygląda to twoje ucho. Prew przysunął sobie krzesło. Czuł uśmiech na twarzy.

– Boli. Ale nie dostało aż tak, żeby mu dokuczać.

– Masz, napij się piwa – powiedział „Wódz” wesoło. Obejrzał z badawczym namysłem swój las i wyrwał jedno z drzew. Podsunął je Prewowi tak oficjalnie, jak gdyby nadawał mu medal. – Z tego, co słyszę – rzekł powoli, rozważnie – powiedziałbym, że wcale nieźle dałeś sobie radę. Zważywszy, że nie miałeś treningu.

Prew spojrzał na niego podejrzewając, że to sarkazm. A potem przekonał się, że tak nie jest. Przyjął to więc z godnością. Zaczynał nagle czuć się o wiele lepiej. „Wódz” Choate nie rozdawał bez wyboru piw i miejsc przy swoim stoliku.

– Robię się już za stary na takie rzeczy – powiedział skromnie, ze znużeniem. – O Jezuu, nie wyobrażam sobie, jak on w ogóle potrafi wdrapać się na ring. Nie mówiąc już o walce. Naprawdę myślisz, że będzie jeszcze zdolny do walki?

– A jakże – odparł „Wódz”. – To chłop mocny jak koń. I chce tego stopnia.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Nie chciałbym, żeby przeze mnie stracił zdolność do walki. Za nic bym nie chciał.

– Z tego, co słyszę, dałeś temu dowód – uśmiechnął się „Wódz” łagodnie.

Prew odpowiedział mu uśmiechem, odchylił się na krześle i podniósł piwo do ust. Było słonawo ostre w tym długim łuku, który przeniknął przez gęstą ślinę w jego gardle oczyszczając je, lodowato oczyszczając mu umysł.

– Ach! – sapnął z radością. – Ano, to już się od dawna szykowało. Sam się napraszał,

odkąd przyszedłem do tej kompanii.

– Nie ma dwóch zdań – powiedział „Wódz” wesoło.

– Ale nie chciałbym odebrać mu zdolności do walki.

– Będzie walczył – rzekł „Wódz”. – To zupełny koń. Gdyby miał ducha pasującego do reszty, na całych Hawajach nie znalazłby się bokser wagi ciężkiej, który by mu dorównał.

– Boi się ciosów – powiedział Prew.

– O to mi idzie – rzekł „Wódz”. – Ale walczyć będzie. I pewnie wygra. Dali mu za przeciwnika jakiegoś surowego z kompanii I. Stanie do walki, ale założę się, że nie będzie dużo gadał przez kilka dni.

– Pewnie, że nie, jak Boga kocham – powiedział Prew z satysfakcją.

– I zawsze będzie uważał, żeś zrobił to naumyślnie, żeby go wykończyć.

– „Dynamit” tak samo.

„Wódz” kiwnął swą wielką głową ociężale, tak jakby to wymagało znacznego wysiłku.

– Teraz już na dobre będziesz na czarnej liście. Tylko że byłeś na niej już przedtem. I nie widzę sposobu, żeby nawet „Dynamit” mógł oddać cię pod sąd za uczciwą walkę na boisku, kiedy taka rzecz jest zgodna z jego polityką.

– Nie, psiakrew – odrzekł z zadowoleniem Prew. – Ja też nie uważam, żeby mógł to zrobić.

– Blum nie byłby taki zły – powiedział „Wódz” filozoficznie, w zamyśleniu – gdyby tylko na chwilę zapomniał, że jest Żydem.

Prewowi coś przyszło do głowy.

– Psiakrew – zaprotestował. – Mnie to nic nie przeszkadza, że on jest Żydem.

– Mnie też nie – rzekł „Wódz”. – Chłopcy stale przezywają Sussmana „Żydziakiem” i jemu to nic nie przeszkadza. Bluma nazywają „Żydziakiem”, a on chce zaraz każdego pobić. Cholera, mnie nazywają „Indianin”, nie? No, więc jestem Indianinem. A Blum jest Żydem, nie?

– Słusznie – powiedział Prew. Czuł, że tamta myśl odchodzi znowu.

– Psiakrew, człowieku, ja mam krew francuską, irlandzką i niemiecką. No to co? Wcale bym się nie wściekał, jakby mnie przezywali „Francuś” czy „Mick”, czy „Szkop”.

– Właśnie – rzekł „Wódz” powoli.

– Właśnie – potwierdził Prew z satysfakcją.

– Pewnie – powiedział „Wódz”. – Znam takich durnych pierdołów, co źle traktują Żydów, ale nie w naszej kompanii.

– Jasne – odparł Prew. – A patrz, jak traktowali Indian.

– Słusznie – rzekł „Wódz”. – Człowiek musi się nauczyć, kogo bić, a kogo nie.

– Racja – powiedział Prew. – Nie wygląda na to, żeby inne pulki bardzo się interesowały naszymi zawodami – wyszczerzył zęby złośliwie.

– Po licha miałyby się interesować? – odparł łagodnie „Wódz”.

– Każdy wie, że jeżeli idzie o odzyskanie w grudniu nagrody, to mamy tyle szans co pierd w huraganie.

Prew popatrzył na jego potężną, masywną, niewzruszoną postać i uśmiechnął się; uwielbiał go za tę niewzruszoność wśród zamętu, w który przemienił się podczas ostatniego miesiąca cały świat.

– „Wodzu” – powiedział radośnie. – Mój stary „Wodzu”. Ach, ci panowie sportowcy – dodał. – Ci pieprzeni sportowcy.

– Uważaj, bracie – wyszczerzył zęby „Wódz”. – Sam trochę zajmuję się sportem.

Prew zaśmiał się głośno.

– Napij się jeszcze piwa – rzekł „Wódz”.

– O nie. Teraz moja kolej postawić.

– Jest tu tego do diabła. Weź sobie. Zapracowałeś na to.

– Nie, nie – powtórzył Prew stanowczo. – Tę kolejkę ja stawiam. Mam pieniądze. Teraz mam zawsze pieniądze.

– Aha – uśmiechnął się „Wódz” posępnie. – Zauważyłem. Musiałeś się niełicho skumać z tą pindzią z miasta.

– Nie najgorzej mi się wiedzie – uśmiechnął się wylewnie Prew.

– Wcale nie najgorzej. Sęk w tym – usłyszał własny głos – że ta cholera chce za mnie wyjść.

– Ano, psiakrew – mruknął „Wódz” filozoficznie. – Jak ma tyle pieniędzy, to nie bądź frajer, ożeń się z nią i pozwól się utrzymywać z takim fasonem, do jakiego chciałbyś być przyzwyczajony.

Prew roześmiał się.

– To nie ja, „Wodzu”. Sam wiesz, że nie jestem z tych, co się żenią.

Podszedł radośnie do baru znajdującego się w drugim końcu piwiarni. „Ty łgarzu – mówił do siebie z satysfakcją. – Ty i te twoje wielkie pomysły. Ano, pomysł był dobry, diablo dobry z jednej strony. Co, u pioruna? Człowiek powinien mieć prawo do marzeń, psiakrew?”

– Hej, Jimmy! – huknął wojowniczo.

– Idzie się – odrzyknął z drugiego końca baru masywny Jimmy. Jego szeroka twarz krajowca szczyrzyła zęby poprzez pot, a ręce otwierały i podawały butelki i puszki piwa tak szybko, jak nadążał wyjmować je z lodówki. Po drugiej stronie lodówki stał strażnik

pilnujący piwiarni, którym był zawsze jeden z pułkowych bokserów to z tej, to z innej jednostki, wynajmowany przez kierownika dla utrzymania porządku zgodnie z garnizonowymi przepisami; miał pas wyjściowy i pałkę – odznaki swojej przejściowej funkcji – i z głębin lodówki dobywał dla siebie puszkę za puszką piwa, podczas gdy bezradny kierownik Japończyk obserwował go z wyrazem zawodu i bólu na gładkiej, płaskiej twarzy.

– Dawaj mi cztery! – huknął Prew ponad falującym łanem głów.

– Robi się! – odkrzyknął Jimmy, a ciemna twarz rozbłysła mu uśmiechem. – Cztery piwa się naliwa! – Przyniósł je Prewowi. – Dzisiaj wasza kompania ma zawody. Ty nie walczysz?

– O nie, Jim – uśmiechnął się Prew radośnie. – Boję się, żeby mi nie rozkwasili ucha.

Wrócił z piwem do stolika patrząc na potężną masywną postać „Wodza”, która wydawała się taka zwalista na wątlym krzesełku, lecz potrafiła być tak szybka i precyzyjna na baseballowym boisku czy na placu do koszykówki, na bieżni czy na boisku do piłki nożnej. Ileż to razy obserwował z tą samą rozkoszą, co zachód słońca na Pacyfiku, ową potężną sylwetkę schyloną gibko w biegu i wyprzedzającą przeciwnika o ułamek sekundy.

– „Wodzu” – powiedział natarczywie. – „Wodzu”, jak to właściwie jest?

– Hę? – mruknął łagodnie „Wódz” Choate. – Co jest? Z czym?

– Sam nie wiem – wzruszył ramionami Prew. Był zakłopotany. Gorączkowo szukał słów. – No, z Wardenem – powiedział nieporadnie, jak gdyby to była jedyna rzecz mogąca wyjaśnić sprawę. – Co się dzieje z Wardenem, „Wodzu”? Nie mogę go zrozumieć. Jaka może być przyczyna, że jest taki, jaki jest?

– Warden? – odrzekł „Wódz” Choate. Popatrzył na ciemną ulicę poprzez białą zasłonę kratki pergoli, jak gdyby szperając niezdarnie w mózgu, by znaleźć to, o co chodziło tamtemu. – Warden? Bo ja wiem? Nic specjalnego nie słyszałem. A bo co?

– No, nie wiem – powiedział nieporadnie Prew, który już zaczynał kląć samego siebie od głupców. – Nie mogę go rozgryźć, i już. Był u nas młodszym sierżantem, kiedy służyłem w oddziale trębaczy, zanim dostał starszego. Wtedy go często widywałem. Potrafi być najparszywszym typem, jakiego spotkałem, a w następnej chwili wyłazi ze skóry, żeby wyciągnąć człowieka z jakiejś kabały, w którą go sam wpakował.

– Tak? – zapytał ociężale „Wódz” Choate. – Taki jest, co? – Popatrzył gdzieś w przestrzeń. – Chyba rzeczywiście trudno go rozgryźć. Wiem tylko tyle, że jest najlepszym szefem w pułku. Wcale bym się nie dziwił, gdyby był najlepszym w tej bazie. Dzisiaj się nie spotyka wielu takich szefów jak on. – „Wódz” Choate uśmiechnął się gorzko. – Wymierająca rasa – powiedział.

Prew kiwnął głową skwapliwie, z zakłopotaniem.

– Właśnie o to mi idzie – brnął dalej, skoro już był przy tym temacie.

– Czasem mi się wydaje, że mógłbym zrozumieć masę rzeczy, gdybym potrafił zrozumieć Wardena. Czasami myślę... Bo gdyby to był zwyczajny, stuprocentowy drab, taki jak Haskins z kompanii E, wszystko byłoby jasne. Znałem takiego parszywego szefa, kiedy byłem w Myer; najgorszy łotr pod słońcem, lubił krzywdzić ludzi, uwielbiał patrzeć, jak się skręcają. Pracowałem u niego w kancelarii przez jakiś czas, ale w końcu rzuciłem to i przeniósłem się gdzie indziej.

– Tak? – zapytał „Wódz” z niejakim zaciekawieniem. – Nie wiedziałem, że kiedyś machałś piórem, Prew.

– Mało kto o tym wie – odparł Prew krótko. – Załatwiłem sobie z kancelistą z tamtej jednostki, że mi tego nie wpisał do książki służbowej ani do akt, bo nie chciałem, żeby ktoś się dowiedział i wciągnął mnie w to z powrotem. – Przerwał. – Tam, w Liberry, nauczyłem się z podręcznika pisać na maszynie; chyba czegoś szukałem, za czymś się rozglądałem – powiedział, a potem wrócił z uporem do swego tematu.

– Ale rozumiesz, o co mi idzie. Ten gość, o którym mówię, był zwyczajny drań od początku do końca. Nie umiał obchodzić się z ludźmi i nienawidził ich właśnie dlatego, że nie umiał, rozumiesz? Takiego można zrozumieć. Dochrapał się stopnia przez wazeliniarstwo i wciąż się tylko bał, żeby się gdzieś nie znalazł jeszcze większy lizus od niego. To jest proste.

– Aha – rzekł „Wódz” Choate. Powoli kiwnął swą wielką głową, słuchając z szacunkiem, ze skupieniem. – Znam takich, odkąd tu przyszedłem. Znam takich tutaj.

– Ale z Wardenem jest co innego – powiedział Prew. – Ja nie uważam, żeby on był drań. Mam co do niego śmieszne uczucie. Jakieś... niesamowite, wiesz?

„Wódz” kiwnął głową.

– Niektórzy goście już się rodzą pechowcami – powiedział z wolna.

– Ja osobiście uważam, że Warden jest taki.

– Jak to pechowcami?

– Ano, to trudno wytłumaczyć – powiedział „Wódz” Choate nerwowo.

Prew czekał.

– Weź na przykład mnie – ciągnął „Wódz”. – Byłem dzieciakiem w indiańskim rezerwacie. Tam się urodziłem i wychowałem. I chciałem być sportowcem. Okropnie chciałem. Moim bożyszczem był Jim Thorpe. Czytałem o nim wszystko, co tylko mogłem znaleźć. Słuchałem historii o nim, które wszyscy opowiadali. Był dla naszych ludzi bohaterem. i myślałem sobie, że Jim Thorpe jest wspaniały, i chciałem być taki jak on, kapujesz?

Prew kiwnął głową. To były rzeczy, których nigdy dotąd nie słyszał ani on sam, ani

nikt, kogo znał. Może i coś w tym tkwiło, może to było właśnie coś. Coś ważnego.

„Wódz” opróżnił puszkę jednym długim haustem i swymi kielbaskowatymi palcami postawił ją ostrożnie na stole, wśród lasu innych.

– No i wykopsali go z olimpiady – powiedział z wolna. – Kiedy już pozdobywał prawie wszystkie medale, jakie tylko były. Wykopsali go z jakichś formalnych powodów. Nie pozwolili mu nawet zatrzymać tych medali. I potem go widywałem grającego dzikich Indian w westernach. Rozumiesz, o co mi idzie?

Prew kiwnął głową obserwując szeroką, spokojną twarz patrzącą w głąb ogródka.

– Podrosłem – ciągnął „Wódz”. – Chciałem pójść do college'u i zająć się sportem. Ale nawet nie skończyłem gimnazjum. Zresztą mój stary nie miał dość forsy na portki dla całej rodziny. A nie mogłem dostać stypendium. Gdzie by mi tam dali stypendium.

A tu Jim Thorpe grywał Indian w westernach, żeby zarobić na życie – mówił „Wódz”. Wzruszył potężnymi ramionami, co spowodowało małe trzęsienie ziemi w lesie na stole. – To chyba był największy zawodnik, jakiego kiedykolwiek miał nasz kraj – zaryzykował nieśmiało. – No, i tak to jest. Tak się dzieje. To jest życie. Mógłbyś sobie mnie wyobrazić w portkach z kozłej skóry, pomalowanego farbą wojenną, z wielkim pióropuszem na głowie? Wyjącego i ganiającego z tomahawkiem? No więc, ja też nie. Czułbym się jak bałwan. Jedyne tego rodzaju zabawki, jakie w życiu widziałem, przysyłali do naszej składnicy z fabryki w Wisconsin, na sprzedaż dla turystów. Dla mnie to byłoby... ja bym się wstydził. Więc zaciągnąłem się do wojska, gdzie sport mógł mi co pomóc i ułatwić życie. Nie jest mi źle. Rozumiesz?

– Aha – odrzekł Prew z uśmiechem ostrym jak krawędź brzytwy.

– Ale Warden to co innego. Jego coś gryzie w środku. Jakby miał w sobie ogień, który go spala i od czasu do czasu strzela mu z oczu. Jeżeli mu się kiedy przyjrzałeś, toś musiał to zauważyć. Warden nie nadaje się do wojska.

– To dlaczego u licha, nie pójdzie sobie? – zapytał Prew. – Nikt go nie prosił, żeby wstępował do wojska i siedział w nim. Jeżeli mu się nie podoba, dlaczego nie idzie tam, gdzie się nadaje?

„Wódz” Choate popatrzył na niego uważnie.

– A bo ty wiesz, gdzie on się nadaje? Prew spuścił oczy.

– No tak – powiedział.

– Mnie się widzi że człowiek, który wie, do czego się nadaje, ma szczęście – ciągnął „Wódz” Choate. – Warden to porządny gość, tyle że nie pasuje do wojska. Pete Karelsen też jest porządny, ale też nie nadaje się do wojska. I ja to samo. „Dynamit” do wojska pasuje.

– No tak – powtórzył Prew. – W porządku. Ale dlaczego tak na mnie naskakuje?

Mógłbym zrozumieć, gdyby był naprawdę drań i miał coś do mnie. Ale jakoś mi się wciąż zdaje, że w gruncie rzeczy nic przeciwko mnie nie ma.

– Może próbuje czegoś cię nauczyć – rzekł „Wódz”.

– Ale czego? – zapytał Prew.

– Czego! A czy ja wiem? – powiedział „Wódz”. – Skąd mogę wiedzieć, czego Warden chce ciebie nauczyć? – zapytał z gniewnym zakłopotaniem. Jego wiecznie spokojna twarz była nadal łagodna, ale gdzieś w głębi poza oczami zjawiał się nagle zimny, oschły wyraz, jaki miewają Indianie z rezerwatów na widok białych turystów, którzy przybyli oglądać ich tańce podczas dwutygodniowego urlopu. – Dlaczego u licha, nie zapytasz Wardena, jeżeli tak bardzo chcesz wiedzieć? Może by ci wyjaśnił.

„Wódz” Choate popatrzył w zamyśleniu poprzez ogrodową kratkę ku przyćmionym światłom kantyny po drugiej stronie ulicy.

– Warden jest z tych, którzy ani rusz nie mogą zginąć – powiedział z niedźwiedzią łagodnością. – Był z piętnastym pułkiem, kiedy przeprowadzali tę akcję w Szanghaju. Słyszałem o tym jeszcze na Filipinach. Był po prostu... Zapracował tam sobie na Order Fioletowego Serca i Krzyż Zasługi, aleś nigdy o tym nie słyszał, prawda? I niewielu słyszało. To szalenie, nic więcej, nie może sobie znaleźć nic, czego by mógł się ucześcić. Jak teraz przyjdzie ta wojna, Warden stanie gdzieś na szczycie wzgórza i będzie próbował dać się zabić, ale nic go nawet nie draśnie. Przejdzie przez wszystko, żeby się waliło i paliło, jeszcze bardziej szalony, dziki, zwariowany. Taki już jest. Tyle wiem. Ale wiem też, że to najlepszy żołnierz, jakiego w życiu widziałem.

Prew nie zaprzeczył. Siedział i patrzył na niego coś czując, starając się ucuć coś innego.

– Może byśmy napili się piwa? – zapytał „Wódz”. – Lubię piwo.

– To najlepsza myśl, jak dotąd – odrzekł Prew i pochylił się nad puszkami piwa, którymi obstawiał go Czarny Jimmy. To wszystko było bez sensu. Wiedział w każdym razie, że jutro będzie musiał zobaczyć się z Blumem, nawet gdyby to nic nie dało. Coś w słowach „Wodza”, coś nie wypowiedzianego w chaosie rozmowy sprawiło, że to wiedział. Musiał spróbować wytłumaczyć Blumowi. Możliwe, że to się na nic nie zda, ale czuł, że musi tak zrobić.

Walki skończyły się wcześniej. Tłumy wychodzące z zawodów zaczęły się wlewać przez furtki ogródka piwiarni już przed dziesiątą. Było niezwykle dużo nokautów. Wszyscy trzej bokserzy z kompanii G wygrali swoje spotkania, ale każdy mówił z podnieceniem o Blumie. Blum wygrał swoją walkę technicznym nokautem w pierwszej rundzie. Wszyscy pokładali wielkie nadzieje w Blumie. Wszedł na ring ze złamanym nosem, z podbitym okiem,

nie mogąc mówić i zrobił nokaut w połowie pierwszej minuty. Doktor Dahl, lekarz pułkowy, w ogóle nie chciał go puścić na ring.

– Chłopak wie, gdzie jego kapralstwo – powiedział „Wódz” Choate bez entuzjazmu.

– Ale się cieszę, że mógł walczyć – rzekł Prew. – A nawet jeszcze bardziej cieszę się, że wygrał.

– To koń – odparł łagodnie „Wódz”. – Zupełny koń. Ja też taki byłem. Mógłby w tej chwili zacząć od początku i nawet by nie poczuł.

– Ale trzeba na to mieć sporo nerwu.

– Nie taki koń jak on – odparł „Wódz”. Prew westchnął. Piwo krążyło w nim żywiej.

– Chyba już pójdę i kropnę się do łóżka. Jestem obtłuczony jak kotlet i czuję się w tej chwili mniej więcej równie popularny jak kutas w klasztorze dla dziewczyc.

„Wódz” wyszczerzył zęby.

– Myślę, że w takim wypadku mógłbyś się czuć trochę speszony. Prew zdobył się na uśmiech i przecisnął się przez tłum. Przy furtce obejrzał się. „Wódz” Choate siedział nadal przy stoliku, tak samo jak przedtem. Opróżnione puszki rozmnożyły się w sposób widoczny, odkąd Prew przyszedł. „Wódz” miał już nieco maślane oczy, gdy podniósł wolno, ociężale rękę, by mu pomachać w odpowiedzi. Prew wyszedł. Na ulicy było cicho. We wszystkich budynkach koszarowych pogaszono już światła, a kantinę wyprzątano przed zamknięciem. Szedł wolno, chcąc odczekać, aż dziedziniec opustoszeje. Nie miał ochoty spotykać nikogo.

Dziedziniec wydawał się pusty, kiedy tam skręcił przez bramę wjazdową; na przemienionym w ring podium dla orkiestry światła były już pogaszone, ale kiedy się zbliżał chodnikiem do galeryjki swojej kompanii, jakiś cień wyszedł mu stamtąd na spotkanie. Nawet po ciemku zdołał rozpoznać ów długoręki, małpi kształt. Był to Ike Galowicz, zataczający się po pijanemu.

– Jag rany – zaryczał Ike. – Powiadam ja, że dzisiaj wielki dzień jest. Dzisiaj gompania G i gapitan Holmes, oni zwyciężyli! – huknął radośnie.

– Wygraliśmy my dzisiaj czy my nie wygraliśmy, ja pytam? Jesteśmy dumni z tej gompanii czy nie, hę?

– Hello, Ike – powiedział Prew.

– Kto jest to? – Ike Galowicz przestał się uśmiechać, a jego długa, obwisła szczęka wysunęła się do przodu, kiedy wyciągnął szyję łypiąc po pijacku. – Nie jest to Prewitt? Kto to?

– Prewitt to jest, a jakże – odpowiedział z napiętym uśmiechem.

– Cholera – wybuchnął Ike. – Masz odwagi dużo, żeby swoją gębę pokazywać tu, Prewitt. W tych koszarach taki zdrajca jak ty nawet prawa nie powinien mieć sypiać.

– Słusznie, ale muszę tu sypiać, zanim mnie stąd przeniosą. Skręcił w bok, by go wyminąć, lecz Ike zastąpił mu drogę.

– Do Obozu Karnego przeniosą ciebie – warknął Ike. – Psa, co gryzie rękę, która go karmi, zastrzelić trzeba. Nawet komunista lepszy jest. Dźgać nożem w plecy najlepszego przyjaciela, kiedy kapitan Holmes taką szansę ci dał! Niestety, psy tylko strzelać wolno, nie ludzi.

– A wy byście pewno chcieli, żeby zmienili to prawo, co, Ike? – uśmiechnął się Prew. Stał biernie: już raz próbował go wyminąć, nie będzie próbował więcej.

– Dla ciebie, tak – huknął Ike. – Dla wściekłych psów strzelanie za dobre jest. Ta armia silna jest, ale słabe ogniwa ma. Takie buntownicy jak ty zrobiły faszystów tam, skąd pochodzę ja. Takich bolszewików jak ty nie powinno do tego kraju wpuszczać się. Powinno się ich z tego kraju wygonić.

– Jeżeli już powiedział, co masz do powiedzenia, stary – rzekł Prew – ustąp mi z drogi, to pójdę do łóżka.

– Jeżeli powiedziałem, co do powiedzenia ja mam! – wściekał się dalej Ike. – Ty nawet Hamerykan nie jesteś. Nie potrafisz wdzięczny być za to, co tacy dobrzy ludzie, jak Holmes kapitan, dla ciebie zrobić chcą. Czego ci trzeba, to nauczki, żebyś szanował lepszych od ciebie, kiedy tacy dobrzy są, żeby dla ciebie coś zrobić.

– A ty byś niczego bardziej nie pragnął niż dać mi tę nauczkę, co? – uśmiechnął się Prew. – Słuchaj, już raz próbowałem cię wyminąć. Nie będę tego robił więcej. Spotkaj się ze mną jutro, podczas służby, kiedy nie będę mógł ci odpowiadać. A teraz spierdalaj mi z drogi, żebym mógł położyć się do łóżka.

– Taaak? – odparł Ike. – A może ci tę nauczkę dam, prawo czy nie prawo? Holmes gapitan dla ciebie zrobił wszystko, co można. I jesteś za to wdzięczny? – zagrzmiął z wściekłością. – Gównu. Porządny człowiek, on tobie szansę daje, żeby zrobić coś, a ty? Nic. Ani, ani. Może ja ci tę nauczkę dam, jeżeli Holmes gapitan za dobry jest. Co ty na to?

– Byczo – wyszczerzył zęby Prew. – Kiedy zaczynamy? Jutro podczas musztry?

– Cholera tam, musztra. Jak Boga kocham, ja pokażę ci, że ja musztry nie potrzebuję ani sierżanckiego stopnia.

Klnąc po pijacku Ike Galowicz, Amerykanin, wy dobył z kieszeni nóż. Nie był to sprężynowiec zawodowego nożownika, jaki miał sierżant Henderson, ale Ike otworzył go niemal równie szybko, wyciągając ostrze paznokciem dużego palca w chwili, gdy wydobywał nóż z kieszeni – wszystko jednym błyskawicznym ruchem – i obnażone ostrze zamigotało oleiście.

Prew obserwował go niemal z radością. Nareszcie miał przed sobą wroga.

Prawdziwego wroga. Wspólnego wroga.

Kiedy Ike Galowicz, Amerykanin, rzucił się nań po pijacku z nożem w ręce, Prew postąpił ku niemu, odbił lewym ramieniem kiść i rękę Ike'a i nadepnął mu zręcznie na palce nóg. Ike stracił równowagę i już zaczynał padać w bok, kiedy Prew trzasnął go prawą pięścią, wkładając ze złością w to uderzenie cały swój ciężar i całą siłę. Był to miażdżący cios, a ból przeniknął mu ze spuchniętej dłoni w napięstek.

Ike Galowicz, Amerykanin, zatoczył się w tył z chodnika, wciąż z nożem w ręce, szybko przebierając nogami po trawie. Jego pięty uderzyły o chodnik kuchenny po drugiej stronie, ostatnie trzy stopy przejechał na siedzeniu i grzmotnął na betonową platformę do kubłów na śmieci, a głowa opadła mu w pomyje.

Prew stał na chodniku i obserwował go rozcierając rękę. Ike się nie ruszał, więc podszedł i przyłożył ucho do jego ust. Ike Galowicz, Amerykanin, spał spokojnie, oddychał równo i cuchnąco – szpetny, pomarszczony, skołatany, zmęczony stary człowiek, co przybył tu na Hawaje aż z Jugosławii, ażeby znaleźć sobie bożyszcze, które mógłby wielbić. Nie był to wspólny wróg, ale jedynie odpychająco brzydki, stary słowiański chłop o śmierdzącym oddechu i zepsutych zębach, którego życie czy śmierć były zawsze najzupełniej obojętne dla wszystkich na tej ziemi, nawet dla „Dynamita” Holmesa czy choćby własnej matki. „Jak byś się czuł, gdybyś musiał co rano oglądać w lustrze odbicie tej twarzy i wiedzieć, że jesteś tak odrażający? Tylko zaczekaj, aż się ocknie – pomyślał – aż jego umysł znów zacznie pracować; co będzie wtedy? Z łatwością mógł cię zabić i zrobiłby to, gdyby zdołał”. Stał patrząc na tę niewiarygodnie niewinną śpiącą patetyczność, po czym wziął nóż, ułamał dobrze wywecowane ostrze wsadziwszy je w głęboką szczelinę w betonie platformy, wetknął na powrót rączkę bez ostrza w otwartą dłoń i poszedł na górę położyć się do łóżka.

Nie zauważył sylwetek sierżanta Hendersona i sierżanta Wilsona, którzy wysunęli się z cienia galeryjki i zbliżyli do leżącego Ike'a, kiedy już odszedł, lecz gdyby ich nawet zobaczył, nie bardzo by się tym przejął.

Obudziło go skierowane w twarz światło latarki. Jego zegarek wskazywał północ. Prew był jeszcze trochę pijany. Przyszło mu jedynie na myśl, że to jakiś nowy alarm przeciwsabotażowy.

– Jest tutaj – szepnął jakiś głos, a ręka z naszywkami kaprala sięgnęła w stożek światła, poza którym nie widział nic, i potrząsnęła go za ramię.

– No, Prewitt, wstajemy i jedziemy. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje

– mówił głos przeciągle, automatycznie. – Zbieraj się.

– Co się stało? – zapytał głośno. – Może byście przestali świecić mi w oczy, do cholery.

– Cicho bądź, psiakrew – szepnął głos. – Chcesz pobudzić całą kompanię? No, jazda. Wstawaj. – Był to głos kaprała Millera, podoficera służbowego.

Wiedział już, o co idzie. W ciągu ostatniego miesiąca wyobrażał sobie tę scenę wielokrotnie. Teraz nagle zachciało mu się śmiać z tej delikatnej troskliwości o wypoczynek kompanii. Tego nie przewidział.

– O co idzie? – zapytał.

– Wstawaj – szepnął służbowy. – Jesteś aresztowany.

– Za co?

– Nie wiem. To ten, sierżancie – powiedział podoficer służbowy.

– Ten, którego szukacie.

– Dobra, kapralu – odrzekł drugi głos. – Możecie wracać do łóżka. Resztę ja sam załatwię. – Głos zamilkł, po czym zmienił kierunek. – To ten, panie poruczniku. Szeregowiec Prewitt. Zdaje się, że jeszcze jest pijany.

– W porządku – odezwał się trzeci głos znudzonym tonem. – Wyciągnąć go i ubrać w coś. Nie będę tu czekał całą noc. Przecież wiecie, że oficer dyżurny musi obchodzić posterunki. Wywleczcie go z tych betów.

– Rozkaz, panie poruczniku – powiedział sierżant z warty.

Ta sama ręka z naszywkami kaprała znowu sięgnęła ku niemu w stożek światła. „Ale ciężko pracuje” – uśmiechnął się w duchu Prew.

– Chodźcie – powiedział służbowy. – Wstawajcie i ubierajcie się. Słyszeliście, co powiedział oficer dyżurny. – Ręka chwyciła go za nagie ramię.

Wywinął się spod niej.

– Łapy przy sobie, Miller. Potrafię sam wstać. Tylko spokojnie.

Skrzypnęła skóra rzemienia, na którym sierżant miał zawieszoną pałkę.

– Bez awantur, szeregowiec Prewitt – odezwał się znudzony głos dyżurnego oficera. – Im bardziej będziecie się awanturowali, tym gorzej dla was. W razie potrzeby potrafimy wziąć was siłą.

– Ja nie chcę żadnych awantur, tylko trzymajcie ręce przy sobie. Nie będę uciekał. Jakie są przeciwko mnie zarzuty?

– Dodawaj: „panie poruczniku”, kiedy mówisz do oficera, bracie – powiedział sierżant. – Co z tobą jest?

– Mniejsza z tym – rzekł oficer dyżurny. – Tylko niech się ubierze. Nie mam czasu stać tu przez całą noc. Jak wiecie, oficer dyżurny musi obchodzić posterunki.

Siłą przyzwyczajenia, zanim się opamiętał, Prew wyśliznął się spod kołdry pozostawiając pościel w takim stanie, że trzeba ją było tylko wygładzić. Światło latarki

powędrowało za nim, gdy wstawał nagi z łóżka.

– Nie moglibyście nie świecić mi w oczy tą cholerną latarką? Żebym mógł dojrzeć, gdzie jest ubranie? Za co jestem zatrzymany?

– Mniejsza o to – odparł oficer dyżurny. – Róbcie, co wam każą. Będziecie mieli dość czasu, żeby się dowiedzieć. Przesuńcie to światło, sierżancie.

– Portfel mam w kuferku – powiedział Prew, kiedy się ubrał. Dokoła nich w sali sypialnej ludzie podnosili się na łózkach, a w ich wytrzeszczonych oczach odbijało się światło latarki.

– Mniejsza o portfel – rzekł niecierpliwie oficer dyżurny. – Nie będzie wam potrzebny. Dostaniecie cały ekwipunek. A wy tam kładźcie się i śpijcie. To nie wasza sprawa.

Światła odbijające się w oczach zgasły jak na komendę. Prycze zaskrzypiały, kiedy ludzie wyciągali się i przewracali na bok, tyłem do latarki.

– W portfelu mam pieniądze, panie poruczniku – rzekł Prew. – Jeżeli go nie zabiorę, nie będzie ich, jak wrócę.

– No dobrze – powiedział ze zniecierpliwieniem oficer dyżurny. – To go weźcie. Ale pospieszcie się.

Prew już wytrząsał klucz od kuferka z dna poszwy swojej poduszki. Sierżant poprowadził go na dół; za Prewem szedł oficer dyżurny, a pochód zamykał podoficer służbowy.

– Nie rzucę się na was – uśmiechnął się Prew.

– Tak mi się zdaje – odparł sierżant.

– Mniejsza z tym – rzekł oficer dyżurny.

– I zamknijcie się – dodał sierżant.

Na dole, przy korytarzu, paliło się światło w pokoju podoficera służbowego; siatka przeciwmoskitowa była jeszcze odrzucona w pośpiechu z jego pryczy stojącej obok małego biurka, i w tym świetle Prew ich zobaczył. Oficerem dyżurnym był porucznik Van Voorhees z dowództwa batalionu, wysoki, o dużym nosie i płaskiej głowie, który przed trzema laty ukończył West Point. Sierżanta nie znał z nazwiska, ale przypomniał sobie jego twarz. Z kapralem Millerem służył od paru miesięcy. Byli sobie obcy.

– Poczekajcie tu – rzekł sierżant i obrócił się do Millera. – Wpisaliście to już do raportu?

– Nie – odrzekł Miller. – Właśnie miałem was spytać.

Stali przy biurku rozmawiając zniżonym, poufnym głosem. Prew słuchał, jak recytowali nazwiska i numery wchodzące do raportu. Miał dziwne uczucie. Porucznik Van Voorhees stał na uboczu przy drzwiach, stukając kolejno paznokciami we framugę.

– Pospieszcie się, sierżancie – odezwał się porucznik Van Voorhees.

– Tak jest, panie poruczniku – powiedział sierżant. – No, to bardzo dziękuję, kapralu. Przykro mi, że musieliśmy was obudzić. Możecie teraz wracać do łóżka.

– Bardzo proszę – odrzekł Miller. – Zawsze chętnie, jak tylko będę mógł w czymś pomóc. Na pewno nie ma nic więcej do zrobienia?

– Nie – odparł sierżant. – Wszystko już załatwione.

– W porządku – rzekł Miller. – Ale w razie czego proszę mnie wezwać.

– Nie, dziękuję – powiedział sierżant. – Cenimy sobie waszą pomoc.

– W każdej chwili – dodał Miller.

Prew obrócił się do porucznika Van Voorheesa.

– Jakie są przeciwko mnie zarzuty, panie poruczniku? – zapytał.

– Mniejsza o to – odparł niecierpliwie porucznik. – Jutro będziecie mieli dość czasu, żeby się dowiedzieć. – Spojrzył niecierpliwie na zegarek.

– Kiedy ja mam prawo wiedzieć, co mi się zarzuca – rzekł Prew. – Kto mnie oskarżył? Van Voorhees łypnął na niego.

– Nie musicie pouczać mnie o waszych prawach. Ja je znam. Oskarżenie wniósł kapitan Holmes. A ja nie lubię prawników z odwachu. Skończyliście, sierżancie?

Sierżant służbiście kiwnął głową. Prew zagwizdał.

– O, to się ktoś uwinął, nie ma co – wyszczerzył zęby. – Ktokolwiek to był. Musiało go aż poderwać z łóżka.

Jako dowcip nie wypadło to zbyt dobrze.

– Zamknij się, bracie – powiedział sierżant. – Im więcej podskakujesz, tym bardziej pogarszasz sobie sprawę. No, chodź, idziemy. Słyszałeś, co powiedział oficer dyżurny.

W długiej, niskiej, zbudowanej z blachy falistej wartowni pułkowej po drugiej stronie uliczki dali mu koc i posłali go za kraty oddzielające areszt od pokoju kancelaryjnego. Nie zamknęli drzwi z kraty otwierających się na zawiasie w ścianie z krat.

– Nie zamykamy tych drzwi – powiedział zza biurka oficer dyżurny – bo tam śpią żołnierze z warty. I tylko ich aby nie obudźcie. Ale przez całą noc będzie tu czuwał ktoś uzbrojony. No, dobra, to wszystko. Możecie tam iść i położyć się spać.

– Tak jest – powiedział Prew – Dziękuję, panie poruczniku. Ruszył z kocem w ręce między dwoma rzędami prycz, na których leżały

skulone postacie śpiących wartowników, aż znalazł sobie wolną. Usiadł na niej i ściągnął buty.

(nie było dla niego niczym nowym to uczucie przejścia przez linię krat w inny cięższy świat gęstego powietrza i gęstej wody nie było dla niego niczym nowym więzienie i wiedział

że w końcu się przywyka do oddychania gęstym powietrzem a wtedy płuca przestają grozić ścisnięciem dlatego że gęste powietrze do nich nie przenika i trzeba się tylko zaaklimatyzować tyle wiedział o więzieniach więzienia były czymś tak swojskim w jego życiu i dziedzictwie jak włóczęga albo żołnierka nauczył się oddychać gęstym powietrzem i pić gęstą wodę były one takie same w każdym więzieniu czy to na Florydzie czy w Teksasie w Georgii albo w Richmondzie w stanie Indiana zapoznał się z więzieniami jeszcze zanim zapoznał się z wojskiem właściwie jedno i drugie jest jakoś do siebie podobne i to wymaga tylko trochę czasu nic więcej)

Położył się na pryczy i naciągnął na siebie koc.

W ucichającym przerażeniu pomyślał: „To musi być z powodu Galowicza, nic innego.”

„Gdyby Wilson i Henderson nie próbowali wsadzić psa policyjnego na sukę Bluma – myślał – Blum nie próbowałby mi podziękować. A gdybym nie pobił się z Blumem, Stary Ike nie próbowałby mnie zadźgać nożem.”

Było to bardzo skomplikowane i trochę się w tym gubił. Jednakże wiedział, że właściwa przyczyna nie tkwi w tym przypadkowym zbiegu okoliczności. Prawdziwa przyczyna leżała głębiej. To wiedział. Ale trudno było to sobie uprzytomnić.

Kiedy zapadał w sen, słyszał oficera dyżurnego i sierżanta, którzy nadal siedzieli przy oświetlonym biurku i rozmawiali przyciszonymi głosami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Porucznik Culpepper został wyznaczony na jego obrońcę. Drugiego czy trzeciego, a może czwartego dnia (dnie były wszystkie takie same, były identyczne, co dzień trzykrotnie wyprowadzano go pod strażą na powietrze i karmiono pod strażą w kasynie kompanii E, gdzie warta otrzymywała racje żywnościowe, co dzień dwukrotnie wyprowadzano go pod strażą, żeby pod strażą wrywał chwasty z klombów na terenie do zabaw dla oficerskich dzieci, za domkami żonatych oficerów; wrywał tam chwasty klęcząc w drelichach pod strażą, przy czym strażnik stał nad nim i strażował, a dzieci śmiały się, wrzeszczały i bawiły na huśtawkach i w piaskownicy, i to nie było specjalnie nieprzyjemne) – więc drugiego czy trzeciego, a może czwartego dnia porucznik Culpepper wtargnął z tamtego innego świata przez linię krat owymi otwartymi drzwiami z kraty, jak trąba powietrzna niosąca zapach morza na dotknięte ciężką suszą prerie, trzymając w ręku nowiutką teczkę z zamkiem błyskawicznym z trzech stron, którą zakupił, aby w niej nosić akta sprawy, kiedy go wyznaczono na obrońcę oskarżonego.

Porucznik Culpepper został po raz pierwszy wyznaczony na obrońcę i entuzjasmował się sprawą. Twierdził, że ma ona dobre widoki, jeżeli nie na zwycięską walkę o uniewinnienie, to przynajmniej na pyrrusowe zwycięstwo, i potem, odkąd porucznik Culpepper zaczął przychodzić, aby rozmawiać o sprawie, nie wyprowadzano już Prewa po południu do wrywania chwastów pod strażą, lecz co najwyżej z rana.

– To wielka odpowiedzialność – mówił z entuzjazmem porucznik Culpepper. – Dla mnie pierwsza okazja praktycznego wykorzystania tego semestru wykładów o prawie i sądach wojskowych, który nam urządzili w West Point. Wszyscy będą obserwowali, jak sobie z tym radzę. Naturalnie chciałbym to zrobić najlepiej, jak potrafię. Chcę dla was wytargować możliwie najlepsze warunki i muszę to osiągnąć.

Prew, nie mogąc zapomnieć tamtej nocy w Hickam, kiedy nie dano im dokończyć *Pieśni nadterminowych*, był niewymownie skrepowany. Nie powiedział wiele. Nie wspomniał w ogóle o nożu, o którym nie było wzmianki w podpisanych zeznaniach świadków, które pokazał mu porucznik Culpepper. Nie chciał sprawić zawodu porucznikowi Culpepperowi przy jego pierwszym procesie, ale absolutnie odmówił przyznania się do winy. A cała linia obrony porucznika Culpeppera była oparta na przyznaniu się do winy.

– No, oczywiście, to wasze prawo – mówił z zapałem porucznik Culpepper. – Ale jestem pewny, że zmienicie zdanie, kiedy wam wyłożę naszą strategię.

– Nie, nie zmienię – powiedział Prew.

– Kiedy zrozumiecie, że z punktu widzenia prawnego jest absolutną niemożliwością uzyskać dla was uniewinnienie – ciągnął z zapalem porucznik Culpepper. – Mają Wilsona i Hendersona jako świadków oraz zaprzysiężone zeznania samego sierżanta Galowicza, który oświadczył pod przysięgą, że byliście pijani i że go uderzyliście, kiedy was napomniął za zakłócenie spokoju po wygaszeniu świateł. Tego nie obalimy.

Pokazał Prewowi oskarżenie. Prew był oskarżony o zakłócenie porządku w stanie nietrzeźwym, niewykonanie rozkazu oraz pobicie podoficera w czasie pełnienia służby. Oskarżono go również o zachowanie niegodne żołnierza. Zalecano specjalny sąd wojskowy.

– Jak widzicie, jest to właściwie ten sam zestaw, co w stosunku do Maggia – rozpromienił się porucznik Culpepper. – Z wyjątkiem oporu władzy.

– Nie myśli pan porucznik, że i to mogliby jakoś dołożyć? – zapytał Prew.

– Jednakże to wszystko działo się na terenie pułku – mówił porucznik Culpepper – podczas gdy tamta historia zdarzyła się w mieście i musiał się w nią wdać dowódca żandarmerii. W waszym przypadku wniósł oskarżenie tylko kapitan Holmes, wasz dowódca kompanii. Tak że nawet przed sądem specjalnym nie możecie w żadnym razie dostać więcej niż trzy miesiące oraz wstrzymanie dwóch trzecich poborów.

To nieźle – powiedział Prew.

– A jeżeli wszystko dobrze rozegramy – ciągnął porucznik Culpepper

– możemy to nawet obniżyć. Jednakże mają przeciwko wam dowody i nie może być wątpliwości, że jesteście winni. Poza tym dostaliście się na czarną listę prawie u wszystkich w pułku. Wszyscy są mniej albo więcej na was cięci, a odkąd przyszlście do kompanii G, wyrobiliście sobie złą opinię jako bolszewik i oporny. To zaś oczywiście ma ogromne znaczenie, bo widzicie, rzecz nabiera politycznego znaczenia. Naprawdę mają was w ręku.

– To zauważyłem – powiedział Prew.

– No więc właśnie dlatego chcę, żebyście przyznali się do winy

– oświadczył z triumfem porucznik Culpepper. – Musimy to zwalczać tą samą metodą. Politycznie. Nie tymi prawniczymi bzdurami. Ja studiowałem te rzeczy, Prewitt. Napisałem bardzo radykalną rozprawkę semestralną podczas wykładów o procedurze sądów wojskowych i ta rozprawka narobiła diabelnie dużo szumu w West Point. Miałem najrozmaitsze dowody uznania. Podkreśliłem tam, że procedura prawna zawsze milcząco opiera się raczej na stosunkach ludzkich niż na abstrakcyjnej sprawiedliwości i że w konsekwencji, na przekór kodeksom prawnym, właśnie te stosunki określają werdykty sądów. A to oczywiście jest równoznaczne z polityką. Widzicie? Rozumiecie mnie?

– Rzecz brzmi rozsądnie – powiedział Prew.

– Rozsądnie, cholera! – wybuchnął porucznik Culpepper. – To była prawdziwa

bomba! Udowodniłem ponad wszelką wątpliwość, że nie ma czegoś takiego, jak abstrakcyjna sprawiedliwość, po prostu z tej przyczyny, że na każde rozstrzygnięcie prawne wpływa ciągła zmienność poglądów społecznych. Zrobiło mi to większą reklamę niż mistrzostwo w zawodach szermierczych. Nikt, nawet zawodowcy, nie mógł złamać moich wywodów. Zresztą chyba sami to widzicie. A żeby mieć na tym świecie uznanie, trzeba ludzi zaskakiwać. Ktoś kiedyś powiedział, że zła reklama jest lepsza niż żadna. Ale ja mówię, że zła reklama jest lepsza od dobrej. Zaszokować ludzi, a będą nas pamiętali. Pierwszy lepszy dureń potrafi sobie zrobić dobrą reklamę.

– Pewnie pan porucznik miał z tego sporo satysfakcji – powiedział Prew.

– Satysfakcji! – zawołał porucznik Culpepper. – Przecież to mi dało pozycję w West Point. Po tej rozprawce zrobiłem karierę. I tutaj mamy do czynienia z tym samym, rozumiecie? Z tą samą historią.

Porucznik Culpepper nabrał głęboko tchu.

– I właśnie dlatego chcę, żebyście przyznali się do winy. Ba, nie przypuszczam, żeby coś podobnego zdarzyło się w dziejach sądów wojennych. Nikt nigdy nie przyznaje się do winy przed sądem wojskowym, bo ten sąd z zasady nie kieruje się względami miłosierdzia.

– W takim razie to by niewiele dało, prawda? – zapytał Prew. – Bo ja...

– Chwileczkę. Pozwólcie, że wam to wy łuszczę, zanim się z czymś wyrwiecie. Jeszcze nie dostrzegacie wszystkich implikacji.

– Po pierwsze – rzekł Prew – nie byłem pijany. Nie na tyle pijany, żebym nie wiedział, co robię.

– To jest mój główny argument – uśmiechnął się tryumfalnie porucznik Culpepper. – Czy byliście naprawdę pijani, czy nie, to nie ma znaczenia. Ważne jest, że świadkowie twierdzą, żeście byli pijani. A przez przyznanie się do winy i do tego, że byliście pijani, po prostu odwracacie sytuację i bijecie tych świadków ich własnymi zeznaniami.

– Innymi słowy – rzekł Prew – pan porucznik chce powiedzieć, że mogę im udowodnić kłamstwo przyznając, że to, co mówią, jest prawdą.

– Ano – powiedział porucznik – można to ująć w ten sposób, a jakże. Ale ja nie mówiłem, że oni skłamali. Możliwe, że zeznają prawdę.

– Jakże mogą zeznawać prawdę, jeżeli to ja mówię prawdę twierdząc, że nie byłem pijany?

– No cóż; w pewnym sensie skłamali, jeżeli nie byliście pijani. Ale znów w innym sensie mogli mówić prawdę o tym, że istotnie są przekonani, że byliście nietrzeźwi. Tak więc właściwie i wy, i oni możecie mówić prawdę, a mimo to nie zgadzać się z sobą. Rozumiecie?

– Aha – rzekł Prew. – To skomplikowane, co? Porucznik Culpepper kiwnął głową.

– I prawnik musi te rzeczy wziąć pod uwagę ze względu na was. Dlatego właśnie wyznaczają obrońcę. Ale to wszystko jest nieistotne. Ważne jest to, co znajduje się w zeznaniach. Sąd nie da wam wiary, jeżeli oświadcycie, że nie byliście pijani. Może tego otwarcie nie powiedzą, ale w duchu tak będą myśleli. Bo każdy przestępca zawsze twierdzi, że jest niewinny. To reguła. I tylko przyczynia się do skazania, rozumiecie? W gruncie rzeczy zamienicie bezwartościową fikcję na trzy czy cztery miesiące więzienia. Prawda nie ma nic wspólnego z kodeksem, którym kieruje się sąd wojskowy, ani ze stosunkami ludzkimi, które rządzą owym kodeksem. Rozumiecie?

– Chyba tak – odparł Prew. – Ale uważam...

– Zaczekajcie chwileczkę. Kazałem napisać na maszynie, że byliście pijani i nie wiedzieliście, co robicie.

Porucznik Culpepper otworzył swą nową złotą skórzaną teczkę z zamkiem błyskawicznym z trzech stron, poszperał w niej, wydobył jakiś papier i wręczył go Prewowi. Następnie z lubością zaciągnął zamek.

– Przeczytajcie to sobie, żeby się przekonać, że to was wcale nie pogrąża. Nie chciałbym, żebyście cokolwiek podpisali bez przeczytania. Nigdy niczego nie podpisujcie, dopóki nie przeczytacie, Prewitt, bo w ten sposób kiedyś wpadniecie. A jak już przeczytacie i podpiszecie, wyskoczmy z tym niespodziewanie podczas rozprawy i poproszę sąd o zastosowanie łaski. Wtedy nie będą mogli w ramach przyzwoitości dać wam więcej niż miesiąc i dwie trzecie, a może nawet tylko te dwie trzecie poborów w charakterze grzywny, bez kary więzienia.

– Zawsze słyszałem, że sądy wojskowe nie uwzględniają odwoływań się do ich łaski – powiedział Prew.

– O właśnie – odrzekł z zapalem porucznik Culpepper. – Teraz trafiliście w sedno. Idę o zakład, że jeszcze nigdy w dziejach sądów wojskowych nie zdarzyło się coś podobnego. A jeśli tak, ja w każdym razie o tym nie słyszałem. Całkiem ich rozłożymy.

– Kiedy nie widzę...

– Zaczekajcie – napomniął go porucznik Culpepper. – Jeszczeście nie słyszeli puenty. Nikt – zrobił pauzę – w wojsku – zrobił pauzę – nie uważa pijaństwa za przestępstwo czy grzech, no nie? Wiecie, że tak jest. Rzecz może być sprzeczna z przepisami, ale każdy to robi. Ja sam stale sobie podgazowuję w Klubie i wszyscy tak samo. Szczerze mówiąc, chociaż tego się oczywiście nigdy nie publikuje w żadnym rozkazie specjalnym ani niczym podobnym, większość dowódców najbardziej lubi tych swoich rozhukanych, szalonych chłopaków, ponieważ wiedzą, że taka zawadiacka postawa czyni najlepszych żołnierzy. Właściwie wielu oficerów uważa, że żołnierz, który od czasu do czasu nie spije się i nie narozrabia, jest

niewiele wart i musi być podejrzanym typem. No nie?

– Ale nie widzę, co to ma wspólnego z moim przyznaniem się do winy – rzekł Prew.

– Boże kochany, nie rozumiesz, człowieku? – Jeżeli przyznacie, że byliście pijani i trochę się bałaganiliście, nic więcej, wtedy od razu sytuacja się odwróci, bo u prawdziwego żołnierza upicie się jest milcząco uważane raczej za cnotę niż za grzech. Sąd, który rozumie i uznaje, nie może dać wam trzech miesięcy, nie mówiąc już o najwyższym wymiarze, tylko za to że jesteście junackim, zawadiackim żołnierzem. Ma się rozumieć, że z prawnego punktu widzenia będziecie winni, ale to nam jest obojętne. My dążymy do tego, żeby wpłynąć na ludzką postawę sądu, która leży u źródeł kodeksu prawnego i w gruncie rzeczy określa podejmowane decyzje.

Porucznik Culpepper spojrzał na Prewa tryumfalnie, radośnie i wydobył swojego parkera, ażeby Prew się podpisał, ale ten nie chciał wziąć pióra.

– To mi wygląda na świetny pomysł, panie poruczniku – rzekł z niechęcią – i strasznie mi przykro sprawiać panu zawód, kiedy pan tak to sobie obmyślił i tak starannie opracował. Ale po prostu nie mogę tego dla pana zrobić, żeby się przyznać do winy.

– Dlaczego, do diabła, człowieku?! – wybuchnął porucznik Culpepper. – A poza tym nie robicie tego dla mnie. Przecież wam wszystko wytłumaczyłem, nie? Cały klucz do mojej tezy obrończej polega na waszym przyznaniu się do winy. Nie będę mógł nic dla was uczynić, jeżeli się nie przyznacie. Wtedy to będzie tylko jeszcze jeden seryjny sąd wojskowy, nie różniący się niczym od tysiąca innych. Żaden z nas nie uzyska z tego jakiegokolwiek korzyści.

– Nic na to nie poradzę – odparł Prew. – Nie jestem winien. I nie będę przyznawał się do winy. Nawet gdyby to miało oznaczać całkowite uniewinnienie. Bardzo żałuję, ale tak to wygląda.

– Boże kochany, słuchajże, człowieku! – krzyknął z desperacją porucznik Culpepper. – Co to ma z tym wspólnego? Nikogo nie obchodzi, czy jesteście winni, czy nie. Sądowi to zupełnie obojętne. Wszystkim *rządzi* kodeks prawny oraz ludzkie stosunki, które leżą u jego podstaw. Żaden sąd nie może dać żołnierzowi najwyższego wymiaru kary tylko za to, że trochę pobrykał, upił się i narozrabiał – jeżeli się do tego przyzna. No przecież popijanie i bałaganienie się nie tylko leży w naturze żołnierza, ale jest niemal jego świętym obowiązkiem. To tak jak powiedział Ernest Hemingway, że syf jest chorobą zawodową toreadorów i żołnierzy. Zupełnie ta sama historia.

– A pan go kiedy miał?

– Co miałem?

– Syfa.

– Kto, ja? Nie, psiakrew. Co to ma z tym wspólnego?

– Ano, ja też nigdy nie miałem – rzekł Prew ponuro. – Ale miałem trynia. I jeżeli syf i tryń są chorobami zawodowymi żołnierzy, to wyjdę z wojska i zostanę mechanikiem w garażu.

Poza tym – ciągnął – ja ich o nic nie proszę. Jeżeli chcą mnie zrobić, to niech wrabiają. Nie będę się podlizywał żadnemu z nich, nawet jeżeli są dumni, że ich żołnierze się upijają. Nigdy nikogo o nic nie prosiłem i nie będę teraz zaczynał, panie poruczniku.

Porucznik Culpepper poskrobał się po głowie swoim piórem Parkera, po czym schował je do kieszeni. Wyjął ołówek Parkera, wyciągnął z teczki kartkę czystego papieru i zaczął na niej rysować esy-floresy.

– No, dobrze, ale jeszcze się zastanówcie. Jestem pewien, że się opamiętacie, kiedy zrozumiecie, jakie to ważne. Czy wy zdajecie sobie sprawę, że możemy ustanowić zupełnie nową procedurę dla sądów wojskowych? Pomyślcie, co by to miało za znaczenie dla wszystkich przyszłych pokoleń żołnierzy.

– Myślałem o tym tyle, ile było potrzeba – odparł Prew. – Przykro mi, że sprawiam panu porucznikowi zawód, kiedy pan tak to przemyślał i tyle się nad tym napracował. Ale nie przyznam się do winy – powiedział w sposób ostateczny.

– Przecież uderzyliście tamtego, nie? – zawołał porucznik Culpepper. – O Boże, człowieku!

– Jasne, że uderzyłem. I zrobiłbym to jeszcze raz.

– Jeżeliście go uderzyli, jesteście winni. Jasne jak słońce. Po co ukrywać prawdę?

– Nie będę się przyznawał do winy, panie poruczniku – powiedział Prew.

– Jezu Chryste! – wykrzyknął porucznik Culpepper. – Jeszcze nie widziałem takiego upartego typu. Zasługujecie sobie na to, co was spotka. Macie w sobie tyle wdzięczności co ryba. Jeżeli nie dbacie o własny los, moglibyście chociaż pomyśleć o mnie. Ja nie prosiłem, żeby mnie wyznaczili na waszego obrońcę.

– Wiem o tym – rzekł Prew – i bardzo mi przykro.

Nie odrywał oczu od własnych butów, ale twarz miał stanowczą i upartą.

Porucznik Culpepper westchnął. Schował swój ołówek Parkera, włożył na powrót do teczki arkusz papieru z esami-floresami, zaciągnął zamek błyskawiczny i wstał.

– No, dobrze – powiedział. – Ale jednak przemyślcie to sobie. Przyjdę jutro.

Prew wstał z pryczy razem z nim. Porucznik Culpepper uściskał mu dłoń.

– Głowa do góry – powiedział.

Prew patrzył, jak dreptał pośpiesznie przez linię krat z otwartymi drzwiami z kraty i mijając kaprała z warty, który mu zasalutował, wracał do tamtego innego świata, ze swoją nową żółtą teczką z zamkiem błyskawicznym z trzech stron. A potem Prew wydobył spod

poduszki starą talię kart.

Postawił już pięć pasjansów i zabrakło mu tylko asa, by jeden z nich wyszedł, gdy wtem w pokoju po drugiej stronie linii krat z otwartymi drzwiami z kraty pojawił się Warden.

Trzymał w ręku czyste drelichy, których oficer dyżurny zażądał dla Prewa z kompanii, żeby wymienić te brudne, twierdząc, iż zaczynają tak śmierdzieć, że to źle wpływa na morale warty, co jednak było przesadą.

– Czy muszę mieć jakieś cholerne pozwolenie, żeby dać czyste ubranie temu potwornemu zbrodniarzowi? – zapytał Warden kaprała z warty.

– Czy też mogę to zrobić nieoficjalnie?

– Co? – odezwał się speszony kapral usiłując zasłonić łokciem zeszyt komiksów, który właśnie czytał. – Aha. Proszę bardzo. Niech pan sierżant tam wejdzie. Nie musiał pan sierżant przynosić tego osobiście.

– A kto by przyniósł, u kurwy nędzy, gdybym ja sam tego nie zrobił? – prychnął Warden.

– Nie wiem – odrzekł niepewnie kapral. – Ja tylko mówię...

– A co wy tam czytacie? – warknął złośliwie Warden.

– Słucham? – powiedział kapral. Zdjął łokieć z zeszytu. Był to *Ordynans*. Zamknął go i schował stropiony do szuflady biurka. – To tylko tak dla zabicia czasu – dodał niepewnie.

– Nie będziecie rewidowali tego tobołka? – zapytał Warden. – Może tam wsadziłem parę pilników?

Kapral spojrzał na niego tępo. Potem roześmiał się i potrząsnął głową.

– Jesteście pewni, że możecie mi zaufać? – spytał Warden. – Skąd wiecie, że nie jestem jakimś glinobójcą w przebraniu?

– To fajne – zaśmiał się kapral. – Ano, nie wiem. Może i tak. Niech pan sierżant tam wejdzie, jeżeli pan ma ochotę.

Milt Warden prychnął z niesmakiem i ruszył między dwoma rzędami prycz, które teraz, po południu, były puste, a kapral otarł twarz dłonią.

– Nie wiem, dlaczego mi się zachciało marnować czas dla takiego głupiego frajera – mruknął z obrzydzeniem Warden rzucając drelichy na pryczę. Spojrzał na rozłożone karty. – Wychodzi ci? – zapytał.

– Jeszcze nie – odrzekł Prew.

– No, nic się nie martw, chłopaku. Będziesz miał do licha i trochę czasu na praktykę.

– To jeszcze nie wyznaczyli terminu rozprawy? – zapytał Prew zbierając karty. – O rany.

– Nie – odrzekł Warden – mnie idzie o ten czas, kiedy już stąd odejdziesz.

– Aha – powiedział Prew. – Ale w Obozie nie pozwolą mi stawiać pasjansów.

Podniósł się i zaczął ściągać stęchłe, zakisłe drelichy. Na Boga, rzeczywiście cuchnęły paskudnie.

– Pewno nie – odparł Warden przypatrując mu się. – Ale każą ci nosić twój wojskowy podkoszulek. Rozprawa ma być w przyszły poniedziałek – dodał. – Właśnie przyszła wiadomość. Masz jeszcze cztery dni. Może przez ten czas któryś pasjans ci wyjdzie.

– Możliwe – rzekł Prew. Włożył czyste drelichy i usiadł. – Culpepper mówi, że nie przypuszcza, abym dostał więcej niż trzy miesiące i dwie trzecie. Bo twierdzi, że to wszystko zostało w rodzinie.

– Chyba ma rację – odparł Warden. – O ile nie powiesz na rozprawie czegoś, co ich rozwścieczy.

– Trzymam język za zębami.

– Uwierzę, jak to zobaczę – parsknął Warden. – Aha. Masz – wyciągnął z tylnej kieszeni karton papierosów. – Tu jest trochę fajek.

– Dziękuję bardzo – powiedział Prew.

– Mnie nie dziękuj, chłopaku. To od Andy'ego i „Piętaszka”. Ja bym ci nie kupował papierosów. Dołożyłeś mi z tydzień dodatkowej roboty papierkowej.

Prew poczuł, że się uśmiecha.

– Ano, bardzo mi przykro – powiedział. – Współczuję ci. Ale jakoś nie mogę się z tobą dogadać – dodał.

Warden stał patrząc na niego gniewnie, z oburzeniem, a potem nagle wyszczerzył zęby.

– Nie ma co, prędko zużywasz drelichy. Co oni robią, orzą w ciebie dla odmiany?

Usiadł na pryczy, ze złością rozerwał karton, otworzył jedną z paczek i zapalił papierosa Prewa.

– Nie zanadto – odrzekł Prew. – Muszę wyrywać trochę zielska na tym terenie do zabaw. Mnie to nie szkodzi.

– Nie musi być najgorsze.

– Tylko pomyśleć – rzekł Prew – że wszystkie te milutkie dzieciaki wyrosną kiedyś na oficerów.

– Prawdopodobnie – powiedział Warden. – Przykre, co? Wczoraj wysłałem wszystkie papiery – ciągnął. – Więcej nie mogłem zrobić. Musiałem dopaść Mazziolę już wystrojonego do wyjścia, żeby mieć na czas maszynopis zeznań świadków i móc go wysłać jak najprędzej. Ten drań jest takim leniem, że już przez chwilę myślałem, że to też będę musiał sam zrobić.

– Przypuszczam, że i tym razem żaden z nich nie wspomniał o nożu, prawda? – rzekł z wolna Prew.

Warden nic nie odpowiedział. Przyjrzał mu się uważnie.

– O jakim nożu? – zapytał.

– O nożu, który Stary Ike na mnie wyciągnął – uśmiechnął się Prew. Warden milczał tym razem przez dłuższą chwilę.

– Mówiłeś komu o tym? – zapytał w końcu.

– A mógłbyś udowodnić, że on wyciągnął na ciebie nóż?

– Myślę, że można by wziąć ze dwa młoty kowalskie, rozbić ten beton, gdzie się wysypuje śmieci i znaleźć ostrze w szczelinie, w której je odłamałem.

Warden potarł brodę w zamyśleniu.

– Culpepper mógłby to załatwić – powiedział. – Nikt inny by się nie zgodził. Ale Culpepper chce zrobić z tego wielką bombę, bo to jego pierwsza rozprawa. Może by na to poszedł. Warto spróbować. Masz zamiar mu o tym powiedzieć?

– Nie – odparł Prew. – Chyba nie.

– Dlaczego, u diabła? Warto spróbować.

– Ano – powiedział Prew – nie mam ochoty pokrzyżować im planów. Nie mogli sądzić mnie za Bluma, Obróbka nie dała wyników, a to sobie już tak ładnie przygotowali. Jakbym to rozbił, musieliby zacząć wszystko od nowa.

Warden roześmiał się nagle.

– Założyłbym się, że stary Ike nieźle się teraz poci.

– Nie, wcale nie. Chciałbym, żeby tak było, ale nie. On już uwierzył w swoją opowieść. Może Wilson i Henderson jeszcze nie wierzą, ale on tak, na pewno.

– Chyba masz rację – rzekł Warden. – A Wilson i Henderson nigdy się niczym nie przejmują. – Potarł dłonią nie ogolone szczęki. – Muszę się ogolić – powiedział z roztargnieniem. – Wczoraj nie miałem kiedy. Wiesz co – ciągnął – może jednak powinieś powiedzieć o tym Culpepperowi. Może to byłoby dobrze. Kto wie, psia krewo, czyby mi się nawet nie udało wywalić za to jednego albo drugiego.

– Nie – odparł Prew. – Dopóki Holmes decyduje. Jakoś by ich z tego wyciągnął. Jakoś by się wykręcili. Jeżeli mają mnie zrobić na szaro, to przynajmniej nie będą mieli tej satysfakcji, żeby widzieć, jak się płaszczę i robię z siebie przedstawienie. Potrafię znieść wszystko, co mi dadzą, i jeszcze wrócić po więcej, szefie. Ja ich pierdołę.

Warden milczał przez długi czas. Kiedy wstał z pryczy, jego jasnoniebieskie oczy w mocno opalonej twarzy były jakoś dziwnie, osobliwie przymrużone.

– Może masz i rację – powiedział. – Tak czy owak, to twoja impreza i masz prawo

pokierować nią, jak ci się podoba.

Kiedy patrzyli na siebie, a żaden nic nie mówił, bo żaden nie potrzebował nic mówić, Prew dostrzegł w oczach Wardena szacunek, wyraz zrozumienia w jego twarzy, które napawało go dumą, bo z jakiejś niejasnej przyczyny cenił ten szacunek bardziej niż szacunek kogokolwiek innego, chociaż nie umiał sobie wytłumaczyć, czemu tak jest – i to było tym, czego pragnął, i właśnie dlatego mu powiedział, i teraz był dumny, że to ma.

– Mogą człowieka zabić, szefie – rzekł – ale go nie zjedzą. Warden klepnął go mocno po ramieniu. Był to pierwszy gest szczerzej przyjaźni, jaki Prew widział u Wardena w stosunku do niego samego czy kogokolwiek innego. Rozgrzało go to od stóp do głów jak trunek. Warte było trzech miesięcy w każdej ciemnicy każdego Obozu. Twarz Prewa pozostała niewzruszona i obojętna.

– No, to do zobaczenia, chłopaku – powiedział Warden i ruszył ku linii krat z otwartymi drzwiami z kraty na końcu podłużnej izby, która była aresztem. Prew odłożył karty i patrzył za nim.

– Warden! – zawołał. – Zrobisz mi jedną grzeczność? Masywny mężczyzna obrócił się.

– Każdej chwili – powiedział. – Jeżeli będę mógł.

– Proszę cię, pojedź na Maunalani Heights i powiedz ode mnie... Lorene, dlaczego nie mogę się zjawić.

Zauważył, że nie może mówić o niej „Alma” nawet do Wardena. Podał mu adres.

– Czemu do niej nie napiszesz? – zapytał Warden. – Ja nie chcę tam jechać. Jak tylko się zetknę z jakąś babą, ta zaraz na mnie leci i kołuje mnie jak głupiego barana. Zaczynam mieć tego dosyć – powiedział, a brwi mu zadrgały. – Poza tym zanadto cię lubię, żeby ryzykować. Nie chcę twojej kobiety.

– No to zadzwoń do niej w moim imieniu – powiedział sztywno Prew. Podał mu numer telefonu.

– Jeżeli zadzwonię – odparł Warden – jak tylko usłyszy mój głos, od razu będzie chciała się umówić. A boję się, że nie miałbym dość siły woli, żeby się oprzeć.

– No, dobrze – powiedział Prew z uporem. – To idź do „New Congress”, opowiedz jej wszystko i połóż się z nią do łóżka, jak już tam będziesz.

Warden uśmiechnął się do niego żartobliwie.

– Aha – ciągnął flegmatycznie Prew. – Kiedy tam byłem ostatnim razem, twoja serdeczna przyjaciółka, pani Kipfer, prosiła, żeby ci ją przypomnieć, i pytała, dlaczego do niej nie zachodzisz. Zapomniałem ci o tym powiedzieć.

Twarz Wardena nagle eksplodowała śmiechem.

– Stara Gerta? – zapytał. – No, masz pojęcie! Stara Gertusia-Świntusia. Ona minęła się z powołaniem. Powinna była zostać matką przełożoną.

– No więc – rzekł Prew. – Zadzwońisz w moim imieniu do Lorene?

– Okej – odparł krótko Warden – zadzwonię. Ale nie obiecuję, że się z nią nie umówię, jeżeli mi zaproponuje.

– Przecież cię nie proszę, żebyś obiecywał.

– No, dobrze, na tej zasadzie zaryzykuję. To tymczasem – powiedział przez ramię. – Aha – rzekł,, zatrzymał się i obrócił znowu. – Byłbym zapomniiał. Mam dla ciebie jeszcze inną wiadomość. Starszy szeregowiec Blum szykuje się na kaprala. Mamy dwóch krótkoterminowych kaprali, którzy wracają do kraju następnym statkiem, i Blum wskakuje na miejsce jednego z nich. Wypisałem dzisiaj rozkaz kompanii. Jak tylko statek odpłynie w sobotę, rozkaz zostanie wywieszony na tablicy. Pomyślałem sobie, że się ucieszysz z tej wiadomości.

– Blum pewnie musi być kontent – rzekł Prew.

– O nie – odparł Warden. – Jeszcze nie. W następnym miesiącu odpływają dwaj sierżanci. – No – powiedział – jeszcze tylko cztery dni do poniedziałku, chłopcze. Potem będziesz mógł zacząć je skreślać.

Prew patrzył, jak barczysty, wąski w biodrach mężczyzna wychodził rozkołysanym krokiem w inny świat przez drzwi w kraty w ścianie z krat. Zebrał karty.

W ciągu następnych czterech dni stawiał wiele pasjansów. W ciągu następnych czterech dni zaczęli go nagle odwiedzać po południu jeszcze inni ludzie oprócz Culpeppera. Warden nie zjawiał się więcej poza tym jednym razem, ale przyszli Andy i „Piętaszek”, i Readall Treadwell, i Buli Nair, i „Uczony” Dusty Rhodes, i cała reszta. Przychodzili do niego i gadali trochę. „Uczony” nawet nie próbował sprzedać mu pierścionka z brylantem ani dewizki do zegarka z prawdziwego złota. Przyszedł także „Wódz” Choate. Większość frakcji niesportowców odwiedziła go przynajmniej po razie. Zjawiało się nawet paru sportowców. Nie wiedział, że ma tylu przyjaciół. Stwierdził, że podobnie jak Angelo stał się nagle kompanijną sławą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

W Obozie sławą nie był. Oczywiście, w Obozie nie mogli wiedzieć o jego sensacyjnej rozprawie. Miał szczerą nadzieję, że nigdy się nie dowiedzą. Rozprawa odbyła się doskonale, z całą precyzją dobrze wyszkolonej obsady aktorskiej grającej dobrze przygotowaną sztukę, rozprawa wypadła świetnie aż po ostatnią minutę. Trzej świadkowie złożyli zeznania prosto i jasno, jak gdyby recytowali z pamięci swoje spisane na maszynie oświadczenia, a ich relacje zgadzały się ze sobą całkowicie. Oskarżyciel wyjaśnił z bezsporną klarownością, jakie naruszenie Artykułów Wojennych zostało popełnione oraz jakiej kary domagają się Artykuły Wojenne za takie naruszenie. Oskarżonemu, który zachowywał milczenie, dano sposobność złożenia zeznań, ale odmówił. Wszystko przedstawiało się różowo, wszystko przebiegało według prawideł gry. I oto w ostatnim momencie, powodowany jakimś poronionym odruchem buntu przeciwko losowi, porucznik Culpepper wystąpił nagle z zaciekłym przemówieniem, w którym uznawał winę oskarżonego i odwoływał się do łaski sądu na tej zasadzie, że wszyscy żołnierze są pijakami. W sali sądowej zaległa pełna zdumienia cisza. Oskarżony byłby go chętnie zastrzelił. Jednakże sąd godnie stanął na wysokości zadania. Z całą należyłą powagą kazał zapisać do protokołu niezwykle wniosek, tak jakby był on czymś zupełnie właściwym, po czym udał się na zwykłą, trzydziestosekundową naradę i jak gdyby nigdy nic ogłosił wyrok skazujący oskarżonego na trzy miesiące ciężkich robót plus wstrzymanie dwóch trzecich żołdu na taki sam okres. Oskarżony byłby chętnie ucałował sędziów.

Doznał ogromnej ulgi, kiedy go odprowadzono na wartownię, gdzie nie musiał patrzeć na porucznika Culpeppera i gdzie miał czekać na transport do Obozu.

Przyjechali po niego w poniedziałek po obiedzie, tego samego dnia, kiedy odbyła się rozprawa, pokwitowali w wartowni odbiór jego osoby oraz dwóch czystych kompletów drelichów i posadzili go ostrożnie na przednim siedzeniu wozu rozpoznawczego, który prowadził jeden z żołnierzy, podczas gdy drugi siedział z tyłu, za nim. Prew czuł się jak lichy odziany karzełek między tą wypucowaną, lśniącą, wysoką na sześć stóp i cztery cale okazałością ich obu. Nie odzywali się do niego. I on się do nich nie odzywał. Dostawili go za siatkowe ogrodzenie wiejskiej szkoły z zielonym dachem i siatkami na oknach, i słyszał, jak uzbrojeni w strzelby śrutowe strażnicy zamykali i ryglowali za nim siatkową bramę. Odgłos ten miał w sobie coś ostatecznego, ale nikt nie zdawał się uważać, że jest to niezwykle czy wyjątkowe. Dwa lśniące olbrzymy odeskortowały go do wnętrza wiejskiej szkoły, tak jakby to robiły co dzień. Miał jeszcze na sobie piaskowy mundur z krawatem, w którym wystąpił na

rozprawie.

Pierwszą rzeczą, jaką uczyniły oba olbrzymy znalazłszy się w środku, była wymiana pałek i pistoletów na nie malowane trzonki motyk do karczowania, które otrzymali od uzbrojonego strażnika, zamkniętego w zbrojowni.

Następnie poprowadzili Prewa do magazynu. Nadal nie odzywali się do niego ani słowem. Do magazynu szło się długim korytarzem mijając jakieś drzwi i skręcało się w lewo obok tablicy z rozporządzeniami po lewej ręce oraz zamkniętych na sztaby drzwi od trzech skrzydeł baraku po prawej, aż do małej komórki na końcu. Ubrany w drelichy robocze człowiek stojący za drzwiczkami kontuaru, najwyraźniej jakiś funkcyjny, uśmiechnął się do niego nieprzyjemnie.

– Witamy w naszym grodzie – powiedział z satysfakcją, jakby uradowany, że przynajmniej widzi nareszcie kogoś, komu powinna się noga tak samo jak jemu.

– Załatw go – warknął jeden z olbrzymów, jak gdyby było mu przykro ujawnić własną gadatliwość.

– Tak jest – rozpromienił się człowiek w drelichach. – Tak jest. – Zatarł ręce, niezgorzej naśladując dyrektora hotelu witającego delegację na zjazd. – Mamy na dziesiątym piętrze ładny pokój narożny wychodzący na park, z wykaflowaną łazienką i obszernymi szafami w ścianach; na pewno będzie tam panu wygodnie.

– Powiedziałem: załatw go – rzekł pierwszy olbrzym. – Przestań się zgrywać. Możesz się wygłupiać później. Nie złość mnie.

Uśmiech na twarzy człowieka w drelichach przemienił się w wyraz, jaki ma pies, który chce warknąć, ale w gruncie rzeczy skomli.

– Dobra, Hanson, dobra: przecież chciałem tylko tak dla draki, nic więcej.

– To nie chcesz – rzekł pierwszy olbrzym. Drugi olbrzym nic nie powiedział.

Obaj oparli się o ścianę, trzymając pod pachami trzonki od motyk niczym nadmiernie powiększone trzcinki do konnej jazdy, i w milczeniu palili papierosy, podczas gdy funkcyjny wydawał Prewowi przybory toaletowe. Hanson, pierwszy olbrzym, podszedł i milcząco odebrał Prewowi portfel, przeliczył znajdujące się w nim pieniądze, zapisał sumę na świstku papieru, po czym włożył ów świstek do portfela, a pieniądze do własnej kieszeni uśmiechając się oblesnie do Prewa. Drugi olbrzym zaglądał mu przez ramię i bezgłośnie poruszał wargami, licząc pieniądze. Funkcyjny zabrał dwie kurtki drelichowe Prewa i wymienił je na dwie inne, które miały dużą białą literę „P” wymalowaną na plecach.*

– Dostajesz to, żebyś mógł od razu dziś zacząć pracować – wyjaśnił radośnie

* Biała litera „P” – od prisoner, więzień

funkcyjny. – Nie czekając, aż ci pomalujemy twoje drelichy. A potem te twoje wydamy komuś innemu, kapujesz?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, złośliwie, jak gdyby mu to rozgrzewało serce, podczas gdy Prew zdejmował mundur, zwijał go i naciągał drelichy. Własne pasowały na niego, przynajmniej o tyle, o ile workowate drelichowe kurtki żołnierskie mogą na kogoś pasować; natomiast koszula, którą tu dostał, sięgała mu prawie do kolan, rękawy opadały na czubki palców, szwy ramion zaś zwisały bez mała do łokci.

– O rany, to przykre – uśmiechnął się radośnie funkcyjny z magazynu. – A nie mam nic bardziej zbliżonego do twojego rozmiaru. Może później da ci się to wymienić, co?

– W porządku – rzekł Prew.

– Ano – pocieszył go funkcyjny – i tak przez jakiś czas nie zobaczy cię żadna babka, chyba żeby te oficerskie żony przejeżdżały koło kamieniołomu. Ale przecież na taką nie mógłbyś nigdy wleźć, więc się tym nie martw.

– Dziękuję za wskazówkę – powiedział Prew. – Nie będę. Dwa olbrzymy uśmiechały się nad papierosami.

– To ci może dokuczać przez pewien czas – uprzedził funkcyjny. – Możesz z tym mieć trochę kłopotu na początku. Szczególnie, jeżeliś się przyzwyczaił wtykać sobie co wieczór. Ale ci to przejdzie – powiedział z ufnością. – Nie umrzesz od tego. Tylko będzie ci się tak wydawało.

Jeden z olbrzymów parsknął. Prew pomyślał o Almie i poczuł falę gorąca, która spływała mu poprzez brzuch w uda, gdy ujrzał ją w myśli leżącą na łóżku w tamtym pokoju, do którego wchodziło się po trzech schodkach z wykładanego płytkami salonu, w domu na skraju wzgórza, nad doliną Palolo. Nie widział Almy już od dwóch tygodni z górą. Trzy miesiące to było sześć razy po dwa tygodnie. Czternaście tygodni niewidzenia się z nią i braku wiadomości, gdzie jest, co robi i z kim.

– Poza tym – ciągnął funkcyjny z wyżyn swojego większego doświadczenia – człowiek zaczyna się zastanawiać, co one robią przez cały ten czas.

– Tak? – odrzekł Prew. Obraz mężczyzny leżącego obok Almy na łóżku (Prew przypatrzył mu się uważnie) był płaską sylwetką. Nie był to Warden. Ale nie był i Prewitt. Kiedy Prew tak patrzył, sylwetka owego mężczyzny nasunęła się na nią. „Nie – mówił sobie – nie, przecież wiesz, że ona nie lubi seksu dla seksu, sama ci to mówiła, nie? Seks dla samego seksu nudzi ją, prawda? To tylko twój umysł płata ci figle przez twoje własne zamięłowanie do seksu dla seksu. Ona chce mieć kogoś bliskiego, szuka ludzkiego zainteresowania, ciepła, przyjaźni i zrozumienia, tego, żeby być kochaną, żeby nie być samotną.” Dalej to sobie wyliczał. Nie pomagało. Trzy miesiące to za długo. „Może trafić na kogoś innego

interesującego, po prostu dla samego zainteresowania, żeby mieć jakieś zajęcie, no wiesz, żeby nie być samotną. Masa jest interesujących facetów. Masa bardziej interesujących od ciebie.”

Miał nadzieję, że Warden nie zapomni do niej zadzwonić. A jednocześnie lękał się myśli, że Warden do niej zadzwoni. Człowiek jest tylko człowiekiem. A Warden to przystojny mężczyzna. Duży, krzepki, męski i ... interesujący.

Przebiegło mu przez głowę wspomnienie tego, co by utracił. Ostre, wyraźne, bardzo osobiste obrazy Almy, niczym migawkowe zdjęcia. Te obrazy pojawiały mu się w umyśle jak dziesięciokrotnie powiększone negatywy rzucane na ekran, z najbardziej intymnymi szczegółami (wszystkie pory, każdy włos, każdy załomek jej ciała, które zna! tak dobrze jak swoje własne; ujrzał teraz to wszystko doskonale). Stał i wpatrywał się w te obrazy. A w każdym z nich owa blaszana, dwuwymiarowa, czarna sylwetka, ten sam mroczny uwodziciel, stał tam, gdzie dawniej stał Prewitt, siedział, gdzie Prewitt siedział, i leżał, gdzie Prewitt leżał, przywłaszczając sobie jego najdroższe tajemnice. Łajdak posługiwał się jego własnym umysłem i wspomnieniami, ażeby uwieść jego ukochaną kobietę, a on nie mógł powstrzymać owego czarnego łotra. Była to męka. Prew stał j patrzył, jak kobieta, którą kochał, zostaje bez skrępowania omotana i uwiedziona przez niego samego. Czuł, jak powraca nań przerażenie, które stłumił tamtej pierwszej nocy na wartowni. Czuł, że lada sekunda runie na ziemię i zacznie wyć i walić pięściami w podłogę. W oczach tych trzech, którzy go obserwowali, obserwowali tak bacznie.

Jeszcze nigdy mu się to nie zdarzyło. Wielokrotnie żył bez kobiety nawet i dłużej niż trzy miesiące i nic mu się nie stało. Nie nękało go to za dawnych czasów, na włóczędztwie i w Myer. Tylko że wtedy nie miał pojęcia, jak to naprawdę może być z kobietą. Nie było tak nawet z Violet. Zastanowił się nagle, czy Violet kiedykolwiek czuła to w stosunku do niego. Może jest tak dlatego, że kocha Alnę? Ale przecież zdawało mu się, że Violet też kochał. A może dlatego że był taki pewny, iż Alma go nie kocha. „Oszalałeś, musisz się opanować – usiłowałem rozpaczliwie przekonać samego siebie, a jednocześnie dalej wyteżałem wzrok próbując rozpoznać tamtą czarną sylwetkę. – Zabiję go, zabiję tego podłego drania.”

– Co się stało? – wyszczerzył troskliwie zęby funkcyjny. – Czy ja coś powiedziałem?

Prew poczuł na twarzy uśmiech. „Bogu dzięki!” – pomyślał. Obejrzał się za siebie na dwóch olbrzymów.

– Co? – usłyszał własny głos. – Że niby do mnie? Ależ skąd – mówił jego głos. – A bo co?

„Dałem radę, dałem radę – myślał. – Udało mi się. Ale jak to będzie w nocy, na pryczy, po ciemku, kiedy wszyscy będą spali i nie będzie przy tobie nikogo, kto by pobudził

twoją dumę?” – myślał z przerażeniem.

Oba olbrzymy nadal uśmiechały się z zadowoleniem i wiedział, że nie wywiódł ich w pole. Nie starał się niczego ukrywać. Po prostu chciał ocalić swoją miłość własną. Wiedzieli doskonale, co z niego za głupi, rozkochany dureń. Każdy mógł to zauważyć. Czemu nie może przestać być głupim, rozkochanym durniem? Inni nie są tacy.

– Masz tu kapelusiki, bracie – powiedział funkcyjny. – Nie zapomnij kapeluszy.

Podał mu dwa nowiutkie kapelusze robocze, z rondami sztywnymi jak deska, z cieniutkimi drelichowymi główkami zgniecionymi na płasko w tysiąc zmarszczek. Kiedy się je włożyło na głowę, wyglądały zawsze jak szmata, żeby nie wiedzieć jak je fasonować, i to było główną przyczyną, że każdy żołnierz w bazie miał dwa kapelusze polowe, jeden na co dzień, a drugi do służby porządkowej.

– Bardzo mi przykro, bracie – wyszczerzył z satysfakcją zęby funkcyjny, jak gdyby znowu czytając w jego myślach – ale tutaj nie wydajemy kapeluszy polowych. Zdaje się, że kwatermistrz zapomniał o nas przy rozdziale.

Dwa olbrzymy zaśmiały się głośno. Drugi olbrzym, dotąd milczący, odezwał się po raz pierwszy.

– Kapelusze polowe są dla żołnierzy – powiedział – nie dla więźniów.

Nikt mu nie zaprzeczył. Prew przymierzył po błazeńsku jeden z kapeluszy. „Żebyś tylko mógł się śmiać, żebyś tylko mógł obrócić to w żart, a wszystko będzie dobrze. Na chwilę.” Kapelusz wpadł mu na uszy, rondo sterczało sztywno dokoła, a denko opinało się ciasno na głowie, przypominał garnek, choć nadal był pomarszczony.

– Wyglądasz całkiem jak Clark Gable, bracie – uśmiechnął się funkcyjny. – Szczególnie jak go sobie nasadzisz na uszy.

– Nie ma rady, muszę go nasadzić na uszy – zażartował Prew.

– Psiakrew, trzeba ci widzieć inne, bracie – powiedział złośliwie funkcyjny, jak gdyby osadzając go na miejscu za to, że próbował włączyć się do dowcipkowania.

„Myśli, że się zgrywam na benefis tamtych – pomyślał Prew czując, że zbiera mu się na śmiech. – Myśli, że to dla nich, nie wie, że ja to robię dla samego siebie, i tylko dla siebie.”

– Nie jesteś żadnym wyjątkiem, trzeba ci widzieć te kapelusze, które naprawdę nie pasują – powiedział funkcyjny.

Dwa olbrzymy zaśmiały się znowu.

– Dobrze się spisałem? – odrzekł pierwszy olbrzym, Hanson, ten rozmowny.

– Niezgorzej, Terry. No chodź, ty – zwrócił się do Prewa. Funkcyjny Terry wytknął ostrożnie głowę przez drzwiczki i zerknął w obie strony na długi korytarz.

– No to może byście dali jakąś pieprzoną fajkę? – poprosił z niepokojem. –

Urządziłem wam dobre podśmiewajko, nie?

Olbrzym Hanson też wyjrzał ostrożnie w lewo i w prawo na korytarz. Nie było widać nikogo. Prędko sięgnął do kieszeni koszuli, wyciągnął ze znajdującej się tam paczki jednego papierosa i cisnął go w otwarte drzwi magazynu. Funkcyjny Terry chciwie rzucił się za nim na podłogę. Hanson dźgnął Prewa w pośladki trzonkiem motyki.

– Jazda, idziemy – powiedział rozmowny Hanson. Poszli we trzech korytarzem ku skrzydłom baraku.

– Ty kiedyś wpadniesz jak śliwka w gówno, Hanson, za to, że robisz takie głupstwa – powiedział ten milczący.

– Taaak? – odparł Hanson. – Chyba nie będziesz taki drań, żeby mnie sypnąć, Turnipseed?

– Nie – odrzekł milczący. – Nie sypnąłbym własnej matki – dodał z dumą po dłuższym namyśle – chociaż nie mogę na nią patrzeć.

– Aleś sypnął jednego więźnia w zeszłym tygodniu – powiedział Hanson, na którym to nie wywarło wrażenia. – Za to, że palił papierosy.

– To służbowo – odparł Turnipseed. – A zresztą to był oporny. Najwyraźniej padły słowa, na które nie było odpowiedzi. Przydługa rozmowa urwała się raptownie.

Zamykane na sztaby podwójne drzwi do trzech skrzydeł baraku były szeroko otwarte. Wprowadzili go w pierwsze, do których doszli, te od strony zachodniej. W baraku nie było nikogo. Był on bardzo długi, z oknami po obu stronach. Okna zabito gwoździami. Zaopatrzone były w żelazne siatki. Barak był akurat na tyle szeroki, że mieściły się w nim dwa rzędy piętrowych prycz po bokach, z sześciostopowym przejściem pośrodku. Nie było tam kuferków ani szafek ściennych; każda prycza, górna i dolna, miała w głowach małą półeczkę przybitą do ściany. Wszystkie półeczki były wypełnione identycznie tak samo, identycznie takimi samymi przedmiotami: jeden komplet drelichów ze spodniami na spodzie, jeden drelichowy kapelusz ułożony na kurtce, jeden komplet bielizny wojskowej na kapeluszu, z kalesonami na spodzie, jedna wojskowa chusteczka koloru khaki na bieliźnie i jedna para zwiniętych skarpet na wierzchu tego wszystkiego, niczym jabłko na wierzchu przekładańca. Po lewej stronie półki przybory toaletowe: z przodu jedna wojskowa maszynka do golenia, w pudełku otwartym od strony przejścia między pryczami, za nią jeden wojskowy pędzel do golenia i jedno wojskowe mydło do golenia, ustawione równo obok siebie na wysokości krawędzi pudełka do maszynki; za tym jedno wojskowe pudełko na mydło z kostką mydła w środku i jeden wojskowy ręcznik złożony we czworo pod spodem i wyrównany w kwadrat według krawędzi pudełka na mydło.

Obydwa olbrzymy przystanąli, niedbale, paląc papierosy, oparłszy się pachami o

krawędź górnej pryczy, jak zwykle ludzie stojący przy barze, podczas gdy Prew zaścielał swoją pryczę i wzorując się na sąsiedniej półce ustawiał swoje otrzymane wyposażenie. Kiedy już wszystko ustawił, cofnął się i popatrzył na te niecałe dwie garście przedmiotów, które przez trzy miesiące miały być wszystkim, co posiadał na świecie. Hanson podszedł i także przyjrzał się temu.

– Łóżko w porządku – powiedział.

– A co brakuje półce?

– Do kitu – powiedział Hanson. – Dostaniesz od razu złą notę.

– Co to jest zła nota? To znaczy tutaj? Hanson wyszczerzył zęby.

– Ale co się za to dostaje? Hanson uśmiechnął się.

– Półka do kitu – powiedział. – Jesteś nowy, więc dam ci możliwość ją poprawić. Jutro nie będziesz miał drugiej okazji.

– Mnie się wydaje w porządku – zaprotestował Prew.

– Tak – uśmiechnął się Hanson. – To popatrz na inne.

– Nie widzę różnicy – upierał się Prew.

– Dawno jesteś w wojsku?

– Pięć lat.

– Jak chcesz – powiedział Hanson. – No, gotowy?

Ruszył do drzwi, a Prew poczuł jakieś niebezpieczeństwo, które musnęło delikatnie jego świadomość i zaraz zniknęło.

– Zaczekajcie – powiedział nieporadnie. – Chcę, żeby było dobrze. Ten milczący, Turnipseed, który nadal palił papierosa oparty o pryczę, parsknął nagle śmiechem.

Szczerząc zęby Hanson zawrócił i przypatrzył się półce.

– Major Thompson robi co rano przegląd, a nosi w kieszeni ołowiany ciężarek – powiedział.

Prew przyjrzał się swojej półce. Podszedł i zdjął z niej stosik odzieży. Zaczął ją układać na powrót po jednej sztuce, a Hanson podszedł i z zawodowym znanstwem zerknął mu przez ramię.

– Przedłużenie linii krawędzi pudełka maszynki do golenia nie wypada na środku rączki pędzla i mydła – powiedział. – Pudełko na mydło nie jest pośrodku ręcznika.

Prew poprawił to i wrócił do układania odzieży.

– A wiesz ty, co to jest ołowiany ciężarek? – zapytał Hanson.

– Aha.

– Ja nigdy o tym nie słyszałem, póki tu nie przyszedłem – powiedział Hanson. – To jest coś, czego używają cieśle, nie?

– Tak – odrzekł Prew. – I murarze.

– A do czego?

– Nie wiem. Żeby mieć proste winkle. Sprawdzić, czy deska jest równa od góry do dołu. Do takich rzeczy.

Zaczynał czuć się lepiej. Jakoś to w sobie stłamsił. Ale czuł, że nadal leży gdzieś w głębi niego i czeka.

Wyprowadzili go znowu na korytarz. Minęli drzwi do innych baraków wracając tą samą drogą, którą przyszli. Prew zauważył, że każdy barak jest zupełnie osobnym skrzydłem. Pomędzy barakami zewnętrznymi a środkowym były podwóreczka mające około dziesięciu stóp szerokości.

– Taak – wyszczerzył zęby Hanson obserwując go. – Środkowe skrzydło jest dla opornych.

– Dla bolszewików – uśmiechnął się Turnipseed.

– Dla drani – uśmiechnął się Prew.

– O, właśnie – wyszczerzył zęby Hanson. – Mamy dwa reflektory skierowane na te podwóreczka, gdzie oni wychodzą na powietrze, kapujesz? Niczym w wąwozie. Nie gasi się ich przez całą noc.

– Ciężko by było się stąd wydostać – rzekł Prew tonem towarzyskiej rozmowy.

– Dość ciężko – uśmiechnął się Hanson.

– Ile cekaemów? – zapytał Prew przyjaźnie.

– Jeden na każde – uśmiechnął się Hanson. – Ale w razie potrzeby jest jeszcze cała kupa innych.

– Skuteczne – rzekł Prew. Turnipseed parsknął.

– Skuteczne – powiedział. – No chyba.

– Zamknij się, ty głupia pierdoło – uśmiechnął się czule Hanson do Turnipseeda. Delikatnie dotknął ręki Prewa trzonkiem od motyki. – Zatrzymaj się tu, bracie – powiedział.

Prew przystanął czując, że wypadł nie najgorzej w tej wymianie słów i że to wcale nie są złe chłopcy, czując znów w sobie tę dawną, dobrą odporność, która kazała mu myśleć, że może jednak wyjdzie z tego wszystkiego bez plamy na swoim imieniu.

Stali przed tablicą, na której wywieszano zarządzenia.

Pośrodku tablicy, na honorowym miejscu między powielonymi zarządzeniami i arkuszami zawierającymi szczegółowe instrukcje w sprawie przeglądów, widniał wycinek z gazety z rysunkiem Roberta Ripleya* z jego serii „Wierzcie, jeżeli chcecie”. Papier był już

* Robert Ripley (1893-1949) – znany rysownik, spiker radiowy J pisarz.

kruchy i poźółkły ze starości. Naklejono go na tekturkę dla zabezpieczenia i obwiedzione czarną ramką z kartonu. Tak umieszczony na tablicy od razu przyciągał oko.

Hanson i Turnipseed uśmiechali się z dumą do Prewa, niczym owi starzy murzyńscy przewodnicy, którzy oprowadzają zwiedzających po uświęconych zakątkach Mount Vernon w stanie Wirginia, tak jakby to była ich osobista własność. Prew podszedł do tablicy.

Głównym elementem wycinka było narysowane w dobrze znanym stylu pana Ripleya popiersie Johna Dillingera uśmiechającego się pod ciemnym wąsem, który zapuścił na krótko przed śmiercią. Prew przypomniał sobie, że widział zdjęcie, z którego skopiowano to popiersie. Pod spodem był podpis wykonany dobrze znanymi literami właściwymi panu Ripleyowi oraz jego równie dobrze znanym stylem:

PIERWSZYM MIEJSCEM, W JAKIM BYŁY WRÓG PUBLICZNY NUMER JEDEN, JOHN DILLINGER, ODSIADYWAŁ KARĘ, BYŁ OBÓZ KARNY W SCHOFIELD BARRACKS, TERYTORIUM HAWAJÓW, GDZIE TAMTEJSZA KOMPANIA ŻANDARMERII WOJSKOWEJ ZARZĄDZA WIĘZIENIEM UWAŻANYM ZA NAJCIEŹSZE W ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

JEST ONO TAK CIĘŻKIE, IŻ JOHN DILLINGER W CHWILI ZWOLNIENIA POPRZYSIĄGŁ, ŻE KIEDYŚ WYWRZE ZEMSTĘ NA CAŁYCH STANACH ZJEDNOCZONYCH, CHOĆBY MIAŁ PRZEZ TO ZGINAĆ.

Pod spodem, schludnie wypisane ołówkiem małymi drukowanymi literami, widniały słowa:

CO TEŻ GO I SPOTKAŁO

Prew popatrzył raz jeszcze na wypisane ołówkiem słowa: „Co też go i spotkało”, i na czarny jednocalowy brzeżek kartonu. Płomienna wściekłość buchnęła w nim przenikając go od stóp do głów jak ogień wessany w przewód, wypalający sadze i oczyszczający go, ażeby dobrze ciągnął. Była jakaś chłodna, spokojna pociecha i obrona w tej niedorzecznej furii. Jednakże jego umysł funkcjonował dość dobrze, aby rozeznąć, że ta obrona jest złudna.

Oba olbrzymy wciąż uśmiechały się do niego, czekając. Czuł, że nie powinien powiedzieć niczego deprecjonującego.

– Mocna rzecz – odezwał się. – Czemu mi to pokazujecie?

– Pokazuje się to każdemu nowemu – uśmiechnął się Hanson. – Rozkaz majora Thompsona.

– Zdziwiłbyś się, jak rozmaicie ludzie reagują na ten wycinek – rzekł z uśmiechem Turnipseed.

– Bardzo pouczające – wyszczerzył zęby Hanson. – Niektórzy goście dostają regularnego ataku i klną, pierdzą i prycają jak byk na pastwisku.

– A znowu inni – dodał z uśmiechem Turnipseed – dostają od tego dr żaczki.

– Major Thompson musi być niełichy gość – powiedział Prew – żeby wywieszać tu coś takiego. Ciekawe, gdzie to wynalazł.

– Psiakrew, on tego wcale nie wywieszał – odparł z oburzeniem Turnipseed. – Jestem tu dłużej od niego, a to już wisi, kiedy nastąpił.

– Ja jestem tu dłużej od ciebie – rzekł Hanson – a też już było na tablicy, jak przyszedłem.

– Ano – rzekł Prew. – Już mi pokazaliście. Gdzie teraz idziemy?

– Zabieramy cię na rozmowę z majorem – wyszczerzył zęby Hanson. – A potem zaprowadzimy cię do roboty.

Prew przypatrzył mu się uważnie. Nie było żadnej złośliwości w tym dziwnym uśmiechu, tylko humor i rozbawienie, jak u człowieka, który obserwuje dziecko źle wymawiające zbyt trudne słowo. Uśmiech ten wydawał się nieco sztywny.

– To idziemy – rzekł Prew. – Na co czekamy?

– Major Thompson jest bardzo dumny z tego wycinka – powiedział Turnipseed. – Całkiem jak gdyby był jego własny. Twierdzi, że po sposobie reagowania na to można poznać, jaki będzie więzień z danego faceta.

– No, to zasuważmy – uśmiechnął się przyjaźnie Hanson. – Od tej chwili maszerujesz na baczność, bracie.

Kiedy skręcili z powrotem w długi, lśniący korytarz, ku zewnętrznym drzwiom, którymi weszli na początku, Hanson uczynił dobrze znany, posuwisty podskok, jak bokser, ażeby wyrównać krok. Ich miarowe stąpanie rozległo się teraz donośnym echem w długim korytarzu.

– Więzień, kierunek w prawo, marsz! – zakomenderował Hanson, kiedy dotarli do pierwszych drzwi po prawej; oba olbrzymy chwilę dreptały w miejscu, gdy Prew czynił zwrot, po czym weszły za nim, o krok w tyle i o pół kroku w lewo i w prawo od niego.

– Więzień, stój! – rozkazał Hanson idący po lewej. Był to piękny manewr, pięknie wykonany z zawodową precyzją. Prew stał dwa kroki przed dębowym biurkiem majora Thompsona, obramowany dwoma posągami lśniących, olbrzymich żandarmów. Major Thompson popatrzył na nich z uznaniem. Następnie wziął z biurka plik papierów i spojrział na nie przez okulary w złotej oprawie.

Major Thompson był niskim, masywnym mężczyzną, którego letni mundur leżał na nim jak ulany. Major miał na piersi wstążkę Zwycięstwa w Wojnie Światowej, z trzema gwiazdkami, oraz wstążkę Legionu Zasłużonych, obie na tym samym stalowym pasku. Łypnął krótkowzrocznie zza swoich złotych okularów. Miał ogorzałą twarz i krótko

przystrzyżone siwe włosy, jak większość zawodowych oficerów o długim stażu. Najwyraźniej był oficerem od roku 1918.

– Jak widzę, jesteście z Harlan, z Kentucky – powiedział major Thompson. – Mamy tu sporo chłopców z Kentucky i z Zachodniej Wirginii. Właściwie można powiedzieć, że to nasz główny towar na składzie. Większość z nich to górnicy – mówił. – Ale wy jesteście chyba za drobni, żeby być górnikiem.

– Nie jestem górnikiem – odparł Prew. – Nigdy nie byłem... Trzonek od motyki rąbnął go czubkiem w krzyże po lewej nad nerkami, i Prew przez sekundę zląkł się, że zwymiotuje.

– ...panie majorze – dodał czym prędzej.

Major Thompson kiwnął doń znad złotych okularów.

– Znacznie lepiej – powiedział. – Naszym celem tutaj jest ponowne przyuczenie ludzi zarówno do ćwiczeń fizycznych, jak i do właściwego żołnierskiego myślenia oraz zaszczepienie im na nowo (albo nauczenie, jeżeli się nigdy tego nie nauczyli) chęci pełnienia służby wojskowej. Chyba nie chcecie od razu źle zaczynać, co?

Prew nie odpowiedział. Czuł ból w plecach i myślał, że pytanie jest czysto retoryczne. Koniec trzonka od motyki dziobnął go w krzyż, w to samo miejsce, pouczając go, że tak nie jest, ból odezwał mu się aż w jądrach.

– No więc? – zapytał major Thompson.

– Nie, nie chcę, panie majorze – odparł Prew szybko. Zaczynał się orientować.

– My tutaj uważamy – ciągnął major Thompson – że gdybyście wy wszyscy nie zatracili czy to zdolności do żołnierki, czy właściwego sposobu myślenia, czy wreszcie chęci pełnienia służby wojskowej, nie znaleźlibyście się tutaj. Bez względu na prawne przyczyny pozbawienia was wolności. Tak więc wszystkie nasze wysiłki zmierzają do osiągnięcia celu reedukacji z minimalną stratą czasu i maksymalną korzyścią. Zarówno dla was samych, jak i dla rządu. Tyle jesteśmy winni amerykańskiemu podatnikom, którzy utrzymują naszą armię, nieprawdaż?

– Tak jest, panie majorze – odrzekł szybko Prew i został wynagrodzony ucichnięciem szelestu, który już odezwał się za nim po lewej stronie. „To pewnie Hanson – pomyślał. – Mój stary kumpel, szeregowiec Hanson.”

– Myślę, że będziecie wzorowym więźniem – powiedział major Thompson i zrobił pauzę.

– Mam nadzieję, że tak, panie majorze – powiedział w tej chwili Prew.

– Nasze metody mogą wydawać się nadmiernie surowe – ciągnął major Thompson. – Jednakże najszybszym, najskuteczniejszym, najmniej kosztownym sposobem wychowania

człowieka jest zadawanie mu bólu, kiedy źle postępuje, tak jak się robi z każdym innym zwierzęciem. Wtedy nauczy się postępować dobrze. Tak samo układa się psa myśliwskiego. Nasz kraj tworzy w tej chwili nie bez trudności armię, ażeby móc się bronić w największej wojnie w dziejach. Jedynym sposobem osiągnięcia tego jest sprawić, żeby ludzie chcieli być żołnierzami. Na to, żeby być dobrym żołnierzem, trzeba bardziej chcieć służyć w wojsku niż w nim nie służyć.

Pogadanki kapelanów o patriotyzmie oraz filmy wychowawcze nie wystarczą. Może by dały rezultaty, gdyby na świecie było mniej egotyzmu i samolubstwa, a więcej woli poświęcenia. Ale ich nie dają. A nasza polityka daje wyniki. Nie będziemy wam tutaj gadali o patriotyzmie. Sprawimy, że niechęć do służby żołnierskiej stanie się tak bolesna, że będziecie woleli być żołnierzami. Chcemy, żeby człowiek wychodzący z tego Obozu był gotów zrobić wszystko, byleby tu nie wrócić, nawet umrzeć. Rozumiecie, co mówię?

– Tak jest, panie majorze – odparł prędko Prew. Mdlenie w żołądku zaczynało trochę ustępować.

– Zawsze zdarzają się ludzie – ciągnął major Thompson – którzy z uwagi na ułomności psychiczne i wadliwe wychowanie domowe nie będą nigdy dobrymi żołnierzami. Jeżeli są tutaj tacy, musimy się o tym dowiedzieć. Jeżeli dla nich jest przykrzejsze pełnić służbę żołnierską niż siedzieć w tym Obozie, to w takim razie są do niczego niezdatni i musimy pozbyć się ich, zanim zdemoralizują innych dookoła siebie. Zostaną zwolnieni jako nie nadający się do służby. Nas nie obchodzą poszczególni żołnierze, nas obchodzi armia. Jednakże musimy mieć pewność, że naprawdę nie chcą być w wojsku, a nie po prostu markierują. Rozumiecie, o co mi idzie?

– Tak jest, panie majorze – odpowiedział prędko Prew. – Mamy doskonałą organizację do prowadzenia takiej polityki – mówił major Thompson. – Bezkonkurencyjną. Dowiemy się, czy naprawdę nie chcecie być żołnierzem. – Obrócił się w krześle do drugiego biurka. – Prawda, sierżancie Judson?

– Tak jest, panie majorze – mruknął człowiek siedzący za drugim biurkiem. Prew obrócił głowę, by spojrzeć na niego, i w tej chwili wszechwiedzący trzonek od motyki ubódł go w plecy, w to samo, już teraz bardzo wrażliwe miejsce, przyprawiając go o mdłości. Targnął głowę z powrotem do przodu, lecz przedtem zdążył dojrzeć olbrzymi łeb i baryłowaty tors z grubymi, koncentrycznymi pokładami tłuszczu na jeszcze grubszych pokładach mięśni, które sprawiały, że sierżant Judson poniekąd przypominał Wieprzka z animowanych rysunków Walta Disneya. Sierżant Judson wpatrywał się w niego najbardziej nieczułymi oczami, jakie Prew widział u ludzkiej istoty. Przypominały one dwa ziarnka kawiorku leżące z dala od siebie na dużym białym półmisku.

– Mamy tu kilka przepisów – mówił major Thompson. – Wszystkie zmierzają do jednego celu: żeby przekonać się, jak dalece dany człowiek nie chce być żołnierzem. Na przykład w obecności przełożonych więźniowie poruszają się tylko na rozkaz. Szczególnie w tej kancelarii – dodał.

– Tak jest, panie majorze – powiedział szybko Prew. – Bardzo przepraszam, panie majorze. – Mdłości wróciły z całą siłą, jeszcze gorsze niż przedtem, i miał ochotę sięgnąć rękami i rozetrzeć, rozmasować sobie to miejsce na plecach, które stało się tak wrażliwe, iż miało niejako własne wyczucie, kiedy należy się spodziewać uderzenia trzonkiem motyki.

Kiedy major Thompson niczym nie pokwitował jego przeproszenia, tylko dalej wymieniał przepisy, tamto miejsce na plecach jak gdyby popadło w swoje odrębne, drżące przerażenie, że znowu popełnił błąd odzywając się, gdy go nie pytano; jednakże wszechwiedzący trzonek od motyki nie zadał ciosu. Prew czekał na to bez końca, zarazem usiłując słuchać wymienianych przez majora Thompsona przepisów.

– Więźniów nie wolno odwiedzać i nie wolno im palić gotowych papierosów – mówił major Thompson. – Więźniom wydaje się dziennie jeden woreczek mieszanki „Duke”, a każdy inny tytoń, czy to gotowe papierosy, czy tytoń fajkowy, znaleziony w posiadaniu więźnia, ściąga natychmiast na niego złą notę.

Prew czuł, że wreszcie zaczyna rozumieć, co to jest zła nota. Był to najwyraźniej bardzo elastyczny środek, stosowany przy całym mnóstwie przewinień.

– Inspekcję baraków przeprowadzamy codziennie, nie tylko w soboty – mówił major Thompson – a za każdy nieporządek w wyposażeniu osobistym więzień od razu otrzymuje złą notę. Kilkakrotne naruszenie któregośkolwiek z przepisów karane jest zamknięciem w izolatce. Podczas pobytu tutaj – ciągnął – każdy internowany nosi tytuł „Więźnia”. Ludzie odbywający karę w tym Obozie utracili prawo do swojej szarży oraz szacownego miana żołnierza. Moim zastępcą jest tu obecny sierżant Judson. W przypadku mojej nieobecności jego decyzja jest ostateczna. Zrozumiano?

– Tak jest, panie majorze – odrzekł szybko Prew.

– W takim razie to chyba wszystko – powiedział major Thompson.

– Czy więzień ma jakieś pytania?

– Nie, panie majorze – odrzekł szybko Prew.

– To będzie wszystko. Starszy szeregowiec Hanson odprowadzi was do pracy.

– Tak jest, panie majorze – rzekł Prew i zasalutował sprężystości. Trzonek od motyki dźgnął go w grzbiet nad nerką, w to samo miejsce, z precyzją zegarka, karcąc go z tą boską władzą, jaką ma liniał szkolnego nauczyciela.

– Więźniowie nie salutują – powiedział major Thompson. – Tylko żołnierze mają

prawo do wzajemnego pozdrowienia, jakim jest oddawanie honorów.

– Tak jest, panie majorze – odrzekł z wysiłkiem Prew poprzez mdłości ściskające go w dołku.

– To wszystko – powiedział major Thompson. – Więzień, w tył zwrot! Naprzód marsz!

Przy drzwiach przejął komendę Hanson, który kazał mu zrobić w prawo zwrot, po czym ruszyli ku drzwiom wejściowym, którymi się tu dostali. Plecy bolały Prewa dojmująco, aż po kolana, a umysłem miotał szal wściekłości. Nie zauważył, gdzie ani kiedy odszedł Turnipseed. Hanson zatrzymał się przed składem narzędzi, obok zamkniętej zbrojowni. Jakiś inny funkcyjny wydał Prewowi szesnastofuntowy młot kowalski. Potem Hanson przystanął z nim przed zbrojownią i u zamkniętego wewnątrz uzbrojonego wartownika wymienił trzonek od motyki na strzelbę śrutową, następnie zaś poprowadził Prewa na dwór, do dwuipółtonowej ciężarówki, która czekała pod bramą.

– Wcale nieźle ci poszło – uśmiechnął się Hanson, kiedy się wdrapywali na pokryty grubą warstwą kurzu tył wozu. Dał znak kierowcy. – Ile tego było? Tylko cztery razy, nie?

– Tylko cztery – odrzekł Prew.

– Fajnie, psiakrew – uśmiechnął się Hanson. – Widziałem takich, co dostawali i dziesięć, i dwanaście podczas pierwszego seansu. Widziałem nawet paru, co całkiem stracili głowę i tak się zapieprzyli, że trzeba ich było w końcu wynosić. Chyba najmniej, com widział, to dwa razy, a to był Jack Malloy, który siedzi już trzeci raz. Tyś wypadł naprawdę wyjątkowo.

– To świetnie – odparł ponuro Prew. – Bo już przez chwilę zaczynałem myśleć, że się oblałem przy pierwszym egzaminie.

– Gdzie tam – wyszczerzył zęby Hanson. – Byłem naprawdę z ciebie dumny. Cztery to bardzo dobrze. Za salutowanie obrywa się zawsze, więc właściwie były tylko trzy. Nawet Jack Malloy dostał jednego za to, że zasalutował; człowiek to robi po prostu odruchowo.

– To mnie pocieszyło – rzekł Prew patrząc, jak brama zamyka się za nimi, a potem poczuł powietrze i zobaczył łańcuch wzgórz Waianae, tam za Kolekcie, dokąd jechali.

– Dasz sobie radę – uśmiechnął się Hanson.

Wóz musiał zawrócić w stronę koszar i objechać dokoła pole golfowe, ażeby ruszyć ku ciemnemu szczytowi Kolekcie.

– Patrz na tych drani – powiedział z goryczą Hanson siedząc na tylnej klapie ciężarówki. – Grałeś kiedy w golfa?

– Nie – odrzekł Prew.

– Ani ja – powiedział Hanson. – To dranie.

Cieżarówka dowiozła ich do kamieniołomu znajdującego się o sto jardów poniżej szczytu przełęczy, tam gdzie wtedy prowadzał go Paluso i gdzie pokrzykiwali do niego więźniowie. Przyłapał się na pragnieniu, żeby jakiś inny nieszczęśnik został tu przyprowadzony za karę i żeby teraz on sam mógł na niego pokrzykiwać. Hanson przekazał go strażnikowi stojącemu na drodze.

– No, to tymczasem, bracie – uśmiechnął się wsiadając do ciężarówki obok kierowcy.

Prew patrzył, jak wóz zjeżdża z warkotem po pochyłości. W dole widniały koszary Schofield Barracks, rozpostarte na równinie jak mapa.

– Tam – wskazał strażnik. – Wszystko jedno gdzie – machnął strzelbą. – Bylebyś ruszał tym młotem.

Kamieniołom był półkulistą przestrzenią, wykutą w zboczu wzgórza na głębokość jakichś czterdziestu jardów. Oprócz strażnika stojącego na drodze byli tam jeszcze dwaj inni, jeden na górnej krawędzi, spoglądający w dół na ową arenę, a drugi po prawej, gdzie rozpadlina graniczyła z rzadkim lasem, który ciągnął się ku pustkowiu góry Kaala, cztery tysiące stóp nad poziomem morza, najwyższemu szczytowi na Oahu. Tam Prew mógł przynajmniej być blisko wolnego pustkowiecia tej góry.

Ruszył w tę stronę, niosąc młot. Jakiś szary, oblepiony pyłem skalnym gnom oparł się na swoim młocie, wyglądając niczym jeden z górskich ludków z opowieści o Ripie Van Winkle albo któryś z karłów-kowali z Ryszarda Wagnera, usmolonych w głębokich pieczarach niedostępnych górskich zakątków. Przyłożył sobie rękę do pleców, wyprostował się i uśmiechnął do Prewa gorączkowo, a jego oczy i zęby błysnęły wilczo, biało, wśród poszarzałych bruzd twarzy.

– Cześć, stary draniu – powiedział Angelo Maggio. – Jak się masz!

– Plecy mnie bolą – uśmiechnął się Prew.

– Ha, trzeba ci było widzieć moje, bracie – wyszczerzył drapieźnie zęby Angelo. – Czarnogranatowe przez dwa tygodnie. Ile razy szczałem, zdawało mi się, że muszę mieć trynia.

Prew roześmiał się, odstawił młot i uściśnił sobie rękę.

– Ty łobuzie – powiedział Angelo. – Ty parszywy nicponiu. Wciąż myślałem, kiedy się zjawisz, do cholery. Szlag by cię trafił – dodał. – Szlag by cię trafił.

– Wcale nieźle wyglądasz – rzekł Prew. – Z tego, co mogę dojrzeć przez ten kurz.

– Wy, tam! – wrzasnął strażnik z drogi. – Co sobie podajecie?

– A ręce, na przywitanie – odkrzyknął zajadle Maggio. – Słyszeliście kiedy o czymś takim? Jest to gest stosowany między dwoma cywilizowanymi ludźmi z chrześcijańskiej społeczności, którzy się dawno nie widzieli, a znamionuje on przyjaźń. Możecie o tym nie

słyszeli?

– Stul pysk, ty, Maggio! – ryknął strażnik. – Zarabiasz sobie na Dziurę. Lepiej uważaj ze mną, cholera jasna, bo nie będę tego znosił. Łap się za młot, a ręce będziesz ścisnął później. Wiesz, że tutaj nie wolno gadać.

– Okej, mantyko! – wrzasnął Maggio. Niektórzy z pracujących w pobliżu podnieśli głowy i zaśmiali się drapieźnie, ale on tego nie zauważył.

– Cholera – powiedział. – Cholera, ale fajnie wyglądasz, psiakrew. W życiu nie widziałem paskudniejszej gęby.

– Ty też mi się podobasz – uśmiechnął się Prew.

– Chodź – rzekł Angelo. – Udawaj, że pracujesz. – Wziął swój młot, wygiął grzbiet i spuścił raz młot jego własnym ciężarem na skałę. – No jazda – zachęcał. – Dostyc tu miejsca na dwóch. – Popatrzał na świeżo odłupaną bryłę mierząc ją wzrokiem jak wroga. – Nie jestem zachłanny – powiedział. – Możesz sobie wziąć połowę. – Podniósł młot i znowu spuścił go własnym ciężarem na skałę.

– Dziękuję – odparł Prew. – Nie potrzebuję twojej łaski. Angelo pochylił się do przodu, by sprawdzić, gdzie uderzył.

– To jakaś niezwykle twarda skała – powiedział.

– Wy dwaj tam! – ryknął strażnik z drogi. – Bierzcie się do roboty.

– Tak jest, komendancie! – odkrzyknął Maggio. – Bardzo dziękuję, komendancie.

– Pewnie tutaj nie pozwalają zdjąć koszuli? – zapytał go Prew.

– Ha – odparł Maggio. – Pewnie, że nie. Ani kapelusza. Koszula ma na plecach literę P, która jest oznaką więźnia, a także bardzo dobrym celem. Kapelusz dodają ekstra za darmo. No – rzekł. – No, no. Za co cię w końcu wsadzili?

Prew opowiedział mu całą historię.

– No, no – zawołał Maggio wesoło. – Co za radość! To znaczy, skułeś dupę staremu Blumowi?

– Wypadło mniej więcej równo – odrzekł Prew. – Może ja miałem lekką przewagę.

– Ale chyba potem nie mógł walczyć na ringu? Tamtego wieczora, na zawodach. Chyba już nie miał siły, co?

– A jakże, walczył. W głównym spotkaniu. I wygrał technicznym nokautem w pierwszej rundzie.

– To sukinsyn – powiedział z goryczą Angelo. – No cóż, psiakrew – dodał filozoficznie. – Nie można mieć wszystkiego, prawda? Jakby człowiek miał wszystko, to już by niczego nie mógł pragnąć, no nie? I potem spuściłeś manto staremu Ike'owi, jak wyciągnął nóż?

– Aha.

– I za to wszystko tylko trzy miesiące i dwie trzecie – powiedział z niedowierzaniem Maggio. – Przecież to warte dwa razy tyle. Za dubeltowy wymiar sam bym to zrobił w tej chwili, a przez tę drugą połowę stałbym na głowie wstrzymując oddech, z kutasem w jednej ręce.

– W oknie wystawowym u Macy'ego w samo sobotnie popołudnie – dodał Prew. – Ach, ty stary Angelo!

– Poznałeś już „Ojca” Thompsona? – zapytał Angelo. – No jasne, musiałeś – odpowiedział sam sobie. – Przecież mówiłeś, że plecy cię bolą. ale czyś już poznał starego „Grubasa”?

– To znaczy sierżanta Judsona?

– A jakże. We własnej osobie. Jego prawą rękę, człowieka, który wypełnia rozkazy wedle swoich najlepszych umiejętności i jeszcze czasem dorzuca jeden czy drugi własny pomysł. Jakże ci się spodobał?

– Nie wydawał się usposobiony zbyt przyjaźnie – odpowiedział Prew.

– Ale może po prostu jest nieśmiały.

– Przyjaźnie! – wyszczerzył do niego drapieźnie zęby Maggio. – „Grubas” jest tym człowiekiem, który spalił pierwszą księgę, gdzie było zapisane to słowo. Cokolwiek będziesz robił, trzymaj się z daleka od „Grubasa”. Jeżeli „Grubas” ci powie, żebyś zjadł talerz gówna, to zjedz, a co więcej, niech ci smakuje, słyszysz?

– Mogę zjeść – odparł Prew. – Ale smakować mi nie będzie.

– Jeżeli każe ci „Grubas” – uśmiechnął się drapieźnie Angelo – to będzie ci smakowało, jeszcze ci nawet odpali repete, żeby to udowodnić.

– W którym baraku jesteś? – zapytał Prew. – Ja w zachodnim.

– A ja w środkowym – wyszczerzył zęby Angelo.

– O – uśmiechnął się Prew. – Oporny.

– To ja – wyszczerzył się radośnie Angelo. – Zdaje się, że za dużo gadam. Przypieprzyli się do mnie zaraz po tym śledztwie w sprawie pedałów, pamiętasz? Przypominasz sobie Browniego? No więc to on mnie wrobił. Od tego się zaczęło. Naskakiwali na mnie, a ja odszczekiwałem i dostałem trzy dni Dziury. Człowieku – dodał – poczekaj, aż zobaczysz Dziurę.

– Nie palę się do tego.

– Słuchaj – rzekł z zapalem Angelo, a oczy zapłonęły mu gorączkowo.

– Mam jeden plan, kapujesz? Chcę...

Przerwał i rozejrzał się nerwowo po innych więźniach, którzy harowali bez końca, w

niebieskich drelichach z wielkimi białymi literami P na plecach. Automatycznie sprawdził, co robią wszyscy trzej strażnicy. Pracujący więźniowie, uśmiechając się drapieżnie, prowadzili kątem ust rozmowy, które nie sposób było wyplenić całkowicie. Strażnicy usiłowali nagać ich do roboty, lecz jednocześnie stali dosyć daleko od wznoszącego się pyłu, żeby nie zanieczyścić sobie mundurów i strzelb. Żaden z nich nie zwracał uwagi na Angela Maggio, ale Angelo łypnął na nich zajadle i nerwowo i znowu ostrożnie potrząsnął głową.

– Za dużo tu kapusiów – rzekł ostrożnie. – Powiem ci później. Ale mam wszystko uplanowane, rozumiesz? Sam sobie obmyśliłem, a Jack Malloy powiada, że to murowany pewniak. Nikt o tym nie wie oprócz mnie i niego. Tobie powiem, ale w ogóle nie ryzykuję – dodał przebiegle.

– Mają tutaj kapusiów rozrzuconych po całym lokalu, ale Angelo Maggio na to się nie natnie.

Prew obserwując go miał wrażenie, że Angelo niepostrzeżenie przemienia się w zupełnie innego człowieka, jak gdyby wypił magiczny napój i stawał się Jekylllem i Hyde'em. Przypominał człowieka, który napawa się potajemnie widokiem jakiegoś klejnotu wiedząc, że każdy chciałby go ukraść; nawet na Prewa zerkał podejrzliwie, taksujące, jak gdyby nauczył się boleśnie, że nawet przyjaźń jest podejrzana w obliczu tak wielkiej pokusy. A potem z wolna odmienił się na powrót i znowu był tym dawnym Angelem, którego Prew znał dobrze.

– W każdym razie – ciągnął – kiedy wylazłem z Dziury, wrzucili mnie do Dwójki, razem ze wszystkimi chojrakami. Z początku miałem pietra, ale potem skumałem się z najlepszymi facetami w lokalu. Mówię ci, duża frajda. Na Dwójce jest Jack Malloy. Musisz się do nas dostać jak najprędzej.

– Ale jak mam to zrobić? – zapytał Prew.

– Najlepiej uskarżać się na jedzenie. To zawsze działa. W ten sposób wrócił do nas Jack Malloy; od razu zaczął psioczyć na żarcie, żeby wrócić do Dwójki. Może za pierwszym razem ci przepuszczą, bo jesteś nowy. Ale za drugim razem ci wrzepią, dadzą parę dni Dziury, a potem cię wrzucą pod Dwójkę.

Tam jest Jack Malloy – mówił Angelo. – To mój kumpel. Poczekaj, aż go poznasz. Siedzi już trzeci raz i ma najwięcej rozumu ze wszystkich w tym lombardzie. Poczekaj, na pewno go polubisz. Jack Malloy to coś dla ciebie.

– Kto to jest, do cholery, ten Jack Malloy? – zapytał Prew z irytacją.

– Odkąd tutaj przyszedłem, wciąż słyszę tylko o Jacku Malloyu. Widać musi być tematem do rozmów numer jeden. Ten strażnik, Hanson, który mnie tu przyprowadził, też w kółko o nim gadał.

– Jasne. Oni wszyscy o nim mówią – uśmiechnął się szeroko Angelo.

– Bo jest dla nich i za twardy, i za cwany. Robi z nimi, co chce.

– Jesteś pewny, że to nie jakiś nadczłowiek w przebraniu? – zapytał ze złością Prew.

– Wiem, że to najuczciwszy, najrzetelniejszy, najporządniejszy gość, jakiego w życiu spotkałem – odparł z zapalem Angelo.

– Nie może być – powiedział z irytacją Prew. Wyczuwał w sobie zazdrość. „Nie chcesz, żeby Angelo miał innego bohatera, co, Prewitt? Szkoda gadać, zrobiłeś mu wiele dobrego, kiedy byłeś jego bohaterem, prawda?” – Zaczyna mi już załazić za skórę – powiedział.

Angelo był nieco zgorszony.

– I wiem też, że jest najlepszym mechanikiem, jakiego spotkałem – powiedział chłodno. – Jeżeli to coś dla ciebie znaczy.

– Nic to dla mnie nie znaczy – odparł Prew. – A dlaczego nie ma go tu z całą resztą, jeżeli jest taki chojrak?

– Jest mechanikiem z zawodu – odpowiedział Angelo – i pracuje w obozowym parku samochodowym. Kiedy nie siedzi w Dziurze. Dlatego go tu nie ma: powiada, że teraz zawsze trzymają dla niego tę funkcję, bo nie mają innego faceta, który by potrafił naprawić ich ciężarówki.

– To musi być nie byle jaki gość – powiedział Prew. – A ma aureolę nad głową?

– Gdybym był papieżem, toby miał – odparł Angelo bez wahania.

– Ach ty, Angelo – rzekł Prew. – Ty stary, pieprzony Angelo. Bierz no się do roboty, społeczny pasożytcie.

– Jakaś zostawił swoją dziewczynę? – zapytał Angelo. – Jak tam Lorene?

– Dobrze – odparł Prew. – Doskonale.

Zamachnął się z całej siły młotem. „Alma – myślał z rozpaczą. – Alma, Alma.” Zamachnął się znowu. „Nie – mówił sobie z wściekłością. – Nie.” Przełknął ślinę, zacisnął zęby, wparł język w podniebienie i jakoś mu trochę przeszło.

– Jutro cię przeniesiemy – powiedział Angelo. – Załatwi się to w południe, a jak wyleziesz z Dziury, twoje rzeczy będą już przeniesione.

– Czemu nie dzisiaj? – zapytał zaciekle Prew.

– Chcę najpierw z tym przyjść tam do nas i obgadać sprawę z Jackiem Malloyem – odrzekł Angelo. – Nie będę ryzykował w stosunku do ciebie. Muszę dostać przypieczętowanie zgody Jacka Malloya, zanim zrobimy jakieś posunięcie.

– Jezu Chryste! – wybuchnął Prew. – Nie potrzebuję pozwolenia Jacka Malloya, żeby narzekać na cholerne żarcie!

– Tylko spokojnie, bracie – powiedział Angelo. – Jack Malloy zna się tu na wszystkim

o wiele lepiej ode mnie. Nie ma gwałtu. Masz jeszcze przed sobą całe trzy miesiące.

Prew poczuł morderczą furię rozpierającą go i wybuchającą jak orgazm. Trzy miesiące! Dziewięćdziesiąt dni! To będzie czternaście tygodni! „Och, Alma – myślał. – O Jezu, Alma!” Miał ochotę grzmotnąć Maggia młotem w łeb, rozłuc go tu, na ziemi, na krwawą, przemieszaną z kośćmi miazgę za to, że mu przypomniał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Przez resztę popołudnia omawiali swój plan pracując w kamieniołomie. Dobrze się o tym gadało przy robocie. Było to emocjonujące, a ponieważ owa emocja była wewnętrzna, nie mogła więc nic popsuć ani opuścić ich podczas pracy nad rozbijaniem skał.

Twarz Angela Maggio zmieniała się w ciągu dwóch minionych miesięcy. Nie było już w niej ani śladu naiwno-cynicznego, miejskiego, sympatycznego włoskiego chłopaka. Ta twarz odrzuciła cynizm, jako równie bezużyteczną pozę jak optymizm, i stała się twarzą bez narodowości, teraz, gdy długi włoski nos był złamany. Poza tym widniały na niej blizny, wszystkie świeże i czerwieniejące nowością, jeszcze nie pociemniałe, stanowiące wynik stopniowego nagromadzenia, którego początki Prew mimochodem zauważył jeszcze podczas śledztwa w mieście, ale które znacznie narosło od tego czasu. Lewe ucho było zniekształcone, nie strasznie, ale na tyle, że nadawało mu skrzywiony, brutalny wygląd pięściarza. Stracił trzy górne zęby z jednej strony, co czyniło jego uśmiech bardziej ironicznym, a wargi miał zgrubiałe, jak stary bokser. Jedna z blizn biegła od czubka brody prawie aż pod dolną wargę, a druga, w kształcie małego V, widniała na czole. Wyglądał na człowieka doświadczonego.

Był nadal tą samą osobowością, tylko trochę zmienioną. Z wyjątkiem tego niespokojnego, czujnego, zachłannego wejrzenia, które miał, ilekroć niebacznie napomknął o swoim tajemnym planie, co zresztą czynił co pięć minut, nie mogąc się powstrzymać. To było nowe. Kiedy był taki, zdawało się, że Prew nie zna jego, ani on Prewa.

Kiedy jednakże zakończyli pracę na ten dzień i rozchodzili się do osobnych ciężarówek, aby pojechać do swych osobnych baraków, małe czarne oczy Maggia były pogodne i mrugnął szybko, porozumiewawczo do Prewa, żeby przypomnieć mu o jutrze.

Następnego dnia nie zjawił się do pracy w kamieniołomie.

Prew musiał poprzestać na milczących domysłach. Był tutaj nowy i obcy wszystkim oprócz Angela. Próby skłonienia do rozmowy któregoś z pracujących obok ludzi byłyby daremne. Machał dziko swym młotem, w jakimś rytmicznym opętaniu, czując, jak nowe pęcherze na dłoniach rozgniatają się wilgotnie i pękają na mokrym od potu, chropawym stylisku młota, i rozkoszował się tym, aż w końcu jakiś wysoki, chudy, dwudziestoletni starzec o głowie łasicy i świdrujących oczach, który na imię miał Berry i powiedział, że jest z baraku numer dwa, zdołał ostrożnie, z tajemniczością konspiratora knującego wielki światowy spisek, przekazać mu wiadomość, że Maggio znów siedzi w Dziurze.

– Tak myślałem – odszepnął Prew mając ochotę krzyknąć z ulgi.

– Wiedziałem, że coś takiego się stało. A co on zrobił?

Okazało się, że tamten strażnik z drogi wsadził go poprzedniego wieczora za wczorajsze rozmawianie. Przyszli po niego po wieczornym apelu, co było ich ulubioną porą, obrobili go i wsadzili na czterdzieści osiem godzin.

– „Makaroniarz” – szeptał Berry z czułością, uśmiechając się drapieżnie – przesyłał Prewowi pozdrowienia i wyrazy głębokiego ubolewania, że ich przedsięwzięcie będzie musiało ulec chwilowej zwłóce, ale donosił, iż ma całkowitą pewność rychłego powodzenia, gdy tylko ten drobiazg, który wyniknął, zostanie zlikwidowany.

– To ci miałem powtórzyć – zachichotał Berry. – Słowo w słowo. Ten „Makaroniarz” jest fajny, nie?

Berry dyskretnie nie wypytywał Prewa o naturę owego przedsięwzięcia.

– Pewnie, że tak – odszepnął Prew. – Dziękuję. – Zaczynał też czuć się konspiracyjnie. Uważał, by dalej machać młotem i nie oglądać się, a Berry czynił to samo obok niego. „Biedny stary Angelo” – pomyślał czując się różnie, niż czuł się od dawna. – Naprawdę bardzo dziękuję.

– Mnie nie dziękuj – szepnął Berry. – Podziękuj Malloyowi.

– Za co?

– To on mi kazał powtórzyć.

– Dobrze, podziękuję mu – ustąpił Prew. – Jak go zobaczę.

– Doceni to – szepnął Berry. – On jest najostrzejszym świdrem w tej fabryce, ale serce ma całkiem jak duże dziecko – dodał z ogromnym sentymentem.

Berry powiedział cicho, że „Makaroniarz” zdołał szepnąć to swoje polecenie Malloyowi, zanim Brown, Hanson i Turnipseed go wyprowadzili. Berry był akurat na drugim końcu baraku i rozmawiał z „Maczugą” Burkiem. Później Malloy kazał Berry'emu powtórzyć to Prewowi.

– „Makaroniarz” siedzi tam już piąty raz, odkąd tu jest – szepnął Berry z dumą. – Wiesz o tym?

– Nie mówił mi. Ale widziałem, że jest cały poharatany.

– Cholera – parsknął Berry. – Uważasz, że on jest poharatany? Wcale nie. Przyjrzyj się temu. – Pokazał mu długą krechę na szczęce. – Patrz na mój nos. Kiedyś pokażę ci plecy i pierś, gdzie mnie obrobił „Grubas”.

– Jak to? Bił ciebie batem?

– Skąd! – wybuchnął Berry z oburzeniem. – Nie wiesz, że bat jest zakazany w naszym kraju? Używał zwykłego trzonka od motyki, ale bardzo jest do tego zręczny. Kiedyś go za to zabiję – zachichotał Berry, tak jakby to był żart z „Grubasa”.

Prewowi zrobiło się zimno.

– A on wie o tym?

– Jasne – uśmiechnął się Berry. – Powiedziałem mu.

Prew poczuł, że robi mu się jeszcze zimniej, tak jakby stał na ostrym wietrze w cienkiej koszuli, bez kurtki. Przypomniał sobie oczy „Grubasa”.

– I co on na to?

– A nic – zachichotał Berry. – Tylko przyłał mi jeszcze raz.

– Ciekawe, dlaczego i po mnie wczoraj nie przyszli? – zapytał Prew.

– Zawzięli się na „Makaroniarza” – szepnął Berry. – Bo nie chce im ustąpić. Zmordują się na nim, a on ani mrugnie. To twarda sztuka, bracie.

– Pewnie, że tak. Wiesz, on jest z mojej kompanii.

– Obtańcowują go jak kukłę – chichotał Berry – aż sami włóczą dupą po ziemi. A nie mogą ugryźć tego chłopaka. Gryźli go, bo gryźli, ale ugryźć nie mogą – zaśmiał się wesoło. – Tylko się zasapia. Bo on ma tę dobrą zaprawę, bracie. Po Malloyu jest chyba najtwardszą żyłą w tym szpitaliku.

– Fajny chłop – szepnął Prew z dumą.

– Jasne jak słońce, przyjacielu – zachichotał Berry. – No, to tymczasem. Muszę posuwać, nim się ten strażnik do mnie zabierze. Oni dziś wszyscy aż pierdzą ogniem.

Powlókł się przez szarą chmurę skalnego pyłu, który – jak wydawało się Prewowi – stawał zamachom młota taki sam opór jak woda; szedł niczym długi, chudy, upiorny kształt wyjęty prosto z koszmaru jakiegoś poczciwego mieszczanina, sunący bez skruchy poprzez piekło, na które go skazano.

Pierwszy apel odbywał się w Obozie o wpół do piątej rano. Śniadanie było o wpół do szóstej. Inspekcja zaczynała się o szóstej i trwała zazwyczaj do siódmej.

Dokonywali jej major Thompson i sierżant Judson, nie uzbrojeni, z trzonkami od motyk trzymanymi luźno w prawej ręce nieco poniżej środka ciężkości; przechodzili tak wzdłuż szeregu, sierżant Judson zawsze o dwa kroki w tyle. Major Thompson miał także swój ołowiany ciężarek i białą płócienną rękawiczkę wyjściową, której używał do sprawdzania kurzu. Była to pierwsza rękawiczka wyjściowa, jaką Prew widział od czasów Myer i dawnej armii. Sierżant Judson niósł notes karny oraz ołówek. Nie mieli nic poza tym, lecz przy zamkniętych podwójnych drzwiach z kraty stały dwa olbrzymy trzymające w gotowości strzelby z pistoletami u pasa, a trzeci olbrzym, też zbrojny w strzelbę i pistolet, stał z kluczem zaraz za kratą.

Tego pierwszego dnia tylko trzech ludzie w zachodnim baraku dostali złe noty. Nieomal nadprzyrodzona obrotność, szybkość i precyzja trzonka od motyki wymierzającego karę w rękach tych ekspertów sprawiała, że starszy szeregowiec Hanson wydawał się przy nich

zwykłym amatorem. Berry miał rację: „Grubas” był do tego zręczny. Tak samo major Thompson. Musiało się podziwiać ich biegłość.

Pierwszy z trzech winowajców miał prawą stopę wysuniętą mniej więcej o cal za daleko z szeregu. Major Thompson przechodząc wskazał ją trzonkiem motyki, po czym nie oglądając się podszedł do jego pryczy, ażeby sprawdzić ekwipunek. Tamten przez nieskończoną sekundę rozpaczliwie usiłował cofnąć przestępczą stopę, ale sierżant Judson, idący o dwa kroki za majorem, już podniósł trzonek motyki, przekręcił go w powietrzu nie wypadając z kroku ani nie zatrzymując się, powiedział: „Wyrównać!”, i ostro spuścił spiłowany koniec trzonka na jego stopę, jak człowiek ubijający masło tłuczkiem, po czym zbliżył się za majorem do pryczy nie obracając głowy, stanął i wpisał złą notę do swego notesu. Twarz winowajcy zbielała i wykrzywiła się grymasem wściekłości na siebie samego i na swą przeklętą, durną stopę, a Prew musiał stłumić tę samą ochotę do głośnego śmiechu, jakiej się doznaje widząc wyraz zaskoczenia na twarzy człowieka, który pośliznął się na skórcie od banana i złamał sobie biodro. Oporządzenie winowajcy wypadło przy inspekcji doskonale i major oraz sierżant Judson ruszyli dalej wzdłuż szeregu nie oglądając się za siebie.

Drugiemu z kolei wystawał z szeregu brzuch. Był to tusty mężczyzna z ósmego artylerii polowej, były kucharz, który miał rzeczywiście brzuch niezwyklej rozmiarów. Major Thompson mijając go, kiedy wracał w jakieś piętnaście minut później, podniósł rękę, dźgnął go trzonkiem w brzuch i powiedział: „Wciągnąć to”, nie przystając, by się obejrzeć. Zamiast wciągnąć brzuch, jak mu kazano, tłuscioch, który wciąż patrzył prosto przed siebie, jak gdyby jeszcze nie zdążył się zdziwić, stęknął z bólu i poderwał obie dłonie do brzucha, a wówczas sierżant Judson, idący o dwa kroki za majorem, uniósł trzonek motyki i przechodząc trzasnął nim tłusciocha po goleniach mówiąc: „Więzień, stoicie na bacność. Wciągnąć to” – po czym ruszył za majorem do pryczy, przystanął i zapisał karę w notesie. Tusty mężczyzna, który wciąż jeszcze nie zdążył pomyśleć o poruszeniu głową, opuścił ręce raptownie, jak gdyby je chciał odrzucić. Nadal wpatrywał się prosto przed siebie, a jego grube wargi zaczęły drgać i dwa pojedyncze strumyczki łez spłynęły mu z oczu w kąciki ust, tak że Prew patrząc na niego doznał tak dojmującego uczucia wstydu, iż musiał odwrócić wzrok. Tymczasem major i sierżant Judson byli już o trzy prycze dalej.

Trzeci, młody, chudy parobek z Indiany, usiłował obserwować majora kątem oka, kiedy ten oglądał jego oporządzenie. Byłby lepiej zrobił, gdyby się o to nie troszczył. Jego ekwipunek był w doskonałym porządku. Sierżant Judson powiedział: „Więzień, stoicie na bacność. To także dotyczy oczu”, i nie obracając się ani nawet nie opuszczając swego notesu, zamachnął się swobodnie na odlew przez pierś trzonkiem, tak jak go trzymał luźno u

boku nieco poniżej środka, niby człowiek ćwiczący kijem baseballowym, a wszystko to jednym płynnym ruchem.. Płaski koniec trzonka trafił chłopaka precyzyjnie, z właściwą siłą w bok głowy, nawet nie tknąwszy wrażliwej skroni, i młody parobek zaczął iść bokiem ku drugiej stronie baraku, jak gdyby postanowił odejść z tego miejsca, ale prawie natychmiast kolana ugięły się pod nim i bezwładnie grzmotnął twarzą na podłogę nie uszedłszy daleko. Sierżant Judson nie odrywał wzroku od swego notesu, do którego wpisywał złą notę, powiedział: „Podnieść go”, i dwaj ludzie stojący w szeregu po bokach tamtego wyskoczyli, dźwignęli go na nogi i przyprowadzili z powrotem, ale gdy tylko go puścili, kolana ugięły mu się znowu i zaczął osuwać się na podłogę, więc po prostu stanęli podtrzymując go bezradnie pod pachy i patrząc z bojaźnią na sierżanta Judsona, jak gdyby było ich winą, że tamten nie może ustać. Sierżant Judson przechodząc wraz z majorem do następnej pryczy powiedział: „Klepnąć go po twarzy”, a wtedy jeden z nich trzepnął tamtego i chłopak oprzytomniał na tyle, że mógł zapanować nad nogami, chociaż miał taką minę, jak gdyby to czynił z niechęcią. Głowa krwawiła mu nieco i trochę krwi zostało na podłodze w miejscu, gdzie upadł, i sierżant Judson wracając z majorem do przejścia, aby obejrzyć następną pryczę, powiedział: „Przynieść ścierkę, Murdock, i wytrzeć tę krew, nim zaschnie i będziecie musieli ją skrobać.” Chłopak ruszył do swojej półki, na której nie było ścierki, i przystanął. Potem przyszło na niego natchnienie. Wyjął z kieszeni wojskową brunatną chustkę do nosa i wytarł starannie, sennie krew z podłogi, a następnie, jakby po namyśle, otarł sobie i głowę, wciąż wyglądając tak, jak gdyby słuchał z oddalenia jakiegoś koncertu niewymownej piękności, i wreszcie skrupulatnie schował brunatną chustkę do tylnej kieszeni. Tymczasem major i sierżant Judson skończyli już oglądać ostatnią pryczę, która znajdowała się ledwie o cztery miejsca dalej, i zmierzali ku drzwiom, gdzie dwa zbrojne w strzelby olbrzymy rozstąpiły się przed nimi, podczas gdy trzeci, stojący na zewnątrz, otwierał drzwi z klucza.

Sierżant Judson przystanął w drzwiach nie oglądając się, by sprawdzić, czy krew została wytarta, powiedział: „Spocznij”, i zniknął. Stojący na zewnątrz strażnik zamknął kratę i ruszył za nim. Z baraku, rzekłbyś, dobyło się bezgłośnie, zbiorowe westchnienie ulgi.

Zrazu ostrożnie, jak ofiary wypadku, które jeszcze nie wiedzą, czy nie poniosły szwanku, a potem coraz śmieiej, ludzie zaczęli poruszać się sztywni, z nieco błędnym wzrokiem, niepewnie jak pasażerowie z autobusu rozprostowujący się po długiej jeździe. Odchrząkiwali i zaczęli głośno rozmawiać na przekór tej wielkiej ciszy, której nie mogli naruszyć, chciwie skręcali sobie papierosy z mieszanki „Duke”, unikając z zażenowaniem trzech poszkodowanych, podobnie jak frontowi żołnierze unikają własnych rannych.

Prew stał na osobności, nie paląc. Miał okropną ochotę na papierosa, ale nie chciał sobie pozwolić na palenie. Zimno obserwował pozostałych, czując, że niczym duże wiadro

podstawione pod strumień wody z kranu, zaczyna powoli wypełniać się największą odrazą, jakiej zaznał w życiu. Nie wiedział, czy ta odraza jest głównie wymierzona w nich, czy w majora, czy w sierżanta Judsona. Czy też w samego siebie za to, że należy do rodzaju ludzkiego. Natomiast pojmował z jakimś świtającym dopiero zrozumieniem, dlaczego Angelo i Jack Malloy, i Berry nie tylko wolą być w baraku numer dwa, ale są z tego dumni. On także byłby dumny, gdyby się znalazł w baraku numer dwa, i teraz zapragnął dostać się tam jak najprędzej.

Siedział bez ruchu, z dala od innych, na podłodze, w nogach swej pryczy, dopóki gwizdki nie oznajmiły apelu roboczego; ludzie widocznie wyczuwali jego odrazę, bo zostawili go w spokoju i żaden nie próbował do niego zagadać. Dopiero kiedy wszyscy uspokoili się po tym pierwszym chciwym paleniu, ustąpił i skręcił sobie papierosa.

Ludzie nie próbowali też rozmawiać z trzema ofiarami. Byli jak sąsiedzi, którzy czują się winni, bo wszechwładna klęska nawiedziła pożarem dom sąsiada, a ich własny pozostawiła nietknięty. Samym ofiarom zdawało się być obojętne, czy do nich mówią, czy nie, było to tak, jak gdyby rozumieli, że przeszli do jakiejś odrębnej klasy, której nic nie pomogą pociechy szczęśliwców.

Tłusty mężczyzna, który jeszcze długo po odejściu „Grubasa” stał na baczność patrząc prosto przed siebie i płacząc w milczeniu, nagle opadł na swą starannie zasłaną, napiętą jak bęben pryczę, którą miał potem znowu wygładzać, ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął rozdzierającym szlochem.

Pierwszy, ten, któremu wystawała stopa, siadł, tak jak stał, na podłodze zaraz po wyjściu „Grubasa” i delikatnie ściągnął but. Potem już tylko siedział, chwilowo uszczęśliwiony tą ulgą, niby tłusta kobieta, która uwolniła się z gorsetu, i ze skupieniem masował sobie stopę, a wargi poruszały mu się przeklinając bezgłośnie, ze wstrętem.

Parobek z Indiany nie zrobił nic, tylko nadal stał w tym samym miejscu, zapatrzony sennie w swoją półkę, jak gdyby się zastanawiał, dlaczego nie było na niej ścierki lub jakby wciąż jeszcze słyszał tamtą muzykę.

Prew spoglądał na tych trzech poprzez zimny, twardy kryształ swojej odrazy, zastanawiając się, z jakimś beznamiętnym, naukowym zainteresowaniem, jak też to ogólnie na nich podziała, i notując sobie w pamięci, że musi to zaobserwować.

Po upływie tygodnia tłusty pokombinował i wyrobił sobie przydział do kuchni jako pomocnik kucharza. W dwa dni później był już funkcyjnym i został przeniesiony do Jedyńki, wschodniego baraku, gdzie mieszkali wszyscy funkcyjni, i Prew go więcej nie widział.

Ten ze stopą kuśtykał przez dwa dni, nim zdobył się na odwagę i zgłosił do lekarza. Kiedy to w końcu uczynił, dowiedział się z satysfakcją, że doznał pęknięcia śródstopia,

wobec czego lekarz obozowy odesłał go na oddział więzienny szpitala garnizonowego z notatką, że podczas pracy w kamieniołomie spadł mu na stopę gład. Odjechał radośnie wozem rozpoznawczym spodziewając się czterech lub pięciu tygodni wakacji w gipsie. Wrócił po czterech dniach ogromnie rozgoryczony, ze stopą w łupkach roboczych i ostatecznie skończył w baraku numer dwa, gdzie bardzo się zaprzyjaźnił z Prewem.

Chłopak z Indiany, który wyglądał najgorzej, miał mniej kłopotów niż tamci. Do końca owego dnia trwał w otumanieniu i trzeba go było prowadzić do pracy i na jedzenie. W kamieniołomie wetknęli mu w rękę młot, a on przez cały dzień stał w jednym miejscu machając nim jak we śnie, podczas gdy reszta, z Prewem włącznie, starała się jakoś mieć na niego oko. Nazajutrz przeszedł z oszołomienia w morderczą furję i zwałił z nóg trzech ludzi rycząc i klnąc, zanim pracujący najbliżej rzucili się hurmem na niego, tak że z kotłowaniny wysterczała tylko to rozmachana ręka, to wierzgająca noga, i przydusiwszy do ziemi zdołali go uspokoić. Po tym był znowu tym samym dawnym, łagodnym i potulnym chłopakiem, jak gdyby nic się nie stało.

I na tym to się skończyło. Później zdarzyły się inne, nie mniej interesujące do obserwowania wypadki, a w tym czasie Prew stracił już ową pierwotną, przemożną odrazę. Może to właśnie przerażało go najbardziej: że ją utracił. Obawiał się, że jeśli nie będzie bardzo uważał, może nawet dojść do tego, że wszystko stanie mu się obojętne. Bo choć próbował usilnie, nie umiał wyszukać nikogo, kogo by można obciążyć winą. Czuł, że bardzo by mu pomogło, gdyby tylko potrafił znaleźć winnego. Nienawidził majora Thompsona i „Grubasa”, ale to nie było równoznaczne z przypisaniem im winy. Nienawidził także tamtych poszkodowanych, którzy pozwalali się bić jak muły, ale z całą pewnością nie mógł ich obwiniać. Majora i „Grubasa” nienawidził dlatego – jak to sobie wnikliwie przeanalizował – że się ich bał, a poszkodowanych dlatego, iż bał się, że będzie do nich podobny. Obydwie te nienawiści były osobiste. Czuł się moralnie zobowiązany, żeby nie opierać potępienia na osobistej nienawiści. Nie mógł nawet potępić wojska. Wojsko mógł potępić Angelo; Angelo nienawidził wojska. On natomiast nie nienawidził wojska nawet teraz. Przypomniał sobie, co kiedyś powiedziała mu Maureen, że winien jest system; należało zatem potępić ustrój. Jednakże nie mógł potępić ustroju, bo nie był czymś określonym, lecz tylko jakimś nagromadzeniem jednostek, a nie sposób potępić każdego, jeżeli się nie chce, aby to potępienie rozplynęło się w słowo bez pokrycia, w zwyczajną nicość. Poza tym ustrój jego kraju był przecież najlepszym ustrojem, jaki świat wydał, nieprawdaż? Ten ustrój był bezwzględnie i bezwarunkowo najlepszym ustrojem istniejącym gdziekolwiek w dzisiejszym świecie. Prew czuł, że jeżeli prędko nie znajdzie kogoś, kogo by mógł obwinić, zacznie nienawidzić wszystkich.

Powiedział o tym w kamieniołomie Angelowi, kiedy ten wrócił z Czarnej Dziury rano trzeciego dnia; w szczególności wspominał o tym szybkim znikaniu odrazy – to go trapiło najbardziej. Nawet więcej od ustalenia winy.

– Wiem – uśmiechnął się do niego ponuro Angelo Maggio tą swoją nową, twardą, skołataną twarzą, która zaskakiwała Prewa za każdym razem, gdy ją zobaczył. – Wiem, to samo było ze mną. Nawet się bałem, że mogę zostać funkcyjnym.

– Ja też – wyznał Prew.

– Ale nie będziesz tak myślał, jak sam oberwiesz – wyjaśnił Angelo. – Jak będziesz tym, którego to spotkało.

– Mnie jeszcze dotąd nic nie spotkało, poza tamtą rozmową pierwszego dnia.

– To jedna z przyczyn, że cieszę się, że jestem na Dwójce – uśmiechnął się do niego drapieżnie Angelo. – Przynajmniej wiem, czego się trzymać. Jak się znajdziesz na Dwójce, nie będziesz musiał się martwić, co robić, żeby cię to nie spotkało. Tam nie ma się wyboru.

Angelo znowu wyszczerzył dziko zęby pod nową blizną, którą przyniósł z Czarnej Dziury. Jego lewa brew była przecięta, ciemna kreska świeżego strupa biegła przez nią ukośnie jak starannie rozczesany przedziałek we włosach łysiejącego człowieka. Przez to brew wydawała się jak gdyby kpiąco uniesiona.

– Dlatego musisz sam jak najprędzej dostać się na Dwójkę, Prew. Kiedy człowiek jest w Dwójce, ma spokojne sumienie.

Angelo omówił swój plan z Jackiem Malloyem zarówno przed pójściem do Dziury, jak i poprzedniego wieczora, już po powrocie stamtąd. Malloy był całkowicie za tym. Najlepszym planem było popełnić takie wykroczenie, żeby się tam dostać, ale pomniejsze wykroczenia, jak na przykład błędy przy inspekcji, dawały w wyniku złą notę i siedzenie w Dziurze (jeżeli się zebrało dostateczną ilość tych not), jednakże nie powodowały przeniesienia na Dwójkę. Natomiast ten plan nie zawodził nigdy, bo skargi na wyżywienie traktowano surowo, tak że nie należało się martwić, że trzeba będzie przejść przez to kilka razy, zanim nareszcie będzie klapowało. Malloy był tego absolutnie pewny.

– Ja jestem zdecydowany – powiedział Prew. – Nie potrzebujesz mnie przekonywać. Byłem zdecydowany, jeszcze zanim poszedłeś do Dziury. Czekałem tylko dlatego, że mi kazałeś.

– I bardzo dobrze się stało dla ciebie, bracie – odrzekł z zapalem Angelo. – Malloy kazał ci przekazać kilka winków, które ci bardzo pomogą. A mnie by żaden z nich nie przyszedł do głowy.

Pierwsza rzecz – przestrzegł go – to nie dać im nigdy poznać, że chcesz się dostać na Dwójkę. Muszą być przekonani, że w porównaniu z przerwaniem na Dwójkę Obróbka i

siedzenie w Dziurze są dla ciebie niebiańską rozkoszą.

– Okej – powiedział Prew.

Jednakże najważniejszą rzeczą, twierdził Jack Malloy, główną tajemnicą jest, żeby nie opierał się strażnikom, kiedy go będą obrabiali, tylko zniósł wszystko i ani pisnął. To było naprawdę ważne. A drugie to sposób postępowania po zamknięciu w Dziurze.

– Dlaczego, u diabła, mam się nie opierać? – zapytał szybko Prew.

– Bo tylko dostaniesz jeszcze gorsze wały i nic przez to nie osiągniesz.

– Wcale nie chcę, żeby któryś pomyślał, że mam pietra.

– Pietra! Możesz to sobie o kant dupy potłuc – odrzekł Angelo. – Pietra, a ucho. Jak zaczniesz tak myśleć, na pewno będziesz się opierał.

– Ano, zauważyłem, że ty i Berry się opieracie. Angelo uśmiechnął się gorzko.

– Pewnie, i nie jesteśmy jedyni. Ale to błąd z naszej strony i nie ma się na czym wzorować. To jedna z tych rzeczy, za które Malloy zawsze robi piekło nam wszystkim.

Wiem, że ma rację – ciągnął – ale jak się tam dostanę, po prostu nie mogę się powstrzymać. Berry tego nie rozumie, ale ja owszem. A jednak jak się tam znajdę z nimi, zawsze zapominam. Urywam się z łańcucha i potem mi wszystko jedno, czy mnie zabiją, czy nie.

– Może i ja nie będę mógł się powstrzymać – powiedział Prew z uśmiechem, pragnąc, żeby już przestali o tym gadać i zabrali się do dzieła. Trzy dni temu ta emocja była przyjemną, podniecającą ucieczką od pracy w kamieniołomie. Teraz stała się tak silna, że wyraźnie przykra.

– Z tym nie ma żartów – drążył nieubłagalnie Angelo. – Trzeba być frajerem, żeby dawać się masakrować, kiedy nie ma potrzeby. A w taki sposób możesz im zaleźć za skórę znacznie gorzej niż przez borykanie się z nimi. Malloy nazywa to Zasadą Biernego Oporu. Mówi, że wymyślił ją Ghandi. I ten sposób działa, bo widziałem, jak Jack Malloy go praktykował. Jeżeli sam tak nie robię, to dlatego, że jeszcze do tego nie dorosłem, a nie żebym nie chciał.

– Okej! – powiedział Prew z irytacją. – Zrobię, co będę mógł. Skąd mogę wiedzieć, czy to potrafię, czy nie? Skąd masz taką pewność, że potrafię, jeżeli ty sam nie umiesz?

– Bo wiem, jaki jesteś – odparł zaczepnie Angelo. – Nie widziałem cię nigdy na ringu, ale i o tym słyszałem. Jesteś dobry żołnierz – przyznał niechętnie, ze złością – tak samo jak Malloy, to także dobry żołnierz. Zwykle mam w nosie dobrych żołnierzy, ale trzeba pierwszorzędnego, z wielkim opanowaniem, żeby pokonać innego dobrego żołnierza, takiego jak „Grubas”, który trzyma cugle i ma w ręku wszystkie karty. Sam chyba przyznasz – dodał gniewnie.

– Gównu! – powiedział Prew niepewnie, bo Angelo dotknął go we wrażliwe miejsce, ale zarazem kpiąco, bo poczuł przypływ dumy, dumy, do której, jak wiedział, nie miał żadnego prawa wobec człowieka, który zapracował sobie na taką twarz, zza jakiej Angelo Maggio z Atlantic Avenue patrzył na niego z takim oddaniem.

– Pytałeś mnie, tom ci powiedział – rzekł Angelo tonem wyjaśnienia.

– Dobra, dobra – mruknął Prew. – No i co jeszcze?

– Tylko jedno – odparł Angelo. – A mianowicie Dziura. Musisz wiedzieć, jak postępować w Dziurze.

– W Dziurze? Myślałem, że tam się siedzi samemu.

– Właśnie o to idzie, że samemu. Dlatego to takie przykre. Malloy powiada, że i z tym można dać sobie radę, jeżeli się właściwie podejdziesz, ale ja nigdy nie potrafiłem. Ani nikt z moich znajomych poza Malloyem.

Najważniejsze – ciągnął Angelo – jest pamiętać, żeby się odprężyć. Masz tam do odsiedzenia dwa, może trzy dni, może więcej. Nie ma sposobu, żeby się stamtąd wydostać ani to skrócić. Trzeba się z tym pogodzić, przywyknąć i odprężyć.

– To logicznie – rzekł Prew. – Co w tym trudnego?

– No – powiedział Angelo. – Ty jeszcze tam nie byłeś.

– Pewnie, że jeszcze nie byłem. Właśnie dlatego mnie pouczasz, nie?

– Ano, nie chcę cię straszyć ani nic.

– Nie przestraszysz mnie – powiedział szybko Prew. – No, wal. Kawa na ławę.

– Jak wiesz, ja tam siedziałem pięć razy. I nie wyglądam na zmienionego, prawda?

– Coś nie zanadto – rzekł Prew. – Jazda, gadaj.

– Okej, widzę, że mogę ci wytłumaczyć. Ale to naprawdę nie jest takie straszne, jak się wydaje, kiedy tego słuchasz. Musisz pamiętać – dodał nieporadnie – że wcale nie jest takie straszne.

Machał dalej starannie młotem, podkreślając uderzeniami swoje słowa, uważając, żeby strażnik się nie spostrzegł i nie przerwał mu.

– Pierwsze pół godziny, kiedy cię tam wsadzą, nie jest takie złe – mówił Angelo Maggio. – Prawdopodobnie obtłuką cię trochę, i poczucie ulgi, żeś się od tego uwolnił, trzyma cię przez jakiś czas. Po prostu leżysz sobie i odpoczywasz.

– Aha – rzekł Prew.

– Tylko że po jakiejś półgodzinie już to się trochę zaciera – mówił Angelo Maggio. – Wtedy twój umysł znowu zaczyna pracować. Malloy powiada, że przyczyna jest taka: nie masz nic do roboty, możesz tylko siedzieć, a oczywiście nie ma światła i nie znajdziesz żadnego ujścia dla swoich myśli.

– Tak – rzekł Prew.

– No i sam nie wiem, dlaczego tak jest – ciągnął Angelo z zakłopotaniem – ale mniej więcej po pierwszej półgodzinie zaczyna ci się jakoś wydawać, że te mury są na kółkach, rozumiesz?

– Tak – powiedział Prew.

– Zdaje ci się, że na tych kółkach najeżdżają ze wszystkich stron na ciebie, i wtedy pierwszy raz brak ci oddechu. No, wiem, że to cholernie głupio brzmi – dodał.

– Rozumiem – rzekł Prew.

– Widzisz, tam nie ma dosyć miejsca, żeby móc stanąć prosto, a gdyby nawet było, mógłbyś zrobić tylko trzy kroki od końca do końca. Oczywiście nie ma w ogóle miejsca, żeby iść w bok. Więc nie możesz tego rozchodzić, musisz tylko siedzieć albo leżeć na pryczy i całe odprężenie odrabiać w myśli. Wiem, że to głupio brzmi.

– Nie – powiedział Prew. – Mów dalej.

Angelo nabrał głęboko tchu jak pływak, który ma skoczyć z trampoliny zbyt wysokiej na jego umiejętności, ale nie może już się wycofać, bo wszyscy na niego patrzą. Wypuścił nieco powietrza z płuc.

– Za pierwszym razem, jak tam byłem, myślałem, że się uduszę na śmierć. Całą siłą trzymałem się, żeby nie zacząć wrzeszczeć. Jeżeli zaczniesz wrzeszczeć, to koniec z tobą. Aby nie zaczynać. Bo będziesz się darł jeszcze wtedy, kiedy po ciebie przyjdą. Albo póki nie zachrypniesz i nie stracisz głosu. A wtedy jeszcze będziesz wył gdzieś w sobie. Nawet wtedy.

Zamilkł.

– No, i co jeszcze? – zapytał Prew.

– Jeżeli możesz dużo spać, to bardzo ci pomoże, ale niektórym ciężko zasnąć, bo widzisz ta pryczna nie jest właściwie pryczą. Ani koją. Tylko dziesięć czy dwanaście żelaznych rur zawieszonych podłużnie u ściany na dwóch łańcuchach i oczywiście nie ma tam ani siennika, ani koca.

– Tak – powiedział Prew. – To wszystko?

– Malloy powiada, że można dać sobie z tym radę, jeżeli człowiek potrafi zapanować nad swoimi myślami. Ja nigdy nie mogę – mówił Angelo Maggio. – Malloy umie przestać myśleć. Ja tego nie potrafię. Nauczyłem się kilku małych trików, które coś niecoś pomagają, ale tego nie umiem.

Jedno, czego się nauczyłem, to odliczania oddechów: wciąga się powietrze licząc do ośmiu, potem je zatrzymuje do czterech, wypuszcza do ośmiu i znowu wstrzymuje oddech licząc do czterech; to pomaga na uczucie duszenia.

– I wszystko powtarza się za każdym razem, jak tam jesteś? – zapytał Prew.

– A po drugie, zaczynam być głodny. Dają ci tam trzy razy dziennie kawałek chleba i blaszany kubek wody, (Malloy – dodał nawiasem Angelo Maggio – mówi, że nigdy nic nie je, kiedy tam idzie. Wodę owszem, pije, ale nie je nic. Mówi, że jak nie je, nie zaczyna być głodny po pierwszym dniu, a poza tym, że to pomaga zapanować nad myślami.)

Ja nigdy tego nie potrafiłem – uśmiechnął się nieporadnie. – Zawsze zaczynam być głodny i zjadam chleb, i jestem jeszcze głodniejszy. Najgorsze jest dla mnie powstrzymać się od myślenia o kurczętach i indykach – wiesz, tak jak wiszą upieczone w sklepach delikatesowych – i o stekach, o frytkach, o chlebie i sosie.

Angelo Maggio uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Chcę ci to tylko przedstawić. Musisz pamiętać, że nie jest wcale takie straszne, jak się wydaje.

– Tak – powiedział Prew.

– Zwiduje mi się najrozmaitsze jedzenie, sute dania ustawione na wielkim obrusie, ze srebrem i szkłem, i świecami, wszystko jak na reklamach w pismach. Głupie, co?

– Aha – rzekł Prew. – Ja także lubię jeść.

– Druga sprawa to seks – powiedział Angelo delikatnie. – Nie trzeba myśleć o kobietach. Bo widzisz, oni cię rozbierają i wsadzają cię tam nago, i jak zaczniesz myśleć o kobietach, to się rozleziesz w szwach i będziesz przez cały czas trzepał kapucyna, co tylko pogarsza sprawę, zamiast ci ulżyć, i rozhecowuje cię jeszcze bardziej. Berry to czasem robi. Mnie też się raz zdarzyło. – Pod powłoką szarego pyłu skalnego zarumienił się mocno.

– No, to na miłość boską, o czym się tam myśli? – zapytał twardo Prew.

– A, w tym właśnie sęk – odparł Angelo Maggio. – Według Malloya nie trzeba myśleć o niczym. Malloy mówi, że może tam leżeć trzy, cztery, pięć dni, czy ile dostanie, i nie myśleć o niczym. Mówi, że nauczył się tego z jakichś książek jogów, kiedy był drwalem w Oregonie. Te książki miał jeden stary gość, który tam pracował i dawniej był wobblym*. Malloy mówi, że tego próbował, ale mu nie wychodziło, póki się nie dostał do Czarnej Dziury. Trzeba skupić uwagę na takiej czarnej plamce, którą masz w głowie przed oczami, i jak tylko ci przyjdzie jakaś myśl, odepchnąć ją od siebie i nie myśleć. Po jakimś czasie, jeżeli to się robi dość długo, myśli przestają przychodzić i. widzisz tylko jakby światło.

– Jezus kochany! – powiedział Prew twardo. – Ja nie potrafię robić takich rzeczy. To znaczy, że on zapada w trans, jak te media, i gada z umarłymi, i w ogóle?

– Nie – odrzekł nieporadnie Angelo. – Nic podobnego, żadnych nadnaturalnych rzeczy. To jest po prostu panowanie nad umysłem. Sposób panowania nad myślami.

* Wobbly – członek IWW (Industrial Workers of the World) – organizacji robotników przemysłowych utworzonej w 1905 r. w Chicago.

- A ty to potrafisz? – zapytał Prew z niedowierzaniem.
- Nie – odparł Angelo. – Próbowałem mnie uczyć, ale ani rusz nie mogłem. Może ty będziesz umiał.
- Nie, to nie dla mnie.
- Nigdy nie wiadomo, póki się nie spróbuje. Ja spróbowałem.
- No dobrze, a co ty robisz?
- Ja? Mam dwa sposoby. Stosuję je na zmianę. Jeden jest taki, że urządzam sobie grę, rozumiesz?
- Grę? – zapytał Prew.
- Między mną a nimi. Oni chcą mnie złamać, a ja się nie daję. Oni mnie widzą, ale nigdy nie zobaczą, żebym się miotał. Rozgrywam z nimi tę grę i tylko sobie leżę, i znoszę wszystko co chcą.
- Robisz z tego grę! – powiedział Prew.
- To jeden sposób. Drugi to przypominanie sobie różnych rzeczy z własnego życia. Przypominasz sobie miłe rzeczy, przyjemne rzeczy.
- To bym może potrafił – rzekł Prew z napięciem.
- Ale te wspomnienia muszą być bez ludzi – przestrzegł go zaraz Angelo. – I muszą być o czymś, na co nie masz ochoty.
- Jak to? – zapytał Prew. – Dlaczego? Tego nie chwytam.
- Bo umysł w ten sposób pracuje – odrzekł Angelo Maggio. – Nie pytaj mnie czemu. Nie wiem. Wiem tylko, że jest tak, a nie inaczej. Jak zaczniesz myśleć o ludziach, wtedy przypomnisz sobie to, co robiłeś z nimi albo przez nich, rzeczy, które chciałbyś móc zrobić znowu. A to przywiedzie ci z powrotem na pamięć siebie samego i miejsce, w którym jesteś.
- Tak – powiedział Prew myśląc o Violet Ogure i Almie Schmidt.
- Rozumiem.
- A kiedy zaczniesz myśleć o rzeczach, których chcesz, już siebie w to włączyłeś. Chcesz tych rzeczy zaraz, w tej chwili. A nie możesz ich mieć. Najważniejsze jest wyłączyć z tego siebie.
- Aha – rzekł Prew. – Tylko jak?
- Ja myślę o widokach przyrody – odparł Angelo Maggio. – O lasach, w których byłem. Drzewa są zawsze dobre. O jeziorach i górach, które widziałem. Jak tam jest na jesieni, z tymi wszystkimi kolorami. Albo w zimie, kiedy wszędzie leży śnieg. Widziałem raz burzę śnieżną – zaczął z zapalem, ale przerwał. – No, w każdym razie rozumiesz, o co mi idzie? – dodał niepewnie.
- Tak – powiedział Prew.

– A potem – ciągnął Angelo – jak zaczynają się w tym pojawiać ludzie, co zawsze się dzieje wcześniej czy później, przerzucam się na tę moją grę i po pewnym czasie wracam do wspomnień, w których nie ma ludzi.

– Ile czasu byłeś najdłużej w Dziurze? – zapytał go Prew z napięciem.

– Sześć dni. – Schyłona, poszczerbiona twarz Angela uśmiechnęła się dumnie. – Ale to było łatwe. Nic takiego. Równie dobrze mógłbym przesiedzieć dwadzieścia dni albo pięćdziesiąt. Wiem, że tak. No, bo, psiakrew, jeżeli oni...

Urwał nagle, jak gdyby go nieomal wciągnięto w wyznania. I kiedy Prew na niego patrzył, tamto ostrożne, niespokojne, zachłanne wejrzenie, które Prew nauczył się już poznawać, pojawiło się na jego twarzy.

– Mniejsza o to – rzekł przebiegle Angelo Maggio. – Dowiesz się; powiem ci o tym później. W tej chwili najważniejsze jest, żebyś się do nas dostał.

– Jak uważasz, bracie. To twoja impreza. Ty nią kierujesz – odrzekł Prew w napięciu. „Sześć dni” – pomyślał. – Więc kiedy zaczynamy? Powiedz.

– Dzisiaj – odparł Angelo bez wahania. – Każdy moment jest dobry, ale lepiej zrobić to prędko, bo wtedy nie będziesz się tym truć przez tyle czasu. Zrób to dziś przy obiedzie.

– Załatwione – powiedział Prew i popatrzał na niego, na tę drobną, niedożywioną postać o wąskiej piersi, kościstych ramionach, cienkich nogach i rękach jak zapalki, w workowatym roboczym drelichu, w komicznym drelichowym kapeluszu ocieniającym czarne, gorejące oczy, które patrzyły na niego bacznie. „Sześć dni – pomyślał – to jest sto czterdzieści cztery godziny.”

– Muszę ci coś powiedzieć – rzekł Maggio z wysiłkiem. Zamilkł na chwilę. – To Malloy kazał ci opowiedzieć, jak jest w Dziurze – wyznał. – Nie chciałem ci tego mówić, tylko zwyczajnie pozwolić, żebyś się sam dowiedział. Tak jak było ze mną. Bo bałem się, że się cofniesz, jeżeli będziesz wiedział z góry.

– Dlaczego myślałeś, że się cofnę?

– Bo wiem doskonale – odparł gwałtownie Angelo Maggio – że sam bym się cofnął, gdybym za pierwszym razem wiedział, co mnie czeka.

Prew roześmiał się. Własny śmiech wydał mu się bardzo nerwowy.

– Czuję się tak, jak musi czuć się chłopak z college'u idący na swój pierwszy wielki egzamin – wyjaśnił.

– Możliwe. Ja tego nie znam.

– Ani ja. Przypomnij mi, żebyś kiedyś któregoś zapytał.

– O, gwizdek – powiedział Angelo. – Koniec roboty.

– Aha – rzekł Prew. – Rzeczywiście.

– Zobaczmy się za trzy dni, stary – uśmiechnął się do niego Angelo, kiedy niosąc młoty schodzili w dół ku miejscu, gdzie zajęte były ciężarówki.

– Ciekaw jestem, co teraz porabia nasz drogi przyjaciel, pan kapral Blum – spróbował zażartować Angelo.

– Pewnie już go zrobili sierżantem – odpowiedział automatycznie żartem Prew, ale myśli jego były gdzie indziej. Myśli jego uwięzły jak w kleju.

– Może tylko za dwa dni – rzekł Angelo – i to w baraku numer dwa; tam cię zobaczę. Nie w kamieniołomie. – Odwrócił się i ruszył do swojej ciężarówki.

– Okej – powiedział niepewnie Prew za odchodzącym. – Do zobaczenia.

A potem został sam w ciężarówce z resztą ludzi z baraku numer trzy, którzy nie mogli tego zrozumieć i pewnie by tak nie postąpili, choćby mogli – myślał z dumą, starając się nieco pokrzepić na duchu.

Natomiast on tak zrobi. Wiedział, że zrobi. Musiał to zrobić. Bo chciał, żeby Angelo Maggio i Jack Malloy, i nawet Berry go podziwiali, pragnął być taki jak oni, pragnął, żeby go przyjęli do swego grona. I dlatego, że jeśli chciał móc nazywać siebie człowiekiem, tak jak rozumiał to określenie, to nie miał innego wyjścia.

W ustach mu zaschło i marzył o łyku wody.

Bardzo mu było samotnie tam, w zatłoczonej ciężarówce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

„Człowiek zawsze czuje się bardzo samotny – myślał kapral Izaak Natan Blum wychodząc tegoż dnia z kasyna. – Podoficer jest zawsze samotny.”

Poszedł na górę, do swojej pryczy.

Jak zwykle, sala sypialna była pusta. Blum nie wiedział, dlaczego spodziewał się, że nie będzie. Już od dwóch tygodni z górą wychodził pierwszy po każdym posiłku i sala była zawsze pusta, ale on zawsze miał nadzieję, że nie będzie. Dziś przy tym upale, myślał, że może zastanie kogoś, kto przesiedział tam przez czas obiadu. Blum nie rozumiał, jak ktoś może napychać sobie kiszki gorącym jedzeniem w taką spiekotę. Sam spędził piętnaście minut udreki nad dymiącą potrawą, zmuszając się do przelknięcia kęsów, których jego żołądek nie chciał. Robił to z dwóch przyczyn: jako bokser musiał dbać o zdrowie, i dlatego że nie chciał się wyróżniać spośród tych wszystkich wygłodniałych ludzi przy stołach – i teraz to, co zjadł ciążyło mu kwaśno w żołądku jak obiad z dziesięciu dań. Blum niepokoił się swoim brakiem apetytu.

Zrzucił roboczą bluzę, buty i skarpetki i położył się na pryczy wyciągając rozgrzane stopy w cieniu sali sypialnej, który budził fałszywą nadzieję na chłód, kiedy się tam wchodziło. Zabawne; wieczorem będzie zapewne dość zimno na zapasowy koc.

To ten upał – mówił sobie Blum. – Ten upał musi popsuć apetyt każdemu. Póki człowiek ma apetyt, może uważać, że jest zdrow. Ale kiedy go traci to znak, że coś jest nie w porządku. Co powinni by zrobić, to dawać główny posiłek wieczorem, tak jak u bogaczy. Bogaci wiedzą, jak trzeba żyć. Nigdy się nie zobaczy oficera jedzącego obficie w środku dnia.

Blum leżał na wznak i wpatrywał się w szarość wspartego na żelbetonowych belkach sufitu, starając się to zrozumieć. Coś podobnego jeszcze mu się nie zdarzyło. Nie miał apetytu również przy śniadaniu i przy kolacji, więc upał nie mógł być jedyną przyczyną. Jeszcze mu się to nigdy nie zdarzyło. Jeżeli czegoś nie robi, wycieńczy się zupełnie. Jeśli człowiek, szczególnie bokser, chce zachować siły, musi jeść. Nigdy mu się nie zdarzyło nic podobnego. A tak już trwa od dwóch tygodni z górą, odkąd ogłoszono jego awans na kaprala. Być kapralem to straszna odpowiedzialność; może częściowo tu tkwi przyczyna. W każdym razie jeszcze mu się to nie zdarzyło. Poza tym był sezon zawodów, który miał jeszcze trwać dwa tygodnie. Walka na ringu zawsze go trapiła, w gruncie rzeczy był typem zbyt wrażliwym, żeby walczyć; wiedział, że to mu zanadto szarpie nerwy, i możliwe, że także ma z tym coś wspólnego. Bo jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się nic podobnego. Gdyby nie to, że nie chciał opuścić pułku w potrzebie, byłby już dawno rzucił to draństwo.

Przekręcił się na posłaniu zaciekle, z satysfakcją, żeby nabrać powietrza w płuca (przynajmniej nie musiał dzisiaj trenować, jeżeli nie miał ochoty, mógł sobie leżeć na tej pryczy przez całe popołudnie) akurat w porę, by ujrzeć „Piętaszka” Clarka, który przechodził obok niego wracając z kantyny i jadł lody czekoladowe w rożku. Blum prychnął z niesmakiem, oburzony, że taki dumny makaroniarz-szeregowiec ma pieniądze na lody, podczas gdy kaprale są splukani. Gdyby miał pieniądze na lody, może by i odzyskał apetyt. Bokser powinien mieć apetyt. Szczególnie bokser. Nagle zląkł się i poczuł, że dziko nienawidzi własnego żołądka za to, że zdradził go w tym krytycznym momencie.

„Piętaszek” Clark wybrał się do kantyny po bardzo mu potrzebną pastę do butów, pożyczwszy pięćdziesiąt centów od Niccola Levy. Piętnaście centów wydał na lody czekoladowe, które uwielbiał, a drugie piętnaście centów na nowy zeszyt komiksów, żeby mieć co czytać przy lodach. Dotąd wszystko w porządku; zostawało mu jeszcze dwadzieścia centów na pastę. Ale cóż, kiedy potem musiał jeszcze zamówić sobie drugie lody za piętnaście centów, żeby przy nich dokończyć lektury! Tylko dlatego że było mu głupio siedzieć i czytać w kantynie nic nie jedząc. O paście w ogóle zapomniał. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało. Zjadł drugie lody powoli, ostrożnie i tak wymierzył, żeby je skończyć razem z komiksami, ale to nadal nie załatwiało pasty do butów. Potem została mu już tylko pięciocentówka. Machnął więc ręką i kupił sobie też rożek lodów czekoladowych na deser, bo było mu już wszystko jedno – i teraz skończył lody i wrzucił reszkę wafla do puszki stojącej pod pryczą, przeraziwszy się nagle, skąd weźmie pastę. Cisnął na pryczę zeszyt komiksów nie mogąc sobie darować, że wydał na niego piętnaście centów. Mógł sobie kupić paczkę papierosów i może pograwszy na nie podnieść ich ilość do całego kartonu.

Usiadł na pryczy i skręcił papierosa patrząc na wesoło pokolorowaną okładkę zeszytu na tle oliwkowego koca. Te okładki zawsze sprawiały wrażenie, że tyle musi być w środku, a nigdy tak nie było. Palił ostrożnie, uważając, żeby pokruszony tytoń nie dostał mu się na język i nie wywołał krztuszenia. Żałował, że nie miał dość siły woli, żeby nie kupować tego cholernego zeszytu. Prew miał dość siły woli, żeby nie kupować idiotycznych komiksów. Andy czasem to robił. Gdyby Prew był tutaj, a nie w Obozie, na pewno pożyczylby mu pastę do butów. Prew zawsze miał pastę.

Wreszcie, gdy brzemień własnej słabości nadmiernie mu zaciążyło, rozgniół papierosa w puszcze pod pryczą i wydobyl swoją gitarę, tę starą.

Zaczął grać jakąś smutną, minorową melodię, odpowiadającą jego nastrojowi. Kiedy wstępował do wojska, marzyło mu się, że wróci z mórz południowych opalony na brąz jak Errol Flynn, że będzie podróżnikiem, co zjeździł cały świat jak Ronald Colman, poszukiwaczem przygód jak Douglas Fairbank junior, człowiekiem, z którym trzeba się

liczyć, jak Gary Cooper, mężczyzną światowym jak Wamer Baxter, kimś, kogo ludzie słuchają z szacunkiem, jak prezydent Roosevelt – może nie całkiem tak jak prezydent Roosevelt, ale coś w tym rodzaju. A oto teraz, po półtora roku nie widział w sobie żadnych zmian. To było zniechęcające. Grał więc zapamiętane, ćwicząc wciąż od nowa każdą frazę, dopóki się nie upewnił, że wychodzi mu bezbłędnie, a dźwięki natrętnie zakłócały upalną, ciężką senność powietrza o tej południowej godzinie.

Kapral Blum leżąc na pryczy, pragnąc odprężyć się w tym suchym, letnim spokoju, który niweczyła owa muzyka, pragnąc zapomnieć o swoim braku apetytu, czekał, by ktoś uciszył tego durnia. Blum był oburzony. Czyż ten bałwan nie wie, że ludzie chcą tu spać? Nawet ostatni jołop powinien mieć tyle delikatności. Blumowi nie chodziło o samego siebie; on miał wolne popołudnie, ale ci ludzie szli na służbę porządkową, mieli tylko pół godziny odpoczynku.

– Na miłość boską, skończcie z tym cholernym bębnieniem! – ryknął wreszcie z irytacją w stronę sufitu. – Ci ludzie chcą się trochę zdrzemnąć. Czy nie masz ani odrobiny delikatności?

„Piętaszek” nie usłyszał. Był zbyt pochłonięty swoją umiejętnością wydobywania tych pięknych dźwięków. Zamknął się w swym osobistym świecie, gdzie nikt się nie wysmiewał z nikogo.

Kiedy nie przestał grać, Blum siadł na pryczy nie wierząc własnym uszom. Może ten cymbał nie wie, kto do niego krzyknął? „A może – myślał – to, że przez cały czas miał przy sobie Prewitta, który się z nim cackał, przewróciło mu we łbie?”

Nie miał nic przeciwko temu półgłówkowi, właściwie nawet go lubił, chłopak był nie najgorszy jak na takiego tumana, ale przecież nie można było pozwolić, aby ludzie widzieli, że coś podobnego uchodzi komuś płazem, jeżeli się chciało, żeby cię traktowali jak podoficera.

Blum zerwał się z pryczy i wprawivszy się w niezbędną, pełną oburzenia pasję pognał przez salę pamiętając, żeby wyciągnąć zajadle głowę do przodu, a szczękę jeszcze dalej, i wyrwał gitarę z rąk „Piętaszka”.

– Powiedziałem ci, żebyś skończył z tym bębnieniem, makaroniarzu! – ryknął swoim głosem od musztry. – To był rozkaz. Rozkaz podoficera. Stosujący się tak samo do makaroniarzy jak do innych ludzi. Jeżeli będę musiał rozwalić ci na głowie to hałaśliwe pudło, żeby cię zmusić do wykonania rozkazu, to się nie zawaham.

– Co? – zapytał „Piętaszek” podnosząc zdumiony wzrok znad swoich nagle pustych rąk, w które się wpatrywał z czołem jeszcze zroszonym potem skupienia. – Co się stało?

– Ja ci pokażę, co się stało! – huknął na niego Blum pamiętając, by machnąć gitarą w

stronę sali. – Ci ludzie chcą odpocząć. Szykują się do roboty i będą harowali przez całe popołudnie, kiedy ty i ja będziemy tu leżeli na dupie. Chcą odpocząć i ja dopilnuję, żeby odpoczęli, rozumiano? Kiedy podoficer każe ci coś przerwać, masz to przerwać, nawet jeżeli jesteś makaroniarzem.

– Nie słyszałem, coś mówił, Blum – odrzekł „Piętaszek”. – I aby nie popsuj mi gitary. Proszę cię, uważaj na moją gitarę.

– Słyszałeś mnie doskonale! – wrzasnął obrońca Blum. – Nie próbuj mi wmawiać, żeś nie słyszał, makaroniarzu. Każdy tu słyszał, co mówiłem.

– Nie słyszałem, Blum – bronił się „Piętaszek”. – Uczciwie mówię, Blum. Proszę cię, uważaj na moją gitarę, Blum.

– Nie będę uważał na twoją gitarę Blum! – wrzasnął radośnie krzyżowiec Blum, czując, że go ponosi słuszna sprawa. – Okręcę ją dookoła twojej cholernej szyi. Dopóki jestem podoficerem, mam obowiązek pilnować, żeby moi ludzie mogli skorzystać z tej chwili drzemki, która im się należy, i dopilnuję tego, rozumiesz?

Rozgrzewał się na dobre. W tym kraju nie ma jeszcze miejsca dla hitlerowców czy makaroniarskich faszystów razem z ich bezwzględny deptaniem woli większości – przynajmniej na razie.

Właśnie do tego dochodził, kiedy za nim odezwał się trzeci głos suchym, rozkazującym tonem.

– Na rany boskie, zamknijcie się, Blum – powiedział ów głos z niesmakiem. – Robicie więcej hałasu niż ten chłopak swoją gitarą.

Wciąż trzymając „Piętaszka” za koszulę na piersiach dla tym mocniejszego podkreślenia swoich słów, Blum obrócił się gwałtownie po to, by zajrzeć prosto w płaskie, czarne indiańskie oczy kaprala Choate'a, oczy stare, mądre, obojętne, znudzone. Poczuł, że całe święte oburzenie wycieka z niego i wyparowuje w wąty, słaby protest, którego nie umiał wypowiedzieć.

„Wódz” dźwignął swój masywny korpus do pólśiadzącej pozycji, mimo protestu sprężyn.

– Puśćcie go, wracajcie na swoje bety i odpocznijcie sobie – powiedział przeciągle tym tonem, jakiego nabierają starzy podoficerowie, znudzeni wydawaniem przez całe lata rozkazów, z którymi nie ma dyskusji.

– Okej, „Wodzu” – powiedział Blum. Puścił koszulę „Piętaszka”, jednocześnie popychając go z lekka tak, aby usiadł na pryczy. Rzucił gitarę obok niego.

– Tym razem ci daruję, Clark – powiedział. – Ale uważaj. Masz szczęście, że dziś akurat jestem w specjalnie dobrym nastroju, rozumiesz?

Obrócił się i ruszył z powrotem na swoje miejsce, słysząc, jak masywne ciało „Wodza” Choate'a opada na skrzypiącą pryczę z westchnieniem satysfakcji. Położył się także, zasłonił sobie oczy przedramieniem, udając, że zasypia, a sala zapadła z powrotem w przerwana południową drzemkę, podczas gdy ramiona i nogi Bluma dawały mu drganiem szaleńcze sygnały, żeby pozwolił im dźwignąć go i wynieść stąd.

Nie mógł ich uspokoić ani zignorować, lecz mógł odmówić ich żądaniu. Leżał zmagając się z nimi, ale nie mogąc ich przekonać, i jednocześnie słyszał, jak „Piętaszek” Clark mija go i wymyka się cicho na schody. Czknął kwaśno.

Z wdzięcznością usłyszał trąbkę na służbę porządkową, a w pół godziny później z oczyma zasłoniętymi nadal rękami tak jakby spał, słuchał, jak baseballiści i bokserzy wychodzą po dwóch, po trzech na trening. Nareszcie został sam. Samotny w sali sypialnej. Blum leżał na pryczy i patrzył prawdzie w oczy.

Był Izaakiem Natanem Blumem. A Izaak Natan Blum był Żydem. Fakt, że się dorobił kaprała i został podoficerem, nie miał żadnego znaczenia. Nie miało też żadnego znaczenia to, że zdobył mistrzostwo pułku w wadze średniej i był w Schofield bokserem pierwszej klasy. Nadal był Izaakiem Natanem Blumem. A Izaak Natan Blum był nadal Żydem. Nie miało żadnego znaczenia i to, że był następnym kandydatem na sierżanta, że sam Holmes mu to właściwie obiecał. Nie miał znaczenia fakt, że był nadzieją pułku na zdobycie wawrzynu wagi średniej w zawodach o mistrzostwo Schofield, że go nań wytypowano w kronice sportowej „Advertisera”. Bo po tym wszystkim byłby nadal Izaakiem Natanem Blumem. A Izaak Natan Blum byłby nadal Żydem.

Nie miał szczęścia. Nigdy nie miał szczęścia. Prew pobił go bez trudu. Wyrzucili go ze szkoły podoficerskiej z punktu, prosto z mostu. Wezwali go i mieli czelność wypytywać, czy jest homoseksualistą; podejrzewano, że jest pedrylem.

Nieważne, że kapelan przerwał bójkę. Nie miało też żadnego znaczenia, że mimo to poszedł później na ring. Ani że wygrał. Prewitt go pobił i wszyscy wiedzieli, że go pobił. I nie zapomną o tym nigdy. Drobnny gość, dwa razy mniejszy od niego, z natury bokser wagi średniej, pobił jego, z natury boksera wagi półśredniej.

Nie było ważne, że w szkole podoficerskiej przyczepili się do niego częściowo przez to śledztwo w sprawie pederastów. Obojętnie, że mimo wszystko dorobił się jednak kaprała. I że miał zostać sierżantem. Został wyrzucony ze szkoły jako niewłaściwy materiał na podoficera i wszyscy wiedzieli, że wyrzucono go ze szkoły jako niewłaściwy materiał na podoficera, I właśnie to jedno jedyne wybiorą sobie do zapamiętania. Był jednym z trzech, którzy na stu siedmiu kandydatów otrzymali takie szczególne wyróżnienie.

Skądże mógł wiedzieć, iż odbije się na nim takim rykoszetem fakt, że złożył

telefonicznie anonimowy donos na Prewitta i Tommy'ego, kiedy zobaczył ich w „Tawernie” wieczorem w dzień wypłaty? Dzwonił z budki telefonicznej w mieście. Nie wspomniał o tym nikomu. Pamiętał, żeby nie napomknąć policji o Halu ani o Maggio. Bo wiedział, że Tommy nie będzie gadał. Ale skądże mógł wiedzieć, że ta cholerna tutejsza policja ma wszędzie rozrzuconych swoich drańskich konfidentów? To przecież nie jego wina.

Gdyby był pobił Prewitta...

Gdyby dobrze ukończył szkołę podoficerską...

Gdyby go nie wezwali na to śledztwo w sprawie pederastów...

Ale co z tego?

Można sobie tak gdybać na ten temat tylko do pewnego czasu. Można się tak bujać tylko do pewnego czasu. Można mieć nadzieję, że o tym zapomną, też tylko do pewnego czasu. W końcu cię to dopędzi i trzeba będzie znów wrócić do tego, że jest się Izaakiem Natanem Blumem, i że Izaak Natan Blum jest Żydem, i że wszyscy o tym wiedzą. Ten fakt, o którym wszyscy wiedzieli, oblał go jak czysta, zimna woda lub roztopione żelazo chlustające z jednego z owych olbrzymich tygli na stojących w dole ludzi, jak to się raz zdarzyło w stalowni w Gary, gdzie pracował owego roku – i wstał ze swojej pryczy w pustej sali sypialnej, i podszedł do stojaka na karabiny umieszczonego pośrodku tej dużej, milczącej izby. Boże, co by dał za ładownicę pełną naboji, żeby móc dostać amoku i powystrzelać wszystkich tych drani, których by zdołał dopaść, zanimby w końcu dopadli jego. Tylko w ten sposób człowiek może osiągnąć coś na tym świecie.

Jego karabin powinien być trzeci od prawej po tej stronie. Przebiegł wzrokiem numery seryjne na osadach. Był czwarty od prawej. Tak jak ze wszystkim; zawsze o jedno miejsce dalej od pierwszego – to właśnie jest Izaak Natan Blum. Zdjął karabin ze stojaka.

Splatałby im rzeczywiście dobrego figła, gdyby to zrobił. Wtedy podoficerowie służbowi zaczęliby zamykać stojaki z karabinami zaraz po musztrze, tak jak powinni, zamiast z tym czekać do capstrzyku.

Nagrobek Izaaka Natana Bluma, Żyda: *Zamknęli w południe stojaki do karabinów.*

Blum złożył brzemienny ciężar karabinu na pryczy i podszedł do swojej skrzynki.

Były tam ukryte na dnie trzy ostre naboje, które zwędził podczas ostatniego strzelania, ponieważ uwielbiał obracać w palcach ich gładką, mosiężną moc i brząkać nimi na dłoni. Wyjął jeden z naboji i zamknąwszy na powrót skrzynkę przyłożył go do osady leżącego na pryczy karabinu. Taki był potężny, taki piękny w swojej bezwładnej zapowiedzi zniszczenia!

Popchnął do góry rączkę zamka, odciągnął go i z lubością wsunął do komory śmiercionośny, torpedowy kształt, po czym zaryglował zamek, starannie przekręcił skrzydełko bezpiecznika i usiadł spoglądając na karabin leżący niewinnie, cicho na jego

kolanach.

Upewniwszy się, że broń jest zabezpieczona, włożył wylot lufy do ust. Musiał go wepchnąć głęboko, aż do podniebienia, żeby osłona muszki weszła poza zęby. Poczuł mocny oleisty smak. Sięgnął dużym palcem do spustu wiedząc, że karabin jest wciąż zabezpieczony. Jego palec nie mógł dotrzeć nawet do kabłąka spustowego. Popróbował palcem wskazującym, ale ten znowu ledwie sięgnął poza wygięcie kabłąka. Blum wyciągnął, jak mógł, rękę i ramię, po prostu z ciekawości, nic więcej, ale zdołał tylko dotknąć czubkiem palca wygiętej powierzchni spustu.

„Tego się spodziewałem” – pomyślał.

Wyjął z ust wylot lufy, położył karabin w poprzek kolan i siedział patrząc na ten długi, gładki, zabójczy przedmiot leżący mu na kolanach z wciąż przekreślonym bezpiecznikiem. Było prawie nie do wiary, że przedmiot ten może to zrobić.

Blum pochylił się spokojnie, rozwiązał sznurowadło prawego buta, czując się twardym i zdecydowanym. Następnie znowu włożył lufę w usta, aż po podniebienie, i wetknął duży palec stopy za kabłąk spustowy. Spust nie ustępował pod naciskiem palca.

Położył z powrotem broń na kolanach. Koszary stały się nagle jakieś grobowe w swojej pustce. Blum zapragnął, żeby ktoś przyszedł.

Gdyby przyszli, tylko by go wyśmiali w całych koszarach, że się popisuje. Przez całe życie ktoś gdzieś się z niego wyśmiewał twierdząc, że robi popisy, nie mając dość nerwu, żeby je poprzeć czynem. Przez całe życie próbował działać, być czynnym, mieć dosyć siły i energii, żeby móc chociaż raz coś wskazać i powiedzieć: ja to zrobiłem, żeby choć raz dokonać jakiegoś nieodwracalnego czynu z własnych, samowolnych pobudek. I zawsze w końcu rządziły nim jakieś wpływy zewnętrzne, miały nim nieprzewidziane zdarzenia, rzeczy czysto przypadkowe, zbiegi okoliczności, tamto czy owo, a on nie miał nic do powiedzenia.

Wciąż pragnął, żeby ktoś przyszedł i przerwał tę ciszę. Wyobrażał sobie, jakie mieliby miny, gdyby przyszli za późno. Stał niejako z boku i obserwował ich, odczuwających ogromny żal i smutek, że już za późno uczynić coś dla tego biednego zabitego. Mogliśmy zrobić tyle – mówiły ich tragiczne twarze – mogliśmy mu tak ulżyć. Żałowaliby „Żydziaka”, kiedy byłoby już za późno. Wtedy nie uważaliby, że był strachliwy. Ani że był pederastą.

Nadchodziła wojna, toczyła się już w Europie. Walka i śmierć, i krew, i nienawiść. Dzieci ucą się tego ssąc mleko matki – myślał tragicznie Blum – a potem nazywa się to chrześcijaństwem i judaizmem. Chrześcijanin uczy się nienawidzić Żydów, a Żydów nienawidzić chrześcijan. A nigdzie w tym wszystkim – myślał Blum w zupełnej ekstazie smutku – nie ma jednej żywej duszy, która lubiłaby Izaaka Natana Bluma dla niego samego,

dla jego osobowości, dla jego indywidualnego charakteru.

– Człowiek równie dobrze może nie żyć – powiedział Blum niepewnie na głos.

Nikt mu nie zaprzeczył w pustej sali sypialnej.

Wziął znowu karabin i włożył wylot lufy do ust, niezgrabnie, bo było to bardzo niewygodne. Karabin przytrzymał wyciągniętą lewą ręką, lufę zaś prawą. Po namyśle oparł kolbę o betonową podłogę. Te karabiny cholernie kopały. Nie mógł dosięgnąć ręką bezpiecznika i musiał znów wyjąć z ust wylot lufy. Ręka nie chciała odbezpieczyć broni.

„Jesteś pedrylem – myślał Blum gorzko – jesteś potworem. Spójrzmy prawdzie w oczy, skoro już o tym myślimy. Robiłeś to, podobało ci się i dlatego jesteś pedrylem. I wszyscy wiedzą, że jesteś. Nie zasługujesz na to, żeby żyć.”

Jego ręka odbezpieczyła karabin. Wsadził sobie na powrót wylot lufy do ust, wetknął duży palec stopy za kabłąk spustowy i oparł go na spuście. Bosa ludzka stopa była czymś szpetnym, obrzydliwym, odpychającym. Nacisnął spust.

W przeciągłym, toczącym się huku, podczas ułamka sekundy, który mu jeszcze pozostał, Blum miał takie wrażenie, jakby ktoś podszedł do niego od tyłu, pochwycił go za szczęki oraz podstawę czaszki i dźwignął oburącz niby atleta ciężary. Czuł, że go podnoszą i podnoszą, jego głowa ulatywała coraz wyżej i wyżej.

„Ja nie chciałem! – próbował krzyknąć. – Cofam to! Ja tylko żartowałem! Tylko się tak popisywałem!”

A potem, kiedy jego głowa nadal ulatywała coraz wyżej, wskroś sufitu, wiedział już, że to na nic. Zawsze chciał dokonać jakiegoś nieodwracalnego czynu i wreszcie to zrobił tylko po to, żeby przekonać się, iż popełnił błąd w wyborze. Objawiło mu się wiele rzeczy, których niestety nie zdążył powiedzieć. A mógłby tyle wyjaśnić. Tyle było befsztyków, które mógł zjeść, tyle kurew, z którymi mógł się przespać, tyle piwa, które mógł wypić. Chciał krzyknąć: „Nie zapominajcie o befsztykach i kurwach, i piwie, chłopcy! Nie zapominajcie o tym!”

„Cóż za głupstwo zrobiłeś – pomyślał. – Co za cholerne głupstwo! Nie będziesz mógł nawet zobaczyć ich min.”

Blum skonał.

Znalazł go pierwszy „Piętaszek” Clark. Stał na parterowej galeryjce, nic nie robiąc, kiedy strzał gruchnął poprzez zasłony siatkowe i odbił się echem na dziedzińcu; „Piętaszek” miał prostą drogę na schody. Wyprzedził prawie o sekundę Nicola Levę, który musiał zwolnić na zakręcie korytarza biegnąc z magazynu, i dzięki temu był pierwszy. Warden, który wypadł z kancelarii, gnał tuż za nimi. Za Wardenem runęła cała reszta, kucharze, obsługa kuchni, porządkowi, pracujący na podwórzu kompanii, wszyscy z kompanii, którzy

znajdowali się dość blisko, aby móc przybiec, i wszyscy pędzili razem po schodach, zanim budynki wokoło dziedzińca przestały odbijać zamierające echo strzału.

Blum leżał na pryczy w owej szczególnej bezwładnej pozycji, jaką przybierają ludzie martwi, z odstrzelonym wierzchem głowy, z karabinem na podłodze i jedną ciastowatobiałą, bosą stopą komicznie zwieszoną. Duża plama krwi i flegmowatej materii widniała na suficie i wokoło otworu pozostawionego przez kulę. Była to nadal twarz Bluma, lecz wyglądała tak, jak gdyby usunięto z niej wszystkie kości; przypominała owe zasuszone trofea łowców głów, które można oglądać na wystawach sklepów z osobliwościami w mieście na Hotel Street.

– Jezu Chryste! – jęknął Niccolo Leva i nie zatrzymując się wypadł przez drzwi prosto do latryny.

Nikt oprócz niego się nie odezwał. Kilku ludzi przepchało się przez rosnący tłum na galeryjkę i ruszyło za Levą. Inni po prostu stali, podczas gdy zaczynało do nich z wolna docierać to, co się wydarzyło, i przypominali zakłopotanych monterów, którzy przez pomyłkę weszli do niewłaściwej łazienki.

„Piętaszek” Clark spoglądając na szczątki człowieka, który jeszcze tak niedawno trzymał go za kołnierz, zastanawiał się, dlaczego sam nie czuje mdłości. To go zaskoczyło. Myślał, że kogo jak kogo, ale jego powinno było zemdląć. Czuł odrobinę dumy, że go nie zemdlilo.

– No, dobrze – odezwał się w końcu Warden jakimś zdrętwiałym, zdławionym głosem. – Wyjdźcie stąd, chłopcy. Nic tu nie można poradzić. Wracajcie do roboty.

Gdy nikt się nie poruszył ani nie odpowiedział, okręcił się do nich wściekle, nieledwie z wdzięcznością.

– Słyszeliście, co powiedziałem, psiakrew? – ryknął. – Wynocha! Jużście wszystko widzieli. Każdy się dobrze napatrzył. A teraz jazda stąd, do cholery ! I żeby nikt nic nie ruszał, póki tu nie sprowadzimy z wartowni oficera dyżurnego.

Tłum zareagował niechętnym przestępowaniem z nogi na nogę, które nic nie zmieniało. Na wszystkich twarzach widniał wyraz oburzonego protestu oraz bezsilnej pasji. Nie na Wardena, tylko na Bluma. Wyglądali jak ludzie, którzy w upalny dzień ofiarowali komuś swoją ostatnią szklanekę zimnego piwa tylko po to, by ten jej nie przyjął i chlusnął im zawartością w twarz.

– Nie miał, psiakrew, prawa robić takiej cholernej rzeczy – powiedział ktoś niewyraźnie, niepewnie.

– Przynajmniej nie w sali sypialnej, cholera jasna – dodał inny. Wydawało się, że gdyby nie było tam Wardena, który ich trzymał na wodzy, rzuciliby się na Bluma, żywego czy martwego, i młóciliby go pięściami za to, że im przypomina! tę rzecz, o której usiłowali

zapomnieć przez najlepsze lata swojego życia.

– Jednak trzeba było na to sporo odwagi – powiedział „Piętaszek” Clark, czując niejasno, że musi im coś powiedzieć. – Trzeba mieć dużo odwagi, żeby to zrobić. Ja bym nie...

Warden mu przerwał.

– Dobra – powiedział głosem napiętym z wysiłku. – Jeżeli chcecie tu sterczeć, to moglibyście chociaż na coś się przydać. Niech kilku skoczy do magazynu po wiadra i ścierki, i po drabinę. Inny niech wlezie na dach i sprawdzi, czy kula przeszła, a jeśli tak, niech weźmie od Levy tektury i smoły i załata to draństwo.

W tłumie rozległy się chórem oburzone głosy protestu i ludzie nagle zaczęli się rozchodzić zmiierzając ku schodom.

– Nie będę sprzątał po jakimś sukinsynu, który się zastrzelił – rzekł ktoś.

– Taaak, niech sobie drań sprząta, sam tego narobił – powiedział inny. Rozległ się ogólny, półdziki śmiech.

– Chodźcie – rozkazał ostro Warden. – Idziemy. Zabawa skończona. Tłum ulotnił się szybko i zniknął w chwili, gdy Niccolo Leva wracał blady z latryny.

– O rany, co za jatki. A ja tu muszę dziś spać. – Spojrzał na sufit. – Jeszcze parę godzin temu wydawałem mu nowiutką parę butów polowych – powiedział bezradnie.

– Jak myślicie, dlaczego on to zrobił? – zapytał „Piętaszek”, czując niejasne zawstyżenie, podobnie jak wówczas, gdy w domu młodsze dzieci napaskudziły w majtki.

– Skąd mogę wiedzieć, rany boskie? – huknął Warden. – Czasem sam mam ochotę to zrobić w tej pieprzonej kompanii. Niccolo – dodał – jak już stąd wyjdzie oficer służbowy, zabierz paru ludzi i każ to uprzątnąć.

– Ja to zrobię – rzekł „Piętaszek” Clark. – Mnie to nie szkodzi.

– Trzeba będzie więcej niż jednego – odparł ponuro Warden. – Idź z Levą.

– Okej, szefie – rzekł „Piętaszek” z uznaniem.

– Ciekaw jestem, dlaczego on to zrobił – powiedział w zamyśleniu na schodach. – Miał po co żyć. Był mistrzem wagi średniej i kapralem, miał zostać sierżantem, miał wszystko. Ciekawe, co może skłonić człowieka do czegoś podobnego.

– Zamknij się, na miłość boską! – zawołał wściekle Niccolo Leva.

– Trzeba było na to masę odwagi – mówił „Piętaszek” Clark uważając, że musi mu wytłumaczyć, czując niejasno, że jest coś związanego z Blumem, co powinien powiedzieć. – Ja bym się na to nie zdobył.

„Poczekajmy, aż stary Prew się dowie” – pomyślał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Prew dowiedział się o tym dopiero w trzy dni później, kiedy wyszedł z Czarnej Dziury. Było to w dzień pogrzebu Bluma. Bardzo jest trudno skomunikować się z kimkolwiek, siedząc w Czarnej Dziurze, która oficjalnie nazywa się izolatką. „Czarna Dziura” to tylko opisowy termin gwarowy, stworzony przez więźniów. Profesorowie uniwersytetu nazywają go „amerykanizmem”, co jest opisowym terminem gwarowym, stworzonym przez profesorów uniwersytetu.

Prew wyszedł stamtąd o osiemnastej czterdzieści, zaraz po wieczornym posiłku, rozdygotany wskutek niedożywienia i oślepiony jarzącym blaskiem nagich, czterdziestowatowych żarówek – akurat w trzy dni i siedem i pół godziny od chwili, kiedy zasiadł przy stole jadalnym, wziął do ust pierwszy kęs dla pozorów i trzasnął w talerz widelcem czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Teraz był innym człowiekiem, niż kiedy go tam zamykano, i bardzo się zdziwił zastając świat w zasadzie nie zmieniony.

Okazało się, że tamto nie jest bynajmniej takie straszne, jak sobie wyobrażał. Wyszedł z poczuciem, że został poddany próbie i nie zawiódł; był bez mała tak dumny z tego jak z capstrzyku, który niegdyś odegrał na Arlingtonie – ale wcale nie było tak straszne, jak się spodziewał. Oto jedna z zalet tego, że ktoś jest pesymistą: nic nigdy nie jest tak złe, jak się myślało.

W Obozie podawano zarówno obiad, jak i śniadanie i kolację po jednej załodze baraku naraz, dlatego że izba jadalna była za mała. Ponieważ program dnia w Obozie był bogaty, na każdy posiłek przypadało ogółem zaledwie pół godziny. („To masa czasu, masa czasu – mawiał major Thompson. – Wystarczy, żeby się wszyscy najedli.”) Jako że były trzy baraki, każdy z nich musiał zjeść w dziesięć minut. W praktyce nie dawano im nawet dziesięciu minut. Zostawało pięć minut, jeżeli odliczyć czas przeznaczony na uformowanie się, wejście, siadanie i podanie posiłku. Wielu więźniów uważało, że ten czas nie wystarcza. Ale też nikomu nie przyszło na myśl oskarżać Obozu o to, że jest miejscem wypoczynkowym. Tutaj w Obozie wszystko odbywało się według twardego, przyspieszonego programu.

Prew, zgodnie z instrukcjami Malloya, przekazanymi mu przez Angela Maggio, miał do wyboru dwa wyjścia: mógł albo zjeść naprawdę prędko i prosić o repetę – w którym to przypadku zmuszono by go do zjedzenia dwóch dodatkowych pełnych talerzy, a potem *zażycia* oleju rycynowego – albo zjeść tylko trochę i zacząć utyskiwać na kiepskie pożywienie, w którym to przypadku zmuszono by go do zjedzenia dwóch dodatkowych pełnych talerzy, a potem *zażycia* oleju rycynowego. Z góry więc wybrał obiektywnie drugą

ewentualność wychodząc z założenia, że tym sposobem będzie miał w żołądku o jeden talerz mniej pokarmu, na który podziela ów olej rycynowy.

Jeszcze borykał się z drugim talerzem, kiedy zaczął wchodzić barak numer dwa. (W obozie zawsze podawano najpierw jedzenie barakowi numer jeden, czyli funkcyjnym, na ostatku zaś barakowi numer dwa, czyli opornym.) Przybyli zasiedli do jedzenia nie zwracając na niego uwagi, on zaś odnalazł wzrokiem Angela Maggio i Berry'ego, i wysokiego mężczyznę o miękkich, przymglonych oczach nieugiętego marzyciela, którego nigdy dotąd nie widział, lecz który mógł być jedynie Jackiem Malloyem – jednakże stłumił w sobie uczucie radości i ulgi i nie patrzył na nich, bo i przed tym go przestrzeżono.

Sierżant Judson osobiście dał mu olej rycynowy, dopilnowawszy uprzednio, żeby Prew zjadł obydwie talerze. „Grubas” miał taką metodę podawania oleju rycynowego, że łapał siedzącego za włosy, odciągał mu głowę do tyłu i wpychał mu butelkę między wargi, aż się oparła o zaciśnięte zęby, podczas gdy dwaj strażnicy trzymali go, a trzeci ścisnął mu nos. Prewowi nie musieli ścisnąć nosa; przez cały czas miał żywo w pamięci instrukcje Malloya i przełknął posłusznie cały olej, jaki mu podał „Grubas”, to znaczy cały olej, jaki był w półkwartowej butelce. Nawet i później, kiedy zabrali go do „sali gimnastycznej”, miał żywo w pamięci instrukcje Malloya. Podczas gdy to wszystko się działo, barak numer dwa jadał dalej obojętnie, flegmatycznie.

W „sali gimnastycznej”, małej, pustej izbie na końcu łączącego baraki korytarza w kształcie litery T – gdzie strażnicy zabierali więźniów, żeby ich obrobić, „Grubas” zapytał Prewa, jak jego żołądek. Prew odpowiedział zgodnie z prawdą, że czuje lekki ból brzucha, na co „Grubas” trzasnął go pięścią w ów bolący brzuch, a Prew z ulgą wymiotował na podłogę znaczną część oleju rycynowego zmieszanego z jedzeniem. Kiedy wycierał podłogę posługując się wiadrem i szmatami przygotowanymi w tym celu, otrzymał kilka kopniaków w twarz, ale to go właściwie nie zabolalo. Następnie postawili go pod jedną z gołych ścian i „Grubas” wspomagany przez Turnipseeda i starszego szeregowca Hansona, którzy byli na służbie w izbie jadalnej, obrobił go, przy czym wszyscy trzej zmieniali się kolejno, kiedy zaczynali się męczyć. Raz tylko zastosowali trzonek od motyki, a mianowicie na ostatku, kiedy „Grubas” kazał Prewowi wstać z podłogi, a on nie mógł; wtedy „Grubas” grzmotnął go trzonkiem po goleniach, otwierając bliznę po dawnym skaleczeniu, i wówczas Prew się podniósł. Ale poza tym jedyną raną bojową, jaką odniósł, było drobne przecięcie skóry pod prawym okiem, od sygnetu z orłem wojskowym o rozpostartych skrzydłach, który „Grubas” miał na palcu; przecięcie to zamknęło się już, kiedy go wprowadzali do Czarnej Dziury. Na ogół powstrzymywali się od bicia go po twarzy i przypomniawszy sobie twarz Angela zrozumiał, że instrukcje Malloya są słuszne.

Chwilami było mu trudno pohamować w sobie gniew oraz chęć powiedzenia czegoś strasznego lub uczynienia rzeczy godnej pożałowania, przed czym przestrzegał go Malloy via Angelo Maggio, ale powtarzał sobie wciąż, że po pierwsze, nie oni, lecz on sam chciał tego, żeby się dostać na Dwójkę, i że po drugie, ich wcale to więcej nie bawi niż jego samego – o czym napomknął „Grubas” – i to podziałało.

– Dla nas to jest przykrzejsze niż dla ciebie – powiedział mu „Grubas”.

Czarna Dziura znajdowała się za „salą gimnastyczną”, na końcu prawej odnogi korytarza w kształcie litery T. Schodziło się tam po kilku schodkach. Z jednej strony były cztery cele rzędem. Wszystkie były puste. Wrzucili go do pierwszej. U samej góry znajdował się mały zakratowany otwór, którego mógł dosięgnąć ręką, lecz nie mógł przezeń wyrzucić, a za pryczą z żelaznych rur stała blaszana puszka zamiast kibla. Kiedy przynosili trzy razy dziennie chleb i wodę, podawali je przez odsuwaną stalową płytkę u dołu drzwi. Kubek był z ciężkiego lanego żelaza, żeby nie można go było rozbić. Uznał, że to wszystko jest bardzo fachowo przemyślane.

Czarnej Dziury bał się najbardziej, ponieważ wiedział, że, tak samo jak Maggio, nie potrafi zastosować systemu Malloya, więc kiedy usłyszał oddalające się kroki, a potem zatrzaśnięcie klapy w podłodze u góry schodków, przeżył bardzo nie dobrą chwilę. Po zamknięciu klapy zaległa głęboka cisza. Słyszał jedynie miarowe, beznamiętne uderzenia własnego zimnokrwistego serca, które zdawało się najzupełniej obojętne na to, co się z nim dzieje, oraz mniej albo więcej regularny odgłos własnego oddechu. Nie zdawał sobie sprawy, ile hałasu czyni ludzkie ciało po prostu żyjąc, i to go przestraszyło, bo wydawało się takim niepewnym sposobem zachowania czegoś tak ważnego jak życie. Zaczął się bać, że owe odgłosy, które go irytowały i utrzymywały w czujności, mogą nagle ustać bez żadnej przyczyny.

Przypomniał sobie, co mówił Maggio o wykorzystaniu tego pierwszego uczucia ulgi, lecz nie czuł żadnej ulgi, a nie chciał zasnąć z obawy, że te odgłosy zamilkną, jeśli przestanie ich słuchać.

Pod wieczór, kiedy przynieśli mu pierwszy posiłek, zmienił decyzję i uznał, że warto jednak wypróbować system Malloya. Wydawało mu się, że strażnik przynoszący jedzenie jest „Grubasem”, który przychodzi go zwolnić, bo już minęły trzy dni. Kiedy przekonał się, że jest to tylko strażnik z jedzeniem, wiedział już ostatecznie, że musi popробować systemu Malloya. Pamiętał, żeby nie jeść chleba, ale wypił wodę.

Najzabawniejsze było, że kiedy spróbował, nie wydało mu się to trudne. Tłumaczył to sobie później tylko tym, że był ogromnie wyczerpany i nie miał pełnego panowania nad własnym umysłem. Umysł niejako mu się wymykał. Z początku miał nieco trudności z

koncentrowaniem uwagi na owej czarnej plamce i odpędzaniem od siebie myśli, ale były to myśli bardzo słabe i w końcu po prostu ustały całkowicie, a czarna plama rozrosła się ogromnie i jego umysł gdzieś się w nią wtopił. Czuł, jak odchodzi, ucieka z niego, lecz nie bał się wcale, przyjmował to bardzo obiektywnie. Pamiętał o odsunięciu od siebie myśli, że powinien się bać. Wreszcie ostatnią myślą, jaką odsunął, było, że to wszystko jest zadziwiająco łatwe i że rozumie, czemu Angelo uważał to za tak ciężkie. A potem stracił świadomość.

Po jakimś czasie ktoś otworzył drzwi i potrząsnął nim, a on ocknął się niechętnie, otworzył oczy i poznał sierżanta Judsona.

– Hello, „Grubasie” – uśmiechnął się głupawo i zauważył, że ledwie mu starcza tchu, aby wydobyć z piersi te słowa. Zastanowił się, czemu wrócili tak wcześnie. Za „Grubasem” usłyszał czyjeś sapnięcie.

Sierżant Judson, bez żadnej zmiany w wyrazie twarzy, trzasnął go mocno, wytrawnie w szczękę dłonią stwardniałą od trzonka motyki, podobnie jak matka, zręczna, ale znudzona długą praktyką, daje klapsa swojemu synkowi – lecz Prew nawet tego nie poczuł.

– Chojrak – powiedział „Grubas” obojętnie. – Jeszcze jeden chojrak. Może byś chciał dostać jeszcze ze trzy dni, co, chojraku?

Prew zachichotał wątko.

– Nie zbudzacie mnie, sierżancie. Jak to, jeszcze trzy dni? Myślicie, że nie wiem, że przesiedziałem dopiero jeden? Owszem, chybabym chciał jeszcze trzy dni tego. Miałem wspaniały sen. Powiedzmy: ze sześć dni – zachichotał. – Wtedy dodamy sobie wszystkie dziewięć do kupy i będziemy mieli pełne siedemdziesiąt dwie godziny. Co wy na to?

– Twarda sztuka – powiedział „Grubas” bez żadnej zmiany w wyrazie twarzy i uderzył go znowu. – Twarda małpa. No, jazda, obudź się, twarda małpo.

A potem już dźwigali go z pryczy i wyprowadzali, i uświadomił sobie, że te trzy dni naprawdę minęły. Kiedy wychodził, potrafił stopą dziewięć kromek chleba leżących na podłodze, które były tego dowodem. Człowieku, a to ci dobry kawał!

– Taak – mówił „Grubas” bez gorącości. – Widziałem już takich, ty twarda małpo. Ale jeżeli ci się zdaje, że potrafisz wydostać się prędzej z Dziury urządzając głodówkę, to i na to mamy sposoby. Pozwolimy ci głodować. Dobrze wiesz, że odbębniłeś swoje trzy dni, wiesz doskonale – mówił z dumą „Grubas”. – Plus cztery godziny, bo byłem zanedo zajęty, żeby po ciebie przyjść. I tak będzie za każdym razem. Gdyby to ode mnie zależało, od razu byś wrócił na trzy następne. Głodówki tu nikogo nie przestraszą, ty twarda małpo.

U „Grubasa” tak długa mowa równała się oracji. „Musiałem zrobić na nim wrażenie” – myślał z radością Prew, kiedy go opierali o ścianę i rzucali mu ubranie.

– I nie musisz się zgrywać – rzekł „Grubas”. – Możesz stać prosto.

Prew oparł się o ścianę uśmiechając się głupawo i zaczął naciągać ubranie, widząc po raz pierwszy, że z „Grubasem” jest tym razem tylko starszy szeregowiec Hanson, i uświadamiając sobie mgliście, że to on musiał sapnąć przed chwilą. „Sprawiłem, że szeregowiec Hanson aż sapnął” pomyślał dumnie. Hanson uśmiechał się do niego z dumą, z taką samą dumą, z jaką w kilka minut później uśmiechnął się do niego Angelo Maggio, kiedy wepchnęli go do baraku numer dwa. Obydwaj uśmiechnęli się do niego tak, jak gdyby wreszcie spełnił wszystkie nadzieje, które w nim pokładali.

Jego rzeczy były już przeniesione na Dwójkę i ludzie zebrali się tam i ułożyli wszystko za niego. Nawet prycza była już zasłana. Na Dwójce byli dumni ludzie. Najtwardsi z twardych. Sama śmietanka. Nosili numer swojego baraku niczym zaszczytny medal i strzegli tego daru równie zazdrośnie jak członkowie loży masońskiej czy ekskluzywnego country clubu. Nie mogli stawiać oporu i zwyciężyć, więc pieczołowicie zachowywali swą dumę w przegrywaniu i byli tak wymagający, że kiedy już przyjmowali kogoś do siebie, uważali to za szczególną okazję i wówczas robili dla niego wszystko, co mogli. Ażeby przygotować się jutro do inspekcji, Prew musiał tylko zasłać z rana swą pryczę.

Angelo przysiadł na brzegu pryczy i z dumą czynił honory domu. Berry podszedł na chwilę, a potem poprzychodzili i inni, po jednym, po dwóch, ażeby posłuchać opowiadania Prewa.

Prew leżał na swojej nowej pryczy, rozkosznie owinięty kocem, i przyjmował wszystkie prezentacje i komplementy smakując z przyjemnością poczucie wielkiego osiągnięcia. Była w tym satysfakcja z przetrzymania cierpień, którym nic nie mogło w pełni dorównać, chociaż te cierpienia były bezcelowe z filozoficznego punktu widzenia i nie wpływały na nic oprócz systemu nerwowego. Cierpienie fizyczne uzasadniało samo siebie. „To widać odzywają się twoi indiańscy przodkowie – pomyślał. – Tylko że Angelo Maggio z Atlantic Avenue w Brooklynie na pewno nie ma indiańskich przodków, z całą pewnością.” Jednakże czuł, że teraz może zrozumieć Angela znacznie lepiej.

W przerwach między prezentacjami, przychodzeniem i odchodzeniem ludzi Maggio opowiedział mu o Blumie ze wszystkimi krwawymi szczegółami. Angelo znał już całą historię. Obozowa poczta pantoflowa otrzymała tę wiadomość wieczorem w dzień wypadku, ledwie w sześć godzin po odejściu Prewa do Dziury. Najwyraźniej obozowa poczta pantoflowa dowiadywała się wszystkiego wieczorem tego samego dnia, choć nikt nie umiał dokładnie powiedzieć, jak to się dzieje. Obozowa poczta pantoflowa często otrzymywała wiadomości, jeszcze zanim je otrzymali sami strażnicy; jedną z największych uciech Berry'ego było przekazywanie strażnikom co smakowitszych plotek z garnizonu, których ci

jeszcze nie znali.

Prewowi, kiedy słuchał Angelo, wydało się to czymś, co zdarzyło się w innym kraju. Trudno mu było to sobie wyobrazić.

– I mówisz, że wsadził sobie lufę w usta i nacisnął spust dużym palcem stopy?

– Tak jest – odparł Angelo z urazą.

– I zerwało mu cały wierzch głowy i przylepiło go do sufitu?

– Aha – rzekł Angelo łaskawie. – Kula wybiła mu dziurę szeroką na trzy cale. Tylko pewnie tego nie przewidział.

– I powiadasz, że go tu pochowają?

– Właśnie. Na wojskowym cmentarzu. Nikt nie może się dowiedzieć, gdzie jego rodzina.

– To nieliczne miejsce na pochówek.

– Żartujesz, człowieku – powiedział z ferworem Angelo.

– Byłeś tam kiedy? To jest za taborami. Grałem tam capstrzyk.

– Nigdy nie byłem i, co więcej, nie mam zamiaru się wybrać. Ani nogami naprzód, ani kutasem naprzód – odparł Angelo z wielkim ferworem.

– Rosną tam wielkie sosny. W jednym rzędzie. Po drugiej stronie. Ciekaw jestem, kto zagra Blumowi capstrzyk.

– Pewnie jakiś pętaś – rzekł Angelo. – Ciekawe, dlaczego te sosny są takie smętne?

– Każdy żołnierz zasługuje przynajmniej na jeden dobry capstrzyk. Na własnym pogrzebie.

– Ano, może będzie miał szczęście. Może trafi na jakiegoś dobrego. Blum był już pochowany – był pochowany o wpół do trzeciej tego popołudnia; obaj o tym wiedzieli. Jednakże było to tak, jak gdyby zgodzili się milcząco, żeby o tym nie mówić w czasie przeszłym.

– Zagrałbym mu capstrzyk – powiedział Prew z gniewem, ponieważ obiecał sobie, że o tym nie wspomni, i tak mu się jakoś wyrwało.

– Zagrałbym mu prawdziwy capstrzyk. Każdy żołnierz na to zasługuje – dodał nieporadnie, próbując się wytłumaczyć.

– A tam, psiakrew – odrzekł zakłopotanym tonem Angelo z aż nadto pełnym zrozumieniem. – Przecież już nie żyje, tak? Co za różnica?

– Ty nie rozumiesz – powiedział Prew zaciekle. Przyczyna tkwiła w tym, myślał, że nadal nie mógł sobie tego wyobrazić. Uważał, że powinien móc sobie wyobrazić. Jednakże ciągle miał w oczach obraz Bluma, tak jak go widział po raz ostatni, pełnego ogromnej, niepowstrzymanej żywotności, zmierzającego poprzez dziedziniec do sali gimnastycznej, aby

się przygotować do wejścia na ring, podczas gdy on sam, wyczerpany, spoglądał za nim z niedowierzaniem.

– Ciekawe, co go do tego skłoniło, u licha? – powiedział w zamyśleniu, czując w sobie samym przemożną wolę życia.

– Według mojego osobistego przekonania – powiedział bystro Angelo – bał się, że popadł w pederastię.

– Psiakrew, Blum nie był pedrylem.

– Wiem o tym.

– Jeżeli kiedy widziałem niepedryła, to właśnie Bluma.

– Wiem – powtórzył Angelo.

– No więc?

– Bo jest różnica między tym, że ktoś jest pedrylem, a tym, że myśli, że jest pedrylem.

– Chciałem do niego pójść po tej bójce – wyznał Prew. – Powiedzieć mu, że nie biłem się z nim dlatego, że jest Żydem ani nic podobnego. Miałem mu to powiedzieć następnego dnia. Ale mnie przyhaczyli tamtej nocy – powiedział.

– Śmieszna rzecz – odparł Angelo niechętnie – jak gość umiera i już go nie ma, i koniec. Nawet jeżeli go się nie lubiło. Wszystko, co w życiu zrobił, czym był, jakoś tak znika.

– Aha – powiedział Prew. – Ale nie mogę zrozumieć, co go, u licha, do tego skłoniło.

Właśnie wtedy podszedł do nich ostatni z obecnych, ów wysoki mężczyzna o dziwnych, marzących oczach, i usiadł obok na pryczy. Bez żadnych widocznych prób ściągnął od razu na siebie całą uwagę i zainteresowanie, podobnie jak magnes przyciąga opiłki żelazne, i obaj spojrzeli na niego z wdzięcznością.

– Każdy człowiek ma prawo odebrać sobie życie – powiedział łagodnie, przywłaszczając sobie temat rozmowy, jak gdyby nie mogło być żadnej kwestii, czy ma do tego podstawy. – Jest to jedyne, niewzruszone prawo człowieka, jedyne czyn, co do którego nikt inny nie ma nic do gadania, jedyne nieodwołalny czyn, którego może dokonać bez żadnych zewnętrznych wpływów.

– Jest tylko jedna rzecz – powiedział ze zmartwieniem Angelo. – Nie uważacie, że nawet dla nas tutaj to jest coś złego?

– Wy jesteście katolik – uśmiechnął się łagodnie wysoki mężczyzna.

– Nie za dobry.

– Ale jednak katolik.

– W porządku, jestem katolik – odparł Angelo wojowniczo. – A kto inny jest metodysta. I czego to dowodzi?

– Niczego. Ale ja nie mówiłem o prawie moralnym. Mówiłem o prawie fizycznym, o

fakcie, o okoliczności. Żadne ustawy ani kazania, ani fizyczne ograniczenia nie mogą odebrać człowiekowi tego konkretnego, fizycznego prawa, jeżeli taka jest jego wola. Natomiast wy, będąc katolikiem czy też wyznawcą jakiegokolwiek innej religii, od razu przetransponowaliście prawo fizyczne na prawo moralne.

– Ale czy to j e s t dobre? – nalegał Angelo. – Czy złe?

– Zależy od punktu widzenia. Czy powiedzielibyście, że pierwsi chrześcijańscy męczennicy popełnili samobójstwo?

– Nie.

– Jasne, że nie. Bo jesteście katolikiem. Ale jednak nie musieli iść na arenę, prawda?

Angelo zmarszczył brwi.

– Nie, nie musieli. Ale ich zmuszono. Poza tym ich zabił ktoś inny.

– Mimo to wiedzieli, co ich czeka. Zgadza się na śmierć z własnej woli, nie?

– Owszem, ale...

– Czy to nie jest samobójstwo?

– Ano, w pewnym sensie tak – zmarszczył brwi Angelo. – Ale oni mieli swoje powody.

– Jasne. Mieli swoje powody. Albo byli za dumni, żeby się cofnąć, albo też wyobrażali sobie, że to im da bezpłatny bilet do nieba. Myślicie, że Blum się zastrzelił tylko dlatego, żeby przekonać się, jak to jest? A co za różnica, kto nacisnął spust?

Angelo znowu zmarszczył brwi.

– Pewnie żadna, jeżeli tak to. ująć.

– No więc, czy powiedzielibyście, że pierwsi chrześcijanie postąpili źle?

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie to, czy samobójstwo jest złe czy dobre, musi *zależać* od okoliczności.

– Ale pierwsi chrześcijanie byli inni niż Blum. Albo ja.

– Różnili się tylko faktem, że uczynili to masowo, nie dla osobistego ideału, podczas gdy Blum zrobił to z czysto osobistych powodów, o których nikt się nigdy nie dowie. A nie można stwierdzić, że to było złe, dopóki się nie pozna tych osobistych powodów. Powinniście byli zapytać – uśmiechnął się łagodnie wysoki mężczyzna – czy to było niemoralne.

– Aha, właśnie – odrzekł Angelo. – O to mi chodziło. Więc czy jest niemoralne?

– Oczywiście – uśmiechnął się wysoki mężczyzna. – Każdy wie, że niemoralne. Dla Rzymian to, co robili pierwsi chrześcijanie, było ogromnie niemoralne, było tchórzostwem, ucieczką, czymś niemoralnym. Nie ma żadnej wątpliwości, że samobójstwo, szczególnie samobójstwo masowe, jest niemoralne. Bo każda ludzka społeczność uczy, że jest niemoralne. Nawet w Japonii samobójstwo jest moralne jedynie wtedy, gdy się popadnie w

niełaskę, natomiast każde inne jest równie niemoralne jak u nas. Jak długo wytrzymałaby struktura społeczeństwa, gdyby za każdym kryzysem wszyscy ludzie bez pracy maszerowali na Waszyngton czy na Londyn, czy na Moskwę i popełniali samobójstwo na trawniku przed Kapitołem? Kilka takich posunięć, i nie byłoby rynku pracy. Japończycy i Rosjanie, którzy to niegdyś stosowali, wiedzą o tym najlepiej.

– Ale to byłoby wariactwo, psiakrew – powiedział Angelo.

– Jasne – uśmiechnął się wysoki mężczyzna. – Ale tak właśnie postąpili wasi chrześcijańscy męczennicy, obywatelu.

– Aha – odrzekł w zamyśleniu Angelo. – Racja. Ale wtedy były inne czasy – dodał.

– Uważacie, że wtedy nie chcieli żyć tak bardzo jak dzisiaj?

– Uhm. Chyba tak. Tak, z pewnością. Dzisiaj mamy więcej rzeczy, dla których warto żyć.

– Filmy – powiedział wysoki mężczyzna bez uśmiechu, łagodnie, nieomal tkliwie. – Samochody. Pociągi, autobusy, samoloty, dansingi, bary, sporty, wykształcenie, interesy. Radia – dorzucił łagodnie.

– Właśnie – odrzekł Angelo. – Wszystkie te rzeczy. Niedługo będziemy mieli telewizję. A tamci nie mieli tego wszystkiego.

– Czy powiedzielibyście, że człowiek w hitlerowskim obozie koncentracyjnym ma prawo popełnić samobójstwo?

– Jasne, psiakrew.

– A dlaczego nie człowiek w amerykańskiej korporacji?

– Przecież to co innego. Jego nie torturują.

– Tak myślicie? No, to dlaczego nie człowiek w amerykańskiej armii? Albo w tym Obozie? Dlaczego nie miałby do tego prawa każdy człowiek, gdziekolwiek bądź, w każdym czasie, jeżeli jest torturowany?

Wszyscy rozprawiają o wolności, obywatele – mówił łagodnie wysoki *mężczyzna*, zdając się znowu czerpać z tego samego, niezadowolonego źródła osobistego doświadczenia – ale jej w gruncie rzeczy nie chcą. Połowa jej pragnie, ale druga połowa nie. Czego w istocie pragną, to zachowania złudzenia wolności wobec własnych żon i współników w interesach. Jest to zadowalający kompromis i póki go mogą osiągnąć, potrafią dać sobie radę bez tamtej sprawy, która jest bardziej kosztowna. Jedyne kłopot w tym, że każdy, kto obwołuje się wolnym wobec swoich przyjaciół, musi uczynić niewolnicę z własnej żony i pracowników, ażeby utrzymać i udokumentować to złudzenie; a żona, która chce być wolna wobec koleżanek z klubu brydżowego, musi komenderować swoją pomocą domową, mężem i potomstwem. To daje w wyniku walkę; ktokolwiek w niej zwycięży, ten drugi zawsze musi

przegrać. Na tym świecie musi być sześć tysięcy żołnierzy na każdego generała.

Dlatego też – uśmiechnął się do nich – nie powstrzymałbym żadnego człowieka przed popełnieniem samobójstwa. Gdyby do mnie przyszedł i poprosił o wypożyczenie rewolweru, dałbym mu go. Bo albo traktowałby to serio, albo też usiłował zachować złudzenie wolności. Jeżeliby traktował to serio, chciałbym mu pomóc, a gdyby tylko grał rolę, chciałbym to sprawdzić.

– Można tak do tego podejść – odezwał się Prew, jakoś na przekór sobie samemu zmuszony do zgodzenia się z tym człowiekiem, urzeczony jego daleko widzącymi oczyma i tym absolutnie łagodnym głosem.

– Na naszym świecie, obywatele – mówił delikatnie wysoki mężczyzna – człowiek ma tylko jeden sposób osiągnięcia wolności, a mianowicie zginąć za nią; tylko że kiedy zginie, ta wolność na nic mu się nie przyda. Oto cały problem, obywatele. W dwóch słowach.

– To jest Jack Malloy – odezwał się z dumą Angelo, jak gdyby przedstawiał swojego osobistego przyjaciela, Nizama Hajderabadu, najbogatszego człowieka na świecie. – Poczekaj, aż usłyszysz niektóre prawdziwe rozmowy, jakie tu prowadzimy.

– Dużo o was słyszałem – powiedział Prew czując się onieśmielony i skrepowany. Kiedy patrzył na te miękkie, przymglone oczy nieugiętego marzyciela, rozumiał, czemu taki arcy cynik jak Berry mógł wypowiedzieć owe naiwne słowa, że Malloy ma serce dużego dziecka.

– Ja też wiele o was słyszałem – powiedział ciepło Jack Malloy wyciągając łapę wielkości szynki. – Chciałbym ucisnąć wam dłoń, obywatelu. Ze wszystkich koni pociągowych w tej stajni, wy jedni posłuchaliście tego, do czego ich namawiałem, i zrobiliście to najdokładniej – dodał podnosząc głos.

Nagle wydało się, że nie obracając głowy ani tułowia, spogląda za siebie na resztę mieszkańców Dwójki, którzy gadali wyciągnięci z braku krzeseł na podłodze. Nie patrzył na nich, lecz wszyscy spuścili oczy i poczęli oglądać swoje papierosy, a urwane rozmowy jakby zawisły w powietrzu.

Jack Malloy bezlitośnie pozwolił tej ciszy dzwonić im w uszach prawie przez całą minutę. Potem obrócił się z powrotem czy też tak tylko się wydało, bo przecież ciągle patrzył na Prewa, i mrugnął do niego jakimś szybkim, świadomym, lecz całkowicie bezosobowym mrugnięciem, jak gdyby w ogóle Prewa nie widział, ale tylko dopełniał pewnego towarzyskiego obrzędu, niby pan domu, który wydaje wspaniałą kolację na cześć przyszłego klienta, ażeby móc go okpić.

– Gdybym tu miał dwunastu ludzi – powiedział głośno – równy tuzin ludzi, którzy by chcieli postąpić tak, jak wy postąpiliście, w ciągu trzech miesięcy zapakowałoby się do

czubków „Ojca” Thompsona razem z „Grubasem” jako nieuleczalnych wariatów.

Oczywiście – ciągnął – następnego dnia przysliby znowu dwaj tacy sami jak oni i musielibyśmy zaczynać od początku, ale Najcięższe Więzienie w Armii Stanów Zjednoczonych stałoby się też bardzo prędko najcięższym przydziałem w Armii Stanów Zjednoczonych. A gdybyśmy wyprawili dostateczną ich liczbę w ślady „Ojca” Thompsona i „Grubasa”, musieliby w końcu zamknąć z rozpaczony ten sklepik i puścić nas wszystkich do domu.

Zawsze obecny w Prewie trzydziestoroczny zastanowił się, czy przez słowa „do domu” należy rozumieć do oddziału, czy też do życia w cywilu, ale jakoś nie miał ochoty zapytać.

Jack Malloy znowu pozwolił, by cisza dzwoniła w uszach przez następną minutę. Powiedział to wszystko głośno i nikt się nie odezwał także tym razem. Zdawało się, że istnieje tutaj powszechne poczucie, że może naprawdę zrobić to, co mówi.

Prew zauważył, że tu, na Dwójce, istniało jeszcze inne poczucie. Nie było go na Trójce. Potrafiłby je określić tylko tak, iż czuło się, że można głośno powiedzieć wszystko, absolutnie wszystko. Było to dobre poczucie.

– Zapalcie sobie, obywatelu – rzekł Jack Malloy zniżając znowu głos do normalnego tonu i wyciągając do Prewa paczkę gotowych papierosów. Było to niby sygnał i siedzący na podłodze ludzie, którzy otrzymali nagane, zaczęli znowu palić i rozmawiać.

– O, gotowe! – powiedział z zakłopotaniem Prew. – Dziękuję!

– Mam jeszcze całą masę – odrzekł Jack Malloy. – Kiedy tylko będziecie chcieli. Gdyby ten mały łobuz – wskazał głową Angela – razem z tą całą swoją najczystsza, nieskazitelną dzielnością, chciał postąpić według mojej rady bodaj w połowie tak ściśle jak wy, mógłby wykonać swój plan i wydostać się stąd już miesiąc temu.

– W porządku – zaproponował Angelo biorąc papierosa, którym go częstowano. – Tylko poczekajcie. Ja to i tak potrafię zrobić. Wiem, że potrafię.

Prew zauważył, że oczy Maggia znów przybierają ten odrobinę obłąkany, zachłanny wyraz, jak zawsze za każdą wzmianką o jego wielkim, sekretnym planie, ale tym razem nie pojawiła się w nich tamta mordercza podejrzliwość, którą zauważył w kamieniołomie.

– Tylko czekam na odpowiednią chwilę – powiedział chytrze Angelo. – Potrafię to zrobić. Spokojna głowa.

– Pewnie, że potraficie – odrzekł łagodnie Jack Malloy. – Pewnie, że potraficie, obywatelu. Ale gdybyście mnie słuchali, moglibyście to zrobić o wiele łatwiej i zaoszczędzić sobie dużo przykrych guzów.

– Ja was słucham – odparł gwałtownie Angelo. – Niejeden raz was słuchałem. I

próbowałem tego. Nie tylko biernego oporu, ale i tego drugiego tam, w Dziurze. Po prostu nie potrafię. Ani tego, ani tego.

– A tu obecny obywatel – Jack Malloy wskazał głową Prewa – zrobił jedno i drugie.

– Ale wciąż nie wiem jak – wtrącił Prew.

– To obojętne – powiedział Jack Malloy. – Ja także nie wiem. Ale zrobiliście.

– W porządku, może on potrafi – rzekł z irytacją Angelo. – Dla niego to w sam raz. A ja nie daję rady. Czy jest sens dalej próbować, jeżeli nie potrafię?

– Nie – odparł Jack Malloy tym samym łagodnym, serdecznym tonem, którego nie wyzbywał się nigdy, nawet gdy mówił głośno. – Dlatego powiedziałem wam, żebyście przestali. Ale moglibyście to zrobić, gdybyście tylko wierzyli we własne możliwości dosyć silnie, aby się nie wyczerpać takimi ciężkimi próbami.

– To mi dużo mówi – rzekł Angelo. – Bardzo dużo mi mówi. Może Prew tak potrafi. No, przecież wam powiedziałem, że on jest w sam raz dla was. Ale poza tym nikt tutaj tego nie umiał.

– To nie znaczy, że nikt nie może – powiedział Jack Malloy. – Umysł każdego człowieka ma takie same właściwości. Mój niczym się nie różni od waszego, obywatelu.

Jak Prew się później przekonał, Malloy miał zwyczaj zwracania się do wszystkich tylko słowem „obywatelu”. Kiedyś, jak opowiadano, nawet majora Thompsona nazwał parokrotnie „obywatelem”, przez co zarobił cztery dodatkowe dni w Dziurze. Prew zastanawiał się, dlaczego sam postępuje w ten sposób, ale stale zabrania tego innym.

– Cholera tam, nie różni się – wyszczerzył zęby Angelo. – Gdybym ja miał wasz umysł, to przede wszystkim nigdy bym nie był w takim zaszranym miejscu.

– Gdybyście mieli mój umysł – uśmiechnął się smutnie Jack Malloy jednym z tych swoich rzadkich, przelotnych, zawsze smutnych uśmiechów, różniących się od śmiechu, który nigdy nie sięgał aż do przymglonych, nie słuchających oczu – gdybyście mieli mój umysł, obywatelu, znaleźlibyście się tutaj o wiele prędzej, niż to się stało.

– Chyba to prawda – wyszczerzył zęby Angelo, ogromnie dumny z tego człowieka.

– A co z tym wielkim sekretnym planem? – zapytał ich Prew. – Co to w ogóle za plan? Już od tygodnia umieram z ciekawości.

– Niech on wam powie – odparł łagodnie Jack Malloy. Najwidoczniej Prew instynktownie skierował pytanie do Malloya, chociaż nie wiedział czemu, był to bowiem pomysł Angela.

– To jego plan – rzekł Jack Malloy. – Jego pomysł, on na to wpadł, więc zasługuje, żeby wam opowiedzieć.

I oto Prew nagle pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział, ani u mężczyzny, ani u

kobiety, takiej czułości jak ta, którą miał w oczach Jack Malloy patrząc na Angela Maggia. „Warto” było – pomyślał z uniesieniem – było więcej niż warto, warto było przesiedzieć dziesięć dni w Dziurze, żeby się dostać między tych ludzi.”

– No, to chodźcie ze mną – rzekł Angelo, którego oczy stały się znowu chytre i zachłanne. Podniósł się i ruszył ku drugiemu krańcowi baraku, gdzie były dwa kible.

– Możecie opowiedzieć tutaj, obywatelu – spróbował mu łagodnie wyperswadować Jack Malloy.

– O nie – uśmiechnął się do nich Angelo chytrymi oczyma. – Co to, to nie.

– Może Prew nie ma ochoty wstawać – zaproponował łagodnie Jack Malloy.

– To będzie musiał poczekać – odparł stanowczo Angelo i zawrócił. – Jeżeli w ogóle coś powiem, to tylko tam, gdzie nie ma nikogo.

– Czuję się dobrze – powiedział Prew i wstał, po czym obaj poszli za małym Włochem. I kiedy zasiedli na zamkniętych kiblach, a Jack Malloy oparł się o żelazny zlew, Angelo Maggio począł wyłuszczać swój wielki sekretny plan, swoje wielkie marzenie.

Reszta mieszkańców baraku, pod przewodem Berry'ego, przeniosła się dyskretnie na drugi koniec ze swymi rozmowami, niby zdrowi ludzie taktownie czyniący zadość życzeniu chorego. Prew spojrzał na Malloya, a potem szybko przeniósł wzrok na Angela Maggio.

– Powiedziałem o tym tylko Berry'emu i Malloyowi – wyjaśnił z naciskiem Angelo. – Nikt inny nie wie, nikt a nikt.

Prew spojrzał na Malloya; twarz jego była nieprzenikniona.

– Prawda, Jack? – zapytał nerwowo Angelo.

– Tak jest, obywatelu – odrzekł łagodnie Jack Malloy.

– Gdyby się ktoś dowiedział, tobym go zabił – powiedział zaciekle Angelo. – Zabiłbym, rozumiesz? Nawet tutaj. Niechby któryś coś zwąchał, mógłby spróbować pierwszy. A połowa szans powodzenia zależy od tego, czy będzie się pierwszym, który spróbuje. Po pierwszym razie już to się więcej nie uda. „Ojciec” Thompson nie jest głupi. Ani „Grubas”. A ja wpadłem na ten pomysł, więc mam prawo być pierwszym, który spróbuje. Prawda Jack? – zapytał nerwowo.

– Tak jest – odrzekł Jack Malloy, wciąż z nieprzeniknioną twarzą.

– Więc słuchaj – rzekł Angelo i przerwał. – Widzisz, mam swoją rację – zaczął. – Jack też mówi, że mam rację; jeżeli będziesz chciał spróbować tego później, po mnie, to proszę bardzo, chociaż nie ręczę, czy ci się uda. Ale ja mam prawo do pierwszego strzału.

– Co prawda – rzekł Jack Malloy – nikt inny nie miałby na to odwagi.

– Nie bujacie – warknął Angelo.

– Nie bujam – odparł Jack Malloy. – Inni nie mieliby odwagi, bo żaden nie chce

wydostać się stąd tak bardzo jak wy.

– Nie wiercie w to – powiedział Angelo. – Wcale nie mam zamiaru ryzykować. – Obrócił się do Prewa. – Ale ty mnie rozumiesz, co, Prew?

– Rozumiem – odrzekł Prew.

– Okej. Więc słuchaj. Każdy, kto idzie do Dziury na dwadzieścia jeden dni, zostaje automatycznie odesłany na oddział wariatów w szpitalu garnizonowym i otrzymuje zwolnienie z wojska. Dotychczas nie słyszałem, żeby się to zdarzyło, ale taka jest zasada.

– A ja słyszałem – przerwał mu łagodnie Jack Malloy. – Były dwa takie wypadki, kiedy siedziałem pierwszy raz. Dlatego ten plan mi się podoba. Rozumiecie, rzecz polega na tym, że każdy, kto dostaje szalu w Obozie, a mam na myśli szal morderczy – jest już nie do uratowania. To znaczy naprawdę wariat. Wsadzą go do Dziury, żeby ochłonął, ale jeżeli nie ochłonie przez dwadzieścia jeden dni (niektórzy mówią, że trzydzieści), wówczas dochodzą do wniosku, że to jest właśnie to, że jest nienormalny, wobec czego zostaje zwolniony. O ile wiem, to się zdarzyło dwa razy podczas mojego pierwszego pobytu. Ale tamci dwaj goście naprawdę zwariowali. A ten obywatel – wskazał głową Angela – zamierza wywieść władze w pole.

– Właśnie – wtrącił skwapliwie Angelo. – Dostanę kota w kamieniołomie i rzucę się z młotem na strażnika, rozumiesz?

– Czy on cię nie może zastrzelić? – spytał Prew.

– Owszem, ale muszę zaryzykować. To jest w tym wszystkim jedyne niebezpieczeństwo. Wyobrażam to sobie tak, że jeżeli skoczę do niego, nie o d niego, w stronę lasu, wtedy nie strzeli, tylko mnie zaprawi po łbie tą swoją śrutówką. Chcę zrobić to tak, żeby mu było jak najłatwiej mnie zaprawić. Wcale nie mam zamiaru go uderzyć, kapujesz? Tylko tak zrobię, żeby pomyślał, że chcę.

– Później ci nieźle wleją, co? – powiedział Prew.

– Jasne – odrzekł poważnie Angelo – ale ja to bimbam. Nie mogą mi zrobić nic gorszego niż dotąd. Tyle że mogą to robić dłużej, tak sobie wyobrażam. A po dłuższym czasie człowiek i tak drętwieje, rozumiesz?

– Aha – odrzekł Prew. – Rozumiem.

– Mam wszystko do zyskania, a stracić mogę tylko jeszcze trochę skóry na głowie. Czarna Dziura to moje najmniejsze zmartwienie. To mogę odbębnić stojąc przez cały czas na głowie. Co to jest dwadzieścia jeden dni? – strzelił pogardliwie palcami.

Prew obserwował go, kiedy tak to zdmuchiwał niczym puch mleczka; myślał czując w sobie pustkę: dwadzieścia jeden dni, może trzydzieści, jak mówił Malloy; dwadzieścia jeden dni o chlebie i wodzie, dwadzieścia jeden dni milczenia, dwadzieścia jeden dni mroku – trzy

tygodnie, może miesiąc w Czarnej Dziurze.

– Chyba nie można stosować tego waszego sposobu tak długo, co? – zapytał Jacka Malloya. – Choćby się potrafiło.

– Nie wiem – odrzekł Jack Malloy. – Czytałem, że stosowano go nawet dłużej. Ale nie chciałbym próbować.

– Ja dam radę – powiedział Angelo. – Pójdzie mi jak po maśle. I nie potrzebuję na to sztuczek Malloya.

– Ale wtedy zwolnią cię karnie z wojska za złe postępowanie – rzekł Prew. – Nie dostaniesz nigdzie posady.

– A po cholere mi posada? Wszystkie posady to jeden diabeł. Taki dom towarowy Gimbela. Harujesz dla jakiejś wielkiej firmy, która zabiera ci całą forszę i zostawia ledwie tyle, żebyś wyżył, przez całe życie naciskasz ten zegar do sprawdzania obecności i musisz całować szefa w dupę za robotę, której nigdy nie lubiłeś. Kto by tego chciał? Nie Maggio. Wyniosę się do Meksyku – dodał. – Wyniosę się do Meksyku i zostanę kowbojem albo co – powiedział zajadle.

– Nie wiem, po co z tobą dyskutuję – rzekł Prew. – To twój pomysł i wszystko już przewidziałeś, psiakrew. Masz rację, Angelo.

– Myślisz, że zwariowałem? – wyszczerzył do niego zęby Angelo.

– Wcale nie. Tylko ja nie mógłbym nawet myśleć o utracie obywatelstwa. Zdaje się, że po prostu kocham swój kraj.

– Ja też go lubię – odparł Angelo. – Kocham nasz kraj. Tak samo jak ty czy kto inny, i dobrze o tym wiesz.

– Wiem – powiedział Prew.

– Ale i nienawidzę tego kraju. Ty kochasz wojsko. A ja nie kocham. I przez nasze wojsko nienawidzę naszego kraju. Co ten kraj dla mnie zrobił? Dał mi prawo głosowania na ludzi, których nie mogę wybrać? Na co mi to? Dał mi prawo do pracy, której nie cierpię? To mi też na nic. A potem mi mówią, że jestem obywatelem najwspanialszego, najbogatszego kraju na Ziemi, a jak nie wierzę, niech sobie popatrzą na Park Avenue. Lunaparkowe wygrane. Wszystko lunaparkowe wygrane. Płaci się pięćdziesiąt centów i można wygrać gipsowe popiersie Waszyngtona – jeżeli się wygra. Człowiek nie może znosić tego wszystkiego, choćby nie wiedzieć jak kochał ten kraj.

– Więc jestem za tym – rzekł Prew.

– Naprawdę? – zapytał niespokojnie Angelo. – Naprawdę jesteś? To jedna z przyczyn, że chciałem ci powiedzieć, bom wiedział, że jak mnie wysłuchasz i będziesz za tym, upewnię się, że to w porządku, że to nic złego.

– Jestem za tym – powtórzył Prew.

– Okej – powiedział Angelo. – W takim razie to już wszystko. Wróćmy tam.

Prew popatrzył za nim, kiedy odchodził. Chudy, wąski w ramionach, krzywonogi, z rękami rozkołysanymi, jak zapalki, gdy szedł – członek nowej rasy jaskiniowców, którym nie były potrzebne mięśnie: ani na nogach, by chodzić, bo można pojechać kolejką podziemną; ani na rękach, bo żeby się wspiąć wyżej, można pojechać windą; ani na grzbiecie, bo żeby coś podnieść, można wynająć dźwig. Pomniejsza ofiara kultury i cywilizacji dwudziestego wieku. Wynieść się do Meksyku i zostać kowbojem! Prześladowała go nawet historia własnego kraju.

Może gdyby jego ojciec był zegarmistrzem lub mechanikiem samochodowym czy hydraulikiem i zostawił mu w spadku rzemiosło, które mógłby pokochać, nie musiałby wtedy tak bardzo kochać demokracji. Gdybyż tylko znalazł jakiś niegroźny kanał, w który mógłby skierować to zamiłowanie do uczciwości i wiarę w demokrację, które wpoily mu nieroztropne, niemądre dziewczęta uczące w szkołach nauk społecznych!

Gdyby tylko urodził się jako syn milionera! Wtedy wszystko byłoby w porządku.

Cała bieda z Anielem Maggio, ta poważna, niebezpieczna, nieubłagana, bezsensowna, nie dająca się rozwiązać, przerażająca bieda polegała na tym, że Angelo Maggio nie narodził się Culpepperem.

– Oni wszyscy wiedzą, prawda? – zapytał Prew.

– Nie można utrzymać tajemnicy w takim miejscu.

– Nie wygadają?

– Nie. Na pewno.

– Nie próbowaliście mu tego wyperswadować? – zapytał Prew Jacka Malloya.

– Nie – odrzekł Jack Malloy, ciągle z nieprzeniknioną twarzą. – Nie próbowałem.

– Ani ja – powiedział Prew.

– Są pewne rzeczy, których nie warto perswadować człowiekowi – rzekł Jack Malloy nadal z nieprzeniknioną twarzą.

– Wracajmy – powiedział Prew.

– Dobra – odparł Jack Malloy.

Angelo przysiadł na pryczy Prewa, a Prew wsunął się znów z rozkoszą pod koc. Dopiero wtedy Berry i inni zaczęli napływać z powrotem. Twardzi to byli ludzie na Dwójce, najtwardsi z twardych, sama śmietanka.

Przez resztę czasu przed gaszeniem świateł siedzieli na podłodze paląc już to mieszankę „Duke”, już to przechowywane pieczołowicie, zwędzone gdzieś gotowe papierosy, albo też stali przy łóżkach bądź na wpół leżeli na jakiejś niezbyt widocznej pryczy – i

rozmawiali. Nie było kart ani szachów, ani mahjonga, ani innych gier. Ale nigdy nie wyczerpywały im się tematy do rozmów. Większość tych ludzi była przynajmniej raz na włóczędże po kraju, zanim się w końcu zaciągnęli. Większość młodszych dorastała w internatach podczas kryzysu i stamtąd poszła do wojska. Ci wszyscy bez wyjątku byli jakiś czas na włóczędże. Pracowali w papierniach Północnej Karoliny, ścinali drzewa w stanie Washington, być może próbowali hodować ogórki na południu Florydy, pracowali w kopalniach w Indianie, przelewali roztopioną stal w Pensylwanii, zbierali pszenicę w Kansas, a owoce w Kalifornii, ładowali towary w portach Frisco i Dago, i Seattle, i Nowego Orleanu, pomagali zsypywać ziemniaki w Teksasie. Byli to ludzie, co znali własny kraj i mimo to go kochali. O jedno pokolenie przed nimi tacy sami jak oni próbowali ten kraj odmienić i ponieśli porażkę. Ci nie mieli już takiej organizacji jak tamci. Nie byli zwolennikami organizacji. Ci byli członkami jeszcze nowszej rasy, zerwanymi z kotwicy przez kryzys i dryfującymi, póki na koniec nie wylądowali w wojsku jak w ostatnim porcie, gdzie przeszli jeszcze jeden proces przesiania i dotarli tu, do Obozu, aby z kolei znów ulec przesianiu do baraku numer dwa.

„Amerykańskie twarze – myślał Prew sennie, szczęśliwy w swojej ekstazie męczeństwa, która zawsze była jego celem i przeznaczeniem. – Amerykańskie twarze, amerykańskie głosy, słabe całą tą jurno-zgłodniałą, zachłanną amerykańską słabością, lecz teraz silne siłą zrodzoną z potrzeby, siłą jedynie prawdziwą – wychudłe, juchtowe, zawzięte twarze i głosy wywodzące się z dawnej amerykańskiej tradycji drwali i karczujących ziemie farmerów, którzy także walczyli zajadle o utrzymanie się przy życiu. Oto jest twoja armia, Ameryko – chciał sennie powiedzieć – oto jest twoja siła, którą ty uczyniłaś silną próbując ją złamać, i od której będziesz zmuszona zależeć w tych czasach, co teraz nadchodzą, czy ci się to podoba, czy nie, czy chcesz, czy nie chcesz, obojętne, jak bardzo zrani to twoją dumę. A tutaj, na Dwójce, jest sama śmietanka, precedzana, odcedzana i precedzana znowu, dopóki nie odpłynęła wszystka zgnilizna; każde rozmiękle miejsce już wyciśnięto, całą ową przegniłą gangrenę, której tak się lękają redaktorzy kronik towarzyskich, wycięto, tak że została jedynie mocna, odporna, bezwzględna twardość, która nie tylko się ostoja, ale zatriumfuje na tym twardym świecie.

Dziękuj swym rozmaitym bogom za swoje więzienia, Ameryko. Módl się bardzo usilnie, żeby cię nie nauczyli, jak się obchodzić bez nich – dopóki najpierw cię nie nauczą, jak się obchodzić bez twoich wojen.”

A on, Robert E. Lee Prewitt z Harlan, Kentucky, był jednym z nich, jednym z tych tutaj, wywodzących się z owej starej, głodnej tradycji – tutaj, gdzie nie znalazłaby się ani jedna obłożona tłuszczem twarz ubezpieczonego agenta, wywodząca się z nowej tradycji

amerykańskiej.

Nie można było być jednym z nich, dopóki nie dzieliło się z nimi wszystkiego, i po raz pierwszy od dawna pomyślał sennie, że oto znowu jest między swoimi, którym nie musi nic tłumaczyć, bo każdy z nich ma to samo twarde, nieustępliwe poczucie śmiesznego osobistego honoru, od którego i on nie zdołał się nigdy uwolnić.

I było więcej niż warto przeżyć tamto wszystko od chwili, kiedy usiadł przy stole w jadalni i wziął do ust ten pierwszy kęs, którego bał się posmakować – i chętnie zacząłby znów od początku, gdyby to było konieczne. „Biedny Blum – pomyślał sennie. – Biedny Blum.”

Dopiero później, kiedy tamci wreszcie posnęli, senność go opuściła i zaczął myśleć o Almie Schmidt, choć mu się już prawie zdawało, że o niej zapomniał. Próbował znowu, tutaj na pryczy, owego systemu czarnej plamki Malloya, i kiedy mu się to żałośnie nie powiodło, leżał długo, bezsennie i myślał o niej.

„Wszystko, czego sobie przysięgasz nie robić, zawsze w końcu robisz – myślał, nareszcie znów senny. – Pamiętam doskonale, jak sobie przysięgałeś, że nigdy nie będziesz leżał na pryczy i robił tego, więc teraz możesz to dodać do stale rosnącej listy. Przynajmniej tego jednego poniżenia Blum nie musiał przecierpieć.”

A może Blum też był w kimś zakochany? Może dlatego się zabił? Im więcej o tym myślał, znów sennie, tym bardziej dochodził do przekonania, że było właśnie tak, że Blum odebrał sobie życie z miłości.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Natomiast Milton Anthony Warden, który widywał się z Karen Holmes każdego popołudnia, odkąd zamknął sprawę Prewitta, nie zastanawiał się nad przyczynami samobójstwa Bluma. Wardenowi zupełnie wystarczyło, więcej niż wystarczyło, że Blum to zrobił. Położyło to kres prywatnemu życiu Milta Wardena równie skutecznie, jak gdyby Trzecia Rzesza dokonała najazdu na Nowy Jork czy jakby Japończycy spróbowali zaatakować w biały dzień Pearl Harbor albo Marsjanie opanowali Kalifornię.

Zaczął spotykać się z nią po południu, gdy zakończono ćwiczenia w Hickam. Wybrali tę porę jako najlepszą dla niej, by móc się wymknąć z możliwie najmniejszym ryzykiem. Oboje odczuwali potrzebę jakiegoś planu, który nadałby codzienną regularność ich podwójnej grze, a jednocześnie był niezawodny. To było właśnie takie i dzięki temu wszystko szło doskonale. Dnie ułożyły się w dogodny schemat, który wydawał się istnieć od zawsze i obiecywał, że będzie trwał bez zmian w nieskończoność. Jeżeli po południu było coś do roboty, Warden kazał załatwiać wszystko Mazziolemu i machał na to ręką. Chodziło o zwykłe sprawy, które zawsze mógł później wyprostować, a ostatecznie chłopak był tutaj po to, żeby się uczyć. Leva umiał pokierować magazynem, a o kuchnię Starka Warden nie musiał się martwić.

Spotykał się z Karen w mieście, na którejś z rozpalonych, zatłoczonych turystami ulic, po czym jeździli dookoła wyspy starym, zdezelowanym buickiem jej męża – on boso i w spodenkach kąpielowych, a ona w krótkim, wydekoltowanym kostiumie kąpielowym, który był równie zmysłowy jak obnażone, polakierowane paznokcie jej stóp – skręcali w każdą nową boczną drogę, którą nie jeździli dotąd, i przystawali, aby popływać, ilekroć mieli na to ochotę. Przystawali też, ilekroć on miał ochotę ją kochać, jakkolwiek Karen uważała, że jest skłonny przystawać zbyt często, i podkreślała, że chociaż czasem robi jej to przyjemność, te sprawy nie mają miejsca w jej miłości i mogłaby się równie dobrze albo wręcz lepiej obyć bez tak prostackich dowodów uczucia. Jednakże nie próbowała wyperswadować mu tego przystawania, i owe popołudnia, jak zresztą cały czas spędzany z Karen Holmes, zdawały się wydłużać w nieskończoność niby oglądane odwrotną stroną lunety, aż wreszcie wszystko inne przestawało istnieć. Jeżeli była jakaś skaza na tej absolutnej doskonałości, to tylko fakt, że buick jej męża nie miał opuszczanej budy.

Nie było między nimi żadnych burzliwych rozmów, ani jednej kłótni, bo ustalili już między sobą (owego dnia, kiedy spotkali się wygłodniałi po dwóch tygodniach spędzonych przez niego na Hickam Field), że Milt zapisze się na oficerski kurs dla eksternistów. Ustalili

to w następujący sposób:

Karen powiedziała wyraźnie, że nigdy go o to nie będzie prosiła. Wtedy on sam zaproponował. Karen oświadczyła, że nie, że rozumie doskonale jego stosunek do oficerów, nie może więc tego żądać ani spodziewać się po nim, i że nie powinien tego robić ze względu na nią, nawet gdyby go miała utracić. Wtedy Milt uparł się, że właśnie tak zrobi, i to ze względu na nią, i tylko na nią, i że nie powstrzyma go nic, co by mogła powiedzieć. Karen się popłakała, on prawie się popłakał i na tym poprzestali. Nie uczynił nic, ażeby złożyć podanie.

Milt Warden przemyślał sobie wszystko, przewidział starannie i obrachował każdą możliwość, nawet wojnę, z której nieuchronnością pogodził się już trzy lata temu, i nie zamierzał dać się niczemu zaskoczyć. Mógł nadal żonglować swoimi dwoma żywotami, mimo że teraz przyszło mu robić to na linie. Jeżeli Milt Warden był przyparty do muru, przynajmniej o tym wiedział. A jeżeli było na świecie coś, co nigdy nie opuściło Milta Wardena w potrzebie, to był właśnie Milt Warden.

Jednego oczywiście nie mógł przewidzieć: że jakiś głupi osioł z jego kompanii odbierze sobie życie. A gdyby nawet mógł, nic by to nie pomogło. Z sądami wojskowymi potrafił dać sobie radę, znał je na pamięć, z zawiązanymi oczami, z sądami wojskowymi miał do czynienia na kopy. Natomiast samobójstwo było czymś zupełnie innym, samobójstwa dotychczas nie miał, a wojsko nie lubiło samobójstw, szczególnie teraz, w tych czasach. Nie lubiło ich jeszcze bardziej niż morderstw i wymagały one sporządzenia nieskończonej ilości raportów, ażeby udowodnić, że wina nie jest po stronie wojska.

Tamtego popołudnia, kiedy już wezwano oficera dyżurnego, by oficjalnie stwierdził zgon, Warden zdołał się wyrwać na chwilę, aby zadzwonić do Karen. Złapał taksówkę, pojechał do Kemoo do składu napojów alkoholowych, który uczeplił się jak grzyb krawędzi Zbiornika Wahiawa przy szosie naprzeciw służby – i znając jeszcze z kawalerskich czasów właściciela, Chińczyka, poprosił, by mu pozwolił skorzystać ze swego prywatnego telefonu na tyłach sklepu. Zadzwonił w chwili, gdy Karen już wychodziła do miasta, by się z nim spotkać.

Jej pierwszą reakcją był gniew. Telefoniści-mężczyźni mieli nie mniejszą od telefonistek skłonność do plotek, zwłaszcza jeżeli byli szeregowcami, a rzecz dotyczyła oficera. Telefoniści w bazie znali na pamięć wszystkie numery w osiedlu oficerskim. Karen i Milt zawsze więc w miarę możliwości unikali posługiwania się telefonem, a kiedy już do siebie dzwonili, używali czegoś w rodzaju tajemnego języka, gdzie każda rzecz znaczyła co innego.

Karen udobruchała się nieco, kiedy się dowiedziała, że Warden dzwoni z Kemoo, skąd można było uzyskać połączenie tylko przez sieć cywilną w Wahiawie, lecz nawet wtedy kazała mu odłożyć słuchawkę i czekać, dopóki gdzieś nie pójdzie i nie zadzwoni do niego.

Była to jeszcze jedna z tych drobnych rzeczy, których się nie przewidywało rozpoczynając romans z zamężną kobietą.

Czekał, rzecz jasna, wypijając nerwowo kilka szklaneczek z Alem Chomu, który bynajmniej nienerwowo dziwił się, czemu nie widział go od tak dawna – aż wreszcie zadzwoniła z budki telefonicznej przy głównej kantynie.

Trudno było wytłumaczyć jej, co się stało, ponieważ ta ich tajemna mowa nie przewidywała samobójstw ani Izaaka Natana Bluma. Kiedy w końcu dał jej do zrozumienia, co się zdarzyło, wyczuł, że raptem, nieledwie w pół słowa staje się chłodna i całkowicie opanowana, w ten sposób, który był jej właściwy, gdy zdała sobie sprawę, iż rzecz jest naprawdę poważna. Gniew zniknął, a w jego miejsce pojawił się absolutny, oceniający wszystko z zimną krwią spokój, który nie omieszkał nigdy zapędzić w kozi róg owego realizmu Milta, którym tak się szczycił.

– No, to co zrobimy? – zapytał go chłodno ów stłumiony, nierealny, telefoniczny głos, który nigdy nie brzmiał po ludzku. – Czy namyśliłeś się, co robić?

– Tak. Ta nowa historia zabierze mi cały miesiąc czasu. Obawiam się, że będę zmuszony odłożyć przyjęcie. Czy twój brat będzie znów musiał pojechać niedługo w interesach do kraju? – zapytał ostrożnie.

Po przetłumaczeniu oznaczało to, że pyta, czy Dana Holmes nie wybiera się na męską bibkę.

– Wiesz, jak to jest z jego interesami – odpowiedział chłodny głos. – Nigdy nie wie, kiedy będzie musiał wyjechać. Nie jeździł już od jakiegoś czasu, więc możliwe, że go wezwą. Ale oczywiście – mówił chłodny głos ostrożnie – wszystko zależy, jak ci wiadomo, od tego, kiedy jego przełożeni otrzymają nowy transport i będą mieli dość materiału, aby go potrzebować.

Musiał zatrzymać się na sekundę, aby to sobie przetłumaczyć, i wpadł we wściekłość; ta cała dziecinna konspiracja była czymś prawie równie paskudnym jak przynależenie do masonerii albo Stowarzyszenia „Łosi”. Karen chciała powiedzieć, że wprawdzie Holmes nie był ostatnio na bibce, wobec czego prawdopodobnie wybierze się niedługo, ale jednak ona nie może dokładnie przewidzieć, kiedy to nastąpi. I odmawiała spotkania się z nim w tym czasie.

– Kiedy ja nie chcę odkładać przyjęcia – powiedział Warden z wściekłością.

– Ani ja. Ale oczywiście – przypomniał mu chłodny głos brzmiący niewiarygodnie, niebywale obojętnie – codzienne zajęcia mojego brata tutaj nigdy nie trwają dość długo, by nie mógł przyjść.

To miało znaczyć, że nie można było liczyć, aby jego zwykłe wieczorne partie pokera w Klubie i przesiadywanie w barach czy gdzie tam łąził, u licha, dały jej sposobność

wyrwania się z domu.

– Więc może byśmy to urządzili którejś nocy albo któregoś wieczora, zanim będzie musiał wyjechać? Sama wiesz, że za nic bym nie chciał, żeby to opuścił – uśmiechnął się zajadle w ślepiach, nie mogąc się oprzeć takiej okazji. Jej chłód, który tak bardzo podziwiał, rozwścieczał go jeszcze bardziej od konspiracyjności.

– Może mógłbyś to zrobić któregoś popołudnia, póki jeszcze tu jest – powiedział chłodny głos.

– Przecież mówiłem ci – odparł usiłując powściągnąć rozjątrzenie

– mówiłem ci, że po południu nie mogę. Ty nie rozumiesz. Tę robotę trzeba załatwić.

– W takim razie uważam – powiedział chłodny głos bardzo logicznie – że najlepiej będzie po prostu odłożyć to, dopóki nie załatwisz swojej roboty, nie?

– Cholera jasna, nie rozumiesz, o co mi idzie z tym przyjęciem – rzekł Warden z gniewem, dając w końcu za wygraną. – Ja muszę je urządzić. To ważne przyjęcie. Jestem je winien całej masie ludzi.

– A myślisz, że ja się nie czuję zawiedziona? – spytał głos gniewnie. „Jeżeli jakiś telefonista słucha – pomyślał z goryczą – to kiedy usłyszy ten bełkot, z całą pewnością pomyśli, że gada dwoje wariatów.” Wardenowi absolutnie nie chciało się wierzyć, żeby którykolwiek podsłuchujący ich telefonista mógł naplotkować tyle, aby wywołać taki skandal, jakiego Karen się obawiała, nawet gdyby on do niej przemawiał samymi grubymi słowami.

– Jeżeli spróbujesz urządzić przyjęcie – mówił nieprzejednany ów chłodny głos – kiedy tak tkwisz po uszy w robocie, to tylko je popsujesz, wiesz doskonale. A przecież nie chcesz zepsuć tego przyjęcia, prawda? Czy nie ma żadnego sposobu, żeby przyspieszyć tę pracę? Tak, żeby nie trwała cały miesiąc? Są jeszcze inne osoby – mówił chłodny głos – które wyczekują tego przyjęcia nie mniej od ciebie. Rozmawiałam z paroma. Ale jestem pewna, że nie chciałyby, żebyś je przyspieszał na przekór tym wszystkim trudnościom i w ten sposób je zepsuł.

– No, dobrze – odpowiedział. – Dobrze. Zobaczę, czy nie da się tego załatwić szybciej, w tydzień. Czy to cię zadowoli? Czy tak będzie lepiej?

– Będzie wspaniale, jeżeli ci się uda. Ale, kochanie – powiedział chłodny głos używając słowa „kochanie” tylko jako wyszukanej formy zwracania się do niego – tu nie idzie o mnie. To twoje przyjęcie. Nie bądź zły.

– Zły! – warknął. – Kto tu jest zły? Załatwię sprawę w tydzień – obiecał wiedząc, że to niepodobieństwo – i urządzę przyjęcie za tydzień od dziś, w tym samym miejscu. Jesteś zaproszona – rzucił mając ochotę odłożyć słuchawkę po tym tryumfie związanego sarkazmu.

Ale jej nie odłożył.

– Zrozumiałaś mnie? – zapytał z niepokojem. – Za tydzień. W tym samym miejscu. W tym samym miejscu, słyszysz?

– Słyszę – odpowiedział chłodny, spokojny głos, który wciąż nad nim górował przemawiając tym obojętnym tonem, który załatwiał wszystko, włącznie z nim samym, tak pewnie, logicznie i obiektywnie, że wypadło dokładnie tak, jak ona chciała i przewidywała. – Słyszę, kochanie.

Znowu to słowo wypowiedziane bezosobowym tonem, będące jej najdalej idącym ustępstwem na rzecz czułości podczas telefonicznej rozmowy. Na tym akcencie przerwał i niechętnie odłożył słuchawkę czując, że rozmowa pozostała nie dokończona, lecz wiedząc, że nic więcej nie uzyska, i zawrócił do baru Ala Chomu.

I to się nazywa słaba płeć! Skłonna do załamania i płaczu przy każdym kryzysie! Gdzie tam, cholera. Kobiety rządzą światem, a nikt nie wie o tym lepiej od zakochanego mężczyzny. Czasami przypuszczał, że one to robią rozmyślnie, całą tę konspirację, po prostu, żeby zaspokoić jakieś pradawne, wrodzone zamięłowanie do intryg, odziedziczone po pokoleniach konspirujących, aby odegrać rolę uciśnionych.

Kierowca taksówki wciąż czekał na ulicy, w tej upalnej, sennej, letniej ekstazie istnienia, której Warden nie zauważył wchodząc, ale teraz odczuł dobitnie. Naciskał z irytacją klakson. Jednakże Warden nie wyszedł na dwór, dopóki nie wychylił z Aleu jeszcze jednej dużej szklanki, aby mieć pewność, że kiedy wróci do koszar, poczują to w jego oddechu i nie będą uważali jego zniknięcia za niezwykle, co by się z pewnością stało, gdyby wrócił trzeźwy.

Wiedział, że będzie musiał bezwzględnie ożenić się z tą kobietą, która potrafiła sprawić, że doznawał podobnych uczuć.

A potem wyszedł w tę letnią ekstazę życia, promieniującą z taką siłą, do taksówki, której kierowca był! nazbyt tępy, aby to wyczuć, lecz niemniej wyciągnął od niego aż pięć dolarów; kazał mu zatrzymać się przed garnizonową czytelnią, a stamtąd poszedł pieszo do koszar i dał nurka w ten rozkołysany zamęt, którym była kompania G po samobójstwie.

Odtąd trwał chaos. Nikt nic nie wiedział. Maksyma dawnej armii brzmiała, że podczas kryzysu należy szukać schronienia w anonimowości. Wszyscy automatycznie znosili wszystko Wardenowi, któremu płacono za to, żeby załatwiał robotę i decydował. Musiał zajmować się osobiście każdym najdrobniejszym szczegółem bez niczyjej pomocy, pracując z grubymi woluminami luźnych kartek regulaminu wojskowego pod ręką, bo jeszcze nigdy dotąd nie miał do czynienia z samobójstwem.

Właśnie w te noce, podczas owego dziko rozhuśtanego tygodnia, kiedy stale kładł się do łóżka około północy, z umysłem wciąż wierzgającym jak wystraszony koń – nie chcąc

rozmyślać, że mógłby spotkać się z nią gdzieś w tej chwili, gdyby nie była taka ostrożna, i czując, że go ponosi dzika wściekłość na nią – zaczął się bawić myślą o wzięciu trzydziestodniowego urlopu, który odkładał od roku z górą, odkąd przejął tę kompanię. Leżał w łóżku i snuł sobie plany, jak by to mogli urządzić, taką trzydziestodniową idyllę tylko we dwoje.

Musieliby wyjechać z tej wyspy. Na Ohau znał tylko jedno miejsce, gdzie dałoby się to zrobić, ale i ono było niepewne. Jednakże mogli się wybrać do wielu innych miejsc.

Mogliby pojechać do Kony na dużej wyspie, polecieć samolotem do Hilo, wynająć tam samochód na miesiąc i objechać naokoło do Kony przez krater Kilauea i Park Narodowy; mogliby zamieszkać w Honaunau (to znaczy Miasto Schronienia, prawda? Doskonale miejsce dla nich: Miasto Schronienia). Mogliby wynająć sobie rybaka-przewodnika; wody przy wybrzeżu Kony były jednymi z najlepszych terenów rybackich na wyspach. Widział w myśli siebie i Karen siedzących w łodzi z wędkami wystawionymi w uchwytych, a linkami dryfującymi głęboko na fali; opaliliby się jeszcze bardziej na czarno niż teraz, pod daszkiem mieliby w lodówce kilka skrzynek piwa, a Chiniec manewrowałby łodzią i przygotowywał przynęty tak, że nie byłoby absolutnie nic do roboty, gdyby nie mieli chęci.

Albo...

Gdyby jej się nie spodobały takie rozrywki na wolnym powietrzu, mogliby polecieć do Maui. Nigdy tam nie był, ale słyszał, że Wailuku jest dobrym miejscem na wycieczkę z kobietą, że są tam dobre hotele-gospody, gdzie podają dobre jedzenie, i jeżeli nie można wynająć wozu, organizują wycieczki dla turystów, którzy chcą się gdzieś wybrać. Ale może nawet nie mieliby ochoty jeździć. Może woleliby siedzieć na miejscu.

Albo...

Mogliby robić wszystko, co chcą, to było obojętne. Miał jeszcze na książeczkę oszczędnościowej w mieście sześćset dolarów wygranych w karty i nie wypuszczał z rąk tych pieniędzy. Mogliby się szarpnąć i wydać wszystko. „O Boże – myślał z radością. – O Boże. Cieszę się, że zacząłem odkładać połowę po każdej wygranej.”

Źle było z Miltem Wardenem.

Leżał na pryczy w te noce, z rękami pod głową, naprzeciw niego chrapał nerwowo Pete Karelsen, a on rozmyślał ciągle od nowa o tym wszystkim, układając sobie plany, przewidując z lubością najdrobniejsze szczegóły, z których każdy był inną ścianką tego samego klejnotu – aż w końcu stało się tak, jak gdyby to były rzeczy, które już zrobił i wspominał, a nie coś, co dopiero chciał zrobić, co sobie wyobrażał, więc przywoływał je na pamięć i myślał, jakie były wspaniałe i że są czymś, czego mu nikt nie odbierze, kiedy już raz je miał.

„A tak, mam swoje wspomnienia – przekomarzał się z nim szatańsko jego demon, który wtedy pojawiał się nagle. – Cokolwiek się stanie, mam zawsze swoje wspomnienia.”

Jednakże wiedział już, że to są tylko marzenia i że w nich szuka ucieczki od rzeczywistości. Ale czy to było ważne, póki wiedział, co robi? Nie miał nadziei, żebyś któreś z nich się ziściły, marzył tylko i to mu pomagało zasnąć. A musiał spać. Jeżeli chciał załatwić tę sprawę samobójstwa. I załatwiał ją...

A potem, w niecałe trzy dni po pochowaniu Bluma, właśnie kiedy osiągnął to, że produkcja raportów zrównała się z malejącym napływem materiału, nowa komplikacja wybuchła w jego kancelarii jak granat rozwalający wszystko w kawałki.

Niccolo Leva na koniec spełnił swą groźbę i przeniósł się do kompanii M jako sierżant-magazynier.

Warden akurat opracowywał zaprzysiężone oświadczenie, które miał podpisać Holmes i on sam, stwierdzające, że zmarły nie był poddany żadnym szykanom w oddziale, kiedy do kancelarii wszedł owego rana Niccolo, ze swoją twarzą podobną do zapleśniałej skóry, powleczonej zbyt cienkim pokładem dawnego cynizmu, ze swoją krzywą, przypominającą suszoną wołowinę sylwetką, która usiłowała dzielnie zachować dawną zuchwałą postawę – i powiedział mu wszystko.

– Mają już przygotowane i podpisane papiery, brak tylko mojego podpisu. Wczoraj zatrzymał mnie na dziedzińcu kapitan Gilbert i pokazał mi to. Pułkownik Davidson powiedział mi, że ma wyraźne, osobiste przyrzeczenie zgody od starego Delberta, jak tylko to załatwi. Nigdy nie myślałem, że stary Jake się zgodzi, dlatego o to nie dbałem.

– Ano – powiedział Warden. – Ty mnie znasz. Nie jestem człowiekiem, który próbowałby cię zatrzymać, kiedy tam może ci być lepiej, Niccolo.

– Tak – odparł Leva. – Na pewno byś tego nie zrobił. – Jednakże ta ironia nie była prawdziwa.

– Obiecałem ci, że dostaniesz stopień, jeżeli tylko posiedzisz tu dość długo. Na takie rzeczy trzeba trochę czasu. Ale czyś kiedy widział, żebym nie dotrzymał obietnicy, Niccolo?

– Nie – odrzekł Leva niechętnie. – Nie widziałem. – Zebrał się na wielki wysiłek i popróbował obejść skrzydło nieprzyjaciela. – Ale czasy się zmieniły – powiedział ze złością. – Nie jest już tak jak dawniej. Czas teraz jest ważniejszy. Szykujemy się do tej wojny, Milt. Sam wiesz. Trzydziesto-roczny musi wykorzystać każdą wojnę, bo może mu się trafić tylko jedna albo dwie. Jeżeli trafią mu się dwie, to ma cholerne szczęście. Ilu ludzi z kompanii było na tej ostatniej? Tylko jeden: Pete Karelsen. Dzisiaj nie jest tak łatwo o wojnę jak dawniej, za czasów indiańskich, kiedy byle potyczka liczyła się za całą wojnę. A ja już mam prawie czterdziestkę. Nie trafi mi się następna. Po to, żeby przejść na emeryturę jako starszy sierżant,

muszę mieć chociaż młodszego, kiedy się zaczniesz – podsumował niepewnie.

– Nie mogę za ciebie decydować, Niccolo – powiedział Warden. – Będziesz musiał sam powziąć postanowienie.

– Ja już jestem zdecydowany – zaprotestował Leva. – Byłem zdecydowany, kiedy tu przyszedłem.

– To przestań tu przychodzić w nadziei, że ci zmienię tę decyzję. Ja cię nie zatrzymuję. Masz rację, kiedy mówisz, że nie trafi ci się więcej taka okazja. Więc wal i podpisuj to draństwo.

– Pewnie będzie musiało jeszcze potrwać parę dni, zanim wszystko załatwią.

– W porządku, no to co? Może potrwa dziesięć dni. Może cały rok. Co z tego?

– Nie będzie trzeba dziesięciu dni – odparł Leva. – Nawet tygodnia. Nie więcej niż dwa.

– Pieprzę to i ten czas, którego trzeba – powiedział Warden.

– Postaram się do tej pory wszystko ci ładnie uporządkować w magazynie – rzekł Leva. Powiedział to z urazą, jak gdyby zawiódł się na Wardenie.

– Okej – rzekł Warden. – Dziękuję.

– Słuchaj, co tobie jest, psiakrew? – zapytał Leva.

– Mnie? – odparł Warden. – Nic a nic. A tobie?

– Mnie nic nie jest – odpowiedział Leva. – No, to jeszcze się zobaczymy, Milt – dodał i po raz ostatni przystanął w progu, już bez śladu dawnego ironicznego cynizmu i zuchwalstwa czy bodaj próby przybrania takiej postawy. Niccolo Leva wydał się nagle stroskany i stary, jak sędziwy człowiek, który został mianowany wykonawcą testamentu, z którym się wiąże zbyt duża odpowiedzialność.

– Nie – odrzekł Warden. – Nie zobaczymy się, Niccolo. Jedynym miejscem, gdzie mógłbyś mnie widywać, byłaby knajpa Choya.

– A cóż ci przeszkadza chodzić do Choya?

– Będę zanadto zajęty.

– Aha – zawołał Leva uchwyciwszy się tego z radością. – Zanadto zajęty pracą? No, ale cóż chcesz? Żeby tu zostać i tyrać dla ciebie do końca życia jako marny starszy szeregowiec czwartej klasy?

– To idź sobie – powiedział Warden. – Albo zostań. Ale zdecyduj się, na miłość boską.

– A ty byś odrzucił taki stopień?

– Właśnie – rzekł Warden. – O to idzie. Skąd mogę wiedzieć, do diabła?

– Ano – powiedział Leva – to do zobaczenia, Milt. – Tym razem jednak powiedział to

w sposób oficjalny.

– Tak, do zobaczenia, Niccolo – odparł Warden równie oficjalnie. – Wszystkiego dobrego.

Nie trzeba było dwóch dni na załatwienie papierów Levy. Kapitan Gilbert wysłał je tegoż popołudnia, a wróciły następnego dnia. Stary Jake Delbert najwyraźniej nie tylko chętnie, ale z największą radością uczynił tę grzeczność podpułkownikowi Jimowi Davidsonowi z trzeciego batalionu.

Było to wspaniałym kataklizmem w taki wspaniały letni poranek, tym razem wyzuty z owej letniej ekstazy życia. Kapitan Holmes miotał się jak kurczak z odciętą głową i ze wszystkim odwoływał się do Wardena. Warden, który popił poprzedniego dnia i był jeszcze trochę skacowany, uśmiechnął się do niego głupawo i milczał jak kamień. Kiedy Leva pakował swoje rzeczy, do kancelarii wszedł Jim O'Hayer i złożył formalną prośbę o przeniesienie go z powrotem do zwykłej służby. Holmes zwolnił go bez dyskusji. Po półgodzinnym poceniu się nad planem służby mianował Champa Wilsona sierżantem-magazynierem i posłał podoficera służbowego na plac ćwiczeń, żeby go ściągnął. Przed południem Champ zjawił się w kancelarii i z punktu podał się do dymisji proponując nawet rezygnację ze swego stopnia. Holmes zwolnił go nie odbierając mu stopnia i mianował na jego miejsce Ike'a Galowicza. Ike był uradowany, że go wybrano na tak odpowiedzialną funkcję. Oświadczył, że będzie się starał jak najlepiej dla kapitana Holmesa, kapitan Holmes podziękował mu serdecznie i Ike zniknął w swojej nowej twierdzy, ze łzami dumy w oczach. Milt Warden obserwował to wszystko w kamiennym milczeniu.

Wiedział, że w jego oczach wali się w gruzy legenda Milta Wardena. Obserwował to z tym samym bolesnym poczuciem spełnienia i słodkiej satysfakcji, jakiego doznaje chłopiec, który strawił całe tygodnie na budowaniu modelu samolotu, a potem patrzy, jak ten rozpada się w płomieniach od zapalki, którą mu własnoręcznie przytknął do skrzydeł tuż przed startem. Gdy dokonało się to całopalenie, pognał do miasta.

Wyglądała prześlicznie, kiedy zabierała go z ocienionej ławki w parku Aaala od strony King Street, ale nie czuł do niej większego pociągu seksualnego niż każdy mężczyzna do własnej żony w upalny dzień, i to go przestraszyło. Wsiadł do samochodu wydostawszy się spośród przenikliwego wrzasku Azjatów, którzy obsiedli trawniki, poprzez przenikliwy wrzask Azjatów przepływających chodnikiem, opadł na siedzenie i zapalił papierosa, przytłoczony owym poczuciem, że coś się skończyło, które miewał już dawniej, ale które nie uderzyło go z całą mocą, dopóki jej teraz nie zobaczył. Nie powiedział nawet dzień dobry.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Karen Holmes wyczekiwała tej chwili prawie przez cały tydzień. Wieczorem owego dnia, kiedy Milt do niej zadzwonił, Karen, ostrożnie sondując męża na temat nowej katastrofy, jaką była śmierć Bluma z jego kompanii, dowiedziała się rzeczy, którą już podejrzewała, ale o którą nie chciała pytać wprost: że jak dotąd nie udało się nakłonić starszego sierżanta Wardena do złożenia podania o przyjęcie na eksternistyczny kurs oficerów piechoty. Dyskutując z nią o Blumie, jej mąż wspomniał o tym ze specjalną goryczą, jako że samo podanie Wardena, nie mówiąc już o zgodzie na awansowanie go do stopnia oficerskiego, co było z góry przesądzone, byłoby dla Holmesa powodem do dumy mogącym więcej niż zrównoważyć ten nowy dopust losu. (Na ową korzystną stronę zwróciła mu uwagę przed paroma tygodniami jego żona w związku z rozprawą Prewitta; od tej pory uznał ów pomysł za swój własny.) Dowodził z rozgoryczeniem, że czasy rzeczywiście się zmieniły, jeżeli oficer musi prosić żołnierza, żeby został oficerem, i jeszcze spotkać się z odmową. Całego tego filozofowania Karen słuchała niecierpliwie tylko jednym uchem, bo dowiedziała się już, czego chciała; jej podejrzenia potwierdziły się, wyprowadzono ją w pole, ledwie się mogła powstrzymać, by nie wyjawić mężowi całej historii szukając jego współczucia. Myślała tylko o jednym: że podczas tych dwóch tygodni takiego szczęścia, jakiego jeszcze dotąd nie zaznała – kiedy świadomie powstrzymywała się od sprawdzania swoich podejrzeń, ażeby udowodnić swą wiarę w Wardena – on ją równie świadomie oszukiwał.

Czując ogromne, rozśpiewane szczęście na myśl, że znowu będzie przy nim, uplanowała sobie starannie, aż po najdrobniejsze, cięte słówko, z nadmiarem zarówno uczucia, jak i mściwości, karę, którą mu wymierzy, wiedząc w swej miłości, co go najgłębiej dotknie, zdecydowana w owym pragnieniu zemsty zmusić go okrutnie do wypicia ostatniej kropli goryczy, zanim pozwoli mu się zmiękczyć, lecz kiedy wszedł do samochodu z błyszczącymi oczyma, z tym błędnym wyrazem ledwie powściąganej udręki, i nawet jej nie zauważył, wiedziała od razu, że stało się coś bardzo niedobrego, i zapomniała zupełnie o zemście, a miłość zaczęła wypełniać ją matczyną troską o niego i dzikim, niepohamowanym gniewem na to coś, co go skrzywdziło, więc chłodno włączyła bieg i spokojnie, bez słowa ruszyła dokoła parku i dalej Beretanią.

Przejechali w milczeniu przez ospałą dzielnicę handlową i minęli spieczony słońcem stadion sportowy; Karen prowadziła wytrawnie, a Warden palił zażarcie papierosa. Minęli łożę masońską i wjechali w liściasty cień dzielnicy willowej za Punahou, gdzie nad wszystkim dominowały niewidoczne, lecz wyczuwalne szczyty Krągłej Góry i Tantara. Już

prawie dojeżdżali do Alei Uniwersyteckiej, kiedy Warden ze złością odrzucił papierosa i zaczął jej opowiadać całą historię. Opowiadał ją od Kaimuki przez Waialae aż do Wailupe. O tym czasie byli już prawie za miastem, na grobli wiodącej do przylądka Koko, ale zamiast jechać dalej, Karen skręciła przy Koko i przez gaj drzew *kiawe* wyjechała na skarpe, gdzie był duży wyżwirowany parking nad zatoką Hanauma.

Grupka chuderlawych szkolnych dzieci w kostiumach kąpielowych urządziła tam sobie piknik; z krzykiem wybiegały i zbiegały zygzakami po ścieżce wiodącej na plażę, gdzie ktoś wysadził niegdyś w powietrze sto jardów rafy koralowej, aby utworzyć miejsce do pływania. Chłopcy uganiali się za dziewczynkami, dziewczynki były ścigane przez chłopców.

Kiedy oboje patrzyli na te dzieci (które wydały im się nagle bardziej obce niż jacykolwiek cudzoziemcy), powtórzył wszystko od początku, a ona tym razem zadawała mu pytania.

– No i tak – zakończył wzruszając ramionami. – Ten drań zabrał się i przeniósł.

– I nic nie mogłeś poradzić?

– Owszem. Mogłem mu to jeszcze raz wyperswadować.

– Nie, nie mogłeś – powiedziała stanowczo Karen. – Jeżeli jesteś tym rodzajem człowieka, za którego cię zawsze uważałam.

Warden spojrzał na nią z niesmakiem.

– Tak myślisz? A ja już to robiłem masę razy.

– To dlaczego nie zrobiłeś i teraz? – zapytała z tryumfem.

– Dlaczego? – krzyknął gwałtownie. – Bo chciałem się przekonać, czy drań nie zrezygnuje z własnej woli. Dlatego. I oczywiście nie zrezygnował.

– A spodziewałeś się, że to zrobi?

– Nie, psia krewno – skłamał. – Myślisz, że mógłbym się spodziewać? Nie odpowiedziała. Trzeba było pewnego czasu, żeby dotarła do niej cała okropność tego, co się stało.

– Więc to znaczy, że trzeba będzie odłożyć na czas nieokreślony nasze spotkania po południu – powiedziała wreszcie.

– Tak to mniej więcej wygląda.

– I akurat wtedy, gdy myśleliśmy, żeśmy sobie wszystko ułożyli. Och, Milt! I ty się tak napracowałeś? Czy już nic nie możemy zrobić?

– Ja nie wiem co. Chyba że będziesz mogła wyrwać się czasami wieczorem.

– Przecież wiesz, że nie mogę.

– Będziesz tak robiła, kiedy zostanę oficerem, no nie?

– Owszem, ale to co innego; to będzie już na stałe. Gdzie znajdę kogoś, kto by został z

moim małym? Kogoś, komu bym mogła zaufać?

– No, dobra. Może masz jakieś pomysły?

– Gdybyś ostro popracował, może byś mógł załatwić większość roboty z rana?

Warden z goryczą popatrzał w duchu na panoramę niewiarygodnej pracy, którą wykonał w ciągu ubiegłego tygodnia. Miał ochotę roześmiać się szaleńczo.

– Może bym mógł, tak. Tylko że tym razem nie idzie już o robotę. Tym razem idzie o sam fakt nieobecności podczas godzin służby. W takiej sytuacji nikt nie przypuszcza, że uda się odwalić całą robotę, nawet twój kochający mąż nie może się tego spodziewać. Trzeba będzie miesiocy, zanim to zaczniesz jakoś układać, i dlatego jest takie ważne, żeby każdy znajdował się na miejscu i pokazywał, że robi wielki wysiłek, aby pomóc w krytycznej chwili. A każdy, kto będzie musiał tam siedzieć, postawi sobie za zadanie kontrolować innych.

– W takim razie nie możesz się po prostu urwać i uciec. To by przekreśliło wszystkie twoje szanse zostania oficerem. A tego na pewno nie chcemy.

– Nie – odrzekł Warden. – Tego nie chcemy. Są jeszcze jakieś sugestie?

Karen, wpatrując się w jego twarz, poczuła nagle rozkwitające w niej na nowo to mściwe okrucieństwo (z którym nosiła się jak z jajkiem przez całe siedem dni, by potem utracić je całkowicie w ciągu tyłuż sekund), tym razem wymierzone w męża, który był takim głupim durniem, że doprowadził do podobnej sytuacji. Z oburzeniem doświadczonej małżonki, która jest pewna swojej władzy, obiecała sobie twardo, że będzie się miała z pyszna.

– Nie znam tak jak ty tajników twojej pracy – powiedziała – ale wydawałoby się, że pierwszą i najlepszą rzeczą byłoby pozbyć się z magazynu sierżanta Galowicza.

– Widocznie nie znasz i swojego męża. Obecnie mógłby się zgodzić na zwolnienie Galowicza za jakiś miesiąc, może dwa, ale z pewnością nie wcześniej niż za miesiąc, a prawdopodobnie dużo więcej niż dwa, dopiero wtedy, gdy będzie mógł zachować twarz, a Ike narazi mu się dostateczną ilość razy, żeby go doprowadzić do pasji.

– Nie, wtedy, kiedy ja wezmę się do niego – odpowiedziała Karen sucho. – Kogo chcesz mieć w magazynie na miejsce sierżanta Galowicza?

Przez chwilę, z wyraźnym drgnieniem serca, Warden ujrzał przed sobą nową, stuprocentową niezawodną metodę odmłodzenia i pokierowania swoją kompanią; miał ochotę kopnąć się w tyłek za to, że nie pomyślał o tym wcześniej. Przy takim systemie nie było granic tego, co człowiek mógł osiągnąć.

A potem przypomniał sobie, że za późno, że Leva już zwiął, że nawet tą czarodziejską różdżką nie można by go dotknąć w kompanii M, i wszystko się zawaliło.

– Pete'a Karelsena – odpowiedział bez wahania, widząc z goryczą niknące w oddali

skrzydła wszystkich tych wspaniałych możliwości, które przepuścił. – On jest jedynym, który się zetknął z pracą w magazynie. Ale miał z tym do czynienia za mało i zbyt wiele lat temu.

– Na pewno będzie lepszy od sierżanta Galowicza – odparła spokojnie Karen. – A jeżeli jest tylko on, to jego ci trzeba. Nie masz możliwości wyboru.

– Pewnie, że byłby lepszy. Ale nie dość dobry.

– Więc to jest załatwione. Będzie sierżant Karelsen. Daj mi tydzień czasu – powiedziała sucho. – Tylko tydzień, a sierżant Karelsen przyjdzie do magazynu na miejsce sierżanta Galowicza. Może nawet nie będzie trzeba tygodnia – dodała stanowczo, radośnie.

– Tak czy owak, to potrwa całe miesiące.

– Ależ, kochanie, nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. Z pewnością na dłuższą metę sierżant Karelsen będzie lepszy od sierżanta Galowicza. A tego właśnie szukamy, tej dłuższej mety. Myślałam, że dążymy do czegoś ustalonego i trwałego. Jeżeli musimy się rozłączyć na jakiś czas w imię naszej przyszłości – dodała stanowczo – to trzeba się rozłączyć i koniec.

– Wszystko sobie obmyślaś. No, dobrze, powiedzmy, że musimy się rozstać tylko na cztery miesiące. W imię naszej przyszłości. Tylko cztery miesiące. Skromnie licząc. Czy zapomniałaś, że za rok od dziś będziemy już prowadzili wojnę?

– Cóż, na to nie mam rady – odparła Karen, spokojnie to odrzucając.

– Zaznacz to sobie w kalendarzu. Dwudziestego trzeciego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Milt Warden powiedział ci, że za niewiele więcej niż rok będziemy już brali udział w tej wojnie. Możliwe, że to będzie nawet prędzej niż za rok – dodał lubując się tym, że przedstawia rzecz jeszcze gorzej.

– Doskonale – odpowiedziała spokojnie Karen. – Przypuśćmy, że przystąpimy do niej w niecały rok. Czy to znaczy, że mamy przekreślić wszystko, co było między nami? Czy to znaczy, że mamy sobie powiedzieć: do diabła z naszą przyszłością, do diabła z naszymi planami? A co zrobimy potem, po wojnie?

– Tego nie powiedziałem! – zawołał Warden, którego zaczynał złościć jej brak zrozumienia. – Mówiłem tylko, że głupio jest żyć przez całe życie przyszłością, kiedy może jej wcale nie być. Owszem, trzeba planować na przyszłość, to jasne. Ale niech plany na tę przyszłość, której może wcale nie być, nie zastępują nam tej odrobiny życia, którą możemy przeżyć teraz.

– A ja mówię – odparła Karen, którą zaczynał złościć jego brak zrozumienia – że nie powinniśmy w tej chwili ryzykować i robić rzeczy, które nawet nie dają nam szczęścia same w sobie, a mogą nam odebrać wszelkie szansę na przyszłość. Mówię, że jeżeli już coś musi ucierpieć, niech ucierpi terazniejszość dla dobra przyszłości.

– A ja mówię, że jeżeli nie możemy mieć tych popołudni, tak jak sobie planowaliśmy

– rzekł Warden dochodząc do punktu, o którym oboje wiedzieli, że jest już bliski – to możemy przynajmniej mieć parę nocy, nawet jeżeli to jest trochę bardziej niebezpieczne. Za rok od dziś może nie będziemy mieli tej sposobności.

– Wiesz, co o tym myślę – odparła Karen.

– Jasne, że wiem, co o tym myślisz. A ty wiesz, co ja o tym myślę.

– Uważasz, że mnie to jest obojętne, głuptasie? – spytała Karen, nareszcie jawnie rozgniewana. – Strasznie dużo mam do stracenia, jeżeli nas przyłapią, co? Przecież ja tylko myślę o tobie, wariacie. Gdyby nas nakryli, co by się z tobą stało? Z tobą, żołnierzem uwikłanym w romans z żoną oficera, i to nie żoną pierwszego lepszego oficera, ale żoną dowódcy twojej własnej kompanii!

– A ja mówię: gwizdź na to – warknął Warden. – Nie mogą mi zrobić większej krzywdy, niż zrobi mi wojna. Kiedy wojna zagląda w oczy, człowiek woli żyć dniem dzisiejszym. Gdybyś była w Chinach, jak ja, myślałabyś tak samo.

– Możliwe – odparła Karen lodowato – ale pozwól, że cię o coś zapytam: czy to ta doktryna filozoficzna powstrzymała cię od złożenia podania na kurs oficera, tak jak mi zapowiadałeś?

Szło mu doskonale, zaczynał się dobrze rozgrzewać i nawet był bliski udowodnienia swojej racji. Ale to go zatkało.

Nastąpiła dłuższa cisza.

Karen czekając na odpowiedź zwróciła na niego to samo stalowookie spojrzenie, które z taką radością obserwował, kiedy je przeznaczała dla Holmesa, ale teraz nie sprawiało mu satysfakcji.

– Tak – odrzekł zdławionym głosem. – Właśnie to była przyczyna.

– W takim razie – powiedziała sucho – nie rozumiem, jak można ode mnie wymagać, żebym ryzykowała i narażała się w imię twoich czysto zwierzęcych zachcianek, dla kilku nocy w łóżku.

I pozwól, że powiem ci jeszcze coś, mój przyjacielu – ciągnęła wymawiając słowa precyzyjnie jak wykwalifikowana pielęgniarka rozmawiająca ze znękanym pacjentem. – Mężczyźnie jest bardzo łatwo mówić o życiu teraźniejszością. O wiele łatwiej niż kobiecie, która może skręcić kark za każdym razem, kiedy mężczyzna zabawia się teraźniejszością. Bogu dzięki, to jest rzecz, o którą nie muszę się martwić. Ale jest wiele innych: na przykład, co zrobić, jak mąż mnie wygna, a potem kochanek mnie rzuci, kiedy będzie musiał mnie utrzymywać? A mnie nie nauczono niczego poza tym, jak być czyjąś żoną i jak politykować i kombinować, żeby osiągnąć tę odrobinę powodzenia, którą mogę osiągnąć przez stanie za plecami jakiegoś durnia i popychanie go naprzód. Może to właśnie rozumiałeś przez życie

teraźniejszością? Że po prostu będziemy robili tamto, kiedy ci przyjdzie ochota, co najwyraźniej ma miejsce przez cały czas, a machniemy ręką na ten stopień oficerski i na małżeństwo, które od niego zależy? Może o to ci chodziło?

– Ja to zrobiłem, to znaczy, tego nie zrobiłem, bo nie chciałem, żeby cokolwiek rozbiło nam te popołudnia, a jakbym musiał się uczyć do tego kursu, byłoby tak na pewno – rzekł Warden przyciszonym, zdławionym głosem. – Dlatego tak zrobiłem.

– A dlaczego mi nie powiedziałaś zamiast kłamać?

– Bo wiedziałem doskonale, że zareagujesz właśnie w ten sposób. Dlatego.

– Ale może bym tak nie zareagowała, gdybyś postąpił uczciwie. Nigdy ci to nie przyszło do głowy?

– Też byłoby to samo – powiedział Warden.

– A więc – rzekła z tryumfem Karen, która miała go w ręku, czyby odpowiedział tak, czy owak – doszedłeś już do stadium męża, który mówi swojej żoneczce tylko taki procent prawdy, jaki, jego zdaniem, powinna znać. I to nawet jeszcze przed osiągnięciem godności męża. Nie uważasz, że to jest odrobinę pochopne? Żeby nie powiedzieć zarozumiałe?

– Nie bardziej zarozumiałe niż to twoje sztorcowanie mnie, tak jakbyś była moją lepszą połową o twardej ręce! – Warden pod tymi razami buchnął gwałtownym płomieniem niczym kawałek papieru pod dokładnie zogniskowanym szkłem powiększającym.

– Ano, może nie będziesz musiał znosić tego zbyt długo – zagroziła mu sucho Karen.

– A ty nie będziesz musiała znosić męskich zachcianek.

– Za czym pobrali się i odtąd zawsze żyli nieszczęśliwie – uśmiechnęła się Karen.

– Właśnie – odrzekł Warden. Uśmiechnął się do niej krzywo, czując, jak wytworzone przez tę kobietę poczucie winy rozchodzi się po nim niby pełzające powoli macki grzyba.

– Nie miej takiej strasznie skruszonej miny – powiedziała Karen z niesmakiem.

– A kto tu ma skruszoną minę, psiakrew?

– No, przynajmniej nie będziesz już miał tej wymówki, jaką były nasze śliczne popołudnia, żeby nie składać tego podania – powiedziała z okrucieństwem.

– Złożę to draństwo, złożę, nie myśl, że nie – odparł, znowu dotknięty. „Jak one potrafią to robić, raz po raz, jedno po drugim, za każdym razem tak, żeby ukłuć najmocniej; to doprawdy nie do wiary, nawet u wyższej rasy.”

– Myślisz, że to jest takie proste – powiedziała Karen. – Że nie ma w tym nic trudnego. Popełniłeś ten błąd, żeś w ogóle pozwolił, abym ci zaufała. A ileż razy widziałam, jak rozbierałeś w myśli każdego młodego kociaka, którego mijaliśmy na ulicy, nawet kiedy przelatywaliśmy wozem z szybkością pięćdziesięciu mil na godzinę, i siedząc przy tobie wiedziałam bez cienia wątpliwości, że zupełnie o mnie zapomniałeś i bierzesz ją w myśli do

łóżka.

– Rany boskie! – zaprotestował ze *zgrozą* Warden. – Ja tego wcale nie robię!

Karen uśmiechnęła się.

– No, bo to jest zupełnie co innego – ciągnął. – Naprawdę. Te dwie rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego. Z nimi to jest tak, jakby się szło do burdelu, jakby...

– Mam ochotę wydrapać ci oczy – przerwała mu Karen.

– Ech – rzekł Warden – a jak ci się zdaje, mało razy patrzyłem, jak jechałaś do domu, i wiedziałem, że będziesz spała w jednym pokoju z tym sukinsynem, kto wie, może w jednym łóżku? Kiedy ja wracam na swoją pryczę i wyobrażam sobie każdy najdrobniejszy fizyczny szczegół. Nie uważam, żebyś się mogła zbyt uskarżać na to, że jesteś czyjąś prywatną własnością.

– Ty głupi idioto! – wybuchła wściekle Karen. – Jak możesz właśnie ty ze wszystkich ludzi na świecie pomyśleć, że mogłabym mieć jeszcze coś wspólnego z Daną? Nie czuje do niego nic. Nie wiem, czy któreś z nas kiedykolwiek to czuło. Mogłabym być z nim w przyjaźni, w bliskiej przyjaźni, gdyby mi pozwolił, ale jeżeli idzie o tamto... to w ogóle odpada. Nigdy nie wracam do mężczyzny, który mnie zawiódł. Jeżeli nie jestem cnotliwa, to przynajmniej mam tyle dumy. Myśl o innym mężczyźnie przyprawia mnie o fizyczne mdłości.

– A mnie to ogromnie ułatwia sprawę, co?

– Nie myślę, żeby twój los ze mną był o wiele cięższy niż mój z tobą – powiedziała Karen.

– Za czym pobrali się i odtąd zawsze żyli nieszczęśliwie – uśmiechnął się do niej złośliwie Warden.

– Tak – odrzekła Karen. – To widać jest tradycyjna procedura.

– Wiesz co? – powiedział głucho Warden. – My jesteśmy zupełnie tacy sami. Jesteśmy absolutnymi przeciwieństwami, a jednak jesteśmy tacy sami.

– Oboje wyobrażamy sobie, że to drugie chce odejść – dodała Karen – i nie uważamy, żeby doceniało nas tak, jak my je doceniamy.

– Klniemy i napadamy na siebie wzajemnie za robienie identycznie tych samych rzeczy – odrzekł Warden – i oboje jesteśmy tak diabelnie zazdrośni, że ledwie możemy wytrzymać.

– Wyobrażamy sobie przeróżne okropne rzeczy – powiedziała Karen

– i uważamy, że to drugie w ogóle nie jest nas warte.

– Nigdy w życiu nie było mi tak źle, jak odkąd ciebie poznałem – rzekł Warden.

– Ani mnie – odparła Karen.

– Nie oddałbym z tego ani jednej minuty – powiedział Warden.

– Ani ja – odrzekła Karen.

– Myślałby kto, że jesteśmy dosyć dorośli, żeby być mądrzejsi – powiedział Warden.

– Powinniśmy być – odparła Karen.

– A jednak nie zamieniłbym się – rzekł Warden.

– Miłość taka jak nasza zawsze była cierpieniem – powiedziała żarliwie Karen, której zabłyśły oczy. – Oboje wiedzieliśmy o tym, kiedyśmy się w to wdali. Miłość taka jak nasza zawsze była znienawidzona – mówiła patrząc na niego z rozchylonymi ustami i ciepło błyszczącymi oczyma jakiejś Joanny d'Arc, tak że nagle straszliwie zapragnął wziąć ją do łóżka. – Społeczeństwo robi wszystko, co potrafi, żeby nie dopuścić do takiej miłości jak nasza, a jeżeli nie może nie dopuścić, to ją niszczy. Bezpieczni w małżeństwie mężczyźni amerykańscy nie lubią myśleć, że ich żony mają prawo ich opuścić – w każdym razie nie dla miłości, bo za nią nikt jeszcze nic nie kupił. A bezpieczne w małżeństwie amerykańskie kobiety, którym wmówiono, że trzeba w to wierzyć, pojmują, że zostały wywiedzione w pole, i dlatego najgorzej nienawidzą takiej właśnie miłości, bo wszystkie musiały ją poświęcić dla bezpieczeństwa, i nienawidzą siebie za to, że tak zrobiły – nienawidzą tak bardzo, że nie chcą, aby ktokolwiek inny pokosztował tej miłości. Bo jeżeli bodaj raz uznają, że jest prawdziwa, wtedy okaże się, że życie ich i ich mężczyzn zostało zmarnowane. Dwa czy trzy lata głupiej młodzieńczej miłości, z której zrezygnowały i przekonały same siebie, że z niej wyrosły. Dlatego jest takie ważne, żebyśmy nie utracili naszej miłości; dlatego musimy walczyć tak uparcie, żeby ją utrzymać. Walczyć ze wszystkimi i z nami samymi również.

– Tak – powiedział Warden.

– I jest tylko jeden sposób, Milt. Jedyne sposoby pokonania ich, to dostosować naszą miłość do ich konwenansów – zewnętrznie. Sam jej rdzeń możemy zachować nienaruszony i czysty, ale jeżeli nie dostosujemy jej zewnętrznie, skończy się na tym, że zabiją nie tylko naszą miłość, ale nas samych.

– A ja mam teraz zostać oficerem, symbolem tego wszystkiego, co zawsze było mi wrogiem, i przyjąć to obojętnie. Mam zrobić to dla ciebie.

Ty jesteś przynętą w pułapce. A oni wiedzą, jak nią manipulować, nie myśl, że nie. Co robi droga mamusia, kiedy synus wraca do domu po studiach pełen buntu i niezadowolenia ze sposobu, w jaki zawsze kierowano tym światem? Znajdują mu jakieś słodkie młode stworzonko, które by mógł mieć pod ręką, żeby sobie na nim ulżyć, i tak go kołują i kołują, aż wreszcie się ożeni, a wtedy synus się uspokaja, zabiera do swoich obowiązków, pozwala, żeby bunt z niego wycieki i przyjmuje *status quo*.

– Ja nie jestem przynętą – odparła Karen. – Nie chcę być przynętą. Nie cierpię tego tak

samo jak ty. Chyba wiesz.

– Myślisz, że prosiak uwiązany w pułapce na tygrysa chce być przynętą? I co z tego?

– Naprawdę tak myślisz, Milt?

– Tak. Przez całe życie musiałem walczyć o jedno, o jedyną rzecz, której nikt nie chce od mężczyzny: o uczciwość. A teraz mam być oficerem... Czyś ty widziała kiedy uczciwego oficera, który by pozostał oficerem?

– Więc nie możesz tego zrobić.

Warden zadzierzyście wyszczerzył do niej zęby.

– Owszem, mogę. I zrobię. – Gdyby to ona mu powiedziała, że może, zamiast pozwolić, aby sam to powiedział, oburzyłyby się i rozgniewała. Natomiast teraz, gdy patrzyła na niego wzrokiem pełnym podziwu, uczył w sobie ogromną siłę, która przychodzi wraz z dokonaniem. – Wsadzę im to w pysk, wykradnę przynętę z pułapki nie trącając sprężyny i niech ich cholera weźmie. – Wierzył w to co do słowa, ona patrzyła na niego z dumą, a on czuł jak Milt Warden nabrzmiewa w Milcie Wardenie taką siłą, jakiej dotychczas jeszcze nie wyczuwał u Milta Wardena.

– Jesteśmy zupełnie identyczni – powiedziała Karen. – Zupełnie identyczni.

– I nie oddałbym z tego ani jednej minuty – odrzekł.

– Och, Milt – rzekła Karen. – Ja nie chcę być przynętą. Kocham cię, Milt. Chcę ci dopomóc, a nie zaszkodzić.

– Słuchaj – powiedział z zapalem. – Należy mi się trzydziestodniowy urlop przed ponownym zaciągiem i odkładałem go, odkąd przyszedłem do tej kompanii. A mam w banku sześćset dolarów. Weźmiemy ten urlop, pojedziemy w jakieś miejsce na Wyspach, które sobie wybierzesz, i przeżyjemy coś, czego nikt nam nie zdoła nigdy odebrać, wojna nie wojna, czy będzie się waliło, czy paliło.

– Och, Milt – odrzekła cicho, a sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że zrobiło mu się tak dobrze jak nigdy w życiu – to byłoby cudowne. Wyobraź sobie: tylko my dwoje, bez ukrywania się, bez udawania. Czy nie byłoby cudownie?

– Będzie cudownie – poprawił.

– Ach, gdybyśmy mogli to zrobić!

– Nie tylko możemy, ale zrobimy. Co nas może powstrzymać?

– Nic – odparła. – Nic oprócz nas samych.

– No, to w porządku.

– Och, czy ty nie rozumiesz, Milt? Nie mogłabym wyjechać na tak długo. To jest cudowny sen i kocham cię za niego, ale nie możemy tego zrobić. Nie mogłabym zostawić mojego małego na tak długo.

– Czemu nie? Kiedyś będziesz musiała zostawić go na dobre, prawda? – odparł z uporem.

– No, oczywiście – powiedziała bezradnie Karen – ale to co innego. Dopóki nie zerwę z Daną, ponoszę za niego odpowiedzialność, której nie mogę z siebie zrzucić. Biedaczkowi i tak będzie dość ciężko w tym życiu, które mu przeznaczono. Należy mu się ode mnie przynajmniej tyle. Nie rozumiesz, Milt? To jest sen. Nie może nam się udać. Jakże wytłumaczę swój wyjazd na cały miesiąc? Dana już teraz coś podejrzewa, a gdybym...

– Niech sobie podejrzewa, drań jeden. A on ci był wierny, co?

– Kiedy nie możemy tego zrobić. Musimy zachować wszystko w tajemnicy, dopóki nie dostaniesz stopnia oficerskiego i nie wyjdiesz z jego kompanii; wszystko od tego zależy: Czy ty nie rozumiesz?

– Nigdy nie miałem ochoty chować się przed nim – odparł uparcie Warden. – Kim on jest, do cholery, żebym się przed nim ukrywał?

– Nie idzie o to, kim jest, ale czym jest. Wiesz doskonale, Milt. A gdybym wyjechała na miesiąc w tym samym czasie, kiedy ty weźmiesz urlop...

– Wiem – wtrącił ponuro Warden. – Tylko że chwilami mnie ponosi i mam wszystkiego wyżej uszu.

– To by nam się nie udało, Milt. Nie rozumiesz? Nie na trzydzieści dni. Może na dziesięć. Pewnie zdołałabym się wyrwać na dziesięć dni. Ale nie na trzydzieści. Mógłbyś wziąć ten urlop, a ja wyjechałabym w tydzień później, spotkała się z tobą gdzieś na dziesięć dni i wróciła wcześniej, przed twoim powrotem.

Warden próbował podzielić swoje marzenie przez trzy. Nie było to łatwe zadanie. Nie sposób nawet wydać sześciuset dolarów w dziesięć dni. Nie odpowiedział.

– Och, Milt – mówiła – nie widzisz, jak to jest? Byłabym szczęśliwa. Zrobiłabym wszystko, żeby mieć taką szansę. Ale nie na trzydzieści dni. Po prostu nie mogę.

– Chyba masz rację – odrzekł. – Zdaje się, że to była zwykła mrzonka.

– Och, kiedy, Milt, kiedy? – westchnęła. – Czy będzie tak trwało bez końca? Czy nigdy nie będziemy mogli robić czegoś bez obawy? Bez konieczności obliczania, planowania i krycia się jak zbrodniarze? Kiedy, Milt, kiedy?

– No, dziecinko – powiedział Warden. – No, już dobrze. Dziesięć dni to też coś. Dziesięć dni to świetnie. Wszystko się załatwi, zobaczysz – mówił gładząc jej drobną głowę, która sprawiała, że zawsze wydawał się sobie prostacki, niezgrabny i niebezpieczny, jak gdyby dotyka! jajka.

– Dziesięć dni? Psiakrew, dziesięć dni to całe życie. Zobaczysz.

– Ja tak nie mogę dłużej, Milt – mówiła Karen wtulając twarz w wojskową koszulę

przepojoną męskim zapachem, pozwalając sobie na luksus odrzucenia barier przynajmniej raz, rozkoszując się przez krótką chwilę tym odwiecznym poniżeniem, że jest kobietą.

– Nie mogę tak dłużej – szlochała rozsmakowując się w poczuciu, że jest się wiecznie uchwyconą i utrzymaną w twardych objęciach mężczyzny, wiecznie upokarzaną jego nieskromnymi zachciankami, na zawsze uwięzioną pod jego ciężkim jak ołów brzemieniem, spod którego nie sposób się wyśliznąć, na zawsze bezsilną i zdaną na łaskę jego, który bezlitośnie bierze to, czego chce, na tę łaskę, której wszystkie kobiety uczą się instynktownie nie oczekiwać. – Nie mogę nawet pójść do kantyny, żeby nie czuć na sobie ich oczu. Nigdy w życiu nie byłam tak jawnie poniżona – mówiła delektując się tym. „Tego chcą oni wszyscy – myślała. – Tego chce każdy z nich. Dajesz im najważniejszą rzecz, jaką posiadasz, najintymniejszy twój sekret, a oni... po prostu to biorą. A więc niech mają. Niech każdy ma po trochu. Niech się trą, parzą i grzeją, ale jeśli to takie nieważne, dlaczego każdy tak usilnie pilnuje, nie dać tego drugiemu?” – Nie mogę tak dłużej, Milt – szepnęła.

– No, dobrze, już dobrze – powiedział Warden czując, że krew napływa mu falą do oczu i wszystko czerwieni niczym zmięczonych w górach, i nie wiedząc, czemu tak jest. – Dobrze, dziecinko, nie będziesz już musiała. Nie będziesz musiała tego znosić. Chodź – powiedział. – Zejdźmy na plażę i popływajmy sobie ostro, porządnie, a potem chodźmy gdzieś i popieścmy się. – W momencie, kiedy mu się to wymknęło, wiedział już, że nie powinien był tego mówić.

Karen wyprostowała się i wpatrywała w niego przenikliwie podobnymi do kocich oczyma, z których jeszcze ściekały łzy.

– Nie idzie ci tylko o ciało, prawda, Milt? – zapytała głosem napiętym i dźwięczącym jak kryształ, który może pęknąć od zbyt silnego dotknięcia.

– To nie jest tylko zwierzęce pożądanie? Chcesz czegoś więcej, prawda? Jest w tym coś jeszcze, nie, Milt? Ja wiem, że miłość to coś więcej. Prawda, Milt?

Warden przytrzymał tę swoją miłość za brzeżek i obejrzał ją przez powiększające szkło zwierzęcego pożądania.

– Prawda, Milt?

– Jasne, że tak. O wiele więcej.

Nie było celu próbować dyskusji ani tłumaczyć od nowa. Przez chwilę chciał jej strasznie; teraz nie bardzo mu na tym zależało. Trzeba było tak się napracować, żeby to dostać, iż w końcu, kiedy już się dostało, odczuwałeś zawód. Szczytowy punkt, jak tamtego pierwszego dnia w jej domu, już minął, i cały zapal wystygł.

– Chodź – powiedział czując owo ciśnienie pary, które zrodziło się z ognia, ale było pozbawione kłapy bezpieczeństwa. – Popływamy.

– A ty nie musisz wracać do koszar? – spytała Karen niespokojnie.

– Niech je szlag trafi.

– Nie – powiedziała Karen, znowu zupełnie spokojnie i stanowczo.

– Nie mogę na to pozwolić. Chociażbym nie wiem jak chciała. Odwiozę cię do miasta, a tam złapiesz taksówkę do koszar.

– Dobrze – powiedział Warden. – W porządku. Zresztą nie miałem wielkiej ochoty pływać.

Teraz i tak nic by z tego nie wyszło, ani z ostrego porządnego pływania, ani z pieszczot, których pragnął; trzeba by za dużo wysiłku. Wsiadł do samochodu, a ona odwiozła go do miasta tak dumnie, jak gdyby robiła ogromne poświęcenie, i tak radośnie jak skaut, który spełnia swój dobry uczynek na dany dzień. On zaś siedział obok niej, paląc papierosa nieomal równie zaciekle i spoglądając przez przednią szybę nieomal równie pośepnie, jak wtedy gdy jechał w tę stronę, tylko z zupełnie innej przyczyny.

– Możesz napisać do mnie, kiedy się dowiesz o ten urlop – powiedziała.

– Włóż list do zwykłej koperty, bez adresu nadawcy, i wyślij go z miasta. Zamiast telefonować. Chyba to nie są za wielkie wymagania?

– Nie – odpowiedział. – To nie są za wielkie wymagania. Uparła się, że będzie czekała na Richards Street, przy rogu przecznicy niedaleko gmachu YMCA, dopóki nie zobaczy go w taksówce. Nie miał nawet możliwości, żeby skoczyć na jednego „Pod Czarnego Kota”.

Warden zasiadł na tylnym siedzeniu taksówki między dwoma pijanymi marynarzami, którzy dopiero co przybyli z Dago i jechali zwiedzić Schofield, i patrzył, jak Karen przejeżdża obok i skręca w Hotel Street, podczas gdy taksówkarz zbierał komplet pasażerów, na który czekał.

Milt Warden już od dłuższego czasu miał wrażenie, że Dana po cichu śmieje się z niego. Dana (prawie zawsze nazywał go w myśli „Dana”; najwyraźniej spanie z czyjąś żoną zbliża ludzi – może dlatego wojsko jest temu tak bardzo przeciwne, zwłaszcza jeżeli idzie o żołnierzy) – Dana mógł sobie pozwolić na śmiech. Bo ostatnio Warden coraz wyraźniej zaczynał odgadywać przyczynę:

– Karen była żoną Dana. To znaczy, że była mu poślubiona wobec Prawa, urodziła mu dziecko i zależała od niego, jeżeli idzie o zabezpieczenie, swobodę i pieniądze, które musiała mieć, ażeby móc prowadzić swój romans z Miltem Wardenem. Pieniądze, które wpływałyby regularnie co miesiąc, rok po roku, a nie dorywczo, od czasu do czasu, tak jak pieniądze z pokera. Zabezpieczenie, którego Milt Warden nie mógł jej zapewnić jeszcze przez całe lata. Swobodę, której Milt Warden nie mógłby jej dać, dopóki by Milt Warden ją kochał.

Nic więc dziwnego, że Dana mógł pozwolić sobie na śmiech. Karen mogła kochać

Milta Wardena, ale Dana Holmes był tą bazą, z której działała. Jeżeli nawet spotykała się z Miltem Wardenem każdego popołudnia, to jednak zawsze skrupulatnie wracała przed dziewiątą do domu, do Dany. Było to tak, jak gdyby mieli umowę handlową, której on nie mógł zerwać.

Dana trzymał w ręku wszystkie karty. I z ową pogodną, krzepką, mieszczańską pewnością siebie, którą Warden, nie mając jej nigdy, nagle znienawidził bardziej nieubłaganie niż kiedykolwiek, Dana wiedział, że trzyma w ręku wszystkie karty. Wystarczyło mu tylko siedzieć twardo w siodle, przeczekać i popuścić jej wodzy, tak jak się zawsze robi z nerwową, ostrą klaczą. (Nigdy nie ściąga się wodzy ostrej klaczy, panowie, i nigdy nie trzeba krótko trzymać ostrej żony.)

Trzeba tylko przeczekać, panowie. I zastosować cierpliwość, największą ze wszystkich cnót.

W końcu znudzi się jej miłość, a wtedy przepęźnie z powrotem do ciepłego domowego ogniska.

Dana miał za sobą Społeczeństwo, Pozycję, Osąd Moralny, Czas, Tradycję, Zabezpieczenie (zwłaszcza Zabezpieczenie) oraz całe pokolenia zdradzanych mężów, które nauczyły go, jak wygrywać stosując cierpliwość.

Dana Holmes mógł sobie pozwolić na to, żeby się śmiać z Milta Wardena.

A Milt Warden czuł to za każdym razem, kiedy patrzył, jak Karen odjeżdża zdezelowanym buickiem męża z powrotem do domu.

Cała bieda polegała na tym, iż przyznał się jej, że ją kocha. To zawsze był największy błąd w tej grze. To go oddało w jej władzę, tak jak Dana nigdy nie był w jej władzy. Teraz mogła zmusić go do wszystkiego, nawet do tego, żeby został oficerem, skoro już była pewna, że ją kocha. Nie miał już wolnej woli i w rezultacie tamta dawna, dzika, straszliwa siła, która była potęgą i dumą Milta Wardena, zniknęła.

Ale o takich rzeczach myślał tylko wtedy, gdy patrzył, jak Karen odjeżdża z powrotem do domu. Nie myślał o tym nigdy, kiedy był z nią. Kiedy był z nią, myślał jedynie o tym, jak cudownie jest być zakochanym.

Wrócił do koszar dość wcześnie, aby napisać przed kolacją swoje podanie o przyjęcie na eksternistyczny kurs oficerów piechoty. Pozostałe papiery dotyczące Bluma leżały wciąż na jego biurku, więc odsunął je, aby przygotować podanie, które następnie podpisał i położył na biurku Holmesa. Wrócił do sprawy Bluma, załatwił wszystko i oparł się w krzesło oczekując posiłku oraz dalszego rozwoju wypadków.

Dalszy rozwój nastąpił po tygodniu i Ike Galowicz został bez ceremonii zwolniony z magazynu ustępując miejsca sierżantowi Pete'owi Karelsenowi, któremu Dana (o, przepr...

kapitan Holmes) przekazał w spadku jeszcze bardziej zagmatwany bałagan i zmusił do przyjęcia takowego grożąc mu utratą stopnia oraz uroczyście przyrzekając, że gdy tylko dostatecznie poduczy nowego absolwenta szkoły podoficerskiej, boksera wagi piórkowej, Malleaux, ażeby mógł przejąć magazyn, wróci do swego ukochanego plutonu broni ciężkiej. Pete nie odzywał się do Wardena przez dwa tygodnie.

Ale jeszcze przedtem kapitan Holmes, przyszedłszy rano do kancelarii, znalazł na biurku podpisane podanie i tak się uradował, że z miejsca zaproponował swojemu sierżantowi-szefowi trzydniową przepustkę, pomimo stanu, w jakim się znajdowała administracja kompanii, a kiedy Warden odmówił, ponieważ – jak oświadczył – uważał, że nie może oddalać się w momencie, gdy kompania znalazła się w tak fatalnym dołku, kapitan nie tylko się uradował, ale ledwie mógł dać wyraz swojemu uznaniu i po raz pierwszy od miesięcy zaczął nosić swojego sierżanta-szefa na rękach. Warden zczekał do następnego dnia po zainstalowaniu Pete'a w magazynie i dopiero wtedy poprosił o swój niewykorzystany trzydziestodniowy urlop przed ponownym zaciągiem.

Wobec takiego żądania nawet żarliwa dobra wola Holmesa zbladła wyraźnie.

– Ależ, mój Boże, sierzancie! Trzydzieści dni! – powiedział, nawet nie uderzywszy się dłonią w czoło. – To niemożliwe! Sam pan wie! Chętnie dam panu trzydniową przepustkę, przecież mówiłem; nawet dwie trzydniowe jedna po drugiej. Wtedy będzie pan mógł zaoszczędzić sobie cały urlop bez wpisywania czegokolwiek do książki. Ale trzydzieści dni? Boże kochany! – zaprotestował. – W takim momencie?

– Panie kapitanie, to mi się należy już od roku z górą – drążył nieubłagane Warden. – I ciągle to odkładałem. Jeżeli teraz nie wezmę tego urlopu, nie dostanę go wcale. Mając sierżanta Karelsena w magazynie możemy spać spokojnie co najmniej przez następne sześć miesięcy. A jeżeli będę czekał tak długo, to nigdy nie dostanę tego urlopu.

– Według przepisów – powiedział sucho Holmes, którego dobra wola odpływała jeszcze dalej – nie ma pan w ogóle tytułu do tego w tej chwili. Sam pan przecież wie, sierzancie. Jeżeli odkłada się taki urlop przez więcej niż trzy miesiące, zostaje on skreślony. Powinien pan być wziąć go wtedy, we właściwym czasie.

– Według przepisów powinienem był machnąć ręką na tę kompanię – odparł Warden. – Nie wziąłem urlopu dlatego, że chciałem postawić ją na nogi, jak panu kapitanowi wiadomo.

– Choćby nawet – powiedział Holmes z wahaniem. – Trzydzieści dni! W takim momencie! To po prostu niemożliwe.

– Odkładałem urlop dla dobra kompanii – odrzekł Warden z uporem. Był za sprytny, żeby wystąpić z czymś tak brutalnym jak jawna groźba; to by miało tylko ten skutek, że

Holmes odmówiłby przez ambicję. Jednakże sugestia była wyraźna, a pamięć o przeniesieniu się Levy zaledwie przed tygodniem pozostawała wciąż jeszcze świeża. Kapitan „Dynamit” Holmes nie był już ulubieńcem Jake'a Delberta.

„Dynamit” odsunął z czoła kapelusz i usiadł przy biurku.

– Coś panu powiem, sierżancie – zaczął poufnie. – Niedługo zostanie pan oficerem, i to się panu może przydać na przyszłość. Niechże pan siada. Niech pan siada, sierżancie. Psiakrew, za dwa czy trzy miesiące będzie mnie pan ogrywał w pokera w Klubie. Nie potrzebujemy dalej zachowywać tego oficjalnego stosunku oficera do podkomendnego.

Warden usiadł skromnie.

– Nie spodziewam się zostać dużo dłużej w tym pułku – mówił „Dynamit” wylewnie, lecz wciąż poufnie. – Oczywiście, sam pan rozumie, że to nie może się rozejść. Ale prawdopodobnie za jakiś miesiąc czy dwa zostaną przydzielony do sztabu brygady w stopniu majora, na osobisty rozkaz generała Slatera.

– To wspaniale – usłyszał własny głos Warden.

– Może pan myślał, tak jak myślało wielu innych, że sam sobie poderznięłem gardło popadając w niełaskę u naszego Wielkiego Białego Ojca

– uśmiechnął się „Dynamit”. – Ale w tym moim szaleństwie była metoda. Tego nikt nie wie. Mam zostać przybocznym adiutantem generała Slatera – powiedział raptownie i zamilkł.

– Niech mnie licho! – zawołał Warden udając zdumienie.

– Pierwszą rzeczą, jakiej musi się nauczyć oficer, to potrafić często zmieniać konie pośrodku rzeki bez zamoczenia sobie nóg – uśmiechnął się „Dynamit”. – Ze wszystkich rzeczy, które oficer powinien umieć, ta jest najważniejsza. Z żołnierzami i podoficerami jest inaczej; mogą się obejść bez politykowania. Ono może im pomóc, ma się rozumieć, ale nie jest bezwzględnie konieczne; mogą dać sobie radę bez tego. Natomiast oficer nie. To pierwsza rzecz, której pan musi się nauczyć.

– Tak jest – usłyszał własny głos Warden. – Dziękuję, panie kapitanie.

– Tamto nie nastąpi jeszcze przez kilka miesięcy – mówił „Dynamit” – ale jest pewne jak dwa a dwa cztery. Gdyby pan sam nie miał zostać oficerem, a ja bym nie uważał, że to może się panu przydać, w ogóle bym tego nie mówił. Ale kiedy będę odchodził z tego oddziału do brygady, przedstawię pana do czterdziestodniowego urlopu. Co pan na to?

– Wolałbym dostać go teraz – odparł Warden. – I chcę mieć pełne trzydzieści dni. Gdyby mi się nie należały, byłoby co innego.

„Dynamit” potrząsnął głową.

– Robię panu godziwą propozycję, sierżancie – powiedział łagodnie.

– Bardziej jako towarzysz broni niż jako pański dowódca. Gdyby pan nie miał zostać tym, czym pan zostanie, prawdopodobnie nie zrobiłbym i tego. Ale właśnie z tej przyczyny traktuję pana jako równego sobie.

Jednakże – mówił dalej przyjaznym tonem – nie mogę zrobić absolutnie nic więcej. Mnie, tak samo jak pana, guzik obchodzi, co będzie z tym oddziałem, ale jeżeli przedstawię pana do pełnego trzydziestodniowego urlopu, kiedy kompania jest w takim stanie, a zwłaszcza w takim momencie, spotka się to jedynie z odmową i będzie czarną kreską przeciwko nam obu. To właśnie jest polityka. W obecnej chwili dzieje się znacznie więcej niż widać na pierwszy rzut oka, sierzancie – dodał przebiegle, z miną człowieka wtajemniczonego.

Warden przypatrywał mu się bacznie, wciąż czując skrępowanie, że siedzi.

– No więc, co pan na to? – zapytał łagodnie „Dynamit”. – Czternaście dni. Za dwa miesiące od dzisiaj. Nikt nie mógłby zrobić dla pana więcej w obecnych okolicznościach.

– W takim razie wezmę to – powiedział Warden. – Nie można napierać na kogoś bez końca. Jeżeli się za długo wyciska pomarańczę, nie tylko nie otrzymuje się więcej soku, ale się ją rozdziera.

– Świetnie! – zawołał Holmes. – No, to umowa stoi. Oczywiście pod warunkiem, że zarówno sprawa pańskiego urlopu, jak i mojego przydziału nie wyjdzie poza ten pokój.

– W porządku – powiedział Warden.

– To jest zabezpieczenie – wyjaśnił Holmes. – Niech pan mi wierzy, sierzancie, dla oficera nie ma jak zabezpieczenie.

– Wierzę panu – odpowiedział kwaśno Warden.

Patrzył przez okno, jak Holmes idzie przez dziedziniec, i zastanawiał się, ile razy i w jak rozmaitych okolicznościach spoglądał na ludzi przechodzących przez ten dziedziniec. Gdyby się to nie zdarzyło jemu samemu, nie dałby wiary. Więc to jest tak być oficerem? Przypominało to tych wszystkich wielkich przemysłowców, co posyłają sobie wzajemnie na Gwiazdkę prezenty płacąc za nie z funduszków reprezentacyjnych firmy – liczne, wspaniałe, kosztowne prezenty dla innych przemysłowców oraz ich żon, do ułożenia pod choinką; i to nie szkodzi nikomu, a jednak nikt nie musi za to płacić. Oczywiście, prezenty te dostają wyłącznie oni sami i ich żony.

Najbardziej zdziwił go fakt, że to idzie tak łatwo. W jednej chwili jest s.ię czymś, a w następnej kimś zupełnie odmiennym i przeciwnym. Ot, tak. Przez podpisanie dużej kartki papieru.

„Dwa miesiące – myślał. – Pełne dwa miesiące.” Wszystko wskazywało na to, że jednak Gerda Kipfer znowu zainkasuje trochę jego pieniędzy, czy chciał je wydać, czy nie. A

ten biedny lebiega Prewitt siedzi w tej norze. Prewitt i Maggio, dwie zwyczajne, normalne, pospolite ofiary, siedzą tam w norze, i już. Żadni bohaterowie, żadne Robin Hoody ani legendarni paladyni, ale po prostu dwie zwyczajne, pospolite, bardzo normalne ofiary, płacące tę zwyczajną pospolitą, bardzo normalną cenę, którą jest pozbawienie kobiety. Paskudny pech.

Jeżeli nie można mieć trzydziestu dni, trzeba się zgodzić na dziesięć. Jeżeli nie można mieć Karen wtedy i w taki sposób, jak by się chciało, trzeba się zgodzić mieć ją wtedy i w taki sposób, jak będzie można. Jeżeli nie dało się dostać trzydziestodniowego urlopu w tej chwili, trzeba było się zgodzić na czternastodniowy za dwa miesiące. Nawet Prorok przyszedł do góry, kiedy góra nie chciała przyjść do niego. Taki jest zwykły, pospolity, normalny sposób załatwiania sprawy, nawet dla proroków, a ty nie jesteś rycerzem z czasów Karolingów ani żadnym Robertem z Locksley, jesteś po prostu zwyczajnym, pospolitym, bardzo normalnym – jakże to się nazywa...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Dla baraku numer dwa Jack Malloy był zagadką, tak samo jak wszelkie żywe symbole są zagadkami dla ludzi, którzy je tworzą. Prew poznał go dosyć dobrze podczas tego okresu, kiedy Angelo siedział w Dziurze tocząc swoją walkę – poznał go lepiej niż ktokolwiek inny. Poznał go dość dobrze, aby zrozumieć, że jedyną przyczyną, dla której Malloy pozwalał mu zaglądać za zasłonę spowijającą jego przeszłość, było nie to, że widział w nim równego sobie, ale fakt, że dla Malloya Prew był kimś niższym, kto wyraźnie potrzebował pomocy. Potrzeba pomocy zdawała się być jedynym kluczem, który mógł otworzyć Jacka Malloya.

Zły to był czas dla Prewa, kiedy Angelo odsiadywał swoje trzydzieści dni w Dziurze. Prew przewidywał, jak to będzie, kiedy Angelo pewnego wieczora zdecyduje ostatecznie, że jutro ma być wielki dzień, w wyniku czego nastąpią ściskania rąk, ostatnie rozmowy i pożegnania. Prew spodziewał się, że będzie miał sposobność powiedzieć mu do widzenia. Lecz kiedy to przyszło, odbyło się zupełnie inaczej.

Siedział już z nimi cały miesiąc, a Angelo co dzień próbował się zdecydować, rozpocząć to i przeprowadzić, a za każdym razem zdarzało się coś, co go zmuszało do odłożenia sprawy. Pomimo swojej fantastycznej odwagi nawet Angelo nie miał dość nerwu, żeby to zacząć. Czekwały go ciężkie przejścia, najgorsze jak dotąd, i Angelo to wiedział i nie mógł się zdecydować, żeby zrobić początek. A kiedy wreszcie się stało, zaskoczyło ich wszystkich włącznie z Angelem, bo nastąpiło w wyniku czegoś, na co Maggio nie miał żadnego wpływu, toteż nie było w ogóle pożegnań.

Z jakichś niejasnych, osobistych powodów strażnik Turnipseed nabrał antypatii do Angela, i ta antypatia rosła, aż w końcu przeszła w jawne szykanowanie, ilekroć Turnipseed znalazł się blisko niego. Tego rana w kamieniołomie, kiedy Turnipseed stał „w jamie”, jak strażnicy nazywali posterunek na dole, który z uwagi na upał i kurz był uważany za najgorszy, Turnipseed, zapewne wskutek rozdrażnienia, zaczął prześladować Maggia jeszcze gorzej niż zwykle, łącząc „Makaroniarza”, gdy tylko ten przestał na chwilę machać młotem, aby odetchnąć, wymyślając mu w sposób szczególnie ubliżający, jeżeli odezwał się bodaj słowem, i najwyraźniej starając się podjudzić go do czegoś, za co mógłby go zamknąć – aż w końcu podszedł prosto do Maggia, który pracował w grupie ludzi, i trzymając strzelbę na lewym przedramieniu trzasnął go w twarz za to, że nie przestał rozmawiać. Prew był w tej grupie i znajdował się dość blisko, by dojrzeć błysk w bystrych, czarnych oczach Angela. Po raz pierwszy, odkąd go poznał, nie było w nich śladu owej skoncentrowanej furii, którą każdy zamach na jego osobę zapalał w oczach małego Włocha. Oczy Maggia były zimne,

kalkulujące, jak gdyby w tej samej chwili, gdy serce Prewa drgnęło na ową myśl, i on też uświadomił sobie, że to jest właśnie to, że to jest jego szansa, sytuacja, której wyczekiwał i którą pragnął stworzyć, i że jeżeli teraz z niej nie skorzysta, nie zrobi tego nigdy. Na twarzy Angela odmalowało się wahanie człowieka stojącego wobec alternatywy, że albo uczyni rzecz, której wolałby uniknąć, albo będzie musiał powiedzieć sobie raz na zawsze, że jest tchórzem.

Kiedy Turnipseed odstał w tył, ażeby baczynym okiem zaobserwować skutki swojego czynu i znaleźć coś, co mogłoby być powodem do zamknięcia Angela, ten upuścił młot i rzucił mu się z gołymi rękami do gardła, wybornie imitując bełkotliwy wrzask wariata. Było to większym przestępstwem, niż Turnipseed się spodziewał. Został zaskoczony zniemacka i zanim zdążył się ruszyć, Angelo powalił go na ziemię i zaczął dusić. Grupa więźniów włącznie z Prewem, którzy wszyscy, z wyjątkiem dwóch, byli z Dwójki, stała z młotami w rękach i patrzyła. Turnipseed zdołał odtrącić Maggia kolbą strzelby i zerwać się z ziemi, ale ten skoczył do niego znowu, wciąż rycząc jak szaleniec, i dopadł tak blisko, że tamten nawet nie mógł spróbować strzelić loftkami, i wtedy Turnipseed rozpląszczył go na ziemi ciosem luf trzymanej oburącz strzelby, w ten sposób dopełniając planu i nadziei Angela co do joty.

Mając u stóp nieprzytomnego Maggia wśród nagłej przytłaczającej ciszy, Turnipseed stał otumaniony, dysząc ciężko i pocierając szyję jedną ręką, i patrzył na grupę pozostałych więźniów, którzy się nie ruszyli i uważali, żeby nie ruszyć się teraz.

– Taak – sapnął w końcu. – Niech któryś spróbuje. Niech tylko spróbuje.

Nikt nie odpowiedział.

– Chciałbym, żebyście spróbowali – powiedział Turnipseed z nadzieją, wciąż rozcierając szyję i dysząc ciężko. – Chętnie bym kropnął któregoś z was, pierdoły. Stoicie sobie, pozwalacie, żeby ten wariat mnie dusił, i żaden palcem nie kiwnie. A bo to człowiek może się spodziewać współczucia od takiej bandy krwiożerczych wilków jak wy! – dodał oskarżycielsko.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Zanieść go we dwóch na drogę – rzekł wskazując za siebie ruchem głowy, ale nie poruszając oczami. – Reszta z powrotem do roboty, psiakrew. Ale już.

Nikt z Dwójki się nie ruszył, natomiast owi dwaj z Trójki wystąpili naprzód prędko, chociaż niechętnie, jak gdyby ktoś ich wypchnął.

– Jazda, brać go – powiedział Turnipseed. – Nie zdechł, a szkoda. Hej! – zawołał w stronę sztucznego urwiska do dwóch strażników z karabinami, którzy podeszli tam i patrzyli. – Miejcie oko na resztę tej bandy! – huknął. – O mało tu nie miałem buntu, cholera. A wy dwaj, brać go. Jazda.

Kiedy podnosili Maggia, Prew dostrzegł guz rosnący mu na czole pod samymi włosami, w miejscu, gdzie było skaleczenie, i strumyk krwi, który zaczynał ściekać na oczy. Jeszcze jeden medal dla Angela. Jednakże jego myśli ulatywały już naprzód, ku perspektywie następnych trzydziestu dni, i nic innego nie miało dla niego wagi.

Turnipseed zeszedł na dół za niosącymi Angela i kazał im zostawić go przy drodze i wrócić na górę, zanim zadzwonił z telefonu na słupie. Obaj strażnicy z karabinami, stojący na urwisku, nadal obserwowali bacznie grupę, która powróciła do pracy. Prew widział Angela Maggia po raz ostatni w życiu, kiedy dwaj żandarmi, którzy przybyli na alarmowe wezwanie telefoniczne, wrzucali go, nadal nieprzytomnego, na tył dwuipółtonowej ciężarówki i ruszali z nim w dół po stoku.

Od bardzo dawna nikt nie wycisnął takiego piętna na życiu Roberta E. Lee Prewitta jak Angelo Maggio, jeżeli nie liczyć Jacka Malloya i Wardena. Ale o ile ci dwaj, każdy w zupełnie odmienny sposób, byli wyższymi istotami na innym poziomie, które poruszały się po innej orbicie – to Angelo Maggio, należący do pierwszego zrodzonego w Ameryce pokolenia włoskich imigrantów z Brooklynu, nieubłagany wróg wojska, krańcowe przeciwieństwo chłopaka z gór i trzydziestorocznego żołnierza, którego biali przodkowie przybyli z Anglii i Szkocji przed Rewolucją i nadal nienawidzili cudzoziemców – Angelo Maggio był bardziej do niego podobny gatunkiem i kalibrem i bliższy mu niż takie grube ryby jak Malloy czy Warden. Pozostawił po sobie wielką pustkę.

To, że go nigdy więcej nie zobaczy ani się o nim nie dowie z chwilą, kiedy zwolnią go z wojska, Prew przyjmował bez zastrzeżeń; jak bywało w armii, gdzie osobiste związki tworzą się z tego, co ma się dziś pod ręką. A to, że zostanie zwolniony, przyjmował tak samo bez dyskusji jak fakt, że nie uda mu się zobaczyć go ani przed zamknięciem w Czarnej Dziurze, ani potem, kiedy przewiozą go na oddział umysłowo chorych w szpitalu garnizonowym. Istniały tylko dwie możliwości: albo Angelo umrze w Czarnej Dziurze, albo zostanie zwolniony. Znając Angela Prew nie przypuszczał, żeby umarł w Dziurze. Jednakże ani świadomość tego, co miało przyjść, ani pogodzenie się z tym nie pomagało zapełnić owej pustki!

Prew śledził losy bitwy z bocznej pozycji baraku numer dwa z jawnym, szczerym niepokojem, który krępowałby go kiedy indziej, i właśnie podczas owych tygodni Jack Malloy, choć nie proszony, zbliżył się do niego i stanął przy nim.

W rzeczywistości Maggio nie przesiedział trzydziestu dni w Czarnej Dziurze. Ale poza tym jego plan bitwy okazał się prawidłowy. Przesiedział w Dziurze tylko dwadzieścia cztery dni i parę godzin, po czym wyciągnięto go stamtąd i odesłano na oddział więzienny szpitala garnizonowego, na obserwację psychiatryczną. O przebiegu tych zmagani informował

ich strażnik, szeregowiec Hanson. Hanson zwykle zamykał Dwójkę po kolacji i prawie co wieczór przekazywał im wiadomości o wszystkim, co stało się w ciągu dnia i ubiegłej nocy. Poza tym nie wiedzieli nic, i Angelo Maggio mógłby równie dobrze w ogóle zniknąć z ich życia. Żadna wiadomość od niego samego nie dotarła do nich z ciemnej głębi Czarnej Dziury.

Hanson nie wiedział i nawet się nie domyślał starannie obliczonego planu, który się krył za tym wydarzeniem. Hanson naprawdę wierzył, że Maggio zwariował. Nie zmniejszało to jego podziwu dla „Makaroniarza”.

– Trzeba wam było go widzieć – mówił zamykając kratę przed tłumem zebranych, aby usłyszeć wiadomości. – Niebywały facet. Trzeba go widzieć, żeby uwierzyć. O rany, jeżeli on jest obłąkany, to szkoda, że nie ma więcej wariatów na tym świecie.

To pierwszy, jaki się zdarzył, odkąd tu nastąpiłem – wyjaśnił. – Słyszałem, jak gadali o tych dawniejszych, ale on jest pierwszy, jakiegom naprawdę widział. Ty byłeś tutaj, Jack, kiedy jeden z tych dawnych dostał się w młynek, co?

– Dwaj – odrzekł Jack Malloy. – Obaj podczas mojego pierwszego pobytu.

– No, dla mnie ten jest pierwszy – powiedział Hanson, znowu kiwając głową z podziwem. – Mówię wam, naprawdę duże przeżycie. Po prostu nie do wiary. Nikt mi nie wytłumaczy, że człowiek może dostać takiej ikry tylko dlatego, że zwariował, tak samo jak nie dostanie jej z butelki. Z taką ikrą facet się rodzi, albo ją ma, albo jej nie ma, i koniec.

– Chyba się z wami zgadzam – powiedział Malloy.

– Straszna szkoda, że wojsko musi się rozstać z takim chojrakiem – mówi! Hanson. – Bo właśnie takich odważnych potrzeba wojsku najbardziej.

– Myślę, że zgodzę się z wami i pod tym względem – powiedział Malloy.

– Masz słuszność, psiakrew – ciągnął Hanson. – Mnie nie musisz mówić. Dla „Grubasa” to także jest pierwszy, wiecie. „Grubasa” tu nie było, jak tamci dostali kota.

– Tak jest – powiedział Malloy przez kratę. – Wtedy mieliśmy tu jednego starego sierżanta. „Grubas” nastał dopiero, jak tamten poszedł na emeryturę.

– „Grubas” uważa, że da sobie z nim radę – mówił Hanson. – Twierdzi, że potrafi go z tego wyleczyć. Powiada, że jeszcze nie widział takiego człowieka, wariata czy nie wariata, którego by nie mógł zmusić do wzorowego zachowania, jeżeliby mu dali wolną rękę.

– Może to zrobi – powiedział Malloy.

– Nie zdaje mi się – odparł Hanson. – Może kogo innego, ale nie „Makaroniarza”.

Wyście tego nie widzieli tak jak ja. Mówię wam, nie z tej ziemi.

– Świetny był z niego chłop, nie ma co – powiedział Malloy.

– I dalej jest – odparł Hanson. – Wariat czy nie wariat.

– A co na to mówi „Ojciec” Thompson?

– Nic – odrzekł Hanson. – Pozwoli! to załatwić „Grubasowi”, pod warunkiem, że go nie zabije. Powiedział mu jasno, że nie ma być żadnego zabijania, bo w przeciwnym razie wsadzi go za kratki. Twardo zabronił zabijania. Ale poza tym wszystko *zależy* od „Grubasa”. Tylko że „Grubas” nie da rady. Możecie mi wierzyć.

Stale musieli wypytywać o najświeższe szczegóły. Chciał tylko wciąż mówić o swoim zdumieniu i podziwieniu, i dwaj albo trzej musieli wciąż mu przerywać, nim wreszcie zdołali wydobyć z niego fakty i ostatnie nowiny. Stopniowo wynurzył się z tego wyraźny plan działania.

Kiedy przywieźli Maggia, „Grubas” ocucił go osobiście. Odebrał telefon Turnipseeda, wiedział już więc, co się zdarzyło, i pałał chęcią zabrania się do dzieła, ażeby udowodnić swoją teorię. Wziął trzech strażników pod przewodnictwem Browniego, w tym także i Hansona, i zabrał Maggia do „sali gimnastycznej”. Dali mu, jak opisywał Hanson, najgorszą Obróbkę, jaką kiedykolwiek dostał przy nim więzień. Po raz pierwszy, odkąd Hanson był w Obozie, zanieśli do Dziury nieprzytomnego człowieka. „Grubas” próbował wymusić na „Makaroniarczy” wyznanie, że tylko udawał. Maggio śmiał się, bełkotał i wciąż gadał bez związku. Kiedy za czwartym razem zemdłał, po trzykrotnym uprzednim ocuceniu, „Grubas” dał za wygraną i pozwolił im znieść go na dół.

– Zwariował, szkoda gadać – powiedział Hanson; – Gdyby nie był wariat, nawet on, „Makaroniarczy”, nie mógłby tego wytrzymać.

Cały plan „Grubasa” opierał się na zmuszeniu Maggia do wyznania, że tylko udaje. Ułożył sobie program działania, zgodnie z którym przychodził do niego w regularnych odstępach czasu, ażeby go obrobić – najpierw co osiem godzin, potem co cztery, wychodząc z założenia, że złamie go oczekiwanie. Gdy to zawiodło, zaczął przychodzić nieregularnie, zarówno w dzień, jak i w nocy, uważając, że w ten sposób oczekiwanie, zamiast mieć równomierne okresy przypływu i odpływu, będzie trwało przez cały czas. Zdarzało się, że przychodził o północy, a potem wracał w piętnaście minut później bądź też pozwalał mu wytchnąć przez pełne dwadzieścia cztery godziny. „Grubas” był pilnym i sumiennym pracownikiem. Proponował mu wszystko, od funkcji poprzez przywrócenie prawa do przedterminowego zwolnienia za dobre sprawowanie, utraconego przez Maggia już w pierwszym tygodniu, aż po ułaskawienie. Ale Maggio śmiał się, bełkotał, stroił grymasy albo gadał bez związku. Raz wysikał się na podłogę pod nogi „Grubasa”. „Grubas” roztarł to jego twarzą. „Grubas” był przeświadczony, że „Makaroniarczy” udaje, że wszyscy zwalniani z Obozu to po prostu dobrzy aktorzy. Nie cofał się przed niczym, poza stosowaniem właściwych tortur, byleby zmusić Maggia do przyznania się, że udaje.

Co wieczór Hanson przychodząc, by zamknąć barak, mówił im, że „Makaroniarczy” się

nie załamał. Sytuacja przybrała cięższy obrót, niż nawet Malloy się spodziewał, i wtedy to właśnie zaczęła się rodzić w Prewie nienawiść do sierżanta Judsona, która wypełniała mu każdą wolną chwilę planami mordy. Gdyby myślenie o morderstwie było równą zbrodnią, jak popełnienie go, Prewitt musiałby pięćdziesiąt razy pójść na krzesło elektryczne.

Wreszcie któregoś wieczora Hanson przyniósł im wiadomość, że Maggia wyprowadzono z Dziury w południe, wymyto, wylatano i przewieziono na oddział więzienny szpitala garnizonowego. Towarzyszyła temu wiadomość, że awans sierżanta Judsona na sierżanta technicznego, co już od prawie dwóch miesięcy było pewnikiem, został chwilowo odwołany. Prew zastanawiał się z Malloyem, czy Angelo kiedyś się o tym dowie; miał nadzieję, że tak, choć, szczerze mówiąc, musiał przyznać, iż bardzo w to wątpi.

Od innego więźnia dowiedzieli się, co było na szpitalnym oddziale. Więzień ten, „Stonewall” Jackson*, pojechał do szpitala z nogą złamaną wskutek upadku w kamieniołomie, jeszcze na długo przed przybyciem Prewa czy Maggia do Obozu. Wrócił na Dwójkę w miesiąc po odesłaniu Maggia do szpitala i przywiózł im pierwszą wiadomość, jak Angelo tam sobie poczynał. Umieścili go w osobnej celi, wypikowanej wewnątrz specjalnie dla gwałtownych pacjentów – wszystkie osobne cele były tam tak wypikowane – i kiedy sanitariusze po raz pierwszy zbliżyli się do Maggia, ten odpełznął w kąt i zaczął ich błagać bełkotliwie, żeby go już nie bili. Przez resztę swego pobytu w szpitalu, ilekroć ktokolwiek – psychiatra, lekarz, pielęgniarka czy sanitariusz – zbliżał się do niego, Maggio kulił się, chował w kącie i błagał, żeby go już nie bili.

Ta nagła zmiana taktyki ubawiła wszystkich, nawet Prewa i Malloya. Jacksonowi udało się raz z nim pogadać, kiedy już stanął przed komisją i jego zwolnienie było pewne. Maggio był bardzo podejrzliwy, lecz kiedy Jackson udowodnił mu niezbitcie, że naprawdę jest z Dwójki, odprężył się, uśmiechnął i poprosił Jacksona, żeby powiedział chłopakom, że czuje się byczo i już jest na wylocie. Jackson opowiadał, że był bardzo poharatany i wyglądał jak zamroczony bokser. Jednakże – mówił Jackson – nie zachowywał się wcale jak zamroczony. Trzymali go na więziennym oddziale jeszcze dwa tygodnie po zbadaniu przez komisję. Następnie odesłali go do Stanów. Jackson mówił, iż komisja zaleciła karne wydalenie z wojska na tej podstawie, że pacjent cierpiał na nieuleczalny niedorozwój umysłowy, która to niewydolność nie została spowodowana ani pogłębiona przez służbę wojskową, i przeto był umysłowo niezdatny do tejże służby.

Przez owe tygodnie, kiedy Angelo siedział w Dziurze, oraz w ciągu miesiąca

* Jackson – aluzja do słynnego generała Konfederacji, Thomasa Jacksona, z czasów amerykańskiej wojny domowej, który otrzymał przydomek „Stonewall” (Kamienny Mur) dzięki swej nieugiętej postawie w bitwie pod Bull Run (1861).

milczenia, zanim Jackson wrócił ze szpitala i przyniósł im wiadomość, Jack Malloy stał za plecami Prewitta, jak potężny mur. Kiedy Prewowi było ciężko, zawsze znajdował się pod ręką, by z nim pogadać albo go słuchać. Najczęściej to on mówił do Prewa. Malloy godzinami snuł opowieści o swoim dawnym życiu. W ciągu owych tygodni, nie zdając sobie z tego sprawy, Prew dowiedział się o nim więcej niż kiedykolwiek wszyscy pozostali.

Było coś osobliwego w Jacku Malloyu. Kiedy na kogoś patrzył swoimi oczami niezawisłego marzyciela i mówił tym miękkim, a mocnym głosem, zaczynałeś doświadczać złudzenia, że jesteś najważniejszą osobą na tej czy każdej innej planecie, i wierzyć, że potrafisz uczynić wiele rzeczy, do których nigdy nie uważałeś się za zdolnego.

Przez swoje trzydzieści sześć lat był prawie wszędzie i robił prawie wszystko. Między innymi wciąż jeszcze chodził z lekka rozkołysanym krokiem marynarza. Pasowało to doskonale do jego sylwetki i nadawało mu pewną dobrotliwą junackość, która w Obozie była co najmniej niezwykła. A dla zawodowych żołnierzy nie ma nic bardziej romantycznego niż cywilny marynarz. Poza tym w wojsku istnieje wielki szacunek dla drukowanego słowa. Jack Malloy przeczytał w życiu ogromną masę *rzeczy*. Miał w małym palcu związane biografie każdego, od Johna D. Rockefellera aż po nie znanego nikomu generała z Filipin Douglasa McArtura. I nie mógł mówić nie cytując książek, o których nigdy nie słyszeli. Jednakże nie potrzebował nawet tych osiągnięć, ażeby ugruntować swoją reputację. Jack Malloy był tym rodzajem człowieka, który nie musi zdobywać reputacji; ofiarowywała mu ją gratis wyobraźnia każdego w Obozie.

Urodzony jako syn okręgowego szeryfa w roku 1905, w Montanie, miał lat trzynaście w tysiąc dziewięćset siedemnastym, kiedy to jego ojciec zaczął na całego wsadzać do więzienia członków IWW. Od tego czasu się wszystko zaczęło. „Wobblies” nauczyli go czytać. Rozpoczął to czytanie w więzieniu ojca, na książkach, które zawsze mieli przy sobie. Z wdzięczności zaproponował im ułatwienie ucieczki z więzienia tatusia. Gdy „Wobblies” odrzucili jego ofertę, otrzymał pierwszą lekcję tego, co miało się stać jego pasją: biernego oporu.

– Posługiwali się tym – mówił do Prewa – ale niedostatecznie. Nie rozumieli samej zasady. To była ich największa wada, i bodaj jedyna. Ale wystarczyła, żeby przegrali. Wierzyli w stosowanie przemocy. Mieli to zapisane w swoim statucie. Nigdy nie bili się ani nie zabijali nawet w jednej dziesiątej, tak jak ich o to oskarżano, a nawet nie w jednej dwudziestej, tak jak ich wrogowie bili i zabijali ich samych; jednak rzecz w tym, że wierzyli w to abstrakcyjnie i właśnie to zadało im klęskę: błąd w abstrakcyjnej logice.

Kiedy się zdecydował uciec z domu na znak protestu, więźniowie jego ojca doradzali mu realistycznie, żeby uzbroił się w potwierdzone świadectwo urodzenia.

– „To prawie śmieszne, chłopcze – powiedział mi jeden z nich – ilu ludzi będzie próbowało zarzucić ci, że jesteś nie naturalizowanym cudzoziemcem”. Nazywał się Bradbury – mówił Malloy z uśmiechem – ten, co mi to powiedział, a jego przodkowie walczyli z Francuzami i z Indianami przed Rewolucją.

Jeden z nich dał mu na drogę egzemplarz *Teorii klasy niepracującej* Veblena oraz *Mały czerwony śpiewnik* z piosenkami Joe Hilla, i odtąd zawsze nosił ze sobą zapas nowych, nie przeczytanych książek w tobołku czy węzełku, w walizce czy w worku marynarskim, nawet kiedy był w wojsku. Pierwszą książką, jaką sobie kupił za pierwsze pieniądze otrzymane za pierwszą pracę, były *Źdźbła trawy* Walta Whitmana, które dołączył do Veblena i Joe Hilla, a od czasów tamtego pierwszego egzemplarza zużył jeszcze dziesięć następnych. Drugą rzeczą, którą opłacił, była Czerwona Karta i składki członkowskie IWW. Reszta poszła na pierwsze prawdziwe pijaństwo i pierwszą obłąpkę. Od tamtej pory nie był już nigdy w domu. Później znalazł się w Kalifornii i przestudiował i pokochał Jacka Londona oraz dawną grupę socjalistów z San Francisco, George'a Sterlinga, Uptona Sinclaira i całą resztę; Londona niemal tak samo jak Josepha Hillstroma. Czytał dalej. Ale wszystko już usuwało się spod nóg, aż wreszcie się rozpadło. Jedni dali za wygraną i wyjechali do Rosji, jak Haywood, inni, jak na przykład Ralph Chaplin, uwikłali się w filozofię, która musiała doprowadzić ich w końcu do szowinizmu. Jack Malloy czytał dalej, zastanawiając się, do czego się przygotowuje, aż wreszcie postanowił wyruszyć na morze. Miał dziewiętnaście lat. Pewna era dobiegła kresu.

Jack Malloy pływał do wszystkich portów, z Hamburga do Manili i z Szanghaju do Londynu. Podejmował się wszelkiej pracy, od barmana do przewodnika dla turystów. I kochał wszystkie kobiety, od chudych japońskich gejsz do sypiających pod pierzyną niemieckich kelnerek.

– Nigdy nie leżałem z kobietą, której bym nie kochał. Może potem nabierałem do którejś niechęci z jakiejś innej przyczyny. Ale w momencie, kiedy z nią spałem, byłem w niej zakochany. Podaję to jako zaobserwowany fakt, bez żadnych prób wyjaśnienia czy uzasadnienia. Jest to rzecz, która sprawdza się u wielu mężczyzn, jeżeli tylko uda się skłonić ich do mówienia i szczerych wyznań.

Prew rozmyślając nad tym i stosując to do siebie, z lekkim wstrząsem stwierdził, iż musi przyznać, że u niego sprawdza się to także.

– Nie wysuwam żadnych planów włączenia tego do przyszłej struktury społecznej – uśmiechnął się Malloy – ale zanim skończy się to tysiąclecie, ktoś będzie musiał tak czy inaczej wziąć ten fakt pod uwagę – na przekór takim ekonomistom-idealistom, jak Sinclair czy Chaplin. To jedna z przyczyn, dlaczego nigdy się nie ożeniłem.

Jako dalekomorski marynarz, Jack Malloy miał trypra sześć razy...

Syfa nigdy, odpukać w drzewo.

...i to wszystko jednak go nie wyleczyło, nadal było coś w nim, głęboko w jego oczach nieugiętego marzyciela, czego tamte sprawy nigdy naprawdę nie dotknęły. Czytał wciąż. I z tego wszystkiego, ze wszystkich tych zajęć, wszystkich przygód, wszystkich kobiet, najbardziej tęsknił do Stanów Zjednoczonych. Tam było jego miejsce, tam była jego wiara, tam musiał być.

Jack Malloy, mając za sobą jedenaście lat doświadczenia jako marynarz, wrócił do kraju w wieku lat trzydziestu dwóch. Zaciągnął się jako prosty żołnierz do armii regularnej. Chciał w niej być na czas wojny. I czytał nadal.

– Myślę, że „Wobblies” byli najbliżsi prawdy. Nikt ich nigdy właściwie nie rozumiał. Mieli odwagę, a co ważniejsze, mieli też miękkie serce. Ich klęska wynikała raczej z wadliwej techniki wykonania niż ze złej koncepcji. Ale myślę też, że pora jeszcze nie była dla nich odpowiednia. Jestem fatalistą. Jeżeli się wierzy w logikę ewolucji, nie ma innego wyjścia, jak być fatalistą.

Myślałem o tym dużo. Chrystus musiał mieć swojego Izajasza, nawet Marcin Luter miał swojego Erazma. Myślę, że „Wobblies” byli prorokami i zwiastunami nowej religii. Bóg był świadkiem, że nam jej potrzeba. A gdybyś kiedyś tak jak ja studiował ewolucję religii jako fakt naturalny, a nie nadprzyrodzony mistycyzm, nie miałbyś teraz tak zaskoczonej miny.

Myślisz, że religie są czymś ustalonym, nieelastycznym i zwartym, że rodzą się już gotowe? Religie ewoluują. Wywodzą się z potrzeby, tak jak każde inne zjawisko w naturze, i rozwijają się wedle tych samych praw natury. Rodzą się, dorastają, mają synów i nieprawych synów i umierają.

Każda prawdziwa religia podąża tym samym logicznym szlakiem. Najpierw przychodzą prorocy budując nową wiarę na śmiertelnym rozkładzie starej. Każdy Chrystus musi mieć swojego Izajasza i Jana Chrzciciela, ażeby mu uutorował drogę. Poczytaj kiedyś o religiach, to zobaczysz. Widzi się, jak one wszystkie postępują według tych samych zasad logicznych.

Każda religia zaczyna od najniższego szczebla: od kurew, celników i grzeszników. Logicznie biorąc, musi od tego zacząć z uwagi na niezadowolonych. Tych, co są zadowoleni, nie można skłonić do przyjęcia nowych idei.

I każda religia niesie męczeństwo swoim krzewicielom. To jest próba naturalnej selekcji. Jeżeli nowa wiara jest dostatecznie silna, zwycięża prześladowania i kroczy dalej ku chwale.

A wtedy – i dopiero wtedy – ci zadowoleni (którzy ze strachu dokonywali prześladowań) wywracają koziołka i przechodzą na' stronę zwycięzców, z tego samego strachu, który im przedtem kazał ich prześladować.

I każda religia zaczyna umierać wtedy od tej chwili. Kiedy cesarz Konstantyn przyjął chrześcijaństwo, ponieważ wygrało dla niego bitwę, i uczynił je w Rzymie religią państwową, w tym samym momencie podpisał na nie wyrok nieuchronnego upadku i śmierci.

Im silniejsza religia, tym więcej czasu jej trzeba, żeby zatryumfować, tym więcej czasu, by umrzeć, i tym więcej ma nieprawych potomków. Jednakże wszystkie przechodzą krok za krokiem przez ten sam proces logiczny.

Wszystkie są przepowiadane przez proroków, potem się pojawiają, tryumfują, zostają przyjęte, wyrodnieją i chylą się do upadku. Religia, która dokonała swojego dzieła, osiągnęła swój cel i udzieliła swojej nauki, nie ma przed sobą innego kierunku niż w dół. Musi pęknąć i zacząć się degenerować, żeby zwolnić miejsce dla swojej następczyni, która przejmie naukę tej dawnej, opracuje ją i rozwinie – właśnie tak jak chrześcijaństwo zrobiło z judaizmem.

– Bo słuchaj – mówił z podnieceniem. – Co to był judaizm? Judaizm nauczał, że Bóg jest niezmienny, nieruchomy jak Ziemia, wokół której krąży wszechświat, że jest Bogiem wiecznej kary i pomsty; judaizm uczył Dziesięciorga Przykazań.

W porządku.

A co zrobiło chrześcijaństwo? Wzięło judaizm i zmieniło go odrobinę. Dalej nauczało, że Bóg jest nieruchomy i niezmienny, ale nieruchomy jak Słońce, wokół którego krąży Ziemia i wszechświat, że jest odleglejszym, ale nadal niezmiennym, mniej osobistym Ośrodkiem. Przeobraziło go w Boga wiecznej miłości i przebaczenia, który karze zło tylko wtedy, kiedy bezwzględnie musi. Chrześcijaństwo zastąpiło Dziesięcioro Przykazań Kazaniem na Górze.

No dobrze, a jaki będzie następny krok, dalszy logiczny rozwój? Czy nie mogłaby to być religia, która uczyłaby, że Bóg wcale nie jest nieruchomy? Religia, która uczyłaby, że Bóg jest w ogóle niczym, jeżeli nie jest wiecznie zmienny? Że ani Ziemia, ani Słońce nie są tym nieruchomym, niezmiennym ośrodkiem – tak jak powiada Einstein, że wszechświat jest kręgiem w czasie, gdzie Ziemia, i Słońce są maleńkimi cząsteczkami, a wszystko ciągle przepływa i wiecznie się zmienia. Czy taka nowa religia nie mogłaby uczyć, że zamiast być na zawsze nieruchomym Bóg jest rozwojem i ewolucją – Bogiem, który ani przez chwilę nie jest ten sam?

Kiedy Jack Malloy zapędzał się tak daleko, przestawał mówić do Prewa po to, żeby oderwać jego myśli od Angela. Pochłaniał go ten temat, wykladał teorię, która się stała obsesją jego życia. Oczy nieugiętego marzyciela nie rozpoznawały już Prewa jako Prewa ani

nie pamiętały o osobniku imieniem Angelo. I, rzecz ciekawa, właśnie w tych momentach i tylko w tych momentach, kiedy te oczy marzyciela brały go we władanie, a miękki, łagodny głos rozbrzmiewał i rozbrzmiewał, Prew był zdolny na tyle zatopić się w słuchaniu, żeby zapomnieć, iż jest jakiś Maggio.

– Rozumiesz, co z tego wynika? Jeżeli Bóg jest Niestalością raczej niż Stalością, jeżeli Bóg jest Rozwojem i Ewolucją, w takim razie koncepcja przebaczenia staje się niepotrzebna. Sama koncepcja przebaczenia zakłada czynienie czegoś złego, grzech pierworodny. Ale jeżeli ewolucja jest rozwojem poprzez próby i błędy, to jakież błędy mogą być złe? Skoro przyczyniają się do rozwoju? Czy matka uważa się za powołaną do przebaczenia swojemu dziecku, że zjadło zielone jabłko albo włożyło rękę do pieca? Czyś ty kiedy naprawdę kochał kogoś albo coś? A kobietę: czy kiedy kochałeś kobietę? Jeżeli kiedykolwiek kochałeś, nigdy nie przyszło ci do głowy przebaczać mu, prawda? Wszystko, co ten ktoś zrobił, było dla ciebie dobre, no nie? Bez względu na to, jak cię bolało. Nie musi się przebaczać czemuś, co się kocha. Przebaczymy tym, których nie kochamy.

Jeżeli kogoś kochasz – mówił Jack Malloy – nawet nie myślisz o tym, by mu przebaczać. Możesz z nim się piekielnie kłócić, stosować nacisk wszelkiego rodzaju, aby go zmienić. Ale kiedy skończy się awantura, a nie zmieniłeś tego kogoś ani na jotę, przyjmujesz go takim, jakim jest. Nie jesteś nigdy tak pewny siebie, tak zarozumiały czy tak wyniosły, żeby powiedzieć sobie czy jemu: przebaczam.

I w ten sposób Jack Malloy wyłożył swoją filozofię, wygłosił zasady swojej religii, objawił swoje credo. I w ten sposób odsłoniła się tajemnica, nad którą Prew się głowił – tajemnica jego władzy nad ludźmi z Obozu, tajemnica owej wielkoduszności, którą taki arcy cynik, jak Berry, mógł wielbić bez zastrzeżeń.

Jack Malloy był w stanie kochać rodzaj ludzki, ponieważ spodziewał się z góry, że opuszczą go przyjaciele, pokrzywdzą wrogowie i że zdradzą przywódcy. Uważał te rzeczy za naturalne reakcje, które należy przewidywać, a nie za przewrotność, którą trzeba potępić.

Jeżeli Jack Malloy żałował czegoś w życiu, to tego, że urodził się w niewłaściwym czasie. Urodził się wraz z prorokami, a nie z Mesjaszem. – Bo to przyjdzie – mówił. – Jeszcze nie przyszło, ale musi przyjść w końcu. Wymagają tego logika i ewolucja. A przyjdzie to tu, w Ameryce, bo właśnie tu w Ameryce, siedzibie najbardziej zniechęconego ludzkiego plemienia, spoczywać będzie nadzieja świata. Największe religie zawsze pochodzą od najbardziej zniechęconych plemion. Może ja tego nie dożyję. Może ty też nie. Ale to musi przyjść.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Właśnie podczas owego miesiąca po odjeździe Angela do szpitala, a przed przybyciem „Stonewalla” Jacksona z wiadomościami o nim, tamten młody wiejski chłopak z Indiany, którego pobito na oczach Prewa w baraku numer trzy, został przeniesiony na Dwójkę. Ze wszystkich ludzi, jacy przedtem byli z Prewem na Trójce, właśnie on wydawałby mu się tym, który będzie miał najmniej szans, a jednak przyszedł do nich po trzydniowej wycieczce do Dziury, tak samo łagodny i uprzejmy jak zawsze.

Spodziewali się go, jeszcze zanim Angelo poszedł do Dziury. Okazało się, że po tym pierwszym zamroczeniu, które wynikło z samego pobicia i trwało tylko jeden dzień, chłopak z Indiany zaczął miewać takie okresy coraz częściej i coraz dłużej. Kiedy był normalny, zachowywał się łagodnie tak jak dawniej i nie narzekał na nic; kiedy przychodziło na niego takie zamroczenie, przemieniał się znowu w owego potulnego, otumanionego półgłupka, którego Prew wtedy widział. Jednakże za każdym razem, gdy kończył się okres otępienia, dostawał napadu morderczej furii i atakował wszystko, co znalazło mu się pod ręką. Raz rzucił się na strażników w kamieniołomie. Innym razem, w jadalni, wylał talerz fasoli z sosem pomidorowym na głowę sąsiada, którego następnie zaczął piłować tępym ostrzem noża stołowego: tamten uratował się tylko dzięki temu, że wojskowe noże stołowe z trudnością krajały nawet masło. Chłopak dostał za to trzy dni Dziury, odsiedział je łagodnie i bez skarg, i nazajutrz po wyjściu popróbował w kamieniołomie rozwalić głowę pracującemu obok niego koledze sporym głazem. Wielokrotnie w baraku numer trzy ktoś budził się w środku nocy i stwierdzał, że jakiś oszalały demon dusi go wściekle i tarmosi, dopóki paru innych, zbudzonych szamotaniną, nie przybiegło na pomoc i obaliwszy chłopaka z Indiany nie siadło na nim czekając, aż przyjdzie do siebie. Ludzie z Trójki lojalnie ukrywali to wszystko i wreszcie wprowadzili system dyżurów, tak że w nocy ktoś stale czuwał, żeby mieć na niego oko. Jednakże w końcu rzucił się któregoś dnia w jadalni na samego „Grubasa”. Znowu oberwał za to po głowie trzonkiem od motyki, po czym zdecydowano, że jest w sam raz materiałem na Dwójkę.

Prawdę mówiąc, wcale nim nie był. W Dwójce był równie nie na miejscu jak biała owca pośród czarnego stada. Jednakże przyjął to z takim samym spokojem ducha, jak przyjmował wszystko inne. Pamiętał Prewa i skwapliwie zaprzyjaźnił się z nim, dla Jacka Malloya zaś wprędce nabrał uwielbienia, które przewyższało nawet uwielbienie Berry'ego, i w sposób wręcz krępujący łąził za nim wszędzie jak psiak.

Ludzie wzięli go pod swoje skrzydła, opiekowali się nim i uczynili sobie z niego coś

w rodzaju maskotki. Momenty szaleństwa następujące po owych okresach otępienia nie przstraszały ich, a nie potrzebowali wprowadzać systemu dyżurów, ponieważ wszyscy bez wyjątku byli otrząskani od dzieciństwa z twardymi brutalnymi bójkami. Jeżeli któryś obudził się, by stwierdzić, że tamten go dusi, wyszarpywał mu się, obalał go jednym ciosem, a potem kładł go z powrotem do łóżka, gdzie chłopak budził się rano znowu łagodny i delikatny jak zwykle. Nikt na Dwójce, a nawet nikt w Obozie nie uważał go w najmniejszej mierze za niebezpiecznego. Nawet taki umysł jak Jack Malloy nie mógł się dopatrzeć niebezpieczeństwa w tej nieszkodliwej morderczości wiejskiego chłopaka z Indiany. Myśl, że kiedykolwiek stanie się zapałką, która przyłoży ogień do lontu mającego rozsądzić niepewnie zbalansowany *status quo* Obozu w ogóle, a Dwójki w szczególności, i zmienić całe życie kilku z nich – byłaby doprawdy śmiechu warta.

Zdarzyło się to któregoś dnia w kamieniołomie, bez ostrzeżenia ani zapowiedzi. Odkąd przyszedł na Dwójkę, chłopiec z Indiany we właściwy sobie, łagodny sposób był coraz bardziej rozgoryczony. To, co się stało, nie było do niego podobne, i nikt się później nie dowiedział, czy zrobił to dlatego, że chciał współzawodniczyć ze swymi nowymi bohaterami, czy że jego napady pozbawiły go prawa do przedterminowego zwolnienia za dobre sprawowanie i wraz z ostatecznym przeniesieniem na Dwójkę przedłużyły mu jednomiesięczną karę do dwóch miesięcy.

Owego popołudnia miał jeden z tych swoich momentów otępienia. Prew pracował między Berrym a „Stonewallem” Jacksonem, kiedy chłopak się z tego ocknął. Uważali na niego wypatrując jakichś oznak, i kiedy tylko upuścił młot i rozejrzał się dziko, rzucili się we trzech na niego i przytrzymali, dopóki nie przyszedł do siebie. Następnie wszyscy czterej razem wrócili do roboty nie myśląc o tym więcej, ponieważ byli już przyzwyczajeni do takiego przebiegu wypadków.

Jednakże w chwilę potem chłopak z Indiany podszedł do nich z niezwykle uprzejmą, ale zdecydowaną miną i zapytał, czy któryś nie zechciałby złamać mu ręki.

– A po cholere, Francis? – zapytał Prew.

– Bo chcę iść do szpitala – wyjaśnił chłopak z Indiany.

– A po co chcesz iść do szpitala?

– Bo mam już wyżej nosa tej cholernej mordowni – odpowiedział uprzejmie chłopak z Indiany. – Odsiedziałem cały swój jednomiesięczny wyrok, a mam jeszcze przed sobą dwadzieścia sześć dni.

– A jak by ci się podobało, gdybyś miał sześć miesięcy, tak jak ja? – zapytał Jackson.

– Wcale by mi się nie podobało – odrzekł wiejski chłopak z Indiany.

– Złamanie ręki nie pomoże ci do prędszego wydostania się stąd – powiedział

rozsądnie Prew.

– Ale będę miał ze dwa, trzy tygodnie szpitala.

– A zresztą jak, u diabła, mamy ci złamać rękę? Położyć ją na kolanie i łamać jak kij?

– zapytał Prew. – Rękę nie tak łatwo złamać, Francis.

– Już o tym pomyślałem – odparł z tryumfem wiejski chłopak z Indiany. – Położyłbym rękę w poprzek na dwóch kamieniach, a któryś z was uderzyłby ją młotem. To by ją złamało gładko i prędko, a ja bym miał przynajmniej dwa tygodnie wakacji w szpitalu.

– Ja tego nie zrobię, Francis – powiedział Prew czując nagle, że mu trochę niedobrze.

– To może ty, „Stonewall”? – zapytał chłopiec z Indiany.

– Po kiego licha chcesz iść do szpitala? – odrzekł wymijająco Jackson.

– Tam wcale nie lepiej niż tutaj. Byłem w szpitalu i prawdę ci gadam. Ni cholery, nie lepiej niż tutaj.

– No, ale przynajmniej tam nie ma „Grubasa” i nie trzeba harować w tym zatraconym słońcu i rozwalać skał młotem.

– Nie, ale będziesz siedział na dupie jak kto głupi i wyglądał przez te cholerne siatki, aż w końcu pożałujesz, że nie rozwalasz skał młotem.

– Przynajmniej pożywienie jest lepsze.

– Lepsze jest – przyznał Jackson. – Ale i tak ci się przeje.

– Więc nie zrobisz tego dla mnie? Nawet jeżeli cię proszę jak o uprzejmość? – zapytał z wyrzutem chłopak z Indiany.

– Pewnie bym to zrobił dla ciebie – odrzekł Jackson niechętnie i powściągliwie. – Ale naprawdę wolałbym nie, Francis.

– Ja to zrobię – wyszczerzył zęby Berry. – Kiedy tylko chcesz, Francis. Znaczy się, jeżeli ci naprawdę zależy.

– Zależy mi – odpowiedział uprzejmie, stanowczo, wiejski chłopak z Indiany.

– No, gdzie tu są jakieś kamienie? – zapytał Berry.

– Tam gdzie pracuję, są takie dwa co się w sam raz nadadzą.

– Okej – powiedział Berry. – To chodźmy. – A potem zamilkł i obrócił się do pozostałych. – Wy, chłopaki nie macie nic przeciwko temu? No, bo rozumiecie, co, u cholery? Jeżeli tak mu strasznie zależy. Już widzę, że któregoś dnia sam mógłbym mieć ochotę, żeby mi ktoś to zrobił.

– Nie – odparł Prew. – Mnie obojętne. Nie moja rzecz. Ja tylko nie chcę tego robić, nic więcej.

– Ja to samo – dodał niechętnie Jackson.

– Okej, zaraz będę z powrotem – powiedział Berry. – Tylko kikutcie na tych

strażników.

Strażnik stojący na dole, w „jamie”, był niewidoczny, ale dwaj wysoko na urwisku mogli ich zobaczyć.

– Ty lepiej na nich uważaj – powiedział Prew.

– Gdybym miał czekać, aż mi zejda z oczu, musiałbym czekać, aż Ziemia zrobi się płaska.

– Pewnie za chwilę trochę się przesuną – rzekł Prew.

– A, cholera z nimi – odparł z niesmakiem Berry. – I tak są zanadto ślepi, żeby coś widzieć.

Wziął młot i poszedł za chłopakiem z Indiany około pięciu jardów dalej, gdzie Francis wskazał dwa głazy, które sobie wybrał – dwa gładkie, płaskie z wierzchu, leżące o jakieś sześć, osiem cali od siebie i wystające na cztery cale z ziemi. Chłopak z Indiany uklęknął i położył lewą rękę w poprzek obu kamieni tak, że łokieć i górną część przedramienia miał na jednym, a napiętek na drugim.

– W ten sposób, widzisz, nie złamie się żadnych stawów – wyjaśnił uprzejmie. – Wybrałem lewą rękę, bo jestem praworęczny. Tak będzie mi łatwiej jeść i będę mógł pisać listy do swoich. No, dobra – powiedział. – Wal,

– W porządku, już leci – rzekł Berry. Odstąpił o krok, przymierzył się głowicą młota, po czym zamachnął się nim oburącz nad głową i rąbnął w rękę opartą na dwóch kamieniach z całą siłą i precyzją wytrawnego drwala nacinającego drzewo.

Francis, chłopak z Indiany, wrzasnął tak zaskoczony, jak gdyby się tego nie spodziewał – niczym człowiek trafiony kulą snajpera, którego nie zauważył. Jeżeli rozległ się jakiś trzask pękającej kości, to krzyk ten go zagłuszył. Przez parę sekund chłopak klęczał nadal, biały jak papier i bliski omdlenia, po czym wstał i podszedł do nich, aby pokazać rękę. Pośrodku przedramienia, którego linia powinna była być prosta, widniało coś w rodzaju prostopadłego uskoku. Przez te kilka sekund, które zabrało chłopakowi przejście pięciu jardów, ręka zaczęła już puchnąć. Gdy na nią patrzyli, napuchła jeszcze bardziej, aż wreszcie wgłębiona część owego uskoku wyrównała się znowu i u dołu pozostało jedynie wielkie obrzmienie.

– Zdaje się, że się złamała w dwóch miejscach – powiedział Francis radośnie. – Psiakrew, to powinno mi dać przynajmniej ze trzy pełne tygodnie. Może więcej. – Przerwał, bo głos uwiązł mu w gardle, uklęknął przytrzymując delikatnie lewą rękę prawą i zwymiotował.

– O rany, ale boli – powiedział z dumą, wstając. – Nie myślałem, że będzie aż tak bolało, szkoda gadać – dodał z tym samym pełnym zdumienia zaskoczeniem, które było w

jego krzyku. – Cholernie ci dziękuję, Berry.

– Nie ma za co – wyszczerzył zęby Berry. – Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

– No, chyba pójdę pokazać to strażnikowi – powiedział z satysfakcją Francis. – To tymczasem, chłopaki.

Zeszedł po zboczu, ciągle trzymając się delikatnie prawą ręką za lewą.

– O Jezu! – powiedział Prew czując niezwykle zimny strumyczek ściekający mu po plecach.

– Człowieku, ale mu nie zazdrozczę – powiedział Jackson. – Ja bym na to nie poszedł. Choćby nawet miało mnie całkiem wyciągnąć z Obozu.

– Co to wielkiego, psiakrew? – uśmiechnął się Berry. – Przecież ciągle się słyszy o różnych przestępcach, co sami siebie operują, żeby wyciągnąć kule. To dużo gorsze od tego.

– Nigdy się z tym nie zetknąłem poza filmami – odparł Prew.

– Ja także – dodał Jackson. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Łatwo poszło, psiakrew – wyszczerzył do nich zęby Berry. – Żadnych trudności.

Między jednym zamachem młota a drugim obserwowali strażnika na drodze, który telefonował z aparatu na słupie, podczas gdy chłopak z Indiany stał obok niego uszczęśliwiony, wciąż delikatnie przytrzymując lewą ręką prawą. Niebawem przyjechała po niego ciężarówka, a on wdrapał się na nią, nadal przytrzymując swą lewą rękę,

– Widzicie? – powiedział Berry. – Jak po maśle. Psiamać, mam wielką ochotę sam to zrobić.

– Jakby się pokazało dwóch gości ze złamanymi rękami, na pewno by coś zwąchali – powiedział Prew.

– Wiem o tym – wyszczerzył drapieźnie zęby Berry. – Dlatego tak nie zrobię. Ale to bodaj jedyny powód.

Tego wieczora, kiedy wrócili z pracy, dowiedzieli się, że Francis Murdock, chłopak z Indiany, już jest na więziennym oddziale szpitala ze stwierdzonym złamaniem ręki na skutek upadku w kamieniołomie. Ręka była jednakże złamana tylko w jednym miejscu, a nie w dwóch, jak się spodziewał.

Nikt o tym nie wspominał, nie zadawano żadnych pytań i wydawało się, że wszystko poszło jak w zegarku. Kolacja odbyła się jak zwykle.

Jednakże po kolacji, na krótko przed gaszeniem świateł, „Grubas” i sam major Thompson weszli na Dwójkę z trzonkami od motyk w rękach i piekielnie rozwścieczonymi minami.

Było to prawie jak inspekcja. Postawili wszystkich szeregiem na baczność przy pryczach, dwaj strażnicy ze strzelbami stanęli przy wejściu, a trzeci, trzymający klucz do

zamkniętej kraty, tuż za nią. Major Thompson wyglądał tak, jakby przed chwilą przyłapał własną żonę w łóżku z szeregowcem.

– Dziś po południu młody Murdock złamał sobie rękę w kamieniołomie – powiedział sucho major. – Twierdził, że złamał ją wskutek upadku. Pojechał do szpitala z takim zaświadczeniem, ponieważ my tutaj wolimy zachowywać nasze nieporozumienia w rodzinie. Ale, mówiąc między nami, tę rękę ktoś mu złamał. Murdock i ten, kto mu ją złamał, są obaj winni symulacji. W naszym Obozie nie tolerujemy symulacji. Kara Murdocka zostanie przedłużona, a kiedy wróci ze szpitala, przekona się, że mu tu będzie dość ciężko. A teraz żądam, żeby wystąpił ten, który złamał rękę Murdockowi.

Nikt się nie ruszył. Nikt nie odpowiedział.

– Dobrze – rzekł sucho major. – My tu umiemy być twardzi. Wy siedzicie tutaj na Dwójce, ponieważ jesteście oporni. Nie mam współczucia dla żadnego z was. Ostatnio o mało nie doszło do morderstwa i już pora, żebyście się dowiedzieli, kto rządzi w tym Obozie. Daję ostatnią szansę temu człowiekowi, żeby wystąpił.

Nikt się nie poruszył.

– W porządku, sierzancie – powiedział sucho major i skinął głową na „Grubasa”.

Sierżant Judson podszedł do pierwszego więźnia z brzegu i zapytał:

– Kto złamał rękę Murdockowi?

Więzień ten był drobnym, chudym starym wygą z ósmego artylerii polowej; miał pooraną bruzdami twarz, która odzwierciedlała absolutny cynizm, i oczy patrzące prosto przed siebie nieruchomo jak dwa kamienie. W kamieniołomie pracował na drugim końcu, ale już znał całą historię. Powiedział: „Nie wiem, panie sierzancie” – a „Grubasa” trzasnął go trzonkiem motyki po goleniach i spytał jeszcze raz. Poorana bruzdami twarz ani drgnęła, a kamienne oczy nie poruszyły się ani nie mrugnęły. Odpowiedział znowu: „Nie wiem, panie sierzancie” – a „Grubasa” rąbnął go czubkiem trzonka w brzuch i ponowił pytanie. Uzyskał dokładnie ten sam rezultat.

To samo powtórzyło się wzdłuż całego szeregu. „Grubasa” zaczął systematycznie od jednego końca i posuwał się pracowicie aż do drugiego. Każdemu więźniowi zadawał pięć razy to samo pytanie: „Kto złamał rękę Murdockowi?” Żaden się nie poruszył, nikomu oko nie drgnęło ani nie zamrugało, a na wszystkich twarzach malowała się tylko bezgraniczna pogarda dla twardych metod „Grubasa” i dla niego samego. To nie była Trójka; to była Dwójka. A ludzie z Dwójki byli zwarci jak kamienny mur.

Ani ta wzgarda, ani niezłomność nie zrobiły wrażenia na „Grubasie”. Jego zadaniem było postawić każdemu pytanie i uderzyć go, jeżeli dał niewłaściwą odpowiedź, a nie troszczyć się o wyniki, i swoją pracę wykonywał gruntownie i metodycznie. Kiedy już

przeszedł wzdłuż całego szeregu, zawrócił do majora i obaj ruszyli z powrotem, i zatrzymali się przed Berryem.

– Kto złamał rękę Murdockowi? – zapytał major Thompson.

Wtedy wszyscy zrozumieli, że tamci wiedzą.

Berry patrzył prosto przed siebie, nic nie odpowiadając.

„Grubas” uderzył go.

– Tak się składa – uśmiechnął się major – że wiemy już, że ty złamałeś Murdockowi rękę.

Berry wyszczerzył zęby. „Grubas” uderzył go.

– Wystąp – rozkazał major Thompson.

Berry postąpił dwa kroki naprzód, wciąż z uśmiechem.

„Grubas” palnął go końcem trzonka w grzbiet nosa. Berry osunął się na kolana. Trwał tak przez kilka sekund, przy czym nikt nie przyszedł mu pomóc, wreszcie dźwignął się chwiejnie na nogi. Krew waliła mu z nosa, ale nie podniósł rąk do twarzy ani nie oderwał oczu od ściany. Oblizwał wargi czubkiem języka i wyszczerzył zęby do majora.

– Zrobię z ciebie przykład dla wszystkich, Berry – powiedział sucho major Thompson.

– Za duży mi tu urosłeś. Przytnę cię na miarę. Myślisz, żeś taki chojrak. A ja pokażę tym ludziom, co się dzieje z człowiekiem, któremu przewraca się we łbie i który myśli, że jest chojrak. Czyś to ty złamał rękę Murdockowi?

– Ja cię pierdołę – powiedział chrapliwie Berry.

Tym razem „Grubas” wyrznął go końcem trzonka w usta. Berry'emu ugięły się kolana, ale nie upadł. Oczy zamgliły mu się, lecz nie oderwał ich od ściany. Kiedy się wyprostował, poruszył nieco ustami, pogardliwie wypluł dwa zęby pod nogi „Grubasa” i uśmiechnął się do niego.

– Ja cię zabiję, „Grubasie” – uśmiechnął się. – Jeżeli kiedykolwiek stąd wyjdę, znajdę cię i zabiję. Więc lepiej kropnij mnie pierwszy. Bo jeżeli kiedykolwiek wyjdę, to cię zabiję.

„Grubas” nie przejął się tym tak samo jak powszechną wzgardą i oporem. Znów podniósł trzonek motyki metodycznie, pilnie, obojętnie, lecz major Thompson go zatrzymał.

– Zabrać go na „salę gimnastyczną” – powiedział. – Nie trzeba zapaskudzać tego baraku bardziej niż to konieczne. A kilku z was niech uprzątnie to świństwo.

„Grubas” ujął Berry'ego za ramię i począł prowadzić go do wyjścia, ale Berry wyrwał mu rękę, powiedział: „Trzymaj swoje tłuste łapska z daleka ode mnie. Jeszcze mogę iść” – i doszedł sam do kraty. Stojący na zewnątrz strażnik otworzył ją. Berry wyszedł. „Grubas”, major, a potem dwaj strażnicy podążyli za nim.

– Wariat, psiakrew – powiedział zdławionym głosem Jack Malloy. – To nie jest

sposób na nich. Mówiłem mu, że to nie jest sposób obchodzenia się z nimi.

– Może już go zmęczyło obchodzenie się z nimi – powiedział sucho Prew.

– Będzie jeszcze bardziej zmęczony – powiedział nieprzejednanie Malloy. – Oni teraz nie żartują.

Po raz pierwszy usłyszeli wtedy człowieka krzyczącego w „sali gimnastycznej” podczas Obróbki. Fakt, że to krzyczał Berry, dowodził, że tamci rzeczywiście nie żartują i że tym razem major i „Grubas” idą już na całego, do ostatecznej rozgrywki. W Dwójce ludzie wytarli podłogę i czekali. Było już po wpół do dziesiątej i fakt, że światło wciąż się paliło, wskazywał, że to naprawdę coś niezwykłego. Od szeregowca Hansona, który w pośpiechu przechodził uzbrojony przed drzwiami, zdołali się dowiedzieć, że to jeden ze strażników stojących na urwisku widział, co Berry zrobił.

Było wpół do dwunastej, kiedy major Thompson z rewolwerem u pasa przyszedł po nich ze strażnikami. Strażników było dziesięciu, każdy z bronią boczną i strzelbą śrutową.

Ustawili ich w kolumnę dwójkową i poprowadzili do „sali gimnastycznej”. Strażnicy stanęli w odstępach wzdłuż korytarza, ze strzelbami gotowymi do strzału. Inni strażnicy stali pod ścianami „sali gimnastycznej”. Najwyraźniej ściągnięto tej nocy wszystkich strażników z Obozu. Kolumnę z Dwójki wprowadzono do środka i ustawiono pod trzema ścianami tak, że mieli za sobą strażników.

Pod ścianą boczną, pod lampami, stał Berry w swoich wojskowych kalesonach, nadal usiłując się uśmiechać ustami, które były nazbyt spuchnięte, by zdobył się na coś więcej niż grymas. Ledwie było go można poznać. Złamany nos obrzmiał i krew wciąż lała się z niego strumieniem. Krew wypływała mu także z ust, ilekroć kaszłał. Oczy miał właściwie zamknięte. Uderzenia trzonków od motyk poodrywały mu od głowy górną połowę obojga uszu. Krew z nosa, ust i uszu, które nie krwawiły zbyt mocno, obryzgała mu piersi i białe kalesony.

– Już trup – szepnął ktoś za Prewem zdecydowanym tonem. Obok Berry'ego stał „Grubas” i dwaj strażnicy: Turnipseed i stary przyjaciel Angela Maggio, Brownie; wszyscy wyglądali na wyczerpanych. Major Thompson, z rewolwerem u pasa, stał na uboczu, bliżej kąta.

– Chcemy wam tu pokazać, co spotyka ludzi, którym się zdaje, że mogą rządzić armią – powiedział sucho. – Sierżancie – skinął głową.

– Odwróć się – rozkazał sierżant Judson. – Nos i czubki palców do ściany.

– Lepiej mnie zabij, „Grubasie” – wyszeptał Berry. – Lepiej się dobrze postaraj. Bo jak nie, to ja cię zabiję. Jeżeli stąd kiedyś wyjdę, zabiję cię.

Sierżant Judson podszedł i łupnął go kolanem w jądra. Berry zawył.

– Obróć się – powiedział sierżant Judson. – Nos i czubki palców do ściany.

Berry obrócił się i przytknął nos i czubki palców do ściany.

– Ty sukinsynu – wyszeptał. – Ty tłusta świnię. Lepiej mnie zabij. Bo jak nie, to ja cię zabiję. Lepiej mnie zabij.

Wydawało się, że pozostała mu tylko jedna jedyna myśl, na której skupił swoją świadomość, ażeby coś zachować. Powtarzał to wciąż od nowa.

– Czyś to ty złamał rękę Murdockowi? – zapytał sierżant Judson. Berry dalej coś szeptał z pasją do siebie.

– Berry, słyszysz mnie? – zapytał sierżant Judson. – Czyś to ty złamał rękę Murdockowi?

– Słyszę cię – szepnął Berry. – Lepiej mnie zabij, „Grubasio”, nic więcej. Bo jak nie, to ja cię zabiję. Lepiej mnie zabij.

– Brown! – zawołał „Grubasio”. Wskazał głową Berry'ego. – Bierz go. Kapral Brown ustawił się jak gracz w baseball i zdzielił Berry'ego po krzyżu trzymanym oburącz trzonkiem od motyki. Berry zawył. Potem rozkaszła się i krew znowu bluznęła mu z ust.

Istnieją dwa rodzaje takich trzonków od motyk używanych do karczowania: proste i zakrzywione. Proste są dłuższe i cięższe od zakrzywionych. Trzonek kilofa jest dłuższy i cięższy od trzonka siekiery, a trzonek takiej motyki jest dłuższy i cięższy od trzonka kilofa. Prosty trzonek motyki do karczowania jest dłuższy o jakieś cztery cale od trzonka kilofa i cięższy mniej więcej o funt, a odznacza się podwójnym zgrubieniem na końcu. Stalową głowicę takiej motyki, przypominającą płaskie ostrze motyki-kilofa, ale bez kolca po drugiej stronie, umocowuje się pomiędzy tymi dwoma zgrubieniami na końcu, tworząc w ten sposób doskonałe narzędzie do oczyszczania gęsto zarośniętego krzakami i korzeniami terenu.

– Czyś to ty złamał rękę Murdockowi? – zapytał „Grubasio”.

– Ja cię pierdolę – wyszeptał Berry. – Lepiej mnie zabij. Bo jak nie, to ja cię zabiję. Lepiej mnie zabij.

Przetrzyli ich tam piętnaście minut. Potem odprowadzili ich między dwoma szeregami strażników do baraku i zgasili światło. Jednakże sporadyczne krzyki w „sali gimnastycznej” nie ustawały i ludzie spali niewiele. Mimo to z rana obudzono ich o czwartej czterdzieści pięć.

Podczas śniadania dowiedzieli się, że o godzinie wpół do drugiej Berry, który już nie mógł oddawać moczu i miał uszy na wpół oderwane od głowy, został przewieziony na oddział więzienny szpitala garnizonowego na leczenie po wypadnięciu z ciężarówki.

Umarł nazajutrz około południa „na skutek ciężkiego wylewu krwi do mózgu oraz obrażeń wewnętrznych – jak stwierdzał protokół – prawdopodobnie spowodowanych

wypadnięciem z ciężarówki jadącej z dużą szybkością”.

Dopiero po śmierci Berry'ego Prew powiedział Jackowi Malloyowi, co ma zamiar zrobić. Wiedział, co robi, jeszcze przed śmiercią Berry'ego, ale zaczekał do tego momentu, by to wyjawić Malloyowi.

– Ja go zabiję – rzekł Prew. – Poczekam, aż się stąd wydostanę, a wtedy odnajdę go i zabiję. Ale nie będę taki głupi jak Berry i nie będę chodził i rozgłaszał tego. Zachowani to przy sobie i poczekam, aż mi się trafi okazja.

– Trzeba go zabić – odpowiedział Malloy. – Powinno się go zabić. Ale to, że go się zabije, nie da nic a nic.

– Mnie to coś da – odparł Prew. – Da mi bardzo dużo. Może nawet znów zrobi ze mnie człowieka.

– Nie potrafiłbyś zabić na zimno człowieka, nawet gdybyś chciał – powiedział Malloy.

– Nie mam zamiaru zabijać „Grubasa” na zimno – odparł Prew.

– Dam mu równe szansę. W mieście jest taki bar, gdzie stale przesiaduje; słyszałem, jak jedni goście mówili o tym i wspominali, że zawsze nosi przy sobie nóż. Zabiję go nożem. Będzie miał takie same szansę przeciwko mnie ze swoim nożem, jak ja ze swoim. Tyle tylko, że nie on mnie zabije, ale ja jego. I nikt się nigdy nie dowie, kto go zabił, a ja wrócę do kompanii i zapomnę o tym, tak jak się zapomina o każdym ścierwie.

– Nic to nie da, że go się zabije – powiedział Malloy.

– Berry'emu to by coś dało.

– Nie, nie dałoby nic. Z Berry'm i tak stałoby się w końcu to, co się stało. Było mu przeznaczone, kiedy urodził się nędzarzem w jakiejś budzie w Wichita, w Kansas.

– „Grubas” też się urodził nędzarzem.

– Jasne, że tak – odparł Malloy. – I równie dobrze mógłby być Berry'm, a Berry nim. Ty go nie rozumiesz. Jeżeli chcesz coś zabić, zabij to, co uczyniło „Grubasa” tym, czym jest. Nie robi tego, co robi, dlatego, że jest dobre czy złe. Nie myśli o pojęciu dobra i zła. Po prostu robi to, co jest do zrobienia.

– Tak samo ja. Zawsze robiłem to, co było do zrobienia. Ale nigdy nie dopuściłem się tego co „Grubas”.

– Tak, ale ty masz silne poczucie dobra i zła. Dlatego przede wszystkim dostałeś się do Obozu, podobnie jak ja. Ale gdybyś zapytał „Grubasa”, czy uważa, że to, co robi, jest dobre, pewnie byłby diabelnie zdumiony. A potem, gdybyś mu dał czas do namysłu, powiedziałby, że owszem, jest dobre; ale powiedziałby tak po prostu dlatego, iż zawsze go uczono, że powinien robić to, co słuszne. Dlatego w jego pojęciu wszystko, co robi, musi być dobre. Ponieważ on to zrobił. I dlatego, że wie, iż uczono, że źle jest robić coś, co jest złe.

– Teraz tylko gadasz – odparł Prew. – Nie mówisz nic. „Grubas” jest zły. Znadto zły. A jeszcze masa ludzi przejdzie przez ten Obóz, kiedy ty i ja już się stąd wydostaniemy.

– A czy ty wiesz, że „Grubas” był kiedyś odznaczonym skautem?

– Guzik mnie to obchodzi, choćby był prezydentem.

– Gdyby zabicie go coś dało, powiedziałbym: proszę bardzo, zabij. Ale skutek będzie tylko taki, że dadzą kogoś takiego samego na jego miejsce. Dlaczego nie zabijesz majora Thompsona?

– Też daliby kogoś takiego samego na jego miejsce.

– Ma się rozumieć – odparł Malloy. – Ale on wydaje „Grubasowi” rozkazy.

– Czy ja wiem – rzekł Prew. – Nigdy nie czułem w stosunku do majora tego, co czuję wobec „Grubasa”. Major Thompson jest oficerem; człowiek spodziewa się takich rzeczy po oficerach, bo oni są po drugiej stronie barykady. Ale „Grubas” jest żołnierzem. Przez to się staje zdrajcą wobec swoich.

– Rozumiem cię – powiedział Malloy. – I masz rację. Ale nie masz racji chcąc go zabić, po prostu dlatego, że to się na nic nie zda.

– Muszę robić to, co muszę – odparł Prew niewzruszenie.

– Tak – rzekł Malloy. – My wszyscy też. I „Grubas”.

– Więc tak to wygląda – użył Prew starego zdania zamykającego dyskusję.

– Ty kochasz wojsko, prawda? – zapytał Malloy.

– Sam nie wiem – odpowiedział Prew. – Tak. Tak, Kocham. Jestem trzydziestoroczny. Zawsze nim byłem. Odkąd się zaciągnąłem.

– No więc „Grubas” jest tak samo częścią tego wojska, które kochasz, jak ten stary sierżant Warden, o którym wciąż mówisz. Jeden równie jak drugi. Bez „Grubasów” nie mielibyście Wardenów.

– Kiedyś będziemy mieli.

– Nie. Nigdy. Bo kiedy przyjdzie ten dzień, nie będzie już żadnych armii i nie będzie Wardenów. Nie można mieć Wardenów bez „Grubasów”.

– Nie weźmiesz mi za złe, jeżeli dalej będę myślał, że będziemy ich mieli.

– Nie. Powinieneś tak myśleć. Ale to, czego chcesz, nie może być osiągnięte przez zabijanie wszystkich „Grubasów”. Zabijając swojego wroga, „Grubasa”, zabijasz też twojego przyjaciela, Wardena.

– Możliwe. Ale nic nie poradzę; zrobię to, co muszę zrobić.

– Okej – powiedział Malloy i uśmiechnął się. – Więc taki jest produkt końcowy tego wszystkiego, czego próbowałem nauczyć cię na temat biernego oporu? Nie zrozumiałeś nic, tak samo jak Berry czy Angelo.

– Dużo im dał ten bierny opór, co? – odparł Prew. – Obaj go stosowali i proszę, co się z nimi stało.

– Żaden go nie stosował – powiedział Malloy. – Ich opór był zawsze czynny, nie bierny.

– Przecież się nie bronili.

– Nie musieli. Bronili się w swoim umyśle. Po prostu nie mieli dostępu do pałek, nic więcej.

– Więcej nie można wymagać od człowieka – powiedział Prew.

– Racja – odrzekł Malloy. – Ale posłuchaj. Jeden gość nazwiskiem Spinoza napisał kiedyś pewne zdanie. Powiedział: „Dlatego, że człowiek miłuje Boga, nie musi się wcale spodziewać, żeby Bóg miłował go wzajemnie”. Dużo w tym tkwi pod wieloma względami. Ja nie stosuję biernego oporu, ażeby coś z tego mieć. Nie spodziewam się, żeby mi się opłacił bardziej, niż się dotąd opłacał. Nie o to idzie. Gdyby szło o to, już wiele lat temu zarzuciłbym go jako nieskuteczny.

– Rozumiem – powiedział Prew. – Nie miałem racji. Ale zabiję „Grubasa” jak dwa a dwa to cztery. Nie mam wyboru. To jedyna rzecz, którą taki tuczony wieprz zrozumie. Jedyne sposoby.

– Dobra – powiedział Malloy. Wzruszył ramionami i popatrzał w głąb baraku. Światło zgaszono już jakiś czas temu i wszyscy leżeli na pryczach. Oni dwaj siedzieli na swoich, naprzeciw siebie, i rozmawiali, a twarze ich były oświetlone jedynie ognikami papierosów. Prew za milczącą powszechną zgodą przeniósł się na pryczę Angela obok Malloya, kiedy mały „Makaroniarz” odjechał do szpitala. Malloy patrzył w ciemne przejście między pryczami, jakby coś rozważając.

– Dobra – powtórzył wreszcie, obracając z powrotem głowę. – A teraz coś ci powiem. Nie miałem ci tego mówić. Ale może mi dobrze zrobi, tak jak tobie dobrze zrobiło mówienie o „Grubasie”. Czasem pomaga człowiekowi mówienie o czymś, co ma zrobić, a czego zrobić nie chce. Ja będę stąd przyskał – powiedział.

Prew poczuł, jak z wolna pełza po nim jakaś cisza, która nie była ciszą spokojnej nocy.

– Po co?

– Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć – odrzekł Jack Malloy. – Widzisz, ze mną jest coś niedobrze.

– To znaczy, jesteś chory?

– Nie, nie jestem chory. To coś innego. Coś, co ma związek z tym, co ci wspominałem o przyjsciu na świat w niewłaściwej porze. Jest we mnie brak, który mi nie pozwala robić

tego, co bym chciał. Widzisz, ja jestem odpowiedzialny za to, co stało się z Angelem i z Berry, zupełnie tak samo, jak gdybym podpisał zwolnienie czy uderzył pałką. Zupełnie tak samo, jak jestem odpowiedzialny za to, że zabijesz „Grubasa”.

– E, to tylko takie gadanie, Jack.

– Nie, nie gadanie, ale prawda.

– Nie rozumiem, czemu, u licha, miałbyś tak myśleć.

– Bo oni próbowali robić to, czego starałem się ich nauczyć – mówił Malloy. – Czy to dostrzegasz, czy nie, czy mi wierzysz, czy nie. Tak było ze mną przez całe życie. Próbowałem uczyć ludzi rzeczy, które widziałem, a oni zawsze źle je rozumieli i źle stosowali. Właśnie dlatego, że czegoś we mnie brak. Głoszę bierny opór i nowy rodzaj Boga z nowym rodzajem miłości, która potrafi zrozumieć, ale sam tego nie praktykuję. Przynajmniej niedostatecznie. Czasem wydaje mi się, że nigdy w życiu niczego nie kochałem.

Gdyby nie ja i moja gadanina, ani Angelo, ani Berry nie zrobiliby tego, co zrobili. I nie stałoby się z nimi to, co się stało. I jeżeli tutaj zostanę (a mam jeszcze siedem miesięcy do odsiedzenia tym razem), tak samo będzie z innymi. Już tak jest z wami. Powiadam: stawiajcie bierny opór, ale wy wszyscy walczycie, bo myślę: walczycie, nawet jeżeli mówię: nie walczycie. Nie chcę, żeby tak było z kimkolwiek innym.

– Wcale nie uważam, żeby to była prawda – powiedział niepewnie Prew, bezradny wobec umyślowego zadania, jakim było znalezienie kontrargumentu.

– Kiedy tak jest – rzekł Malloy. – I dlatego stąd wrywam. W świetle żarzącego się papierosa Prew dostrzegł gorzki, łagodny uśmiech na jego twarzy.

– Taka rzecz – mówił Malloy – widocznie zdarza się facetom, którzy próbują zrobić coś takiego, jak ja próbowałem całe życie, a nie mają tego, czego potrzeba. Prawdopodobnie, kiedy stąd zwieję, i to także źle zrozumieją i *zaczną* ze mnie robić cholernego bohatera, ponieważ uciekłem.

– Jak masz zamiar to zrobić?

– To jeszcze najłatwiejsze ze wszystkiego – odrzekł Malloy. – Z parku samochodowego mógłbym naznosić dość narzędzi, żeby bez trudu przebić się przez te mury.

– A co z reflektorami?

– W ogóle mnie nie zobaczą.

– A naelektryzowany płot? A alarm?

– Szczypce klejnowskie z gumowymi uchwytami z parku samochodowego – odrzekł Malloy. – I długi kawał drutu na każdy kabel, żeby zamknąć obwód, tam gdzie go przetnę po obu stronach. Ale łatwiej mi będzie po prostu wyjść z parku samochodowego, bo tam nie ma ani jednego człowieka, który by mnie zawrócił, albo chciał mnie zatrzymać. Kombinezon

monterski, żeby się dostać do moich ludzi w bazie i pożyczyć cywilne ubranie, i już mnie nie ma.

– A pieniądze?

– Pieniądzy nie potrzebuję. Mam w mieście z pół tuzina różnych przyjaciół, którzy mnie przechowują tak długo, jak będzie trzeba, żeby mnie wsadzić na jakiś statek odchodzący do Stanów.

– Niedługo będzie wojna – powiedział Prew.

– Wiem. Prawdopodobnie zaciągnę się znowu pod przybranym nazwiskiem, kiedy już przyjdzie. Tak sobie obmyśliłem. Ale tu jestem już skończony i nie ma sensu dłużej siedzieć. A zanim przyjdzie wojna, chcę zrobić kilka rzeczy – bez tego, żeby wszystko zostało źle zrozumiane i zaszkodziło tym, których lubię.

– Weź mnie ze sobą – rzekł Prew.

W blasku ogników papierosów Jack Malloy podniósł głowę, zaskoczony. Potem uśmiechnął się, i Prew zapamiętał ten uśmiech jako najsmutniejszy, najłagodniejszy, najbardziej gorzki i ciepły, jaki widział na ludzkiej twarzy.

– Ty nie chcesz iść ze mną, Prew.

– Jasne, że chcę.

– Nie, nie chcesz. A co będzie z „Grubasem”?

– Jeżeli mógłbym pójść z tobą, machnę na niego ręką.

– Nie wiesz, w co byś się wdał. Ja już nie raz uciekałem przed prawem.

– Ja też.

– Tak, ale nie z miasta do miasta i od szeryfa do szeryfa. A tym razem jest jakieś pięćdziesiąt procent szans, że nigdy nie wydostanę się z tej wyspy z powrotem do Ameryki. Nie ma w tym nic romantycznego. I to niełatwe.

– Sam mówiłeś, że byłoby prawie tak samo łatwo wydostać się stąd, jak przez park samochodowy – sprzeciwił się Prew.

– Owszem. Nie o to idzie. Mówię o tym, co będzie później, kiedy się już wydostaniemy. We dwóch byłoby o pięćset procent trudniej. Musielibyśmy pójść w górę i przejść tamtędy w więziarskich ubraniach zamiast z powrotem przez bazę. A właśnie tam będą nas szukali. Trzeba by całego tygodnia, żeby się dostać bezpiecznie do miasta, trzeba by omijać każdy dom i osiedle, a potem przejść przez całe Honolulu do moich przyjaciół.

– Chętnie bym poszedł – rzekł Prew.

– Ja umiem podróżować – powiedział Malloy. – Już to wszystko robiłem. Wiem, jak się wchodzi na statek udając bogatego człowieka, który jest ponad wszelkie podejrzenia. Wiem, jak się ubrać i zachowywać, jak zamawiać kolację, jak traktować stewardów i służbę,

a zwłaszcza innych pasażerów – milion drobiazgów, na których nauczenie się trzeba łąt. Ty byś się zdradził pierwszego dnia.

– Kiedy ja prędko się uczę – odparł Prew. – Słuchaj, wiem, że z początku miałbyś ze mną masę kłopotu. Ale później spłaciłbym ci zawiązką przy tamtych rzeczach, które zamierzasz robić.

Malloy uśmiechnął się.

– Przecież ty nie wiesz, co zamierzam robić.

– Mam zupełnie niezłe wyobrażenie.

– Kiedy nawet ja sam tego nie wiem, Prew.

– Dobra – powiedział Prew sztywno. – Nie będę cię naciskał. Ale chętnie bym poszedł.

– Twoje miejsce nie jest przy mnie – odrzekł Malloy. – Twoje miejsce jest w wojsku.

Po co chcesz ze mną iść?

– Czy ja wiem. Chyba dlatego, że chcę pomóc.

– W czym?

– Nie wiem. Po prostu pomóc.

– Pomóc odmienić świat?

– Może. Tak, chyba właśnie to.

– Ta odrobina zmiany, jaką ty i ja moglibyśmy wprowadzić w świecie – uśmiechnął się Malloy – nie ujawniłaby się wcześniej niż w sto lat po naszej śmierci. Nigdy byśmy jej nie zobaczyli.

– Ale by była.

– Może i nie – odrzekł Malloy. – Dlatego mówię, że twoje miejsce nie jest przy mnie. Ty widzisz to bardzo romantycznie. A w rzeczywistości to byłoby życie przez całe lata zbyt blisko siebie, wciąż w ruchu. Nie nadają się do bliskiego współżycia z ludźmi; lepiej, jak są zawsze w pewnym oddaleniu. I prędko byś się rozczarował. To, co robię, robię tylko dla siebie samego, nie dla tego, co mogłoby czy nie mogłoby dać. Wiesz, przed chwilą mówiłem ci, że coś jest ze mną niedobrze. Pamiętasz, co powiedziałem?

Prew nic nie odrzekł. Byłoby głupio i bezmyślnie powiedzieć, iż nie uważa, żeby coś było niedobrze z Malloyem.

– Nie znasz mnie wcale – mówił dalej Malloy, a w jego głosie zabrzmiał nagle pełen napięcia ton jakby spowiedzi. – O mnie, tak samo jak o wszystkim, masz romantyczne wyobrażenie. Nigdy w życiu nie kochałem niczego dość mocno. To właśnie jest niedobre.

– A „Wobblies” też nie? A Ameryki?

– „Wobblies” już nie ma. Nie ma ich od dawna. Ale nie wiem, czy nawet ich

kochałem dostatecznie, bo gdyby tak było, potrafiłbym coś zdziałać.

A Ameryka to nie jest rzecz. Ameryka to pojęcie. Pojęcie, którego każdy ma inną definicję. Mogę kochać pojęcia, jeżeli są moje własne, ale pojęcia to nie r z e c z y. Jestem takim rodzajem człowieka, który nie lubi zanadto się zbliżać do nikogo i widzieć jego wad, bo wtedy paraliżuje to moją miłość i później wpadam w gniew i sam siebie za to nienawidzę, a jeżeli muszę obcować blisko z kimś czy z czymś, w końcu także zaczynam nienawidzić tego kogoś czy czegoś. Widzisz, ja mam ten sam feler co każdy. Wygłaszam przeciwko czemuś kazania wobec ludzi, ale sam mam to również. Nawet chociaż potrafię udowodnić logicznie, że tak nie jest.

– Nie wierzę – odparł Prew. – Nieprawda. Tylko sam siebie obgadujesz.

– Niemilo ci odkrywać gliniane nogi, co? – uśmiechnął się boleśnie Jack Malloy. – Gdybyś ze mną poszedł, odkryłbyś je dość prędko. Bo to jest prawda. Wierz mi, że tak. Natomiast ty jesteś inny. Ty kochasz wojsko. Kochasz naprawdę. Jesteś jego częścią, w nim jest twoje miejsce. Ja nigdy nie kochałem niczego dostatecznie, żeby w tym widzieć miejsce dla siebie. Rzeczy, które kochałem, były zawsze zbyt zwodnicze, niematerialne, zbyt idealistyczne. Cierpię na tę samą chorobę, której diagnozę próbuję postawić, na tę samą chorobę, która niszczy świat.

To jest rzecz, która zawsze szła za mną krok w krok i prześladowała mnie – powiedział z trudem, zupełnie jak dobry irlandzki katolik spowiadający się ze swojej zwykłej cosobotniej niewierności małżeńskiej.

– Rzecz, która stale ścigała mnie i podstawiała mi nogę, i której zawsze szukałem, i nadal szukam, a nigdy nie znajdę i wiem, że nie znajdę.

Oddałbym wszystko, co może mnie czekać w niebie, za to, żeby móc kochać coś tak bardzo, jak ty kochasz wojsko.

Nie porzucaj go – mówił. – Nie porzucaj go nigdy. Jeżeli człowiek znalazł coś, co kocha naprawdę, musi się trzymać tego zawsze, choćby się nie wiem co stało, czy tamto go kocha, czy nie. A jeżeli – zakończył z nieledwie religijną żarliwością – jeżeli go to w końcu zabije, powinien być wdzięczny, że w ogóle miał taką szansę. Bo w tym jest cała tajemnica.

Prew nic nie odpowiedział. Nadal mu nie wierzył. Ale jakże mógł dysputować z takim umysłem jak Malloy?

– „Dlatego, że człowiek miłuje Boga, nie musi się wcale spodziewać, żeby Bóg miłował go wzajemnie” – powiedział Jack Malloy, którego głos powracał do zwykłego tonu. – Przynajmniej nie w ramach swojej ograniczonej definicji miłości.

Prew ciągle milczał. Nie wiedział, co mógłby powiedzieć.

– Nie będę się z tobą żegnał – rzekł Jack Malloy już całkiem zwyczajnym głosem – bo

nie wiem, kiedy stąd pójde. Muszę poczekać, aż się nadarzy odpowiednia chwila. Wtedy ją rozpoznam. To jedyny sposób wykonania czegoś takiego. Więc po prostu zapomnij, co ci mówiłem, i licz się z tym, że będziesz mnie widywał do momentu, kiedy mnie więcej nie zobaczysz.

– Wygląda na to – powiedział z trudem Prew – że życie składa się z mówienia „dzień dobry” ludziom, których nie lubimy, i „do widzenia” ludziom, których lubimy.

– To bzdura – odparł Jack Malloy – sentymentalna bzdura. Niech nigdy więcej nie słyszę czegoś takiego od ciebie. Po prostu tak się złożyło, że przechodzisz okres pożegnań. Każdy musi przejść przez to kilka razy. A teraz dajmy spokój tym głupstwom. I kropnijmy się spać.

– Okej – powiedział Prew ze skruchą. Rozgniół papierosa w puszcze i wsunął się pod koc. Leżał w milczeniu na pryczy, nagle czując niejasno, że Jack Malloy ze swoim giętym umysłem wywiódł go w pole, ale nie umiając wskazać tego palcem.

Minął tydzień, zanim Jackowi Malloyowi nadarzyła się sposobność. Prew widywał go co dzień, kiedy wracali z pracy, i co dzień spodziewał się, że go już nie zobaczy. Na przekór wszystkiemu, co Malloy mu powiedział, że powinien być o tym zapomnieć, spodziewał się każdego wieczora, że już go nie zobaczy. A potem przyszedł ten wieczór, kiedy go nie zobaczył, i Hanson zamykając barak opowiedział im, jak Jack Malloy po prostu wyszedł z parku samochodowego w monterskim kombinezonie, zanim ktokolwiek się spostrzegł. Szeregowiec Hanson, którego uwielbienie dla Malloya ustępowało może jedynie uwielbieniu nieboszczyka Berry'ego, był tym szalenie ubawiony. Wysłano patrole żandarmerii na pola ananasowe i na szlak Honoliuli, zaalarmowano posterunki w całej bazie, podano wszelkie szczegóły i instrukcje policji z Wahiawy i żandarmerii z Shafter patrolującej w mieście. Po raz pierwszy uciekł ktoś z Obozu Karnego w Schofield Barracks, jeżeli nie liczyć trzech ludzi przed dziesięciu laty, których przyprowadzono z powrotem w niespełna dwanaście godzin. Jednakże Jack Malloy przepadł jak kamień w wodę. Zgodnie z jego przepowiednią, na Dwójce byli tak dumni, jak członkowie partii, której kandydat został właśnie wybrany prezydentem.

Prew siedział samotnie i zastanawiał się gorączkowo, czy oto nie napotkał nowego mesjasza tej nowej wiary, którą Malloy też przepowiadał. Mesjasza, który nie chciał mieć uczniów i wolał działać sam jeden. Zastanawiał się, czy go nie spotkał i nie żył obok niego nie umiając go rozpoznać.

Po dwóch tygodniach bezowocnych poszukiwań, którym w Obozie towarzyszyło tak wielkie zainteresowanie jak rozgrywkom o mistrzostwa Stanów Zjednoczonych w baseballu, ucieczka Jacka Malloya straciła blask nowości i podobnie jak wszystko inne, pod

ustawicznym naporem pracy, niby kamień uderzony stalowym ostrzem, rozkruszyła się w znużenie i nicość.

Cokolwiek by się zdarzyło, w Obozie trzeba było pracować. Machało się szesnastofuntowym młotem, ażeby rozmiażdżyć skałę, albo szuflą, by załadować już rozmiażdżoną skałę na zajeżdżające ciężarówki. Praca bez celu, praca bez końca, praca bez dumy. Ręce pokryte pęcherzami, pokaleczone, krwawiące, zrogowaciałe. Pełne odcisków, jak stopy listonosza. „Po skaleczeniach ich poznasz ich, Panie, kiedy dzień sądu nadejdzie” – myślałeś. A gdy tylko porozbijasz wszystkie kawały skał, przyjeżdżali saperzy i materiałami wybuchowymi usłużnie odłupywali dla ciebie dalsze odciosy od zbocza. Ta góra nie miała końca. A mięśnie bolały i twardniały. I umysł bolał i twardniał. I tyłek aż bolał i twardniał, kiedy pomyślałeś o kobiecie. Po przejściu tego każdy musiał być twardym, dobrym, niebezpiecznym żołnierzem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Ogółem biorąc, po doliczeniu dodatkowego czasu na zamknięcie w Czarnej Dziurze i przeniesienie na Dwójkę, Prew odsiedział cztery miesiące i osiemnaście dni i zastał kompanię G zmienioną.

Wardena nie było, wyjechał na czternastodniowy urlop. Levy nie było; został przeniesiony do kompanii M w stopniu młodszego sierżanta. Maylon Stark był sierżantem, a porucznik Culpepper obecnym dowódcą kompanii. „Dynamit” Holmes otrzymał przydział do dowództwa brygady ze stopniem majora. Holmes zabrał ze sobą sierżanta Jima O'Hayera i O'Hayer został starszym sierżantem. Lada dzień spodziewano się nowego dowódcy kompanii, kapitana. Była to zupełnie inna kompania.

Prew przyjechał z Obozu w tym samym mundurze, w którym był na rozprawie. Czuł się w nim dziwnie; wydawał mu się jakiś nowy po czterech miesiącach i osiemnastu dniach noszenia za luźnych obozowych drelichów. Piaskowy mundur nie był ani brudniejszy, ani bardziej pognieciony, ani czystszy, ani lepiej wyprasowany. Wisiał na wieszaku w magazynie obozowym przez cztery miesiące i osiemnaście dni i, z wyjątkiem lekkiego odciśnięcia od wieszaka w poprzek kolan, wyglądał dokładnie tak samo, jak kiedy go zdjął. Prew nie mógł pohamować uczucia zdumienia na ten widok. To samo było ze wszystkim.

Pobrał swoją pościel i oporządzenie, swoją dawną skrzynkę ze wszystkimi dobrze znanymi przedmiotami osobistymi w środku; wszystko było w takim stanie, w jakim to zostawił, lecz wyglądało na dziwnie nowe i nie używane. Były to te same koce, ten sam pas, tornister i manierka, ale nie wydawał mu ich Leva. Zostały mu wydane przez uśmiechniętego na powitanie młodego sierżanta Malleaux, nowego magazyniera. Zza pleców Malleaux wyszedł Peter Karelsen, teraz też młodszy sierżant, wciąż jeszcze pełniący służbę w magazynie, i także uściskał mu dłoń z uśmiechem. Najwyraźniej Prew był nadal sławą. Wypytywali go o Maggia. Obiecał sobie, że odczeka dziewięć dni.

W kancelarii zastępca sierżanta-szefa, „Łysek” Dhom, który ponuro, w pocie czoła, usiłował nagiąć swoje kielbaskowate paluchy do wiecznego pióra, ochoczo rzucił robotę i z radością uściskał mu rękę. Nowy kancelista,

Żyd nazwiskiem Rosenberry, nie brał się do ściskania mu ręki, tylko patrzył na Prewa z wylęknionym respektem.

Oprócz Rosenberry'ego były jeszcze inne nowe twarze. Tego wieczora, przy kolacji, zobaczył więcej nowych twarzy niż starych. Stan liczebny kompanii powiększał się stale, ale krótkoterminowych nadal zwalniano do domu. Wszystkie te nowe twarze patrzyły na niego z

tym samym wylęknionym respektem co Rosenberry.

Po kolacji zasiadł na pryczy i zabrał się do opatrywania swojego karabinu, nowiuteńskiego garanda M 1 z lufą jeszcze pełną smaru. Czyścił go w milczeniu, studiując niezgrabne, nieporęczne kształty tej broni, która nigdy nie miała być dogodna w użyciu. W wątłym świetle nowe twarze obserwowały go ukradkiem z tym samym, nie zmienionym wyrazem wylęknionego respektu. „Wódz” Choate oraz wszyscy inni nowi dowódcy drużyn i plutonów, z wyjątkiem szefa plutonu, sierżanta Ike'a Galowicza, przyszli, aby uściskać mu dłoń i poklepać go po plecach. Najwyraźniej Obróbka była skończona. Prewitt był sławą. Wszyscy dopytywali się o Maggia. Obiecał sobie, że odczeka dziewięć dni.

Po odejściu kapitana Holmesa kompania G przestała być oddziałem sportowców i wszystkie te dawne siły, które wywoływały konflikty, zniknęły, rozproszyły się, przestały istnieć. Lada dzień spodziewano się nowego dowódcy kompanii. Prew czuł się poniekąd jak człowiek na grani góry, któremu rzucono za późno linę i który patrzy, jak owa bezużyteczna już lina zwisa niepotrzebnie nad jego głową, podczas gdy on spada.

Ale to wszystko właściwie już i tak nie miało większego znaczenia. Realny był nadal Obóz. Tamto nie było realne. Stopniowo wytworzyło się w Prewie skoncentrowane zogniskowanie wysiłku woli, podobnie jak szkło powiększające skupia promienie słońca, aby zapalić papier. Tamto wszystko nie mogło się przebić poprzez jedyną rzeczywistość, którą był Obóz, i to, że musi czekać dziewięć dni.

Jedyny moment, kiedy coś było bliskie takiego przebicia, nastąpił wtedy, gdy Andy i „Piętaszek” wrócili skądś, zobaczyli go i zaraz przybiegli ogromnie radzi, że go widzą, i bardzo świadomi obecności tych nowych twarzy, które wciąż spoglądały z wylęknionym respektem. Wydobyli gitary i poufale wrócili na jego pryczę, a nowe twarze zaczęły obserwować także i ich z tym wylęknionym respektem.

A potem pokazali mu niespodziankę. Przed dwoma miesiącami kupili na raty gitarę elektryczną z dodatkową wtyczką oraz głośnikiem. Kosztowała dwieście sześćdziesiąt dolarów, z których dwieście pozostawało jeszcze do zapłacenia. Z satysfakcją pokazali mu tę nową gitarę i obserwowali pełne respektu, baczne spojrzenia wylęknionych twarzy rekrutów. Prew był sławą, a oni byli jego kumplami.

Zmusił się do odczekania pełnych dziewięciu dni. Nie chodził nigdzie. Siedział na swojej pryczy w sali sypialnej, nikomu nie wadził i milczał. Nie poszedł nawet na Maunalani Heights zobaczyć się z panną Alną Schmidt. Nie chciał, żeby cokolwiek mu zakłóciło kryształową klarowność skupienia woli, które wciąż przybierało na sile.

Nowy dowódca kompanii, porucznik, a nie kapitan, zjawił się i przejął komendę. Przyjechał piątego dnia. Wygłosił do nich przemówienie. Był to Żyd, adwokat z Chicago, ze

stopniem porucznika rezerwy uzyskanym po czterech latach ćwiczeń w korpusie szkoleniowym oficerów rezerwy podczas wyższych studiów. Nazywał się Ross i dopiero niedawno otrzymał wezwanie do wojska. Porucznik Culpepper, którego ojciec i dziadek zaczęli w kompanii G tego pułku piechoty od podporuczników i doszli do dowodzenia kompanią, a potem batalionem, a potem pułkiem – nie był zachwycony. Spodziewał się kapitana, co ostatecznie nie byłoby takie złe. Porucznik Culpepper nie miał wysokiego mniemania o poruczniku Rossie jako o żołnierzu, natomiast szeregowiec Robert E. Lee Prewitt nie uważał, żeby to było takie ważne.

Nie miał zamiaru zostać męczennikiem, jeżeli tylko zdoła tego uniknąć. Chciał czegoś więcej niż pozostać przy życiu; chciał spędzić to życie w wojsku. Przed opuszczeniem Obozu wywiedział się, że w ciągu pierwszych dziewięciu dni po jego wyjściu będzie zwolnionych jeszcze sześciu ludzi. Uważał, że to przynajmniej trochę rozszerzy podejrzenia, nawet jeżeli nikomu nie przyjdzie do głowy posądzić o to setek ludzi, którzy przeszli przez Obóz jeszcze przed nim. Dziewięć dni to była ładna, okrągła, nieparzysta cyfra, która nie wydałaby się z góry ustalonym okresem, jak powiedzmy dziesięć dni albo tydzień. A „Grubas” Judson jeździł do miasta, do baru „Drewniana Chata”, każdego wieczora, kiedy nie było żadnych specjalnych zajęć, takich jak tamto nocne obrabianie Berry'ego. Nie było więc potrzeby się spieszyć.

Nóż kupił sobie w sklepie wojskowo-marynarskim tego wieczora, kiedy pojechał do miasta. Przemyślał to sobie świadomie z góry. Był to jeden z tych obskurnych żydowskich sklepików na Hotel Street, dokładnie taki sam jak tysiące innych obskurnych żydowskich sklepików, które zawsze wyrastają niczym grzyby po deszczu wszędzie tam, gdzie mieszkają żołnierze – tyle że na Hawajach wszystkie te żydowskie sklepiki były prowadzone przez Chińczyków. Można tam było kupić te same wojskowe bluzy i dopasować sobie spodnie czy koszulę. Sklepiki te oferowały te same odznaki, medale strzeleckie, czapki garnizonowe z lakierowanymi daszkami i insygniami z mosiądzu, barwne odznaki ramienne, mosiężne gwizdki, wstążeczki orderowe, mosiężne sprzączki do pasów, pamiątkowe chustki na szyję, poduszki i noże. Nawet ta przymusowa anonimowość wojska miała swoje dobre strony.

Nóż, który wybrał, był jednym z tuzina identycznych, leżących w szklanej gablocie pośród bezładnej masy gwizdków, pierścieni z insygniami i odznak – jednym z tych oprawnych w mosiądz, składanych noży o pięciociałowych, otwieranych za naciśnięciem sprężyny ostrzach oraz rękojeściach z orzecha, a zakończonych małymi jelcami, między którymi przechodziło ostrze przy zamykaniu. Noże te należały do zwykłego wyposażenia wojskowego. Miał chyba z tuzin takich w różnych momentach swojego życia. Chińczyk sprzedawał ich zapewne po pół tuzina dziennie. Prew zapłacił drobnymi, wyszedł ze sklepu,

kilkakrotnie wypróbował sprężynę, wsadził nóż do kieszeni i poszedł napić się czegoś.

Bar „Drewniana Chata” był jednym z uczęszczanych przez wojsko lokali z ukrytym oświetleniem jarzeniowym, gdzie turyści mogli bezpiecznie zachodzić, aby obejrzeć Armię w jej przyrodzonym środowisku – lokalem bardzo schludnym, bardzo nowoczesnym, odrobinę niższej kategorii niż „Chińska Restauracja” i bar Wu Fata. Znajdował się przy ulicy Beretania, w handlowych blokach, gdzie pełno było cuchnących sklepów kolonialnych i słodko pachnących burdeli, przy wąskim brukowanym przejściu. O sto stóp za „Drewnianą Chatą” uliczka ta, zamiast biec dalej między blokami, skręcała pod prostym kątem w kierunku wschodnim i wychodziła na boczną ulicę. Prew, trzeźwy po tuzinie szklanek jak kamień, czekał na rogu owej uliczki, kiedy zamykano bar o pierwszej w nocy.

Nawet w półmroku uliczki nie sposób było nie poznać „Grubasa”, gdy wyszedł. Towarzyszyli mu dwaj marynarze. Znajomi z baru. Żadnej komplikacji z tej strony. Jeden z marynarzy opowiadał jakiś kawał i „Grubas” z drugim marynarzem roześmieli się. Prew po raz pierwszy usłyszał śmiech sierżanta Judsona.

Odchodzili w stronę Beretanii, więc wysunął się zza rogu czując taką kryształową klarowność skupionej uwagi, jakiej zaznał tylko parę razy w życiu, kiedy grał na trąbce.

– Hello, „Grubasię” – powiedział. Stare obozowe przezwisko musiało go pochwycić równie pewnie jak lina.

Sierżant Judson przystanął i obrócił się, a marynarze zatrzymali się razem z nim. Mrużąc oczy popatrzył w nierówne, przyćmione światło, które sączyło się przez zapuszczone żaluzje „Drewnianej Chaty” i niewyraźnie oświetlało nieruchomą postać Prewitta.

– No, patrzcie, kto tu przyszedł – wyszczerzył zęby „Grubas”. – Idźcie, chłopaki – obrócił się do marynarzy. – Zobaczymy się w przyszłym tygodniu. To mój stary kumpel, z którym kiedyś służyłem.

– Okej, Jud – odrzekł bełkotliwie jeden z marynarzy. – To cześć.

– Dziękuję – powiedział Prew, kiedy „Grubas” podszedł bez wahania, bez oporów, a marynarze oddalili się w stronę Beretanii.

– Za co? – uśmiechnął się „Grubas”. – Marynarze mi niepotrzebni. No? Masz do mnie jakąś sprawę, Prewitt?

– Tak – odrzekł Prew. – Chodźmy za róg, gdzie będziemy mogli pogadać.

– Okej – wyszczerzył zęby „Grubas”. – Co tylko chcesz. Poszedł za nim za róg, trzymając ręce nieco odstawione od boków, lekko pochylony, jak stary bokser, który się czegoś spodziewa.

– No, jak się czujesz z powrotem na wolności? – uśmiechnął się.

– Mniej więcej tak, jak się spodziewałem – odparł Prew. W tyle, za rogiem uliczki,

usłyszał otwieranie i zamykanie drzwi „Drewnianej Chaty”, a jacyś inni zapóźnieni goście odeszli, rozmawiając, uliczką w stronę Beretanii.

– No? – wyszczerzył zęby „Grubas”. – Jaki masz do mnie interes? Nie będę tu stał całą noc.

– Taki – odrzekł Prew. Wyciągnął nóż z kieszeni i nacisnął sprężynę, a szczęknięcie wyskakującego ostrza rozległo się głośno w uliczce. – Nie mogę cię zlać pięściami, „Grubasie”. I nie chciałbym tego robić, choćbym mógł. Słyszałem, że nosisz przy sobie nóż. Użyj go.

– A może nie mam noża? – uśmiechnął się „Grubas”.

– Słyszałem, że zawsze go nosisz.

– Okej. Ale może nie mam ochoty go użyć?

– Lepiej go użyj.

– A może ucieknę? – wyszczerzył zęby „Grubas”.

– Dopędzę cię.

– Ktoś może cię zobaczyć. A jakbym zawołał policję?

– Może mnie złapią. Ale nie przylecą dość prędko, żeby ci coś pomóc.

– Widzę, że wszystko sobie obmyśliłeś – uśmiechnął się „Grubas”.

– Staralem się.

– Ano, jeżeli tak chcesz – wyszczerzył zęby „Grubas” – to dobra. Włożył rękę do kieszeni, wyciągnął nóż, nacisnął sprężynę i ruszył naprzód – wszystko jednym ruchem, niewiarygodnie szybkim u tak tłustego człowieka. Zanim drzwi „Drewnianej Chaty” otworzyły się znowu wypuszczając na uliczkę innych zapóźnionych gości. Ich głosy odpłynęły w kierunku Beretanii.

– Ale bardzo nie lubię odbierać dzieciom cukierków – uśmiechnął się „Grubas”.

Jego nóż, prawie identyczny jak nóż Prewa, poruszał się z wolna w przód i w tył niczym głowa węża, kiedy „Grubas” podchodził w klasycznej postawie wytrawnego nożownika, nieco skulony, z prawą ręką trochę wysuniętą, z ostrzem sterczącym spomiędzy dużego i wskazującego palca dłoni trzymanej wewnętrzną stroną do góry, z lekka wzniesioną lewą ręką, której otwarta dłoń służyła za osłonę.

Prew siedł mu na spotkanie w milczeniu, oszczędzając tchu, żałując przez chwilę, że nie narodził się innym człowiekiem, żałując czegoś, może tego, że w koszarach nie było Wardena, bo chciał z nim to obgadać, żałując, że zapomniał kupić sobie gumy do żucia. A potem tamto zniknęło i wreszcie ujrzał wszystko z najwyższą koncentracją tej kryształowej klarowności, przypominającej niejako zwolniony ruch, tak jakby palił marihuanę, i wcale niepodobnej do dzikiej szybkości na ringu.

Nie trwało to długo. Tylko na filmach walczący na noże dźgają i nie trafiają, chlastają i nie trafiają, i borykają się ze sobą przez kilka przecznic. Może się zdarzyć jedno zaciekle pchnięcie, które nie trafia; może dwa, jeżeli ma się szczęście. Większość tych, co walczą nożami, umie kontrować.

Kiedy tak krążyli ostrożnie poza zasięgiem ramienia, za nimi „Drewniana Chata” wyrzuciła z siebie ostatnich, najodporniejszych klientów. O kilka stóp za zakrętem odchodzili spokojnie uliczką ku Beretanii.

„Grubas” podsunął się nieco jak bokser, podniósł lewą rękę ku twarzy Prewa i wykonał fintę nożem nad jego lewym przedramieniem, tak jakby zamierzał pchnąć ponad nim, i tym samym ruchem, w chwili gdy Prew podniósł automatycznie lewą rękę, by się zasłonić, cofnął nóż błyskawicznie i zadał cios pod nią. Nóż przeniknął parząco jak suchy lód wzdłuż żeber Prewa i wbił się w duży mięsień pod pachą. Prew raptownie opuścił lewą rękę, ale już było za późno i nóż przeorał mu bok, jak ogon komety.

Gdyby Prew nie postąpił naprzód w tej samej chwili, kiedy „Grubas” go pchnął, gdyby bał się ciosu lub miał wsteczny odruch mięśni, gdyby się zawahał, byłoby już po walce i teraz zależałoby tylko od „Grubasa”, czy posunie się dalej i zabije go, czy nie. Jednakże całe lata boksowania dały mu instynkt, który nie wymaga już myśli ani odwagi. Jego nóż wbił się w „Grubasa” koło przepony, tuż pod żebrami, automatycznym prawym prostym, wymierzonym w nerwowy splot brzuszny.

Stali tak może sekundę czy dwie, może pięć sekund, udo przy udzie. Prew przygryzając dolną wargę wpychał i okręcał ostrze noża wciskając je w tłuszcz aż do połowy rękojeści, sondując badawczo ranę – trwali tak niby dwa posągi, a jedynym dostrzegalnym ruchem było powolne opuszczanie się prawej ręki „Grubasa”. Gdy jego ręka wyprostowała się w dół na całą długość, poderwała się na chwilę, a wtedy nóż wypadł z niej i brzęknął metalicznie na chodniku. W tej chwili „Grubas” zaczął się osuwać na ziemię.

Kiedy Prew to poczuł, przyłożył mocno lewy łokieć do piekącego boku, ścisnął rękojeść noża i przekręcił rękę w kiści, aby obrócić go ostrzem do góry, pozwalając, by ciało rozpruwało się na nim własnym ciężarem, powoli przeginając kiść jego ręki, podobnie jak za duża ryba rozprostowuje hak; rozcinał je głęboko wzdłuż lewego boku prowadząc nóż po krawędzi żeber. Przyszedł tu, żeby go zabić, a nie chciał dźgać leżącego na ziemi ani podrzynać mu gardła.

Sierżant Judson dotknął ziemi czubkiem prawego ramienia i przetoczył się na wznak z głową lekko uniesioną, bo oparła się o ceglany mur budynku, z oczami, które już zachodziły mgłą. Jego prawa ręka była wciąż wyciągnięta, próbując całym wysiłkiem woli pochwycić jeszcze nóż, tak jakby to mogło coś zmienić. Stęknął i zdołał podźwignąć lewą rękę do

rozciętego brzucha.

– Zabiłeś mnie. Dlaczego chciałeś mnie zabić? – wymówił i skonał. Wyraz urażonego zdumienia pozostał mu na twarzy, jak zapomniana walizka na dworcu, i tężał na niej stopniowo.

Prew stał spoglądając na niego, wciąż jeszcze wstrząśnięty tym pełnym wyrzutu pytaniem. Za zakrętem. uliczki dwaj barmani z „Drewnianej Chaty” wyszli razem, z chrzęstem zamknęli drzwi i, rozmawiając, spokojnie oddalili się chodnikiem ku Beretanii.

Wtedy Prew się poruszył. Zamknął nóż, owinął go w chustkę, założył na nią gumową opaskę i wsadził to zawiniątko do kieszeni.

Bok krwawił mu ciągle, więc wyjął drugą chustkę, tę czystą, zwinął ją w kłębek, wsadził pod koszulę i przycisnął mocno łokciem, spiesząc się, by uchwycić krew, zanim przecieknie przez spodnie; już w paru miejscach przesiąkła mu przez hawajską koszulę rozprutą w miejscu, gdzie wbił się nóż. To jednak mógł częściowo zasłonić ręką.

Potem wyszedł drugim końcem z uliczki kierując się na północ, za miasto. Minąwszy dwie przecznice, skręcił znów w inną uliczkę i usiadł opierając się o ścianę, aby pomyśleć chwilę. Bardzo było przytulnie w tej uliczce.

Powinien był już być gdzieś niedaleko Vineyard Street. Tu, powyżej Beretanii, była mieszkaniowa dzielnica tubylcza i nie znał tej części miasta zbyt dobrze. Pamiętał jednak, że Vineyard Street ciągnie się spory kawał na wschód. Trzeba zatem iść w kierunku wschodnim.

Teraz już nie miał co myśleć o powrocie do Schofield, kiedy był taki pochlastany; wzięliby go od razu z samego rana, jak tylko by znaleźli „Grubasa” – nawet gdyby mu się udało przejść przez bramę. Zostało tylko jedno wyjście: iść prosto do Almy. Jeżeli zdołała dotrzeć do Almy, wszystko będzie dobrze.

Do Kaimuki było prawdopodobnie ze cztery mile, a potem prawie cała mila pod górę przez Wilhelmina Rise do Almy. I to w linii prostej. Trzeba było dodać milę na obejście, bo chciał się trzymać bocznych ulic, które nie były tak jasno oświetlone. To, skromnie licząc, dawało razem sześć mil. Ale jeżeli zdoła dotrzeć do Almy, wszystko będzie dobrze.

Siedząc oparty plecami o mur uliczki dał sobie jeszcze czas na jednego papierosa przed wyruszeniem w drogę, myśląc, że tamto zakrzepnie trochę, jeżeli nie będzie się ruszał. Był to najlepszy papieros, jakiego w życiu pokosztował. Wypalił go powoli, czując się przytulnie i bezpiecznie w tej uliczce. Potem uśmiechnął się. Zabawna rzecz, jak różne drobiazgi, na przykład papieros, wydają się doskonałe i cudowne, kiedy z człowiekiem jest źle, i wtedy sobie mówi, że jeżeli w ogóle z tego wyjdzie, poświęci więcej czasu na cieszenie się drobiazgami. A potem, kiedy znów mu się wszystko dobrze układa, prawie wcale ich nie dostrzega.

„Ano – powiedział do siebie – chyba trzeba ruszać w drogę. Bo wiesz, im prędzej ruszymy, tym prędzej tam dobrniemy”.

Ciężko mu było porzucić złudne bezpieczeństwo uliczki. Musiał przypomnieć sobie, że trzeba się ruszyć, nim zacznie drętwieć, dopóki jeszcze nie boli tak bardzo. Wszystko już zaczynało nabierać tego koszmarne go charakteru snu, kiedy człowiek wie, że się niedługo obudzi, i to było niebezpieczne. We śnie przyjmujesz to spokojnie, bo zawsze wiesz, że w końcu się obudzisz. Ale to nie był sen. „To nie sen, Prewitt – przypomniawszy sam sobie. – Z tego się nie obudzisz”. A cokolwiek by się stało, nie miał zamiaru już nigdy wracać do Obozu.

Na najbliższym rogu sprawdził starannie nazwę ulicy i upewnił się, że to Vineyard, zanim skręcił na wschód. „Tym razem na dobre spaliłeś za sobą mosty, Prewitt. Twoje czasy jako trzydziestoroczne się skończyły. Kiedy jutro się nie pokażesz, a potem znajdą „Grubasa” i zaczną dochodzenie, nie będzie cienia wątpliwości, kto to zrobił. Tym razem nie będzie powrotu do koszar, zanim cię złapią, tak żeby skończyło się tylko na karze dyscyplinarnej. Tym razem to jest dezercja”. Nie wiedział, jak daleko sięga Vineyard, ale była to tutaj jedyna ulica, która szła dalej niż parę przecznic, więc skręcił w nią.

Poniżej ulic Beretania i King Street aż w dół po plażę znalazł miasto jak własną kieszeń, ale tu się nie orientował. Wiedział jedynie, że kiedy się dojdzie do uniwersytetu, nie ma już żadnych bocznych ulic biegnących ze wschodu na zachód i trzeba albo iść dalej przez Beretanię czy King Street, żeby się trzymać kierunku wschodniego, albo też przeciąć je obie od strony plaży. To będzie najtrudniejsze, przejść przez Beretanię i King Street. Jedyna szansa to znaleźć jakąś przecznicę, która biegnie prostopadle do tych dwóch ulic, żeby nie iść jedną z nich pod latarniami. Tutaj, koło uniwersytetu, nie było na nich tak dużo ludzi jak w centrum, ale jednak były to główne ulice.

Kiedy w końcu przechodził na Date Street przez kanał odwadniający, który biegł środkiem pola golfowego, wrzucił do wody zawiniątko z nożem i popatrzał na wypływające pasemko pęcherzyków powietrza.

Pomyślał chichocząc, że będzie miał niezłą bliznę. Blizny na ciele człowieka są jak pisana historia jego życia. Każda ma swoje dzieje i wspomnienia, niby rozdział w książce. A kiedy człowiek umiera, grzebią je wszystkie wraz z nim i potem już nikt nie może odczytać jego historii i opowieści, i wspomnień, które zostały zapisane w księdze jego ciała. „Biedny jest ten człowiek – pomyślał – którego pisana historia zostaje pochowana wraz z nim. Biedny «Grubas», „Założyłyby się, że „Grubas” miał wiele blizn-historii. I miał ikrę ten „Grubas”. A Prewitt go zabił. Biedny Prewitt.

„Głupiejesz – ostrzegł sam siebie. – Lepiej oprzytomniej i leć dalej. Jeszcze nie jesteś w Kaimuki. Jeszcze masz przed sobą kawał drogi, więc przejrzyjmy wspólnie te nasze blizny

i zobaczymy, czy potrafimy sobie przypomnieć ich historie. My też ich mamy sporo”.

Najpierw była ta blizna na lewej ręce, która została mu po tym, kiedy wówczas, na włóczędże, w Richmodzie w stanie Indiana, Murzyn obronił go przed tamtym facetem z nożem. Ale ta blizna była mała, wtedy był jeszcze dzieciakiem. Ciekawe, gdzie teraz może być ten Murzyn? I tamten drugi?

Potem była ta na lewym przegubie. Już większa. Spadł z dachu domu w Harlan, rozorał sobie rękę o gwóźdź i przeciął arterię. Matka pobiegła po wuja Johna i wuj John zatamował krwawienie; gdyby nie to, pewnie już by nie żył. Kiedy ojciec wrócił do domu, uśmieł się z tego. Ojciec już nie żyje. Wuj John też nie żyje. I matka nie żyje. A wtedy wydawało im się to takie ważne, z wyjątkiem ojca, którego przy tym nie było. Gdzież jest ta blizna? Aha, na lewym przegubie.

A jak umrzesz?

Wtedy jej nie będzie.

Wiele razy był strasznie bliski śmierci. Na dowód tego ma te blizny. A jeszcze nie umarł.

Ale kiedyś będzie trzeba umrzeć.

Tak jest. To prawda. I wtedy te wszystkie blizny zginą. Jeżeli go spalą w krematorium, będzie to prawdziwym paleniem książek, no nie?

Pod lewą brwią, na powiece, miał inną bliznę, teraz przypominającą już tylko cienką ołówkową kreskę, a dostał ją w Myer na ringu. Chcieli wtedy przerwać walkę, ale im to wyperswadował i zwyciężył nokautem. Lekarz chciał zszywać powiekę, ale trener zrobił takie piekło i tak głośno się upierał przy plastrze, że w końcu go posłuchali, i prawie nie zostało śladu. A gdyby to zeszyli albo założyli klamerki, byłaby cholerna blizna. Ciekawe, gdzie ten doktor jest teraz? A trener? Czy obaj są jeszcze w Myer? Wówczas żałował, że mu tego nie zeszyli, bo wtedy chciał mieć porządną bliznę.

„Jakiś ty dzieciak, Prewitt. Co z ciebie za szczeniak. Ano, teraz już masz. Teraz masz ich całą masę”.

Były blizny otrzymane w Obozie, jeszcze czerwone i świeże. I wszystkie te, które pozbierał w różnych koszarach, wracając po pijanemu i przewracając się o żołnierskie kufarki. Miał wiele blizn. Miał naprawdę swoją historię. Robert E. Lee Prewitt, historia Stanów Zjednoczonych w jednym tomie, od roku 1919 do 1941, nie uzupełniona, zebrana i zredagowana przez Nas, Lud. Były blizny, które dostał na robotach przymusowych w Georgii, i blizny, które dostał w Missisipi, w miejskim areszcie. Miał blizny pozostawione mu przez policję i blizny pozostawione przez wrogów policji.

Poznał ulicę Wilhelmina Rise, bo była taka diabelnie stroma. Naprawdę się zasapał.

Całkiem wychodzi z formy. Powinien by popracować trochę przy budowie dróg. Starzeje się.

Były jeszcze te dwie blizny, które dostał zeszłego roku w Myer, podczas pełnienia służby porządkowej, kiedy pracował na strychu i zleciał przez świetlik do oficerskiej sali gimnastycznej. Szkło rozcięło mu twarz od lewego ucha po kącik ust i rozchlastało prawe biodro. Był to jedyny raz, kiedy miał sposobność zobaczyć wewnątrz oficerskiej sali gimnastycznej. A teraz nie było nawet widać tej kreski na twarzy, chyba że zaraz po goleniu.

Tyle lat. Tyle blizn. Gdzie to się wszystko podziewa, psiakrew?

Była też blizna, którą oberwał podczas bójki na pięści w Waszyngtonie, od sierpowego wymierzonego w sam czubek brody; zamroczyło go i znalazł się na ziemi, tamten drugi zwiął, a blizna potem szerniała jak węgiel, i nigdy nie mógł zrozumieć dlaczego, chyba że przez jego zarost; ale przecież miał drugą bliznę pod zarostem, tam gdzie Koleman wybił mu dwa zęby przez dolną wargę, kiedy Koleman z nim wygrał w mistrzostwach klasy pierwszej – i ta blizna nigdy nie szerniała jak węgiel. Może jak upadł, dostało się trochę brudu do tamtej na brodzie.

W domu paliły się światła. To dobrze. To znaczy, że nie musi otwierać własnym kluczem, a nie mógł sobie przypomnieć, czy go zabrał, czy nie. Bo, widzicie, on przecież wcale nie chciał palić za sobą mostów i przychodzić tu dziś wieczorem. Miał zamiar wrócić prosto do koszar. Taki był jego zamiar.

Zapukał do drzwi mosiężną kołatką i otworzyła je Alma, za którą stała Georgette.

– Boże mój! – zawołała Alma.

– O Jezu! – krzyknęła Georgette.

– Hello, dziecinko – powiedział. – Cześć, Georgette. Dawnośmy się nie widzieli – i runął przez drzwi na podłogę.

KSIĘGA PIĄTA
PIEŚŃ NADTERMINOWYCH

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Ból nie zaczął się właściwie aż do rana. Ale oczywiście rano było gorzej. O tym czasie przyszło już odrętwienie, a z nim ten tępy ból gojenia, który jest zawsze gorszy od ostrego, czystego bólu w pierwszym momencie. Przez kilka dni Prew cierpiał naprawdę.

Jednakże ból był czymś, co znał. Ból był jak stary przyjaciel, którego od dawna nie widział. Umiał sobie dać radę z bólem. Z bólem trzeba leżeć, a nie odsuwać się od niego. Trzeba niejako poruszać się dookoła zewnętrznego skraju bólu, tak jak się robi z zimną wodą, dopóki człowiek w końcu nie zdobędzie się na dość odwagi, by wziąć się w garść. Wtedy trzeba nabrać głęboko tchu, dać nurka i opaść aż na samo dno. A potem, kiedy już pozostałeś jakiś czas w głębi, stwierdzasz, że nie jest wcale tak zimno, jak myślałeś, gdy twoje mięśnie cofały się przed tą zewnętrzną krawędzią, kiedy chodziłeś dokoła próbując zebrać się na odwagę. Znał ból. Ból był jak walka na ringu; jeżeli do tego powracasz dostatecznie długo, nabierasz w końcu pewnego instynktu. Nigdy nie wiesz, kiedy przychodzi ani skąd się bierze, ale nagle odkrywasz, że go masz i że go masz od dawna, nic o tym nie wiedząc. Tak samo jest z bólem.

Ból był jak wioska u stóp góry, na której garbie, wysoko nad wsią, wybudowana jest katedra, a dzwony tej katedry bezustannie wydzwaniają pieśń o krzyżu.

Odzyskał przytomność na tapczanie, około wpół do szóstej rano, wydobywając się z trudem ze snu pełnego wyczerpania i mając wrażenie, że jest z powrotem w Obozie, i major Thompson wypala mu pod lewą pachą wielką literę P za to, że zabił „Grubasa”. Zdawało mu się, że robią to przez ten sam szablon, którego używali do bluz roboczych, tyle tylko, że naznaczają go tak do końca życia, i ilekroć próbuje się wyrwać, palące piętno wżera się coraz głębiej.

A potem zobaczył Georgette, która siedziała w dużym fotelu i wpatrywała się w niego bez mrugnięcia powieką, i Almę wyciągniętą na wiklinowej leżance, z zamkniętymi oczami, pod którymi były ciemne kreski. Rozebrały go, obmyły, przyłożyły kompres do rany i zabandażowały gazą dookoła piersi.

– Która to godzina? – zapytał.

– Około wpół do szóstej – powiedziała Georgette i wstała.

Alma zerwała się od razu na równe nogi, jej zamknięte oczy rozwarły się szeroko, patrząc gdzieś w pustkę, bez śladu senności, i podbiegła za Georgette do niego.

– Jak się czujesz? – spytała Georgette.

– Dość obolały. Ten bandaż trochę ciasny.

– Umyślnie owinęłyśmy go bardzo ciasno – odezwała się Alma.

– Straciłeś sporo krwi. Jutro go zdejmujemy i założymy nowy, nie taki ciasny.

– A jak to wygląda?

– Nie tak źle – odrzekła Georgette. – Mogło być znacznie gorzej. Mięsień nie jest przecięty. Ale wiele zawdzięczasz swoim żębrom, mój chłopcze.

– Będziesz miał niezłą bliznę – powiedziała Alma. – Ale zagoi się doskonale w ciągu miesiąca.

– Wy powinniście być pielęgniarzkami.

– Każda dobra kurwa powinna przejść praktyczny kurs pielęgniarstwa – uśmiechnęła się Georgette. – To się przydaje.

Zauważył w twarzach ich obu jakiś nowy wyraz, którego nigdy dotąd nie widział.

– Jak tamten gość wyglądał? – uśmiechnęła się Alma.

– Nie żyje – odparł Prew. A potem dodał, raczej niepotrzebnie, jak później uznał: – Zabiłem go.

Obydwa ich uśmiechy stopniowo zgasły. Ani jedna, ani druga nie powiedziała nic.

– Kto to był? – spytała Georgette.

– A taki żołnierz – odrzekł i zamilkł. – To był szef strażników z Obozu Karnego.

– No, to pójde zrobić ci filizankę gorącego rosółu z wołowiny. Musisz odzyskać siły – powiedziała Georgette.

Alma patrzyła za nią, dopóki nie weszła po trzech schodkach do kuchni.

– Czyś ty go zabił umyślnie? Prew kiwnął głową.

– Tak.

– Tak przypuszczałam. Dlatego tu przyszedłeś, prawda?

– Miałem wrócić do koszar, żeby mnie nie podejrzewali. A tutaj chciałem przyjść później, kiedy to już się rozejdzie po kościach.

– Jak dawno temu wyszedłeś z Obozu?

– Dziesięć dni – odrzekł. Powiedział to automatycznie, nie musząc liczyć.

– Przeszło tydzień – rzekła. – I nawet do mnie nie zadzwoniłeś. Mogłeś chociaż zadzwonić.

– Nie chciałem ryzykować, żeby nie skrewić. – Potem uśmiechnął się.

– No i nie chciałem narażać ciebie. Oczywiście nie pomyślałem o tej możliwości, że mnie tak ciachną, że już nie będę mógł wrócić.

Alma najwyraźniej nie uważała, żeby to było zabawne.

– Czy Warden skontaktował się z tobą? – zapytał. – Prosiłem go o to.

– Tak – odpowiedziała Alma. – Skontaktował się ze mną. Przyszedł do „New

Congress”. Stąd się dowiedziałam, że jesteś w więzieniu. Inaczej w ogóle bym nie wiedziała. Uważam, że mogłeś chociaż napisać list.

– Nie umiem pisać listów – rzekł Prew. Zamilkł i spojrzał na nią.

– Ano, oczywiście, jeżeli nie umiesz pisać listów...

– Czy Warden... – zaczął i urwał.

Popatrzyła na niego czekając, by dokończył, a na jej twarzy pojawił się wyraz nieomal pogardy. Kiedy nie mówił nic więcej, zapytała:

– Czy co Warden? Zachował się jak prawdziwy dżentelmen, jeżeli o to ci idzie.

Prew patrząc na nią niepewnie poruszył głowę.

– Był delikatny – zaczęła wyliczać – pełen względów, taktowny, łagodny, prawdziwy dżentelmen.

Prew popróbował wyobrazić sobie takiego Wardena.

– O wiele bardziej niż wielu znanych mi mężczyzn – powiedziała Alma.

– To fajny gość, szkoda gadać.

– Z pewnością. Wspaniały człowiek.

Prew ugryzł się w język, bo już chciał coś powiedzieć.

– Nie masz pojęcia, jak tam jest – rzekł zamiast tego. – Niełatwo człowiekowi wyzbyć się wyobraźni. Cztery miesiące i osiemnaście dni, a co noc jest cały ten czas, kiedy się leży na prycy po zgaszeniu świateł, zanim nareszcie się zaśnie.

Wzgarda zniknęła z jej twarzy, uśmiechnęła się do niego serdecznie, przeprasząco. Był to ten sam uśmiech, co przed chwilą, uśmiech, którego dotychczas nie widział na jej twarzy – matczyne, troskliwe, czułe, nieomal szczęśliwe i nieskończenie łagodniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

– Było ci ciężko – uśmiechnęła się, jakby potępiając samą siebie – a ja tu jestem paskudna i podła, kiedy tobie coś dolega i boli cię, i najbardziej ze wszystkiego potrzebujesz spokoju. Zdaje się... – powiedziała. – Obawiam się, że jestem w tobie zakochana.

Prew spojrzał na nią z dumą, mimo że bok żgał go wściekle; pomyślał, że jest zawodową kurwą, i to zamiast zmniejszyć jego dumę, powiększyło ją jeszcze, bo przecież mężczyźnie jest dużo trudniej sprawić, by zakochała się w nim zawodowa kurwa znająca życie niż przyzwoita kobieta. „Niewielu mężczyzn bywa kochanych przez zawodowe kurwy” – pomyślał z dumą.

– A może byś mnie pocałowała? – uśmiechnął się. – Jestem tu tak długo i jeszcze mnie nawet nie pocałowałaś.

– Owszem, pocałowałam – odrzekła Alma. – Ale spałeś. Pocałowała go jednak znowu.

– Ciężko ci było – powiedziała cicho.

– Nie tak jak niektórym – odrzekł sztywno, widząc znowu ten dobrze znany, ostro zapamiętany w każdym szczególe obraz Berry'ego stojącego czubkami palców i nosem do ściany „sali gimnastycznej” i przez analogię widząc Angela Maggio w tym samym miejscu.

– Zdaje się, że już nie mam powrotu – powiedział. – Nie mogę wrócić, nawet jak już całkiem wydobreję. Jeżeli się dziś nie pokażę, będą wiedzieli, że to ja zrobiłem. Zaczną mnie szukać.

– Więc jakie masz plany?

– Nie wiem.

– No, przynajmniej tutaj będziesz bezpieczny. Tu nikt nie wie, kim jesteście. Więc możesz zostać, jeżeli chcesz – powiedziała spoglądając pytająco na Georgette, która weszła z gorącym rosołem.

– Jeżeli o mnie idzie, możesz tu siedzieć, dokąd ci się podoba – uśmiechnęła się Georgette. – O ile to nad tym się zastanawiacie.

– Nie wspominaliśmy o tym – odrzekła Alma – ale to jest rzecz, którą trzeba wziąć pod uwagę; jak ty do tego podchodzisz?

– Zawsze miałam słabość do takich wariatów – wyszczerzyła zęby Georgette. – A prawu nie mam nic do zawdzięczenia, poza bezpłatnym badaniem lekarskim w każdy piątek.

– Cieszę się, że tak uważasz – powiedziała Alma.

– Ale ja będę zbiegiem z Leavenworth – przypomniał jej Prew. – Mordercą wobec prawa.

– Jeżeli można użyć takiego powiedzenia – odparła Georgette – to mam prawo gdzieś. Powiedzenie to najwyraźniej nie przypadło Almie do gustu, ale nic nie odrzekła.

– Możesz usiąść o własnych siłach, żeby to wypić? – zapytała Georgette podsuwając mu filiżankę.

– Jasne – odrzekł Prew i spuścił nogi z tapczanu, dźwigając się do góry. Gorące, jaskrawe plamy zatańczyły mu przed oczami za ciepłą, wilgotną mgłą.

– Ty wariacie! – krzyknęła gniewnie Alma. – Chcesz, żeby ci znowu zaczęło krwawić? Kładź się, ja ci pomogę.

– Już siedzę – powiedział Prew słabym głosem. – Ale możesz mi pomóc położyć się z powrotem, jak wypiję ten rosół.

– Będziesz go dużo dostawał – rzekła Georgette przytykając mu filiżankę do warg. – Tak dużo, że pewnie ci się diabelnie znudzi.

– Ale teraz smakuje pysznie – odparł między jednym łykiem a drugim.

– Poczekaj do jutra.

– Jutro – uśmiechnęła się Alma – damy ci dobry, duży, gruby befszytk, nie

dopieczony i krwawy.

– I wątróbkę z cebulką – dodała Georgette.

– Z polędwicy? – zapytał Prew.

– Z najlepszego kawałka – odrzekła Alma.

– Ho, ho – powiedział Prew. – Dajcie mi spokój, psujecie mnie. Na ich twarzach pojawił się znowu ten sam serdeczny wyraz, tylko jeszcze spotęgowany – wyraz niewiarygodnej, radosnej czułości.

– Nie ma co, dobrze dbacie o chorych, dziewczynki – uśmiechnął się do nich. – Może by tak teraz papierosa?

Alma zapaliła mu go. Smakował wybornie, lepiej niż tamten w uliczce, bo teraz Prew mógł się przy nim odprężyć. Wciągał dym głęboko w płuca i to jakby tłumilo drętwy, bolesny ogień zaciekłego protestu w jego boku, chociaż ból odzywał się przy tak głębokich wdechach.

Bolało też porządnie, kiedy pomagały mu się położyć; a to, przypomniał sobie, jest dopiero dzisiaj. Zaczekajmy do jutra. A potem do następnego dnia, który będzie jeszcze gorszy. Jednakże bolało bez porównania mniej niż tamten wielki gest siadania o własnych siłach. „Ano, dobra, do diabła z gestami” – pomyślał pozwalając sobie opaść na powrót w tę rozkoszną, bezwolną nieodpowiedzialność, która jest najprzyjemniejszą właściwością ciężkiej choroby.

– Okej – powiedział. – Teraz mi dobrze. Możecie wracać do łóżek, dziewczynki.

– Tyle czasu przesiedziałyśmy, to możemy przesiedzieć przez resztę nocy – uśmiechnęła się radośnie Alma.

– Tak samo rzadko macie okazję pielęgnować chorych, jak ja chorować, co? – uśmiechnął się.

– No, teraz idź spać – powiedziała rozkazująco. – Postaraj się nie rozmawiać. Postaraj się odpocząć.

– A nie chcecie usłyszeć o tej wielkiej walce?

– Przeczytamy o niej jutro w gazecie – odparła Georgette.

– Okej, doktorze.

– Myślisz, że będziesz mógł zasnąć? – spytała Alma.

– Jasne – odrzekł. – Jak kamień.

– Dam ci środek nasenny, jeżeli chcesz.

– Nie będzie mi potrzebny.

Leżał i patrzył, jak gasiły wszystkie światła z wyjątkiem lampki na bocznym stoliku i wracały w półmroku; Alma tym razem na fotel, a Georgette na leżankę.

Jednakże nie czuł się wcale taki rześki, kiedy obudził się rano z tą drętwotą i bólem,

które są zawsze gorsze następnego dnia. Alma i Georgette już były na nogach, kupiły befsztyk i przeglądały gazetę. W gazecie nic nie było. Prew nie miał apetytu, ale wmusiły w niego befsztyk, przy czym Georgette podtrzymywała go, a Alma krajała mięso i podawała mu je widelcem do ust, jak farmer wrzucający widłami siano na sąsiek. Co jakąś godzinę zmuszały go do wypicia filiżanki rosółu z wołowiny i tak jak przepowiedziała Georgette, już mu się robiło niedobrze na samą myśl o nim.

Alma zatelefonowała do pani Kipfer, i uzyskała trzy dni zwolnienia. Pani Kipfer nie uwierzyła, że Alma ma menstruację. Alma zaś wiedziała, że pani Kipfer nie wierzy. Była to jednak uświęcona tradycją wymówka jej zawodu, która zawsze uchodziła bezkarnie uprzywilejowanym, podobnie jak w wojsku urlop z powodu śmierci babci zawsze uchodzi uprzywilejowanym; nikt się nie spodziewa, żeby ktokolwiek w to wierzył.

Obie zabrały się do pielęgnowania chorego. Kazały mu pozostać na tapczanie prawie do wieczora, zanim przeniosły go na łóżko Almy, i kategorycznie odmówiły zmiany ciasnego bandaża przed następnym dniem. Tym razem nie odrzucił środka nasennego.

Tamto ukazało się w gazecie nazajutrz. Szukały tej wiadomości i znalazły ją, zanim się obudził. Kiedy już zjadł na śniadanie wątróbkę z cebulą, pokazały mu. W tym momencie nawet nie zadałby sobie trudu, aby tego szukać. Bez mała nie chciało mu się czytać, kiedy mu podsunęły gazetę przed oczy.

Spodziewał się zobaczyć to pod sążnistym, sześćdziesięciopunktowym tytułem przez całą pierwszą stronę, z jego nazwiskiem, jako poszukiwanego zabójcy, w dwudziestu punktach pod spodem; zamiast tego wiadomość znajdowała się na stronie czwartej, z dwunastopunktowym tytułem wydrukowanym niewielką czcionką, i była cudem zwięzłości: donosiła, że jeszcze jeden żołnierz został znaleziony w jeszcze jednej uliczce, zmarły na skutek rany zadanej nożem, że jego nazwisko brzmiało sierżant James R. Judson, że służył w wojsku od dziesięciu lat i pochodził z okręgu Breathitt w stanie Kentucky, i że był szefem strażników w Obozie Karnym w Schofield Barracks, z czego wnoszono, iż został zamordowany za jakieś urojone krzywdy przez opętanego zemstą eks-więźnia, prawdopodobnie przez zbiegłego niedawno więźnia, którego ujęcia wojsko spodziewa się lada chwila i który nazywa się szeregowiec John J. Malloy. Zmarły nie był uzbrojony i najwyraźniej nie oczekiwał napaści, ponieważ zachował mu się na twarzy wyraz całkowitego zaskoczenia. Nie udało się odszukać żadnych świadków. Pracownicy baru „Drewniana Chata”, nie opodal którego znaleziono zwłoki, przypominają sobie nieboszczyka, który był owego wieczora w ich lokalu, ale nie potrafią powiedzieć, z kim ani kiedy wyszedł.

Tylko z trudnością Prew opanował chwytający go ból w dotkliwie zdrętwiałym boku, ażeby skupić na tym myśli. Zdołał jednak wyłapać kilka rzeczy. Po pierwsze, najwyraźniej

nikt – ani obaj marynarze, którzy się nie zgłosili, ani barmani, których wezwano – nie chciał być w to zamieszany. Po drugie, ktoś widocznie znalazł ciało, zanim uczyniły to władze, i zyskał w ten sposób dobry nóż. A po dłuższym namyśle Prew doszedł do zaskakującego odkrycia, że ów niedawno zbiegły więzień nazwiskiem szeregowiec John J. Malloy musi być Jackiem Malloyem i że z braku czegoś lepszego zamierzają na jakiś czas zwalić to na niego, przynajmniej dla publiczności.

I to doprowadziło Prewa do rzeczy, której szukał w myśli przez cały czas czytania, ale jakoś nie mógł uchwycić: że to jest tylko artykuł gazetowy dla szerokiej publiczności. „A gazety mają znaną opinię, nawet wśród nas, analfabetów z wojska – myślał z chichotem – że piszą tylko to, co jest uważane za najlepsze dla publiczności w danym momencie, nie narażając ani nie krępując zbytnio swych wyższych celów mówieniem prawdy. To wszystko mogło nie odpowiadać prawdzie, jako że było umieszczone w gazecie, i może napisali tak tylko w nadziei, że morderca Prewitt się wychyli i odda w ręce sprawiedliwości licząc na to, że wykpi się tylko zarzutem samowolnego opuszczenia jednostki. Możliwe – myślał z chytłym uśmiechem – że po prostu zaczęli się na niego i czekają”.

A co do złapania kiedykolwiek szeregowca Johna J. Malloya – musiał się wręcz roześmiać, mimo że zabolalo go od tego w boku. Rzeczywiście, chyba tylko jakiś cholerny dureń mógłby uwierzyć w artykuł umieszczony w gazecie.

– To nie wygląda tak strasznie – zaryzykowała w końcu Georgette.

– Aha – uśmiechnął się do nich chytrze. – Ale skąd mogę wiedzieć, czy to nie jest tylko taka gadka, żebym się poczuł bezpieczny i wystawił głowę?

– Właśnie – powiedziała Georgette. – Nie wiadomo.

– Czy ciebie w ogóle ktoś widział? – spytała Alma.

– Tamten wyszedł z „Drewnianej Chaty” z dwoma marynarzami. Wiem, że mnie widzieli, ale nie mam pojęcia, czy na tyle, żeby mnie poznać, bo było ciemno i stali o jakieś czterdzieści kroków.

– No, w każdym razie jeszcze się nie zgłosili – powiedziała z nadzieją Alma. – Wygląda na to, że nie chcą być wmieszani w tę sprawę.

– Uhm – odrzekł – o ile można wierzyć gazecie. Gliny mogły już ich ściągnąć do komendy policji.

– Amen – dodała gorąco Georgette.

– Nawet gdybym miał wrócić po wyleczeniu – mówił – wzięliby mnie za frak, bo wydaliliem się z koszar bez zezwolenia. A przy mojej przeszłości to by oznaczało co najmniej sześć miesięcy. Nie mam zamiaru więcej siedzieć w Obozie, nawet tylko za to.

– Po tym, co opowiedziałeś o Obozie – uśmiechnęła się Georgette – nie mogę ci mieć

tak bardzo za złe.

– No, chodźmy stąd i dajmy mu odpocząć – rzekła Alma. – Co będzie, to będzie. Jak się teraz czujesz?

– Fajnie – odpowiedział. – Trochę boli. – Poczuję, że uśmiecha się głupawo, jak zwykle, kiedy go coś bolało, i musiał tłumić ochotę do śmiechu.

– Jeżeli chcesz, dam ci znowu coś na sen – powiedziała Alma.

– Nie bardzo to lubię – uśmiechnął się głupawo.

– Przecież ci nie zaszkodzi.

– I tak nie mógłbym zasnąć – powiedział z tym samym uśmiechem.

– Lepiej to zachować na wieczór.

– To bardzo dobra myśl – rzekła Georgette.

– Nie mogę patrzeć, jak cię tak boli – powiedziała Alma.

– Głupstwo, psiakrew – uśmiechnął się. – Gorzej było wtedy, jak zламаłem sobie rękę na włóczędze, a nie miałem forsy, żeby pójść do doktora.

– Chodźmy – powiedziała Georgette. – Wyjdźmy stąd i zostawmy go samego.

Tego wieczora Alma dała mu trzy proszki nasenne, a rano wiedział już, że przeszedł szczyt i że nareszcie zaczyna się spadek. Poznał po tym, że miał ochotę wstać z łóżka. Trzeba mu było całej siły woli, żeby się sztywno dźwignąć na nogi; obolałe zdrętwienie w boku protestowało zajadle, ale ważny był nie tyle fakt, że mógł, ile że mimo bólu chciał to zrobić. Wtedy już wiedział, że tamto odchodzi.

Chwiejnie spłynął po trzech schodkach do salonu i stwierdził, że Alma przeniosła się z prześcieradłem i poduszką na tapczan i sypia tu, bo stąd może dosłyszeć, gdyby wołał. Myślał, że śpi z Georgette w drugiej sypialni, i to było dla niego wstrząsem. Takim wstrząsem, że łzy napłynęły mu do oczu, i nagle przypomniał sobie, jak bardzo ją kocha, i podszedł, siadł na tapczanie, pocałował ją i położył dłoń na jej piersi, jędrnomiękkiej pod jedwabną piżamą.

Obudziła się od razu i natychmiast ogarnęła ją gniewna zgroza, kiedy zobaczyła, że wstał z łóżka. Uparła się nie tylko, żeby do niego wrócił, ale żeby mu przy tym pomóc.

– Daj spokój – uśmiechnął się z tapczanu. – Połóż się tu na chwilę. Tutaj jest o wiele wygodniej niż tam.

– Nie – odparła nieustępliwie, bardziej przerażona niż rozgniewana. – Bezwarunkowo nie. Wiesz dobrze, co będzie, jeżeli się położę, a ty nie jesteś w takim stanie, żeby się bawić w te rzeczy.

– Jak to, psiakrew – powiedział. – Pewnie, że jestem. To przecież bok mnie boli – uśmiechnął się.

– Nie – odrzekła z gniewem. I później też stale gniewała się na niego, czy doszło do czegoś, czy nie, tak jakby ją rozmyślnie poniżał. – Musisz oszczędzać siły.

Tego popołudnia zmieniły mu nareszcie ciasny bandaż i nałożyły luźniejszy. Kompres przywarł do rany wskutek krzepnięcia krwi, więc go zostawiły. Odmoczyły go w dwa dni później z wielkim trudem i przekleństwami i odsłoniły nierówną, pofałdowaną, wilgotną, różową tkanekę świeżej blizny, która zaczynała wypełniać się po brzegach i od spodu, następnie zaś przyłożyły nowy kompres. Jednakże wtedy, na skutek jego wzmożonych nalegań, których przysięgał sobie nie wypowiadać, a jednak wypowiedział, Alma dopuściła go raz jeden do siebie.

Przettrzymały go w łóżku tydzień. Nawet pościel zmieniały nie podnosząc go, podsuwając pod niego fałdę czystego prześcieradła i każąc mu przetaczać się na nie, podczas gdy przyciągały tę fałdę do drugiej krawędzi łóżka i utykały ją pod materac w przyjęty szpitalno-pielęgniarski sposób. A na twarzach ich obu – bystrej, twardej jak kryształ Georgette i przymglonej, zadumanej, bezwzględnej realistki Almy – pojawiał się ten sam promienny blask, co na którymś z obrazów przedstawiających świętą Annę i Madonnę hołubiące świętego Jana i Jezusa, ten sam uśmiech z pierwszego dnia, którego Prew nigdy przedtem u nich nie widział – macierzyński, troskliwy, pełen szczęścia, nieskończenie opiekuńczy, oblany taką bezdenną falą matczynej tkliwości, iż bał się, że może go ona pochłonąć na zawsze i zatopić w miękkim łonie matriarchatu. Dziwił się, że takie dwie programowe realistki nie wstydzą się tego na tyle, aby próbować to ukryć. Pobudki ich były zupełnie oczywiste. Dwie kurwy, które nareszcie znalazły kogoś, komu mogły matkować. Można by napisać o tym książkę – myślał kwaśno – i dać jej tytuł „Stąd do Macierzyńskości”. Prawdopodobnie byłaby to bardzo długa książka. Kurwy nie mnożą się tak szybko jak króliki. Z początku poddawał się z wdzięcznością owej radosnej pielęgnacji, ale teraz przeszła mu już ochota do rozsmakowywania się w tym, że jest chory, więc stawiał opór w nagłej obawie, iż jest to tak silne, że w końcu zrobią z niego niedołęgę do końca życia.

Ma się rozumieć nie leżał w łóżku przez całe popołudnie i wieczór, kiedy obydwie szły do pracy. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, wstawał i ubierał się w swoje cywilne spodnie, z których wyprały krew, oraz w jedną z nowych koszul sportowych, kupionych przez nie na miejsce tamtej, zniszczonej, którą spaliły – i ćwiczył się w chodzeniu tam i z powrotem po domu, który uczyniły jego kryjówką, nie chciał bowiem pozwolić, by z niego zrobiły na stałe jakiegoś cholernego kalekę.

Mieszał sobie dobrego, mocnego drinka (kiedy były w domu, nie pozwalały mu nic pić), wychodził na taras i zasiadał w popołudniowym słońcu (kiedy były w domu, nie wypuszczały go na dwór, z obawy, żeby się nie przeziębził), czasami czytał trochę którąś z ich

książek (Georgette należała do Klubu Książki Miesiąca, „bo co, psiakrew – mówiła z uśmiechem – ostatecznie mieszkam na Maunalani Heights, a książki dobrze wyglądają w salonie, choćbym nawet ich nie czytała”), doprowadzał się do przyjemnego stanu połowicznego upicia i patrzył na zachód słońca. Kiedy wracały z pracy do domu, zawsze już spał w łóżku, więc nie wykryły niczego aż do końca drugiego tygodnia, kiedy to Alma wróciła podchmielona do domu, zwała się ciężko na łóżko Prewa zapominając o jego obolałym boku, poczuła zapach alkoholu w jego oddechu i oprzytomniawszy od razu, zrobiła mu straszne piekło za to, że pije.

W ten sposób wylazło szydło z worka, wobec czego wstał i pokazał im obu, jak dobrze się rusza i z jaką łatwością się ubiera. To im się wcale nie spodobało, ale przyjęły rzecz jako nieuniknioną, Alma trochę bardziej niechętnie niż Georgette. Kiedy to pokazywał, obserwowały go z czymś w rodzaju urazy na twarzach podobnie jak matka, której syn wrócił do domu pijany i z tak czytelnym adresem miejscowego burdelu wystającym z kieszeni, iż ta musi w końcu uznać, nawet przed sobą, że już jest dorosły. Nie mówiły dużo; powinszowały mu bez przekonania, i potem ograniczenia zostały zniesione, i wszystko już było dobrze.

Jednakże nawet wtedy najbardziej lubił być w domu sam. Rozglądał się dookoła i myślał, jak to jest na świecie – że nie ma apelu porannego, na który trzeba jutro zdążyć, ani przepustki niedzielnej, która się kończy w poniedziałek rano, że nigdzie nie trzeba iść o żadnej oznaczonej godzinie. Żył bezustannie z tym dawnym przepustkowym uczuciem, że życie zaczyna się dopiero w poniedziałek rano – tyle, że teraz nie trzeba było się troszczyć o żadne poniedziałkowe rano. Nastawiał sobie kolejno wszystkie płyty, przeglądał wszystkie książki, dotykał różnych przedmiotów, chodził bosymi stopami po kafelkowej podłodze i po japońskich matach na tarasie, a wieczorem sam sobie przyrządzał kolację w lśniącej, białej kuchni, gdzie wiedział dokładnie, w którym miejscu co stoi.

Książki z jaskrawo kolorowanymi okładkami (Georgette od trzech lat należała do Klubu Książki Miesiąca i zawsze brała każdą, plus wszystkie premiowe) wyglądały bardzo ładnie na wpuszczonej w mur półce nad tapczanem. Albumy płyt tworzyły w mahoniowej szafce piękne, czyste, równoległe linie złotych liter na czarnym tle. I miało się w bród czasu na wszystko. A był też barek, śliczny, duży, dobrze zaopatrzony barek, gdzie można zrobić sobie drinka, kiedy się chce – myślał z satysfakcją mieszając z wodą sodową szkocką whisky, której smak nareszcie zaczynał lubić. I tyle wolnego czasu. Wszystko to dawało żołnierzowi, który zaciągnął się na trzydzieści lat, posmak najprawdziwszego, stuprocentowego życia w cywilu.

I wtedy przypomniał sobie, że nie jest już trzydziestorocznym.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Prewitta nie było od dwóch dni, kiedy sierżant-szef kompanii G powrócił z urlopu.

W wojsku istnieje stare powiedzenie, że ludzie wracają z urlopu, aby wypocząć, bo inaczej by zwieli. Milt Warden nie był wyjątkiem. Wrócił chwiejnym krokiem po dwóch dniach ciężkiego pijaństwa, w swoim pierwszorzędnym, kosztującym sto dwadzieścia dolarów, popielato-błękitnym tropikalnym garniturze z firmy Bracia Brooks, wymiętym i uwalanym. Zastępca szefa kompanii, „Łysek” Dhom, przyjął go w kancelarii starym jak świat dowcipem, że spóźnił się o cztery godziny i już został ogłoszony w porannym raporcie jako winny samowolnego oddalenia się z jednostki.

Warden nie zadał sobie nawet trudu, żeby się roześmiać. Przez dwa dni chodził zalany nieprzytomnie, w trupa, ale nie było mu dosyć, wolałby jeszcze więcej. Owe dwa dni pijaństwa wynikały ze stwierdzenia, że jego dziesięciodniowa idylla z przyszłą żoną zrobiła głęboką i absolutną klępkę, a po takim ustaleniu człowiek potrzebuje tego co najmniej tydzień. Dwa dni to o wiele za mało. A nie mogła być też przyjemna myśl, że administrowanie własną kompanią było przez czternaście dni duszone kiełbaskowatymi paluchami takiego głupiego wołu jak „Łysek” Dhom.

Zaledwie opadł na swoje obrotowe krzesło, ciągle w tym pierwszorzędnym, kosztującym sto dwadzieścia dolarów, popielato-błękitnym garniturze z firmy Bracia Brooks, „Łysek” poinformował go o szczególnych cechach nowego dowódcy kompanii. „Łysek” również nie miał ochoty przejmowania kompanią, jak Warden mu go przekazywać.

Warden słuchał w gorzkim milczeniu. „Dynamit” przedstawił go do urlopu, tak jak obiecał, w przeddzień swojego odejścia do dowództwa brygady, toteż Warden jeszcze nie poznał porucznika Williama L. Rossa. Nie wiedział o nim właściwie nic poza tym, że ma przyjechać.

A potem, kiedy usiłował przetrwać to, co usłyszał, „Łysek” powiadomił go o następnym nowym wydarzeniu. Prewitt był od dwóch dni nieobecny.

– Co takiego?! – Ano właśnie – powiedział „Łysek” wstydliwie.

– Jak to, przecież drań nawet jeszcze nie wrócił z Obozu, kiedy wyjeżdżałem!

– Wiem. Wyszedł w trzy dni po waszym wyjeździe. Potulny był jak baranek. Siedział tu wszystkiego dziewięć dni.

– Jezus kochany! Ładnego bałaganu narobiliście mi w kancelarii! Musi być bardzo źle, jeżeli człowiek nie może wyjechać na cholerny urlop, żeby mu zaraz wszystko nie zważyło się

na głowę.

– To przecież nie moja wina – powiedział nieporadnie „Łysek”.

– Nie – odrzekł Warden. Dlaczego, na imię boskie, nikt go nie zawiadomił, że Prewitt wychodzi za trzy dni z Obozu? Czy musi sam wszystko robić w tym oddziale? – No, a czyście skreślili go z listy wyżywienia i podaliście to w porannym raporcie?

– Ano nie – odrzekł niepewnie Dhom. – Jeszcze nie. Bo widzicie...

– Co takiego?!

– No, widzicie...

– Jak to, jeszcze nie? Boże kochany, ileż czasu wam trzeba? Nie ma go od całych dwóch dni, tak?

– Chwileczkę – powiedział „Łysek”. – Chcę wam wytłumaczyć. Rozumiecie, Ross jeszcze nie zna nikogo w kompanii po nazwisku, z wyjątkiem paru podoficerów.

– Co to ma z tym wspólnego, do cholery?

– Bo widzicie – odrzekł Dhom – pierwszego rana „Wódz” Choate podał go przy apelu jako obecnego. Dowiedziałem się dopiero następnego dnia.

– Dobra, no to co? Rany boskie, Dhom – powiedział z rozpaczą – to jest kompania piechoty, a nie jakaś cholerna YMCA.

– No – zaczął „Łysek”, stropiony, ale uparty – mieliście wrócić następnego dnia, więc pomyślałem sobie, że jak już jeden dzień minął, to nieważne, że będzie jeszcze jeden więcej. A jeżeli idzie o raport poranny, to już się stało.

– Żeby tak kierować kompanią!

– E – odparł niewzruszony „Łysek”. – Nic takiego, psiakrew. To wasza kancelaria. Ja tu siedziałem tylko z musu. A myślałem, że on może wróci dobrowolnie, zanim przyjedziecie.

– Aha – powiedział Warden. – Myśleliście, że tak sobie wróci.

– Właśnie.

– Słuchajcie, co z wami jest, do licha?

– Nic, a bo co?

– Odkąd to Prewitt jest takim waszym serdecznym przyjacielem?

– Wcale nie jest.

– To dlaczego próbujecie go kryć?

– Nie próbuję. Tylko myślałem, że pewnie wróci.

– Ale nie wrócił, co?

– Ano nie – przyznał „Łysek”. – Jak dotąd.

– A wy siedzicie i czekacie.

Dhom gwałtownie wzruszył ramionami i spojrzał na niego z tą jawną niewinnością

człowieka winnego, który jednak wie, że nic mu nie grozi.

– Psiakrew, szefie, myślałem, że będziecie zadowoleni, że czekałem na was z tą sprawą.

– Gówno! – huknął Warden. – Teraz będę musiał go ogłosić z działaniem wstecznym do szesnastego... jaki mamy miesiąc? Październik – do szesnastego października. Co wy sobie wyobrażacie, psiakrew, że jak to będzie wyglądało w porannym raporcie?

– Chciałem tylko zrobić wam uprzejmość – powiedział Dhom.

– Uprzejmość, kurczę blade! – ryknął Warden.

– No dobrze – ciągnął po chwili, przebierając gwałtownie palcami we włosach. – Powiedzcie mi jedną rzecz. Jak wam się udało zachować to w tajemnicy przed resztą kompanii?

– Jak to, przed resztą kompanii? – zapytał ostrożnie „Łysek”.

– No, nie mówcie mi, że nawet nie zauważyli, że go nie ma!

– O tym nie pomyślałem – odrzekł „Łysek”. – Pewnie zauważyli. Ale, widzicie, tak jak mówiłem, Ross żadnego nie zna. Oni też nie mają z nim nic wspólnego. A ten wartogłów, Culpepper, nigdy na nic nie zwraca uwagi. Idzie mi o to, że...

– Wiem, o co wam idzie – przerwał Warden. – Jeszcze jedno. Jak Choate zdołał to załatwić z Galowiczem? Nie mówcie mi, że Ike też jest w to wciągnięty.

– A, właśnie chciałem powiedzieć – odparł „Łysek”. – Jeszcze do tego nie doszedłem. Widzicie Galowicz już nie jest szefem plutonu w drugim plutonie. Galowicza wylali.

– Wylali? – powtórzył Warden. Dhom kiwnął głową.

– Kto go wylał?

– Ross.

– Za co?

– Nieudolność.

– A co on zrobił?

– Nic nie zrobił.

– Znaczy, że Ross tak sobie go wylał? Za nic? Pod nieokreślonym zarzutem nieudolności?

– Właśnie – odrzekł „Łysek”.

Przypominało to wyrywanie zęba słoniowi, jeżeliby słoń miał zęby.

– Słuchajcie, przecież on musiał coś zrobić. „Łysek” wzruszył ramionami.

– Któregoś dnia Ross zobaczył, jak Ike prowadzi musztrę.

– No, niech mnie szlag trafi! – powiedział Warden z radością.

– Dobrze, a kogo dał na jego miejsce?

- „Wodza” Choate'a.
- Niech mnie szlag trafi! – powtórzył Warden z radością. „Łysek” skorzystał z okazji.
- Teraz rozumiecie, dlaczego nic nie wiedziałem. Kto by przypuścił, że Choate poda go jako obecnego? Przypuścilibyście, szefie?
- O nie – odrzekł Warden. – Nie. Skądże znowu.
- A wiecie, jak Champ Wilson odnosi się do swojego plutonu. Nigdy nie zwraca uwagi na to, co się dzieje. Szczególnie podczas okresu ćwiczeń. Więc widzicie, że to nie była moja wina.
- Ma się rozumieć – powiedział Warden. – No dobrze, a co się jeszcze stało?
- Chyba to już wszystko – odrzekł potulnie „Łysek” i wstał z krzesła. Zawsze wyglądał jakoś nieswojo, kiedy musiał siedzieć na krześle. – Dalibyście mi zwolnienie na resztę przedpołudnia?
- Zwolnienie na resztę przedpołudnia? – huknął Warden. – A po co, do diabła? Coście takiego zdziałali, żeby sobie zasłużyć na zwolnienie?
- Ano – powiedział niewzruszony „Łysek” – i tak już niedaleko do południa. Zanim zmienię mundur i dojdę na plac ćwiczeń, będą już prawie wracali. – Zatrzymał się w drzwiach i obejrzał na Wardena z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – Aha – powiedział, jak gdyby sobie dopiero teraz przypomniał. – Jeszcze jest jedna rzecz. Widzieliście dzisiejsze gazety?
- Wiecie, że nigdy nie czytuję gazet.
- A bo – rzekł „Łysek” patrząc na niego – „Grubas” Judson, wiecie, ten szef strażników z Obozu? Więc został przedwczoraj zabity przed „Drewnianą Chatą”. Ktoś zadźgał go nożem w ulicze.
- Nie może być – powiedział Warden. – No to co?
- Myślałem, żeście go znali.
- Nie odróżniłbym „Grubasa” Judsona od Bustera Keatona. Nawet gdybym go spotkał na środku ulicy.
- A ja byłem pewny, żeście go znali – powiedział „Łysek”.
- Więc nie znałem.
- To znaczy, że się pomyliłem – rzekł „Łysek”.
- Widocznie.
- W takim razie to chyba wszystko. Już wam mówiłem, że Galowicz wylany?
- Mówiliście.
- No, to już wszystko – powiedział „Łysek”. – Mogę wziąć sobie zwolnienie na resztę przedpołudnia? – zapytał. – Bo muszę iść do domu i naprawić zepsuty kran.
- Słuchajcie, Dhom – powiedział Warden swoim oficjalnym tonem, nabierając

głęboko tchu. Był świadom obecności nowego kancelisty, Rosenberry'ego, który siedział cicho przy stoliku do akt we wnęce. – Nie wiem, jak pomyłone pomysły macie w tej swojej głowie, ale wiem, że jesteście na tyle dorośli i służycie od dość dawna, aby się orientować, że nie może wam ująć płazem podawanie kogoś za obecnego, kiedy prysnął. Nawet w tym cholernym korpusie wojsk lotniczych nie mogliby tego zrobić. To zawsze wylizie. Pracowałem swojego czasu w wielu kancelariach i widziałem sporo kiepskich. Ale jeszcze nie widział, żeby ktoś zrobił z kancelarii taki stuprocentowy burdel w tak diablo krótkim czasie. Może jesteście warci tych czterech belek w zwykłej służbie. Ale jako zastępca sierżanta-szefa jesteście do bani. Nie byłby z was nawet przyzwoity starszy szeregowiec.

Nędza wyjątkowa. Trzeba mi będzie dwóch miesięcy, żeby doprowadzić do ładu tę cholerną kancelarię i usunąć ślady tych dwóch tygodni waszego szefowania.

Przerwał, by nabrać tchu, i popatrzał na „Łyska”, który nadal stał biernie w progu. Warden próbował wymyślić coś jeszcze, co by brzmiało trochę lepiej, trochę mocniej.

– Chcę wam powiedzieć, że odkąd jestem w wojsku, jeszcze nie widziałem takiego poronionego zastępcy szefa kompanii – podsumował. To jednak wciąż brzmiało blado.

Dhom nic nie odpowiedział.

– No, dobra – rzekł Warden. – Teraz spływajcie. I możecie sobie wziąć wolne na resztę przedpołudnia, bo i tak nic byście nie zrobili, cholera jasna.

– Dziękuję, szefie – powiedział „Łysek”.

– Idźcie do diabła – odparł Warden.

Z gniewem patrzył, jak tamten dryblas wychodził, ocierając się potężnymi ramionami o framugi drzwi z jednej i drugiej strony, nieomal dotykając ogromną głową górnej poprzeczki. „Łysek” Dhom, ożeniony z tłąstą jak maciora filipińską jędzą, ojciec niezliczonych, zasmarkanych półmurzyńskich bachorów, trener jednej z najgorszych drużyn bokserskich w dziejach pułku, podoficer jednej z najnędźniejszych kompanii. Stary żołnierz z osiemnastoma latami służby obok osiemnastu lat piwiska w brzuchu pod paskiem, skazany z racji tej czarnuchowatej rodzinki na służbę poza krajem do końca swojego doczesnego życia. Człowiek, który lojalnie i krwiożerczo kierował wykonywaniem Obróbki przepisanej przez „Dynamita” Prewittowi i który teraz, równie lojalnie, usiłował kryć Prewitta, kiedy ten prysnął i zabił człowieka. Pewnie to sobie tłumaczył jakimiś sentymentalnymi bredniami w rodzaju tego, że my, stare wygi, musimy trzymać ze sobą, gdy tylu nowych z zaciągu opanowuje tę kompanię. I kiedy Warden patrzył za odchodzącym, widział przy nim, za nim i wokół niego milczącą sieć całego tego milczącego spisku – nic jawnego, nic, co byłoby powiedziane czy uznane, po prostu w całej kompanii nagły, powszechny pęd do ślepoty, co niewidzenia, nagła, milcząca niewiedza, której nie sposób zwalczyć, tak jak nie sposób

walczyć z litą skałą.

„Gdybyś chciał – mówił sobie. – Ale nie chcesz. Niemiły ci Obóz, tak samo jak im. Nikt nie lubi Obozu, chyba że w nim pracuje.”

„Ano – pomyślał – więc on to w końcu zrobił. W końcu poszedł i zrobił. Tak jak zawsze myślałeś.”

„No, Warden, co teraz będzie? Musisz coś z tym począć”.

Ten Dhom, gdyby nauczył się mówić poprawnie, pewno byłby już dzisiaj majorem, ma poza tym wszystkie kwalifikacje. „To nicpoń, głupi drań – wściekał się z pasją. – Nie ma nic durniejszego jak durny Niemiec.”

Powinien móc dać tamtemu z dziesięć dni albo dwa tygodnie czasu. Chyba żeby wyskoczyło coś specjalnego albo niezwykłego, na przykład manewry. Doroczne manewry zaczną się już niedługo. Ale nawet pięć dni wystarczyłoby jako dodatkowe zabezpieczenie w aktach, później, kiedy by już wrócił. Bo w umyśle Wardena nie było cienia wątpliwości, że Prewitt wróci. Trzydziestoroczni czasem gdzieś się urywają, jasne. Nawet często. Ale trzydziestoroczni nie dezertują.

„Nie dlatego, żeby nie chcieli – pomyślał – ale że nie mogą. Dokąd, u licha, ma zdezerterować trzydziestoroczny?”

Była możliwość, że przyślą kogoś z dowództwa żandarmerii, ale w to wątpił. „Grubas” Judson nie był tak cenny dla armii ani dla Obozu. „Grubasów” Judsonów było na pęczki w każdej jednostce. Znalazłby się przynajmniej jeden w każdej kompanii, a zwykle było ich więcej. Komendant Obozu...

„...zaraz, zaraz – zastanowił się przeglądając ich w myśli. – Który to jest?” Ujrzał prawie nie kończącą się paradę oficerskich twarzy, a potem jego umysł zatrzymał film i cofnął się do jednej z nich. „Thompson – poinformowało go myślowe dossier – major Gerald W. Thompson, dawniej z n-tego pułku piechoty, dowódca kompanii I w stopniu kapitana, przeniesiony na zastępcę dowódcy batalionu, potem na adiutanta dowódcy pułku, awansowany na majora i przydzielony do oddziału operacyjnego i szkolenia, odkomenderowany do dowództwa bazy i mianowany komendantem Obozu – ten, którego żonę Holmes i Culpepper zabierali na konne przejażdżki; w każdym razie – myślał, wciąż dumny, że jego automatyczny system kartotekowy funkcjonuje tak znakomicie – Thompson ma już z pewnością w zapasie drugiego «Grubasa» Judsona. I masę następnych na liście. My mamy przynajmniej dwóch takich w kompanii; Lidell Henderson i Champ Wilson byłiby doskonałymi Judsonami przy odrobinie właściwej zaprawy.”

Nie, nie sądził, żeby ktoś się zjawił. A gdyby nawet, on byłby kryty. Ten dzień, kiedy by przyszli, byłby dniem, w którym właśnie by stwierdził, że Prewitt zniknął. A gdyby nawet

coś udowodnili, też byłby kryty. Kryłby go urlop. Niech Choate i Dhom za to bekną, dranie jedne, oni to wszystko zaczęli. Ale jeżeli cała kompania staje się raptem głucha i ślepa na coś takiego, to nie ma potrzeby się martwić. Nikt nie podpuści świni; Dhom i Choate na pewno nie – jedyny, który mógłby zasypać, to Ike Galowicz, ale kto by, u diabła słuchał takiego starego pomyleńca jak Ike, który został wylany za nieudolność? Zresztą nawet Ike nie miałby odwagi pisać wobec tej całej opozycji.

Przemyślawszy to wszystko ku swojemu zadowoleniu, rozgniół papierosa, który miał obrzydliwy smak i którego w ogóle nie miał ochoty palić, podszedł do szafki na akta, wyjął swoją butelkę, której zawartości nie omieszkał zaznaczyć chemicznym ołówkiem przed wyjazdem na urlop i łyknął obficie, żeby przewyciężyć kaca.

Smakowało to bardzo cienko.

Czyżby ten cwaniak milczek, Rosenberry, dolewał wody do jego whisky?

Nie, to chyba nie Rosenberry. Nie Rosenberry. Raczej ten sukinsyn, Dhom.

Łyknął porządnie jeszcze raz, bo było to takie rozcieńczone, i zasiadł z powrotem do biurka, wciąż w swoim brudnym i zmiętym, ale pierwszorzędnym, kosztującym sto dwadzieścia dolarów, popielato-błękitnym tropikalnym kamgarnie z firmy Bracia Brooks, któremu poświęcił tyle namysłu, zanim go wybrał na tę swoją idyllę. Rozmyślał, że tak właśnie człowiek płaci za próbę krótkiego wypoczynku. Nie tylko spaskudzili mu raport poranny, ale jeszcze rozcieńczyli mu whisky, psiakrew. W końcu nie można już ufać nikomu.

Nawet samemu sobie.

Ten hotel – nazywano go zajazdem – znajdował się w dolinie Kaneohe, uczepiony wysoko u garbu łańcucha Koolau ponad doliną, gdzie góry tworzyły zakłęśnięcie ciągnące się w kierunku zachodnim, ażeby połączyć się z Nuuanu Pali. Wybrał ten hotel bardzo starannie, zarówno ze względów estetycznych, jak i dlatego, że było to jedyne miejsce na wyspie, gdzie mogli przyjechać bezpiecznie, nie widziani przez nikogo, jak na przykład tego bystrookiego drania, Starka. Pojechali przez Pali wynajętym wozem, kiedy Warden zabrał ją ze statku płynącego do Kauai, dokąd rzekomo udawała się odwiedzić siostrę, odprowadzana na przystań przez Holmesa. Zupełnie jak ten cholerny ślusarz, który wchodzi kuchennymi drzwiami, kiedy mąż wychodzi frontowymi do biura. Ledwie zdążył ją ściągnąć na ląd, zanim odrzucili trap, bo Holmes tam sterczał tak długo.

Karen zawsze lubiła jeździć przez Pali. Tym razem zatrzymał wóz i pokazał jej hotel – zajazd, jak go nazywali – stojący w błękitnej mgiełce oddalenia, ponad stromym spadkiem. Był to hotel – zajazd, jak go nazywali – specjalnie dla turystów, ale tej samej klasy co „Halekulani”, toteż wiedzieli o nim jedynie turyści najbardziej elitarni. Był tam już raz na weekendzie, kiedy pracował na tych statkach pływających przy księżycu na Molokai. W ten

Sposób się o nim dowiedział.

Tym razem zatelefonował tam uprzednio i zamówił dwupokojowy narożny apartament na drugim (i najwyższym) piętrze, z dużymi oknami wychodzącymi ponad doliną na morze z jednej strony, a prosto na góry z drugiej. Tym razem chciał się upewnić już przedtem, że wszystko będzie bezbłędnie. Tym razem nie miało być żadnych luk.

Widok był piękny. Poza tym miejsce było odosobnione i bardzo wytworne. To był naprawdę bardzo piękny hotel – zajazd, jak go nazywali. „Zajazd Haleiolani”. To znaczyło „Prawdziwie Niebiański Dom”, w Ka Beretania. W dolinie Kaneohe zawsze wiał wiatr, ale naokoło niej rosły drzewa, więc można było wykorzystać nawet wiatr. Był tam również park-ogród. I stajnie. Tym razem musiało być bezbłędnie. Tym razem zamierzał z góry uszczelnić wszystkie szpary, przez które mógłby wsączyć się świat.

Jedną z pierwszych rzeczy, o które zaczęła wypytywać, było, skąd się w ogóle dowiedział o miejscu tak ekskluzywnym i kosztownym. Dał jej jakąś odpowiedź, nie pamiętał już jaką, ale to nieważne. Motyw na dziesięć następnych dni był już ustalony.

Mieli dwa luksusowe pokoje z ośmioma luksusowymi ścianami i nigdzie nie było widać śladów świata. Nawet kiedy schodzili do sali jadalnej na posiłki, ażeby przerwać monotonię przynoszenia ich na górę, do pokoju – nigdzie nie było śladów świata: ani w mówiącym cicho *maitre d'hotel*, ani w cicho sunących kelnerach czy boyach. Miał po swojej stronie nawet hotel – zajazd, jak go nazywali. Żyli sobie trzymając świat z dala od siebie.

Kilka razy jeździli konno po górskich ścieżkach. Ona uwielbiała konną jazdę.

Prawie co wieczór jeździli gdzieś wynajętym wozem.

Dwa razy wybrali się po południu popływać na plaży Kalama.

I w żadnym momencie, w żadnym miejscu, nigdzie nie było ucieczki od owych dwóch pokoi i ośmiu ścian. Od ośmiu luksusowych ścian dwóch luksusowych pokoi, które uszczelnił tak starannie, ażeby świat nie mógł się dostać do wewnątrz. Uszczelnił je doskonale. Uszczelnił je tak dokładnie, że mogły być znakomitym grobem. I właśnie do tego były podobne: do wspaniałego, uszczelnionego na powietrze, uszczelnionego na świat grobu. Przeoczył tylko jedno: że po uszczelnieniu musieli otworzyć drzwi, ażeby się dostać do środka. I wchodząc wnieśli ze sobą świat. Zanim skończyło się te dziesięć dni, nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek w życiu nienawidził tak bardzo jakiegoś miejsca.

Może gdyby mieli więcej pieniędzy...

Ale nie. To nie chodziło o pieniądze. Zostało mu jeszcze ponad trzysta dolarów, z górą połowa tych sześciuset, które miał na początku. I było ciężką pracą, było prawdziwym wysiłkiem wydać tyle, zwłaszcza że ona robiła mu piekło, iż jest taki rozrzutny, zupełnie jak żona.

Więc może gdyby mieli więcej czasu...

Ale nie, nie chodziło także i o czas. Jeżeli już o tym mowa, to czasu mieli za dużo. Zanim się skończył trzeci dzień, oboje ledwie mogli się pohamować, żeby nie powiedzieć, iż pora już wracać do domu. Było dla niego ciężką pracą, było prawdziwym wysiłkiem powstrzymać się od zapłacenia rachunku, spakowania rzeczy i wcześniejszego powrotu po tym, co okazało się katastrofą dorocznych wakacji – zupełnie jak mąż.

A stało się, o ironio, to, że musząc wciąż trwać w ukryciu, z obawy, aby nie spotkać kogoś, kto by ich znał, zbliżyli się nieświadomie podczas tego miesiąca miodowego do sytuacji, która istniałaby wtedy, kiedy skończyłyby się już miesiące miodowe – zupełnie jak mąż i żona.

Ciągle zmuszali siebie wzajemnie do płacenia za coś. Ty zraniłeś moją dumę i ja ranie twoją dumę. Najpierw ty mnie tworzyłeś, a ja tworzyłam ciebie, ale z chwilą, gdy to arcydzieło zostało już stworzone, ty niszczysz mnie, a ja ciebie.

Kazała mu płacić za to, iż pokochała go tak mocno, że wyjechała i zostawiła swojego syna pod opieką tubylczej pokojówki.

On kazał jej płacić za to, iż pokochał ją tak mocno, że uciekł i pozostawił swoją kompanię w kiełbaskowatych paluchach Dhoma.

On musiał jej płacić za to, że zrobił z niej kurwę.

Ona musiała mu płacić za to, że robiła z niego oficera.

Osiem luksusowych ścian dwóch luksusowych pokoi to było wciąż osiem ścian i dwa pokoje. Ale nawet szesnaście ścian i cztery pokoje czy trzydzieści dwie ściany i osiem pokoi, nawet z własną kotłownią, nawet z amerykańską kuchnią, urządzeniem do mielenia odpadków, automatyczną maszyną do zmywania naczyń, w pełni wyposażonym barem, oszkloną wnęką śniadaniową, nawet z elektryczną pralką i pokojem dzieciennym, nie zmieniłoby w gruncie rzeczy tak wiele.

Choćby się odmieniało tamto nie wiedzieć jak często, reszta byłaby taka sama zawsze, na wieki wieków amen, jeżeli ktoś z obecnych może podać słuszne powody, dla których ta niewiasta i ten mężczyzna nie mieliby się połączyć świętym węzłem małżeńskim, niech przemówi teraz albo milczy na zawsze.

„Więc to jest życie małżeńskie, co?” – mówił jego umysł.

Arcydzieło było już stworzone, gotowe. Kiedy się dalej tworzy arcydzieło, które już zostało stworzone, nie czyni się go większym arcydziełem, ale się je niweczy. Trawi się resztę życia na zmienianiu średników na przecinki, a przecinków na średniki.

„Więc na to chcesz skazać nas oboje? – pytał jego umysł. – Mnie, twojego najlepszego przyjaciela?”

Oboje wiedzieli o tym. Tylko żadne nie chciało być pierwszym, które to przyzna, ponieważ czuli się nazbyt winni, że wciąż każą sobie nawzajem za coś płacić. Poza tym nie mieli żadnego innego planu. Mówią człowiekowi, że miłość jest celem ostatecznym. Ale okazuje się, że nie jest. A nie mówią, dokąd trzeba iść dalej. Gdyby tylko mogli przestać wciąż tworzyć. Ale kto kiedy widział człowieka, który potrafiłby przestać tworzyć?

„Życie małżeńskie – mówił mu z oburzeniem jego umysł – najwyraźniej mocno przypomina wstrzeliwanie się w cel baterii sto pięćdziesiątek piątek. Najpierw za długi strzał, który przenosi cel, potem za krótki, który pada przed celem, potem znów długi i krótki, i długi, i krótki, w górę i w dół, jak na huśtawce, za każdym razem coraz bliżej celu, aż wreszcie się trafia, kładzie ogień zaporowy i jest się małżeństwem. Małżeństwo to nieustanny huk, w którym nie sposób nawet rozróżnić poszczególnych wybuchów, tak że w końcu wszystko przemienia się w monotonię i nudę pozostawiając jedynie zryty, zwęglony teren, na którym nie ma już nic żyjącego. Nawet owych papużek, które przedtem z wrzaskiem zrywały się białymi chmurami z dżungli, ilekroć padał granat. Wstrzeliwanie się zawsze było zabawne, pamiętasz? Ale kładzenie ognia zaporowego zaczyna nużyć po pewnym czasie. Czy jest się artylerzystą, czy obsługą działa, czy piechociarzem, który leży pod ogniem. Nawet ta emocja, że się nieomal umiera, traci swój smak po jakimś czasie i przechodzi w zniechęcenie.”

Jedynym momentem prawdziwego wzajemnego odprężenia w ciągu tych całych dziesięciu dni był ten wieczór, kiedy pojechali do miasta na *luau**.

Oczywiście, jeżeli nie liczyć whisky, tej skrzynki Harpera, którą kupił w mieście pierwszego dnia, czekając na nią, i za której kupienie zrobiła mu piekło, ale z której wypła później co najmniej połowę, przesiadując w owych dwóch luksusowych pokojach o ośmiu luksusowych ścianach.

„Przez te ostatnie trzy czy cztery tygodnie – uśmiechał się doń sardonicznie jego umysł – kiedy byłeś taki zapracowany, ja, nie mając nic lepszego do roboty, zająłem się głębokim, badawczym studium nad instytucją małżeństwa w tych naszych Stanach Zjednoczonych, poniekąd na modłę psychiatrów, którzy piszą artykuły w «Ladies Home Journal». A, tak, nie miej tak zaskoczony miny. Czyż nie wiesz? Seks jest teraz jawnym tematem w Stanach Zjednoczonych. Chciałbyś usłyszeć moje wnioski?”

On, Warden, nigdy jeszcze nie widział, żeby piła tak dużo. Zazwyczaj piła bardzo mało, jeżeli piła w ogóle. I nawet nie lubiła, kiedy on dużo pił. Tym razem doszła do tego, że upijała się tak samo albo bardziej i równie często albo częściej od niego, i miał jej to za złe.

* Luau -festyn hawajski.

Nie tylko dlatego, że sam potrzebował tej whisky, ale i z tej przyczyny, że to go przerażało. Nie chciał żony, która była na prostej drodze do alkoholizmu. Nie chciał dodawać tej winy do wszystkich innych win. Widocznie musiał coś przeoczyć. Musiał popełnić jakiś błąd.

„Doszedłem do wniosku – mówił dalej jego umysł – że małżeństwo w Stanach Zjednoczonych oparte jest na zasadzie miłości romantycznej. Nie zawsze, ma się rozumieć, ale w większości przypadków; zgodzisz się, że większość ludzi w Stanach Zjednoczonych przyjmuje zasadę romantycznej miłości. Przyjmuje ją tak zdecydowanie, że nawet ta mniejszość, która zawiera małżeństwo z innych przyczyn, takich jak pieniądze czy pozycja towarzyska, czy interesy, czy też po prostu zwykłe zabezpieczenie, usiłuje sprawić wrażenie, że uczyniła to z romantycznej miłości. Jest to, być może jedyny kraj na świecie, gdzie tak się dzieje nawet w najniższych, ciemnych warstwach chłopskich – jeżeli nie brać pod uwagę Anglii. Ja osobiście nigdy nie biorę pod uwagę Anglii. A więc, drogą osobistej obserwacji oraz starannego eksperymentowania w ciągu tych trzech czy czterech miesięcy, kiedy nie miałem nic do roboty, w końcu wyodrębniłem wirus złudzenia miłości romantycznej. Moim wnioskiem w niniejszej rozprawie jest, że owa epidemia romantycznej miłości, która grozi zdziesiątkowaniem Stanów Zjednoczonych, została bezpośrednio wywołana przez oślizły, złośliwy, jadowity wirus bądź zakażenie, który z braku lepszej nazwy ochrzczę Ego-stymulacją albo, od nazwiska jego odkrywcy, Bakcylem Wardena.” – A, odpieprz się! – krzyknął Warden.

Wyjął znowu butelkę z szafki i napił się, tym razem nie dlatego, że to było rozrzedzone, ale z czystej samoobrony. Gdyby człowiek mógł trzymać się jednego złudzenia, potrafiłby kochać. Najgorszą stroną uczciwości jest to, że odbiera ona człowiekowi wszelkie złudzenia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

„Gdyby tylko mogło być przez cały czas tak jak na tym *luau*” – myślał Warden siedząc z nogami na biurku i głową odchyloną do tyłu i opartą na splecionych dłoniach. Tak właśnie powinno być. *Luau* odbyło się ósmego wieczora. Zaproponował je po desperacku. A ona po desperacku się zgodziła. Bo było to *luau* urządzone w Waikiki dla turystów i z dużym prawdopodobieństwem mogli się natknąć na kogoś, kogo znali. Jednakże nie natknęli się na nikogo. Pojechali do miasta na *luau* i każde z nich wzięło sobie nowego kochanka czy kochankę, i odprężyli się jeden jedyny raz przez całe te dziesięć dni.

Fakt, że nowy kochanek, którego sobie wzięła, nazywał się Warden, a nowa kochanka, którą wzięła sobie on, nazywała się Karen Holmes, nie miał żadnego znaczenia.

Było to *luau* dla turystów, a więc nieprawdziwe, ale po kilku szklaneczkach wydało się właściwie równie dobre, i nic już nie przeszkadzały obserwujące je, tłuste białe i wypucowane twarze ani schludnie zaprasowane marynarki i spodnie, na których biało migotało światło ogniska. Wszyscy turyści przeczytali sobie Somerseta Maughama, jako przygotowanie do podróży w kraje tropikalne, i obnosili białe płócienne garnitury i suknie. Ale po paru szklaneczkach to się stawało nieważne. Bo poza tym wszystko było jak trzeba, jak na prawdziwym *luau*.

Długi rów z ogniem zamierającym na rozgrzanych kamieniach, czarny *Kanaka Kuke*, na którego skórze połyskiwały czerwono odbłaski ognia, układający warstwami liście bananowe w rowie *kapuahi*, ażeby na nim położyć jedzenie, a potem muzyka i tańce *hula*, kiedy łagodny powiew przynosił aromaty potraw dobywające się spod zapachu przypieczonych liści bananowych, aż ślina napływała do ust – i pieczeń *pipi oma*, i pieczony *puaa* z dużą *ohiā* w pysku, o różowej, startej skórcie, która zaczynała się rumienić (skórka prosięcia i poi, skórka prosięcia i poi), i kraby skalne *heikaukau*, i gorąca hawajska duszenina *welakaukau* gotująca się w tykwach.

Ona rozkoszowała się tym naprawdę i jadła wszystko. A zanim skończono upieczonego w całości wieprzka i pieczeń *pipi oma*, wszyscy już byli pijani, nawet niektórzy turyści, i wtedy on zrzucił koszulę i sandały, podwinął spodnie do kolan, wyskoczył w światło ogniska i zatańczył im *Meliani Oe* zatknąwszy sobie za ucho gardenię wyciągniętą z włosów najmłodszej dziewczyny *wahine* – i to naprawdę porwało Karen. Roześmiani tancerze i tancerki zapomnieli, że są płatnymi aktorami, i zachęcali go do dalszych solowych popisów; ci, co siedzieli, wybijali takt dłońmi o ziemię, a stojący tupali nogami.

Wywołało to wielką sensację. Niewielu białych umie w ogóle tańczyć *hula*, nie

mówiąc już o tańczeniu dobrze. Ale on nauczył się doskonale, no i trzeba powiedzieć, miał odpowiednią figurę.

A potem wrócił szczerząc zęby i wetknął jej gardenię we włosy, po prostu jako gest, po prostu żeby to przedłużyć. A tłustolicy turyści szeptali do siebie o tym zwariowanym *haole* (zastanawiając się, co on za jeden, pewnie z jakiejś starej rodziny od dawna osiadłej na wyspach), który wydawał się bardziej dziko hawajski od samych tubylców *Kanaka*. „Tubylców – uśmiechnął się – którzy jutro rano powrócą z bardzo nietubylczym kociokwikiem do swoich zajęć jako kelnerki u Walgreena czy mechanicy w którymś z warsztatów samochodowych na Nuuanu, a owi turyści, jeżeli wpadną do Walgreena na coca-cole albo się zatrzymają, żeby im przeczyszczono karburator, nawet ich nie poznają”.

– Zawsze jesteś pełen niespodzianek – uśmiechnęła się wtedy do niego.

– Zawsze masz jakieś nowe pomysły. Lubisz zaskakiwać ludzi, co? Gdzieś ty się nauczył tak tańczyć, u licha?

A kiedy wrócili do hotelu – zajazdu, jak go nazywali – było tamtej nocy znowu tak samo jak dawniej i znowu był rozgrzanym, kęsającym, rozpętanym, oszalałym dzikusem, ona znów grała rolę Białej Bogini z nim, jako dzikim człowiekiem. Było tak, jak lubił. Ale ostatnio nie było tak zbyt często już od dawna i po tym jednym razie nie miało więcej być przez owe ostatnie dwa dni.

– Mój dzikus – szeptła ugryzłszy go lekko. – Mój pierwotny, szalony dzikus.

Następnej nocy, przedostatniej, popełnił ten błąd, że spróbował to odzyskać. Nazwał ją swoją dziewczynką tak jak dawniej; jednakże tym razem nie tylko go odepchnęła, ale wyskoczyła z łóżka i po nie kończącym się przeklinaniu go, podczas którego znów wypłynął niepokój o dziecko („A gdyby zachorował? Jak bym się dowiedziała? Siedząc tu, w hotelu, z innym mężczyzną, jak zwyczajna kurwa? A co by było, gdyby umarł? Obeszłoby cię to? Tak, dużo by cię obeszło!”), skończyła na tym, że poszła spać w drugim łóżku. Podobnie jak za dawnych czasów, gdy w Nowej Anglii istniał obyczaj, że zakochani w okresie narzeczeństwa leżeli nie rozebrani obok siebie, miał chęć walić pięściami w ścianę, rozkrwawić sobie knykcie z rozpacz, że nie może powiedzieć ani jednego słowa, które nie brzmiałoby winowajczo i przepraszająco; tyle tylko, że zamiast przegrody z deski było to kamienne milczenie.

Teraz, w ciągu ubiegłych dwóch dni, kiedy się wściekał z powodu zabałaganionego raportu porannego, opowiedział jej całą historię Prewitta włącznie z „Grubasem” Judsonem i kurwą Lorene od pani Kipfer, w której Prewitt się kochał; chciał jej choć raz pokazać, jak żyją inni. I nawet on był zaskoczony widząc, jak ogromnie się przejęła, tak dalece, że rozplakała się, przez co tylko pokochał ją, psiakrew, jeszcze mocniej.

Nawet whisky nie miała wartości leczniczej na tę chorobę. Przecież próbował przez dwa dni – bo bał się iść do pani Kipfer na nowy zabieg wstrząsowy. To wskazywało, jak daleko już zaszedł.

„Jesteś po prostu łupiną, nic więcej, Mik – powiedział do siebie i łyknął jeszcze whisky. – Wyschniętą, wyjedzoną, pustą łupiną”. Jeszcze niedawno był przynajmniej w stanie znaleźć chwilową ulgę w burdelu. Teraz nie mógł zrobić nawet tego, bo bał się zepsuć sobie opinię fiaskiem.

Dawniej, zanim moralne Stany Zjednoczone uchwyciły świat literacki w dławiący uścisk, pisywano całkiem sporo o takich fiaskach. Wtedy to był niezgorszy temat. Dzisiaj już się o tym nie pisze; albo dlatego że fiaska są mniej częste, w co wątpił, albo dlatego że uważa się je za bardziej wstydlive, co podejrzewał. Właściwie, jak się o tym myśli, jedyną pociechą w tej przypadłości może być fakt, że nie jest rzadka. Że nie jest się jedynym, który na nią cierpi.

Ano zobaczymy, co będzie miał do powiedzenia ten pieniacz, Ross. To bodaj jedyna nadzieja, jaka pozostała.

Porucznik Ross, przyszedłszy do kancelarii, nie powiedział nic. Udał, że nie widzi butelki stojącej na widocznym miejscu na biurku. Przeszedł się po kancelarii, uściskał dłoń swojemu nowemu sierżantowi-szefowi, wspomniawszy coś o bliższym zaznajomieniu się i nie zwrócił uwagi ani na whisky, ani na wymięty studwudziestodolarowy garnitur od Braci Brooks, ani na trzydniową szczecinę na policzkach swojego sierżanta-szefa.

– Mam coś dla pana, sierżancie – oświadczył uważając widocznie, że już się dostatecznie zapoznali. Wyciągnął z kieszeni jakiś papier. – Zamiast, żeby pan przechodził cały oficerski kurs korespondencyjny, zgadzają się, żeby pan złożył tylko ten egzamin. Ze względu na pańską służbę, doświadczenie i stopień, a także dlatego, że pułkownik Delbert napisał list z prośbą, aby w pańskim przypadku z tego zrezygnowano. – Zamilkł uśmiechając się wyczekująco.

Warden nic nie powiedział. Czego się po nim spodziewali? Że będzie krzyczał z radości?

– Tu jest odpis tego egzaminu, który pan złoży w najbliższy poniedziałek – ciągnął porucznik Ross kładąc papier na biurku. – Pułkownik Delbert przysyła go, żeby pan sobie przejrział, i prosił mnie, żebym to panu przekazał wraz z jego pozdrowieniami.

– Dziękuję – powiedział leniwie Warden nie patrząc na papier – ale to mi nie będzie potrzebne. Może pan porucznik się napije?

– A, dziękuję, bardzo chętnie – odrzekł porucznik Ross. – Pułkownik Delbert właśnie mówił, że pan pewnie tak powie. Mówił, że pan prawdopodobnie nie będzie tego chciał ani

potrzebował, ale uważał, że warto przynieść to tak czy owak, aby pan wiedział, że wszyscy jesteśmy za panem.

Wściekły, oburzony, dotknięty Warden patrzył, jak tamten spokojnie bierze butelkę z biurka i odkorkowuje ją.

– Smakuje trochę cienko – powiedział porucznik Ross.

– Jakiś sukinsyn dolewał wody, kiedy byłem na urlopie – odparł Warden wpatrując się w niego bacznie.

– To szkoda – powiedział porucznik Ross. Warden wyszczerzył do niego zęby.

– Wie pan porucznik – powiedział leniwie – zdziwił mnie nasz Wielki Biały Ojciec Delbert. Myślałem, że stary Jake robi wszystko, co w jego mocy, żeby mnie wygryźć zamiast mi pomagać. Szczególnie wobec tego konfliktu między nim a Holmesem w ostatnich trzech czy czterech miesiącach.

– O ile mogę się zorientować – odrzekł porucznik Ross – pułkownik ma o panu bardzo wysokie mniemanie jako o żołnierzu. O wiele za wysokie, ażeby taka rzecz, jak osobista różnica zdań, mogła go powstrzymać od popchnięcia pańskiego podania, skoro uważa, że pan na to zasługuje.

– I skoro to będzie dla niego tytułem do dumy, jeżeli mi się powiedzie – uśmiechnął się Warden.

– Tak – odrzekł z uśmiechem porucznik Ross. – I dla mnie też. Warden nic nie powiedział. Nie było nic więcej do powiedzenia. Przestał się uśmiechać i popatrzał twardo na Rossa, ale to też nic nie pomogło. Najwyraźniej miało z nim być tak samo jak z sierżantem Wellmanem z kompanii A, który w styczniu złożył podanie na kurs oficerski; wszyscy oficerowie z batalionu pomagali mu w odrabianiu lekcji korespondencyjnych. Wellman, który nie potrafił odróżnić rzędu strzelców od tyraliery, był teraz dziarskim podporucznikiem w dziewiętnastce.

– Przykro mi z powodu pańskiej whisky, sierżancie – powiedział porucznik Ross spoglądając na zegarek. – No, trzeba iść do Klubu na lunch. Zobaczymy się po południu. Jeżeli pan będzie miał jakieś pytania co do tego egzaminu, proszę się zwrócić do mnie. Postaram się znaleźć panu odpowiedzi.

Warden dźwignął się na krześle po jego wyjściu i wziął papier egzaminacyjny. Nic dziwnego, że mają takich głupich kretyków za oficerów, jeśli im urządzają takie dziecinne egzaminy. Znał odpowiedzi na wszystkie pytania, jeszcze zanim doczytał je do końca. „Jeżeli pan będzie miał jakieś pytania, proszę się zwrócić do mnie” – wycedził. Gównu. Wepchnął papier do kieszeni i obrócił się, by popatrzeć z okna na porucznika Rossa, który siedł przez dziedziniec na przygiętych kolanach, swoim rozczłapanym krokiem, w żałości obwisłym

mundurze. Obraz żołnierza. Skurczybyk wlecze się jak łachmaniarz. Albo jak parobek. A wygląda też jak łachmaniarz.

„Dzentelmen – szydził. – Dzentelmen, psiakrew. Maniery, a jakże. Uprzejmy. Jego stary pewnie był trumniarzem albo co!” Wziął z biurka butelkę i schował ją z powrotem do szafki. Szlag by ich trafił razem z ich papierami egzaminacyjnymi.

Ale tego wieczora w swoim pokoju, kiedy Pete był w odwiedzinach u jakiegoś kompana z dwudziestki siódemki, Warden raz jeszcze przejrzał papier egzaminacyjny. A w poniedziałek rano, gdy udał się do dowództwa pułku, ażeby złożyć egzamin, usiadł i od razu wypisał pogardliwie wszystkie odpowiedzi. Następnie rzucił lekceważąco papier na biurko podporucznika, który kontrolował czas trwania egzaminu, i wyszedł mając jeszcze przed sobą z górą połowę dwugodzinnego limitu i czując, że podporucznik spogląda za nim z niedowierzaniem.

Kiedy tego rana wrócił do kancelarii, Rosenberry wręczył mu rozkaz specjalny departamentu, zapowiadający, że doroczne manewry jesienne rozpoczną się dwudziestego, czyli za dwa dni.

Do dnia wyjazdu wymieniał Prewitta w raporcie porannym jako obecnego i dopiero wtedy podał, że jest nieobecny. W ten sposób zdołał mu dać dodatkowy tydzień czasu. Jeżeli prowadzili jakieś śledztwo w sprawie „Grubasa” Judsona, to powinno było go kryć. W każdym razie nie mógł zrobić nic więcej.

Wieczorem w przeddzień wyruszenia, jakby czymś tknięty, pojechał do znajdującej się na King Street, o dwa domy od „New Congress” pani Kipfer, kawiarni „Pod Niebieskim Gryfem” – w kompanii nazywano ją „Pod Niebieskim Syfem” – będącej ulubionym lokalem kompanii, odkąd Warden przeszedł do tego oddziału, ponieważ była tania i tylko o dwa domy od pani Kipfer. Tego wieczora nie zastał tam nikogo; wszyscy szykowali się do jutrzejszego wyjazdu. Czekał cztery godziny żłopiąc whisky z kufli piwa i gadając z Rose, chińską kelnerką.

Prew się nie pokazał. Rose mówiła, iż od dawna nie pamięta, żeby tam był. Ale też nie powiedziała mu, choćby i był. Rose i Charlie Chan, barman-właściciel, wiedzieli równie dużo o osobistych sprawach kompanii G, jak jej kierownictwo. W tym albo innym momencie Rose żyła prawie z każdym podoficerem kompanii. Coś w rodzaju kolektywnej żony.

Jednakże miał jakieś wyczucie, że Prew może się tam pokazać. Mógł nigdy nie wrócić do koszar, ale nie potrafiłby trzymać się na zawsze z dala od wiadomości z kompanii. Tak więc, biorąc logicznie, „Niebieski Syf musiał być miejscem, do którego by się skierował. Było to tylko wyczucie. Warden wiedział, że jest to jedynie ostateczny strzał w ciemno. Rano wyruszyli na wybrzeże i wtedy skreślił Prewitta z listy wyżywienia oraz podał go w

porannym raporcie, jako nieobecnego bez przepustki.

Porucznik Ross, który mocno się denerwował swoimi pierwszymi manewrami i nie znał Prewitta z nazwiska na liście, początkowo ogromnie się rozłościł. Chciał go oddać pod sąd wojskowy. Warden musiał mu tłumaczyć, że Prewitt pewnie gdzieś leży pijany z jakąś wahine i prawdopodobnie za dwa, trzy dni zjawi się w obozie nad zatoką Hanauma, i dopiero wtedy Ross zgodził się na jego projekt kary dyscyplinarnej. Porucznik Ross usilnie próbował nauczyć się obyczajów armii czynnej. Roześmiał się i zmiękł.

Powiedział, że Warden, gdyby chciał, mógłby go wiele nauczyć przez te dwa miesiące, zanim przyjdzie jego nominacja na oficera.

Warden przyznał, że to prawda, ale był świadom, iż prowadzi tylko akcję opóźniającą. Gdyby Prewitt się nie pojawił, nie miałyby ona żadnego znaczenia. Jednakże liczył na to, że zwabią go manewry. Prewitt musiał dowiedzieć się o manewrach; wszyscy na Hawajach zawsze wiedzieli o manewrach. Na wyspie wielkości Wahoo doroczne manewry były nieomal takim samym lokalnym świętem jak Dzień Wojska w kwietniu. Konwoje ciężarówek jechały przez miasto blokując ruch uliczny, drużyny żołnierzy umieszczały karabiny maszynowe we wszystkich ważnych zakładach użyteczności publicznej, inne drużyny stawiały zapory drogowe na wszystkich szosach, a bary w mieście robiły znakomite interesy. Stary żołnierz zawsze parska na wieść o manewrach tak jak stary koń bojowy na odgłos ślepego strzelania.

Warden założył swoje miejsce postoju nad zatoką Hanauma i czekał zastanawiając się, dlaczego tak się przejmuje tym zawalidrogą. Może już traci szwung. Może się robi sentymentalny tak jak „Dynamit” Holmes. Musiało tak być, jeżeli wychodził ze skóry, żeby ocalić głowę człowiekowi, którego uznał za opornego od pierwszego dnia, kiedy się zjawił w kompanii.

A jednak było w tym coś innego. Prew niejako trzymał do czegoś klucza. Warden czuł, że jeżeli uratuje Prewitta, uratuje także coś więcej. Coś, co jeśli zostanie uratowane, usprawiedliwi z kolei coś jeszcze innego. Prewitt stał się dla niego symbolem. Kiedy nie pokazywał się, a dni mijały, pobłażliwość zaś udobruchanego porucznika Rossa zaczynała topnieć, Warden stwierdził, że przeżywa to prawie tak ciężko jak jakąś osobistą sprawę.

„Pewnie dlatego, że czujesz się winien, bo masz zostać oficerem – mówił do siebie. – Na pewno tylko dlatego.”

Doszedł do wniosku, że Prew się nie zjawia, bo ciągle myśli, że go szukają z powodu „Grubasa”. To musiała być przyczyna. Ale jakże dać mu znać, że to się już rozeszło po kościach? Nie było sposobu, jeżeli się nie wiedziało, gdzie jest. A nie można było go szukać przebywając w polu, na manewrach.

Manewry zaczęły się mniej więcej tak samo jak ubiegłego roku i przed dwoma laty.

Ta sama stara historia. Wyruszyli ciężarówkami na plażę, rozstawili cekaemy zgodnie z planem obrony i czekali, aż ich wezwą do akcji. Odcinek kompanii G sięgał od Wypły Piaszczystej w porcie Honolulu, na wschód od przylądka Makapuu i obejmował plażę Waikiki oraz posiadłości prywatne, położone wzdłuż Czarnego Przylądka i zatoki Maunaloa. Był to jeden z najwyborniejszych odcinków na wyspie; w Waikiki znajdowały się najlepsze bary, a na terenach przy Czarnym Przylądku było najwięcej dziewczyn *wahine*, których większość mieszkała na miejscu. Ponieważ jednak cała kompania wiedziała, że ich stąd odwołają i że ich złuzuje artyleria nadbrzeżna, gdy tylko wylądują „czerwoni”, więc nie emocjonowano się tym zbyt.

Tego roku założeniem ogólnym było lądowanie grupy uderzeniowej nieprzyjaciela w zatoce Kawela, na północnym krańcu wyspy. Dwudziesty siódmy i trzydziesty piąty wraz z ósmym artylerii polowej stanowiły „czerwone” siły atakujące; dziewiętnasty i dwudziesty pierwszy z resztą artylerii polowej i całą artylerią nadbrzeżną były „białymi” siłami obronnymi. „Czerwoni” wylądowali trzeciego dnia. Trzeba było co najmniej dwóch dni, żeby wykonać roboty ziemne, nawet z pomocą najbardziej czynnych *wahine*. Kompania G, zamiast wykonywać roboty ziemne, zrobiła trzydziestopięciomilowy forsowny marsz szosą do Kamehameha, przez Wahiawę aż do Waiialua, gdzie spotkała się z resztą pułku i zajęła pozycje obronne. Przez cały następny dzień kopali rowy przeciwołamkowe, a nazajutrz zabrały ich ciężarówki i przewiozły bocznymi drogami, w kurzu, na drugą stronę wyspy, podczas gdy ich rowy zajął inny oddział. W Hauula, o pięć mil za Kahuku, gdzie przebiegała główna linia „białych”, przeszli do odwodów. Wykopali nowe rowy na otwartym polu bez odrobiny cienia i założyli obóz, który mógł się ostać i ostał przy regularnej pełnej inspekcji polowej. Pozostali tam aż do końca tych dwóch tygodni, nie robiąc nic. Zwykła rzecz. Typowe manewry. Grali w karty, gadali o tym, jak żałują, że nie są na swoich dawnych pozycjach na plaży, porównywali spostrzeżenia na temat dziewcząt *wahine* i czekali, póki nie przysłała wiadomość, że bitwa już zakończona, nieprzyjaciel zaś odparty lub wzięty do niewoli, a wtedy zwinęli obóz, załadowali się na ciężarówki, aby pojechać do koszar, gdzie jeśli nawet nie było nadmiaru dziewczyn *wahine*, to były przynajmniej prysznicze.

A wtedy wszystko się odmieniło i przestało wyglądać jak typowe manewry. Ciężarówki, zamiast ich zabrać do Schofield, powiozły ich z powrotem na dawne pozycje na plaży, z których artyleria nadbrzeżna wyjechała już do Fortu Ruger. Inne ciężarówki, ze Schofield, przybyły równocześnie i wylądowały stos oskardów, łopat i siekier, worki cementu i mieszadła do zaprawy murarskiej. Jedna z ciężarówek przywiozła nawet trzydzieści wiertarek o napędzie benzynowym.

Nikt nie miał pojęcia, po jakiego diabła.

Jak gdyby w odpowiedzi nadeszły drogą służbową rozkazy, że mają budować bunkry na wszystkich swoich pozycjach. Do tej pory sypiali pod płachtami namiotowymi, używanymi na manewrach, ale zanim zdążyli na to napsioczyć, przyjechały jeszcze inne ciężarówki ze Schofield i przywiozły zarówno duże czubate namioty, jak i prycze dla nich. Mieli już ze sobą siatki przeciwmoskitowe: w polu na Oahu miało się je zawsze. I zamiast tymczasowych biwaków pozycje na plaży przekształciły się nagle w stałe obozowisko.

Warden po raz drugi założył swoje miejsce postoju nad zatoką Hanauma; Prewitta wciąż nie było, ale teraz o tym zapomniał. Nawet stare wyspiarskie wygi, jak Pete Karelsen czy Turp Thornhill, nie pamiętały, żeby kiedykolwiek zdarzyło się coś podobnego.

Do tej pory zawsze przyjeżdżali na plażę, ustawiali cekaemy na otwartym miejscu i sypiali na piasku pod kocem albo – jeżeli mieli szczęście takie jak pozycja nr 16, znajdująca się na posiadłości Doris Duke – w kabinach plażowych za zezwoleniem administratora (Doris nikt nigdy nie widział). Tak było zawsze i przypuszczali, iż zawsze tak będzie. Że jakaś nieprzyjacielska siła morska może ich roznieść w kawałki, siedzących tak na otwartej przestrzeni, na długo, zanim zaczną wysyłać barki do brzegu, z tego zdawali sobie w pełni sprawę, i znając wojsko tak, jak poborowi nigdy go nie poznają, tego się właśnie spodziewali, gdyby ktoś kiedyś zaatakował wyspę. Ale dopóki były bary, do których można było się wymknąć, i tyle zamerykanizowanych tubylczych dziewczyn, które można było zaprosić na pozycje, ażeby obejrzały groźne, śmiertcionośne karabiny maszynowe, nie dbali o to wcale. A zresztą, kto, u diabła, miałby zaatakować tę wyspę? Japończycy?

Pokazywanie dziewczynom karabinów maszynowych było doprawdy natchnieniem. Właściwie żadna nie mogła się temu oprzeć. Poza grozą zawartej w cekaemach potencjalnej śmierci była jeszcze intrygująca mechaniczna tajemnica nieznanego funkcjonowania maszyny, a żaden Amerykanin, czarny, brunatny czy biały, nie może nigdy oprzeć się chęci pomajstrowania przy czymś takim, żeby dowiedzieć się, jak to działa. W trudniejszych przypadkach można było nawet pozwolić dziewczynom zasiąść za cekaemem, obracać go na sworzniu i naciskać unieruchomiony spust. Nawet dziewczyna *wahine* nie mogła się temu oprzeć. Biała dziewczyna, owszem. Ale nie *wahine*, bo mimo absolutnego tryumfu amerykańskiej techniki plus wszystkie wysiłki samozwańczych amerykańskich misjonarzy moralność amerykańska nie bardziej się zbliżyła do zwyczajstwa na Wyspach od amerykańskich norm komfortu, tak że dziewczyny owe nie miały nic przeciwko temu, by je posuwać pod płachtą namiotową na piasku.

Robota trwała miesiąc. Był to wspañały okres, mimo że istniał ścisły zakaz wydawania przepustek. Ale kto by w takiej sytuacji chciał przepustek, u licha? Kompanie saperów dostarczały im gotowych pociętych belek i desek z drzewa *koa*, które ścinano na

zbozczach przyładka. Musieli więc tylko wykopać doły w piasku, wpuścić w nie belki i obić deskami, a potem przymocować belki z wierzchu i także obić deskami, następnie zaś pokryć to wszystkim piaskiem upewniwszy się przedtem, że szczeliny dla cekaemów są zwrócone w odpowiednim kierunku. Noce należały do nich. Oficerowie rzadko przychodzili ze stanowiska dowodzenia nawet w dzień, a cóż dopiero w nocy. Kompania uważała, żeby się nie przemęczyć pracą za dnia, aby nie wyszło to na szkodę nocy. Zresztą byli zazwyczaj tak skacowani i wycieńczeni po nocach, że nie mogli się przemęczać, nawet gdyby chcieli. To jedna z przyczyn, dla których robota trwała miesiąc. Był to wspaniały okres.

Drugą przyczyną, że trwała miesiąc, była pozycja nr 28 na przyładku Makapuu. Na Makapuu wcale nie mieli wspaniałego okresu. Tamte trzydzieści napędzanych benzyną świdrów przeznaczono właśnie dla Makapuu. Przyładek Makapuu pod wierzchnią warstwą ziemi był jedną litą skałą. Poza tym szkoła żeńska w Waimannalo znajdowała się o osiem czy dziesięć mil, w dolinie Kaneohe. A ponieważ przyładek Makapuu był obsadzony przez pluton z górą, zamiast trzech czy czterech ludzi, więc przebywał tam stale oficer; nawet tam sypiał.

Stopniowo, w miarę jak wykańczano roboty na jednej pozycji po drugiej, a Makapuu ciągle nie mogło się wgrzyźć w tę litą skałę, przerzucano tam coraz więcej ludzi, aby pomogli rozpruć skałę świdrami. W końcu znalazła się tam cała kompania i pracowała na ośmiogodzinne zmiany przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszystkich ogarnął jakiś opętancy szal pracy, szczególnie zmiany nocne ze zrozumiałych przyczyn, zwłaszcza odkąd przeniósł się tam Warden i zaczął pracować świdrem, chłoscząc wszystkich sarkastycznym głosem, który zagłuszał nawet terkoczące jednocylindrowe silniki. Kucharze dobrowolnie pozostawali przez całą noc przy zmianach, ażeby zaopatrywać ludzi w gorące sandwicze i kawę. Nawet kanceliści i kucharze pracowali kolejno świdrami; Mazzioli, który przyjechał na kilka dni ze Schofield, ażeby się rozejrzeć, włożył swoje jeszcze nie wypłowiałe drelichy robocze, których nie miał na sobie bodaj od roku, i obnażywszy do pasa nadspodziewanie masywny tors chwycił za świder, po czym ku powszechnemu zdumieniu okazało się, że jego ojciec pracował przy budowie tunelu Holland w Nowym Jorku. Wszystko to było niepojęte. Ludzie, którzy pracowali tam od początku, obwiązywali sobie dumnie chustkami krwawiące pęcherze na rękach i śmiali się gromko, kiedy pęcherze na rękach nowo przybyłych zaczynały pękać.

Po miesiącu wszystko zostało zakończone i sami położyli stalowe zbrojenia i oblali je betonem, ażeby pokryć bunkry z wierzchu, po czym wrócili do Schofield, do służby garnizonowej, niejedni z nową chorobą, przy której miało się wrażenie, że żyły w ramionach, łokciach i napiętkach są napuchnięte i bolesne, aż palce, dłonie i wreszcie całe ręce drętwiały mrowiące – z chorobą, która sprawiała, że ilekroć robili coś rękami, budzili się później w

nocy i potrząsali nimi, aby odeszła z nich drętwota; jednakże żyły w stawach bolały jeszcze długo potem, tak że musieli wychodzić do latryny, żeby się odlać i wypalić papierosa, czekając, aż ból uspokoi się na tyle, by mogli wrócić do łóżka – ale z chorobą, z którą nigdy nie zgłaszali się do lekarza, ponieważ nigdy nie słyszeli o niej i nie wiedzieli, że to jest choroba.

Był dwudziesty ósmy listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Właśnie podczas owych sześciu tygodni, od szesnastego października do dwudziestego ósmego listopada, kiedy kompania pociła się w polu, a każdy oddałby lewą rękę, żeby się z nim zamienić, Robert E. Lee Prewitt zaczął uświadamiać sobie, jak bardzo jest niezbędne być trzydziestorocznym, aby móc się cieszyć przebywaniem na przepustce.

Coraz częściej i częściej przychodziło Prewittowi do głowy, że nie jest już trzydziestorocznym.

Był jeszcze w kiepskim stanie, gdy rozpoczęły się manewry. Przynajmniej bok dolegał mu na tyle, że musiał wstawać w środku nocy, siadać na stojącym przy łóżku krześle z drewnianymi poręczami i palić papierosa, kiedy rozdrażnione, bezsenne przewracanie się z boku na bok stawało się zbyt męczące. Tego nauczył się w Myer, po złamaniu nosa: że siedzenie i zaniechanie wszelkich prób usnięcia zawsze odpręża człowieka na tyle, że może zdrzemnąć się w krześle.

Jednakże, kiedy siły „czerwone” dokonały lądowania, czuł się już znacznie lepiej. Dość dobrze, by odkryć, że tajemnicą przynajmniej pięćdziesięciu procent uczucia przyjemności z przepustki jest niemiła świadomość, że wkrótce przepustka się skończy i trzeba będzie wracać.

Oczywiście wiedział o manewrach. Obydwie dziewczyny przyniosły z pracy tę wiadomość już na dwa dni przed ich rozpoczęciem. Poza tym były artykuły w gazetach, które o nich wspominały; i tak jak poprzedniego roku i stale, odkąd zaczęła się wojna w Europie, używały ich jako odskoczni do wypowiedzi redakcyjnych na temat sytuacji światowej oraz możliwości, że Ameryka zostanie wciągnięta do wojny. Prew czytał je wszystkie. Wtedy już nabrał zwyczaju czytania dwóch gazet od deski do deski.

Nie bardzo wierzył w to, co pisały gazety (z wyjątkiem kroniki sportowej i komiksów). Nawet go to nie interesowało; po prostu wypełniało mu co rano dwie godziny. Odsuwało na czas czytania gazet korzystanie z radia-barku i patefonu oraz widoku z tarasu na dolinę Palolo.

Przyjemność, jaką mu dawał radio-barek, patefon i te wszystkie rzeczy, bladła wraz ze świadomością, że od nich nie odejdzie. Nie cieszyło go już posiadanie własnego klucza, bo nigdy nie wychodził z domu i nie mógł go używać. Widok z tarasu na dolinę Palolo był dokładnie taki sam przez cały dzień z wyjątkiem zachodu słońca, każdego dnia z niedzielami włącznie, nawet kiedy Prew był pijany. Zostały mu więc tylko gazety.

Obie dziewczyny zawsze jeszcze spały, kiedy wstawał; sam gotował sobie kawę i

przyrządzał śniadanie, a potem zabierał się do czytania gazet przy śniadaniowym stoliku, pośród okruszyn. Jeżeli rozwiązywał krzyżówkę, gazety zwykle wystarczały mu do południa, kiedy wstawały dziewczyny. Wtedy powtórnie wypijał z nimi kawę. Kiedy miał gazetę niedzielną, która starczała mu do trzeciej lub czwartej po południu, czuł się naprawdę bogatym człowiekiem.

Gazety nic nie wspomniały o budowie umocnień nadbrzeżnych po zakończeniu manewrów. Nie wiedział więc o tym, dopóki w końcu nie poszedł odwiedzić Rose i Charlie Chana „Pod Niebieskim Syfem”. Ale gazety dały mu pewne pojęcie, co się dzieje.

Do połowy drugiego tygodnia przeczytał wszystkie książki z kolekcji Georgette i spał się jak bela. W domu nie było już ani jednej książki. Dziennie czytał przeciętnie dwie albo trzy nie zastanawiając się wcale, że zapas zaczyna topnieć. Upił się ciężko. I właśnie kiedy był taki pijany, nagle go uderzyła myśl, jak bardzo Georgette jest podobna do większości bohaterek tych powieści z kolekcji Klubu Książki Miesiąca.

Kiedy Alma wróciła do domu po pracy i znalazła go nieprzytomnego na dywanie przed tapczanem, wybuchła gniewem, który wzbierał w niej, odkąd Prew popadł w ten szal czytania. Zrobiła mu gwałtowną scenę, która zakończyła się kompromisem. Jeżeli będzie mu przynosiła książki z czytelnicy, on przestanie pić – przynajmniej do zamroczenia. Ani Alma, ani Georgette nie miały abonamentu, ale wzięła go i zaczęła znosić mu książki do domu. W większości były to powieści kryminalne. Ponieważ sam był mordercą, interesowało go dowiedzenie się czegoś więcej na temat samych morderców, więc czytał masę tych książek, ale w żadnej – nawet u Raymonda Chandlera, który podobał mu się najbardziej – nie mógł znaleźć nic, co by choć w przybliżeniu przypominało mu własne przeżycia jako mordercy, więc w końcu znudziło mu się szukanie.

Jednakże jeszcze coś innego odciągnęło go od kryminałów. Któregoś dnia przypomniał sobie bez żadnej wyraźnej przyczyny, jak to Jack Malloy wciąż mówił o Jacku Londonie i jak go wielbił nieomal na równi z Joe Hillem. Jediną książką Londona, jaką w życiu czytał, był *Zew krwi*. Poprosił więc Alnę, żeby mu przyniosła Londona, i zabrał się do niego na serio.

Chociaż czytając Londona musiał częściej zaglądać do słownika, to jednak czytał go jakby prędeży. Jego sposób pisania wydawał mu się prostszy. Któregoś dnia, kiedy już zbliżał się do ostatnich książek, takich jak *John Barleycorn* i *Bunt na „Ehynorze”*, przeczytał ich pięć w ciągu jednego dnia. Ze wszystkich najbardziej podobały mu się *Przed Adamem* i *Kaftan bezpieczeństwa*, ponieważ dały mu po raz pierwszy pojęcie o tym, co Malloy rozumiał przez reinkarnację duszy. Wydawało mu się, iż teraz rozumie, że może równie dobrze istnieć ewolucja duszy w rozmaitych ciałach, jak istniała ewolucja ciał w rozmaitych duszach od

czasów przedhistorycznych – na przykład Redeye i inni z *Przed Adamem*. To wydawało się logiczne. Przynajmniej kiedy sobie popił.

Gdy czytał *Martina Edena*, przyszło mu na myśl, żeby zapisywać tytuły innych książek, z którymi powinien się zapoznać, tak jak to robił Martin. U Londona było ich wiele. O większości w ogóle nigdy nie słyszał. O kilku z nich wspominał Malloy. Zapisał wszystkie tytuły, wraz z nazwiskami autorów, w małym notesie, który na jego prośbę kupiła mu Alma. Spoglądał na rosnącą listę z taką dumą, jak gdyby to był dyplom honorowy. Jeszcze zdąży przeczytać je wszystkie. Jak się za następnym razem spotka z Jackiem Malloyem, będzie mógł też zabierać głos, a nie tylko słuchać.

To samo uczynił z jedną z książek Thomasa Wolfe'a, którą Alma przyniosła mu na chybił trafił; zapisał w notesie wszystkie tytuły, na jakie się w niej natknął. Wtedy jednakże stwierdził, iż ma już tyle książek, które chciałby przeczytać, że musiałyby co najmniej rok nie robić nic poza czytaniem, żeby przez nie przebrnąć.

Częściowo właśnie to, brak nadziei, że kiedykolwiek je przeczyta, położyło kres jego szalonej czytania.

Drugim czynnikiem, który go przerwał i zakończył, była Alma.

Któregoś rana wstała wcześniej, kiedy Georgette jeszcze spała, i dopadła go w kuchni. Właśnie czytał inną książkę Thomasa Wolfe'a, tę o chłopaku, który udaje się do Nowego Jorku, by zostać wielkim pisarzem. Nigdy nie zdołał dokończyć tej książki i dowiedzieć się, co się z nim stało. Siedział za stolikiem w oszklonej wnęce śniadaniowej i nie mógł się stamtąd wydostać.

– Chciałabym się dowiedzieć, co ty masz zamiar robić – powiedziała Alma nalewając sobie do filiżanki kawy, która grzała się na piecyku.

– Ale kiedy? – zapytał.

– W ogóle – odrzekła sucho Alma. – Teraz. Jutro. W przyszłym tygodniu. Zamknij tę książkę i słuchaj mnie. Co chcesz zrobić?

– Z czym? – zapytał.

– Z tą sytuacją – odparła. – Zamknij tę książkę i słuchaj mnie! Dość mam gadania do okładek książek!

– A co jest złego w tej sytuacji?

– Mniej więcej wszystko – odrzekła Alma. – Rzadko kiedy mogę z tobą porozmawiać. Patrzysz na mnie jak przez sen, choćby tak jak w tej chwili. Jakbyś nie bardzo wiedział, kim jestem. Jestem Alma, pamiętasz mnie? A może już zapomniałeś? Już chyba pięć miesięcy minęło, odkąd cię widziałam, a wtedy było z tobą źle.

– Może to, że było ze mną źle, uderzyło mi na mózg i dlatego pamiętam – powiedział

siląc się na dowcip. Nie wypadło to zbyt dobrze.

– Chyba nie myślisz siedzieć tak tutaj bez końca? – zapytała za złością Alma. – Już czas, żebyś się zastanowił, co masz zamiar robić, no nie? Czy chcesz wrócić do wojska? Czy mieszkać tutaj i wziąć sobie jakąś posadę? Czy zamierzasz wrócić do Stanów? W ogóle jakie są twoje plany?

Prew oddał kawałek papieru z gazety, włożył go między kartki jako zakładkę i odepchnął od siebie książkę daleko po stole.

– Szczerze mówiąc, nie robiłem jeszcze żadnych planów. A co to za różnica?

– Uch, wstrętna ta kawa – powiedziała Alma.

– Mnie smakuje – zaprotestował; to zganienie kawy, podobnie jak wszystko inne, zdawało się być wymierzone przeciwko niemu osobiście.

– Pichci się na tym piecyku od tak dawna, że się zrobiła szlamowata i gęsta jak melasa – powiedziała Alma. Wstała, wylała zawartość filiżanki oraz imbryka, po czym nastawiła wodę na nową porcję.

Prew obserwował ją. Jej długie czarne włosy były jeszcze zmierzwione ze snu, a na cienkim, drukowanym materiale szlafroka widniały ślady pudru. Jego ręka miała ochotę sięgnąć po książkę, ale ta leżała za daleko i musiałby po to wstać. Nie chciało mu się wstawać. Dlatego właśnie odepchnął książkę tak daleko po stole.

Alma wróciła i usiadła naprzeciwko niego.

– No więc co masz zamiar robić?

– Nic – odparł żałując teraz, że nie wstał po książkę. – Po co się tym kłopotać? Mnie tak jest dobrze.

– Tak – powiedziała Alma. – Dobrze ci jest. Ale za niecały rok ja wracam do kraju, do domu. Będziesz musiał coś wymyślić do tej pory.

– W porządku – rzekł. – Zastanowię się. Ale rok to kawał czasu. Dajże mi święty spokój, psiakrew.

– Z całą pewnością nie będziesz mógł pojechać ze mną do nas, do Oregonu – powiedziała chłodno Alma. – O ile na to liczysz.

Rzeczywiście myślał o tym przelotnie. Ale zrezygnował z tego, nawet w myśli.

– A czy ja cię prosiłem, żebyś mnie zabrała do domu?

– Nie – odparła – ale wcale bym się nie zdziwiła widząc cię już z gotową walizką...

– To czemu nie zaczekasz, aż cię poproszę? Nim zaczniesz rzucać odmowami?

– Bo nie mam zamiaru obudzić się na statku i znaleźć ciebie w swoim łóżku.

– Dobra, nie znajdziesz. Możesz mi wierzyć. A teraz daj sobie spokój i poczekaj z martwieniem się o mnie, aż przyjdzie ten moment. Już ci powiedziałem, że mnie tak jest

dobrze.

– No pewnie – parsknęła Alma. – Od trzech tygodni nie robisz nic, tylko tu siedzisz jak w transie, czytasz książki, upijasz się i przystawiasz się do Georgette. Ja myślę, że ci dobrze.

– A, tu cię boli!

– Może byś wolał zostać tutaj i tylko przerzucić się na Georgette po moim wyjeździe i żyć sobie z nią?

Myślał już o tym. Prawdę mówiąc, myślał o wielu rzeczach. Ale rozzłościł się słysząc, jak powiedziała to na głos.

– Może to i wcale niezły pomysł – rzekł.

– Może i niezły – odparła chłodno Alma. – Na pierwszy rzut oka. Ale przede wszystkim Georgette może nie być w stanie utrzymać tego domu i ciebie na takim poziomie, do jakiego się przyzwyczajasz. Trzeba nas dwóch, żeby to wszystko opłacić. A już teraz zaczynasz naruszać mi mój budżet.

– Może dałoby się coś wymyślić – powiedział.

– Po wtóre – ciągnęła Alma – jeżeli o to ci idzie, możesz od razu zabierać się stąd do diabła i poczekać, aż wyjadę, zanim wrócisz. Bo nie chcę żyć pod jednym dachem z takim typkiem. A jeżeli już o tym mowa, Georgette wolałaby mnie od życia z tobą.

– Prawdopodobnie – odrzekł Prew. – Bo dawniej cię zna.

– Jestem tego zupełnie pewna – powiedziała Alma. – Niezależnie od faktu, że pomagam jej płacić za dom.

– Okej – powiedział i wydstawszy się zza stołu wstał. – Chcesz, żebym poszedł sobie zaraz?

Oczy Almy rozszerzyły się dostrzegalnie i musiała uczynić wielki wysiłek, żeby opanować brak tchu. Nie powiedziała nic.

Prew obserwował ją w milczeniu, czując się bardzo dumny

– Gdzie byś ty poszedł? – zapytała Alma.

– A co za różnica?

– E, bądźże rozsądny – powiedziała z gniewem. Prew uśmiechnął się czując, że nagle uzyskał wreszcie przewagę. Z każdym dniem zaczynało to coraz bardziej przypominać partię tenisa: twoja przewaga, moja przewaga, twoja przewaga, moja przewaga.

– Masa jest miejsc, gdzie mógłbym pójść – rzekł nie chcąc utracić tej przewagi, skoro już ją miał. – Mógłbym iść sobie na plażę. Mógłbym znaleźć sobie na rynku inną kurwę, która wzięłaby mnie jako alfonsa. Mógłbym nawet wrócić do wojska; oni tam pewno i tak nie wiedzą, że zabiłem „Grubasa” – skłamał.

To o kurwie wcale jej nie dotknęło, rzecz jasna. Nie przejmowała się tym nigdy.

– Założyłbyś sobie stryczek na szyję – powiedziała z irytacją. – I dobrze o tym wiesz.

– Mógłbym też zaciągnąć się na frachtowiec – mówił przypominawszy sobie Angela Maggio – pojechać do Meksyku i zostać kowbojem.

– Wcale nie chciałam, żebyś odchodził, póki nie znajdziesz sobie jakiegoś miejsca, gdzie mógłbyś pójść – rzekła z rozdrażnieniem. – Za kogo mnie bierzesz? Chyba mnie znasz. W ogóle nie musisz nigdzie iść, jeżeli nie chcesz. Ja osobiście chcę, żebyś został.

– To rzeczywiście widać po twoim postępowaniu.

– No bo mnie diabli biorą, jak widzę, że siedzisz i robisz oko do Georgette przez cały czas, i wiem, że tylko kombinujesz, jak by się do niej dostać, kiedy wyjdę z domu. Myślisz, że to takie przyjemne?

Wstała i podeszła do piecyka, żeby zgasić płomyk pod szklaną maszynką do kawy. Potem stała przez chwilę i milcząc patrzyła, jak kawa zaczyna opadać w niej na powrót.

– Och, Prew, Prew – obróciła się do niego. – Dlaczego musiałeś to zrobić? Dlaczego musiałeś go zabić? Było nam tak dobrze. A ty musiałeś zrobić coś takiego. Czemu wszystko popsuleś?

Siedział z łokciami na stole i patrzył na swoje splecione dłonie. Nie wpatrywał się w nie. Tylko patrzył. Jak gdyby oglądał narzędzie, by się przekonać, czy jest zdatne do wykonania jakiejś pracy.

– Zawsze tak robiłem – powiedział po prostu, bez zadowolenia ani poczucia winy, zwyczajnie to stwierdzając. – Zawsze psulem wszystko, czego się w życiu tknąłem. Może wszyscy tak robią – dodał przypominawszy sobie Jacka Malloya. – Tego nie wiem. Wiem, że ja tak. Ale nie mam pojęcia dlaczego.

– Czasem zdaje mi się, że cię w ogóle nie znam – odparła Alma.

– Czasem jesteś prawie jak ktoś zupełnie obcy. Kiedy przyszedł do mnie ten twój szef, Warden, powiedział, że wcale nie musiałeś iść do Obozu. Mówił, że gdybyś chciał, mogłeś wyjść z tego na czysto.

Prew szybko spojrzał na nią.

– To on znów był u ciebie? Tak? Odpowiadaj, psiakrew!

– Nie – rzekła Alma. – To było wtedy, za pierwszym razem, kiedy powiedział mi, że siedzisz. A bo co?

– Nic – odrzekł Prew z ulgą, opierając się znowu na łokciach i patrząc na swoje ręce. – Tylko chciałem wiedzieć.

– Chyba nie myślisz, że on by cię sypnął, co? – zapytała Alma. – Nie możesz tego przypuszczać!

– Czy ja wiem – powiedział patrząc znów na swoje ręce-narzędzia.

– Naprawdę nie wiem. Nigdy nie mogłem dojść, czy zrobiłby to, czy nie.

– Straszna rzecz mówisz – rzekła Alma.

– Ty nie rozumiesz – powiedział. – Czasem żałuję, że nie jestem w Obozie – dodał po prostu.

...Angelo Maggio. Jack Malloy. Berry. Francis Murdock. „Stonewall” Jackson. Długie, mroczne wieczory rozmów przy ognikach papierosów. Żaden zakątek kraju nie miał dla nich tajemnic. Bez mała cały świat...

– W Obozie to było łatwe, to było proste. Człowiek miał kogoś nad sobą, kogo nienawidził, i aż nadto czasu, żeby nienawidzić, i wielu innych pomagało mu nienawidzić, i robił, co mu kazali, i tylko nienawidził tamtych nie martwiąc się, że im zaszkodzi, bo im zaszkodzić nie mógł.

– A kiedy wyszedłeś, nawet do mnie nie zadzwoniłeś – powiedziała Alma. – Byłeś na wolności całe dziewięć dni i ani do mnie nie zajrzałeś, ani nie zadzwoniłeś.

– Nie chciałem cię narażać, cholera jasna!

Nie roześmiała się. Czuła się tak, jak można się czuć wobec dziecka. Odkąd wydobywał po tej ranie od noża, nie dawał jej możliwości doznania tego uczucia.

– Prew, Prew, Prew – powiedziała, podeszła do niego i przyciągnęła jego głowę do siebie. – Chodź – rzekła. – Chodź ze mną.

Prew wstał i ruszył za nią. Poszła do sypialnego pokoju.

Ale było to tak jak wiele innych razy, kiedy się posprzeczali, a potem pogodzili i szli rozgrzani do łóżka. Twoja przewaga i moja przewaga, a co dzień tysiąclecie. Nie mógł nie przypominać sobie, że już nie jest trzydziestorocznym. A kiedy to sobie przypominał, przypominał sobie od nowa. Nie pamiętał o tym chyba jedynie wtedy, gdy czytał książkę łyknąwszy trzy albo cztery szklaneczki dla lepszego rozumienia.

Alma wiedziała o tym. Wiedzieli o tym oboje. Przezroczysta ściana jego transu zapadła znowu i bodaj jedynym sposobem przedostania się przez nią było pokłócić się tak bardzo, aby gniew mógł ją przebić. Diabelny sposób zbliżania się do siebie. Usłyszeli, że Georgette wstaje, a potem wrócili do kuchni. Żadne z nich nie miało wielkiej ochoty leżeć po tym w łóżku. Usiedli w kuchni i popijali kawę, a w swej utracie pożądania i w uciążliwym milczeniu, którego nie mogli przełamać, poczuli się bardzo starzy, a czując się starymi, nagle zbliżyli się do siebie o wiele bardziej i cieplej niż przedtem, w momencie pożądania, którego teraz żadne z nich już nie czuło.

A potem weszła Georgette, wesoła jak duży, nadmiernie rozrośnięty psiak, a jej bujne ciało, przypominające większość bohaterek z kolekcji Klubu Książki Miesiąca, przesłonięte

było jedynie cienkim drukowanym szlafrocikiem, na którym ślady pudru, zamiast budzić odrazę, wydawały się, rzecz dziwna, mocno podniecające erotycznie.

Alma spojrzała na Prewa, potem zaś chłodno odwróciła wzrok.

Prew starał się nie patrzeć na Georgette. Nawet gdy do niej mówił, patrzył na Alnę albo na piecyk, albo na własne ręce-narzędzia.

Po półgodzinie Georgette wstała ze zdziwioną i urażoną miną i poszła ubrać się do sypialni. Wyszła wcześniej. Powiedziała, że ma różne sprawunki do załatwienia, że nie wróciłyby i tak przed drugą, więc pójdzie prosto do pracy.

Alma też wyszła wcześniej, a obiad miała zjeść na mieście.

Po ich wyjściu próbował czytać, ale dzisiejszy ranek rozbił mit, który i tak był już mocno nadwątlony, więc Prew nie mógł zagłębić się w książkę. Mógł tylko ją czytać. Nawet po pięciu czy sześciu szklaneczkach mógł tylko czytać. Nie był w stanie zapomnieć, że nie jest już trzydziestorocznym.

No więc, co masz zamiar robić?

Alma miała rewolwer marki Smith & Wesson, który jej podarował jeden z miejscowych policjantów, i trzymała go naładowany w szufladzie biurka, razem z pudełkiem naboju. Prew wziął go.

Cokolwiek by się stało nie miał zamiaru wracać do Obozu. Wrócić do dawnego Obozu, z Angelem, Malloyem, Berryem i całą resztą, takiego, jakim był przedtem – to owszem. Ale nie do żadnego nowego Obozu, gdzie już nie było nikogo z tamtych, a niezawodnie był nowy „Grubas” Judson – gdzie wszystko się zmieniło z wyjątkiem, być może, majora Thompsona.

Powijmował stare naboje, które zapewne były załadowane od lat, i nabił na nowo rewolwer świeżymi, wziętymi z pudełka, a jeszcze kilka włożył do kieszeni. Potem wziął pieniądze, które Alma także trzymała w biurku, i zszedł do Kaimuki, gdzie złapał autobus i pojechał do miasta, aby odwiedzić Rose i Charlie Chana „Pod Niebieskim Syfem”.

Cudownie było znaleźć się znowu na powietrzu i w słońcu. Bok miał jeszcze trochę drętwy, ale to nie przeszkadzało mu iść. Musiał włożyć marynarkę ze względu na zatknięty za pasek spodni rewolwer, ale marynarka ta była z tropikalnego kamgaru (Alma i Georgette kupiły ją razem ze spodniami i szlafrokiem dla niego) i miała stębnowane klapy, i wcale nie przeszkadzała, nawet na słońcu, bo czuł się w niej bardzo szykownie.

Wysiadł z autobusu o kilka przecznic wcześniej i przeszedł wolnym krokiem przed wejściem do uliczki wiodącej do „Drewnianej Chaty”. Wyglądała tak samo jak zawsze.

„Pod Niebieskim Syfem” nie było nikogo, kiedy tam wszedł, prócz kilku marynarzy, którzy popijali piwo i próbowali umówić się z Rose, będącą przecież wyłącznie dziewczyną

armii lądowej. Natomiast z kompanii nie zastał nikogo. Usiadł przy barze i popijał whisky z wodą sodową, ażeby się nie upić na tyle, by podpaść i zostać przytrzymanym, i gadał z Charliem.

Charlie powiedział mu, że kompania G jest na przylądku Makapuu i buduje tam bunkry, i dlatego nikogo tu nie ma. I nie było nikogo, odkąd zaczęły się manewry. „Żadnego luchu”.

Po chwili podeszła Rose, przysiadła się do niego i zapytała szczerząc zęby, jak mu się żyje w cywilu. Zrazu go to przestraszyło czy raczej zaskoczyło, ale powiedział sobie, iż powinien być się domyślić, że będą wiedzieli, i oboje się roześmieli, jak gdyby uważali to za dobry kawał, a ona spytała, jak długie wakacje sobie planuje. Nikt nie wspomniał o „Grubasie” Judsonie. Prew przesiedział tam dłuższy czas, rozmawiając o wolnym życiu cywila.

Dopiero przed samym jego wyjściem Rose przypomniała sobie, że był tu Warden i pytał o niego tuż przed manewrami, ściśle mówiąc, poprzedzającego je wieczora. Uważała, że to świetny kawał.

Co chce, żeby powiedzieli Wardenowi, gdyby znów przyszedł? Oboje pytali o to.

– Powiedzcie mu, że tu byłem – odrzekł natychmiast. – I że mi do niego tęskno. Że nie mogę sobie dać rady z dala od jego przepięknej twarzy. Powiedzcie mu, że też go szukam – dodał – i że jeżeli chce się ze mną zobaczyć, może mnie znaleźć tutaj.

Oboje kiwnęli głowami. Nie mieli zdziwionych min. Byli przyzwyczajeni do zbzikowanych żołnierzy. On był z wojska. A ci z wojska zawsze mają bzika.

Wrócił do domu około dwunastej. Pojechał znów autobusem, a nie taksówką. Może dlatego, że czuł się bardziej wolnym człowiekiem siedząc w autobusie ze wszystkimi tymi ludźmi, ludźmi, którzy mogli iść tam, gdzie im się podobało, nie czując się dziwnie, ilekroć mijali policjanta na rogu. Schował na powrót pistolet do szuflady, a resztę naboju powkładał do pudełka. Spał już w łóżku, kiedy Georgette i Alma wróciły o wpół do trzeciej.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

To, co usłyszał od Rose o Wardenie, zmusiło go do powrotu. Wiedział, że postępuje lekkomyślnie. Pójść raz, tylko na plotki, to w porządku. Ale dalsze chodzenie było kuszeniem losu. A jednak chodził.

Ogółem był tam pięć razy, zanim się w końcu natknął na Wardena. Za każdym razem brał z szuflady rewolwer i zapasowe naboje i za każdym razem odkładał je na miejsce po powrocie. Georgette i Alma nawet się nie domyślały, że w ogóle wychodził z domu. Zauważyły, iż jest ostatnio w znacznie lepszym humorze, lecz nie wiedziały dlaczego.

Uważał, żeby te swoje wycieczki rozłożyć na pewien okres czasu. Jakoś czuł, że Warden potrafi to załatwić. Co jak co, ale załatwiać Warden umiał. Więc wracał tam uparcie, tylko że powracanie przez dwa dni z rzędu uznał za zbyt kuszenie losu, nawet pomimo swego uporu.

Pierwsze trzy razy spaliły na panewce, ponieważ kompania wciąż jeszcze budowała bunkry na Makapuu. Charlie zachowywał kamienny spokój. Zaczynał myśleć, że już nigdy nie skończą tej roboty. Nawet Rose martwiła się tym, kiedy nie przesiadywała ze swoim sierżantem z artylerii polowej.

Za czwartym razem poszedł tam wieczorem dwudziestego ósmego listopada, w dzień ich powrotu z pola, i natknął się na całą paczkę kolegów – opalonych, ze zrogowaciałymi rękami, popękanyimi paznokciami, świeżo ogolonych, twardych. Był tam „Wódz” Choate (teraz młodszy sierżant), Andy i „Piętaszek”, sierżant Lindsay, kapral Miller, Pete Karelsen, podoficer magazynowy Malleaux, „Uczony” Rhodes, „Byk” Nair i paczka nowych poborowych. Zabawne, jak szybko ci poborowi wciągnęli się w tryb życia kompanii i wybrali sobie „Niebieskiego Syfa” jako swój lokal. Wszyscy wyglądali doskonale, nawet poborowi.

Stara paczka bardzo się ucieszyła na jego widok. Klepali go po plecach, jak gdyby dopiero co wygrał sam jeden międzykompanijne zawody w dziesięcioboju. Starka nie było. A chciał się zobaczyć ze Starkiem. Musiał się bardzo pilnować, żeby go nie upili. Warden się nie zjawił, on zaś o nim nie wspomniał.

Jednakże zaryzykował i mimo wszystko wrócił tam zaraz następnego wieczoru. Nie sądził, żeby któryś go sypanął. A miał jakieś przeczucie; miał więcej niż przeczucie, choć żaden z nich także nie wspomniał o Wardenie. Nie zastał wszystkich tych samych co poprzedniego dnia, ale ci, których nie było, kiedy się zjawił, wchodzili i wychodzili przez resztę wieczoru, udając się albo wracając od pani Kipfer czy z „Service'u”, czy od „Ritza”, czy z innych miejsc, bo była to wielka okazja, wielkie święto po sześciu tygodniach

poszczenia na pustyni. Także i tym razem nikt nie wspomniał o Wardenie.

Prew, pijąc piwo i obserwując drzwi, usiłował nie myśleć, że niektórzy z nich albo idą do „Ritza”, albo wracają od „Ritza”, gdzie może dopiero co leżeli w łóżku z Georgette. Mimo to pot występował mu na dłonie.

Wardena zobaczył niejako jeszcze, zanim pokazał się za kratką pergoli dzielącą otwarty front kawiarni od ulicy. Warden nie wszedł do środka. Nawet nie zajrzał. Powoli minął kawiarnię i zniknął za drugim końcem jej otwartego frontu. Najwyraźniej nikt więcej go nie zobaczył. Prew odczekał parę minut i dokończył piwa, nim wyszedł.

Warden stał oparty o mur na rogu uliczki i palił papierosa.

– No, niech mnie licho! – powiedział. – Patrzajcie, kto tu się zjawił.

– Zły szeląg – odparł Prew.

– Myślałem, że do tej pory już będziesz w Stanach – powiedział Warden.

– Widziałeś się z Rose?

– Dziś po południu. Domyślałem się, że nie będziesz mógł bez końca trzymać się tak z daleka.

– Słuchaj – rzekł Prew. – Jak to w ogóle wygląda?

– Przejdźmy na drugą stronę – uśmiechnął się Warden. – To nie jest miejsce na rozmowy, chyba że się ma przepustkę w kieszeni.

– Mam swoją stałą.

– Te zostały unieważnione, kiedy zaczęły się manewry – odparł Warden. – A nie mam ochoty, żeby moje poborowe szczeniaki widziały sierżanta-szefa kumającego się z kimś, kto opuścił samowolnie jednostkę. Oni jeszcze nie rozumieją wojska.

Poprowadził go na drugą stronę ulicy, do takiego samego baru, który był tak samo zatłoczony innymi żołnierzami z takiej samej kompanii, tyle że ta kompania była z ósmego artylerii polowej. Zamówili whisky i Warden za nią zapłacił.

– Dlaczego, u diabła, nie wróciłeś, kiedy zaczęły się manewry? – zapytał Warden z niesmakiem. – Wtedy miałem wszystko załatwione.

– Nie mogłem. Leczyłem się wtedy z rany w boku. A jak jest ze sprawą „Grubasa”? Wiedzą, że to ja, czy nie wiedzą?

– Kto to jest „Grubas”? – zapytał Warden.

– „Grubas” Judson – odparł Prew. – Przecież wiesz, o kogo mi idzie. „Grubas” Judson. No, przestań zalewać.

– Nigdy nie słyszałem – powiedział Warden.

– Przecież słyszałeś o nim – rzekł Prew. – Czy to znaczy, że tamci nie słyszeli? O to ci idzie? Nie zgrywaj agenta wywiadu. To dla mnie poważna sprawa.

Rozmawiali zniżonymi głosami ponad stołem w ogólnej wrzawie czynionej przez artylerzystów. Warden rozejrzał się dokoła, zanim odpowiedział.

– Wszystko ci wyłożę – powiedział. – Wtedy zrobisz, jak chcesz. Ale najpierw wepchnij tę spluwę głębiej za pasek albo pochyl się bardziej. Kolba ci sterczy pod marynarką jak byk.

Prew pochylił się szybko i rozejrzał, zanim sięgnął ręką, by wepchnąć broń głębiej.

– To nie jest dobre miejsce do noszenia pistoletu – wyjaśnił.

– Psiakrew – rzekł Warden. – Sterczał tak wyraźnie, że nawet mógłbym powiedzieć, co to jest. Policyjny Colt kaliber trzydzieści osiem.

– Smith & Wesson.

– Ano, nie mogłem widzieć tego garbu na kolbie.

– No, mów – rzekł Prew. – Jak to wygląda?

– Jesteś przygotowany na wszystko, co?

– Nie wrócę już do żadnego Obozu, jeżeli o to ci idzie. Mówże, cholera, przestań zalewać. Jak jest?

– Więc w końcu zdecydowałeś jednak, że chcesz wrócić – powiedział Warden.

– Ale nie do żądanego Obozu.

– To już mówiłeś.

– I jeszcze powtórzę.

Warden dał znak kelnerce, żeby przyniosła im następną kolejkę.

– Tam nikt nic nie wie o „Grubasie” Judsonie. Przynajmniej nie łączą tego z tobą.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem na pewno – przyznał Warden. – Ale nikt nie przychodził z komendy żandarmerii, żeby o ciebie pytać. Gdyby to z tobą łączyli, przyszliby do nas. Za to mogę ci ręczyć swoją reputacją.

– Jaką reputacją? – zapytał Prew ironicznie, czując jednakże, iż zaczyna go opuszczać wewnętrzne napięcie.

– Moją reputacją jako kochanka, ośle jeden – zakpił Warden,

– To znaczy, że mogę wrócić – powiedział Prew. – O rany. Wiesz, dużo bym za to dał.

– Więcej ci powiem – odrzekł Warden. – Gdybyś był wrócił w dwa albo trzy dni po rozpoczęciu manewrów, mogłem cię załatwić paroma tygodniami karnej służby. Ale od tej pory minęło już sześć tygodni. Nawet takiemu bałwanowi jak ten Ross nie uda się tego wytłumaczyć. Nie ujdzie ci to przynajmniej bez doraźniaka.

– Nie wrócę do Obozu – odparł szybko Prew. – Choćbym miał się ukrywać na tej skale do końca życia.

Warden wyprostował się w krześle.

– Jak chcesz. Więcej nie mogę dla ciebie zrobić. Ross jest wściekły, bo myśli, że mu zwiąłeś, żeby nie jechać na manewry.

Prew był zaskoczony.

– No, a cały ten czas przedtem? Przecież mnie już nie było od tygodnia, kiedy manewry się zaczęły.

– On o tym nie wie.

– Ale jak...

– Cholera jasna! – krzyknął Warden. – Bo „Łysek” Dhom podawał cię jako obecnego. Ja byłem na urlopie, on mnie zastępował i podawał cię jako obecnego. I dalej to robił, kiedy wróciłem. Nie mogłem tyłkiem ruszyć i musiałem albo cię wpisać wstecz, albo zrobić to samo.

– Przecież twój urlop skończył się w trzy dni po moim odejściu.

– Tylko się nie łudź – powiedział ze złością Warden. – Nie zrobiłbym tego dla ciebie. Nie podawałbym cię jako obecnego ani przez jeden dzień. Byłeś oporny, kiedy przyszedłeś do tej kompanii, dalej jesteś i zawsze będziesz. Nie wiem, dlaczego, u kurwy nędzy, siedzę tu i gadam z tobą w tej chwili.

– Bo wstyd ci, że zostajesz oficerem – uśmiechnął się Prew.

– Nigdy nie wstydzilem się niczego, co w życiu robiłem – parsknął Warden. – Włącznie z tym. Wstyd nie jest uczuciem spontanicznym. Wstyd jest uczuciem wywołanym sztucznie. Człowiek, który wie, czego chce, nie zna wstydu.

– W której książce to wyczytałeś?

– Gdybym miał olej w głowie, w ogóle bym tu nie przyszedł.

Prew nic nie odpowiedział. Nie próbował dalej wypytywać o te cztery nie wyjaśnione dni łaski ani drążyć się głębiej w czymś, co było oczywistym kłamstwem. Wstydziliby się to robić.

– Pewnie uważasz, że jestem niewdzięczny – powiedział w końcu.

– Każdy jest niewdzięczny – odparł drwiąco Warden. – Nawet ja jestem niewdzięczny samemu sobie za wszystkie uprzejmości, które sobie wyświadczam.

– Człowiek musi sam za siebie zdecydować, co ma robić – powiedział Prew.

– Każdy za siebie decyduje – odparł Warden. – I zawsze źle.

– Ty nie byłeś w Obozie. Widziałem, jak tam zabili człowieka. Zatkali go na śmierć.

– Pewnie sam tego chciał.

– Czy chciał, czy nie, to nieważne. Nikt nie ma prawa robić tego drugiemu człowiekowi.

– Może nie, ale to robią – wyszczerzył zęby Warden. – Przez cały czas.

– Rzeczywiście, sam się naraził – powiedział Prew. – Ale to jeszcze nie daje im prawa, żeby robić coś podobnego. To był mój przyjaciel. „Grubas” Judson był za to odpowiedzialny.

– Nie opowiadaj mi o swoich zmartwieniach – rzekł Warden. – Mam dosyć własnych. Powiedziałem ci już, co mógłbym dla ciebie zrobić, i więcej nie dam rady.

– Nie rozumiesz, dlaczego nie mogę tam wrócić?

– Nie rozumiem nic – odparł Warden. – A ty rozumiesz, dlaczego . mam być oficerem?

– Jasne – powiedział Prew. – Rozumiem. Sam bym chciał kiedyś nim zostać. Z ciebie będzie dobry oficer.

– W takim razie rozumiesz więcej niż ja – powiedział ze złością Warden. – Wyjdźmy już z tej pułapki.

Przepykali się przez zbity tłum i przystanęli, aby zapalić papierosy. Po drugiej stronie ulicy, w oświetlonym „Niebieskim Syfie”, aż huczało. Chodniki były zatłoczone ludźmi z Schofield. Folgowali sobie, folgowali na całego po sześciu tygodniach czy dwóch miesiącach w polu.

Musieli się cofnąć pod ścianę domu, żeby ich nie poniosła cizba. Od ciemnej River Street za rogiem, daleko w drugą stronę, jak okiem sięgnąć, Beretania gorzała neonami i wystawami sklepów, przeplatany ciemnymi wejściami do burdeli.

– Ładne to – powiedział Prew. – Zawsze lubiłem neony. Lubię stanąć na jednym końcu ulicy i patrzeć na nie, jak się ciągną przez całą jej długość. Jest u nas z pięćdziesiąt miast, które mają ładniejsze ulice od Broadwayu, Memphis, Albuquerque, Miami, Colorado Springs, Cincinnati. I lubię ten tłum – tylko nie wtedy, kiedy w nim jestem.

Warden nie mówił nic.

– Chętnie bym wrócił – ciągnął Prew. – Chcę wrócić. Ale nie dam się zamknąć nawet po to, żeby wrócić.

– Jedyne sposob, żebyś wrócił i nie siedział – powiedział złośliwie Warden – to żeby Japońce albo ktoś inny zaatakował tę pieprzoną wyspę i żeby wtedy rozpuścili wszystkich więźniów do walki.

– Aleś mnie pocieszył! – rzekł Prew.

– Teraz widzisz, co myślę o twoich szansach.

– Aha.

– I lepiej trzymaj się z daleka od „Niebieskiego Syfa” – mówił Warden. – W ogóle stąd. Wycofali wszystkie stałe przepustki. A od czasów manewrów chodzą i sprawdzają.

- Dziękuję za wink.
- Nie ma za co.
- No, to tymczasem – rzekł Prew.
- Tymczasem – odpowiedział Warden.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, do „Niebieskiego Syfa”, a Prewitt skręcił Beretania ku miastu, z dala od rzeki. Ani jeden, ani drugi nie spróbował się obejrzeć.

Prew przepychając się ulicą obracał w myśli to, co Warden powiedział o jego szansach. To ci dopiero szansa! Jeżeli wyspa zostanie zbombardowana, a więźniowie rozpuszczeni! Piekło go to całego jak zółć. Ładna szansa!

Kiedy przechodził przez Maunakae, zobaczył „Uczonego” Rhodesa i „Byka” Naira, sunących ku niemu i trzymających się pod rękę. Uparli się, żeby mu postawić whisky.

– Właśnie idziemy od „Ritza” – powiedział po pijacku radośnie Nair, kiedy stanęli przy barze. – Nie jest tam tak frymuśnie jak u cioci Kipfer, ale dlatego bardziej mi się podoba. Te frymuśne lokale mnie denerwują.

– Chodziłem stale do „Ritza”, zanim przyszedłem do kompanii – powiedział Prew. – Dobrze tam jest.

– O rany! – rzekł Rhodes w rozmarzeniu. – Całkiem jakbym się drugi raz rozprawiczył.

– Fajnie było – powiedział „Byk” Nair.

– No, kiedy wracasz? – zapytał Nair, gdy znowu wychodzili na ulicę.

– Nie wiem – odparł Prew. – Jeszcze mi się nie znudziło w cywilu.

– O rany – powiedział Rhodes, wciąż rozmarzony. – Chciałbym mieć tyle nerwu, żeby zwiać. Gdybym tylko miał forszę.

– Chłopie, aleśmy je tam rozśmieszyli u „Ritza”, no nie? – uśmiechnął się głupawo Nair.

Rhodes parsknął.

– Pewnie, że tak.

– Rozśmieszmy starego Prewa – zaproponował Nair.

– Nie – odrzekł Rhodes. – Szczęki mnie bolą.

– No to się zobaczymy, jak wrócisz – powiedział Nair. – Już za późno cię rozśmieszać.

– Cześć – rzekł Rhodes w rozmarzeniu.

Prew patrzył, jak odpływali trzymając się pod rękę, a gorycz żółci piekła go jeszcze zacieklej, aż się skręcał, świerzbiała go tak, że miał ochotę trzasnąć pięścią w twarz pierwszego człowieka, który by mu się nawinął pod rękę.

Kiedy zniknęli mu z oczu, skręcił w prawo, przeszedł na drugą stronę Beretanii i zamiast iść dalej do przystanku, ruszył w boczną uliczkę. „Ritz” był o jedną przecznicę dalej.

U „Ritza” było tłoczno i musiał czekać dość długo, zanim w ogóle zobaczył Georgette. Ręce pociły mu się mocno, twarz miał zaczerwienioną, gardło ściśnięte, a tamten dziki ogień dopiekał mu jeszcze bardziej. Do cholery z tym, do cholery ze wszystkim, wypalić to, poszarpać, porozbijać.

W końcu przychwycił ją w holu i zatrzymał. Kiedy zobaczyła, że to on, pociągnęła go do pustego pokoju, aby zapytać, czego chce i czy się coś nie stało. Z początku była zakłopotana. Potem zakłopotanie minęło.

Później, kiedy jej wręczał pieniądze, roześmiała się i nie chciała ich przyjąć. Ale kiedy nadal wyciągał je do niej uparcie, popatrzyła na niego i na pieniądze i w oczach jej pojawił się znowu tamten wyraz, w końcu je wzięła.

Gdy wrócił do domu po długiej jeździe taksówką, podczas której siedział samotnie w ciemnościach i delectował się wspomnieniem tego, co było, usiadł i czekał na nie pijąc jedną whisky and soda po drugiej. Teraz powie wszystko i raz z tym skończy. Jednakże zwałił się na podłogę w salonie i zasnął, zanim wróciły do domu.

Kiedy wstał rano i poszedł do kuchni po mokry okład na głowę, Alma siedziała już przy stole i piła kawę. Po chłodnym spojrzeniu, jakim go obrzuciła, poznał, że Georgette już jej wszystko powiedziała albo poprzedniej nocy po powrocie do domu, albo też wcześniej tego rana. Mógł się domyślić, że powie, i tego się spodziewał. Ale chciał powiedzieć pierwszy. Tylko że stracił przytomność.

Alma nie wspomniała o tym ani wtedy, ani później. Nie wybuchła, nie wściekła się ani nic. Była bardzo uprzejma. Bardzo serdeczna i przyjacielska, uśmiechała się, rozmawiała z nim i była bardzo uprzejma. Była taka uprzejma, że nie mógł zdobyć się na odwagę, ażeby jej powiedzieć. Nigdy nie dała mu sposobności i nigdy o tym nie napomknęła. Zamiast tego przeniósł się do salonu na tapczan.

I o to też go nie zapytała ani nie wspomniała o tym. Jeszcze nigdy, odkąd ją znał, nie odnosiła się do niego tak miło. Żyli w wielkiej zgodzie. Raz podczas następnego tygodnia przysłała na tapczan, przespała się z nim, a potem wstała i wróciła do łóżka, i to też zrobiła bardzo miło, bardzo uprzejmie. Georgette nie traktowała go ani milej, ani gorzej. Ani nie zostawała częściej w domu, ani częściej nie wychodziła. Rano zasiadali razem do kawy przy stoliku we wnęce śniadaniowej i rozmawiali miło, a Georgette nie wychodziła wcześniej rano po sprawunki, tak jak dawniej. Byli po prostu jedną szczęśliwą rodziną.

Właśnie w ciągu tego tygodnia przepisał z pamięci pierwsze strofki *Pieśni nadterminowych*, a potem ją dokończył.

Któregoś popołudnia, szukając w biurku papieru, zauważył, że Alma zabrała wszystkie pieniądze, które tam trzymała. Rewolweru nie ruszyła. I nie zamknęła też na klucz radia-barku. Prew był przez większość czasu pijany.

O pieniądze nie dbał, bo nie miał ani dokąd iść, ani ochoty wybrać się gdzieś, ale był rad, że nie zamknęła przed nim barku. Nie powiedziała mu ani słowa na temat tego, że chodzi pijany. Nie poprosiła go też, żeby się wyniósł, bo oczywiście nie miałby dokąd pójść, zresztą już przedtem to omówili.

Tak to trwało przez cały tydzień.

Skądś – czy z tego jej milczenia i uprzejmości, czy też ze swojej własnej imaginacji – nabrał przekonania, że przez cały czas miała zamiar wyjść za niego, dopóki to się nie stało. Czuł się jak człowiek, któremu zwrócono pierścionek.

Raz czy dwa pokłócili się ostro o nic, absolutnie o nic, na przykład o to, czy wzgórze St. Louis ma 483 stopy wysokości, czy 362. Zaczynało się od czegoś takiego, ale zanim skończyli, wszystko już było w to wciągnięte. Twoja przewaga, moja przewaga, twoja przewaga, moja przewaga. W tych kłótniach trzymał się mocno; pokonywało go dopiero milczenie. I uzbierał wiele punktów przewagi za pomocą swej starej groźby, że sobie pójdzie. Najwyraźniej działało to równie dobrze jak zawsze.

Mimo że nie miałby odwagi naprawdę tego zrobić – pomyślał.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Milt Warden nie wstał wcześniej rano wielkiego dnia. Po prostu nie kładł się do łóżka.

Kiedy poprzedniego dnia Karen wróciła do domu o wpół do dziesiątej, zaszedł „Pod Niebieskiego Syfa” w niejasnej nadziei, że Prewitt może tam być. Karen pytała o niego znowu i długi czas rozmawiali na jego temat. Prewitta nie było, ale Warden natknął się na starego Pete'a i „Wodzaz”; Pete pomagał „Wodzowi” oblewać ostatni wieczór w mieście przed powrotem do jego garnizonowej kwatery głównej u Choya. Przeprowadzili już nalot bombowy na burdele i zrzucili swój ładunek na „New Congress” pani Kipfer. Kiedy Charlie Chan zamknął „Niebieskiego Syfa”, zasiedli we czterech w pokoju na tyłach i grali w pokera po cencie, popijając barową whisky Charliego.

Ta gra była zawsze nudna; Charlie nie potrafił grać w pokera na drobne. Jednakże zawsze dawał im whisky po zwykłej cenie hurtowej, a jeżeli dość głośno narzekali, umiał się nawet szarpnąć i wszystkim postawić, choć sam pił bardzo niewiele. Dlatego zawsze byli gotowi ścierpieć jego grę w pokera. Od czasu do czasu pozwalali mu wygrać, żeby nie zauważył, jak marnie to robi.

Kiedy wypili już tyle, ile mogli nie tracąc przytomności, zrobiło się tak późno, że taksówki ze Schofield przestały kursować. Wynajęli więc miejską taksówkę, żeby ich odwiozła do koszar, bo nie było już gdzie iść o wpół do siódmej rano w niedzielę.

Poza tym Stark miał zawsze w niedzielę naleśniki z jajkami i świeże mleko. A na kaca nie ma nic lepszego od dużego talerza naleśników z jajkami i świeżego mleka przed położeniem się do łóżka.

Przyjechali za późno, żeby zjeść w kuchni, i kolejka na śniadanie przesuwiała się już wolno obok dwóch pieców kuchennych. Weseli, podpici, niczym nie zrażeni, wepchnęli się do ogonka wśród pomruku przekleństw szeregowców i zanieśli pełne talerze do podoficerskiego stołu w głębi izby.

Było to niemal jak zebranie rodzinne. Zjawili się sierżanci ze wszystkich plutonów, przyszedł Stark w swoim przepoconym podkoszulku, uprzednio zasadziwszy kucharza do roboty, i magazynier Malleaux. Przyszedł nawet „Łysek” Dhom, którego wygoniła z domu żona, ponieważ zapił się wczoraj w klubie podoficerskim. Nieczęsto zdarzała się taka okazja, a że to była niedziela, więc każdy z obecnych był przynajmniej zawiany, ponieważ zaś poprzedniego wieczora urządzono w klubie oficerskim potańcówkę, nie pokazał się żaden z oficerów, toteż mieli zupełną swobodę.

Rozmowa dotyczyła głównie lokalu pani Kipfer. Tam wylądowali ubiegłej nocy Pete i

„Wódz” Choate i tam też udała się większość pozostałych. Pani Kipfer właśnie nadesłano cztery nowe dziewczynki, ażeby podolać napływowi poborowych, który podnosił stan liczebny wszystkich kompanii w Schofield. Jedna z nich, nieśmiała ciemnowłosa kruszynka, która najwyraźniej występowała zawodowo po raz pierwszy, zapowiadała się jako godna następczyni Lorene, kiedy ta wróci do kraju. Na imię miała Jeanette i przy stole rekomendowano ją na rozmaite sposoby.

Przynajmniej jeden oficer miał zawsze obowiązek jadać razem z ludźmi w kasynie – albo porucznik Ross, albo ten młodziak Culpepper, albo któryś z trzech nowych rezerwistów przydzielonych do kompanii w ostatnim tygodniu. Zmieniali się kolejno przy pełnieniu tego zadania, ale którykolwiek je dostał, zawsze było tak samo, zawsze nakładało to tłumik na rozmowy przy podoficerskim stole. Natomiast dziś przypominało to po prostu jedno wielkie zebranie rodzinne. Bez teściowej.

Poza Wardenem i „Łyskiem” Stark był jedynym, który poprzedniego wieczora nie odwiedził lokalu pani Kipfer. Ale też był pijany. Znalazł sobie na stałe dziewczynę, niedaleko radiostacji marynarki na Wailupe, kiedy obozowali nad zatoką Hanauma. Niektórzy ją widzieli, była to jurna, gorąca *wahine*, typu „posunę się tak daleko, jak zechcesz”, ale Stark nie miał ochoty o niej mówić. Toteż na ogół nie zabierał głosu podczas rozmowy przy stole, ale się przysłuchiwał. Poza sprawami służbowymi nie odzywał się do Wardena od czasu tamtej nocy na Hickam Field i przy stole ignorował go, a Warden ignorował jego.

Było to więc typowe niedzielne śniadanie w pierwszy weekend po wypłacie. Przynajmniej jedna trzecia kompanii była nieobecna w koszarach. Inna trzecia jej część jeszcze spała. Jednakże ostatnia trzecia część nadrabiała z nawiązką nieobecność tamtych hałaśliwością pijackiego śmiechu i dowcipów, brzękiem sztućców i ćwierćkwartowych butelek z mlekiem.

Warden właśnie szedł dobrać sobie repetę naleśników i jajek, z owym żarłocznym apetytem, który miał zawsze po pijaństwie, kiedy eksplozja wstrząsnęła podłogą i zabrząkała kubkami na stole, a potem potoczyła się przez dziedziniec niby potężna fala na morzu w czasie burzy.

Warden przystanął w progu i obejrzał się na salę jadalną. Zapamiętał ten obraz do końca życia. Zrobiło się nagle bardzo cicho, a wszyscy przestali jeść i popatrzyli po sobie.

– Pewnie coś wysadzają na Wheeler Field – powiedział ktoś niepewnie.

– Słyszałem, że tam oczyszczają teren pod nowy pas startowy dla myśliwców – potwierdził ktoś inny.

To najwyraźniej zadowoliło wszystkich. Zabrali się znowu do jedzenia. Warden, zwracając do izby obsługi kuchennej, dosłyszał śmiech, który zadźwięczał ponad

zgodniałym zgrzytaniem noży po porcelanie. Koniec ogonka przesuwiał się jeszcze obok dwóch pieców i Warden pamiętał, żeby zająć za stół wydających jedzenie kucharzy, kiedy tym razem brał porcję poza kolejką, bo nie chciał, żeby się to rzucało w oczy.

Wtedy rozległa się druga eksplozja. Dosłyszał ją zbliżającą się z daleka pod ziemią, a potem buchnęła, nim zdążył się ruszyć, aż zabrzęczały kubki i talerze w zlewach i na suszarkach, i znowu odpłynęła, i słyszał, jak się oddalała ku północy, w stronę pola futbolowego dwudziestego pierwszego piechoty. Obaj pomocnicy kucharza patrzyli na niego.

Obrócił się, by postawić swój talerz na najbliższym wolnym miejscu, trzymając go ostrożnie obiema rękami, żeby się nie stłukł, i jednocześnie gratulując sobie przytomności umysłu, po czym obrócił się ku jadalni, ciągle obserwowany przez tamtych dwóch z obsługi kuchennej.

Ponieważ pod talerzem nie było nic, więc upadł na podłogę i rozbił się wśród milczenia, ale nikt tego nie dosłyszał, bo trzecia fala wybuchu już dosięgła kantyny i była prawie przy nich. Przetoczyła się pod ziemią i wszystko zadźwięczało, gdy Warden wracał do pooficerskiego stołu.

– Zaczęło się – powiedział ktoś bardzo prosto.

Warden spostrzegł, że patrzą sobie ze Starkiem w oczy. W twarzy Starka nie było nic poza leniwym, odprężonym, spokojnym wyrazem opilstwa, i Warden poczuł, że i w jego twarzy nie może być nic niezwykłego. Rozchylił wargi i pokazał zęby w uśmiechu, a Stark ułożył usta w taki sam uśmiech. Nadal patrzyli sobie w oczy.

Warden chwycił swój kubek kawy w jedną rękę, a butelkę mleka w drugą i przez siatkowe drzwi wybiegł na galkryjkę. Dalsze drzwi, te od świetlicy, były już tak zatłoczone, że nie zdołałby się przecisnąć. Pobiegł galeryjką, skręci! w korytarz prowadzący na ulicę i prześcignął wszystkich z wyjątkiem paru. Kiedy przystanął i obejrzał się, zobaczył że Pete Karelsen, „Wódz” Choate i Stark są tuż za nim. „Wódz” Choate trzymał w jednej ręce talerz z naleśnikami, a w drugiej widelec. Nabrał do ust duży kęs. Warden obrócił się i łyknął trochę kawy.

Na dworze, ponad drzwiami, dźwigał się grzybem w niebo ogromny, czarny słup dymu. Ludzie cisnęli się do drzwi wypychając stojących w przedzie na ulicę. Prawie każdy przybiegł ze swoją butelką mleka, aby mu jej nie ukradli, a paru przyniosło i kawę. Warden nie mógł dojrzeć nic więcej ze środka ulicy, niż widział z jej skraju – tylko ten sam ogromny słup czarnego dymu wzbijający się w niebo nie opodal lotniska Wheeler Field. Napił się kawy i zerwał kapsel z butelki mleka.

– Daj trochę kawy – odezwał się za nim Stark martwym głosem i nadstawił kubek. – Moja się skończyła.

Warden obrócił się, by podać mu kubek, i w tej chwili wysoki, chudy, rudowłosy chłopak, którego przedtem nie widzieli, przybiegł ku nim ulicą, z rudymi włosami rozwianymi od pędu, nieledwie tykając brody kolanami za każdym susem. Wydawało się, że zaraz runie na wznak.

– Co się dzieje, rudy? – ryknął do niego Warden. – Co się stało? Czekaj! Gdzie lecisz?

Rudowłosy chłopak pognął ze wszystkich sił dalej, łypnąwszy na nich biało oszalałymi oczami.

– Japońce bombardują Wheeler Field! – wrzasnął przez ramię. – Japońce bombardują Wheeler Field! Widziałem czerwone koła na skrzydłach!

Pędził dalej środkiem ulicy, i nagle tuż za nim nadleciał potężny warkot, coraz silniejszy i silniejszy, a potem znad drzew wyprysnął nagle samolot.

Warden, trzymając jeszcze butelkę mleka przy ustach, patrzył wraz z resztą, jak nadlatywał, i widział dwa bliźniacze, czerwone płomyki migocące u jego dzioba. Samolot nadleciał, zniżył się, poderwał do góry i zniknął, a asfaltowe płyty chodnika u stóp Wardena rozorała długa, kręta krecha przecinająca krawężnik, z trawy podniosły się kłębki kurzu, zaś cementowa zaprawa na murze rozpruła się aż do dachu i z powrotem po ścianie, przez trawę i przez ulicę, długą, esowatą linią.

Wiedziona spóźnionym odruchem ciżba runęła falą z powrotem do drzwi, kiedy samolot już zniknął, a potem zawróciła, znów wypychając na ulicę tych, którzy stali na przedzie.

Ponad ulicą, między drzewami, Warden dostrzegł inne samoloty w pobliżu słupa dymu. Połyskiwały srebrnie jak lusterka. Niektóre zaczęły nagle rosnać. Bolał go goleń w miejscu, gdzie trafił wyrwany kawałek chodnika.

– Jazda, durne pierdoły! – wrzasnął. – Do środka! Chcecie, żeby wam dupę odstrzelili?

Dalej w ulicy, na środku chodnika, leżał rozciągnięty rudowłosy chłopiec, cichy, z szeroko otwartymi oczyma i rozrzuconymi włosami. Rozryta na asfalcie linia biegła do niego, potem za nim po drugiej stronie i wreszcie się urywała.

– Widzicie? – ryknął Warden. – To nie ćwiczenia, to na serio. Tamten używa prawdziwych pocisków.

Tłum cofnął się niechętnie z powrotem do drzwi świetlicy. Ale któryś z żołnierzy podbiegł do muru, począł dłubać w jednej z dziur scyzorykiem i wrócił z kulą. Był to kaliber 50. Potem drugi wybiegł na ulicę i podniósł coś, co okazało się trzema otwartymi metalowymi złączami. W środku tkwił jeszcze nabój. Powszechny ruch ku świetlicy ustał.

– Patrzcie! To sprytne – powiedział ktoś. – A nasze samoloty wciąż jeszcze używają

parcianyich taśm do cekaemów i muszą je wozic z powrotem do domu!

Obaj zaczęli pokazywać wszystkim dokoła swoje znaleziska. Kilku innych pośpiesznie wybiegło na ulicę.

– Będę miał fajną pamiątkę – powiedział z zadowoleniem ten, który znalazł kulę. – Pocisk z japońskiego samolotu w dniu wybuchu wojny.

– Oddaj mi kawę, do cholery! – krzyknął Warden do Starka. – I po-móż mi eagnać tych bałwanów do środka!

– Co mam robić? – zapytał „Wódz” Choate. Wciąż trzymał talerz i widelec i gryzł w podniecieniu ogromny kęs.

– Pomóż mi zawrócić ich do środka! – huknął Warden.

Inny samolot, którego czerwone koła na skrzydłach były wyraźnie widoczne, wyśliznął się, strzelając, zza drzew i zaoszczędził mu kłopotu. Dwaj żołnierze szukający na ulicy metalowych złączy przygnali bez tchu. Tłum wlał się falą przez drzwi i pozostał w środku. Samolot przemknął nad nimi i na jedno mgnienie dojrzeli w nim wyraźnie głowę w hełmie i kwadratowych okularach na skośnych oczach, długi szalik, trzepoczący się za nim i grymas na twarzy, gdy przelatywał niby przeźrocze rzucone krótko na ekran.

Warden, Stark, Pete i „Wódz” przyskoczyli, kiedy tłum znowu zaczął cisnąć się na dwór, i zagroziwszy przejście zapędzili go z powrotem do świetlicy.

Tłum kotłował się z oburzeniem w małej świetlicy, wszyscy gadali w podniecieniu. Stark stanął twardo w progu mając po bokach Pete'a i „Wodza”. Warden przełknął resztę kawy, postawił kubek na stojaku do pism, przepchnął się na drugi koniec salki i wlażł na stół pingpongowy.

– W porządku, w porządku, ludzie. Uspokójcie się. Uspokójcie! To tylko wojna. Jeszczeście nigdy nie byli na wojnie?

Słowo „wojna” wywarło odpowiednie wrażenie. Zaczęli się wzajemnie nawoływać, żeby zamilknąć i słuchać.

– Każdy ma teraz iść na górę do swojej pryczy i tam czekać – powiedział Warden. – Wszyscy zameldują się u swoich dowódców drużyn. Dowódcy drużyn mają trzymać ludzi w kupie przy pryczach, dopóki nie przyjdzie rozkaz, co robić.

Podziemne wstrząsy toczące się od lotniska Wheeler Field stały się już czymś zwykłym. Poprzez nie usłyszeli samolot, który przelatywał z hukiem motoru i grzechotem karabinów maszynowych.

– Służbowi otworzą stojaki na karabiny, każdy weźmie swój karabin i będzie go pilnował. Ale zostać wewnątrz, przy pryczach! To nie manewry. Zaczniecie latać po ulicy, to wam strzelą w dupę. A nic nie pomożecie. Chcecie być bohaterami, to będziecie jeszcze mieli

okazję od dzisiaj. Zanim dolecimy do naszych pozycji na plażach. Japońce pewnie już wam będą siedziały na karkach. Nie wychodzić na galeryjki. Siedzieć w środku. Każdego dowódcę drużyny czynię odpowiedzialnym za to, żeby utrzymał swoich ludzi w sali. Jeżeliby musiał użyć kolby, niech wali.

Rozległ się pomruk pełnego oburzenia protestu.

– Słyszeliście, co powiedziałem! – huknął Warden. – Chcecie pamiątek, to je odkupcie od wdów po tych, co wylecą ich szukać. Jeżeli przyłapię któregoś na bieganiu po dworze, sam osobiście dam mu po łbie, a potem dopilnuję, żeby poszedł pod sąd wojenny.

Znowu rozległ się pomruk oburzenia i protestu.

– A jak te skubańce nas zbombardują – zawołał ktoś.

– Jak usłyszycie zlatującą bombę, możecie sobie pryskać w krzaki – odparł Warden. – Ale dopiero wtedy. Nie myślę, żeby bombardowali. Jakby mieli nas bombardować, to już by zaczęli. Prawdopodobnie zrzucają wszystkie bomby na lotnisko i na Pearl Harbor.

Znowu zabrzmiał oburzony chór głosów.

– Taaak – krzyknął ktoś. – A jak nie?

– To już wasz zasrany pech – odparł Warden. – Jeżeli zaczną bombardować, wszyscy walą na dwór, na zewnątrz, nie na dziedziniec – i rozpraszają się z daleka od dużych budynków.

– To nam wiele nie da, jeżeli już spuszczą którąś na dach! – zawołał ktoś.

– Dobra – huknął Warden. – Dość gadaniny. Jazda! Tracimy czas. Dowódcy drużyn, prowadzić ludzi na górę. Strzelcy, którzy mają przydzielone karabiny automatyczne, dowódcy plutonów i starsi podoficerowie zameldować się u mnie.

Kaprale i sierżanci zaczęli nawoływać ludzi, którzy stopniowo jęli wypływać korytarzem na schody. W górze przeleciał następny samolot. I jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Potem jakby trzy naraz. Dowódcy plutonów, karabiniarze od automatów i starsi plutonów przepchali się do stołu pingpongowego, z którego zeskoczył Warden.

– Co mam robić, szefie? – zapytał Stark. Na twarzy wciąż jeszcze miał ten sam wyraz tępej, stanowczej odmowy – niby żołądek stanowczo odmawiający przyjęcia pokarmu – który malował się na niej w jadalni. – Co z obsługą kuchni? Jestem dosyć zalany, ale mogę strzelać z automatu.

– Bierz dupę w troki, leć do kuchni ze wszystkimi ludźmi i zaczynaj się pakować – powiedział Warden patrząc na niego. Mocno potarł twarz dłonią. – Przeniesiemy się na plażę, jak tylko to się trochę uspokoi, i chcę, żeby kuchnia była spakowana i gotowa do drogi. Pełne oporządzenie polowe. Piece i wszystko. A tymczasem postaw na ogniu duży kocioł kawy. Weź ten największy, jaki masz, numer osiemnaście.

– Rozkaz – powiedział Stark i ruszył do drzwi jadalni.

– Czekaj – wrzasnął Warden. – Lepiej nastaw dwa. Dwa największe, jakie masz. Będzie nam tego potrzeba.

– Rozkaz – powtórzył Stark i wyszedł. Jego głos nie był tępy; jego głos był rzeński. Tylko twarz miała otepiały wyraz.

– A wy, chłopaki... – zaczął Warden i widząc ich oczy przerwał, i znowu potarł twarz. Nie pomogło. Gdy tylko przestał trzeć, twarz stężała mu na powrót niby kapelusz polowy raz ufasonowany w pewien sposób.

– Karabiniarze od automatów zameldują się natychmiast w magazynie, pobiorą swoją broń i wszystkie załadowane magazynki, jakie znajdą, i pójdą na dach. Jak zobaczycie japoński samolot, strzelajcie do niego. Nie przejmować się marnowaniem amunicji. Pamiętać, żeby brać duże wyprzedzenie. To wszystko. Odmaszerować.

A co do reszty... – powiedział Warden, gdy karabiniarze oddalili się biegiem – co do was, chłopcy. Pierwsza rzecz. Najważniejsza rzecz. Każdy dowódca plutonu jest osobiście odpowiedzialny przede mną za dopilnowanie, żeby wszyscy ludzie pozostali w środku, z wyjątkiem tych karabiniarzy na dachu. Strzelec może działać przeciwko nisko lecącemu myśliwcowi mniej więcej tyle co chłopak z procą. A kiedy zajmiemy pozycje na plaży, będzie nam potrzebny każdy człowiek, którego zdołamy ściągnąć.

Nie chcę tu żadnych strat przez wybieganie na dwór i pukanie z karabinów do samolotów. Ani przez szukanie pamiątek. Ludzie mają siedzieć w środku. Zrozumiano?

Rozległ się chór roztargnionych przytakiwań. Większość głów przekrzywiała się na bok nasłuchując samolotów, które ciągle przelatywały pojedynczo, po dwa, po trzy. Dziwnie było widzieć, jak kiwali przekrzywionymi tak głowami. Warden miał chęć wybuchnąć podnieconym śmiechem.

– Karabiny automatyczne będą na dachu – powiedział. – Nastrzelają się tyle, ile im zdołamy dostarczyć amunicji. Każdy inny tylko by przeszkadzał.

– A moje cekaemy, Milt? – zapytał go Pete Karelsen.

Pełen swobody spokój w głosie starego Pete'a był tak zaskakujący, że Warden zamilkł. Pijany czy nie, Pete zdawał się być jedynym, który nie czuł żadnego napięcia, i Warden przypomniał sobie jego dwa lata na froncie we Francji.

– Według twojego uznania, Pete – odpowiedział.

– Wezmę jeden. Nie będą mogli naładować taśm dosyć prędko, żeby używać więcej niż jednego. Zabiorę ze sobą Majkowicza i Grenellego, żeby mi pomogli.

– Czy na tych trójnogach można podnosić lufę dosyć wysoko?

– Oprzemy trójnog na kominie – odparł Pete – i będziemy go przytrzymywali za nogi.

– Jak uważasz, Pete – rzekł Warden myśląc przez chwilę, jak wspaniale jest móc to powiedzieć.

– To chodźcie, wy dwaj – rzekł Pete nieomal znudzonym tonem do swoich dwóch dowódców półplutonu. – Weźmiemy cekaem Grenellego, bo na nim ostatnio pracowaliśmy.

– Pamiętajcie – zwrócił się Warden do pozostałych, kiedy Pete wyszedł ze swymi dwoma cekaemiarzami. – Ludzie mają siedzieć w środku. Obojętne, jak to zrobicie. Wasza rzecz. Ja będę na dachu z automatem. Jeżeli macie chęć przyłączyć się do zabawy, przyjdźcie też. W każdym razie ja tam będę. Ale zanim przyjdziecie na górę, upewnijcie się, że wasi ludzie nie będą wylazili na galeryjki.

– Po cholere! – odparł Liddell Henderson. – Teksańczyka nie będzie nosiło po żadnych dachach. Zostanę na dole z moimi ludźmi.

– Okej – powiedział Warden wymierzając weń wskazujący palec. – W takim razie dopilnujesz ładowania. Weź dziesięciu czy dwunastu ludzi, ilu się da, zabierz ich do magazynu i zasadź do ładowania magazynków do automatów i taśm cekaemowych. Będzie nam potrzebna cała amunicja, jaką mamy. Może ktoś jeszcze nie chce iść na górę?

– Ja zostanę z Liddellem – powiedział Champ Wilson.

– To będziesz zastępcą dowódcy drużyny ładującej. No, dobra, idziemy. Jeżeli ktoś ma butelkę, zabrać ją ze sobą. Ja biorę swoją.

Kiedy wyszli na ganek, zastali grupkę ludzi spierających się gwałtownie przed magazynem z młodszym sierżantem Malleaux.

– Guzik mnie to obchodzi – mówił Malleaux. – Takie mam rozkazy. Nie mogę wydać ostrej amunicji bez rozkazu podpisanego przez oficera.

– Kiedy nie ma nikogo z oficerów, ty idioto! – zaprotestował ktoś gniewnie.

– To nie będzie ostrej amunicji – oświadczył Malleaux.

– Oficerowie mogą nie przyjść do południa!

– Bardzo żałuję, chłopcy – odparł Malleaux. – Taki mam rozkaz. Porucznik Ross sam mi go wydał. Nie ma podpisanego rozkazu, nie będzie amunicji.

– Co tu się dzieje, do cholery? – zapytał Warden.

– On nie chce nam wydać amunicji, szefie – odpowiedział któryś.

– Zamknął magazyn i schował klucze do kieszeni – dodał inny.

– Dawaj te klucze – rzekł Warden.

– Takie mam rozkazy, panie sierżancie – powiedział Malleaux potrząsając głową. – Muszę mieć rozkaz podpisany przez oficera, żeby móc wydać żołnierzowi ostrą amunicję.

Pete Karelsen wyszedł z kuchni i ruszył galeryjką ocierając usta wierzchem dłoni. Stark zniknął za siatkowymi drzwiami chowając butelkę do tylnej kieszeni pod fartuchem.

– Co się stało, psiakrew? – zapytał wesoło Pete swoich dwóch cekaemiarzy.

– Nie chce nam wydać amunicji – odparł z oburzeniem Grenelli.

– No, wiecie... rany boskie! – rzekł Pete z niesmakiem.

– Takie mam rozkazy, sierżancie – powtórzył nieugięcie Malleaux.

Znad południowego rogu dziedzińca nadleciał strzelając samolot; pociski smugowe sięgały nieubłaganie pod galeryjkę i wyżej po ścianie, kiedy przewalał się nad dachami. Grupka ludzi dała nura ku schodom.

– Pierdolę twoje rozkazy! – ryknął Warden. – Dawaj mi te cholerne klucze!

Malleaux obronnym ruchem włożył rękę do kieszeni.

– Nie mogę tego zrobić, panie sierżancie. Mam wyraźny rozkaz od samego porucznika Rossa.

– Okej – powiedział radośnie Warden. – „Wodzu”, wywalaj drzwi. – A do Malleaux: – Zjeżdżaj z drogi.

Choate oraz dwaj cekaemiarze, Majkowicz i Grenelli, cofnęli się, by rąbnąć z rozbiegu w drzwi, przy czym masywny „Wódz” górował nad dwoma drobnymi cekaemiarzami.

Malleaux stanął przed drzwiami.

– Tego pan nie może zrobić, sierżancie – powiedział do Wardena.

– Jazda – uśmiechnął się z satysfakcją Warden do „Wodza”. – Wywalajcie. On zaraz zjeździe wam z drogi.

Po przeciwległej stronie dziedzińca, na dachu budynku dowództwa, ukazało się dwóch ludzi.

„Wódz” Choate i dwaj cekaemiarze rzucili się na drzwi magazynu jak trzy tarany. Malleaux odskoczył w bok. Drzwi chrupnęły potężnie.

– Pan będzie za to odpowiadał, sierżancie – rzekł Malleaux do Wardena. – Ja robiłem, co mogłem.

– Dobra – odparł Warden. – Dopilnuję, żebyś dostał medal.

– Niech pan pamięta, że pana ostrzegałem, sierżancie – powiedział Malleaux.

– Spierdalaj mi z drogi! – huknął Warden.

Trzeba było trzech prób, żeby na tyle obluzować śruby w drewnie, aby otworzył się zamek Yale. Warden wpadł pierwszy do środka, a za nim obydwaj cekaemiarze. Majkowicz zaczął szperać w stosie pustych pudełek od taśm szukając pełnych, a Grenelli zdjął miłośnie swój cekaem ze stojaka. Teraz pokazywali się już ludzie na dachach trzeciego i pierwszego batalionu, ażeby stawić czoło samolotom, które nadlatywały kładąc się na skrzydła najpierw wzdłuż jednego, potem drugiego ramienia swych wydłużonych ósemek.

Warden chwycił ze stojaka karabin automatyczny Browninga i podał go dalej wraz z

pełnym workiem magazynków. Ktoś go złapał i pognął na dach, a inny przyskoczył po następny. Warden podał trzy automaty ze stojaka, każdy z pełnym workiem magazynków, zanim uświadomił sobie, co robi.

– Cholera z tym – powiedział do Grenellego, który rozpinał sprzączkę na trójnogu biegnąc do drzwi. – Mógłbym tak tutaj sterczeć i wydawać je przez cały dzień, i w ogóle nie dostać się na dach.

Złapał karabin maszynowy i worek magazynków dla siebie i przepchnął się przez drzwi zapamiętując, że musi porządnie dać w dupę temu Malleaux. Był tam tuzin worków z załadowanymi magazynkami, pozostałymi po ćwiczeniach strzeleckich jeszcze w sierpniu. Już całe miesiące temu powinny były zostać rozładowane i nasmarowane.

Na zewnątrz przystanął obok Hendersona. Pete, Grenelli i Majkowicz już znikali na zakręcie schodów z cekaemem oraz ośmioma pudełkami taśm amunicyjnych.

– Włóż tam i wydawaj broń – rozkazał Warden Hendersonowi. – I bierz się do ładowania magazynków. I taśm. Niech Wilson leci na górę po ludzi. Jak tylko coś załadujecie, przysłać z tym paru na dach. Trzech przydziel do taśmy, resztę do magazynków.

– Tak jest – odpowiedział nerwowo Henderson.

Warden pobiegł ku schodom. Po drodze zboczył do swojego pokoju, żeby zabrać pełną butelkę, którą trzymał w kufierku na czarną godzinę.

W sali sypialnej ludzie siedzieli na pryczach, w hełmach, trzymając puste karabiny, pogrążeni w czarnej rozpacz. Podnieśli z nadzieją głowy i zaczęli do niego wołać, kiedy przechodził:

„Co jest, panie sierżancie?“, „Co się dzieje, szefie?“, „Idziemy na dach?“, „Gdzie jest amunicja, do cholery?“, „Na diabła te karabiny jak nie ma amunicji?“, „Też zajęcie, siedzieć na pryczy z pustym karabinem i bez naboju, jak człowiekowi w dupę strzelają!“, „Cośmy to, żołnierze czy skauci?“

Inni, ci którzy przespali śniadanie i teraz wstawali ze skołtunionymi włosami i wytrzeszczonymi oczyma, przestali się ubierać i z nadzieją podnieśli głowy, żeby posłuchać, co powie.

– Wkładać mundury polowe – rzekł Warden zdając sobie sprawę, że musi coś powiedzieć. – Pakować tornistry – dodał twardo, żelaznym głosem. – Za kwadrans wymarsz. Pełne oporządzenie polowe.

Kilku ludzi cisnęło ze złością karabiny na prycze.

– To co pan sierżant robi, do cholery, z tym automatem? – zawołał ktoś.

– Mundury polowe – powtórzył bezlitośnie Warden i ruszył dalej przez salę. – Pełne oporządzenie polowe. Dowódcy drużyn, ruszyć tych ludzi.

Dowódcy drużyn zaczęli z niesmakiem napędzać ludzi do roboty.

W drugich drzwiach prowadzących na zewnętrzną galeryjkę, Warden przystanął. W kącie, pod wolną pryczą, na którą narzucono trzy dodatkowe materace, leżał na cementowej podłodze młodszy sierżant Turp Thornhill z Missisipi, w bieliźnie, z hełmem na głowie, tuląc do siebie pusty karabin.

– Zaziębisz się, Turp – powiedział Warden.

– Nie chodź tam, szefie! – zawołał błagalnie Turp. – Zabiją cię! Wszystkich wystrzelają! Zginiesz! Nie będziesz żył! Nie idź tam!

– Lepiej włoż portki – powiedział Warden.

W jego pokoju wychodzącym na galeryjkę cała podłoga była zasłana odłamkami szkła, a ścieg dziur od pocisków przebiegał przez wieko kuferka i dalej przez bok i wierzch kuferka Pete'a. Pod kuferkiem Pete'a stała kałuża, a w powietrzu unosiły się mocne wyziewy whisky. Klnąc dziko Warden otworzył swój kuferek i odrzucił wieko. Leżąca wewnątrz książka była ukośnie przewiercona przez sam środek. Plastikowe pudełko maszynki do golenia było zmiażdżone, a sama stalowa maszynka zgięta nieomal we dwoje. Wściekle wyrwał szufladkę kuferka i cisnął ją na podłogę. Na samym dnie, na podściółce ze zwiniętych skarpet i bielizny, leżały dwa pociski po obu stronach brązowej ćwierćgalonowej butelki.

Butelka była nietknięta.

Warden wpuścił obydwie kule do kieszeni, ostrożnie wyjął nie stłuczoną butelkę i zajrzał do szafki ściennej, by sprawdzić, czy jego patefon i płyty są nienaruszone. Potem grzmotnął na podłogę między odłamki szkła, trzymając ostrożnie butelkę pod sobą, gdyż ponad dziedzińcem przeleciał na wschód następny samolot.

Kiedy przebiegał przez salę sypialną, ludzie zaczęli już pakować ze złością tornistry polowe. Wszyscy oprócz Turpa Thornhilla, który nadal leżał w bieliźnie i hełmie pod pryczą z czterema materacami oraz szeregowca Ike'a Galowicza, który leżał na swojej z karabinem u boku i głową schowaną pod poduszkę.

Na pustym pierwszym piętrze, z którego ludzie znosili pośpiesznie na dół pełne oporządzenie polowe, aby spakować tornistry na południowym końcu galeryjki, obok latryny, Readall Treadwell wlaził z komórki po drabinie na dach, niosąc karabin automatyczny Browninga i szczerząc zęby od ucha do ucha.

– Pierwszy raz w życiu – wrzasnął w dół – kropnę sobie nareszcie z automatu, jak rany! Nigdy bym nie uwierzył.

Zniknął w otworze, a Warden ruszył za nim i wydostał się na wierzch. Na odcinku dachu należącym do kompanii G większość podoficerów czekała na nieprzyjaciela za jednym z czterech kominów albo klęcząc w rogu, z automatami opartymi na wysokim do pachwin

obmurowaniu, bądź na wierzchu komina, z wylotami luf skierowanymi chciwie w niebo i z butelkami whisky ustawionymi pod samym murkiem. Reedy Treadwell, który nie miał butelki, właśnie układał się z radością obok „Wodza” Choate'a, który ją miał. Dwaj podoficerowie przesadzili obmurowanie dzielące ich od dachu kompanii F i stanęli za dwoma kominami. Kilku podoficerów kompanii F wyłaziło właśnie na dach przez klapę. Podeszli i zaczęli kłócić się gwałtownie z tamtymi z kompanii G domagając się miejsca przy swoich kominach. Wszędzie na dachach drugiego, pierwszego i trzeciego batalionu pojawiali się ludzie wyłazący z zapałem przez otwory, niosący automaty, karabiny, pistolety, a tu i ówdzie pojedynczy cekaem. Wśród nich widać było paru sierżantów, lecz jedynymi szeregowcami na wszystkich dachach byli Readall Treadwell i dwaj karabiniarze z kompanii G.

– Puste magazynki zrzucić na dziedziniec kompanii! – krzyknął Warden idąc po dachu. – Podać dalej! Puste magazynki zrzucić na dziedziniec! Ładowacze je pozbierają. Puste magazynki zrzucić...

Trzy samoloty w szyku o kształcie litery V nadleciały od południowego wschodu kładąc się na skrzydła i strzelając co siłą, a oczekujący żołnierze wrzasnęli radośnie, jak banda włóczęgów zasiadających do pierwszego od lat obfitego posiłku. Cała ta artyleria zgromadzona na dachach rozpętała ogłuszający ogień, aż zdawało się, że ziemia staje w miejscu. Ustała też kłótnia na dachu kompanii F, a obie strony dały nura za ten sam komin. Warden obrócił się bez namysłu, tak jak stał, i począł strzelać z ramienia, nieprzerwanie, ściskając mocno butelkę między kolanami.

Duży karabin automatyczny kopał go w ramię serią błyskawicznych odrzutów.

Po prawej ręce Wardena stojący za kominem Pete Karelsen radośnie grzmiał ze swego małego, chłodzonego powietrzem cekaemu, podczas gdy Majkowicz i Grenelli, uczepiwszy się zajadle wierzgających nówek opartego o kamień trójnoga, podskakiwali jak dwie piłki na nitkach.

Samoloty przewaliły się górą nietknięte i położywszy się na skrzydła zawróciły po drugim ramieniu swojej wielkiej ósemki. Wszyscy, przerwawszy ogień, znowu zawrzaśli radośnie.

– O rany Boga! – ryknął „Wódz” Choate swoim basem, który zawsze brał niezawodnie ostatnie tony marsza pułkowego. – Nie ubawiłem się tak, odkąd babci dostał się cycek w wyżymaczkę!

– Gówno! – powiedział cicho, z niesmakiem stary Pete za plecami Wardena. – Leciał pod dużym kątem. Za daleko go prowadziłem.

Warden opuścił automat, a brzuch i gardło ścisnęło mu pragnienie wyrzucenia z siebie donośnego, chrapliwego, bezrozumnego krzyku czystej radości. „To mój oddział! To moi

chłopcy!” Wydobyl spomiedzy kolan butelkę i pociagnął łyk, który nie był łykiem, ale wyrazem uczuć. Whisky zapiekła go w gardle dziko, rozkosznie.

– Hej, Milt! – zawołał do niego Pete. – Możesz tu do nas przyjść, jeżeli chcesz. Mamy dość miejsca dla ciebie i twojej butelki.

– Już idę! – odkrzyknął Warden. Do jego uszu zaczynał stopniowo docierać dźwięk trąbki grającej gdzieś uparcie ten sam sygnał wciąż od nowa. Podszedł do krawędzi dachu od strony wewnętrznej i wyjrzał na dół przez obmurowanie.

W rogu dziedzińca, przy megafonie, wśród tych wszystkich ludzi biegnących tam i z powrotem, trębacz grał sygnał do ataku.

– Co ty wyprawiasz, do cholery? – ryknął Warden.

Trębacz przerwał, podniósł głowę i wzruszył bezradnie ramionami.

– A bo ja wiem – odkrzyknął. – Rozkaz pułkownika. – Począł trąbić znowu.

– Idą, Pete! – huknął Grenelli. – Tu leci jeden! – Jego głos przeszedł z podniecenia w falset.

Był to pojedynczy samolot nadlatujący od północno-wschodu po dolnym ramieniu ósemki. Wszystkie karabiny na dachach zagadały, by mu zagrozić drogę, stapiając się w jeden ogłuszający ryk, podobny do wrzasku linczującego tłumu. Na dole poznikali biegnący ludzie, a trębacz przestał grać i popędził pod galeryjkę kompanii E. Warden zakręcił kapsel butelki, podbiegł skulony do komina Pete'a i obrócił się, aby strzelać, znów bez podpórki. Jego seria buchnęła krechami pocisków smugowych dość daleko za szybko mknącym samolotem, który przeleciał górą i zniknął. Trzeba więcej zakładać.

– Widziałeś coś podobnego? – odezwał się Pete tragicznym głosem. – Wszystko poszło za nim.

– Słuchaj, Majkowicz – powiedział. – Odsuń się trochę i zrób szefowi miejsce, żeby mógł strzelać z oparcia na rogu komina. Butelkę możesz postawić tutaj, Milt. Tutaj – powiedział. – Daj, to ją wezmę.

– Najpierw sobie golnij – odparł radośnie Warden.

– Okej. – Pete otarł rękawem uwalane sadzą usta. Kiedy się uśmiechnął, Warden dostrzegł plamy sadzy na jego zębach. – Widziałeś, co zrobili z naszym pokojem?

– Widziałem, co zrobili z twoim kuferkim – odparł Warden. Z dołu doleciał znowu dźwięk trąbki grającej sygnał do ataku.

– Słyszysz tego głupiego durnia? – zapytał Warden. – Rozkaz pułkownika Delberta.

– Nie myślałem, że pułkownik wstanie tak wcześnie – powiedział Pete.

– Stary Jake musiał na początku służyć w kawalerii – rzekł Warden.

– Słuchaj no, Pete – odezwał się Grenelli. – Kiedy nareszcie dasz mi chwilę

postrzelać?

– Zaraz, zaraz – odparł Pete. – Niedługo.

– Puste magazynki zrzucić na dziedziniec kompanii, chłopaki! – krzyknął Warden w stronę dachu. – Puste magazynki zrzucić na dziedziniec! Podaj dalej!

Wzdłuż dachu ludzie ryknęli jeden do drugiego, że puste magazynki trzeba zrzucić na dziedziniec, po czym zaraz poczęli gromadzić je obok siebie.

– Cholera jasna! – huknął Warden, wylazł zza komina i przeszedł za nimi. – Zrzuć magazynki, Frank, szlag by cię trafił. Zrzuć swoje, Teddy.

– No, Pete – powiedział za nim Grenelli. – Dajże mi teraz na chwilę, dobrze?

– Ja mam pierwszeństwo – odezwał się Majkowicz.

– A ucho – odparł Grenelli. – To mój cekaem, nie?

– Zamknijcie się obaj – rzekł Pete. – Każdy będzie miał okazję. Już niedługo.

Warden stał za „Wodzem” i Reedym Treadwellem przy wewnętrznym skraju dachu, kiedy następne dwa nadleciały podobnie jak tamten pojedynczy, od północno-wschodu, w szyku schodowym, więc Warden przypadł obok. Na dole trębacz przestał trąbić i znowu pobiegł pod galeryjkę kompanii E.

Na wprost Wardena, na dachu budynku dowództwa, było tylko dwóch ludzi. W jednym rozpoznał starszego sierżanta „Dużego Johna” Deterlinga, trenera futbolowego. „Duży John” miał chłodzony wodą cekaem bez trójnoga, który oparł sobie w zagięciu lewej ręki i otworzył ogień prawą. Kiedy dał serię, aż się zatoczył po dachu od odrzutu.

Rozmigotane cekaemy dziobowe nadlatujących samolotów przeorały dwoma szerokimi na stopę, wzbijającymi kurz pręgami dziedziniec, a następnie ścianę budynku i dach kompanii D, niczym koleinami wiejskiej drogi biegnącej przez pastwisko. Warden nie mógł do nich strzelać, bo tak się śmiał z „Dużego Johna” Deterlinga stojącego na dachu dowództwa. Tym razem „Duży John” o mały włos się nie wywalił i nie pokropił kulami dachu. Jego towarzysz roztropnie schował się za komin przed nim, a nie przed samolotami.

– Patrz na tego łobuza – powiedział Warden, kiedy zdołał opanować śmiech.

Na dole ładowacze wyskoczyli, aby podczas chwilowej przerwy pozbierać magazynki, a trębacz pobiegł z powrotem do megafonu.

– Ja go obserwuję – wyszczerzył zęby „Wódz”. – Drań jest pijany jak bela. Był wczoraj u pani Kipfer, kiedy tam zaszliśmy z Pete'em.

– Mam nadzieję, że jego żona się nie dowie – powiedział Warden.

– Powinien dostać medal – rzekł „Wódz” ciągle się śmiejąc.

– Pewnie dostanie – uśmiechnął się Warden.

Jak okazało się później, dostał rzeczywiście. Starszy sierżant John L. Deterling:

Srebrna Gwiazda za bezprzykładne bohaterstwo w akcji.

Następna trójka w szyku o kształcie litery V pojawiła się mknąc od południowo-wschodu i Warden zawrócił i pognął do komina Pete'a, gdy wszyscy otwierali ogień z radosnym wrzaskiem. Oparłszy karabin automatyczny na dłoni położonej na brzegu komina, strzelał i patrzył, jak jego pociski smugowe giną w otaczającej samolot czołowy chmurze innych takich pocisków skraplających mu dziób, miejsce pilota i usterzenie ogonowe. Samolot zatrząsł się jak człowiek usiłujący wyskoczyć spod zimnego prysznica, a pilot poderwał się dwukrotnie na siedzeniu, jak gdyby był przekrępowany do gorącego pieca. Widzieli, że wyrzucił bezradnie w górę ręce, jakby w daremnym usiłowaniu odepchnięcia czegoś, powstrzymania tego gradu, który szył w niego. Rozległ się przeciągły okrzyk triumfu. O sto jardów za dziedzińcem, podczas gdy wszyscy patrzyli w wyczekującym milczeniu, mały samolot zaczął opadać na skrzydło i ześliznął się po długim, niewidzialnym zboczu powietrza na jedną z bramek na boisku futbolowym dziewiętnastego piechoty. Z dziedzińca wzbił się ogromny, radosny, sztubacki wrzask radości, hełmy poczęły wylatywać w górę, klepano się po plecach, jak gdyby własna drużyna wygrała w baseball z drużyną Notre-Dame.

A potem, gdy od północno-wschodu nadleciała nowa trójka, rzucono się opętańczo po hełmy.

– Kropnąłeś go, Pete! – ryknął Grenelli, którym miotał rozedrgany trójnog. – Kropnąłeś go!

– Cholera tam, kropnąłem – odparł Pete nie przestając strzelać. – Nikt się nigdy nie dowie, kto trafił tego faceta.

– Hej, Milt!

Podczas chwilowej pauzy krzyczał do niego od krawędzi dachu „Wódz” Choate.

– Hej, Milt! Ktoś ciebie woła z dołu.

– Już idę! – odkrzyknął Warden. Kiedy odbiegał, usłyszał za sobą błagalny głos Grenellego:

– Słuchaj, Pete, dajże mi teraz na chwilę. Już masz jednego.

– Za minutkę – odrzekł Pete. – Za minutkę. Chcę jeszcze raz spróbować.

Warden wyjrzawszy przez krawędź zobaczył stojącego na dziedzińcu porucznika Rossa, który spoglądał w górę, z wielkimi workami pod oczyma, w czapce polowej na nie uczesanych włosach, z nie zapiętymi spodniami, nie zawiązanymi sznurowadłami u butów i rozpiętym pasem. Nie opuszczając głowy zaczął zapinać rozporek.

– Sierzancie, co pan tam robi na górze, do diaska? – wrzasnął. – Dlaczego pan nie jest tutaj i nie zajmuje się kompanią? Za niecałą godzinę ruszamy na plażę. Pewnie już tam się roi od Japończyków.

– Wszystko już załatwione! – odkrzyknął z dachu Warden. – Ludzie pakują w sali tornistry polowe.

– Ale musimy też przygotować do wymarszu kuchnię i magazyn, cholera jasna! – ryknął do niego porucznik Ross.

– Kuchnia też się pakuje! – odkrzyknął Warden. – Wydałem Starkowi rozkazy i już to robi. Powinien być gotowy za kwadrans.

– Ale magazyn... – zaczął krzyczeć porucznik Ross.

– Ładują dla nas taśmy i magazynki! – ryknął Warden. – Muszą tylko wynieść do ciężarówek te chłodzone wodą cekaemy, przeznaczone na plażę, dorzucić polowy warsztat naprawczy Levy i mogą jechać. A w kuchni robią kawę i sandwicze! Wszystko załatwione. Może by pan porucznik wziął automat i przyszedł tu do nas?

– Nie został już ani jeden! – krzyknął ze złością porucznik Ross.

– To kryj się pan do cholery, bo lecą! – wrzasnął Warden podniósłszy głowę.

Porucznik Ross dał nura przez galeryjkę do magazynu, w chwili gdy następny pojedynczy samolot nadleciał od południowego wschodu grząc cekaemami, a huczący parasol ognia wzbił się z dachów spowijając go ze wszystkich stron. Wydawało się niemożliwe, by mógł przelecieć nietknięty. Ale przeleciał.

Tuż za nim, ale lecąc prosto na północ wzdłuż Waianae Avenue i budynku dowództwa, pojawił się inny samolot, i parasol ognia przerzucił się na niego, nawet nie zwalniając spustów.

Zbiornik benzyny buchnął natychmiast płomieniami, które ogarnęły cały kadłub, i samolot przekreślił się na prawe skrzydło, wciąż lecąc z najwyższą szybkością. Kiedy pokazał się jego brzuch i spód lewego skrzydła, ujrano na nim wyraźnie w jaskrawym słońcu granatowe koło z białą gwiazdą. A potem samolot runął między drzewa, które urwały mu skrzydła, kadłub zaś, wciąż lecący z najwyższą szybkością, eksplodował w oczach wszystkich na domu jakiegoś nieszczęsnego żonatego oficera.

– To był nasz – powiedział Readall Treadwell ciekim, cichym głosem. – Ten był amerykański.

– Pech – rzucił Warden nie przestając strzelać do nowej dwójki nadlatującej od północno-wschodu. – Po co się, drań, tu pętał.

Kiedy japońska dwójka przemknęła nietknięta, Warden obrócił się i znowu obszedł dach mając w oczach ten bolesny wyraz człowieka uderzonego w twarz, który czasami miewał i który sprawiał, że wołano wtedy na niego nie patrzeć.

– Uważajcie, chłopcy – mówił. W jedną stronę dachu, w drugą stronę dachu. – Ten ostatni był nasz. Starajcie się uważać. Starajcie się im przyjrzeć, zanim zaczniecie strzelać. Te

głupie dumnie z Wheeler mogą tędy przelatywać. Więc teraz, po tym, starajcie się uważać. – W jego głosie było to samo bolesne napięcie co w oczach.

– Sierżant Warden! – ryknął z dołu porucznik Ross. – Psiakrew! Sierżant Warden!

Podbiegł do krawędzi dachu.

– Co się stało?

– Chcę pana tu mieć na dole, cholera! – wrzasnął porucznik Ross. Miał już zapięty pas i zawiązane sznurowadła i przyglądał palcami włosy pod czapką. – Musi mi pan pomóc przygotować kancelarię do wyjazdu! Nie ma pan żadnego interesu tam na górze! Proszę zejść!

– Zajęty jestem, do diabła! – krzyknął Warden. – Niech pan porucznik weźmie Rosenberry'ego. Przecież jest wojna, panie poruczniku!

– Wracam od pułkownika Delberta! – odrzyknął porucznik Ross. – Dał mi rozkaz, że mamy ruszać, jak tylko ten nalot się skończy!

– Kompania G jest gotowa do wymarszu! – huknął Warden. – A ja jestem zajęty! Niech pan porucznik powie temu cholernemu Hendersonowi, żeby nam podesłał na górę taśmy i magazynki.

Porucznik wbiegł na galeryjkę i po chwili wybiegł na powrót. Tym razem miał hełm na głowie.

– Powiedziałem mu! – krzyknął w górę.

– To niech pan powie Starkowi, żeby nam przysłał trochę kawy!

– Do jasnej cholery! – wściekł się porucznik Ross. – Co to jest? Piknik kompanijny? Proszę zejść, sierżancie! Jest mi pan potrzebny! Daję panu rozkaz! Zejść natychmiast! Słyszał pan? Rozkaz! Wszyscy dowódcy kompanii dostali osobiście od pułkownika Delberta rozkazy, żeby się przygotować do wymarszu w ciągu godziny!

– Słucham? – wrzasnął Warden. – Nie słyszę!

– Mówię, że wyruszamy w ciągu godziny!

– Co? – krzyknął Warden. – Co? Uwaga, znów lecą! Porucznik Ross pognał do magazynu, a dwaj ludzie, którzy przynieśli amunicję, schowali głowy z powrotem pod klapę w dachu.

Warden pobiegł skulony do komina Pete'a, oparł automat na jego krawędzi i wywalił serię w przelatującą trójkę w kształcie litery V.

– Dawajcie tu tę cholerną amunicję! – ryknął do tych, co się schowali pod klapę.

– Milt! – zawołał „Wódz” Choate. – Milt Warden! Chcą, żebyś zeszedł na dół.

– Powiedz, że nie możesz mnie znaleźć – odparł Warden. – Że poszedłem gdzie indziej.

„Wódz” kiwnął głową i przekazał to przez krawędź dachu.

– Nie mogę go znaleźć, panie poruczniku. Poszedł gdzie indziej. – Słuchał służbiście wychylony przez krawędź, po czym obrócił się do

Wardena. – Porucznik Ross kazał ci powiedzieć, że wymarsz w ciągu godziny.

– Nie możesz mnie znaleźć! – krzyknął Warden.

– Lecą! – zawołał Grenelli od trójnoga.

Nie wymaszerowali w ciągu godziny. Minęła prawie cała następna, nim nalot się skończył. A wyruszyli dopiero wczesnym popołudniem, w trzy i pół godziny po zakończeniu nalotu. Kompania G była gotowa, ale jako jedyna w całym pułku.

Warden pozostał na dachu, używając różnych podstępów, dopóki nalot się nie skończył. Jak się okazało, porucznik Ross siedział na dole w magazynie i pomagał ładować amunicję. Obrona ogniowa pułku zaliczyła sobie jeszcze jeden pewny, a dwa prawdopodobne zestrzały, które mogły być trafione przez dwudziestkę siódemkę i już schodziły w dół, kiedy przelatywały nad dziedzińcem. Stark z dwoma ludźmi z obsługi kuchennej przyniósł im osobiście kawę, a potem, jeszcze później, kawę i sandwicze. Z której to przyczyny Pete Karelsen przez wdzięczność dał mu na chwilę swój cekaem.

Kiedy się wszystko skończyło i zapanowała martwa cisza, której, rzekłbyś, nie zdołałby przeniknąć żaden odgłos, wypalili na dachu ostatniego papierosa, a potem, usmoleni, z zaczerwionymi oczami, radośnie zmęczeni i wyczerpani, zeszli niechętnie w to nowe pandemonium, które rozpętało się na dole, i wzięli się do pakowania plecaków polowych. Nikt nie został nawet draśnięty. Ale mieli wrażenie, że nie mogą wyrwać się z tej dzwoniącej w uszach ciszy. Nawet to pandemonium ruchu nie mogło przez nią przeniknąć.

Warden, zamiast pakować swój plecak, poszedł prosto do kancelarii. Przez trzy i pół godziny, dopóki wreszcie nie wyruszyli, siedział tam cały czas, szykując ją do wymarszu. Porucznik Ross, którego kompania była jedyną gotową przed czasem, zapomniał już o swoim gniewie, przyszedł i pomagał mu. Tak samo Rosenberry. Warden miał aż nadto czasu na spakowanie kancelarii. Natomiast nie zostało mu czasu na spakowanie własnego tornistra polowego ani przebranie się w polowy mundur. Albo jeżeli nawet miał czas, to o tym zapomniał.

Rezultat był taki, że musiał przez pięć dni sypiać bez koca w wozie sprzedawcy prażonej kukurydzy nad zatoką Hanauma i dopiero potem zdołał wrócić do Schofield po swoje rzeczy, i byłby chętnie przyjął nawet wełnianą koszulę mundurową. Nie rozumiał, jakim cudem, u licha, mógł o tym zapomnieć.

Kolejno ciężarówka wszystkich kompanii ustawiały się w dwóch rzędach przed koszarami i czekały. Jeden po drugim plutony żołnierzy wychodziły na dziedziniec i zasiadały

na tornistrach, z karabinami w rękach, i patrzyły na czekające ciężarówki. Pułk wymaszerowywał jako całość.

Żadna kompania nie jechała w to samo miejsce co inna. A po przybyciu na miejsce każda miała być odrębną, samodzielną jednostką. Jednakże kompania, która już była gotowa, nie wyruszyła osobno na swoją nadbrzeżną pozycję przed innymi, które jeszcze gotowe nie były. Pułk wymaszerowywał jako całość.

Wszędzie ciężarówki. Wszędzie żołnierze siedzący na swoich tornistrach. Dziedziniec tak się zappełnił ciężarówkami, że dżip pułkownika nie mógł się między nimi precysnąć. Wszędzie było tak pełno żołnierzy, że nawet adiutanci i gońcy pułkownika nie mogli się przez nich przedrzeć. Dużo było przeklinań i zniechęcenia. Pułk wymaszerowywał jako całość.

A w kancelarii kompanii G Warden pracując chichotał, kontent z siebie.

Raz, kiedy porucznik Ross wyszedł do magazynu, Maylon Stark wetknął głowę przez drzwi.

– Ciężarówka kuchenna jest załadowana i gotowa do odjazdu.

– Dobra – powiedział Warden nie podnosząc głowy.

– Chcę, żebyś wiedział, że, moim zdaniem, odwalileś cholernie fajną robotę – powiedział Stark niechętnie, przez zaciśnięte gardło. Miną ze dwie godziny, zanim którakolwiek inna kuchnia będzie gotowa, a znajdą się i takie, które pewnie zostaną, żeby się załadować, i dołączą później.

– Ty sam zrobiłeś dobrą robotę – powiedział Warden, wciąż nie podnosząc głowy.

– To nie ja – odparł Stark. – To ty. Chcę tylko, żebyś wiedział, że uważam, żeś to zrobił pierwszorzędnie.

– Dobra – rzekł Warden. – Dziękuję. – I dalej pracował nie podnosząc głowy.

Jechał z porucznikiem Rossem na czele kolumny kompanii, w dżipie, który prowadził Russell. Ścisk był okropny. Drogi jak okiem sięgnąć mrowiły się od ciężarówek i taksówek, jadących zderzak w zderzak. Ciężarówki wiozły ludzi w jedną stronę, na pozycje nadbrzeżne, taksówki zaś w drugą, do Schofield, gdzie mieli już nie zastać swoich jednostek. Wozy rozpoznawcze i dżipy przemykały się między wężami ciężarówek, ale wielkie dwuipółtonówki mogły tylko pełznąć po parę stóp na raz, zatrzymując się, kiedy stawała ta, co jechała przed nimi, ponieważ stanęła ta, co jechała przed nią, i czekać, aż ruszy kawałek ta, co jechała przed nimi, za tamtą, którą miała przed sobą.

Z ciężarówek pozdejmowano plandeki i w każdej jechał stojąc na bocznej ścianie jeden żołnierz z karabinem automatycznym lub cekaemem zamontowanym na budce kierowcy. Głowy w hełmach sterczały przez огоłocozone żebra budy, wpatrując się w niebo niczym zwiedzający, którzy oglądają szkielet dinozaura w Instytucie Smithsonian.

Jadąc w dziupie brzegiem drogi wzdłuż kolumny kompanii i zagadując do ludzi, Warden po wielekroć ujrzał ich wszystkich. Twarze mieli zmienione i nie wyglądali już tak jak dawniej. Mieli poniekąd to samo wejrzenie, co Stark w jadalni, tylko że upojenie wyparowało z nich pozostawiając jedynie twardą maskę z suchego gipsu. Tam, na szosie, wśród setek innych oddziałów ta myśl wydawała się nie tylko wyraźniejsza, ale silniejsza, o wiele silniejsza niż w koszarach. „Wódz” Choate, jadący z automatem w ciężarówce, spojrzął na niego sponad szoferki, a Warden odwzajemnił mu spojrzenie.

Zostawili wszystko za sobą – cywilne ubrania, garnizonowe buty i mundury, kolekcje kapeluszy polowych, zbiory odznak, albumy fotograficzne, prywatne papiery. Do diabła z tym wszystkim. Jest wojna. Tamto nie będzie nam już potrzebne. Nie wzięli ze sobą nic oprócz szkieletowego wyposażenia polowego, a jedynym człowiekiem, który zabrał coś niecoś dla wygody, był Pete Karelsen. Pete był we Francji.

Stopniowo, krok za krokiem, ciężarówki posuwały się ku Honolulu i temu, co mogło czekać na plażach. Do tej pory był to niejako wolny dzień, była to zabawa.

Pearl Harbor, gdy go mijali, był jedną miazgą. Wheeler Field wyglądało źle, ale widok Pearl Harbor paraliżował mózg. Na widok Pearl Harbor coś aż ścisnęło w jądrach. Wheeler Field znajdowało się w pewnej odległości od szosy, natomiast Pearl Harbor był częściowo przy niej samej. Do tej pory to było wielką zabawą, piknikiem; strzelali sobie z dachów do samolotów, a samoloty strzelały do nich, kucharze przynosili kawę i sandwicze, a magazynierzy amunicję; spuścili parę samolotów i tylko jeden człowiek w pułku oberwał (pocisk kalibru 50 w mięśniową część łydki, nawet nie w kość, o własnych siłach poszedł do ambulatorium) i czekało go Fioletowe Serce. Prawie każdy z nich zabrał butelkę i wszyscy sobie podchmielili, kiedy się to zaczęło, i było to jakimś superćwiczeniem na strzelnicy z żywymi celami. Najbardziej emocjonującego rodzaju, bo ludźmi. Ale teraz butelki szybko się kończyły i nie było rychłych perspektyw na dostanie dalszych, i nie było już żywych celów do strzelania. Teraz zaczęli myśleć. Przecież mogą minąć miesiące – nawet lata – zanim znowu dostaną do ręki butelkę! To była wojna na całego.

Gdy ciężarówki przejeżdżały przez nowe osiedle żonatych podoficerów, wybudowane świeżo przy Pearl Harbor, pozdrawiały ich kobiety, dzieci, a tu i ówdzie jakiś starzec. Żołnierze przejeżdżali w milczeniu, spoglądając na nich tępo.

Kiedy jechali bocznymi ulicami miasta, wszędzie wzdłuż trasy wiwatowali na ich cześć mężczyźni, kobiety, dzieci, stojąc na gankach, na płotach, dachach samochodów i domów. Dawali im znak Winniego Churchilla, „V jak Zwycięstwo”, i podnosili w górę kciuki. Młode dziewczęta przesyłały im od ust pocałunki. Matki młodych dziewcząt, ze łzami w oczach, przynaglały je do przesyłania dalszych pocałunków.

Żołnierze, spoglądając tęsknie na cały ten dojrzały, chodzący luzem młody materiał, do którego nie mogli się dobrać, i wspominając dawne czasy, kiedy to cywilne dziewczęta nie miały zezwolenia – ani ochoty – rozmawiać w biały dzień na ulicy z żołnierzami, nie mówiąc już o wieczorze, gdzieś w barze, odwzajemniali im się starym gestem zaciśniętej pięści z wyprostowanym trzecim palcem dźgającym powietrze. Na tamten churchillowski znak – „V jak Zwycięstwo” – odpowiadali swoim własnym, dawniejszym znakiem, przy którym pięść jest zaciśnięta, a wyprostowany kciuk i trzeci palec stykają się raz po raz.

Pełni uniesienia cywile, którzy nie wiedzieli, że to drugie jest starym wojskowym gestem oznaczającym kobietę, ani że pierwsze znaczy: „Ja cię chędożę!”, wiwatowali jeszcze głośniejszym, żołnierze zaś po raz pierwszy, odkąd wyjechali ze Schofield, podśmiewali się chytrze do siebie i ze zdwojoną ochotą dawali owe znaki.

Kiedy minęli już Waikiki i jechali na wschód, ciężarówki zaczęły odłączać się od kolumny kompanii, ażeby rozwieźć trzy- czy czteroosobowe drużyny, każdą ze swoim podoficerem, na różne nadbrzeżne pozycje. Gdy dotarli do wzniesienia nad siodłem nie opodal przylądka Koko, gdzie droga skręcała do stanowiska dowodzenia nad zatoką Hanauma, zostały już tylko cztery ciężarówki. Dwie dla pozycji nr 28 na przylądku Makapuu, jedna z personelem stanowiska dowodzenia oraz załogą pozycji nr 27 i ciężarówka kuchenna. Dwie z nich, jadąc w przodzie – ta z personelem i kuchenna – skręciły w boczną drogę i przystanęły, a dwie drugie, przeznaczone na Makapuu, minęły je i pojechały dalej. Wszyscy już mieli ten swój wielki dzień z cywilami, na który większość czekała od dwóch do pięciu lat, i teraz gotowali się, by zań zapłacić.

Wśród żołnierzy na ciężarówkach objawił się pewien patriotyczny i bojowy zapał, który wybuchł dosyć nikłymi wiwatami na nieustannym, silnym wietrze, kiedy mijali porucznika Rossa i Wardena, którzy wysiedli ze stojącego z boku drogi dżipa, aby popatrzeć, jak przejeżdżają. Między obnażonymi żebrami bud podniosło się kilka pięści, a kiedy przejechali, „Piętaszek” Clark, obecny strzelec i były kandydat na kompanijnego trębacza, z zapalem potrząsnął do porucznika Rossa obiecującym dwupalcowym znakiem „V jak Zwycięstwo” nad tylną klapą ciężarówki.

Ten powszechny patriotyzm trwał mniej więcej trzy dni.

Porucznik Ross, stojąc obok dżipa i patrząc na swoich ludzi jadących ku możliwemu kalectwu i śmierci, a już z pewnością na wojnę, która miała trwać długo, spojrzął na „Piętaszka” smutnie i bez odwzajemnienia mu owego znaku, sponad wielkiej przepaści lat współczucia i wyższej wiedzy, z oczami pełnymi przemożnego wzruszenia, z wyrazem ogromnej dojrzałości i straszliwej odpowiedzialności na twarzy.

Sierżant-szef Warden, stojący obok swojego dowódcy kompanii i obserwujący jego

twarz, miał ochotę dać dowódcy kompanii potężnego kopniaka w tyłek.

Kto wie, czy nie zakładanie drutów kolczastych, bardziej niż cokolwiek innego, nadziało patriotyzm żołnierzy w ciągu następnych kilku dni. Ludzie, którzy właśnie przy budowaniu owych pozycji nabawili się tamtej nowej choroby, polegającej na bólu w żyłach i stawach, stwierdzili teraz, że wraca ona ze zdwojoną siłą na skutek zakładania zasieków mających te pozycje ochraniać. Tak że nawet kiedy nie pełnili warty w nocy, nie mogli zasnąć. Zakładanie drutów kolczastych stało się po pierwszym dniu bodaj jeszcze silniejszym środkiem powściągającym patriotyzm niż to, że byli lepsi bez perspektywy prysznicu, że od zarostu swędziała ich skóra, a nie było perspektyw na ogolenie, że musieli spać na kamieniach tylko pod pojedynczą płachtą namiotową i dwoma kocami, kiedy padało.

W gruncie rzeczy ta wojna, która zaczęła się tak dobrze w niedzielny ranek i dała im takie wielkie nadzieje na przyszłość, przeradzała się po prostu w jakieś rozszerzone manewry. Z tą jedną różnicą, że nie było widać ich końca.

Minęło już pięć dni, zanim zorganizowano wszystko na tyle, że można było posłać do Schofield po resztę rzeczy, które z początku uznano za niepotrzebne, oraz po przydzielone kompanii namioty. Jednakże nawet to na nic się nie zdało ludziom siedzącym na Makapuu, jako że nie było tam drzew, pod którymi można by namioty rozstawić.

Warden, zaopatrzony w listę próśb każdego z ludzi, która w całości obejmowała pełen arkusz znormalizowanego papieru blokowego, poprowadził konwój złożony z trzech ciężarówek. Pete Karelsen, jedyny człowiek z kompanii, który urządził się jako tako w ciągu tych pięciu dni, był jego zastępcą. Zajechali trzema ciężarówkami na dziedziniec po to, by stwierdzić, że już jakaś inna jednostka wprowadziła się do koszar, a kuferki i szafki kompanii G zostały gruntownie splądrowane. Przywieziona lista była więc bezużyteczna. I znowu Pete Karelsen okazał się jedynym w całej kompanii, który zadał sobie trud zamknięcia na klucz szafki i kuferka w tamten niedzielny poranek. Ale zginął nawet jego zapasowy garnitur sztucznych zębów, który leżał na stole.

I oczywiście żaden z nowych lokatorów, z którymi rozmawiali, nie wiedział nic na ten temat.

Zniknął patefon i płyty Wardena, i jego studwudziestodolarowe ubranie od Braci Brooks, i marynarka ze stębnowanymi klapami, i biały smoking z czarnymi spodniami, który kupił, ale jeszcze go nie miał ani razu na sobie, i wszystkie mundury. Także nowiutka elektryczna gitara za dwieście sześćdziesiąt dolarów, nie zapłacona jeszcze nawet w połowie, a zakupiona przez Andy'ego i „Piętaszka”, kiedy Prew był w Obozie, zniknęła razem z wtyczką do głośnika.

Gdyby nie sierżant-szef Detric z kompanii A, który był mniej więcej jego wzrostu i

pamiętał, żeby zamknąć swoją szafkę, Warden nie zdołałby wytrzasnąć znikąd nawet dwóch kompletnych mundurów polowych. Bez mała jedyną rzeczą, jaka pozostała nietknięta, był stos zwiniętych namiotów w magazynie.

Do końca siódmego dnia, kiedy to przywieźli namioty, rozdali je na pozycje i rozstawili gotowe do użytku, wszyscy ludzie znajdujący się w wykazie kompanii – włącznie z dwoma, którzy przebywali w Obozie i zostali zwolnieni wraz z resztą więźniów – zjawili się i zameldowali do służby. Z wyjątkiem jednego – Prewitta.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Prewitt przespał cały atak lotniczy. Poprzedniego wieczora, kiedy obie dziewczyny poszły do pracy, upił się jeszcze bardziej niż zwykle, ponieważ wieczór sobotni jest zawsze uważany za święto. Nie wiedział w ogóle, że był jakiś nalot, dopóki natrętnie dynamiczny głos z radia, gadający bez końca z napięciem, nie wybił wreszcie dziury w zgęstniałym, wysuszonym, odwodnionym kacenjamerze, którego smak czuł w ustach, i wiedząc nawet przez sen, że go ma, nie chciał się obudzić, by go doświadczyć.

Siadł na tapczanie w kalesonach (odkąd się przeniósł na tapczan, sypiał w kalesonach z uwagi na przystojność) i ujrzał obie dziewczyny przykucnięte w szlafrokach przed radiem i słuchające w napięciu.

– Właśnie miałam cię wołać! – odezwała się z podnieceniem Alma.

– Wołać? A po co? – Najsilniejszą myślą wpośród tego suchego bólu oczu, będącego jego umysłem, była chęć natychmiastowego ruszenia do kuchni po wodę.

– *...jednakże straty zadane w samym Pearl Harbor były bezwarunkowo najpoważniejsze* – mówiło radio. – *Nieledwie nie ma budynku, który pozostałby nie uszkodzony. Co najmniej jeden ze stojących w porcie pancerników został zatopiony, a jego nadbudowa sterczy nad płytką wodą, nadal pokrytą płonącym olejem. Większość bombowców przystosowanych do działania z dużej wysokości skoncentrowała swój atak na Pearl Harbor oraz Hickam Field po drugiej stronie kanału. Obok Pearl Harbor, Hickam Field poniosło, jak się zdaje, najcięższe straty.*

– To Webley Edwards – powiedziała Georgette.

– Nadaje do kraju – rzekła Alma.

– *Bardzo duża bomba albo torpeda* – mówiło radio – *została zrzucona na główną jadalnię nowych koszar na Hickam Field, gdzie czterystu naszych nie podejrzewających niczego lotników siedziało przy śniadaniu.*

Prew wiedział już, co się stało, ale tylko z trudem przedzierało się to przez szlam jego umysłu. Nie mógł się wyzbyć mniemania, że to Niemcy, i nawet później, kiedy dowiedział się, że Japończycy, wciąż nie mógł wybić sobie z głowy myśli, że zrobili to Niemcy. Widocznie zbudowali jakiś zupełnie nowy typ bombowca, który mógł lecieć tak daleko bez lądowania, nawet z bazy na wschodnim wybrzeżu Azji. Bo przecież nie zdołaliby nigdy przetrzymać eskadry lotniskowców na Pacyfik i przebić się przez flotę brytyjską. Żeby akurat mieć kaca w takim cholernym momencie! Na takiego kaca woda nigdy by nie pomogła; mogło pomóc jedynie kilka mocnych drinków, a i to nawet nie od razu.

– Gdzie moje spodnie? – zapytał wstając w kalesonach. Przez głowę przeleciała mu jak wstrząs gwałtowna pulsacja; ruszył przez pokój ku dziewczynom i barkowi nad radiem.

– Leżą tam na krześle – odpowiedziała Alma. – Co ty masz zamiar zrobić?

– Nie, nie te. Moje spodnie mundurowe – odparł otwierając barek nad ich głowami i nalewając czystej whisky do jednego z kieliszków koktajlowych na wysokich nóżkach. – Przecież mam tutaj gdzieś swój mundur. Gdzie on jest?

Przełknął whisky otrząsając się, ale wiedział, że to mu pomoże.

– Co ty chcesz zrobić? – zawołała Alma. – Co wyprawiasz?

– Wleję w siebie tyle, żeby mi przeszedł ten kac, a potem wracam do koszar. A co ty myślisz, psiakrew? – odparł napełniając znowu kieliszek i przełykając whisky.

– *Nie sposób zaprzeczyć, że nasza marynarka poniosła wielką klęskę* – mówiło radio. – *Być może, największą w jej dziejach. Byłoby...*

– Przecież nie możesz tego zrobić! – krzyknęła Alma jak oszalała.

– Nie możesz wracać!

– A to dlaczego? Zwariowałaś?

– ...jednakże mimo wszystko – mówiło radio – mimo tych godzin mroku i straszliwej klęski, pozostaje nadal ta wielka olśniewająca światłość, która po wsze czasy będzie przykładem dla wszystkich Amerykanów...

– Bo dalej ciebie szukają! – zawołała histerycznie Alma. – Za morderstwo! Chyba nie myślisz, że wycofają oskarżenie o morderstwo! Chociażby nawet były dwie wojny!

Nalał już sobie trzeci kieliszek, rozjaśniło mu się trochę w głowie. Ciepłe, elektryczne żarzenie koniuszków nerwów zaczynało wysuszać nawilgłe komórki. Przełknął mimo to trunek.

– Całkiem o tym zapomniałem – powiedział.

– *...a jest nim odwaga i heroizm naszych walczących żołnierzy* – mówiło radio – *którzy w obliczu śmierci i przytłaczającej przewagi, napadnięci zniemacka i niedostatecznie wyposażeni, chwycili za broń i dzielnie stawiali opór z tą całą wielkością ducha, która zawsze była właściwa amerykańskiej Armii i Marynarce.*

– Czy on aby mówi o amerykańskiej armii i marynarce? – wyszczerzyła zęby Georgette do nikogo w szczególności.

– Ty lepiej o tym pamiętaj – powiedziała Alma nieco spokojniej.

– Jeżeli teraz wrócisz, wsadzą cię do Obozu, a potem oddadzą pod sąd za morderstwo. Wojna czy nie wojna. W ten sposób nie pomożesz jej wygrać.

Wciąż jeszcze trzymając butelkę w jednej, a kieliszek w drugiej ręce, usiadł na niskim stołeczku pomiędzy nimi, przed radiem, wyglądając tak, jakby dostał mocny cios od

zapaśnika dżudo.

– Całkiem zapomniałem – powtórzył tępo. – Zupełnie mi to wyleciało z głowy.

– To lepiej o tym pomyśl – odparła Alma.

– *Swoim spokojnym bohaterstwem pod ogniem* – mówiło radio – *swoim poświęceniem w wypełnianiu obowiązków, choćby najbardziej błahych, swoją milczącą dzielnością w znoszeniu bez skargi cierpień, gdy leżą ranni lub konający w szpitalach i na punktach opatrunkowych – właśnie w tej chwili, gdy do was mówię te słowa – dają przykład wiary, ofiarności i stoickiego heroizmu, który my, ludzie cywilni tu, na Hawajach, będący tego świadkami, zapamiętamy na długi, długi czas. Ci ludzie, ci chłopcy – bo większość z nich to właśnie chłopcy – tworzą w tej chwili legendę, legendę Demokracji, która na długo, długo jeszcze pozostanie nieporównana i nieprzewyższona i która zbudzi lęk w sercach wrogów wolności.*

– Jak rany! – wykrzyknęła nagle z podnieceniem Georgette. – Te parszywe żółtki nauczą się, że nam nie można robić bezkarnie takich rzeczy!

– Spałem – powiedział tępo Prew. – Nawet się nie obudziłem.

– My też – odparła Georgette z podnieceniem. – W ogóle nic nie wiedzieliśmy.

Przypadkiem otworzyłam radio.

– A ja spałem – powtórzył Prew. – Twardo spałem.

Znów nalał sobie whisky z trzymanej w lewej ręce butelki do trzymanego w prawej ręce kieliszka i łyknął. W głowie już mu się rozjaśniło; umysł miał czysty jak lza.

– Przekłęci, pieprzeni Niemcy! – wykrzyknął.

– Jacy Niemcy? – spytała Georgette.

– Ci – powiedział wskazując radio kieliszkiem.

– Przecież to Japończycy – odparła Georgette. – Japończycy. Te parszywe tchórzliwe Japońce. Podkradli się bez ostrzeżenia i zaatakowali nikczemnie, kiedy ich kukły siedziały w Waszyngtonie i darły się o pokój.

– *Pełne rozmiary strat* – mówiło radio – *są oczywiście w tej chwili zupełnie nie znane i prawdopodobnie pozostaną nie znane jeszcze przez pewien czas. Ze względu na powagę położenia oraz celem ułatwienia koordynacji i współpracy wszystkich czynników, generał Short ogłosił stan wyjątkowy na Terytorium Hawajów.*

– Coś wam powiem – chlupał Prew nalewając sobie znowu. – Już nie ma przeciwko mnie oskarżenia o morderstwo.

– Nie ma? – rzekła Alma.

– Nie ma oskarżenia o morderstwo przeciwko nikomu. Warden mi mówił, a on by nie kłamał.

– To możesz wrócić – powiedziała Alma. – Ale jeżeli wrócisz, i tak cię wsadzą do Obozu za wydalenie się bez zezwolenia.

– Właśnie! – odparł. – Teraz nie mogę wrócić i tak. Bo nie pójdę do żadnego Obozu, rozumiesz? Jakbym wrócił, postawiliby mnie przed doraźny, a może i przed specjalny. Ale nie dam się posłać do Obozu. Nigdy! Rozumiesz?

– Gdybyś mógł wrócić i nie iść do Obozu – powiedziała Alma. – Ale nie możesz. A nic nie zdasz, jak będziesz siedział w Obozie. – Położyła mu dłoń na przedramieniu. – Zostaw to picie, Prew, proszę cię. Daj mi butelkę.

– Odczep się ode mnie! – zawołał wyrrywając jej rękę. – Bo ci dam po łbie! Odczep się! Zostaw mnie. Daj mi spokój.

Nalał sobie znowu pełny koktajlowy kieliszek whisky i popatrzył na Alnę wojowniczo.

Potem żadna z nich nie próbowała już do niego przemawiać ani go powstrzymywać. Bez przesady można było powiedzieć, że z jego przekrwionych oczu spoglądał na nie mord.

– Dopóki mogą mnie wsadzić do tego swojego pieprzonego chlewa, do Obozu, nie wrócę za nic – powiedział zaciekle. – Czy chcesz, czy nie chcesz.

Nie sprzeciwiły mu się i wtedy. I tak siedzieli we trójkę w milczeniu, słuchając nadawanych przez radio wiadomości, dopóki głód nie popchnął obu dziewczyn do kuchni, ażeby przygotować śniadanie, którego żadne z nich nie jadło. Prew natomiast dokończył butelkę, z której sobie nalewał, i zaczął następną. Nie chciał odejść od radia, żeby coś zjeść. Kiedy przyniosły mu jedzenie, odmówił. Siedział na stołku przed radiem, wypijając jeden kieliszek whisky za drugim i płacząc, i nic nie mogło go stamtąd ruszyć.

Wczesnym popołudniem radio nadało parokrotnie wezwanie doktora Pinkertona, by ochotniczy krwiodawcy stawili się natychmiast w szpitalu Queen. Zarówno Georgette, jak i Alma zdecydowały, że pójdą i dadzą krew, bardziej dlatego, żeby się wyrwać z ciężkiej atmosfery domu niż dla czego innego – żeby oddalić się od owej złowrogiej elektryczności, którą nasycalo powietrze to wściekle dynamo siedzące przed radiem.

– Ja też idę! – krzyknęło dynamo i zerwało się ze stołka.

– Nie możesz iść, Prew – powiedziała Alma nerwowo. – Bądźże rozsądny. Jesteś taki pijany, że nie możesz nawet ustać na nogach. Poza tym każdy będzie pewnie musiał pokazywać jakąś legitymację. A wiesz, co to dla ciebie oznacza.

– Nawet nie mogę dać krwi – powiedział ponuro i zatoczył się z powrotem na stołek.

– Zostań tu i słuchaj radia – rzekła uspokajająco Alma. – Wrócimy niedługo. Wtedy opowiesz nam, co było.

Prew nic nie odrzekł. Nawet nie oderwał wzroku od radia, kiedy szły się ubierać.

– Muszę stąd wyjść! – powiedziała Alma. – Nie mogę oddychać.

– Myślisz, że przyjdzie do siebie? – szepnęła Georgette. – Nie zdawałam sobie sprawy!

– Oczywiście, że przyjdzie do siebie – odrzekła stanowczo Alma. – Po prostu czuje się winny i jest zdenerwowany, i trochę pijany. Minie mu do jutra.

– A może on rzeczywiście powinien wrócić? – spytała Georgette.

– Gdyby wrócił, tylko by go wsadzili do Obozu, no nie? – odparła Alma.

– To prawda – powiedziała Georgette.

– Więc nie mów głupstw – rzekła Alma.

Siedział nadal tak samo, gdy weszły do salonu. Radio wciąż rozbrzmiewało staccatem napięcia. Znowu coś o Wheeler Field. Prew nie podniósł głowy ani się nie odezwał, Alma zaś dała Georgette ostrzegawczy znak i wyszły zostawiając go samego.

Wciąż siedział na tym samym miejscu, kiedy wróciły dwie godziny później, i wyglądał tak, jakby nie poruszył ani jednym mięśniem, odkąd wyszły, tyle że butelka, którą trzymał w lewej ręce, była już prawie pusta. Radio wciąż przemawiało.

– No – powiedziała Alma. – Chyba trzeba zrobić coś do jedzenia. Czuję się trochę osłabiona.

– Ja też – rzekła Georgette.

– Chcesz coś zjeść? – spytała Alma.

– Nie – odparł Prew.

– Naprawdę powinieneś coś zjeść, Prew – powiedziała Georgette. – Jedzenie ci potrzebne po całym tym alkoholu.

Prew wyciągnął rękę i zamknął radio, a potem spojrzał na nie spode łba.

– Słuchajcie, ja tylko chcę, żebyście mi dały spokój. Chcecie jeść, jedzcie, a mnie zostawcie.

– Było coś nowego w radio? – spytała Alma.

– Nic – odparł gwałtownie. – W kółko te same bujdy.

– Ale nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy posłuchały, kiedy będziemy szykowały jedzenie, prawda? – spytała Alma.

– Twoje radio – powiedział Prew, wstał z butelką i kieliszkiem, wyszedł na taras ponad doliną Palolo i zamknął za sobą szklane drzwi.

– Co my z nim zrobimy? – spytała Georgette. – Przecież tu można zwariować.

– E, wszystko będzie dobrze – odparła Alma. – Trzeba mu dać parę dni czasu, to mu przejdzie. Byle nie zwracać na niego uwagi.

Nastawiła radio i wyszła do kuchni, a Georgette podążyła za nią niespokojnie.

– No, mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedziała nerwowo, oglądając się na widoczną przez szklane drzwi czarną sylwetkę na tle czerwieniejącego nieba. – Ciarki mnie przechodzą, jak na niego patrzę.

– Już ci mówiłam, że przyjdzie do siebie – odparła ostro Alma. – Tylko go zostaw w spokoju. Nie zwracaj na niego uwagi. Chodź, pomóż mi zrobić kolację; za chwilę będzie trzeba zapuścić te zasłony od zaciemnienia.

Przygotowały sandwicze na zimno z sosem Durkeego, który Alma bardzo lubiła, i jedną z tych celofanowych torebek sałatki z francuską przyprawą, które ostatnio pokazały się w sklepach. Napełniły szklanki mlekiem, nastawiły maszynkę kawy i wróciły opuścić zasłony zaciemnieniowe, które Alma pozakładała jeszcze przedtem, podczas ćwiczeń przeciwlotniczych, w ten sposób, że za dnia były podwieszane jak czarne draperie.

– Wróc do środka – powiedziała sucho Alma podchodząc do szklanych drzwi na taras. – Spuszczamy zasłony zaciemnieniowe.

Wrócił nic nie mówiąc, przeszedł przez salon i usiadł na tapczanie, ciągle trzymając w lewej ręce niemal już pustą butelkę, a w prawej kieliszek koktajlowy.

– Nie chcesz nic zjeść? – spytała Alma. – Zrobiłam dla ciebie sandwicze.

– Nie jestem głodny – odpowiedział.

– To je zawinę w papier pergaminowy, żeby się nie zeschły – powiedziała Alma.

Prew nalał sobie następny kieliszek i nic nie odpowiedział, więc Alma wróciła do kuchni po zaciągnięciu i przymocowaniu zasłon na szklanych drzwiach.

Kiedy zjadły kolację i wróciły z kawą, siedział wciąż na tapczanie. Otworzył następną butelkę. Ogółem wypił przez ten jeden dzień przeszło dwie piąte szkockiej whisky Georgette. W pierwszej butelce było trochę więcej niż połowa, i dokończył tę, potem wypił całą następną i połowę trzeciej.

Siedzieli przez jakiś czas próbując słuchać radia, ale komunikaty już się powtarzały, a obecność tej istoty trwającej w upartym milczeniu na tapczanie w końcu zagnała je do łóżek, i zostawiły go tam, ani pijanego, ani trzeźwego, ani wesołego, ani smutnego, ani przytomnego, ani nieprzytomnego.

Trwał w takim stanie przez osiem dni, nigdy właściwie nie pijany, ale z pewnością i nigdy nie trzeźwy, stale z butelką kosztownej whisky Georgette w jednej ręce, a kieliszkiem w drugiej. Nie mówił nic, prócz „Tak” lub „Nie”, najczęściej „Nie”, kiedy zadawano mu wprost pytanie, i nigdy nic nie jadł przy nich. Było to tak, jakby się mieszkało pod jednym dachem z trupem.

Kiedy wstały w poniedziałek rano, znalazły go śpiącego w ubraniu na tapczanie. Butelka i kieliszek stały obok niego na podłodze. Dwa sandwicze, które Alma zawinęła w

papier pergaminowy i zostawiła w kuchni, zniknęły. Żadna z nich nie poszła tego dnia do pracy.

W ciągu następnych kilku dni Honolulu szybko się otrząsnęło z pierwszej wielkiej emocji. Radio znowu zaczęło nadawać muzykę i audycje reklamowe, a poza żołnierzami zakładającymi zasieki na plaży Waikiki i wartownikami w hełmach stojącymi przed frontem takich ważnych gmachów jak radiostacje i pałac gubernatora, oraz poza kilkoma zrujnowanymi budynkami, miasto nie wydawało się zbyt odmienione tą metamorfozą, jaką było przejście ogniowej próby.

Najwidoczniej ludzie interesu trzymali się ostro, a komenda żandarmerii zalecała normalne urzędowanie, bo trzeciego dnia zatelefonowała do Almy pani Kipfer i kazała jej stawić się do pracy nazajutrz o dziesiątej rano, zamiast o dawnej godzinie trzeciej po południu. Szefowa Georgette od

„Ritza” zadzwoniła do niej trochę później z identyczną instrukcją. Ze względu na obowiązującą po zachodzie słońca godzinę policyjną, wprowadzoną w związku ze stanem wyjątkowym, po której to godzinie nie wolno było nikomu przebywać na ulicach bez przepustki, wszystkie interesy należało załatwiać w ciągu godzin dziennych.

Jak się jednak okazało, ruch zmalął gwałtownie zarówno u pani Kipfer, jak i u „Ritza”. I najwyraźniej to samo było wszędzie. Armia i marynarka nie wydawały przepustek, i dziewczyny w końcu grały w karty przez większość godzin roboczych. Kilka z nich już sobie zapewniło miejsca na statkach, na których ewakuowano do kraju żony i dzieci oficerów i żołnierzy.

Jednakże pani Kipfer uzyskała informacje, że przepustki – według ściśle zaplanowanej rotacji – będą w niedługim czasie wydawane w armii i marynarce. Ale tymczasem niemal jedynym ruchem w hotelu „New Congress” pani Kipfer były odwiedziny nielicznych grupek wyższych oficerów, dokonywane obecnie po południu, a nie wieczorem, jak dawniej.

Istniała jeszcze druga rzecz, którą pani Kipfer ogromnie się trapiła w rozmowach z Almą, a mianowicie to, iż otrzymała pewną wiadomość, że zarówno w Stanach, jak i na Wyspach wywiera się nacisk na siły zbrojne, żeby pozamykać burdele. Nacisk ten, jak powiedziano pani Kipfer, pochodził z Waszyngtonu, gdzie duża liczba wyborców płci żeńskiej, mających synów w wojsku, podnosiła ogromną wrzawę grożąc, że nie wybiorą swoich reprezentantów do Kongresu, jeżeli coś nie zostanie uczynione w tej sprawie.

Jednakże na przekór owym przeciwnościom pani Kipfer z ogromnym wybuchem patriotyzmu oraz niezwykłym poczuciem obowiązku poprzysięgła, że wytrwa na posterunku, jak długo zdoła, i że, do diabła, będzie przyczyniać się w miarę swych skromnych możliwości do Pełnego Zwycięstwa, dopóki będzie miała choć jedną dziewczynę pod swymi rozkazami.

(A klęła rzadko.)

Ponieważ Prew w niedzielę wieczorem widocznie zjadł te sandwicze, które dla niego zostawiła, Alma zaczęła przygotowywać je regularnie przed wyjściem do pracy i przed położeniem się do łóżka. Zawsze były zjedzone. Ale jeżeli zapomniała ich zrobić, co zdarzyło się kilka razy, nic w lodówce ani w kredensie nie było nawet tknięte.

Prew po prostu nie zachowywał się jak człowiek. Nie golił się, nie kąpał, nawet nie zdejmował ubrania, tylko zwał się w nim na tapczan, kiedy szedł spać. Wyglądał jak nieboskie stworzenie. Jego włosów nie dotknął grzebień już nie wiadomo odkąd, twarz miał obrzękłą, jakby tłustą, z wielkimi workami pod oczyma, a ciało, które nigdy nie było tęgie, stawało się coraz chudsze. Snuł się z butelką w jednej, a kieliszkiem w drugiej ręce z kuchni do salonu, do sypialni i na taras, i siadał na chwilę w otępieniu na jednym miejscu po to, by zaraz wstać i odejść w inne. To, co ją do niego przyciągnęło na początku – jakieś skupienie w twarzy, gdyby potrafiła to tak określić, jakiś głęboki, tragiczny ogień w oczach – zniknęło zupełnie. Cuchnął tak, że można było go poczuć z drugiego końca pokoju.

I nic nie wskazywało, żeby przychodził do siebie. Przeciwnie, wydawało się, że tak będzie trwało bez końca – dopóki albo nie wycieńczy się zupełnie, albo nie umrze, albo też nie oszaleje do reszty i nie rzuci się na kogoś z nożem.

Alma nie mogła nie pamiętać o tym, co zrobił tamtemu strażnikowi z Obozu.

A Georgette zupełnie jawnie i otwarcie go się bała.

Jednakże na przekór Georgette Alma nie mogła się zdecydować, żeby porzucić nadzieję i zostawić go bez opieki.

– Po pierwsze – mówiła do Georgette – on nie ma gdzie się podziać poza tym domem. Wiemy doskonale, że gdyby wrócił do wojska, znowu by go wsadzili do Obozu, a może by go i zabili. A na całej Wyspie aż się roi od ludzi sprawdzających przepustki, i tak dalej. Tu jest jedyne miejsce, gdzie może być bezpieczny. Nie dałoby się w żaden sposób wyrobić mu przejazdu na statku idącym do Stanów, tak jak mogłyśmy to zrobić przed Pearl Harbor, bo wszystkie miejsca są zajęte na ewakuowanie ludności cywilnej, a wojsko sprawdza każdy statek, bo musi je konwojować. Poza tym jakoś nie mogę wyzbyć się nadziei.

– To znaczy, że nie chcesz, żeby odszedł – powiedziała Georgette.

– Pewnie, że nie chcę!

– A co z nim będzie, jak my wyjedziemy do kraju? – spytała Georgette.

– Ano, może ja nie wyjadę do kraju – odpowiedziała Alma.

– Przecież już masz zamówione miejsce – rzekła Georgette. – Tak samo jak ja.

– Zawsze mogę zrezygnować, no nie? – odparła Alma ze złością. Rozmowa ta odbyła się wieczorem piątego dnia, w sypialni Georgette, dokąd, Alma przysła ze swojej przez

łączącą je łazienkę.

Prewitt nic o niej nie wiedział. Nie wiedział w ogóle o niczym. Siedział w salonie na tapczanie, z butelką i kieliszkiem pod ręką. Dostawał szau, jeżeli nie miał ich zawsze przy sobie.

W sypialni, za starannie zamkniętymi drzwiami, które teraz co noc zamykała na klucz, Georgette mówiła:

– Wszystko mi jedno, co powiesz! Prędzej czy później coś pęknie. Jestem wykończona nerwowo. On nie może tego ciągnąć bez końca.

Obydwie o tym wiedziały, lecz żadna nie miała pojęcia, jak na to zaradzić. Bo zrobiły już wszystko, co mogły wymyślić. I w końcu sam Prewitt przyspieszył cudowną przemianę.

Po obiedzie ósmego dnia znalazł w popołudniowej gazecie notatkę. Znow czytował regularnie gazety, o ile można nazwać „czytaniem” wodzenie oczami po czarnych znaczkach na białym papierze, ale kiedy zobaczył tamtą wiadomość, nie były to już czarne znaczki, ale słowa. Mała notatka na ostatniej stronie donosiła, że rano siódmego grudnia strażnicy Obozu Karnego w Schofield Barracks otworzyli na rozcież bramy i wypuścili więźniów, aby wracali do swoich oddziałów.

Powiedzenie Wardena na temat jego szans – że gdyby Japończycy albo ktoś zbombardowali tę skałę, tamci wypuściliby wszystkich jeńców do walki – utkwilo mu w pamięci, jak grot w wirującej tarczy, i teraz wciągało w wir rozkładając to wokoło siebie. Warden wysilił się, żeby wymyślić najmniej prawdopodobną możliwość, jaka mu przyszła do głowy – a to właśnie się stało!

Nagle wszystko zrobiło się bardzo logiczne. Czuł, jak jego umysł wypełza z zamarzniętego szlamu i wstaje, aby popatrzeć na słońce. Trzeba teraz było tylko wrócić do kompanii tak, żeby go nie zatrzymano po drodze. Odszukał swój mundur, wyjął z biurka rewolwer Almy, sprawdził, czy naboje są w bębenu, i wpuścił kilka zapasowych do kieszeni.

Ostatni akapit notatki mówił, że odkąd siódmego grudnia otwarto bramy, do Obozu przysłano mniejszą liczbę nowych więźniów niż w którymkolwiek ósmiodniowym okresie w jego dziejach. To było świetnie, był z tego bardzo kontent, ale nie miał zamiaru być jednym z nich. Nie wtedy, gdy musiał tylko wrócić do kompanii. Żandarmi nie mogli go teraz złapać.

Zatknął rewolwer za pas i rozejrzał się szukając jeszcze czegoś wartościowego ze swoich rzeczy, co mógłby zabrać ze sobą, bo nie chciał się zbyt pośpieszyć, gdyby miał nie zobaczyć więcej tego domu. Ale nie było nic poza cywilnym ubraniem, które dla niego kupiły – z wyjątkiem ukończonego tekstu Pieśni nadterminowych, który złożył starannie, wetknął między kartki swojego notesu z tytułami książek i schował pieczołowicie do kieszeni zapinając ją na guzik. A potem usiadł i czekał, aż dziewczyny wrócą do domu.

I tak się stało, że kiedy wróciły z pracy wieczorem ósmego dnia, zastały go wyczekującego w salonie i niecierpliwie trzymającego w ręku popołudniową gazetę. Jego oczy, choć może niezupełnie trzeźwe, były jednakże dość bystre; poza tym wykapał się, ogolił i przebrał, a nawet uczesał włosy, które już zaczynały być przydługie.

Dziewczyny były tak zaskoczone, że weszły i usiadły, zanim któraś w ogóle zauważyła, że to czyste ubranie, które Prew ma na sobie, jest jego mundurem. W nakrochmalonym mundurze, z twarzą zdumiewająco czystą i błyszczącą, wyglądał jakoś chłopięco radośnie i dziarsko, pomimo obrzmień pod oczami.

– Gdybym miał odrobinę rozumu – powiedział wesoło, wyciągając do nich gazetę – byłbym wrócił w niedzielę rano, tak jak mi dyktowało wyczucie. Psiakrew, gdybym był pojechał prosto na punkt dowodzenia nad zatokę Hanauma, pewnie bym się tam dostał jeszcze przed nimi.

Alma wzięła gazetę, przeczytała i podała ją Georgette.

– Gdybym wtedy poszedł – mówił dalej – mógłbym być wrócić bez żadnego kłopotu. Wszędzie był taki mętlik i tylu gości próbowało dostać się z powrotem, że nikt by mnie nie zauważył. Teraz będzie trudniej, ale jak już wrócę do kompanii z własnej woli i zamelduję się, nic mi nie będzie groziło.

– Widzę, że wzięłeś mój rewolwer – powiedziała Alma. Georgette skończywszy czytać notatkę, położyła gazetę na krześle, wstała bez słowa i poszła zaciągnąć zasłony, bo na dworze już się zmierzchało.

– Nie myślę, żebym go potrzebował – odrzekł Prew. – To tylko na wszelki wypadek. Odniosę ci go, jak dostanę pierwszą przepustkę. No – powiedział ruszając do drzwi – niedługo się zobaczymy. Lepiej pogaście światła, jak będę wychodził.

– Nie zaczekasz do rana? – spytała Alma. – Już prawie ciemno.

– Mam czekać, psiakrew? – odparł Prew. – Jeżeli czekałem do tej chwili, to tylko dlatego, że chciałem ci powiedzieć, gdzie idę, żebyś nie łamała sobie głowy, co się ze mną stało.

– To rzeczywiście bardzo delikatnie z twojej strony – powiedziała sztywno Alma.

– Uważałem, że to ci się ode mnie należy – rzekł Prew.

– Tak – odparła Alma. – Myślę, że to mi się od ciebie należy. Z ręką na klamce obrócił się od drzwi.

– O, co się stało? Mówisz tak, jakbyś myślała, że sobie idę na zawsze. Mogę dostać parę tygodni kary dyscyplinarnej, ale jak tylko mi dadzą przepustkę, zaraz tu przyjdę.

– Nie, nie przyjdiesz – odrzekła Alma. – Bo mnie już tu nie będzie. Ani Georgette – dodała.

– Dlaczego?

– Bo wracamy do Stanów, dlatego! – odpowiedziała ze złością.

– Kiedy?

– Mamy miejsce na statku, który odchodzi szóstego stycznia.

– Jak to? – powiedział i zdjął rękę z klamki.

– Bo nas ewakuują! – odpowiedziała Alma z pasją.

– No – rzekł z wolna – w takim razie postaram się wrócić przedtem.

– „Postaram się wrócić przedtem” – zaczęła go przedrzeźniać. –Więc to tylko tyle dla ciebie znaczy? Wiesz doskonale, że nie będziesz mógł wrócić przedtem.

– Możliwe, że będę mógł – powiedział. – A co, u licha, chcesz żebyś zrobił? Siedział tu, póki nie będziesz gotowa do odjazdu? Już przesiedziałem o tydzień za długo. Jak zostanę jeszcze dłużej, nie będę mógł tam wrócić w ogóle.

– Mógłbyś chociaż zostać do rana. Przez całą noc chodzą patrole – powiedziała głosem, który zaczynał drżeć. – A od zachodu słońca jest godzina policyjna.

– W dzień także wciąż chodzą patrole. Jeżeli o to idzie, łatwiej mi będzie przejść w nocy.

– Może byś się rozmyślił, jakbyś został do rana – zaszlochała, rozplakawszy się nagle i jawnie, bez obsłonek ani przygotowania, podobnie jak pocisk nagle, jawnie i bez przygotowania wylatuje z lufy.

Georgette, która w milczeniu pozaciągała wszystkie zasłony, zeszła cicho ze schodków wiodących od szklanych drzwi i wyszła po schodkach do kuchni.

– Chyba to nie jest za wielkie żądanie – płakała Alma.

– Rozmyśliłbym się co do czego? – zapytał Prew niepewnie. – Co do powrotu? A co ja zrobię, jak wyjedziesz do Stanów? Jezus kochany!

– Może bym nie wracała – zaproponowała ze łzami Alma.

– No, Boże drogi – powiedział chrapliwie. W jego głosie słychać było wyraźnie niesmak i zniecierpliwienie. – Myślałem, że m u s i s z wracać.

– Nie, nie muszę wracać! – krzyknęła gwałtownie Alma między jednym szlochem a drugim, niby gniewna twarz wetknięta między kraty. – Ale jeżeli wyjdiesz za ten próg, to wrócę z całą pewnością!

Po co chcesz wracać do wojska? – zawołała nabrawszy tchu. – Co to wojsko dla ciebie zrobiło? Poza tym, że się nad tobą pastwili, traktowali jak szumowinę i wrzucili do więzienia jak zbrodniarza? Po co chcesz wracać do tego wszystkiego?

– Po co chcę wrócić? – zapytał Prew w zamyśleniu. – Bo jestem żołnierzem.

– Żołnierzem! – wykrztusiła Alma. – Żołnierzem! – Zaczęła śmiać się dziko przez łyzy,

które szybko wysychały na jej twarzy. – Żołnierzem – powtórzyła bezsilnie. – Zawodowym. Z zawodowej armii. Trzydziesto-rocznym.

– Jasne – odrzekł uśmiechając się niepewnie jak człowiek, który nie zrozumiał dowcipu. – Jestem trzydziestoroczny. – A potem uśmiechnął się naprawdę. – I mam przed sobą jeszcze tylko dwadzieścia cztery lata.

– Jezu! – zawołała Alma. – Jezu, Jezu Chryste!

– Zgasisz światło, jak będę wychodził? – zapytał.

– Ja zgaszę – odezwała się stanowczo, ale z zadowoleniem Georgette ze schodków do kuchni. Następnie zeszła, przekręciła kontakt przy zasłoniętych storami szklanych drzwiach, a on po ciemku odsunął zasuwę, wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Z zewnątrz dom wyglądał tak ciemno, jakby w środku nie było żywego ducha. Prew przez chwilę stał uszczęśliwiony i przyglądał mu się – wciąż jeszcze odrobinę pijany, choć nie pił nic od jakiejś trzeciej – czując się wolnym.

Ona się z tym pogodzi za parę dni. To wiedział. Kiedy dostanie przepustkę i wróci, przyjmie go z taką samą radością jak zawsze. Nie bał się wcale, że Alma odjedzie do Stanów.

To jednak dobra strona wojska. Wojsko tak separuje człowieka od jego kobiet, że nie można im się znudzić. I vice versa.

Kiedy minął pierwszą przecznicę, zatrzymał się, wyjął pistolet zza pasa i włożył go do kieszeni spodni. Potem ruszył dalej. Pistolet i naboje w drugiej kieszeni uciskały go w uda, kiedy szedł. Pistolet był szczególnie ciężki.

A gdyby włożyć ręce do kieszeni, jeżeli go zatrzymają?

Zawsze była szansa, że potrafi im to wyperswadować!

Ale żadna banda parszywych żandarmów nie złapie go i nie powstrzyma od powrotu do kompanii. Był zupełnie zdecydowany.

Przejście przez pole golfowe przypomniało mu tamten okropny koszmar długiej pieszej wędrówki do Almy, kiedy zranił go „Grubas”. A także i tamtą senną ciszę skradania się przez Waikiki owej nocy, gdy szukał po pijanemu Angela Maggio na Kalakaua. Nie słyszał nic poza własnym oddechem i chrzęstem butów na piasku. Nigdzie w tej czerni nie poruszała się żadna żywa dusza. Był kompletnie sam w świecie tak dźwiękoszczelnym i czarnym jak wnętrze kopalni węgla. Nigdzie nie było widać żadnego światła. Ani okien, ani latarń, ani neonów, ani nawet reflektorów samochodowych. Hawaje przystąpiły do wojny. Cieszył się, że wraca.

Raz, idąc w kierunku wschodnim, zobaczył na szosie wóz patrolowy z niebieskimi światłami, toczący się powoli na zachód, w przeciwną stronę. To go dziwnie podnieciło. Przystanął na minutę, żeby popatrzeć. Uważał bardzo, kiedy przechodził po raz pierwszy przez Waialae. Czekał długo, aby upewnić się, że nie ma nic na szosie. Te niebieskie reflektory jakoby miały być niewidoczne z powietrza, i może były. Ale z ziemi widziało się je na milę.

Równie ostrożnie zbliżył się do drugiego skrzyżowania, przy końcu pola golfowego. Schodził z lekkiego wzniesienia, otwartym terenem, miał widoczność prawie na pół mili w obie strony i nigdzie nie było niebieskich świateł. Toteż się nie zatrzymał. Szedł prosto przez skrzyżowanie. Gdyby gdziekolwiek w promieniu mili był wóz patrolowy z zapalonymi

światłami, zobaczyłby go z łatwością.

Czego natomiast nie mógł zobaczyć z łatwością, a nawet w ogóle, to wozu patrolowego ze zgaszonymi światłami. Jednakże nie spodziewał się napotkać wozów patrolowych ze zgaszonymi światłami. Toteż ich nie wypatrywał.

Wóz taki stał o trzydzieści jardów na zachód od niego, pośrodku szosy.

Kiedy Prew doszedł do pobocza szosy i wstąpił na asfalt, wóz zapalił światła – dwa niebieskie reflektory przednie i jeden boczny, szczelinowy, który był o wiele jaśniejszy, prawie biały. Wtedy Prew zobaczył wóz. Został złapany w sam środek wiązki światła. Gdyby przechodził przez szosę o sto jardów dalej w tył albo o pięćdziesiąt do przodu, pewnie by go nie usłyszeli, chociaż nie starał się iść cicho.

Jego pierwszym odruchem było rzucić się do ucieczki, ale go pohamował. I tak by się to na nic nie zdało. Był prawie na środku szosy, a po obu jej bokach rozciągał się płaski, otwarty teren. Poza tym zawsze istniała szansa, że jakoś im to wyperswaduje, zanim będzie musiał wrywać.

– Stój! – buchnął do niego nerwowy głos.

Prew jednak już stał. Przypomniała mu się tamta noc na Hickam Field, kiedy zatrzymał go Warden, i poczuł gwałtowną ochotę do śmiechu. O dranie, dranie, sprytnie, cwane dranie. Żeby siedzieć ze zgaszonymi światłami. Akurat kiedy wszystko szło tak dobrze. Musieli zrobić taki kawał.

Wóz patrolowy, dżip, podjechał wolno, ostrożnie i stanął o dziesięć kroków od niego. Siedziało w nim czterech wystraszonych żandarmów; widział ich błękitne twarze i błękitne światło odbijające się na białych literach opasek. Wszyscy mieli na głowach hełmy. Ten, który siedział obok kierowcy, wstał i patrzył na niego znad lufy thompsona wysuniętego nad przednią szybę.

– Kto idzie?

– Przyjaciel – odpowiedział.

Dwaj siedzący w tyle, niezawodnie uważając to za stereotypową odpowiedź na stereotypowe pytanie, wyłazili z wozu niechętnie, powoli. Trzymali go pod pistoletami.

– Podejź, przyjacielu, do rozpoznania – powiedział skrzekliwie wyższy. Potem odchrząknął.

A on, to znaczy Prewitt, ten nie rozpoznany przyjaciel, podszedł do nich z wolna. Pomyślał, że oto teraz, przez ułamek minuty wyjęty z przebiegu czasu, dzięki czysto przypadkowemu sprytowi z ich strony, a głupocie z jego, trzymają wszystko w swoich rękach. Coś, co zaczęło się prawie rok temu od szefa trębaczy Houstona i wiodło poprzez „Dynamita” Holmesa i boks do Obróbki i Ike'a Galowicza, a dalej do Obozu i Jacka Malloya,

i nieboszczyka „Grubasa” Judsona, i wielu innych rzeczy przedtem i potem, na koniec zaś tutaj, gdzie przez ułamek minuty, który był punktem bieżącym czasu w paśmie czasu, nie będącym właściwie pasmem, tylko nieskończonym szeregiem punktów – czterej obcy ludzie trzymali wszystko w swoich rękach, nawet o tym nie wiedząc.

– Stój! – powtórzył ten wyższy. Czworogiem oczu i dwoma otworami luf pistoletowych obaj wpatrywali się w niego ostrożnie.

– W porządku, Harry – powiedział wyższy nieco ufniej. – To żołnierz. No, przynajmniej tyle.

Żandarm stojący i wpatrujący się w niego sponad thompsona usiadł na powrót i nastąpił jakby niedosłyszalny odgłos wielkiego odprężenia, niczym potężne westchnienie ulgi.

– Zgaś ten boczny – powiedział wyższy. W słabszym świetle podeszli do niego we dwóch.

– Co tu robicie, do cholery, kolego? – zapytał z oburzeniem wyższy. Był młodszym sierżantem, a drugi kapralem. – Napędziliście nam pietra, żeśmy się o mało nie sfajdali. Dostaliśmy telefon z pozycji numer szesnaście, że coś się rusza na polu golfowym, i myśleliśmy, że mamy cały batalion spadochroniarzy na karku.

Wtedy zrozumiał. Ktoś zobaczył jego sylwetkę na tle niebieskich świateł tamtego wozu patrolowego, który obserwował przystanąwszy na polu golfowym. Ktoś z kompanii G. Psiakrew, jeżeli człowiek ma się za takiego wytrawnego żołnierza piechoty, powinien to przewidzieć.

– Wracam na swoją pozycję – odrzekł.

– Aha. Którą pozycję?

– Numer osiemnaście. Dalej przy drodze.

– Uhm, osiemnaście. Jaka jednostka?

– Kompania G, n-ty pułk piechoty. Młodszy sierżant odprężył się nieco bardziej.

– A czy kompania G n-tego pułku piechoty nie wie, że obowiązuje godzina policyjna?

– Tak jest.

– To co, do cholery, robicie poza swoją pozycją?

– Właśnie wracam od mojej *wahine*. Ona mieszka o tu, niedaleko – skinął głową w stronę pola golfowego.

– Przepustkę macie?

– Nie.

– Nie ma przepustki – powiedział drugi stanowczym głosem. – No, jazda, bierzmy go i skończmy z tym. – Był zadzierzysty. Widocznie już się dobrze odprężył. Przedtem miał

porządnego stracha, więc teraz był zadzierzysty. Schował pistolet do kabury.

– Nie tak ostro, kapralu Oliver – odezwał się młodszy sierżant.

– Mnie obojętne – odparł kapral.

– Kto dowodzi pozycją numer osiemnaście, przyjacielu? – zapytał młodszy sierżant.

– Młodszy sierżant Choate. Dwaj żandarmi spojrzeli po sobie.

– Harry, wiesz, kto dowodzi osiemnastką? – zawołał młodszy sierżant w stronę dżipa.

– Nie – odrzekł Harry. – Ale możemy się raz-dwa dowiedzieć.

– Okej – powiedział młodszy sierżant. – Zawieźmy go tam.

– Mnie obojętne – rzekł kapral. – Ale powiadam, żeby go zabrać na nasz posterunek.

On mi się nie podoba, Fred. Patrz na ten mundur. Garnizonowy i wykrochmalony jak złoto. Co on robi w garnizonowym mundurze? Nie widać na nim żadnego zgniecenia od worka. Ten mundur nie był w worku, odkąd wyszedł z pralni.

– Nic nie zaszkodzi, jak go zawieziemy na pozycję – powiedział młodszy sierżant.

– Mnie obojętne – rzekł kapral. – Ale zaszkodzić może nielecho, jeżeli nam zwieje.

– Jakże może zwiać nam czterem, na miłość Boga?

– A jeżeli gdzieś zwędził ten ładniutki, czysty mundurek? – zapytał kapral. – Może to jakiś sabotażnik? A jego kumple czekają gdzieś przy drodze, żeby nas zrobić? Mnie obojętne. Ale skąd wiemy, czy to nie szpieg albo co?

– No, co wy na to przyjacielu? – zapytał młodszy sierżant. – Macie przy drodze kumpli, którzy czekają, żeby nas zrobić?

– Rany boskie, przecież nie jestem szpiegiem. Czy ja wyglądam na szpiega?

Tego nie przewidział. Że mogą wziąć go za ewentualnego szpiega. To byłoby naprawdę dobre.

– Ale skąd my mamy wiedzieć, do cholery, że nie jesteście szpiegiem? – zapytał kapral. – Mnie to obojętne – dodał.

– Słusznie – powiedział młodszy sierżant. – A bo my wiemy? Może być nawet samym Todzo.

– Może się szykuje, żeby wysadzić w powietrze pałac gubernatora albo co – rzekł kapral. – Mnie obojętne, ale powiadam, żeby go zabrać na posterunek. Wtedy to już nie będzie nasza odpowiedzialność.

– E, jaki on tam szpieg – powiedział z niesmakiem młodszy sierżant. Nie schował pistoletu do kabury; zwiślał mu on wzdłuż boku na linewce, na długość ramienia.

– Masz jakiś dowód przy sobie, bracie? Żebyśmy mogli stwierdzić, kim jesteś?

– Nie.

– Nie macie nic?

– Nic.

– To niestety będziemy musieli was zabrać – powiedział młodszy sierżant. – Powinniście mieć jakiś dowód. Bardzo mi przykro to robić. No, ale nie możemy pozwolić, żeby każdy, kto chce i nie chce, ganiał sobie po nocy bez żadnej legitymacji, jak gdyby był generałem.

Ano, tego się spodziewał. Była to tylko próba na chybił trafił. Ale ten młodszy sierżant to jakiś porządny gość i już mało brakowało. Więc popróbował.

– Chwileczkę. Posłuchajcie, koledzy. Przecież wiecie, że nie jestem żadnym szpiegiem. Służę w tej armii sześć lat. I mam zamiar odsłużyć jeszcze dwadzieścia cztery. Ale dobrze wiecie, co robi szef żandarmerii, jak mnie tam zabierzecie. Wsadzi mnie do Obozu jak beton. A przecież wojna i wojsko potrzebuje każdego człowieka, jakiego może dostać. To, że ja pójdę do Obozu, nie przysłuży się wojnie. A na tę wojnę czekałem sześć lat. Proszę was, dajcie mi szansę.

– Trzeba wam było pomyśleć o tym wszystkim, zanim wyprysnęliście – odparł kapral.

– Gdyby był cień możliwości, że jestem szpiegiem, to co innego. Ale wy przecież wiecie, że nie jestem żadnym szpiegiem ani niczym takim.

– Wiedzieliście, jakie są rozkazy – rzekł kapral. – Wiedzieliście, że jest godzina policyjna. A mimo to wybraliście się do swojej pindzi. W porządku. Wiadomo wam było, co was czeka, jeżeli was złapią. Poza tym jak wy chcecie, żebyśmy wiedzieli, coście za jedni? Mnie obojętne, ale możecie powiedzieć, że jesteście nie wiadomo czym. Każdy wie, że kompania G n-tego pułku jest tutaj na pozycjach.

– Zamknij się, Oliver – rzekł młodszy sierżant. – Kto jest dowódcą tego patrolu: ty czy ja? To, coście powiedzieli o Obozie – zwrócił się do Prewa – to święta prawda. Nie ma sensu pakować człowieka gdzieś, gdzie się na nic nie przyda, kiedy jest wojna, ani też za takie głupstwo jak to. To byłoby marnowanie cennych zasobów ludzkich. To byłoby głupie!

– Pewnie, że głupie!

– Ale jednocześnie muszę mieć pewność. Nie macie żadnego dowodu przy sobie, co? Żebyście mieli chociaż cokolwiek. Bo musimy mieć pewność. Byle co, aby się wylegitymować.

– Nie – skłamał. – Nie mam nic – powiedział dotykając palcami w kieszeni, pomiędzy nabojami, swej starej, zielonej, wystrzępionej stałej przepustki. Tego byłego paszportu. Tej niegdysiejszej wizy do ziemi obiecanej, którą wszyscy rzekomo uważali za pustynię, udawali, że chcą się z niej wydostać. Tej zeszłorocznej karty członkowskiej, która tego roku nie daje już wstępu do Klubu – dlaczego, u licha, nie pamiętałeś, żeby opłacić składki; przecież za tę kartę i jeszcze pięć centów mógłbyś kupić sobie dobre dziesięciocentowe cygaro. Tej karty,

która dlatego że wszyscy, co nie zwiali, musieli miesiąc temu zwrócić swoje, była teraz nie tylko bezużyteczna, ale wręcz niebezpieczna do pokazania. To dobry kawał. Chyba najlepszy jak dotąd. Wardenowi to by się na pewno podobało.

– W takim razie po prostu musimy was zabrać – powiedział młodszy sierżant.

Popróbował raz jeszcze.

– A nie moglibyście zawieźć mnie na pozycję numer osiemnaście? Żeby mnie tam zidentyfikowali?

– Owszem, to mógłbym zrobić – odrzekł młodszy sierżant.

– Przysięgam wam, że mnie tam znają – zaklął się. Bo gotów był pójść na to. Nie chciał. Ale by! gotów. Z przyjemnością. Nie był znów taki dumny. Co za różnica, że „Wódz” Choate odeśle go na stanowisko dowodzenia, kiedy już spławi żandarmów? Albo jeśli on sam tam pójdzie z własnej woli? Czy mu nie wszystko jedno?

– Nie masz prawa ryzykować, Fred – odezwał się kapral. – Mnie obojętne. Ale idzie o tego gościa.

– On ma rację – odparł Fred. – Nie wolno mi ryzykować. Jeżeli nie macie żadnego dowodu, będziemy niestety musieli was zabrać.

– No, róbcie coś, rany boskie – odezwał się obojętnie Harry z dżipa. – Czas ucieka.

– A ty się zamknij! – huknął Fred, młodszy sierżant. – To moja rzecz. Ja za to odpowiadam, nie ty.

– Chyba będziemy musieli cię zabrać, bracie – powiedział niechętnie. Podniósł pistolet, który wciąż zwisał na długość ręki, i bez przekonania wskazał nim w stronę dżipa.

– Czy wy nie wiecie, że nie jestem szpiegiem?

– Pewnie. Wiem. Ale cóż.

– I wyjmijcie, do cholery, te ręce z kieszeni – powiedział z niesmakiem kapral. – Mnie obojętne, ale jak dawno służycie w wojsku, przyjacielu, że trzymacie ręce w kieszeniach?

– No, idziemy – powiedział młodszy sierżant.

Ano, więc stało się. Dobra. Niech tak będzie. Mógł jeszcze uciec i obejść ich dookoła. Było ich tylko czterech. I przekraść się przez szosę. Nie będą go szukali po drugiej stronie szosy. I stamtąd przedostać się w kierunku wschodnim. Więc tak to jest. Teraz już się nie cofną. Teraz już za nic by się nie cofnęli.

– Idziemy, bracie – powiedział młodszy sierżant znów popędzając go bez przekonania pistoletem. – Chodźmy.

Uczył wysiłek, by jego umysł, dotąd rozluźniony olejem mineralnym ufności, zatwardził się i zastępnął w to dawne zwarte, czyste, twarde, kryształowe coś, co było cechą Harlanu w Kentucky oraz jedynym darem, jaki ojciec dał mu w ciągu całego życia, a i to

nieświadomie, bo w przeciwnym razie próbowałby go zapewne odebrać.

– Mówię, wam, żebyście wyjęli ręce z kieszeni, cholera jasna – powiedział z niesmakiem kapral.

Wyszarpnął z kieszeni ręce, z rewolwerem Almy w prawej, lewą wyrwał młodszemu sierżantowi pistolet, którym ten go nadal popędzał, i cisnął go daleko na drugą stronę szosy, a prawą ręką trzasnął! lufą rewolweru w szczękę kaprala w hełmie.

I oto Prewitt, z cudownym uczuciem wolności w ramionach i nogach – bez więzów, bez kajdanków, bez łańcuchów, bez kaftana bezpieczeństwa, oddychając swobodnie, czując się tak wolnym, iż niemal uwierzył, że naprawdę jest wolny, pognał swobodnie, bez przeszkód w noc, w równię i mrok pola golfowego Waialae, na Terytorium Hawajów, poprzez bez– drzewną przestrzeń, piaskowe wzgórki i kępy traw. Gdzieś tutaj niedaleko powinien być być duży dół wykopany w piasku.

Biegnąc szybko, co sił, obejrzał się na moment przez ramię i zobaczył tamtych dwóch wciąż jeszcze stojących w błękitnym świetle reflektorów. Tego nie powinni byli zrobić – zarejestrował automatycznie jego umysł; powinni byli zaraz odskoczyć w ciemność, przecież mógł zastrzelić ich obu nawet z tego rewolweru, którego nie znał.

A potem, w tym ułamku sekundy, gdy się oglądał, uświadomił sobie, iż tamci jeszcze nie wiedzą, że ma broń, a zatem, praktycznie biorąc nie popełnili błędu. Przynajmniej żadnej lekkomyślności. Przez to był mniej dotknięty w swym poczuciu właściwego postępowania. Niewiedza była wybaczalna. Natomiast dobry żołnierz nie powinien nigdy dopuszczać się lekkomyślności.

Młodszy sierżant Fred wrzeszczał:

– Zawracać do zakrętu! Tam jest telefon polowy!

Kapral, trzymając się lewą ręką za szczękę, dźwignął się chwiejnie z klęczek, i zanim całkiem wstał, już błysnął jaskrawy, wesoły czerwony ognik jego czterdziestki piątki.

Prew przestał się oglądać i biec prosto przed siebie, natomiast zaczął kluczyć zygzakami czując ochotę do śmiechu. Poczynali sobie dobrze. Z wyjątkiem tego jednego błędu, że nie wycofali się ze światła, brali się do rzeczy doskonale. I szybko. Gdzież jest, u licha, ten dół?

– Wszystkich ludzi, jakich mają pod ręką! – ryczał Fred, młodszy sierżant. – I zaalarmować wszystkie pozycje na plażach! To nie był żołnierz. – Zawarczał silnik dżipa. – Nie, nie teraz, durniu! Najpierw światło! Ten boczny! Zapal boczny!

Niedaleko po lewej Prew dojrzał dół w piasku.

A potem zabłysnął boczny reflektor szczelinowy.

Zatrzymał się i obrócił twarzą do nich.

Prawie jednocześnie, z siedzenia obok kierowcy, thompson Harry'ego zamrugał swym wielkim pojedynczym okiem, serią mrugnięć, która miała w sobie całą sztuczną, chytrą wesołość przekrwionej źrenicy jednookiego pijaka.

Prewitt stał twarzą do nich, prawie na samej krawędzi dołu.

Może zdarzyło się tak dlatego, iż Fred, młodszy sierżant, krzyknął, że trzeba zaalarmować pozycje na plażach. Prew miał właściwą piechociarzowi odrazę do myśli, że mógłby dostać się pod ogień własnej jednostki. A może sprawiło to tamto żądanie ściągnięcia wszystkich ludzi, jakich mają pod ręką. Była przecież jeszcze ta droga na grobli przez słone bagna i w wyobraźni ujrzał już na niej stłoczone w oczekiwaniu dżipy, migoczące błękitnymi światłami niczym choinka bogacza – a przecież biegł już tak długo, że zaczynało mu brakować tchu. A może stało się to dlatego, że nagle poczuł dla nich takie serdeczne uznanie za sposób, w jaki to załatwiali, tyle zaufania do ich biegłości, że prawie był z nich dumny, bo radzili sobie doskonale, bo był to kawałek dobrej, wytrawnej roboty. Sam nie zrobiłby tego lepiej. Oni się znali na rzeczy. A może sprawiły to po prostu ostatnie słowa, które wykrzyczał sierżant: „To nie był żołnierz.”

Możliwe też, że był to jedynie mechaniczny odruch, wywołany przez goniący go reflektor – instynktowny odruch kentukiańczyka, który jest otrzaskany z faktem, że strzelają do niego swoi, ale ma niemal religijną odrazę do tego, by strzelano mu w plecy.

Tak czy owak, obracając się wiedział, że mruga doń thompson Harry'ego.

Stojąc tam te parę sekund mógł dwukrotnie wystrzelić ze swego rewolweru i zabić ich dwóch, Freda i kaprała, którzy w świetle reflektorów byli wyborynym celem. Jednakże nie strzelił. Nawet nie miał ochoty strzelać. W ogóle nie przyszło mu do głowy. Oni też przecież byli Armią. A jakże ktoś mógłby zabijać żołnierza za to, że wykonuje prawidłowo i wytrawnie swoją robotę? To słowo: „zabić”, jest najwstrętniejsze w całej mowie. Już raz zabił. I to nie dało nic dobrego. Mimo że było uzasadnione i że tego wcale nie żałował, nie dało jednak nic. Może nigdy nie może nic dać. Tamto trwało nadal. A jeżeli tamtego zabić nie można, nie będzie zabijał niczego. Można zabijać, zabijać i zabijać. Nie stanie się wyznawcą tego słowa. A oni przecież są Armią. Nieprawda, że wszyscy ludzie zabijają to, co kochają. Prawdą jest, że każda rzecz zabija tych, którzy ją kochają. Co ostatecznie jest tak, jak powinno być.

Coś po trzykroć przewierciło mu boleśnie skosem pierś i runął w tył do dołu, a thompson Harry'ego przerwał swą krótką serię, która zdawała się trwać tak długo.

„Widzisz, Jack, nauczyłem się. Nauczyłem.” Dół był głęboki, jego bok stromy, a on spadł głową naprzód i przetoczył się na twarz w piasku na dnie. W piersi czuł tępy ból, ale to nie było specjalnie przykre. Słyszał, że się zbliżają, i nie chciał, żeby go tak zobaczyli. Nie

twarzą w piasku. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, ale pomagając sobie nieco łokciami zdołał przekręcić się na wznak i zesunął się niżej, gdzie piasek był poziomy. Wtedy był już gotowy. „Tak, Jack, nauczyłem się.”

Tak będzie wyglądał lepiej. I będzie mógł na nich patrzeć. „Na pewno nigdy nie myślałeś, że się nauczę, co Jack?”

– Po prostu stanął – mówił wciąż jeszcze wstrząśnięty głos Harry'ego, gdy podchodzili. – Po prostu stanął. Ja nie strzelałem do niczego w szczególności. Zwyczajnie strzelałem. I wtedy zapalił się reflektor. A on stanął.

Rad był, że zdołał przekręcić się na wznak i zesunąć niżej na piasek, gdzie było równo. Więc stało się, więc to jest to. Przypomniała mu się matka leżąca na łóżku. No, miałeś do czego strzelać, chłopcze. Człowiek zawsze się zastanawia, jak też to przyjdzie. I zawsze myśli, że to będzie coś specjalnego. Czego sobie nie wyobraża, to tego, że będzie jakieś takie codzienne. Jak wypróżnienie. Czy wydawanie pieniędzy, albo skręcanie papierosa. Po prostu zwykłe, pospolite, codzienne. Wyczekujesz tego z lękiem, czekasz i czekasz przez całe życie, a potem to w końcu przychodzi, i zawsze miałeś nadzieję, że zdołasz to zrobić dobrze, i wreszcie przychodzi, i już jest, i teraz możesz się przekonać, czy potrafisz zrobić to jak należy. Tylko nie przewidziałeś, że to będzie takie codzienne! Byłoby o wiele łatwiej zrobić to dobrze, gdyby było czymś specjalnym. Ucieszył się, gdy zobaczył ich głowy nad krawędzią dołu, i patrzył, jak opuszczali się po zboczu. O wiele łatwiej zrobić to dobrze, gdy ma się widzów.

– O Jezu – powiedział kapral. – Te thompsony rzeczywiście paskudnie rozkwaszają człowieka.

– Przecież wiecie, że wcale nie chciałem go zastrzelić – mówił Harry. – Po prostu się zatrzymał. Ma się po tym gówniane uczucie.

„To się nazywa bierny opór, żołnierzu. Prawda, Jack?” Zdawało mu się, że sunie w dół na nartach po długim, śnieżnym zboczu. I czuł, że już zaczyna wydostawać się z siebie. A potem zwolnił i przestał zjeżdżać, jakoś ostrożnie, jak gdyby coś jeszcze niezupełnie się zdecydowało, i zaczął odrobinę zawracać. Więc to jest tak. Kto by pomyślał, że to jest tak. Rad był, że zdołał podźwignąć twarz z piasku.

– Już skonał? – zapytał kapral.

– Jeszcze nie – odrzekł Fred.

– Patrzcie – powiedział kapral. – Miał broń. Leży tam w piasku. Nie strzelał?

– Po prostu stanął – odparł Harry.

– Chcesz, żebym go obszukał? – zapytał kapral.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Fred.

„Ten Fred. To dobry chłop. On zrozumiał.” Dobrze, że go nie znaleźli twarzą w piasku. Chciał coś powiedzieć, coś zrobić, coś dobrego, może jakiś żart, który by im pokazał, jak dobrze potrafił to znieść. Ale kiedy spróbował przemówić, okazało się, że nie może. „Nie mogę nawet mówić. Ani się ruszyć. Mogę tylko leżeć i patrzeć na nich. Więc jednak nie będzie widzów. No, to nie potrwa długo. Jeszcze tylko małą chwilę.”

Zrobiło mu się żal, że nie zdołał przeczytać reszty tamtych książek. I przykro, że te, które przeczytał, idą na marne. Miał jakoś nadzieję, że się na coś przydadzą. Najgorsza była myśl, że po tym wszystko będzie trwało nadal. Alma. I Warden. I gdzieś tam Maggio. Wszystko będzie dalej trwało. Był samolubny. Nie chciał, żeby to nadal trwało.

Kto by przypuścił, że to się będzie tak ciągnęło? Chociaż był cały poszarpany, trwało to długo. „Moje ciało jest całe poszarpane. Moje ciało.” Nie chciał, żeby jego ciało było całe poszarpane.

„Możesz już dać spokój, jeżeli chcesz. I tak się nie dowiedzą. Nie możesz mówić. Nie możesz się ruszyć. A to za długo trwa. I ciało masz całe poszarpane. Na strzępy. Całe poszarpane. A oni i tak nie będą wiedzieli.”

„Ale ty będziesz wiedział. Musisz to zrobić dobrze. Już nie bardzo długo. Jeszcze minutę. A chcesz zrobić to dobrze. Nawet choćby nikt nie miał wiedzieć. Jeszcze jedna minuta. Potem się skończy. Potem już będzie po wszystkim.”

Leżał złany potem i przymusił się, żeby spojrzeć temu w oczy. Temu, że będzie po wszystkim. Spojrzeć temu w twarz ociekając potem.

„Boję się.”

„Gdybyś chociaż mógł coś powiedzieć. Jedno słowo. Gdybyś bodaj mógł poruszyć się trochę. Gdybyś mógł zrobić cokolwiek, a nie tylko tak leżeć i patrzeć na nich, patrzeć na to. Boże, na świecie jest bardzo samotnie.”

Ale potem, jak gdyby obdarzony podwójnym widzeniem, uświadomił sobie, że to jednak nie skończy się w gruncie rzeczy, że nie skończy się nigdy. „Nie ma nawet tej pociechy” – pomyślał z trudem. Przypomniał sobie, że mu to kiedyś przyszło do głowy, dawno temu, tamtego dnia, kiedy był u Choya z Redem. Że zawsze jest nie kończący się łańcuch nowych rozstrzygnięć. To było słuszne. Pokrzepiła go myśl, że miał rację.

– Człowieku, ale te thompsony ich rozkwaszają – powiedział kapral Oliver. – Jeszcze nie skonał.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego się zatrzymał – powiedział Harry tonem skargi. – Ani dlaczego nie strzelał. Człowiek się po tym czuje jak ostatni drań. Przecież nie wiedziałem, psiakrew. Zwyczajnie strzelałem. Nie wiedziałem, naprawdę. Słyszysz, Fred? – Harry Temple chlupał nerwowo.

– Fred, Fred, słyszysz?

– Cicho – odpowiedział Fred Dixon.

– Naprawdę, Fred, Fred, słyszysz?

– Mówię ci, siedź cicho – rzekł Dixon. Klepnął go po ramieniu.

– Uspokójże się.

– Może go obszukam – powiedział Tom Oliver.

– Odejdź tam i usiądź sobie, Harry – rzekł Dixon. – Oliver, znalazłeś coś?

– Jeszcze nie – odparł Tom Oliver. – Wiedziałem, że to nie żołnierz. Zaraz, chwileczkę! Patrzajcie. Stara przepustka. Nie mówiłem, że ten mundur dziwnie wygląda? On zwiął z wojska, ot co.

– Aha – powiedział Fred Dixon. – A co tam napisane?

– „Szeregowiec Robert E. L. Prewitt, kompania G, n-ty pułk piechoty”

– odrzekł Oliver. – Więc to jednak był żołnierz.

– Tak – powiedział Dixon. – Próbował wrócić do oddziału. No, trzeba się z nimi skomunikować i wezwać kogoś, żeby zidentyfikował te zwłoki. Chodź, Harry. A ty, Tom, zostań tutaj. Podjedziemy do telefonu polowego.

Warden był w namiocie kancelaryjnym, kiedy zadzwonił telefon. Posłał Rosenberry'ego po Russela i pojechał sam. Porucznik Ross udał się z Pete'em Karelsenem na cały dzień do Schofield, żeby zobaczyć się z pułkownikiem i poprobować przywrócić Pete'a na dawną funkcję, i jeszcze go nie było. Warden był zadowolony, że nie wrócili.

– Zaopiekujcie się kancelarią do mojego powrotu – powiedział do Rosenberry'ego. – Notujcie mniej ważne telefony. Wszystkie ważne przełączajcie od razu do dowództwa batalionu.

– Rozkaz – powiedział spokojnie Rosenberry.

– Chodź, Russell. Masz dżipa?

– No, to stary Prewitt nie żyje – powiedział Russell, kiedy znaleźli się na drodze. – Naprawdę myślicie, że to Prewitt, szefie?

– Nie wiem. Niedługo się przekonamy. To jest zaraz na tym końcu pola golfowego – powiedział.

Nie odzywał się więcej przez resztę drogi, dopóki nie przyjechali na miejsce.

– O, tutaj – rzekł wreszcie.

Przy szosie widać było całe zgrupowanie niebieskich reflektorów i latarek. Nie mogliby go przeoczyć. Znajdowało się o jakieś czterdzieści jardów od szosy.

– Podjedźcie do nich – rzekł Warden.

– Tak jest – odparł Russell i włączył drugi bieg.

Zastali tam dżipa patrolowego, dwa inne dżipy, dwóch kapitanów, majora i podpułkownika. Wszyscy stali nad dołem.

– Pan jest dowódcą kompanii G n-tego pułku piechoty? – zapytał go podpułkownik, kiedy razem z Russellem wyskakiwał z wozu.

– Nie, panie pułkowniku. Jestem sierżantem-szefem.

– Sierżantem-szefem! – powiedział podpułkownik. Spojrzał na jego naszywki. – A gdzie wasz dowódca kompanii?

– Wyjechał służbowo, panie pułkowniku.

– No, a inni oficerowie?

– Wszyscy wyjechali służbowo.

– To nie do wiary! – wykrzyknął podpułkownik – Przecież wszyscy nie mogli wyjechać służbowo!

– Panie pułkowniku, mamy dziesięć– albo piętnastomilowy odcinek pozycji nadbrzeżnych, które trzeba kontrolować.

– No tak – rzekł podpułkownik. – Ale nam tutaj potrzebny oficer. To poważna sprawa.

– Panie pułkowniku, jestem upoważniony do działania we wszystkich sprawach w razie nieobecności oficerów naszej kompanii.

– Ma pan odpowiedni rozkaz na piśmie?

– Tak jest – odrzekł Warden. – Ale nie przy sobie.

– No cóż – powiedział podpułkownik. Potem dodał: – Czy pan znał osobiście tego człowieka, sierżancie?

– Tak jest.

Russell wlaźł do dołu i przykucnąwszy rozmawiał z dwoma żandarmami z patrolu.

– No to może pan zejdzie i rozpozna go – powiedział podpułkownik. Warden zszedł do rowu i popatrzał. Jeden z żandarmów zaświecił błękitną latarką.

– To Prewitt, panie pułkowniku. Był nieobecny bez zezwolenia od dwudziestego października.

– Więc pan go identyfikuje? – zapytał podpułkownik. – Oficjalnie?

– Tak jest. – Warden wydrapał się z dołu.

– Szkoda, że nie ma oficera – rzekł podpułkownik. – Taka rzecz jest poważna. No, dobrze – powiedział i trzymając w ręku jakiś papier przesunął się w niebieski reflektor jednego z dżipów. Był wysokim szczupłym mężczyzną. – Niech pan to podpisze, sierżancie. – Dziękuję – mówił dalej. – A tu są przedmioty znalezione przy tym człowieku. Kazałem je wyszczególnić. Proszę, żeby pan i to podpisał.

– To wszystko, panie pułkowniku? – zapytał Warden.

– Oczywiście pan zdaje sobie sprawę – mówił podpułkownik – że moi ludzie nie są pod żadnym względem odpowiedzialni za to, co się stało. Postąpili zgodnie z przepisami. To zresztą wyjdzie w toku dochodzenia.

– Tak jest – powiedział Warden.

– Ten człowiek był najwyraźniej dezercerem – mówił podpułkownik.

– Kiedy moi ludzie próbowali zabrać go ze sobą, wyrwał się i rzucił do ucieczki. A potem, jak zaczęli strzelać, przystanął i obrócił się prosto w linię ich ognia. Szkoda, że nie mamy tu oficera. Proszę powiedzieć waszemu dowódcy kompanii, żeby jutro zajechał do komendy żandarmerii i zobaczył się ze mną. Moje nazwisko: podpułkownik Hobbs. No, dobrze, niech pan to podpisze, sierżancie. Pokwitowanie tych rzeczy. Oczywiście nie wiem, jakie orzeczenie wyda komisja śledcza. Zostaniecie o tym poinformowani.

– Panie pułkowniku – rzekł Warden – może przez wzgląd na krewnych tego człowieka byłoby lepiej stwierdzić po prostu, że zginął w czasie pełnienia służby. Wtedy można by pominąć nazwiska pańskich ludzi i w ten sposób zrobiłoby się koło tego mniej hałasu.

Podpułkownik spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– To znakomita myśl. Szczerze mówiąc, sam miałem o tym wspomnieć.

– Tak jest – powiedział Warden.

– Ale oczywiście – dodał ostrożnie podpułkownik – pan sobie zdaje sprawę, że nie mam absolutnie żadnego wpływu na orzeczenie komisji.

– Jasne, że nie, panie pułkowniku – odrzekł Warden.

– To chyba będzie wszystko, sierżancie. Ciało oczywiście zabierzemy do kostnicy.

– Do której, panie pułkowniku?

– Tej, co zawsze. Zapomniałem, jak się nazywa. Pan wie, o którą mi idzie. O tę, w której wojsko zawsze załatwiało te sprawy przed wojną.

– Tak jest.

– Ma się rozumieć, zostanie pochowany tutaj. Prawdopodobnie na cmentarzu Red Hill. Tym wszystkim zajmiemy się później.

– Panie pułkowniku – powiedział Warden służbowym tonem

– Chciałem złożyć oficjalną prośbę, żeby ciało pochować na stałym cmentarzu wojskowym w Schofield Barracks.

Podpułkownik znów mu się przyjrzał.

– Na jakiej podstawie, sierżancie?

– Na żadnej, panie pułkowniku – odparł Warden. – Tylko że mój dowódca kompanii na pewno by tak wolał. Nasza kompania ma już innych ludzi pochowanych na tym cmentarzu.

– Cmentarz w Schofield jest cmentarzem stałym – rzekł podpułkownik. – Jak mi się zdaje, mówił pan, że ten człowiek ma rodzinę. Od ataku na Pearl Harbor wszystkie prowizoryczne pogrzeby odbywają się na cmentarzu Red Hill.

– Tak jest, ale upłynie sporo czasu, zanim będzie można przewozić jakiegokolwiek zwłoki do kraju, panie pułkowniku. Prawdopodobnie dopiero po zakończeniu wojny. Ten człowiek miał za sobą co najmniej osiem lat służby – skłamał.

– Aha – rzekł podpułkownik. – No, cóż – rzekł w końcu. – Myślę, że będę mógł to zrobić dla pana. Ja także jestem starym żołnierzem, sierzancie.

– Tak jest, panie pułkowniku – rzekł Warden. Podpułkownik zapisał sobie coś w notesie.

– No. Może pan tylko podpisze odbiór tych rzeczy. Nie ma tam nic oprócz portfelu, małego scyzoryka, tej przedawnionej stałej przepustki i łańcuszka z jednym kluczem. Proszę podpisać tutaj.

– I to wszystko, panie pułkowniku? – zapytał Warden.

– Z wyjątkiem pistoletu, który oczywiście muszę skonfiskować. No i naboju. – Podał mu pióro. – Proszę podpisać.

Warden nie wziął pióra.

– Chcę się upewnić, że to wszystko, panie pułkowniku.

– Sierzancie, przecież panu powiedziałem, że tak – zmarszczył brwi podpułkownik. – Więc może pan teraz...

– Za pozwoleniem pana pułkownika. – Młodszy sierżant, dowódca patrolu, podszedł do nich i zsalutował.

– Słucham, sierzancie Dixon – powiedział niecierpliwie podpułkownik. – O co idzie?

– Panie pułkowniku, zdaje się, że był jeszcze jeden przedmiot, którego nie ma na liście.

– Był? – zapytał podpułkownik. – A dlaczego mi przedtem nie powiedziano? – dodał surowo.

– Jakoś się to wymknęło w zamieszaniu, panie pułkowniku.

– A co to za przedmiot?

– Mały czarny notes kieszonkowy, panie pułkowniku – odparł młodszy sierżant. – Ostatnio widziałem go, jak leżał na siedzeniu naszego dżipa.

– W takim razie jestem zmuszony przeprosić pana, sierzancie – powiedział podpułkownik do Wardena.

– Nic nie szkodzi, panie pułkowniku – odrzekł Warden.

– Przyniosę go, sierzancie – powiedział dowódca patrolu.

– Pójdę z wami – odparł Warden.

Doszedłszy do dżipa musieli zapalić latarkę, żeby odszukać notes. Spadł z siedzenia kierowcy na podłogę.

– O, proszę, sierżancie – powiedział dowódca patrolu. Kiedy podniósł notes, wypadła z niego jakaś kartka.

– Chwileczkę – rzekł Warden. Wziął od niego latarkę i podniósł kartkę.

– Nie zauważyłem – usprawiedliwił się młodszy sierżant. Warden rozłożył kartkę i poświecił sobie latarką. Wyglądało to na krótkie linijki rymowanego wiersza, poematu. U góry był tytuł wypisany drukowanymi literami: PIEŚŃ NADTERMINOWYCH. Nie próbował tego czytać. Złożył kartkę, wsunął ją do kieszeni koszuli, starannie zapiął guzik i przejrzał notes. Nie było w nim nic prócz długiej listy książek pod

nagłówkiem: DO PRZECZYTANIA. Jakoś wpośród tego wszystkiego poczuł przelotnie odrębne, niejasne zdziwienie, że między rzeczami Prewitta znajduje listę takich książek. Większość ich sam czytał w tym czy innym okresie. Ale nie spodziewał się, żeby Prewitt mógł chcieć je przeczytać.

– Wiecie, sierżancie – powiedział dowódca patrolu, gdy Warden chował notes do drugiej kieszeni – nam jest bardzo przykro z tego powodu. – Rozejrzał się i ciągnął zniżonym głosem: – Harry Temple, ten starszy szeregowiec, który strzelał, całkiem się rozkleił. To nie to samo co jakiś Japoniec czy coś takiego. Pewnie myślicie, że kłamiemy. Ale on naprawdę tak zrobił. Obrócił się prosto w nasz ogień.

– Ale co zrobił złego? – zapytał Warden.

– Nic – odparł młodszy sierżant. – Uciekał. Kapral Oliver, mój zastępca, strzelił dwa czy trzy razy. A on wciąż biegł. I wtedy Harry Temple otworzył ogień z thompsona. Zwyczajnie strzelał. I w tym momencie zapalili reflektor. A ten wasz nagle stanął i obrócił się prosto w ogień. Miał w ręku pistolet, ale chyba go nawet nie podniósł. Znaleźliśmy go w piasku dopiero później. Wiecie, jakie są te thompsony. Wałą jak z sikawki. On stał na samym brzegu tego dołu. Mógł przecież zeskoczyć do środka. Pewnie myślicie, że kłamię?

– Nie – odparł Warden.

– Czy to był wasz przyjaciel?

– Nie – odrzekł Warden. – Przyjacielem nie był.

– No, chciałem, żebyście wiedzieli, że nam jest strasznie przykro.

– Wszystkim jest zawsze bardzo przykro – rzekł Warden. – Po czasie.

– Właśnie – powiedział młodszy sierżant. – On próbował wrócić do swojej kompanii. Mogłem go puścić. A nie puściłem. Bo nie wiedziałem. Nie byłem pewny. Ten piach – powiedział mętnie, a potem powtórzył ze złością: – Ten piach. Ten cholerny piach. Jakaś

pieprzona pustynia.

– To wszystko należy do gry – odparł Warden. – To wszystko było w kartach. Nie wasza wina. Nie myślcie o tym.

– Zamelduję się z prośbą, żeby mnie stąd przenieśli – rzekł młodszy sierżant. – Poproszę, żeby mi dali inny odcinek po drugiej stronie miasta. Nie podobają mi się te cholerne piachy.

– Na Hawajach nie można uciec od piasku.

– No, chciałem tylko, żebyście wiedzieli, sierżancie.

– Okej – powiedział Warden. Położył mu rękę na ramieniu. – Bardzo wam dziękuję.

Wrócił do swego dżipa stojącego nad dołem, gdzie Russell wciąż rozmawiał poważnie z dwoma ludźmi z patrolu. Podpisał odbiór rzeczy na kartce, która leżała na masce. Potem odszukał podpułkownika i zasalutował.

– Czy to już wszystko, panie pułkowniku?

– A podpisał pan odbiór rzeczy?

– Tak jest.

– To chyba będzie wszystko. Znalazł pan ten notes?

– Tak jest.

– Muszę raz jeszcze przeprosić za to przeoczenie, sierżancie – powiedział oficjalnie podpułkownik.

– Nic nie szkodzi, panie pułkowniku – odrzekł oficjalnie Warden.

– Nie lubię, jak się zdarzają takie rzeczy – powiedział podpułkownik. – No to może pan jechać, jeżeli pan chce.

– Dziękuję, panie pułkowniku. – Zasalutował i podszedł do dołu.

– Russell! Chodź, jedziemy.

Kiedy wydostali się z powrotem na szosę i Russell włączył trzeci bieg, Warden obrócił się na siedzeniu i obejrzał na malejącą grupkę świateł. Przyszło mu jedynie na myśl, że tego roku nie będzie żadnych zawodów bokserskich.

– Aż mnie ciarki przechodzą – odezwał się Russell. – Pomyśleć, że mógł przynajmniej zeskoczyć do tego dołu.

Warden obrócił się na powrót. Udało mu się zrobić dla niego chociaż te dwie rzeczy. Że zapiszą to odpowiednio w dzienniku służby i że go pochowają na stałym cmentarzu w Schofield. Gdzie zresztą i tak zostałby pochowany, gdyby ten podpułkownik żandarmerii wiedział, że nie miał żadnych krewnych. A jak go już raz zakopią, nie będą go więcej ruszali.

– Pamięta szef, jak to było wtedy w Hickam? – zapytał Russell.

– Kiedyście się razem spili i posnęli na środku drogi, a ja was o mało nie

przejechałem?

Warden nie odpowiedział. Była jeszcze trzecia rzecz. Wiedział, że powinien pójść zobaczyć się z Lorene. Będzie chciała przynajmniej dostać z powrotem klucz od swojego domu, jeżeli już nie co innego. Tylko że mógł przesłać jej klucz w liście, gdyby odjął łańcuszek.

– O rany, aleście byli wtedy zalani – mówił Russell.

– Aha – odparł Warden. Wolałby dostać baty niż zobaczyć się z nią. Ale wiedział, że pójdzie.

– Jak szef myśli, co go, psiakrew, do tego skłoniło? – zapytał Russell. Warden nie odpowiedział, ponieważ zastanawiał się, dlaczego takie rzeczy zawsze muszą przychodzić seriami.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Milt Warden otrzymał tego rana potwierdzenie swojej nominacji na podporucznika piechoty w oficerskim korpusie zapasowym.

W tej samej poczcie przyszło inne pismo z dowództwa pułku, zawiadamiające kompanię G o rychłym odwołaniu sierżanta plutonu broni ciężkiej, Petera J. Karelsena.

Ale o Karelsenie dowiedzieli się dopiero potem. Porucznik Ross najpierw otworzył nominację Wardena.

Było to pismo z Ministerstwa Wojny, adresowane do dowódcy kompanii G z prośbą o wyrażenie zgody i zaopatrzone w długi szereg paraf. Musiało chodzić drogą służbową na Wyspie jeszcze przed Pearl Harbor. Kiedy porucznik Ross (z wystudiowaną obojętnością) rzucił mu je na biurko, Warden miał minę człowieka złapanego na gorącym uczynku. Jego pierwszym, instynktownym odruchem było podrzeć szybko ten papier, i wepchnąć go na dno kosza do śmieci, nim go ktokolwiek zobaczy. A potem pomyślał o Karen Holmes.

– Będzie pan jeszcze miał kilka papierów do podpisania – uśmiechnął się do niego radośnie porucznik Ross, kiedy Warden mu zwracał dokument.

– I będzie pan musiał złożyć przysięgę. Ale poza tym jest pan już oficerem armii Stanów Zjednoczonych, sierżancie. Moje gratulacje.

– No, jakże pan się czuje? – uśmiechnął się do niego Culpepper.

– A jak mam się czuć, u licha?

– Inaczej – uśmiechnął się Culpepper. – Jakiś konsekrowany. Jak zakonnica.

– Może mi jeszcze wyrosną małe złote skrzydełka? Na dodatek do naszywek?

Wszyscy ściskali mu dłoń. Nawet Rosenberry uparł się, żeby uściskać mu dłoń. I podporucznik Cribbage, jeden z nowych rezerwistów, właśnie przybyły ze swojej pozycji na Makapuu, też ściskał mu dłoń.

– No, kiedy pan zacznie częstować tymi cygarami – uśmiechnął się Cribbage. Był absolwentem uniwersytetu Purdue.

– Sierżant Warden nie będzie częstował cygarami z powodu takiego drobiazgu jak nominacja – uśmiechnął się Culpepper. – Nie zna się pan na ludziach.

– Ale jednak muszę zarobić cygarko na tym awansie – wyszczerzył zęby Cribbage.

– Oczywiście sam pan rozumie, sierżancie – powiedział z uśmiechem porucznik Ross – że to jest tylko korpus zapasowy. Więc niech panu się nie przewraca w głowie. Dalej pan jest moim sierżantem-szefem, dopóki pana nie odeślą do służby czynnej gdzieś w Stanach.

– Ale chłop ma szczęście! – dodał uśmiechając się Culpepper. – Amen – uśmiechnął

się Cribbage.

– O rany boskie – powiedział porucznik Ross. Właśnie otworzył następny list.

– Co się stało? – zapytał Culpepper.

– Niech pan zobaczy – odparł porucznik Ross podając mu list. Obserwując ich Warden znowu pomyślał, jak bardzo to wszystko przypomina jakiś klub, klub młodych dżentelmenów, serdeczny, ciepły, zupełnie bezpieczny, z własnym pogrzejającym zespołem reguł procedury parlamentarnej. List przeszedł całą drabinę służbową od Rossa przez Culpeppera do Cribbage'a; Warden był czwarty na liście, a Rosenberry ostatni.

Kiedy dotarł do Wardena, a ten zobaczył, co w nim jest, nogi trochę się pod nim ugięły. W kopercie znajdował się okólnik ministerstwa donoszący, że wszyscy ludzie w pewnym wieku poniżej stopnia starszego sierżanta, pełniący czynną służbę bojową w odróżnieniu od służby administracyjnej, mają natychmiast zostać skreśleni z listy służby, a ich nazwiska należy przedłożyć do ewakuacji wraz z podaniem o wyznaczenie następców. A to był koniec Pete'a.

Na dobitkę, do okólnika dołączony był za pomocą spinacza powielony fragment specjalnego rozkazu dowództwa pułku z nazwiskami trzydziestu czy czterdziestu ludzi z pułku, którzy mieli być tym objęci, i dwa z tych nazwisk:

Młodszy sierżant Pete J. Karelsen, kompania G

Szeregowiec Ike Galowicz, kompania G były podkreślone czerwonym ołówkiem.

– Boże kochany, jeżeli stracę sierżanta Karelsena, nie będę w ogóle miał plutonu – powiedział Cribbage.

– Rzeczywiście to będzie wielka dziura – rzekł Culpepper. Żaden nie napomknął o Ike'u Galowiczu.

– Chyba polecę rzucić okiem na pozycję numer szesnaście – oświadczył raptem porucznik Culpepper – to już nie będę musiał tam chodzić wieczorem.

– A ja będę wracał na Makapuu, jeżeli nie ma dla mnie poczty – rzekł podporucznik Cribbage.

– Szkoda gadać, szybko się uwinęli – powiedział porucznik Ross, kiedy wyszli. – Jak pan uważa, warto, żebym napisał list?

Rosenberry nareszcie czytał rozkaz.

– List nic nie pomoże – odparł Warden.

– Pewno nie – rzekł z przygnębieniem porucznik Ross. – Cholera jasna! – wybuchnął.

– Przecież nie mogą mi tego zrobić! Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby tracić sierżanta Karelsena! Po prostu nie mogę, i koniec!

– Pete jest w tej kompanii od sześciu lat – zasugerował Warden. – Mógłby pan się na

to powołać.

– Jasne – kiwnął głową Ross. – Przecież mu serce pęknie. Taki stary gość.

Rosenberry w milczeniu położył list z powrotem na biurku.

– Rosenberry! – zawołał z irytacją porucznik Ross. – Wyglądacie mizernie. Jesteście wycieńczeni. Wyraźnie potrzeba wam trochę powietrza. Idźcie przejść się gdzieś.

– Rozkaz, panie poruczniku – powiedział spokojnie Rosenberry.

– Ten chłopak działa mi na nerwy – westchnął porucznik Ross, gdy Rosenberry wyszedł. – Zanadto jest spokojny, psiakrew. No i co my zrobimy?

Mówi się, że starzy żołnierze nigdy nie umierają. Nie przenoszą się do domków przy Kahala Avenue u stóp Przylądka Diamentowego. Kupują sobie wędkę do łowienia ryb w przyboju i wędkę do zarzucania przynęty. Żeby nimi łowić. A swoich dawnych wojskowych karabinów używają do polowania. Przynajmniej tacy, co mają pieniądze, jak Snuffy Cartwright. Pete nie zrobił takich jak on pieniędzy na grze hazardowej albo przynajmniej ich sobie nie odłożył. Za Snuffy'ego odkładała pieniądze żona. Pete nie miał żony. Pete nie miał nawet tych pieniędzy, żeby opłacić gospodynię w średnim wieku, z którą mógłby spać, nie mówiąc już o młodej żonie. I znowu Warden poczuł, jak go przenika zdumiewająco silny skurcz buntu i obawy o Pete'a. Nieżonaty, bezpłodny po syfilisie, bez żadnych oszczędności. Ani żony, ani dzieci, ani cadillaca. I żadnych widoków na przyszłość. Po prostu samotny, stary, emerytowany eks-żołnierz. Warden czuł, że z jakiejś nieokreślonej przyczyny musi go z tego wyciągnąć.

– Pan porucznik powinien zabrać ze sobą Pete'a do Schofield – powiedział do Rossa – i zobaczyć się osobiście z pułkownikiem Delbertem.

Porucznik Ross, który słuchał skwapliwie pochylony do przodu, cofnął się nieco.

– O, wahałbym się zrobić coś tak drastycznego. – Przecież pan chce go zatrzymać, no nie?

Zasadzą Pete'a gdzieś w Stanach do uczenia poborowych, jak się obchodzić z cekaemem, może na rok, może na dwa, może nawet do końca wojny. To będzie miłe, łatwe zajęcie dla starszego człowieka. Tamte pęta będą stawiały takiemu staremu wydze jak Pete tyle piwa, ile mu się pomieści w brzuchu. Będzie mógł upijać się co wieczór. I wiedzieć, że przyczynia się do Wysiłku Wojennego.

– A może by pan pojechał, sierzancie? – zapytał w końcu porucznik Ross. – Jest pan w pułku o wiele dłużej ode mnie.

– Przecież nie mogę, panie poruczniku. Pan jest dowódcą kompanii.

– Słusznie, jestem – powiedział porucznik Ross bez satysfakcji. – Ale pan mnie rozumie, prawda? Chcę zrobić tak, jak będzie najlepiej. Tylko skąd można wiedzieć, czy to

coś da?

– To jedyna szansa.

– Naprawdę pan myśli, że może się udać?

– Musi się udać.

– Ale jeżeli nie, to ja się dostanę na czarną listę w dowództwie, nie pan.

– Ano, co pan porucznik chce robić? Kierować swoją kompanią czy dostać kapitana?

– zapytał Warden.

– Ha, dobrze panu mówić! – zawołał z gniewem porucznik Ross.

– Pan sobie stąd wyjedzie za jakiś miesiąc. Ech, szlag by to trafił!

– krzyknął gwałtownie. – Niech pana licho, sierżancie. W słowach to pan jest mocny.

Podszedł do drzwi i z wyrazem wściekłości na los malującym się na jego smagłej, żydowskiej twarzy, krzyknął:

– Rosenberry!! Co wy robicie, do kurwy nędzy? Dlaczego was tu nie ma? Idźcie do sierżanta Karelsena i powiedzcie mu, że chcę się z nim zobaczyć. A wytrząśnijcie sobie ten ołów z tyłka!

– Sierżant jest na Makapuu, panie poruczniku – powiedział ze spokojem Rosenberry, który też ze spokojem czekał na dworze.

– To weźcie dzipa i jedźcie po niego, psiakrew! – krzyknął porucznik Ross. – Myślicie, że nie wiem, gdzie jest? Co wam się dzisiaj stało, u diabła?

– Tak jest, panie poruczniku – zabrzmiał spokojny, ściszony głos Rosenberry'ego.

– Żeby cholera wzięła tego chłopaka! – powiedział porucznik Ross wracając. Usiadł przy biurku i podrapał się w głowę. – Chyba sam poprowadzę dzipa, a Russella zostawię tutaj. W ten sposób będzie tylko nas dwóch i po drodze będę mógł delikatnie przygotować Karelsena. Nie myśli pan, że tak będzie najlepiej?

– Owszem.

Porucznik Ross wyjął notes i zaczął sobie zapisywać, co ma powiedzieć pułkownikowi. Po zrobieniu kilku notatek mruknął: „Gównno!”, i zaczął je przekreślać.

– Ach, te pańskie mądre pomysły! – rzekł z gniewem. – Sam nie wiem, dlaczego pozwalam panu wmawiać mi takie rzeczy.

– Bo pan porucznik chce zrobić tak, żeby było dobrze – odparł Warden.

– Hm – rzekł porucznik Ross. – Czasem się zastanawiam, kto, u diabła, dowodzi tym oddziałem. Pan czy ja.

Wciąż jeszcze notował sobie coś ze skupieniem, a następnie w przerwach między nerwowym pogryzaniem ołówka przekreślał to, co napisał, gdy Rosenberry przywiózł Pete'a z Makapuu.

– Niech pan wejdzie, sierżancie – powiedział Ross ponuro, chowając notes do kieszeni. – Muszę z panem pojechać służbowo do Schofield.

– Tak jest – odparł Pete oficjalnie i zasalutował. Był za starym wyjadaczem, aby nie wyczuć, że coś złego wisi w powietrzu. Pierwszy raz od czasu Pearl Harbor, z wyjątkiem pory posiłków, miał założone sztuczne zęby.

Obydwaj – Ross ponury, a Pete nieprzenikniony i służbisty – wyszli milcząco w pełnym oporządzeniu, z maskami gazowymi, w pasach, hełmach i z karabinami, a Warden wrócił do pracy i czekał na wynik. Wciąż jeszcze na nich czekał, gdy zatelefonowano w sprawie Prewitta.

A kiedy wrócili z Russellem po zidentyfikowaniu zwłok Prewitta, nie zastali jeszcze tamtego dżipa na parkingu. Co oznaczało, że Ross i Pete dotąd nie przyjechali.

Warden rozłożył na biurku przywiezione drobiazgi. Niewiele tego było jak na życie jednego człowieka.

Z drugiej kieszeni wydobył dziesięciocentowy notes ze złożoną kartką papieru i dorzucił go na stosik.

A potem wyjął kartkę, rozłożył ją i wygładził na biurku. Najpierw przeczytał wypisany u góry drukowanymi literami tytuł: PIEŚŃ NADTERMINOWYCH, a potem wszystkie dziewięć strofek. Następnie popatrzał na to, powtórnie wygładził papier na biurku i przeczytał całość od nowa.

Minęła jeszcze godzina i była prawie jedenasta, kiedy tamci wrócili z Schofield. Usłyszawszy warkot dżipa na dworze, Warden złożył starannie papier wzdłuż jego już przetartych zgięć i razem z dziesięciocentowym notesem zamknął w swej metalowej kasetce.

Po ich twarzach, kiedy wchodzili, poznał, że nie powiodło im się w Schofield z pułkownikiem Delbertem.

– No – rzekł porucznik Ross. Z wściekłością cisnął hełm na nagą pryczę w kącie. Z pryczy wzbil się tuman kurzu. – Mogę tylko powiedzieć, że to wielka pieprzona wojna – rzekł z goryczą i ostrożnie oparł karabin o biurko. Potem usiadł i potarł brudną ręką pokrytą pyłem twarz. – Ruch jest okropny, nawet o takiej późnej porze. Trzeba nam było chyba ze czterech godzin, żeby się tutaj dostać.

Pete Karelsen, z karabinem na pasie, wystąpił naprzód, stanął na baczność, wypięty po swojemu jak lalka ze sterzącym zadkiem, i zasalutował szerokim gestem, z rozmachem starego wygi wojskowego.

– Panie poruczniku, sierżant Karelsen pragnie podziękować dowódcy kompanii za to, co zrobił.

– Nic nie zrobiłem – odparł porucznik Ross. – Tyle tylko, że się wpięprzył na czarną

listę Wielkiego Białego Ojca.

– Liczy się to, że dowódca kompanii próbował, panie poruczniku.

– To także się nie liczy! – krzyknął gwałtownie porucznik Ross. – Jedyna rzecz, która się liczy na tym świecie... – zdołał przywrócić swój głos do normalnego tonu – to wyniki. A mnie się nie udało. Całkowicie i żałośnie.

– Dowódca kompanii zrobił wszystko, co było w jego mocy – rzekł Pete.

– Rany boskie, sierżancie! – zawołał porucznik Ross. – Przestań pan do mnie mówić w trzeciej osobie, jak gdybym był kimś innym! I spocznij! Daj pan spokój. Swobodnie. Nie musi pan gadać do mnie oficjalnie.

Pete wysunął stopę o dwanaście cali w lewo i założył ręce za plecy.

– Chciałbym, żeby dowódca kompanii wiedział, że doceniam to wszystko, co zrobił – rzekł Pete niewzruszonym tonem, z ciągle kamienną twarzą żołnierza stojącego na baczność. – Nigdy tego nie zapomnę, panie poruczniku.

Porucznik Ross patrzył na niego przez chwilę, a potem znowu potarł twarz dłonią.

– Przez następne parę dni może pan sypiać tutaj, sierżancie – powiedział. – Dopóki pana nie wezwą. Niech panu chociaż będzie wygodnie. Proszę powiedzieć sierżantowi Malleaux, żeby panu wyfasował pryczę i postawił ją w namiocie dowództwa. Pluton broni ciężkiej niech już się uczy dawać sobie radę bez pana.

– Tak jest – rzekł Pete. – Dziękuję, panie poruczniku. – Powoli i z dużym stylem powrócił do postawy zasadniczej i nieco pochylony do przodu znowu zasalutował tym wolnym, szerokim gestem. Zrobił to pięknie.

– Panie poruczniku, jeżeli dowódca kompanii zwolni teraz sierżanta, to sierżant odmaszeruje – powiedział.

– Proszę – odrzekł porucznik Ross.

Pete wykonał wolno, precyzyjnie, bezbłędnie w tył zwrot i ruszył ostro do wyjścia.

– Co to za rzeczy? – zapytał porucznik Ross wskazując mały stosik drobiazgów.

– Zaczekaj chwilę, Pete – powiedział Warden z krzesła. – Ty też będziesz chciał to usłyszeć.

Porozdzielał drobiazgi, rozłożył je na biurku i opowiedział im o Prewitcie.

– No – rzekł porucznik Ross. – To znakomicie. To wspaniale. To już duży szlem. Wygrywamy na całego.

– Kiedy to się stało, Milt? – zapytał od wyjścia Pete po raz pierwszy ludzkim głosem. W głosie tym był jakiś ból, który zapalił w Wardenie tępy gniew.

– Około ósmej – odpowiedział flegmatycznie.

Powtórzył im wszystko tak, jak to usłyszał od sierżanta żandarmerii. Potem zaś, na

użytek porucznika Rossa, cofnął się i nakreślił całą historię od początku, kiedy Prewitt wyszedł z oddziału trębaczy.

Kilka rzeczy pominął. Na przykład nie wspomniał o nieżyjącym sierżancie Hudsonie. Nie wspomniał też, że za przykładem „Łyska” Dhoma sam krył przez jakiś tydzień Prewitta w porannym raporcie. Nie wspomniał także o Lorene z „New Congress”.

– Ano – powiedział porucznik Ross, kiedy skończył – ten chłopak też miał nieliczne wyniki. Udało mu się pogwałcić właściwie wszystkie Artykuły Wojenne. Udało mu się bez mała popsuć opinię mojego oddziału, a nawet nie pamiętam, czy kiedy go widziałem, i nie wiem, czybym go poznał.

– Panie poruczniku – odezwał się Pete od wyjścia. – Jeżeli dowódca kompanii zezwoli, to teraz odmaszeruje. Nie mogę na nic się przydać dowódcy kompanii i sierżantowi-szefowi w tej sprawie.

– Jasne. Niech pan idzie – odrzekł porucznik Ross. – I niech pan się prześpi. Nam obu tego potrzeba.

– Tak jest – powiedział Pete. – Dziękuję, panie poruczniku. Znow stanął powoli na baczność, zarazem pięknie salutując, i zrobił w tył zwrot niespiesznie i doskonale.

Wychodząc pod płachtą zaciemnieniową szepnął do Wardena:

– Kupiłem dzisiaj w Schofield parę butelek, Milt. Ekstra gatunek. Przyjdź później do namiotu.

– Co z nim jest, do diaska? – zapytał porucznik Ross, kiedy Pete wyszedł. – Ze mną nie musi zachowywać tych form. Przecież robiłem dla niego, co mogłem, psiakrew.

– Pan go nie rozumie – rzekł Warden.

– Pewnie, że nie, do licha.

– On jest żołnierzem – powiedział Warden. – I udowadnia, że dalej jest żołnierzem. To nie ma nic wspólnego z panem.

– Czasami się zastanawiam, czy kiedykolwiek zrozumie któregoś z was – powiedział porucznik Ross. – Albo wojsko.

– Niech pan się nie spieszy – odparł Warden. – Znadto panu pilno. Ma pan jeszcze masę czasu.

Odchylił się w krześle i zaczął mu opowiadać o podpułkowniku Hobbsie z komendy żandarmerii i o tym, jak wszystko załatwił w ten sposób, że Rossowi nie zostało nic do roboty poza milczeniem i dobrą miną.

– Ale zdawało mi się, że Prewitt nie miał żadnej rodziny? – zapytał Ross.

– Nie miał. I właśnie dlatego będzie o wiele łatwiej. A poza tym – podkreśli! – nie

będzie pan miał w aktach wzmianki o zabitym dezercerze.

– Rozumiem – powiedział porucznik Ross. – Może pan na mnie liczyć. – Znowu potarł twarz dłonią. – To rzeczywiście będzie morowy raport dla pułkownika Delberta ten dzisiejszy dzień. Ale myślę, że chyba lepiej, żeśmy się nareszcie pozbyli tego Prewitta.

– Chyba lepiej – powiedział Warden.

– Pewnie pan uważa, że to gruboskórność z mojej strony – powiedział szybko porucznik Ross.

– Nie.

– Przede wszystkim jestem odpowiedzialny za kompanię jako całość. Nie za poszczególne jednostki. I jeżeli jakaś jednostka zagraża bezpieczeństwu całości, to zagraża i tej mojej odpowiedzialności. Nadal powtarzam, że moim zdaniem, dobrze się stało, żeśmy się nareszcie pozbyli tego człowieka.

– Pan porucznik nie musi usprawiedliwiać się przede mną – powiedział Warden.

– Nie, ale muszę usprawiedliwiać się przed samym sobą – odparł Ross.

– W takim razie niech pan mnie nie używa jako worka do boksowania.

– Pan miał wysokie mniemanie o tym Prewitcie, co, sierżancie?

– Nie. Uważałem go za dobrego żołnierza.

– No tak. Nie ma dwóch zdań, że wszystko na to wskazuje – powiedział ironicznie porucznik Ross.

– Myślę, że był stuknięty. Kochał wojsko. Każdy, kto kocha wojsko, jest stuknięty. Moim zdaniem, był dostatecznym wariatem, żeby móc zostać dobrym spadochroniarzem albo komandosem, gdyby nie był taki drobny. Kochał wojsko tak, jak mężczyźni kochają swoje żony. Każdy, kto kocha wojsko tak bardzo, musi być stuknięty.

– Z pewnością – powiedział porucznik Ross.

– Podczas wojny kraj potrzebuje tylu dobrych żołnierzy, ilu zdoła zebrać. Nie może ich być za wielu.

– Jeden żołnierz mniej czy więcej nie ma takiego znaczenia – powiedział ze znużeniem porucznik Ross.

– Tak pan uważa?

– Wojnę wygrywa produkcja – rzekł Ross.

– Dlatego człowiek, który kocha wojsko, jest stuknięty – powiedział Warden.

– Chyba to racja – odparł porucznik Ross. – Ano, pan przynajmniej niedługo się z tego wyrwie. W każdym razie stąd. – Znow potarł brudną dłonią już teraz umazaną twarz, po czym wstał i wziął swój hełm oraz karabin.

– Muszę jeszcze pojechać i rzucić okiem na Makapuu, zanim się położę, sierżancie.

Cribbage'owi ciężko będzie bez sierżanta Karelsena. Przez jakiś czas nie będą mogli dać sobie rady. Jakby coś było, wie pan, gdzie mnie szukać.

Na dworze, w świeżym morskim powietrzu pośród gaju drzew kiawe, późno wstający księżyc wynurzał się zza gór w stronę przylądka Koko, a jego srebrzyste światło czyniło z gaju jedną mroczną pieczarę. W tym miejscu teren opadał stromo w nakrapianych plamami światła ciemnościach gaju aż do jasnego, równego parkingu u skraju skarpy, gdzie wtedy Warden zatrzymał się z Karen i gdzie przyglądali się dzieciom ze szkoły, urządzającym sobie piknik.

Warden wyszedł czując się jakiś bardzo daleki od tego wszystkiego, z ciężkim karabinem zarzuconym na ramię, i wybrał na chybił trafił jedną z nowych drożyn na piaszczystym gruncie, które co dzień od czasu Pearl Harbor stawały się coraz gładsze i bardziej ubite, tworząc gęstą sieć między drzewami gaju, świeżo rozstawionymi namiotami, starym wozem sprzedawcy kukurydzy i dwiema latrynami, które tam stały już dawniej. Powietrze orzeźwiająco wpadało mu do płuc i owiewało głowę.

Szedł przez nakrapiany księżycem cień czując, jak w piersi rozpala mu się coś twardego i złego. Ruszył inną ścieżką ku rozrzuconym namiotom obozowiska.

W namiocie dowództwa było ciemno, a „Piętaszek” i Rosenberry spali na pryczach; skręcił więc w inną dróżkę, wiodącą do namiotu magazynowego.

W namiocie magazynowym Pete i Maylon Stark siedzieli z butelkami przywiezionymi przez Pete'a ze Schofield, przy świetle osłoniętej kocem latarni colemanowskiej. Na stole zaimprovizowanym z kozłów i desek i ustawionym w głębi pod ścianką namiotu przenośne radio Pete'a, które ten starannie zapakował i przywiózł tu siódmego, grało muzykę taneczną.

– To już całkiem nie ten sam oddział – mówił przepitym, ponurym głosem Stark.

– Wejdz, Milt – powiedział serdecznie Pete, który siedział na pryczy. Posunął się trochę. – Właśnie mówiliśmy, jak szybko zmieniła się kompania w ciągu ostatnich paru miesięcy.

Warden zauważył, że otwarta butelka jest więcej niż do połowy opróżniona. Stark musiał już wcześniej zacząć od jednej ze swoich.

– Bujda! – zaśmiał się do nich szyderczo. – Wcale nie zmienia się prędeziej niż przedtem. – Zdjął karabin z ramienia, siadł obok Pete'a i wziął z jego rąk kubek polowy na wpół napełniony czystą whisky. Wypił od razu i nadstawił go do ponownego nalania.

– A gdzie Russell! Myślałem, że go tu zastanę opowiadającego wam całą historię.

– Już tu był – powiedział ponuro Stark.

– Teraz jest po drugiej stronie drogi, w namiocie kuchennym – rzekł Pete – i opowiada kucharzowi.

– Co zrobi, jak mu nie zostanie już nikt, komu by mógł opowiadać? – zapytał Stark.

– Pewnie trzaśnie.

Za nimi muzyka w radio urwała się i usłyszeli głos spikera:

– Zielony Lucky Strike poszedł na wojnę. Zielony Lucky Strike poszedł na wojnę.

– Jeszcze nie widziałem, żeby jakiś oddział tak się zmienił w tak krótkim czasie – powiedział Stark pogrzebowym tonem.

– Słuchajcie, co jest? – zapytał drwiąco Warden. – Myślałem, że tu zabawa, a to mi bardziej wygląda na stypę.

– Może być i stypa – odparł Stark wojowniczo.

– W takim razie trzeba to trochę ożywić. Stypa powinna być ożywiona. Wyłączmy te bzdury i nastawmy jakiś porządny ostry jazz.

– Zostaw – powiedział Pete. – Nadają przegląd szlagierów.

– Co? W poniedziałek wieczorem?

– Prewitt był moim bliskim przyjacielem – odezwał się z irytacją Stark.

– Retransmitują ze Stanów dla wojska – wyjaśnił Pete.

– Nie gadaj! – zadrwił Warden. – Retransmitują? Dla wojska? O rany, naprawdę się z nami cackają, co? Może niedługo zaczną podcierać nam tyłek?

– Mógł nie być twoim przyjacielem – powiedział Stark. – Ale dla mnie był, i to bliskim.

– Nie był żadnym moim przyjacielem – odparł szyderczo Warden. – Miałem przez niego same utrapienia i kłopoty.

– Ty jesteś twardy sukinsyn – powiedział Stark zaczepnie. – Wiesz o tym?

– Nie można tak mówić o człowieku z własnej kompanii, który został zabity, Milt – rzekł Pete. – Nawet jeżeli nawiał. Nawet jeżeli tylko żartujesz.

– Żartujesz? Kto tu żartuje, u diabła? – odparł Warden.

– Nie mogę się z tym oswoić – powiedział Stark i zaczął wyliczać:

– Leva przeszedł do kompanii M jako magazynier. Blum – samobójstwo, Maggio zwolniony karnie. Holmes i Duży Jim O'Hary poszli do dowództwa brygady. Potem napchało się tych typków z rezerwy. A teraz znów Prewitt.

– Bzdury – odparł szyderczo Warden. – Czasem traci się tyle samo ludzi w jeden miesiąc, jako krótkoterminowych.

– Nie myślisz, że umrzeć to trochę co innego niż jechać do domu jako krótkoterminowy? – zapytał Stark.

– Nie wszyscy tamci pomarli.

– Spróbuj kiedy, to zobaczysz – powiedział Stark.

– Jeżeli idzie o listę kompanii, to skutek jest ten sam – odparł Warden.

– Nalej nam jeszcze, Pete.

– A teraz za kilka dni wyjedzie nasz stary Pete – powiedział Stark ponuro.

– Nie zapomnij o Ike'u – wyszczerzył zęby Warden.

– No, ja osobiście będę diabelnie kontent, jak się wydostanę z tej kompanii – rzekł Pete. – Sześć lat w jednym oddziale to dosyć.

– A ja ci się wcale nie dziwię – powiedział Stark.

– Myślicie, chłopaki, że mi przyjemnie siedzieć na dupie w tych dziurach w skałach Makapuu, jak jaszczurka? – zapytał Pete.

– Bo to już nie jest taka sama kompania – powiedział Stark.

– Gadacie jak dzieci – parsknął Warden. – Żaden oddział nie jest wciąż taki sam. Czego wy chcecie? Żeby wszyscy postarzelisi się razem, przeszli na emeryturę tego samego dnia i osiedlili się gdzieś w kupie?

Za ich plecami muzyka urwała się, znowu i przemówił spiker:

– *Nie szukajcie w sklepach tytoniowych papierosów Lucky Strike w dawnym zielonym opakowaniu. Wasze Lucky Strike'i mają dziś inny kolor.*

– Zapamiętajcie moje słowa – powiedział Pete proroczym tonem.

– Złote czasy na tej Wyspie minęły. Jak zaczną wydawać przepustki, ludzie będą stali w ogonkach długich na kilka ulic przed każdym barem i każdym burdelem. I będą ich popędzali raz-dwa jak na taśmie montażowej.

– Chętnie bym sam się stąd wyniósł – rzekł Stark – tylko nie mam gdzie.

– Za to stary Pete – powiedział Pete – będzie sobie siedział na różanym obłoku obfitości. Tam, w Stanach.

– Zazdroszczę ci – powiedział Stark ponuro. – Ach, Boże, jak ja ci zazdroszczę.

– Zamknij się! – rzekł do niego Warden.

– Kawiarnie! – mówił Pete. – Koktajlbary! Eleganckie hotele, do których można zaprowadzić dziewczynkę! Dobre restauracje! Ja wiem, jak to jest. Byłem na poprzedniej wojnie.

– Wyjeżdżasz właśnie w chwili, kiedy dawna kompania się kończy – powiedział Stark. – Nie będziesz już patrzył na jej koniec.

– Powiedziałem, zamknij się, Stark! – rzekł Warden.

– A wy będziecie sypiali na kamieniach! – krzyknął Pete. – Będziecie jedli zimne żarcie z kotła! I harowali przy stawianiu zasieków, aż wam się tyłki zapocą! – Wstał z pryczy.

– Będziecie sobie mieszkali na plażach! – wrzasnął na nich. – I stali w ogonku po szklankę whisky czy kawałek dupy! Będziecie pierwszym oddziałem piechoty pod ogniem!

Pierwszymi, których pchną na południe, kiedy się zabierzemy do tych parszywych wysp.

Stał podany sztywno do przodu, strzelając w nich tymi słowami, ręce miał wyprostowane wzdłuż boków i przyciśnięte do krągłych jak u lalki bioder. Twarz nabiegła mu krwią. Kilka łez spłynęło mu po policzkach i kiedy tak stał pochylony, skapnęło na tępe, zaokrąglone noski jego fasowanych butów.

– Będziecie żyli na beczce prochu, psiakrew! – krzyczał. – Beczce z lontem gotowym do wybuchu w momencie, kiedy ten kraj zacznie walczyć!

Warden zerwał się z pryczy i pochwycił go obiema rękami, wciąż tak pochylonego, jakby urągał prawu ciężkości.

– No dobrze, już dobrze, Pete. Usiądź. Napij się jeszcze. Posłuchajmy trochę muzyki.

– Nic mi nie jest – odparł Pete zdławionym głosem. – Zdaje się, że mój entuzjazm przez chwilę był silniejszy ode mnie. Puść mnie. – Warden go puścił, a Pete usiadł na powrót. – Gdzie moja whisky?

– Masz – powiedział Warden podając mu kubek połowy pełen whisky.

– Zgadnij, Milt, na kogo się dziś napatoczyłem w Schofield – powiedział Pete z trudem, czyniąc nieomal nadludzki wysiłek, by wyrzec to swobodnym tonem towarzyskiej rozmowy.

– Nie mam pojęcia – odrzekł Warden. – Na kogo? – wyciągnął swój kubek.

– Muszę wziąć drugą butelkę – powiedział Pete wstając. – Ta już załatwiona. – Podszedł do stołu.

Za nimi muzyka zamilkła i odezwał się spiker:

– *Lucky Strike poszedł na wojnę* – mówił. – *Tak, Lucky Strike poszedł na wojnę.*

– Więc na kogo się napatoczyłeś w Schofield, Pete? – przynaglił go Warden, kiedy wrócił.

– *Wasze Lucky Strike'i włożyły mundur khaki i zaciągnęły się do wojska* – mówił spiker.

– Na żonę kapitana Holmesa – odrzekł Pete. Nalał Wardenowi whisky.

– Masz pojęcie? Nie widziałem jej od miesiący. Akurat była w biurze ewakuacyjnym pułku, kiedy przyszedłem po swój papierek. Wraca do Stanów tym samym statkiem co ja.

– Hou! – parsknął Stark po pijacku.

– Kto? – zapytał Warden.

– No, żona kapitana Holmesa – odrzekł Pete. – Psiakrew, chyba pamiętasz żonę kapitana... majora Holmesa, nie?

– Owszem – odparł Warden. – Pamiętam.

– Hou! – parsknął Stark.

– No więc – mówił Pete – okazuje się, że dalej mieszkają w tym swoim dawnym domu w osiedlu oficerskim pułku i dlatego musiała się zgłosić do pułku, a nie do brygady, po numerek ewakuacyjny i odcinek na zaokrętowanie dla siebie i dzieciaka. O rany, ale ich tam była cała kupa: żona majora Thompsona, żona pułkownika Delberta, czy ja wiem kto jeszcze. A żona Holmesa jest zapisana na ten sam statek co ja. Odpływa szóstego stycznia.

– Hou! – huknął znowu Stark.

– Co z tobą jest? – zapytał Pete.

– Nic – wyszczerzył zęby Stark. – Tylko tak sobie coś pomyślałem.

– Ma się rozumieć – ciągnął Pete – ona będzie wracała pierwszą klasą, a ja gdzieś na samym dole, ale w każdym razie odpływa tym samym statkiem co i ja. Mały ten świat, co, cholera?

– Hou! – zachichotał Stark. – Jeszcze jak!

– Chcesz się napić, Stark?

– Nie – uśmiechnął się Stark. – Byczo mi jest. Po prostu byczo.

– No i? – zapytał niedbale Warden. – Jakże ona wygląda? Co mówiła?

– Hou! – prychnął Stark po pijacku.

– Pytała się o kompanię – odrzekł Pete. – Chciała wiedzieć, jak sobie daje radę administracja. I jak idzie magazyn pod nowym magazynierem. I pytała, jak ci się ułożyły stosunki z nowym dowódcą kompanii.

– Mnie? – spytał Warden.

– Hou! – parsknął Stark.

– Tak – odrzekł Pete. – Słuchaj, co tobie jest? – zwrócił się do Starka.

– A nic – zachichotał Stark z satysfakcją.

– Wiesz – powiedział Pete do Wardena – ona wie dużo więcej o tej kompanii, niż przypuszczałem.

– No chyba – rzekł Stark.

– Nawet pytała mnie, czy Prewitt już wrócił.

– O niego też? – wyszczerzył zęby Stark. – Ona po prostu kocha tę kompanię. Całą. No nie, Milt?

– A wiesz, myślę, że tak – odparł Pete. – To mnie zaskoczyło. Że tyle o niej wie. Bardzo mi się spodobała.

– Spodobała ci się, co? – powiedział Stark z uśmiechem. – No, to powinienes ją odwiedzić na statku, nie, Milt?

– Kiedy ona będzie na górze – odrzekł Pete. – W klasie oficerskiej, a ja na samym dole. Nawet jej nie zobaczę.

– Tym się nie przejmuj – uśmiechnął się Stark. – Zwyczajnie idź do niej i powiedz, żeby cię zaprosiła do swojej kajuty. Ona to zrobi. Nie, Milt?

A potem jak już tam będziesz, poproś, żeby ci dała dupy. Da ci też, a jakże. Ona kocha tę kompanię.

Do Pete'a docierało to dość powoli. Ale na jego twarzy rozlał się wyraz zgrozy, kiedy mu wreszcie zaświtało, co Stark powiedział.

– Zamknij się, sukinsynu – odezwał się Warden.

– Myślisz, że kłamię, Pete? – parsknął Stark. – Wcale nie. Spytaj Wardena; jemu dawała. Nabrała go. Zapytaj mnie; mnie też dawała. Tylko że mnie nigdy nie nabrała.

Ale musisz uważać – ciągnął Stark poufnym tonem – i potem wziąć dobry zastrzyk zapobiegawczy, bo możesz z tego wyjść z porządną porcją trynia.

Warden, obserwując cienką maskę rubasznego śmiechu na twarzy Starka, zaledwie przykrywającą coś zupełnie innego, poczuł, że teraz zbliża się pauza. Za chwilę Stark musiał się wyczerpać i Warden był gotów poczekać. Wypełniło go ogromne zadowolenie. Tego szukał przez cały dzień i nie mógł znaleźć.

– W porządku, ty draniu – powiedział, kiedy pauza nadeszła w pełni. Wymówił to starannie i wyraźnie. – A teraz ja ci coś powiem. Chcesz wiedzieć, jakim sposobem dostała trypra w Bliss? Chcesz wiedzieć, kto go jej dał? Ja ci powiem. Dostała go od swojego ukochanego małżonka, pana kapitana Dany E. Holmesa.

Pod alkoholowym rumieńcem twarz Maylona Starka zbielała jak papier. Warden obserwował go z zupełnie niewymowną, absolutnie rozkoszną, cudowną satysfakcją.

– Nie wierzę – powiedział Stark.

– A jednak to prawda – odparł Warden czując, że uśmiecha się z najwyższym zadowoleniem.

– Nie wierzę – powtórzył Stark. – Mówili, że to jeden porucznik, zastępca kierownika Klubu Oficerskiego. Zwolnili go za to, że miał trynia. Rozmawiałem z paroma gośćmi, którzy mówili, że ich widzieli razem. Poza tym to się stało na sześć miesięcy, zanim ją poznałem. Ale gadałem z tymi gośćmi.

– Jednak nie powiedzieli ci prawdy – rzekł Warden.

– Nie wierzę – odparł Stark. – Tamto, co mówili, musi być prawdą.

– Ale nie jest – powiedział łagodnie Warden.

– Musi być – odparł Stark.

– Ale nie jest.

Za nimi muzyka w radio przestała grać i znowu odezwał się spiker:

– Zielony Lucky Strike poszedł na wojnę – mówił. – Tak, zielony Lucky Strike

poszedł na wojnę.

– Ja go zabiję – powiedział Stark naprężając mięśnie całej twarzy, żeby wyrzucić z gardła te słowa. – Zabiję tego skurwysyna. Zabiję go.

– Nikogo nie zabijesz – odrzekł Warden serdecznie, ze współczuciem. – Tak samo jak ja nikogo nie zabiłem.

– Miałem ożenić się z tą kobietą – mówił Stark. – Jest osiem lat starsza ode mnie, ale miałem się z nią ożenić. Chciałem wyjść z wojska, żeby móc się z nią ożenić. I byłbym się ożenił.

– I co byś zrobił? – zapytał Warden łagodnie. – Zabrałbyś ją, córkę bogatej rodziny, i kazał jej mieszkać na dzierżawionej farmie w Teksasie?

Twarz Starka była kredowobiała.

– Ona też mnie kochała. Ja to wiem. Człowiek może poznać, jak kobieta go kocha. Przez całe sześć miesięcy widywaliśmy się chyłkiem w Bliss. I miałem się z nią ożenić.

– Aleś się nie ożenił – powiedział Warden łagodnie. – Zamiast tego rzuciłeś ją.

– Byłbym się ożenił.

– Nawet nie dając jej szansy powiedzenia, jak to wygląda od jej strony – napomniął go łagodnie Warden, świadom, że Pete obserwuje ich obu, najpierw jednego, potem drugiego. Ano, przynajmniej to oderwie Pete'a od jego zmartwień. Nie co dzień trafia się taki soczysty kąsek.

– Nic mi nie powiedziała – rzekł Stark z rozpaczą.

– Boś jej nie pytał – odparł ciepło Warden, zdecydowany nie zostawiać żadnego niedomówienia.

– Zamknij się – zawołał Stark. – Zamknij się. Zamknij.

– Ach, wy południowcy – napomniął go łagodnie Warden. – Wszyscy jesteście tacy sami z tym waszym picciem i kurwiarstwem. Jesteście najgorszymi moralistami, jacy istnieją.

Stark wstał i cisnął kubek whisky w pełną łagodnej troskliwości twarz Wardena takim samym nie przemyślanym odruchem jak uszczypany kot, który odsłania pazury i uderza.

– Myślisz, że go nie zabiję? – wrzasnął do Wardena. – Właśnie, że tak. Zabiję. Odrąbię mu ten jego pieprzony łeb.

Warden, który miał się na baczności, uchylił się szybko, ale Pete, który był nieco starszy, nieco bardziej skłopotany, dostał w pierś kubkiem whisky, która zbryzgała mu koszulę.

Stark wybiegł pod skrzydłem namiotu.

Warden opadł na pryczę czując się taki pusty i odprężony, jakby przed chwilą miał orgazm. Z wyjątkiem jednej jedynie rzeczy, jednej muchy w miodzie, było to zupełnie

doskonałe. Przez cały czas podejrzewał, że oni byli ze sobą dłużej, niż mu powiedziała, ale przez cały czas miał nadzieję, że to nieprawda.

– O Jezu – odezwał się Pete. – Cuchnie jak gorzelnia. – Wytarł ociekającą koszulę. – Ty lepiej idź za nim, Milt. Bo jest mocno pijany. Może sobie zrobić coś złego.

– *Okej – powiedział Warden. Wziął swój karabin z kąta. Kiedy wychodził, muzyka zamilkła i znowu przemówił spiker.*

– *Zielony Lucky Strike poszedł na wojnę – powiedział. – Tak, zielony Lucky Strike poszedł na wojnę.*

Na zewnątrz księżyc podniósł się już wyżej, i gaj, teren parkingu i cała ziemia były niby malowidło bez barw, wykonane tylko czernią i bielą.

Warden ruszył ścieżką, która przecinała czarną drogę wiodącą do namiotu kuchennego.

Więc w Bliss byli ze sobą całe sześć miesięcy. To prawie tyle, co on sam był z nią. Zastanowił się, jak to wówczas wyglądało. Przede wszystkim była wtedy dużo młodsza. Jaka też mogła być, kiedy była młodsza? Co robili? Dokąd jeździli? Z jakich rzeczy się śmieli? Nagle pożałował, że nie mógł być wówczas obecny jako niewidzialny świadek, ażeby móc w tym uczestniczyć. To samo czuł w stosunku do wszystkiego, co jej dotyczyło. Nie tyle zawiść czy zazdrość, co po prostu ogromne pragnienie brania udziału we wszystkim. Biedny Stark.

W namiocie kuchennym zastał małą grupkę wystraszonych kucharzy, stłoczonych jak owce możliwie jak najdalej od pnia do rąbania mięsa.

– Gdzie on poszedł?

– Nie wiem dokładnie – odpowiedział jeden z nich. – Nie bardzo miałem ochotę pytać. Wiem tylko, że wpadł tu krzyżąc i klnąc, złapał swój topór i wyleciał.

Warden zerknął ku magazynowi myśląc, że może Stark poszedł na plażę, by to odespać, a jeśli tak, najlepiej będzie dać mu spokój. Zatrzymał się pośrodku czarnej drogi i spojrzał w górę, ku miejscu, gdzie w świetle księżycy skręcała do szosy, ale nie było na niej nikogo. Stark nie był na tyle pijany, żeby wyruszyć pieszo z toporem do Schofield, w poszukiwaniu majora Holmesa.

Kiedy zbliżył się do namiotu magazynowego, z mroku wypadła jakaś postać i zderzyła się z nim.

– Szefie! – odezwał się chrapliwy, wystraszony głos kompanijnego trębacza, Andersena. – To pan, szefie?

– Co wy tu robicie, psiakrew? Dlaczego nie jesteście w wozie przy łącznicy?

– Szefie, tam jest Stark! Ma topór i wszystko rozwała! Wszystko rąbie! Rozbija!

– Idziemy! – powiedział Warden. Ściągnął karabin z ramienia i ruszył ścieżką.

– Wpadł z rykiem i przekleństwami i krzyczał, że go zabije – wołał za nim zdyszany Andy. – W kółko się darł, że go zabije, że zabije tego sukinsyna. A potem powiedział: kapitan Holmes; że zabije kapitana Holmesa. A kapitana Holmesa już nie ma od paru miesięcy, szefie. Poza tym jest majorem. Chyba on całkiem zwariował.

– Nie gadajcie tyle – rzekł Warden.

Starka już nie było. Ale mały wóz sprzedawcy prażonej kukurydzy przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Obydwa proste, wątle stoły, które służyły Wardenowi i Rossowi za biurka, zostały porąbane na drzazgi i rozmiążdżone. Z czterech krzeseł ani jedno nie nadawało się do użytku. Połowe biurko Wardena, nadal zamknięte na klucz, leżało na podłodze z rozchlastanym wierzchem. Metalowa kasetka miała na stopę długie wgniecenie. Wszędzie walały się papiery i kawałki pociętych papierów.

Na cienkich dyktowych ściankach widniały podłużne przecięcia w kształcie łez. Tylko łącznica telefoniczna wydawała się na szczęście nienaruszona.

A pośród tego całego spustoszenia leżał na podłodze bielutki, dziewiczy, nieskalany, nietknięty – niczym zdrowe i całe dziecko siedzące obojętnie pośrodku zawalonego domu – papier z Ministerstwa Wojny, opatrzony szeregiem paraf, potwierdzenie nominacji Wardena na podporucznika piechoty w Armii Stanów Zjednoczonych.

Warden przez chwilę stał w progu i patrzył na tę ruinę. Potem cisnął ze złością karabin w kąt, a mały wóz aż zachybotał się na kołach, kiedy kolba Stara pękła pośrodku szyjki.

Andy, który wychował się w armii czynnej, gdzie rzucenie karabinu na ziemię podczas ćwiczeń było ciężkim grzechem obłożonym co najmniej dwoma tygodniami karnej służby, sapnął rozgłosnie i spojrzał na Wardena z jawną zgrozą.

– Łap się za to – powiedział cicho Warden wskazując łącznicę i uśmiechnął się do niego chytrze, zaciekle. – Zaczynij od końca i wywołaj wszystkie pozycje, żeby sprawdzić, czy jest połączenie. Potem sprawdź dowództwo batalionu i centralę łączności. Sprawdź wszystkie numery.

– Okej, szefie – odrzekł Andy i zabrał się do roboty.

Warden podniósł ze skrucą oba kawałki karabinu, którego kolba dyndała luźno na pasie. Miał ten karabin cztery lata; przyszedł z nim do kompanii A, potem zaś wziął go ze sobą do kompanii G. Tym karabinem przestrzelał sierżanta O'Bannona na zawodach pułkowych. Ostrożnie sprawdził zamek. Był w porządku. Mógł dostać nową osadę, ale zamka już by nie wymienił. Delikatnie położył obie części na podłodze, czując się nieco raźniej. Następnie podniósł ów prowokacyjnie nietknięty, nadal dziewiczy list z Ministerstwa Wojny z parafami, przedarł go na pół i jeszcze raz, i jeszcze raz, i rzucił na podłogę. Między resztę tych szczątków.

– Wszystkie odpowiadają, szefie – powiedział Andy od łącznicy.

– W porządku. Masz jeszcze do odrobienia dwie i pół godziny swojej zmiany. Ja idę do łóżka.

– No, a co z naszą kancelarią? I z tym wozem? Nic szef tu nie uporządkuje?

– Niech Ross to sobie robi – odparł, zabrał obie części karabinu i wyszedł.

Na dworze panowała śmiertelna cisza. Po jakimś czasie, po czasie tak długim, nie zostawało już nic innego, jak tylko położyć się do łóżka. Wytrzymuje się tak długo, robi się tak wiele i jest się tak zmęczonym, że w końcu przychodzi moment, kiedy nie zostaje absolutnie nic na świecie poza położeniem się do łóżka.

Warden złożył obie części karabinu w nogach swojej pryczy i z radością położył się spać.

Rano znaleźli Starka na plaży, śpiącego spokojnie w piasku, z noszącym ślady leż policzkiem wspartym o jego wierny topór.

Warden, który wstał wcześniej, bardzo odświeżony, opowiedział wszystko jeszcze przed znalezieniem Starka porucznikowi Rossowi, który był wściekły („wściekły” nie jest jeszcze właściwym określeniem).

– Pan porucznik nie może go zdegradować. To jedyny człowiek, który u nas potrafi jako tako kierować kuchnią, kiedy ludzie są tak rozrzucony diabeł wie gdzie.

– Cholera tam nie mogę! – powiedział z furią porucznik Ross. – Zdegraduję go, choćby wszyscy z kompanii mieli zdechnąć z głodu!

– A kto będzie panu prowadził kuchnię?

– Guzik mnie obchodzi, kto mi będzie prowadził kuchnię! – krzyknął wściekle porucznik Ross. – Patrz pan, co tu się dzieje! Boże kochany, przecież nie mogę pozwolić, żeby coś podobnego uszło komuś bezkarnie! Nigdy byśmy nie mieli żadnej dyscypliny! A musimy mieć dyscyplinę!

– Z pewnością, ale jedzenie też.

– Może prowadzić kuchnię jako szeregowiec! – wściekał się porucznik Ross.

– Nie będzie chciał.

– To pójdzie pod sąd za markieranctwo! – huknął z furią porucznik Ross.

– To by nie przeszło. Pan porucznik jest przecież prawnikiem. Sam pan wie, że nie udałoby się skazać go za to, że nie chce prowadzić kuchni bez stopnia.

– Nie pozwolę, żeby mu to uszło płazem! – odparł zaciekle porucznik Ross.

– Pan go po prostu nie rozumie. To śmieszny gość. Od czasu do czasu dostaje takiego szału. Już raz tak było na Hickam Field, zanim pan przyszedł do kompanii. W gruncie rzeczy nie chce zrobić nic złego. I nigdy nikogo nie skrzywdził. Zwyczajnie jest kucharzem, i

koniec. A kucharze i podoficerowie kasynowi po prostu mają temperament. Nikt jeszcze nie widział dobrego podoficera kasynowego, który by nie był zbzikowany.

– Tak, tak – powiedział z wściekłością porucznik Ross.

– Pan porucznik wie, że nie można prowadzić kuchni bez niego.

– W porządku! – odparł wściekle Ross.

– Ja tylko jestem realistą, panie poruczniku. Gdybyśmy mieli kogoś, kto umiałby pokierować kuchnią, ja pierwszy byłbym za tym, żeby go zdegradować. Ale nie mamy takiego człowieka.

– No, już w porządku! – rzekł Ross ze złością.

– To tylko dla dobra kompanii, panie poruczniku.

– Wiem, wiem – odparł zaciekle porucznik Ross. – Dla dobra kompanii!

– Pan jest odpowiedzialny za kompanię jako całość.

– Dobrze – rzekł wściekle porucznik Ross. – Dobrze, dobrze. Sam wiem, za co jestem odpowiedzialny.

– Tak jest – powiedział Warden.

Załatwiwszy tę sprawę, poinformował porucznika, że postanowił nie przyjmować nominacji na oficera.

– Co takiego? – krzyknął z wściekłością Ross. – Boże drogi!

– Jestem zupełnie zdecydowany – odparł Warden.

– Żałuję, psiakrew, że nie dostałem przydziału do straży nadbrzeżnej! – powiedział ze złością porucznik Ross. – Nigdy nie zrozumieję tego pieprzonego wojska.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Zobaczył się z nią raz jeszcze, zanim wyjechała. Było to bardzo dziwne przeżycie.

Po pierwsze, z trudnością zdołali to zorganizować. Teraz nie było już tak jak przed wojną, kiedy kładło się cywilne ubranie i jechało, gdzie się chciało, po prostu dlatego, że miało się ochotę tam jechać. Teraz nie można było nigdzie się ruszyć bez oficjalnej przyczyny. I musiało się mieć oficjalnie udokumentowane uzasadnienie. Żołnierzom nie było wolno nosić cywilnego ubrania. Nawet samo jego posiadanie było karane sędownie. A żołnierz w mundurze, który uganiałby się po mieście za dnia, zostałby natychmiast zatrzymany.

Zakaz sprzedaży alkoholu wydany przez Zarząd Wojskowy nadal obowiązywał i bary były zamknięte na cztery spusty. Kina były nieczynne. Duże hotele stały się nagle bardzo dociekliwe i ostrożne, jeżeli idzie o meldowanie gości. Turyści albo już wyjechali do kraju, albo siedzieli twardo w swoich hotelach, czekając, by wyewakuowało ich wojsko. Nowych turystów nie było. Nawet samochód zatrzymany przy drodze za dnia podlegał rewizji.

Nie było gdzie się spotkać. Nie było dokąd pojechać. Nawet za dnia.

A w nocy była godzina policyjna. O zachodzie słońca Honolulu rozpełzało się szybko do swoich rozmaitych nor i zamierało do rana. Po zapadnięciu ciemności nie było nigdzie żadnego ruchu poza niebieskimi reflektorami patroli.

Karen przebywała w Schofield. Musiała więc przyjechać. A mogła przyjechać tylko za dnia i wrócić też za dnia. Jednakże dla niego było niepodobieństwem wyrwać się w dzień ze stanowiska dowodzenia tak, żeby nie być zauważonym. Nawet na godzinę. A godzina nie wystarczała.

Mógł wykraść się nocą, po przyjeździe zmiany obsługującej łącznicę. Stark co noc wykradał się do swojej *wahine* mieszkającej przy radiostacji marynarki w Wailupe, co nie było daleko. Ale Karen nie mogła jechać nocą, boby ją zatrzymano. Nie mogła nawet przyjechać przed zapadnięciem ciemności, zaparkować gdzieś wozu i czekać na niego.

Jedynym możliwym rozwiązaniem było jakieś miejsce, gdzie mogłaby przybyć po południu i czekać na niego nie widziana przez nikogo, a potem zostać na całą noc i wrócić następnego rana. Hotele w Waikiki odpadały. Poza tym on był o dziesięć czy dwanaście mil szosą od Waikiki, a przy szosach na Hawajach nie było moteli ani schronisk dla turystów.

W tych stronach nie miał żadnych znajomych, do których mogłaby się udać. Wszyscy ci, których znał, mieszkali albo w Waikiki, albo też w centrum Honolulu, co było jeszcze dalej. Poza tym nie miał nawet pewności, czy Karen się-na to zgodzi. Żeby przyjechać i

zostać na całą noc. Nawet gdyby udało mu się znaleźć odpowiednie miejsce.

Nosił się z tą myślą przez tydzień z górą, od owego wieczora, kiedy zidentyfikował zwłoki Prewitta. Mówił sobie, że musi mieć chociaż tyle, choćby miał nigdy nie mieć reszty.

I w końcu poszedł do Starka.

Wahine Starka była bardzo piękną dziewczyną pochodzenia chińsko-hawajskiego – najpiękniejszą odmianą mieszanej krwi, jaką wydają Hawaje. Ona i jej mąż, Filipino-Japończyk, mieli mały domek w dolinie Kuliouou, o niecałe dwie mile od zatoki Hanauma. Mąż, który zaczął jako pomocnik w mesie, w marynarce, był teraz jednym z radiotelegrafistów w radiostacji Wailupe. Bardzo poważny awans w marynarce jak na Filipińczyka.

Dość nieporadnie i nie bez zakłopotania Warden zapytał Starka, czy mógłby z nim załatwić to, żeby oddali Karen pokój na jedną noc, aby zobaczyć się z nią przed jej odjazdem.

– Jasne – odpowiedział Stark natychmiast i bez wahania. – Zrobię to bardzo chętnie.

– A może byś ich naprzód zapytał?

– Nie ma potrzeby. Zrobią wszystko, o co ich poproszę. Pomagam im spłacać pożyczkę na budowę domu.

– Okej – powiedział Warden.

– Daj mi znać, którego dnia ona przyjedzie, a ja im powiem za następnym razem, jak tam będę. Sam ci pokażę drogę, żebyś nie zabłądził.

– Dobra – powiedział Warden.

Nie mógł do niej zadzwonić telefonem polowym, który miał połączenie z siecią cywilną przez centralę łączności batalionu, ale z tym nie było problemu. Kiedy za następnym razem wynalazł sobie pretekst, żeby się udać na pozycję numer siedemnaście, zatelefonował z domu staruszków, na których niewielkiej posiadłości wybudowano bunkry i którzy nieledwie zaadoptowali wszystkich ludzi z pozycji.

Rozmowa udała się doskonale. Karen natychmiast i bez wahania powiedziała, że przyjedzie.

Było to bardzo dziwne przeżycie pod wieloma względami.

Kiedy Stark doprowadził go w mroku do małej bocznej uliczki, która biegła w głąb łądu od szosy, przystanął i wskazał mu domek.

– To ten – powiedział. – Ten w rodzaju nadmorskiego bungalowu z narożnymi oknami.

Warden, spojrzawszy, dostrzegł dobrze znanego, starego buicka z dobrze zapamiętanym, dawno już utrwalonym w pamięci numerem.

– Z powrotem chyba trafisz, co? – zapytał Stark.

– Jasne.

– No to cię tu zostawię i wrócę.

– A nie wejdiesz?

– Nie – odparł Stark. – Byłem już wczoraj wieczorem. I pewnie znowu przyjdę jutro.

– Ale ona będzie chciała ci podziękować.

– Nie potrzebuje mi dziękować.

– No przecież właściwie wypędzamy cię z twojego własnego domu,

– Boję się, że spotkanie ze mną mogłoby ją krępować – odrzekł Stark. – Zresztą ja nie chcę się z nią widzieć. Ostatni raz widziałem ją co najmniej na dwa miesiące przed odejściem Holmesa z kompanii. Po co miałbym się z nią teraz spotykać?

– Okej – powiedział Warden.

– Może być... – zaczął Stark i urwał.

– Co może?

– Nic – odparł Stark. – Do zobaczenia.

Odszedł w nie rozświetloną ciemność i zniknął. Warden słuchał jego spokojnych, oddalających się kroków, a potem podszedł do drzwi.

Piękna, prawie nieziemsko śliczna Chino-Hawajka otworzyła mu z promiennie rozjarzonymi oczyma. A potem jej oczy zgasły.

– To Maylon nie przyszedł?

– Miał coś do roboty. Mówił, że przyjdzie jutro.

– Ach – powiedziała z żalem, z nachmurzonymi oczami. Potem się uśmiechnęła. – Proszę wejść, sierżancie.

Zamknęła za nim drzwi i zapaliła na powrót światło. Jej mąż, w granatowych spodniach marynarskich i olśniewająco białej koszuli pod twarzą koloru mahoni, siedział we wnęce śniadaniowej z gazetą wydawaną w języku japońskim.

– Pana znajoma jest tam – powiedziała w zamyśleniu piękna, prawie nieziemsko śliczna Chino-Hawajka wskazując oczami zamknięte drzwi w głębi pokoju. – Ona jest bardzo ładna, ta pana znajoma – dodała.

– Dziękuję – odrzekł Warden. – I chciałem wam podziękować za to, coście dla nas zrobili.

– To głupstwo, sierżancie. Nie ma o czym mówić. Każdy ma dzisiaj kłopoty.

– John – powiedziała piękna, prawie nieziemsko śliczna Chino-Hawajka. – Chodź, przedstaw się sierżantowi-szefowi Maylona, panu Wardenowi.

Mąż w swoich granatowych spodniach marynarskich i olśniewająco białej koszuli pod twarzą koloru mahoni, odłożył wydawaną w języku japońskim gazetę, podszedł z

uśmiechem i serdecznie uścisnął dłoń Wardenowi.

– Ale pan chce zobaczyć się ze swoją znajomą – powiedziała ze smutkiem piękna, prawie niezmiernie śliczna Chino-Hawajka – a nie stać tutaj i rozmawiać z nami. Zaraz pana zaprowadzę.

Wszystko to było dziwne, a poczucie dziwności ubarwiało każdą rzecz.

Karen siedziała przy łóżku w dużym fotelu pod lampą stojącą i czytała książkę, w chwili kiedy dziewczyna zamknęła za nią cicho drzwi. Nogi podkurczyła pod siebie oparłszy je o poręcz fotela, a zieloną spódnicę miała utkaną pod kolanami. Jej torebka, którą dobrze pamiętał, stała na podłodze obok komódki. Karen wydawała się zupełnie bezpieczna i swobodna. Na jej twarzy malował się spokój.

– Hello, kochanie – uśmiechnęła się.

– Hello – odpowiedział Warden. Podszedł do niej, a ona położyła książkę na poręczy fotela i wstała, by wyjść mu na spotkanie w ten swój zabawny, dziwnie powściągliwy sposób, który już prawie zapomniał.

Objął ją i to wcale nie przypominało dotknięcia jakiegoś obcego przedmiotu, lecz było raczej jak dotknięcie własnego ciała, podobnie, jak wówczas, gdy ktoś splata dłonie, może z zimna, żeby je rozgrzać, i ma wszelkie prawo uczynić tak nie prosząc nikogo o pozwolenie, ponieważ są to jego dłonie.

Nie mógł jej jeszcze powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

Pocałował ją, a ona odwzajemniła mu pocałunek. Potem odsunęła się z tą swoją dziwną, zabawną powściągliwością, a on ją puścił obserwując jej pogłębiający się uśmiech.

– Zaraz się podniecisz – powiedziała z uśmiechem. – Porozmawiajmy chwilę. Usiądźmy.

Usiadła z powrotem w fotelu, objęła rękami podciągnięte nogi i uśmiechnęła się do niego znad kolan. Warden siadł na krawędzi łóżka.

– Nic a nic się nie zmieniłeś – uśmiechnęła się.

– Ale czuję się inny – odrzekł Warden.

– Ładnie z ich strony, że pozwolili nam przyjść tutaj. Powiedziała to szczerze, a jednak nie było w niej wdzięczności ani zdziwienia z racji tak swobodnego wykorzystania domu obcych ludzi. Przypomniało to jej uśmiech, ten uśmiech, którego nie widział u żadnej innej kobiety, zarazem ciepły, kochający i tak bardzo daleki.

– Załatwił to Stark – powiedział Warden.

– Wiem – uśmiechnęła się. – Ta dziewczyna mi powiedziała. Ona jest śliczna.

– Tak.

– I bardzo zakochana w Starku.

– Tak.

– A czy on jest w niej zakochany?

– Nie wiem. Chyba tak. Trochę. Ale nie tak bardzo i nie w taki sposób, jak ona kocha jego.

– Wiem – powiedziała prędko. – Bardzo go skrzywdziłam.

– Nie. On sam siebie skrzywdził.

Nie wspomniał o tamtych sześciu miesiącach w Bliss. Popatrzał na to w duchu i stwierdził, że już się roztapia, nie widział więc potrzeby, by o tym mówić.

– Och, mam nadzieję, że potrafi ją pokochać tak samo jak ona jego! – wybuchnęła nagle Karen.

– Może tak będzie – skłamał Warden.

– Mam nadzieję. On na to zasługuje. To świetny człowiek. Chciałabym móc mu za to podziękować, zanim odjedzie.

– Nie przyszedł. Miał coś do roboty i musiał wrócić.

– To nieprawda – powiedziała Karen.

– Tak, nieprawda. Bał się, że to cię będzie krępowało.

Łzy napłynęły jej do oczu, tak jak już kiedyś z powodu Prewitta, a potem cofnęły się spokojnie, nie wypływając na policzki.

– To pierwszorzędny człowiek – powiedziała. – Pierwszorzędny.

– Tak – odrzekł Warden.

– Zasługuje na znacznie więcej, niż miał.

– Tak jak każdy.

– Może to znajdzie przy niej.

– Możliwe – skłamał znowu Warden. Odczuwał jakąś wielką tkliwość, taką, jaką się ma dla pięknego dziecka, i zarazem to samolubne, nierozsądne pragnienie chronienia go przed wszystkim, czego jeszcze nie zna, nie dlatego żeby mu zaoszczędzić bólu, ale żeby zachować jego piękność.

– Miałaś jakieś trudności z wydostaniem się tutaj? – zapytał.

– Nie.

– Holmes w ogóle nic nie powiedział?

– Zabronił mi jechać – odrzekła po prostu.

– I mimo to przyjechałaś?

– Oczywiście, kochanie – uśmiechnęła się. – Ja ciebie kocham. Przez chwilę Warden myślał, że tego nie wytrzyma – nie żeby doznawał jakiejś duchowej udręki, ale że nie wytrzyma czysto fizycznie, fizjologicznie.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzekł.

– Słucham.

– Idzie o tę moją nominację do korpusu zapasowego.

– Już wiem – uśmiechnęła się Karen. – W Schofield nie mówili o niczym innym przez ten ostatni tydzień.

– To znaczy, że wiedziałaś przez cały czas? Kiedy wszedłem do tego pokoju?

– Tak.

– I kiedy do ciebie dzwoniłem?

– Tak.

– A jednak przyjechałaś?

– Tak.

– Nawet mimo że Holmes ci zabronił?

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo chciałeś, żebym przyjechała. Bo ja chciałam przyjechać.

– Nie jestem tego wart – powiedział. – Nie jestem wart. Daleko mi do tego.

Z niespodziewanym pośpiechem spuściła nogi na podłogę, pochyliła się i położyła mu palec na wargach.

– Cicho – powiedziała. – Nie mów tak. Nie chcę, żebyś tak mówił.

Warden odsunął jej dłoń z nieomal dziką zawziętością.

– Nie miałem na to rady. Nie mogłem inaczej postąpić. Próbowałem, ale nie mogłem.

– Wiem, że nie mogłeś – powiedziała uspokajająco.

– A ty wiedziałaś przez cały czas – powiedział tępo. – Już wtedy, kiedy do ciebie dzwoniłem.

– Wiedziałaś o wiele dawniej. Chyba od bardzo dawna. Tylko nie chciałam się z tym pogodzić. Pewnie dlatego że cię kocham, bo przecież wiedziałam od początku, że nie będziesz mógł tego przyjąć.

– Może kochamy tylko te rzeczy, których nie możemy mieć. Może to właśnie jest miłość. Może tak powinno być.

– Nienawidziałam cię – powiedziała. – Chwilami nienawidziałam cię strasznie. Każda miłość ma w sobie nienawiść. Bo człowiek jest związany z kimś, kogo kocha, i to mu odbiera część wolności, więc ma to za złe, nie może być inaczej. A mając za złe utratę własnej wolności, usiłuje zmusić tego drugiego, aby się wyrzekł swojej całkowicie. Miłość nie może nie rodzić nienawiści. Tak długo, jak będziemy żyli na tej ziemi, miłość będzie zawsze miała w sobie nienawiść. Może właśnie dlatego jesteśmy na tej ziemi: żeby się uczyć kochać bez

nienawiści.

Wciąż pochylała się ku niemu, z łokciami opartymi na szczupłych, tak ładnych kolanach, z błyszczącymi oczyma, z tą dłonią, którą Warden odsunął od swoich ust, nadal w jego dłoni.

– Próbowałem – powiedział z wysiłkiem. – Nikt nigdy nie będzie wiedział, jak próbowałem.

– Ja będę wiedziała.

– Nie, nie będziesz. Ale kiedy przyjrzałem się im wszystkim, Rossowi, Culpepperowi, Cribbage'owi i całej reszcie, i zobaczyłem, czym są – po prostu nie mogłem.

– Oczywiście, że nie mogłeś. Gdybyś mógł, nie byłbyś w gruncie rzeczy Miltem Wardenem. A ja bym cię nie kochała.

– Ale te nasze plany. I reszta. Cała reszta. Zniszczyłem wszystko.

– To nieważne.

– Jest ważne.

– Miałam już tysiąc domów, których nie zbudowałam nigdy – odpowiedziała. – Nigdy nie miałam pieniędzy, żeby je zbudować. A gdybym miała pieniądze, nie mogłabym tych domów wykorzystać. Może ich wcale nie chciałam budować. Ale je nadal mam.

– Żyją w twoim wspomnieniu – powiedział gorzko Warden.

– Nie. Wcale nie – odpowiedziała wyraźnie. – Wcale nie to. Ale mam nadal moje domy.

– Dlaczego świat musi być taki? – zapytał Warden puszczając sobie wodze całkowicie. – Nie rozumiem, dlaczego świat musi być taki, jak jest.

– Ja też nie rozumiem – odrzekła. – I bywałam bardzo tym rozgoryczona. Ale teraz już wiem, że musi być taki. Nie ma sposobu, żeby był inny. Ilekroć zażegna się jakąś groźbę, zaraz powstaje nowa, bardziej niepojęta. Nie może być inaczej.

– Zawsze tylko brałem od ciebie – powiedział Warden z wysiłkiem. – Ty wciąż dawałaś i dawałaś. Ja nie dawałem nigdy. Tylko brałem.

– Nie – odrzekła Karen. – To nieprawda. Dałeś mi wolność. Dana nie może mi już nic zrobić. Już nigdy żadnej krzywdy. Uświadomiłeś mi to, że jestem pociągająca. Uczyniłeś mnie kimś, kogo się kocha.

– Stark dał ci to samo. W Bliss.

– To, co Stark mi dał, zabrał potem i w końcu przekreślił. Postarał się zniszczyć wszystko, nim odszedł.

– Tak jak ja teraz.

– Nie. Wcale nie. I tak naprawdę szczerze, nie myślę, abym chciała, żeby się stało

inaczej. W tej chwili nie wydaje mi się, żebym chciała za ciebie wyjść. Oboje powoli dusiliśmy na śmierć naszą miłość. Powoli ją traciliśmy. Wiesz, że tak.

– Tak – odpowiedział Warden. – To prawda.

– A w ten sposób nie utracimy jej nigdy. Miłość albo kona powoli i staje się cieniem, albo też umiera młodo i pozostaje snem. Dla nas jedynym sposobem zachowania miłości było nie mieć siebie nigdy wzajemnie. Gdyby mogło trwać tak jak przedtem, gdybyśmy mogli być stale głodni, nigdy nie mając siebie, może zachowalibyśmy miłość. Ale żadne z nas tego nie potrafiło; oboje to zwalczaliśmy ze wszystkich sił. Nasze małżeństwo byłoby dobiciem umierającego człowieka. Ale wojna to przerwała. Wojny też mają swoje dobre strony.

– Karen – powiedział Warden. – Gdzieś ty się nauczyła tego wszystkiego, co wiesz?

– Żyjąc tak długo, jak żyję, i widząc to, co widziałam.

Odchyliła się w fotelu, oczy jej wciąż płonęły tym pięknym światłem, które pojawiała się w nich tylko wtedy, kiedy mówiła teoretycznie o miłości, a delikatne, drobnokościste dłonie spoczywały luźno przy biodrach, na fotelu.

A wtedy on, Milt Warden, starszy sierżant Milt Warden, znalazł się nagle na klęczkach przy fotelu.

– Nie mogę cię utracić – wyszeptał Milt Warden. – Potrzebuję ciebie. Podniósł ręce i wsunął dłonie na jej nagie uda.

– Nie – powiedziała niespokojnie Karen. – Proszę cię, nie rób tego. Nie psuj wszystkiego.

– Nie chcę tego robić – skłamał on, Milt Warden. – Chcę tylko cię dotykać.

– Podniecisz się – powiedziała nieomal z irytacją. – Wiesz, że tak będzie.

– Nie.

– Zawsze tak jest. A ja tego nie chcę. Nie chcę erotyzmu. Chcę miłości.

– Chcę tylko cię dotykać – skłamał. – To wszystko. – Wtulił twarz w jędrną, trójwymiarową twardość długich ud pod zieloną spódnicą.

– Było tak ładnie, Milt. Proszę cię, nie psuj tego;

– Nie będę – obiecał. – Nie będę ci tego psuł. Przysięgam. Ale czy nie czujesz, że cię kocham? Nie czujesz tego przez moje dłonie?

Było to bardzo dziwne przeżycie pod bardzo wieloma względami.

Stopniowo, nie bez oporu poddała się jego pieszczotom, tak jak nieufna, oswojona łania poddaje się tylko stopniowo i powoli głaskaniu – aż w końcu jej dłonie znalazły się na jego włosach, na twarzy, szyi, ramionach, plecach, a on podniósł się i przysiadł obok niej na poręczu fotela, żeby móc ją całować, i pogrążyli się w ekstazie miłości płciowej, która była bezpłciowa.

– Uwielbiam ciebie dotykać – szeptała Karen – pieścić cię, tulić się do ciebie, kochać cię. Ale to zawsze doprowadza do tamtego. Nigdy nie będziesz wiedział, ile razy chciałam cię dotknąć, a nie dotknęłam, bo to zawsze doprowadzało do tamtego.

Wreszcie szepnęła z miłością:

– Czekaaj, odrzucę kołdrę. Wszystko mi jedno. Naprawdę. Wiem, że ty chcesz. Ale nie trzeba wygniatać im pościeli, kiedy byli dla nas tacy mili.

Jak dotąd, wszystko to samo działo się już wielokrotnie. Ale tym razem, gdy zaproponowała, Warden odmówił. Może częściowo z pokory i wdzięczności za to, że wiedząc o wszystkim jednak przyjechała. A może częściowo z innych powodów.

– Naprawdę nic mi to nie szkodzi – zaofiarowała się z miłością i oddaniem. – Teraz już jest inaczej. Teraz już nic się nie popsuje. A wiem, że ty chcesz.

Mimo to odmówił ponownie. Najwyraźniej były w nim jakieś nie przeczuwane głębin, których nie znał nawet on sam. Myśl o zrobieniu jej tego w tej chwili niemal go oburzała. Widać nie wyegzorcyzmował jednak swej katolickiej moralności. Widać nie wyzbył się swoich dziewiczych uczuć bardziej niż cała reszta wielkiego plemienia amerykańskich mężczyzn.

– Jeżeli chcesz, to chodź – uśmiechnęła się Karen. – Nie mam nic przeciwko temu. Chcę, żebyś to wiedział.

– Wolę nie – odparł, przynajmniej w pięćdziesięciu procentach zgodnie z prawdą.

– Och, kochanie! – zawołała Karen zarzucając mu rękę na szyję. – Kochanie, moje kochanie!

Było to bardzo dziwne.

Opadła z powrotem na fotel, z dłońmi wplecionymi w jego włosy, przyciskając jego twarz do piersi, i kochali się gorąco, dotykali wzajemnie, mówili coś nie słysząc, wypowiadali te głupie, czcze słowa, które nawet nie mają być przekazywaniem myśli, lecz tylko wyrazem uczuć przeznaczonych jedynie dla samego mówiącego – podobnie jak człowiek uderzony pięścią w brzuch jęknie: „Och!”, a inny, trafiony kulą, wykrzyknie: „Dostałem!”

Było to kochanie o takim kalibrze i takiej prędkości początkowej, jakich jeszcze nigdy nie doświadczył, o większej intensywności i wyższym szczycie, niż mógł sobie wyobrazić. I cudownie coś w nich zaspokajało.

W momencie najwyższego napięcia, jak gdyby wyczuwając to instynktownie, wstał, odszedł od niej, położył się na łóżku i zapalił papierosa, podczas gdy Karen uśmiechała się do niego promiennie z fotela. Czuł się dokładnie tak, jak gdyby miał fizyczny orgazm, tyle tylko, że go nie miał. Leżał na łóżku paląc papierosa, odprężony, uspokojony, nieco śpiący, czując pod swoim głodem niejasną dumę i tryumf, tak jakby coś przewyciężył.

Było to najcudowniejsze uczucie, jakiego w życiu zaznał, ale doszedł do wniosku, że nieco za intensywne na codzienny użytek.

– Teraz wiesz, jaka może być miłość – powiedziała Karen z fotela. Resztę nocy przeleżeli razem w łóżku, bez snu i bez fizycznego spełnienia, i omówili wiele rzeczy. Omówili prawie wszystko. Opowiedział jej ostatni rozdział i epilog dziejów Prewitta. Spłakała się nad tym. Było im bardzo dobrze. Rozmawiali, dopóki o wpół do piątej rano nie zadzwonił mały budzik, który zawsze nosiła dla niego w torebce, a wtedy Warden wstał i ubrał się.

– Nie żegnamy się, kochanie – powiedziała Karen z łóżka.

– Jasne, że nie – odrzekł.

– Teraz wszystko wygląda ponuro – ciągnęła. – Trzeba będzie czekać dłużej, a plany się zmieniły. I będzie ta wojna. Ale się znowu zobaczymy.

– Na pewno – odparł Warden. – Wiem, że się zobaczymy.

– Spotkamy się kiedyś znowu. Ludzie, którzy byli sobie tak bliscy, zawsze się znów spotykają – powiedziała Karen. – Masz mój domowy adres w Marylandzie?

– Tak, mam – odparł Warden. – A ty możesz zawsze do mnie pisać do kompanii. Gdziekolwiek będziemy, poczta polowa pozostanie ta sama.

– Oczywiście, że mogę do ciebie pisać – powiedziała Karen.

– Możesz spokojnie wrócić do domu? – zapytał.

– Jestem spokojna – odrzekła. – Zupełnie spokojna.

– Nie będziesz miała żadnych przykrości od Holmesa?

– Nic mi nie zrobi.

– Kocham cię – powiedział Warden.

– Kocham cię – odpowiedziała.

– No – powiedział Warden – to do zobaczenia.

– Pocałuj mnie jeszcze raz, Milt – poprosiła z łóżka.

Pocałował ją i odszedł do drzwi. Nim je za sobą zamknął, obejrzał się i pomachał jej raz dłonią.

Karen uśmiechnęła się do niego z łóżka i odpowiedziała mu tym samym gestem.

A potem, kiedy drzwi się zamknęły, opadła na poduszki i rozluźniła w sobie twardy węzeł napięcia. Wraz z rozluźnieniem go wszystko inne też jakby się rozpadło. Jej myśli zaczęły błędzić. Nasłuchiwała zamknięcia drzwi wejściowych, co oznaczałoby, że już odszedł, i kiedy to usłyszała, przekręciła się na brzuch i wtuliwszy policzek w poduszkę leżała wyczerpana. Była zupełnie pusta wewnątrz. Ale zarazem szczęśliwa i rada, że go zdołała ochronić. Bo potrzebował tego bardzo. Było mu ciężko. Wyglądał na zupełnie

zagubionego. Nie mogła znieść tego widoku. Mężczyźni są o tyle bardziej miękcy od kobiet. Cieszyła się, że mogła mu to ułatwić. I to nie było kłamstwo. Może naprawdę spotkają się kiedyś. Wiara w to nie mogła niczemu zaszkodzić. Usnęła.

Warden wracając boczną uliczką do szosy, myślał o tamtej białej Rosjance, którą niegdyś znał w Chinach. Była ona, przedtem ta młoda żona starego chińskiego kupca w Manili, a jeszcze przedtem tamta studentka Chicagowskiego Uniwersytetu, kiedy był w Sheridan. (Wtenczas był młodszy.) A jeszcze przedtem ta młoda protestantka w Connecticut, która stała się przyczyną jego wstąpienia do wojska.

Cztery.

Pięć, licząc Karen Holmes.

Pięć prawdziwych. Pięć, które się liczyły. Na ile lat? Na szesnaście lat.

Może jeżeli będzie miał szczęście, jeżeli będzie miał duże szczęście, zostanie mu dość czasu na jeszcze dwie, może trzy, zanim się zestarzeje. W wojsku ludzie starzeją się znacznie prędej. Pete Karelsen nie miał jeszcze pięćdziesiątki.

Tyle może się jeszcze spodziewać. Prawdopodobnie.

I tyle ma do wspominania. Na pewno.

Jeszcze trzy, których wolno mu się spodziewać, jeżeli będzie miał duże szczęście.

Jednakże jakoś podejrzewał, że żadna z nich nie dorówna nigdy tej, która przyszła na początku jego lat trzydziestych. Podejrzewał to; obawiał się, że ta okaże się szczytem wzniesienia.

Warden, wracając szosą na stanowisko dowodzenia, był przekonany, że nie przejrzała jego kłamstwa. Nie ma potrzeby utrudniać komuś czegoś, co już i tak jest trudne. Pozatym może kiedyś spotkają się rzeczywiście. A więc wiara w to nie mogła niczemu zaszkodzić, jeżeli w ten sposób było jej łatwiej. I miał pewność, że nie przejrzała go na wskroś.

A potem wciąż nad tym rozmyślając, uświadomił sobie z uczuciem wstrząsu, dlaczego nie przejrzała jego kłamstwa. Bo była zbyt zaprzątnięta skupianiem całego wysiłku na tym, aby jej własne wypadło przekonywająco dla niego, i dlatego nie zauważyła jego kłamstwa.

Miał nadzieję, że nie spotkają jej żadne przykrości ze strony Holmesa.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Major Holmes czekał na swoją żonę, kiedy ta wróciła do domu następnego rana.

Karen przyjechała dopiero około jedenastej. Piękna, prawie nieziemsko śliczna Chino-Hawajka zachowywała się bardzo cicho ze względu na nią i Karen obudziła się dopiero po dziewiątej. A potem, kiedy wstała, śliczna dziewczyna ugotowała śniadanie i obie przesiedziały jeszcze godzinę w małej wniece, jedząc jajka, szynkę z puszki i pijąc kawę w letnim słońcu, które wlewało się potokami światła przez okna – dwie szczęśliwe wiarołomne żony, dyskutujące z ciepłą, serdeczną poufałością o zaletach charakteru swoich kochanków. Słońce, powietrze, cały ten dzień stwarzały nastrój letnich wakacji. Było to przeżyciem, którego Karen jeszcze nie zaznała, i nie wyrzekłaby się tego, choćby Holmes miał czekać do czwartej. Nastrój wakacji towarzyszył jej przez całą drogę do domu.

Holmes siedział twardo, uparcie przy stole w kuchni, popijając kawę własnej roboty.

Awans na majora nie zmienił zbytnio Holmesa. Zarzucił bryczesy, wysokie buty i kawalerski kapelusz na rzecz długich spodni oficera sztabowego, półbutów i zwykłego kapelusza piechoty. Obecnie zaś, tak jak reszta sztabowych oficerów brygady, nosił przepisowy mundur bojowy złożony z wełnianej oliwkowej koszuli i spodni wetkniętych w sztylpy nałożone na buty polowe. Ale w gruncie rzeczy niewiele się zmienił. Oczywiście, upłynęło dopiero kilka miesięcy.

– Chcę wiedzieć, gdzie byłaś – powiedział, kiedy weszła.

– Hello – odrzekła Karen wesoło. – Jak to się dzieje, że nie jesteś w biurze?

– Zadzwoń i zwolnię się na przedpołudnie.

– A gdzie Bella?

– Dałem jej dzisiaj wychodne.

Karen nałala sobie filiżankę kawy i usiadła przy stole.

– Na pewno była uradowana – powiedziała wesoło. – A zatem wszystko jest gotowe do przedstawienia.

– Powiedziałem, że chcę wiedzieć, gdzie byłaś – rzekł Holmes. – I z kim.

– Przecież ci wszystko wczoraj wyjaśniłam, kochanie – odparła Karen pogodnie. – Żegnałam się z kimś bardzo mi drogim.

– Nie mów do mnie „kochanie”.

– Dobrze – odparła Karen wesoło. – To była przenośnia.

– Wczoraj mi nic nie powiedziałaś. – Oczy Holmesa były jak dwa dziko roziskrzony diamenty w wysuszonym, spękany gipsie jego twarzy. – Nie powiedziałaś mi, gdzie się z

nim spotkasz ani kto to jest.

– Nie mówiłam, że to jakiś „on” – rzekła Karen.

– Ale tak jest. Myślisz, że o tym nie wiedziałem. Otóż wiedziałem przez cały czas. Nawet starałem się zamykać na to oczy, dopóki mogłem. Dopóki nie stało się zbyt jaskrawo widoczne. Teraz chcę wiedzieć, gdzie się z nim spotkałaś i kto to jest.

– Sądzę, że to nie twoja sprawa – odparła Karen.

– Jestem twoim mężem – powiedział Holmes. – Więc to jest moja sprawa.

– Nie. Moja sprawa – odrzekła Karen. – Niczyja więcej. Mówisz zupełnie jak z książki Hemingwaya.

– Może tak zrobię, że będzie moją sprawą.

– Nie, nie przypuszczam – odparła Karen.

– Prawdopodobnie chcesz teraz rozwodu.

– Właściwie o tym nie myślałam. Ani tak, ani tak.

– No więc ci go nie dam.

Karen napiła się kawy. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek od czasów panińskich czuła się taka szczęśliwa, taka zadowolona, tak pełna zwyczajnej, zdrowej radości życia.

– Słyszysz? Nie dam ci rozwodu.

– Dobrze – odpowiedziała pogodnie Karen.

Holmes spojrzał na nią, a dzięki diamenty jego oczu zabłysły ku niej rozpaczliwie z gipsowej twarzy. Nawet w swojej głębokiej rozterce widział, że Karen nie udaje.

– Może to ja przeprowadzę rozwód – powiedział próbując ataku frontального.

– Dobrze – odrzekła pogodnie Karen.

– Możemy właściwie załatwić sprawę z miejsca – powiedział Holmes. – Chcę skończyć z tym raz na zawsze.

– O ile się orientuję, jest już załatwiona. Ty przeprowadzisz rozwód.

– Ha, chciałabyś, co? No więc nie. Nie dam ci żadnego rozwodu. A jeżeli spróbujesz go uzyskać, będę cię zwalczał we wszystkich sądach kraju.

– Dobrze – powiedziała Karen wesoło. – W takim razie załatwione. Nie będzie rozwodu.

– Jakież to uczucie, wiedzieć, że będzie musiało się żyć z takim potworem jak ja do końca życia? – zapytał Holmes z wysiłkiem.

– Niezbyt przyjemne – odrzekła pogodnie Karen. – Ale znów z drugiej strony ma się pociechę w świadomości, że ty też będziesz musiał żyć ze mną do końca życia.

– Boże! – zawołał Holmes w udręce. – Jak możesz być taka okrutna? Jak możesz tu

siedzieć i uśmiechać się? Po tym, co zrobiłaś! Czy twoje obowiązki nie mają dla ciebie żadnego znaczenia? Ani wszystkie lata twojego małżeństwa? Czy twój własny syn, nasz syn, też nic dla ciebie nie znaczy? Nie czujesz żadnego wstydu?

– Chyba nie – odrzekła Karen. – Ani trochę. Dziwne, co?

– No więc powinnaś!

– Wiem – powiedziała Karen. – Ale nie czuję. Prawda, że to okropne?

– Okropne? – wykrzyknął Holmes z uniesieniem. – Kobieta z twoim pochodzeniem, wychowaniem i wykształceniem? Kobieta zamężna, z ośmioletnim synem? I ty to nazywasz „okropne”?

– Sama tego nie mogę zrozumieć – odpowiedziała wesoło Karen. Stopniowo, jedna po drugiej, nieodparte włócznie słuszności łamały się na tym nieustępliwym pancerzu pogody.

– Nie wiesz, co mi zrobiłaś?

– A co ci zrobiłam?

– Zniszczyłaś moje małżeństwo. Podcięłaś fundament całego mojego życia. Byłaś moją żoną. Ufałem ci.

– No cóż, bardzo mi przykro – odpowiedziała Karen. – Jest mi naprawdę szczerze przykro, że tak cię skrzywdziłam. Ale zdaje się, że to było nieuniknione.

– Jak myślisz, po co ja to wszystko robiłem? To wszystko – powiedział z trudem Holmes i rozłożył ręce.

– Jakie wszystko?

– No, że orałem jak wół nad tą parszywą, cholerną reprezentacją bokserską, której nie znosiłem. Że podlizywałem się pułkownikowi Delbertowi i generałowi Slaterowi. Że się poniżałem. Że mnie upokarzali.

– Nie wiem. A po co?

– Dla ciebie. Po to. Bo jesteś moją żoną i ja cię kocham. Dla ciebie, dla naszego syna, naszej rodziny. Po to.

– Zawsze myślałam, żeś robił to dlatego, że chciałeś się wybić.

– Ale po co ktoś chce się wybić? Myślisz, że tylko dla pieniędzy? I władzy?

– Tak myślałam.

– A co człowiekowi po pieniądzach i władzy, jeżeli jest sam? Człowiek chce się wybić ze względu na swoją żonę i synów. Żeby móc im dać to, czego sam nigdy nie miał. Żeby im zapewnić przyjemne życie, żeby mieć dom. I rodzinę.

– Widocznie nie ma we mnie śladu wdzięczności – powiedziała Karen.

– Wdzięczności! – zawołał Holmes z desperacją. – Na miłość boską, Karen!

– Może jestem amoralna – powiedziała wesoło Karen. – Wiesz, tak jak zbrodniarze?

Jakoś nie zdając sobie z tego sprawy, pozbawiony ostatniej włóczni, która złamała się na tym nieustępliwym pancerzu, Holmes przeszedł do defensywy. Holmes się tłumaczył.

– Co by się stało z tym krajem, gdyby wszystkie żony tak myślały?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odrzekła Karen. – Właściwie nigdy nie brałam pod uwagę takiej możliwości.

– Słyszysz się czasem o cudzych żonach – mówił Holmes. – Ale żeby własna...

– Nie myślałeś, że to może się zdarzyć w twoim własnym domu?

– Zdarzyć! – zawołał Holmes. – Gdyby mi ktoś powiedział, że to się zdarzy w moim domu, zabiłbym go! Staralem się nie wierzyć. Mówilem sobie, że to nieprawda. Dopóki tylko mogłem.

– Ale zdarzyło się w twoim własnym domu. Tak? Holmes tępo kiwnął głową.

– Wmawiałem sobie, że to moja imaginacja.

– Więc trzeba to załatwić. Tak?

– Ty nie wiesz, co czuje mężczyzna – powiedział Holmes.

– Nie – odrzekła Karen. – Chyba nie.

– Mężczyźni reagują inaczej niż kobiety. Kobiety wiedzą, że dla mężczyzny taka rzecz nie ma żadnego znaczenia. Ale mężczyznę zdrada kobiety łamie wewnętrznie. Niszczy jego poczucie męskości.

– Ciekawa jestem, dlaczego mężczyźni reagują tak inaczej niż kobiety.

– Nie wiem – odparł żałośnie Holmes. – Wiem tylko, że tak jest.

– Coś ci powiem – rzekła wesoło Karen. – Dzisiaj jest ślicznie na dworze. Chyba pójde na spacer, a potem do Klubu i zjem obiad sama. Czuję się dobrze i jestem głodna. A w ten sposób będziesz miał czas powziąć decyzję przed moim powrotem.

– Decyzję co do czego?

– Co masz zamiar zrobić.

– Wolałbym, żebyś jeszcze nie wychodziła – poprosił Holmes. – Chciałbym najpierw załatwić tę sprawę.

– Myślałam, że już jest załatwiona.

– No więc nie jest. Przecież prawie nic nie powiedziałaś.

– A co ja mam do powiedzenia?

– Jestem skłonny ci wybaczyć – powiedział Holmes. – Powiedz mi, gdzie byłaś i z kim byłaś. Zrzuć to z serca. Przebaczę ci.

– Bardzo mi przykro – odparła Karen – ale obawiam się, że to jest rzecz, której się nigdy nie dowiesz.

– Będziesz musiała mi kiedyś powiedzieć.

– Dlaczego?

– Będziesz musiała. Ostatecznie jestem twoim mężem. Nie możesz bez końca ukrywać czegoś przede mną.

– Mój Boże – powiedziała Karen z uśmiechem. – Znow mówisz naprawdę jak z książki Hemingwaya. Nie będę nic przed tobą ukrywała. Po prostu ci nie powiem.

Za to powiem ci coś innego – ciągnęła. – Zdradziłam cię już przedtem. Raz. Nigdy się o tym nie dowiedziałeś. I jest bardzo prawdopodobne, że kiedyś jeszcze cię zdradzę. Nigdy nie wiadomo. Ale myślę, że powinieneś to wiedzieć, zanim coś zdecydujesz. Bo, widzisz, będziemy musieli zmienić warunki naszej umowy.

A teraz posiedź tu sobie – dodała macierzyńskim tonem – uspokój się i zdecyduj, co chcesz zrobić. Jeżeli chcesz się ze mną rozwieść, proszę bardzo. Jeżeli nie chcesz, też dobrze. Cokolwiek zdecydujesz, będzie doskonale. Ale mały za parę minut przyjdzie ze szkoły na obiad, a nie trzeba, żeby nas widział robiących sobie wielką scenę, prawda?

– Jestem głodny – powiedział ponuro Holmes.

– W lodówce jest dużo zimnego mięsa i różnych rzeczy – odparła Karen. – Ja wrócę do domu przed kolacją.

– A co z obiadem dla małego?

– Bella zawsze przygotowuje go zaraz po śniadaniu i wstawia do lodówki, nie pamiętasz? – wyjaśniła cierpliwie. – Wszystko tam jest na talerzu. On wie gdzie.

– A czy nie mógłbym pójść z tobą na obiad do Klubu? – zapytał Holmes pokornie.

– Wolałabym iść sama. Jest taki ładny dzień i chciałabym się nim nacieszyć. Nie musząc mówić o różnych problemach.

– Przecież możemy oboje pójść do Klubu i zjeść przy osobnych stolikach – zaprotestował.

– Jak nie masz ochoty przyrządzać sobie czegoś tutaj, to możesz iść do kantyny – odpowiedziała Karen łagodnie, ale stanowczo. – Coś ci powiem – dodała od drzwi. – Jeżeli nie będziesz trzymał gotującej kawy w rondlu, tylko ją zestawisz, zaraz jak się zagotuje, nie będzie taka gorzka.

– Zaparzę sobie w maszynce – rzekł Holmes.

– Doskonale – powiedziała Karen troskliwie. – No, zobaczymy się później.

Wyszła kuchennymi drzwiami, a potem spod wielkich, starych drzew w jaskrawe, letnie światło słoneczne na Waianae Avenue. Schofield Barracks było naprawdę bardzo ładną placówką. Na obłożonych workami z piaskiem stanowiskach ogniowych stały działa przeciwlotnicze, a wszędzie wałała się ziemia z wykopywanych schronów przeciwbombowych. Ale nawet to było ładne. Wszystko było tak ładne, iż Karen pomyślała,

że jeśli będzie odtąd utrzymywała właściwą równowagę i proporcję, należycie wyliczała sobie czas i smakowała każdy kęs bez żarłoczności – zdoła tak to zachować na czas prawie nieograniczony.

Poprzedniego wieczora, gdy przyszedł Milt, czytała właśnie o Stendhalowskiej filozofii szczęścia. Nie była to filozofia moralna, tylko bardzo materialistyczna. Prawdopodobnie wielu ludzi nie pochwaliliby jej. Jedynym jej celem było racjonalne dedukowanie i planowanie sobie z góry, jak uczynić życie naprawdę interesującym i w pełni szczęśliwym. Dobrze u tego Stendhala było to, że rozumiał, jak ważną rolę odgrywają klęski i tragedie w tworzeniu pełnego szczęścia. Nigdy jej to nie przyszło do głowy, tak jak nie przyszło jej do głowy, że może być filozofia skonstruowana tylko w tym celu, aby uczynić życie szczęśliwym.

Czuła, że już nigdy nie pokocha żadnego mężczyzny. Ale jeżeli nawet miłość już się skończyła, życie nie musiało wcale być skończone.

Nagle, idąc przez Waiana Avenue, zaczęła płakać patrząc na śliczne działa przeciwlotnicze i piękne kopce brudnej ziemi.

Major Holmes, szef wydziału szkolenia i spraw operacyjnych w sztabie n-tej brygady siedział ociężale przy kuchennym stole, kiedy jego żona wyszła tylnymi drzwiami. Po chwili wstał ciężko, podszedł do lodówki, wyjął z niej zimne mięso i zrobił sobie dwa sandwicze z musztardą. Napił się mleka zamiast kawy.

Zebrał naczynia, schował resztę jedzenia do lodówki i zmiotł okruchy ze stołu. Zmył naczynia w zlewie, wytarł je i odstawił na miejsce. Opróżnił zbyt pełną popielniczkę, wymył ją i wytarł. A potem, gdy nie zostało już nic do zrobienia, usiadł przy stole i zapalił papierosa.

Papieros nie smakował lepiej niż sandwicze i zimne mleko. Major Holmes nie znosił zimnego mleka, a gotować nie umiał. Pożałował, że zwolnił na dzisiaj służącą. Jak tylko Karen z chłopcem wyjedzie do kraju, będzie mógł jadać w kasynie dla nieżonatych oficerów. Jeszcze tylko parę tygodni; tylko do szóstego stycznia.

Rozgniół wypalonego ledwie do połowy papierosa w czystej popielniczce, wstał od stołu i wybiegł kuchennymi drzwiami, byle jak najdalej od domu. Znalazł się znowu w bezpiecznym schronieniu swojego biura na długo przedtem, nim jego syn wrócił na obiad.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Szóstego stycznia Milt Warden przebywał w mieście na przepustce. Maylon Stark wybrał się razem z nim.

Tego dnia po raz pierwszy od owego sobotniego wieczora, poprzedzającego Pearl Harbor, wydano przepustki żołnierzom na Hawajach i o dziesiątej rano wyposzczone, rozwrzeszczane hordy nieokiełzanych ludzi zwały się na Honolulu ze wszystkich punktów dziewięćdziesięciomilowe-go obwodu niczym szprychy koła zbiegające się w piastę, i zaczęły ustawiać się w kolejkach przed barami i burdelami, aż wreszcie kolejki się pomieszały i ludzie chcący dostać się do hotelu „New Congress”, stwierdzali nagle, że są w restauracji Wu Fata o cztery domy dalej i zamawiają trunki. Tak mniej więcej trwało przez cały dzień, aż do godziny policyjnej. Ten dzień i dwa następne były niejako świąteczne. Żaden barman w mieście nie miał ich nigdy zapomnieć. Ani żadna z „szefowych”, które się naówczas tam znajdowały. Nawet niektórzy szanowni obywatele jeszcze to pamiętają.

Rozkaz w sprawie przepustek mówił wyraźnie, że nie więcej niż jedna trzecia stanu każdej kompanii może być nieobecna w danym momencie. Dla rozstawionej na plaży kompanii G stanowiło to problem podziału. Kompania G miała czternaście pozycji nadbrzeżnych. Dowódca każdej pozycji (częściej podoficer niż oficer) otrzymał od porucznika Rossa polecenie przedłożenia nazwisk jednej trzeciej ludzi do przepustki. Warden miał zająć się przepustkami dla personelu stanowiska dowodzenia. Stark zajmował się przepustkami dla obsługi kuchennej.

Istniało niepisane prawo, że dowódca nie korzysta z przepustki, dopóki nie zostaną obdzieleni jego ludzie, toteż dowódcy-podoficerowie (którzy w przeciwieństwie do oficerów nie gardzili kombinowaniem z szeregowcami) nie mogąc sami iść na przepustkę, zagarniali, co mogli, i tym sposobem w przeddzień szóstego stycznia nastąpiła wielka wymiana uścisków dłoni, gotówki i pamiętek, a niemało owych prawie bezcennych, zbyt prędko topniejących butelek whisky zmieniło wtedy właściciela.

Honor wzbraniał Wardenowi i Starkowi umieszczenia własnych nazwisk na przepustkowej liście, ale Warden dopilnował, by mimo to dostali przepustki. Po prostu wypełnił dwa dodatkowe formularze ponad przewidzianą normę i dał je porucznikowi Rossowi do podpisu. Nikt w kompanii nie kwestionował owego naruszenia etykiety, a już najmniej sam porucznik Ross. Ross umiał poznać się na rzeczy, kiedy mu ją raz pokazano. Od tego dnia, gdy odrzucił swą nominację, Warden miał kompanię G opakowaną i podaną na tacy, tak jak się ludził, że było za czasów Holmesa, co wcale nie odpowiadało rzeczywistości.

Stark miał półkwartową butelkę, którą zarobił na sytuacji przepustkowej. Dokończyli jej po drodze do miasta. Pierwszym ich etapem był „Niebieski Syf Charlie Chana. „Niebieski Syf nie był tak zatłoczony jak lepsze bary. Nie czekała przed nim kolejka na chodniku. Pod „Niebieskim Syfem” ludzie stali przy barze tylko w trzech rzędach. Warden i Stark musieli wypić sześć szklanek stojąc w ścisku, zanim dostali stołki przy barze i zaczęli pić na serio.

– Och! – westchnął Stark, gdy wśliznęli się na stołki. – Nogi mam do chodzenia, nie do wystawiania po barach. Nawet w wieczór po wypłacie w Fort Bliss nie jest tak źle.

– Ceść, Walden! Ceść, Stalk! – rozpromienił się Charlie. – Dawno nie widzieli. Wspaniali dzień, plawda?

– Aha – odparł Warden. – Fajny.

– Taki fajny dzień – rzekł pogodnie Stark – że mam ogromną ochotę spić się jak świnia i zatłuc na śmierć jakiegoś pyskacza.

– Stark, jesteś Teksańczykiem – powiedział Warden. – Teksańczycy miłują swoich druhów, swój stan Teksas i swoją matkę. A nie cierpią Murzynów, Żydów, cudzoziemców i kobiet złego prowadzenia, chyba że akurat którąś rzną.

– Zdaje się, żeśmy przyszli za wcześnie – powiedział Stark – albo też kompania G rozwiązała swój sojusz z barem „Pod Niebieskim Syfem”.

– Widzę ciebie na wskroś jak przez szybę – odparł Warden. – Hej, Rose!

Istotnie, przyszli za wcześnie; ze stanowiska dowodzenia wyjechali pięć po dziewiątej zamiast o dziesiątej z resztą ludzi. Jediną znajomą twarzą w lokalu był przyjaciel Rose, starszy sierżant artylerii, który siedział w tej samej łóźce w głębi, tak jakby się w ogóle stamtąd nie ruszył, ale tym razem z trzema kumplami.

– Pijani – promieniał Charlie. – Wszyscy pijani. Piękny dzień. Ta kolejka ja stawiam, chłopcy. – Radośnie skinął do nich spoconą głową i przesunął się dalej za barem, który usiłował obsłużyć sam jeden.

– Fajny gość – powiedział Stark.

– Aha. Morowy – rzekł Warden.

– Myślisz, że może postawić kolejkę?

– Nie. Wątpię.

– Potrzeba mu kogoś do pomocy przy barze – powiedział Stark.

– A jeszcze bardziej tu, na froncie – odparł Warden obserwując Rose, która, choć miała do pomocy drugą dziewczynę, nie obsługiwała gości wiele lepiej od Charliego, ponieważ usiłowała załatwiać zamówienia i jednocześnie siedzieć ze swoim sierżantem.

– Słuchaj no. Rose! – huknął Warden.

Siedziała właśnie w łóźce artyleryjskiej, ale podeszła do nich. Jej smagła, wyuzdana,

drobna twarz, która była portugalska, ale którą zdradzały jako mezalians rasowy nieco skośne oczy, miała wyraz lekkiego rozdrażnienia.

– Czego chcesz, Warden?

– Jak się nazywa ten twój chłopak? Spojrzała na niego posępnie.

– A po co ci to wiedzieć? Nie twoja rzecz.

Warden otwarcie popatrzał na jej bujne piersi. Rose podążyła za jego spojrzeniem, a potem podniosła wzrok z gniewem i zaczepnie spojrzała mu w jasnoniebieskie oczy.

– Z której on jednostki? – zapytał Warden swobodnie.

– Słuchaj no! Co cię to obchodzi? Myślałam, że chcesz coś zamówić. Spiłeś się, tak? Charlie cię obsłuży. Ja nie obsługuję baru.

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała z powrotem do artyleryjskiego stolika.

Warden i Stark, jak jeden mąż, okręcili się na stołkach, by za nią popatrzeć. Jej gołe, krągłe nogi pocierały się o siebie obiecująco pod rozchwianą spódnicą. Lekka wklęsłość na krzyżu zaokrągliała się ponętnie w jędrne, wypukłe policzki drobnych pośladków, które kołysały się swawolnie przed ich oczami.

– O rety, co za dupa! – powiedział Stark z czcią.

– Amen – dodał spokojnie Warden. Ściągnął wargi i z lubością powiódł językiem po wąsach. Czuł, jak stara chmurna wojowniczość pijaństwa uderza mu kojąco z piersi do głowy, niby głębokie odetchnięcie kamforą. Wszystko miało tę zaskakującą klarowność rzeczy zapomnianych, które się widzi znowu.

– Dobrze ci jest? – zapytał Stark.

– Pewnie, że dobrze.

– Człowieku, to jest życie! – powiedział Stark z naciskiem. – Nie zamieniłbym tego życia na nic. A ty?

– Też nie – odrzekł Warden. – Wiesz, czego ci brakuje? Jesteś z Teksasu i nie masz poczucia humoru.

– Mam poczucie humoru.

– Jasne. Każdy ma. Ale twoje nie jest takie jak trzeba. Za gęste. Jak melasa. Nie umiesz rozróżnić dumy od poczucia humoru. Człowiek dumny bez właściwego poczucia humoru zamorduje się na śmierć, nim dojdzie do trzydziestki. A weź mnie. Ja mam prawdziwe poczucie humoru. Dlatego mogę zmusić takiego gościa jak ty, żeby zrobił, co tylko będę chciał.

– Nie możesz mnie zmusić, żebym zrobił coś, czego nie chcę zrobić – oświadczył Stark.

– Nie mogę, tak? – odparł chytrze Warden. – Chcesz się założyć?

– A pewnie.

Warden pochylił się nad szklanką uśmiechając się chytrze. Potem się wyprostował.

– Hej, Rose!

Rosę znowu podeszła ze zmarszczonymi brwiami.

– Szlag by cię trafił, Warden. Czego znów chcesz?

– Chluśnij mi jeszcze whisky, dziecinko. Tego chcę. Napełnij mi szklankę.

– On ci napełni. Charlie ci naleje.

– Cholera z nim. Chcę, żebyś ty to zrobiła.

– Okej. Ale ty mnie dużo kosztujesz! Piwo też ci dać? Warden popatrzył na swoją butelkę.

– Aha. A to wyrzucić. Daj mi zimne.

– Więcej z tobą kłopotu, niż jestem warta – uśmiechnęła się Rose.

– Tak myślisz? Jak się nazywa ten twój chłopak, Rose?

– Idź do diabła.

– W której jest jednostce?

– Powiedziałam ci: idź do diabła.

– Wiesz, dlaczego lubię, jak mi nalewasz, Rose? Bo lubię patrzeć, jak potem odchodzisz. Masz śliczną pupkę, Rose.

– Jestem mężatką – odparła Rose z godnością, rozumiejąc przez to, że ma stałego przyjaciela. Ale to jej pochlebiło.

– No, jak on się nazywa?

– Psiakrew! – wybuchnęła Rose. – Zamknij się i idź do diabła.

– Nazywam się Berny – odezwał się starszy sierżant artylerii podchodząc do stolika. Był prawie równie barczysty jak Warden. – Sierżant Ira Berny z ósmego artylerii polowej. Jeszcze pan sobie czegoś życzy, sierżancie?

– Ano – zamyślił się Warden. – Ile pan ma lat?

– W czerwcu skończę dwadzieścia cztery – odrzekł starszy sierżant. – Coś jeszcze?

– Ma pan bardzo ładną przyjaciółeczkę, jak na tak młodego człowieka.

– I mam zamiar ją zatrzymać. Coś jeszcze?

– Tak. Czy byłby pan tak uprzejmy, żeby wypić ze mną i z moim przyjacielem? – zapytał Warden.

– Jasne.

– Rose, moja ślicznotko – rzekł Warden. – Nalej mu coś.

– Whisky – powiedział starszy sierżant.

Rose naląła mu. Warden zapłacił. Starszy sierżant wychylił szklankę.

– No, to cześć – odprawił go Warden, po czym obrócił się do Starka, plecami do nich dwojga. – Bawcie się dobrze. – Zaczął rozmawiać ze Starkiem.

Oboje przez chwilę stali zaskoczeni. Potem odeszli do łoży. Tam zaczęli rozmawiać ze sobą gwałtownie, a trzech koledzy przysłuchiwali się temu.

– Co ty wyrabiasz, u diabła? – zapytał Stark. – Chcesz wywołać bójkę?

– Nigdy nie wywołuję bójek.

– Ale pewnie je kończysz.

– Nie. Nawet ich nie kończę.

– Weźmiemy się teraz do niego?

– Gdzie i do kogo? – zapytał Warden.

– Do twojego kumpla sierżanta.

– O czym ty gadasz? – zapytał Warden. – A, zapomniałem. Jesteś z Teksasu. Ty, Teksaszczyk, słyszałem, że z ciebie cholerny strzelec. Czy to prawda?

– Jakoś daję sobie radę – odparł Stark.

– Chciałbyś ze mną postrzelać, Teksaszczyku? Możemy zrobić mały zakładzik na boku. Powiedzmy o sto dolarów.

Stark sięgnął do kieszeni.

– Al pari?

Warden wyszczerzył zęby.

– Kiedy tylko chcesz – powiedział Stark. Wyciągnął ze zwitka banknotów jeden dziesięciodolarowy i trzy jednodolarowe, a resztę rzucił na ladę. – Sto dolarów. Kiedy tylko ci się spodoba.

Zwitek składał się głównie z piątek i jedynek i wyglądał bardzo grubo, leżąc tak luzem, złożony na pół na ladzie. Warden pochylił się nad nim.

– No, no, ale Teksaszczyk nazgarniał sobie forsy! Jak to jest być bogatym, Teksaszczyku?

– Niedaleko stąd jest na ulicy strzelnica – powiedział Stark. – Albo możemy iść do Moma na Hotel Street. Będziemy tam za pięć minut.

– Będiesz tam miał większe szansę niż na prawdziwej strzelnicy?

– Chcesz się założyć czy nie? – zapytał Stark. – Decyduj się albo nie gadaj.

– Jesteś frajer, Teksaszczyku; nie mówiłem, że zrobisz to, co będę chciał? No przecież gdybym chciał, popchnąłbym cię teraz, żebyś się pobił z tą całą paczką artylerzystów. Nie wiesz, że potrafię cię przestrzelać jedną ręką? Schowaj tę forszę do kieszeni, jak grzeczny chłopczyk. Na tej Wyspie nie ma nawet trzech ludzi, którzy mogliby mnie przestrzelać, i dobrze o tym wiesz.

– Nie możesz zmusić mnie do niczego, na co nie mam ochoty – upierał się Stark.

Warden postukał się w skroń wskazującym palcem.

– Trzeba mieć o, tu, Teksańczyku. To i poczucie humoru. Mógłbyś w trzy miesiące zostać oficerem, gdybym tobą pokierował.

– Kto by chciał być oficerem, do diabła? – wykrzyknął Stark z oburzeniem. – Nie musisz mnie obrażać. Sam sobie dam radę, panie starszy sierżant. Jakoś mi nieźle idzie.

– Tu właśnie się mylisz, Teksańczyku. Tego próbuję cię nauczyć. Liczą się wyniki. Nie musisz tracić dumy, jeżeli nie chcesz. Ale bardzo łatwo mógłbyś zostać oficerem.

– Nie rób mi łaski.

– I dalej chcesz ze mną postrzelać?

– W każdej chwili.

– Okej – uśmiechnął się chytrze Warden. – Pójdziemy do Moma i wystrzelimy po dziesięć naboń, o sto dolarów al pari. Niech Mom przyjmie stawkę. – Rzucił wzgardliwie przed Starka wilgotny zwitek banknotów. – Schowaj to do kieszeni, bo tutaj nie będziesz miał tego długo.

Stark zwinął pieniądze razem ze swoją dziesiątką i trzema jedynkami i wepchnął luźny pęk do kieszeni spodni. Kiedy był tym zajęty, Rose znowu przeszła obok tego końca baru, przy którym siedzieli, aby obsłużyć innego klienta, a jej piękny tyłeczek podrygiwał kusząco za każdym krokiem.

Warden okręcił się raptownie na stołku, kiedy go mijiała, wyciągnął rękę i uszczypnął ją lekko w jeden z tych miękkich policzków. Rose zatrzymała się wpół kroku i obróciła zamachnąwszy się otwartą dłonią. Warden z łatwością pochwycił ją za przegub lewą ręką, nawet nie ruszając się z miejsca. Sięgnęła do jego twarzy prawą, której długie, krwawoczerwone paznokcie nastawione były jak szpony. Warden ze śmiechem chwycił tę rękę równie łatwo swoją prawą i przytrzymał Rose skrzyżowawszy obie ręce przed sobą, przytrzymując ją tylko i śmiejąc się zaczepnie.

Nie mogąc się wyrwać, Rose wymierzyła wściekłego kopniaka w jego genitalia na krawędzi stołka. Warden zręcznie zasłonił się prawym kolaniem, z taką swobodą, że na pozór bez żadnego wysiłku, i trafił ją tym kolaniem w goleń. Potem wstał lewą nogą ze stołka popychając go jej między nogi i szamocząca się, przeklinająca dziewczyna pozostała unieruchomiona i bezsilna. Warden trzymał ją bez trudu, pozwalając jej się szamotać.

– Spokojnie, dziecinko – uśmiechnął się z zadowoleniem. – Nie zrobię ci nic złego. Jesteś kobietką w moim guście, ale mnie nie podniecaj, bo jeszcze trochę, a posunę cię tutaj na środku podłogi.

Wargi Rose podkurczyły się jak u warczącego psa i plunęła na niego z pasją. Warden

uchylił się w lewo jak bokser i poza drobnym opryskaniem cała plwocina ominęła go i trafiła Starka prosto w sam środek koszuli.

Wszystko to stało się tak prędko, że Stark, który chował pieniądze do kieszeni, prawie nie zdążył podnieść głowy.

– Ty przekłety draniu, skurwysynu! – zasyczała wściekle Rose. Jej przyjaciel wraz ze swymi kumplami już zerwał się od stolika.

– E! Tak się nie traktuje damy – powiedział artylerzysta.

– No! – odezwał się jeden z jego kumpli. – Puść tę panią. Warden spojrzał na nich oczami rozszerzonymi kpiącym zdumieniem.

– Co? Żeby mnie uderzyła? Nie bądź niemądry, przyjacielu. Spokojnie, dziecinko – powiedział do szamoczącej się Rose. – Tylko spokojnie. Dostaniesz udaru.

Czterej artylerzyści ruszyli jednocześnie na niego, jak rząd samochodów ruszających spod sygnalu. Warden z dezaprobatą potrząsnął głową.

– No, no, koledzy – powiedział.

– Ty sukinsynu, ty cholero – syczała z pasją Rose.

Warden lekkim pchnięciem rozpląszczył ją o ścianę, ażeby usunąć ją sobie z drogi, jak gdyby była czymś, co już spełniło swoją rolę, i ruszył na spotkanie czterech maszerujących artylerzystów z tak oślepiająco nagłą krwiożerczością, że ich zupełnie zaskoczył. Jego potężna pięść zamachnęła się zajadle i pchnięta całym ciężarem sunącego naprzód ciała wylądowała na nosie starszego sierżanta z dosłyszalnym chrupnięciem. Ira zatoczył się i siadł na podłodze pod ścianką łoży, a ze złamanego nosa chlusnęła mu obficie krew. Warden z chciwym rykiem zderzył się piersią z jego trzema kumplami.

Rose, która odbiła się od ściany, jak bokser od lin, wskoczyła mu na plecy, wbijając szpony w jego kark, szukając małymi, ostrymi ząbkami jego ucha.

Sierżant dźwignął się z podłogi, kilkakrotnie potrząsnął głową i rzucił się na powrót do bitki. Stark, który obserwował ich ze zdumieniem, przyjął go dobrze wymierzonym ciosem, a jego masywna łapa oficera kasynowego mignęła błyskawicznie jak koniec bicia. Ira runął w tył przebijając szybko nogami. Trafił siedzeniem na stolik w łoży i zwałił się na jego blat, z głową opartą o ścianę.

Rose, uczepiona pleców Wardena, nie mogąc znaleźć ucha, zadowolona się barkami i wbiła mu zęby w ramię przez koszulę i podkoszulek. W tym momencie wszyscy pięcioro – Warden, Rose i trzech kumple – tarzali się już na podłodze skłębioną masą rąk i nóg. Warden z irytacją wstrząsnął plecami i Rose wyleciała jak z procy na ścianę, pomimo swych trzech uchwytów.

Zawróciła natychmiast, wrzeszcząc cienkim, przenikliwym, bezrozumnym falsetem, i

odbiwszy się obiema stopami od podłogi wskoczyła znów Wardenowi na plecy. Pięść należąca do jednego z przyjaciół sierżanta artylerii, wyprysnąwszy z kotłującej się masy, trafiła ją prosto w czoło i Rose grzmotnęła na wznak, nieprzytomna, niezdolna do walki.

Charlie Chan, bełkocząc coś szaleńczo po chińsku, przestał na chwilę załamywać ręce i pociągnął bezwładną Rose za kontuar. Następnie powrócił znowu do załamywania rąk i bełkotania po chińsku, skulony za barem i gotów dać nura pod ladę. Wielki tłum gości, którym tak się radował, już się rozproszył. Większość stała tuż za otwartymi drzwiami, obserwując widowisko.

Było to dobre widowisko.

Stark brodził między czterema gramolącymi się po podłodze ciałami. Pociągnął za jakąś obcą nogę, dopóki nie wychynęły plecy, i począł okładać miażdżącymi ciosami nerki owych nieznanych pleców.

Z masy leżącej na podłodze dobył się stłumiony głos, który zawołał żałośnie:

– Ty, Ira! Gdzie jesteś? Chodź na pomoc.

Złośliwie radosny śmiech Wardena zabrzmiał też dziwnie stłumiony.

– Trzeba wam będzie więcej niż czterech, przyjacielu.

Starszy sierżant Ira, który wciąż leżał bezwładnie na blacie, z głową opartą o ścianę, dosłyszał to wezwanie, zesunął się ze stolika i potrząsnął głową trzymając się za broczący nos. Postąpił tyle, żeby zdążyć powiedzieć do nikogo w szczególności: „Zaczyna się na ostro”, po czym skoczył w wir walki.

Skłębiona masa na podłodze rozwarła się i dźwignął się z niej Warden, niczym jakiś kolos, szczerząc zęby w milczącym, morderczym uśmiechu, z krwią ściekającą z ust na wojskową koszulę i krawat. Poruszył wargami i dramatycznie wypluł dwa zęby. Mundur miał w strzępach, oba rękawy koszuli oddarte na ramionach, jedną nogawkę spodni oderwaną prawie całkowicie, tak że widać było twardą, szczupłą, owłosioną kolumnę mięśni. Między jego stopami leżał jeden z kumpli sierżanta artylerii w równie bezwładnym stanie i równie niezdolny do walki jak panna Rose. Warden stał na nim twardo, uśmiechając się radośnie, milcząco, i łupił beztrąsko pięścią w każdą twarz i brzuch, jakiego zdołał dosięgnąć.

Jego ciosy odtrąciły dwóch napastników niczym kamyki wyrzucone przez wirujące koło.

Stark złapał trzeciego, którym akurat był starszy sierżant Ira, okręcił go ostro i z chirurgiczną precyzją zadał mu druzgocący cios w grdykę. Ira zatoczył się w tył jak szalony, wpadł do jednej z łóż, runął na podłogę dławiąc się z okropnego bólu i dał za wygraną.

Z dwóch pozostałych, których odrzucił Warden, jeden siedział apatycznie obok Iry. Drugi, który zatoczył się na bar, chwycił butelkę od piwa, obtłukł ją o poręcz kontuaru i

wymijając Starka skoczył z nią na Wardena jak ze sztyletem, klnąc i sapiąc. Obtluczenie butelki wywołało pomruk potępienia u widzów, ale żaden nie ruszył się, by go zatrzymać.

Warden, wciąż uśmiechając się krwiożerczo, czekał na niego z rękami wysuniętymi przed siebie jak zapaśnik, gotów pochwycić go, jeżeli się uda.

Jednakże, kiedy tamten przebiegał obok Starka stojącego przy barze, Stark delikatnym, zblazowanym ruchem podstawił mu nogę. Biegnący napastnik grzmotnął jak długi, ciągle starając się dosięgnąć butelką Wardena.

Warden cofnął się o krok, pozwolił mu zwalić się na podłogę, po czym przystąpił do niego i starannie kopnął go w głowę.

To wszystko trwało może sześć minut.

Jednakże na ulicy ozwały się już przenikliwe, natarczywe, zawsze czujne gwizdki żandarmerii, zbliżające się coraz bardziej.

Charlie Chan, który wciąż załamywał ręce, począł płakać. Łzy pociekły mu po twarzy.

– Telaz spłowadzi cholelna zandalmelia! Taki piękny dzień! Telaz już nic z intelesów. Zamkną wsystko.

– Idą, Teksańczyku! – zawołał Warden śmiejąc się bezmyślnie.

– Chodź. Znam jedno miejsce.

Oderwał zwisającą nogawkę i wyciągnął z niej nogę, po czym przepchali się łokciami przez rosnący tłum. Pognali ku River Street; Warden wciąż śmiał się rozgłośnie, gdy uciekali od coraz bliższych, natarczywych gwizdków.

– Ta Rose – zaśmiał się zdyszany Stark. – Ona naprawdę leci na ciebie, bracie. Następnym razem, jak tam pójdiesz, włóż lepiej ochraniacz na przyrodzenie, bo nie doczeka, żeby cię ściągnąć do domu, tylko cię zgwałci na miejscu.

– Dlatego nie mam zamiaru więcej tam wracać – roześmiał się Warden.

– Chodź, tędy.

Skręcił w lewo, w przejście między domami, wciąż śmiejąc się radośnie, bezrozumnie. Była to ta sama uliczka, w której rozmawiali z Prewittem tamtego wieczora, kiedy go widział po raz ostatni, zanim przeszli na drugą stronę ulicy, aby się czegoś napić. Pomyślał o tym biegnąc i popędził dalej.

– To pierwsze miejsce, gdzie będą nas szukali – rzekł Stark.

– Spokojna głowa. Leć. Wiem, co robię.

W połowie uliczki Warden krzyknął: „Tędy!” – i znowu skręcił w lewo, w kierunku z którego nadbiegli. Minęli tylne drzwi „Niebieskiego Syfa”. Z kolei pognął po żuźlu na tyły sąsiedniego domu, gdzie były schodki przeciwpożarowe, i zaczął się po nich wspinać. Stark podążył za nim, a następnie obaj, słysząc w dole wśród gwaru owe natarczywe gwizdki,

przebiegli przygłędzi przez dachy trzech czy czterech budynków, nim Warden wreszcie się zatrzymał.

– Zaraz – powiedział. – Zdaje się, że to ten. Tak, to tutaj. Przechylił się przez szeroką na trzy stopy mroczną szczelinę między domami i zastukał ostro w okno sąsiedniego budynku. Zaczekał niecierpliwie, po czym zastukał znowu.

Stamtąd, z dachu znajdującego się na wysokości trzeciego piętra, widzieli dachy całego miasta poniżej Beretanii i dalej w dół, aż do przystani u stóp Nuuanu. W jaskrawym słońcu migoczącym na głębokim szafirze wody, ze sterczącym palcem wieży Aloha i kanałem Wyspy Piaszczystej, wypływał w morze statek. Jeden z tych pasażerskich, z linii okrętowych Matson; wyglądał na „Lurline”.

Zaskoczeni mimo woli, przystanęli i patrzyli. Wielki liniowiec sunął dalej, milcząco, bezlitośnie, tak nieodparty i niepowstrzymany jak dzień urodzin albo idący zegar. Jego dziób już się chował za jednym z wielkich budynków bankowych. Patrzyli, dopóki cały statek, bezgłośnie, stopa za stopą, nie wsunął się zań i nie zniknął.

– No – odezwał się Stark chrapliwie. – Idziemy, cholera, czy nie? Warden obrócił się raptownie i popatrzał na niego rozszerzonymi, wściekłymi oczami, tak jakby nie wiedział, że Stark w ogóle tu jest. Jak gdyby wyleciał mu z pamięci. Patrzył na niego przez chwilę w ten sposób, bacznie, gwałtownie, w milczeniu. Potem obrócił się do okna i zastukał znowu.

– Kto tam? – odezwał się tym razem kobiecy głos.

– Wpuść nas, Gerto – roześmiał się Warden. – Gonią nas żandarmy. Kobieta otworzyła okno.

– Ale kto to?

– Ja, Milt. Czemu nie myjesz okien? No, jazda, zabierz nas stąd. Stąpnał z dachu na parapet okna i przecisnął się do środka. Stark jeszcze

raz rzucił okiem na pustą, błękitną zatokę i podążył za nim.

Znaleźli się w długim, pustym korytarzu, na którego końcu były duże, obite blachą drzwi, zamykane na sztabę. Kobieta była wysoka, o szczupłej twarzy, w wieku czterdziestu pięciu – pięćdziesięciu lat. Miała na sobie piękną wieczorową suknię z pękiem gardenii przy dekolcie.

– Pani Kipfer! – zawołał Stark z niedowierzaniem. – No, niech mnie krew zaleje!

– O, Maylon Stark! – wykrzyknęła pani Kipfer. – Tego to znam – zmarszczyła się na Wardena. – Alem nigdy nie myślała, że zobaczę ciebie wchodzącego tylnymi drzwiami.

Warden ryknął śmiechem.

– No, sierżant Stark jest dziś wybawcą i bohaterem wieczoru, Gerto. Gdyby nie on i jego szybki pomysłuńek, twój wierny sługa mógłby coś oberwać. Kto wie, może nawet

leżałby teraz martwym bykiem w jednej z tych parszywych uliczek Honolulu, którymi tak z pewnością wymknęliśmy się twardemu ramieniu prawa szukając azylu w twoim kościele wszystkich dusz.

– Ale jednak wydaje mi się, że coś oberwałeś. – Podeszła bliżej i obejrzała jego usta z wytworną, rzeczową, ale pełną dezaprobaty miną wykwalifikowanej pielęgniarki.

– Och, Milt! Straciłeś dwa zęby! Co za szkoda! I to po co. W jakiejś głupiej bójce bez żadnego celu poza rozrywką. Kiedyż ty wreszcie dorośniesz?

– Trzeba ci wiedzieć, że broniłem wielkiej sprawy rycerskości – uśmiechnął się do niej czarująco Warden. – Stałem w obronie tej najpiękniejszej ze wszystkich płci: płci niewieściej. – Skłonił się. Ciepłe, złote błyski w jego oczach zamigotały do niej wesoło. – Poza tym, wojsko sprawi mi nowe zęby.

Pani Kipfer bezradnie pokiwała głową do Starka.

– Co tu z takim robić?

– To jest typ, nie? – odrzekł Stark.

– A tobie też coś się stało, Maylon.

– Nie, proszę pani – odpowiedział Stark. – Tylko to. – Dotknął sporego guza na kości policzkowej, który stopniowo rozszerzał się fioletowym zachodem słońca aż po jego oczy.

Pani Kipfer obejrzała oko i cmoknęła.

– Jak tam u ciebie z pierwszą pomocą, Gerto? – zapytał Warden. Jego oczy błysnęły do niej szatańsko. – Myślisz, że będę musiał przepowiedzieć sobie od nowa to, co umiem?

– Wolałabym, żebyś przestał mnie nazywać Gertą – powiedziała z rozdrażnieniem pani Kipfer. – To wulgarnie. Dla mnie imię Gertruda zawsze kojarzy się z kurwą.

Warden roześmiał się głośno.

– I ty o tym wiesz, Milt. Gdybym nie wiedziała, że tylko żartujesz, miałabym ci to naprawdę za złe.

– Przepraszam cię, Gerto – wyszczerzył do niej zęby Warden. – Wiesz doskonale, że nigdy nie chcę być wulgarny.

– Wiem – odparła pani Kipfer. – Tylko dlatego nie każę cię wyrzucić.

– No, no, Gerto – uśmiechnął się do niej Warden.

– Chodźcie już – powiedziała z irytacją. – Nie możecie wyjść frontem wyglądając w ten sposób. Będziecie musieli się umyć, a mam tu gdzieś jakieś mundury, w które możecie się przebrać.

Poprowadziła ich korytarzem, jak gospodyni prowadząca gości; Warden przez całą drogę chichotał.

– Zawsze mówiłem, że minęłaś się z powołaniem, Gerto. Powinnaś być matką

przełożoną.

Stark szedł za nimi rozglądając się ciekawie. Po raz pierwszy był tu na tyłach, w „części mieszkalnej”. Łazienka pachniała kobiecym pudrem, kremami, solami do kąpieli i mydłem, które miało woń gardenii. Stark cieszył się i rozkoszował myślą o myciu.

– Hej! – krzyknął nagle. Trzymał rękę w kieszeni. – Nie ma moich pieniędzy!

Warden zaczął się śmiać.

– Co jest? Chyba nie zgubiłeś tych cennych stu dolarów.

– Nie mogę znaleźć – odrzekł Stark głucho.

Warden oparł się o ścianę i ryknął śmiechem. Stark wciąż przeszukiwał kieszenie. Przetrzęsł wszystkie jak odrętwiały, nawet kieszonkę od zegarka. Zwinięty pęk banknotów zniknął.

– Może – wykrztusił Warden między jednym wybuchem śmiechu a drugim – może Gerta ma latarkę, żebyś mógł przeszukać całą uliczkę. Aha, zapomniałem: przecież jeszcze jest dzień.

– Co ty mówisz o jakiejś uliczce? – zapytała pani Kipfer wracając korytarzem z naręczem mundurów.

– Och – sapnął Warden kręcąc w lewo i w prawo głową opartą o ścianę, na której pozostawiał tłustą plamę. – Och! Ten osioł zgubił forszę podczas bójki. To niewątpliwie największy frajer, jakiego w życiu widziałem. Po coś ją pokazywał? Pewnie dlatego zaczęli tę bójkę.

– To ty zacząłeś bójkę – odparł Stark tępo, ciągle szperając po kieszeniach.

– A, racja. Ja zacząłem. Och – sapnął Warden. – O rany.

– Uważam, że to nieładnie z twojej strony tak się śmiać – powiedziała pani Kipfer.

– Słusznie – odrzekł Warden i znowu wybuchnął śmiechem.

– Ile miałeś pieniędzy, Maylon? – zapytała pani Kipfer.

– Sto trzynaście dolarów – odrzekł tępo Stark.

– O, to straszna szkoda – powiedziała. – Mogłabym ci jakoś pomóc?

– Możesz pożyczyć mu sto trzynaście dolarów? – odparł Warden ciągle się śmiejąc.

– Nie – rzekł Stark. – I tak tego nie znajdę.

– Żeby wymachiwać taką harmonią w tej knajpie! – stęknął Warden i znowu wybuchnął głośnym śmiechem. – Nic dziwnego, że ktoś cię wyrolował. Idę o zakład, że to Rose! Założysz się? Ja mówię, że Rose.

– Nie – odrzekł Stark. – W ogóle się do mnie nie zbliżała.

– Och, bracie! – szepnął Warden. Z trudem odepchnął się od ściany.

– Musisz zaciągnąć się nadterminowe, Teksańczyku.

– No, to zdaje się, że jestem załatwiony – powiedział Stark. – Na perłowo. Mogę już iść do domu.

– Mógłbyś posiedzieć w poczekalni i poczekać na Milta – powiedziała ze współczuciem pani Kipfer. – Tylko oczywiście tam jest straszny tłok

– dodała. – Wątpię, czy znajdziesz wolne krzesło.

– Chwileczkę – rzekł Warden. – Jeszcze nie idź. Coś ci powiem. Tam od frontu jest cholerny ścisk. Stoją w ogonku na ulicy aż do samego rogu. Dzisiaj jest gorzej niż w dzień wypłaty, kiedy przy pływa flota.

– No więc? – zapytała ostrożnie pani Kipfer.

– Mam tutaj dwieście sześć dolarów, Gerto – powiedział z ożywieniem Warden wyciągając portfel. – Dam ci z tego sto pięćdziesiąt, jeżeli pójdiesz na front, weźmiesz dwie z tych twoich ślicznych panienek dla mnie i dla mojego kumpla, przyprowadzisz je do nas i pozwolisz nam tutaj zostać przez resztę dnia.

Stark obrócił się i spojrzał na niego z niedowierzaniem, trzymając zwieszony mundur w rękę.

– Kiedy w taki dzień mogą więcej zarobić na froncie – odpowiedziała ostrożnie pani Kipfer.

– Wątpię – rzekł stanowczo Warden. – Szczerze wątpię. Ale powiem ci, co zrobię. Podniosę to do dwóch stów, jeżeli nam dostarczysz porządnych befsztyków i pół tuzina butelek.

– Befsztaków?! – zawołała pani Kipfer. – A skądże ja wezmę befsztyki?

– Nie żartuj – uśmiechnął się Warden. – Nie próbuj zalewać takiemu staremu koniowi jak ja, Gerto. Wiem doskonale, że trzymasz befsztyki na te okazje, kiedy grube szyszki wojskowe zjeżdżają do ciebie z Shafter, żeby się zabawić. Więc jak? Dwie stowy, a ty dorzucisz befsztyki i whisky.

– Ano... – powiedziała niepewnie pani Kipfer.

– Sami je usmażymy. Uwielbiam smażyć befsztyki. Tu obecny Teksasńczyk jest najlepszym podoficerem kasynowym w całym wojsku. Jeżeli przyślesz jeszcze jeden befsztyk, to każę mu go usmażyć dla ciebie.

– Na miłość boską, nie! – zawołała pani Kipfer. – Gdybym dziś zjadła befsztyk w takim nerwowym napięciu, chyba umarła. No, czy ja wiem – powiedziała z powątpiewaniem.

– Tak, tak, wiesz – uśmiechnął się Warden. – Wiesz, że nie możesz zrobić lepszego interesu. A jeżeli ci się zdaje, że potrafisz wyciągnąć więcej, to chyba oszalałaś. Mam tylko dwie setki. Więc jak? Już prawie południe.

– Wpół do jedenastej – sprostowała pani Kipfer.

– Już prawie południe, a musimy stąd wyjść o wpół do szóstej, żeby zdążyć przed godziną policyjną. No? Zgoda czy nie? Dochodzimy do porozumienia?

– Ano... – powiedziała pani Kipfer.

– Załatwione! – zawołał stanowczo Warden. – Załatwione, jeżeli mnie kochasz, Gerto. Zawsze mówiłaś, że tak. – Chwycił panią Kipfer i pociągnął ją w taniec wzdłuż korytarza.

– Puśćże mnie, na miłość boską! – zawołała zdyszana pani Kipfer. Cofnęła się zarumieniona i przygładziła włosy. – Pójdę po te befsztyki. Wiesz, gdzie jest lodówka. I kuchenka.

– Ja chcę tę nową dziewczynkę – powiedział Warden poruszając brwiami. – Tę Jeanette.

– Dobrze. A ty kogo, Maylon?

Stark, który sam lubił wydawać pieniądze, ale był zbyt oniemiały, żeby coś powiedzieć, poskrobał się w głowę.

– Bo ja wiem? Może Lorene?

– Lorene odpłynęła dzisiaj na „Lurline” – odrzekła pani Kipfer. – Ale Sandra jeszcze jest. Wyjeżdża dopiero w przyszłym miesiącu.

– No cóż – powiedział Stark.

– W porządku – wtrącił stanowczym tonem Warden. – Niech będzie. Zniesiemy tę niedogodność. Tym razem.

– Jasne, niech będzie – rzekł Stark.

– Dobrze – powiedziała. – Idę po nie.

– Chodź – rzekł Warden, kiedy wyszła. – Usmażymy sobie befsztyki. Jestem głodny jak wszyscy diabli. Usmażymy dla nas czworga po befsztyku.

– Najpierw trzeba włożyć te mundury – powiedział Stark.

– Przygotuję befsztyki – odparł Warden. – Ty się przebieraj. Zaraz wrócę.

– Wiesz co? – powiedział Stark z podnieceniem. – Coś się ze mną stało. Wcale nie jestem zalany. A dawniej musiałem najpierw się spać jak cholera. Zmieniłem się.

– Dawniej byłeś mężczyzną amerykańskim – odparł Warden. – Teraz jesteś człowiekiem światowym, tak jak ja. To to samo, co pojechać do Europy i obejrzeć nie cenzurowane filmy, zanim je pochlastają w naszym kraju. Potem już nie jest się nigdy tym samym.

– Ale coś w tym jest – powiedział Stark.

– Chcesz befsztyk nie dopieczony, średni czy twardy? – zapytał Warden. – Podajemy wszystkie rodzaje.

– Nie dopieczony – odpowiedział Stark.

Kiedy obie dziewczyny przyszły i zamknęły duże metalowe drzwi, za którymi słychać było zgiełk, unosił się już w powietrzu zapach smażonych befsztyków.

– O! – pisnęła mała bruneteczka, Jeanette, ta nowa. – Będzie wspaniałe przyjęcie. Uwielbiam wspaniałe przyjęcia.

– Podziękuj temu człowiekowi – odezwał się Stark. Warden, stojąc przy kuchence, odłożył łyżkę i skłonił się.

– Chodź tu, malutka – powiedział. Usiadł, podniósł ją i posadził sobie na kolanie jak lalkę. – Powiedz mi, ty jesteś Francuzka?

– Gdzie whisky? – zapytał Stark.

– Moja mama i mój papa są Francuzami – odrzekła Jeanette. – O, to będzie śliczne przyjęcie!

– Zaraz przyniosę – powiedziała Sandra. – Co wyście pokazali tej starej babie, że tak zmiękła?

– To mamy ze sobą dużo wspólnego – mówił Warden. – Ja też mam francuskich przodków.

– Forse – odparł Stark. – Idź po whisky.

– Powiedz mi, malutka – rzekł Warden. – Kochasz mnie?

– Tak, kocham cię – pisnęła Jeanette. – Kochałabym każdego, kto by mnie wyrwał stamtąd w taki dzień.

– No, a ja też cię kocham – powiedział Warden.

– Och, najmilszy – powiedziała Sandra stawiając na stole dwie butelki. – A ja jak ciebie kocham! Od półtorej godziny chodzę głodna. Jak ja cię kocham!

– Ja ciebie też – odrzekł Stark.

– Idę z moją lalczką na koniec korytarza pobawić się trochę – powiedział Warden. – A wy pilnujcie befsztyków.

Stark, który przysiadł na krześle obok Sandry obejmując ją jedną ręką, obejrzał się przez ramię na drzwi, kiedy Warden wychodził. – Wracajcie prędko – powiedział.

– Tylko nie przypal tych befsztyków – odparł Warden.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Karen Holmes, stojąc przy relingu na pokładzie spacerowym statku i oglądając się za siebie, rozmyślała, że jest to zbyt piękne miejsce, ażeby je opuszczać.

Stała tam, kiedy sypano konfetti, kiedy orkiestra marynarki grała „*Aloha Oe*” i trójkolorowe wstęgi opadały wraz z trapem, zaś pokrzykujący pasażerowie tłoczyli się do relingu, aby pomachać rękami na pożegnanie. A teraz, gdy statek sunął kanałem obok Fort Armstrong mijając Wyspę Piaszczystą i płynąc dalej między rafami, zaś podnieceni pasażerowie zaczęli się rozpraszać i schodzić pod pokład, Karen stała tam dalej.

Powiadają, iż istnieje stara hawajska tradycja, że jeśli mijając Przylądek Diamentowy wyrzuci się za burtę swoją *lei*^{*}, wyrzóży nam ona, czy jeszcze kiedyś wrócimy. Don Blanding wycisnął z tego kilka poematów i bardzo dużo łez. Karen nie sądziła, by mogła wrócić tu kiedykolwiek, ale postanowiła mimo wszystko wypróbować tę legendę, kiedy będą przepływali obok Przylądka Diamentowego, i przekonać się, czy to prawda.

Miała na sobie ogółem siedem *lei*. Na spodzie czerwono-czarną, papierową, którą pułk ofiarowywał wszystkim swoim krótkoterminowym, a dalej kolejno coraz kosztowniejsze: *lei* z goździków od Klubu Oficerskiego, drugą od żony majora Thompsona, następną od żony dawnego dowódcy batalionu Holmesa, *lei* z kwiatów imbiru od żony pułkownika Delberta, *lei* z pikaki od generała Slatera, na wierzchu zaś *lei* z samych białych gardenii, którą kupił jej Holmes, kiedy ją odprowadzał. Te siedem *lei* tworzyło kołnierz z kwiatów sięgający powyżej uszu, kiedy tak stała przy relingu.

Dana junior, uwolniony od konieczności stania przy burcie i machania ręką ojcu na pożegnanie, już był pośrodku pokładu bliżej rufy, przy korcie do gry w krążki, wraz z dwoma innymi milutkimi chłopaczkami. Wrzeszczeli do siebie, że są krążkami, i popychali się wzajemnie tam i z powrotem po gładkich deskach, ażeby to udowodnić. Tam nic mu nie mogło grozić, a stewardzi niech już się martwią o uszkodzenia tych swoich kortów do krążków. To była jedna z przyjemnych stron przebywania na statku i chciała z tego skorzystać.

Za nimi miasto, które obsiadło zewsząd Fort Street i Nuuanu Avenue przypominając mrowisko, jak wszystkie takie miasta, zdawało się okręcać, gdy wielki statek wypływał na wschód kanału wzdłuż rafy. Za miastem, pnąc się na garby wzgórz, widniały rozliczne, wielobarwne domki przedmieść, w których oknach tu i ówdzie błyskało wesołe odbite światło słońca. A ponad tym wszystkim stały zwaliste, niezmiennie góry w swojej tropikalnej zieleni,

* Lei – hawajska girlanda z kwiatów zakładana na szyję

która zdawała się ociekać z nich płachtami grożąc pochłonięciem pracowicie wzniesionych przez człowieka domów i ulic. Między statkiem zaś a lądem było już tylko powietrze. Powietrze sięgające w dół do samej wody, a w górę do samego nieba, takie rozległe i przejrzyste, jak bywa tylko na morzu albo na szczytach wysokich gór. Znikąd nie można było mieć prawdziwszego obrazu Honolulu niż właśnie stąd.

Na brzegu, na wprost siebie, rozróżniła przystań rybacką Kewalo. Dalej był park „Moany”, a potem przystań dla jachtów. Niedługo zaś miał pokazać się Fort De Russey, a potem Waikiki.

– To bardzo piękne, prawda? – odezwał się za nią męski głos. Obróciła się i ujrzała tego samego młodego podpułkownika korpusu wojsk lotniczych, który stał w ścisiku o kilka kroków od niej, gdy odbijali od nabrzeża, oparty łokciami o reling i uśmiechający się melancholijnie. Kiedy stracili z oczu nadbrzeże, a tłum zaczął się przeredzać, odszedł nieco dalej wzdłuż burty, a potem zniknął, prawdopodobnie, aby przespacerować się dookoła pokładu, i Karen zupełnie o nim zapomniała.

– Tak – uśmiechnęła się. – Bardzo piękne.

– Myślę, że to jest najpiękniejsze miejsce, jakie widziałem w życiu – powiedział młody podpułkownik. – Nie mówiąc już o tym, że najpiękniejsze, w jakim miałem szczęście mieszkać.

Pstryknął papierosa za burtę i skrzyżował nogi w kostkach, a efekt był zupełnie taki, jak gdyby fatalistycznie wzruszył ramionami.

– Ja też tak uważam – uśmiechnęła się Karen. Nie mogła się wyzbyć zdumienia, że jest taki młody jak na pułkownika, ale oni wszyscy w lotnictwie byli tacy.

– A teraz odsyłają mnie z powrotem do Waszyngtonu – powiedział.

– Jak to może być, żeby odsyłali statkiem pilota takiego jak pan? – zapytała Karen. – Uważam, że powinien pan lecieć samolotem.

Jak gdyby się usprawiedliwiając, dotknął swej lewej piersi, gdzie było kilka wstążeczek, ale nie było skrzydeł.

– Nie jestem pilotem – powiedział z zażenowaniem. – Jestem w korpusie administracyjnym.

Karen poczuła drgnienie zawodu, ale nie pokazała tego po sobie.

– Mimo to uważam, że powinni byli odesłać pana samolotem.

– Sprawa pierwszeństwa. Pierwszeństwa, droga pani. Nikt nie wie, co to jest. Nikt tego nie rozumie. Ale jest pierwszeństwo. Zresztą nawet wolę płynąć statkiem. W samolocie choruję, a na statku nie. Czy to nie potworne?

Oboje się roześmieli.

– To święta prawda – powiedział serio. – To mnie wyeliminowało. Podobno mam coś z uszami. – Mówił tak, jak gdyby to była największa tragedia jego życia.

- *Bardzo przykre – rzekła Karen.*

– *C'est la guerre* – powiedział młody podpułkownik. – Więc teraz wracam do Waszyngtonu, gdzie nie znam absolutnie nikogo. Ażeby się przyczynić do Wysiłku Wojennego. Kiedy już przesiedziałem tu dwa i pół roku i znam każdy kąt i prawie każdego człowieka.

– Ja znam kilka osób w Waszyngtonie – zaproponowała Karen. – Mogę panu podać parę adresów, zanim wysiądziemy z tego statku.

– Naprawdę by pani to zrobiła?

– Jasne. Oczywiście, to nie są żadni senatorowie ani prezydenci, ani nic takiego.

– Darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy – powiedział młody podpułkownik.

Oboje roześmieli się znowu.

– Ale zaręczam panu, że to wszystko mili ludzie – uśmiechnęła się Karen. – Widzi pan, ja mieszkam w Baltimore.

– Niemożliwe! – zawołał młody podpułkownik. – I tam pani teraz jedzie?

– Tak – odrzekła Karen. – Z synem. Na czas wojny.

– ...plus sześć miesięcy – uśmiechnął się młody podpułkownik. – To pani synek?

– Tak, tam; ten najwyższy.

– Wygląda na świetnego chłopaka.

– I jest. I już przeznaczony do West Point.

Młody podpułkownik popatrzał na nią, i Karen zastanowiła się, czy nie powiedziała tego z goryczą.

– Ja sam też się wywodzę z korpusu oficerów rezerwy – rzekł. Przyjrzał jej się znowu uważnie swoimi chłopięcymi oczami, a potem się

wyprostował. Karen pochlebilo to spojrzenie.

– No to się jeszcze zobaczymy. Proszę, żeby pani nie zapomniała o tych adresach. I niech pani nie wypatruje tak oczu na wybrzeże. – A potem oparł na powrót ręce na relingu. – O, widać „Royal Hawaiian” – powiedział smętnie. – Mają tam najpiękniejszy koktajlbar, jaki w życiu widziałem. Chciałbym mieć po dziesięć centów od każdego dolara, który tam zostawiłem. Nie byłbym wtedy bogaty, ale miałbym sporo pieniędzy na pokera.

Karen obróciła się i ujrzała dobrze znany przebłysk różowości wśród zieleni daleko na wybrzeżu. Była to pierwsza rzecz, jaką jej każdy pokazywał, kiedy tu przyjeżdżali prawie przed dwoma laty. A zaraz obok „Royalu” mignęła biała „Moana”. O ile pamiętała, nikt przy przyjeździe nie pokazywał jej „Moany”.

Kiedy znów obróciła głowę, młodego podpułkownika lotnictwa już nie było. Stała przy relingu sama, z wyjątkiem szczupłej, drobnej dziewczyny, ubranej na czarno.

Karen Holmes, dla której miłość już się skończyła, doznała niejakej ulgi. I czuła się też jeszcze bardziej pochlebiona. Spoglądając wciąż ku dziobowi, obserwowała zbliżający się z wolna Przylądek Diamentowy.

Jeżeli lei spłynie ku brzegom, to znaczy, że się powróci. Jeżeli zaś ku morzu, to nie. Zamierzała rzucić wszystkie siedem; tak będzie lepiej, niż je zachować i patrzeć, jak schną, marnieją i więdną. A potem zmieniła decyzję. Zachowa tę czerwono-czarną, papierową, od pułku. Nada się na pamiątkę. Zapewne każdy żołnierz, który kiedyś służył w pułku i wracał do Stanów, miał taką w swoim kuferku. W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy Karen nabrała nowego zrozumienia i bliskiego pokrewieństwa z myśleniem żołnierzy.

– To bardzo ładne, prawda? – powiedziała od relingu czarno ubrana dziewczyna.

– Tak – uśmiechnęła się Karen. – Bardzo.

Dziewczyna postąpiła grzecznie kilka kroków ku niej wzdłuż relingu, a potem się zatrzymała. Nie miała na sobie żadnych *lei*.

– Przykro stąd odjeżdżać – powiedziała cicho.

– Tak – uśmiechnęła się Karen, wyrwana z zamyślenia. Zauważyła tę dziewczynę już przedtem. Teraz, widząc jej sylwetkę i ruchy, zastanowiła się przez chwilę, czy nie jest to przypadkiem jakaś gwiazda filmowa, którą zaskoczył tu na wakacjach wybuch wojny, tak że nie mogła wcześniej wrócić do domu. Ubrana w tę prostą, niemal surową, ale wyraźnie kosztowną czerń, przypominała bardzo Hedy Lamarr.

– Nikt by tu nie pomyślał, że jest wojna – powiedziała dziewczyna.

– Tyle tutaj spokoju – uśmiechnęła się Karen.

Kątem oka zerknęła na jej biżuterię: pojedynczy pierścionek na prawej ręce i naszyjnik, jedno i drugie z pereł, nacechowane nie rzucającą się w oczy wytworną doskonałością prostoty. Pereł nie wyglądały przy tym na hodowane. A taka nieskazitelna prostota nie przychodzi łatwo. Karen też kiedyś miała taki okres, ale teraz już nie. Wymagało to albo usług kilku pokojówek, albo też żmudnych godzin ciężkiej pracy. Z zazdrością pomyślała, że przy tej dziewczynie wygląda prawie niechlujnie. Kobieta z małym dzieckiem nie może współzawodniczyć z kimś takim.

– Stąd prawie widać miejsce, gdzie pracowałam – powiedziała dziewczyna.

– Gdzie to jest? – uśmiechnęła się Karen.

– Mogłabym pokazać, ale pani nie zobaczy, chyba żeby pani знаła ten budynek.

– A gdzie pani pracowała? – uśmiechnęła się Karen zachęcająco.

– W Faktorii Amerykańskiej – odparła dziewczyna. – Byłam prywatną sekretarką.

Obróciła się i uśmiechnęła powoli do Karen swoją śliczną dziecinną twarzą, bladą, prawie nie tkniętą słońcem i twardo obramowaną długimi do ramion, kruczoczarnymi włosami, rozczesanymi pośrodku.

„Ma twarz Madonny” – pomyślała z przyjemnością Karen. Patrzenie na nią było jak oglądanie galerii sztuki.

– Myślę, że to jest stanowisko, którego warto było się trzymać – powiedziała.

– Ja... – zaczęła dziewczyna i urwała, a jej twarz Madonny nachmurzyła się posępnie. – Istotnie – odrzekła po prostu. – Ale nie mogłam zostać.

– Przepraszam – powiedziała Karen. – Nie chciałam być niedyskretna.

– To nie to – uśmiechnęła się do niej wykwintna dziewczyna. – Ale, widzi pani, mój narzeczony zginął siódmego grudnia.

– O, tak mi przykro – powiedziała Karen wstrząśnięta. Dziewczyna uśmiechnęła się do niej.

– Dlatego nie mogłam zostać. Mieliśmy się pobrać w przyszłym miesiącu. – Odwróciła się i popatrzała ponad wodą na brzeg, a jej piękna twarz Madonny była smutna i zamyślona. – Kocham te wyspy, ale sama pani rozumie, że nie mogłam zostać.

– Tak – odrzekła Karen nie wiedząc, co powiedzieć. Mówienie o czymś niekiedy pomaga. Zwłaszcza jeżeli rozmawia się z drugą kobietą. Najlepiej było pozwolić jej mówić.

– Przyszłali go tu przed rokiem – rzekła dziewczyna. – Ja przyjechałam później i wzięłam tu posadę, żeby być blisko niego. Oboje odkładaliśmy pieniądze. Mieliśmy sobie kupić mały domek na Kaimuki. Chcieliśmy go kupić jeszcze przed ślubem. On miał się zaciągnąć na jeszcze jeden okres służby, może nawet na kilka. Rozumie pani teraz, dlaczego nie chciałam zostać, prawda?

– Och, Boże drogi – powiedziała bezradnie Karen.

– Pani wybaczy – uśmiechnęła się pogodnie dziewczyna. – Nie chciałam pani używać jako ściany płaczu.

– Jeżeli pani ma ochotę mówić, to niechże pani mówi – uśmiechnęła się Karen. To właśnie tacy młodzi jak ta para, ze swoją dzielnością i zrównoważeniem, nie opiewanym, nieznanym, nie heroizowanym, tworzyli wielkość tego kraju, sprawiali, że zwycięstwo w tej wojnie było z góry przesądzone. Wobec tej dzielności Karen czuła się bezwartościowa, czuła się jak dezertier. – Niech pani mówi dalej – powiedziała.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością i znowu popatrzyła na wybrzeże. Minęli już Przylądek Diamentowy i w oddali majaczyła krągła masa przylądka Koko.

– On był pilotem bombowym – mówiła dziewczyna spoglądając ponad wodę. – Stacjonował na Hickam Field. Próbował odkołować swój samolot sprzed hangaru do

obwałowania ochronnego. I samolot został” trafiony bombą w sam środek. Może pani czytała o tym w gazetach.

– Nie – odrzekła Karen bezradnie. – Nie czytałam.

– Nadali mu Srebrną Gwiazdę – mówiła dziewczyna patrząc ponad wodą. – Posłali ją jego matce. Pisała do mnie, że chce, abym ją miała.

– Bardzo ładnie z jej strony – odrzekła Karen.

– To byli wspaniali ludzie – uśmiechnęła się ze wzruszeniem dziewczyna. – On pochodził ze starej rodziny wirginijskiej Prewittów. Mieszkali

tam jeszcze przed rewolucją. Jego pradziad był generałem pod rozkazami Lee w czasie wojny domowej. Od niego nadano mu imiona: Robert E. Lee Prewitt.

– Jak? – zapytała Karen w osłupieniu.

– Robert E. Lee Prewitt – powtórzyła ze wzruszeniem dziewczyna, już bliska łez. – Czy to nie zabawne nazwisko?

– Nie – powiedziała Karen. – Uważam, że to świetne nazwisko.

– Och, Bob! – powiedziała drżącym głosem dziewczyna spoglądając na wodę. – Bob, Bob, Bob!

– No, no – rzekła Karen czując, jak cały żal, który miała w sobie, przemienia się w dzikie pragnienie wybuchnięcia głośnym śmiechem. Objęła dziewczynę. – Niech pani postara się opanować.

– Już dobrze – odrzekła dziewczyna nabierając z drżeniem tchu.

– Naprawdę. – Przytknęła chusteczkę do oczu.

– Odprowadzę panią do kajuty – zaproponowała Karen.

– Nie, dziękuję pani – odrzekła dziewczyna. – Już teraz wszystko w porządku. Muszę panią szalenie przeprosić. I bardzo podziękować. A teraz się pożegnaj.

Odeszła trzymając się i poruszając z wykwinną doskonałością w wykwinnie prostej, kosztownej czarnej sukni, z pierścionkiem i naszyjnikiem z pereł wyglądających na prawdziwe, sprawiając takie wrażenie, jakby zstąpiła prosto ze stronicy „Vogue'u”.

Karen patrzyła za nią myśląc, że oto jest Lorene z „New Congress” i że po raz pierwszy spotkała zawodową kurwę – przynajmniej wiedząc, że nią jest.

– Kto to taki, ta pani znajoma? – zapytał młody podpułkownik lotnictwa zza jej drugiego ramienia. W tej chwili właśnie nadszedł. – To prawdziwa piękność.

– Prawda, że śliczna? – odparła Karen czując wciąż dziką ochotę do śmiechu. – Nie znam jej nazwiska, ale może mi się uda jakoś pana przedstawić.

– Nie, dziękuję – odparł młody podpułkownik wciąż patrząc na nią.

– Taka jest piękna, że aż się czuję nieswojo. Kto to jest? Gwiazda filmowa?

– Nie, ale zdaje się ma jakiś związek z imprezami rozrywkowymi. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby poznanie jej wiele panu dało. Jej narzeczony zginął siódmego grudnia. Był pilotem bombowym w Hickam.

– O – powiedział zmartwionym głosem młody podpułkownik. – To przykre.

– Dość ciężko to przeszła – rzekła Karen.

– Ja byłem w Hickam siódmego – powiedział młody podpułkownik tym pogrzebowym głosem. – Jak on się nazywał? Może go znałem.

– Prewitt – odparła Karen. – Robert E. Lee Prewitt. Ona mówi, że pochodził ze starej wirginijskiej rodziny.

– Nie – odrzekł w zamyśleniu młody podpułkownik pogrzebowym tonem. – Chyba go nie znałem. W Hickam była straszna masa pilotów bombowych – usprawiedliwił się. – I masa ich zginęła.

– Nadali mu Srebrną Gwiazdę – powiedziała Karen; jakaś wewnętrzna gorycz sprawiła, że nie mogła się od tego powstrzymać.

– To powinienem go znać – odrzekł pogrzebowo młody podpułkownik. – Ale mówiąc między nami, w Hickam rozdali tyle Srebrnych Gwiazd, zarówno za życia, jak i pośmiertnie, że samo to nie jest jeszcze dostatecznym wskaźnikiem – wyjaśnił.

– Chyba pan ma rację – odrzekła Karen.

– Ja sam też ją dostałem – dodał.

Karen spojrzała na jego koszulę i zobaczyła ją tam, tuż obok wstążeczki Fioletowego Serca.

– O, nie zrobiłem nic takiego – powiedział pośpiesznie. – Tyle że mnie poturbował wstrząs od bomby, którego i tak nie mógłbym uniknąć. Ale przyjąłem tę Gwiazdę. Pewno nie powinienem był tego robić – dodał i spojrzał na nią po chłopięcemu badawczo.

– Nie widzę powodu, żeby pan nie miał jej przyjąć – powiedziała Karen.

– No, bo jest tylu ludzi, którzy powinni byli ją dostać, a nie dostali – powiedział.

– To, że pan by odmówił, nic by im nie pomogło.

– Racja – rzekł z ulgą. – Tak też sobie tłumaczyłem. – Oparł się łokciami o reling i skrzyżował nogi w kostkach. – Więc pani jest z Baltimore – powiedział z zadowoleniem. – To nie do wiary. Jaki ten świat jest mały!

– Niewątpliwie – uśmiechnęła się Karen. – I robi się coraz mniejszy. – „Teraz to przyjdzie – myślała. – Teraz zapyta, czy mógłby czasem wpaść do mnie, jak się poczuje samotny w Waszyngtonie.” Jednakże nie zapytał.

– Przy którym stoliku pani jada? – spytał zamiast tego.

– Przy jedenastym – odrzekła Karen. – A pan?

– Przy jedenastym – uśmiechnął się młody podpułkownik. – Prawda, jaki to zbieg okoliczności? – Zdjął łokcie z relingu. – No to zobaczymy się przy kolacji. Mam teraz parę rzeczy do załatwienia.

– Dobrze – uśmiechnęła się Karen. – Ja też muszę iść się rozpakować. Patrzyła za nim, kiedy odchodził. Jednakże uszedłszy parę kroków zawrócił do niej.

– Tak naprawdę, to wcale nie jestem przy jedenastym – powiedział.

– Wyznaczyli mi stolik numer dziewięć. Skłamałem pani. Ale w porze kolacji będę już przy jedenastym. To właśnie jedna z tych rzeczy, które mam do załatwienia.

– Niech pan się aby nie przemęczy – uśmiechnęła się Karen.

– Nie – uśmiechnął się do niej ujmująco. – Ale pani nie będzie miała nic przeciwko temu?

– Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? – odparła Karen z uśmiechem. – Ale doceniam to, że pan mi powiedział.

– Ano, pomyślałem, że powinienem. – Popatrzył na nią uważnie, ale uprzejmie, a potem się uśmiechnął. – To do zobaczenia przy kolacji.

– Przyjdziemy – uśmiechnęła się Karen i popatrzyła, co robi jej syn na korcie do gry w krążki. Wciąż jeszcze się tam bawili i teraz było ich pięciu.

Młody podpułkownik lotnictwa popatrział na nich także, a potem z uśmiechem kiwnął do niej głową, Karen zaś zawróciła do relingu.

Przylądek Diamentowy minęli już jakiś czas temu. W tej chwili zostawili za sobą przylądek Koko. Na wschód od jego wielkiego garbu, który zawsze przywodził jej na myśl łeb wieloryba, widziała zakłęśłość będącą owym parkingiem na szczycie skarpy nad zatoką Hanauma. Jeżeli się nie wiedziało, że tam jest, nie można było go dojrzeć z tak daleka.

Za nią pięciu chłopców rozmnożyło się do siedmiu; porzuciwszy grę w krążki, zaczęli zza węglów i podpór strzelać do siebie nastawionymi palcami, czemu towarzyszyły wybuchowe okrzyki „Bach!”

Karen zdjęła przez głowę sześć kwiatnych lei i zrzuciła je za burtę. Było to równie dobre miejsce jak każde inne. Przylądek Diamentowy, przylądek Koko, przylądek Makapuu. Może w gruncie rzeczy Koko był najlepszy. Sześć lei spadło razem i wiatr zdmuchnął je z powrotem na kadłub statku, i nawet nie zobaczyła, jak osiadły na wodzie.

– Mamo – usłyszała za sobą głos syna. – Jestem głodny. Kiedy się je na tej krypie?

– Już zaraz – odpowiedziała.

– Mamo, myślisz, że ta wojna potrwa dość długo, żeby skończył West Point i jeszcze na nią zdążył? Jerry Wilcox mówi, że nie.

– Nie – odpowiedziała. – Nie sądzę, żeby trwała tak długo.

- Ojej, mamó – powiedział jej syn. – A ja tak bym chciał pójść na tę wojnę.
- No to się pociesz – odrzekła Karen – i nic się nie martw. Może ominie cię ta, ale będziesz akurat w odpowiednim wieku na następną.
- Naprawdę tak myślisz, mamó? – zapytał z niepokojem jej syn.

PIEŚŃ NADTERMINOWYCH

*W poniedziałek żołd dostałem,
Już nie żołnierz, tylko pan.
Kieszeń pełna, że aż pęka.
Świat przede mną, kiedy mam
Tyle tych forsiaków nowych. Żołd nadterminowych.*

*Więc we wtorek hotel, pokój,
Łoże wielkie, że tchu brak.
Pracę znajdę sobie jutro,
Dziś mnie może trafić szlag.
Czas wyzyskaj, pókiś zdrowy. Czas nadterminowych.*

*W środę idę pić do baru.
Wszystkich kumpli mam u stóp.
Chińska dzidzia mi przysięga,
Że mnie kocha aż po grób.
Szał, innymi mówiąc słowy. Szal nadterminowych.*

*W czwartek budzę się jak zbity,
Ledwie dźwigam ciężki łeb.
Nic w kieszeniach prócz podszewki.
Dał się dziwce okraść kiej.
Klops i szkoda dalej mowy. Klops nadterminowych.*

*W piątek znów do baru idę,
Proszę darmo piwko raz,
Moich kumpli ani śladu.
Barman rzekł: „Łachudro, zjazd!”
Robię gwałt, bom honorowy. Gwałt nadterminowych.*

*Przez sobotę siedzę w mamrze
I wyglądam spoza krat*

*Na sobotni ruch ulicy:
Każdy wolny, każdy rad,
Tylko ja jestem pechowy. Pech nadterminowych.*

*I niedziela: drzemię w parku,
Do kościoła kroczy tłum.
Ja przy duszy nie mam grosza,
W brzuchu pusto, w uszach szum.
Kościół nie dla dusz ubogich. Dusz nadterminowych.*

*Tak więc w poniedziałek znowu
Jestem w wojsku – trochę żal,
Świat był mój, gdy miałem forszę,
Z forszą dziwka związała w dal.
Wziął, co dał mi, los surowy. Los nadterminowych.*

*Więc słuchajcie mnie, koledzy,
Omijajcie dziwki, ul.
Śmierć lub w wojsku lat trzydzieści
W gruncie rzeczy ten sam ból.
Aż mnie mdli ten dryl wojskowy.
Dryl nadterminowych.*

- * Wahine – po hawajsku kobieta, kochanka.
- * Indiańska nazwa prezydenta Stanów Zjednoczonych; w tym wypadku żartobliwie dowódca pułku.
- * Drive-in – bar (lub kino itp.), w którym klienci-automobiliści są obsługiwani bez wysiadania z samochodu.
- * Sir Galahad – nieskazitelny rycerz Okrągłego Stołu ze średniowiecznych legend o królu Arturze.
- * John Dillinger – słynny gangster amerykański z lat trzydziestych.
- * Biała litera „P” – od prisoner, więzień
- * Robert Ripley (1893-1949) – znany rysownik, spiker radiowy i pisarz.
- * Wobbly – członek IWW (Industrial Workers of the World) – organizacji robotników przemysłowych utworzonej w 1905 r. w Chicago.
- * Jackson – aluzja do słynnego generała Konfederacji, Thomasa Jacksona, z czasów amerykańskiej wojny domowej, który otrzymał przydomek „Stonewall” (Kamienny Mur) dzięki swej nieugiętej postawie w bitwie pod Bull Run (1861).
- * Luau -festyn hawajski.
- * Lei – hawajska girlanda z kwiatów zakładana na szyję